

INKWIZYCJA GRZECHY PRZESZŁOŚCI



WITOLD
SKRZYDLEWSKI

Witold Skrzydlewski

Inkwizycja

Grzechy Przeszłości

Saga

Inkwizycja - Grzechy Przeszłości

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 2022 Witold Skrzydlewski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728435731

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Witold Adam Skrzydlewski

Preludium

Dedykacja

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI
Rozdział XXVII
Rozdział XXVIII
Rozdział XXIX
Rozdział XXX
Rozdział XXXI
Rozdział XXXII
Rozdział XXXIII
Rozdział XXXIV
Rozdział XXXV
Epilog

O książce Inkwizycja - Grzechy Przeszłości

Witold Adam Skrzydlewski



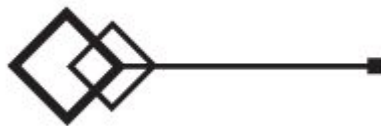
Urodził się 5 stycznia 1999 roku w centralnej Polsce. Za młodu, wraz z rodzicami, porzucił miejski zgiełk na rzecz wiejskiego zacisza. Całe swoje, jak na razie krótkie życie kształcił się w wiedzy ogólnej oraz językach

obcych. Realizację pierwotnych planów i założeń przerwała mu w 2018 roku diagnoza potwierdzająca nieuleczalną chorobę. Z racji tego oraz późniejszej pandemii Cov-Sars-2 musiał poddać się trwałej izolacji i separacji od większości ludzi ze swojego otoczenia. To właśnie wtedy naprawdę rozwinął w sobie pasję literacką i przyrzekł, że stworzy skończony utwór.

W wolnych chwilach śledzi sytuację polityczną Polski i świata, maluje modele do gier bitewnych, oddaje się rozrywce komputerowej, czyta powieści fantastyczne, sci-fi i militarne oraz prowadzi zawile debaty mając za rozmówcę... siebie.

Mawia, iż „ból jest katalizatorem obowiązku”.

PRELUDIUM



OD CZASU, GDY BÓG POSTANOWIŁ UKARAĆ LUDZKOŚĆ, JUŻ PONAD TYSIĄC LUDZKICH POKOLEŃ SPISAŁO BEZBARWNYM ATRAMENTEM SWOJE ŻYWOTY NA KARTACH HISTORII. ŚWIAT, UJARZMIONY PRZEZ CZŁOWIEKA I ODDANY MU W CAŁKOWITE WŁADANIE, SPŁONAŁ DOSZCZĘTNIE W OGNISTYM POTOPIE, NAZWANYM DNIEM KARY. CHWILE PEŁNE POŻOGI, KTÓRE NIEMAL ZMAZAŁY Z POWIERZCHNI GLOBU WSZELKIE ŻYCIE I W NIEBYT ODESŁAŁY WSZYSTKO, CO WYKSZTAŁCIŁY LUDZKIE RĘCE, BYŁY WYROKIEM ZA MILENIA GRZECHÓW I WYSTĘPKU. JEDNAK TO NIE BYŁ KONIEC, A LEDWIE POCZĄTEK...

Z POPIOŁÓW NIEZLICZONYCH ISTNIEŃ, ZGŁADZONYCH W KILKA SEKUND, KTÓRE SYPAŁY SIĘ W KLEPSYDRZE ODMIERZAJĄCEJ GEHENNĘ DUSZ, WYROSŁA NOWA RZECZYWISTOŚĆ. GLEBA UŻYŻNIONA MARNOŚCIĄ LUDZKIEGO LOSU POZWOLIŁA WYDAĆ OBFITE PŁONY. NIC JUŻ JEDNAK NIE BYŁO TAKIE SAMO...

ZIEMIA STAŁA SIĘ POLEM BITWY, NA KTÓRYM WALCZĄCYMI NIE BYLI TYLKO ŚMIERTELNI. WRZASK MILIARDÓW DUSZ, WYDARTYCH Z CIAŁ W KRÓTKIM I NAGŁYM KATAKLIZMIE, ROZPRUŁ NICI, KTÓRYMI POZSZYWANE BYŁY RÓŻNE WYMIARY. GRANICE POMIĘDZY NIEBEM, PIEKŁEM, NIESKOŃCZONOŚCIĄ INNYCH ŚWIATÓW, A NASZYM PADOŁEM PRZESTAŁY BYĆ SZCZELNE. ANIOŁY, DEMONY I POTWORY NA STAŁE WMIESZAŁY SIĘ W RÓŻNORODNE SPOŁECZNOŚCI. LUDZKI GATUNEK SPRAWNIE ODBUDOWAŁ SWOJE SZEREGI. WZNIÓSŁ POTĘŻNE MIASTA-PAŃSTWA, OTOCZYŁ SIĘ MURAMI, WYTYCZYŁ NA NOWO SZLAKI I DROGI, KTÓRE ŁĄCZYŁY POSZCZEGÓLNE BASTIONY CYWILIZACJI. NIE SPOSÓB BYŁO JEDNAK USTRZEC SIĘ STARYCH BŁĘDÓW...

USTA ZNÓW ZACZĘŁY KŁAMAC, MYŚLI ZDRADZAĆ, A CZYNY WYRZADZAĆ KRZYWDĘ. CZŁOWIEK JEST JAK WOJNA, NIGDY SIĘ NIE ZMIENI. KREW NIEWINNYCH, BARDZIEJ DOSTĘPNA OD CZYSTEJ WODY, HOJNIE ZRASZAŁA SUCHĄ I SPRAGNIONĄ ZIEMIĘ. PLANY KOSMATYCH UMYSŁÓW WIODŁY DO INTRYG, KTÓRYCH JEDYNYM CELEM BYŁO DOBRAĆ SIĘ DO DUSZ BOGOBOJNYCH. LUDZKOŚĆ OTOCZYŁA CIEMNOŚĆ WROGÓW, UKRYWAJĄCYCH SIĘ NIE POZA MURAMI MIAST, LECZ WŚRÓD NAJBLIŻSZYCH...

NIELICZNI MOGLI PŁAWIĆ SIĘ W BLASKU BOGACTWA, A NIEPRZEBRANE RZESZE ŚMIERTELNIKÓW GNIŁY I UMIERAŁY W WIECZNEJ NOCY, POŻERAJĄC JESZCZE CIEPŁE ZWŁOKI. LUDZIE GINĘLI, ZABIJANI PRZEZ BLIŹNICH W WALCE O PRZETRWANIE, ZDYCHALI W CELACH, UWIĘZIENI PRZEZ INTERWENTÓW, KONALI OD NIEWOLNICZEJ PRACY W FABRYKORIACH INŻYNIERÓW, ODDAWALI

DUCHA W ŚWIĄTYNIACH KAPŁANÓW LUDZKIEGO BOGA I PADALI OFIARĄ TAJEMNICZEJ INKWIZYCJI.
O ICH LOSIE WIEDZIAŁ TYLKO NAJWYŻSZY..

ŻYCIE W TAKIM ŚWIECIE BYŁO RECHOTEM LOSU, KTÓRY TOWARZYSZYŁ CZŁOWIEKOWI OD DNIA
NARODZIN PO GODZINĘ ŚMIERCI. BY EGZYSTOWAĆ W TEJ RZECZYWISTOŚCI, NALEŻAŁO PAMIĘTAĆ,
ŻE NAJWIĘKSZA ŚWIATŁOŚĆ TWORZY NAJGŁĘBSZE CIENIE, NAJSŁODSZY UŚMIECH SKRYWA
NAJSTRASZLIWSZE KŁAMSTWO, A NAJGORĘTSZA MIŁOŚĆ DAJE TCHNIENIE SKUTEJ LODEM
NIENAWIŚCI..

PORZUĆ NADZIEJĘ, ZAPOMNIJ O LOGICE I ZATRAĆ WIARĘ WE WSZYSTKO OPRÓCZ KRÓLA
NIEBIESKIEGO. CZYTAĆ BĘDZIESZ O CZASACH, W KTÓRYCH CZŁOWIEK STAJE W SZRANKI
Z NIEZBADANYM, NIEZROZUMIAŁYM I NIEMOŻLIWYM. ZAGŁĘBISZ SIĘ W ŚWIAT, W KTÓRYM ŻYCIE
LUDZKIE JEST MONETĄ W RĘKACH WIECZNYCH. UJRZYSZ WIELKIE IMPERIA, WIECZNIE PIJANE OD
KRWI MĘCZENNIKÓW, A GDY ZAMKNIESZ OCZY, USŁYSZYSZ OKRZYKI MODLITW I TAK SAMO LICZNE
POTĘPIEŃCZE SZEPTY..

KRONIKARZ IBRAHIM KANTOR, WSTĘP DO „DZIEJE ER, KTÓRE JUŻ NIE WRÓCĄ”, OPUBLIKOWANE
W 21983 ROKU PO DNIU KARY.

DEMONY SĄ NICZYM POSŁUSZNE PSY, KTÓRE PRZYCHODZĄ, GDY SIĘ JE ZAWOŁA.

REMY DE GOURMONT. DAWNY ZIEMSKI POETA.

KIEDYŚ RÓWNIEMŻ SZATAN BYŁ ANIOŁEM, NIM ZACZAŁ MYŚLEĆ I DBAĆ O SIEBIE
SAMEGO.

KAPŁAN COLTMAR KROS.

SPALONY NA STOSIE ZA BLUŹNIERSTWA PRZECIWKO DOGMATOM
KOŚCIOŁA.

BÓL JEST KATALIZATOREM ŻARLIWOŚCI, CIERPIENIE JEST AKCELERATOREM
MŚCIWOŚCI.

INKWIZYTORKA MARIA IREMSKI.

DO LEGEND ŚWIĘTEGO OFICJUM PRZESZŁA JAKO KAT NIEWIERNYCH.
Z JEJ ROZKAZU OCZYSZCZONE ZOSTAŁO MIASTO MAROKORO WRAZ
Z PIĘCIOMA MILIONAMI MIESZKAŃCÓW.

DEDYKACJA



Powieść dedykuję każdemu, kto jest żądny prawdy, nie lęka się jej krzawić i wypala wszelkie kłamstwo. Wszystkim tym, którzy nie wahają się mówić tego, co myślą, nie dbając o to, co wypada, i co jest poprawne. Rzeszom ludzi, którzy potrafią bronić swoich racji i nie pozwalają narzucić sobie wpływów bądź wyznań. Książkę tę pisałem z myślą o tych, którzy szczerzy ze sobą mogą być tylko w myślach i są zmuszeni kłamać, by funkcjonować w społeczeństwie, które ich nie akceptuje i namawia do oszustw. Niech każda strona tej książki doda Tobie, drogi Czytelniku i droga Czytelniczko, otuchy na resztę życia. Odkryjesz na nich historię mroczną, brutalną, koszmarną i niesprawiedliwą. Poznasz bohaterów zwaśnionych stron, którzy toną we wzburzonym morzu potępienia i miażdżeni są pod ciężarem odpowiedzialności.

Nie obawiaj się zacząć czytać, gdyż na pewno wystarczy Ci odwagi. W końcu żyjesz na tym ziemskim padole, a każda chwila tu spędzona czyni z Ciebie bohatera, którego legenda rośnie z dnia na dzień.

ROZDZIAŁ I



MÓWI SIĘ, ŻE ŚWIAT, KTÓRY DZISIAJ ZNAMY, KIEDYŚ WYGLĄDAŁ ZUPEŁNIE INACZEJ. LUDZIE ŻYLI NA CAŁEJ KULI ZIEMSKIEJ, PEŁNEJ ZIELENI I NIESKAŻONEJ WODY. KAŻDY Z NASZYCH PRZODKÓW MIAŁ ŻELAZNY RYDWAN, A W PRZESTWORZACH KRAŻYŁY METALOWE KONSTRUKCJE. WSZYSTKIEGO MIELI PO STOKROĆ WIĘCEJ NIŻ MY TERAZ. TO WŁAŚNIE ONI BYLI PANAMI ŚWIATA I MOGLI ROBIĆ CO CHCIELI. TWORZYLI MAJESTATYCZNE BUDOWLE, JAK NA PRZYKŁAD GIGANTYCZNY ZEGAR, KTÓRY ZACHOWAŁ SIĘ DO NASZYCH CZASÓW, A INŻYNIEROWIE, DZIĘKOWAĆ STWÓRCY, BYLI GO W STANIE NAPRAWIĆ, ORAZ PRAWIE OŚMIUSETMETROWĄ WIEŻĘ, KTÓRA OBRACA SIĘ WOKÓŁ WŁASNEJ OSI.

SMUTEK WYPEŁNIA ME SERCE... ILE NASZE POKOLENIA TRACĄ W STOSUNKU DO PRZODKÓW.

PRAWDĄ JEST, ŻE NIE WIEMY DOKŁADNIE, CO SIĘ STAŁO. NAJSTARSZE PRZEKAZY MÓWIĄ O TYM, ŻE ŚWIAT ZAPŁONAŁ ŻYWYM OGNIEM. PRZYJĘŁO SIĘ NAZYWAĆ TEN CZAS DNIEM KARY. LUDZIE UMIERALI NA NIEWYOBRAŻALNĄ SKALĘ. NAWET DZISIAJ WIDZIMY GŁĘBOKIE RANY W ZIEMI, KTÓRE POWODUJĄ ŚMIERĆ U TYCH, KTÓRZY SIĘ DO NICH ZBLIŻĄ. LAMENT DUSZ UMĘCZONYCH W TAMTYM KATAKLIZMIE SPRAWIŁ, ŻE NIEWIELE POTRZEBA, BY NASZE KOSZMARY PRZYSZŁY I ODEBRAŁY NAM ŻYCIA. TARCZĄ CHRONIĄCĄ NAS OD TEGO JEST WIARA I CIĘŻKA PRACA, LECZ PRAWDZIWYMI OBROŃCAMI SĄ AGENCI TAJEMNICZEJ I POTĘŻNEJ INKWIZYCJI. NAWET JEŚLI WŚRÓD MOŻLIWYCH DZIAŁAŃ POZOSTAJE IM WYBRAĆ MNIEJSZE ZŁO...

KRONIKARZ IBRAHIM KANTOR, FRAGMENT Z „DZIEJE ER, KTÓRE JUŻ NIE WRÓCĄ”, OPUBLIKOWANE W 21983 ROKU PO DNIU KARY.

Krew, cierpienie i sterylność. Te trzy pierwiastki dało się wyczuć w powietrzu. Czego innego można byłoby się spodziewać w inkwizycyjnej sali przesłuchań. *Przesłuchań, dobre sobie. Raczej tortur* – pomyślał skatowany Thomas. Nigdy nie przypuszczał, że trafi w sam środek placówki legendarnej Inkwizycji. A już na pewno nie w roli przesłuchiwanego, przykutego do Drzewa Zdrajców. Ta maszyna, jeśli tak można ją nazwać, faktycznie przypominała drzewo. Tyle że zamiast gałęzi miała haki, ostrza i najróżniejsze narzędzia tortur.

Wisiał na sworzniach wbitych w skórę. Klatkę piersiową miał otwartą, a prosto w brzuch, mięśnie i narządy wpięto całą masę żelastwa. Nie umarł jeszcze tylko dlatego, że maszyna dozowała dawki licznych substancji, które utrzymywały przesłuchiwanego przy życiu. Inkwizytor mógł myślami pobudzać działanie Drzewa i zsyłać na opornego rozmówcę niekończące się męki.

- Ponawiam pytanie. Kto kazał takim jak ty wydrapywać na murach budynków te symbole? - zapytał potężny, głęboki głos. Na ścianie pokoju przesłuchań świetlisty pył ułożył się w cienie przypominające prymitywne i chaotyczne runy. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak zwykły akt wandalizmu. Dla kogoś biegłego w demonologii były to glify sławiące czyny czarcich istot.

To właśnie przerażało Thomasa. Jego kat nigdy nie podniósł głosu. Nigdy nie drgnęła mu powieka ani żaden grymas nie pojawił się na twarzy, gdy wraz ze swoimi egzekutorami w czarnych zbrojach zabił wszystkich w Dzielnicy XV-11. Zrobił to tylko po to, by do niego dotrzeć. Nie zareagował, gdy maszyna obdzierała go ze skóry i raniła. Nawet gdy wrzeszczał w najgorszym cierpieniu, błagając o śmierć, nie widział nic oprócz wpatrzonych w niego zimnych, czarnych oczu. I choćby miał całą wieczność, nie znalazłby tam krzty litości czy człowieczeństwa.

Nagły zgrzyt metalowych przekładni oznajmiał kolejną mękę. Thomas zawył z bólu. Krzyczał za każdym razem, gdy maszyna łamała kości i rozrywała mięśnie. Małutkie, ledwo widoczne pręciki wgryzły się w jego nerwy, czyniąc taki ból, jakiego nikt, kto nie jest więźniem Drzewa Zdrajców, nie jest w stanie sobie wyobrazić.

- Ty... jesteś... psychopatą - wychrypiał, dysząc ciężko.

- Wolę określenie Człowiek z Wyobraźnią - odpowiedział Inkwizytor. - Podsumujmy to, co już od ciebie otrzymałem. Jakieś trzy miesiące temu do Dzielnicy XV-11 zawitali nieznani ludzie, którzy zaoferowali jedzenie i medykamenty w zamian za to, że mieliście napadać na kapłanów, niszczyć kapliczki i zostawiać po sobie takie wzory. A od dwóch tygodni systematycznie was dozbrajali w broń pochodzącą z Kuźni Inżynierskich, co, powiem szczerze, jest nielichym osiągnięciem. Szykowaliście powstanie? Rozmieszczenie każdej skrytki, którą namierzyli moi agenci, sugerowałoby bardzo przemyślane uderzenie we wszystkie ważniejsze departamenty

w promieniu dwóch kilometrów od Dzielnicy XV-11, nie mówiąc już o niej samej. Nikt z was nie wpadłby na taki złożony plan. Jestem tego pewien.

Thomas mimowolnie kiwnął głową. Była to prawda. On sam nie znał się na planowaniu czy prowadzeniu walk. Całe życie zaprzętał sobie głowę tym, żeby przepracować dwanaście godzin każdego dnia w przepompowniach wody, a potem sprawdzać pułapki na szczury w nadziei, że znajdzie w nich coś, co nie pozwoli mu umrzeć z głodu.

- Oni mówili, że to będzie początek nowego porządku. Wszyscy przestaniemy głodować i umierać w gównie, kiedy cała ta lepsza część miasta żyje z naszej krwi. Z całej mojej rodziny zostałem tylko ja. Żona umarła dawno temu na raka, a mój jedyny syn miał osiem lat, gdy wykrwawił się od ran spowodowanych przez wybuch pompy. Resztę bliskich i przyjaciół zabiłeś w XV-11. Ty i twoi ludzie. Byliśmy gorsi niż robactwo... - charczał resztkami powietrza z płuc niezmasakrowanych jeszcze przez aparaturę. *Zresztą ona i tak nie pozwoliłaby mi umrzeć* - pomyślał. - Co ty wiesz o poświęceniu! - wrzasnął najgłośniejszym głosem, jak potrafił.

Maszyna wbiła się w kręgosłup. Thomasa przeszył niewyobrażalny ból. Jego szczęki zacisnęły się z taką siłą, że popękały ostatnie zęby. Inkwizytor wyszedł z półcienia, który go skrywał. Katowanemu mężczyźnie resztki krwi zastygły w żyłach. W końcu mógł się lepiej przyjrzeć oprawcy. Nie była to postać wielkiej postury i tężyzny.

Zbliżając się, Witeldon zdjął płaszcz. Thomas widział go teraz w całej okazałości. Był mężczyzną o średnim wzroście, bez wątpienia atletą, choć fakt ten skrywała zbroja. Kunsztownie wykonana z nakładanych jedna na drugą płyt lśniącego niebieskawego metalu, zdawała się lekka jak piórko i nie krępująca ruchów. Torturowany mrugnął i mocno się zdziwił, ponieważ teraz odzienie tajemniczego człowieka miało kolor węgla ze złotymi akcentami. *Co to za czary* - pomyślał.

Jego kat miał na piersi symbol Inkwizycji, *I*, czyli pierwszą cyfrę z Czcigodnego Języka, na której zawieszono wagę przechyloną w jedną stronę. U pasa wisiała kabura z grubej skóry, z gigantycznym rewolwerem, a długi miecz z połyskującego metalu został przytwierdzony na plecach. Lecz to nie postura, pancerz czy uzbrojenie wzbudziło w Thomasie paniczny lęk. Jego źródłem była twarz Inkwizytora. Smukła, lekko wychudzona, o bladej cerze.

Średniej długości, gęsta broda łączyła się z fryzurą. Włosy powinny być przystrzyżone już jakiś czas temu. Grzywka charakterystycznie opadała, zakrywając większość czoła, lecz nie wchodziła na oczy. Całość uzupełniały duże wąsy, które podobnie jak reszta owłosienia miały kolor ciemnego brązu. Oczy nie zdradzały nic, prócz nienawiści i śmierci. Bił z nich chłód tak wielki, że przesłuchiwany dostawał dreszczy.

Absolutna cisza w pomieszczeniu ciągnęła się kilka sekund i dzwoniła w uszach męczennika niczym kościelne dzwony. Bez wątpienia trwałaby dłużej, gdyby Inkwizytor nie przemówił.

- Mówisz, że tacy jak ja, lepsza strona miasta, jak to ująłeś, nie wiedzą co to poświęcenie. Pozwól, że coś ci pokażę - wypowiadając te słowa, odpiął wszystkie zaczepy napierśnika pancerza i zdjął go jednym ruchem ręki. Oczom Thomasa ukazał się umięśniony tors z wyćwiczonym brzuchem, całkowicie pokryty nieznanymi mu symbolami.

- Te tatuaże zostały wyryte na całym moim ciele, również na każdej jego kości. Są to ochronne inkantacje, spisane demoniczną krwią, które czynią mnie niewrażliwym na wpływ czartów i magię Czarnoksiężników z Kręgów Magów. Potężne glify sprawiają, że się nie starzeję, mój szkielet jest dziesięciokrotnie wytrzymalszy niż jakiegokolwiek człowieka, a krew krzepnie dostatecznie szybko, bym nie wykrwawił się nawet od poderżniętego gardła. Mam dość siły, by powalić rozpędzonego byka i refleks pięciokrotnie szybszy, niż pozwala na to ludzka biologia. Niewielu inkwizytorów decyduje się na taki rytuał. Z tych, którzy go przechodzą, przeżywa jeszcze mniej. Ja byłem pierwszą udaną próbą na siedemset osiemdziesiąt trzy nieudane - nie przerywając wypowiedzi, jednym ruchem, szybszym niż strzała z łuku, wyciągnął miecz. Thomas nie zarejestrował tego faktu, zobaczył jedynie ostrze przed swoją twarzą.



- Ten miecz został ochrzczony imieniem *Catherine*. Ostrze stworzono z tysiąca warstw potrójnie błogosławionej stali, która spadła z nieba. Schłodzono je w krwi niepokalanych niewiast, które same się zgłosiły do tego aktu pokuty. Na całej długości jest pokryte pismem tak małym, że dla

twojego nieulepszzonego oka niewidocznym. Wersety głoszą śmierć zdrajcom i zagładę wszelkim plugawym bytom. Później ów metal zaklęto, by utrzymać go pomiędzy dwoma wymiarami, naszym i Piekłem. Dzięki temu można było na niego nanieść wszystkie litanie i fragmenty wyciągnięte ze świętych ksiąg i zwojów. Nie zamazano żadnej z milionów liter. Pracowały nad nim trzy pokolenia kowali - z prędkością błyskawicy miecz wrócił na plecy, a w dłoni znalazł się rewolwer.

Oczom skazanego ukazała się broń z nieziemsko lśniącego srebra, wręcz świecącego własnym blaskiem. Inkwizytor pstryknął opancerzonymi palcami. Przedmiot objął złoty ogień, a na jego powierzchni ukazało się wiele szczegółowo wygrawerowanych mozaik.

- Nosi imię *Victoire*, a legenda głosi, że został wykonany tuż po Dniu Kary. Ma wielkość pospolitego obrzyna, ale jak widzisz, cały został pokryty mozaikami z życia przepięknej niewiasty. Rozmiar broni ma znaczenie, gdy mówimy o amunicji - Inkwizytor wyjął z bębena jeden nabój, który był istnym dziełem sztuki. - Pociski są wykonane z najczystszej srebra i mają diamentowe czubki. Na powierzchni każdego z nich wyryto zaklęcia i modlitwy, czyniące je praktycznie niezniszczalnymi i śmiertelnymi dla wszystkiego, co nieczyste. Konserwowane są w święconej wodzie, nad którą nieprzerwanie, dniami i nocami, modlą się od tysiącleci siostry zakonne ściśle tajnego ugrupowania. Same naboje robią głuchoniemi mistrzowie kowalstwa, a proces stworzenia jednej kuli pochłania całe ich życia - ponownie pstryknął palcami, a relikwia skryła prezentowaną historię. Wsadził *Victoire* do kabury i założył napierśnik. - Pomyśl jeszcze o tych wszystkich, którzy spędzają swoje żywoty na szukaniu materiałów i technologii, by móc to wszystko utrzymać w ciągłej produkcji. Może wtedy zrozumiesz, co to prawdziwe poświęcenie - powiedział i ruszył do wyjścia.

- Dlaczego mi to wszystko powiedziałeś? - zapytał Thomas.

Inkwizytor odwrócił się i spojrzał na niego ze smutkiem.

- Dlatego, że ignorancja jest grzechem, a usprawiedliwianie grzeszności jest pogłębianiem potępienia - kontynuował marsz. - Poza tym i tak jesteś już martwy - dodał zwyczajnym tonem, stojąc u progu wrót.

Thomas spojrzał przed siebie szeroko otwartymi oczami. Ostatnim widokiem były szpony Drzewa Zdrajców, które przeszły jego czaszkę. Wbiły się przez oczodoły, uśmiercając go na miejscu. Krzyk, który próbował wydobyć się z jego gardła, nigdy nie został wykrzyczany.

Na końcu korytarza, który był tak samo wejściem, jak i wyjściem z katakumb inkwizytorskiej bazy operacyjnej, czekała ubrana w lekką szatę kobieta. Kiedy odległość między nimi zmalała na tyle, by można było rozmawiać bez podnoszenia głosu, zadała pytanie.

- Czy przesłuchanie się udało, mój Panie?

Inkwizytor spojrzał na nią i ruchem ręki nakazał, by poszła za nim.

- Tak samo jak zawsze, Tamara. Na początku dumni i pyszni, ale każdego da się złamać.

Kobieta przekrzywiła usta w ledwo widocznym uśmiechu.

- Tak sądziłam, dlatego w hangarze czeka maszyna i Sulla jako pilot.

Lekko przekrzywił głowę i spojrzał na nią, a widząc jej minę drgnął mu policzek.

- To jest jakaś sekta, muszę się nią zająć. Dziękuję - powiedział.

Spojrzała w jego bezduszne oczy. Mimo że ją przerażały, to jednak doceniała wszystko, co Inkwizytor robił dla niej i innych w zamian za ich służbę i umiejętności.

- Żyję, by ci służyć, Witeldonie - ukłoniła się.

ROZDZIAŁ II



- KIM JESTEM?
- CZŁONKIEM INKWIZYCJI.
- CO JEST MOIM PRZEZNACZENIEM?
- WALCZYĆ ZE ZŁEM, NISZCZYĆ SPLUGAWIENIE I OSĄDZAĆ GRZESZNYCH.
- CO JEST MOIM OREŻEM?
- WIARA MĄ TARCZĄ, A UŚWIĘCONY CEL MIECZEM.
- CZYM JEST DLA MNIE WIARA?
- POCHODNIĄ NIESIONĄ PRZEZ NOC, KTÓRA ROZPRASZA MROK.
- CZYM JESTEM W OCZACH STWÓRCY?
- OSKARŻYCIELEM, SĘDZIĄ I KATEM.

FRAGMENT Z KSIĘGI POŚWIĘCENIA ZNAJDUJĄCEJ SIĘ W ZAKAZANEJ BIBLIOTECE.

W zasadzie każdy inkwizytor posiada placówkę operacyjną, która jest źródłem jego wpływów i mocy. Witeldon nie należał do wyjątków. Oddalona od ciekawskich oczu, wyryta głęboko u podnóża trudno dostępnej góry, idealnie ukryta, zawierała setki metrów tuneli i korytarzy, tworząc labirynt znany tylko jemu i jego sługom. Najwyżej położony był hangar, który mieścił największe osiągnięcia Inżynierów.

Członek Świętego Oficjum wolnym krokiem piął się w górę przez kolejne poziomy. Mijał liczne postacie, odziane w niebiesko-złote szaty. Jedne niosły broń, która trafiała do naprawy albo czyszczenia, drugie dźwigały strawę do kolejnych pomieszczeń i posterunków, a jeszcze inne, obciążone różnymi zwojami i pergaminami, szły w sobie tylko znanych kierunkach i próbowały niczego nie pogubić. Każdy człowiek, gdy tylko widział swojego Pana, kłaniał mu się i wracał do obowiązków.

Przechodził obok marmurowych ołtarzy, przy których zawsze ręce do modlitwy składała jakaś zbłąkana dusza. Mijał areny, gdzie jego jednostki

uderzeniowe ćwiczyły umiejętności walki wręcz. Przepięknie wykonane zdobienia, rzeźby i obrazy towarzyszyły mu do samego hangaru. Nie były to tylko zwykłe dekoracje. Każda z nich kryła miotacze ognia, wyrzutnie granatów i zatrutych strzałek. W przypadku ataku mogły zamienić wszystkie korytarze i pomieszczenia w prawdziwe strefy śmierci.

Po przejściu trzech tysięcy sześciuset siedemdziesięciu trzech metrów, które część jego wzmocnionego mózgu niezłomnie liczyła, doszedł do wrót wejściowych hangaru. Strzegło go czterech wybranych przez niego Mortusów. Żołnierze najlepsi z najlepszych, a każdy z inną przeszłością. Piechurzy z licznych armii monarchów z całego globu, Interwenci z miast-państw, najemnicy, a nawet recydywiści i pokutujący grzesznicy. Wszyscy oni zostali ponownie ukształtowani przez wiarę i dostali szansę przysłużenia się Stwórcy.

Niektórych przyciągnęła tu ambicja, innych poczucie obowiązku, a część nie miała wyboru. Każdy dostał kontrakt, który musiał podpisać krwią. Tracił wtedy prawo do swojego życia, którym teraz zarządzał Bóg, przemawiający przez Członka Świętego Oficjum. Dlatego nazwa ich jednostki wywodzi się od słowa *Mortuus*, pochodzącego z Czcigodnego Języka. Oznacza ono Zmarłego, ponieważ dla nich ziemski żywot się skończył. Pozostał tylko Stwórca.

Odziani w stalowo-wolframowe wzmocnione pancerze, uzbrojeni w karabin świetlny model *Cereus*, podstawowe wyposażenie oddziału, strzegli wejścia. Był to wynalazek inkwizycyjnych Inżynierów, produkowany tylko na potrzeby Oficjum. Broń wyjątkowa, generująca skoncentrowane światło, które z łatwością przepalało większość osobistych środków ochronnych, doszczętnie niszcząc żywe tkanki i kości trafionej ofiary. *Cereus* oznacza Świecę, gdyż za jego pomocą bogobojny człowiek może rozproszyc mroki grzechów.

Żołnierze zaszalutowali i zrobili miejsce, by Inkwizytor mógł przejść. Tytanowe wrota o grubości opasłej księgi otworzyły się. Zobaczył maszyny wraz z pilotami odzianymi w kombinezony z utwardzanej skóry. Zatrzymał się na platformie prowadzącej w dół hangaru.

- Niechaj Światłość nigdy nie zgaśnie, piloci - powiedział donośnym głosem, a zgromadzeni lotnicy stanęli na baczność i odpowiedzieli chórem.

- Tak samo jak ogień naszych dusz. Ona jest wieczna!

Schodząc do poziomu głównej płyty, Witeldon kontynuował przemowę.

- Każdy z was otrzymał przydział. Poderwijcie maszyny w niebo i wypatrujcie plugawej symboliki, zniszczonych obiektów czci i tym podobnych - rozkazał i spojrzął na młodzika z blizną biegnącą przez całą twarz. - Skaza, ty lecisz na Kompleks Świątynny. Tylko tym razem skup się na wszystkim oprócz pięknych kapłanek - lotnikowi zadygotały usta w nieudanej próbie zdławienia uśmiechu. - Magma, ty do dzielnicy biedoty. Szczególną uwagę zwróć na duże zgromadzenia idące w stronę niezamieszkałych budynków - potężna kobieta o długich, rudych włosach energicznie kiwnęła głową. - Cała reszta rutynowy patrol i pełne skanowanie przestrzenne. W razie gdyby cokolwiek było podejrzane, jednostki szturmowe czekają w gotowości na drugi przelot.

Z grupy dwunastu wytypowanych specjalistów wysunęła się w górę mała dłoń.

- A co ze mną, mój Panie?

Inkwizytor dobrze wiedział, kto pyta. Sulla Pax, niższa od niego o całą głowę, tak drobna, że wyglądała nienaturalnie. Wyróżniał ją przepiękny uśmiech, lśniące czarne włosy i to, że była jego najlepszym pilotem.

- Ty podrzucisz mnie do gubernatora Spero, a potem złożymy wizytę w Kuźni numer 41.

Spero, największe miasto na planecie, liczące ponad miliard mieszkańców. Masa ludzka stłoczona bardziej niż szczury, otoczona była iglicami budynków mieszkalnych. Każda konstrukcja, podzielona na poziomy i sektory, zapuszczała swoje betonowo-stalowe korzenie setki metrów w głąb ziemi. Wiele z nich sięgało chmur, tam mogli żyć tylko najbogatsi. Nieprzebrane rzesze ludzkie konały w nieskończonych labiryntach, mając nad głowami inne kondygnacje, z takimi samymi nędznikami. Spero skrywało w swoich murach większość Europy i skupiało uwagę całego globu.

Przypominając sobie słowa Thomasa, Inkwizytor przyznał w duchu, że kryło się w nich ziarenko prawdy. Wielu umierało z głodu, pragnienia i chorób, w ciągnącym się tysiące kilometrów labiryncie z betonu i stali, pracując dla tak niewielu, lecz właśnie takie jest życie. Same zera nie mogą świadczyć o wielkości liczby. O tym świadczy cyfra z przodu.

Sulla kiwnęła energicznie głową.

- Koliber gotowy, zapraszam na pokład - powiedziała i wskazała kierunek.

Ruchem dłoni nakazał pilotom start. Wszyscy doskoczyli do swoich maszyn.

Witeldon zajął miejsce tuż za Sullą. Pancierz bez problemu wpasował się w fotel. Aktywowała silniki i aparatury pokładowe. Koliber ożył. Nazwa maszyny pochodziła ze starożytnych ksiąg, opisujących faunę Ziemi przed Dniem Kary. Zwinny, nieduży myśliwiec uderzeniowy w kilka sekund osiągał maksymalną prędkość ponad tysiąca dwustu kilometrów na godzinę. Miał też inną wybitną cechę: mógł prawie natychmiast zatrzymać się w miejscu, nie zabijając siedzących w środku nagłym przeciążeniem. Małe skrzydła i zwarta konstrukcja z dłuższym dziobem upodabniały go do ptaka, po którym dziedziczył duszę. Podwójne działa szturmowe dwadzieścia milimetrów, wyrzutnie rakiet, którym Inżynierowie dali możliwość podążania za celami i bomby burząco-zapalające – to wszystko, połączone z doskonałą mobilnością, czyniło z niego asa przestworzy i maszynę do zabijania.

Sulla, lekko manewrując sterem, sprawiła, że ten cud technologii i aeronautyki wzniósł się w powietrze i zawisł pięć metrów nad podłogą hangaru. Przekręcił się o czterdzieści pięć stopni w prawo i skierował dziób prosto w światło otwartych wrót zewnętrznych.

- Pasy zapięte, mój Panie? – zapytała, zerkając w stronę Inkwizytora.
- Tak, tak – odparł i najciszej jak mógł wpiął zabezpieczenie do gniazda.
- No to lecimy.

Koliber wyfrunął z hangaru Sacrum, placówki operacyjnej Witeldona. Prędkość maksymalną osiągnęli w ledwie kilka sekund. Generowane przeciążenie było tak duże, że wgniotło ich w fotele. Gdyby nie zastosowane rozwiązania, każdy z pilotów natychmiast straciłby przytomność.

Nie zwalniając nawet na moment, Koliber piął się w górę. Wielu mogłoby się zastawiać, dlaczego specjalistka kieruje statek w stronę niebios, zamiast lecieć prosto do celu. Człowiek z Wyobraźnią zapytał kiedyś o to Sullę. Słońce od zawsze miało dla niej wielkie znaczenie. Przypominało jej o dawnym życiu w powietrznych karawanach. Życiu, zakończonym przez inwazję demonów. Nie mając nikogo ani niczego, co przetrwało tamtą rzeź, samotna kobieta o niezwykłych umiejętnościach postanowiła dołączyć do Oficjum. Sulla należała do nielicznego grona tych, którzy z dużą częstotliwością mogli chłonąć promienie tej wielkiej kuli gazu. Od niepamiętnych czasów Ziemia była zasnuta gęstymi chmurami, które

sprawiły, że królującą na niebie gwiazdę ludzie widzieli rzadziej niż prawdziwą żywność i nieskażoną wodę. Granica pomiędzy dniem i nocą była umowna.

Myśliwiec wynurzył się nad brudnymi obłokami. Pilotka wyłączyła wszystkie silniki, a maszyna, korzystając z rozpędu, jeszcze przez chwilę unosiła się w górę, by zawisnąć bezwładnie w powietrzu, w blasku słońca.

- Warto jest żyć choćby po to, by dostać szansę patrzenia na coś tak pięknego - powiedział Witeldon. Kierował swoje słowa do kobiety. Miała teraz wzrok dziecka, które przez szybę zerkna na sklepową wystawę z ulubionymi słodyczami.

- Oj tak, Panie - odpowiedziała po chwili. - Teraz jednak obowiązki! Przewidywany czas dotarcia do Pałacu Gubernatora Amadeusa, czterdzieści minut - dodała z determinacją.

- W drogę powrotną nie wyrobimy się przed zachodem słońca, ale na następny lot znów wezmę ciebie - powiedział Inkwizytor czując, jak Koliber nagle przyspiesza.

- Wasza dobroć nie zna granic, mój Panie - Sulla nie potrafiła ukryć radości w głosie.

- Drobiazg - skończyli rozmowę i Inkwizytor zaczął rozmyślać. *Muszę utrzymać motywację moich najlepszych sług i agentów na wysokim poziomie. To jest opłacalne. Zwłaszcza gdy minimalnym kosztem sam czerpię z ich szczęścia lekką przyjemność.*

Myśliwiec ciął przestworza w zawrotnym tempie, mijając zasnute pyłem i gruzem jałowe pustkowia. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś rosła tutaj bujna roślinność, pełna dzikich zwierząt. Jako członek Inkwizycji najwyższego kręgu miał dostęp do wszystkich archiwów, w tym legendarnej Zakazanej Biblioteki, w której mieściły się starożytne przekazy tego, co było, i co żyło na Ziemi przed Dniem Kary. Lasy z drzewami różnych gatunków i wielkości. Niektóre miały liście, inne malutkie igły. Były też rośliny składające się z samych gałęzi...

Czytanie takich reliktyw z przeszłej ery traktował jako miły dodatek do swojej egzystencji. Czerpał pozytywną energię z przyswajania nowych informacji, dlatego tak skrupulatnie gromadził dane o nowych zagrożeniach, które później z dokładnością chirurga eliminował. Pogrążony w ciszy, zakłócaney jedynie odgłosem lecącej maszyny, obserwował potężne i głębokie

rany w ziemi. Niektóre były większe od całych dzielnic mieszkalnych. Ludzie zwykli mawiać, że każdy, kto się do nich zbliży, skończy żywot w mękach.

To była prawda. Kto podszedł zbyt blisko do krawędzi kraterów, momentalnie padał na kolana, wymiotował, krwawił z każdego otworu w ciele i doznawał straszliwych oparzeń. I nawet gdy się takiego nieszczęśnika stamtąd zabrało, to już nie miał szans na przeżycie. Skóra i żyły topiły się, mięśnie rozkładały jeszcze na kościach, a gałki oczne gotowały. Niekiedy umierający tracił całą twarz, która schodziła z niego żywcem. Cierpienie było straszliwe, a agonia długa. Dotknięci złymi siłami z ran w ziemi, sami nieśli śmierć i zabijali tych, którzy podeszli za blisko. Nawet ich ubrania były zabójcze.

Mało było zjawisk, których ludzie bali się bardziej niż kraterów. Niewielu wiedziało, jaka siła ich zabija. Inkwizytor należał do tego grona. Wyjaśnili mu to kiedyś Inżynierowie. Ludzkie ciało i każda inna materia w naszym wymiarze składa się z małych elementów zwanych atomami. U człowieka powstają z nich komórki. Abyśmy mogli żyć, te maleńkie byty muszą być zdrowe i sprawne. Moc, która zieje z ran w ziemi, Inżynierowie nazywali promieniowaniem. *My go nie widzimy, ale ono nas przenika, niczym światło z karabinów Cereus. Niszczy nasze komórki i w końcu nas zabija. Potem my nim rezonujemy i zabijamy innych* – tłumaczyli mu.

Witeldon dowiedział się też, że promieniowanie nie występowało tak licznie na Ziemi przed Dniem Kary. Zastanawiał się czasami nad tym, jak wielkie grzechy musieli popełnić ludzie tamtych czasów, że tyle tysięcy lat później ludzkość wciąż ponosi karę. Wiele razy widział ostateczną herezję, przyzywanie demonów, składanie ofiar z ludzi, nawet z nowo narodzonych dzieci, które matki zjadały żywcem tylko po to, by ściągnąć uwagę złowrogich mocy. Sam setki razy walczył z plugawymi bytami z Piekła i z dalszych wymiarów. Jednak ciężko było pojąć, że pokuta może trwać wieczność, rzucić cywilizację na kolana, a planetę ogołocić z niemalże całego życia. Nie potrafił wyobrazić sobie grzechów wymagających takich środków. Szczerze wątpił w to, czy umiałyby zwalczać takie zło.

Koliber zbliżył się do murów Spero, zgrabnie nad nimi przelatując. Grube i ciągnące się na kilkaset metrów w górę, same z siebie były dystryktami mieszkalnymi. Gigantyczne bramy, do których otwarcia i zamknięcia potrzeba było tysięcy ludzkich rąk, budziły podziw każdego, kto zawitał kiedykolwiek do największej metropolii na planecie. Bezkresne pustkowia

od niepamiętnych tysiącleci były pod stałą obserwacją posągów wielkich świętych, inżynierów, wykazujących się największym kunsztem, wybitnych generałów i innych osobistości, które swoimi talentami pomagały kształtować miasto. Figury wyryte w grubym betonie, systematycznie odnawiane, nieprzerwanie kontynuowały swoją wieczną wartość.

Najpierw jego oczom ukazały się dzielnice największej biedoty. Opuszczone przez Stwórcę slumsy ciągnęły się setkami kilometrów wzdłuż murów i dziesiątkami kilometrów w głąb miasta. Przerdzewiałe, przegniłe miejsca narodzin i śmierci niemych, zapomnianych przez historię ludzi. Urodzić się tutaj oznaczało, że już na starcie jest się przegranym. Bez mrugnięcia okiem zabijano tu bliźnich, by zabrać im jakiś chwast czy martwego szczura. Ludzie umierali, kryjąc się głęboko pod ziemią, w wykopanych tunelach, ruinach i w prowizorycznych barakach, na zapchlonych pryzkach.

Dalej, wydawać by się mogło, że w nieskończoność, biegły dzielnice mieszkalne. Każdej przysługiwał numer zapożyczony z języka starożytnych: I, II, III, IV i dalej. Potem dodawano zwykłą cyfrę od jednego do stu, opisującą blok mieszkalny. Warunki życia były ciężkie, a ludzie niewiele różnili się od biedoty ze slumsów. Najlepiej obrazowała to sytuacja, która zdarzyła się Witeldonowi trzysta lat temu, kiedy zarządca zawiadomił Interwentów o wizycie pewnego człowieka. Obcy twierdził, że jego matka para się czarną magią i przyzywa demony. Lokalne władze powiadomiły przełożonych, a ze względu na możliwość inkursji nieczystych bytów na miejsce przybył sam Inkwizytor. To, co tam zastał, nie napełniło jego serca świętą nienawiścią, lecz smutkiem.

Zobaczył schorowaną i niedożywioną staruszkę, których w Spero żyło więcej niż było gwiazd na niebie. Mieszkała w betonowym pokoju bez prądu, wody, przyrządów sanitarnych, na powierzchni czterech metrów kwadratowych. Cała klitka wyglądała jak po wojnie i śmierdziała bardziej niż rozkładające się ciało. Kobieta nie wiedziała, kim jest. On sam nigdy jej nie powiedział. Była zbyt niedołączna i wiekowa, by móc to zrozumieć. Nie wyczuł niczego nieczystego. Skropił ją uświęconą wodą, a na wyciągniętą dłoń położył pergamin z modlitwą. Nie dostrzegł żadnej reakcji. Gdyby było w niej jakiegokolwiek połączenie ze złem, zawyłaby z bólu. Udzielił staruszce błogosławieństwa i kiedy wychodził, usłyszał jak powiedziała, że przez chwilę poczuła, jakby znów był przy niej jej syn.

Myśląc nad innymi sposobami wykrycia potencjalnego splugawienia, jego wyostrzony poprzez rytuały słuch zarejestrował słowa człowieka, z którym rozmawiał na temat domniemanych okultyzmów staruszki. Usłyszał wtedy głos jej syna, chwającego się jakimś mężczyźnie tym, że lada moment tamten klecha spali ją na stosie i całe mieszkanie będzie jego, tylko jego. Zrozumiał, że zło nie było tam, gdzie go szukał. Zbliżył się do ogniska, przy którym tamten siedział i skrzył mu kark. Przerażonemu kompanowi zabitego powiedział, że teraz to on ma zadbać o staruszkę, a jeśli nie wywiąże się należycie ze swoich obowiązków, to po niego wróci i pokaże, co to cierpienie. Wiele lat później, ilekroć opisywał młodym akolitom ludzką naturę i grzeszność, wracał do tej historii. Uświadamiał im, że Piekło i demony stworzyli oni sami.

Pogrążony w swoich myślach nie zauważył, jak Koliber mija gigantyczne, żelazne Fabrykoria Inżynierów, w których niewolniczą pracę wykonywała ludność miasta. W zakładach produkcyjnych, ciągnących się kilometrami wzdłuż i wszerz, strzeżonych przez Armatusów, ubezwłasnowolnionych i ulepszonych mechanicznie ludzi, wytwarzano wszystko. Od zwykłych stalowych prętów i łyżek, po zaawansowane instrumentory bojowe. Roboty budzące strach i szacunek, przeznaczone dla Korpusów Inżynieryjnych.

Myśliwiec wleciał do dzielnic świątynnych, gdzie sceneria była odmienna. Wokół widać było piękny marmur, przekładany na zmianę ze złotymi posągami świętych. Na ścianach świątyn wyrzeźbiono epizody z życia Stwórcy, zaczerpnięte ze starożytnych ksiąg. Miejsca czci napełniały serce Inkwizytora wiarą i spokojem. W dole miliony pielgrzymów przypominających mrówki szły oddać cześć i unieść ręce w akcie modlitwy. Właśnie tu zarejestrowano działalność tropionej przez niego sekty.

Lecąc z minimalną prędkością i z gracją zawodowej tancerki, Koliber wił się i mijał przepelnione bogactwem siedziby eklezjastów kościoła Stwórcy. W końcu ich oczom ukazał się pałac gubernatora Amadeusa Graviusa, władcy Spero, miasta miliarda dusz.

Największa budowla stała w sercu całej infrastruktury i robiła kolosalne wrażenie. Wysoki i długi na kilka kilometrów pałac wykonano z najdroższych surowców. Bogato zdobiony złotem i platyną, lśnił od przepychu i rozpusty. W głównej części mieściły się trzy wieże. Spiczasta, udekorowana kryształami, z budynkami zawieszonymi w powietrzu za pomocą potężnych zaklęć, należała do Kręgu Magów, którzy siłą woli potrafili kształtować

rzeczywistość dla własnych potrzeb. Wielka moc rodzi wielką odpowiedzialność, dlatego to właśnie ich na główny cel wybrały demony. Umysły otwarte na energię z różnych wymiarów były niczym drogowskazy dla nieczystych bytów. Inkwizytor nieraz walczył z apostatami i skażonymi magami, dokonywał egzekucji na niesankcjonowanych czarownikach i wiedźmach.

Po przeciwnej stronie centralnego gmachu stała ciężka, ale znacznie niższa konstrukcja, wykonana z ociosanego kamienia. Były to kwatery Interwentów, służb porządkowych miasta. Solidnie wyposażeni i uzbrojeni w przyzwoitą broń, radzili sobie z każdym powstaniem głodnej ludności i wewnętrznym zagrożeniem. Oczywiście nie licząc tego, co nadnaturalne albo demoniczne.

Pośrodku, otoczone pięknymi, ciągnącymi się przez setki pięter ogrodami i placami, znajdowało się centrum administracji i rachunkowości Spero oraz rezydencja Amadeusa. To właśnie tam kierował się inkwizycyjny Koliber.

- Ile odczytów z wieżyczek obronnych? - zapytał Sulla tonem tak zwyczajnym, jakby sprawdzał pogodę.

- Czterysta dwadzieścia siedem nas namierzyło. Liczba ciągle rośnie - odpowiedziała ze spokojem.

Lot bez zapowiedzi do Pałacu Gubernatora był samobójstwem, lecz Inkwizycja rzadko kiedy puka do drzwi, zanim przekroczy próg. Członek Świętego Oficjum otworzył małą konsolę w pancerzu i magiczny pył, połączony z technologią Inżynierów, ułożył się przed nim w wyświetlacz. Pojawiła się ostrzegawcza runa, która nakazywała podanie celu lotu pod groźbą natychmiastowej anihilacji. *Anihilacja. Takie dźwięczne słowo - pomyślał mężczyzna.*

- Sześćset dziewięćdziesiąt trzy odczyty - zakomunikowała bez emocji Sulla.

Zwykle powód wizyty zawarty jest w dokumencie liczącym setki stron, z barwnymi polemikami i naklejonymi na nim pieczęciami. Człowiek z Wyobraźnią za pomocą run wygrawerowanych na konsoli napisał jedno słowo: **Inkwizycja.**

- Dziewięćset potwierdzonych oznaczeń, mój Panie.

- Masz rację Sulla, wystarczy im tej rozgrzewki - powiedział z przekąsem i wysłał wiadomość do Naczelnika Interwentów.

Minęło siedem uderzeń serca i liczba odczytów zaczęła lawinowo spadać, aż w końcu stopniała do zera. W kokpicie myśliwca pojawił się niemiły dla ucha pisk.

- Odbieram transmisję od Naczelnika Kadmuta - zameldowała Sulla.

Na twarzy Witeldona pojawił się grymas lekkiego zirytowania.

- Łącz, przecież trzeba mu wyjaśnić, by nie polerował swojej elektrycznej pałki, ani nie ustawiał trepów w szereg.

Pilotka uśmiechnęła się. Wiedziała, że Inkwizytor nie darzy sympatią Naczelnika Interwentów. *Z całkowitą wzajemnością zresztą* - dodała w myślach.

- Otwieram łącze - potwierdziła.

- Cyrk do nas przyleciał - parsknął.

Pył przed Witeldonem zaczął formować się w miniaturową sylwetkę mężczyzny, przypominającego z wyglądu generała. Siwiejące włosy, przystrzyżone w charakterystyczny żołnierski sposób, były jedynie dodatkiem dla potężnych i krzaczastych wąsów, którym bez wątpienia poświęcał dużo uwagi. Twarz obszyta setkami malutkich zmarszczek, formujących się zwłaszcza wokół oczu, była książkowym przykładem kogoś, kto osiągnął kres skuteczności odmładzających specyfików.

Inkwizytor znał Kadmuta Podra wiele lat. Liczne zabiegi i magiczne ekstrakty pozwoliły dowódcy Interwentów przeżyć już trzysta sześćdziesiąt lat, lecz gołym okiem było widać, że do końca zostało mu mniej niż więcej. Znacznie mniej. Mężczyzna ubrany był w toporny, prymitywny, ale za to bardzo wytrzymały tytanowo-skórzany pancerz.

- Słyszałem ostatnie zdanie, Inkwizytorze - awatar odchrząknął. Głos miał zachrypnięty od wykrzykiwania rozkazów, jednak wciąż stanowczy i donośny.

- Wiem - odpowiedział, zachowując stalowy wyraz twarzy.

Jeśli Naczelnik był rozwścieczony brakiem szacunku, to nie dał tego po sobie poznać.

- Obstawiam, że przybywasz złożyć wizytę naszemu wspaniałemu Gubernatorowi Amadeusowi, dlatego oddelegowałem do twojej dyspozycji lądowisko P-91. Pan i władca Spero został już poinformowany o twoim przybyciu i czeka w gabinecie - recytował Kadmut, z lekko wyczuwalnym jadem.

Inkwizytor wyciągnął przed siebie opancerzoną dłoń i niedbałym tonem zaczął wyliczankę.

- Po pierwsze, powinieneś pracować jako wieszcz, gdyż marnujesz się w tym pancerzu. Po drugie, ciekawi mnie, co przewiniłeś, że mówisz o Graviusie w takich superlatywach. Po trzecie i ostatnie, nie będziesz mówił członkowi Inkwizycji, gdzie ma lądować i co ma robić. Lecę na jego prywatne lądowisko. Na zewnątrz jest wietrznie, a ja nie chcę się przeziębic - ostatnie zdanie Witeldon powiedział z nieukrywaną kpina w głosie.

W tym czasie Sulla doleciała na lądowisko, o którym wspomniał Inkwizytor i przystąpiła do posadzenia Kolibra. Kadmut zachował stoicki spokój, lecz nawet na pyłowej projekcji było widać ogień w jego oczach.

- Gdzież bym śmiał, Inkwizytorze, ja tylko służę radą i pomocą - odpowiedział i spojrział w bok. Lekko parsknął i przemówił ponownie.

- Mógłby szanowny Pan nauczyć pilotów latać. Według moich czujników myśliwiec wystaje z zachodniej części miejsca przeznaczonego do lądowania o jedenaście centymetrów - stary Interwent uśmiechał się.

Witeldon nie krył już irytacji.

- Wyjaśnisz mi, o co ci chodzi?

- Jedenaście centymetrów to jedenaście centymetrów - wycedził Kadmut, uderzając pięścią w otwartą dłoń.

- Pewnie to samo mówiła twoja żona, gdy się rozwodziliście - rzucił i zakończył połączenie. Zobaczył jeszcze rozmywający się obraz Naczelnika, który unosił ręce. Bez wątpienia zamierzał głosić Słowo Boże.

Odpiął pasy bezpieczeństwa i chciał rozkazać Sulli, żeby otworzyła kokpit. Zauważył, że wyciera łzy.

- Płaczesz? - zapytał zdziwiony.

- To dlatego, że nie chciałam przeszkadzać i powstrzymywałam śmiech - odpowiedziała, szeroko się uśmiechając.

- Rozumiem - sam nie dostrzegął w tym ciętym komentarzu niczego, co mogłoby wzbudzić takie emocje. *Cóż, młodzi zawsze widzą świat inaczej, w cieplejszych barwach* - pomyślał.

Zgrabnym i wyćwiczonym ruchem, który pomimo zbroi nie był pozbawiony gracji i wigoru, wyskoczył z Kolibra. Kiedy metalowe buty uderzyły o kamienne podłoże gubernatorskiego pałacu, rozległ się głośny

huk. Mostem, obsadzonym licznymi gargulcami, poszedł w stronę głównego dziedzińca.

- Nie oddalaj się od myśliwca i zachowaj czujność. To nie potrwa długo - rzucił w stronę pilotki, nie odwracając się.

- Tak jest, mój Panie - usłyszał za plecami.

Znalazł się w świecie barwnych ogrodów, bujnych latorośli i pięknych kwiatów, mieniących się w każdym znanym mu kolorze. Wszystko było nawadniane dzięki systemowi miniaturowych kanalików i fontann, którymi cały czas pompowano czystą wodę. Na usta cisnęło się pytanie, jak to jest możliwe, że tutaj wszystko żyje, kiedy dookoła są niemal jałowe pustkowia i zasnute od tysięcy lat niebo? Otóż magowie z miasta, wiele mileniów temu, rozpostarli nad całą gubernatorską wieżą zaklęcia, chroniące roślinność i budowle przed kwaśnym deszczem. Dzięki temu, pomimo braku słońca, flora mogła się tutaj rozwijać.

Główny dziedziniec tętnił życiem. Setki ubranych w złote szaty adeptów z różnych urzędów chodziło wzdłuż i wszerz, roznosząc dokumenty, bądź kierowało się w stronę biur, mieszczących się w pięknych kamienicach atrium. Niektórzy z nich, uformowani w małe grupki, stali pośród zdobionych kolumn i rozmawiali. Wielu skierowało wzrok na Inkwizytora, który nic sobie z tego nie robił. Każdy, na kogo spojrzał, unikał nawiązania kontaktu. *Strach jest twoją pierwszą bronią. Przerażona ofiara to łatwy cel* - przypomniał sobie słowa swojego mistrza z czasów, gdy sam był młodym sciscitorem.

Wspiął się po dwudziestu stopniach schodów. Ujrzał powitalny napis, wygrawerowany nad potężnymi, tytanowymi wrotami: *Ora et labora*, co w języku starożytnych znaczyło: Módl się i pracuj.

Dwóch pałacowych gwardzistów pełniło wartę przed wejściem. Gdy spostrzegli idącą ku nim postać, z dużym, rzucającym się w oczy rewolwerem w kaburze u pasa i mieczem na plecach, przeładowali swoje karabiny iglicowe i czekali w gotowości. Widząc przekrzywioną wagę na jego pancerzu, natychmiast opuścił broń.

- Otwieraj wrota, to Inkwizytor, Gubernator się go spodziewa - rozkazał dowódca warty.

Żołnierz skinął głową i nacisnął pozłacaną podobiznę orła. Otwierając bramę, cały czas nerwowo spoglądał na zbliżającego się członka Świętego

Oficjum. Wrota z lekkim skrzypieniem rozsunęły się na boki. Witeldon minął obu uzbrojonych mężczyzn, a gdy tylko wszedł do środka, przejście zamknięto.

Otaczały go teraz piękne kolumny pokryte platyną i owinięte bluszczem wykonanym ze złota. Na wysokim suficie wisały kryształowe żyrandole zasilane prawdziwą energią elektryczną, tak rzadko spotykaną w dzisiejszych czasach. Na ścianach zawieszono barwne obrazy przedstawiające gubernatorów, którzy rządili Spero przed Amadeusem. Było ich stu osiemdziesięciu siedmiu, z czego na sześciu Witeldon, podczas swojego długiego życia i inkwizytorskiej służby, sam dokonał egzekucji za popełnione przez nich grzechy.

Gabinet Gubernatora kipiał bogactwem, począwszy od podłogi wypolerowanej tak, że można było zobaczyć swoje odbicie, a kończąc na sklepieniu z zapierającymi dech w piersiach malowidłami, ukazującymi najbardziej wzniosłe chwile aglomeracji.

Właściciel tych cudów był jednocześnie cesarzem całej metropolii. Człowiek, o którym mówiło się, że na stanowisko wybrał go sam Stwórca, Pan i władca największego i najpotężniejszego miasta na planecie, siedział za wielkim biurkiem, wykonanym z najprawdziwszego drewna. Stały na nim gustowna lampa ze świecącą żarówką i, jako dekoracja, dwa kamienne orły, trzymające pieczę nad tym miejscem.

Amadeus Gravius był mikrej postury, lecz odznaczał się przedsiębiorczym umysłem. Idealnie pasowało do niego starożytne powiedzenie, że *nie należy oceniać książki po okładce*. W tym przypadku jednak właśnie ta okładka była intrygująca. Po twarzy odmładzanej różnymi chemikaliami trudno było dostrzec, że ma lekko ponad sto lat. Ogolony na gładko i z przyjaznymi rysami, przypominał chutliwego młodzieńca, który nie jest pewien, którą pannę tym razem zechce na noc. Lekko szpiczasty nos w parze z małymi, wąskimi ustami i minimalnie wysuniętym podbródkiem, dodawały mu cwaniackiego uroku. Uwagę przyciągały oczy z tęczęwkami w kolorze jasnego brązu, przez co jego spojrzenie przywodziło na myśl bursztyny. Długie rude włosy, opadające na ramiona, nadawały mężczyźnie nutę magicznej aury, a jego strój podkreślał nietuzinkowość osoby. Ubrany był w długi, czerwony płaszcz wykonany z mocnego materiału, z licznymi, jak przy sutannie, srebrnymi guzikami w kształcie czaszek. Dzięki otwartej

konstrukcji biurka widać było, że nosi skórzane spodnie w kolorze krwistej czerwieni i bordowe oficerki.

Witeldon zastał go w środku pracy. Pan Spero kończył coś pisać i trzymał długie pióro. Odłożył kartkę grubego papieru, a pióro włożył do kałamarza. Przeczesał dłonią bujne włosy, wychylił głowę znad stert papierzysk i spojrzał przed siebie. Na widok gościa uśmiechnął się.

- Czekałem na ciebie, Łowco - tak właśnie Amadeus nazywał członków Świętego Oficjum. Nazwa miała sens, ponieważ to właśnie oni tropili wszelkie plugastwo. Jednak prawdziwi myśliwi polowali dla pożywienia albo sportu. Inkwizycja szukała ofiary, by ją unicestwić.

Wstał, wyszedł przed biurko i oparł się o nie.

- Posłać po strawę, wino czy kobiety? - zapytał, wyraźnie akcentując każde słowo. Złożył przy tym ręce, jakby miał zaraz klasnąć. Wtedy wszystko co wymienił, z pewnością w mig pojawiłoby się w jego gabinecie.

Inkwizytor zatrzymał się trzy kroki od Gubernatora. Protokół nakazywał pokłonić się, jednak ludzie noszący symbol wagi przed nikim nie zginają karku i kolan, a już na pewno nie Witeldon.

- Moje kontakty doniosły, że chciałeś ze mną rozmawiać - powiedział beznamiętnym tonem.

Amadeus kiwnął energicznie głową, nie tracąc uśmiechu.

- Twoje kontakty się nie mylą- zrobił teatralną pauzę, po czym kontynuował. - Otóż potrzebuję się dowiedzieć z pierwszej ręki, czy ktokolwiek bądź cokolwiek, czego szukałeś, było warte spalenia całego bloku mieszkalnego wraz z pięćdziesięcioma tysiącami jego mieszkańców? - lekko parsknął i przemówił ponownie. - Ba, żeby tylko! Ogień rozprzestrzenił się na sąsiednie sektory, zanim został opanowany - rozłożył bezradnie ręce. - Było warto?

Witeldon ukrył poirytowanie. Od początku uważał, że nie został wezwany w sprawie dla niego ważnej, jak choćby opętanie jakiegoś wysokiego rangą kapłana czy nagłe szaleństwo części szlachty. Stawił się, by wysłuchiwać morałów i słabości.

- Nie muszę ci się z niczego spowiadać ani o niczym mówić - zagrzmiął donośnym głosem. - Powinienem odwrócić się i wyjść, żeby nie marnować czasu - dokończył i położył rękę na kaburze z *Victoire*.

Amadeus uniósł ręce w przeproszającym geście.

- Nie zrozum mnie źle. Nigdy nie wątpiłem w twój osąd, ale znam cię nie od wczoraj - jego oczy przybrały pytający wyraz. - Nawet jak na ciebie było to radykalne przedsięwzięcie.

- Lepiej, by tysiąc niewinnych poniosło śmierć w oczyszczającym ogniu bożej kary, niż jeden klękał przed Szatanem - Inkwizytor bez wahania wyrecytował fragment z Księgi Sądu.

Gubernator uśmiechnął się krzywo.

- Cóż, to bez wątpienia dobra forma zabezpieczenia w jakieś pokręconej logice, prawda? - zapytał, po czym ruszył przed siebie.

Człowiek z Wyobraźnią nie spuszczał z niego wzroku.

- Ta pokręcona logika to księgi, mające wiele tysięcy lat, które zawierają całą prawdę o ludzkiej naturze, o tym, z czym walczą tacy jak ja, i o tym, co trzeba robić, aby ludzkość była wolna od zła - wypunktował stanowczym tonem.

Amadeus odwrócił się w kierunku Inkwizytora.

- Czy mógłbym ci coś pokazać? - zapytał.

- Oczywiście, nie mam przecież nic pilnego do zrobienia - przewrócił oczami, odpowiadając z odrobiną irytacji i wielką ironią w głosie.

- W takim razie za mną! - krzyknął władca Spero. Wyszczерzył się promieniście i machnąwszy ręką kontynuował marsz. Tym razem z większą werwą.

Inkwizytor ruszył za nim, powstrzymując się od skręcenia mu karku. Przeszli do bocznej części budowli. Mężczyzna odziany w czerwony płaszcz zaczął piąć się w górę po schodach, prowadzących na dach biura. Witeldon podążał za nim w milczeniu.

Dość szybko znaleźli się w najwyższym punkcie miasta. Inkwizytorskim oczom ukazała się najprawdziwsza winna latorośl, która występuje tylko w trzech miejscach na świecie. To było jednym z nich. Złote fontanny przedstawiały anioły trzymające wazy z lejącą się wodą.

Podeszli do marmurowej balustrady, za którą, w blasku chwały, rozciągało się Spero. Ogrom miasta przysłaniał horyzont z każdej strony. Inkwizytor oparł opancerzone dłonie na kamiennym zabezpieczeniu i długo wpatrywał się w ten widok.

- Dlaczego chciałeś mi to pokazać? Mapę miasta znam na pamięć - zapytał.



Amadeus nie odpowiedział od razu. Zerwał jedno winogrono i obracał w palcach.

- To jest owoc - powiedział takim głosem, jakby odkrył ruiny zaginionej cywilizacji. Był przejęty, poważny i skupiony. - Ja, podobnie jak i ty, mogę

jeść je codziennie – dopowiedział i zjadł grono. Długo przeżuwał, delektując się smakiem, choć przecież każdego dnia raczył się o wiele lepszym pokarmem. – Ci, którzy mogą tego skosztować, to zaledwie krople w morzu dusz – podszedł do balustrady i wyciągnął rękę w dół. – Oni wszyscy tam, poza paroma najbogatszymi szlachcicami i kapłanami, znają takie dobra tylko z legend. Gubernator palcem wskazał na elektryczną latarnię obok Witeldona. – Popatrz, to prawdziwa elektryczność. Daje światło i moc niezależnie od pogody czy pory dnia. Miliardy istnień nigdy tego nie zobaczą. Nie doznają nigdy tego, co udało się nam przywrócić, odbudować i odnaleźć – mówiąc to, spojrzął na Inkwizytora.

– Nie chcę ci psuć przemowy, bo jest naprawdę piękna, lecz oni wszyscy tam na dole mają gorsze problemy niż brak możliwości doświadczenia czegoś takiego jak świecąca żarówka – westchnął. – Każdego dnia umierają ich dziesiątki tysięcy. Wykańczają ich choroby, zbrodnie, niewolnicza praca, czystki przeprowadzane przez takich jak ja i naloty twoich Interwentów. Sam dobrze wiesz, że taki właśnie jest ich los. Na zewnątrz nie przeżyją chwili, a tutaj i tak umrą.

Para ciemnobrązowych, prawie czarnych oczu spotkała się z bursztynowymi.

– Tragiczne to czasy – wtrącił Amadeus.

– To czasy pokuty – mówił dalej Inkwizytor. – Każdy jest równy w oczach Stwórcy. Musi pracować i poświęcać się, aby cywilizacja mogła trwać, a ci, którzy odchodzą od światła i osuwają się w ciemność, muszą ponieść karę – jego twarz wyglądała, jakby połknął coś gorzkiego.

Rudowłosa mężczyzna pokiwał głową.

– Jestem pewien, że gdyby nie tacy jak ty, nasze własne koszmary poderżnęłyby nam gardła. Zapytam jeszcze raz, dlaczego musi ginąć tylu niewinnych, choć domyślam się, że śmierć skraca ich mękę na Ziemi?

– Nie ma ludzi niewinnych, są tylko niedokładnie przesłuchani – Witeldon znowu zacytował słowa z Księgi Sądu i raz jeszcze spojrzął na rozciągający się przed nim bezkres miasta. – Mrok czai się nawet w najczystszej duszy, Amadeusie, a po śmierci jesteśmy osądzeni za zło, jakie wyrządziliśmy za życia. Bez wątplenia dobrze o tobie świadczy to, że dostrzegasz problemy ludności. Problemy twoich poddanych. Lecz nie jesteś zbawcą świata. Wszystko co zrobisz, ludzie i tak zapomną, zniweczą albo w ogóle nie będzie

ich to obchodziło. Jesteś jednym z wielu, którzy chcą dobrze, lecz świat chce inaczej i na to wpływu nie masz. Świat za to ma wpływ na ciebie.

Pan Spero długo trawił wypowiedziane słowa.

- Mam wrażenie, że ostatnie cztery zdania to nie twoje słowa - powiedział, spoglądając na Witeldona.

- Masz rację, nie ja je wymyśliłem i nie powiedziałem ich pierwszy - przytaknął.

Rudowłosego wyraźnie zaciekawiło to wyznanie.

- Smutne, acz bardzo prawdziwe. W takim razie czyje one są, jeśli mogę spytać?

- Ten człowiek nie żyje od bardzo dawna. Kiedyś był mi bardzo pomocny - Witeldon westchnął.

- Niezniszczalność jednak ma swoje wady - Amadeus uśmiechnął się, choć nie był to szczęśliwy uśmiech.

- Jestem nieśmiertelny, nie niezniszczalny. Lecz prawdą jest, że do pewnego stopnia są to słowa wymienne.

Nagle wszystkie latarnie na szczycie pałacu na chwilę przygasły. Nie uszło to uwadze zamyślonemu Łowcy.

- Skok napięcia? - zapytał. Jego ubrany na czerwono rozmówca wyraźnie pobladł.

- Generatory mogą mieć jakieś problemy, za chwilę poślę po inżyniera - Amadeus próbował ukryć niepewność.

Inkwizytor pokiwał głową i wcisnął runę na konsoli, którą otworzył w ramieniu pancerza.

- Kończąc tą dyskusję, chciałem powiedzieć ci raz, a wyraźnie, że incydent w Dzielnicy XV-11 to sprawa Inkwizycji i każdy, kto będzie się w to mieszał, poniesie śmierć albo spotka go znacznie gorszy los - kontynuował.

W oddali dał się słyszeć ryk silnika.

- Masz moje słowo, że nie kiwnę palcem, by cokolwiek zrobić w tym zakresie.

Ryk silnika stawał się coraz głośniejszy. Witeldon pokiwał przecząco głową.

- Słowa nic nie znaczą, liczą się czyny.

Ryk silnika był już wszechobecny. Gubernator rozglądał się gorączkowo, próbując namierzyć źródło hałasu.

- Pamiętaj o tym, co ci powiedziałem - Inkwizytor z gracją i bez ostrzeżenia przeskoczył nad balustradą.

Amadeus stał chwilę kompletnie zmieszany i zaskoczony. Wychylił się, chcąc zobaczyć spadającego samobójcę. Inkwizytorski Koliber, jakby znikąd, wystrzelił gwałtownie przed nim. Maszyna zawisała idealnie w powietrzu. Na niej stał Człowiek z Wyobraźnią. Przyglądali się sobie. Po chwili kokpit myśliwca otworzył się, Witeldon wszedł do środka i usiadł na fotelu pasażera. Pilotka zamknęła drzwi i dodała silnikom mocy. Koliber szybko zniknął na nocnym niebie.

Pan Spero został sam na szczycie swojego pałacu, z włosami rozwichrzonymi od podmuchu turbin. Tylko jedno wypełniało jego głowę: *Słowa nic nie znaczą, liczą się czyny*. Dlaczego miał wrażenie, że to zdanie Inkwizytor również usłyszał wcześniej, i to od tego samego człowieka?

- Cel Kuźnia numer 41, Panie? - zapytała Witeldona Sulla.

- Zgadza się - odparł zamyślony mężczyzna.

ROZDZIAŁ III



CZYM SĄ DEMONY? ZWYKŁO SIĘ MAWIĄĆ, ŻE TO UCIELEŚNIENIE SZALEŃSTWA I MANIFESTACJA LUDZKICH KOSZMARÓW. PLUGAWY BYTY, KTÓRE POTRAFIĄ TYLKO NISZCZYĆ I WYPACZAĆ WSZYSTKO CO DOBRE. ZJADAJĄC LUDZKIE CIAŁO, POŻERAJĄ RÓWNIEŻ DUSZE. WSZYSTKIE TE SŁOWA SĄ JAK NAJBARDZIEJ PRAWDZIWE, LECZ NIE CZYNIĄ ONE OBRAZU KOMPLETNYM. DEMONY TO ODZWIERCIEDLENIE LUDZKICH EMOCJI. JEDNAK TYLKO NEGATYWNYCH. ICH BUDULCEM SĄ ZŁOŚĆ, ZAZDROŚĆ, POGARDA, ZAWIŚĆ, CHCIWOŚĆ, GORYCZ, NIENAWIŚĆ, NIEKONTROLOWANA ŻĄDZA I INNE PODOBNE.

KAŻDEGO DNIA LUDZIE SWOIMI DZIAŁANAMI RODZĄ NIEŚWIADOMIE KOLEJNE PIEKIELNE ZASTĘPY, A JUŻ NARODZONE PLUGAWY BYTY IDĄ W STRONĘ ŹRÓDEŁ ZŁEJ ENERGII, JAK CIECZKA DO ŚWIATŁA. TO CZŁOWIEK ODPOWIADA ZA ZŁO ŚWIATA. TO ON SPROWADZA KAŻDEGO DNIA PIEKŁO NA ZIEMIĘ. TAKA JEST LUDZKA NATURA I NAWET WTEDY, GDY GROŹBA PRZYBYCIA DEMONA ODCIĄGA BOJAŹLIWYCH OD ZŁYCH CZYNÓW, KAPŁANI SWOIMI NAUKAMI CHRONIĄ DUSZE, A INKWIZYCJA WALCZY ZE ZŁEM, KTÓRE ZNALAZŁO SIĘ WŚRÓD LUDZI, TO I TAK NIC NIE JEST W STANIE OCHRONIĆ NAS PRZED NAMI SAMYMI...

FRAGMENT Z NAUK LEGENDARNEGO INKWIZYTORA
VLADIMIRA ARISTOVA.

Czasomierz pokazywał godzinę 23.47. Idealna pora na szpiegowanie. Koliber leciał wysoko nad miastem. Nagle zaczął gwałtownie spadać. Wpadł w labirynt gigantycznych inżynierskich fabrykoryów. Tysiące dymiących potężnych kominów, morza płynnego metalu i ciągnące się setkami kilometrów linie produkcyjne robiły wrażenie. Efekt geniuszu Inżynierów. Technologie z czasów przed Dniem Kary, te nowo odkryte, a także pokolenia niewolniczej pracy milionów bezimiennych ludzi były jedynie narzędziami w ich rękach.

Krew męczenników jest budulcem każdego imperium - pomyślał Inkwizytor. Gigantyczne fabryki rosły wraz z miastem i w końcu ich

właściciele dostali we władanie jego fragment. Duży fragment. Było to nieuniknione z prostej przyczyny.

Inżynierowie są niezbędni do funkcjonowania metropolii, ponieważ produkują maszyny, narzędzia i niemal każdą zaawansowaną broń. To ich cybernetyczne sługi przyspieszyły ewolucję aglomeracji. To ich specyfiki i chemiczne suplementy odsuwają widmo śmierci na długie lata, a przecież każdy człowiek boi się końca. Dlatego zwłaszcza możni wymieniają olbrzymie fortuny na możliwość przedłużenia egzystencji na Ziemi albo modyfikacje własnego ciała. Niektóre praktyczne, jak wymiana wadliwych narządów. Inne - czysto estetyczne.

Sulla zręcznie manewrowała Kolibrem pomiędzy ogromnymi maszynieriami i metalowymi budowlami. Witeldon nie pytał, czy wyciszyła całą aparaturę myśliwca. Tego był pewien. Tak samo jak tego, że aktywowała urządzenia zakłócające. Wyprodukowane przez Inkwizycję, wymazywały maszynę ze wszystkich radarów i kamer, które napotkała. Ryk silnika i turbin też nie był problemem, ponieważ hałas tonął w kakofonii dźwięków panujących w Kuźni numer 41.

- Przeleć nad blankami wewnętrznymi - rozkazał.

- Tak jest, mój Panie.

Koliber gwałtownie skręcił i ich oczom ukazało się serce kompleksu - stacja dla statków powietrznych i pojazdów transportowych z wieloma dokami oraz ogromny dziedziniec, prowadzący do wnętrza sanktuarium Keora Xana. Inżyniera kierującego tym miejscem. Plac, zazwyczaj pełny Armatusów, instrumentorów i ludzi, teraz był opustoszały. Wyjątek stanowił wielki posąg, odlany z brązu, przedstawiający trzy zębate koła.

- Nikogo nie ma - zauważyła Sulla.

- Prawda. Schowaj się w tych kontenerach, a ja się rozejrzę. Masz natychmiast odlecieć, gdyby cokolwiek odkryło twoją obecność.

- Mam Pana zostawić? - zapytała zdezorientowana.

Witeldon uśmiechnął się.

- Poradzę sobie.

Czarnowłosa piękność spojrzała na mężczyznę.

- Nigdy w to nie wątpię, Inkwizytorze.

Trzymając się najbardziej zadymionych obszarów, myśliwiec wleciał między kontenery załadunkowe i idealnie wylądował na stacji towarowej.

Z otwierającego się kokpitu wydostało się ciche mruczenie. Ubrany w pancerz mężczyzna zręcznie zeskoczył ze statku.

- Panie, mogę zadać jedno pytanie? - nieśmiało zaczęła Sulla.

- Już to zrobiłaś - powiedział, zakładając kaptur na głowę.

Spuściła wzrok, policzki oblał rumieniec, lecz na ustach pojawił się lekki uśmiech.

- To w takim razie dwa.

- Pytaj śmiało - odpowiedział.

- Skoro zamierza się Pan skradać, to czy kolor zbroi nie będzie w tym przeszkadzał? - miała na myśli niebieski lakier pancerza, który nosił.

- Chcesz zobaczyć sztuczkę?

Czarnowłosa pokiwała głową i szerzej otworzyła oczy, by niczego nie przegapić. Witeldon uniósł dłoń i pstryknął palcami. Oboje usłyszeli lekkie kliknięcie, a po chwili powierzchnia zbroi zaczęła ciemnieć, aż stała się czarna, jak bezgwiezdna noc. Ze zdziwienia otworzyła usta.

- Jak Pan to zrobił?

Inkwizytor odwrócił się i ruszył w głąb kompleksu w poszukiwaniu odpowiedzi na nurtujące go pytania.

- Wystarczy wierzyć, a wszystko jest możliwe. Zachowaj czujność i pamiętaj wytyczne.

Wiara, tak samo zresztą jak i czarnoksiężstwo, może naginać rzeczywistość, lecz przy pomocy inżynierskiej technologii, połączonej z nasączonym magią pyłem, wszystko działa naprawdę spektakularnie - rozmyślał, idąc w kompletnej ciemności. Jego wzrok, ulepszony poprzez rytuały i magiczne runy na ciele, pozwalał doskonale widzieć w ciemności. Szedł aleją, pomiędzy kontenerami i ciężkimi żelaznymi skrzyniami, na których wymalowano białą farbą symbole trzech zębatach kół. Znak rozpoznawczy Inżynierów.

Prócz wzmocnionego ciała korzystał także z wielu nowinek technicznych. Najbardziej zaawansowaną było wzbogacenie gałek ocznych magicznym pyłem. Dzięki temu miał przed sobą wszystko, czego potrzebował - mapy, połączenia przychodzące do wbudowanego w jego głowę niewidocznego odbiornika, ciągłą analizę stanu zbroi, która złączona z jego ciałem licznymi portami sprawiała, że czuł, jakby była jego skórą, i wiele więcej możliwości, o których zwyczajni ludzie nawet nie śnili.

Kontynuując marsz, poświęcał część uwagi na aktywowanie wszystkich zagłuszaczy w pancerzu, technologicznych i magicznych. Dzięki temu miał pewność, że cokolwiek bądź ktokolwiek znajdujący się w Kuźni numer 41, nie zarejestruje jego obecności.

Przeszedł przez dziedziniec, trzymając się cienia i snując przy tym domysły, dlaczego nie ma strażników. W końcu dotarł do bocznych drzwi. Potężne stalowe wrota, wysokie na dwa i pół metra, a szerokie na dwa, przez które mogły przechodzić bojowe instrumentory, były zamknięte. Wejście możliwe było tylko dzięki zainstalowanej w ścianie konsolce. *Ewentualnie po wysadzeniu tego w cholerę* – przeszło mu przez myśl, lecz teraz to nie wchodziło w grę. Przybył tutaj po informacje, które chciał zdobyć cicho i niezauważenie. Potem, jeśli zajdzie taka potrzeba, wróci z mieczem w dłoni, ogniem w sercu i modlitwą na ustach.

Choć nie znał żadnego z kodów stosowanych przez Inżynierów, podszedł do panelu sterowania i otworzył własną konsolę, wbudowaną w ramię pancerza. Przyłożył ją jak najbliżej ściany i wyszeptał słowa aktywujące drugie urządzenie. Maszyny różniczkowe w jego zbroi rozpoczęły łamanie szyfrów. Naliczył trzydzieści siedem sekund, nim wrota zaczęły się otwierać.

Stalowy korytarz, wypełniony zimnym białym oświetleniem, był tak samo pusty jak dziedziniec. Myślami rozkazał aparaturze wbudowanej w pancerz przeskanować otoczenie. Na jego gałkach ocznych wyświetliły się informacje, z których wynikało, że teren jest czysty.

Zadziwiająca, naprawdę zadziwiająca – drwił w myślach. Rzadko zostawiano Kuźnię jedynie pod ochroną automatycznego systemu obrony i pasywnych zabezpieczeń. Działo się tak tylko wtedy, gdy Inżynier wyruszał na zewnątrz, ponieważ namierzył coś, co przykuło jego uwagę, albo szykował przejście konkurencyjnej placówki. To pierwsze mogło się czasem rzeczywiście zdarzyć, jednak druga opcja była praktycznie niemożliwa. Wojny pomiędzy Korpusami Inżynierów były wręcz legendarne. Kto jak kto, ale oni dokładnie wiedzieli, ile strat w surowcach i technologii przynosi konflikt. Zwłaszcza gdy korzyści są niepewne.

Serwerownia zawsze znajdowała się w kryptach, na niższych poziomach kompleksu i właśnie tam kierował się przedstawiciel Świętego Oficjum. Urządzenia zakłócające czyniły bezużytecznymi wszystkie czujniki i kamery, a ulepszony magicznie i technologicznie wzrok pozwalał mu wypatrzeć i w porę ominąć pułapki ukryte w podłodze.

Przechodził krętymi korytarzami surowej konstrukcji. Inżynierowie nigdy nie słynęli z artyzmu. Liczyły się przede wszystkim praktyczność i efektywność. Cenne materiały oszczędzali na tworzone przez siebie cuda.

Zbliżył się do wejścia, za którym piętra budynku szły w dół. Zaczął schodzić, a wrota zamknęły się z lekkim zgrzytem. Kierował się prosto do banków danych.

Pomieszczenie, w którym przetrzymywano wszystkie informacje na temat rozładunków, załadunków oraz nagrania z kamer i zapisy czujników, znajdowało się przed nim. Standardowe złamanie szyfru nie wchodziło w grę. Owszem, drzwi stanęłyby otworem, lecz włączyłby się alarm. Potrzebny był odczyt kodu genetycznego inżyniera Keora Xana. Wprowadzono go jako drugą linię obrony przed takimi nieproszonymi gośćmi, jak choćby członek Inkwizycji. Witeldon był na to przygotowany.

Siedemdziesiąt osiem lat temu udaremnił zamach na właściciela Kuźni numer 41, przygotowany przez jeden z nowo powstałych demonicznych kultów. Keor został wtedy ranny, co pozwoliło niepostrzeżenie zebrać próbki jego krwi. Dzięki temu ostatnia przeszkoda została pokonana.

Od razu przystąpił do pracy przy głównej maszynie różniczkowej. Złączył swój pancerz z urządzeniem i zaczął działać na konsoli. Jego oczy zalał potok informacji, lecz zaimplementowane wzmocnienia, wspomaganie i specjalne systemy skutecznie odrzucały bezużyteczne dane.

- Nie ma zapisów o żadnej zaginionej skrzyni z bronią - wyszeptał sam do siebie. Pliki, statystyki i raporty, nawet jeśli kodowane wcześniej, bez problemu ukazywały się jego oczom. - Lecz porównując ilość wyprodukowanej broni z pojemnością skrzyń, wychodzi na to, że z powodu zmian załadunkowych trzydzieści kufrów nie opuściło Kuźni.

Ciekawe, dlaczego... - zastanawiał się.

Dokonując analiz, porównań i obliczeń, jego ulepszony mózg w pół godziny odkrył w systemie wszystkie nieścisłości. Ktoś zadał sobie dużo trudu, by cały arsenał, który mieli dostać wybici przez niego ludzie, po prostu się rozpuł.

- A to, co ma znaczyć...?

Na środku monitora ukazał się obraz z kamer, które monitorowały kompleks. Jego uwagę przykuł zwłaszcza jeden z nich. Przedstawiał skrzynie odebrane miejskiej biedocie. Świadczyły o tym numery transportowe.

Przewijał nagranie do momentu, w którym akcja zaczęła nabierać tempa. Obok składowiska pojawiła się postać w czarnym kombinezonie. Pomimo kiepskiej jakości nagrania wiedział, że był to strój agenta Inkwizycji. Cienki materiał wytrzymywał trafienie z broni ostrej i energetycznej. Zapewniał przy tym doskonałą mobilność i świetny kamuflaż w nocnej scenerii.

Im dłużej przyglądał się tajemniczemu nieznanemu, tym bardziej nabierał przekonania, że to mężczyzna. Postać zaczęła kreślić dłonią w powietrzu symbole. Witeldon otworzył szeroko oczy i z niedowierzaniem patrzył na to, co przedstawiają runy, i co się zaraz stanie. Obraz z kamery rozmył się nagle, a gdy powrócił, zobaczył na nim otwarty portal do piekielnych czeluści. Wyszły z niego trzy osoby w takich samych kombinezonach, jaki nosił główny bohater nagrania. Znacznie gorsze było jednak to, co ukazało się potem. Z przejścia wyłonił się kolos odziany w czarny pancerz. Dwukrotnie wyższy od największego z ludzi, górował nad każdym posturą i potęgą. Wielka, okuta w zbroję sylwetka lśniła ogniem. Głowę wysłannika piekieł zdobił potężny hełm o podwójnych rogach, wykuty na podobiznę demonicznego pyska. Witeldon wiedział, czym jest ta plugawa istota.

Rozgoryczeni Mściciele, tak nazywały ich najstarsze zapisy z Zakazanej Biblioteki. Nadludzie z czasów przed Dniem Kary, którzy sprzedali dusze Szatanowi. Pragnęli zgładzić ludzkość i przynieść jej ostateczny koniec. Niszczyciele nadziei, profanatorzy wszystkiego co święte, zwiastuny apokalipsy, głosiciele zagłady – to tylko nieliczne z epitetów, którymi ich określano. Wszystkie były trafne. W każdym aspekcie od siły po zręczność, wytrzymałość, szybkość czy inteligencję byli ponad śmiertelnikami. Człowiek z Wyobraźnią wiedział jednak, czym byli naprawdę.

Przed Dniem Kary ludzie byli zaawansowani technologicznie. Może się to wydać niewiarygodne, lecz umieli pływać w kosmosie i mieli bazę na Księżycu, który każdego dnia okrążał ziemski glob. Witeldon dotarł tam kiedyś, lecz zastał już tylko zgliszcza. Właśnie tam, z dala od tragedii, która spotkała Ziemię, pojawiła się szansa na odrodzenie się planety. Po trwającej setki lat pracy powstał nadludzie. Następny etap w ewolucji gatunku Homo Sapiens. Lecz gdy przybyli na Ziemię, nie zostali powitani jako wybawiciele. Potraktowano ich jak obcych, a zamiast otwartości, spotkali się z wrogością.

Rozgoryczeni posłuchali wtedy podszeptów zgubnych mocy i zmienieni przez największych piekielnych artystów w ostateczną broń ciemności,

sprowadzili na ziemię morze pożogi i cierpienia. Kres ich czynom położyła dopiero Inkwizycja. W otwartym polu, ramię w ramię z inżynierami, zwykłymi żołnierzami i szlachtą tamtych czasów, stanęło stu czternastu inkwizytorów.

Bitwa trwała dwa dni i dwie noce. Plac boju opuściło jedynie trzech żywych członków Świętego Oficjum, lecz zło zostało pokonane. Poległo ich wtedy ośmiuset osiemdziesięciu ośmiu z armii, która liczyła tysiąc jeden żołnierzy ciemności.

Witeldon też kiedyś namierzył i zneutralizował dwie bandy tych arcyheretyków. Walcząc, jak równy z równym, kilka razy otarł się o śmierć, tracąc przy tym znakomitych ludzi. Zabił ich łącznie dwunastu, choć nie ustępowali mu w niczym. A teraz zagrożenie z ich strony znów stało się realne.

Na ekranie kolos gestykulował i tłumaczył coś czwórce agentów. Jednym z nich była kobieta, która w pewnej chwili przyłożyła dłoń do skroni i skrzynie po kolei zaczęły unosić się i wlatywać do portalu.

- Wiedźma, lecz nie wygląda na spaczoną. Teraz już wiem, jak ładunki opuszczały Kuźnię i co to za nieznani ludzie, o których opowiadał Thomas - mówił sam do siebie.

Nagranie kończyło się wraz z zamknięciem wrót do Piekła i zniknięciem wszystkich oprócz tego, który wrota otworzył.

- Wystarczy, trzeba wracać do Sacrum i przemyśleć następny ruch - podsumował i skierował się w drogę powrotną do Sulli.

Korytarze i dziedziniec wciąż były bezludne. Pilotka czekała w kokpicie myśliwca, uważnie obserwując skanery. Witeldon wysłał kodowany sygnał do Kolibra. Chciał, by z wyprzedzeniem zarejestrowała jego obecność. Kiedy zobaczyła dowódcę, uśmiechnęła się i otworzyłaabinę.

- Znalazł Pan to, po co tu przylecieliśmy? - zapytała.

Inkwizytor uznał, że na tak ogólne pytanie może udzielić jej prawdziwej odpowiedzi.

- Tak, możemy lecieć.

Jego czuły słuch wyłowił coś z otaczającej ich przestrzeni.

- Słyszałaś? - zapytał.

Pytanie zaskoczyło Sullę.

- Co?

Inkwizytor już nie zwracał na nią uwagi. Podszedł do trzech wielkich skrzyń ułożonych jedna na drugiej, za którymi skrył się Koliber. Oparł się o nie dłońmi i napał.

- Ale za to coś widzę - powiedziała kobieta, spoglądając na wyświetlacz.

Udało mu się w końcu przewalić kilkusetkilogramową ścianę stalowych kufców. To, co zobaczył, jednocześnie zdziwiło go i rozżłościło. W centralnej części placu widać było dwa uniesione fragmenty podłoża. Z wielkich otworów wyłaniali się inżynierzy Armatusi.

Podziemne koszary i warownie - pomyślał. Plany Kuźni tego nie obejmowały, dlatego przyglądał się z zainteresowaniem. Ciekawe rozwiązanie na wypadek ataku. Oddziały wychodzące zza pleców bądź w sam środek wrogiej armii na pewno narobiłyby trochę zamieszania. Lecz to wcale nie cybernetyczni, ubezwłasnowolnieni i uzbrojeni piechurzy zrobili na nim wrażenie. Jego ulepszony wzrok dostrzegł ruch na górnych lądowiskach. Ledwo zauważalny przez prawie zerowe oświetlenie i czarny kombinezon.

Właśnie... - jakaś myśl przemknęła mu przez głowę.

- Sulla, leć za tym myśliwcem. Natychmiast! - rozkazał, widząc, że tajemnicza postać startuje.

- A co z Panem?!

Członek Świętego Oficjum nie miał czasu na dalsze dialogi.

- Rzuć mi karabin *Inferno* i leć. Ja sobie poradzę, a ten, kto pilotuje tamten myśliwiec, jest kluczem do dalszego dochodzenia. Chcę go mieć żywego! - krzyknął.

Posłuchała. Rzuciła broń i rozpoczęła procedurę startową. Kokpit się zamykał.

- Niech Stwórca ma Pana w opiece - zdążyła powiedzieć.

Opancerzony mężczyzna spojrzął jej w oczy.

- Ciebie również, moja droga.

Koliber z gracją oderwał się od ziemi i pomknął za celem.

Przyszedłem szukać odpowiedzi na pytania, a one same mnie znalazły - pomyślał i dokonał przeglądu broni. Każdy inkwizycyjny pojazd lądowy i powietrzny był wyposażony w broń typu *Inferno*, w kształcie pistoletu albo karabinu. Ta, którą trzymał Witeldon, pod żadnym względem nie równała się

Victoire, z jej kunsztownym i precyzyjnym wykonaniem. Estetyka broni nie wpływała jednak na jej skuteczność zabijania. Dwudziestomilimetrowe naboje równie dobrze mogły być instalowane w działkach szturmowych myśliwców. Mimo licznych kompensatorów, potężnego uchwytu i samej wagi nadawała się do pojedynczych strzałów tylko przy stabilnej postawie. Była też groźna dla strzelającego, ponieważ mogła go przewrócić albo wybić bark.

Jeden strzał w klatkę piersiową sprawiał, że po człowieku, nawet w ochronnym pancerzu, zostawała krwawa miazga. Rozmiar karabinu, specjalne przeciwpancerno-zapalające pociski i wielki dwudziestonabojowy magazynek, w rękach Inkwizytora czyniły broń skutecznym narzędziem do eliminowania wrogów.

Nie będę marnował uświęconej amunicji do Victoire, ani bezcześcił Catherine na te blaszaki – myślał, a część jego mózgu próbowała zrozumieć, dlaczego słudzy Inżynierów chcą go zabić. – *Przecież nawet jak zginę, to Keor ma już teraz karę śmierci do podpisu.*

Witeldon przerzucił karabin na plecy obok miecza i wspiął się na kontener z wystającymi stalowymi płytami na dachu. Normalnie służyły jako podstawa dla następnego kontenera, jednak teraz stanowiły osłonę oraz dobry punkt strzelecki. Patrzył przez otwory wryte w grubej stali na zbliżających się Armatusów, a jego wzmocniony wzrok pozwalał dokładnie przyjrzeć się przeciwnikom. Naliczył trzydziestu sześciu. Biegli, utrzymując luźny szyk i skanując teren przed sobą. Szukali go. Widzieli, w którym kierunku poszedł, lecz nie znali jego dokładnej pozycji.

Zawsze byli dla Witeldona osobliwymi przypadkami. Ludzie z wypranymi mózgami, którzy zostali wzmocnieni, w sposób surowy i toporny, zaawansowaną bioniką. Inżynierowie mieli miliony niewolników, których traktowali jak narzędzia łatwe do zastąpienia. Zakupieni od możnych albo porwani z biednych dzielnic, bez szans na ratunek, wiedli los męczenników. Gdy Inżynier potrzebował taniej piechoty, usypiającymi wyziewami zagazowywał pomieszczenia, w których spali. Będące pod narkozą ciała zbierano i jak śmieci rzucono na stoły operacyjne. Tam otrzymywały szereg ulepszeń, a po wszystkim na zawsze zapominały o swojej przeszłości.

Mechaniczne nogi, w których mięśnie nigdy się nie męczyły i nie zrywały. Ręce, które nie drżały przy zabijaniu i miały dość siły, by z łatwością łamać kości. Gałki oczne wymieniono na aparaty, rejestrujące otoczenie bez tracenia czasu na mruganie. Całą gamę narządów zmodyfikowano albo

zastąpiono sztucznymi odpowiednikami. Największą zmianę przeszła krew, którą z żył wyparł płyn z silnymi koagulantami. Miało to uniemożliwić powstawanie krwotoków.

Wszystko to czyniło Armatusa sługą i niewolnikiem Inżynierów. Armatus, słowo ze Świętych Tekstów, znaczyło Uzbrojony. Tym właśnie byli w oczach swoich kreatorów. Żadnych imion, historii, tradycji, uczuć, szacunku... Tylko prosty fakt ich definiował.

Cybernetyczne implanty nie tylko zwiększały refleks i zdolności obliczeniowe, lecz czyniły człowieka marionetką bez wolnej woli. Każde słowo jego pana stawało się rozkazem i gdyby inżynier Keor Xan kazał im strzelić sobie w łeb, zrobiliby to bez zawahania. Właśnie teraz te fanatyczne fuzje ciała i technologii, okute w swoje ciężkie i twarde pancerze, szły wprost na Witeldona. Jednak żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z tego, że dla niego byli już martwi.

Obserwował ich i czekał na najlepszy moment do rozpoczęcia ostrzału. Wyświetlacze z magicznego pyłu, które pojawiły się na gałkach jego oczu, pokazywały optymalny kąt i odległość od celu. Gdy wyświetliło się siedemset metrów, zdjął z pleców karabin, dwudziestopięciokilogramową śmiercionośną broń. Przy sześciuset metrach runy zasygnalizowały, że pierwszy szereg znalazł się w strefie wspomaganego celowania. W odległości pięciuset metrów symbole zaiskrzyły na zielono, informując o optymalnej odległości.

Coś, co dla zwykłego człowieka było nieosiągalne, dla niego było chlebem powszednim. Jednak w nadchodzącej bitwie po żadnej ze stron nie będą walczyć normalni ludzie.

Stanął na prostych nogach, w rozkroku. Tak, by odrzut karabinu go nie przewrócił, i wycelował w Ductora, sierżanta pierwszego oddziału.

- O Stwórco, prowadź me ramię, które ukarze wrogów Twoich - wyrecytował z czcią i nacisnął spust.

Moc karabinu nie była przesadzona. Pomimo nadludzkiej siły i kompensatorów w zbroi, odczuł odrzut. Wystrzał z wielkim hukiem rozniósł się po Kuźni, a pocisk, w blasku oślepiającego światła, pomknął w stronę głowy Armatusa. Uderzenie przeszło na wylot wzmocnionego hełmu i tytanowych płytek w mózgu, dekapitując przeciwnika. Resztki czaszki zapaliły się od substancji zawartej w naboju i rozpadły się na drobne

kawałki. Nim ciało Ductora uderzyło o ziemię, śmierć ponieśli następni lobotomizowani niewolnicy.

Inkwizytor wystrzelił pięć kolejnych pocisków. Cztery trafiły w wizjery przeciwników, a jeden w klatkę piersiową. Armatus akurat przeskakiwał skrzynię, gdy pocisk z *Inferno* przebił się przez jego tors, paląc przy okazji organy wewnętrzne. Reszta atakujących zrozumiała, że z łowców stali się zwierzyną. Wszyscy naraz zaczęli szukać osłony i zmienili taktykę. Jedni doskoczyli do kufrów, następni do kontenerów, a jeszcze inni schronienie znaleźli przy mobilnych dźwigach załadunkowych. Inkwizytor zdążył oddać jeszcze dwa zabójcze strzały i zmienił pozycję.

Zrobił to w samą porę. Góra kontenera, na którym był przed sekundą, zapłonęła od iskier, wywołanych trafieniami karabinów burzowych. Ta broń strzelała miniaturowymi błyskawicami, których moc wystarczyła, by zabić człowieka, a w najlepszym przypadku urwać mu kończynę. Armatusi przyjęli doskonałą strategię. Niektórzy, w nieregularnym schemacie, wychylali się kolejno i prowadzili ostrzał, inni kontynuowali maraton, przechodząc od jednej osłony do drugiej, przygważdżając cel ogniem.

Witeldon wyszedł z za rogu ciężkiej skrzyni i nacisnął trzy razy spust, eliminując kolejne cyborgi. Wyświetlacz w rogu oka pokazywał minimalną odległość od najbliższego wroga, dwieście osiemdziesiąt jeden metrów.

- Pora się z nimi trochę zabawić - powiedział i pobiegł w stronę labiryntu kontenerów. Opróżnił *Inferno* ze wszystkich dziesięciu naboju, zabijając ośmiu przeciwników, a kolejnym dwóm urywając nogi.

- Minusy strzelania w ruchu - zauważył z przekąsem, wpinając drugi magazynek. Został mu jeszcze jeden.

Wokół Inkwizytora sypał się grad błyskawic. Jakieś zabłąkane wyładowanie trafiło go w prawe ramię. Pancierz był izolowany, więc ładunek tylko nadpalił zbroję. Metal nie stracił swoich właściwości obronnych. Ze złości zacisnął zęby i wychylił się z za bariery. Następnym czterech Armatusów straciło życie. Sam zaliczył kolejne trafienie, tym razem w brzuch. Tylko dzięki zbroi nie odniósł żadnej szkody.

Kontenery piętrzyły się jeden na drugim. Pomagając sobie jedną ręką, wspiął się na wyższy poziom i wszedł do gigantycznego pojemnika. Mógł stąd prowadzić ostrzał cybernetycznych niewolników, którzy weszliby w jego strefę śmierci.

Gdy tylko postawił stopę w swojej kryjówce, instynktownie wyczuł zagrożenie. Padł na kolana i schylił się. Tam, gdzie jeszcze chwilę temu miał głowę, wystawał wbity w metalową ścianę miecz technologiczny z generatorem pola energetycznego. Trzymał go inżynierski instrumentor klasy Ferox. Humanoidalna maszyna, o podobnych do owadów szczękoczułkach, pełniła rolę zabójcy i tropiciela. Ten rodzaj był śmiertelnie niebezpieczny w walce.

Inkwizytor oparł kolbę karabinu o podłogę i nacisnął spust. Wystrzelony pocisk przerznął się przez maszynę od kroczka do czaszki. Z dłoni robota wyslizgnął się miecz. Złapał go i ruszył do przodu.

Ulepszonym wzrokiem dostrzegł kolejne Feroxy. Strzelały w niego z pistoletów model *Secare*. Broń ładowano zwykłym żelastwem. Specjalne mechanizmy wewnątrz rozdrabniały wszelkie metalowe pręty, grudki, cienkie sztabki na drobne wióry. Powszechna dostępność amunicji i niewybredność pistoletu czyniły z niego doskonałą broń partyzancką. *Secare* wyrzucał z siebie tysiące malutkich opiłek różnych metali na minutę, które obdzierały ofiarę ze skóry. Nie mógł równać się z mocą karabinu *Inferno*, lecz też był zabójczy.

Metaliczny deszcz rysował jego zbroję, nie wyrządzając żadnej szkody. Rany twarzy zasklepiały się niemal natychmiast. Witeldon zaskoczył instrumentory, które nie były przygotowane na to, że człowiek może być taki szybki i nie zostały wyposażone w symulacje obronne. Pierwszą maszynę przebił mieczem, trafiając w jeden z licznych aparatów wzrokowych. Pole energetyczne zwęgliło resztę soczewek i dopełniło dzieła zniszczenia. Drugą, która przymierzała się do zadania ciosu, w porę złapał za kończynę. Przeszedł pod nią, wyrwał broń z korpusu powalonego wcześniej i z ogromną siłą przeciął przeciwnika.

Kątem oka zauważył Armatusów, którzy strzelali z dolnego poziomu. Zrobił szaloną rzecz i skoczył w dół. Leciał pośród kanonady błyskawic, rozbrzmiewającej z czterech karabinów burzowych. Wykorzystał impet ładowania i pierwszego Armatusa, Ductora, przeciął mieczem technologicznym. Trupem zasłonił się przed strzałami kolejnych niewolników. Z dwóch granatów odłamkowych, które cyborg miał przy pasie, wypiął zawleczkę, a ciało pchnął w stronę atakujących. Eksplozja zmasakrowała wszystkich, którzy znaleźli się w jej zasięgu.

Usłyszał dziwne syczenie, które dobiegło z kłębow dymu, powstałego po wybuchu ładunków. Nim zdążył zareagować, z pogorzelniska wyleciała kula plazmy. Z impetem uderzyła go w pierś. Siła była tak duża, że przeleciała kilka metrów i zarył plecami o stalową skrzynię. Padając, poczuł gorąco i ból. Skanery wyświetliły informacje o ciężkich uszkodzeniach górnych płyt pancerza. Pokazywały również, że zbroja wytrzymała.

Oparł się na mieczu i spróbował uklęknąć. Udało się. Gdyby nie rytuały, jakie przeszedł, to od samego uderzenia pękłby mu kręgosłup. Zaczął się modlić.

- Stwórcu, daj mi siłę i pozwól kontynuować walkę w imię Twoje.

Z dymu wyszedł Armatus. Trzymał ciężką wyrzutnię plazmową - broń strzelającą ładunkami zjonizowanego gazu, zamykanego w silnym polu magnetycznym. Jedno z najlepszych rozwiązań przeciwpancernych. Kable z karabinu, które zniknęły w plecach cyborga, zapewniały optymalne zasilanie. Szedł dobić przeciwnika. Przeładował miotacz, by zmaksymalizować obrażenia, ryzykując samozniszczenie tego cudu techniki i śmierć w obłoku ognia.

- Ześlij na mnie moc Swoją, bym mógł karać tych, którzy hańbią imię Twoje - Witeldon kontynuował modlitwę. Armatus wycelował. Dzielila ich długość miecza. - Stwórcu, który chronisz, Stwórcu, który dbasz, Stwórcu, który prowadzisz przez drogę zwaną życiem... - usłyszał syczenie, które oznaczało, że ładunek plazmy jest gotowy - ...spraw, by moją ręką świat został oczyszczony w krwi tych, którzy czczą Ciemność, a nie Światłość Twą!

Cyborg zaczął naciskać spust. W tym samym momencie Inkwizytor zgiął palce dłoni w tajemną kombinację i dynamicznie wyciągnął ramię przed swego oprawcę. Napastnika wyrzuciło w powietrze, a uderzając o stalowy kontener, skończył żywot. Mężczyzna szybko ruszył w stronę trupa. Odciał wychodzące z pleców kable karabinu plazmowego, podniósł go i wypalił w stronę Feroxa, który akurat wyłonił się zza kontenera. Robot wybuchł w niebieskawym ogniu. Dwa słabsze strzały skończyły się dekapitacją kolejnych Armatusów. Trzy następne posłały w objęcia śmierci cyborga. Lecz i Inkwizytor został trafiony. Otrzymał dwa ciosy w prawe ramię, a czujniki zasygnalizowały umiarkowane uszkodzenia.

Przeładował wyrzutnię plazmy i wycelował w stalową ścianę. Pocisk przebił ją, a powstała wyrwa stanowiła doskonałą drogę wyjścia. Znow załadował, tym razem tak, że ładunek osiągnął punkt krytyczny, koszmar

każdego strzelca. Karabin zmienił się w tykającą bombę. Rzucił nim w nacierających i wyskoczył przez wytopiony otwór. Nim zdołał się odwrócić, trafiła go kolejna błyskawica.

Wybuch pogrzebał sporą część labiryntu za nim. Wraz z miotaczem w powietrze wyleciał okazały arsenał. Witeldon podniósł się z lekkim trudem, choć ulepszony organizm zaleczył już większość ran. To, co zobaczył przed sobą, tylko dodało mu siły. Szła na niego co najmniej setka nowych Armatusów. Był gotowy na śmierć. Zdjął z pleców *Catherine*, wypiął z kabury *Victoire* i zaczął się modlić o sprawiedliwy sąd nad jego duszą.

Nagle świat przed nim utonął w płomieniach. Rój rakiet wleciał w sam środek sług Inżynierów, a po chwili zaczęły ich ćwiartować działka automatyczne. Spojrzał za siebie, a to, co zobaczył, mógł określić łaską Stwórcy.

Trzy inkwizycyjne Kolibry rzuciły na wroga cały swój potencjał bojowy, zatrzymując ofensywę. W pewnym momencie maszyny podniosły się wyżej, a na ich miejsce weszła kolejna formacja. Niebo przecięły dwa Szpony, kanonierki transportowe. Zawsze mu się kojarzyły z latającą pięścią. Zwarte, twarde, wielkie konstrukcje o grubym pancerzu i ciężkich karabinach po bokach kadłuba i pod skrzydłami, z działem burzącym na górze.

Zbliżając się do lądowania, obie armaty wypaliły ołowiem, który zmasakrował lewą flankę Armatusów. Wszystko zniknęło w gruzach i kurzu. Część inżynierskich sług przyjęła pozycje obronne i otworzyła ogień. Ta kanonada mogła zakończyć życie członka Świętego Oficjum, gdyby nie nieziemska osłona. Każdy strzał został wchłonięty przez barierę ze złotego półprzezroczystego pyłu.

- W samą porę, prawda? - usłyszał dobrze znany kobiecy głos.

Viviene. Jego naczelna sankcjonowana Czarnoksiężniczka. Kobieta wyższa od niego o ponad głowę pojawiła się znikąd. Mimo że dookoła toczyła się zażarta bitwa, nie mógł na nią nie spojrzeć. Smukła postać ubrana w obcisły jedwabny damski kombinezon, przyozdobiony licznymi amuletami i kamieniami szlachetnymi. Strój podkreślał wydatne kobiece kształty. Zdrowa, nieskazitelna cera idealnie kontrastowała z długimi białymi włosami, ułożonymi w zmysłowe loki. W delikatnej dłoni trzymała obsydianowy kostur zwieńczony wielkim kryształem górskim. Jednak to jej

nienaturalne oczy nadawały całej postaci aurę pożądania. Witeldon nigdy nie widział człowieka z różowymi tęczęwkami.

- Dałbym sobie radę - odburknął i schował *Victoire* do kabury.

- Ależ oczywiście - powiedziała Wiedźma i złożyła dłoń w tajemny gest.

Bariera skurczyła się w ciasną linię. Vivienne machnęła zamaszycie ręką i magiczne ostrze pomknęło przed siebie, rozcinając dwa tuziny Armatusów.

- Ciągłe wychodzą nowi - mruknął Inkwizytor.

- Dlatego ja, w przeciwieństwie do ciebie, mam zawsze kilka sztuczek - rzuciła z przekąsem w jego stronę i ułożyła palce w nowej kombinacji.

- Co...?

- Co co?

Z jej dłoni wystrzelił kulisty piorun. Trafił pierwszego niewolnika i przechodził do następnych. Powietrze rozbłysło od snopów białego światła. Dwudziestu Mortusów zajęło pozycje strzeleckie i rozpoczęło ostrzał. W tym czasie Vivienne zauważyła snajpera, wspinającego się na dźwig towarowy. Uderzyła nasadą kostura o ziemię, a powstała w ten sposób fala uderzeniowa wysadziła fundament konstrukcji, unosząc ją w górę. Siłą woli sprawiła, że stalowy podnośnik runął na wrogów.

- Przybyliśmy tak szybko jak się dało, Sir - Witeldon usłyszał za plecami tubalny, głęboki głos. Kolos, do którego należał, miał sporo ponad dwa metry wzrostu.

Potężny, barczysty, jakby całe jego ciało rozumiało tylko dwa słowa: siła i masa. Ubrany w zbroję Mortusów z dodatkowymi płytami pancernymi, szedł prosto do Inkwizytora. Nie nosił hełmu. Większość twarzy krył pod krótką szarawą brodą i wąsami. Nierówno przystrzyżone włosy, w kolorze ciemnej stali, dodawały mu dzikiego wyglądu. Jedno oko przykrywało bielmo, a przez całą twarz, od lewego policzka do górnej partii czoła, biegła szpetna blizna. Drugie, niebieskie jak niebo na starożytnych obrazach, czujnie obserwowało pole bitwy. Widać w nim było wielką inteligencję.

- Dobrze i ciebie widzieć, Ursusie - powitał kapitana oddziałów Mortusów.

Mężczyzna wyciągnął pistolet plazmowy i wystrzelił trzy pociski w stronę najbliższych Armatusów. Wszystkie dosięgły celów.

- Sulla wysłała sygnał z prośbą o wsparcie, gdyż sama, zgodnie z rozkazami, ściga jakiś myśliwiec. Zmobilizowałem jednostkę uderzeniową

i oto jesteśmy – Ursus zdjął z pleców wielki topór, na którym wryto runy wojny. – Poprowadzić natarcie, mój Panie? Chętnie bym zmłócił kilku *Behemotem*.

Viviene wypuściła z kostura ognistą lancę, wysadzając w ten sposób skorpionopodobny transporter Armatusów i uśmiechnęła się. Uśmiech miała przepiękny.

– Chyba nie będzie takiej potrzeby, mój ty siłaczu – powiedziała.

Wielki mężczyzna spojrział na nią z irytacją, a Inkwizytor z lodem w oczach. Obaj chcieli coś powiedzieć, gdy usłyszeli za sobą metaliczny, cyfrowy głos.

– Ostatni raz mówię, że to nie ja ich aktywowałem, odłóż broń – słowa wypowiedziane tuż obok zaskoczyły Witeldona. Podskoczył jak oparzony i spojrział za siebie.

Pan Kuźni numer 41. Keor Xan był jednym z Inżynierów. Zamiast twarzy miał mechaniczną maskę, składającą się z tysięcy metalowych żył, które drgały, gdy mówił. Ciało z tworzyw sztucznych i hartowanej stali. Sprawiał wrażenie kunsztownie wykonanego robota, lecz gdzieś pod tą skorupą tkwił mózg i resztki narządów. Prowadziła go drobna młoda dziewczyna o kasztanowych włosach. Dwa nadgarstkowe pistolety maszynowe wycelowała w jego plecy. Nosila lekki pancerz z przedłużanymi naramiennikami, co sugerowało upodobanie do walki wręcz.

– Wyłącz je, albo Inkwizycja puści to miejsce z dymem, a zacznie od ciebie – powiedziała cienkim głosem, uśmiechając się radośnie.

Inkwizytor ruszył w stronę jeńca. W tym czasie Ursus wydawał rozkazy Mortusom, którzy zajęli pozycje za osłonami Czarnoksiężniczki i kontynuowali ostrzał.

– Mistrzu, przyprowadziłam prowodyra całej jatki.

– Dobra robota, Lydio – powiedział do uczennicy. Dostrzegając w niej potencjał i uważał, że pewnego dnia stanie obok niego równa rangą.

W bezradności Inżynier machnął stalowymi rękami.

– Powtarzam, że to nie ja uaktywniłem obronę Kuźni. Ktoś złamał szyfry albo miał kody i przejął kontrolę. Mogę to udowodnić i domagam się natych...

– Zamilcz – wrzasnął Witeldon. Keor usłuchał i zazgrzytał ze strachu. – Umiesz to zatrzymać? – mężczyzna wskazał na toczącą się walkę.

- Tak - metalowy człowiek kiwnął niepewnie głową.

Członek Świętego Oficjum położył rękę na kaburze *Victoire*.

- Moja cierpliwość się kończy - powiedział tonem absolutnej grozy, który sprawił, że nawet jego protegowana pobladła.

Członek Korpusów Inżynieryjnych skierował drżącą kończynę w kierunku walczących. Wszystkie maszyny momentalnie zamilkły i stanęły, jakby jakaś siła zamieniła je w posągi. Ostatni hałas, który usłyszeli, to był ryk Ursusa, który nakazał wstrzymać ogień.

- Teraz zostało nam już tylko jedno - powiedział Witeldon, i nim Inżynier zdążył zareagować, wbił w jego brzuch opancerzoną pięść.

Xan ryknął przez głośniki zainstalowane w gardle. Nie z fizycznego bólu, takiego nie mógł poczuć. Wrzeszczał, ponieważ Inkwizytor hakował jego umysł.

Na swoich gałkach ocznych Witeldon widział wszystkie tajemnice, wspomnienia, informacje i zapiski przechowywane w wewnętrznych kryształach pamięci i kościach danych Inżyniera. Jego zbroja, wyposażona w inteligentne procesory, wykonywała rozkazy i porównywała zdobyte w serwerowni nagrania z wypracowanymi hipotezami i z tym, co miał w głowie Inżynier. Nie znalazł nic, co by obciążało Technologa.

Keor Xan żył w błogiej nieświadomości, czyli popełnił znienawidzony przez Inkwizytora grzech ignorancji. Kusiło go, by zabić go tu i teraz, pomimo tego, że był niewinny. Jego niedopatrzienia i brak nadzoru doprowadziły do katastrofy, ale wciąż był przydatny, i cóż... Mógł odpokutować swoje winy.

- Wystarczy - wyjął dłoń z wnętrza Technologa, który padł na ziemię.

Wyświetlacz oznajmił połączenie od Sulli.

- Inkwizytorze, zmusiłam go do lądowania. Pilot żyje, lecz jest ranny - kobieta przerwała na moment. - Strasznie krwawi, a ja nie mogę tego zatamować.

- Świetna robota - powiedział z wyraźnym zadowoleniem w głosie. - Resztą się nie przejmuj, pomoc zaraz nadejdzie. Zakończył połączenie, nim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Przeniósł uwagę na Vivienne, która podeszła bardzo blisko. Może nawet zbyt blisko...

- Zajmę się tym - powiedziała z pasją.

- Dziękuję - rzucił, starając się ignorować to, że miał głowę na wysokości jej biustu.

Kobieta zniknęła w błysku złotego światła. Swoją magią mogła utrzymać nowego inkwizycyjnego jeńca przy życiu tak długo, by trafił na Drzewo Zdrajców.

Witeldon zauważył, że Lydia wkładała dużo siły, by ukryć uśmiech.

- Bez komentarza, uczennico - powiedział grobowym tonem.

- Nawet bym nie śmiała - odpowiedziała, próbując się nie zaśmiać na głos.

Spojrzał na Ursusa.

- Status? - rzucił krótko.

Kapitan spał się i zasalutował.

- Mortusi wrócili do kanonierek i jesteśmy gotowi do wylotu.

- Straty?

- Dwóch ciężko rannych. Na razie stabilni, ale wymagają lazaretu w Sacrum. Żadnych zabitych - kapitan wyrecytował jednym tchem.

- Dobry wynik - podsumował bezbarwnie Witeldon. Odwrócił się i niespiesznie ruszył w kierunku transportowców. - Zapraszam na pokład, mamy jeszcze dużo pracy do zrobienia.

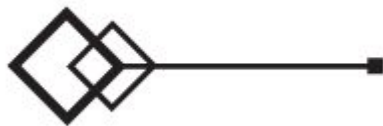
- Dlaczego mnie nie zabiłeś? - zapytał Keor Xan głosem trzeszczącym od uszkodzeń.

Człowiek z Wyobraźnią pochylił głowę w jego stronę.

- Gdyż mam wobec ciebie inne plany...



ROZDZIAŁ IV



STWÓRCA OBDARZYŁ CZŁOWIEKA ROZUMEM, ALE NIE NAUCZYŁ KŁAMAĆ.

STWÓRCA POKAZAŁ CZŁOWIEKOWI JAK KOCHAĆ, ALE NIE POWIEDZIAŁ JAK NIENAWIDZIĆ.

STWÓRCA DAŁ CZŁOWIEKOWI MOŻLIWOŚĆ TWORZENIA ŻYCIA, ALE LUDZKOŚĆ SAMA ZACZĘŁA JE SOBIE ODBIERAĆ.

STWÓRCA ODSŁONIŁ CZŁOWIEKOWI PRAWDĘ O ZŁU WE WSZECHŚWIECIE, ALE LUDZIE ODPLACILI SIĘ KŁAMSTWEM, KTÓRE NAZYWALI DOBREM.

STWÓRCA UKARAŁ SWOJE DZIECI, JAK OJCIEC POTOMKÓW, ALE RÓWNIEŻ LUDZIE PODNIEŚLI RĘKĘ NA SWEGO RODZICA.

PIĘĆ PRAWD SPISANYCH W KSIĘDZE ŻAŁU, Z KTÓREJ UCZĄ SIĘ INKWIZYTORZY.

Sala przesłuchań była miejscem, które Witeldon śmiało mógł nazwać swoim drugim domem. Pojmany przez Sullę człowiek wisiał już na Drzewie Zdrajców. Otwarta skóra, nerwy, kości i narządy przesłuchiwanego, narzędzia tortur wraz z gąszczem igieł, przewodów wpiętych w mięśnie – wszystko to było czymś, z czego Inkwizytor czerpał satysfakcję. Lubił święte obowiązki Inkwizycji. Nawet jeśli źródło jego informacji było wyjątkowo odporne.

– Widzę, że jesteś inkwizycyjnym Sciscitorem – przemówił. – Nie kojarzę cię z żadnego Konklawe, a sam nie chcesz powiedzieć, kto jest, bądź był, twoim panem.

Sterując siłą woli dwoma wielkimi hakami wbitymi w czaszkę nieznanego, przesunął jego głowę tak, by ten na niego patrzył.

– Paktowanie z demonicznymi pomiotami, kradzież inżynieryjnej broni po to, aby uzbroić biedotę do powstania, niszczenie miejsc kultu i wypisywanie

plugawych symboli, no i próba zamachu na Inkwizytora... Całkiem okazałe dokonania – powtórzył wszystko kolejny raz. Miał czas. Lubił przesłuchania.

- Zapytam kolejny raz: komu służysz?

Mężczyzna podniósł na niego ciemnozielone oczy.

- Mówią na niego pies... - zaczął, a Witeldon zamienił się w słuch - ...i podobno jebał twoją matkę - dokończył z uśmiechem na ustach.

Drzewo Zdrajców ponownie posłuchało. Szpony raz za razem rwały mięso i kruszyły kości. Igły wlewały do organizmu mężczyzny środki stymulujące życie i powiększające cierpienie. Przewody raziły prądem tak długo, aż skóra robiła się czarna. Wyszukane szpikulce po kolei rysowały każdy narząd. Najbardziej bolało serce. Wył głosem tysięcy dusz, które zostały tu zamęczone.

Część maszynynerii wbiła się w kręgosłup i zaatakowała kręgi. Torturowany wpadł w spazmatyczne konwulsje, a jego krzyk stał się przez to urywany. Jednak Witeldon nie skończył. Na metalowych szponach wysunęły się cztery długie wiertła. Dwa skierował w stronę łokci, dwa w kolana. W jednej chwili każde z nich zaczęło wiercić w stawach męczennika. Przeszły na wylot i niedbale wyszły z jego ciała.

Następna kara była bardziej subtelna. Maszyna podniosła głowę człowieka tak, by patrzył w górę. Siłą otworzyła mu oczy, do których z dwóch igieł spłynęły krople mętnej cieczy. Po jednej do każdego oka. Sciscitor znów wydał z siebie przeciągły pisk. Jego gałki oczne palił jad ognistych skorpionów. Po całym pomieszczeniu długo niosła się kakofonia jego krzyków.

- Widzę, że mam tutaj komika - dodał Witeldon, również się uśmiechając.

- Lubię dobre kabarety, więc zapytam raz jeszcze. Kto wraz z tobą to wszystko knuje? Odpowiedz, czy bawimy się dalej? - ruchem rąk pokazał Drzewo Zdrajców.

Przesłuchiwany dyszał, charcząc krwią, lecz wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

- Twoja stara jest tak brzydka, że jej portrety same się wieszają - wyjęczał.

- Tak myślałem - odparł Inkwizytor z nutą ekscytacji w głosie, a maszyna znów zaczęła działać.

Mijały kolejne godziny katorgi, lecz suma pozyskanych informacji ciągle równała się zeru. Spróbował zmienić taktykę.

- Szkolili cię tak, byś mógł wytrzymać każde cierpienie, prawda? Mogę chociaż poznać twoje imię? - zapytał.

Skatowany rozmówca coraz mniej przypominał człowieka. Spojrzał na niego wyżartymi oczodołami. Ziała z nich pustka. Wyczuwał jego obecność, lecz nie mógł go widzieć.

- Jan.

- Ładne imię.

Zawieszony mężczyzna zwymiotował krwawą miazgą.

- Póki tu wiszę i tak będę żył - wykrztusił. - A jak tylko mnie zdejmiesz, to od razu umrę. Czekam tylko na to, aż się znudzisz - dokończył i znów zwymiotował.

- Możesz mi wierzyć, że ta chwila nie nastąpi - Witeldon przecząco pokręcił głową. Znów spojrzał na łup, który zdobyła dla niego Sulla. - Jesteś liberałem, prawda?

O Inkwizycji nie można mówić w kategoriach jedności. To prawda, że każdy Inkwizytor ma ten sam cel, lecz sposób, w jaki zabiera się do zadania, jest indywidualny. Jedni przywdziewają potężne, święte zbroje, biorą w ręce czcigodne relikwie, recytują litanie pełne miłości do Stwórcy i nienawiści do grzesznych. Emanują światłością czystej boskości, swoją świętością, są anatema wszystkim, co nieczyste. Tych zwykło się nazywać ortodoksami bądź konserwatystami. Jednak jest też druga strona tego medalu.

Niektórzy członkowie Oficjum studiują zakazane księgi, używają przeklętej, a nawet demonicznej broni, czy też przeprowadzają piekielne rytuały. Mówią, że zło złem zwalczają, lecz w oczach wielu sami są grzesznikami. Przez swoje działania zyskali miano liberałów albo nowatorów.

Inkwizytorów różni także sposób walki. Są tacy, którzy wolą wpaść do gniazda węży z ogniem i mieczem, inni preferują użycie jednego, dobrze wymierzonego ciosu z ukrycia i kończą sprawę. Niektórzy biegli w magii walczą swoim umysłem. Po przeciwnej stronie można postawić tych, którzy posiadają technologiczny arsenał, będący na równi z tym, co mają Inżynierowie.

Witeldona nigdy nie obchodziło, do jakiego obozu Inkwizycji jest przyporządkowany. Aby walczyć ze spaczeniem, używa wszystkiego. Władza

świętym orężem, o którym pomarzyć może wielu ortodoksów, zna potężne egzorcyzmy i inkantacje wymagające czystej duszy, lecz ma również magów i oddanych mu Inżynierów, wykluczonych z Korpusów. Same symbole, wyryte na i w jego ciele, gwarantowałyby mu ekskomunikę i śmierć. I gdyby nie fakt, że jest jednym z najlepszych Inkwizytorów i sprawuje opiekę nad Spero, to inni Inkwizytorzy z pewnością upomnieliby się o niego. Lecz na razie nikt nie ma takiej odwagi.

- A co to zmienia, czy jestem czy nie? - wychrypiął Jan.

- Zawsze interesowali mnie ci w Świętym Oficjum, którzy wyznają bardziej... - zawahał się - ...nieszablonowe poglądy. Każdy z was stąpa po cienkim lodzie. Na pozór wydawać by się mogło, że pomagacie demonom, lecz koniec końców wychodzi na to, że to Światłość zwycięża. Aczkolwiek nie zawsze - westchnął z żalem.

Przesłuchiwany zaniósł się krwawym kaszlem i błędząc ślepych oczami rozglądał się po pomieszczeniu.

- Niektórzy nie umieją przechytrzyć sług piekielnych i kończą w sławetnych czystkach - powiedział. Inkwizytor parsknął.

- Naprawdę uważasz, że śmiertelny oszuka coś, co jest wieczne? Chłopcze, my walczymy z czymś, co nie śpi, nie odpoczywa, może wejrzeć w każdą duszę i sprawić, że nawet nasz własny cień będzie naszym wrogiem. Stawiamy czoła niemożliwemu, niepozanemu i niezmiernemu złu. Wiem co mówię - pozwolił sobie na blady uśmiech.

Skatowany mężczyzna pokiwał głową.

- Znam twoją historię, dokonania i legendy, Witeldonie Walszarti. Można rozprawiać o tym dniami - podkreślił z przekąsem. - Jedyne, który przeżył rytuał Umęczonego Łowcy, który zakończył Trzecie Inkwizycyjne Wojny, wygnał Assuraxa Złowrogię do najgłębszych czeluści Piekła i założył inkwizycyjne fortece na dalekim biegunie - zaniósł się krwawym śmiechem. - Im lista dłuższa, tym ciekawsza.

- Jak na człowieka w twoim położeniu wyjątkowy z siebie wesolek - rzucił bezbarwnym tonem.

- Dlatego, że nie mogę się doczekać, by zadać pytanie, które trzymam dla ciebie, odkąd pierwszy raz dowiedziałem się o tobie z ksiąg.

- Co to za pytanie?

Jan odchrząknął i splunął przed siebie.

- Jakie to uczucie być nieśmiertelnym?

Witeldon nie krył zdziwienia.

- I to chcesz wiedzieć? Nie masz żadnych pytań o ściśle tajne informacje, o coś wartościowego, czy cokolwiek przydatnego? Nie próbujesz czegoś ugrać, mając zainstalowany w duszy eteryczny podsłuch?

Mężczyzna zaprzeczył głową.

- Zawsze zastanawiało mnie, jak to jest, gdy wszystko wokół kogoś takiego jak ty obraca się z czasem w proch? Gdy ludzie, niezależnie jakiej użyliby magii i technologii, przeżyją ćwierć tego co ty? Co zostanie z człowieka, który nie może kochać, nie może zaznać przyjaźni i mieć rodziny? Przecież nawet kochanka umrze w mgnieniu oka przy nieskończoności, która ciebie czeka? - choć nie mógł go widzieć, pustym wzrokiem resztek gałek ocznych patrzył prosto na niego. - Co pozostawi mu życie, gdy nikt nie dotrzyma mu w nim kroku? Jesteś legendą w Inkwizycji, to prawda, lecz składa się na to również to, co z sobą zrobiłeś.

- A co takiego zrobiłem? - zapytał mocnym tonem.

- Porzuciłeś człowieczeństwo. Dlatego pytam, jakie to uczucie, gdy jako Inkwizytor możesz mieć dosłownie wszystko, a tak naprawdę nie masz nic?

Członek Świętego Oficjum zagryzł zęby i siłą woli zmusił się, by nie zabić przesłuchiwanego. Postanowił spełnić życzenia Jana.

- Chciałeś wiedzieć, a zatem słuchaj. Nazywam się Witeldon Adomas Jonas Walszarti. Mam 3879 lat i jestem Inkwizytorem w służbie Stwórcy. Złożyłem przysięgę, że będę walczył ze złem, spaceniem i wszelkim splugawieniem. Wiara będzie moją tarczą, a święty cel mym mieczem. Nimi rozproszę każdy mrok. Zgłosiłem się do rytuału Umęczonego Łowcy, aby zyskać moc, która pozwoli zniszczyć piekielne moce. Było to dokładnie 3860 lat temu. Wiedziałem, na co się piszę, i co będzie, jeśli przeżyję. Już dawno temu pogodziłem się z tym, że jedyne co mi zostało, to święta misja. Być może to cię zdziwi, ale wciąż jestem człowiekiem. Odczuwam stratę kogoś, kto mi służył i był w jakikolwiek sposób przydatny. Zdaję sobie sprawę, że nikt nie jest w stanie osiągnąć tego co ja, dlatego nie szastam życiem moich ludzi.

- Życie to pieniądz, który ofiarował nam Stwórca, dobrze go wydajmy - wyrecytował Jan.

- Dokładnie - powiedział Inkwizytor. - Czy usłyszałeś to, co chciałeś usłyszeć?

- Nie uważam, byś mówił szczerze - podsumował męczennik.

- Cóż, nie dbam o to, co uważasz. Pora zmienić taktykę - rzucił i myślami wezwał osobę, która przydaje się wtedy, gdy klasyczne tortury zawodzą.

- Wzywałeś mnie? - usłyszał kobiecy głos za sobą.

- Jeśli się tu pojawiłaś, to oczywiste, że tak, Vivienne.

Jan znów rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Poznają ten głos. To ta wiedźma, która nie pozwoliła mi zdechnąć - westchnął i zaniósł się krwawym kaszlem. - Gdybym tylko miał dość siły, to bym cię suko... - maszyna tortur nie dała mu skończyć, wbiła się w kręgosłup, pozbawiając tchu wiszącego mężczyznę i odbierając mu głos.

- Trochę grzeczniej do kobiety - rzucił Witeldon.

- Jaki z ciebie dżentelmen - mruknęła stojąca obok piękność.

Przewrócił oczami.

- Zamiast prawić słodkie słówka, przeskanuj mu jaźń w poszukiwaniu wszystkiego, co przydatne do poznania motywów działania i przywódców sekty.

- Oczywiście, skarbie - odpowiedziała i zaczęła pracę, ignorując westchnienie mężczyzny.

Wyciągnęła przed siebie prawą rękę i posłała impuls. Po chwili pośpiesznie ją cofnęła.

- Coś nie tak? - zapytał.

Kobieta spojrzała mu w oczy. Jasny, żywy róż idealnie kontrastował z czarnym wzrokiem.

- Dwie rzeczy. Twój kolega miał regularnie kasowaną pamięć. Nie pamięta, kim byli jego przełożeni, ani gdzie mają siedzibę. To po pierwsze, a po drugie, ktokolwiek jest jego mistrzem, jest niebywale sprytny i zna się na demonologii.

- Gdyż...? - kontynuował swoje pytania Inkwizytor.

- Głęboko w jego duszy ukryta została diaboliczna pieczęć. Runy są bardzo stare i potężne, wręcz wyszukane, mogłabym rzec. Aby wejść do jego umysłu, musiałabym ją złamać, a to skończyłoby się otwarciem piekielnego portalu i inwazją w Sacrum.

Witeldon przeniósł wzrok z kobiety na Sciscitora.

- Sprytne - powiedział.

- No i dupa - przesłuchiwany zaniósł się urywanym rześistym śmiechem.

Członek Świętego Oficjum również się zaśmiał. Był to odgłos tak żłowrogi, że stojąca obok kobieta dostała gęziej skórki i lekko się skuliła.

- Niekoniecznie - powiedział i wcisnął w konsoli na ramieniu sekwencję przycisków. - Kiedy brutalna siła i magia zawodzą, można zawsze sięgnąć po dobrodziejstwa dalekich krain - z lewej ściany sali przesłuchań wysunęła się mała półka.

Podszedł do niedużego regału i wybrał niewielkie metalowe pudełko. Wrócił na miejsce i otworzył je. Czarnoksiężniczka zajrzała kątem oka do środka i odsunęła się przerażona.

- Vormle?! - zdołała wyksztusić.

- Zgadza się - powiedział i wyjął z pojemnika robaka, który wił się w jego opancerzonych palcach. Oddał pudełeczko Viviene, która telekinezą pośpiesznie odłożyła je na miejsce.

- Bardzo ci musi zależeć na tych informacjach - wycharczał Jan.

- Bardzo - przytaknął Witeldon z uśmiechem na ustach.

Warto pamiętać, że rzeczywistość nie dzieli się tylko na trzy byty, jak uczą kapłani - świat ziemski, Piekło i legendarną domenę Stwórcy. Wykorzystując pradawne technologie, potężną magię i nielimitowane zasoby, Inkwizycja wraz z Inżynierami zdołała odkryć inne światy. Wysuszoną, skalistą planetę Zyturaw, zamieszkałą przez insektopodobne kreatury. Zbudowaną niemal w całości z metalu Ferrusie, gdzie został nawiązany kontakt z inteligentnymi golemami i glob-sawannę Truksię, w której rządy sprawuje rasa człekokształtnych lwów, posiadających wysoko zaawansowane technologie.

Są to wymiary, z którymi udało się nawiązać stosunki dyplomatyczne i dokonać rzadkich wymian handlowych i technologicznych. Witeldon kilka razy przewodził takim ekspedycjom. Walczył również z wrogo nastawionymi przedstawicielami jeszcze bardziej odległych światów. Były też wyprawy w niezbadane obszary czasu i przestrzeni, skąd żaden człowiek nie wrócił, a inne cywilizacje o swoich próbach nie chcą mówić. Vormle, czerwipopodobne ośmiocentymetrowe robaki z innego wymiaru, są właśnie owocem transakcji z mieszkańcami Zyturawa.

Ciemnobrązowe z domieszką fioletu, obłego kształtu, sprawiały wrażenie tłustych. Jeden z nich wił się właśnie w dłoni Inkwizytora, przebijając nerwowo sześcioma małutkimi odnóżami i wysuwając z pyska trzy długie, jasnoróżowe, cienkie jak u mrówkojada języczki. Mogłoby się wydawać, że jest powolny. Nic bardziej mylnego. Vorml rzuca się na ofiarę z prędkością, z którą refleks zwykłego człowieka przegrywa, wgryza się przez usta, nos bądź ucho prosto do mózgu, zjada go w kilka sekund i wychodzi, przebijając się przez czoło.

Robak, po pochłonięciu swojej ofiary, przestaje być groźny na długie godziny. Osoba, która zje nakarmionego w ten sposób Vormla, zyskuje wspomnienia i wiedzę jego ofiary. Witeldon miał jeszcze w swoich zapasach cztery takie poczwary. *Jedna zaraz się naje* – pomyślał.

- A mogłeś wybrać szybką śmierć – przemówił do Jana.

- Oszczędź szlachetności. Ty nie zdajesz sobie sprawy, jakim naprawdę jesteś pionkiem, Witeldonie. Możesz być bohaterem i wzorem dla młodzików i nowicjuszy, ale obojętnie jak byś nie wywiązał się ze swoich obowiązków i co byś nie zrobił, umrzesz samotny i opuszczony. Nic ani nikt nawet na ciebie nie spojrzy.

Mężczyzna znów zaczął się rozglądać na wszystkie strony swoimi niewidzącymi oczami.

- Jest tu jeszcze ta wiedźma, prawda? Zapytaj ją, kim jesteś. Rytuał Umęczonego Łowcy miał stworzyć nadludzi, a patrząc na ciebie, wyszli z tego niewolnicy.

- Doprawdy? – odrzekł ze spokojem, unosząc brew.

- Jako jedyny go przeżyłeś i stałeś się niewolnikiem wieczności. Twoim więzieniem jesteś ty sam – Jan splunął krwią. – Jesteś herosem wielu epok, lecz ten, kto wyżej się wzniósł, ten boleśniej upadnie.

Witeldon zbliżył się do mężczyzny, przystawiając Vormla do jego ucha.

- Za chwilę staniesz po pas zanurzony w morzu z popiołów miliardów dusz. Zapytaj te duchy o to, czy bycie bohaterem ma jakiegokolwiek znaczenie – przemówił i zwolnił uścisk dłoni.

Robak w ułamku sekundy przeskoczył do ofiary. Nieszczęśnik nie zdążył nawet powiedzieć następnego słowa, tylko wyprężył się cały i zawył z bólu. Wszystko ucichło nagle, gdy robak wgryzł się w jego mózg.

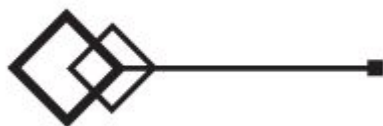
Minęło dwadzieścia uderzeń serca normalnego człowieka i insekt wyszedł leniwie na światło dzienne, rozsadzając czaszkę Jana. Inkwizytor delikatnie chwycił Vormla, umazanego resztkami szarej tkanki. Spojrzał na niego, po czym wsunął go całego do swoich ust. Przegryzł. Przechylił głowę na bok, gdy jego myśli zderzyły się z ubogimi wspomnieniami Sciscitora. Przeżuwał powoli, aż w końcu połknął, krzywiąc się lekko.

- Obrzydliwy? - zapytała pełnym strachu głosem Viviene.

- Gorzki - sprostował. Odwrócił się i wyszedł z sali przesłuchań, nie patrząc na nią. - Zwołaj zebranie, mam plan.

- Oczywiście - odpowiedziała niepewnym głosem.

ROZDZIAŁ V



CHOĆBYM ŻYŁ TYSIĄC ŻYC,
BĄDŹ ŚMIERĆ PONIÓSŁ TYSIĄCKROC,
NIGDY NIE COFNĘ BŁĘDÓW, KTÓRE ZROBIŁEM,
KRZYWD, KTÓRE UCZYNIŁEM,
TRAGEDII, DO KTÓRYCH DOPUŚCIŁEM.
PRZESZŁOŚĆ ZAWSZE TOWARZYSZYĆ MI BĘDZIE
JAK CIEŃ, KTÓRY NIGDY ODE MNIE NIE ODEJDZIE.
OBOWIĄZEK I NIENAWIŚĆ NIGDY NIE POKONAJĄ
SMUTKU I ŻALU, KTÓRE WE WŁADANIU MNIE MAJĄ.

OSTATNIE SŁOWA WYPISANE KRWIĄ NA ŚCIANIE CELI PRZEZ HULIONA POŁA, INKWIZYTORA-DEZERTERA, STRACONEGO ZA NIWYPEŁNIANIE ŚWIĘTYCH OBOWIĄZKÓW.

Centrum dowodzenia zawsze różniło się od całej reszty Sacrum. Na próżno było tu szukać pięknych zdobień, kunsztownie wykonanych ornamentów czy marmurowych posągów. Pomieszczenie, w którym Inkwizytor spotykał się ze swoimi doradcami i dowódcami poszczególnych sił, było spartańskie w wyrazie - lita stal nierdzewna z licznymi ekranami i pyłowymi wyświetlaczami, które gęsto pokrywały ściany. Na suficie zawieszono symbol Świętego Oficjum - wagę z szalą przekrzywioną na jedną stronę. Pod nim znajdował się okrągły stalowy stół, a na nim projektor holograficzny, który emitował każdy rodzaj obrazów. W sali znajdowali się Witeldon, Viviene, Lydia i Ursus. Czekali na pozostałych dwóch członków wewnętrznego kręgu.

Pierwsza przybyła Alexandra, Szpieg-mistrzyni Inkwizytora. Kobieta stanowcza i rzetelnie wykonująca swoje obowiązki. Jego oczy i uszy. Osoba średniego wzrostu i nieprzeciętnej urody, jak wiele dam z jego otoczenia. Sięgające za ramiona ciemnobrązowe gęste włosy, blada nieskazitelna cera

z tendencją do czerwienienia się i żywe, duże oczy nadawały jej wygląd księżnej z północnych krain. Dobrze zbudowana, pięknie prezentowała się w wysokiej jakości czarnej zbroi, którą dostała z inkwizytorskiej zbrojowni w nagrodę za służbę. Towarzyszył jej jeden z tresowanych przez nią ogarów bojowych. Potężna bestia podobna do psa, teraz potulna, lecz na jedno jej słowo zmieniająca się w maszynę do zabijania. Ukłoniła się Witeldonowi, opierając dłoń na zamocowanym u pasa rapierze technologicznym i zajęła miejsce w cieniu.

Trzydzieści uderzeń serca zwykłego człowieka po niej, w błysku światła urządzenia teleportacyjnego, pojawił się Ikarius Romos. Główny zbrojmistrz i płatnerz Sacrum, były członek Korpusów Inżynieryjnych, w których pełnił rolę Strażnika Reliktów. To właśnie on zajmował się najbardziej zaawansowanymi cudami techniki, które wymyślono i odzyskano w nowych czasach. Było tak do czasu, aż został oskarżony o tech-herezję.

Po przeprowadzeniu śledztwa Witeldon oczyścił go z zarzutów i ukarał tych, którzy zmarnowali czas Inkwizycji. Ikarus poprosił wtedy o możliwość dołączenia do niego, zrywając tym samym kontakty z Inżynierami. Inkwizytor zgodził się, zyskując potężne wsparcie techniczne. Mężczyzna miał ciało z metalu. W każdym calu widać było kunszt i zmysł prawdziwego mistrza metalurgii. Idealne rysy, płynne ruchy, gładka powierzchnia, złoto-białe szaty. Wyglądał jak zwykły człowiek pomalowany metaliczną farbą. Lecz tak naprawdę był kimś więcej. Sztuczna skorupa skrywała niezemiński geniusz i arsenał rozmaitej broni.

Ikarus również ukłonił się Witeldonowi i przemówił ludzkim głosem.

- Inkwizytorze, twoja zbroja wykazuje znaczące uszkodzenia początkowych płyt ochronnych na napierśniku, brzuchu i ramionach. Zalecana jest natychmiastowa naprawa.

- Później ci ją oddam, teraz słuchaj.

Inżynier ukłonił się jeszcze raz i zajął miejsce przy stole.

Człowiek z Wyobraźnią ruchem dłoni aktywował projektor. Magiczny pył ułożył się w obrazy prezentujące bluźniercze symbole, które pojawiały się na świątyniach Stwórcy i fragmenty nagrań, zdobytych przez Inkwizytora. Z wielką uwagą oglądali także interaktywną mapę miasta z wytłuszczonymi współrzędnymi kilku lokacji.

- Sprawa wcale nie jest prosta - zaczął Witeldon. - Zatrzymaliśmy podrzędnego informatora, którego przesłuchałem, zneutralizowaliśmy skrytki z bronią biedoty i wybiliśmy wszystkich, którzy mogliby wzniecić powstanie.

Rozejrzał się po otaczających go ludziach. Wszyscy w skupieniu słuchali patrząc to na niego, to na wyświetlane obrazy z danymi.

- Łaską Stwórcy udało mi się przybyć do Kuźni numer 41 w odpowiednim momencie i zatrzymać inkwizycyjnego sciscitora.

- Nowatorzy znów coś knują? - zapytała Alexandra.

Inkwizytor pokręcił przecząco głową.

- Tego nie wiem - zawahał się przez moment, lecz postanowił powiedzieć całą prawdę. Kolejnym ruchem dłoni uaktywnił nagranie z Rozgoryczonym Mścicielem.

- Kimkolwiek są odpowiedzialni za to ludzie, nawiązali kontakt z naprawdę potężnymi wyznawcami szatanistycznych potęg. - Do dyskusji włączył się Ursus.

- Robi się interesująco - powiedział głośno, wypuszczając powietrze. - Tacy jak on to twarde skurwysyny - kontynuował, gładząc bliznę na twarzy, efekt walki z przedstawicielem najpotężniejszych sług Piekła. - Jak oni to osiągnęli? To nie są przecież byle demony.

Po nim głos zabrała Vivienne.

- Są potężne inkantacje z wykorzystaniem ofiar z najbardziej niewinnych dusz, które mogą umożliwić z nimi kontakt - powiedziała miętowym głosem, choć nie kryła obrzydzenia.

- A jakie to są dusze? Sióstr zakonnych? - kapitan Mortusów domagał się odpowiedzi.

Czarnoksiężniczka zaprzeczyła i spojrzała mu w oczy. Żeby to zrobić, nawet ona musiała unieść głowę.

- Nie, Wielkoludzie. Miałam na myśli małe dzieci - powiedziała. - Ale nie będę tłumaczyć, jak tego dokonać. Posłuchaj się wyobraźnię.

Potężny mężczyzna mocniej zacisnął dłoń na toporze opierającym się o jego gigantyczne udo. Nie zapytał już o nic, tylko milcząco siedział w fotelu.

- Czy zebrane dane pozwalają wyciągnąć wniosek, że dysponują pełnym wyposażeniem Inkwizycji? - zapytał Ikarus.

- Musimy założyć, że posiadają dostęp do wszystkiego - odpowiedział Witeldon. - Wyjaśnij mi, jak zdobyli dostęp do sterowania wojskami Kuźni?

Inkwizycyjny Inżynier nie wahał się z odpowiedzią.

- Przeskanowałem zniszczone konstrukty, systemy placówki i to, co wyciągnąłeś z Keora. Nigdy nie należał do najbystrzejszych w Korpusie, lecz tutaj wina nie leżała po jego stronie.



Inkwizytor spojrział na niego surowo.

- Taki osąd wydałem sam. Więc co tam chciało mnie zabić? - zapytał.

- Technologiczny wirus demonicznego pochodzenia był głęboko zakorzeniony w systemach. Niezwykle potężny, niespotykany, rzadki -

szacunek, z jakim mówił, mógł świadczyć, że traktuje sprawę jak wyzwanie.
- Ledwo udało mi się go wykryć i zdeintegrować, gdy z Sacrum dokonywałem badań.

- Czyli jednak trzeba zniszczyć Kuźnię - powiedział stalowym tonem Człowiek z Wyobraźnią.

- Jest wolna od skazy - Inżynier zdecydowanie wystąpił przeciwko tej sugestii.

Witeldon długo się z nim mierzył wzrokiem, lecz ostatecznie odpuścił. Nie chciał marnować czasu.

- Wrócimy do tego - zamknął jeden temat i przeszedł do następnego. - Pomaga im wiedźma, Elysia Irion. To naprawdę niezwykle... - dokończył i z założonymi rękami przyglądał się zebranym.

Ciszę przerwała Lydia.

- Mistrzu, co w tym niezwykłego? Czarownica jak czarownica.

Inkwizytor westchnął.

- Mogę się z tobą zgodzić, ale co powiesz na to, że jest uznana za zmarłą agentkę Inkwizycji? Poległa rzekomo 231 lat temu wraz ze swym mentorem Paulosem Eutarem.

- Najwyraźniej miewa się dobrze - odpowiedziała uczennica.

Witeldon posłał jej spojrzenie zdolne topić stal, Ursus parsknął, a Vivienne, jak prawdziwa dama, zakryła usta dłonią. Szpieg-mistrzyni pozostała obojętna, lecz przez moment można było zauważyć iskierki w jej oczach. Natomiast Inżynier zupełnie nie znalazł powodów do śmiechu.

- A to oznacza, że...?

Dziewczyna zastanowiła się przez moment.

- To oznacza, że tak samo jak ona, jej mistrz może być wśród żywych.

- Jednak coś się pod tą czaszką dzieje - mężczyzna wzniosł oczy, zamknął je na moment i znów spojrzał na podopieczną.

Lydia wyraźnie ucieszyła się tym, co powiedział.

- Jan Gordian, ten, którego przesłuchiwałem, a także Gregory Sutra i Wilhelm Javier, następni dwaj z nagrania, są opisani w archiwach wraz ze swoimi przełożonymi jako martwi. Każdy z nich był mniej bądź bardziej uważany za liberała - kontynuował.

- Upozorowali zgony, by zrobić coś wielkiego w całkowitej tajemnicy - powiedział Ursus. - Nadal przecież mają zasoby i ludzi. O tym, że włos im

z głowy nie spadł, nie wiedzieli ci, którzy mogliby im przeszkodzić.

Witeldon kiwnął głową.

- Prawdę mówisz, lecz mam wrażenie, że ta sprawa ma korzenie o wiele głębiej niż można sobie wyobrazić.

Głos zabrała Alexandra.

- Czy mamy jakiś plan? - zapytała, głaszcząc ogara.

- Owszem - odpowiedział i wskazał na Vivienne. - Zapiski archiwalne mówią, że Elysia należała do Kręgu Magicznego Spero.

Kobieta patrzyła na niego nieziemskimi oczami.

- Chcesz bym sprawdziła, czy czegoś tam nie szukała? - zapytała.

- Albo czy Magowie jej nie pomagali.

Czarnoksiężniczka pokiwała głową.

- Dzisiaj Krąg jest zamknięty, ponieważ mamy pełnię, ale jutro przeszukam całe skryptorium - powiedziała z pasją w głosie.

- Dobrze - odpowiedział, przenosząc wzrok na Alexandrę. - Roześlij szpiegów i zajmij się ostatnim miejscem bytności Wilhelma.

Szpieg-mistrzyni wyszła z cienia.

- A jest nim...?

- Według wspomnień, które pozyskałem od Jana, była to dzielnica LXXX-17. Kwitnie tam handel egzotycznymi towarami. Może próbował coś przeszmyglować ukrytymi kanałami.

- Tak jest, Panie - ukłoniła się i wróciła do mroku.

- Ikarusie... - zaczął Witeldon.

- Słucham, Inkwizytorze.

- Dokonaj pełnej diagnostyki Kuźni numer 41. Potrzebuję wiedzieć kiedy i jaką drogą dostał się tam demoniczny wirus. Dodatkowo wydaję pozwolenie na pełny dostęp do zbrojowni. Nie wiemy, z czym walczymy.

- Oczywiście, Panie - powiedział Srebrny Mężczyzna.

- Jeszcze jedno... - wtrącił Witeldon. - Moja zbroja. Napraw ją. Za godzinę trafi do twojej pracowni, a za siedem muszę ją mieć z powrotem.

Ukłon sygnalizował, że Technolog wszystko dobrze zrozumiał. Człowiek z Wyobraźnią powstał i spojrzał na zabranych.

- Do dzieła - rozkazał.

Ikarius teleportował się do swoich kwater. Alexandra wyszła, oddając dowódcy honory, a ogar podążył za nią. Vivienne wstała z fotela i dziwnie na niego spojrzała, jakby czegoś wyczekiwała. Kiedy ich wzrok się spotkał, uśmiechnęła się zalotnie i opuściła pomieszczenie, kołysząc charakterystycznie biodrami.

W sali został Ursus, Lydia i Witeldon.

- Gdzie jest mój przydział? - zapytała dziewczyna, nie kryjąc ekscytacji w głosie.

- Ty będziesz studiować księgi - oznajmił.

- Ale jak to...?! - pisnęła zawiedziona.

- Jutro wyruszysz razem ze mną do Podmiasta śladami Gregorego - jego deklaracja wyraźnie ją uspokoiła.

- Dobrze.

Kapitan zaśmiał się tubalnie, słysząc ulgę w jej głosie.

- Nie bądź spieszna do bitki, bo ona przyjdzie do ciebie wtedy, kiedy akurat nie będziesz chciała.

- Najpierw musiałaby mnie złapać - krzyknęła, skoczyła w górę i robiąc potrójne salto przeskoczyła projektor, lądując pewnie na nogach.

Ursus zaklaskał, lecz Witeldon przyjął rolę surowego ojca.

- Imponujące, lecz książki w ten sposób raczej nie przeczytasz.

Zirytowana tupnęła nogą i wyszła, kierując się do księgozbiorów Sacrum. Zostali we dwóch. Ursus, wyraźnie rozbawiony, przemówił pierwszy.

- Ach te dzieci...

- Nawet nie mam jak tego komentować - Inkwizytor masował kark.

- Młoda jest, musi się dużo nauczyć.

- Prawda.

Kapitan spojrzał na swojego przełożonego.

- Sir...?

- Słucham - odparł mężczyzna z wagą na piersi.

- Dzisiaj jest ten dzień.

- Twój sławetny dzień wolny? - z przekąsem zapytał Witeldon.

- Koniec kolejnego roku akademii Amelki - powiedział mężczyzna, będąc już myślami z córką.

- Jakoś sobie poradzę - neutralnie rzucił Witeldon.

Ursus wstał i zasalutował.

- Dziękuję, Sir.

- Jest 6.48 rano, jak zawsze masz dobę. Chyba że wystąpi sytuacja awaryjna - przedstawił warunki swojemu kapitanowi. Zmieniała się jedynie godzina startu.

- Tak jest, Sir - powiedział i ruszył.

Osiemnaście minut później Inkwizytor znalazł się w swoim prywatnym lokum. Duże, ponad dwustumetrowe pomieszczenie z wysokim sufitem oświetlały lewitujące kryształowe kule. Myślą można było ściemnić światło tak, by sklepienie zmieniło się w nocne, usiane gwiazdami niebo. Była to cudna projekcja.

Posiadał dużą bibliotekę, a w niej książki, które nabył podczas swojego długiego żywota. Niektóre były w swojej naturze niebezpieczne i mogły opętać nierozważnego czytelnika mrocznymi mocami. On był na to odporny.

Do prywatnego użytku miał łazienkę z wielką wanną i systemem automatycznych natrysków. Dumnie prezentowała się też okazała kolekcja najróżniejszych alkoholi. Od wykwintnych i drogocennych win, poprzez ulubione piwo, a na rumie, brandy, wódce, absyncie, araku i dziesiątkach innych luksusowych dóbr kończąc. W rogu stało wbudowane w ścianę potężne biurko z licznymi aparaturami i egzotycznymi narzędziami. Była to jego osobista pracownia, w której, zwłaszcza w przeszłości, spędzał czas, tworząc własne mechanizmy i urządzenia. Jednak już wiele lat temu musiał zrezygnować ze swoich pasji. Ich kontynuowanie uniemożliwiał nadmiar obowiązków.

Obok stojaków z butelkami znajdowało się pianino, na którym biegle grał. Wydał na nie fortunę, lecz po prostu chciał je mieć. Ściany były ozdobione licznymi obrazami, które sam namalował. W oczy rzucało się podwyższenie, na które wchodziło się po pięciu marmurowych stopniach. Znajdowało się tam ciężkie, wielkie i głębokie łoże z baldachimami, ozdobione rzeźbami aniołów na małych piedestałach. Całość była w kolorze złota i bieli.

Witeldon zdjął zbroję i ułożył ją na lewitującym, przesyconym magią wózku. Będąc w samej bieliźnie zawezwał sługę, który ukłoniwszy się, zabrał pancerz do naprawy. Inkwizytor rozebrał się do naga i wziął kąpiel. W pokryte pradawnymi symbolami, umięśnione i sprawne ciało wcierał

mydło i wonne olejki. Osuszył się przy gorącym, rozpalonym wcześniej palenisku.

Uwielbiał patrzeć w ogień. Podsycił go, wypowiadając wypełnione tajemną mocą słowa. Resztki wilgoci starł z siebie grubym ręcznikiem, który niedbale rzucił na marmurową umywalkę. Do kryształowego kielicha nalał mocnego, wytrawnego, czerwonego wina. Kiedy przechylał puchar, jego wyświetlacze w gałkach ocznych pokazały, że próbuje się z nim połączyć Lydia. Westchnął, a idąc w stronę łoża odebrał połączenie.

- Słucham cię - powiedział, biorąc łyk trunku.

- Czy możemy ruszyć wcześniej, Mistrzu? - usłyszał w głowie jej westchnięcie. - Strasznie to nudne.

Kiedyś Witeldon gorzej znosił niesubordynację uczennicy, lecz z czasem przywykł do tego, że ponarzeka, a i tak robi to, co jej każe.

- Skup się na egzorcyzmach Piusa XIV i świętych zwojach Torina. Przyda ci się to. A wyruszmy jutro o świcie, gdy sam przygotuję to, czego potrzebuję - powiedział.

W środku lokum błysnęło złote światło. Tylko jedna osoba wiedziała, jak obejść jego magiczne zabezpieczenia.

- Mówisz tak, jakbyś miał już rozwiązanie pod ręką - usłyszał.

- Chcę mieć pewność, że nie będę prowadził cię na ślepo, młoda panno - kontynuował rozmowę z uczennicą, przyglądając się wysokiej kobiecej postaci zmierzającej w jego stronę.

- Oczywiście, oczywiście - marudziła.

- Skoncentruj się na tym, co masz zrobić, ja mam swoje zajęcia - skwitował i zakończył połączenie. Dopił wino i odstawił kielich obok figury anioła.

W tym czasie Vivienne zrzuciła z siebie jedwabne szaty. Witeldon patrzył na jedno z najpiękniejszych kobiecych ciał, jakie widział przez tysiące lat swego życia. Emanowała pewnością siebie i całkowitym brakiem wstydu, czym wzbudzała jego wielkie pożądanie. Pokryty ochronnymi pieczęciami i glifami, wraz z swoją niezłomną wolą, był odporny na każdy wpływ - czy to demoniczny, czy magiczny. Lecz mimo tego włożył dużo siły, by się na nią nie rzucić. Niejeden śmiertelnik straciłby swoje zmysły, a nieprzeliczone rzesze obojga płci zemdlałyby na ten widok.

Nie była to zwykła aura żądy, lecz coś tajemniczego, pierwotnego i dzikiego, a zarazem wyszukanego. Czarne oczy spotkały się z tymi w odcieniu rózu. Zobaczył w nich głód. Niezmierzony głód.

Czarnoksiężniczka usiadła na nim i wpiła swoje usta w jego. W głowie Witeldona pojawiło się jedno pytanie... Czy zaspokoi ją tak jak zawsze?

ROZDZIAŁ VI



- MAM NAJSZYBSZĄ RĘKĘ PO TEJ STRONIE GLOBU.
- JA TAM WOLĘ KOBIETY.

INKWIZYTOR WITELDON WALSZARTI, RIPOSTUJĄC PRZECHWAŁKI MISTRZA POJEDYNKÓW BAMURA PRIOVA.

Po całym pomieszczeniu rozniósł się głośny jęk. Panna przeciągnęła, się zamykając oczy. *Jakie to czytanie jest nudne* - myślała Lydia.

Wiedziała, że Inkwizytor nie bez przyczyny kazał jej studiować księgi. Były to naprawdę potężne inkantacje. Musiała się do nich przyłożyć. Miała już kilka razy okazję widzieć Witeldona w akcji. Jej mistrz był niekwestionowanym profesjonalistą i znawcą tych starożytnych słów. Na jej oczach, samą mową, wygnał wyższego demona. Ona na razie nie nauczyła się niczego, poza zaklinaniem pomniejszych sług Piekła, choć przyznał, że i tak szybko się uczy. Mimo że była butna, nie chciała go zawieść.

Nie była jego córką. Gdy miała pięć lat, mieszkała wraz z rodzicami w cyrku. Oni prowadzili interes, a ona, z racji swoich niesamowitych zdolności akrobatycznych i gibkości, była w nim główną atrakcją. Nigdy się nią nie zajmowali, rzadko karmili i często bili. Dlatego uwielbiała występy. Wszystkie światła szły wprost na nią, a dookoła były gwizdzące i skandujące tłumy, ludzie głodni adrenaliny i spragnieni niebezpieczeństwa. Wciąż domagali się nowych, czasami wręcz samobójczych popisów. Wraz z innymi cyrkowcami była wtedy gwiazdą. Wciąż miała w pamięci to, jak ważna była wtedy dla mamy i taty. Jak ją kochali... by zaraz po występie wrzucić ją do ciasnych boksów wraz z innymi artystami.

Pewnego dnia w miasteczku niedaleko Spero, gdzie zatrzymał się cyrk, pojawiły się demony. Była wtedy zbyt przerażona i jej umysł wyparł

większość okropieństw, na które musiała patrzeć, lecz jedno pozostało w jej pamięci na zawsze. Postać ponurego, brodatego mężczyzny, odzianego w granatowy pancerz, który stanął wtedy przed tabunem potworów, chcących rozszarpać młodziutką akrobatkę. Czarty patrzyły na niego jak zaczarowane, jakby bały się zrobić krok w przód. Tajemniczy człowiek pierwszy ruszył w ich stronę. Demony cofnęły się w popłochu. Mimo że leżała w błocie, zostawiona sama sobie, zeszywniała ze strachu, nie mogła od niego oderwać oczu. Lśniąc białym światłem, ruszył przez zastępy żywych koszmarów, niosąc im śmierć. Kiedy zgładził ostatniego sługę Piekła, skupił uwagę na niej. Ona zerknęła na jego twarz, co było wielkim błędem, ponieważ ze strachu się posikała. Mężczyzna o spojrzeniu bez duszy kazał jej szybko poszukać schronienia. Posłuchała, i jakby ktoś rzucił na nią zaklęcie, pobiegła do cyrku.

Trzy dni później Opancerzony Człowiek pojawił się w jej domu i zażądał podania za nią ceny. Nim jej ojciec cokolwiek odpowiedział, Brodacz rzucił mu przepiękny czerwony kamień. Rubin. To wtedy Lydia stała się częścią życia Inkwizytora. Zabrał ją do Sacrum, gdzie wreszcie przestały doskwierać jej głód i zimno.

Początki były najtrudniejsze, gdyż nie był czułym mentorem. Jednakże, nigdy jej nie uderzył i rzadko podnosił głos. W jego aurze było coś, co sprawiało, że słuchała go zawsze i bez sprzeciwu wykonywała wszystkie polecenia. Nauczył ją, jak zwalczać koszmary i jak niszczyć zło. Z czasem polubiła go i poczuła, jakby wreszcie zyskała prawdziwego ojca, który właśnie jej przekazuje swoją wielką wiedzę. Nigdy mu nie powiedziała o swoich przemyśleniach. Nie była pewna, czy by to zaakceptował. Teraz miała szesnaście lat i była jego uczennicą. Oddałaby za niego życie, gdyż dzięki niemu jej nabrało nowego sensu. Czowała to. *Ale czytanie tych ksiąg równie dobrze mogłoby być karą* - marudziła w duchu. Pocieszało ją to, że jej mistrz na pewno też się teraz nudzi w swoim sanktuarium.



Tymczasem Witeldon daleki był od wszelkiego marazmu. Vivienne przyłgnęła do niego mocno. Objął ją. Jedną rękę położył na plecach, a drugą gładził długie białe włosy. Wszystko dla niego zbladło, gdy ich języki spotkały się w pocałunku.

Po chwili jego obie umięśnione dłonie masowały jej krągłe pośladki. Kobieta uniosła lekko głowę, mruczając z zadowolenia. Inkwizytor wpił się ustami w jej szyję. Przywarła do niego jeszcze mocniej. Czuł sterczące sutki jej piersi na swoich. Podobało mu się to doznanie. Musnął dłońmi po plecach, wprawiając jej ciało w przyjemne drżenie. Vivienne wygięła się z podniecenia i wykorzystując swój wzrost, przesunęła się w górę, przykrywając twarz kochanka obfitym biustem. Czuł bicie jej serca. Biło bardzo szybko. On sam ulegał emocji. Językiem zaczął gładzić jej mostek, a ręce szczypały dorodne pośladki.

Nagle delikatnie, ale zdecydowanie zmienił pozycję. Teraz on był na górze. Patrząc w jej piękne, różowe oczy, wyczytał zaproszenie. Obydwoje zatracili się w namiętnym, zmysłowym pocałunku. Zsuwał się coraz niżej, muskając wargami każdy centymetr ciała. Jego blada skóra, pokryta czarnymi symbolami, kontrastowała z nieskazitelną cerą kochanki. Jego usta znalazły się na wysokości jej łona. Delektował się ofiarowaną mu różą. Był to przecież kwiat miłości. Zamknął dłonie na jej jędrnych piersiach. Vivienne wiała się z rozkoszy, dysząc i jęcząc. Inkwizytorski język, zwinny od wypowiedania zawiłych i skomplikowanych inkantacji, tym razem inaczej pokazywał swoją skuteczność, a silne i pewne palce tańczyły na jej piersiach i sprawiały, że odchodziła od zmysłów.

Kobieta z całej siły zaciskała palce na pościeli. W pewnym momencie uniosła biodra do góry, wyprężając się. Głośno jęknęła, a po chwili opadła bezsilnie na łóżko. Witeldon przesunął się w górę i spojrzał na jej twarz. Kiedy objęła go rękami i nogami, poczuł jak cała drży. Przechyliła głowę, by móc zobaczyć jego oczy znad swojego imponującego biustu.

- Jeszcze, mój władco... - wyszeptała, ciężko oddychając.

Objął ją, dotykając gładkiej, spoconej skóry. Palcami prawej dłoni zaczął muskać brodawkę piersi. Słyszał coraz głośniejsze posapywanie, gdy język tańczył wokół sutka. Jednym ruchem wszedł w nią.

- Ooo... tak - westchnęła, nie mogąc złapać tchu.

Jego biodra podnosiły się i opadały. Wkładał w to dużo siły i pasji. W ekstazie Vivienne długimi paznokciami raniła jego plecy do krwi. Wzmocnione ciało mężczyzny i ulepszona biologia sprawiały, że powstałe rany zasklepiały się natychmiast. Jego wytrzymałość, sprawność i szybkość wykraczały daleko poza możliwości nawet najlepszych z ludzi.

Witeldon na zmianę gryzł i lekko szarpał sutki Czarnoksiężniczki. W pewnej chwili kobieta przycisnęła jego głowę do siebie i wydała krzyk spełnienia. Traciła zmysły, gdy fala rozkoszy zalewała ją kolejny raz.

Wstał, unosząc kobietę. Nogami opasała jego biodra, a aksamitnymi dłońmi objęła jego plecy. Podszedł do filaru i oparł ją o miękki materiał okrywający kolumnę. Ustami wpił się w jej szyję, a potężnymi dłońmi trzymał za okrągłe pośladki. Kobieta zadrzała, gdy jej ciało wymknęło się spod kontroli umysłu.

- Teraz moja kolej - szepnęła, i korzystając z magii, uniosła ich w powietrze.

Najpierw na łożo opadł Witeldon, a ona zaraz potem usiadła na nim. Nachyliła się i zaczęła lizać jego ucho. Wiedziała, że bardzo to lubi.

Znów zatracili się w pocałunkach. Jej organizm nie mógł się jednak równać z możliwościami Inkwizytora. Po kolejnych upojnych chwilach Czarnoksiężniczka westchnęła i znów pochyliła się nad mężczyzną, by ten znów wziął we władanie jej biust.

Mijały godziny, a ich ciała, niczym stopione, były jednym. Dwoje ludzi spożywało zakazany owoc leżąc, siedząc i stojąc. Wili się w najdziwniejszych pozycjach, które tylko lekko oddawały gorąc panujący wokół nich.

Ikarius impulsem przesłał wiadomość o gotowości zbroi. Nie była mu teraz potrzebna, więc zignorował informację. Vivienne przekręciła się na brzuch, by zaprezentować kochankowi swoją pupę. Znów do niej przyłgął.

Przytuliła się do niego i doszczętnie wyczerpana zasnęła. Drżała nawet przez sen. Tymczasem mężczyzna na swoich gałkach ocznych wyświetlił aktualny czas i stan pogody. Była 14.37, a temperatura na zewnątrz wynosiła dwanaście stopni Celsjusza. *Ciepło* - pomyślał, po czym spojrzał na leżącą obok piękność. Tym razem współżyli wyjątkowo mocno i długo. Rytuały, które przeszedł, sprawiały, że nie odczuwał zmęczenia, głodu i pragnienia, lecz jednocześnie zubożyły jego człowieczeństwo. Został odarty z wielu emocji, ekspresji i reakcji. Nie był już całkowicie człowiekiem. Był na swój sposób potworem. Bestią w ludzkiej skórze, która walczyła w słusznym świętym celu. Tak o sobie myślał.

Delikatnie wstał, podkładając Vivienne pod głowę jedwabną poduszkę. Okrył ją kunsztownie utkaną pościelą i ruszył do łazienki. Umył się i ubrał bieliznę, na którą założył skórzaną koszulę i spodnie. Kielich napełnił winem

i usiadł za biurkiem. Aktywował wyświetlacze i zaczął analizować, układać i rozbierać na części pozyskane informacje. *Coś ewidentnie przeoczyłem - pomyślał przez chwilę.*

- Myśl kreatywnie, nie szablonowo - wyszeptał.

Mapa całego miasta malowała się przed nim. Była ogromna, lecz znał położenie każdego punktu. Najpierw wykonał zbliżenie na dzielnicę XV-11, nanosząc miejsca wszystkich zneutralizowanych przez jego siły składowisk broni. Dodał znak wskazujący miejsce, gdzie dopadł Thomasa. Coś zaczęło się dziać w jego głowie, dostrzegł jakieś ukryte znaczenie. Zmniejszył zoom mapy, by mieć większy obraz. Zastanowił się, co jeszcze wie.

Incydent w Kuźni numer 41 - myślał i postawił pierwszy znacznik. Wieża czarnoksiężników, gdzie ćwiczyła wiedźma z nagrań - runa wybuchła światłem nad budynkiem. Wejście do ruin Podmiasta, gdzie będzie szukał Gregorego - punkt pojawił się i w tej lokalizacji. Dodał także dzielnicę LXXXV-17, do której niebawem wyruszy Alexandra.

Na całym Spero, które miał przed oczami, ukazał się zbiór kropek o różnym natężeniu. Nie widział głębi swojej pracy. Otworzył akta wszystkich agentów działających w tej intrydze, których tożsamość potwierdził z ich mistrzami. Niewiele się dowiedział. Różne daty zgonu, przyczyny, tereny operacyjne dalekie od siebie często o tysiące kilometrów, a nade wszystko brak wspólnej obecności na którymś Konklawe. *Co ich łączy w tym szaleństwie - zastanawiał się.* Lecz nagle w głowie pojawiła się pewna myśl.

- Łączy - powiedział na głos, wolno wypowiadając słowo, jakby dopiero się go nauczył.

Wrócił do mapy z zaznaczonymi miejscami i połączył wszystkie punkty złotymi liniami. To, co ujrzał, sprawiło, że jego serce zaczęło bić szybciej.

- Niemożliwe - westchnął.

Odwrócił się, gdy usłyszał za sobą krzyki. To Vivienne wierciła się, zawodząc przez sen. Zbliżył się do kochanki lekko zdziwiony. Był czujny. Wtem kobieta krzyknęła przeraźliwie, usiadła i szeroko otworzyła oczy. Mężczyzna wciąż podziwiał, jaka jest piękna. Spojrzała na niego i objęła. Odwzajemnił uścisk, lecz po chwili złapał ją za ramiona, odsunął od siebie i wejrzał w jej różowe oczy.

- Co się stało? - zapytał.

Czarnoksiężniczka zadrzała.

- Przyśnił mi się koszmar.

- Nie wydaje mi się, by to był tylko zły sen.

Pokręciła głową.

- Był taki realistyczny, jakby ktoś wszedł mi do głowy - położyła dłoń na jego piersi, tuż nad sercem. - Wszystko było w ogniu, a ty byłeś martwy.

Witeldon nie przejął się tą wizją.

- W jaki sposób umarłem? - sny osób władających magią działały czasem jak przepowiednie, dlatego zależało mu na tej informacji.

Vivienne mrugnęła, a wtedy łza spłynęła po jej policzku.

- Każdy tam poniósł śmierć. Ty, Ursus, Lydia... Wszystko płonęło, miasto, Sacrum, nawet niebo. Każdego zabiła ta kobieta.

- Kobieta? - Inkwizytora zaskoczyły słowa Białowłosej. Spodziewał się potężnego demona, na przykład jednego z Panów Piekła.

- Ona była wysłanniczką Piekła. Widziałam sztandary wszystkich mrocznych zastępów.

- Ciekawe - powiedział.

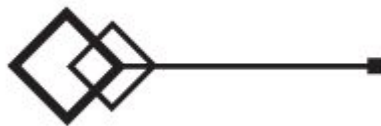
Czarnoksiężniczka zbliżyła się do niego. Odruchowo zamknął ją w swoich ramionach. Ona zerknęła w stronę biurka, na którym połyskiwała nie wyłączona projekcja. Zadrzała...

- Taki symbol miała na ciele - wyszeptała i ruchem głowy wskazała na efekt pracy Witeldona.

Jego oczy zastygły, zapatrzone w trzy krzywe linie powstałe na mapie. Znak cierpienia, zdrady i zawodu.

Nic jej nie powiedział. W duchu zaczął się modlić, by nie było to tym, o czym myślał. Zastanawiał się też, jak inni spożytkowali swój czas, który im dał. Obawiał się, że niedługo każdy zostanie wystawiony na próbę.

ROZDZIAŁ VII



STWÓRCA KOCHAŁ LUDZI WIELKĄ MIŁOŚCIĄ. OD ZAWSZE BYLI NAJWAŻNIEJSZYM DZIEŁEM JEGO BOSKIEJ TWÓRCZOŚCI. MIMO ŻE RAZ PO RAZ BŁĄDZILI, ON NIGDY OD NICH NIE ODSZEDŁ. ZAWSZE BYLI WIERNI I CNOTLIWI POD JEGO OPATRZNOŚCIĄ, A W CHWILI ŚMIERCI ICH DUSZE NIE LĘKAŁY SIĘ. NATOMIAST GRZESZNI I POTĘPIENI MOGLI DOSTĄPIĆ SPRAWIEDLIWEGO SĄDU.

DZIAŁO SIĘ TAK, GDYŻ W JEGO NAUCZANIU KAŻDY CZŁOWIEK BYŁ SOBIE RÓWNY. WSZYSTKO BYŁO ŚMIERTELNE I PRZEMIJAJĄCE, ZA TO ON WIECZNY I STAŁY. O JEGO MIŁOŚCI ŚWIADCZYĆ MOŻE FAKT, ŻE KIEDY ANIOŁY, JEGO DORADCY, NAJBARDZIEJ ODDANE ZE SŁUG, SPRZECIWIŁY SIĘ ZAAKCEPTOWANIU LUDZI, STWÓRCA PRZEKŁĄŁ ICH DECYZJĘ. WIĘKSZOŚĆ ZMIENIŁA ZDANIE I STAŁA SIĘ SPRZYMIERZENCAMI I OPIEKUNAMI ISTOT CZŁOWIECZYCH. NIEKTÓRE UPADŁY DO CZELUŚCI PIEKIELNYCH I WZMOCNIŁY SZATAŃSKIE ZASTĘPY.

W PLANIE BOŻYM LUDZIE SĄ JAK PŁOMIENIE ŚWIEC. KOŁYSZĄ SIĘ NA WIETRZE, PRÓBUJĄC PŁONAĆ I PIĄĆ SIĘ W GÓRĘ, LECZ WYSTARCZY JEDEN PODMUCH I GASNĄ. POZOSTAJE PO NICH DYM ULATUJĄCY DO NIEBA I DOGORYWAJĄCY ŻAR, KTÓRY ZAJDZIE CHŁODEM W CISZY. NIEMY DRAMAT.

PRAWDĄ JEST, ŻE LŚNIENIE JEDNEGO NIE POKAŻE DROGI NIKOMU. JEDNAK BLASK MILIONÓW ROZPROSZY KAŻDY MROK I OŚLEPI TYCH, KTÓRZY NIE SĄ GODNI, BY PATRZEĆ NA ŚWIATŁO LUDZKOŚCI NATCHNIONEJ MIŁOŚCIĄ STWÓRCY. CZŁOWIEK POWINIEN JEDNAK PAMIĘTAĆ, ŻE TO UCZUCIE JEST KOSZTOWNE, A ZAPŁATA JEST NIEUBŁAGANA. LECZ WARTO KOCHAĆ, GDYŻ MAJĄC W SERCU JEGO MAJESTAT I TWARZE NAJBLIŻSZYCH, ŚWIATŁOŚĆ GATUNKU LUDZKIEGO NA ZAWSZE BĘDZIE LATARNIĄ, KTÓRA POPROWADZI LUDZI KU ZWYCIĘSTWU ZE SPACZENIEM I PLUGAWYMI POMIOTAMI OTCHŁANI.

CZEŚĆ ROZMYŚLAŃ TEODORA MAURA, WYSOKIEGO PONTIFEXA STWÓRCY.

Piętnaście minut zajęło Ursusowi przedostanie się z centrum dowodzenia do hangaru, w którym czekał myśliwiec. Szedł spiesznym krokiem, chcąc jak najszybciej opuścić Sacrum. Wsiadając do Kolibra zobaczył, że Alexandra również szykuje się do startu. Wystawił do niej swoją umięśnioną dłoń

w goście, który miał znaczyć *Powodzenia*. Kobieta nie odwzajemniła grzeczności, tylko kiwnęła głową i pomknęła w swoją stronę.

- I tak dużo jak na nią - mruknął pod nosem. Wiedział, że znacznie bardziej od ludzkiego towarzystwa, zwłaszcza jego osoby, wolała ogary.

Mężczyzna skierował statek w górę i ruszył przed siebie. Spojrzał na czasomierz. 7.03. *Będę na styk* - pomyślał. Gdyby nie urządzenia pokładowe, którymi naszpikowana była maszyna, nie widziałby niczego w otaczającej ciemności. Słońce już wzeszło, lecz gęste chmury sprawiały, że nie dało się odróżnić dnia od nocy.

Koliber nie zmierzał w stronę Pałacu Gubernatora, jakiejś Kuźni albo świątyni. Ursus kierował się do wysuniętej małej placówki Witeldona. Jego przełożony założył serię ściśle tajnych punktów w kluczowych lokalizacjach. Chciał, by wszyscy agenci, których wysyłał na akcję, mieli dogodnie miejsce do prowadzenia długich dochodzeń.

Minąwszy mury, lawirował w labiryncie miejskiej dżungli, aż w końcu zniknął wśród zabudowań opuszczonego klasztoru. Wykorzystując zerwany dach, wylądował w samym środku wielkiego budynku. Specjalnym kodem rozesłał hasło, które obowiązywało w tych posterunkach. *Słowa nic nie znaczą*. Po chwili przyszła odpowiedź od agenta Helta, który nadzorował to miejsce. *Liczą się czyny*.

Kolos, tak był często nazywany, wyskoczył z myśliwca, by przywitać się z zamaskowaną postacią. Podali sobie dłonie. Po męsku.

- Witam cię w Elizjum, Ursusie - rzekł specjalista i ręką wskazał na nowoczesny czterokołowiec. - Pojazd czeka, gotowy jak zawsze.

- Dziękuję. Niechaj Światłość nigdy nie zgaśnie - Wielkolud wypowiedział formalne pożegnanie Świętego Oficjum i ruszył do maszyny.

- Niechaj nigdy nie zgaśnie - zawtórował Helt, ubrany w czarny kombinezon z płaszczem kamuflażowym i posrebrzaną maskę w kształcie czaszki. Był znacznie niższy od swego gościa. Mniej więcej wzrostu Witeldona, lecz równie potężnie zbudowany, jak kapitan.

Ursus otworzył skrzydłowe drzwi samochodu. Był mały, lecz bez problemu się zmieścił. Auto było smukłe, aerodynamiczne i pokryte krystalicznie czystym, czarnym lakierem. Włączył silnik zasilany bateriami. Na przedniej szybie wyświetliły się urządzenia pokładowe. Lekko się uśmiechając, nacisnął gaz. Elektryczny napęd sprawił, że maszyna od razu przyspieszyła.

Minął otwarte wrota klasztoru i wyjechał na jedną z licznych w Spero dróg dla uprzywilejowanych. Mogli po nich jeździć nieliczni – szlachta, najwyżsi rangą urzędnicy z Pałacu Gubernatora, Inżynierowie, kapłani, dowódcy armii i przedstawiciele Inkwizycji. Położone wysoko nad dzielnicami biedoty, wśród wież mieszkalnych, świątyń i innych budynków powstałych z krwi męczenników, robiły wrażenie. Tysiące kilometrów gładkich jak jedwab dróg niczym pajęczyna rozpościerało się wśród miasta. Ursus nie czuł jednak strachu. Był w stanie poradzić sobie z każdym środkiem transportu, organicznym bądź mechanicznym.

Mknąc z prędkością ponad trzystu kilometrów na godzinę, wyprzedzał nieliczne pojazdy, które pojawiały się na drodze. Zawsze zachwycał się jakością samochodu, który prowadził. *Inkwizytor zna się i na tym* – pomyślał i westchnął, kiwając głową. *To, że go stać, to inna sprawa* – zreflektował się sam. Jak zawsze. Znów kątem oka zerknął na czas, 8.07. *Zdązę* – uspokoił się w myślach.

Wjechał do Dzielnicy I-4 i pędził tak szybko, na ile pozwalały okoliczności. Nie po jakiś dokument o znaczeniu strategicznym czy po to, by walczyć na śmierć i życie. Gnał, by stawić się na czas pod murami wzniesionej w gotyckim stylu Akademii Świętego Józefa, najwyższej rangą uczelni w całym Spero.

Dojechał pod same wrota. Wsiadł i kolejny raz zerknął na czasomierz. 8.28. Idealnie.

Po stu dwudziestu sekundach mechanizm obudził się do życia. Przez otwartą bramę zaczęły wychodzić tłumy uczennic, ubrane w gustowne białozłote uniformy. Każda z nich wędrowała w stronę pojazdów przeznaczonych do transportu elity, a niektóre kierowały się na parking, gdzie czekały prywatne limuzyny. Jedna dziewczynka biegła prosto do niego, miała rozłożone ręce i uśmiechniętą twarz. Jego córka.

Ani on, ani ona nie byli miejscowi. Przodkowie Ursusa od pokoleń zamieszkiwali mroźną północ. Burze śnieżne, lawiny, temperatury, które spadały nawet poniżej minus sześćdziesięciu stopni Celsjusza, nie mówiąc już o surowości terenów, sprowadzały na mieszkańców krainy ciężki los. W zamian uczyły braterstwa, szacunku do siebie i do świata, przetrwania i doceniania życia. Dla mieszkańców mroźnych kresów najważniejsza była rodzina i wspólnota. Tylko razem mogli walczyć o każdy nowy dzień.

Lodowe krainy były bogate w surowce i zaginione fragmenty technologii z ery przed Dniem Kary. Była to istna kopalnia złota. Ursus wraz z innymi śmiałkami zdobywał skarby, które sprzedawał za gigantyczne sumy. Jeszcze wtedy miał pełną rodzinę. Jego żona nosiła imię Stella, co w języku Świętych Tekstów oznaczało Gwiazdę. Taką właśnie gwiazdą była dla niego, jej poświęcał siebie.

Trwali spokojnie w ciepłe i miłości, wśród innych życzliwych dusz, otoczeni zamrażającym piekłem. On i kobieta jego życia ogrzewali się gorącym uczuciem. Po jakimś czasie wspólnego poznawania swoich dusz doczekali się potomka. Miał wreszcie wszystko, czego pragnął. I właśnie wtedy jego mikrokosmos przestał istnieć. Niebo zasnęło się krwią. Ziemia zaczęła się trząść. Przybyli oni...

Demony wylały się na cały obszar Trzech Pazurów, krainy, z której pochodził. Tysiące kilometrów skutej śniegiem i lodem zmarzliny stało się miejscem rzezi, jak z najgorszych koszmarów. Wkrótce z odsieczą przybyli tajemniczy ludzie z najnowocześniejszymi maszynami i bronią, jakiej nigdy jeszcze nie widział. Emanowali światłem, które walczyło z ciemnością. Ursus ze swoją rodziną postąpili tak samo jak inni. Uciekli.

Wielu nie wytrzymało długiej wędrówki przez śnieżyce i lód. Ludzie padali i zmarzali, aż w końcu został sam z żoną i córeczką. Niósł je obie wiele kilometrów, lecz powoli zaczęła go dopadać słabość. Wiedział, że musi odpocząć. Znalazł bezpieczną jamę i w niej postanowił złapać oddech. Dygocząc z zimna, okrył obie kocem i objął ramionami. W jego życiu były najcenniejsze. Zmęczony zasnął. Wtedy wieczna zima postanowiła zabrać Stellę. Odeszła, trzymając Amelkę w ramionach. Wyglądała tak, jakby umierając oddała małej wszystkie swoje siły.

Jego ból był wielki, a ryk, który z siebie wydał, zatrzęsł okolicznymi górami, lecz przecież nie mógł się poddać. Szedł więc dalej z nadzieją, że uratuje chociaż swoje dziecko. Nie wiedział, że całą drogę śledził ich sługa Szatana, który miał inny plan. Uderzył, kiedy mężczyzna się nie spodziewał. Zranił Człowieka z północy i próbował dobrać się do niemowlęcia. Walka, choć zacięta, nie trwała długo. *Behemot*, magiczny topór, który był w jego rodzinie od pokoleń, przeciął spaczony cielsko i skruszył czarcie kości. Jednak wcześniej bestia zdążyła przekląć dziecko.

Z dziewczynki zaczęło ulatywać życie. Wielkolud pękł, niczym talerz rzucony o ścianę. Półprzytomny, w strachu i rozpaczony biegł, nie wiedząc

dokąd. Łkał i prosił Stwórcę, by uratował jego pierworodną, nawet gdyby miał wziąć go w zamian. Nie spodziewał się, że zostanie wysłuchany, lecz właśnie wtedy na niebie rozbłysło światło, a po chwili obok niego wylądował myśliwiec. To był Inkwizytor. Pojawił się tu nie przypadkiem. Ścigał zbiega, demonicznego zabójcę i sługę Szatana. Chciał go unicestwić, lecz ubiegł go Ursus.

Olbrzym rzucił się na kolana.

- Ty masz władzę nad śmiercią. Widziałem, jak walczyliście z diabłami i odsyłaliście ich w niebyt. Ale wierzę, że tacy jak ty mogą też dawać życie. Błagam, uratuj ją! - wykrzyczał i wyciągnął przed siebie swoje potężne, umięśnione dłonie, w których trzymał niemowlę.

Twarz brodatego mężczyzny nie zdradzała żadnych emocji. Jego ciemne oczy były puste i zimne.

- Nie zostało jej dużo czasu - przemówił spokojnym głosem.

Gigant, słysząc te słowa, spurpurowiał na twarzy i zaczął płakać. Łzy, które spływały po jego policzkach, zamarzały, zanim spadły na lód.

- Ona nie może umrzeć! Nie może...

- Wielu poniosło śmierć w tej wojnie - powiedział ubrany w niebieską zbroję mężczyzna.

Ursus objął Amelkę najdelikatniej jak mógł i przytulił do swojej piersi. Nie słyszał bicia jej serca.

- Uratuj ją, błagam, a zrobię co zechcesz - wydał z siebie jęk konającego zwierzęcia.

- Wszystko? - zapytał mężczyzna.

Nawet gdy stał, był tylko trochę wyższy od klęczącego olbrzyma.

- Moje życie za jej - szepnął, nie mogąc złapać tchu. Czuł się już martwy, a przez zamrożone powieki nie widział, czy ma jeszcze z kim rozmawiać.

Nieznajomy nic nie mówił, nawet nie drgnął.

Lamentujący Ursus załkał jeszcze raz.

- Błagam, proszę, błagam cię... - powtarzał jak mantrę.

W końcu Inkwizytor podjął decyzję.

- Umowa stoi - powiedział i podszedł do klęczącego.

Jedną rękę przyłożył do czoła dziewczynki i szybkim ruchem palców nakreślił tajemny symbol. Dziecko ożyło, jego skórze wróciły kolory, zaczęło płakać.

Lamentujący też zaniósł się płaczem, lecz tym razem były to łzy radości. Spojrzał na tajemniczego przybysza, który zmierzał już w stronę myśliwca.

- Dziękuję - wychrypiał.

Inkwizytor odwrócił się do niego, przyjrzał mu się przenikliwie i przemówił.

- Nie dziękuj, tylko ładuj się do środka. Umowa to umowa.

I tak w życiu Ursusa zaczął się zupełnie nowy rozdział. Zamienił skutą lodem krainę na największą metropolię na planecie, a futro na pancerz. Tylko topór wciąż pozostał jego bronią. Jak się później dowiedział, to właśnie Witeldon, ponad osiemset lat temu, ofiarował go jego przodkom.

Najpierw nauczył się sposobu walki Mortusów. Minęły trzy lata, nim został ich kapitanem. Inkwizytor nie widział nic przydatnego w Amelce. Nie chciał jej jako akolity. Miał inną wolę. Gdy skończyła pięć lat, posłał ją do Akademii Świętego Józefa, najbardziej elitarnej ze szkół, gdzie rok nauki kosztuje dwadzieścia tysięcy oriakli. Czyli jakieś trzydzieści kilogramów srebra. Wszystko to sam opłacał. *W nagrodę za dobrą służbę* - mawiał.

Mężczyzna z blizną na twarzy był wdzięczny członkowi Świętego Oficjum za to, co ten dla niego robił. Nie mógł nawet wyśnić dla Amelki lepszej przyszłości. Córka nie pamiętała pobytu w bazie Inkwizytora. Miała wyczyszczoną pamięć. Ursus okłamał ją, że jest kapitanem służącym w armii szlacheckiej. Opowiadał, że podróżuje daleko, nawet za kontynent, by walczyć w imię swojego Błękitnokrwistego Pana. To miało tłumaczyć, dlaczego odwiedza ją tylko raz do roku, zawsze na zakończenie semestru.

Trzy miesiące wakacji. Uczennice tej żeńskiej szkoły zwykle wracały do swych rodzin. Wiele bawiło się w przepięknych salonach i rezydencjach, nie znając żadnych ograniczeń. Inne odbywały egzotyczne wycieczki wraz ze swoją liczną świtą. Dziewczyna z północy ani nie podróżowała, ani się nie bawiła. Przez niemal sto dni wakacji doksztalała się w Kręgu Czarnoksiężników, gdzie mogła rozwijać swoją pasję, czyli tworzenie run. Nie była uzdolniona magicznie. Nigdy nie byłaby w stanie miotać piorunami z dłoni, przenosić się w przestrzeni albo zmieniać w zwierzę. Miała jednak inną zaletę. Z niesamowitą, jak na jej młody wiek, sprawnością i intuicją odnajdywała się w starożytnych językach i magicznych runach, które razem nadawały przedmiotom niesamowite właściwości. To, że mogła się rozwijać pod okiem magów, również było cichym działaniem Witeldona.

- Tatusiu! - zwinna i smukła szybko pokonała dzielącą ich odległość.

Rzuciła mu się na szyję, całując w policzek. Ursus odniósł wrażenie, że znów urosła, a przecież miała już dziewiętnaście lat.

Amelia była wysoką młodą kobietą. Niższa od ojca o ponad głowę, mogłaby się równać wzrostem z Vivienne. Była szczupła i zgrabna, co z kręconymi, długimi włosami w kolorze miedzi i delikatną, piegowatą twarzą czyniło ją atrakcyjną w oczach mężczyzn. Nie posiadała tak bajecznych i przesyconych erotyzmem kształtów jak inkwizytorska Czarnoksiężniczka, lecz nie mogła czuć się poszkodowana przez los.

Cała Stella - przeszło mu przez myśl, gdy patrzył na córkę.

- Przyjechałeś! - krzyknęła i jeszcze raz się w niego wtuliła.

Ursus zaniósł się szczerym śmiechem.

- A dlaczego miałbym nie przyjechać do mojej gwiazdeczki? Nawet będąc na końcu świata przybyłbym na czas.

Dziewczyna wyjęła ze skórzanej teczki papierowy zwój. Rozwiązała karmazynową wstążkę, którym był związany. Uśmiechała się promieniście i podskakiwała z dziewczęcą radością, podsuwając dokument pod nos ojca.

- Moje świadectwo - rzuciła dumnie z wypiętą piersią, jakby prezentowała medal.

Ursus wczytał się w kartkę, którą miał przed oczami. Wszędzie, zaczynając od zajęć teoretycznych, przez praktyczne, aż po wychowanie fizyczne, widział same najwyższe stopnie i wartości punktowe.

- Jestem z ciebie dumny - powiedział czule, czochrając jej bujne włosy.

Dziewczyna chichocząc przeszła pod ramieniem ojca, udaremniając mu zniszczenie fryzury do reszty.

- Zostaw, chesałam się chwilę temu - śmiała się.

Mężczyzna również się śmiał.

- A mi się wydaje, że z grzebieniem rozstałaś się lata temu - rzucił i skulił się lekko, gdy poczuł kuksańca pod żebrami.

- Nie mów tak! Aaa... - piszcząc, cofnęła się pospiesznie, uciekając przed łaskotkami.

Oboje spojrzeli na siebie szczęśliwi i radosni. Cieszyli się sobą po roku rozłąki. Mieli tylko jeden dzień. Po raz czwarty sprawdził godzinę. 9.17. *Stwórco, jak to życie gna* - pomyślał.

- Co chcesz zrobić? - zapytał i zaklaskał w dłonie.

Młoda studentka zamyśliła się i złapała ojca za palce jego prawicy. Spojrzała mu w oczy, a jej wzrok zdradzał lekką niepewność.

- W Dzielnicy XVI relaksacyjnej, na głównym placu, zorganizowali coś na kształt wesołego miasteczka. Ale... To chyba odpada, co? - mówiła niepewnie, kręcąc przy tym głową.

Wielkolud zdziwiony wzruszył ramionami.

- Dlaczego niby odpada, skarbenku?

- Bo nie ma już biletów, a poza tym wszystko jest dla szlachetnie urodzonych. Pojedziemy gdzieś indziej.

- Bardzo chcesz tam iść?

Dziewczyna pokiwała głową.

- Cały ostatni miesiąc plotkowali o tym w grupie. Nawet mi się to przyśniło - mówiąc to, wyraźnie się uśmiechnęła. Musiał to być piękny sen.

Olbrzym objął delikatnie jej dłonie.

- Więc postanowione, kierunek dobra zabawa w szesnastej - przemówił tubalnym głosem i podniósł ją jak pannę młodą.

- Hahaha, przecież mogę chodzić, tatusiu - krzyknęła, śmiejąc się. - Jak nas tam niby wpuszczą? - spoważniała.

- Mam plan - szepnął do niej z wilczym uśmiechem.

Przeszli do pojazdu.

- Jaki piękny! - zachwyciła się Amelka. - W tamtym roku był inny.

Mężczyzna postawił córkę i otworzył jej drzwi.

- Prawda, że wygląda niesamowicie? - westchnął przejęty, przechodząc na stronę kierowcy.

Wsiedli. Ursus kierował się na główną autostradę i po chwili mknęli do celu. Szczęrzył się na myśl, że obok siedzi promyk jego szczęścia.

- Łaaa, jak szybko! - pisnęła w zapiętych pasach, gdy siła przyspieszenia wgniatała ją w fotel.

- Nieziemska maszyna, co? To z kolekcji tego szlachcica, o którym ci mówiłem. Pożyczył mi, bym zdążył na czas do ciebie, mój misiaczku.

- Jak to miło z jego strony. Musi być wspaniałym człowiekiem, prawda tatusiu?

- Bez wątplenia jest człowiekiem wyjątkowym. Drugiego takiego nie spotkasz na planecie.

Prowadził auto, przecinając drogę, zawieszoną setki metrów nad ziemią. Jechał z wprawą mistrza kierownicy, zręcznie wyprzedzając pędzące przed nim samochody. Nie minęło pół godziny, gdy dotarli na parking przeznaczony dla szlachty i elit społecznych. Bramy otworzyły się automatycznie, ponieważ samochód miał inkwizytorskie kody. Zaparkował pojazd w wolnym sektorze, wysiadł i otworzył skrzydłowe drzwi pasażerze. Podał jej dłoń.

- Dojechaliśmy. Teraz pozostaje nam wejść i bawić się - mówił, pomagając jej wysiąść z niskiego pojazdu.

Ich oczom ukazało się magiczne miejsce. Pięknie przystrojone stoiska, dziwaczni, budzący zachwyt cyrkowcy, stragany z najrozmaitszym jedzeniem oraz liczne budki z grami.

Zadziwiające, że kilkaset metrów pod tą wypolerowaną warstwą ze złota ludzie jedzą chwasty albo własnych zmarłych. Tak samo jak w dzielnicach biedoty - zamyślił się mężczyzna.

- Jak tu bajecznie! - zachwyt córki wyrwał go z transu. - Spójrz, jak tamten człowiek zionie ogniem - powiedziała i zaczęła go ciągnąć w stronę sztukmistrza.

Stanęli wśród kilkudziesięciu osób. Wszyscy z wielkim zainteresowaniem przyglądali się pokazowi pirotechniki. Cyrkowiec ubrany w czerwony strój, przypominający ubiór dalekowschodniego pustynnego wędrowca, dumnie prezentował się z jasnokrwistymi, zaczesanymi na sztorc włosami. Żonglował płonącymi kijkami, które szybując w powietrzu, przypominały ogniste dyski. W pewnym momencie złapał wszystkie i dmuchnął w nie. Nad głowami widzów pojawił się ognisty jęzor, przypominający smoczy oddech. Otrzymał gromkie brawa, za które dziękował, kłaniając się nisko.

Amelka była w siódmym niebie. Przeskakiwała od jednego artysty do drugiego. Minęły zaledwie dwie godziny, a już zobaczyła człowieka, który był w stanie giąć żelazne pręty i przegryźć łańcuchy, niesamowitego magika, znającego tysiąc i jedną sztuczkę z kartami, miała okazję potrzymać na własnych ramionach gigantycznego węża. Zwalczyła strach tylko dzięki bliskości Ursusa, który pomógł jej podnieść gada.

Potężne, misternie wykonane latarnie, oświetlały górne, bogatsze części miasta. Dawały namiastkę dnia w świetle ciągłej nocy. W żadnym razie nie przeszkadzało to dwójce ludzi w radosnym spędzaniu czasu. Jeździli na

karuzeli, o którą dbali początkujący nowicjusze Inżynierów. Przy swoich gabarytach kapitan wyglądał na niej co najmniej komicznie.

Robiąc chwilę przerwy, wpadli do bufetu. Mogli smakować wszystko, na co mieli ochotę. Studentka nałożyła sobie mięso kurczaka. Najprawdziwsze mięso z najprawdziwszej kury. Przyprawione egzotycznymi przyprawami, wręcz rozpływało się w ustach. Za dodatki posłużyły ziemniaki polane masłem. Do picia zamówiła napar z liści herbaty, która sprowadzona z dalekich, mniej zniszczonych stron globu, kosztowała fortunę. Kapitan natomiast jadł adekwatnie do swoich wymiarów - wszystkiego po trochu.

- Smakuje ci? - zapytał, popijając wodę wzbogaconą dwutlenkiem węgla. Lekko musowała w ustach.

- Pyszne - odpowiedziała z pełną buzią.

Ursus wpatrywał się w nią uśmiechnięty. Zajadała i cały czas obserwowała wesołe miasteczko, które rozpościerało się pod nimi. Oboje siedzieli przy małym stoliku, na tarasie klimatycznej restauracyjki, wzniesionej wyżej niż reszta kompleksu. Grała muzyka, a barwnie ubrani w skóry i szykowne paradne zbroje mężczyźni spacerowali w towarzystwie przepięknych kobiet, wystrojonych w suknie i futra. Dzieci ganiały się wzdłuż i wszerz, śmiejąc się i piszcząc. Zupełnie jakby to był sen. Nie było w nim śmierci, głodu, bandytów, potworów czy demonów.

Takie życie wiedli jednak nieliczni. Reszta umierała niemo, w wiecznym mroku. Zamyślony Ursus rozważał, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby nie inwazja na jego dom. Jak wyglądałoby jego życie i jaka byłaby przyszłość Amelki? Nie umiał odpowiedzieć na te pytania, lecz wiedział jedno. *Gdyby wtedy z nieba nie spłynął deszcz krwi, Stella wciąż by żyła. Dziewczyna miałaby matkę, a ja żonę.*

Mogłoby się zdarzyć, że młodą studentkę ktoś nazwałby sierotą. Miałby ku temu podstawy. Jej rodzicielka nie żyła, a ojca widywała raz do roku. Jednak czynił wszystko co mógł, by umiała poradzić sobie w życiu. *Wysztalcenie to podstawa. Dzięki niemu będzie żyła godnie. Na takim poziomie, na jaki zasługuje. Tak, by niczego jej nigdy nie zabrakło. Świat to okrutne miejsce, lepiej żeby nie musiała zasmakować nigdy jego goryczy* - Ursus często to sobie powtarzał.

- Halo, Ziemia, obudź się! - mówiła dziewczyna, machając ręką.

- Mhm, co? - odparł wyrwany z własnego stuporu.

Amelka wyglądała na lekko zmartwioną.

- Coś się stało, tatusiu? - zapytała.

Wielkolud momentalnie wyteżył wszystkie komórki nerwowe mózgu. Każdy jego proces myślowy dostał rozkaz, by wymyślić zadowalającą odpowiedź. Można powiedzieć, że przeszedł samego siebie.

- Wiesz... zastanawiałem się, czy... nie mają... tutaj..., mhm..., strzelnicy - odparł zwyczajnie, by zachować naturalność. Aktorem był jednak niezbyt dobrym.

- Strzelnicy? - powtórzyła, kompletnie zaskoczona.

- Tak - westchnął, gratulując w duchu swojemu bystremu umysłowi. - Pora, by tatko pokazał ci, dlaczego mówią na niego snajper.

- A mówią? - Amelka była ogromnie zdziwiona jego wyznaniem.

- A i owszem - potwierdził, modląc się, by gdzieś tutaj mieli strzelnicę.

Stwórca był dla niego łaskawy - znaleźli ją, usytuowaną na uboczu. Mieściła osiem stanowisk dla dorosłych, trzy mniejsze, ze słabszą bronią dla nastolatków oraz cztery malutkie, gdzie zamiast arsenału z ostrą amunicją w ruch szły wypełnione piaskiem materiałowe piłeczki. Nawet najmłodszy mieli szansę pochwalić się sokolim okiem.

Ursus wypożyczył standardowy, półautomatyczny karabin, będący na wyposażeniu wojsk zwykłych armii i zajął miejsce. Dziewczyna patrzyła z boku na ten pokaz. Kapitan wycelował w blaszkę z wymalowanymi numerami i z odległości stu metrów oddał strzał. Wiedział, że trafił. Strzelił jeszcze cztery razy, zabezpieczył broń i nacisnął guzik. Tarcza zaczęła zbliżać się do stanowiska strzelniczego. Policzył punkty, czterdzieści dziewięć na pięćdziesiąt. Tylko jeden ślad poza dziesiątką. Usłyszał za sobą oklaski.

- Brawo, tato! Jesteś najlepszy! - mówiła podniesionym tonem Amelka.

Rzeczywiście wynik był niezły.

- Dziękuję, skarbie - powiedział, uśmiechając się. - Chcesz spróbować? - wskazał na karabin.

Studentka pokręciła głową.

- Nie! Nie mam do czegoś takiego zaufania, ale pójdę na piłeczki - oznajmiła. - Ty się baw, jeśli chcesz.

- Dobrze - kiwnął głową i wznowił ostrzał tarczy.

Pomiędzy seriami sprawdził czas i cicho gwizdnął. 17.48... *Tak szybko, tak szybko* – westchnął. Zużył sto naboju, zdobywając doskonałe noty. Oddał broń nadzorcy strzelnicy i skierował się w stronę sektora dziecięcego. Wtem usłyszał płacz małego dziecka. Wychylił się zza rogu i zobaczył córkę klęczącą obok małego chłopca. Miał może sześć lat. Ubrany w kurtkę, spodnie i buty. Wszystko ze skóry, zabarwionej na ciemny turkus. Strój miał lekkie pomarańczowe akcenty i wyszytą na piersi głowę kruka. Bez wątplenia był to symbol rodu szlacheckiego.

- Co się stało? Zgubił się? – zapytał.

Amelka zaprzeczyła.

- Chciał wygrać zabawkę, lecz nie udało mu się strącić pucharów – wstała i pogłaskała malca po głowie. – Rodzice poszli coś zjeść, a on nie był głodny, więc przyszedł tu. Chciałam mu pomóc, ale chyba nie mam dość siły i też wyszła kicha.

- Są... takie piękne – malec zaszlochał.

Ursus przyklęknął obok niego.

- Jak masz na imię? – spytał.

- Tobi – chłopiec i Amelka odpowiedzieli razem.

Kapitan spojrział na zapłakane dziecko.

- Tobi, z tego co widzę, jesteś chłopcem, tak?

- Tak – zapłakany pokiwał głową.

- Czyli jest z ciebie już taki mały mężczyzna.

Kolejne twierdzące ruchy głową.

- Mężczyzna walczy o swoje i nie poddaje się. Nigdy.

Chłopiec nie był jednak przekonany.

- Kiedy te kubeczki są przykręcone – pisnął naburmuszony.

Studentka znów poczochnęła jego włosy, a tymczasem Wielkolud przyjrzał się, czy dziecko mówi prawdę. Jego wytrenowane oko zauważyło podoczepiane syntetyczne deseczki z tyłu piramidek, ułożonych z plastikowych pucharów. *A to skurwysyn* – pomyślał o właścicielu. Żadne dziecko, a nawet mały który dorosły byłby w stanie obalić coś takiego szmacianą piłką wielkości pomarańczy. Chyba że będzie to ktoś jego gabarytów i siły.

Podszedł do lady i przemówił do mężczyzny, który stał odwrócony plecami i coś czytał.

- Chciałbym zagrać.

- Już daję amunicję szanownemu... - zaczął mówić, odwracając się. Jednak, żeby spojrzeć w twarz Ursusa, musiał unieść wysoko głowę. Bardzo wysoko - ...gościowi - dokończył zszokowany.

- Trzy wystarczy - rzucił pośpiesznie Gigant.

Zważył każdą piłeczkę w dłoni. *Wykonalne* - stwierdził, oceniając wagę swoich nowych pocisków. Szef przybytku nie wyglądał na zadowolonego. Co innego naciągać małe, bezbronne dzieciaki, co innego takiego kolosa. Żarty się skończyły.

Ursus skoncentrował się i na swój pierwszy cel wybrał konstrukcję najbardziej wysuniętą na lewo. Wziął potężny zamach i rzucił z prędkością błyskawicy. Siła była tak duża, że lekko przybite deseczki wraz z pucharkami zostały rozrzucone na wszystkie strony. Właściciel musiał zrobić unik, by nie dostać w głowę jednym z naczynek. Tymczasem Kapitan dokonywał już dzieła zniszczenia drugiej piramidki. Trzecia również nie miała szans. Wielki człowiek usłyszał, jak Tobi i Amelka wiwatowali z zachwytu i zwycięstwa nad niesprawiedliwością.

- Teraz chciałbym odebrać nagrodę - powiedział do chowającego się pod ladą oszusta.

- Al... ależ... ooczywiście - wstał i zaczął zdejmować pluszowe maskotki wielkości małej poduszki.

Na blat położył trzy.

- Po jednej za strącony cel - powiedział głośno i donośnie. - A teraz proszę się stąd zabierać, jeśli łaska - dodał już ciszej.

Gigant spojrzał na niego z góry.

- Ja zaś proszę, byś nie oszukiwał dzieci - również przemówił półgłosem. - A jeśli tego nie zrobisz, to wtedy znajdę cię choćby i na krańcu świata, aby rzucić nie piłeczką, a tobą, i nie o piramidkę z pucharków, a o skały. Zrozumiałeś? - dokończył ledwo słyszalnie z rozbajającym uśmiechem na ustach.

Cwaniak pobladł i pokiwał głową.

- No i fajnie - zaśmiał się Ursus i z łupami podszedł do promieniejących radością dzieci. Nawet jeśli jedno miało już dziewiętnaście lat.

- Proszę, jeden dla ciebie - dał zabawkę córce. - Drugi dla ciebie, chłopcze - Tobi natychmiast przytulił maskotkę do piersi i aż podskoczył

z radości. – No i wychodzi, że trzeci dla mnie – przyjrzał się przez moment trofeum.

Nie był to najpiękniejszy pluszak we wszechświecie. Wielki niebieskawy tors o czterech małych nóżkach, średniej długości ogon, pyszczek wysyty z noskiem na białym materiale i oczka z guzika. *Bądź co bądź, to jednak skarb zyskany w boju* – pomyślał. Przypominał mu kota.

– Jak je nazwiemy? – zapytała Amelka.

– Nie mam pojęcia – zaśmiał się Ursus.

Jedynie chłopiec wykazał się kreatywnością.

– Mój to Tipi – powiedział i wskazał na zwierzątko dziewczyny. – Twój to Ripi, a pana to Kipi.

– Piękne imiona! – zachwyciła się studentka.

Kapitan spojrział na zegar, 19.03. *Życie leci za szybko* – ta myśl przeszła jego umysł.

– Amelko, musimy się zbierać – powiedział. – Mamy jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Spojrziała na niego i kiwnęła głową ze zrozumieniem.

– Tobie, wrócisz sam do rodziców?

– Tak! – pisał, będąc wciąż w euforii. – Są w restauracji nad nami.

– W takim razie zmykaj, chłopcze, i pamiętaj, by nigdy się nie poddawać – przemówił do dzieciaka.

– Tak, proszę pana. Dziękuję za pluszaka – odpowiedział malec i zaczął biec, znikając po chwili wśród tłumów.

– Pa, pa, Tobie! – krzyknęła na pożegnanie dziewczyna.

Ojciec i córka postali jeszcze chwilę, po czym skierowali się do samochodu. Młoda kobieta z maskotką, którą trzymając za łapki niosła na głowie, wyglądała słodko. Mężczyzna swojego kotopodobnego stworka taszczył pod pachą. Prezentował się tak samo dziwnie, jak uroczo. Kiedy wsiadali do pojazdu, Amelka raz jeszcze rzuciła okiem na wesołe miasteczko, które ciągle było pełne ludzi. Uśmiechnęła się i wcisnęła przycisk. Drzwi zamknęły się, a pojazd ruszył.

Jechali przez pajęczyny podniebnych dróg. Światła tysięcy latarni, z różnych poziomów miasta, zastępowały gwiazdy, których nie szło zobaczyć na zawsze zachmurzonym niebie. Mimo zawrotnych prędkości, które osiąkali, czekała ich długa podróż. Studentka patrzyła na wygraną.

- Ładnusi. Tobie się twój podoba? - zapytała.

- Przypomina mi ciebie - odpowiedział z wilczym wyrazem twarzy.

- Ej, to nie było miłe! - pisnęła.

Ursus zarżał donośnie, a ona po chwili porzuciła focha i dołączyła do niego.

- Jak tak myślę, to twój też przedstawia pewne cechy właściciela.

Mężczyzna uniósł brew.

- Doprawdy? A jakie?

Amelka próbowała zdusić śmiech. Wyciągnęła rękę i poklepała Kapitana po brzuchu.

- Obydwaj macie tutaj co nieco za dużo - oznajmiła i zaczęła chichotać.

Ursus pokiwał głową, udając zawiedzionego.

- Humorek ci się wyostrza, moja panno.

Dziewczyna pogładziła ojca po ramieniu.

- Tatku, na uczelni nie tylko uczymy się z książek - oznajmiła. - Są jeszcze długie debaty, które toczyliśmy w akademikach z koleżankami

- Rozwijacie umiejętności praktyczne, jak dopiekanie starszym od siebie - rzucił, parszając.

Amelka przejęła się i klasnęła dłońmi w swoje uda.

- To nieprawda! - krzyknęła. - No... może trochę - dodała po chwili.

- Tak myślałem - mruknął i spojrzał na nią.

Na ustach wciąż miał uśmiech. Jadąc, wypytywał ją o różne rzeczy. Jak co roku. Czy w Akademii nikt się jej nie narzuca, czy jest zadowolona ze zdobytej wiedzy, czy może ma już kogoś na oku? Mimo że uczelnia jest tylko żeńska, po zajęciach każda pełnoletnia wychowanka może podróżować do innych dzielnic, poznawać w ten sposób miasto i oderwać się od codziennej rutyny. Córka odpowiadała mniej lub bardziej się do tego przykładając, lecz nad ostatnim pytaniem wyraźnie się zawahała.

- Jest ktoś taki - powiedziała niepewnie i dalej milczała. Za to jej ojciec zareagował od razu.

- No nareszcie! - ryknął ucieszony. - Tyle już wiosen żyjesz, a co roku słyszę *nie, nie, nie*. Aż do dziś! - na sekundę puścił kierownicę, by klasnąć dłońmi. - Nawet nie masz pojęcia, jaki jestem z ciebie dumny - mówił, nie zauważając tego, że Amelka coraz bardziej kurczy się w fotelu. - No po prostu dzień cud-miód. Jak ma na imię ten szczęściarz? Możesz uchylić

rabka tajemnicy, czy to ściśle tajne? Jeśli tak, to zrozumieć. Nie martw się, ufam, że wybrałaś chłopca na medal – nadal nie przestawał gadać. – Może za rok byśmy byli już w trójkę? Ciekawe czy umie strzelać z karabinu? Silny jest? Położyłby twojego staruszka na rękę?

Dziewczyna przełknęła ślinę, była trochę blada.

- Tato...

Ursus był w świecie swoich marzeń i nie zwracał uwagi na jej wahanie.

- Studiuj jak ty? Siła to przecież nie wszystko. Przepraszam, palnąłem jak debil, a przecież grunt, by był wykształcony.

- Tato... - córka próbowała nawiązać kontakt.

- Czekaj, niechże zgadnę - zawahał się. -- Mam! Wyrwałaś szlachcica! Sprytna dziewczyna - słowom nie było końca.

- Tato! - Amelka już nie wytrzymała i wrzasnęła.

Kapitan momentalnie zamilkł, zjechał na awaryjny pas drogi, którą zmierzali i zatrzymał pojazd. Spojrzał na młodą, która była na granicy płaczu. Przejął się nie na żarty.

- Co się stało, skarbenku? - zapytał i dotknął ręką jej piegowatego policzka.

Spojrzała mu w oczy, westchnęła, przełknęła ślinę i otworzyła usta.

- To ona.

Mężczyzna nie zrozumiał od razu.

- Ona...? - powtórzył zbity z tropu.

Dziewczyna kiwnęła głową.

- On jest NIĄ - wyjaśniła, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Dopiero wtedy do Ursusa dotarło.

- Ona - powiedział kompletnie zaskoczony.

Zapatrzył się w bezkres autostrady, ciągnącej się przed nimi i ogrom miasta. Studentka odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Przepraszam.

Mężczyzna poczuł się, jakby dostał potężny cios w głowę. *Na Stwórcę, co ona sobie pomyślała?* - pytanie przemknęło w jego głowie jak błyskawica.

- Cukiereczku, za co ty niby przepraszasz? - położył jej rękę na ramieniu.

Siedziała odwrócona do niego plecami. - Serce nie sługa, rządzi się własnymi prawami, w życiu ważne jest, by go słuchać.

Brak reakcji ze strony córki sprawił, że kontynuował.

- Amelko, wybacz mi, proszę, że tak się rozgadałem - westchnął. - Miałem w głowie kompletnie co innego - zastanowił się moment nad kolejnymi słowami. - Ty jesteś królową swojego losu i tylko ty o nim decydujesz. Jeśli sądzisz, że z tą kobietą będziesz szczęśliwa, to mnie nic do tego. Ja również chcę, by w twoim życiu było jak najwięcej radości.

Dziewczyna powoli przekręciła głowę w jego stronę. Cała była we łzach. Przymiliła się do niego.

- Nie jesteś zły? - zapytała szlochając.

Objął ją.

- Nie jestem. Nie rozumiem jedynie, co ty sobie ubzdurałaś. Nie jestem jakimś zagorzałym kapłanem, by potępiać taki związek. Dla ciebie zrobiłbym wszystko.

Wtuliła się w niego mocniej.

- Kocham cię, tatusiu.

- Ja ciebie też, dziecinko.

Po dłuższej chwili ruszyli w dalszą drogę. Amelka poczuła ulgę, gdy wyjawiała swój sekret. Wykorzystując resztę drogi opowiedziała, już na spokojnie, jak do tego doszło.

Jej wybranka nazywała się Ilia z domu Ronar. Należała do bogatej i wpływowej szlachty z rodu o tej samej nazwie. Ronarowie byli sławni w całym Spero i poza nim dzięki usługom i towarom, które oferowali. Perfumy, olejki eteryczne, syntetyczne kremy i liczne luksusowe domy publiczne generowały bajeczne dochody.

Co jak co, ale szlachta potrafiła się bawić. Przedstawiciele tego rodu słyną ze swojej rubasznosci, otwartego podejścia do wszystkich nowości oraz ciągłych starć z przedstawicielami Kościoła, którzy widzą w nich zgorszenie i gniazdo grzechu. Amelka poznała Ilię dwa lata temu. Przypadły sobie do gustu.

Rudowłosa studentka z północy, zawsze przygotowana do lekcji, grzeczna, poukładana i nieśmiała, była całkowitym przeciwieństwem tamtej. Pyskatej, leniwej i lubiącej być w centrum uwagi. Jedyna cecha szlachcianki, która trzymała ją w Akademii, to fenomenalna pamięć. Wystarczyło jej raz przeczytać fragment książki bądź usłyszeć jakieś słowa i mogła wszystko powtórzyć za jakiś czas, z niebywałą dokładnością.

Córka otworzyła teczkę i wyjęła zdjęcie, na którym były obie. Ursus rzucił na nie okiem. Musiał przyznać jedno, błękitnokrwista młoda kobieta robiła wrażenie. Niewiele niższa od Amelki, ze średniej długości farbowanymi włosami w kolorze jasnej pomarańczy oraz srebrnym kolczykiem w nosie. Sylwetką przypominała Vivienne, choć Czarnoksiężniczka i tak biła ją we wszystkim. Szmaragdowe oczy i ostre rysy twarzy nadawały jej egzotyczny urok. Obie spędzały sporo czasu razem, ucząc się po lekcjach i zwiedzając atrakcje górnego miasta. Ilia, używając swoich licznych przywilejów, mogła zabierać Amelkę do miejsc, o których ta mogła tylko marzyć. W tym roku dziewczyny zostały przydzielone do jednego pokoju, w którym zamieszkały tylko we dwie. Może Stwórca tak chciał, lecz bardziej prawdopodobne wydawały się szlacheckie wpływy.

Tak oto dwie młode, pełne życia dusze obcowały ze sobą w dzień i w nocy. Wkrótce odkryły, że łączy je uczucie wykraczające poza koleżeństwo. Rodzice szlachcianki nie mieli problemów z zaakceptowaniem wyboru córki. Nawet cieszyli się, że mają kolejny pretekst do swoich sprzeczek z duchowieństwem.

- Materiał co najmniej na książkę - podsumował, a dziewczyna zachichotała.

- Kto wie, może kiedyś opiszę to w jakimś opowiadaniu? - rozmarzyła się.

O 21.48 dojechali do celu, którym był Cmentarz Odpoczywających Aniołów. Miejsce znane i szanowane w całym mieście. To tutaj spoczywali najznamienitsi ludzie, którzy kiedykolwiek stąpali po Spero. Wielkie wielopoziomowe krypty wykute z pięknie rzeźbionego kamienia ciągnęły się kilometrami. Można było zobaczyć różne metody pochówku. Potężne, wmurowane w podłoże sarkofagi, kunsztowne posągi, trzymające urny z prochami, bądź zwykłe pomniki z granitowymi aniołami, strzegącymi ciał spoczywających osób. Tutaj swoją ostatnią podróż odbywali miejscy nadzorcy, naczelnicy, inżynierowie, generałowie, wysocy rangą kapłani, bogatsi szlachcice i inni, którzy w jakiś sposób zapisali się na chwałę metropolii.

Ursus i Amelka wyszli z samochodu i minęli potężną pozłacaną bramę, na której widniała sentencja: *Człowiek zawsze umiera dwa razy. Pierwsze w niebyt odchodzi jego ciało, druga pamięć o nim w sercach najbliższych. Lecz dusza każdego jest wieczna w Królestwie Stwórcy.*

O tak późnej godzinie robiło się już zimno. Dziewczyna miała na sobie ocieplany płaszcz, który dostała od ojca. Jemu niska temperatura nie przeszkadzała. Zahartowało go życie na północy. Niespiesznym krokiem spacerowali przez wykute w skalnym podłożu ścieżki. Gęsta sieć płonących magicznym ogniem latarni oświetlała posępne, lecz i zapierające dech w piersiach mauzoleum. Dotarli w końcu do celu ich podróży.

Piękny marmurowy boży strażnik, pod postacią uśmiechniętej kobiety, trzymał niemowlę. Jedna dłoń przytulała je do piersi odzianej w wyrzeźbioną togę, a druga opierała się na nagrobku, do którego dołączona była płyta z kolejnym niebiańskim stróżem. Jego atrybutami była przechylona waga, księga i zawieszony u pasa miecz. Na steli wygrawerowano inskrypcję.

Stella Skjorgir

Ur. 22349 r. – Zm. 22374 r.

Tyś była tą, która skradła cały blask gwiazdom.

Odpoczywaj w krainie Stwórcy, Kochanie.

Ja się wszystkim zajmę.

Jak co roku wspólnie odwiedzili grób mamy i żony. Amelka otworzyła torbę i wyciągnęła świadectwo. Zaczęła opowiadać o dokonaniach. Ludzie często tak robili. Tłumaczyli, że czują bliskość swoich zmarłych, gdy odwiedzają ich na cmentarzach. Kryło się w tym ziarnko prawdy, bo gdzie lepiej jest duszy, aniżeli w pobliżu własnej śmiertelnej powłoki?

Ursus stał krok od płyty, na której przysiadła studentka. Zapatrzył się w twarz żeńskiego anioła. Twarz Stelli, jego żony. Młoda dziewczyna również wiedziała, że ten skrzydlaty anioł przedstawia jej mamę.

To, że mogli tutaj tak stać, też było zasługą Inkwizytora. Sprowadził z jaskini ciało kobiety, a używając swoich wpływów i podstępów umieścił je w najlepszej nekropolii. Pomnik, rzeźba, inskrypcja, którą wymyślił Ursus, to wszystko było jego intencją. Kapitan wiele razy pytał, czym zasłużył sobie na takie traktowanie.

Każdy miał jakąś rodzinę. Ja moją niezbyt lubiłem. Podobnie jak moja mnie. Wszystkich przeżyłem już po stokroć. Ty swoją kochasz i widzę w twej duszy, że ona ciebie też kochała. Miłość to jedyne uczucie, które ma choćby cień szansy, by zwalczyć nienawiść. Dlatego tak boją jej się demony – to były jedyne słowa, które słyszał za każdym razem.

Gdy tak stał, gapiąc się na posąg, musiał czasem zwalczyć chęć przytulenia się do niego. Wydawał mu się tak bardzo prawdziwy.

Wielki musiał być kunszt rzeźbiarzy, których posiadał Witeldon - *myślał*. A może to tylko moja wielka tęsknota za ukochaną?

Wracał pamięcią do dnia, kiedy się poznali, do czasu zaślubin i narodzin Amelki. Tyle jeszcze mogli razem zrobić. *Lecz demony to wszystko spierdoliły* - pomyślał, a ręka instynktownie poszła w stronę *Behemota*, zawieszono go na plecach.

- Tato...? - głos córki wyrwał go z objęć minionego czasu.

- Tak...? - powiedział niepewnie, lecz spokojnie. Rozluźnił się.

- Mama byłaby zadowolona z mojego wyboru? - zapytała.

Mężczyzna podszedł do niej i delikatnie położył swoją pancerną rękę na jej ramieniu.

- Jestem tego pewien - zaczął. - Uważam, że nie tylko byłaby zadowolona, ale i dumna. Z twoich osiągnięć, zdobywanej wiedzy i odwagi, by podążać za tym, co mówi ci serce.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Pamiętam jak mówiłeś, że miała do mnie nieskończoną cierpliwość.

Ursus zaśmiał się krótko.

- Płakałaś non stop, a nigdy nawet nie była zdenerwowana - westchnął. - Zawsze spokojnie i z lekkością przyjmowała trudy życia.

Amelka położyła swoją dłoń na dłoni ojca.

- Szkoda, że umarła, gdy byłam mała, ale w tamtej epidemii zginęło wielu ludzi.

Córka nie znała swojej przeszłości, ani historii o tym, jak się tu znaleźli. Uważała się za rodowitą mieszkankę Spero. Pomogła w tym wyczyszczona pamięć z pierwszych lat pobytu w bazie Inkwizytora. Nie znała też prawdziwej przyczyny śmierci matki. Od Ursusa wiedziała tylko tyle, że Stella zmarła podczas epidemii Krwistej Ospy, kiedy ona sama miała zaledwie dwa lata. Historia miała solidne podstawy, gdyż mniej więcej w tym czasie miasto cierpiało z powodu tej plagi.

- Nawet nie wiesz, ile bym dał, żeby tutaj była - powiedział.

- Na pewno zrobiłeś wszystko, co się dało - pocieszyła go.

Kiwnął głową i z jego ust wydobyły się ważne i potrzebne słowa, w które sam nie wierzył.

- Pewnie masz rację.

Ścisnęła jego dłoń.

- Wiem to.

Niezależnie od tego, co będzie ze mną, ona może tutaj osiągnąć wszystko, o czym tylko zamarzy. Pozostaje nie dać się zabić podczas służby u Inkwizytora. Łatwizna - myślał Ursus.

Zostali jeszcze kilkanaście minut w ciszy, ciesząc się obecnością, tak samo swoją, jak i duchów, które wyczuwali wokół siebie. W końcu trzeba się było pożegnać. Amelka wyjęła z torby małe naczynie. Ze środka wystawał materiałowy knot, zatopiony w zastygłym tłuszczu zwierzęcym. Dziewczyna wyciągnęła rękę ze słoiczkiem w stronę ojca, a ten podpalił wystającą końcówkę sznurka. Postawiła przedmiot, który w tych stronach nazywają zniczem, na płycie grobu. Według ich wierzeń ciepło płonącego ognia pozwala ogrzać się duszom, które błądzą wśród żywych dotąd, aż zostaną osądzone. Każdy odwiedzający cmentarz poczuwa się zatem do obowiązku, aby pozostawić po sobie taką małą formę wsparcia. Nigdy przecież nie wiadomo, czyj astralny byt zagubił się pośród żywych.

Szli w stronę samochodu ginącą w cieniu cmentarną alejką. Amelka nigdy nie odważyłaby się sama zapuścić w takie miejsce. Jednakże przy ojcu nie czuła strachu. Po kilku minutach marszu wsiedli do pojazdu. Zaczął się ostatni etap ich dzisiejszej podróży.



Czasomierz wyświetlał 23.48. Ursus zmierzał do Wielkiej Biblioteki Maginów. Olbrzymia placówka, która była otwarta pomimo pełni, mieściła wielkie księgozbiory i dormitoria. Urzędowali tam i mieszkali skrybowie oraz wyselekcjonowani magowie zwani Kronikarzami. Tam właśnie jego

córka będzie mieszkać podczas przerwy wakacyjnej. Tam będzie również zdobywać dodatkową wiedzę i rozwijać nietypową pasję.

O tak później porze na drodze spotykali nielicznych podróżnych. Sądząc po kolorze lakieru aut, to szlachta wracała bądź jechała na imprezy. Córka zasnęła, oparta głową o jego ramię. Już z oddali dostrzegł masywne ściany ciągnącego się kilometrami kompleksu. Auto wykonało płynny skręt i znaleźli się na kolejnej kondygnacji autostrad.

Czasami kapitana zastanawiało to, jak żyli ludzie przed Dniem Kary. Czy też mieli takie podniebne szlaki, pojazdy, broń? Czy tak właśnie wyglądały ich miasta? Jaka była ich planeta tysiące lat temu? Co robili? O czym rozmawiali? Potrząsnął głową. *Jestem żołnierzem, nie filozofem czy mędrcom* – skarcił się. Nieważne co było kiedyś, liczy się to, co jest teraz.

Po pierwszej dojechali do celu. Ursus zaparkował przed budynkiem i lekko szturchnął Amelkę.

- Jesteśmy na miejscu.

Przeciągła się rozespana i rozejrzała wokół.

- Już? - zapytała ze smutkiem w głosie.

- Za szybko ten dzień się skończył, prawda?

- Mhm - wykrztusiła z siebie, próbując nie płakać. Niezbyt jej to wychodziło.

Wysiedli z samochodu. Mężczyzna, jak co roku, odprowadzał ją pod drzwi, przy których czekało dwóch strażników, magister Dolman Arx i mistrzyni run Umala Driot.

- Bądź pozdrowiony, kapitanie Ursusie - przemówiła kobieta, a stojący obok Czarnoksiężnik kiwnął głową.

- Pokój wam obojgu - powiedziała młoda dziewczyna, a on powtórzył gest magistra.

Córka odwróciła się i wtuliła w ojca. Jak co roku łzy płynęły po jej policzkach.

- Obiecuj, że za rok wrócisz do mnie.

Mężczyzna zamknął ją w swoich ramionach.

- Obiecuję.

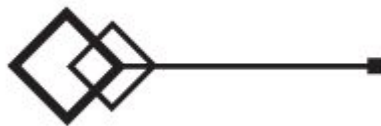
Wrota biblioteki otworzyły się i dziewczyna weszła do środka, niosąc teczkę i pluszaka. Zanim się za nią zamknęły, oboje zdążyli jeszcze na siebie spojrzeć.

- Do zobaczenia za rok - rzucił cynicznie Dolman.

Ursus skłonił się, choć świerzyło go, by przyłożyć magikowi. Uniósł wzrok na oboje strażników, po czym wrócił do pojazdu. Ruszył z pełną mocą. Po jego twarzy, zarośniętej i pokrytej bliznami, płynęły łzy smutku. *Został już tylko rok* - przeszło mu przez głowę.

Czekał go długi powrót do Sacrum, jednak jego myśli kręciły się wokół pytania, jakie plany ma dla niego los?

ROZDZIAŁ VIII



LUDZIE ŻYJĄ PO TO, BY STAĆ SIĘ ŁUPEM ŚMIERCI. CIĄŻY NA NAS KŁĄTWA ŚMIERTELNOŚCI, LECZ TO NIE KOSTUCHA, A CZAS NAS PRZEKŁAŁ NA WIEKI WIEKÓW. CZŁOWIEK JEST MAGNUM OPUS STWÓRCY, GDYŻ ZE WSZYSTKICH JEGO KREACJI TO MY, JAKO JEDYNI, ZOSTALIŚMY OBDAROWANI WOLNĄ WOLĄ. TO JEST WŁAŚNIE POWÓD NASZEJ BYTNOŚCI W ŚWIECIE MATERIALNYM.

KRÓTKOŚĆ ŻYWOTA BUDZI W NAS CHEĆ DO DZIAŁANIA, POZNAWANIA, PRÓBOWANIA I SAMODOSKONALENIA. GDYBYŚMY ZNALI GODZINĘ NASZEGO KOŃCA, TO CZEKALIBYŚMY NA NIEUNIKNIONE Z ZAŁOŻONYMI RĘKAMI.

KAŻDA DUSZA PRAGNIE CHWAŁY I UWAGI, LECZ TYLKO NIELICZNI MOGĄ ODNIEŚĆ SUKCES. NA TUZIN SŁAW, KTÓRYCH IMIONA PAMIĘTAĆ SIĘ BĘDZIE PO KRES CZASU, NIEZLICZONE ZASTĘPY ODCHODZĄ ZAPOMNIANE. TAK BYŁO, JEST I BĘDZIE.

LUDZIE UMIERAJĄ DWUKROTNIE. NAJPIERW CIAŁO WYDAJE Z SIEBIE OSTATNIE TCHNIENIE. POTE M NA KAŻDEGO PRZYCHODZI KRES W PAMIĘCI BLISKICH. LUDZKOŚĆ, POMIMO TYLU UPADKÓW I EGZYSTENCJI PEŁNEJ CIERPIENIA ORAZ BIEDY, ZAWSZE STARA SIĘ CZERPAĆ Z ŻYCIA TYLE, ILE TYLKO ZDOŁA. TO WŁAŚNIE CZYNI JE NA SWÓJ SPOSÓB INTERESUJĄCYM I WARTYM PRZEŻYCIA.

JAKO JEDYNY ZOSTAŁEM UWOLNIONY OD ŁAŃCUCHÓW, KTÓRE NA SZYJĘ, RĘCE I NOGI ZAKŁADA CZAS. PRZEŻYŁEM PONAD TRZY MILENIA, LECZ GDYBYM MIAŁ ZAMKNAĆ TO W KATEGORII ZBAWIENIA BĄDŹ POTĘPIENIA, WYBRAŁBYM DRUGĄ OPCJĘ...

FRAGMENT PRYWATNYCH ROZWAŻAŃ INKWIZYTORA WITELDONA WALSZARTIEGO.

Alexandra wyruszyła z inkwizytorskiej placówki wczesną porą. Miała nawet szczęście spotkać w hangarze Ursusa. *Cóż za dar od losu* – pomyślała z irytacją, gdy zobaczyła, jak z kabiny myśliwca wysyła jej pozdrowienie. Kiwnęła głową i nie zważając na niego ruszyła do celu. *Nawet dobrze się składa* – zauważyła Szpieg-mistrzyni.

Dzielnica LXXX-17 była dobrze znana w dolnym Spero. Największy czarny rynek na kontynencie albo nawet na całej planecie. Pod osłoną wielkich

mieszkalnych iglic i niekończących się bloków biedoty ciągnęły się gigantyczne bazy i ukryte sklepy. Było tam wszystko. Najrozmaitsze pokarmy, alkohole, napoje, przyprawy, lekarstwa, specyfiki, narzędzia... Wszystko! Można było znaleźć tam również mniej zwyczajne przedmioty, choćby egzotyczną broń, której normalnie mogliby używać tylko Inżynierowie, albo oręż całkowicie przez nich zakazany.

Rekordy sprzedaży były liczne środki ochrony osobistej, trucizny i zaawansowane maszyny różniczkowe. W ofercie były również operacje i terapie wykonywane przez nielicencjonowanych specjalistów. Potrafiły wzmocnić i upiększyć decydujących się na nie śmiazków, lecz mogły też sprawić, że nie wychodzili żywi z takiej kuracji. Ostatnią gałęzią handlu, inną niż egzotyki, broń czy narkotyki, była sprzedaż żywego towaru. Od zwierząt pochodzących ze wszystkich stron świata, po ludzi licytowanych jako niewolników.

Z dóbr oferowanych w Dzielnicy LXXX-17, oprócz szarych obywateli i rozmaitej maści przestępców, korzystała również Inkwizycja. Nie wszystko można było nabyć legalną drogą. Zwłaszcza jeśli chodzi o informacje. Alexandra miała tam swoją siatkę informatorów i kilka wyjątkowo opłacalnych kontaktów. Nigdy nie nazwałaby ich zaufanymi, ponieważ nikt nie mógł sobie zasłużyć u niej na takie uczucia. Te zarezerwowane były wyłącznie dla Witeldona. Nie miała nikogo bliskiego, więc wiodła życie samotniczki. Nie spieszyła się każdego roku do córki jak Ursus, czy jak Vivienne nie spędzała upojnych nocy w prywatnych pokojach członka Świętego Oficjum.

Szpieg-mistrzyni nie zyskała swojej pozycji za darmo. Wiedziała o wszystkim, co działo się w Sacrum, znała życiowe problemy przebywających tam ludzi, a każde wieści, które kiedykolwiek dotarły do Człowieka z Wyobraźnią, trafiały również do niej. Jediną osobą, która miała wyższe kody dostępu od niej, był sam Inkwizytor. Jednak nie zawsze tak było, a jej historia zaczęła się dużo, dużo wcześniej.

Kiedy była małą dziewczynką, wiodła ciężki żywot w Dzielnicy XCVI-81. Nie pamiętała swoich rodziców. Wraz z innymi osieroconymi albo wyrzuconymi dziećmi od maleńkości błąkała się i starała się nie umrzeć. Jednak po takich jak ona Śmierć przychodziła szybko.

Kiedy skończyła dziesięć lat, z grupy kilkunastu dzieciaków została sama. Głód, choroby, bandyci i dzikie zwierzęta, gnieźdzące się w opuszczonych

częściach miasta, zrobiły swoje. Właśnie wtedy światło dzienne ujrział jej talent. Miała niesamowitą zdolność zaklinania psów. Małych, szczeropodobnych, hałaśliwych nicponi, bądź wielkich, umięśnionych ogarów łownych. Żaden nie stanowił dla niej wyzwania. W niedługim czasie znana była w całej dzielnicy jako Psia Wiedźma. Ludzie bali się jej, a ona również stroniła od wszelkich kontaktów z nimi. Wolała swoje stado.

Kilka lat później miejsce, które nazywała domem, ogarnął ogień piekielny, a demony zaczęły przelewać krew. Dziewczyna, wtedy szesnastoletnia, zaczęła walkę o przetrwanie. Zwycięską walkę. Znała dzielnicę jak własną kieszeń, co pozwalało jej ukrywać się przed wrogami, lecz prawdziwym zbawieniem okazała się obecność czworonożnych przyjaciół. Psy potrafiły znacznie szybciej niż ludzie wyczuć zbliżające się czarcie pomioty. W jednym momencie jej życie zmieniło się na zawsze.

Pewnego dnia, przenosząc się do nowej kryjówki, zauważyła mężczyznę. Ona przekradała się na wyższe piętra budynku, a on stał niżej. Przykuł jej uwagę swoim zachowaniem. Patrzył przed siebie, nie wykonując żadnego ruchu. Nagle, kilkanaście metrów od niego, otworzyła się diabelska wyrwa, z której wyszedł demon. Ponad dwa razy wyższy od człowieka. Wzbudził jej przerażenie. Krwistoczerwoną, łuskowatą skórę spowijał płaszcz z czystego ognia. Gadzia twarz, nad którą górowało poczwórne poroże, najeżona była zębami wielkimi jak sztylety. Czarne oczy zdradzały nieskończoną chęć mordy. W potężnych muskularnych szponach trzymał dwa, dłuższe od człowieka, ząbkowane miecze, które zdawały się zasysać światło.

Alexandra patrzyła na ten pomiot i płakała od bijącej z niego grozy, lecz nieznajomy ani drgnął. Kreatura ryknęła przeraźliwie i zaszarżowała. Do celu jednak nie dotarła. Nagle zatrzymała się i upuściła na ziemię oręż. Stwór wyprężył się w cierpieniu i bólu. Dziewczyna nie wiedziała, co się stało, lecz kiedy spojrzała na mężczyznę, zauważyła, że jego usta coś wypowiadają. Nie mogła usłyszeć słów, jednak rozumiała, że cokolwiek to jest, ma niesamowitą moc. Nieczysty byt wydał z siebie umęczony jęk i po chwili zniknął w blasku światła. Cisza, która nastąpiła, była ogłuszająca. Przerwał ją dopiero tajemniczy człowiek.

- Nie musisz się już chować - przemówił.

Alexandra zamarła. Nie rozumiała, jak ją odkrył.

- Zbliź się do mnie, nie zrobię ci krzywdy. Po tym małym pokazie widzisz, że jestem po tej dobrej stronie - jego głos był głęboki i ciężki. Zupełnie jakby

wykuty ze stali i zahartowany.

Ostrożnie wyszła zza swojej osłony. Dopiero wtedy mogła się dokładnie przyjrzeć nieznanemu. Była niewiele niższa od niego. Jej podarte łachmany nie mogły równać się jego pięknej niebieskawej zbroi. Na plecach miał miecz, a przy boku wielki rewolwer. Była ciekawa, co potrafił zrobić tym ryszunkiem. Największe emocje rozpałała jego twarz. Wyglądał młodo. Bardzo młodo. Broda, wąsy i niestrzyżone włosy postarzały go, lecz rysy wskazywały, że może mieć dwadzieścia kilka lat. Jednak w jego oczach dostrzegła zimno, złość i nieskończone doświadczenie. Miał spojrzenie emerytowanego weterana.

- To na ciebie wołają Psia Wiedźma?

Kiwnęła głową, pełna niepewności, lecz także ciekawości.

-Przywołaj je - rozkazał. - Wyczuwam ich obecność.

Zdumiona, wykonała polecenie. Zagwizdała, a z ruin wyszedł co najmniej tuzin psów różnej wielkości.

- Imponujące - rzekł. - Młoda panno, domniemywam, że znasz tę okolicę bardzo dobrze, czyż nie? - zapytał.

Potwierdziła.

- Pomożesz mi wyplenić stąd całe zło?

Znow przytaknęła.

- W takim razie prowadź do bloku zarządczego - powiedział.

Właśnie tak zaczęła się jej współpraca z Inkwizytorem. Później wyjawiał jej swoje imię. Witeldon Walszarti.

Podczas oczyszczania dzielnicy dobrze mu służyła. Na tyle dobrze, że zabrał ją do swojej bazy i szkolił. Umiejętność obserwacji otoczenia, zdolność niezauważonego poruszania się i brak wielu ludzkich odruchów zatraconych przez lata samotnego życia w miejskiej dziczy uczyniły ją ponadprzeciętnym szpiegiem. Nie pamiętała swojego imienia, które dostała w dniu narodzin, dlatego przybrała nowe. Alexandra. Na cześć pewnego wielkiego generała z czasów przed Dniem Kary, o którym kiedyś opowiadał Witeldon. Dziś miała trzydzieści sześć lat i zawdzięczała życie Inkwizytorowi. Dlatego służyła mu najlepiej jak mogła.

Koliber wleciał w miejski labirynt. Myśliwiec, w całości pokryty czarną farbą, został odarty z inkwizytorskich insygniów. Ten rodzaj statku

powietrznego bardzo często należał do bogatych przywódców podziemnego półświatka. Oczywiście nabywali go nielegalnymi kanałami.

Topografia Spero przyprawiała o ból głowy każdego nowo przybyłego. Gigantyczna metropolia, oprócz podziału na dzielnice i sektory, była również bytem o czterech poziomach. Każdy z nich można było rozróżnić po wysokości. Najwyższy obejmował pnące się setki metrów w górę wieże i iglice mieszkalne. Miejsce na ich szczytach zajmowali najwyższą rangą urzędnicy, szlachcice, generałowie, kapłani i bajecznie bogaci obywatele. Niżej, w tak zwanym górnym mieście, roilo się od dobrze zaopatrzonych bloków mieszkalnych, pięknych świątyń i monumentalnych Kuźni. Tutaj była także największa sieć dróg dla uprzywilejowanych.

Poziom drugi mieścił ubogich mieszczan i ludzi służących w świątyniach bądź wykonujących ważniejsze prace w Kuźniach. Choćby takie jak transfer materiałów i wyprodukowanych towarów. Niżej były już tylko slumsy. Najbardziej widoczne w zewnętrznych rejonach Spero, gdzie zajmowały całe powierzchnie. Przebywali tam ludzie zapomniani przez świat. Jedynym, co zakłócało ich oczekiwanie na głodową śmierć na pryczach z przegniłych szmat, były systematyczne naloty służb porządkowych, ataki bandytów i wybuchy demonicznych inkursji.

Była jeszcze jedna część, pominięta przy oficjalnym podziale Spero. Podmiasto, ruiny opuszczone przez Boga, władzę i czas. Aglomeracja wyrosła tysiące lat temu na pozostałościach miast zniszczonych w Dzień Kary. Z biegiem lat nowe konstrukcje grzebały te stare. Tak właśnie powstały ciągnące się setkami kilometrów we wszystkie strony świata tunele. Nikt nie wie, jak głęboko sięgały pod ziemię. Zapuszczający się w nie śmiałkowicie mówili o artefaktach minionych epok, ludziach zmienionych przez panujące tam warunki i o straszliwych potworach, które w nich żerują. Była to terra incognita.

Alexandra kierowała się na poziom pierwszy Dzielnicy LXXX-17, gdzie każdego dnia i każdej nocy kwitł czarny proceder. Po kilku minutach bezproblemowego lotu jej oczom ukazał się wielki hangar, służący za lądowisko dla klientów. Zajęła miejsce na uboczu. Przed opuszczeniem pojazdu aktywowała bierne urządzenia nagrywające i skanujące. Nie istniało dla niej takie pojęcie jak wystarczająca ilość informacji. Wyskoczyła z Kolibra, stanęła na sztucznym betonowym podłożu i rozejrzała się. Lampy, zawieszane wysoko nad sklepieniem ukrytej przed niebem i deszczem

konstrukcji, oświetlały miejsce swoim białym i zimnym światłem. Przestrzeń roiała się od straganów. To, co z początku przypominało rynek, wkrótce nabierało znacznie ostrzejszych kolorów.

Szpieg-mistrzyni naciągnęła na głowę swój ciemnoniebieski płaszcz i ruszyła główną alejką. Jej bystre oczy przyglądały się otoczeniu. Sceneria była jak w filmie. Lewą i prawą stronę długiego traktu wypełniały najrozmaitsze towary. Sprzedawcy wykrzykiwali przeróżne hasła mające zachęcić potencjalną klientelę. Hałas był ogłuszający. Reklamowali suszone zioła, narkotyzujące specyfiki i broń. Nie były to jednak przedmioty z najwyższej półki. Te najbardziej zakazane zawsze kryły się w cieniu. Największe szychy miejscowego półświatka mogły zaoferować naprawdę wyjątkowe artefakty.

Alexandra niczym nie różniła się od setek otaczających ją ludzi. Wraz z masą tłumu zmierzała w znanym sobie kierunku, trzymając takie samo tempo jak potok człowieczej zbieraniny. Jej czujny wzrok wypatrzył idącego z naprzeciwka mężczyznę. Podobnych było na pęczki, lecz ten, odkąd tylko ją zobaczył, nie spuszczał z niej oka. Zastanawiać mogła jego dłoń, którą wciąż trzymał w kieszeni.

Szpieg-mistrzyni zachowała spokój i kontynuowała spacer. Nieuchronnie zbliżali się do siebie, i kiedy właśnie mieli się minąć, z jej nadgarstka wysunęło się zakamuflowane ostrze. Wyprowadziła cios ruchem szybkim jak kobra. Skrycie dźgnęła mężczyznę prosto w serce. Nieznajomy zdążył jeszcze spojrzeć na nią zaskoczony, nim padł martwy na ziemię. Obok niego leżał mały nóż.

Zabójstwo nie zrobiło na nikim wrażenia. Ludzie spoglądali na zwłoki i omijali je, by się nie potknąć. W świecie pełnym przemocy, nienawiści, kłamstwa, grzechu i walki o przetrwanie, takie sceny były chlebem powszednim. Zwłaszcza w miejscu takim jak to, gdzie każdy był wrogiem każdego, a bogactwo i władzę zdobywało się poprzez zadawanie bólu i cierpienia. W oddali usłyszeć można było krótką wymianę ognia, lecz dopóki nie przeszkadzało to interesom VIP-ów, nikt nie reagował.

Alexandra skręciła w prawo, zmierzając w stronę sporego, metalowego budynku, na którym widniał mieniący się czerwoną barwą neon *Rozterki na każdą kieszeń*. Znała tę spelunę. W barze na parterze serwowano mętne trunki i podłe żarcie. Schody w dół prowadziły do podziemnego ringu, który był miejscem nielegalnych walk za grube pieniądze. Natomiast wchodząc na

górze można było liczyć na zaspokojenie potrzeb nie tyle duchowych, co cielesnych. Burdel, który prowadził Bucky, był wręcz oblegany. Na ostatnim piętrze swój gabinet miał szef tego przybytku. Wszelkie nagłe, palące bądź dochodowe interesy załatwiał się z nim osobiście.

Szpieg-mistrzyni weszła do przybytku, mijając po drodze kilka dziewczyn cieszących się z przerwy. W środku poczuła się, jakby trafiła do innego wymiaru. Lampy pulsowały kolorowymi światłami i oślepiały, kobiety ubrane tylko w stringi prężyły się w tańcu na rurze, a widzowie obsypywali je pieniędzmi. Równie skąpo odziane kelnerki roznosiły do stolików jedzenie i napoje. Niektórzy klienci mieli jeszcze siłę siedzieć, inni, bardziej pijani, spali oparci o meble. Nieliczni zajmowali miejsca przy ladzie, za którą stał barman. Tam właśnie swoje kroki skierowała Agentka. Musiała się napić. Bucky nie ufał abstynentom. Wychodził z założenia, że ludzka trzeźwość wynikała wyłącznie z chęci zachowania sekretów.

Niczym worek kamieni zrzuciła z blatu nieprzytomnego mężczyznę, który uderzył o metalowy parkiet. Miał już dość. Spojrzała na twarz bartendera. Był jej wzrostu, lecz potężnej postury. Nosił żółtą koszulę rozpiętą od góry na cztery guziki, co w połączeniu z podwiniętymi wysoko rękawami pozwalało prezentować bujne owłosienie. Czarny fartuch podnosił profesjonalizm, a wielkie dłonie z długimi palcami, uginającymi się od złota, świadczyły o jego upodobaniach stylistycznych. Zarośnięta, posiwiata twarz i cygaro w ustach tylko dodawały wdzięku.

- Co podać szanownej Pani?

Alexandra rzuciła przed niego niedbałym ruchem kilka srebrnych monet.

- Kusząca męzatka - odpowiedziała. - Podwójna.

Barman uśmiechnął się, schował zapłatę do skrzynki pod stalową płytą i przystąpił do przygotowania drinka. Szpieg-mistrzyni przyglądała się jego pracy i zerknęła na półki z najrozmaitszymi alkoholami. Nie była wielką koneserką trunków, jak choćby Witeldon. *Nie piję ich też tak często* - przeszło jej przez myśl i minimalnie drgnął jej policzek. Miała swoje ulubione smaki. Ostra baza w połączeniu z syntetyczną nutą truskawki nadawały jej ulubionemu napojowi właściwości adekwatnych do jego nazwy.

- Proszę bardzo - powiedział bartender.

- Dziękuję.

Pierwszy łyk palił gardło. To normalna reakcja na alkohol. Nie bała się otrucia. Każdy inkwizytorski agent, każdy sciscitor, bądź sam inkwizytor byli odporni na wszelkie trucizny. Specjalne rytuały i glify rozpraszały niebezpieczne substancje. Było to konieczne zabezpieczenie, ponieważ członków Świętego Oficjum było zbyt mało, a zło, z którym walczyli, nazbyt wielkie, by ryzykować ich stratę z powodu tak niegodnych sposobów zabijania. *Niegodnych, lecz skutecznych* – pomyślała Alexandra.

Nie spieszyła się. Wszystko polegało na zachowaniu naturalności. Poza tym, przy sprawach związanych z Buckym, drink w barze zawsze był chwilą czystej przyjemności. Odwróciła się, by objąć wzrokiem przybytek, który mieścił się na parterze. Nie rozumiała, co ludzie widzą w takich miejscach. Ogluszający hałas, oślepiające światła i te kobiety, odkryte, narażone na atak. Tłumaczyła sobie, że jej brak pojęcia dla tego zjawiska wynikał z trudów młodości i dzikiego trybu życia. Witeldon na przestrzeni lat na nowo wprowadził ją w tak zwaną cywilizację. Po przybyciu do Sacrum szybko przyswoiła wszystkie aspekty życia. Lecz upodobania, nawyki i przede wszystkim jej natura zostaną z nią do końca dni, które przeznaczył jej Stwórca.

Opróżniła szklanekę, odstawiła ją na blat i ruszyła w stronę schodów prowadzących na górę. Ochroniarz, kawał draba z łysą wytatuowaną głową, stanął na jej drodze.

- Do szefa. W interesach – powiedziała i wsunęła mu w dłoń cienki pasek złota. Mężczyzna kiwnął głową i udał, że jej nie widzi.

Szybko znalazła się na piętrze. Nie interesowały jej oferowane tam usługi, więc skierowała się na szczyt. Przez uchylone drzwi zauważyła jednak, jak jakiś samiec alfa wkładał wiele... serca w swoją lubą. Krótkiego korytarza pilnowało dwóch uzbrojonych po zęby zabijaków. Stała przed nimi. Widziała ich palce tuż przy spustach strzelb. W powietrzu unosiła się nerwowa atmosfera. Podeszła na odległość kilku kroków.

- Powiedz bossowi, że Wilczyca przychodzi dobić targu – rzuciła i założyła ręce na piersi.

Była pewna siebie. Zginęliby, zanim zdążyliby w nią wycelować.

Spojrzeli jeden na drugiego. Zauważyła, jak mierzą się wzrokiem. *Zabawnie się dobrali* – pomyślała. Jeden łysy z brodą, ale bez wąsów, drugi

z włosami i wąsami, ale bez brody. W końcu glaca wcisnął komunikator, który miał w uchu.

- Szefie, Wilczyca tu jest i mówi, że ma do pana sprawę - umilkł i widać było, że teraz uważnie słucha głosu w słuchawce. - Rozumiem.

Spojrzał na Agentkę.

- Wchodzisz. Tylko bez głupich sztuczek - ostrzegł.

Otworzyli drzwi i rozstąpili się, by ją przepuścić.

- Będę nieszkodliwa, jak młodziutki szczeniaczek - mruknęła i weszła do egzotycznego gabinetu.

Było to właściwe określenie. Pomieszczenie miało może sześć na siedem metrów szerokości. Było wyposażone w niespotykany sposób. Z lewej i prawej strony stały wielkie skórzane kanapy, a przed nimi nieduże przeszklone stoliki. Konstrukcja sufitu, oświetlanego przez halogeny, sugerowała, że są tam wysuwane rury, przy których mogły zatańczyć zaproszone dziewczyny. Podłogę przykryto bordową wykładziną, którą w czystości utrzymywali służący. Ściany pomalowano złotą farbą i zawieszono na nich obrazy. Było to raczej malarstwo impresjonistyczne, utrzymane w kolorystyce krwistej czerwieni.

Naprzeciwko Alexandry stało stalowe, całkowicie zabudowane biurko, które mogło doskonale służyć za osłonę w awaryjnej sytuacji. Na nim rozłożono przenośne maszyny różniczkowe z wyświetlaczami, za pomocą których można było śledzić zamówienia i komunikować się z dostawcami. Dało się zauważyć kilka butelek najprzedniejszych trunków, a obok kryształowe szklanki. Za blatem, siedząc na pięknym, wielkim fotelu, swoje królestwo nadzorował Bucky Fellas.

Ciekawa persona. Znacznie niższy od Szpieg-mistrzyni, ale za to sporej tuszy. Nigdy nie przepracowywał się fizycznie. Zawsze miał smykałkę do nielegalnych interesów i to właśnie był klucz do tego, że stał się jednym z największych bossów przestępczego półświatka Spero. Miał na sobie dopasowaną czarną koszulę i białe spodnie. Szyję obwiesił złotem, a ręce zegarkami. Sprawiał wrażenie człowieka bogatego, lecz prostego. Może i nie był mistrzem ogłady, kultury i nauk o świecie, jednak doskonale wiedział, co w trawie piszczy. Jego pyzata i lekko rozlewająca się, zawsze gładko ogolona twarz wyglądała jak popiersie jakiegoś podstarzałego biurokraty. Rzadkie,

kasztanowe włosy miał zaczesane w kitkę, a oczy mieniły się blaskiem, jak złośliwe chochliki.

- Ach, przyszła moja ulubienica! - zakrzyknął uśmiechnięty. - Chyba coś nowego mamy na celowniku, prawda? - zapytał i przekręcił głowę z ciekawością. - Masz szczęście, bo twoje zamówienie już jest. Nie było żadnej burzy piaskowej ani ataku dzikich bestii na karawany - rzucił. - Zdziwiający.

Jego słowa wprawiły ją w konsternację, lecz nie dała po sobie nic poznać.

- Pokaż - powiedziała.

Bucky zaśmiał się sucho i klasnął w dłonie.

- Przynieście skrzynię, łamagi.

Ściana za jego plecami rozstała się, ukazując nowe pomieszczenie. Magazyn, ukryty sejf, skarbiec... Czterech służących niosło wielką skrzynię z czarnego metalu, na której znajdowały się tajemnicze symbole. Wszystkie przyćmiewała jednak piękna, wykonana ze złotych płatków róża, znajdująca się na wieku. Symbol rzemieślniczek klasztoru Rosa Aurum.

Zakon, którego siedziba znajdowała się tysiące kilometrów od Sacrum, w niedostępnych pasmach górskich, przy Morzu Środka, ściśle współdziałał z Inkwizycją. Tamtejsze rzemieślniczki poświęcały swoje życie produkcji broni, zbroi i urządzeń niezbędnych do walki z magią. Bez Czarnoksiężników dzisiejszy świat nie mógłby funkcjonować. Okazywali się również wielce pomocni w walce z demonami. Jednak całkowicie bezpieczni byli tylko ci działający z ramienia Świętego Oficjum. Reszta mogła stać się otwartą bramą dla czarcich legionów. Dlatego tacy jak Witeldon często musieli stawiać im czoła, co wcale nie było łatwym zadaniem. Nieocenione okazywały się wtedy dobra, które nosiły symbol złotej róży.

- Otwórz - powiedziała, gdy służący postawili przed nią ładunek.

Bucky skinął ręką i wtedy najstarszy z mężczyzn podszedł do skrzyni. Miał śnieżnobiałą brodę, takie same włosy i jasnoniebieskie oczy. Odblokował zabezpieczenia, zdjął wieko, po czym odsunął się i zajął swoje miejsce w szeregu. Alexandra zbliżyła się, a jej oczom ukazały się istne dzieła sztuki.

W kufrze, na stojakach owiniętych pergaminami z modlitwami do Stwórcy, znajdowały się dwie kusze *Sanctificate*. Broń stworzona specjalnie na potrzeby walki z magami. Łoże wykonane z czarnej stali, zaklętej

potężnymi błogosławieństwami, w całości pokryto inkantacjami, rozpraszającymi magię. Każdą z nich wykonano z królewskiego metalu. Łuczysko kuszy też budziło podziw. Zrobione na wzór spotykających się dwóch kwiatów miłości, wyglądało niewiarygodnie pięknie. Szpieg-mistrzyni z zachwytem przyglądała się śmiercionośnemu urządzeniu. W jej oczy rzuciło się zdanie wyryte na łodygach roślin: *Jesteś rozgrzeszony w oczach Stwórcy.*

Miłe ostatnie słowa – pomyślała.

Jak na przedmiot służący do zadawania śmierci, kusza była mała. Jednak potężna cięciwa, z ukrytym systemem bloczków, dawała jej niesamowitą moc. Chwycała jeden z bełtów. Najczystsze srebro, wzmacniane stopami odpornych metali. Wyryte wersety z Księgi Zemsty oraz Księgi Kary gwarantowały skuteczność. Samo trafienie pociskiem nie było zabójcze. Dopiero efekt uderzenia był katastrofalny dla magów. Najślabi byli natychmiast anihilowani, a ich dusze wyrywane z ciała, na skutek nagłego odebrania im mocy. Z kolei najsilniejsi musieli liczyć się z drastyczną redukcją sił, co czyniło ich łatwym celem.

Pod kuszą znajdował się segment mieszczący dwulufowy pistolet maszynowy z magazynkami podczepianymi podłużnie, dla zaoszczędzenia miejsca i z innych względów praktycznych. Kule były wykonane z tytanu i potrójnie namaszczone świętymi olejami. Dwie tak wspaniałe bronie na pewno wspomogą misję Inkwizytora.

Kobieta uniosła wzrok na Bucky'ego, który odprawiał służę.

- Tyle, ile ustaliliśmy na początku? - zapytała.

Mężczyzna zaśmiał się przeciągle.

- Twój szef zawczasu wszystko ze mną uzgodnił. Nawet dorzucił coś ekstra.

Podszedł do biurka i z jednej z szuflad wyciągnął sporych rozmiarów pięknie oszlifowany, czysty szmaragd o wyjątkowo żywej barwie.

- Tak to bywa, gdy los się do człowieka uśmiechnie - rzucił i usiadł na fotelu.

- Rozumiem - jej głos zabrzmiał naturalnie, lecz nie lubiła, gdy coś jej się wymykało spod kontroli. - Przybyłam do ciebie w jeszcze jednej sprawie.

Mężczyzna oparł swoją spastą twarz o dłoń. Łokieć wsparł na blacie.

- Domyślam się. Takie piękne panny nie odwiedzają mnie ot tak po prostu. Chyba że zapłacę, albo są to moje dziewczynki. Więc czego

potrzebujesz? – pytająco uniósł brew.

Kobieta podeszła do niego.

– Czy twoje kontakty zarejestrowały jakieś zwiększenie działalności inkwizycyjnych agentów w półświatku, bądź ludzi podających się za takich jak my? Potrzebuję informacji o nazwiskach i miejscach pobytu, bądź rodzajach transakcji – wymieniła.

Bucky zagwizdał.

– Ściągnij wodze, dziewczyno. Muszę to zapamiętać, to po pierwsze, a po drugie to będzie trochę kosztować – uśmiechnął się poządliwie.

Alexandra wypięła z pasa zbroi małe zawiniątko i rzuciła nim w kierunku mężczyzny. Złapał je niezdarnie i otworzył. Jego oczy rozbłysły radośnie. Patrzył na gromadkę małych i większych diamentów.

– Sprawa musi wyglądać na poważną – rzucił, chowając szlachetne kamienie do szuflady. – Jakby tu wystartować...

– Dokładnie i szczegółowo.

Przewrócił oczami, odchrząknął i zaczął.

– Oczywiście. Jako że twój Pan jest jedynym inkwizytorem, który działa w Spero i na okolicznych ziemiach z racji swojej... No właśnie marki, CV, stażu? Ile on ma lat tak właściwie? Tysiąc?

– To nie jest ważne – przerwała lodowym tonem.

Bucky znów westchnął i ciągnął dalej.

– Tak, tak. Więc, jak sama rozumiesz, raczej wy macie monopol na wszelkie najbardziej wyszukane czy popieprzone rzeczy. Tylko dla was coś takiego sprowadzam. Jednak po półświatku krążą plotki o tym, że ktoś sporo zainwestował w naprawdę niecodzienne artykuły.

Twarz kobiety pozostała kamienna.

– Na przykład jakie?

Boss wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem... Nic szczególnego. Transporty jakichś starych ksiąg, fragmentów kamieni z pradawnych ruin na dalekim południu, jakby, kurwa, tutaj było mało gruzu. Jeszcze były wyjątkowo duże transporty ołowiu i rtęci. Naprawdę gigantyczne.

– Ciekawe...

– Nazwiska i dane tych, co odpowiadali za transporty i karawany, zaraz przegram na twoją maszynę różniczkową – wziął do ręki jedno z kilku

urządzeń stojących na biurku. – Nie znam zleceniodawców. Kimkolwiek są, mają cholernie duże środki i niezłe dojsčia.

– Na kogo ci to wygląda?

Mężczyzna zabębnił palcami dłoni o blat i spojrzał prosto na nią.

– Może to tylko zbieg okoliczności, ale wygląda to na kogoś z tej waszej Inkwizycji. Gdyby na liście zakupów była broń, narkotyki, ludzie czy jakieś luksusowe towary, to wszystko dałoby się wytłumaczyć, ale to, czego oni chcą, dla normalnego człowieka nie ma żadnej wartości.

– Rozumiem. Jest jeszcze jedna sprawa – zaczęła i ułożyła przed Buckym zbudowaną z magicznego pyłu podobiznę Elysi Irion. Wiedzmy, która była w to zamieszana. – Kojarzysz?

Jeden z królów czarnego rynku przyjrzał się portretowi i przecząco pokręcił głową.

– Nie znam tej panienki. Kim ona jest, jeśli można zapytać?

– Jest to uzdolniona magicznie agentka Inkwizycji, której poszukuje mój Pan.

Zaśmiał się.

– Czarownica wam uciekła? Masz pecha, bo nie miałem przyjemności spotkać żadnej inkwizytorskiej sciscitorki – zakończył lekko ironizując i uśmiechając się.

Uśmiech zagościł też na ustach Szpieg-mistrzyni.

– Nie mówiłam, że ma stopień Sciscitora – powiedziała i powoli zaczęła zbliżać się do biurka. – Nawet nie mieliśmy tego faktu do końca potwierdzonego. Ciekawe, skąd ty o tym wiesz?

Mężczyzna pobladł, lecz pospieszył z wyjaśnieniami.

– Nie wyciągaj żadnych pochopnych wniosków. To tylko drobne przejęzyczenie. Rozumiesz, nie? Przecież orientuję się trochę w waszej hierarchii – tłumaczył z coraz większym piskiem. Machał przy tym rękoma w geście zaprzeczenia. – Nie miałem nic na myśli! Nie zbliżaj się! – krzyknął.

Kobieta pokręciła delikatnie głową.

– Zaraz się okaże.

Zauważyła, jak Bucky wykonał nieznaczny ruch dłonią i sięgnął pod biurko. Bez wątpienia wezwał pomoc.

Minęło pięć uderzeń serca, gdy drzwi wejściowe do gabinetu otworzyły się i wbiegli przez nie dwaj ochroniarze. Alexandra odwróciła się w ich

stronę szybciej niż atakująca kobra. Z miniaturowych miotaczy, wbudowanych w nadgarstki zbroi, wystrzeliła obezwładniające strzałki. Dwa trepy upadły z hukiem na podłogę. *Mówiłam, Panowie, że będę grzeczniutka* – powiedziała do siebie w duchu, po czym spojrzała znów na bossa półświatka.

Trzymał pistolet w dłoni. Dokonała szybkiej analizy, nie zwracając uwagi na jego drżącą rękę. Fellas może i był okrutnikiem, który zabijał z zimną krwią, jednak nie był głupcem. Inkwizycja to za wysokie progi dla niego.

Szpieg-mistrzyni szybko rozebrała sytuację na czynniki pierwsze. Broń, którą trzymał, to model Tur-7. Amunicja mogłaby co najwyżej zarysować lakier na jej zbroi. Jednak strzał w nieosłoniętą głowę pozbawiłby ją życia. W zanadrzu chowała jednak pewną sztuczkę. Wykrzywiając lekko palce w rękawicy lewej dłoni, aktywowała silne pole magnetyczne. Normalnie taki atut pomagał jej wspinać się po metalowych powierzchniach, jednak tu potrzebny był do tego, by zaskoczonemu mężczyźnie wyrwać broń z ręki.

Złapała pukawkę i dzięki wzmocnionej sile, którą oferowały ukryte mechanizmy pancerza, zgmiotła ją jak puszkę i rzuciła za siebie. Satysfakcję sprawił jej widok twarzy Bucky'ego. Malowała się na niej mieszanina strachu, zdziwienia i dezorientacji. Wskoczyła na blat biurka, chwyciła mężczyznę i rzuciła nim o ścianę. Nim zdążył wstać, jej but zaczął miażdżyć jego szyję.

- Już? - zapytała.

Bucky próbował wstać, ale Alexandra docisnęła go stopą tak mocno, że głową uderzył z trzaskiem o parkiet.

- Zapytam ponownie: już? - jej głos przybrał ostrzejszą nutę.

Przygwożdżony kiwnął minimalnie głową.

- Tak - zdołał wykrztusić.

Kobieta uśmiechnęła się.

- Dobrze, bo chyba masz mi coś ważnego do powiedzenia, prawda?

- Tak.

Zwolniła ucisk na tyle, że boss podniósł się do pozycji siedzącej i zacharczał.

Oprawczyni oparła się o blat i patrzyła na niego.

- Więc słucham.

Trzymając się za gardło, otworzył usta.

- To wszystko zaczęło się mniej więcej trzy miesiące temu. Zjawiała się z jakimś tam przydupasem - zakaszłał. - Na imię miał Jan czy jakoś tak. Na początku myślałem, że to ludzie od was, ale sam wpadłem na to, że pracują osobno.

Szpieg-mistrzyni była zaciekawiona.

- Po czym niby poznałeś różnicę? Używają inkwizytorskich kombinezonów, pieczęci i sprzętu.

Przekrzywił głowę z niesmakiem.

- Czy ja wiem... Oni mieli kompletnie inne zamówienia. Chcieli, bym podziemnymi ścieżkami zdobywał dla nich jakieś kamienne pierścienie - machnął ręką. - Po chuj niby takie gówna komu. Nie będę wysyłał ludzi do Podmiasta. Odmówiłem, ale wtedy wiedźma się wkurwiła.

- Co zrobiła? Pokaż mi dokładnie, czego szukali - zażądała Alexandra.

- Jak to co?! - wrzasnął. - Użyła tej swojej magii i zaczęła zabijać mnie od środka. Czegoś takiego nigdy nie czułem. Nie miałem wyjścia i wysłałem dwie ekspedycje, ale żadna nie wróciła.

Palcem wskazał na maszynę różniczkową z wyświetlaczem obok kobiety.

- Sama sprawdź, czego chcieli. Trzeci plik na ekranie.

Wzięła do ręki urządzenie i otworzyła dokument. Nie zmieniła wyrazu twarzy, ale była bardzo zaniepokojona. Na ekranie pokazał się szkic i krótki opis budowy oraz wymiarów Bram Ke'Arxa. Według starożytnych tekstów istniał kiedyś demon o tym imieniu. Wysokiej rangi plugastwo zwane czempionem. Najpotężniejszy sługa Agaresa, jednego z upadłych aniołów. Widząc, jak świeżo narodzona Inkwizycja pokonała Rozgoryczonych Mścicieli, zapowiedział, że zniszczy ludzki twór na chwałę swego pana. Były przedstawiciel Chóru Mocy wyraził na to zgodę i tak oto sto lat później pojawiła się niszczycielska intryga.

Przez cały czas, głęboko w Podmieście, oddani wyznawcy budowali kamienne pierścienie o dwumetrowej średnicy, pokryte tajemniczymi runami. Kiedy powstało ich wystarczająco dużo, dopełnił się krwawy rytuał. Każdy artefakt stał się demoniczną bramą. Ke'Arx wraz z ośmioma legionami wylał się z podbrzusza Spero, zabijając wszystko na swojej drodze.

Odbudowywana przez ponad wiek ciężkiej pracy Inkwizycja ruszyła do konfrontacji. Walki trwały wiele dni, jednak ludzie wdarli się w końcu do podziemi i zapieczętowali wszystkie portale. Nie mogli ich zniszczyć, więc

tak się ich pozbyli. Sam czempion poniósł śmierć prawdziwą i całkowitą, choć taki los demonów jest niezwykle rzadki. Kiedy ich cielesna powłoka zostaje zniszczona, esencja wraca do Piekła i tam się regeneruje. Są jednak sposoby, które pozwalają uśmiercić te plugawe byty raz na zawsze. To wyjątkowo potężna magia, skryzalizowane łzy samego Stwórcy, ostatnie fiołki jego zachowanej krwi lub legendarny oręż potrafią zgładzić szatański pomiot, definitywnie niszcząc jego energię.

Bronią, która przyniosła koniec czempionowi Agaresa, była *Catherine*. Trzymana przez Inkwizytora Blocha, przebiła demoniczne serce i anihilowała kreaturę raz na zawsze. Miecz należał do nielicznych narzędzi w arsenale Świętego Oficjum, mających taką moc. Zwycięstwo odniesione tego dnia było wielkie, lecz widmo Bram pozostało. Wszystko wskazuje na to, że horror powraca.

- Jest jeszcze jedno - powiedział Bucky.

- Słucham.

- Ta wiedźma niedługo tutaj przyjdzie, by omówić trzecią ekspedycję.

Kobieta podeszła do niego i uklękła.

- Bardzo dobrze się składa - zaczęła. - A teraz posłuchaj mnie bardzo uważnie. Jeszcze dziś wieczorem chcę mieć o nich wszystkie informacje, wszystkie kontakty i wypunktowany każdy, nawet najmniejszy kłębek kurzu, który dostali. Masz czas do końca dnia, albo inaczej porozmawiamy. Wiedz, że jeśli cokolwiek zataisz, ja i tak się o tym dowiem. Wtedy przyjdzie tutaj mój Pan. Wiesz kim jest, prawda?

Pokiwał głową. Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Dobrze. Domyślasz się, że on nie jest taki litościwy.

Kolejne potwierdzenie.

- Nie chcesz trafić na Drzewo, prawda?

- Nie chcę.

Widziała jak pot zalewał mu oczy.

- To jest twoja ostatnia wtopa, Bucky. Kolejnej nie będzie.

Mężczyzna przytaknął.

- Rozumiem, ale proszę... Ona zaraz tu będzie.

Na twarzy Szpieg-mistrzyni pojawił się drapieżny uśmiech.

- Wiem i mam plan, a ty mi pomożesz go zrealizować.

Przełknął ślinę i spojrzał na nią oczami pełnymi przerażenia. Mimo że został postrachem półświatka, to jednak były na Ziemi takie ligi, których rozgrywki przerastały nawet jego możliwości.



Czasomierz pokazywał 12.13. Dwie minuty do spotkania, a Bucky zapewnił, że władająca magią agentka była punktualna. Alexandra stała w kącie sali w pełnym kamuflażu. Największym atutem jej pancerza nie był arsenał miniaturowej broni, magnetyczny uchwyt czy dobry poziom ochrony. Jego cała powierzchnia była pokryta milionami mikroskopijnych światłoczułych komórek, zbudowanych ze sztucznych materiałów. Miniaturyzowane generatory, wbudowane w strój, dostarczały energię do systemu, który zachowywał się jak kameleon.

Kobieta przylgnęła do ściany i wtopiła się w jej kolor. Aby ktoś mógł ją dostrzec, musiałby wiedzieć gdzie szukać i dobrze się przyjrzeć. Pozostawała praktycznie niewidoczna. Do swojego uzbrojenia dodała jedną z kusz *Sanctificate*. Na wypadek koniecznej anihilacji wiedźmy. Była zdeterminowana, chciała wydobyć z niej informacje i wziąć żywcem. Jednak opcja uśmiercenia również wchodziła w grę. Bucky miał zachować się naturalnie, od tego zależało jego życie. Dwaj strażnicy wybudzili się z działania środka obojędnego i poinstruowani przez szefa znów strzegli drzwi. Czas płynął nieubłaganie i zwiastował rozpoczęcie akcji.

Ochroniarz otworzył przejście i do sali weszła kobieta niskiego wzrostu i drobnej budowy ciała. Krótkie, ogolone na chłopczycę włosy miały kolor ciemnej stali, lecz twarz wyglądała młodo. W praktyce oznaczało to zaawansowany wiek. Magowie mogli odmładzać swoje ciało, żyjąc setki lat, lecz włosy zdradzały ich faktyczny wiek. Koniec końców natury nigdy się nie oszuka.

Miała gładkie rysy i delikatny nos. Lekko różowe policzki dodawały jej młodzieńczego wyglądu. Jasnozielonymi oczami rozejrzała się po pomieszczeniu, ale nie wypatrzyła Szpieg-mistrzyni. Dłonią nakreśliła w powietrzu tajemniczy symbol. Alexandra знаła ten znak, magiczne skanowanie terenu, w celu wykrycia wszystkiego, co potencjalnie odstaje od normy. Jednak agentka Witeldona pozostała niezauważona. Wewnętrzna strona jej zbroi miała wyryte runy rozpraszające magię. Bardzo wyszukane

i niespotykane talizmany czyniły ją niewidoczną również w takich przypadkach.

Elysia Irion, bo tak nazywała się wiedźma, miała na szyi tajemniczy amulet. Potężny srebrny wisior, a na nim gigantyczny rubin. *Bez wątpienia używa go do koncentracji mocy* – pomyślała Alexandra.

- Wiesz w jakiej sprawie tu przybywam, Bucky, prawda? – zaczęła mówić. Jej głos był ochrypły, lecz zarazem delikatny.

Mężczyzna pokiwał głową. Wyglądał zwyczajnie. Był niezłym aktorem.

- Pewnie chcesz, żebyśmy wysłali kolejną ekspedycję, która spowoduje maksymalne straty dla mnie, a tobie przyniesie minimalne zyski.

- Nie bądź śmieszny, jesteś sownie wynagradzany – parsknęła Elysia.

- Ale czterdziestu ludzi już nie ma między nami – westchnął. – W takim tempie odchodzą, że chyba będziesz musiała zatrudnić armię duchów do realizacji swojego zadania.

Kobieta wydawała się zamyślona.

- Niewykluczone, że tak będzie. Mój Pan chce wyników.

- Domyślam się.

Alexandra, wciąż w pełnym kamuflażu, ruszyła powolnym krokiem. Ostrze nadgarstkowe było gotowe. Planowała zakraść się i zadać cios od tyłu, przerwać kobiecie kręgosłup, sparaliżować, a na końcu uciąć jej język. Wszystko po to, by nie mogła rzucać zaklęć. Vivienne w Sacrum przeskanuje jej umysł.

- Zwołasz kolejną wyprawę do Podmiasta. Mam nowe koordynaty – powiedziała wiedźma.

Szpieg-mistrzyni miała do celu pięć metrów.

- Jakoś mi się to nie uśmiecha – rzucił Bucky.

Trzy metry.

- Niezbyt mnie to interesuje.

Niewidzialna kobieta była gotowa uderzyć, a mechanizm uwolnił bezszelestnie klingę. Lecz cios nie zdążył sięgnąć ciała. Czarnoksiężniczka, jakby za sprawą szóstego zmysłu, odwróciła się gwałtownie i uniosła dłoń. Alexandra zastygła w miejscu, nie mogąc się ruszyć. Wkładała całą swoją siłę i moc zbroi, ale drgnęła tylko o milimetr. Elysia Irion zamknęła ją w swojej telekinezie.

- Co my tu mamy? - powiedziała jakby sama do siebie, kompletnie zaskoczona.

Kamuflaż zszedł. Jej oczom ukazała się inkwizytorska agentka.

- Ciekawe. Będziesz mi się musiał z tego gęsto tłumaczyć, Bucky, i radzę ci tego nie dotyczyć - burknęła, a potęgą swojego umysłu wyrwała mężczyźnie pistolet z dłoni. Drugi raz tego dnia niewidzialna siła rozbroiła pechowego bossa.

Spojrzała na skrytobójczynię.

- A teraz, moja droga, zakosztujesz bólu.

Wypowiedziawszy te słowa, zacisnęła pięść. Zamiar był oczywisty. Chciała zgnieść swoją przeciwniczkę jak kartkę papieru, uśmiercając ją w ten okrutny sposób. Mijały długie sekundy, lecz niezależnie od tego, ile mocy wkładała, nic się nie działo.

Uniosła brew zdziwiona.

- Muszę przyznać, że twój pancerz posiada naprawdę potężne glify. Ciekawe, jakie jeszcze skrywa tajemnice?

Skamieniała kobieta uśmiechnęła się. Jej zbroja była złączona jednostką myślową z mózgiem. Każdy mechanizm i funkcja pancerza była kontrolowana jej myślą. Teraz było to bardzo pomocne. Alexandra aktywowała ukryty w napierśniku rozpylacz. Mgiełka sproszkowanego itru wzięła w swoje objęcia wiedźmę. Metal był niezwykle rzadki na Ziemi, a jego właściwości nieocenione. Znany był jako magiczny bloker.

Obie kobiety poczuły spadek mistycznej aury. Na jednej osłabł uchwyt, a druga straciła kontrolę nad całą sytuacją. Ostrze zaczęło podążać do serca, lecz zatrzymało się na małej pomarańczowej tarczy, która objęła dłoń Sciscitorki. Walczące wymieniły ciosy. Uświęcona stal uderzała o słabnącą osłonę. Itr robił swoje. Elysia wiedziała, że im dłużej metal będzie na nią działał, tym jej pozycja będzie stawała się trudniejsza.

Nie dała rady zablokować pierwszego ataku. Ostrze nadgarstkowe rozcięło jej ramię. Syknęła z bólu, a Szpieg-mistrzyni żałowała, że jest zbyt blisko i nie może użyć rapiera technologicznego. Jednym uderzeniem oderznąłaby przeciwniczkę całą rękę. Wiedźma wygięła palce w tajemnej kombinacji. Fala telekinetycznej energii rzuciła Alexandrą o ścianę. Drugą sekwencją ruchów uwolniła z dłoni snop ognia, który momentalnie wypalił w murze spory otwór. Nie próbowała użyć zaklęcia na wrogiej agentce. Nie

wiedziała dokładnie, jak silne są jej runy ochronne, ani ile znieśie pancerz. Nie mogła też się przenieść. Była zbyt blisko itru.

Nowatorka wyskoczyła z drugiego piętra, niwelując magią konsekwencje upadku. Szpieg-mistrzyni szybko pozbierała się po uderzeniu i ruszyła w pogoń. Opuściła gabinet Bucky'ego tą samą drogą, lecz jej technika była inna. W locie chwyciła kable, biegnące od budynku, które odcięła wysuwającym nożem. Wykorzystując je jak lianę w starożytnych dżunglach, nabrała momentum i w ten sposób przemierzyła sporą część drogi. Zamortyzowała kontakt z ziemią, robiąc przewrót. Instyktownie zrobiła obrót w lewo, kontynuując pościg. Jej przecucie było niezawodne, gdyż miejsce, w którym była chwilę temu, bombardowały błyskawice.

Elysia nie zamierzała tanio sprzedać skóry. Raziła magią tę, która chciała jej głowy, oraz ludzi blokujących ucieczkę. Ci drudzy mieli mniej szczęścia. Padali w konwulsjach, albo ich zwęglone ciała rozsypywały się w powietrzu. Agentka Witeldona wyciągnęła swoją przyboczną broń, skąpo zdobiony, wytłumiony pistolet. Biegając, opróżniła magazynek. Każda kula została przechwycona przez pole energii wytwarzane przez ściganą.

- Oduść! - krzyknęła wiedźma.

Telekinezą wyrwała pokaźny fragment betonu, którym rzuciła w Alexandrę. Kobieta ślizgiem przemknęła pod gigantycznym pociskiem, lecz trafiło ją wyładowanie kuliste. Sciscitorka włożyła w atak więcej mocy i posłała przeciwniczkę prosto w bazarowe budy. Czarnoksiężniczka jęknęła przeciągle. W krótkim czasie zużywała zbyt dużo sił. Niedługo osiągnie limit, którego nie chciała i nie mogła przekroczyć. Konsekwencje były bardzo niebezpieczne. Wykorzystała chwilowe wyłączenie z gry niedosłej nemezis, otoczyła się ochronną barierą i zaczęła otwierać portal, jedyną drogę ucieczki. Potrzebowała dużo energii, by odprawić odpowiednie inkantacje, a czuła, że ma jej coraz mniej. Narastający strach sprawiał, że traciła koncentrację.

Nie mogę zawieść, nie teraz, kiedy wielopokoleniowa misja jest tak blisko wykonania - powtarzała sobie.

W tym czasie Alexandra wygrzebywała się z gruzowiska, mieszaniny metalu, tworzyw sztucznych i organicznych, które powstało, gdy niczym meteor przeorała stoiska. Zbroja i wardy ochronne zdały egzamin. Żyła, choć jej ciało paliło z bólu. Spojrzała na rywalkę. Była już w zaawansowanym stadium rytuału. *Czyli plan ostateczny* - pomyślała.

Zdjęła z pleców kuszę *Sanctificate*. Wytrzymałe materiały, z których wykonano broń, gwarantowały brak uszkodzeń. Zabójczy bełt był załadowany i gotowy. Nie wypadł dzięki mechanizmom zabezpieczającym. Naciągnęła cięciwę, uzbrajając w ten sposób ładunek. Klęcząc na jednym kolanie, wycelowała. Patrzyła na rosnący przed wiedźmą portal. Był wielkości dużej miski i wciąż się rozszerzał. Widziała w nim krainę spowitą ogniem. *Czy to jest Piekło?* – zastanowiła się, lecz szybko odpędziła wszelkie myśli. Nie mogła spudłować z czterdziestu metrów. Wzięła głęboki oddech i pociągnęła za spust.

W tym samym momencie Elysia raz jeszcze spojrzała na wrogą agentkę i zamarła. Wiedziała, z jaką bronią ma do czynienia, i dostrzegła moment zwolnienia blokady.

Bełt pomknął z szybkością światła. Srebrna śmierć, będąca anatemą dla wszelkiej magii, przebiła tarczę Sciscitorki, jakby to była mydlana bańka. Pocisk zanurzył się głęboko w piersi, przebijając kobiecie płuco. Jednak nie zaznała bólu. Jej umysł przeszyły pustka, chłód, ciemność i zagubienie. Odniosła wrażenie, jakby ktoś wydarł z niej wszelkie emocje. Uczucia, żądze, pragnienia, zanikły na zawsze. Upadła na zimne betonowe podłoże. Czuła jak wypływa z niej krew i życie. *Sanctificate* zabrała jej nie tylko całą magię, ale i człowieczeństwo. Szczęście, jakie kiedykolwiek przeżyła, smutek, żal, nienawiść czy miłość, odeszły. Mimo że była ubrana, czuła się naga. Chciała krzyczeć, lecz nie mogła. Próbowwała zapłakać, jednak już nie umiała. Ludzka sylwetka stanęła nad nią.

- Jakież ostatnie słowa? – zapytała Alexandra, celując do niej ze zintegrowanego z kuszą dwulufowego pistoletu maszynowego.



Umierająca spojrzała na nią bezbarwnym wzrokiem. Ogień w jej oczach gasł. Zastępowała go bezkresna noc.

- Chciałabym odejść w ciszy - wyszeptała drżącymi ustami. Wzrok skierowała na halogeny oświetlające przestrzeń. Zafascynowało ją światło.

- Rozumiem - rzekła Szpieg-mistrzyni.

Zmieniła broń palną na ostrze w nadgarstku. Cios przebił serce, przynosząc natychmiast ukojenie.

- Niechaj Stwórca wyda nad tobą wyrok swój, a za świadectwo niechaj służy życie twoje - wyrecytowała.

Inkwizytorska agentka zabrała zmarłej medalion, zapiski i próbki krwi. Ładunek od Bucky'ego zawczasu został przetransportowany do Kolibra. Po powrocie do Sacrum musiała natychmiast porozmawiać z Witeldonem. Miała mu do przekazania ważne informacje.

ROZDZIAŁ IX



LUDZKI UMYŚŁ MOŻNA PORÓWNAĆ DO WODY. GDY JEST WZBURZONA, STAJE SIĘ NIEPRZEJRZYSTA. JEDNAK GDY PONOWNIE ODZYSKA SWÓJ SPOKÓJ, WSZYSTKO ZNÓW JEST WIDOCZNE I JASNE. TYLKO WYCISZONY CZŁOWIEK ZNAJDZIE ODPOWIEDŹ NA KAŻDE PYTANIE.

KIEDY JEST SKAŻONA, KTOKOLWIEK SIĘ JEJ NAPIJE, ZACHORUJE, A NAWET PONIESIE ŚMIERĆ. LUDZKIE SZALEŃSTWO MOŻNA ZASZCZEPIĆ INNYM, DLATEGO NAUCZANIE JEST ODPOWIEDZIALNYM ZAJĘCIEM.

WODA MOŻE BYĆ ZIMNA, CO ORZEŻWIA I POZWALA SIĘ SKUPIĆ, LECZ TYLKO GORĄCA POZWALA ZAPARZYĆ ZIOŁA BĄDŹ UGOTOWAĆ JEDZENIE. PODOBNIESTWO JEST Z UMYŚLEM. CHŁODNY SKONCENTRUJE SIĘ NA ANALIZIE, OBLICZENIACH I ZNALEZIENIU ROZWIĄZANIA. TEN Z WIĘKSZĄ DOZĄ UCZUĆ SWYM CIEPŁEM DA WYTCHNIENIE I POZWOLI ULECZYĆ ZRANIONĄ DUSZĘ.

CZŁOWIEK MOŻE ODEJŚĆ W DALEKIE KRAINY, ZAJĘTY SWOIMI ROZWAŻANIAMI. JEDNAK WYSTARCZY GO ZAWOŁAĆ, A ZARAZ WRÓCI. TAK SAMO JEST Z WODĄ. NAWET GDY WYPARUJE I ZNIKNIJE, W KOŃCU SKROPLI SIĘ I PRZYBĘDZIE POD POSTACIĄ DESZCZU.

BEZ NIEJ NIE BYŁOBY ŻYCIA NA ZIEMI. NIE BYŁOBY CZŁOWIEKA. TAK SAMO JEST Z UMYŚLEM. CZY ISTNIAŁABY LUDZKOŚĆ, GDYBY NIE JEJ MYŚLI...?

FRAGMENT ROZWAŻAŃ FILOZOFICZNYCH TEORETYKA PERTIUSA KALWORA.
WYCIĄG Z „ROZMYŚLANIA O NATURZE LUDZKIEJ” JEGO AUTORSTWA.

W myśl biegu bytu zwanego czasem Witeldon Walszarti, inkwizytor Świętego Oficjum, również wykonywał swoje obowiązki tego samego dnia co Ursus i Alexandra. Jednak kiedy ten pierwszy spędzał bezcenne chwile z córką, a druga zdobywając informacje walczyła na śmierć i życie z renegacką czarnoksiężniczką, on zajmował się innymi sprawami. Po upojnych godzinach z Vivienne, która ciągle odpoczywała w jego prywatnych komnatach, przejrzał pozyskane dane i ponownie je przeanalizował. Potem

postanowił osobiście nadzorować trening swojej uczennicy, jak to miał w zwyczaju.

Czasomierz pokazywał 16.38. Nie widział żadnego sensu w czekaniu na kapitana i Szpieg-mistrzynię. Jego arcyciękna Czarnoksiężniczka dopiero za jakieś dziesięć godzin planowała wyruszyć do Kręgu w Spero. Nie spieszyło się jej, a Człowiek z Wyobraźnią to akceptował. Viviene była biegła w sztuce dyplomacji, a w znajomości magicznych arkanów przewyższała nawet jego. Również jej urok skutecznie pomagał w osiągnięciu założonych celów.

Lydia była zdolna, mógł to przyznać bez wahania. Była również ciekawska, pyskata, uparta i gadatliwa. Zadawała nieskończone serie pytań, na które domagała się odpowiedzi. Każda z tych cech dawała jej dobre rokowania, ponieważ tacy właśnie byli członkowie Świętego Oficjum. Nie uznawali żadnych autorytetów oprócz Stwórcy. Sami byli swoimi panami i kiedy potrzebowali jakiejś informacji, po prostu ją dostawali. Nawet gdy musiały przez to ginąć miliony. Kark gięli tylko przed równym sobie, a i to było rzadkim zjawiskiem.

Inkwizytorzy walczyli ze złem absolutnym i mrokiem czającym się wśród ludzi. Dlatego podobnie jak ich przeciwnik, oni również używali ostatecznych środków, i to właśnie w ich interesie leżało określenie tego, co jest moralne, a co sprzeczne z ludzką naturą. Cała władza, moc i prawo, które kiedykolwiek posiadał człowiek, znajdowało się w dłoniach takich ludzi jak Witeldon. Dlatego oczekiwano, że dzierżą to wszystko najlepsi z najlepszych.

- Sekwencja druga, pewnie na nogach - powiedział mężczyzna w czarnym pancerzu.

Młoda dziewczyna, odziana w lekką zbroję, raz za razem blokowała i wyprowadzała ciosy przy pomocy kunsztownych sztyletów. Przeciwnicy, którymi były dwa roboty treningowe, stanowili godnych rywali. Każdy z metalowych konstruktów wielkości rosnących mężczyzn miał po cztery ręce. Wszystkie dłonie były uzbrojone w ostre jak brzytwa, tytanowe miecze.

Ćwiczenia z prawdziwym orężem były konieczne, choć niebezpieczne. Wszystko polegało na jak najlepszym odegraniu prawdziwej walki. Instrumentory miały bardzo zaawansowane zabezpieczenia. Jeśli miałyby paść z ich strony cios śmiertelny, program kontrolujący sztuczną zabijakę zmusiłby go wcześniej do wyłączenia swoich funkcji operacyjnych. Jednak czasami blokada zawodziła...

Lydia toczyła batalię, mając jednego przeciwnika przed sobą, a drugiego za plecami. Wykonywała serie uderzeń, będąc cały czas w ruchu. Odskoki, piruety, przewroty, salta w tył i w przód stanowiły nieodzowny element jej stylu walki. Atutem tej drobnej osoby nie była siła, lecz wyjątkowa zwinność i gibkość. Roboty treningowe ustawiono na tryb zaawansowany. Uczennica właśnie sprawdzała się w sytuacji, w której nawet dobrze wyszkolony mortus oddziałów przełamania padłby dawno martwy.

Zanurkowała pod ramieniem jednej z maszyn, orząc ostrzem jej bok. Wybiła się w górę i pewnym cięciem obydwu sztyletów skróciła swój cel o głowę. Opadła na ziemię, blokując obiema rękami atak na swoje plecy. Przeturlała się na bok i zaczęła wirować wokół drugiego robota. Stał błyszcząca, a światło grało na metalicznych klingach. Błyski i cienie tańczyły do rytmu narzuconego przez obojga walczących. Nagle jedna sztuczna dłoń odleciała, odcięta od ciała precyzyjnym uderzeniem. Druga i trzecia wkrótce podzieliły ten sam los.

Lydia wykorzystała osłabienie rywala i rzuciła się do przodu. Odbiła pewnie cios i jednym z ostrzy dźgnęła instrumentora w pierś. Zawisła w powietrzu, a wykorzystując momentum przeskoczyła na plecy wroga, zanurzając w jego szyi drugi sztylet. Robot treningowy uklęknął pokonany. Dziewczyna wyciągnęła broń, a maszyna opadła z łomotem na podłogę. Po chwili rozległy się brawa.

- Piękna robota, panienko - powiedział Ivan Dacid. Podstarzały mężczyzna zajmował się naprawami i przygotowaniem każdej sekcji ćwiczebnej.

- Dziękuję, Dziadku - odpowiedziała uczennica, używając jego przezwiska. W ten sposób zwracali się do niego mortusi i pozostałe sługi.

Jedna osoba oglądała walkę i zwycięstwo Lydie bez emocji.

- Dwie minuty i czterdzieści osiem sekund. Trzykrotnie niemal dałeś się trafić, co zmusiło cię do blokowania - ręką pokazał czubek swojej głowy, następnie opuszczał ją coraz niżej, aż do pasa. - Twoje ciało nigdy nie będzie dość silne, by zatrzymać taki cios. Uniki, mobilność i przewaga szybkości to twoje atuty. Uderzenie możesz sparować tak jak cię uczyłem, albo, co trudniejsze, pójść z jego siłą i zyskać dodatkową prędkość. To jednak wymaga większej równowagi - dokończył i spojrzał na Ivana ciągnącego jedną z maszyn.

Garb i niemal całkowicie łyśa głowa mężczyzny świadczyły o zaawansowanym wieku. Lekka, rzadka siwa broda nadawała łagodności jego piegowatej twarzy. Czarne szaty, przetarte w kilku miejscach, mówiły o ciężkiej pracy i wielkiej aktywności. Były czyste, co dowodziło, że przykładał do tego duże znaczenie. Dozorca pól treningowych był sługą, z którym Inkwizytor spędzał czas, dbając o rozwój fizyczny Lydii, nadzorując ćwiczenia swoich oddziałów, bądź sprawdzając swoje umiejętności i pojedynkując się z Ursusem dla sportu i wyzwania.

Pamiętał jak zwerbował Ivana. Minęło już pięćdziesiąt lat, gdy wyciągnął go z płonącego budynku Spero podczas ataku demonów. Mężczyzna był wtedy niskiej klasy adeptem Inżynierów, odpowiedzialnym za drobne naprawy u jednej ze szlachcianek. W Sacrum mógł robić to, co lubił. Naprawiać liczne maszyny i urządzenia o małym skomplikowaniu.

Witeldon przez cały czas obserwował, jak jego złota rączka się starzeje. Od kiedy pod swoje skrzydła wziął nową uczennicę, widział to jeszcze wyraźniej. Mężczyzna z roku na rok stawał się powolniejszy. Coraz większą trudność sprawiało mu dźwiganie ciężkich metalowych części. Zmiany fizyczne to jedno, większym problemem była pogarszająca się pamięć. Jednak wciąż trwał na posterunku i wykonywał swoje obowiązki najlepiej jak mógł.

Inkwizytor stał zamyślony. Zastanawiał się, jak to jest być starym. Sam uwięziony w ciele dwudziestolatka wielokrotnie rozmyślał o tym, co czuje człowiek, gdy widzi, że niedługo stanie u bram Stwórcy. Ciekawiło go, jak zwykli ludzie radzą sobie ze świadomością, że każde pójscie do łóżka może być ich ostatnim. Co wtedy myślą i czują? Czy rozprawiają o tym, co ich czeka po śmierci? Nie był w stanie wyobrazić sobie, jak to jest żyć z takimi myślami. W starciu z nieuchronnym...

- Mistrzu, chcę spróbować czegoś trudniejszego? - dobiegł go dziewczęcy głos.

Spojrzał na nią, wyrwany z objęć własnych myśli.

- Słucham? - zapytał.

Lydia westchnęła i wskazała na Ivana, który kończył odciążać na bok drugiego robota.

- Chcę poziom wyżej. Udowodnię ci, że potrafię lepiej - dumnie uniosła brodę. - Jestem najlepsza w tych akrobacjach.

Spojrzał na nią z lekką irytacją.

- Pewność siebie jest pożądaną cechą. Lecz samouwielbienie prowadzi do samozniszczenia i grzechu - rzekł ciężkim, głębokim, męskim tonem.

Uczennica kiwnęła energicznie głową.

- Rozumiem, ale naprawdę chcę zobaczyć, ile jestem w stanie dać z siebie, a wiem, że pokonam każdego blaszaka, jakiego ma Ivan.

Słyszając swoje imię, mężczyzna skłonił głowę i przytaknął.

- Bez wątpienia, panienko.

Widząc jej promienny uśmiech, Witeldon ryknął na dozorcę bez cienia gniewu.

- Na litość Stwórcy, nie słódź jej! Jeszcze pięknie od tego zachwytu.

Starzec ukłonił się w pas.

- Najmocniej przepraszam, Panie.

Człowiek z Wyobraźnią machnął ręką z rezygnacją i podszedł do wychowanki.

- Tak bardzo chcesz udowodnić swoją wielkość? Więc dobrze - spojrzał na adepta. - Cztery instrumentory treningowe. Program Spartakus.

To była czwarta, najtrudniejsza sekwencja ćwiczeń. Do tej pory żaden z mortusów jej nie przeżył. Dozorca lekko pobladł, lecz sięgnął po zawieszoną u pasa konsoletę i wydał stosowne polecenia. Po chwili rozpętały się igrzyska śmierci.

Cztery maszyny wybiegły z różnych stron, otaczając dziewczynę. Zaatakowały z głębokim wypadem. Podskoczyła wysoko w górę. Robiąc w powietrzu przewrót, wylądowała na zewnątrz kordonu. Rozpoczęła taniec wśród szesnastu ścigających ją ostrzy. Każdy unik, parada czy uskok były wykonane w idealnym tempie, precyzyjnie i szybko.

W pewnym momencie dwa roboty ruszyły na nią. Przyjęły ciosy na miecze, a uderzenia wykonane drugą parą metalowych rąk trafiły w powietrze. Wojowniczką doskoczyła do trzeciego przeciwnika, zasypując go gradem szybkich sztychów. Czwarty zaatakował od tyłu. Cofnęła się, wykonując natychmiastowy unik i obrót, zostawiając przeciwnika kilka kroków od siebie. Skrzyżowała broń z trzecią maszyną.

Nie można było zobaczyć konturów mieczy ani sztyletów. Blask stali i szybkość walki wszystko zacierają. Minęło sześćdziesiąt siedem sekund,

gdy maszyna padła. Lydia odbiła się od bloku jednego z robotów i z wielką zręcznością dokonała na rywalu dekapitacji.

- Szybciej, Mistrzu! Oni są za wolni! - krzyczała, nieprzerwanie skacząc i wirując.

Witeldon zagryzł zęby. *Z wiekiem zrobiła się z niej arogancka małolata* - pomyślał. Spojrzał na Ivana, starzec stał zapatrzony, jakby zobaczył Stwórcę.

- Program Achilles - rozkazał, a ten spojrzał na niego złękniiony i niepewny. - Wykonać! - wrzasnął.

Instrumentory dostały wsparcie i zwiększyły tempo. Do trójki dołączyły jeszcze dwa. Pięć maszyn na zmianę ścierało się z jedną kobietą. Atakowały z różnych stron, w mgnieniu oka zmieniając sposoby walki. W tym tańcu jednak to ona prowadziła. Unikała ciosów, wyprowadzając własne, niemal nie dotykając przy tym ziemi. Jeden z robotów wykonał zamaszyste cięcie. Lydia przebiła sztyletem jego dłoń i wykorzystując energię maszyny, wyskoczyła z impetem, odcinając w powietrzu łby dwóm innym metalowym konstruktom. Przekoziółkowała, cały czas blokując. W ciągu zaledwie czterech sekund spadło na nią trzydzieści siedem uderzeń. Żadne nie trafiło.

- Mistrzu, za wolno! - krzyknęła.

Inkwizytor stał zaskoczony. Spodziewał się, że będzie musiał przerwać starcie.

- Program Exelcior.

- Ależ Panie...

- Ivan, wykonaj moje polecenie.

Na placu boju znów było pięć maszyn. Od rozpoczęcia walki minęły już cztery minuty, a salę treningową wypełniła kakofonia uderzeń stali o stal, dudnienie kroków walczących, syki robotów i dyszenie Lydii. Dziewczyna nie zwalniała ani na moment. Wirując niczym bogini wojny, przykrywała sobą każdy kąt. Jej ruchy były niczym zaprogramowane. Lata ćwiczeń pod okiem Mistrza, żelaznej dyscypliny i wiecznej pogoni za doskonałością, teraz zdawały najtrudniejszy test w jej krótkim życiu.

Jednak była tylko człowiekiem. Miała swój limit siły. Choć roboty były poznaczone licznymi trafieniami, grubymi bruzdami, a niektóre utraciły część kończyn, żaden nie padł. Zaczęła słabnąć. Witeldon to widział.

- Mistrzu, szybciej. Proszę! - krzyknęła, dysząc.

Kolejne uniki, kolejna sekwencja, ciągle w ruchu, niemal zawsze w powietrzu. On kiwał głową w uznaniu, czuł napięcie.

- Program In Extremo exitiale conflictu - rzucił w stronę Ivana.

Tym razem starzec nawet nie otworzył ust. Maszyny trzykrotnie zwiększyły prędkość ruchów. Zwykły człowiek nie był w stanie zobaczyć nic więcej oprócz plamy światła, tak szybkie było tempo walki. Inkwizytor widział wszystko doskonale i nie mógł uwierzyć. In Extremo był wyzwaniem nawet dla niego. A przecież on był pięciokrotnie szybszy od najlepszych śmiertelników.

W pewnym momencie jego wyostrzony węch wyczuł krew. Jedno z ostrzy zostawiło na plecach Lydii płytką szramę. Siedem sekund później i osiemset dwadzieścia jeden machnięć mieczem, które maszyny wykonały na jego oczach, została zraniona drugi raz. Trzecia szrama naznaczyła jej ramię, gdy przebijając głowę instrumentora, nie zdążyła zrobić piruetu.

Witeldon obserwował jej hart ducha, walkę, oddanie własnym umiejętnościom. Patrzył na efekt swoich nauk i jej poświęcenia. Jego oczy śledziły każdy ruch.

- Stop! - krzyknął i złapał ramię jednego z robotów. Ułamek sekundy przed śmiertelnym ciosem, który maszyna niemal wyprowadziła pomimo wydanego polecenia.

W sali zapanowała cisza. Przerывało ją jedynie ciężkie dyszenie Lydii. Człowiek z Wyobraźnią słyszał jeszcze spadające na podłogę krople jej krwi. Tylko on był w stanie wychwycić ten dźwięk.

Spojrzał na Ivana. Starzec stał bez ruchu, nie mogąc pojąć tego, co się dokonało. Witeldon sam miał z tym problem. Puścił sztuczne ramię robota, ignorując fakt, że w litym metalu głęboko odcisnął swoją dłoń. Nie kontrolował siły.

- Lydio... - nie mógł dobrać słów. - To było niewiarygodne.

Uczennica spojrzała na niego, łzy znaczyły jej twarz... Lecz to nie rany i widmo śmierci były powodem takiej reakcji.

- Nie... dałam... rady... - wykrztusiła. - Mistrzu... zginęłabym, gdyby nie Twoja pomoc - powiedziała i zaczęła głośno płakać.

Witeldon zobaczył w młodych oczach cień strachu. Złapał ją za ramiona. Tym razem był delikatny.

- Rozejrzyj się dookoła i powiedz mi, co widzisz.

Dziewczyna spojrzała na niego zdziwiona. Zapłakany wzrokiem objęła salę i pobojuwisko, które powstało w wyniku walki.

- Widzę porażkę.

Opancerzony mężczyzna przecząco pokiwał głową.

- W takim razie widzimy kompletnie coś innego.

Puścił ją i kciukiem otarł łzy, uważając, by nie rozciąć jej policzka okutą w metal dłońią.

- Ja dostrzegam tu narodziny czegoś wielkiego - ręką wskazał na zniszczone i uszkodzone instrumentory. - Program In Extremo exitiale conflictu... Wiesz, co właśnie zrobiłaś? Z tego starcia nawet ja nie wyszedłbym bez rysy.

Dziewczyną tupnęła mocno nogą i machnęła rękami w gniewie.

- Ale Mistrz by wygrał! - wrzasnęła.

- Prawda, lecz ja nie jestem zwykłym człowiekiem. Byłoby to dla mnie wyzwanie. Dla ciebie już przy Achillesie powinno to być niemożliwe - tłumaczył ze spokojem, patrząc prosto w jej oczy. - To było naprawdę niesamowite.

Dziewczyna przełknęła ślinę, słowa na długo ugrzęzły w jej gardle.

- Jak mam być taka jak Mistrz, skoro nigdy nie osiągnę takiej sprawności? - zapytała szlochając.

Brodacz położył swoje dłonie na jej barkach.

- Nie szkolę cię, byś była taka jak ja. Chcę, byś była sobą.

- Ale... - zaczęła.

- Nie ma żadnego „ale” - przerwał. - Płaczesz, gdyż nie dałaś rady. Na tym polega trening.

- Ale...

- Lydio, jeśli będziesz robiła tylko to, co umiesz, to nigdy nie będziesz kimś więcej niż teraz jesteś. Pokazałaś, że wszelkie nadzieje, które w tobie pokładałam, są uzasadnione. Udowodniłaś, że jesteś godna całej wiedzy, którą posiadałaś. I mówię to szczerze.

Zaglądał głęboko w jej oczy, lecz wciąż widział tam niedowierzenie.

- Tak samo jak wtedy, kiedy samym Słowem wygnałaś swojego pierwszego demona. Tu także jesteś górą. To był apeks ludzkich zdolności - kontynuował, a niedostrzegalnym ruchem oka wysłał powiadomienie do wyższego lazaretu w Sacrum. Ktoś przecież musiał opatrzyć jej rany.

Dziewczyna była w szoku, a od emocji ledwo stała na nogach.

- Mistrz pokłada we mnie nadzieje?

- Jestem z Ciebie dumny.

Słyszając coś takiego, spojrzała na niego, a po chwili całkowicie się rozkleiła. W swoim krótkim życiu tylko dwa razy usłyszała od Witeldona takie słowa. Przyłgnęła do jego opancerzonej piersi, mażąc ją potem i łzami. Wtulała się w niego jak w ojca. On nie był gotowy na takie zachowanie. Nie wiedział co zrobić. Jedną dłoń położył na jej plecach, a drugą przytrzymał głowę. Stali tak przez piętnaście uderzeń serca.

- Przybył sługa medyczny, który odprowadzi cię do lazaretu. Jutro wyruszamy i musisz być w pełni sprawna.

Oboje spojrzeli na otwierające się wrota. Kobieta w białych szatach stanęła wyczekująco w przejściu. Lydia niechętnie ruszyła w jej stronę, a idąc, spojrzała jeszcze raz na ponure oblicze Mistrza.

- Jestem z Ciebie dumny, uczennico - powtórzył.

Uśmiechnęła się, a łzy znów spłynęły po policzkach. Wiedziała, że mówił szczerze. Witeldon brzydził się wszelkim kłamstwem. Fakt, że był z niej zadowolony, stanowił dla niej największą nagrodę, jaką mogła sobie wymarzyć. *Pewnego dnia zrobię coś tak wielkiego, że się uśmiechnie* - pomyślała.

Wejście zamknęło się z hukiem. Inkwizytor stał w pomieszczeniu i wciąż trawił to, co zobaczył. Ze stuporu wyrwało go jęknięcie. Ivan taszczył do pracowni jedną z pokonanych maszyn. Członek Świętego Oficjum rozejrzał się dookoła. *Tym razem masz roboty od cholery* - stwierdził, patrząc na starca dźwigającego metalowego konstrukty. Coraz starszego, słabszego i powolniejszego, który jednak trwał, pracował i starał się. Obowiązek był dla niego życiem.

Życiem - powiedział w myślach Opancerzony Mężczyzna. *To, co dla niego było całym czasem, który dał mu Stwórca, dla mnie jest mrugnięciem oka.*

- Ivan, odłóż tego blaszaka - powiedział.

Mężczyzna od razu wykonał polecenie. Spojrzał z zaciekawionym.

- Coś się stało, Panie?

Witeldon machnął ręką.

- Stań obok. Poślę po ludzi, którzy to przeniosą - wykonał gest, wskazując na porozbijane maszyny. - Dzisiaj strasznie tego dużo.

- Mój Panie, nie musisz robić sobie zachodu. Wszystkim się zajmę - zapewniał.

- Domyślam się, jednak po coś mam tyle sług - rzekł, ucinając temat.

Na wysłane żądanie do sali weszło czterech młodych, silnych mężczyzn. Ukłonili się Panu i zaczęli znosić roboty do warsztatu Dozorcy.

- Niezłe dała przedstawienie, prawda? - zapytał starca.

Garbaty pokiwał energicznie głową.

- Była niesamowita, mój Panie, naprawdę genialna - uśmiechał się, a w jego użębieniu widać było ubytki. - Nigdy nie widziałem, żeby człowiek tak się poruszał. To znaczy oprócz Pana oczywiście, przepraszam.

- Dobrze powiedziałaś - Witeldon patrzył na resztki instrumentorów, ciągle mając przed oczami wyczyn Lydii. - Żaden człowiek nie rusza się w ten sposób. Ja zaliczam się do innej kategorii - westchnął. - Niesamowity talent, choć trochę samokrytyki by jej nie zaszkodziło.

Mężczyzna zaśmiał się sucho.

- Wszystkiego ją Pan nauczy.

Stali chwilę w ciszy, aż Dozorca znów się odezwał.

- Gdybym w przeszłości kiedykolwiek w życiu miał dziecko, to chciałbym, żeby było takie, jak ona - zaczął.

Inkwizytor spojrzał na niego.

- Taką klątwę? Urwanie głowy z nią, choć jak widać, warta jest poświęconego czasu.

Ubrany w czarną szatę, podrapał się po głowie.

- Ona jest pełna życia i energii. Niesamowity zadziór.

- Zadziór? - powtórzył Witeldon.

Mężczyzna przytaknął.

- Jak haczyk na ryby, które dla zabawy szlachcice łowią w oczkach wodnych w swoich domostwach. Niby cienki metal, nawet ktoś tak stary jak ja wygiąłby go w rękach, ale jak się zaczepi, to już nie puści. Prędzej żyłka pęknie - zarechotał. - Jak wejdzie w palec, to jeszcze gorzej.

- Jak to się do niej odnosi? - zapytał Witeldon.

- Ona jak się czegoś złapie, to też nie da za wygraną. Będzie dążyć do celu i za wszelką cenę starać się go osiągnąć. Pomarudzi, bo młoda, ale za to naprawdę ambitna.

- Teraz widzę - założył ręce na piersi. - Zawdzięcza to sobie.

- Przede wszystkim Pańskim naukom.

Witeldon kiwnął głową.

- Prawda, lecz to, co dzisiaj pokazała, to jej dzieło.

Ivan spojrzał uważnie na Inkwizytora.

- Mogę Panu opowiedzieć historię?

- Opowiedz.

- Kiedy pracowałem dla szlachcianki, w tym pałacyku, z którego mnie Pan wyciągnął, miałem okazję obserwować wielu sławnych ludzi. To było dawno temu, kiedy byłem młody i piękny - zrobił przerwę. - Teraz już tylko piękny.

- Dobrze - Człowiek z Wyobraźnią parsknął.

- Tak więc moja służba u madame Alil nie była wymagająca. Naprawiałem liczne sprzęty i zraszacze w jej szklarni. Czasem lampy. Ona miała córkę, której na imię było Daria. Dziewczyna pobierała lekcje pianina u sławnego mistrza. Nazywał się Horacy Rozarić.

- Kojarzę - rzucił słuchający.

- Tak więc dziewczynka może i nie była geniuszem, ale dużo ćwiczyła i ładnie grała. Naprawdę. Często słuchałem jej z mojej pracowni, gdy majsterkowałem - zakaszłał. - Pewnego dnia zajrzał do mnie Pan Rozarić. Powiedział, że zepsuł mu się czasomierz naramienny i zapytał, czy umiem go naprawić. Poprosiłem, by wrócił za dwie godziny, a on się ucieszył, bo akurat miał lekcję. Zawsze, gdy uczył panienkę, a potem ona ćwiczyła, ja słuchałem.

- Aha.

- Tak więc naprawiłem ten czasomierz i gdy Pan Rozarić wrócił, to z nim chwilę porozmawiałem. Zapytałem wtedy, czy jak uczy tylu ludzi, to nie boi się, że któryś z uczniów będzie lepszy?

- Jaka była odpowiedź? - Inkwizytor wyczuwał, że historia zmierza do końca.

- Były to słowa, które zapamiętam do końca życia. Zdanie prawdziwego mistrza. Zapinając czasomierz uśmiechnął się, że znów działa i rzekł: *Dopiero wtedy wiesz, że jesteś dobrym mistrzem, gdy ci, których uczysz, stają się od ciebie lepsi.*

Ivan pokiwał głową.

- Nigdy więcej już z nim nie rozmawiałem, a niedługo potem spotkałem Pana.

Witeldon spojrzał na starca. Nie spodziewał się czegoś takiego. Opowieść miała naprawdę głębokie przesłanie. Rozumiał sens i wagę słów wirtuoza muzyki. *Wielkość nauczyciela objawia się dokonaniem jego wychowanków* – pomyślał. Mówiło się przecież, że uczeń przerósł mistrza. Wtedy ten drugi często wpadał w gniew i pychę. To źle o nim świadczyło. Naczelnym zadaniem edukacji jest kształcenie ludzi tak, by następne pokolenia, korzystając z osiągnięć wcześniejszych, mogły być lepsze. Tak powstawał rozwój, a za jego sprawą kwitła cywilizacja i dobrobyt.

Inkwizytor raz jeszcze przeanalizował słowa Ivana swoim wzmocnionym umysłem. Mimo że był od niego lepszy i ważniejszy dla świata pod każdym względem, to ta rozmowa czegoś go nauczyła. Przeżył już niemal cztery milenia, ale nigdy wcześniej nie spotkał się z takim stwierdzeniem. Kolejny raz starzec udowodnił swoją wartość, nawet tego nie dostrzegając.

- Ivane, zostawiam cię, obowiązki mnie wzywają – ruszył w stronę wyjścia, lecz po chwili zatrzymał się. – Gdyby chwyciła cię niemoc, masz prawo zgłosić się do wyższego lazaretu.

Mężczyzna aż się zakrztusił. Ukłonił się najniżej, jak mógł.

- Mój Panie, twoja litość nie zna granic – spojrzał na Witeldona. – Czym sobie zasłużyłem na taki zaszczyt, jeśli mogę wiedzieć?

Opancerzony Człowiek rzucił na niego okiem.

- Dziś nie tylko Lydia miała owocną lekcję – rzekł i wyszedł z sali.

Skierował kroki do inkwizytorskiej zbrojowni. Od początku zmagania z tą sektą nie miał okazji walczyć z demonami. Przelewał swoją krew, prowadząc batalię ze zwykłymi, zbuntowanymi ludźmi i z Armatusami. Na ten plebs nigdy nie zmarnowałyby uświęconych kul z *Victoire*. Byłby to ciężki grzech. Już jakiś czas temu dostrzegł, że brakuje mu broni dystansowej. Postanowił skorzystać z wolnej chwili i przejrzeć swoją kolekcję, w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego. Nieoczekiwanie z pomocą przyszedł Ikarius. Na gałkach ocznych Witeldona wyświetliło się przychodzące połączenie od zbrojmistrza. Odebrał.

- Słucham – powiedział, nie przerywając marszu.

Głęboki głos przemówił bez emocji.

- Inkwizytorze, czy mógłbym liczyć na Pańską obecność w moim warsztacie? – zapytał były Inżynier.

- Chciałeś powiedzieć w warsztacie, którego używasz za moim pozwoleniem w mojej bazie operacyjnej – skorygował Człowiek z Wyobraźnią.

Chwila przerwy w dialogu sygnalizowała, że Ikarius analizuje to, co usłyszał. Srebrny Człowiek nie denerwował się. Wykasował z siebie takie emocje.

- Dostrzegam logikę w Pańskiej wypowiedzi, ponieważ nadpisałem moje zdolności dialogowe. Proszę jednak o Pańską odpowiedź?

Witeldon westchnął. Niezbyt przepadał za rozmowami ze znawcą technologii. Zawsze odnosił wrażenie, że jego zbrojmistrz był znacznie bliżej maszyn niż ludzkości. W zasadzie było w tym dużo prawdy.

- Dlaczego miałbym spełnić twoją prośbę? – zapytał.

- Ponieważ skonstruowałem broń zasięgową, która może Pana zainteresować.

Ciekawy zbieg okoliczności – pomyślał.

- Dobrze. Kieruję się do twojego warsztatu.

Ikarius wciąż nie kończył połączenia.

- Chciał Pan powiedzieć do Pańskiego warsztatu.

Członek Świętego Oficjum zacisnął pięść i zamknął łącze. Zmełł przekleństwo i zmieniając trasę spaceru, skierował się w stronę pracowni, ciekaw, co takiego wymyślił jego genialny sługa.

Miejsce robiło wrażenie. Dwupoziomowe pomieszczenie zajmowało ponad czterysta metrów kwadratowych powierzchni. Magazyn z egzotycznymi surowcami był jeszcze większy. Wszędzie grzmiały wprawione w ruch maszynie, które przetapiały bądź formowały przeróżne rudy metali. Na podłodze i w powietrzu pełno było niewielkich robotów, wykonujących przydzielone zadania. W środku, na podwyższeniu, otoczony mnóstwem wyświetlaczy, stał Ikarius Romos. Jego nieskazitelnie czyste, złoto-białe szaty lśniły w blasku emitowanym przez ekrany. Inkwizytor wszedł do pomieszczenia mieniącego się złotem i czernią. Znanca technologii, nie przerywając pracy przy monitorach, zarejestrował nadejście gościa.

- Witam, Panie, i zapraszam do głównej konsoly – tak nazywał podest, na którym stał.

Witeldon skierował się w jego stronę, bacznie przyglądając się miejscu. W Sacrum każda broń Mortusów i wszelkiego rodzaju aparatura, myśliwce, kanonierki, a nawet sprzęt jego i jego agentów, był naprawiany

i modyfikowany właśnie tutaj. Byłemu Inżynierowi można było zarzucić brak człowieczeństwa, które zastąpiła potrzeba ciągłych ulepszeń, jednak jego geniusz i skuteczność przewyższały każdą dostępną skalę. Stosowane przez Ikariusa rozwiązania często były zakazywane w Korpusach Inżynieryjnych, lecz Inkwizytor godził się na wszystko, dopóki służyło to jego celom.

Stanął obok Srebrnego Człowieka.

- Więc gdzie jest ten twój wynalazek? - zapytał obojętnym tonem.

Miał jeszcze trochę do zrobienia i nie zamierzał zapuszczać tutaj korzeni. Wynalazca wyciągnął metaliczną dłoń, a Człowiek z Wyobraźnią zauważył robota podobnego do kupidyńka, który leciał z końca sali. Maszyna o chromowanych skrzydłach unosiła się dzięki wbudowanemu systemowi miniaturowych dysz. W małych ramionach trzymała karmazynowe pudełko. Robot zawisł przed dwoma mężczyznami i z wielką pieczołowitością wręczył Inkwizytorowi przesyłkę. Witeldon otworzył ją, a to, co ujrzał w środku, okazało się wyjątkowym dziełem sztuki. Trzymał broń, którą można było zaliczyć do kategorii pistoletu.

Całość z metalu przypominającego srebro wykonały ręce wielkiego mistrza. Ikarius uformował przedmiot w figurę dwóch węży, których ogony przeplatały się w zabójczym uścisku. Dalej ciała gadów tworzyły jej zewnętrzny szkielet, a głowy drapieźników poprowadzone zostały w dwie położone obok siebie lufy. Wynalazek przypominał scenę, w której dwa wijące się na gałęzi zwierzęta wspólnie rzucają się na ofiarę.

Witeldon nie zauważył magazynka ani miejsca, gdzie, w przypadku wyrzutni plazmowych, zwykle znajdował się pojemnik na zjonizowany gaz. Podejrzewał, że to broń energetyczna, ale nie potrafił określić, jakiego typu. Srebrni zabójcy szczelnie otulali rdzeń wykonany z czarnego metalu.

Spluwa nie była ciężka, ważyła niewiele mniej niż *Victoire*, do której ciężaru już przywykł. Ciekawiło go, co tak naprawdę trzymał w dłoniach, a przede wszystkim, jakiego spustoszenia można dokonać po pociągnięciu za spust.

- Opowiedz mi o tym - rozkazał twórcy pistoletu.

Ikarius Romos patrzył na przedmiot świecącymi lazurem, szklanymi oczami.

- W Pańskich dłoniach znajduje się efekt trwających osiem tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt dwa lata badań Inżynierów. Lśnienie, tak się

nazywał ten projekt, doprowadził do wynalezienia nowego rodzaju broni energetycznej. Powstała ona w oparciu o technologie będące efektem eksperymentu ludzi jeszcze przed Dniem Kary. Potwierdziły to nasze zespoły archeologiczne.

- W jaki sposób posiadałeś takie informacje i wiedzę o wynikach ich pracy?
- zapytał Inkwizytor.

Srebrny Człowiek wzruszył ramionami.

- Przez moje zbyt ambitne podejście do wielu spraw i intrygę, której skutkiem było wykluczenie z Korpusów - zaczął. - Nie miałem szacunku dla rang panujących wśród Inżynierów. Pracowałem nad projektami, do których nie miałem formalnie dostępu. Zostałem zmuszony do odejścia w trybie natychmiastowym. Jako Strażnik Reliktów posłużyłem się kodami, do których miałem hasła, i zgrałem do własnego mózgu wszystkie prototypowe przedsięwzięcia organizacji, do której należałem.

- A potem spotkałeś mnie.

- Tak, po odparciu fałszywych zarzutów dołączyłem do Pana - ręką wskazał na swój wynalazek. - To jest właśnie skończony projekt Lśnienie. Pistolet emituje specjalny typ energii, która w ułamkach sekundy nagrzewa materiał, czy to sztuczny, czy organiczny, do niewyobrażalnie wysokich temperatur. Przewidywane ciepło wynosi około miliarda stopni Celsjusza. Tak gigantyczne naładowanie jakiegokolwiek struktury powoduje jej natychmiastową anihilację na poziomie molekularnym. Z powodu różnicy temperatur rozpalona warstwa, w kontakcie z chłodniejszą strefą, znajdującą się głębiej, wyzwala zapłon. To potęguje obrażenia. Broń wykazuje tak samo niszczycielski potencjał wobec materii ożywionej, jak i nieożywionej. Gigantyczna energia, uwalniana przy trafieniu wystarczy, by stać się realnym zagrożeniem dla demonicznych bytów - wyrecytował, nie tracąc czasu na oddech.

Witeldon pokiwał głową.

- Brzmi obiecująco, lecz co z amunicją? Jeśli prawdą jest, że ten pistolet wyzwala taką siłę, to częstotliwość strzałów jest raczej uboga?

Ze stoickim spokojem, jaki można przypisać tylko maszynie, zbrojmistrz rozwikłał wszelkie wątpliwości.

- W czarnym okuciu, w wewnętrznej części broni, umieszczono bardzo zaawansowany system do wytwarzania energii. Pozyskaliśmy go

w odnalezionej placówce badawczej. Wewnątrz oprawy wytwarzane jest miniaturowe jądro gwiazdy. Ludzie sprzed Dnia Kary byli naprawdę zaawansowani technologicznie. Na przykład potrafili obniżać temperaturę fuzji nuklearnych po to, aby odzyskiwać z niej energię i nigdy nie doprowadzić do całkowitego rozszczepienia. Oznaczało to ciągłą produkcję mocy.

- Czyli trzymam w dłoni coś, co zniszczyło kiedyś naszą planetę? - przerwał mu Inkwizytor.

- Jeśli wierzyć teorii, o której Pan wspomniał, to tak. Częstotliwość strzałów wynosi raz na dwie sekundy. A jeśli mowa o zasięgu, to wszystko zależy od celności strzelca. Wraz ze wzrostem odległości od celu, spadek mocy jest minimalny.

- Co z promieniowaniem?

Inżynier zmienił ustawienie wyświetlaczy, pokazując nowe dane.

- Pistolet jest w pełni ekranizowany, emisja zawiera tylko energię rozprędzającą atomy na powierzchni celu. Pańskie pytanie powinno raczej dotyczyć przewidywanego testu.

Witeldon z wolna rozejrzał się po warsztacie.

- Niby tutaj ma być cel?

- Czternaście sekund od końca mojej wypowiedzi - zapewnił Ikarius Rimos.

Człowiek z Wyobraźnią na swoich gałkach ocznych wyświetlił czasomierz. Dokładnie w tym czasie dwa metalowe szpony zaczęły sunąć po suficie, transportując sporych rozmiarów płytę w ciemnym kolorze. Ładunek był zawieszony w powietrzu dziesięć metrów od dwojga ludzi.

- Wymiary półtora metra na metr, grubość czterdzieści centymetrów. Tytan - opisywał wynalazca.

Witeldon nie zastanawiał się. Wycelował i nacisnął nieduży spust. Nie zauważył, by pistolet wystrzelił. Poczł jedynie ciepło od strony luf, które kryły się w głowach węży. Każdy, kto spojrzałby na przedmiot, który trzymał, mógłby pomyśleć o nieudanej próbie, jednak efekt wystrzału był niesamowity. Powierzchnia tytanowego bloku wyparowała szybciej, niż jakakolwiek żywa istota mogłaby to zobaczyć. Siła emisji wniknęła głęboko w metal, a nagła różnica temperatur rozerwała go. Połowę celu zajmował

teraz poszarpany otwór. Na hakach pozostały półciekle, rozżarzone fragmenty tytanu, które skapywały na podłogę warsztatu.

- Robi wrażenie - podsumował Witeldon.

Był naprawdę zaskoczony. Broń miała gigantyczną siłę, nielimitowaną amunicję i dobrą częstotliwość strzałów.

- Status nabywcy: zadowolony - zaczął mistrz technologiczny. - Jest jeszcze jedna kwestia.

- Jaka? - zapytał zbity z tropu Inkwizytor. Nie sądził, że zostało coś jeszcze do dodania.

- Ma Pan w zwyczaju nadawanie swojemu uzbrojeniu imion - przypomniał i palcem wskazał wynalazek. - Ten pistolet również wymaga stosownej nazwy.

Spotkanie przedłużało się, lecz Człowiek z Wyobraźnią nie odczuł z tego powodu gniewu czy irytacji. Owszem, miał taki zwyczaj. Nie dotyczył on każdej z jego śmiercionośnych zabawek, lecz wiele zasłużyło dzięki kunsztownemu wykonaniu, bądź użyteczności, na odpowiednią personifikację. Przedmiot, który teraz trzymał w dłoni, prezentował się doskonale. Wystarczająco, by zyskać miano jego broni przybocznej. Wybrał już stosowne imię. Należało do kobiety, która w najczarniejszej godzinie jego życia, niedługo po przebytych rytuale, bardzo mu pomogła. Było to coś znacznie cenniejszego niż wsparcie w pracy czy pieniądze. Była to wiara. Uwierzyła w niego i w to, że odniesie w życiu sukces.

Każdy człowiek musi wierzyć w to, co robi. Jednak każdy ma również chwile, w których wątpi w słuszność swoich decyzji i zamierzeń. Ona przywróciła mu ogień, który do tej pory płonie w jego sercu. Choć już tysiące lat temu obróciła się w proch, to w jego pamięci pozostała na zawsze. Dzięki niej w chwili największej swojej próby zwyciężył i sam mógł przekazać Stwórcy dobre nowiny. Kibicowała mu niczym fanka numer jeden...

- Carine.

Ikarius uklonił się.

- Niechaj tak będzie.

Jedno oko Inżyniera rozbliżyło jasną czerwienią. Był to promień lasera, który na boku pistoletu wygrawerował wypowiedziane imię. Broń prezentowała się godnie. Witeldon przypiął ją do magnetycznej uprząży

wbudowanej w pas zbroi. *Carine* znalazła się powyżej *Victoire*, która spoczywała w kaburze.

- Jaki jest twój następny projekt?

Metalowy człowiek stanął bokiem do Inkwizytora. Patrzył na swoje królestwo i na setki pojawiających się przed nim wyświetlaczy.

- Karabin snajperski, strzelający pociskami z antymaterią.

Umysłem był już w swoich wizjach. W jego głowie następowało dzieło stworzenia.

- Brzmi nieźle. Owocnej pracy.

Witeldon ruszył w stronę wyjścia. Żegnała go pracująca maszyneria, a jedyną zmianę zauważył w melodii pracy. Ikarius właśnie zaczął budować nowy instrument, który grać będzie pieśń wojny i śmierci.

Czasomierz w rogu jego gałki ocznej pokazał 19.48. Miał już potrzebne uzbrojenie, więc porzucił plan odwiedzenia zbrojowni. Gdy postanowił wrócić do swoich prywatnych apartamentów, otrzymał połączenie od Alexandry.

- Mój Panie, informuję o wykonaniu zadania.

W połączeniu pojawiły się minimalne zakłócenia. Był to naturalny efekt lotu w zasnutym, burzowym niebie.

- Raport - zażądał.

- Dwie zamówione kusze *Sanctificate* dotarły. Mam je z sobą. Bucky był wielce pomocny w śledztwie, lecz okazało się, że współpracował również z wrogiem. Wymogłam na nim stosowne sankcje i zapewniłam, że to ostatni błąd, na który mógł sobie pozwolić. Ponadto Stwórca sprawił, że moje drogi skrzyżowały się z wiedźmą z odprawy.

- Jak się potoczyło spotkanie?

- Nie udało mi się jej wziąć żywcem, ale stosując wytyczone przez Pana procedury, pozyskałam wszystkie informacje.

- To dobrze.

Wiedział, że każde nowe dane mogły przybliżyć go do rozwiązania intrygi. Fakt, że udało się uzyskać coś od Elysi Irion, która brała czynny udział w sprawie, dawały solidne rokowania.

- Za ile lądujesz?

- Za jakieś trzynaście minut.

- Oczekuję cię w centrum dowodzenia. Trzeba obmyślić następny ruch i dokładnie się wszystkiemu przyjrzeć.

- Oczywiście, mój Panie.

- Do zobaczenia, moja droga - pożegnał się i zakończył połączenie.

Szedł korytarzem Sacrum. Kłaniały mu się zakapturzone sługi. Bogactwo alejki bladło w porównaniu z przepychem, z którego słychać główny hol bazy. Oświetlony kryształowymi żyrandolami, robił wielkie wrażenie na każdym nowym przybyszu. Marmurowe ściany z wyrzeźbionymi fragmentami Świętych Tekstów oczyszczały i wyciszały umysł. Rzeźby przedstawiające czcigodnych i legendarnych inkwizytorów, których sam darzył szacunkiem, patrzyły ponurym wzrokiem na mijających je ludzi.

W centrum wielkiego, wysokiego pomieszczenia, pośród setek rozpalonych świec, znajdował się wykuty z kamienia posąg klęczącego kolosa. Odziany w przepaskę, trzymał na swoich barkach całą kulę ziemską. Na niej widniał napis wykonany z najczystszej złota, które mieniło się kolorami od blasku lamp i zniczy: *Ty możesz zostać zapomniany, lecz czyny twoje staną się nieśmiertelne.*

Schodami biegnącymi po bokach giganta i zachodzącymi za jego plecy wszedł na górny poziom. Skręcił w prawo, w głąb góry, w której znajdowało się Sacrum. Znów mijał setki metrów kunsztownie wykonanych korytarzy. Nie był w stanie zliczyć, ile razy przemierzał je wzdłuż i wszerz. W końcu stanął przed wrotami centrum dowodzenia. Otworzyły się bezszelestnie i tak samo zamknęły się za nim. Wszedł do środka, gdzie skanery wychwyciły jego sygnaturę i aktywowały całą aparaturę.

Środkowy projektor ożył i prezentował przed nim roje wyświetlaczy, uformowanych z magicznego pyłu. Kryształowe, wypełnione magią kule, pełniły w Sacrum rolę kamer. W jednej z nich zobaczył, że Koliber Alexandry stoi już w hangarze. Przejrzał następne i zobaczył swoją agentkę. Była już blisko wejścia do centrum. Minęło sześćdziesiąt osiem uderzeń serca, gdy wkroczyła do sali. Jego ulepszony wzrok od razu wychwycił uszkodzenia jej pancerza. Kilka wgnieceń, bruzd i nadpalonych fragmentów świadczyło o ciężkiej walce. Wyczuł lekki zapach zaschniętej krwi. Kątem oka, na ledwo wystającym czubku jej nadgarstkowego ostrza, zauważył szerniącą posokę. *Więc kontakt był bliski* - stwierdził w duchu.

Twarz kobiety nie zdradzała emocji, lecz można było na niej dostrzec lekki grymas. Zmęczenie organizmu i odniesione rany dawały się jej we znaki. Stała po przeciwnej stronie projektora i ukloniła się.

- Przybyłam zgodnie z rozkazem, mój Panie.

Inkwizytor kiwnął głową, po czym pochylając się, oparł obie ręce na urządzeniu, które pełniło również funkcję stołu.

- Potrzebujesz pomocy medycznej? - zapytał.

- Nie - Alexandra spojrzała mu w oczy i poruszyła barkami. Zaciśnęła wargi. - To nic takiego.

Westchnął.

- Rozumiem. A więc słucham.

Zacząła swoją opowieść. Ze wszystkimi szczegółami prezentowała przebieg spotkania z Buckym i walkę z czarownicą.

- Mówisz, że wykryła twoją obecność pomimo maskowania, run i szkolenia - powiedział, przerywając jej raport.

- W ostatniej chwili - potwierdziła kobieta. - Zupełnie jakby coś podpowiedziało jej o niebezpieczeństwie.

- To niewykluczone - zgodził się Inkwizytor. - Nie mamy ciągle informacji, z czym walczymy, kto jest głową tego przedsięwzięcia i jak jest potężny. Prawdziwą groźbą jest jednak wieść, że w zasięgu ich zainteresowań są Bramy Ke'Arxa - zabębnił opancerzonymi palcami o powierzchnię konstrukcji. - Ta informacja określa cel mojej podróży z Lydią do Podmiasta.

Na twarzy Alexandry nie drgnął ani jeden mięsień, lecz jej głos wyrażał lekkie zdziwienie.

- Planuje Pan zejść z nią w te opuszczone przez Boga katakumby?

Kiwnął głową, cały czas na nią patrząc.

- Jeśli faktycznie dotarli do Bram, powstrzymam ich w najważniejszej dla nich chwili - zaczął. - Jeżeli zdążę pierwszy, zapieczętuje je tak, że przez długie tysiąclecia nawet najsprawniejszy mistrz okultyzmu czy inny wypaczony wykojeniec ich nie tknie. Tak, jak zrobili to moi poprzednicy na początku naszej ery - wykonał niedbały ruch dłonią. - Pokaż, co z niej zabrałaś.

Alexandra położyła przed nim medalion Elysii, jej prywatne miniaturowe maszyny różniczkowe i sporych rozmiarów fiolkę krwi. Czerwona ciecz

zostanie poddana analizie przez Ikariusza, który wyizoluje wszystko, co ma jakiegokolwiek znaczenie magiczne bądź mutacyjne. Komputerami i nośnikami danych zajmie się on sam. Jeśli chodzi o ciężki naszyjnik, to miał w swoich szeregach kogoś, kto odpowie na każde pytanie z tej materii.

Potrzebuję twojej pomocy – wysłał telepatyczną wiadomość do Vivienne.

Dawno temu pozwolił, by połączyła swój umysł z jego. Niosło to wiele korzyści, a jego niezłomna wola zawsze mogła zerwać komunikację. Nawet potężna magia Czarnoksiężniczki nie mogła w tym przeszkodzić.

Jesteś sam? – usłyszał w głębi swojego umysłu pytanie.

Nie, nie jestem, co to ma do rzeczy? – zapytał.

Szkoda, bo tak to, muszę się ubrać – odpowiedziała ze smutkiem w głosie.

Inkwizytor westchnął przeciągle.

- Coś się stało, mój Panie? – zainteresowała się Alexandra.

- Nic takiego – odparł, zaciskając zęby.

Zanim w centrum dowodzenia padło jakiegokolwiek nowe słowo, otworzył się portal, z którego wyszła sankcjonowana przez niego mistrzyni magii. Wyglądała zjawiskowo i faktycznie była ubrana.

Na stopy przywdziała wysokie szpilki z czarnej lśniącej skóry. Cienkie skórzane paseczki, w kolorze bezgwiazdnej nocy, snuły się wzdłuż jej zgrabnych i długich nóg. Sięgająca trochę za połowę uda lekko pofalowana spódniczka tej samej barwy dodawała zmysłowości. Ciasny gorset, utrzymany w tonacji całego stroju, podkreślał szczupłą talię. Przewiewny materiał opinający biodra i biust pobudzał wyobraźnię. Całość uzupełniała wstążka w kolorze kruka, umieszczona w górnej części garderoby. Tylko zwiększała emanujący z niej erotyzm. Rozpięty kołnierzyk koszuli szytej na miarę i przepastny dekolt pomagały Vivienne eksponować jej krągłe kobiece atrybuty. Medalion z kamieniem pochłaniającym światło wisiał tuż nad jej piersiami. W ten sposób zadbała o to, by oczy i uwaga ludzi kierowały się tam, gdzie jej zdaniem powinny. Efektowne dopełnienie stroju stanowiły srebrne kolczyki w formie orłów i obręcz ze złotego węża, którą nosiła na lewym ramieniu. Długie białe loki majestatycznie i ponętnie spływały na ramiona.

- Czym mogę służyć, mój Panie? – zapytała, uśmiechając się zalotnie.

Swoje różowe oczy skierowała na Witeldona. Do Alexandry kiwnęła głową, jakby od niechcienia. Mężczyzna wziął do ręki naszyjnik Elyсии. Obracał

wisior w opancerzonej dłoni.

- Odkryjesz, co w nim siedzi.

Zbliżyła się do Inkwizytora.

- Nie chciałbyś, bym odkryła przed tobą coś innego?

Człowiek z Wyobraźnią uniósł głowę i spojrzał na jej twarz. Piękną twarz.

- Medalion - powiedział poważnym tonem i odwrócił się do Szpieg-mistrzyni. - Alexandro, jesteś wolna, każ sobie opatrzyć rany. Będę cię potrzebował tutaj jutro o piątej - jego głos był obojętny, lecz oczy zdradzały irytację i żar.

Opancerzona kobieta skłoniła się, ignorując rozgrywającą się scenę. Już wiele razy obserwowała niepohamowane żądze Czarnoksiężniczki. Czasem zastanawiało ją, co tych dwoje naprawdę łączy. To było poza jej zdolnościami, ale miłością nikt nigdy by tego nie nazwał. To była raczej owocna egzystencja. Wzajemne wykorzystywanie się. To jednak nie jej sprawa.

- Oczywiście, mój Panie - powiedziała, ukłoniła się i wyszła.

Kiedy tylko czarnooki mężczyzna został sam z kobietą o oczach pełnych różu, temperatura w sali wzrosła. Zmalał dystans pomiędzy nimi i teraz niemal się dotykali.

- To należało do tamtej Czarnoksiężniczki? - zapytała miodowym głosem.

- Tak - odpowiedział głębokim tonem.

Chwyliła przedmiot. Rozbłysło lekko zielonkawe światło, minęła krótka chwila i zaczęła mówić.

- Został zrobiony dwa tysiące czterysta osiemdziesiąt siedem lat temu daleko na południu. Myślę, że we wschodnich świątyniach pustynnych magów. Czyste srebro z rubinem. Bardzo dobre przewodniki magiczne. Rozmiar i szlif kamienia nie są przypadkowe. Coś takiego stosuje się wtedy, gdy mag chce zyskać większą kontrolę nad swoimi zdolnościami.

- Dlatego, że nad nimi nie panuje? - zapytał.

Vivienne spojrzała na niego, prezentując śnieżnobiałe zęby.

- Tak jest najczęściej, lecz niekiedy potrzeba wzmocnionej władzy nad własną mocą, i wtedy mag musi użyć naprawdę potężnych i skomplikowanych zaklęć.

Kiwnął głową.

- Kontynuuj.

Przyglądała się wisiorowi ze wszystkich stron, telekinezą obracając go w powietrzu.

- Wyczuwam na nim pozostałości energii z wielu krain - westchnęła i napięła gorset, widząc kątem oka, gdzie spogląda Witeldon. - Również tych znajdujących się w Piekło.

Inkwizytor z dużą uwagą przyglądał się wisiorowi.

- Nie wyczuwałem spaczenia.

Czarnoksiężniczka pokręciła głową.

- Bo go nie ma. Ani tu, ani w tej próbce krwi na stole projekcyjnym - palcem wskazała flakonik. - Pomimo wyraźnego kontaktu z siłami spaczenia, pozostała czysta. Podobnie jak twój kolega z przesłuchania.

- Nie czyni ich to mniej winnymi - powiedział.

- Ależ oczywiście, mój ty Okrutniku.

Spojrzał w jej oczy rozjuszony tym określeniem. Lecz nim zdążył cokolwiek powiedzieć, jej soczyste usta znów się otworzyły.

- Nie dostała go tego dnia, gdy została pełnoprawnym magiem. Ten medalion został jej podarowany - podkreśliła stanowczo. - Zarejestrowałam, że niedawno używano go przy wyjątkowo starych i skomplikowanych szyfrach runicznych.

- Bramy Ke'Arxa...

- To możliwe - opuściła wisior na projektor i stanęła przed nim. - Naprawdę chcesz zejść do Podmiasta tylko z Lydią?

Domyślał się, jak dowiedziała się o jego zamiarach.

- Dzisiaj udowodniła swoją skuteczność. Poza tym już nieraz bywałem tam sam. To do przeżycia.

Usiadł na krześle, które stało obok. Bez chwili wahania skorzystała z jego kolan, dłonią przytrzymując spódniczkę. Miękkość kilku warstw materiału amortyzowała twardość metalu zbroi. Jego twarz była tuż przy jej gorsecie. Dobre wychowanie nakazywało, by nie patrzeć w ogrom kobiecych atrybutów. *Dobre wychowanie może mnie pocałować* - pomyślał.

- Dzisiaj dała piękny występ - powiedziała kobieta.

- Prawda - pokiwał głową. - Kompletnie się tego nie spodziewałem. Jeśli tak dalej pójdzie, to zostanie naprawdę doskonałą inkwizytorką.

Jej uśmiech był ciepły. Tym razem nie kipiał seksem.

- Wszystko widziałam. Również to, jak się zachowałeś. Gratuluję.

Delikatnie przystawiła palce dłoni do boku jego zarośniętej szczęki. Podniosła mu głowę i pocałowała w usta.

- Pamiętasz, jak nauczyła się pierwszego egzorcyzmu? - zapytała.

- Pamiętam.

- Jak wtedy wygnała tego mniejszego demona? Niby zwykły niegroźny imp, ale jednak.

- Pamiętam - powtórzył.

- Trzymałeś go, dociskając do ziemi, a ona recytowała. Magią wyciszałam jej umysł.

- To też pamiętam.

- Miała wtedy siedem lat.

Spojrzał na nią.

- Do czego zmierzasz?

Zaśmiała się krótko i podskoczyła na jego kolanach.

- Teraz ma szesnaście i wątpię, by ktoś oprócz ciebie pokonał ją w walce wręcz - znów się pocałowali. - Czas leci, tатku.



Witeldon przewrócił oczami.

- Nie jestem jej ojcem. Jestem jej mistrzem.

Znów się uśmiechnęła. Często to robiła. Tym razem kryła się tam nuta czegoś... rodzinnego. Nie umiał tego nazwać inaczej.

- Owszem. Pomyśl jednak, co ona czuje do ciebie.

Pokręcił głową.

- Ja ją szkole, Viviene - odparł. - Prawdą jest, że ponad dwa tysiąclecia minęły, nim wziętem nowego ucznia, lecz przecież w przeszłości wykształciłem wielu wspaniałych członków Świętego Oficjum.

- Co się z nimi stało? - zapytała.

- Jak to co? - zdziwił się. - Umarli. Część walcząc z demonami, nieliczni podczas wypraw do innych wymiarów. Reszta po prostu ze starości.

Delikatnie położył dłoń na sukni, a drugą objął jej talię.

- Każdego przeżyłem. Tylko ja wyszedłem żywy z rytuału - spojrzał w różowe oczy, a po chwili zaczął mówić. - Ją też przeżyję, ciebie, wszystkich. Jeśli coś mnie wcześniej nie zabije.

Kobieta nie spodziewała się takiego wyznania. Nie należał do wylewnych ludzi. Nie myślała, że wykaże tyle uczuć i tak czule ją obejmie. Zareagowała intuicyjnie. Przysunęła się i przytuliła go.

- Wtedy, przy jej początkach w ruinach, przez moment pomyślałam, że wyglądaliśmy jak rodzina robiąca coś wspólnie.

Poczuła, jak ramiona mężczyzny wkładają w uścisk więcej siły.

- Viviene, ja nie myślę o takich aspektach życia - ich oczy spotkały się. - Byłby to daremny trud. Życ, kiedy wszyscy inni obracają się w proch.

Kobieta przyłgnęła do niego jeszcze mocniej. Czuł jej zapach, wyraźnie słyszał przyspieszone bicie jej serca. Znów była w emocjach. Waga jego słów mocno ją uderzyła. Potrzebowała bliskości.

- Po prostu wróć cało z Podmiasta. Obydwoje wróćcie.

Inkwizytor podniósł rękę z jej spódniczki. Dotknął jej głowy.

- Wiąże mnie święty obowiązek zwalczyć każde zło, które tam się kryje - zaczął. - Lecz zrobię co w mojej mocy, by stało się tak, jak mówisz.

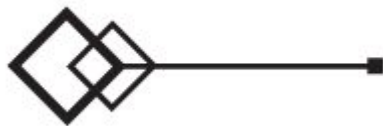
Vivienne wpiła swoje usta w jego. Cofnął się zaskoczony. Od razu poczuł, że za bardzo się przechylił, a krzesło razem z nim. Ręką chciał się przytrzymać projektora, lecz nie mógł go dosięgnąć. Instynktownie, mocno złapał kobietę przygotowując się, że wyrznię o podłogę. Jednak Czarnoksiężniczka otworzyła portal i obydwójce opadli na łożo w jego prywatnych pokojach.

Czasomierz pokazywał 21.52. Noc była jeszcze młoda.

Tak oto garstka bohaterów zużyła właściwie cały swój czas, który był im dany tego dnia. Każdy miał inny plan, mierzył się z wieloma konfliktami

zewnątrznymi i wewnętrznymi, lecz trzeba pamiętać, że Zło również wiodło własne życie...

ROZDZIAŁ X



O PIEKLE NIE MOŻNA MYŚLEĆ JAK O JEDNOLITYM WYMIARZE. PODOBNIIE JAK NASZ ŚWIAT, KAŻDA POŁĄC SPALONEJ ZIEMI RÓŻNI SIĘ OD SIEBIE. SAMO DOTARCIE DO NIEGO NIE JEST PROSTE. JEST WIELE ZAKAZANYCH RYTUAŁÓW, KTÓRE OTWORZĄ BRAMY DO DEMONICZNEGO KRÓLESTWA. SPOJRZEĆ NA NIE TO NIE TYLKO KARMIC OCZY CZYSTYM SZALEŃSTWEM. CZŁOWIEK OTWIERA SVOJĄ DUSZĘ NA GNIEW, ZAZDROŚĆ, POGARDE, WSTRĘT, LECZ TAKŻE NA SMUTEK, STRACH I ŻAL. KAŻDA LUDZKA ESENCJA, KTÓRA TAM TRAFIŁA, SKAZANA ZOSTAŁA NA WIECZNE POTĘPIENIE.

TORTURY, MĘKI I NIEWYPOWIEDZIANE CIERPIENIE Z RĘKI DEMONÓW I ICH PANÓW BĘDĄ WYMIERZANE GRZESZNIKOM PO KRES CZASU, DŁUŻEJ NIŻ POTRZEBOWAŁYBY WSZYSTKIE GWIAZDY, BY ZGASNAĆ. CZŁOWIEK, KTÓRY BY SIĘ ZANURZYŁ W TEN WYMIAR, ZOBACZYŁBY WYRYTE W CZARNEJ ZIEMI, WYPEŁNIONE MĘTNĄ WODĄ RZEKI, W KTÓRYCH ODBIJAJĄ SIĘ UWIEŻIONE DUCHY. ŻEGLUJĄCY SĄ TAM ZAWSZE NARAŻENI NA WCIĄgniĘCIE PRZEZ ZIMNE, GŁODNE BYTY NIEMATERIALNE.

WYSOKO W OBSYDIANOWYCH GÓRACH, POŚRÓD TRYSKAJĄCYCH FONTANN LAWY, DEMONICZNI PANOWIE WZNIEŚLI SWE ZAMKI I PAŁACE. KAŻDY MARKIZ, BARON, HRABIA, PRAŁAT, KSIĘŻNA, KSIĄŻĘ CZY KRÓLOWE Z KRÓLAMI NA CZELE, MIELI SVOJE PIEKIELNE ZASTĘPY Z DOWÓDCAMI I CZEMPIONAMI.

PIEKŁO MIAŁO WIELE POZIOMÓW. KRWISTA RZEKA ACHERON OTWIERAŁA DROGĘ DO OTCHŁANI. SMUTNE BYŁO TO MIEJSCE. ZIMNE, CIEMNE I ZDAWAĆ BY SIĘ MOGŁO OPUSZCZONE, JEDNAK W MROKU KRYLI SIĘ CI, KTÓRYCH ŚMIERĆ, STRZEGĄCA W CZELUŚCIACH SVOICH INTERESÓW, DOSIĘGŁA BARDZO WCZEŚNIE.

LUDZIE, KTÓRZY TAM EGZYSTOWALI, NIE BYLI GRZESZNI. ZMARLI, NIM DOSTALI SVOJE PIERWSZE W ŻYCIU BŁOGOSŁAWIENSTWO OD STWÓRCY. MOGŁY TO BYĆ OSOBY, KTÓRE NIGDY W ŻYCIU NIE SPOTKAŁY KAPŁANA. DZIECI, KTÓRE ODESZŁY PRZED LUB TUŻ PO PORODZIE, ZBYT SZYBKO, BY OTRZYMAĆ DAR MIŁOŚCI OD SWEGO BOGA. PATRZĄC W ICH BLADE TWARZE I PUSTE OCZY, BYĆ DOTYKANYM PRZEZ ICH LODOWATE CIAŁA, PRAGNĄCE SIĘ OGRZĄC, TO MĘKA DLA ŻYJĄCYCH.

NASTĘPNE KRĘGI PIEKIELNE BYŁY ZAREZERWOWANE DLA LUDZI, KTÓRZY TRAFILI TAM ZA RÓŻNE GRZECHY. LUBIEŻNICY, WINNI GRZECHU OBŻARSTWA, SKĄPCY I ROZRZUTNICY, LUDZIE GNIEWNI

I POSEPNI. RZKA ZMARŁYCH, PRZEZ KTÓRĄ PROWADZI PRZEWOŹNIK CHARON, POZWALA NAM ZWIEDZIĆ SZATAŃSKIE OGRODY, GDZIE ZŁO UPRAWIA SAM WIELKI WŁADCA.

ZŁAMANIE NASTĘPNEJ PIECZĘCI POZWALA ODWIEDZIĆ HERETYKÓW, BLUŹNIERCÓW PRZECIWIW BOGU. RZKA FLEGETON, GDZIE ZAMIAST WODY PŁYNĄ LUDZKIE SZCZĄTKI, STRZEŻE DOSTĘPU DO MALEBOLGE. OTO TUTAJ, PO KRES WSZECHŚWIATA, TRWAJĄ KUSICIELE, NAMAWIAJĄCY DO GRZECHU, CI, KTÓRZY ŚMIELI SPRZEDAWAĆ ICH ODPUSZCZENIE, FAŁSZYWI PROROCY, POLITYCY, HIPOKRYCI, ZŁODZIEJE, ŹLI DORADCY, BURZYCIELE ŁADU I KŁAMCY. KAŻDY ODBYWAŁ KARĘ, A JEJ CZAS BYŁ NIESKOŃCZONOŚCIĄ.

NAJNIŻSZYM STOPNIEM CZELUŚCI BYŁ KRĄG ZAREZERWOWANY DLA ZDRAJCÓW. TAM RZĄDY SWE SPRAWOWAŁ LUCYFER. NAJDALEJ OD NIEBA CZAIŁO SIĘ WIELKIE ZŁO. NIKT NIE WIE, CZY JEST COKOLWIEK DALEJ. GARSTCE ŻYWYCH UDAŁO SIĘ WKROCZYĆ DO PIEKŁA, JESZCZE MNIEJ JE OPUŚCIŁO. RAZ PO RAZ DEMONICZNE ZASTĘPY OPUSZCZAJĄ JE GŁODNE DUSZ I SPRAGNIONE KRWI. NIEWIELU MOŻE RÓWNAĆ SIĘ Z POTĘGĄ PLUGASTW CZAJĄCYCH SIĘ W TYM ŚWIECIE. MROK DOKOŁA ROŚNIE KAŻDEGO DNIA. LĘKAM SIĘ, ŻE BĘDZIE CORAZ WIĘKSZY, GDYŻ TO ŚWIATŁO LUDZKOŚCI GAŚNIE...

„GEHENNA OCZAMI CZŁOWIEKA” AUTORSTWA MAURycego UGIASA, SKAZANEGO ZA HEREZJĘ I SPRZEDANIE DUSZY NIECZYSTYM BYTOM.

FRAGMENT POCHODZĄCY Z JEDNEGO Z DWÓCH ZACHOWANYCH EGZEMPLARZY.

DZIEŁA ZNAJDUJĄ SIĘ W ZAKAZANEJ BIBLIOTECE I PRYWATNYCH ZBIORACH WITELDONA WALSZARTIEGO.

Dwoje ludzi, odzianych w kunsztownie wykonane zbroje w kolorze ciemnego fioletu, pięło się pod górę po krętych, obsydianowych schodach. Mężczyzna trzymał w dłoniach wykonany z irydu, potężny kostur. Wieńczyła go wypolerowana końska czaszka. Kobieta wysoka, jak on, lecz drobniejszej budowy, miała zamontowany na plecach, połyskujący czerwoną poświatą falowany miecz dwuręczny. Od broni czuć było aurę spaczenia.

Czarnoksiężnik miał ciężkie, toporne rysy twarzy. Gęste włosy, w kolorze ciemnego blondu, zakrywały mu uszy, a krótka broda mogłaby być lepiej ostrzyżona. Miał zielone oczy, błyszczące niczym szmaragdy.

Jego towarzyszka była znacznie starsza, a zmarszczki na jej twarzy pomimo odmładzających zabiegów były doskonale widoczne. Niegdyś kruczoczarne włosy przybrały kolor ciemnej stali.

- Sprawy nie układają się po naszej myśli - powiedziała.

- Wiem, kobieto - odrzekł nerwowo jej towarzysz.

Westchnęła.

- Uspokój się, Fryderyku. Kto mógł przewidzieć, że uczennica Paulosa trafi na jego agentkę. Ile razy demony odnosiły klęskę?

Mężczyzna spojrzał na nią.

- Wiele, Falkio - pokręcił głową. - Nie dostałem wiadomości od Gregorego. Mogę się założyć, że zginął w Podmieście - mówił, a czaszka w jego kosturze na moment zabłysła niebieskim ogniem. - Nie jestem w stanie go namierzyć.

- Wiemy również, że Jan padł łupem Witeldona - dodała z nutą rezygnacji w głosie. - Ze wszystkich terytoriów musieliśmy otrzymać właśnie Spero.

Liberalny inkwizytor zaśmiał się, lecz nie było w nim wesołości. Zachrypnięty warkot niósł się po ciągnących się w nieskończoność schodach, odbijając echem.

- Wydawać by się mogło, że w ogromie tego miasta nikt niczego nie zauważy.

- Nie, gdy mowa o nim - rzekła i obejrzała się za ramię jakby w obawie, że wspomniany zaraz się pojawi.

Dwoje śmiertelników dotarło na szczyt wieży. Znajdowali się w kręgu heretyków. Najwyższą wzniesioną w nim konstrukcją była Turrim Mendacium, kilkukilometrowa, wykonana w całości z obsydianu, otoczona rzekami lawy. Piekielna woda spływała po niej, formując wielkie wodospady. Na ostatnim piętrze budowli wzniesiono salę ze szkła tak czarnego jak kosmos bez gwiazd. To wszystko było częścią Pałacu Naczelnego Kata Piekła.

Kamienne wrota otworzyły się przed dwojgiem ludzi. Weszli do pomieszczenia, w którym na tronach płonących mrocznym żarem siedzieli niektórzy z demonicznych panów.

Miejsce na środku zajmował Amon, najsilniejszy z obecnych. Najokrutniejszy i najpotężniejszy z Markizów Piekła. Krył się pod postacią pięciometrowego wilka z węzowym ogonem. Jego futro było wykonane z czystego cienia, a w czarnych ślepiach widać było cierpienie nieprzeliczonych miliardów istnień. Każdy, kto w nie spojrzał, widział swój koniec w jego szponach.

Po jego prawej stronie zasiadał Gusjon, piekielny książę o wyglądzie istoty z wydętym brzuchem, długimi kończynami i niebieskiej głowie ze

zdeformowaną czaszką. Dalej w tym kierunku znajdowała się szlachecka krew tej samej rangi.

Potężny Dantalion wyglądał jak zwykły człowiek. Odziany w krwistoczerwoną zbroję, w prawej dłoni zawsze trzymał księgę. Jego oblicze budziło sprzeczne odczucia, ponieważ wyglądał jednocześnie na mężczyznę i kobietę. Oczy płonące złotym blaskiem skrywały wielką mądrość, a długie białe włosy dodawały powagi.

Po lewicy Amona zasiadał Ipos, hrabia i wielebny prałat piekła. Przyjął postać wielkiego anioła o bladej cerze. Odpoczywał, ubrany w luźne szaty. Miejsce obok zajmował Marbas, przywódca Piekła, posiadający w nim wielką władzę. Miał wygląd jednego z mieszkańców planety Truksii, których lubił obserwować. Humanoidalna forma o gęstym, szarym futrze, skrywała twarde mięśnie. Pysk lwa otaczała gęsta grzywa złożona z ludzkich dusz.

Dwoje nowatorów czuło strach mimo całej swojej wiedzy o nienarodzonych, posiadanej siły i odbytych licznych szkoleniach. Stali w środku piekielnej krainy, w jednej sali z największymi demonicznymi istotami, które nękały ludzkość.

- Wasz plan zaczyna upadać - zagrzmiął markiz o wilczej twarzy. Jego głos wysysał życie. Jego ryk ogołacał kości z mięsa.

Niebieskogłowy Gusjon zaśmiał się tubalnie.

- Ależ Amonie, nie unos się - machnął ręką w kierunku śmiertelników. - Te dusze robią co mogą, by wykonać zadanie, które ich poprzednicy rozpoczęli prawie cztery tysiące lat temu. Nawet Szatan dostał przecież nowego sojusznika.

Przechylił głowę, by spojrzeć na ziejące w oddali wyjście z kręgu. Wysokość wieży ułatwiała obserwację.

- Nie wspominaj o niej - ryknął Najokrutniejszy z okrutnych.

Do dialogu włączył się lew.

- Proponuję wysłuchać śmiertelników - rzekł spokojnym, głębokim głosem.

- Popieram - powiedział Dantalion, opierając księgę o nogę.

Ślepią piekielnych panów spoczęły na inkwizytorach.

- Sytuacja się skomplikowała - oznajmił Fryderyk, starając się okazać pewność siebie.

Wszystkie demoniczne byty, z wyjątkiem Amona, wybuchnęły śmiechem głośnym i mrozącym krew w żyłach. Mężczyzna zignorował to i kontynuował, gdy znów zapanowała cisza.

- Troje z naszych ludzi oddelegowanych do Spero poległo - spojrzał na markiza. - Znamy jednak następny ruch Witeldona Walszartiego.

Na wzmiankę o Inkwizytorze każda z istot poruszyła się niespokojnie, jakby dostała dreszczy.

- Nie wypowiadaj tego imienia - powiedział wilk z węzowym ogonem. - Ten śmiertelnik oszukał Kostuchę, ale pewnego dnia przegra.

- Rozumiem - powiedział czarownik. - On będzie zmierzał do Podmiasta.

- Wie o Bramach - dodała Falkia.

- Reszta naszej grupy skupia się na otwieraniu portalu - kontynuował śmiertelnik. - Większość sług instaluje pozostałe artefakty we wskazanych przez was miejscach.

Kobieta wystąpiła krok do przodu.

- Inkwizytor Spero odkrył powstanie szykowane dla dywersji. Szybko dowiedział się też o ważnym punkcie naszych działań - z magicznego pyłu uformowała wyświetlacz. - Wie dokładnie, dokąd zmierzać.

- Do rzeczy, śmiertelniczko - rozkazał Marbas, a Ipos pokiwał głową z aprobatą.

- Musicie go powstrzymać albo chociaż spowolnić - oznajmiła bez zbędnego przedłużania.

Mroczny anioł, przysłuchując się, przekrzywił głowę i otworzył szerzej oczy. Był zdziwiony.

- Musimy? - rozejrzał się, patrząc znacząco na innych demonicznych panów. - Chyba się przesłyszałem - niewidzialna siła uniosła Falkię w powietrze i postawiła przed Upadłym. Kobieta próbowała się wyrwać, lecz była bez szans. - Powtórz ostatnie zdanie - rozkazał.

Inkwizytorka podwoiła wysiłki, by się uwolnić, ale nacisk tylko się zwiększył. Zbroja śmiertelniczki zaczęła pękać.

- Powtórz! - spazmatyczny ryk wydobył się z gardła demona.

- Musicie go powstrzymać albo chociaż spowolnić - wykrztusiła.

Strużka krwi wyciekła z jej ust.

- Czyli słuch mnie nie zawiódł - Ipos patrzył na swoją ofiarę.

Pchnął ją telekinetycznie z powrotem w głąb sali. Fryderyk nie pomógł kobiecie wstać. Nie mógł okazać słabości, ponieważ pogorszyłyby to tylko sytuację. Piekielny prałat podparł dłonią głowę.

- My, śmiertelniczko, nic nie musimy. To, co tu się dzieje, następuje tylko dlatego, że wasz plan nas zainteresował.

Falkia powstała. Chwiejnym krokiem dołączyła do towarzysza.

- Rozumiem - wychrypiała.

Do rozmowy włączył się Niebieskogłowy.

- Wiemy, jakie on reprezentuje zagrożenie - westchnął. - Piekło, jak sami wiecie, rządzi się swoimi prawami. Nie możemy wkraczać do materialnego świata tak jak chcemy, jednak mamy plan, prawda Amonie? - spojrzał na Wilka.

Najokrutniejszy z okrutnych otworzył paszczę.

- Owszem. Ujawnij się im, Korneliuszu - wydał rozkaz, i obok inkwizytorów pojawiła się trzecia postać.

Nie rozbłysło światło teleportera ani magii, nie otworzył się też żaden portal. Przybysz miał ludzką postać. Czarne skórzane szaty z żelaznymi klamrami zakrywały jego ciało. Twarz ukrył pod kapturem tak, by nie można go było zobaczyć. Zorientowali się, że był silny. Zdziwiło ich jedynie to, czego nie dało się dostrzec oczami. Nie miał duszy i nie wyczuwało się od niego żadnej energii. Każdy człowiek miał swoją własną esencję, stworzoną przez Stwórcę. Również Władcy Piekła. Siedzące przed nimi demony emanowały nieczystymi siłami grzechu. Od tajemniczego przybysza ziała pustka. Nie rozumieli, dlaczego. Tymczasem enigmatyczna postać przemówiła. Głosem niskim, lecz ostrym.

- Nie jestem twoim niewolniczym sługą, byś miał mi mówić, co mam robić.

Marbas zaśmiał się.

- Przypominam ci, że rozmawiasz z jednymi z najpotężniejszych demonów Piekła - zarzucił dumnie swoją lwią grzywą, zbudowaną z dusz. - Ty, dla własnych celów, również bierzesz w tym udział.

Korneliusz zacisnął prawą pięść.

- Mam zatem zrobić to, czego wy, w swojej nieudolności, nie potraficie - kaptur przesunął się w kierunku dwojga członków Świętego Oficjum. - Miejsce, które wy nazywacie Podmiastem, jest pełne moich sług, a wśród

nich znajduje się jeden zabójczy osobnik – znów stał na wprost demonów i rozkładając ręce wskazywał na każdą z plugawych istot. – Chcecie go martwego, tak? Jeśli tylko postawi tam nogę, to tak się stanie. Jakies pytania, uwagi?

Głos zabrał Dantalion.

– A co, jeśli się nie uda? – zachichotał przerażająco. – Zabicie go wcale nie będzie takie proste. Mamy w tej materii niemałe doświadczenie.

Upadły anioł nie był w humorze.

– Kpisz z nas, Dantalionie. Ja takich uraz nie przepuszczam.

– Nie znasz się na żartach – westchnął.

Amon uderzył łapą o oparcie tronu. Huk przypominał grzmot z nieba.

– Jeśli zawiedziesz, to zajmę się nim osobiście – wypowiedziawszy te słowa, zaczął się przepoczwarzać.

Wilczy tors rozrósł się i stracił owłosienie, a łapy zamieniły się w ręce i nogi. Pysk zastąpiła głowa kruka z zębami jak długie miecze. W dłoni dzierżył wielką halabardę. Zdawać by się mogło, że zamknięte w niej były gwiazdy, zatopione na zawsze w mroku.

– Minęło dziesięć tysięcy lat, odkąd przetoczyłem inkwizytorską krew. Zabiję go, a jego duszę będę torturował osobiście. Po kres czasu.

Po tych słowach przez salę przetoczył się piskliwy, kobiecy śmiech, a potem usłyszeli jego właścicielkę.

– Zapominasz się, Amonie. On jest mój, tylko mój.

Demony zawyły w gniewie, gdyż właśnie pojawił się niechciany gość. Ktoś, kto był nieodzownym elementem całego planu, kto siłą mógł przyćmić nawet piekielnych królów.

– Czas nieubłaganie zbliża mnie do Niego – rzekła personifikacja bólu i żalu. – A moje pragnienie podsycy przecucie, że teraz przeżywa naprawdę błogie chwile.



Viviene długo nie odrywała od niego swoich ust. Inkwizytor musiał jednak przerwać tę sytuację z praktycznego powodu.

– Jajka je się bez skorupki, moja droga.

Najostrożniej jak mógł, przekręcił się na łożu tak, by znaleźć się na górze, po czym zsunął się z niej i pewnie stanął na ziemi. Zrobił krok w tył, by zyskać więcej miejsca. Obserwował przy tym kochankę, jak leżąc w jedwabnej pościeli, uwodzicielsko gryzie palec. Komendą, wysłaną myślą, odblokował metalowe płyty. Zbroja otworzyła się. Wyszedł z niej, a zaraz potem pancierz zamknął się i teraz stał obok, niczym rycerz bez głowy w muzeum. To rozwiązanie bardzo przydawało się Witeldonowi, gdy musiał szybko przywdziać bądź zrzucić swoje okucie.

Z wprawą ściągnął z siebie bieliznę i ponownie wskoczył do łóżka. Przyciągnął do siebie Czarnoksiężniczkę, wpił się ustami w jej szyję i jednym ruchem rozdarł gorset. Widząc biust w pełnej okazałości, chwycił go. Vivienne opadła na delikatny materiał, a dreszcz rozkoszy przeszył jej ciało. Uścisk kochanka był potężny, lecz im słabsza czuła się przy mężczyźnie, tym bardziej jej się to podobało.

Jego palce zatańczyły na sutkach, aż westchnęła z ekscytacji. Rozerwał spódniczkę i odrzucił ją bezceremonialnie w kierunku schodów prowadzących do łoża. Z dziką namiętnością, zębami i językiem pieścił jej piersi. Był tak podniecony, że jednym ruchem zdarł bieliznę i wszedł w nią, by dalej czcić chwile uniesienia. Naparł z pasją, pewnością i żądzą. Kobieta krzyknęła. Inkwizytor znając ją całe wieki wiedział, że było to zaproszenie. Narzucił oszałamiające tempo. Znacznie szybsze niż poprzednim razem. Niedostępne dla zwykłych śmiertelników.

Ustami pieścił jej piersi, a dłońmi pośladki. Objęła go ramionami i nogami, co dodało mu animuszu. Vivienne dyszała i wydawała z siebie urywane jęki. Zrobił przerwę, założył jej cudowne nogi na swoje ramiona, oparł dłonie na łóżku i wznowił pracę.

Mijały minuty, a mistrzyni magii wiła się półprzytomna z rozkoszy. Człowiek z Wyobraźnią zmienił pozycję. Podciągnął kochankę do siebie i usiedli na środku łoża. Przez cały czas podsyczał w niej ogień. Był niższy, więc lewą ręką trzymał za plecy, a ustami nieprzerwanie dostarczał impulsów jej kobiecym wdziękom. Jednak prawdziwy taniec ciał miał się dopiero zacząć.

Odwrócił kobietę na brzuch i przesunął na skraj łoża. Stojąc na kamiennej podłodze uniósł jej biodra i przyciągnął do siebie. Vivienne skrzyżowała nogi za jego plecami. Wkrótce znów zmienili pozycję. Zsuwając się, kolanami dotknęła marmuru. Ukląkł za nią, obejmując i przytulając się do jej pleców.

Trwali tak, wśród westchnień i uniesień. Na moment oswobodziła się z jego ramion i usiadła na skraju łoża. On nie wstając, znów się z nią połączył. Błądził dłońmi po jej biodrach, a ich usta spotkały się w pocałunku.

Nagle podniósł się, a kobieta rzuciła się na niego. Oparł plecy o kolumnę stojącą za nim. Zgięła nogę i uniosła ją do przodu. Wyprężyła się w jego stronę, a gdy ich ciała scalały się, wygięła głowę do tyłu.

Jedną dłonią trzymał za udo, drugą gładził plecy. Przez cały czas całował delikatnie szyję i nie przestawał poruszać biodrami. Po chwili, zgodnie, znów zapragnęli zmiany. Teraz Czarnoksiężniczka, stojąc w rozkroku, opierała się o filar i wypinała pośladki. Ponownie w nią wszedł, a siła i tempo pchnięć nie spadały.

Jego pieśczoć rozpałały w niej ogień. Kolejny raz zalała ją fala przyjemności. Ugięła się na nogach i wyjąc z rozkoszy, złapała jego dłonie. Przysunął ją do siebie i wpił się w jej kark.

Postanowili wrócić do łóżka. Inkwizytor położył się, a Vivienne na nim usiadła. Podciągnął kolana, złączając je, co wykorzystwała jako oparcie. Położyła swoje długie i aksamitnie gładkie nogi na ramionach Witeldona. Dłońmi trzymał ją za pośladki, które podnosił i opuszczał, robiąc to bez większego trudu. Mając wolne dłonie, pieściła się efektownie. Czująca, że nadchodzi ta chwila, więc pochyliła się, kładąc ręce na jego brzuchu. Wyprostował się niczym struna, a Vivienne wciąż mając go w sobie, zrobiła idealny szpagat. Inkwizytor położył dłonie na jej biodrach, swoimi wykonując szybkie ruchy. Kobieta podskakiwała, jakby ujeżdżała byka.

Patrzył na jej jędrne piersi, które falowały w pięknym tańcu. W końcu wydała z siebie okrzyk, opadła nieprzytomna i lśniąca od potu na pokryte symbolami ciało. Sięgnął po jedwabną pościel, którą przykrył oboje. Nie zamknął oczu. Nie musiał spać. Umęczony Łowca również to mu odebrał. Mógł działać nieprzerwanie i wykorzystywać każdą godzinę. Czasem irytowała go ta umiejętność. Przecież podczas snu człowiek wypoczywa nie tylko fizycznie. Również jego umysł liże wtedy rany.

Czasomierz na gałce ocznej wyświetlał 2.51. Miał ponad godzinę, zanim znów trzeba będzie wstać i szykować się do Podmiasta. Leżał pod ciałem pięknej kobiety i snuł refleksje.

Wyglądaliśmy trochę jak rodzina – wiele czasu rozmyślał o jej słowach, choć wiedział, że nigdy nie mogły się one urzeczywistnić. Każdy członek

Świętego Oficjum, z racji przechodzonych inicjacji, morderczego treningu i nauki Słowa, był bezpłodny. Czarnoksiężnicy mogli mieć dzieci, lecz tylko z innymi magami. Dzięki temu ich moc dziedziczyli potomkowie. Osoba władająca mocą tajemną i kopulująca ze zwykłym człowiekiem nie mogła się rozmnażać.

Kilka razy zastanawiał się, czy rytuał, który przeżył, nie uleczył jego sterylności. Jednak jak na razie nic na to nie wskazywało. *Nie mógłbym mieć rodziny* – pomyślał. Został powołany i stworzony do jednego, do walki ze spaczeniem i złem, demonami i potworami. Miał gwarantować przetrwanie i czystość rasy ludzkiej. Nawet jeśli sam już dawno przestał dążyć do tego, by utrzymywać sumienie bez skazy i kryształową kartotekę.

W swojej wojnie używał mocy świętej i demonicznej. Mając tyle lat osiągnął coś, co nikomu innemu przed nim się nie udało. Nauczył się każdego Słowa. Zarówno Księgi Cudów, stworzonej boskimi rękoma, jak i Księgi Mroku, napisanej przez upadłe anioły. Jego bronią były najpotężniejsze relikwie Inkwizycji, lecz jego pancerz, genialny w swojej konstrukcji, był przeklęty. Klątwa mówiła, że każdy, kto go przywdziewa, umrze w młodym wieku, u szczytu swojej drogi. Różni go nosili i ciężko dziś stwierdzić, czy była to prawda.

Jego jaźń krążyła wokół Lydii i Viviene. Tą pierwszą szkolił już jedenaście lat. Był blisko niej i uczył wszystkiego, co sam potrafił. *Wszystkiego, co niezbędne* – poprawił się po chwili. Nigdy nikomu nie przekaze wszystkiego, co umie. Mieliby za mało czasu. Nie zmienia to faktu, że została w nim odrobina człowieczeństwa. Zżył się z dziewczyną, widział w niej potencjał i pragnął go wykorzystać. Mimo że jego ciało nie starzało się, to umysł szedł własnym tempem. Zobaczył w życiu wiele smutku, żalu i cierpienia. Nie był w stanie zliczyć, ile razy walczył z zepsuciem i spaczeniem, które świadomie bądź z ignorancji wywoływał człowiek.

Krew winnych, którą przelał, wypełniłaby oceany. Tak samo zresztą jak posoka niewinnych. Przez prawie cztery tysiące lat pożegnał wielu swoich kompanów i przyjaciół. Miał doskonałą pamięć. W jego umyśle zachowała się każda twarz i dusza. Jednak teraz czuł coś innego.

Przed Lydią wyniósł do rangi szpieg-mistrzyni Alexandrę, którą przez większość jej życia nadzorował osobiście. Traktowała go jak przywódcę stada, za którego oddałaby życie.

Z kolei Ursus będzie z nim do samego końca nie z powodu ślepej wiary, zaszczerpionego albo wrodzonego fanatyzmu, lecz dlatego, że Inkwizytor ocalił jego córkę.

Ikarius, służący mu wiele wieków, trwał przy nim, ponieważ posługując się chłodną kalkulacją, nie widział dla siebie lepszego rozwiązania. Po oczyszczeniu z zarzutów, korzystając z wpływów Oficjum, mógł przeprowadzić każde badania i projekty. Człowiek z Wyobraźnią niezbyt się nim przejmował. Dopóki Technolog wypełniał swoje obowiązki, nie zamierzał nakładać na niego sankcji.

Najdłużej w jego życiu gościła Vivienne. Ich drogi skrzyżowały się ponad osiemset lat temu i Witeldon domyślał się, że zostało jej maksymalnie jeszcze jakieś trzysta, może więcej. Dla kogoś, kto o niego nie dbał, czas szybko biegł.

Oprócz seksu łączyło go z nią coś jeszcze. Jej brak szacunku do jego osoby, podważanie zdania, przekomarzanie się, czy nie krycie się z zalotami, irytowały ogromnie. Jednak dzięki temu wiedział, że nie jest Bogiem. Pamiętał o tym, że krwawi, jak każdy. Jak wszyscy męczy się, choć wolniej. Wiedział też, że może umrzeć.

Leżał i rozmyślał, trzymając ją w ramionach. *Czymże jest życie, jeśli nie wyboistą, pełną kamieni i krętą drogą. Można się na niej potknąć i złamać nogę, lecz rzadko kto przyjdzie z pomocą. Nikt nie wie, co czeka go w tej trasie, ani kiedy się skończy.* On chciałby wiedzieć.

Rodzina – to słowo znów zadźwięczało w jego umyśle i, choć nie wiedział dlaczego, od razu pomyślał o Lydii. Kiedyś, dawno temu, jeszcze przed rytuałem, chciał mieć rodzinę, jednak w jego życiu zabrakło na nią miejsca.

Pomyśl jednak, co ona czuje do ciebie – to kolejne zdanie wypowiedziane przez Vivienne. Witeldon wyobraził sobie, co by było, gdyby żyli inaczej, lecz szybko porzucił tę myśl. *Nie jestem człowiekiem zdolnym do czegoś takiego. Jestem istotą stworzoną po to, by zabijać i karać* – mówił do siebie w duchu. *Lecz będę je obie chronił. Potrzebuję ich* – rzekł i zamknął oczy. W tych dwóch słowach kryło się coś więcej niż jedna prawda.



Demoniczny kobiecy głos westchnął z pasją.

- Zasnął. Zgodzicie się, że w Piekło czas płynie inaczej - zachichotała. - On bawił się kilka godzin, a tu minęła chwila.

- Skąd wiesz, co robi ten przeklęty inkwizytor? - zapytał Marbas. - Jesteś z nim połączona więzią?

Śmiech wypełnił salę.

- Tak i nie. Od momentu, gdy niemal mnie zniszczył, siła uczuć, które w nim i we mnie mordowały się nawzajem sprawiła, że jakimś sposobem potrafię wychwycić, co go trapi - pokręciła głową. - Nie mogę go namierzyć i zobaczyć, ale tajemnice jego duszy nie stanowią dla mnie problemu.

Diabelska kobieta przykuwała uwagę. Miała lekko ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i dumną twarz, która patrzyła na wszystkich z wyższością. Pieprzyk obok prawego oka sprawiał, że wyglądała niepowtarzalnie. Pięknie wyrzeźbione, delikatne kości policzkowe nadawały rys prawdziwej modelki. Duże i pełne usta lśniły czerwienią, kryjąc ostre jak brzytwa, śnieżnobiałe zęby. Brązowe oczy lśniły bursztynowym blaskiem, a końcówki ciemnych włosów rozpalał niegasnący złoty ogień.

Wspaniale ukształtowane ciało ubrała w przezroczyste łuski szklanego smoka. Była nimi pokryta cała, z wyjątkiem głowy. Ciasno przylegały do jej skóry i sprawiały wrażenie, jakby nosiła na sobie mieniącą się powłokę. Jej sylwetka rozbudzała zmysły. Tym bardziej, że przyjęta forma ochrony czyniła ją całkowicie nagą. Wybrała ją, ponieważ łuski tych bliskich wymarcia gadów były niemalże niezniszczalne, wykazywały się wyjątkowymi zdolnościami rozpraszającymi magię i były tak rzadkie, że wręcz legendarne.

Dłonie Demonicy wydawały się delikatne, jak jedwab. Miała długie, zastrzone, białe paznokcie i skórę połyskującą od czasu do czasu czerwoną energią. Inkwizytorzy znajdujący się w sali tylko raz widzieli jak walczy. Potrafiła zabić sama pięciu czempionów, należących do kilku demonicznych panów. Piekło do tej pory szepcze o jej sile. Za oręż służył jej *claymore*, dwuręczny miecz o jelcu ze skośnymi ramionami, którego ostrze pokrywały tajemnicze runy. Lśnił złowrogim, mrocznym ogniem, a w jej dłoni pojawiał się zawsze wtedy, gdy go potrzebowała. O niej i jej mieczu demony mówiły ze strachem.

- Ciekawe - odrzekł Marbas.

Amon zbliżył się do szatańskiej istoty. Był rozgniewany, a w jego kruczej głowie szczyrzyły się pokaźne kły. - Nie będziesz mi rozkazywać! - ryknął,

a siła głosu sprawiła, że na ścianach pojawiły się rysy. - Jestem najpotężniejszym markizem Piekła, jestem Amonem.

Wyciągnął i przekrzywił ostrze halabardy tak, by znalazło się tuż przed twarzą kobiety w łuskach.

- To, że zostałeś przyjęta w nasze szeregi, nie czyni cię jedną z nas. Owszem, jesteś potężna, ale nie wiesz, co to prawdziwa siła - mówiąc to, rozglądał się po innych władcach czeluści. - Każdy z nas brał udział w budowaniu waszego wymiaru. Ramię w ramię ze Stwórcą działaliśmy na rzecz takich jak ty i dwoje głupców, którzy zostali zdradzeni i zesłani tu - podstawą broni uderzył o podłogę. - Patrzyliśmy w nieskończoność tworzenia i znosiliśmy tam dary - zrobił przerwę. - Lecz zbliża się czas zapłaty za nasz los.

Pozostałe demony potakiwały głowami.

- Najpierw musimy jednak zająć się tamtym inkwizytorskim mistrzem - zauważył Gusjon i zakaszał. - Równo tysiąc lat temu bardzo napsuł mi krwi.

Ipos poruszył skrzydłami z mrocznych piór, które bezszelestnie wyrosły z jego pleców.

- Splątane są linie czasu - powiedział, a pozostałe plugawe byty potwierdziły jego słowa.

- Jeśli mogę się wtrącić, to nie rozumiem jednej rzeczy - Fryderyk, nie przekonany tym twierdzeniem, spróbował włączyć się do rozmowy.

- Czego znów nie rozumiesz, śmiertelniku? - Dantalion, odziany w krwistoczerwoną zbroję płytową, z jawnym wstrętem podjął dyskusję.

Mężczyzna trzymał mocno oburącz swój kostur. Spojrzał na księcia ciemności.

- Tyle ludzi upada w ciemność prosząc was o przepowiadanie przyszłości, a z tego zdania wynika, że jej nie da się tak do końca przewidzieć. Więc jak to działa naprawdę?

Przez moment zapanowała kompletna cisza. Przerwał ją tajemniczy Korneliusz.



- To jest dobre pytanie - spojrzal na trzymajacego księge. - Potrafisz na nie odpowiedziec? - pytal z kpiną w głosie.

Piekielny księge westchnął.

- To, co wam teraz powiem, jest skomplikowane. Wytęście zatem swoje prymitywne mózgi - zaczął.

Ton jego głosu był niedbały. Nie trzeba było znawcy, by stwierdzić, że niezbyt chciało mu się tłumaczyć.

- Żyjemy w jednym z wielu wymiarów. Wy egzystujecie w innym, na jednej planecie. Ciał niebieskich we wszechświecie jest więcej niż gwiazd na niebie. Otwierając potężne portale, można wydostać się z okowów tej przestrzeni i dostać się do jeszcze innych wymiarów. Przypuśćmy, że ty śmiertelniku, wraz ze swoją towarzyszką, mielibyście zostać władcami swojej planety - dostrzegł błysk w oczach obojga, więc szybko ukrócił ich marzenia. - To tylko przykład, wy idioci. Żaden z was nie jest nawet w pobliżu takich wpływów.

Wszyscy, oprócz Amona, zaśmiali się. Wracając na swój tron, wyszczerzył lekko dziób.

- Jeśli jednak takie byłoby wasze przeznaczenie w tym wymiarze, to stałoby się tak bez żadnej ingerencji. Tak potoczyłyby się wasze losy, a wy nie mielibyście o tym pojęcia - podparł swoją głowę lewą ręką. W prawej zawsze trzymał księgę. - Gdyby jednak ktoś, kto znałby waszą przyszłość, zdradził wam ją, to stracilibyście tę szansę. Albowiem wiedza na temat końca waszych losów mogłaby sprawić, że wasze zachowanie byłoby zupełnie inne i nie doprowadziłoby do tego samego. Przyszłość jest bowiem tak zbudowana, że nie można jej poznać bez konsekwencji.

Czarnoksiężnik chłonał uważnie każde słowo.

- Czyli każdy, kto usłyszy prawdę o swoich przyszłych poczynaniach, stanie się przegranym, bo sam sobie odbierze swoją przyszłość?

- Brawo! Dziesięć punktów dla Inkwizycji! - głośno zarechotał Marbas.

Dantalion jednak nie skończył.

- Rozumiesz koncepcję śmiertelniku, lecz musisz jeszcze pojąć, że to zależy od sytuacji - zaczął gestykulować lewą ręką. - Jeśli ktoś zapyta o to, jaką śmiercią umrze, i uzyska odpowiedź, że otruje go kochanka, to taki ktoś ma później wiele możliwości. Na przykład może zabić ją wcześniej niż ona jego. Musisz jednak wiedzieć, że wtedy on sam też może zginąć, ale z rąk mordercy, wynajętego przez jej rodzinę. Przeznaczenie zawsze osiągnie każdego, choćby miało to nastąpić w inny sposób.

- Ciekawe - mruknął Korneliusz.

- Wystarczy tych wykładów! - wrzasnęła Demonica. - Ty, cudaku, będziesz miał swoją próbę - spojrzała butnie na Markiza. - Potem dostanie ją Amon - zaśmiała się, piszcząc. - A kiedy obaj przegracie, Inkwizytor będzie mój. Wyłącznie mój.

- Czyżbyś wróżyła nam koniec? - zapytał Najokrutniejszy.

Kobieta w przezroczystym pancerzu uśmiechnęła się tajemniczo, a wyraz jej twarzy był pełen niedopowiedzeń.

- Nie da się wywróżyć czegoś, co już dawno jest zapisane - odparła i zniknęła w blasku mrocznego ognia.

- W takim razie pójdę przygotować mojego wybrańca do walki z tym waszym inkwizytorem - zabrał głos Korneliusz, po czym zniknął.

W sali zapanowała długa cisza. Przerwał ją Gusjon, głośno wzdychając.

- Dlaczego mam wrażenie, że nie my, a wy śmiertelni stworzyliście za nas większość zła?

Nikt nie odpowiedział. Może wszyscy zignorowali pytanie, może nikt nie chciał się już więcej wysilać, a może w samym pytaniu kryła się odpowiedź?

ROZDZIAŁ XI



STWÓRCO PRZENAJŚWIĘTSZY, TCHNIJ WE MNIE MOC SWĄ,
BYM MIAŁ SIŁĘ WYGRAĆ WALKĘ PRZECIWI ZŁU Z DUSZ NASZYCH.
WIARA MĄ TARCZĄ, A ŚWIĘTY CEL MYM MIECZEM.
PROWADŹ RĘKĘ MĄ, BYM PRZEBIŁ SERCE CIEMNOŚCI
I WYGNAŁ DIABELSKIE POMIOTY DO NAJGŁĘBSZEJ CZELUŚCI.
NIECHAJ TWÓJ ŚWIĘTY OGIEŃ SPALI KAŻDE PLUGASTWO
I OCZYŚCI Z GRZECHU DZIECI TWOJE W GODZINIE ICH PRÓBY.
TYŚ, CO DLA CZŁOWIEKA JEST ŚWIATŁEM, OŚWIETL MU DROGĘ,
BY WYGNAŁ TRAWIĄCE TEN ŚWIAT POMIOTY NOCY.
BĄDŹ MOIM KRÓLEM, A JA BĘDĘ TWYM RYCERZEM,
KTÓRY KRWIĄ WŁASNĄ PRZYNIESIE ZGUBĘ ZŁU, NA WIEKI WIEKÓW.
AMEN

EGZORCYZM MOCY, ZNAJDUJĄCY SIĘ W KSIĘDZE CUDÓW, PRZETŁUMACZONY NA UNIWERSALNY
JĘZYK.

Godzina 5.11 rano. Witeldon, Lydia i Alexandra w centrum dowodzenia dopracowywali ostatnie szczegóły inkwizytorskiego planu.

- Mistrzu, możemy już lecieć? - zapytała dziewczyna, ziewając. Westchnął.

- Opamiętaj się i uważaj - powiedział pouczającym tonem. - Podmiasto ciągnie się setki kilometrów wzdłuż i wszerz korzeni Spero. Nie mówiąc już o głębokości - zmienił ułożenie mapy, którą wyświetlał projektor. - Najniżej udawało się zejść na ponad dziesięć tysięcy metrów, ale można jeszcze dalej.

- Co powstrzymało tamtych ludzi przed dalszym badaniem? - zapytała zaciekawiona.

- Wszystko. Czające się w mroku potwory, pułapki, osuwiska, promieniowanie i inne rodzaje skażeń, głód, szaleństwo, bunty we własnych drużynach, zagubienie i rdzenni mieszkańcy.

- Jacy mieszkańcy? - oczy Lydii rozszerzyły się ze zdziwienia.

Alexandra, widząc, że Witeldon kieruje wzrok w sufit, postanowiła wyjaśnić.

- Podmiasto jest zaludnione przez liczne inteligentne gatunki. My z powierzchni poznaliśmy ledwie ich ułamek - zmieniła ustawienie hologramu. - Należą do nich humanoidalne kraby, wielkie człekokształtne szczury, które wykształciły możliwość prymitywnej telepatii i plemiona ludzkie - gdy je wymieniała, terytoria każdej frakcji rozbłyskiwały na mapie innymi kolorami. - Większość tych autochtonów w najlepszym wypadku jest nieufna i unika kontaktu. Ale sprowokowana będzie się bronić.

- A w najgorszym?

- Rzucają się z mroku bez ostrzeżenia, rozrywając ludzkie gardła i spijając krew z umierającego ciała - wyjaśnił Witeldon. - To najłagodniejsza opcja.

Uczennica przełknęła głośno ślinę.

- Jak głęboko schodzimy?

- Około trzy i pół kilometra. Sulla dostarczy nas Kolibrem do wysokiego miasta i wysadzi w Pierścieniu Inżynieryjnym X-15, gdzie znajduje się winda. Nią dotrzemy do tych zapomnianych katakumb - Człowiek z Wyobraźnią wskazał je palcem.

Szpieg-mistrzyni wysunęła dodatkowe wyświetlacze.

- Mój Panie, teraz powinniśmy jeszcze raz sprawdzić dokładnie całą trasę.

- Przyjmując, że nic się tam nie zawaliło - zauważył.

Lydia spojrzała na niego zmartwiona.

- Jak to zawaliło?

- Moja młoda damo, te tunele i podziemne jaskinie mają dziesiątki tysięcy lat. Gdziekolwiek można tam spotkać ruiny miast sprzed Dnia Kary. Coś tak starego musi być w stanie rozpadu - powiedział, posyłając jej pełne rezerwy spojrzenie.

Młoda kobieta pokiwała głową i wpatrzyła się w pyłowe ekrany.

- Przejrzyjmy jeszcze raz naszą trasę - powiedziała.



W tym samym czasie Czarnoksiężniczka szykowała się do innej podróży. Miała za zadanie wyciągnąć z Kręgu Spero wszystko, co mogło być przydatne

dla Inkwizytora. Swoje kroki skierowała prosto do hangaru. Mogła się teleportować do Wieży Magów, lecz chętnie korzystała z dorobku Witeldona.

Szła pełnym wdzięku krokiem, a zakapturzone sługi i Mortusi kłaniali się jej w pas. Lubiła to uczucie. Na szacunek nie wpływała jej pozycja w hierarchii Sacrum ani uroda. Każdy widział ją w akcji, gdy używała magii. Była Czarnoksiężniczką pierwszego stopnia. Najpotężniejszego. Miała wyjątkowe zdolności, których nie spotykało się wśród magów od setek lat. Ponad osiemset lat temu została usankcjonowana najwyższym mandatem, wydanym przez Inkwizytora. Od tego czasu miała nieograniczony dostęp do wiedzy i eterycznych artefaktów, o jakich mogła do tamtej pory tylko śnić.

Hangar był prawie pusty. Wielu pilotów oddelegowano do wsparcia przyczółków, które Witeldon wyznaczył w mieście. Jednak dla niej znalazł się jeden myśliwiec. Nadchodziła, a echo niosło odgłosy stukających głośno obcasów. Obok Kolibra klęczał młody mężczyzna, odwrócony do niej plecami. Osiemnastoletni pilot, do którego wszyscy mówili Skaza, z powodu blizny z dzieciństwa. Szrama nie szpeciła go zbyt, mimo że biegła przez całą twarz.

Nastolatek nie był urodziwym młodzieńcem, lecz trudno było go zaliczyć też do grona brzydkich. Jak większość pilotów był drobnej budowy ciała i znacznie niższy od Inkwizytora, miał jakieś sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Niski wzrost był jednak zaletą w przypadku dowodzących statkami powietrznymi.

Vivienne zbliżyła się na odległość kroku i spostrzegła, że chłopak zawiązuje sznurówkę w bucie. Gdy to zrobił, postanowiła się odezwać.

- Jesteś gotowy do lotu, skarbie?

Słyszając głos, szybko wstał i odwrócił się. Czarnoksiężniczka była na tyle blisko, że podnosząc głowę, otarł nią o jej okazały biust. Cofnął się jak oparzony i spojrzał na nią. Widok, który zobaczył, sparaliżował go.

Przed nim stała pewna siebie dama, w całej swojej chwale. Na delikatne stopy przywdziała kunsztownie wykonane, jasnobrązowe, pełne buty na średnim obcasie. Każdy zapięty na trzy klamry, wykonane z wypolerowanej stali. Nogi, wraz z krągłymi biodrami i pośladkami, zakrywały obcisłe spodnie z cienkiej i delikatnej skóry. Górną część ciała okrywał skąpy top w tej samej barwie i z tego samego materiału co spodnie, odkrywając jej delikatnie umięśniony brzuch. Dekolt był regulowany przez suwak, który

można było zaciągnąć całkowicie, ale nawet wtedy odsłaniał sporą część biustu. Na szyi nosiła lekki naszyjnik z małych pereł.

Skaza musiał unieść wysoko głowę, by przyjrzeć się jej twarzy. Miała w końcu ponad dwa metry wzrostu. Widział pełne, pomalowane różową szminką usta. Oczy tej samej barwy, lecz w żywszym odcieniu. Długie, białe i naturalnie kręcone loki sprawiały, że przypominała baśniową królową. Gdy spojrzał na twarz, wykorzystała moment i używając telekinezy odrobinę rozpięła top. Uśmiechnęła się, widząc błędzący wzrok młodzika.

Witeldon zagadnął ją kiedyś o to, dlaczego się tak erotycznie ubiera i rozprasza większość męskiej i kobiecej populacji Sacrum, nie mówiąc już o ludziach z zewnątrz. Odpowiedziała, że uwielbia uczucie zainteresowania nią. Kocha te momenty, gdy ludzie nie mogą oderwać od niej oczu. Choćby teraz, jak ten młodzieniec. Mogła z nim zrobić cokolwiek przyszłoby jej do głowy. I to bez użycia magii. Sama jej osoba przytłoczyła go i odebrała zdrowy rozsądek, a męskie hormony dopełniły reszty. Wiedziała, że i tak nic by z tego nie wyszło. Nie dałby rady zaspokoić jej wielkiego apetytu. Zapytała wtedy Inkwizytora, czy ma przestać. Zaprzeczył.

- Startujemy? - zapytała miodowym głosem, lekko przekrzywiając głowę.

Młodzik ocknął się, jakby wyrwany ze snu.

- Słucham, Pani?

Zaśmiała się czule i przybrała drapieżny wyraz, prezentując śnieżnobiałe zęby.

- Czy twój myśliwiec i ty jesteście gotowi?

Pokiwał szybko i nerwowo głową.

- Ależ oczywiście! Możemy lecieć w każdej chwili.

- Wyśmienicie - odparła i zaklaskała w dłonie.

Objęła wzrokiem Kolibra. Statek powietrzny był wysoki i stromy. Nie było problemu z tym, by dostać się do niego za pomocą magii, lecz do głowy przyszedł jej inny pomysł.

- Pomożesz mi do niego wejść? - zatrzepotała swymi długimi, gęstymi rzęsami.

Skaza aż się zachłysnęła.

- Oczywiście, dla Pani wszystko! - zakrzyknął z przejęciem.

- Miło mi - odpowiedziała, posyłając uśmiech. - Jak to zrobimy?

Osiemnastolatek stanął plecami do poszycia maszyny powietrznej, niemal dotykając ją plecami, kucnął i złożył dłonie.

- Podsadzę Panią - powiedział pewny siebie. - Jedyne, co potem musi Pani zrobić, to przewiesić się przez boczną ścianę kokpitu i usiąść w fotelu.

- Brzmi nieźle - pochwaliła jego pomysłowość.

Zbliżyła się do Skazy i postawiła jedną stopę na jego złączonych palcach. Pochyliła się i rękoma złapała za barki. Jej biust znalazł się tuż przed twarzą pilota. Był zdeterminowany, by działać, i starał się nie zwracać na to uwagi. Podciągnął ręce, a wstając zmobilizował wszystkie swoje siły. Próbował umożliwić Czarnoksiężniczce dotarcie do wnętrza Kolibra.

Jeszcze bardziej przechyliła się do przodu, by utrzymać równowagę. Efekt był zaskakujący. Zanim chwyciła ramę kokpitu myśliwca, mężczyzna oparł się całkowicie o kadłub statku, a jego głowa utknęła pomiędzy jej wielkimi piersiami. Uśmiechnęła się i przycisnęła się do niego jeszcze mocniej. Gdy poczuła, że słabnie i traci oddech, wyprostowała się i z gracją wskoczyła na fotel. Z góry spojrzała na Skazę. Oblany rumieńcem lekko drżał.

- Przepraszam za komplikacje - powiedziała niewinnie.

Szybko zajął swoje miejsce.

- Nic nie szkodzi, Pani - powiedział zdyszany i aktywował silniki.

Maszyna zamruczała jak kot, a zaraz potem zaryczała jak lew. Kabina z grubego, odpornego szkła zatrzasnęła się, a Koliber uniósł się i wykręcił w kierunku tunelu startowego.

- Zapięła Pani pasy? - zapytał, gdy statek zajął odpowiednią pozycję do startu.

Vivienne wyciągnęła szelki ze sztucznego tworzywa. Spróbowała je zapiąć, lecz twardy materiał za mocno uwierał jej delikatną skórę.

- Tak, oczywiście - powiedziała i lekkim ruchem palców sprawiła, że pilot zaniechał zadawania pytań o bezpieczeństwo. Drugie zakłęcie rzuciła na siebie. Sprawilo, że przestała odczuwać siłę odśrodkową, przeciążenie i prędkość myśliwca. Nie lubiła takich doznań.

- W takim razie ruszamy - Skaza dodał mocy silnikom i cud techniki wyrwał do przodu z szybkością błyskawicy.

Przeciążenie wgniotło lotnika w fotel. Jej prawa fizyki już nie dotyczyły. Założyła nogę na nogę i wyglądała tak, jakby wpadła na herbatkę. Obserwowała w dole ponure i spowite mrokiem pustkowie. Kiedyś Witeldon

pokazał jej antyczne zapiski i prastare obrazy, na których mogła zobaczyć gęste lasy i bujną roślinność, porastające Ziemię. Leżąc obok niego bądź na nim lubiła słuchać opowieści, jak wyglądał Świat przed Dniem Kary. Gdyby sama miała szukać takich informacji, zanudziłaby się na śmierć. Zawsze od teorii wolała praktykę, lecz historie Inkwizytora zawsze ją ciekawiły. Mówił szczegółowo, dodając interesujące porównania, i potrafił szczerze odpowiedzieć na każde pytanie. Jego głęboki, męski głos miał wtedy ciepłą nutę, a on sam nielimitowane pokłady cierpliwości.

Za każdym razem, gdy zaczynał tłumaczyć, wstępowała w niego energia. Właśnie dlatego był doskonałym nauczycielem. Po części na tę ocenę mogły wpływać jego ręce, tańczące podczas wykładu po jej ciele. Niemniej w ten sposób dużo dowiedziała się o świecie. *Gdyby każdy starał się być taki oświecony i czytany jak Witeldon, to wiele spraw zostałoby lepiej rozwiązanych* – stwierdziła w duchu.

Koliber ciął powietrze z ogromną prędkością. Szybko dotarli do zewnętrznych murów miasta. Starła się nie patrzeć na slumsy, które rozpościerały się w dole. Nie lubiła i nie chciała widzieć męczeństwa zwykłych, niewinnych ludzi, choć właśnie to była przykra część służby dla Inkwizycji. Jej rozmyślanie niespodziewanie przerwał Skaza.

- Czy mógłbym Panią o coś zapytać? – zaczął.
- Śmiało – odpowiedziała, uśmiechając się pięknie.
- Jakie to uczucie używać magii?

Zaśmiała się perliście, ale przestała, kiedy tylko spostrzegła w odbiciu szyby, że nastolatek wyraźnie się spieszył.

- Ej, spokojnie, chłopcze – powiedziała, pochylając się do przodu. Pogłaskała go po ramionach. - Rozluźnij się. Śmiało, przecież nie siedzisz tutaj z Inkwizytorem.

- Przepraszam, ale... – na chwilę się zawahał. - Do dziś nie miałem okazji i przyjemności być w towarzystwie tak pięknej kobiety – powiedział, starając się zabrzmieć godnie.

Twarz Viviene przybrała ciepły wyraz. *No tak* – pomyślała. *On robi co może, by zachować się profesjonalnie i nie przynieść wstydu Witeldonowi. Teraz służy mi najlepiej jak umie, a ja burzę to wszystko. Mógł nie mieć jeszcze do czynienia z kobietami* – wysnuła hipotezę. Można było ją nazwać podłą, ale nie zamierzała zmieniać swojego zachowania.

- A jakie to uczucie latać Kolibrem? - zapytała, używając jego składni.

- To niesamowite uczucie, Pani - niemal od razu zaczął wyjaśniać. - Człowiek czuje się tak, jakby mógł robić wszystko. Jest szybszy od wiatru, może doścignąć każdego, a jego nikt nie złapie. Walka myśliwców to jakby taniec - spojrzał przez ramię. - Właśnie z tym kojarzyło mi się zawsze latanie - widząc jej zachęcające kiwnięcie głową i ruch ręką, brnął dalej. - Można podjąć walkę z każdym i ma się niesamowitą siłę pierdolnięcia... - zamarł, gdy dotarło do niego, co powiedział.

- Rozumiem co to znaczy - zwyczajnie odparła kobieta. - Kontynuuj - ponagliła chłopaka, pozostając pod urokiem jego wywodu.

Skaza przełknął ślinę i nabrał powietrza.

- Trzeba jednak pamiętać, że gdy się za mocno przyciśnie maszynę, to może nie wytrzymać i zepsuć się, a to pewna śmierć. Amunicja też nie jest nieskończona - palcem wskazał na konsolytę asekuracji celowniczej. - Trzeba atakować z rozwagą, a nie na ślepo.

Vivienne odczekała moment i otworzyła piękne usta.

- Już znasz odpowiedź na swoje pytanie - powiedziała do niego.

- Naprawdę? - zdziwił się, nie rozumiejąc.

Znowu pogładziła go po ramieniu. Czuła, jak cały się zjeżył, by po krótkiej chwili wyraźnie się rozluźnić.

- Sam to wszystko wyjaśniłeś.

Chciał zaprzeczyć, lecz dojrzał prawdę w jej słowach. Z magią faktycznie jest jak z lataniem myśliwcem.

Koliber wleciał w obręb miasta. Na horyzoncie widniała Wieża Magów.

- Powoli zbliżamy się do celu, Pani - zameldował. - Gdzie życzysz sobie lądować?

- Górne ogrody. Tuż obok twierdzy Kręgu.

- Tak jest! - rzucił i skorygował lot.

Miejsce, skupiające magicznie uzdolnionych ludzi w Spero, robiło wrażenie. Była to konstrukcja pnąca się na kilkaset metrów w górę, otoczona lewitującymi i kwitnącymi polanami, które mogły istnieć tylko dzięki potężnym zaklęciom. Na każdym poziomie znajdowały się liczne dormitoria, pracownie alchemiczne, sale treningowe i medytacyjne, a także księgozbiory umożliwiające naukę kolejnym pokoleniom magów. Na szczycie

mieściła się twierdza magicznego Kręgu, w której zasiadali najpotężniejsi i najstarsi magowie. Oni decydowali o losach czarnoksięstwa w Spero.

Viviene nie należała do żadnego Kręgu, ponieważ już dawno temu zadała się z Inkwizycją. Gdyby postanowiła być zwykłą czarnoksiężniczką, to z pewnością mogłaby zostać nawet przewodniczącą rady. Właśnie ze względu na wiek i umiejętności.

Vulxowi, głowie całej frakcji w mieście, telepatycznie wysłała powiadomienie o przybyciu. Magowie nigdy nie chcieli zadrzeć ze Świętym Oficjum, więc od razu dostała pozwolenie na dalszy lot. Koliber bez problemu minął magiczną tarczę strzegącą wieży. W innym przypadku byłoby to bolesne i krótkie spotkanie.

- Zawsze myślałem, że to pole przepuszcza tylko magów - powiedział Skaza.

- Zawsze można poprosić o przepuszczenie - zaczęła Viviene. - Albo tego zażądać - dodała, z wrednym uśmiechem. - Poza tym bariera nie jest niezniszczalna.

- Chyba w żadnym arsenale nie ma takiej broni, Pani - wtrącił, podchodząc do lądowania.

- Chyba żeby w jednym momencie odpalić dwa tysiące dziewięćset osiemdziesiąt siedem rakiet, które masz pod skrzydłami. To gwarantowałoby przebicie się. O ile oczywiście nie doładowałiby sfery.

- Rozumiem - powiedział speszony.

Statek osiadł na kamiennym placu, otoczonym kwitnącymi latoroślami i żywopłotami. Czysta woda wypływała z fontann, a całość oświetlały wielkie kryształły, unoszące się lekko w powietrzu i naładowane magią. Mężczyzna otworzył kokpit i wyskoczył zwinnie na skrzydło. Wyciągnął dłoń w kierunku Białowłosej.

- Pomogę Pani zejść, za pozwoleniem.

Posłała mu ponętny uśmiech.

- Dziękuję - zamruczała.

Wstała z fotela, przeciągając się kuszaco, przewiesiła nogi przez bok kokpitu i usiadła na ramie. Skorzystała z zaoferowanej pomocy i zgrabnie osunęła się na skrzydło. Skaza zeskoczył na podłoże.

- Najlepiej będzie, jeśli tym razem usiądzie Pani na skrzydle i ponownie się zsunie - wytłumaczył. - Ja w razie czego złapię - zapewnił i rozłożył ręce.

Mój bohater – pomyślała i opuszczała się w ramiona mężczyzny. Jego twarz znowu znalazła się pomiędzy obfitymi piersiami. Złapał ją i postawił na ziemi. Mocno go objęła.

- Dziękuję za wszystko kochanie, byłeś niezmiernie pomocny. Taki mężczyzna to skarb – z jego ruchów wyczuwała, że zaczyna mu brakować tlenu. Po chwili wyzwoliła go z rajskiego więzienia.

- Cała przyjemność po mojej stronie – odparł sapiąc i opierając się o własne kolana. - Jakie jest teraz moje zadanie, Pani?

Zauważyła, że ma wzwód. Zignorowała to, by go jeszcze bardziej nie peszyć.

- Wróć do Sacrum – rzekła. - Tu są potężne kamienie teleportacyjne, więc dzięki nim dostanę się z powrotem.

Kłamała, ponieważ wcale nie potrzebowała do takich podróży czyjejś pomocy. W mgnieniu oka sama mogła przenosić się na inne kontynenty. Chciała jednak, by poczuł się potrzebny.

- Tak jest! Życzę Pani udanej misji! – zasalutował.

Vivienne uśmiechnęła się i ukloniła, prezentując cały swój wdzięk.

- Jeszcze raz dziękuję.

Odwróciła się i ruszyła w głąb kompleksu. Lubiła czasem udawać normalną kobietę, z przyziemnymi problemami. Czuła się wtedy adorowana, niemalże czczona. Nie sztuką było zawładnąć czyimś umysłem, albo na czyichś oczach zamienić armię w kamień. Prawdziwym sukcesem było osiągnąć to zwyczajnie. Dlatego tak bardzo lubiła przebywać z Inkwizytorem. Choć był człowiekiem wielu kontrastów, to jednak cenił ją i na swój sposób szukał jej towarzystwa.

Żyjąc tyle lat obok, wiele się o nim nauczyła, a on o niej. Dużo razem przeszli. Osobiście uważała, że łączyło ich coś więcej niż seks i służba. Mogłaby przysiąc, że on myślał podobnie, ale sam nigdy by się do tego nie przyznał. Był okrutnym człowiekiem, który miliony razy sprawił ból i cierpienie, nie patrząc na nic, oprócz własnego sądu. Zawsze jednak cechowała go sprawiedliwość.

Wobec niej był dobry, a w jej oczach wręcz doskonały. Czuła, że jest dla niego ważna. Wiedziała, że tak naprawdę tylko z nią rozmawiał prywatnie. Wyrażał swoje obawy, choć nie miał ich wiele. Pokazywał jej czasem coś, co go zainteresowało, i czekał na jej reakcję. Na swój sposób było to urocze.

Niekiedy żałowała, że ich losy nie potoczyły się inaczej, lecz myśląc o tym, co ma, nie śmiała prosić o więcej.

Dwóch strażników, kobieta i mężczyzna, pełniło wartę przy wejściu do twierdzy Kręgu, gdzie mieściły się wszystkie interesujące ją magiczne archiwa. Magister Dolman Arx i Mistrzynie Run Umala Driot. Poznała ich z daleka, jednak zdziwiła się ich obecnością tutaj. Powinni strzec Wielkiej Biblioteki Maginów.

Pierwszy usta otworzył mężczyzna.

- Kogo moje oczy widzą? - mogło to być coś więcej niż pytanie retoryczne, ponieważ mętny wzrok posiwiąłego starca mógł go zawodzić. Miał dopiero pięćset trzydzieści jeden lat, lecz jako mag szóstego stopnia nie potrafił oszukiwać czasu, tak jak robiła to Vivienne. - Czego chcesz?

Stała w odległości trzech kroków od wartowników. Wzrostem znacznie górowała nad każdym, a zdolnościami magicznymi deklasowała ich we wszystkich dziedzinach. Była potężniejsza niż którykolwiek śmiertelny umysł mógł pojąć. Przyglądała się im.

Dolman lata świetności miał już za sobą, i z pewnością niedługo odejdzie z tego świata. Zgarbiony, o zawistnym spojrzeniu i gburowatym charakterze, nosił długie, wykonane z żółtego materiału szaty. Za broń służył mu prosty, stalowy miecz. Potencjał oręża uwalniała magia właściciela. Mógł on nasycić ostrze tajemną mocą, co pozwalało mu z łatwością przecinać zbroje i kości przeciwników.

Umala Driot była znacznie od nich młodsza, żyła ledwie sto dwanaście lat. Miała krótkie blond włosy i brązowe oczy osadzone w twarzy o orlim nosie i wyciągniętym podbródku. Wyglądała jak rasowa wiedźma, ubrana w pancerz z lekkich metali. Taka skorupa nie mogłaby zapewniać żadnej realnej ochrony, gdyby nie fakt, że pokrywały ją tajemnicze symbole. Umala, jako Mistrzynie Run, umiała wypisywać i rzeźbić glify, które nasycone magią dawały potężne efekty. Vivienne wiedziała jednak, że kobieta dostała swoją rangę dzięki politycznym gierkom, a nie umiejętnościom. Dostrzegła średniozaawansowane symbole rozpraszające magię i odbijające pociski. Strażniczka trzymała w dłoni magiczny młot kowalski, którym mogła wykuwać swoje prace.

- Cóż za miłe powitanie - twarz Vivienne pozbawiona była uśmiechu. Nie lubiła ich.

- Czym sobie zasłużyliśmy na twoje towarzystwo? - spytała neutralnie, lecz stanowczo mistrzyni Driot.

Białowłosa piękność przewróciła oczami i zatrzepotała rzęsami. Wesoły grymas znów zagościł na jej twarzy. Wyciągnęła przed siebie rękę, a w dłoni trzymała małą maszynę różniczkową w kształcie kulki. Urządzenie wytworzyło małą projekcję pyłową, z której odczytać można było inkwizytorski dekret śledczy wraz z podpisem Witeldona Walszartiego.

- To chyba wy musicie odpowiadać na moje pytania, prawda? - powiedziała, delektując się każdym słowem. - Więc co tutaj robicie? - cieszyła się jak dziecko, wypowiadając te pytania.

Mężczyzna zacisnął wargi, widać było po nim, że jest wściekły. Nienawidził naginać karku. Mistrzyni Run umiała lepiej ukrywać emocje. Westchnęła i przemówiła.

- Zajmujemy się grupą młodych akolitów z Wielkiej Biblioteki. Przyszłymi Kronikarzami i Runoznawcami.

Viviene uśmiechnęła się.

- Nie można było tak od razu? Domagam się wejścia do twierdzy.

- Ależ oczywiście - zawarczał Dolman Arx.

Oboje wartownicy odsunęli się i magiczną komendą otworzyli główne wrota. Kobieta minęła ich bez słowa podziękowania. Nie potrzebowała również meldować się u władców tego miejsca.

Skierowała kroki do archiwum. Obcasy stuknęły o kamienną podłogę, a potem o kryształowe schody. Mijała nowicjuszy, którzy krzatali się po kompleksie, wzbudzając wśród nich spore zamieszanie. Każda para męskich i kobiecych oczu podążała za nią. Słyszała szept, a niekiedy gwizdy. Podobało jej się to.

Magiczna bariera blokowała przejście. Rzuciła zaklęcie i przeszkoda przestała zawadzać. Nie była członkiem tego miejsca, miała za to swoją moc.

Archiwum było rozległym magazynem o kilku poziomach. Do każdego prowadziły specjalne opalowe podesty, które umożliwiały lewitację. Dla mniej odważnych pozostawały staroświeckie schody. Całe miejsce wykonano z ciemnego marmuru i wielkich bloków kwarcu. Dookoła kolumn podtrzymujących kondygnacje krążyły kule światła, rozpraszające mrok. Patrząc jasnoróżowymi oczami, widziała setki tysięcy ksiąg, ułożonych na niezliczonych regałach. Spoczywało tam także mnóstwo zwojów i map.

W razie potrzeby można było dostać pozwolenie na użycie i wydobycie informacji z setek oszlifowanych diamentów. Magią zakodowano w nich dane. Dzięki Witeldonowi miała dostęp do wszystkiego.

Przemierzając bibliotekę, wyczuła czyjaś obecność. Oczywistym było, że nie tylko ona szukała oświecenia w miejscu takim jak to. W mig rozpoznała postać, którą namierzył jej szósty zmysł. Jej sygnatura zdziwiła ją, gdyż od ich ostatniego spotkania minęło kilkanaście lat. Białowłosa zmieniła kierunek i weszła do jednej z bocznych sal. Znajdowało się w niej wiele stołów i przyrządów do pracy nad runami. Przy jednym, w skupieniu, pracowała dziewczyna. Prostym czarem Viviene wyciszyła stukot butów. Chciała się jej przyjrzeć.

Ubrana w mundur elitarnej Akademii Św. Józefa, miała długie, kręcone, rude włosy i była niewiele niższa od Czarnoksiężniczki. Jej ręce wykonywały ruchy szybkie, pewne i precyzyjne. Używając dłuta i małego młotka, rzeźbiła w metalu żołnierskiego hełmu, typowego garnka piechociarzy. Viviene wyczuwała magię. Wyszukaną i subtelną, zupełnie inną niż toporne i prostackie działania Umali.

- No Amelka, skończone - rudowłosa powiedziała sama do siebie.

Zamarła. Chyba sam Stwórca dyktował kroki, które doprowadziły ją tutaj. Wejrzała w umysł rzemieślniczki, by potwierdzić czy ta, na którą patrzy jest tą samą, o której myśli. Nie myliła się, spoglądała na córkę Ursusa. *Cóż za spotkanie* - pomyślała.

Amelka od małego interesowała się runami i magicznymi językami, ale natknąć się na nią tutaj... Tego się nie spodziewała. Ożyły wspomnienia. Pamiętała, jak Witeldon przywiózł do Sacrum wielkiego mężczyznę i niemowlę. Wyjaśnił jej sytuację i zajście. Ucieszyła się, że postąpił tak... ludzko. Wielkolud nieprzerwanie trenował, aby udowodnić swoją wartość, i w krótkim czasie został kapitanem Mortusów. Natomiast ona zapowiedziała, że dzieckiem zajmie się sama. Miała najmniej obowiązków z nich wszystkich, a z każdym potrafiła uporać się szybko.

Uśmiechnęła się, gdy przed oczami przemknęły przeszłe chwile. Brała małą na ręce, tuliła, karmiła i bawiła się z nią. Patrzyła, jak rośnie i wymawia pierwsze słowa. Jak stawia pierwsze kroki. Później dziewczynce wyczyszczono pamięć, by mogła pójść do Akademii i zapomnieć o wszystkim, co wiązało się z Oficjum. Viviene bardzo wtedy płakała, wręcz rozpaczała, aż stało się coś niespodziewanego. Była z Witeldonem w jego prywatnym

pomieszczeniu. Objął ją i czekał aż wyjdą z niej emocje. Pomógł jej, nie oczekując niczego w zamian.

Stwórco, jak ona wyrosła – powiedziała w duchu. *Jest piękna*. Podeszła jeszcze bliżej i wyczarowała swój kostur.

- Dobra robota – rzuciła lekko.

Amelka podniosła głowę i dezorientowana spojrzała na nią. *Jaka piękna czarodziejka* – pomyślała.

Białowłosa stanęła przy niej.

- Vivienne Larose – przedstawiła się i dygnęła jak prawdziwa dama.

- Amelia Skjorgir – rzekła studentka, promiennie się uśmiechając i próbując naśladować jej ruch.

- Jesteś tutaj nowicjuską? – zapytała, choć przecież znała całą prawdę. Chciała z nią tylko porozmawiać. W tym momencie czas nie był ważny.

Dziewczyna pokręciła głową.

- Nie, proszę Pani – pokazała dłonią symbol uczelni wyszyty na rękawie. – Jestem studentką ostatniego roku Akademii Św. Józefa. Dzięki mojemu tacie mogę rozwijać również pasję, którą są runy. Mamy teraz coś jakby wycieczkę i dlatego tu trafiłam. Poza tym łączy się to z moim kierunkiem.

- A jest nim?

- Studium języków magicznych i słów eterycznych.

- A więc urodziwa dziewczyna przekłada praktykę nad teorię! Prawidłowo
- Vivienne zaklaskała w ręce.

Amelka zarumieniła się.

- Zgadza się z tym, co Pani powiedziała, poza częścią o urodzie.

Kobieta zdziwiła się.

- A dlaczego to? Spójrz na siebie.

Studentka pokiwała głową.

- Patrzę i wiem, że trudno byłoby mi porównywać się na przykład z Panią
- mówiąc to, wskazała nieśmiało na kobiece atrybuty Vivienne, widoczne pod jej strojem.

- Ty również masz się czym pochwalić. Uwierz – powiedziała i wypuściła z ręki swój kostur, który nie upadł, lecz dalej stał obok niej. – Są fajne, ale tylko do pewnego momentu – mówiła, trzymając w dłoniach piersi i potrząsając nimi. – Tak samo jak biodra czy pośladki. Razem stanowią magnes na wszelkiej maści mężczyzn, ale tylko od ciebie zależy, czy świat

będzie w tobie widział coś więcej niż ciało i czy ludzie będą cię traktować jak osobę, a nie jak przedmiot – dotknęła palcem skroni. – Ważny jest też umysł, bo trzeba pokazać innym, że ma się ambicje, marzenia, uczucia, troski. Pamiętaj o tym, kochana. Ale, jak widzę, ty swoje rozwijasz bardzo dobrze – spojrzała na stół warsztatu i hełm.

Studentka pokiwała głową.

– Pani zna się na tym, prawda?

– Jestem czarnoksiężniczką I stopnia w służbie Inkwizycji – z wrażenia dziewczyna szeroko otworzyła oczy. – Spokojnie, patrz na mnie tak jak przed chwilą. Jestem kobietą równą tobie.

– Dobrze, postaram się. Czy mogłaby Pani ocenić moją pracę? – poprosiła po chwili niepewności.

– Będę zaszczycona.

Podniosła hełm, używając telekinezy. Amelka zamarła, przyglądając się tej magii. Nakrycie było niczym innym, tylko zwyczajnym żołnierskim garnkiem, używanym masowo podczas wojen toczonych między miastami. Ten konkretny model był odpowiedni dla nastolatków pełniących rolę fizycznych robotników polowych. Metal był lekko zagięty na czole i wydłużony w stronę karku.

Viviene uważnie przyglądała się runom ochronnym. Były skomplikowane i na wysokim poziomie. Znalazła znak, który dawał stali twardość tytanu. Widziała glify rozpraszania energii. Wryte w heksagonach, wzbudziły jej podziw. Była to sztuczka zwiększająca ich moc. Dostrzegła też symbole, które niwelowały działanie broni energetycznej i wytracały kinetyczną moc pocisków. Ostatnie były pieczęcie trwałości, sprawiające, że cały hełm był odporny na wszelkie warunki atmosferyczne.

– Jestem pod wrażeniem. Świetna robota – rzekła.

– Naprawdę?

– Oczywiście, kochana. Ta puszka uratowałaby niejedno życie – Viviene uszczypnęła ją w policzek.

Dziewczyna była szczęśliwa.

– To świetnie – odparła i podskoczyła z radości.

Czarnoksiężniczkę ciekawił jeden szczegół.

– To dość niecodzienny przedmiot do run – zauważyła. – Dlaczego wybrałaś akurat hełm?

Studentka spojrzała jej w oczy, a potem na swoje dzieło.

- Mój tata jest kapitanem w armii szlacheckiej i walczy na froncie - wzięła w rękę przesycony magią młotek i chwilę oglądała go w dłoniach. - Jest potężnym człowiekiem, wyższym nawet od Pani - kontynuowała, dostrzegając uśmiech kobiety. - Nosi kunsztowny pancerz, ale kiedy każdego roku odwiedza mnie i ma dość czasu, by spędzić ze mną jeden dzień, zawsze myślę o tym, że coś może mu się stać...

- Więc uczysz się na wojskowym sprzęcie, by móc mu pomóc? - przerwała monolog dziewczyny. Starła się mówić pewnym głosem, choć emocje zaczęły ją chwytać za serce.

Potwierdziła ruchem głowy.

- Chcę opracować plan, by w jedną dobę wyrzeźbić runy na całej jego zbroi. Od stóp do głów.

Vivienne była pod wrażeniem.

- Twój ojciec musi być z ciebie dumny.

- Zawsze mi to powtarza - potwierdziła, a łza wzruszenia spłynęła po policzku.

Czarnoksiężniczka zbliżała się i objęła dziewczynę. Kostur zostawiła tam, gdzie stała przed sekundą. Tęsknota pokonała Studentkę. Musiała się wypłakać. Trzeba było dłuższej chwili, by się uspokoiła. Nie widziała łez Vivienne, które ta ukryła, stosując magię. W końcu przestały się obejmować.

- Dziękuję bardzo, prze pani, i przepraszam.

Białowłosa zbyła jej tłumaczenie ruchem ręki.

- Nie masz za co dziękować i przepraszać. To nic złego mieć pragnienie, by ci, których kochamy, byli blisko nas - dłonią wskazała przedmiot. - Jednak jeśli chcesz zrealizować swoje marzenie, musisz poćwiczyć na czymś większym niż ten garnek.

Amelka rozchmurzyła się.

- Prawda, następnym razem poproszę Ilię o załatwienie całego napierśnika z naramiennikami - odparła i zanotowała plan w małej maszynie różniczkowej.

- Ilia to koleżanka ze studiów? - Białowłosa oparła się o stanowisko rzemieślnicze.

Amelka włożyła notatnik do kieszonki mundurka, ręce trzymała nisko przed sobą, a dłonie miała złączone. Zaczęła unikać różowych oczu.

Czarnoksiężniczka domyśliła się, o co może chodzić, nawet bez konieczności skanowania jej jaźni.

- Miłość ze studiów? - zapytała, starając się brzmieć przyjaźnie. - Podejdz tu, skarbie - lewą dłonią stuknęła kilka razy o blat stołu. Amelka usiadła obok Vivienne. - To chyba miała być tajemnica?

- A ja jak zwykle wszystko wygadałam - westchnęła i przełknęła głośno ślinę. - Muszę się bardziej pilnować.

- Dlaczego? - spoglądała na jej strapione rysy. Widziała jej profil. - Co jest złego w tym, że się kocha?

Studentka zebrała się w sobie na tyle, by nawiązać z nią kontakt wzrokowy.

- Ludzie i Kościół niezbyt przychylnie patrzą na takich jak my - powiedziała, a jej oddech lekko przyspieszył. - Szydzenie, potępienie, groźby, nagonki - wymieniała. - Kiedy byłam mniejsza, to widziałam stosy... - zadrżała.

Białowłosa delikatnie przykryła jej dłoń swoją.

- Coś o tym wiem. Magowie również nie mają lekkiego życia.

- Tylko że Inkwizycja zabija czarnoksiężników, którzy oszaleli bądź zostali opętani. Podobnie jest z inżynierami, duchownymi czy zwykłymi ludźmi. Ich osąd dosięga najgorszych - ręką wskazała na obraz, który wisiał na ścianie.

Gdy Czarnoksiężniczka spojrzała w tamtą stronę, robiła wszystko, żeby się nie uśmiechnąć. Dzieło dużego formatu przedstawiało postać brodatego mężczyzny o ciemnych włosach i zaroście. Wojownik, z przekrzywioną wagą na piersiach, był całkowicie pokryty krwią. W prawej dłoni dzierżył opuszczony miecz, który lśnił błękitną barwą, a okraszająca go posoka parowała, wyraźnie skwiercząc. Lewą ręką, wysoko uniesioną, trzymał ucięty łeb bestii o podłużnym ryju, z licznymi parzydełkami i oczami na przerażających czułkach. Inkwizytor stał dumnie, zwrócony lekko bokiem, prezentując swój prawy profil. Jego stopy znajdowały się na powalonym, bezgłowym cielsku wielokroć większego od niego potwora. Szkarada leżała bez życia, a na jej rozlazłym i napuchniętym torsie można było dostrzec głębokie rany. Tłem były ognie zniszczonej dzielnicy mieszkalnej, tłumy ludzi i żołnierzy w pancerzach koloru nocy, którzy wiwatowali na cześć odniesionego zwycięstwa. Musiała przyznać, że autorowi udało się doskonale uchwycić ponure oblicze Sługi Bożego.

- Robi wrażenie, co? - zapytała. - To Opiekun Spero.

- Pani pracuje dla Inkwizycji - Amelka znów spojrzała na kobietę. - Czy widziała go Pani kiedyś na własne oczy? - ton, którym mówiła, przypominał głos dziecka pytającego o to, co jest na następnej stronie bajki.

Vivienne zaśmiała się szczerze, choć mało elegancko.

- Nie raz i nie dwa, moja droga - mocno i przeciągle wypuściła powietrze nosem. - Niesamowita persona. Obraz nigdy nie odda wrażenia, które sprawia na żywo.

Dziewczynę zaciekawiła pasja, z jaką to wyznała.

- Musi być straszny - zastanowiła się. - Gdyby na mnie spojrzał, to chyba umarłabym ze strachu.

Białowłosa parsknęła.

- Na pewno jest okrutny i niezłomny - pokiwała wolno głową, ponownie przypatrując się dziełu. - Jednak również jest człowiekiem, jak ty i ja.

Usta Rudej wygięły się w grymas.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę sobie wyobrazić, by ktoś taki jak on dzielił cokolwiek ze zwykłymi szarymi ludźmi, jak ja. Gdy tylko ktoś wspomina o Oficjum, to zaraz myśli o nim. Gdy ktoś chce podać wzór Bożego żołnierza, wymienia jego. Byłam świadkiem, kiedy dorośli straszili nim niegrzeczne dzieci - podrapała się po policzku. - Te wszystkie obrazy, pomniki, dzieła literackie, przychylne mu bądź nie... Słyszałam podczas mszy, że nawet kapłani modlą się o jego wstawiennictwo. Zupełnie jakby był aniołem Stwórcy... - zastygła na moment. - Albo aniołem zemsty na niegodziwych - patrzyła teraz na poważną twarz Czarnoksiężniczki. - On dla takich jak ja nie jest człowiekiem. Jest symbolem, synonimem sądu, wyroku i kary. Jest wieczny, zupełnie jak Spero.

Vivienne przez moment milczała. Czasami zapominała, że inkwizytorzy, inżynierowie oraz magowie to dla zwykłych ludzi postaci niemal mityczne. Szansa na to, że jakaś istota ludzka spotka się osobiście z kimś takim, są niemal zerowe. Dlatego członkowie tych organizacji obrastali w legendy i historie, które stawały się tym większe, im więcej razy je powtarzano. Jednak z pewnością osoba żyjąca kilka razy dłużej niż najstarsi magowie, zabijająca potwory tak potężne, że spokojnie można było je porównywać do tych ze Świętych Tekstów, oraz mająca władzę nadaną przez samego

Stwórcę, mogła być postrzegana jako wizja, fatum, Boża opatrzność albo przekleństwo.

- Nawet zimny kamień posągu roni łzy, gdy świat ciśnie na niego wystarczająco dużo wody z Nieba - powiedziała Viviene. Zabrzmiało to tak pusto i ciężko, że Studentka zdumiała się, słysząc te słowa. Jej oczy ponownie zapatrzyły się w obraz. - Twój strach, to o czym mówiłaś, nie wynika z obaw przed Inkwizycją.

- Nie, proszę Pani. Oni zajmują się poważnymi sprawami - zaprzeczyła i zamaszystym ruchem ręki wskazała na woluminy, które je otaczały. - W wielu księgach można przeczytać o niesprawiedliwościach i złu, wyrządzonych człowiekowi przez człowieka. Nigdy jednak nie spotkałam się z tym, by coś, co robi przedstawiciel Oficjum było... krótkowzroczne. Oczywiście mówię o tym, co mi opowiadali magowie.

- Dobre słowa.

Młoda kobieta westchnęła.

- Za homoseksualistów biorą się zwykli ludzie.

- Wiesz dlaczego?

- Nie.

Białowłosa usiadła na blacie stołu.

- Ludzie boją się nowości i nieznanego. To dwa lęki najbardziej znane i towarzyszące nam od zarania dziejów - zaczęła, kręcąc palcem loki. - Cokolwiek wyłamie się z ogółu, postrzegane jest jako zagrożenie, które ludzie chcą eliminować.

Amelka zauważyła smutek na twarzy kobiety.

- Dlaczego tak musi być? - zapytała.

Viviene przysunęła się do niej i lekko objęła ramieniem.

- Kiedyś to się zmieni - delikatny, rozgrzewający uśmiech zagościł na twarzy Znawczyni Magii. - Poza tym nie wszędzie tak jest.

- Nie rozumiem, proszę Pani.

- Ludzie, kochanie, są zmęczeni życiem. Od swoich narodzin aż do śmierci trwają w brudzie i zapomnieniu. Pracują w warunkach gorszych niż niewolnicy - wskazała na stanowiska, gdzie mieściły się nasycone mocą narzędzia. - Nie wierzą w postęp i polepszenie swojej egzystencji. Chcą jedynie, by świat pozostał taki, jaki jest teraz. Jakim go znają. Wszystko co nowe będzie w nich wywoływać agresję i chęć mordy.

- Ale dlaczego?

- A pamiętasz, co mówiłam o lęku przed innowacją i czymś niewiadomym?
Amelka zgarbiła się zawstydzona.

- Tak, oczywiście - odparła świetnie wyuczonym tonem studentki, którą poprosi się o wyjaśnienie problematycznej kwestii.

- Natomiast Kościół przeczy sam sobie. Święte Teksty, które znasz na pamięć, jak zresztą każdy, mówią o tolerancji i szanowaniu wszystkich ludzi. Tak długo, aż nie zaczną bluźnić, bądź nie przyniosą szkody albo zniszczenia. Jednak można w nich wyczytać również to, że każdy, kto kocha kogoś własnej płci, czyni herezję wobec majestatu boskiego. Pewnie chciałabyś wiedzieć, dlaczego tak jest? Kiedyś zapytałam o tę nieściskość członka Świętego Oficjum.

- Co odpowiedział, czy może odpowiedziała?

- To, że nauki spisane były przez wybrańców, których Stwórca uznał godnymi i tchnął w nich swoją mądrość. Jednak charakter tych ludzi, czasy, w jakich żyli, środowisko, w którym działali i napotykanne problemy, wpływały na interpretacje Boskich znaków. Dlatego ich wydzwięk bywa różny - jej różowe oczy nawiązały kontakt z córką Ursusa. Dziewczyna wsłuchiwała się w opowieść, niemal nie oddychając. - Dziś Kościół robi wszystko, by nie stracić pozycji i władzy. Ludzie zrobią wszystko, by nie wzbudzić gniewu kleru i Boga. To duo jest sobie warte. Miłość stoi na równi z wiarą. To Ojciec Nas Wszystkich nauczył nas kochać, byśmy trwali szczęśliwi w świecie, który nam stworzył. W całym naszym wnętrzu to właśnie serce nie jest sługą. Ono wybiera za nas i pozostaje wierzyć, że czyni słusznie - Czarnoksiężniczka otarła łzę z policzka Amelki. - Dwoje ludzi, niezależnie od wieku i pochodzenia, ma prawo zbudować własny dom. Zawsze i wszędzie.

- Kim był Pani rozmówca? - zapytała łamiącym się głosem. - To musi być ktoś niebywale... ludzki - zakrztusiła się. - To rzadkie w dzisiejszych czasach.

Vivienne oparła się mocniej o biurko i odchylając do tyłu głowę, patrzyła w górę.

- Już o nim mówiłyśmy.

Studentka otworzyła szeroko oczy i zerknęła tam, gdzie Białowłosa. Przez długą chwilę obie trwały w ciszy. Marazm przerwała Wysłanniczka

Inkwizytora.

- Pamiętaj, że dla świata możemy być nikim, ale są na nim ludzie, dla których jesteśmy całym światem.

- Obiecuję, że nigdy nie zapomnę niczego z tej rozmowy.

Powstały. Kostur ponownie trafił w ręce właścicielki.

- Ja również - odparła Viviene. Choć nie chciała tego przyznać, miała do wykonania obowiązki i czas było się żegnać. - Jak zapewne się domyślasz, jestem tutaj w jakimś celu. Ty również musisz wykonać swój plan, prawda? - wskazała na stanowisko.

Amelka potwierdziła i wzięła do ręki młotek.

- Dlatego znów zaczynam dłubać. Przy następnym spotkaniu ulepszę zbroję taty, będzie niezniszczalna. Dziękuję Pani za wszystko.

Viviene skłoniła się.

- To była czysta przyjemność. Pracuj wytrwale i pamiętaj, że w życiu możesz spełnić każde swoje marzenie.

Odchodząc usłyszała, jak dziewczyna mamrocze pod nosem.

- Dziwne. Brzmi znajomo.

Mistrzynie magii uśmiechnęła się smutno. To były jej ostatnie słowa, które wypowiedziała do Amelki wiele lat temu, tuż przed wymazaniem jej pamięci...



Witeldon Walszarti, Lydia oraz Sulla Pax siedzieli w Kolibrze, który skręcał do swojego tunelu startowego. Po chwili maszyna ruszyła z szybkością pocisku. Sacrum zostało z tyłu, a przed nimi widać było jałowe pustkowie.

- Wyruszamy w naprawdę inny świat, uczennico - powiedział.

- To będzie niesamowita podróż, Mistrzu - jej głos był pełen młodzieńczego zapału.

Oby nie była naszą ostatnią - westchnął Inkwizytor do swoich myśli. Nie wiedział, co może ich spotkać tam, dokąd zmierzali.

ROZDZIAŁ XII



DLACZEGO MIAŁBYM SIĘ BAĆ DEMONA? CHRISTUS DAŁ MI MOC NAD ZŁYMI DUCHAMI, ABYM MÓGŁ JE WYGNAĆ I WYPLENIĆ ZIARNO KAŻDEJ HEREZJI. TO CZARTY DRŻĄ PRZEDE MNĄ, GDYŻ JAM JEST DEFINICJĄ ICH STRACHU...

INKWIZYTOR JACOB SUVER, ZNANY POD PRZYDOMKIEM MŁOT NA HEREZJĘ.

Pierścień Inżynierijny X-15 od samego początku istnienia znacząco odstawał od innych pierścieni. Położony w Wysokim Mieście i odcięty od pozostałych poziomów, nie przypominał konstrukcji wzniesionych przez Korpusy Inżynierów. Znajdowały się tam także liczne kompleksy wykonane z ciemnych metali, lecz ich faktura była delikatna i kunsztowna. Na próżno było tutaj szukać osmolonych fabryk bądź kilometrów taśm produkcyjnych i linii przesyłowych. Za to miejsce roiło się od budynków przypominających magazyny, oznaczonych różnymi symbolami i herbami. Były tu też, wkomponowane sprytnie w architekturę, kapliczki Stwórcy i kilka lotnisk.

Dlaczego Inżynierowie uczynili to miejsce tak niepraktycznym? Żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie, trzeba by się cofnąć o ponad osiem tysięcy lat. Właśnie wówczas, kosztem gigantycznych nakładów pracy, surowców i ludzkiej krwi, został zbudowany wielokilometrowy zjazd, prowadzący do jednej z największych jaskiń odkrytych w Podmieście. Znajdowała się tam zrujnowana starożytna metropolia sprzed Dnia Kary.

Patrzenie na ciągnącą się niemal po horyzont zaginioną cywilizację sprawiało niesamowite wrażenie. Odchodziły stamtąd setki korytarzy i tuneli, które wiodły w nienazwane. Do dziś nikt nie wie, jak głęboko sięgają kondygnacje, ani jak są długie. Mówi się, że dotychczas udało się zbadać ledwie dwa procent całego obszaru, a i tak są to setki tysięcy kilometrów podziemi. Aby osiągnąć taki sukces i stały dostęp do pieczar, potrzebna była,

ciągnąca się mileniami, współpraca wszystkich organizacji ludzkości. Inkwizycja, Czarnoksiężnicy, Kapłani, Szlachta, Interwenci i Inżynierowie połączyli siły, by ramię w ramię walczyć z każdym okropieństwem, które ruszyło na nich z mroku. Straty były przytłaczające, a koszty, tylko te materialne, nie do wyobrażenia. Jednak udało się, i ostatecznie ludzkość postawiła w Podmieście swoje pierwsze kroki.

Pierścień Inżynieryjny X-15 był niczym innym jak końcową przystanią i bastionem do Zapomnianego Świata. Każda frakcja umieściła tutaj swoje zbrojownie i magazyny, a odkrywcy wznosili swoje modlitwy. Prawie zawsze były to ostatnie modlitwy.

Sulla manewrowała Kolibrem pomiędzy szpiczastymi zabudowaniami. Szukała lądowiska jak najbliżej wrót wejściowych. Znalazła odpowiednie pomiędzy budynkami należącymi do szlachty z rodu Klepsydry i Czerwonego Liścia. Myśliwiec wylądował i szklane poszycie kokpitu otworzyło się na jej komendę.

Lydia wyskoczyła i wylądowała na metalicznym podłożu ze zwinnością cyrkowca, robiąc do tego salto w przód. Inkwizytor opuścił pojazd znacznie spokojniej. Rozprostował kości i spojrzął na kobietę, która została w statku powietrznym.

- Nie czekaj na nas - powiedział. - To może potrwać nawet kilka dni. Wezwę cię, gdy skończymy.

Czarnowłosa była zmartwiona. Widział to w jej oczach.

- Podziwiam Pana - zaczęła. - Z całym szacunkiem, ale to przecież pewne szaleństwo - patrzyła na niego niepewnym wzrokiem. - Podmiasto to siedlisko koszmarów.

Witeldon uśmiechnął się, słyszał kroki jego uczennicy, która biegła do balustrady. Chciała zobaczyć panoramę Spero rozpościerającego się wokół i oświetlonego przez miliony lamp. Mimo że czasomierz pokazywał 8.38, było ciemno jak w nocy.

- Koszmary to moja specjalność - rzekł, naciągając na głowę kaptur pokryty runami. - W końcu sam jestem przez wielu określany takim mianem.

Uśmiechnęła się smutno.

- Tylko przez tych, którzy zmusili Pana do działania - powiedziała. - Będę się modlić o sukces - obiecała, składając ręce. Czuć było powagę w tych słowach.

Kiwnął głową.

- Dziękuję, moja droga, a teraz leć i niechaj Stwórca ma cię w opiece.

- Was również - zdążyła dodać, zamykając osłonę kokpitu i aktywując silniki.

Koliber oderwał się od ziemi, uniósł kilkanaście metrów w górę i lekko przechylony w stronę nieba wzbił się w chmury szybciej niż mrugnięcie oka. Podmuchał lekko uniósł pelerynę Inkwizytora. Patrzył jeszcze przez moment w mroczne sklepienie, śledząc ognisty łuk myśliwca, by po chwili przenieść wzrok na Lydię. Stała niedaleko skraju wysuniętej budowli i machała energicznie na pożegnanie. Podszedł do niej i zapatrzył się w dal. Zawsze tak robił, gdy tu przybywał.

- O czym Mistrz myśli, gdy patrzy na to wszystko? - zapytała dziewczyna.

Witeldon westchnął, nabierając głęboko powietrza.

- Każde ze światel zostało zapalone przez ludzkie dusze. Tych, którzy żyją w ciemności, jest po stokroć więcej - opancerzoną dłonią pogładził balustradę. - Tak niewielu otrzymało prawo do istnienia w świetle, a sprowadzają równie wielkie zło na ten świat, jak ci pod nami, którzy umierają w biedzie i brudzie - spojrzał na nią. - Pamiętaj Lydio o tym, że człowiek nie jest człowiekowi równy. Różni nas nasze życie, lecz łączą dwie rzeczy.

- Jakie?

Odwrócił się i ruszył w głąb kompleksu, w stronę zjazdu, nakazując gestem, by szła za nim.

- Narodziny i śmierć - brzmiała odpowiedź.

Szli w ciszy. Miejsce, opuszczone przez większość czasu, chroniły skomplikowane magiczne zamki i wieżyczki obronne. Jego zbroja, podobnie jak pancerz Lydii, wysłała w ich kierunku sygnał informujący, że są z ramienia Inkwizycji.

Mężczyzna i dziewczyna mijali kolejne uliczki i nieduże budynki z wyrytymi na nich znakami objaśniającymi, do kogo należały. Były pełne szlacheckich herbów i grafik regimentów Interwentów. Można było dostrzec wiele tajemnych run Inżynierów i świętej symboliki Kościoła Stwórcy.

Akurat przechodzili obok dwóch magazynów z ikoną Oficjum.

- Nie będziemy nic stąd brać? - zapytała uczennica.

Pokręcił przecząco głową.

- Mamy wszystko, czego potrzeba. Poza tym wolę używać sprzętu z mojego zaplecza.

Szli, stukając obcasami o metalową podłogę. Po kilkunastu minutach znaleźli się na głównym placu. Za nim znajdowała się brama prowadząca do zejścia.

Widząc dziedziniec, Lydia krzyknęła zdziwiona. Nie był wyjątkowy. Duża otwarta przestrzeń, obudowana konstrukcjami obronnymi i zbrojowniami. Reakcję dziewczyny wywołał widok środkowej części forum. Na dużym postumencie stał posąg. Wykuty z pięknego kamienia, natchniony magią chroniącą przed erozją, mierzył ponad pięć metrów wysokości i prezentował dwoje ludzi - mężczyznę, ubranego w długie spodnie i koszulę z bufiastymi rękawami, oraz kobietę w lekkiej sukience.

- Mistrzu, co to za rzeźba? Co przedstawia? - dopytywała dziewczyna. Była pod wielkim wrażeniem. Widać było, że konstrukcja bardzo się jej podoba.

- Nie co, ale kogo. Tam można przeczytać, kto został w ten sposób uwieczniony - poprawił i wskazał wyżłobiony napis. - Anastazja Curiti i Samuel Deroux, najlepsi tancerze, występujący w salonach Spero i dla samego Gubernatora ponad trzy tysiące lat temu. Też tam wówczas przychodziłem, by móc na nich patrzeć.

Lydia posłała mu jedno ze swoich spojrzeń, którym prosiła o kolejne szczegóły, lecz dostrzegła, że jej mistrz jest nieobecny duchem. Wspominał.

- Nigdy nie widziałem, by jakakolwiek para tak się ruszała. Tańczyli w taki sposób, jakby to oni wymyślili i opatentowali taniec. Ich ciała współgrały w doskonałej harmonii - uniósł głowę i spojrzał na postacie uwiecznione w kamieniu. - Nigdy więcej też nie spotkałem dwójki, która by tak się adorowała i nawzajem sobie ufała. Rozumieli się bez słów. Dwa razy miałem przyjemność z nimi rozmawiać, raz przed i raz po ich show.

- Jak się prezentowali w twoich oczach, Mistrzu?

- Mówiłem już, że byli niesamowici. Ona czuła i skryta, on zabawny i szarmancki. Tworzyli doskonały duet. Byłem pod wrażeniem, gdy opowiadali o tym, że taniec to mowa ciał i można nim wypowiedzieć słowo Kocham wszędzie tam, gdzie język i usta poległyby - pokiwał głową. - Niestety, w życiu rzadko kiedy jakaś historia ma szczęśliwe zakończenie.

Lydia okrążyła posąg, przyglądając mu się uważnie, lecz słysząc to wyznanie przeniosła na niego całą swoją uwagę.

- Co się stało?

Inkwizytor wyciągnął dłoń, wskazując na dwie kamienne twarze.

- Przypatrz się. Kobieta i mężczyzna, ich dłonie dopiero co się rozłączyły. Ona niepewna i cofająca się. Otwarte oczy zdradzają ból. On uśmiechnięty i zbliżający się. Jego powieki zamykają się, wypełnia je ufność - westchnął. - Mimo że ich dusze i ciała tworzyły najpiękniejsze tańce, jakie świat śmiertelnych mógł oglądać, ich serca nie były sobie przeznaczone. Kiedy spróbowali zatracić się w miłości tak, jak zatracali się w tańcu, rozstali się, poróżnieni przez uczucie.

- Przykre - wykrztusiła dziewczyna, ocierając kąt oka.

- Rzeźbiarz uchwycił ten moment perfekcyjnie - kontynuował. - Nie mogę ci powiedzieć, która z postaci jest smutniejsza. On, który nie potrafi pozwolić jej odejść, czy ona, która nigdy nie wybaczy sobie, że go zostawiła - podszedł do podstawy kamiennej rzeźby. - Pamięć o nich wciąż jest żywa.

Spojrzał na kwiaty złożone przy monumencie. Na taki gest mogli sobie pozwolić tylko najbogatsi szlachcice. Rośliny były cenniejsze niż złoto. Ruchem ręki zarządził dalszą podróż. Wejście do windy, która zabierze ich do kompletnie innego świata, było tuż przed nimi.

- Mistrzu, pamiętam jak walczyliśmy na cmentarzu rodowym herbu Płonącej Gwiazdy z tamtym nekromantą - zaczęła Lydia.

- Też to pamiętam. Od tamtej pory zacząłem uważać, że grzebanie zmarłych z ich bronią jest bardzo głupią tradycją u błękitnokrwistych.

Dziewczyna zmierzała jednak do czegoś innego.

- Tam też były kwiaty na grobach - powiedziała.

- I...? Skoro ich stać, to niech je sobie składają. Wyraz czci, dobry jak każdy inny.

- Nigdy nie widziałam, by szlachcice dawali sobie tyle kwiatów, ile przeznaczali dla zmarłych. Dlaczego tak jest?

Ach, to o to jej chodzi - pomyślał.

- Odpowiedź na twoje pytanie jest bardzo prosta, moja droga - poprawił kaptur. - Żal zawsze jest większy niż wdzięczność.

Nie skomentowała tych słów, lecz widział, że głęboko się nad nimi zamyśliła. Od małości miała nawyk pytania o wszystko, co ją

zainteresowało, bądź czego nie wiedziała. Z kolei on znał odpowiedź na niemal każdą intrygującą ją kwestię. Kiedyś opowiedział jej, że jest starszy niż wygląda. Znacznie starszy. Mówił, co oznaczają symbole pokrywające jego ciało i wyjaśnił, że to dzięki nim jest taki szybki, silny i wytrzymały.

Lydia spojrzała na mistrza. Lubiła z nim przebywać, mimo że niemal zawsze był statyczny, stonowany i spokojny. Często można było poczuć od niego aurę grozy i strachu, który zakorzeniał w sercach innych. Wiedziała jednak, ile dla niej robił. Czuła się przy nim bezpiecznie, pomimo szaleństwa, z którym musieli walczyć. Zamierzała ponownie otworzyć usta, by o coś zapytać, lecz ubiegł ją.

- I oto są - powiedział.

Z otwartą buzią przekreśliła głowę i spojrzała przed siebie. Widok, który ujrzała, był imponujący. Stali przed wielkimi wrotami, wysokimi co najmniej na siedem metrów i szerokimi cztery razy tyle. Przypominały jej główne wejście do hangaru albo holu w Sacrum. Jednak ta konstrukcja była kilka razy większa. Po obu jej bokach stały dwa posągi, przedstawiające nieznaną jej ludzi.

- Kim są ci mężczyźni, Mistrzu?

Witeldon zatrzymał się blisko wejścia. Dzieliło go od niego może dziesięć kroków. Ona stała obok.

- Ten z lewej to inkwizytor Jacob Suver, znany pod przydomkiem Młot na herezję. Z prawej Virginiusz Postaba, Pontifex Maximus, głowa Kościoła sprzed kilku tysięcy lat. To oni sankcjonowali początkowe wyprawy i dbali o czystość duchową odkrywców. Walczyli również z plugastwem, które tam krąży.

Na bramie znajdował się wykonany ze srebra napis. *Ten, który patrzy w pustkę, niechaj ma się na baczności i uważa na swą duszę. Albowiem pustka patrzy również w niego.*

- Na nas też ona będzie patrzeć? I co to za symbole na drzwiach? - pytała o tysiące run, które zdobiły wejście.



Człowiek z Wyobraźnią zaśmiał się krótko.

- To przerośnia, moja droga. Zdania można tłumaczyć mniej więcej tak, że ci, którzy walczą z potworami, muszą uważać, by samemu się nimi nie stać. Tam człowiek mierzy się z najstarszym ludzkim lękiem, jaki istniał, ze

strachem przed nieznanym. To są runy, które w takiej liczbie i symbolice czynią te drzwi i cały budynek właściwie niezniszczalnym – ruchem głowy wskazał na glify. – Po to, by to, co może się tam kryć, nie dostało się tutaj.

Dziewczyna kiwnęła głową na znak, że rozumie.

– Jak tam wejdziemy?

– Łatwiej niż sobie wyobrażasz – parsknął.

Podniósł wysoko opancerzoną rękę i ułożył palce w sobie tylko znaną kombinację. Skanery wbudowane w konstrukcje wejścia i maszyny różniczkowe odczytały znaczenie gestu i wysłany przez jego zbroję impuls. Wszystko ożyło. Potężna hydraulika, wbudowana we wrota, zaczęła otwierać bramę, wydając przy tym potworne zgrzyty. Gigantyczna bryła błogosławionej stali przestawała być dla nich przeszkodą. Inkwizytor ruszył do wnętrza, a dziewczyna, po chwili wahania, podążyła za nim.

Znaleźli się w wysokim pomieszczeniu.

Sufit był zawieszony wyżej niż wejście. Salę wykonano z jasnoszarego metalu. Lita goła podłoga kontrastowała z bogato zdobionymi ścianami. Widniały na nich podobizny świętych i wyrzeźbione fragmenty Świętych Tekstów. Całość zbudowano na planie kwadratu o bokach długości około dwudziestu metrów. Światło dostarczały latarnie elektryczne, zintegrowane z każdym z dzieł sztuki.

– Mistrzu, dlaczego ta sala jest taka wielka?

Zamiast odpowiedzieć, od razu przesunął się i usiadł na jednej z kamiennych ław. Oparł plecy o ścianę.

– Na początku, kiedy już stworzono windę, stąd ruszały pierwsze ekspedycje uzbrojonych po zęby drużyn, wspieranych przez instrumentory i wielkokalibrową broń – spojrzał na nią. – Uwierz, że nikt nie czekał na nich z ciastkami – poklepał dłonią siedzisko, dając do zrozumienia, by zajęła miejsce obok. – Nasza podróż nie potrwa chwilę, więc proponuję ci usiąść.

Posłuchała i spoczęła koło niego. Jak dama założyła nogę na nogę, a dłonie położyła na udzie.

– Ile będziemy jechać?

– Jeśli obejdzie się bez problemów, to z półtorej godziny.

Spojrzała na niego zaszokowana.

– Aż tyle?!

- To nie teleportacja, dziewczyno. Czasem trzeba poczekać, lecz wy młodzi nie wiecie, czym jest cierpliwość - podrapał się po brodzie. - To będzie nie najgorsza lekcja.

Lydia nachmurzyła się i opuściła lekko głowę.

- A kiedy ruszamy, Mistrzu? - zapytała zrezygnowanym tonem.

Pokiwał głową w zamyśleniu.

- Dobrze, że mi o tym przypomniałaś - klasnął dwa razy opancerzonymi dłońmi.

Gigantyczna winda wioząca dwoje ludzi ruszyła do innego świata.

Do Podmiasta.

ROZDZIAŁ XIII



ŻYCIE JEST OSTATECZNYM I NAJDOSKONALSZYM Z DARÓW.

NIGDY NIE BĘDZIE STWORZONE COŚ, CO ZAWIERAŁOBY W SOBIE LOGIKĘ POŁĄCZONĄ Z KONIECZNOŚCIĄ I PARADOKS ZESPOLONY Z ZAPRZECZENIEM.

RZECZYWISTOŚĆ JEST OKREŚLANA JAKO PIEKŁO, A IM DŁUŻEJ CZŁOWIEK ŻYJE NA ŚWIECIE, TYM BARDZIEJ JEST W STANIE SIĘ Z TYM STWIERDZENIEM ZGODZIĆ.

WSZYSTKO MA SWOJE NATURALNE PRZECIWIENSTWO I TO WYSTARCZY, BY PODWAŻYĆ KAŻDĄ TEZĘ, ZNIWECZYĆ KAŻDE STARANIA I OBRÓCIĆ BLIŹNIEGO PRZECIWI BLIŹNIEMU, A ZE ŚWIĘTOŚCI UCZYNIĆ PLUGASTWO.

MYŚLĄC O ZWYCIĘZCY, LOGICZNYM JEST, ŻE OBOK STAĆ BĘDZIE PRZEGRANY.

TAM, GDZIE JEST ŚWIATŁO, TAM ZNAJDIEMY TAKŻE CIEŃ.

LUDZIE STARAJĄ SIĘ O POKÓJ, WYWOŁUJĄC WOJNY.

ŁAD NIGDY NIE MOŻE ISTNIEĆ BEZ CHAOSU, A CZASEM WŁAŚNIE W NIM DOSTRZEC MOŻNA WIĘKSZY PORZĄDEK.

NIENAWIŚĆ, CZCZONA PRZEZ WIELU, A WYWOŁUJĄCA STRACH W JESZCZE LICZNIEJSZYCH, POWSTAŁA PO TO, BY CHRONIĆ MIŁOŚĆ. BO KOCHAĆ KOGOŚ TO ODDAWAĆ SWOJE ŻYCIE TEJ OSOBIE. BEZ ŻADNEGO WAHANIA, ZWĄTPIENIA CZY USTĘPSTW. POŚWIĘCIĆ SIEBIE DRUGIEMU CZŁOWIEKOWI.

NIENAWIDZIĆ TO CZUĆ ŻĄDZĘ ZNISZCZENIA, KOMPLETNĄ ANIHILACJĘ ŹRÓDŁA TEGO UCZUCIA. WIDZĄC BÓL, CIERPIENIE CZY NIEPOWODZENIE OBIEKTU SWOJEJ NIENAWIŚCI, OSOBA NIENAWIDZĄCA PRZEŻYWA EUFORIĘ. DELEKTUJE SIĘ KAŻDYM JĘKIEM, ŁZĄ I KRZYKIEM. TAKI OSOBNIK CZERPIE SIĘ Z MĘKI INNEGO CZŁOWIEKA. WŁAŚNIE DLATEGO TO UCZUCIE STOI NA STRAŻY MIŁOŚCI, GDYŻ ZA KAŻDYM RAZEM DAŻY DO ATAKU, A KOCHAJĄC KOGOŚ, OBRONA JEST PRIORYTETOWYM ZADANIEM.

NIE DZIWOTA WIĘC, ŻE AŻ TAK WIELE DUSZ, KTÓRYMI DYSONUJE LUDZKOŚĆ, POPADA W SZALEŃSTWO. KAŻDA PRAWDA RODZI KŁAMSTWO, Z DOBRA WYWODZI SIĘ ZŁO, I NA ODWRÓT.

CZASEM POMAGAJĄC SZKODZI SIĘ, A SZKODZĄC POMAGA. JEDNAK WSZYSTKO TO MOŻNA ZAMKNAĆ W STWIERDZENIU, ŻE NIE BYŁOBY ŻADNEGO LEKARSTWA, GDYBY NA ŚWIECIE NIE BYŁO CHORÓB...

FRAGMENT KSIĄŻKI „C'EST LA VIE”, AUTORSTWA NORBERTA GORCZYWSKIEGO.

Winda mknęła w stałym tempie. Można było odczuwać lekkie wibracje. Dało się słyszeć minimalne zgrzytanie konstrukcji. Lampy oświetlały miejsce, a figury i wyrzeźbione na ścianach mądrości trzymały nad podróżnikami pieczę. Dwoje ludzi siedziało obok siebie i trwało w ciszy. Do czasu.

- Mistrzu...?

Westchnął, zdjął kaptur i przechylił się w jej kierunku.

- Muszę ci pogratulować - powiedział.

Zdziwiona dziewczyna otworzyła szerzej oczy i odwróciła się w jego stronę.

- Czego? Przecież jeszcze nic nie zrobiłam? - zapytała lekko zbita z tropu.

Mężczyzna pokiwał głową w uznaniu. Wyglądał poważnie, śmiertelnie poważnie.

- Wytrzymałaś bez mówienia całe cztery minuty i trzydzieści siedem sekund.

Oblała się rumieńcem i uśmiechnęła.

- To chyba nowy rekord - nieśmiało stwierdziła.

- Prawda - rzekł. - O co chciałaś zapytać?

Próbowała wydobyć z siebie słowa, lecz zamarła.

- Ja... Zapomniałam... - wybąkała z rozbrajającą miną.

Witeldon przez moment masował sobie czoło opancerzoną dłonią.

- Zaczynam się o ciebie martwić.

Dziewczyna zaczęła w irytacji tupać.

- Każdemu się może zdarzyć - zapiszczała.

Inkwizytor przekrzywił lekko kącik ust. W jej niekontrolowanych wybuchach emocji widział coś przyjemnego. Miło mu było rozmawiać z kimś, kto w przeciwieństwie do niego był żywy.

- Zaraz mi się przypomni - zapowiedziała i oparła głowę na rękach. Widać było, że to dla niej misja priorytetowa.

Człowiek z Wyobraźnią również pogrążył się w myślach. Zastanawiał się nad podróżą. Miał złe przeczucia. Trzy i pół kilometra to nie było głęboko.

Siedemset lat temu zszedł na ponad trzynaście kilometrów, lecz tylko on wiedział, co tam znalazł. Wszystkie zapiski z tamtej ekspedycji własnoręcznie zniszczył. Prawda, którą wtedy odkrył, mogła być zbyt straszna dla wielu Inkwizytorów. Dlatego w archiwach są opisy wypraw na głębokość do dziesięciu kilometrów.

Zagrożeń, które na nich mogły czekać, było wiele. Raczej nie natrafiają na krabo-ludzi, nie były to ich terytoria. Odległość od znanych kolonii telepatycznych szczuroczłeków też była znaczna. Co do ludzkich plemion... Tu pojawiał się problem, ponieważ szansa spotkania ich była spora, mogli natknąć się na szczątkowe szczepy. Jednak nie stanowiło to dla niego realnego zagrożenia.

Kiedy przejdą przez Opuszczone Miasto, będą musieli uważać na wszelkie bestie kryjące się w mroku. Wielkie krety, nieumarłych, podziemne pluskwy, zbłąkane duchy i wampiry. Te ostatnie, jeśli Stwórca łaskawy, tylko w niższych gatunkach. Krwiopijca Średni nie będzie dużym wyzwaniem, lecz potyczka z Wysokim nawet dla niego będzie walką na śmierć i życie.

Pozostała jeszcze kwestia Wampira Szlachetnego, lecz on nie przepadał za takimi kryptami. *Na całe szczęście* - z obawą pomyślał o tym przeciwniku. Wszystkie te stwory to i tak dopiero początek listy mieszkańców Podmiasta. *Ciekawe, jakie wrażenie na Lydii robi nasz pierwszy przystanek* - zastanawiał się.

- Mam! - wrzasnęła.

Siedzący obok mężczyzna dygnął zaskoczony.

- Na litość Stwórcy, dziewczyno. Robiąc tak, kiedyś kogoś zabijesz.

Nie słuchała. Patrzyła na niego wielkimi ciemnoniebieskimi oczami.

- Przypomniałam sobie, o co chciałam zapytać - oznajmiła dumnie.

- No to zadaj w końcu to pytanie - ponaglił ją.

Jednak się wahała. Co dziwniejsze, oblał ją rumieniec.

- Przemyślałam to, Mistrzu, i chyba spasuję - odparła cichutko.

Przeniósł na nią wzrok, pełen irytacji i rezerwy.

- Lydio, proszę cię, byś w życiu była i alfą i omegą. Jeżeli coś ma się od ciebie zacząć, to niech i na tobie się skończy. Nigdy nie rób niczego do połowy i półśrodkami.

Dziewczyna jęknęła.

- Rozumiem Mistrzu, ale to było głupie pytanie - starała się go przekonać.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie ma głupich pytań. Są tylko głupie odpowiedzi - wyrecytował słowa starożytnej maksymy.

Zwiesiła głowę, nabierając powietrza.

- Kim dla mistrza jest Vivienne? - powiedziała i zamknęła oczy, gotowa na srogą reprimendę.

Nastąpiła cisza, która trwała równą minutę.

- Rozwiń myśl - zażądał, lecz mówił lekkim tonem.

Poczuła się trochę pewniej.

- Zawsze kiedy widzę was razem, to jedno dopieka drugiemu, jedno drugie irytuje, ale to wygląda tak, jakby właśnie każde tego chciało - przełknęła ślinę. - Mistrz coś jej tłumaczy, a ona swoje. Ona coś do Mistrza mówi, a Mistrz wie lepiej. Jedyne co przychodzi mi do głowy to tyle, że jesteście parą - ostatnie słowo powiedziała szeptem. Ledwo słyszalnym nawet dla jego ulepszanego słuchu.

Nieźle - pomyślał i spojrzał w jej oczy.

- Lydio, ja i Vivienne współpracujemy ze sobą od ponad ośmiuset lat. Jedno ryzykowało za drugie życiem wiele razy. Niektóre kryzysy i katastrofy były możliwe do przeżycia tylko dzięki jej mocy bądź umiejętnościom dyplomacji. W mojej hierarchii zajmuje ona najwyższe miejsce. Jest mistrzynią magii I stopnia. Sam ten fakt czyni ją potężną, a dodatkowo jest niesamowicie uzdolniona. Jest moim doradcą i zajmuje się wieloma niebezpiecznymi artefaktami - wyliczał na palcach swojej dłoni. - Owszem, jej nietypowy styl bycia i wypowiedzania się często działa mi na nerwy, lecz nie stanowi to przeszkody w komunikacji. Przyzwyczaiałem się.

- Jak się poznaliście?

Westchnął.

- Na początku zaznaczę, że nie tworzę z Vivienne pary bądź związku. To tak dla wyjaśnienia. Pierwszy raz spotkaliśmy się podczas niesławnych Wojen Czarnoksiężników. Odłączyła się od Kręgu w Alexandrii. To cholernie daleko stąd, za Morzem Środkowym. Przybyłem tam z innymi członkami Świętego Oficjum, by siłą zakończyć ten konflikt. Jednak nie doceniliśmy potęgi magów. W starciu zostaliśmy zaskoczeni i choć zabiliśmy ich trzy tuziny, to z naszej dwudziestki zostałem tylko ja.

Dziewczyna słuchała uważnie każdego słowa.

- Co było dalej, Mistrzu?

- Stałem sam, otoczony przez czarnoksiężników. Ranny, bez strzał do kuszy *Sanctificate*, tylko z *Catherine* w dłoni. Byłem o krok od marnego końca, gdy nagle cała ich magia znikła. Zaklęcia zostały odbite, a pierwszy szereg zmienił się w złote rzeźby. Pojawiła się obok mnie i powiedziała: *Pomóż mi zakończyć to szaleństwo, słodziutki, a nie pożałujesz.*

- I co Mistrz zrobił? - dziewczyna była niecierpliwa.

Twarz Witeldona drgnęła w cieplejszym grymasie. Cokolwiek sobie wyobraził, na pewno było to coś przyjemnego.

- Nie pożałowałem wtedy i nie żałuję dziś. Krąg bez magów nie mógł istnieć i został rozwiązany moim dekretem. Taka sytuacja zdarzyła się w historii magów tylko dwa razy. Vivienne stwierdziła wtedy, że nie ma tam nic do roboty i przyłączyła się do mnie.

Lydia patrzyła na niego, będąc wyraźnie pod dużym wrażeniem opowieści.

- To jest materiał co najmniej na książkę, Mistrzu! - zakrzyknęła.

Może kiedyś... - pomyślał.

- Musisz zrozumieć, uczennico, że nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem. W zasadzie to zawsze coś w tej materii utyka. Dlatego ciągle należy być otwartym na to, co przynosi Stwórca.

Kiwnęła głową.

- Czy ona się Mistrzowi podoba?

- Dlaczego brniesz w ten temat? To niezdrowe - zaczynał być na nią zły.

Broniła się.

- Jestem tylko ciekawa - powiedziała najniewinniej jak umiała. - Nie chodziło mi o to, czy Mistrz stara się o jej względy, tylko o to, czy uważa ją za atrakcyjną?

Wiedział, że kłamała.

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, moja droga. Poza tym o gustach się nie dyskutuje. Vivienne jest kobietą, którą mógłbym określić jako niespotykaną. Czy to pod względem wzrostu, twarzy czy krągłości. Uwierzysz albo nie, ale z wyjątkiem odmładzania się nigdy nie wprowadziła modyfikacji w swój wygląd. Wdzięki, które posiada, niektórzy nazwaliby wynaturzeniem, inni padliby na kolana i prosili, by tylko na nich spojrzała - postukał palcami lewej dłoni o kolano. - Żyję już prawie cztery tysiące lat,

a mogę powiedzieć z całą pewnością, jaką mam, że niewiele kobiet mogłoby z nią konkurować – zrobił krótką przerwę. – Nie tylko rozmiarami jej kobiecych atrybutów. Vivienne posiada niebывałą moc magiczną i zdolności dyplomatyczne, co czyni ją dla mnie bardzo przydatną.

Lydia pokiwała głową.

– Chyba właśnie te wymiary pomagają jej w pertraktacjach.

Spojrzał na nią.

– Jakie ty znasz zaawansowane słownictwo. Pertraktacje... Jestem wręcz zszokowany – powiedział, udając uniesienie.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Wiedziała, że pozom ironii i cynizm u Mistrza rosną wtedy, gdy zaczyna się irytować, albo jego rozmówca trafił we właściwą nutę.

– Czym dla Mistrza jest miłość?

– A czym ona jest dla ciebie? – odbił pytanie. Już dostrzegł cienką czerwoną linię w tej rozmowie.

– To uczucie, które występuje wtedy, gdy kogoś się bardzo lubi, ale nie tak po prostu – podniosła lekko głowę rozmarzona. – Gdy ktoś non stop chce być koło jakiejś osoby, interesuje się nią, pyta czy wszystko dobrze. Kiedy sobie ufają i razem mogą robić piękne rzeczy. Gdy uśmiechają się na swój widok i przytulają – spojrzała na niego. – Tak sobie to wyobrażam.

Mężczyzna podrapał się po brodzie.

– To ładne wyobrażenie, przyznaję, lecz rzeczywistość inaczej to wszystko tworzy – westchnął. – Miłość, Lydio, to nie tylko radość i czułe słówka. Nawet gdy nagie ciała łączą się w uścisku i rozpala je żar pożądania, żądza spełnienia i potrzeba ujścia nagromadzonych emocji, kochankom jest wtedy obojętne czy pozytywnych czy negatywnych, to wiele złego może wydarzyć się między nimi. Kiedy ludzie współżyją, nie dostrzegają wielu spraw. Potem jednak zaczynają widzieć różnice, nieścisłości, niedoskonałości – zakasłał. – Zwykle zaczynamy doceniać kogoś, kiedy jest już za późno. Z miłością powinno być tak, że im więcej jej dajemy, tym więcej powinniśmy dostawać. Bardziej czy mniej świadomie, tego właśnie oczekujemy. Praktyka pokazuje jednak, że z czasem wymagania rosną. Spirala nakręca się i wtedy trzeba równo iść do przodu, ponieważ gdy jedno z kochanków się zatrzyma, to drugie automatycznie się oddala. Powstają pytania niekiedy niewypowiedziane – spojrzał na nią. – Takie są najgorsze. Ludzie obrzucają

się winami. Gubią nad tym wszystkim sens i kontrolę. Rośnie między nimi bariera. Niezaspokojone potrzeby piętrzą się i strona uboższa w silną wolę bądź wiarę w uczucie szuka doznań gdzieś indziej. To prowadzi do zdrad. Niekiedy dzieje się tak, gdyż oczekiwania przerastają możliwości. Częściej dlatego, że jedna strona nie traktuje drugiej dostatecznie poważnie. Kochać to chcieć się poświęcić i móc żyć z kimś pomimo ograniczeń czy obowiązujących reguł. Dlatego każdy powinien zastanowić się, czy bardziej jest przywiązany do uciech i zabaw, czy do szlachetności trwania i tworzenia dobra z drugą duszą. Z tego powodu tak wielu cierpi, a tak niewielu kocha. Człowiek dzisiaj nie chce inwestować w innego. Interesuje się tylko sobą, a ta samolubność jest właśnie grzechem ignorancji. Niewiedza o tym, że krzywdzi się drugą istotę i dozuje się jej małymi dawkami cierpienie, to plugawy czyn. Dawka jest na tyle duża, że człowiek będzie łkał i błagał o litość, lecz jest niewystarczająca, by dać mu ją pod postacią śmierci bądź zapomnienia. Świat byłby naprawdę pięknym miejscem, gdyby ludzie kochali w taki sposób, jaki mówisz. Lecz człowiek to człowiek! – zacisnął pięści. – Wypaczy i zbecześci wszystko, nawet melodię, którą śpiewa ludzkie serce, a do której przygrywa dusza.

Witeldon zamilkł, a Lydia z otwartymi ustami spoglądała na niego. Była zaskoczona, ponieważ opowiedział jej o miłości z pasją, przekonaniem i, jak się jej wydawało, gniewem. To, co jej przekazał, miało w sobie mądrość. Choć było smutne, to nie mogła wyzbyć się uczucia, że każdy wypowiedziany wyraz podyktowany był doświadczeniem.

- Mistrzu... - nieśmiało znowu przerwała ciszę. - To zabrzmiało, jakby ktoś Mistrza skrzywdził.

Nie patrzył na nią.

- Nasza egzystencja usiana jest bólem i cierpieniem - złożył dłonie jakby do modlitwy, a łokcie oparł o brzuch. - Musimy uznać, że nasze poświęcenie w służbie może w przyszłości uczynić życie ludzkie lepszym i bardziej wartościowym. Człowiek wiele razy udowodnił, udowadnia i będzie udowadniał, że jest gatunkiem, który najbardziej potrafi krzywdzić sam siebie. Są jednak ludzie, o których warto walczyć... - zrobił pauzę. - I za których warto umierać. Każdy z nas jest mniej lub bardziej grzeszny - spojrzał na nią. - Nie ma ludzi niewinnych, są tylko różne stopnie potępienia. Jednak my ciągle walczymy.

Patrzyła w jego oczy.

- Dlaczego, Mistrzu? - nie rozumiała. - Przed chwilą sam powiedziałeś, że ludzie marnują to, co dla nich robimy i sobie szkodzą.

Dobre pytanie - pomyślał.

- A dlaczego rodzic karmi dziecko nawet wtedy, gdy jest niesforne i robi wszystko, by nie jeść? - zerknął na jej młodą twarz. Czekwała na dalszy ciąg. - Czyni tak, ponieważ wie, że jego potomek jest zbyt niedojrzały i nie rozumie dobra, jakie mu się czyni. Człowiek dorosły je wtedy, gdy jest głodny, lecz co to za dar móc żyć bez tego uczucia - nie spuszczała z niego wzroku, prawie nie mrugała. - Dlatego walczymy, Lydio. Ludzie mogą nie czuć potrzeby naszego istnienia i niech tak pozostanie. Wolę nie myśleć, jaka musiałaby nastąpić katastrofa, żeby zaczęli nas wyczekiwać.

Dziewczyna przekrzywiła lekko głowę.

- Ja nie umiem tak myśleć jak Mistrz - powiedziała skruszonym głosem.

Słuchała go i chłoneła każdą mądrość, lecz zawsze miała jakieś pytanie. Zawsze czegoś nie wiedziała. Mocno ją to dotykało. *Nie wszystko da się rozwiązać mieczem czy saltem* - pomyślała.

- Ja... Przepraszam.

Podniósł brew zdziwiony.

- Za co?

Napięła mięśnie i widać było, że z sobą walczy. Nabrała powietrza.

- Bo ja nie wiem, jak jest tam na dole- zaczęła. - Nie walczyłam z niczym innym oprócz demonów, i to nie wszystkich. Ja... Boję się, czy dam radę. Nie chcę nawalić.

Witeldon położył rękę na jej ramieniu.

- Lydio, posłuchaj mnie uważnie. Odwaga to nie jest brak strachu, lecz jego mistrzowskie opanowanie. Bywasz gadatliwa i uparta. To też jej przejaw. Człowiek powinien mieć odwagę - położył nacisk na ostatnie słowo - aby wstać i mówić, lecz również by usiąść i słuchać - skierował palec w dół. - Tam, dokąd właśnie zmierzamy, nikt nigdy nie jest przygotowany. Mimo że w pamięci mam wszystko, czego ludzkość dowiedziała się o tamtych krainach, to i tak stanowi to kroplę w morzu. Siedzimy w tym razem i tylko w takim składzie opuścimy to miejsce, albo w nim zostaniemy. Nie zostawię cię.

Patrzyła w jego oczy i widziała w nich bezpieczeństwo. Jej dłoń spoczęła na jego. Głośno przełknęła ślinę.

- Dziękuję, Mistrzu.

Kiwnął głową i ponownie oparł się o ścianę windy. Lydia zrobiła to samo. Siedzieli i słuchali cichej pracy siłowników. Inkwizytora czasem zastanawiało, co będzie źródłem jego śmierci. Stoczył wiele starć, które przeczyły logice i były określane jako samobójstwo, jednak za każdym razem to on wychodził z nich zwycięsko. Często jako jedyny pozostawał żywy na pogorzelsku. Jego ciało potrafiło wytrzymać znacznie więcej bólu. Regenerował się w zawrotnym tempie. Zbroja, którą nosił, choć widniało na niej widmo klątwy, miała wielkie wartości ochronne. Setki razy przeżywał ciosy, które innym odbierały dar życia. Rany, które otrzymywał, trwale okaleczały śmiertelnych, a dla niego były tylko chwilową niedogodnością. Po tylu wiekach oswoił się z myślą, że zostanie, a wszyscy inni odejdą. W większości...

- Mistrzu... - Lydia znów chciała o coś zapytać.

- Słucham?

Dziewczyna przechyliła głowę w jego stronę.

- Nie wiem, czy to ważne, ale powinieneś o czymś wiedzieć.

Spojrzał na nią.

- Jeśli powinienem o tym wiedzieć, to znaczy, że jest to ważne.

- Kiedy byłam młodsza, Vivienne uczyła mnie dykcji, bym mogła wypowiadać poprawnie Święte Słowa. Często mi wtedy mówiła o Mistrzu.

Witeldon doskonale pamiętał czas, gdy notorycznie zamiast r mówiła ł, i to, jak kazał Czarnoksiężniczce trenować jej wymowę.

- Pamiętam ten okres. Co takiego specjalnego o mnie prawiała? - zapytał, tym razem nie udając zaciekawienia.

Uczennica uśmiechnęła się.

- Że zawsze chciała spotkać kogoś takiego jak Mistrz.

Nie odezwał się. Skierował wzrok w głąb sali i milczał. Myślał, przywoływał wspomnienia i ponownie przeżywał każdą konwersację. Vivienne...

Poczuł lekką zmianę w swoim organizmie. Tylko jego ulepszone zmysły mogły ją wychwycić. Serce zabiło mu o dwa uderzenia więcej niż zwykle. *Mogę powiedzieć podobnie* - pomyślał.

ROZDZIAŁ XIV



KŁAMSTWO. ZWYKŁE SŁOWO, LECZ O NIEZWYKŁYCH WŁAŚCIWOŚCIACH. ODKĄD CZŁOWIEK OTRZYMAŁ DAR ROZUMU I PAMIĘCI, UCZYNIŁ Z TEGO WYRAZU SWOJĄ DRUGĄ NATURĘ. KOLEJNE OBLICZE. KŁAMAĆ TO ZAPRZECZAĆ PRAWDZIE. ZNIEKSZTAŁCAĆ RZECZYWISTOŚĆ I HISTORIĘ. BUDOWAĆ FIKCYJNE WARTOŚCI I MANIPULOWAĆ LUDŹMI.

DLACZEGO CZŁOWIEK KŁAMIE? PONIEWAŻ NIE BOI SIĘ POPEŁNIAĆ GRZECHU I LUBI OSIĄGAĆ KORZYŚCI OSZUSTWEM? A MOŻE DLATEGO, ŻE NIE CHCE RANIĆ LUDZI WOKÓŁ SIEBIE? ALBO NIE JEST W STANIE WZIĄĆ ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA WŁASNE CZYNY? WSZYSTKO TO PÓŹNIEJ POTWIERDZA SIĘ W ŻYCIU. JEDNAK ODPOWIEDŹ NA TO PYTANIE JEST ZNACZNIE PROSTSZA.

CZŁOWIEK KŁAMIE, GDYŻ JEST TO WYGODNE. CZYNI TAK Z LENISTWA, Z BRAKU CHĘCI NAPRAWY WŁASNYCH BŁĘDÓW I STANIA SIĘ LEPSZYM. WYPACZA WŁAŚCIWY OBRAZ, BY NIE MUSIAŁ WALCZYĆ Z WŁASNYMI SŁABOŚCIAMI. ROBI TAK, BY NIE MĘCZYĆ SIĘ ZE ZNALEZIENIEM MOTYWACJI DO DZIAŁANIA. DOKONUJE TEGO, ABY UKRYĆ CZAS, KTÓRY SPĘDZIŁ NA PRZYJEMNOŚCI, ZABAWIE, LENISTWIE, BY NIE WYWOŁAĆ CIERPIENIA. SWOJEGO LUB CZYJEGOŚ.

LUDZKOŚĆ NAUCZYŁA SIĘ KŁAMAĆ, BY UNIKAĆ NIEWYGODNYCH PYTAŃ. ROBI TAK, ABY NIE STWARZAJĄC SOBIE PROBLEMÓW MOGŁA GRAĆ I TAŃCZYĆ NA UCZUCIACH I WARTOŚCIACH. NIEKTÓRZY POWIEDZĄ, ŻE CZYNIĄ TAK, BY NIE KRZYWDZIĆ TYCH, NA KTÓRYCH CHOĆ TROCHĘ IM ZALEŻY. UNIKAJĄ PRAWDY, ABY MÓC DALEJ PATRZEĆ IM W OCZY I ŻEBY UCIEC OD ICH OCENY, SĄDU, PYTAŃ ALBO GNIEWU. BIADA IM, GDYŻ ILEKROĆ KŁAMSTWO ICH DOSIĘGNIE I ROLE SIĘ ODWRÓCĄ, TO ICH USTAMI ZAWSZE PRZEMAWIAĆ BĘDZIE HIPOKRYZJA. JEDYNIE ICH OCZY RONIĆ BĘDĄ GORZKIE ŁZY.

LEKARZ NAJBARDZIEJ BOI SIĘ PRZYJMOWAĆ WŁASNE LEKARSTWO, GDYŻ ZNA WSZYSTKIE RYZYKA, O KTÓRYCH PACJENTOWI NIE WSPOMNI. CZŁOWIEK JUŻ DAWNO ZAPOMNIAŁ O UCZUCIU WSTYDU. CHOĆ WIELU BŁAGA O WYBACZENIE I WIELU JE DOSTAJE, TO CZĘSTO ZNÓW CZYNIĄ PONOWNIE TEN SAM GRZECH.

DLACZEGO TAK SIĘ DZIEJE? CÓŻ, MOŻNA WYJAŚNIĆ TO JEDNYM NIEZWYKŁYM SŁOWEM. KŁAMALI...

DRUGA TWARZ CZŁOWIEKA, FRAGMENT AUTORSTWA ZOFII CONIWSKIEJ.

Witeldon Walszarti trwał pogrążony we własnych myślach. Obok, na siedząco, z głową opartą o ścianę windy, spała znudzona Lydia. Minuty płynęły, a oni zjeżdżali coraz niżej. Ciszę zakłócało jedynie słabe warczenie pracujących mechanizmów konstrukcji. Ten dźwięk towarzyszył dwojgu ludziom wystarczająco długo, by mogli się z nim oswoić i ignorować go. Do czasu...

Tempo jazdy maszyny nagle się zmieniło. Warkot przeszedł w narastający pisk. Mężczyzna poczuł działanie siły bezwładności, która wciskała go coraz bardziej w ławę. Dziewczyna obudziła się, i choć rozespana, od razu próbowała rozeznaczyć się w sytuacji.

- Mistrzu, co się dzieje? - zapytała nerwowo.

- Hamujemy - oznajmił. - Zbliżamy się do końca tego etapu drogi. Założyłaś runiczne szkła kontaktowe?

Potwierdziła kiwnięciem głowy.

- Tak. Przecież mówiłeś mi, że to bardzo ważne.

- Dobrze.

Jego wzrok został wzmocniony za pomocą rytuału, magii i technologii. Potrafił widzieć w wielu spektrach, z bliska i z daleka, w jaskrawym świetle i nieprzejrzystej nocy. Bezbłędnie i bez żadnych ograniczeń. Jednak oczy uczennicy, sprawne i zdrowe z uwagi na młody wiek, były całkowicie zwyczajne. Bez żadnego wspomagania nie zobaczyłaby w Podmieście własnych palców u rąk, nawet gdyby dotykała nimi nosa. Dlatego rozkazał Ikariusowi stworzyć szkła kontaktowe pokryte magią runiczną, którą były Inżynier rzeźbił kilka miesięcy. Można było je nazwać dziełem sztuki. Używała ich już wcześniej i za każdym razem doskonale zdały egzamin. Idealnie przylegały do oka. Zostały wykonane tak, by nigdy nie wypadły i się nie osunęły. Dzięki nim całkowita ciemność zmieniała się w lekki półmrok. Było to kluczowe dla ich wyprawy. Choć tam, dokąd zmierzali, sam zmysł wzroku mógł nie wystarczyć.

Winda zatrzymała się z głośnym sapnięciem i nagłym szarpnięciem. Mechanizm zmienił tryb pracy. Rozpoczęło się miarowe, regularne stukanie, jakby koła zębate i siłowniki wprawione w ruch naciągały stalowe liny. Wrota zaczęły się otwierać. Usłyszeli lekki syk. Inkwizytor powstał i ruszył przed siebie, Lydia szła tuż za nim.

Choć wejście jeszcze się całkowicie nie otworzyło, byli już na zewnątrz. Dziewczyna spojrzała w dal i zamarła. Witeldon postąpił kilka kroków do przodu, rozpostarł szeroko ręce i przemówił.

- Witam cię w Zaginionym Mieście.

Pochłonięta widokiem, nic nie odpowiedziała. Znajdowali się w gigantycznej jaskini. Sklepienie, wysokie na co najmniej pół kilometra, zdawało się drugim niebem pod ziemią. Nie widziała, gdzie się kończy. Miejsce sprawiało wrażenie trudne do opisanego.

Patrzyła na ruiny potężnego miasta. Wszędzie piętrzyły się liczne gruzowiska i czarno-szare szkielety budowli. Cokolwiek tutaj kiedyś było, lata świetności miało już dawno za sobą.

Zauważyła wielką i szeroką drogę, wiodącą pod gigantycznym łukiem, którego większa część została zburzona. W oddali wyłaniały się kolejne monumentalne konstrukcje - monstrualna stalowa wieża z ostrym czubem, podobna do iglicy mieszkalnej w Spero i kilka budynków przypominających wyglądem upadłe świątynie. Takich zniszczeń nigdy nie widziała. Z metropolii pozostały szczątki.

- Mistrzu, co tu się stało? - wykrztusiła.

Ruchem ręki wskazał na rozpościerające się przed nimi morze zgliszcz. Przechylił głowę i spojrzał na nią.

- Nikt nie wie, co się stało z samym miastem. Najprawdopodobniej zostało zgładzone w Dniu Kary, jak cały świat.

Kucnął i nabrał szarej ziemi w dłoń, a wstając, wysypał ją. Przypominała gruby piasek.

- Popiół? - zapytała.

Pokiwał głową.

- Winda, którą tutaj przybyliśmy, miała kiedyś wielkie wiertła. Dzięki nim ludzie mogli przebić się tutaj. Pierwsza ekspedycja natrafiła na zaciekły opór.

- Czyj? - rozglądała się dookoła, lekko zaniepokojona.

- Pajaki, wyobraź sobie - podrapał się po brodzie. - Niby zwykłe stworzenia, prawda? Jednak rozpiętość odnóży tych tutaj sięgała powyżej siedmiu metrów. Na ich końcach miały ostrza, zdolne przebić wzmocnione broje. Pluły kwasem, wstrzykiwały jad zabójczy dla zwykłego człowieka i posiadały chitynowy pancerz, który wytrzymywał symultaniczne trafienia

z karabinów burzowych. Na antycznych nagraniach, które dotarły na powierzchnię, widać, że były ich tu miliony – spojrzał na wysokie sklepienie. – Cały sufit usiany był wylęgarniami. Czterdzieści jeden razy wysyłano wsparcie dla walczących, a to był pierwszy tydzień walk. Wojna o Zaginione Miasto trwała ponad trzy miesiące. Pochłonęła dziesiątki tysięcy istnień.

Nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Co musieli czuć ci ludzie? Walczyli z potworami i umierali w nieznanym miejscu, daleko od domu.

- Ale udało się, prawda? Wygraliśmy?

- Tak, moja droga – oparł rękę o *Victoire*. – Te popioły, które pokryły całą krainę, grzebiąc całkowicie niektóre jej części, to pozostałość po pajakach. W późniejszej eksploracji nigdy już na nie nie natrafiono. Możliwe, że inni autochtoni tego świata uniemożliwili im ekspansję, albo instynkt nakazywał im zostać.

Ruszamy. Dał znak dłonią.

Wtedy zrozumiała, że to nie będzie zwykły spacer, czy nawet najbardziej wymagająca wspinaczka. W końcu łatwiej wejść na latarnię niż z niej zejść. To miejsce rządziło się własnymi prawami. Przełknęła ślinę i wprawiła nogi w ruch. *Dam radę* – powiedziała sobie w duchu.

Szła równo z Inkwizytorem. Nie chciała zostać z tyłu. Oboje w milczeniu brodzili w popiele i kurzu, który sięgał im za kostki. W powietrzu unosiło się mnóstwo pyłu, lecz nie to przykuwało uwagę. Czuć było ciężar panującej aury. Lydii zdawało się, że słyszy szepty. Parę razy rozglądała się za źródłem dźwięku, lecz nie mogła go namierzyć.

- Ignoruj wszystkie głosy poza moim – polecił jej Witeldon.

- Mistrz też to słyszy? – zapytała spięta.

Kiwnął głową.

- To nie są demoniczne gierki, prawda? – potrzebowała informacji. Chciała być spokojniejsza i musiała wiedzieć, z czym ma do czynienia.

- Nie są – potwierdził. – Jak sama wiesz, katastrofa, która prawie ogołociła Ziemię z życia, miała nagły przebieg. Zgodnie z nauką Kościoła nazywamy ją dziś Dniem Kary.

- Yhm.

Westchnął.

- W ciągu kilkudziesięciu minut na całym globie zginęły miliardy ludzi. Nie wiedzieli, co się dzieje. Przez każdy metr ziemi przetoczyła się fala

ognia, która unicestwiała wszystko. Miasta takie jak to padały w chwilę. Nie został kamień na kamieniu. Mieszkańcy mogli nawet nie poczuć, że już koniec.

- To oni, tak? - pytała. - Ci, którzy mieszkali tutaj w przeszłości i zostali?

- Tak - ruchem ręki ogarnął wszystko, co było przed nimi. - W całym Podmieście silna jest obecność dusz i zjaw tych, którzy ponieśli śmierć i wciąż błądzą po świecie żywych. Są to byty kompletnie niegroźne. W większości...

Jego dłoń powędrowała w stronę kabury, w której trzymał *Victoire*. Ich kroki wydawały głuche, stłumione odgłosy. Zupełnie jakby brodzili w śniegu. Wokół nich wszędzie zalegał popiół. Pozostałość po świętej wojnie człowieka z bestiami ciemności.

- Smutne - mruknęła po nosem.

- Co takiego? - zażądał odpowiedzi.

- To całe miejsce drugi raz spłonęło - powiedziała.

Mężczyzna zerknął na nią.

- Ironia, prawda? W niszczycielskim blasku płomienia zapomniano o wszystkim tylko po to, by w ogniach konfliktu ponownie można je było odkryć.

Wolno zbliżali się do wielkiej, popękanej, kamiennej wieży. Patrząc na konstrukcję, można było wysnuć hipotezę, że był to kiedyś gigantyczny łuk nad drogą albo wiadukt zawieszony w powietrzu autostrady. Jednej z wielu w Spero.

Materiał był mocno zniszczony przez czas. Pęknięcia, ukruszenia, potężne fragmenty oderwane i leżące nieopodal, częściowo zagrzebane w popiele, smuciły oczy i duszę. Widać było dziury znacznej wielkości, równo wyżłobione i osmolone. Zapewne pozostałości po zniszczonych pajęczych gniazdach. Pomimo tak opłakanego stanu wyglądało to i tak lepiej niż większość zgliszcz, na które patrzyli. Czuć było aurę dumy, a nawet chwały, bijącą z ruin budowli.

- W niektórych kulturach takie monumenty stawiano na cześć wielkich zwycięstw - wyjaśnił Inkwizytor.

- Skąd Mistrz to wie? - zapytała.

- Zapiski o tym i podobne obiekty Inżynierowie odkryli w kilku miejscach na świecie, na podobnych głębokościach. Tam obeszło się bez walk, nie tak

jak tu - wytłumaczył.

- Mistrzu, każde miasto nosi jakąś nazwę. Czy wiadomo, jak to się nazywało?

Potwierdził ruchem głowy.

- Po konflikcie odnaleziono kamienną tabliczkę z czymś, co było najprawdopodobniej właśnie nazwą tego miejsca. Paryż, choć było zapisane tak, że przypominało mowę szlachty zachodniej i brzmiało Paris.

Zmarszczyła czoło.

- Nigdy jakoś nie polubiłam języka szlachty - powiedziała z lekką ostrożnością.

- Z tego co mi wiadomo, moja droga, to ty nie polubiłaś żadnego języka - parsknął.

Nie poczuła się urażona.

- Nie są mi one potrzebne. Zresztą i tak niemal wszyscy posługują się wspólną mową.

Spojrzał na nią w zamyśleniu.

- Języki obce to bramy do wiedzy, które otwierasz, mając już w ręku klucz. Pamiętaj o tym.

Skłoniła głowę.

- Oczywiście, Mistrzu - oznajmiła ze skruchą. Czy udawaną? Nawet jemu ciężko to było stwierdzić.

Cały czas rozglądała się i chłonęła każdy szczegół. Przez dłuższą chwilę ogarniała swoimi ciemnoniebieskimi oczami prawą stronę Zaginionego Miasta. Ciągnął się tam długi, naturalny kanał o szerokości kilkunastu metrów, pełen spopielonych resztek. Wyróżniał się na tle tego miejsca. W oddali widziała w nim szaro-ziemiste wyspy, z kolejnymi ruinami. Zastanawiało ją, jak to wszystko wygląda z lotu ptaka. Miała własną hipotezę, że ta gigantyczna szrama w ziemi dzieliła zniszczoną metropolię na dwie części.

- To kiedyś była rzeka - wyjaśnił, odgadując jej myśli. - Wyobraź sobie wolno płynącą, czystą wodę. Było jej tyle, że mogła ugasić pragnienie wielu ludzi. Zdaniem Inżynierów mogła płynąć tysiące kilometrów i mieć liczne dorzecza.

- Dorzecza?

- Na ogół są to mniejsze rzeki, które wpadają do tej większej. - Kiwnęła głową.

Ciągle nie mogła napatrzeć się na krajobraz. Ciężko na nim widmo śmierci, lecz bardziej zastanawiało ją życie tamtych ludzi. Co robili w ciągu dnia? Jak się ubierali? Co jedli? Czy, skoro mieli tyle wody, to pili jej tyle, ile chcieli, czy racjonowali? Tyle pytań, tak mało odpowiedzi.

Przykleiła swój wzrok do pozostałości wielkiego i długiego budynku. Gdyby miała zgadywać, czym był, powiedziałaaby, że pałacem albo warownią. Robił wrażenie, mimo że całość prezentowała się tragicznie. Jedynie schody, wyżłobione w kamieniu, zachowały przyzwoity stan. Wyrte głęboko potężne wejście miało inny kolor. Zauważyła resztki zdobień, lecz nie była w stanie stwierdzić, co przedstawiają. Po bokach stały rzędy kolumn, w większości ukruszonych. Zapewne za nimi znajdowały się kiedyś okna. *Może to była uczelnia* - myślała.

Niedługo potem poczuła, że podłoże zmieniło fakturę. Pod warstwą popiołu i kurzu nie było już twardego betonu. Buty lekko się w czymś zapadały, jakby w wilgotnej ziemi.

- Tu musiało być coś innego - powiedziała.

Zerknął na nią.

- Może jeden z parków, które są w dzielnicach administracyjnych? - zamyślił się. - Kilka odkodowanych nośników danych zawierało obrazy, pokazujące pasy zieleni i drzew w starożytnych miastach. Niektóre ogrody były naprawdę piękne.

Zauważyła kolejną geologiczną ciekawostkę.

- A ta dziura w ziemi, Mistrzu?

Spojrzał w kierunku, który wskazywała.

- Tu jest wejście do czegoś, co przypomina podziemne archiwum i skład artefaktów - westchnął. - Chociaż kiedy przeglądałem raporty, to wydawało mi się, że mogło tu być coś na kształt muzeum - podrapał się po włosach. - No i jedno z głównych leży tych pajaków.

Otoczeni betonowymi koralowcami, w ciszy przemierzali szary ocean. Byli w krainie pozbawionej światła i Boga, gdzie tylko garstka żywych miała okazję słyszeć jęki ludzkich dusz i widzieć łkające w kątach cienie.

Powietrze było statyczne. Nie dało się wyczuć wiatru ani bryzy, lecz kurz i popiół i tak się unosiły. Choć byli tu sami, czasem jej się zdawało, że

w niektórych zniszczonych okiennicach widziała szalone żółte ślepia. Ludzkie ślepia. Zawsze skupiała wzrok o sekundę za późno i nie mogła się temu dokładnie przyjrzeć. Podskórnie czuła, że nie powinno ich tu być. Pewne miejsca, jeszcze bardziej niż ich mieszkańcy, nie chciały towarzystwa.

- Dlaczego? - usłyszała szept za plecami. Choć miała wrażenie, że pojawił się tuż obok ucha, nie była w stanie namierzyć źródła dźwięku. Głos zawierał przestraszoną nutę. Był niepewny, zdziwiony i jakby zdezorientowany.

- Dlaczego? - wychwyciła po raz kolejny. Tym razem mogła przysiąc, że ktoś powiedział to przed nimi. Natarczywość tego pytania również rosła.

- Dlaczego?! - tym razem półgłos przeszedł w lament i jęk, a później w ryk, pełen rozpacz, żalu i gniewu. Czuła jakby miała nóż na gardle.

- Mistrzu, co to jest? - zapytała wysokim głosem. Wyższym, niżby chciała.

Patrzył przed siebie. Widziała jego wzrok. Witeldon był skupiony na jednym punkcie. Zupełnie jakby dostrzegał coś, czego ona nie była w stanie zobaczyć. W jego oczach mogła wychwycić napięcie. Nie podobało jej się to. Cholernie.

- Revelare! - krzyknął nagle swoim niskim, głębokim głosem i wyciągnął rękę w górę. Z dłoni zaczęło emanować jasne ciepłe światło.

Odsłonić - tak brzmiała jego komenda. Człowiek z Wyobraźnią użył jednego ze Świętych Słów i dopiero wtedy ujrzała, co do nich mówiło.

Sługom Bożym ukazał się tajemniczy byt. Mniej więcej jej wzrostu, czarny i zbudowany z czystego mroku. Jego ciało było niewyraźne. Stał na płaskich stopach, przypominających ludzkie, lecz pozbawionych palców. Patykowate nogi zamocowane były na odstających biodrach.

Patrząc na przód kreatury, widziała kręgosłup i wszystkie żebra. Długie ręce, zakończone szponiastymi pazurami, bezwładnie zwisały. To coś nie miało twarzy i ust. Mała, łysa głowa, osadzona na cienkiej szyi, była zbudowana z ciemnej kości. Zamiast szczęki widać było zwężający się otwór, tak samo pusty jak oczodoły stwora. Brak włosów nadrabiał licznymi kostnymi naroślami.

- Dlaczego? - ponownie przemówił. Nie wykonał żadnego ruchu, jednak Lydia usłyszała głos zza pleców. Spojrzała za siebie i niemal wrzasnęła.

Dłonie powędrowały do mieczy, a myślą odbezpieczyła swoje nadgarstkowe pistolety maszynowe. Za nimi stała cała armia takich samych

istot. Wszystkie niemal identyczne. Różniły się wzrostem. Część większych trzymała mniejsze za ręce. Jak dorośli dzieci.

- Mistrzu, tu jest ich pełno - powiedziała najciszej jak umiała. On jednak całą uwagę skoncentrował na jednej samotnej poczwarze przed nimi.

- Dlaczego? - to samo słowo, tym razem niemal błagalnym tonem.

Inkwizytor nakreślił dłonią znak w powietrzu i otworzył usta.

- Exite - co znaczyło *Idź stąd*. - Pokój duszy twojej, jak i naszym. My nie możemy ci pomóc. Nikt nie może - wskazał dłonią na dziewczynę. - Apage a nobis.

Po tych słowach, które można było przetłumaczyć jako *Odejdź od nas*, tajemniczy byt odstąpił. Odwrócił się i odszedł. Zdawał się płynąć w powietrzu. Mknął w ciszy, by wreszcie zniknąć. Uczennica obejrzała się przez ramię. Znów byli sami. Wznowili marsz.

- Mistrzu, to nie były zwykłe duchy.

- Masz rację, nie były.

- Czym były te istoty? - przypatrywała się mu.

Nabrał głębiej powietrza.

- Lydio, nie każda dusza zachowuje się tak samo. Niektórzy po śmierci odchodzą od razu. Ich dalsze losy zależą od ich życia na Ziemi. Innych czeka los duchów. Niematerialnych bytów nękających żywych. Dzieje się tak dlatego, ponieważ nie załatwili wszystkich spraw w świecie materialnym, albo nie zdają sobie sprawy ze swojego położenia. Tutaj sytuacja wygląda inaczej - ręką wskazał tereny dookoła nich. - Każdy człowiek, który żył w tym mieście, zginął, a śmierć poniósł w sekundę. Mogę tylko zgadywać, że wszyscy oni istnieli w czasach lepszych niż nasze. W erze, gdzie śmierć nie ciążyła im na każdym kroku, a ich problemy ograniczały się w większości do spraw dni codziennych. Widziałem pewne antyczne przekazy, z których dało się wywnioskować, że nasi przodkowie wiedli swoje żywoty w przyjaźniejszych czasach tej planety. Na przykład klimat był dla nich łaskawszy. Niemal każdego dnia widzieli Słońce.

Zdziwiona otworzyła usta, więc kontynuował.

- Sądzę, że tamten świat również miał swoje wady i smutki, lecz to my płacimy krwawym pieniądzem za to, co się stało - zlustrował przenikliwie tereny przed nimi i łagodnie skręcił w prawo. Uczennica podążała obok. - Te

istoty, które zobaczyłaś, to nie były demony, dusze, bądź potwory. To coś innego... - rzekł i nagle przerwał.

Dziewczyna, na wpół zamroczona każdym jego słowem, chciała prosić o dokończenie, lecz szybko zrozumiała, dlaczego zamilkł. Dotarli do poważnie uszkodzonego, kamiennego mostu. Wiódł na dużą wyspę otoczoną rzeką wypełnioną popiołem. Widziała tam gęsto usiane ruiny i dwa lepiej zachowane budynki. Pierwszym był ciężko okaleczony kompleks zabudowań, z czymś na kształt zdewastowanej kaplicy. Drugi zachował się w lepszym stanie. Była to wielka kamienna budowla o dwóch wieżach ze ściętymi na płasko czubkami. Przypominała jej kościół Stwórcy.

Ruchem ręki nakazał dalszy marsz. Zauważyła, że kierują się w stronę drugiego obiektu. Mniej więcej w połowie przejścia na wyspę wznowił opowieść.

- To było człowieczeństwo - przemówił. - A raczej człowieczeństwa wielu ludzi.

Nie zrozumiała.

- Tak wygląda człowieczeństwo? - zapytała. - Myślałam, że ono czyni nas ludźmi i nie może istnieć osobno.

Spojrzał na nią ciepłej.

- Każdemu się tak wydawało. Inkwizycja, kapłani, magowie i Inżynierowie przez wiele wieków prowadzili badania nad tymi bytami. Tragedia i ból, które zawładnęły tamtymi czasami, kompletnie złamały tych śmiertelników - jego głos przybrał zdecydowanie ostrzejszy ton. - To, co się stało, zdegenerowało ich, odarło z rozumu, godności, nadziei, marzeń, bliskich, wiary i życia. Ci, którzy przeżyli Dzień Kary, stanęli na zgliszczach cywilizacji. Ziemia przypominała wtedy bryłę rozpalonego, skażonego i przygnębiającego żużlu. Nie mieli nic, nawet siebie nawzajem - pokręcił głową. - Historia wiele razy pokazywała, że ludzie w ekstremalnych momentach nie cofną się przed niczym i nie są więcej warci od zwierząt. Powiedziałbym nawet, że są od nich znacznie niżej - dodał po krótkim zastanowieniu. - Tak więc to, co czyniło ich ludźmi, opuściło ich. Stąd ich pytanie *Dlaczego* - słowo zawisło w powietrzu. - Człowieczeństwo szuka odpowiedzi na pytanie, dlaczego zostało wyparte przez nie samo - spojrzał na nią. - Jednak tej zagadki nigdy nie będzie dane nam rozwiązać.

Lydia podniosła wzrok.

- Dlaczego jedno z nich wystąpiło naprzeciw nas, a inne były za nami? - zapytała niepewnie.

Witeldon wzruszył ramionami.

- Nie wiem - idąc, podrapał się po brodzie. - Mogę jedynie domniemywać, że z nimi jest tak jak z duszami. Mianowicie im dana osoba była silniejsza za życia, tym większy ma wpływ na swoje działania po śmierci.

Kiwnęła głową, że rozumie.

- Mistrzu, a po tylu tysiącach lat nie mogliby zapomnieć tego wszystkiego co było?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nic nie jest tak bolesne jak pamięć. Pewnych rzeczy nie da się zapomnieć. Nawet gdyby miała minąć wieczność.

- Ale to jest głupie, Mistrzu - powiedziała z irytacją. - Trwać przy czymś, co nie wróci. Wierzyć w coś, co nie przyjdzie.

Spostrzegła, że na te słowa mężczyzna posmutniał.

- Jeśli głupiec będzie się upierać dostatecznie długo przy swojej głupocie, to ma szansę zostać mędrce - oznajmił. - Oficjalnie nazywa się to filozofią, a znaczy tyle, że ludzie uprawiający tę dziedzinę kochają wiedzę i mądrość, lecz często sami gubią się w tym, co mówią.

- To w takim razie po co myślą?

- Szczęście wita przygotowany umysł, uczennico - oznajmił. - Nawet jeśli cała jego praca została przeznaczona na głupoty.

Zrobiła kwaśną minę. Nie przekonywało jej to, lecz dostrzegała logikę. Lepiej było robić cokolwiek niż gnuśnieć.

Jej przypuszczenia potwierdziły się.

Kierowali się do dwuwieżowego reliktu zaginionej epoki. Konstrukcja była ogromna. Mimo widocznych z zewnątrz szram i pęknięć zachowała się nad wyraz dobrze. Stanęli przed środkowym wejściem, znacznie większym od najwyższego z ludzi. Dokoła wrót zachowały się zdobienia i rzeźby. Jedna z nich przedstawiała mężczyznę o długich włosach, wyciągającego obie ręce przed siebie. Obok niego stały dwie kobiety. Jedna trzymała krzyż, druga włócznię. Kiedy dokładniej przyjrzała się postaciom, nabrała przekonania, że przypominają anioły. Pod nimi znajdowały się liczne grupy wyrzeźbionych ludzi. Idących, leżących i modlących się. Zdziwiła się, gdy w rękach jednego

zauważyła wagę. Spojrzała na swoją rękawicę i symbol na niej. Były podobne.

Wyżej nad wejściem, wśród kolumn, widać było niezniszczone posągi możnowładców. Kiedyś musiała być tu ich cała armia. Rozejrzała się. Po bokach mieściły się dwie inne pary drzwi ze zdobieniami, lecz, w większości były oznaczone przez żab czasu.

- Mistrzu? - zapytała. - To chyba była kiedyś świątynia czy coś takiego.

Usłyszała jak przełykał ślinę.

- Celne spostrzeżenie, moja droga. To faktycznie było miejsce kultu. Ludzkość sprzed Dnia Kary składała tu modły - jego kolejne kroki zbliżyły go do potężnych wrót.

- Po co tam wchodzimy?

Oparł obydwie dłonie na wejściu.

- Muszę sprawdzić jedną rzecz - powiedział i napał na bloki zagradzające przejście.

Lydia zawsze była pod wielkim wrażeniem jego siły. Nawet grupa mężczyzn miałaby problem z czymś takim. Witeldon natomiast, mając ulepszone rytuałem ciało, swój pancerz i niezłomną wolę, mógł dokonywać niemożliwego.

Wrota rozstąpiły się na boki. Ruchem ręki dał sygnał, by szła za nim. Posłuchała. Wnętrze zapierało dech w piersiach. Wydawało się, że budynek w środku był niemal nietknięty. Otaczały ich wysokie, zdobione sklepienia, przypominające relikwiarze skrytki na ścianach i sztandary z nieznanymi zwrotami, postaciami i sytuacjami. Konstrukcja okien sugerowała, że kiedyś były tam witraże. Jednak największe wrażenie wywołało to, co zobaczyła na poziomie ziemi. Na drewnianych ławkach, ustawionych na wprost czegoś, co przypominało kształtem ołtarz, siedziało wiele postaci. Wszystkie były szkieletami, lecz nie mogła doszukać się uszkodzonego. Nawet najmniejsze kości były tam, gdzie powinny. Każdy miał ręce złożone do modlitwy, a głowę pochyloną w skupieniu. Ten widok zmroził w niej krew.

Dziewczyna szła środkową aleją, pośród cichych wiernych. Nieświadomie brała udział w głuchej mszy. Słuchała niemych modlitw. Siła i ciężar drzemiący w tym miejscu niemal ją miażdżyły. Ocknęła się z zamyślenia i nigdzie nie mogła dostrzec Mistrza. Serce podeszło jej do gardła. Już

chciała otworzyć połączenie, aby nawiązać kontakt z Witeldonem, gdy zauważyła go siedzącego wśród armii szkieletów, w pierwszym rzędzie.

Uspokój się, kobieto. Zbłądziłaś się niemiłosiernie - upomniała się w myślach.

Podeszła i nie zakłócając aury budynku usiadła przy nim. Witeldona miała po lewej stronie, a z prawej kościotrupa, pogrążonego w rozmowach ze swoim bogiem. Lydia zapatrzyła się przed siebie.

Obserwowała coś na kształt potężnego kamiennego ołtarza z ustawionym za nim sporych rozmiarów złotym krzyżem. Na marmurowej płycie wzniesiono rzeźbę, która przedstawiała starszą kobietę w chuście. Na jej kolanach konał bądź już konał mężczyzna z cierniową koroną na głowie. Dzieci ze skrzydłami na plecach, przypominające kupidyny produkowane przez Inżynierów, doglądały całej sceny.

Choć jedynym, co słyszała, był jej własny oddech, to miejsce, w którym się znajdowali, wcale nie było martwe. Panująca cisza, zwykle wyrażająca spokój, brak jakiegokolwiek dźwięku bądź bezruch, tutaj nie miała tych właściwości. W powietrzu panowało napięcie. Czuć było nie tylko niewypowiedziane słowa, lecz również niedokończone myśli. Za życia każdy ze zgromadzonych modlił się w jakieś intencji. Przerwał to Dzień Kary, i choć ogień zgasł już dawno, to ciągle można było dostrzec żar.

- Vide - powiedział szeptem Człowiek z Wyobraźnią, co znaczyło *Zobaczyć*.

Dziewczyna nie rozumiała, co w takim miejscu mogło ująć jej oczom, że Mistrz zdecydował się użyć Słowa. Dopiero po chwili dostrzegła, jak wiele jej umknęło. Wszystkie ściany zaczęły lśnić złotymi symbolami Inkwizycji i licznymi runami. Puste oczodoły szkieletów rozbłysły, a krzyż z drogiego kruszcu zaczął emanować poświatą. Kolejny raz nieświadomie otworzyła usta ze zdziwienia. Spojrzała przed siebie w chwili, gdy u stóp ołtarza pojawiła się leżąca postać. Nosila kunsztowny pancerz Inkwizycji.

- Czyli przepowiednia się sprawdziła- powiedział sam do siebie Witeldon, a Lydia powoli przestawała wszystko rozumieć.

- Mistrzu, jaka przepowiednia? - zapytała. - I kto to jest? - wskazała palcem na mężczyznę.

Wiedziała, że musiał być inkwizytorem, ponieważ członkowie Świętego Oficjum nie rozkładają się po śmierci. Zawdzięczają to inicjacji, którą

przechodzą, i specjalnym Świętym Słowom.

Nie ulegało wątpliwości, że martwy był za życia ogromnym mężczyzną. Leżał teraz z otwartymi oczami, zapatrzony w sufit, a jego twarz o ciemnej karnacji zdradzała zdziwienie. Miał charakterystyczne wydęte policzki, duży podbródek, zadbaną grzywkę i resztę czarnych włosów. Jego srebrna zbroja była doskonałej jakości. Zastanawiało ją, w jaki sposób umarł. Po chwili znalazła powód jego zgonu. Jedna dziura w pancerzu symbolizowała przebicie mieczem. Ostrze przeszło jego serce.

- Zwał się Brajan Manrithus - zaczął Witeldon. - Podobnie jak ja, był inkwizytorem. Dzierżył potężny magiczny młot bojowy, który ochrzczono mianem Zguby Demonów. Ramię w ramię, przez ponad dwieście lat, wypędziliśmy wiele zła ze świata. Mógłbym nazwać go przyjacielem - oznajmił.

- Jak umarł? - wiedziała, że takiej śmierci nie zadałby czarci pomiot.

- Zabiłem go - rzekł bez cienia emocji w głosie, a wyczuwając spojrzenie Lydii, wyjaśnił. - Widzisz, moja droga, powołane swego czasu inkwizytorskie Konklawe posiadało tajemniczy magiczny kryształ o wielkiej mocy. Chciano go użyć do udoskonalenia działań w walce ze spaczeniem. Vivienne ostrzegła mnie wtedy, że kamień może wzmocnić piekielne zastępy, zamiast je zniszczyć - zacisnął jedną pięść. - Zostałem jednak przegłosowany. Inkwizycja postanowiła wypróbować go w odosobnionym miejscu, którym było właśnie Podmiasto.

- Co takiego wypróbować, Mistrzu?

- Wywołać tutaj demoniczną inwazję i przetestować kryształ - parsknął, widząc szok na młodej twarzy. - Wyobrażasz to sobie? Brajan dostał za zadanie, by pilnować właśnie tego artefaktu. Ja natomiast postanowiłem zakończyć to szaleństwo - ponownie zapatrzył się na zwłoki jednego ze swoich druhów. - Nie dał się przekonać i zmuszony byłem użyć środków ostatecznych. Zabiłem go, zabrałem kamień do Sacrum, a wcześniej wygnałem wszystkie czarcie byty, które tu się pojawiły.

Słuchając historii, dziewczyna poczuła wielki smutek.

- Przykro mi, Mistrzu - powiedziała.

- Lydio, takie jest życie - spoglądał na nią. - Musisz sobie brudzić ręce, aby świat był czysty. Nawet jeśli pewne plamy nigdy nie zejną - wskazał palcem na otwartą dłoń nieboszczyka. - Przepowiednia dotyczyła młota.

Mówiła o tym, że kiedy znajdzie się człowiek, którego przeznaczeniem będzie dzierżyć go, to właśnie wtedy on objawi mu się w dłoni. Inaczej nie da się go osiąść. Dla pozostałych będzie eteryczny i niczym duch przejdzie przez palce. Tak więc mamy następnego wojownika światłości, który ruszać będzie w bój przeciw złu. Abscondam – kończąc, użył kolejnego Słowa, które znaczyło *Ukryć*.

Znów wszystko wokół stało się niewidoczne. Witeldon skierował się ku wyjściu ze starożytnej świątyni, a Lydia ruszyła za nim. Spojrzała przez ramię na ołtarz, gdzie już po wsze czasy leżeć będzie kolejna ofiara ludzkiej niedoskonałości i upartości.

- Mistrzu, nazwałeś go wojownikiem światłości - zaczęła. - Nie wydaje mi się, żeby czyny takie jak w twojej historii były definicją dobra i sprawiedliwości.

Mężczyzna był zaskoczony jej dojrzałą myślą.

- Przy każdym świetle zauważysz, że trzymasz w dłoniach księgę, lecz tylko przy wystarczająco silnym i czystym będziesz w stanie ją przeczytać, moja droga - oznajmił.

Nie zapytała o nic więcej.

Znaleźli się na zewnątrz i zmierzali do kolejnego mostu, by opuścić spaloną wyspę. Po tym, co przed chwilą zobaczyła, zastanawiała się, ile sekretów skrywa to miejsce, i czy chciałaby je wszystkie poznać.

Ponownie znaleźli się na pokrytej popiołem drodze, pośród tysięcy betonowych resztek. Dziewczyna wciąż nie mogła się napatrzeć na to miejsce. Świat Który Nie Wróci, ponieważ tak określano starożytność, znała dotychczas jako jałowe pustkowia i pokryte zabójczymi kraterami pustynie. Nigdy nie miała szansy oglądać efektów Dnia Kary, i gdyby miała swoje obserwacje streścić w dwóch słowach, to brzmiały by one *nigdy więcej*. Nie potrafiła sobie wyobrazić broni, która mogłaby dokonać czegoś takiego. Miała kiedyś okazję zobaczyć, jak Vivienne wyrwała niedużą kamienicę i cisnęła nią w inny budynek. Nie wątpiła, że dokonałaby znacznie większych zniszczeń, gdyby użyła całej swojej mocy. Może pogrzebałaby kilka dzielnic albo nawet całe miasto. Lecz planetę? To nie było możliwe.

Po prawej stronie zauważyła monumentalną budowlę. Uszkodzona kopuła przypominała kolejną świątynię. Najbardziej zainteresowały ją jednak liczne

ochronne wardy oraz inkantacje wyryte i zamocowane na betonowych pozostałościach wokół gmachu.

- Na jego powierzchni i w jego wnętrzu znalazłabyś więcej ochronnych run i talizmanów - powiedział Witeldon, czytając jej w myślach.

- Co tam jest, Mistrzu? - zapytała.

Westchnął.

- Zdaniem badaczy w dawnych czasach było to coś na kształt mauzoleum. Składano tam ciała zasłużonych - wskazał dłonią na jeden z wielu srebrnych słupów wbitych w ziemię. Cały był pokryty inkantacjami, spisanymi krwią na papirusie. - Demoniczna inwazja, będąca efektem decyzji inkwizytorskiego Konklawe, o którym już ci wspominałem, nie potoczyła się według planu. Idioci! Tylko tyle mogę o nich powiedzieć. Czarcie pomioty dostały się do ciał złożonych tutaj i trzeba było walczyć z armią potężnych opętanych. Ostatecznie po odzyskaniu kryształu wygnałem ich i zapieczętowałem to miejsce, używając zasobów, które Święte Oficjum dostarczyło na to spalone przedsięwzięcie.



- Rozumiem, Mistrzu.

Minęło równo sto kroków, po czym znów otworzyła usta.

- Dokąd właściwie zmierzamy? - zapytała.

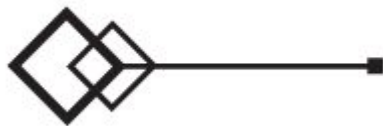
Otwartą dłoń pokazał dziurę w ziemi, która zaczęła przed nimi rosnąć.

- Tam, moja droga.

Lydia wyciągnęła szyję i zobaczyła, że wewnątrz jamy znajdują się schody prowadzące w dół. Bardzo długie schody. *Czy tam są ludzkie kości?* - pomyślała.

Nie myliła się...

ROZDZIAŁ XV



LUDZIE UWIELBIAJĄ OTACZAĆ SIĘ TYTUŁAMI. CZUJĄ SIĘ WTEDY WAŻNI, SILNI I DOWARTOŚCIOWANI. MÓWIĄ, ŻE NAZWA, KTÓRA STOI PRZED ICH IMIENIEM I NAZWISKIEM, JEST WYNIKIEM LAT CIĘŻKIEJ PRACY, WYRZECZEŃ, POŚWIĘCENIA, SAMODOSKONALENIA I CHĘCI OSIĄGNIĘCIA CZEGOŚ WIĘCEJ.

NIEKTÓRZY UZYSKALI JĄ DROGĄ NAUKOWĄ, INNI PRZEZ ODPOWIEDNIE URODZENIE. PRAWDĄ JEST, ŻE PRZEKONANIE TYCH LUDZI O WŁASNEJ WYŻSZOŚCI JEST CAŁKOWICIE BŁĘDNE, A CO NAJWAŻNIEJSZE I NAJGORSZE, GRZESZNE. KAŻDA LUDZKA ISTOTA JEST TAKA SAMA. POMIJAJĄC WSZYSTKIE DOSTĘPNE TERAPIE, MODYFIKACJE, MAGICZNE I MISTYCZNE RYTUAŁY, CZŁOWIEK W SWEJ ISTOCIE JEST LUSTRZANYM ODBICIEM BLIŹNIEGO. JEGO POTRZEB, ŻĄDZ, PRAGNIEŃ, SIŁY I SŁABOŚCI.

PRZY NAJBARDZIEJ OŚWIECONYM PROFESORZE NAWET NAJBARDZIEJ PRYMITYWNY CHŁOP CZY PROSTY ŻOŁDAK SĄ IDENTYCZNI. DLACZEGO? KAŻDY Z NICH MUSI JEŚĆ, PIĆ, KOCHAĆ, NIENAWIDZIĆ... KAŻDY Z NICH RODZI SIĘ I UMIERA. ICH CIAŁA TAK SAMO DORASTAJĄ, BY SIĘ ZESTARZEĆ I W KOŃCU ROZPAŚĆ NA PROCH. ŻADEN Z NICH NIE JEST NIEOMYLNÝ. TA SAMA TRUCIZNA, RANA BĄDŹ CHOROBA SĄ W STANIE ZABIĆ OBU. WIĘC JAK TO JEST, ŻE LUDZIE UCZENI MAJĄ O SOBIE TAKIE WYGÓROWANE MNIEMANIE?

DZIEJE SIĘ TAK Z WIELU POWODÓW. WYKSZTAŁCONE JEDNOSTKI W KAŻDEJ KULTURZE I SPOŁECZNOŚCI ZAJMOWAŁY UPRIWILEJOWANE FUNKCJE. OCZYWIŚCIE ICH WIEDZA I UMIEJĘTNOŚCI BYŁY RÓŻNE. JEDNI BYLI SZAMANAMI, OBEZNYMI W RÓŻNORAKICH GUSŁACH, DRUDZY BŁYSKOTLIWYMI ALCHEMIKAMI, A JESZCZE INNI SKRYBAMI I KRONIKARZAMI. KAŻDY SŁUŻYŁ MOŻNOWŁADCOM SWYM UMYSŁEM, TALENTEM I STARAŁ SIĘ ROZWIĄZYWAĆ POWIERZONE MU ZADANIA. PRZEZ TO WŁAŚNIE Z TYTUŁEM UCZONEGO WIĄŻE SIĘ NADZIEJA NA PRESTIŻ I GODNE ŻYCIE. DALEJ MOŻNA MÓWIĆ O LUDZKIEJ POTRZEBIE BYCIA LEPSZYM OD INNYCH.

„JA ZNAM ODPOWIEDŹ NA TO PYTANIE, A TY NIE!”.

„JA TO UMIEM ZROBIĆ, A TY NIE!”.

„JA WIEM LEPIEJ, A TY SIĘ NIE ZNASZ, WIĘC MNIE SŁUCHAJ!”.

KTOŚ PRZEKONANY O WŁASNEJ WYŻSZOŚCI WYKAZUJE PYCHĘ I DUMĘ. NIE POTRAFI DOSTRZEC, ŻE PONIŻA I DYSKRYMINUJE INNYCH. QQMYŚLI, ŻE CHAMSTWEM I GRUBIAŃSTWEM NADROBI STRACONY CZAS I OSIĄGNIŁ CEL. ALBOWIEM CHODZI O LATA, KTÓRYCH KAŻDY MA TAK MAŁO. GDY

KTOŚ, KOMU ŻYCIE MIJA ZA BIURKIEM, PRZY SZALKACH, PROBÓWKACH CZY MASZYNIĘ RÓŻNICZKOWEJ, WIDZI JAK INNI ŻYJĄ I BAWIĄ SIĘ, WÓWCZAS NARASTA W NIM ZAWIŚĆ I ŻAL. TO NAPĘDZA CAŁĄ RESZTĘ.

MŚCIWOŚĆ JEST NAPOJEM LUDZI WYKSZTAŁCONYCH. RODZI SIĘ PYTANIE, CZY WARTO ZDOBYWAĆ WIEDZĘ? OWSZEM WARTO, PONIEWAŻ JEST ONA KLUCZEM DO POTĘGI I WŁADZY. LECZ W POGONI ZA NAUKĄ NIE POWINNO SIĘ GUBIĆ CZŁOWIECZEŃSTWA.

TAKŻE SZLACHCIC, KAPŁAN, MAG, INŻYNIER, DOKTOR CZY PROFESOR POWINIEN PAMIĘTAĆ, ŻE TO SAMO, CO KŁADZIE NA ŁOŻU ŚMIERCI CHŁOPA I ROBOTNIKA, MOŻE UPOMNIEĆ SIĘ O NIEGO. WTEDY ŻADEN TYTUŁ NIE POMOŻE, A MARNOŚĆ LOSU BĘDZIE GWOŹDZIEM DO ICH TRUMNY. ZE MNĄ JEST NATOMIAST INACZEJ.

MOJE WPŁYWY, NADANE MI PRZEZ STWÓRCĘ, SĄ ABSOLUTNE. NATOMIAST SŁOWA, KTÓRYMI SIEBIE OPISUJĘ, SĄ PRAWEM, ROZKAZEM I ŚWIĘTOŚCIĄ W JEDNYM. NIE BEZ KOZERY PO ŚWIECIE KRAŻY POWIĘDZENIE, ŻE „CZŁONKA ŚWIĘTEGO OFICJUM POZNASZ PO PIERWSZYM SŁOWIE, KTÓRE WYPOWIE”. SŁOWO TO ZAWSZE BRZMI INKWIZYCJA...

CZY PRZECHWAŁAM SIĘ? I TAK, I NIE. AUTORYTET, KTÓRY POSIADAM, MUSI BYĆ NIESKOŃCZONY, BYM MÓGŁ WALCZYĆ ZE SPACZENIEM I PLUGASTWEM, NIE PROSZĄC PRZY TYM O POZWOLENIE. ODPOWIADAĆ MOGĘ JEDYNIEM PRZED INKWIZYCYJNYM KONKLAWEM.

DLACZEGO TAK DUŻO SPOCZYWA W MOICH RĘKACH? MÓWIĄ, ŻE NAJSILNIEJSZY JAD WYDOSTAJE SIĘ Z NAJPIĘKNIEJSZYCH UST, A NAJWIĘKSZY CIEŃ ZNAJDUJE SIĘ TAM, GDZIE NAJJAŚNIEJSZE ŚWIATŁO... DLATEGO WŁADZA ABSOLUTNA MUSI BYĆ ZAREZERWOWANA DLA TYCH, KTÓRZY NIE BOJĄ SIĘ DOKONAĆ WYBORU. NAWET JEŚLI ŻADNA Z OPCJI NIE JEST DOBRYM ROZWIĄZANIEM...

FRAGMENT Z PRYWATNYCH ROZWAŻAŃ INKWIZYTORA WITELDONA WALSZARTIEGO.

Tunel, do którego weszli, rzeczywiście mógł mrozić krew w żyłach. Posadzka z ostro ciosanych kamieni lepiła się od wilgoci, której nie było w Zaginionym Mieście. Od ścian i sufitu biła groza. Każdy metr kwadratowy powierzchni wykonano z ludzkich kości. Czaszki, ustawione w niekończącym się szeregu, obserwowały pustymi oczodołami dwoje przechodniów. Można było odnieść wrażenie, że wszystko tutaj zbudowano z człowieczych szkieletów.

Uszli dopiero dwa kilometry w głąb katakumb, lecz ogrom śmierci był przytłaczający.

- Niezbyt mi się tutaj podoba, Mistrzu - powiedziała cicho i niepewnie Lydia.

- Nie rozumiem, dlaczego - parsknął i nosem wypuścił powietrze. - Mnie wystrój tego miejsca całkowicie odpowiada.

- W to nie wątpię - burknęła. - Mistrzu, kto dokonał tej rzezi i zrobił tutaj taki koszmar? Co tu się stało?

Mężczyzna westchnął.

- Moja droga, żaden człowiek nie stworzył tego miejsca w nieczystym celu. Wręcz przeciwnie, intencja była słuszna.

- Jak coś takiego ma być przydatne? To forma przestrogi, czy co? - dziewczyna była zszokowana.

Pokręcił głową.

- Przyjmując, że miasto, które już widziałaś, miało znaczną populację, to również liczba zgonów nie należała do małej. Wielkie metropolie często cierpiały na skutek epidemii czy katastrof, dlatego potrzebowały miejsca do magazynowania zmarłych - przesunął dłonią po kościanej ścianie. - To co widzisz, to nic innego jak wielki cmentarz pod miastem. Tamci ludzie dlatego w taki sposób grzebali swych zmarłych, by zapobiegać klęskom na powierzchni swego świata i zapewniać chociaż minimum szacunku tym, którzy odeszli.

Kiwnęła głową.

- Rozumiem, Mistrzu. Chyba coś się tutaj usypało - ręką wskazała na szczątki, porozwalane w części korytarza.

Gdy zbliżyli się do nich, Witeldon rozkazał zatrzymać się i zaczął badać tę anomalię. Stwierdzenie uczennicy było logiczne i bardzo prawdopodobne. Licząca dziesiątki tysięcy lat konstrukcja była w stanie rozkładu i mogła sama z siebie ulegać uszkodzeniom. To było oczywiste, lecz dlaczego do tej pory tylko ten fragment pękł, zaśmiecając przejście? Co go wyróżniało?

Wzmocniony wzrok Inkwizytora i jego umysł analizowały każdy szczegół. Niemal od razu wypatrzył w jednym miejscu kilka zmiażdżonych kości. Starte na proch wyglądały jakby stanęło na nich coś ciężkiego. Dwa kilkumilimetrowe wgłębienia w kamiennym podłożu przypominały ślad po czubkach szponów. Jakby coś postawiło tu cięższy krok.

Przeniósł wzrok na ścianę, na której Lydia zauważyła ubytki. Trzy nieduże szramy, dwie poprzeczne i jedna biegnąca w przeciwnym kierunku, znaczyły oszlifowaną skałę. Kilka razy widział już takie ślady. Zawsze oznaczały przelaną krew i śmierć. Nagłą i szybką albo powolną i bolesną dla jednej ze stron.

- Patiensus - wyszeptał, a dłoń odruchowo powędrowała do miecza.

- O co chodzi, Mistrzu?

Gestem nakazał kontynuowanie marszu. Jednak jeszcze staranniej obserwował otoczenie.

- Sytuacja, w której się właśnie znaleźliśmy, nabrała innych barw - zrobił krótką przerwę, zastanawiając się. - Krwawych barw. Tamte ślady i to osunięcie oznaczają, że gdzieś w pobliżu jest Patiensus - w jej oczach nie dostrzegł zrozumienia. - Wampir wysoki pierwszej, czyli najgroźniejszej kategorii - niewiedzę zastąpiło zdziwienie wymieszane ze zwątpieniem.

- Ale niekoniecznie musimy go spotkać, prawda?

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Uważam, że on nie jest tutaj przypadkiem. Istoty tego typu rzadko występują w naszym świecie - skręcili w kolejny korytarz i schodami zaczęli schodzić jeszcze niżej. - Nie wierzę w zbiegi okoliczności, Lydio. Jeśli potwór tej kategorii wniknął do Podmiasta i zmierza w tym samym kierunku co my, to oznacza tylko jedno.

- Co takiego? - zapytała, starając się zachować stalowe brzmienie głosu.

- Zasadzkę z polecenia demonów - westchnął i poprawił kaptur. - Krwiopijcy tacy jak nasz gość lubią otaczać się wampirami niskimi bądź średnimi. To jest mniejsze zmartwienie.

Dziewczyna była spięta. Wyczuwał to.

- Od kiedy piekielne pomioty współpracują z takimi stworami?

Mężczyzna parsknął.

- Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem - patrzył na otaczające ich morze kości. - Ludzkość ma wielu wrogów, stąd właśnie rzucające przez nas światło tworzy tyle cieni.

Katakumby zdawały się nie mieć końca, a oni schodzili coraz niżej i niżej w trzewia świata zapomnianego przez Boga. Liczne ponure alejki i korytarze otwierały przejście do małych, usłanych czaszkami pomieszczeń. Przedstawiciele Inkwizycji wędrowali przed siebie bez strachu w sercu i zwątpienia w duszy, aż dotarli do dużego skrzyżowania. Droga, którą przyszli, umożliwiała dostęp do wielu kolejnych szlaków. Mogli iść na wprost albo skorzystać z czterech innych ścieżek. Dwie znajdowały się z lewej i dwie z prawej.

- W którą stronę, Mistrzu? - zapytała z ciekawością.

Chciał odpowiedzieć, wskazując dłonią korytarz naprzeciwko, lecz zawahał się.

- Mamy towarzystwo - zmysły wyostrzone bardziej niż możliwości zwykłych śmiertelników namierzyły nadchodzącą pogoń.

Zdziwiona, otworzyła szeroko oczy i rozejrzała się nerwowo. Nie mogła niczego wychwycić. Dla jej zdolności poznawczych odległość była zbyt duża.

- Skąd, Mistrzu? - pisnęła i odbezpieczyła swoje nadgarstkowe pistolety maszynowe. W jej dłoniach znalazły się krótkie, mistrzowsko wykonane miecze technologiczne i runiczne.

Dźwięki, które słyszał, stawały się coraz wyraźniejsze. Lekkie stukanie i syczenie mieszały się z piskami i skrzypieniem. Zupełnie jakby ktoś maltretował metal kamieniem szlifierskim.

Albo zwykłą skałę ostrym jak brzytwa pazurem - przeszło mu przez myśl.

- Zewsząd, oprócz frontu - rzekł. - Naprzód Lydio, nie możemy dać się otoczyć, będziemy walczyć na naszych warunkach - dodał i zaczął biec przed siebie.

Po krótkim wahaniu dołączyła do niego. Inkwizytor dbał o to, by utrzymywali równe tempo. Z łatwością mógł ją wyprzedzić, lecz nie na tym mu zależało.

Znaleźli się w ciasnej przestrzeni. Z trudem mogłoby tamtędy iść ramię w ramię troje drobnych ludzi. *Dobrze* - zadumał się na chwilę. Oznaczało to, że będą tu mogli zabijać napastników pojedynczo, wykorzystując przewagę umiejętności i zasięgu.

Hałas narastał. Kątem oka zauważył, jak głowa dziewczyny drgnęła lekko, jakby próbowała się obejrzeć. Również ona zaczęła słyszeć odgłosy hordy.

Bestie zbliżały się. Jego zmysły pozwalały dokładnie ocenić odległość i liczebność. Obstawiał, że ścigało ich mniej więcej pięćdziesiąt poczwar.

- Nie zatrzymuj się i nie czekaj na mnie - powiedział spokojnym głosem. Bieg go nie męczył.

Zerknęła na niego pytająco.

Jego dłoń powędrowała do *Carine*.

- Biegnij do przodu, odlicz sto pięćdziesiąt metrów, a potem ustaw się w pozycji strzeleckiej. Będiesz mnie osłaniać. Teraz, szybko! - powiedział do niej rozkazującym tonem. Dziewczyna przyspieszyła, a on odwrócił się

i stanął pewniej na nogach. Gdyby jego predykcja co do liczby stworów podlegała ocenie, to bez wątpienia dostałby same wysokie noty.

Ścigające ich istoty nie były wysokie. Wyprostowane sięgałyby mu ledwie do klatki piersiowej. Większość biegła nisko, na dwóch nogach albo na czworaka. Część po ścianach korytarza, a tylko pojedyncze po suficie. Na pierwszy rzut oka przypominały nagich, wychudzonych, zdziczałych i zgarbionych ludzi. Zdeformowane łyse głowy o wydłużonych uszach więziły beznose twarze. W paszczach roiło się małych, zaostzonych zębów z charakterystycznymi kłami. Głęboko osadzone w potężnych oczodołach żółtawe ślepie emanowały głodem i szałem. Żyłaste ręce, podobne do ludzkich, zakończone były długimi jak noże myśliwskie, ząbkowanymi, skrzywionymi pazurami.

Ululaty. Wampiry niskie, drugiej kategorii. Zawsze polują w dużych stadach i napadają na osłabione karawany albo nieostrożnych i odosobnionych podróżnych. Nie stanowiły dla niego poważnego zagrożenia. Jednak ich cechą szczególną była niezłomność. Wszystkie, które zaatakowały, musiały zostać zglądzone.

Inkwizytor trzymał w dłoni najnowszy wynalazek Ikariusza. Potwory znajdowały się jakieś dwadzieścia metrów od niego. Odległość malała. Ryk sług mroku narastał. Witeldon wyciągnął dłoń z pistoletem i wycelował w pędzące na niego skupisko ciał. Nacisnął spust.

Carine zgotowała wrogom ludzkości najprawdziwsze piekło. Błysk światła i eksplozja ognia natychmiast pochłonęły trzy istoty, kompletnie je anihilując. Z kolejnych dwóch zostały dopalające się zwęglone fragmenty. Nie spodziewały się takiej siły ognia. Horda zawyła. Ululaty z jednego szczepu łączyła wspólna świadomość. Pomagało im to w polowaniu i przetrwaniu. Jednak miało także wady. Nagła śmierć bądź cierpienie w stadzie kajało jaźń innych. Oszołomienie bólem było sprzymierzeńcem Człowieka z Wyobraźnią i Lydii.

Po dwóch sekundach ponownie uwolnił zabójczy potencjał broni. Śmierć zamknęła w swym objęciu następne cztery pomioty ciemności. Wystrzelił znowu, lecz tym razem w sklepienie nad potworami. Nie celował w zgarbione wampiry, gdyż te zaczęły zmieniać taktykę. Ich ruchy w korytarzu stały się chaotyczne i przypadkowe. Utrudniało to celne strzały.

Powierzchnia sufitu w mig rozpuściła się do płynnej lawy, która wraz z bryłami czerniałego żużlu zalała bydłeta. Dwie nieszczęsne szkarady,

skąpane w tym gorącym prysznicu, dogorywały w straszliwych mękach. Ważniejszy był jednak efekt. Stado się zatrzymało. Nikt nie chciał zginąć od ognistego deszczu. Tylko Ululat, który został po drugiej stronie piekielnej przeszkody, kontynuował bieg.

Witeldon czekał niewzruszony. Bydlę rzuciło się na niego. Szeroko rozstawione szpony na sztywnych rękach były gotowe, by rozszarpywać, obnażone kły, by gryźć, a wściekłe ślepia widziały już koniec ofiary. Jednak nic takiego nie nastąpiło.

Witeldon, wykorzystując swój nadludzki refleks, ubiegł stwora. Chwycił go za gardło i skręcił mu kark. Ciało cisnął o ścianę z taką siłą, że kości popękały wraz z kamieniami.

Spojrzał na resztę hordy. Zamierzała ruszyć, jak tylko lawa przestanie być przeszkodą. Spodziewał się ataku najdalej za kilka sekund. On też miał plan. Ruszył w przeciwnym kierunku. Nie uciekał przed Ululatami. Jego odwrót miał doprowadzić do ich zguby. Przebiegł niecałe sto pięćdziesiąt metrów, gdy lewa strona korytarza rozbłysła dwoma małymi świetlistymi kwiatami. Usłyszał agonalne ryki, które dochodziły z tyłu. Lydia, wykorzystując jako osłonę przytwierdzonego do ściany kościotrupa, prowadziła ostrzał. Po pierwszej serii była druga, a potem trzecia.

Znalazł się tuż przed nią.

- Biegnij, ubezpieczam! - przekrzykując jazgot jej nadgarstkowych pistoletów maszynowych, nakazał dalsze wycofywanie się.

Dziewczyna z determinacją ruszyła w głąbie korytarza. Wycelował za siebie *Carine* i posłał w niebyt kolejne nocne mary.

Taką sztuczkę zrobili jeszcze trzy razy, przynosząc śmierć szesnastu kolejnym maszkarom. W końcu doszło do walki wręcz. Stwory skróciły dystans, a Lydia, z polecenia Mistrza, musiała oszczędzać amunicję. Walka była szybka i brutalna.

Ululat zamachnął się swoimi szponami na dziewczynę, próbując ją przeciąć z góry na dół. Wykonała piruet i zrobiła szybki unik, przebijając obydwoma mieczami czerep potwora, po czym odskoczyła, robiąc akrobatyczny przewrót. Nie miała okazji odsapnąć, ponieważ już nacierał kolejny.

Witeldon nie skorzystał z miecza. Jego orężem była wiara.

- Securis - rzekł, co oznaczało *topór*. W jego prawej dłoni rozblysło białe światło w kształcie topora.

Chwycił go oburącz, wziął zamach i przeciął najbliższego stwora. Drugiego uderzył w łapę, krusząc wszystkie kości. Pancerną pięścią rozbił czaszkę zranionego wampira, a szybki piruet pozwolił mu uniknąć kontaktu z pazurami następnego. Toporem wykonał młyniec i łeb czwartej poczwary spadł na glebę. Mężczyzna wycofał się i zrównał z Lydią.

Uczennica walczyła z wielką finezją. Powaliła swojego przeciwnika, wbijając mu przez oczodół ostrze klingi i masakrując w ten sposób mózg. Dwoje członków Świętego Oficjum było w odwrocie przed naporem wroga, lecz każdy oddany metr korytarza naznaczony był krwią i zwłokami wampirów.

Trzonkiem topora roztrzaskał następny piekielny czerep. Ona zrobiła wypad mieczami w horde, zabijając zaskoczoną plugawą istotę. Szybkie salta w tył pozwoliły jej uniknąć odwetu i ponownie stanąć ramię w ramię z Mistrzem. Kątem oka widziała, jak odciął ręce Ululata, po czym chwycił go za głowę i z ogromną siłą zmiażdżył czaszkę o skały. Walka trwała jeszcze dwie minuty. W tym czasie musieli cofnąć się o dalsze sto metrów. Jednak z każdą chwilą stado słabło. Ostatni oszołomiony i samotny sługa mroku spotkał swój koniec w widowiskowy sposób. Witeldon skosił bestii nogi w stawach, a jego protegowana z gracją i pewnością ścięła łeb.

Nastąpiła cisza. Każda poczwara zdychała tak, jak żyła. Szybko, nagle i krwawo. Lydia machnęła kilka razy orężem, by strzepać posokę, i przeładowała magazynki w pistoletach maszynowych. Świetlista siekiera zaczęła tracić swój blask i zniknęła w dłoni Inkwizytora. Ulepszonym wzrokiem spojrzał na ścieżkę usianą śmiercią.

- Kontynuujemy naszą podróż, moja droga - powiedział i ruszył naszpikowanym kośćmi korytarzem. Po sekundzie była przy nim. - Jesteśmy już blisko.

Kroki dudniły o kamienną posadzkę, a czaszki zmarłych obserwowały ich podczas niekończącej się warty. Zanurzali się coraz głębiej w odmęty starożytnych katakumb. Słowa Witeldona były prawdziwe. Niedługo potem dwójce wędrowców ukazał się koniec ciasnej alei.

Pomieszczenie, do którego przeszli, wyglądało inaczej niż poprzednie. Zbudowane na planie heksagonu, miało wysoki sufit, który dawał wrażenie,

że znajdują się w niskiej wieży albo w zamkowej baszcie. Sklepienie podtrzymywały kolumny pokryte ludzkimi szczątkami. Do centralnej przestrzeni wiodły krótkie schody. Gdy tylko postawili na nich stopy, Inkwizytor szpetnie zaklął.

- Mistrzu, co się stało? - zapytała zdziwiona.

Nie odpowiedział, tylko szedł przed siebie, na środek kamiennej areny. Stał idealnie w centralnym punkcie placu. Rozłożył ręce i spojrzał na nią.

- Właśnie tu powinna być brama Ke'Arxa - powiedział z lekką irytacją. - Ta była najbliżej nas. Poprosiłem kilka kompetentnych osób w Oficjum, aby przyjrzeni się tym artefaktom w swoich obszarach operacyjnych. Ciekawe, czy mają podobne problemy?

Jak można przenieść coś takiego bez zostawiania żadnego śladu? - zastanowił się.

To było dobre pytanie. Jego ulepszony mózg i doskonała pamięć w mig znalazły odpowiedź.

- Ktokolwiek tu był, musiał mieć pieczęć dezaktywującą samego Ke'Arxa. Z informacji dostępnych w Zakazanej Bibliotece wynika, że można ją było zdobyć tylko w Piekło, lecz nawet dla pomiotów zła graniczyłoby to z cudem.

Lydia rozglądała się po pomieszczeniu.

- Co teraz?

- Można wyczuć ten przedmiot i znaleźć miejsce, w którym teraz się znajduje - zdradził swój plan, lecz zawahał się. - Pod warunkiem, że nikt nie zmienił wymiaru - oznajmił i skupił się.

Wejrzał w magiczne ścieżki i spaczone żyły świata, biegnące wokół nich. Jego potężny umysł mógł wędrować daleko. Wyczuwał ogrom tuneli i przejść, które osaczały ich z każdej strony. Zaprawdę Podmiasto było niezbadane.

To, czego szukał, pozostawało w ich zasięgu. Widział dobrze drogę, którą odbyła pieczęć i był zdziwiony, jak głęboko do podziemi zapuścił się jej posiadacz. W końcu znalazł miejsce z artefaktem. Wzdychając, zerwał rytuał, który odprawiał, i ponownie szpetnie zaklął.

- Lydia, mamy problem.

Zmartwiła się słysząc, że Witeldon użył tych słów.

- Czeka nas zejście na ponad dziesięć kilometrów pod ziemię - powiedział i spojrzał na korytarz po drugiej stronie placu. - To nie będzie proste. Nie

spodziewałem się takiego obrotu spraw i nie wiem, czy przejścia są jeszcze drożne, a nie mogłem stwierdzić, czy ten, kto ma pieczęć Ke'Arxa nie używał teleportacji. Dobrze, że mamy dla ciebie zapas wody i jedzenia – dodał i czekał na jej komentarz.

Nic nie usłyszał.

Czym prędzej odwrócił się. Błada, stała sztywno, jakby sparaliżowana. Na młodej twarzy malował się wyraz szoku, a w oczach strach.

– Lydio...? – zaczął niepewnie. – Damy sobie radę, musisz tylko...

– Mistrz nic nie czuje? – zapytała zdawkowo, przerywając mu.

Nie zdążył zapytać, co powinien czuć. Uderzyła w niego siła, która wcześniej zaatakowała dziewczynę. Horror, terror, widmo śmierci i kruchości, tak można było opisać wszystkie emocje, które niosły teraz jego żyły. Nie pozwolił się im zdominować i szybko wypalił w sobie duchową truciznę. Miał zbyt silną wolę, ogromne doświadczenie i wiedział, co oznacza taki rozwój sytuacji. Spojrzał instynktownie w górę, na sklepienie pomieszczenia. Jakby sam Stwórca mu to rozkazał.

Ulepszony wzrok pozwolił dostrzec na suficie anomalie podobne do zaburzeń powietrza wywołanych przez płonące ognisko. Lecz w tym przypadku regularne i układające się w określone kształty. Zauważył ruch. Rzucił się biegiem w stronę protegowanej. Dzieliło ich ledwie siedem metrów, a jego nadludzkie ciało przemierzyło ten dystans szybciej niż ktokolwiek byłby w stanie. Odepchnął sparaliżowaną Lydię na bok i sięgnął do pochwy z *Catherine*.

Zdołał wyjąć miecz do połowy, gdy poczuł mocne uderzenie. Ukląkł na jedno kolano. Zobaczył przed sobą potężne, umięśnione nogi, które utrzymywały wielki, beczkowaty tors, skrywający gęstą plataninę włókien mięśniowych. Nad głową dojrzał ręce z kościstymi kolcami wyrastającymi po bokach. Rozmiarem przypominały konary drzew.

Klinga przyjęła cios potwora. W stronę jego piersi skierował dłoń. Błysnęło z niej światło, które niewidzialną siłą pchnęło przeciwnika na jedną z kolumn otaczających małą arenę. Zaryczał z bólu i upadł na podłogę. Obsypały go fragmenty kamieni. Jednak pomiot ciemności powstał, jakby nic się nie stało, jakby w ogóle nie odczuł zderzenia.

Trzymając dystans, zaczął okrążyć człowieka. Wszystko przypominało honorowy pojedynek. Jednak to była walka o życie. Patiensus, wampir

wysoki pierwszej kategorii już raz zlekceważył przeciwnika. Drugi raz tego błędu nie popełni.

Człowiek z Wyobraźnią poświęcał bestii całą swoją uwagę. Dostrzegł, że ma przed sobą wyjątkowo rozwiniętego osobnika. W swoim życiu zabił siedem istot tego gatunku. Ten egzemplarz był jednak inny. Mierzące ponad trzy metry ciało z przerośniętymi mięśniami było stworzone do zabijania. Z przodu miał jasnoszarą skórę, która im dalej od środka, tym była ciemniejsza. Przy plecach, rękach i nogach była już całkiem czarna. Pięciopalczaste, duże stopy zapewniały stabilność. Ramiona na całej długości usiane były półmetrowymi szpikulcami, przypominającymi igły jeżozwierza. Tak samo grzbiet. Szpony bestii mogły przeciąć niemal każdy pancerz, a precyzyjne trafienie mogło zranić nawet Witeldona w jego zbroi. Ciało Patiensusa pozbawione było owłosienia i łusek.



Mężczyzna przez cały czas zastanawiał się nad siłą, którą ten szczególny wampir dysponował. Widział, że krwio pijca był wykastrowany. Wzmacniało to działanie hormonów i spowalniało starzenie się komórek. Jednak to nie było wszystko. Odpowiedź dawało oblicze tej personifikacji terroru.

Trudno je było porównać do czegokolwiek. Ze zwierząt, które zamieszkiwały dawną Ziemię, przypominało skrzyżowanie pysków nietoperza i goryla. Ostre rysy, gęba wypełniona długimi zębami, a do tego kły niczym u tygrysa szablozębnego. Wklęsły, ryjkowaty nos, osadzony na kościstych policzkach. Na wysokim czole oczy, otoczone potężnymi łukami brwiowymi. Przerażało to, że były niemal jak ludzkie. Kipiały bursztynową poświatą. Dostrzegał w nich świadomość i wielki rozum. Niesamowity słuch zapewniały schowane, drobne uszy. Czerwona, tajemnicza i zablizniona runa na jego czole dostarczała groźnej informacji. Coś takiego powstaje tylko wtedy, gdy Nosferatu napije się krwi wampira szlachetnego. Właśnie to było odżywką, na której tak wyrósł.

Jeśli Patiensus miał dostęp do posoki tych legendarnych bytów, to zmienia postać rzeczy - pomyślał człowiek i zdał sobie sprawę, że walka z niebezpiecznej stała się dla niego śmiertelnym zagrożeniem.

Dwie istoty okręzały się powoli, oceniając siły. Walczących różniło wszystko, lecz jedno łączyło. Obaj byli stworzeni do dwóch rzeczy - do zabijania i bycia zabitym kiedy przyjdzie na to czas. Stukot metalowych butów i szuranie gołych wampirzych stóp odgrywały swoją melodię w powietrzu gęstym od napięcia. Mierzyli się wzrokiem. Wyczekiwali. Toczyli wojnę na nerwy. Obok leżała półprzytomna Lydia.

Umrzesz, człowieku - słyszał w swojej głowie Witeldon. Patiensus potrafił kontaktować się telepatycznie z otoczeniem. Ta umiejętność pozwalała też obezwładniać ofiary, zaszczepiając w ich serca strach i niemoc.

Kiedys na pewno - w ten sam sposób odpowiedział Inkwizytor.

Z uszkodzonej kolumny ukruszył się mały kamyk. Spadał przez chwilę, która mogła wydawać się wiecznością. Człowiek i wampir oczekiwali na sygnał. Gdy uderzył o podłoże, ruszyli ku sobie. W ciszy.

Choć lepiej rozwinięty od innych ze swego gatunku, jego modus operandi był identyczny. Gdy tylko pozwoliła na to odległość, wampir machnął gigantyczną łapą. Celował w głowę przeciwnika. Tylko dzięki zwinności i niewiarygodnej prędkości Witeldon uniknął ciosu.

Zrobił wślizg i mijając potwora, dźgnął go w lewe biodro. Podniósł się, wykręcił młynca i uderzył ponownie. Tym razem bez skutku. Patiensus zablokował cios kolcami wyrastającymi z ramienia. Inkwizytor, cofając się, robił piruety i wyprowadzał zamaszyste cięcia. Wykorzystując

zaawansowane techniki, stworzone do walki z wielkimi demonami, niwelował możliwości ataku potwora. Oddawał przestrzeń, wykonując akrobacje i odskoki przed brutalnymi zamachami bestii.

Wysłannik mroku spróbował ciosu oburącz od dołu. W odpowiedzi Witedon wykonał efektowny przewrót i wysoki wyskok. Zatopił miecz w ramieniu potwora, który akurat był w ruchu. *Catherine* przeorała jego mięśnie.

Mężczyzna nie czekał na to, co zrobi bestia. Ruszył przed siebie. Skręcił w bok, zrobił obrót, przeszedł pod prawym ramieniem wampira i wykonał czyste cięcie. Tym razem *Patiensus* zaryczał. Jego rany na nodze i górnej kończynie były płytkie, więc szybko się zasklepiły, jednak trzecie trafienie mocno go okaleczyło. Inkwizytor rozpruł cały prawy bok, zagłębiając w nim niemal połowę ostrza z *Sidereum*, najdoskonalszego metalu, który spadł kiedyś z nieba na ziemię. Krew z pluskiem popłynęła na podłogę i jego zbroję.

Cały czas w ruchu, stawiając pewnie kroki, wymierzył kolejny cios. Broń znów zakosztowała posoki. Wydawać się mogło, że plecy wampira naznaczyła śmiertelna rana. Gorzki jęk oznaczał bolesne i ciężkie obrażenia. Człowiek z *Wyobraźnią* chciał już z nim skończyć, lecz *Patiensus* wykonał energiczny zwrot i zamachnął się prawą łapą.

Nawet wyjątkowy refleks nie pozwolił mężczyźnie zareagować. Uderzenie zważyło go z nóg. Pancierz wytrzymał kontakt z ostrzami potwora, jednak prawy naramiennik został mocno uszkodzony. Metal wgiął się, miażdżąc ciało, a cios wyrzucił go w powietrze. Upadł kilka metrów dalej, uderzając twardo o ziemię. Mimo że ból przyćmił część jego zmysłów, musiał działać. Wiedział, że ma sekundy, nim drapieżnik znów się na niego rzuci.

Z małego metalowego pojemnika, przypiętego do boku, wyjął coś, co przypominało biały piasek. Sprawnym ruchem ręki rozsypał go, tworząc przed sobą równy półokrąg. Zdecydował ułamek chwili. Wampir gotów był runąć na niego z impetem, jednak jego cielsko rozbiło się o niewidzialną ścianę. Zderzenie z niedostrzegalną barierą było tak silne, że dało się słyszeć pęknięcie kości.

Uświęcona Sól Lady Sary powstała, gdy odparowana została woda z jej łoż. Tysiące lat temu była ona królową państwa-miasta *Amedrot*. Owa metropolia dostała się w oblężenie wyjątkowo licznych demonicznych armii. Jej mąż, król *Rederic*, walczył ze swymi rycerzami i Inkwizytorami w obronie

domu, rodziny i poddanych. Gdy poległ, kobieta do końca swojego życia nie przestała płakać. Żal za straty i złość na sługi piekielne, a może i ingerencja samego Stwórcy, uczyniły z jej łez trucizną zabójczą dla wszystkiego, co plugawe. Po tylu latach z wody została tylko sól. Posypana na broń, wzmacniała ją w walce z demonem. Użyta tak, jak zrobił to Witeldon, tworzyła nieprzepuszczalną i niewidoczną dla oka barierę, przez którą nie przejdzie nic, co nie ma w sercu choć odrobiny wiary w Boga.

Mężczyzna wstał, skupiając się całkowicie na dwóch rzeczach: ignorowaniu bólu i właściwym dobraniu słów.

- Ignis Sanctum - co oznaczało Święty ogień.

Z jego dłoni błysnęły płomienne języki. Objęły Patiensusa, który zaryczał w agonii. Minęła sekunda, gdy żar zwiększył swoją moc i cisnął wampirem na drugi koniec areny.

Witeldon podniósł z ziemi miecz. Spojrzał na bestię. Widział, że oparzenia i rany na jego ciele zablizniają się. Zniknęły również wszystkie posiniaczenia, a naramiennik przestał być problemem. Walczący zmierzyli się wzrokiem i ruszyli na siebie. Tylko po to, by któryś zasłużył na audiencję u Śmierci.

Pierwszy zaatakował człowiek. Tuż przed bestią ostro skręcił w lewo. Piekielny byt skorygował swój bieg, lecz źle przewidział dalszy bieg zdarzeń. Jego przeciwnik wykonał szybki obrót w prawo i niebezpiecznie skrócił dystans. Zasięg ramion stał się teraz jego wielkim mankamentem. Patiensus nie mógł chwycić Sługi Bożego, a ten zamierzał to wykorzystać.

Wbił ostrze głęboko w pierś potwora, rozrywając jedno z dwóch serc. Cios przeszedł na wylot. Zaparł się, i wkładając w to całą siłę, wyrwał *Catherine* z ciała plugastwa, przecinając cały lewy obojczyk. Wampir ryknął i próbował odgryźć mężczyźnie głowę. Ten, dzięki nadludzkim reakcjom, z gracją tancerza, zrobił wy krok do tyłu. Wykonał piruet i przeorał mieczem tors bestii. Krew ulewała się litrami. Szybkie pchnięcie i szarpnięcie obnażyło inne wnętrzości. Przeciwnik nie zamierzał jednak umrzeć, i łamiąc prawa, którymi rządzi się śmierć, zaatakował.

Jedno uderzenie pazurów udało się odbić, a drugiego uniknąć, lecz trzecie i czwarte spadły na Witeldona niczym gniew niebios. Jego prawy naramiennik został zdarty wraz ze skórą i ciałem. Cztery długie szpony

wbiły się w lewą pierś i zatrzymały milimetry od serca. Witeldon zacisnął zęby, a z jego ust wyciekła krew.

- Vitae thuscum rate - wydyszał.

Szpony Patiensusa trzymały mocno, lecz czerpiąc siłę z wiary przebił mieczem plugawą łapę oprawcy. Uniósł wolne ramię, a w jego dłoni pojawiła się półprzezroczysta iluminacyjna kosa. Z nienawiścią i determinacją zanurzył ją aż po drzewce w bark potwora. Wampir ryknął głosem, który mógłby zabić niewzmocnionego człowieka. Natychmiast próbował się uwolnić, lecz *Catherine* działała jak kajdanki. Witeldon nie zamierzał puścić.

Jego rany zaczęły się błyskawicznie zablizniać a w ciało wstępowała nowa energia. Użył Zakazanego Słowa. Kosa wysysała siły witalne z krwiopijcy, uniemożliwiając mu regenerację. Obaj mierzyli się swoją nadludzką krzepą. Starcie znów było w impasie. Pytanie brzmiało: czyje ciało pierwsze się ugnie i ukorzy, oddając ducha? Nagle stało się coś nieoczekiwanego, jakby ktoś potrząsnął szachownicą, na której toczyła się gra o największą stawkę. Bok Patiensusa eksplodował krwawą kaszą. Grad runicznych srebrnych kul zagłębiał się w jego ciało. Inkwizytor odetchnął z ulgą. To Lydia ocknęła się ze stuporu i zaczęła działać.

Wampir wiedział, że umrze, jeśli zaraz czegoś nie zrobi. Całą wolą i żądzą przetrwania próbował się zerwać z uwięzi człowieka. Ostrze miecza rozcięło ramię, strzaskało nadgarstek i rozerżnęło na dwoje dłoń. Eteryzna kosa zerwała wielki kawał mięsa, odsłaniając kręgosłup. Przygarbiony Nosferatu cofnął się, wyjąc z bólu. Witeldon, uleczony ze swoich ran, wykonał cięcie od dołu, które zmasakrowało pysk bestii. Połowa podniebienia poszybowała w powietrze. Jeden kiel już nigdy nie będzie przydatny.

Pomimo krytycznego stanu, Patiensus znów zaskoczył szybkością. Wyprowadził cios, odrzucając Inkwizytora na kilka metrów. W pomiot ciemności uderzyły kolejne pociski wystrzeliwane przez Lydię, upuszczając mu krwi i sprawiając ból.

Walcząc o przeżycie, wampir uciekł w stronę przepaści. Wybił się mocno na sprawnych, nieuszkodzonych nogach, i z impetem uderzył o ścianę pomieszczenia. Przebił ją, znikając w odmętach katakumb. Już wcześniej musiał wyczuć znajdujące się dookoła puste przestrzenie.

Kiedy wszystkie gruzy opadły, zapanowała cisza. Witeldon powstał z ziemi i spojrzał na otwór. Gapił się tak przez kilka sekund, po czym

schował miecz do pochwy. *Catherine* dobrze mu służyła w tej walce. Zerknął w bok i ruszył w stronę Lydii. Opierała się o jedną z kolumn. Uklęknął przy niej. Lufy jej nadgarstkowych pistoletów maszynowych były rozgrzane do czerwoności. Kątem oka naliczył ponad sto łusek po nabojach.

Kolory powoli wracały na jej twarz.

- Mistrzu... Ja... Prze... pra... szam - wykrztusiła.

Pokręcił głową.

- Nie masz za co - złapał ją delikatnie za ramiona. - W tym akurat wypadku miałaś pecha - oznajmił.

- Peeecha? - po ruchu jej brwi dostrzegł, że nie rozumiała.

- *Patiensus* swój psychiczny szturm najpierw skutecznił na tobie. Dopiero później próbował to samo zrobić ze mną - wyjaśnił.

Jej oczy zaszklily się.

- Mimo tego i tak spisałaś się doskonale - powiedział, siadając obok. Oparł się o kolumnę i chwycił ją delikatnie za rękę. Sam się zdziwił, dlaczego tak zrobił. Nie puścił jej jednak. Zignorował też fakt, że oparzył dłoń o gorące lufy.

- Pomogłaś mi - rzekł do niej ciepło. - Twój atak przełamał ten morderczy impas - wskazał na miejsce ucieczki wampira. - Ten egzemplarz był niesamowicie silny. Naprawdę potężny.

Oparła głowę o jego odsłonięte ramię. Nie reagował.

- Dodatkowo był wyjątkowo inteligentny.

- Dlaczego? - zapytała.

- Ponieważ uciekł przede mną.

ROZDZIAŁ XVI



DZIĘKUJĘ.

NIBY PROSTE SŁOWO, PRAWDA? JEST JEDNAK NIEZWYKLE SKOMPLIKOWANE W UŻYCIU, CO POKAZUJĄ SAMI LUDZIE. NIEKTÓRZY WYPOWIADAJĄ JE AUTOMATYCZNIE, BEZ NALEŻNEJ REFLEKSJI CZY PRZEMYŚLENIA. DZIĘKUJĘ ZA TO, DZIĘKUJĘ ZA TAMTO... TAK SAMO WYRAŻAJĄ WDZIĘCZNOŚĆ ZA PODANIE BUTELKI WÓDKI, JAK I ZA PREZENT, O JAKIM NAWET NIE ŚNILI. OTWIERAJĄ USTA TYLKO PO TO, BY PUSTA EMOCJA I PŁYTKOŚĆ INTENCJI UJRZAŁY ŚWIATŁO DZIENNE. NIE POTRAFIĄ TCHNAĆ W NIE UCZUCIA. NIE JEST DLA NICH WAŻNE I JUŻ WIELE LAT TEMU WYPADŁO Z ŁASK.

DAWNIEJ BYŁO PEŁNE ZOBOWIĄZAŃ, SZACUNKU I POWAGI. NIE NADUŻYWANO GO I KAŻDY WIEDZIAŁ, ŻE NA DOBRO NALEŻY ODPOWIEDZIEĆ DOBREM. DZIŚ MĘŻCZYZNA POTRAFI UŻYĆ TEGO SŁOWA, ODPOWIADAJĄC NA POCAŁUNEK KOBIETY, A NASTĘPNIE OBEJRZEĆ SIĘ ZA INNĄ. ONA JEST W STANIE PODZIĘKOWAĆ ZA PIERŚCIONEK, BY WYRZUCIWSZY GO, PÓJŚĆ ZA RĘKĘ Z INNYM...

ŻAL.

ZJAWISKO CZĘSTE, ACZ UKRYTE. LUDZIE ZWYKLI MÓWIĆ, ŻE SĄ PANAMI SWOJEGO LOSU. GŁOSZĄ, ŻE WSZYSTKO, CZEGO SIĘ DOTKNĄ, KOŃCZY SIĘ SUKCESEM. ŻE MAJĄ ŚWIADOMOŚĆ KONSEKWENCJI SWOICH DECYZJI. ALE NAWET W NAJBARDZIEJ ZADBANYM OGRODZIE CZAIĆ SIĘ MOŻE CHWAST.

ŻAL JEST MAŁYM POKOJEM W SERCU KAŻDEGO CZŁOWIEKA. TO WŁAŚNIE Z TEGO LOKUM DOBIEGA SZEPT, KTÓRY NIEPOKOI DUSZĘ I GŁOWĘ. GŁOS TEN OPOWIADA O TYM, O CZYM CZŁOWIEK WOLAŁBY ZAPOMNIEĆ. ŚPIEWA PIEŚŃ O UTRACONYCH SZANSACH, NIEWŁAŚCIWIE WYKORZYSTANYCH CHWILACH, ZŁYCH ODPOWIEDZIACH CZY ZBYT PÓŹNO PODJĘTYCH DECYZJACH. MELODIA WPADA W UCHO, A REFRENU NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ. BRZMI W CZŁOWIECZEJ JAŹNI, NICZYM HYMN O SKRZYWDZONYCH I ZAWIEDZIONYCH PRZEZ NIEGO LUDZIACH, O NIEDOTRZYMANIACH SŁÓWACH, O UTRACONEJ RADOŚCI. ŻAŁOWAĆ ZNACZY CHCIEĆ POWIEDZIEĆ **TAK TAM**, GDZIE USTA OPUŚCIŁO **NIE**, I NA ODWRÓT. NAPRAWIĆ COŚ, CO ZOSTAŁO BEZPOWROTNIE ZNISZCZONE. POBIEC, KIEDY SIĘ STANĘŁO I ZOSTAĆ, GDY SIĘ RUSZYŁO.

ŻAL, W PRZECIWIENSTWIE DO WDZIĘCZNOŚCI, MOŻE BYĆ WIECZNY. DLACZEGO? PONIEWAŻ DOTYKA SUMIENIA I ZAWSZE DOTYCZY PRZESZŁOŚCI, A JEJ NIE JEST W STANIE ZMIENIĆ ŻADEN ŚMIERTELNY...

NADZIEJA.

NIEROZERWALNIE POŁĄCZONA Z WIARĄ. PRZECIEŻ NAWET GDY ATEISTA MÓWI „MAM NADZIEJĘ, ŻE UDA JEJ SIĘ WYZDROWIEĆ”, TO CHCE, BY TO SIĘ STAŁO. PRAGNIE, BY LOS ZAJĄŁ TAKIE STANOWISKO. WIERZY, ŻE SIĘ UDA. MIMO ŻE NIE ZAWIERZA ON SWOJEJ INTENCJI STWÓRCY, TO AKTEM TYM USTANAWIA KULT DLA INNEJ SIŁY WYŻSZEJ, DLA PRZEZNACZENIA.

WIEDZY O TYM, CO KOGO SPOTKA, NIKT NIE JEST W STANIE POSIAŚĆ. JEDNAK NADZIEJA NA DOBRO, ZDROWIE I SZCZĘŚLIWE ŻYCIE TLI SIĘ W KAŻDYM. ŹRÓDŁEM WIĘKSZOŚCI ZŁA JEST SAM CZŁOWIEK, W KTÓRYM MOŻE POJAWIĆ SIĘ WIELKA CHĘĆ, BY JAKIEGOŚ BLIŻNIEGO SZLAG TRAFIŁ. ON NA TO LICZY, MA TAKĄ NADZIEJĘ.

KAŻDA DUSZA MARZY I CHCE. TRWA W WIERZE, ŻE WSZYSTKIE PLANY JAKOŚ SIĘ UDADZĄ, A SNY SPEŁNIĄ. NAWET JEŚLI NA ŚWIECIE TYLKO NIELICZNI WYCHODZĄ Z NĘDZY, TO WARTO PAMIĘTAĆ, ŻE MILIARDY ISTNIEŃ CIĄGLE MAJĄ W SERCU SWOJE WŁASNE INTENCJE. CIĄGLE POTRAFIĄ BYĆ WDZIĘCZNI CHOĆBY ZA UŁAMEK TEGO, CO WIDZĄ OZCZAMI WYOBRAŹNI. LUDZKOŚĆ BEZ NADZIEI UPADŁABY JUŻ NA SAMYM POCZĄTKU SWEJ DROGI. WPIERW ODESZŁABY DUSZA, A POTEM CIAŁO...

FRAGMENTY „SŁOWA USTAMI CZŁOWIEKA”, AUTORSTWA MAXIMILIANY TRATOUX.

To samo pytanie padło kolejny raz.

- Naprawdę na dziesięć kilometrów? - zadała je młoda dziewczyna.

- Moja siedemnasta odpowiedź brzmi tak samo jak poprzednie - odrzekł mężczyzna. - Tak.

Dwie godziny temu, po krótkim odpoczynku, dwoje podróżników wznowiło swój marsz. Wciąż otaczała ich architektura śmierci. Lydia zerknęła od czasu do czasu na Mistrza. Efektem walki z wampirem były duże uszkodzenia zbroi. W niektórych miejscach widziała jego gołą skórę. Mogła też dostrzec poranione ciało, które szybko pokrywały nowe struktury komórkowe. W zaledwie kwadrans rany zmieniały się w blizny, a po godzinie tkanki były idealnie zregenerowane. Nawet czarne symbole na ciele wyglądały na nietknięte. Natomiast ona czuła się cała obolała. Podejrzewała, że miną długie dni, nim zejda z niej siniaki. Kiedyś przerażała ją nagłość procesów rekonstrukcyjnych Witeldona.

- Dokąd teraz zmierzamy, Mistrzu? - jeszcze w Sacrum studiowała z nim i Alexandrą mapy tych korytarzy, lecz nic nie pamiętała. Mieli je co prawda ze sobą, lecz w tej plątaniu linii i kółek prędzej umarłaby ze starości, niż nauczyła się nimi posługiwać. Witeldon zakasłał.

- Musimy przejść do następnej windy - oznajmił. Wyczuł jej pytające spojrzenie, więc wyjaśnił. - Ta, którą zjechaliśmy na poziom Zaginionego Miasta, była naszej produkcji. Jednak w miarę postępów w eksploracji ludzie natrafili na inne. Stare, bardzo stare. Mimo że przypominały antyczne podnośniki i systemy opuszczające w starszych częściach Spero, to ich rozmiar i miejsce użycia wykluczały, by zostały zrobione przez kogokolwiek z powierzchni - podrapał się po gołym ramieniu. - Run na nich nikt nie był w stanie ani odczytać, ani powiedzieć, co znaczą.

Kiwnęła głową.

- A co z tamtym bydlakiem? - fakt, że uszedł z życiem, wielce ją niepokoił.

- Z Patiensusem? - wzruszył ramionami. - Tak jak każdy z jego gatunku nie odpuści. Kiedy wyliże rany i odzyska siły, znów zacznie nas tropić i zechce zabić. Jednak mam dla ciebie też dobre wieści, moja droga.

- Czy tutaj cokolwiek może być pozytywne? Omal nas nie uśmiercił. A przecież Mistrz walczył z nim naprawdę, jak równy z równym, a ja wypaliłam w niego ponad sto pocisków - spojrzała mu w oczy. - Nawet większy demon by zaskomlał, a on to zignorował.

W głębi jej duszy dojrzewiała niepewność. W jego interesie było, by jej nie miała.

- Lydio, zawsze ci powtarzałem, że sługi piekieł nie są najsilniejszymi bytami, jakie żyją w czasie i przestrzeni. To prawda, że najczęściej walczymy właśnie z nimi, lecz i wśród nas są istoty, które nie ukłonią się nawet największym kulom - korytarz zaczął wyraźnie schodzić w dół. Jeszcze bardziej niż poprzednio. - Następnym razem, gdy tamten krwiopijca nas zaatakuje, nie użyje już telepatycznych sztuczek. Jego bronią będą kamuflaż, szybkość i siła.

- Naprawdę pocieszające, Mistrzu - kiwnęła głową, uśmiechając się krzywo.

- Zawsze wiedziałem, że poradzę sobie z każdym podłym humorem - parsknął.

Ich kroki stuknęły o kamienne podłoże. W końcu jednak sceneria zaczęła się zmieniać. Otaczające ich szczelnie ludzkie szczątki powoli ustępowały ciemnym skałom, tworzącym ostre i nierówno ociosane ściany.

Inkwizytor wyciągnął rękę i wyrwał mały fragment kamienia. Przez moment obracał go w dłoniach, po czym wręczył dziewczynie. Przyglądała mu się z ciekawością. Lubiła geologię. Minerale i inne surowce zawsze ją interesowały. Niektóre były tak piękne, że można było się zachwycić. Dobłą chwilę badała geologiczny twór.

- To obsydian - powiedziała profesorskim tonem.

- Brawo.

- Przecież to skała wulkaniczna. Skąd ona tutaj i w takich ilościach? - zapytała, wskazując na otaczający ich korytarz.

Przesunął dłonią po powierzchni ściany.

- Pamiętaj, że Ziemia po Dniu Kary była bardzo aktywna i gorąca. Nie umiem powiedzieć, jakie siły w tym wypadku działały w Podmieście. Mogę ci jedynie obiecać, że im głębiej się zapijemy, tym tego kamienia będzie więcej - westchnął. - Nie mówiąc już o masie innych cudów i klątw.

Przełknęła ślinę. Byli tutaj dopiero pół doby, a już widziała takie rzeczy, o których dotąd nawet nie śniła. Dusza i serce upajały się strachem i niepewnością. Wiedziała, że świat pełny był jaskiń, pieczar i głębokich krypt, lecz to, co zobaczyła tutaj, było dla niej nowym doświadczeniem. Nigdy w życiu nie wpadłaby na to, że mogą istnieć takie miejsca. Winda, którą tu dotarli, Zaginione Miasto, katakumby... A przecież to dopiero pierwszy etap podróży. Zimne dłonie lęku chwyciły ją za wnętrzości. Poczula ścisk w piersiach i znów spojrzała na Witeldona. Uspokoila się widząc, że jest przy niej. Wiedziała, że jeśli cały czas będzie dawać z siebie wszystko, to wyjdą z tego cało. W myślach powtórzyła ulubione powiedzenie mistrza - *Jakoś to będzie*.

Spostrzegła, że kości zniknęły i teraz tylko obsydian pokrywał ściany. Nie potrafiła powiedzieć, jak długo była zamyślona. Jeśli jednak Mistrz nie komentował tego, to chyba nie było tak źle.

- Skup się, moja droga, jesteśmy tuż przed zejściem - pouczył Witeldon.

Kurde - pomyślała.

Inkwizytor nie mylił się.

Podziemny korytarz rozszerzył się. Dwoje ludzi weszło do małego pomieszczenia. Miało może z sześć metrów długości i tyle samo szerokości. Wszystkie ściany, z wyjątkiem tej naprzeciwko, były wykonane z gładkiego jak szkło obsydianu. Ktokolwiek zbudował to miejsce, włożył dużo pracy, by

uzyskać tak idealną powierzchnię. Ta gładkość budziła w dziewczynie dziwne odczucia.

Runiczne symbole, na które patrzyła, nie miały dla niej żadnego sensu. Witeldon i Vivienne poświęcili wiele czasu, by uczyć ją runoznawstwa. Mężczyzna zawsze powtarzał, że może to być niezmiernie pożyteczna, bądź śmiertelnie niebezpieczna sztuka. Dlatego powinna ją dobrze opanować. Jednakże znaków, na które teraz patrzyła, nie znała. Zastanawiała się, czy w ogóle są one ludzkie.

Dokładnie w centralnej części ozdobionej ściany zobaczyli oryginalny otwór wejściowy. Wyglądał, jakby został wkomponowany w płaskorzeźbę dwugłowego lwa o zadbanych i bujnych grzywach. Kocie głowy z dumą patrzyły kamiennymi oczami na przybyszów. Choć to było niemożliwe, Lydia czuła się tak, jakby ją oceniały. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy ocena wypadła pozytywnie.

- Mistrzu, czy to zbudowali ludzie? - zapytała niepewnie, stojąc obok niego na środku pokoju.

- Nie jestem w stanie tego stwierdzić, moja droga - wzruszył ramionami i wskazał na nieznane runy. - Inkwizytorzy przeszukali wszystkie tajemne księgi i znaleźli jedynie nic nieznaczące wzmianki, które nie dawały jasnych odpowiedzi. Sawanci Inżynierów zgłupieli, a Magowie ze swoimi skanami mogli jedynie obliczyć wiek tego tworu.

Zaciekawiona zerknęła na mężczyznę.

- Ile im wyszło?

- Dziesiątki tysięcy lat - pokiwał głową. - Zupełnie jakby to coś było starsze niż cywilizacja starej Ziemi i nasza razem wzięte. Moim zdaniem nie jest to możliwe, lecz po co się spierać, gdy masz dowód podany na tacy.

Przekroczyli wejście do kolejnego pomieszczenia, w którym znajdowała się winda. Okrągła, wykonana z grubo ciosanego wulkanicznego kamienia, cała pokryta prastarymi mozaikami. Na lewo i na prawo Lydia widziała wykonane z obsydianu koła zębate i liczne tryby, które bez wątpienia stanowiły mechanizm wykonujący pracę całego urządzenia. Wchodząc zerknęła za siebie i zauważyła sterczącą tuż obok portalu dźwignię. Duży, topornie ciosany wihajster służył zapewne do aktywacji maszynarii.

Nie sposób było zignorować wyryte w kamieniu płaskorzeźby, które przedstawiały gatunek Homo Sapiens. Na jednej przedstawieni byli ludzie

chodzący na czworaka. Rzucali patykami w jakieś potwory, choć może ich orężem były włócznie... Kolejne dzieło tajemniczej sztuki prezentowało człowieka, który wyciąga ręce w kierunku trzech wyższych od niego istot o podłużnych i nienaturalnych głowach. Przeniosła wzrok na trzecią część opowieści. Widziała tam liczne ostrosłupy, które górowały nad całym krajobrazem, lekko zaznaczonym na kamiennej ramie. Wiedziała, jak się nazywają.

- Mistrzu, czy to są...

- Piramidy? - dokończył za nią. - Owszem, moja droga. Mimo że jesteśmy tysiące kilometrów od Alexandrii i miejsc, gdzie je stawiano, to zostały tutaj uwiecznione. Zupełnie jakby przedstawiciele tej społeczności, albo może lepiej byłoby to nazwać cywilizacją, brali udział w ich konstrukcji, albo tylko odnotowywali fakt ich powstania.

Jej palec powędrował w kierunku wielkogłowych postaci.

- A kim oni są?

- Tego nikt nie wie - zaczął. - Być może byli to przedstawiciele kasty rządzącej w tamtym czasie. Nie można wykluczyć również tego, że byli zwykłymi mutantami albo oszpeconymi przez wzmocnienia genetyczne i bioniczne ludźmi - westchnął. - Jest jeszcze jedna teoria, której nie jestem zbyt wielkim zwolennikiem.

- Jaka? - zaciekał ją.

Inkwizytor cały czas przyglądał się wyrzeźbionym w obsydianie tajemniczym bohaterom.

- My żyjemy na planecie Ziemia - na jego twarzy zagościł lekki grymas. - Niektórzy nazywają ją Terra, lecz stosowanie Świętych Słów w tym przypadku nie wydaje mi się trafionym pomysłem. Wracając jednak do tematu, to próbuję ci powiedzieć, że razem z naszym słońcem jesteśmy punktami w morzu gwiazd. Każde z tych promienistych ciał znajduje się od nas bardzo daleko, w przestrzeni, którą nazywamy kosmosem albo wszechświatem. Każda z nich może mieć własne planety - spojrzał na nią. - Wiesz co to oznacza?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Że to wszystko jest gigantyczne i niemożliwe do zbadania?

Pokiwał głową z udawanym uznaniem.

- Dobra odpowiedź, ale co jeszcze?

Patrzyła raz na niego, raz na płaskorzeźby. Nie wiedziała. Spróbował podpowiedzieć.

- Co jest na Ziemi?
- My...? - wybąkała niepewnie.
- Czym my jesteśmy?
- Ludźmi - odpowiedziała już bez wątpliwości.
- To akurat jest oczywiste, ale rozszerz to pojęcie.

Zawahała się, próbując zrozumieć, do czego zmierza i zastygła z na wpół otwartymi ustami.

- Życiem - rzekła szeptem, patrząc na niego. - Jesteśmy życiem, Mistrzu. Zaklaskał w dłonie.

- Brawo - odparł. - Skoro na Ziemi występuje flora i fauna, to powiedz mi jeszcze, co może być na innych planetach, krążących wokół własnych gwiazd?

Już rozumiała.

- Na nich też może być życie - palcem wskazywała trzy postacie, wykute w ścianie. - To są przybysze z innej planety - powiedziała, rozszerzając z emocji oczy.

- Spokojnie, dziewczyno. Mogą być, ale nie muszą - powiedział i wolno ruszył w stronę dźwigni. - Nikt nigdy nie potwierdził kontaktu z nimi. Z istotami z Piekła czy innych wymiarów to tak, lecz nie z innych planet - pokręcił przecząco głową. - O tym nie słyszałem - zakończył, pociągając wajchę.

Winda szarpnęła gwałtownie. Po chwili jazda stała się płynna. Z początku poruszała się ślamazarnie, lecz z każdą sekundą nabierała tempa. Lydia przez moment obserwowała pracę kół zębatach, po czym spojrzała w kierunku Witeldona. Siedział, opierając się o ścianę. Podeszła do niego i kucnęła. Zauważyła, że ma zamknięte oczy.

Usłyszała westchnięcie.

- Czuję w kościach, że chcesz mnie o coś zapytać. Śmiało, młoda damo - rzekł nieporuszony.

Przypatrywała się mu. Rozczochrana, ciemnobrązowa czupryna dobrze komponowała się z dużymi brwiami i zarostem. Niewielkie wąsy i średniej długości broda skrywały większość twarzy i postarzały go. Jej wzrok wędrował dalej. Pancierz miał mocno naruszony. Cały był porysowany

i powgniatany. Od czasu walki z Patiensusem jedno z ramion było bez ochrony. Jego ciało regenerowało się błyskawicznie, nawet blizn nie było już widać, lecz zbroja...

- Mistrzu, Twoje okrycie jest uszkodzone - zaczęła.

Otworzył oczy.

- Spostrzegawczość zawsze była twoją mocną stroną.

- Mówię o tym całkowicie poważnie.

Myślą aktywowała komendę dla własnej zbroi, wykonanej z superlekkiego i wytrzymałego stopu metali. W części okrywającej biodra otworzyły się boczne kasety na zapasowe magazynki.

- Została mi połowa naboarów, a z *Martyris* niebawem zostaną strzepy. Bez niej ten wampir rozerwie Mistrza.

Mężczyzna widział jej zmartwione spojrzenie. Zmienił pozycję i spojrzał na zbroję. Nazywała się *Martyris*, co można było tłumaczyć jako Męczennik.

- Lydio, trochę wiary. Drugi raz nie damy się tak zaskoczyć - zaczął grzebać przy swoim pasie, gdzie miał kasety z wieloma przydatnymi przedmiotami. - Na twoje niedobory amunicji nie mogę zaradzić, ale za to potrafię zacerować moje wdzianko.

Uniósł dłoń, tak by uczennica lepiej mogła się przyjrzeć, co trzyma. Mały, szklany słoiczek. Przypominał pojemnik na atrament, który był niezbędnikiem każdego pisarza czy skryby. Lekko przymknęła oczy, gdyż jasnoniebieskawy blask bijący z naczynia ją oślepił. Nieduża buteleczka świeciła niczym potężna lampa.

- Co to jest, Mistrzu? - zapytała przejęta.

Jego usta drgnęły w lekkim grymasie.

- Prezent, który otrzymałem od istot z innego wymiaru. Uratowałem kiedyś jedną z Matek Łęgu. Od tamtej pory Zyturaw i jego mieszkańcy są dla mnie niezwykle hojni. Patrz uważnie.

Wyciągnął korek. Zawartość pojemnika zaczęła się unosić. Zupełnie jakby z niego wyfrunęła. Światło zmałało, przybierając kształt smugi. Dopiero po chwili zrozumiała, czym był ten dar. Miała przed sobą rój malutkich, mieniących się kolorami insektów, przypominających latające żuki. Skupisko żyłatek, wielkości ziarenek ryżu, obsiadło pancierz Witeldona. Nie znając przeznaczenia stworzeń, Uczennica chciała zareagować, lecz widząc co się dzieje, zamarła z wrażenia. Wszystkie zajęły miejsce przy jego uszkodzonych

fragmentach. Tajemnicze byty pokryły wszystkie rysy i wgniecenia. Usłyszała ciche syczenie, a po chwili pancierz zaczął się odbudowywać. Zupełnie jakby nieożywiony materiał sam się regenerował. Po mniej więcej minucie wyglądał tak, jakby właśnie opuścił warsztat Ikariusza.

- Twój uniform też powinien zostać odświeżony - powiedział, a rój małych cudotwórców przeniósł się na nią.

Przestraszyła się i z początku chciała strząsnąć z siebie żyjątka, lecz przemogła w sobie lęk i pozwoliła im działać. W jej przypadku poszło szybko. Gdy insekty skończyły pracę, sprawnie wróciły do szklanego pojemniczka. Witeldon zakorkował go i schował w panczernej kasecie pasa.

- Zwią się ibrioty, a steruje się nimi za pośrednictwem myśli - wyjaśnił.

Pokręciła głową, pełna szoku i podziwu. Ręką wskazała jego liczne schowki, wbudowane w *Martyris*.

- Ciekawi mnie, jakie jeszcze tajemnice Mistrz tam trzyma.

- Prawdziwy magik nigdy nie zdradza swoich sztuczek - zaczął masować nadgarstek. - Zawsze ma asa w rękawie.

Przesunęła się w stronę mężczyzny i oparła o ścianę.

- Jak długo tym razem będziemy jechać w dół? - zapytała.

- Ta starożytna winda lata świetności dawno ma już za sobą i momentami może zwalniać. Myślę, że jakieś pięć godzin. Zjedziemy prawie siedem kilometrów pod powierzchnię Ziemi. Tam musimy zachować pełną gotowość - nawet na nią nie spojrział. Wiedział, że w tym momencie jej wzrok może parzyć.

Zjeżdżali wolno i w ciszy. Jedynie przekładnie i inne mechanizmy dźwigu grały im swój koncert. Ten stan niezmiernie zadowalał Witeldona. Upływający czas, który poświęcali na błahe czekanie, był dla niego bezcenny. Ponownie zaczął rozmyślać. Doskonale wiedział, że każdy, niezależnie od posiadanych pieniędzy, surowców, mocy tajemnych czy technologii, nigdy nie odzyska tego, co przeżył. Owszem, ludzie nauczyli się tego, jak wydłużać sobie życie, a niektórych los mógł obdarzyć nieśmiertelnością, jak jego, lecz to, co było, zawsze już pozostanie czasem przeszłym. Ludzkość może próbować wpływać na teraźniejszość a nawet na przyszłość, lecz przeszłość pozostaje poza zasięgiem wszelkich działań. Tak było, tak jest i tak będzie po wieki wieków.

On mógłby trwać w rozmyślaniach jeszcze długo, lecz nie jego uczennica. Ona nigdy by mu nie pozwoliła na samotne dryfowanie w odmętach duszy.

- Jak można nic nie robić, tylko siedzieć i czekać?

Człowiek z Wyobraźnią westchnął, co można było uznać za jedną z jego ulubionych aktywności.

- No cóż - zaczął. - Cała sztuka polega na... siedzeniu i milczeniu. A to jest skomplikowane w swojej prostocie, nieprawdaż? - spojrzał na nią.

Mocno zacisnęła zęby, a jej policzki pokryła czerwień. Po chwili odetchnęła głęboko i...

- Jak Mistrz to robi?

Uniósł w górę brew.

- Jak robię co?

Zacisnęła ręce w pięści i tupnęła nogą.

- To, że w jednej chwili może Mistrz działać szybciej niż oko uchwyci, a w następnej jest jak posąg. Raz jest w stanie wygłosić mowę, po której człowiekowi brakuje słów, a innym razem mówi półsłówkami. Jak Mistrz może znać się tak dobrze na broni, skomplikowanych sprzętach i zwykłych rzeczach - spojrzała mu w oczy. - Co takiego trzeba było zrobić, by być kimś doskonałym we wszystkim?

Witeldon przesunął się minimalnie. Chciał ją lepiej widzieć.

- To nie przyszło od razu - pomasował kark. - Pamiętaj o tym, że ja chodzę po tym świecie już bardzo długo. Mając tyle czasu i takie zasoby, byłem w stanie stać się wszechstronnym. Dzięki temu mogłem również zwiększyć swoje zdolności poznawcze i wiedzę, by lepiej wypełniać obowiązki. Uwierzysz albo nie, lecz od dziecka odznaczałem się wielką ciekawością. Chciałem dowiedzieć się wszystkiego o wszystkim. Ta cecha została ze mną. Wierzę, że na zawsze.

Spoglądała przed siebie i zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

- Niemal wszyscy ludzie, których spotkałem na swojej drodze, za czymś gonili. Jeden za szczęściem, drugi za sukcesem, następny za bogactwem, a jeszcze inni za miłością, nieśmiertelną sławą, wiedzą absolutną. Wymieniać można bez końca. Ja nie muszę się z niczym spieszyć. Czas mnie nie ściga. Nie oznacza to jednak, że go nie szanuję. On trzyma w objęciach wszystko wokół. Cały świat obraca się w proch, a ja jestem stały - wydało się jej, że posmutniał. - To właśnie utrata ludzi boli mnie dziś najbardziej.

- Mistrz musiał wiele razy przez to przechodzić?

- Zbyt wiele, jeśli mam być szczery. Tykający zegar, który kontroluje rzeczywistość, to jedyna rzecz, przed którą czuję absolutny respekt. Wiesz dlaczego?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Ponieważ to właśnie on zabierał mi w życiu tych, którzy byli dla mnie cenni - rzekł i zamilkł. Nagle, niespodziewanie, zupełnie, jakby ktoś mu odebrał dar mowy.

Zerknęła na niego. Był nieobecny. *Znowu pochłonęły go wspomnienia* - pomyślała. Spędzając z Inkwizytorem dużo czasu, nieraz widziała, gdy w chwili względnego spokoju, jak teraz, odpływał w zakamarki umysłu.

Rytuał, który uczynił z niego nadczłowieka, gwarantował mu idealną pamięć. Każdy szczegół, zdanie, sytuacja, twarz czy czyn pozostawały z nim na zawsze. Podczas trwającego już prawie cztery milenia żywota, Inkwizytor wielokrotnie stawał nad grobami swoich licznych śmiertelnych sojuszników i wrogów. Lecz to nie miecz i nie kula ich zabiły, a starość. Tych, których żegnał wychwalając bądź potępiając, nie były dziesiątki. To były tysiące istnień, które zgasły na wietrze życia, podczas gdy jego duch ciągle płonął. Taki stan rzeczy dokładał ciężaru niesionemu krzyżowi. Witeldona Walszartiego można było określić mianem mężczyzny konsekwentnego i okrutnego. Wiódł życie bez przebaczenia, litości i wahania. Jednak dziewczyna widziała czasami jego inną stronę. Pomimo całej swojej potęgi nadal był człowiekiem. To było źródło jego prawdziwej siły, ale też sposób na zadanie mu największych ran.

Lekko ścisnęła jego dłoń.

- Ja się nigdzie nie wybieram, Mistrzu - oznajmiła. - Zostaję z Tobą - jej dotyk przybrał na sile.

Zareagował. Spojrzał na nią swoimi ciemnymi oczami. Wzrokiem pełnym bólu, śmierci, obowiązku i determinacji wpatrywał się w Lydię, pełną energii, ciekawości, młodości i ideałów. Ścisnął delikatnie jej palce pancerną rękawicą.

- A ja z tobą.

Tylko Stwórca wiedział, ile czasu mogliby spędzić zaglądając w głąbie swoich dusz, lecz ich trans przerwał głośny zgrzyt windy. Widząc rozbiegany wzrok Lydii, mężczyzna zareagował.

- Spokojnie, nic złego się nie dzieje - zaczął. - To nie powód do paniki.

Jej serce zwolniło, a umysł się uspokoił. Zerknęła na czasomierz wbudowany w ramię zbroi. Jechali czterdzieści dziewięć minut. Nie znośła czekać na rozwój akcji, a wizja siedzenia jeszcze przez cztery godziny w jednym miejscu była dla niej straszna. Postanowiła więc wrócić do jednego ze swoich ulubionych zajęć.

- Mistrzu...?

Westchnięcie oznaczało, że ryba połknęła przynętę.

- Słucham.

Uśmiech zagościł na jej ustach.

- Znam historie dotyczące *Catherine* i *Victoire*, ale nigdy nie słyszałam nic o *Martyris*.

- Nie słyszałaś, ponieważ to niewiele warta opowieść o wielkich smutkach. Nie ma w niej większej wartości dydaktycznej, lecz nie jest to też nic, co wymagałoby hartowania przez ciebie ducha - zauważył, że zaciekawił ją tym stwierdzeniem, więc nie miał wyjścia i kontynuował opowieść. - Pancierz liczy sobie ponad piętnaście tysięcy lat - w duchu ucieszył się, widząc jej zaskoczenie. - W tamtych zamierzchłych czasach żył Dante Boleas, który tak samo, jak ja, był członkiem Świętego Oficjum. Ciekawa persona, przewodniczący Konklawe Atlantis i Opiekun Zakazanej Biblioteki. Każdy Inkwizytor ma nielimitowane zasoby, dostęp do najlepszego sprzętu i najbardziej tajemnej wiedzy. Lecz on mógł sobie pozwolić na wyjątkowe cuda. Brał udział w licznych wyprawach, dzięki którym mógł rozbudować swoje zbiory i zabezpieczyć niebezpieczne artefakty. Mimo że wykonywał swoje obowiązki sumiennie, to jednak miał jedną wadę. Brzydził się bionicznymi wszczepami i obawiał się kalectwa. Postawił sobie zatem za cel budowę zbroi, która sprosta jego wygórowanym wymaganiom.

Dante był zmyślnym konstruktorem, dlatego wraz z nieskończonymi planami, schematami i tomami rozpraw o projektowaniu ochronnych skorup, które odnajdywał w Zakazanej Bibliotece, postanowił spełnić swój sen. Był Inkwizytorem, więc jego słowa były dla wszystkich prawem i każdy musiał go słuchać.

Zmusił do współpracy cały Żelazny Komitet Inżynierów, do którego należeli najbardziej wpływowi przedstawiciele tej organizacji. Pracę podjęli najwięksi Techno-sawanci. Również najznamienitsi rzemieślnicy Kuźni

połączyli siły z mistrzami płatnerstwa Inkwizycji. Materiał, z którym pracowali, nazwano ferradantium. Pochodził ze świata Ferrusi od inteligentnych golemów, które, o dziwo, posiadały dusze. Surowiec ten jest niezwykle wytrzymały na uszkodzenia mechaniczne, termiczne i magiczne. Nie można go rozpuścić żadnym kwasem ani zasadą. Minusem jest spory ciężar, lecz jeśli Dante był w tej zbroi ociążały, to moja siła ten efekt niweluje.

Mistrzowie runoznawstwa wykuwali na jej powierzchni swoje przesycone magią znaki. Ich natura i znaczenie było tak samo święte, co piekielne. Zbroję pobłogosławili ówczesny Pontifex Maximus o znamienym tytule Dei Repraesentativum i Pierwsza Kanoniczka, czyli najstarsza Matka, reprezentująca wszystkie siostry zakonne – westchnął i na moment zamilkł. – To, co udało im się stworzyć, bez wątpienia budziło respekt i trwoęę. Jednak Dante długo się tym nie nacieszył.

– Co się stało? – zapytała.

– Został uduszony – parsknął, gdy ujrzał jej minę. – Los potrafi z nas zadrwić w okrutny, lecz prześmieszny sposób, nieprawdaż? Wtedy właśnie nastąpiły Pierwsze Inkwizycyjne Wojny. Był to okrutny konflikt, w którym członkowie Świętego Oficjum wyrzynali się jak bestie. Zbroja gwarantowała mu świetną ochronę, co zostało dobrze udokumentowane, lecz o ile metal był nieugięty, jego kark już nie. Został zdradzony przez własne Konklawe i zabity przez sojuszników. I właśnie wtedy zaczęła się historia tej zbroi.

– Z klątwą? – wtrąciła.

Mruknął coś pod nosem, lecz nie zrozumiała co.

– Ta skorupa nie jest przeklęta w oczywisty sposób, moja droga. Nie ulega wątpliwości, że każdy, kto ją nosił, kończył w marny sposób. Upadek i skręcenie karku, kolejne uduszenie, tajemnicza śmierć we śnie, dekapitacja, utonięcie, to tylko fragment tej listy. Właśnie dlatego zbroi nadano miano Męczennika. Każdy, kto ją przywdział, umierał w niedługim czasie.

– A jak długo Mistrz nosi to na sobie?

– Od czasu, gdy dokonano na mnie rytuału Umęczonego Łowcy, czyli prawie cztery tysiące lat. Dlatego śmiem wątpić w fatum. Moim zdaniem to wszystko, co się wydarzyło, to zbiegi okoliczności i różne oblicza pecha – poprawił wąs. – Niezależnie czy naprawdę na zbroi ciąży jakaś złowroga siła,

czy nie, i tak bym ją nosił, ponieważ służy mi wyjątkowo dobrze. Uwierz, że niewiele jest pancerzy, które zapewniają ochronę przed szponami Patiensusa. Poza tym nie jestem typem strojnisia.

Pokiwała głową.

- Vivienne nadrabia za Mistrza z nawiązką.

- Rzeczywiście ma bardzo wyszukaną garderobę.

- Niektóre jej kreacje są bardzo... zmysłowe - dziewczyna wydeła usta.

Zapatrzył się refleksyjnie w głąb pomieszczenia.

- Na niej wszystko wygląda zmysłowo. A jeśli mówimy o niej, to przyszła mi do głowy inna myśl.

- Jaka?

Zakaszła.

- Czy pod moją nieobecność świat na powierzchni nie kona w ogniach wojny?

ROZDZIAŁ XVII



PRIORYTET I

TYP BADAŃ: ANALIZA BIOLOGICZNO-MISTYCZNA, OCENA MATERII I AURY.

PRZEDMIOT/OSOBA/STWORZENIE/ANOMALIA: MISTRZ INKWIZYCJI, WITELDON WALSZARTI.

CZŁOWIEK PŁCI MĘSKIEJ. WZROST 182 CM. WAGA 66 KG. OSOBA W WIEKU BIOLOGICZNYM WYNOŚĄCYM 19 LAT I 281 DNI, PODDANA RYTUAŁOWI UMĘCZONEGO ŁOWCY **[BRAK DANYCH]**. EFEKT PRZEDSIĘWZIĘCIA PRZERÓSŁ OCZEKIWANIA. MĘŻCZYZNA PRZEŻYŁ I BYŁ PIERWSZĄ UDANĄ PRÓBĄ NA 783 NIEUDANE **[POWODY ZGONÓW NIEZNANE]** **[DANE UTAJNIONE]**. NA PROŚBĘ **[ROZKAZ]** ŚWIĘTEGO OFICJUM JA, AORTRET KUNTIS, MISTRZ INŻYNIERII GENETYCZNEJ I BADAŃ NAD MUTACJAMI MAGICZNYMI, PRZEPROWADZIŁEM CZYNNOSCI BADAWCZE, MAJĄCE NA CELU DOKŁADNY OPIS ZMIAN, JAKIE ZASZŁY W CIELE I UMYŚLE WITELDONA WALSZARTIEGO.

OD RYTUAŁU DO DNIA TESTÓW MINEŁY RÓWNO DWA WIEKI. OBIEKT WYKAZUJE CAŁKOWICIE ODNOWIONE I ZMIENIONE STRUKTURY KOMÓRKOWE. ZWIĘKSZONA SIŁA, ZMNIĘSZONY CZAS REAKCJI, NIEZWYKŁA REGENERACJA, GIGANTYCZNA WYDOLNOŚĆ ORGANIZMU I USPRAWNIONE ZDOLNOŚCI MÓZGOWE TO NAJBARDZIEJ WIDOCZNE Z ULEPSZEŃ. KAŻDĄ KOMÓRKĘ JEGO CIAŁA UCZYNIŁO DOSKONAŁĄ. ANALIZUJĄC MATERIAŁ GENETYCZNY I PORÓWNUJĄC GO Z TYM OD ZWYKŁYCH LUDZI, MOGĘ WYSNUĆ HIPOTEZĘ, ŻE INKWIZYTOR WITELDON PRZEDSTAWIA SZCZYT MOŻLIWOŚCI WYDOLNOŚCIOWYCH GATUNKU LUDZKIEGO **[WYMAGA DALSZYCH BADAŃ]**. INNYMI SŁÓWY JEGO ISTNIENIE TO APEKS SZTUCZNEJ INGERENCJI W GATUNEK HOMO SAPIENS. JEGO CIAŁO ZOSTAŁO WZMOCNIONE W NAJEFEKTYWNIJSZY Z MOŻLIWYCH SPOSOBÓW. ŚMIEM TWIERDZIĆ, ŻE KAŻDY ATOM JEGO FORMY PRZESZEDŁ TRANSFORMACJĘ W CZYSTĄ DOSKONAŁOŚĆ. NIE JEST MI ZNANA ALCHEMIA, KTÓRA BY MOGŁA CZEGOŚ TAKIEGO DOKONAĆ **[BRAK DANYCH]** **[TAJNE]**.

NIEZNANE MI SYMBOLE WYRYTE NA JEGO CIELE WYKAZUJĄ NIESPOTYKANE WŁAŚCIWOŚCI NIWELUJĄCE MAGIĘ I WSZELKIE DEMONICZNE WPŁYWY. ZOSTAŁEM ZAZNAJOMIONY Z MATERIAŁAMI OPISUJĄCYMI KONANIE W MĘKACH PIEKIELNYCH SŁUG, SPOWODOWANE SAMYM JEGO DOTYKIEM. RUNY SPISANE KRWIĄ DEMONA **[NIEZNANY GATUNEK]** SĄ STEROWANE JEGO UMYŚLEM. OSOBNIK TEN MOŻE WYTWORZYĆ POTĘŻNE POLE, NEGUJĄCE WSZELKIE MOCE TAJEMNE, KTÓREGO NIE MOGĄ LEKCEWAŻYĆ NAWET MAGOWIE WYŻSZYCH STOPNI. JEDNAK JEŚLI UZNA ON STOJĄCEGO OBOK SIEBIE CZARNOKSIĘŻNIKA ZA SOJUSZNIKA, CZY Z JAKICHKOLWIEK INNYCH POWODÓW NIE BĘDZIE

CHCIAŁ ZAGŁUSZAĆ JEGO ZDOLNOŚCI, OWA SIŁA WYTLUMIAJĄCA NIE BĘDZIE DZIAŁAĆ NA TEGO PRZEDSTAWICIELA KRĘGU [**MOŻLIWE INNE PRZYNALEŻNOŚCI**]. POZWALA TO NA REALIZACJĘ NIESAMOWITYCH PLANÓW TAKTYCZNYCH. NASTĄPIŁO ZNACZNE ZWIĘKSZENIE SIŁY WOLI I CAŁKOWITA ODPORNOŚĆ NA PSYCHOZĘ, STRACH BĄDŹ ZABURZENIA HALUCYNOGENNE.

CIEKAWYM ASPEKTEM JEST BRAK MOŻLIWOŚCI UPICIA SIĘ [**GLIFY WYPALAJĄ ALKOHOL**] [**ZWIĄZEK TRAKTOWANY JAK TRUCIZNA**]. CZŁONEK ŚWIĘTEGO OFICJUM ZNANY JAKO WITELDON WALSZARTI POSIADŁ RÓWNIEŻ MOŻLIWOŚĆ KONTROLOWANIA I PRZEKIEROWYWANIA STRUMIENI MAGII, CO POZWALA MU NA ODBIJANIE WROGICH ZAKŁĘĆ.

OSTATNIM WAŻNYM ZAZNACZENIA PUNKTEM JEST PRAWDZIWA I STABILNA NIEŚMIERTELNOŚĆ [**POTWIERDZONE**]. OBIEKT NIE STARZEJE SIĘ FIZYCZNIE. KAŻDY JEGO PROCES KOMÓRKOWY JEST IDEALNIE ODTWARZANY I SZTUCZNE POSTARZANIE PRÓBEK NIE PRZYNOSIŁO ŻADNYCH ZMIAN [**PRÓBA CZASOWA 150 TYSIĘCY LAT W PRZÓD**]. ASPEKT DEGENERACJI PSYCHICZNEJ TEŻ WYDAJE SIĘ ZATRZYMANY, BĄDŹ CO NAJMNIJ MOCNO SPOWOLNIONY [**WYMAGA DALSZYCH BADAŃ**].

RAPORT WYŚLANY ZA POMOCĄ KRYSTAŁU MYŚLOWEGO Z CYTADELI WYJĄCYCH DUSZ DO INKWIZYTORSKICH KONKLAWE SPERO,
ATLANTIS, LONDINUM, MOSKOWIS, SYDNEY, ONIYRO, MONTREAL, ANTARCTICUS I BRASILIUS.

Ogień zaporowy na dziesiątą i jedenastą! – krzyknął Ursus.

Sekundę później obszar, który wyznaczały wskazówki zegara, rozbłysł powodzią migoczących strumieni z karabinów świetlnych. Ludzie wbiegający w kanonadę niemal od razu byli paleni na proch bądź rozczłonkowywani na zwęglone mięsne strzępy. Obok ucha kapitana świsnęła pocisk, który uderzył w stalowe poszycie jednego z boksów mieszkalnej Dzielnicy IV-75. Zostawił za sobą smugę iskier.

- Ostrzał, szukać osłony! – huknął swoim tubalnym głosem i przeskoczył za odłupany fragment gigantycznej, kamiennej rzeźby, zagracającej ulicę.

Grad kul z samoróbek i kradzionej broni lepszej jakości spadł na żołnierzy Inkwizycji. Dwóch wydało stłumione okrzyki i padło na ziemię, kolejnych trzech także dosięgły pociski. Stwórcy niech będą dzięki, ich zbroje wytrzymały.

- Wsparcie lotnicze dla mojej pozycji – mówił szybko przez wewnętrzny kanał łączności. Krótkie trzaski oznaczały próbę kontaktu.

- Tutaj Koliber V, zgłasza się Skaza, proszę o zaznaczenie celu – oznajmił profesjonalnym, lecz nerwowym tonem.

- Się robi, chłopcze.

Wielkolud zerknął na jednego z Mortusów. Nie widział twarzy, ponieważ wszyscy prócz niego mieli hełmy. Biała czaszka na pancerzu odpowiedziała mu, z kim ma do czynienia.

- Mirton, daj mi dalmierz - rozkazał. - Wiemy gdzie są, trzeba ich wykurzyć. Granaty dymne i osłaniać mnie - złapał rzucony przyrząd i wychylił się zza osłony.

Ludzie uwolnili specjalne bomby, które szybko pokryły okolicę ciężką sztuczną mgłą. Tracąc cel z oczu, napastnicy zaczęli strzelać gdzie popadnie. To pozwoliło mu działać.

Wysunął się zza tymczasowej kryjówki i wyciągnął przed siebie rękę. Trzymał przedmiot podobny do lunety, z którego wystrzelił wiązkę lasera. W ten sposób próbował namierzyć wroga. Zaawansowane technicznie urządzenie wyposażone było w maszyny różniczkowe, które dostarczały informacje bezpośrednio do Kolibra. Promień zaświecił pośród morza mgły. Zbliżał się ryk silnika.

- Eliminacja za dziesięć sekund.

Hałas był tuż za nim.

- Pięć sekund.

Ostry świst, za którym poszła fala eksplozji i ognia, niemal go ogłuszyły, lecz również przegoniły z pola bitwy dym.

- Cel unieszkodliwiony, wracam na optymalny kąt lotu - przekazał pilot.

Mężczyzna z toporem na plecach wiódł wzrokiem za śmiercionośną maszyną. Po chwili wydał rozkaz trzydziestoczteroosobowemu oddziałowi. Walki trwały ponad godzinę i podległa mu grupa zdążyła stracić czterech żołnierzy. Łącznie do tej pory poległo dwudziestu jeden ze wszystkich drużyn.

Przebiegali po dopalających się szczątkach dziesiątek wychudzonych dusz. Rakiety i bomby burzące zdruzgotały ich ciemności i całą aleję. Obszar o długości niemal dwustu metrów zamienił się w pobojuwisko.

Jego komunikator wydał z siebie piszczący dźwięk.

- Wschodni plac i niższe blokowiska pod kontrolą. Kierujemy się w waszą stronę przez bulwar, przy przepompowniach wodnych IV-75 a i b - raportowała Alexandra. W tle słyszeli syk karabinów *Cereus*.

- Idziemy prosto na plac główny do budynku administracyjnego. Dołączycie do nas - rzucił, a ze swojego pistoletu posłał pocisk plazmy

w człowieka wychylającego się zza gruzów. Nieszczęśnik upadł bez krzyku. W miejscu klatki piersiowej żarzył się otwór wielkości głowy.

Mortusi zajęli pozycje strzeleckie za resztkami stalowych barykad opuszczonych przez przeciwnika, i prowadzili morderczy ostrzał. Mieli lepszy zasięg i większą siłę ognia.

- Umocnij pozycję przy wejściu do głównej alei. Drużyna 1 i 3 już zabezpieczają boczne, ale ta cholerna biedota wyjątkowo licznie tam zagościła - Szpieg-mistrzyni nigdy nie przykładała wagi do stosunków z innymi członkami Sacrum. Można było to wyczuć w rozmowie. - Czekaj na nas i uderzymy razem.

Gestami wydawał rozkazy swoim żołnierzom. Podzielił ich na dwie grupy. Jedna przygwoździła wroga strumieniami laserów, a druga przesuwała się od osłony do osłony, skracając dystans. Kolejna kula plazmy zwęgliła ludzkie ciało.

- Ci ludzie zbyt się rozpanoszyli, kobieto - nie miał czasu na dyskusję, był z nią równy stopniem. - Nacieram od razu, korzystając ze wsparcia lotniczego.

W komunikatorze usłyszał warknięcie.

- Ursus, ty... - wyciszył na chwilę łącze. - ...tyle mam do powiedzenia na ten temat - zakończyła.

- Ja ciebie też - rzucił i skupił się na walce.

Wychylił się zza fałdy poskręcane go złomu. Daleko przed sobą widział koniec ciągnących się kilometrami bloków. Tam właśnie zaczynał się plac główny z najważniejszym budynkiem w całej dzielnicy. Obserwował biegnące na nich kolejne fale ludzi, którzy uzupełniali ubytki po zabitych. W oddali dostrzegł błyski światła. Interwenci ciągle walczyli z powstaniem. *Ci, którym się nie popierdoliło w głowie* - stwierdził w duchu.

Poruszenie biedoty, z którym walczyły siły Inkwizycji, było na swój sposób wyjątkowe. Dzielnica IV była bardzo blisko serca miasta. Mimo że ogień buntu trawił jej najniższe poziomy, odgródzone od górnego Spero, to zagrożenie było wielkie. Święte Oficjum zazwyczaj nie zajmuje się walką z pospólstwem, dlatego do jego stłumienia został oddelegowany oddział stu Interwentów. Jednak ci, zamiast przywrócić porządek, dołączyli do wroga. Sytuacja z trudniej stała się dramatyczna, a bez wsparcia lojalnych sił nawet przegrana.

Stwórca, jak zawsze, czuwał nad swoimi dziećmi. Ludzie Witeldona Walszartiego już od kilku godzin prowadzili działania operacyjne w zbuntowanych dystryktach. Do ich pełnej mobilizacji wystarczyły niepokojąco wędrujące w górę wskaźniki demonicznej energii. Zdrada miejskich wojsk nakreśliła im tylko nowe wytyczne i cele.

Ursus ocenił sytuację pod względem taktyki. Przekłęci powstańcy naciskali na nich frontalnie, lecz wiedział, że znajdowali się również w metalowo-betonowych kamienicach po bokach. Dostanie się pod ostrzał z trzech stron było samobójstwem, dlatego podjął odważną decyzję.

- Wataha, mam plan - oznajmił.

- Jaki, kapitanie? - zapytał Timothy. Dzierżył wielką wyrzutnię rakiet, choć ze wszystkich Mortusów był najdrobniejszej postury.

- Ty, Guntar, Izolda, Mieti i reszta z ciężkimi spluwami zostajecie tutaj i czekacie, aż odbijemy ten budynek z prawej. Ja zabieram pozostałych, łącznie z Johasem - wymieniony kiwnął głową i mocniej ścisnął granatnik. Kapitan tymczasem wysłał awaryjne wezwanie wsparcia. - Zadaniem tych na ulicy jest utrzymać się i czekać na dodatkową grupę uderzeniową. Będzie tutaj za kwadrans. Ja z pozostałymi przejmujemy kontrolę nad blokiem i zmusimy szczury z boksów po drugiej stronie do wystawienia się na ostrzał. Ciężkim sprzętem rozprujecie ich na kawałki - zerknął jeszcze raz na wszystkich. Niektórzy patrzyli na niego, inni przeładowywali broń, większość strzelała ze swoich prowizorycznych stanowisk. - Jakies pytania?

- Żadnych! - krzyknęli jednych tchem.

Zdjął z pleców *Behemota* i naładował pistolet plazmowy.

- To jazda z tematem - rzucił się biegiem w kierunku wejścia do bloku. Połowa drużyny poszła za nim, a reszta rozpętała na ulicy prawdziwe pandemonium.



Pocisk wystrzelony z pistoletu przeszył głowę kobiety. Unik i przejście w bok. Zamaszyste cięcie przepołowiło kolejnego przeciwnika. Nagły wypad z rapierem technologicznym skończył się przebitym sercem. Wojowniczką, ubraną w mistrzowsko wykonany lekki pancerz nie czekała na uznanie. Dwa kolejne naboje rozsadziły czaszki odzianych w łachmany nędzników.

Bezimiennych dla całego świata. Następnym dwudziestu biegnęło wprost na nią. Nie panikowała. Wyszarpnęła klingę z martwego ciała i stanęła dumnie.

- Ognia! - głos Alexandry pokonał panujący wokół hałas.

Na jej rozkaz z lewej i z prawej strony wystrzeliły strumienie białego, skoncentrowanego światła, które spaliły na popiół wszystkich szarżujących. Zapadła cisza, którą Mortusi wykorzystali do zmiany zwojów energetycznych w karabinach świetlnych i wyciągnięcia ogniwi, co miało przyspieszyć chłodzenie.

- Oddział, ruszamy!

Wszyscy Mortusi bez wahania wykonali jej polecenie. Szli teraz pośród metalowych aparatów i stalowych maszyn. Przepompownie i oczyszczalnie wody znajdowały się w niemal każdej dzielnicy miasta, na jej niższych poziomach. Połączone w całość i współpracujące, tworzyły ogromny system transportu wody. Były to swoiste żyły Spero. Miliony ludzi każdego dnia zmuszano tam do niewolniczej pracy. Tylko dzięki tej ofercie z tysięcy istnień, które w katastrofalnych warunkach ginęły każdej doby, kolejne miliony mogły przeżyć chociaż kolejny dzień.

Uzbrojeni po zęby ludzie biegli przez mechaniczny i nitowany labirynt. Obok płynęła rzeka nieprzetworzonej wody. Spieniona, mętna, pełna różnych nieczystości, niosła koniec w mękach i w gorączce. Dlatego żadna z oczyszczalni nie mogła zostać zniszczona. Konsekwencje byłyby zbyt wysokie. Alexandra dała znak, by się zatrzymali.

- Powód postojów? - zapytała Uluta Piukr w stopniu Quintus. Była dowódcą tego oddziału. Rangę Quartus nosili ci, którzy w bój prowadzili całe grupy uderzeniowe. Mianem Tertium określani byli Alexandra, Ursus i Lydia. Secundus to Vivienne, a tytuł Primus należał do Witeldona. Hierarchia była prosta, tworzyły ją liczebności porządkowe ze Świętych Tekstów. Piąty, czwarty, trzeci, drugi, pierwszy.

Szpieg-mistrzyni kucnęła i dłonią wskazała na podłogę. Część żołnierzy skierowała wzrok w tamtą stronę. Palcem lekko szarpnęła za linkę niczym za strunę od gitary. Wymownie spojrzała na pytającą.

- Pułapki - powiedziała Uluta i cofnęła się o krok, patrząc dookoła. - Proszę o pozwolenie na skanowanie.

- Na takie rzeczy nie potrzeba zezwoleń. Wykonywać swoje obowiązki - warknęła.

- Tak jest - kolejno zaczęli włączać konsolety wbudowane w ich pancerze.

- Są lepsze metody niż przeczesywanie wszystkiego centymetr po centymetrze. Ja nie mam na to czasu.

Z metalowego pojemnika przymocowanego do pasa wyjęła małą, zakorkowaną butelkę. W środku był biały, wirujący dym. Rzuciła flakonik na podłogę. Szkło pękło, uwalniając zawartość. Mgła szybko rozprzestrzeniła się po podłożu, pokrywając coraz większy obszar. Ich oczom ukazały się liczne aktywatory śmiertelnych urządzeń. Po chwili wszystkie żyłki i druty zniknęły.

- Co to za magia? - wyrwało się komuś.

Alexandra parsknęła, a widząc zdziwienie żołnierza, poczuła satysfakcję.

- Mgła z krain Suszal. Nigdy nie pozwoliła, by nieumarli panowie tamtych ziem zostali zaskoczeni przez świętą sprawiedliwość. Jednak ona i tak po nich przyszła. A teraz naprzód i broń w pogotowiu.

Nikt nie zadawał pytań. Każdy wiedział, że przy niej nie ma miejsca choćby na moment rozprężenia. Biegli przed siebie pordzewiałą aleją. Karabiny w dłoniach czekały na okazję.

Skrećili w prawo. Po drugiej stronie rzeki znajdowała się grupa buntowników. Zbieranina blisko dwudziestu ludzi szła w luźnym, nieskładnym szyku w tę samą stronę.

- Dlaczego nas nie usłyszeli? - zapytał ktoś na wspólnym łączu.

Szpieg-mistrzyni westchnęła. Nawyk ten przejęła od Inkwizytora.

- Pomyśl, głupcze. Może dlatego, że zagłuszają nas przepompownie.

Hałas maszynerii mógł przyćmić wszystkie odgłosy, może z wyjątkiem wybuchu bomby czy ostrej strzelaniny.

- Jakie rozkazy, Pani? - zapytała Quintus.

- Zgładzić - Alexandra nie wahała się.

Sekundę później grzeszników dosięgło światło Bożej kary. Kompletnie nie spodziewali się kaźni. Promienie karabinów spopieliły w chwilę połowę odzianych w łachmany mieszkańców dzielnicy. Dwa uderzenia serca później drugą salwę przeżyła tylko para ludzi wroga. Na wpół przytomni, przywarli do betonowego bloku. Odpowiedzieli ogniem, lecz żaden ich strzał nawet przez chwilę nie stanowił zagrożenia.

- Ogień automatyczny - rozkazała.

Mortusi przełączyli broń w tryb ciągły i rozpętali prawdziwy armagedon. Kanonada pulsacyjnych laserów w mgnieniu oka rozpuściła sztuczne tworzywo i anihilowała dwójkę biedaków. Nakazała wznowić pochód. Byli jeszcze daleko do końca zadania.

Reszta drogi w trzewiach systemów filtrujących wodę minęła bez niespodzianek i starć. Wojownicy Inkwizycji wyszli na zewnątrz. Dopiero wtedy ich oczom ukazał się ogrom zniszczeń. Ulice i budynki płonęły, a wszędzie wały się fragmenty stali i betonu. Zrujnowane zabudowania zagradzały przejścia. Walki trwały dopiero piątą godzinę. W tym czasie zabito tysiąc dwustu osiemdziesięciu siedmiu buntowników. Inkwizycja straciła dwudziestu jeden ludzi.

Biegli w nieregularnym szyku w obawie przed granatnikami i raketami odłamkowymi. Udało im się przybliżyć do celu swojej podróży o kolejny kilometr, nie napotykając przy tym żadnych sił oporu, poza jakimś samotnikiem, uzbrojonym w obrzyna. Jego śmierć była szybka.

Kolejne starcie czekało ich przy skrzyżowaniu trzech ulic, z których jedna prowadziła bezpośrednio do placu głównego. Akcja rozwinęła się szybko. Mortusi przemieszczali się w chaotycznej formacji, niczym prawdziwa sfora na polowaniu. Nagle, z jednego okna bloku naprzeciwko, błysnęło światło. Któryś z żołnierzy krzyknął z bólu.

- Snajper! - wrzasnął żołnierz Boży o imieniu Bernard i chwycił za ramię padającego druha. Obaj runęli za resztki barykady.

W tym samym momencie z bocznych uliczek, przylegających do alei, którą zmierzali, wyłonili się przeciwnicy. Czarnoopancerzeni precyzyjnym ogniem wyeliminowali pierwszych. Strzelec wyborowy, zajmujący miejsce w odległym budynku na wprost nich, oddał drugi strzał. Tym razem niecelny. Każdy z Mortusów znalazł osłonę, a wszyscy przyjęli specjalną taktykę walki. Ludzie Witeldona w sposób trudny do przewidzenia wychylali się zza barier i ostrzeliwali atakujących obłąkanych. Ogień nie był przygważdżający, lecz uniemożliwiał zostanie trafionym przez strzelca wyborowego.

Alexandra zastrzeliła szarżującą łysą kobietę. Chwilę później centymetry od jej twarzy rozprysł się beton. Zwinnie uskoczyła w bok i znalazła się za wielką stalową balustradą. Tutaj nie mógł jej dosięgnąć żaden pocisk.

Ten snajper nie jest wybitny. Nigdy nie powinien celować w głowę - stwierdziła.

Dostrzegła, że za jej kryjówką walczyło jeszcze troje jej ludzi. Jeden prowadził ostrzał, drugi leżał nieruchomo, a trzecia z osób próbowała mu pomóc.

- Co z nim? - zapytała.

Z klatki piersiowej rannego sączyła się krew.

- Miał pecha - odpowiedziała Uluta Piukr, klęcząca przy poszkodowanym.

- Oberwał z pocisku kalibru co najmniej pół cala. Uważam, że strzelec ma karabin z Kuźni Inżynieryjnych, model X0141. Poznają ten charakterystyczny świst. Coti ma strzaskane żebra, przebite płuco, a krwotok wewnętrzny go wkró... - wystrzał z pistoletu Alexandry w głowę mężczyzny przerwał raport Quintus.

Żołnierka spojrzała na Szpieg-mistrzynię z mieszaniną przerażenia i gniewu.

- On i tak był już martwy, a my nie mamy czasu na takie rzeczy, moja droga - powiedziała beznamiętnie i zerknęła przez niedużą dziurę w osłonie, by ocenić sytuację.

Obłąkańcy wciąż nadchodzili małymi grupkami. Niektórzy, zachowując dość rozumu, prowadzili urywany ostrzał zza gruzowisk. Ci, którymi bez reszty zawładnęła złość bądź zwierzęcy szal, uzbrojeni w prymitywną i przerdzewiałą broń biegli w ich stronę. Buntowników ciągle przybywało, a Mortusi nie mogli zostać związani walką wręcz. Byłoby to zgubne.

- Żądam wsparcia ogniowego na wskazane przeze mnie pozycje - rzekła, otwierając połączenie z pilotami Kolibrów.

Niemal natychmiast komunikator zapikał z informacją zwrotną.

- Melduje się Magma. Mam na skrzydłach Vikarego i Paolę. Zbliżyliśmy się do odpowiedniego kąta podejścia - oznajmiła pilotka myśliwca numer VIII.

- Oznaczam cele - powiedziała opancerzona kobieta.

Posłużyła się Monokulem, który wiele lat temu dostała od Witeldona. Był to niewielki przyrząd optyczny, pozwalający obserwować odległe obiekty z dużą dokładnością. Jednak ten egzemplarz, wykonany ze srebra i pokryty runami, był urządzeniem naprowadzającym. Patrząc przez szparę w osłonie, doskonale widziała wszystko, co się działo przed nią. Jakość obrazu i przybliżenie pozwalały nawet dostrzec snajpera i jego odległe stanowisko. Mężczyzna, ubrany w często cerowane moro, stał w cieniu budynku. Karabin oparł o przerdzewiały stół. Brodacz o długich, niestrzyżonych włosach

i jasnobrązowej brodzie rzeczywiście miał broń pochodzącą z Kuźni Inżynierskich. Zagadką stanowiło to, jak wszedł w jej posiadanie.

Alexandra skończyła zaznaczać obszary do bombardowania. Niektóre były bardzo blisko ich pozycji. W oddali dał się słyszeć ryk trzech statków powietrznych.

- Kiedy usłyszycie świst, padnijcie i zachowajcie pełną gotowość do ataku - rozkazała przez radio. Potwierdzali przyjęcie rozkazu krótkimi piknięciami.

Bitwa trwała w najlepsze, a szarża biedoty ze Spero zyskiwała momentum. Lasery, wystrzeliwane z inkwizytorskich karabinów, zwęglaly ciało i topiły kości. Kolejny Mortus został powalony na ziemię, gdy uderzył w niego grad kul. Zbroja popękała w wielu miejscach, lecz zdała trudny egzamin. Kobieta oparła się mocnej o beton i, w imię Stwórcy, kontynuowała ostrzał.

Hołota zdołała podejść na tyle blisko, że Szpieg-mistrzyni mogła użyć pistoletu. Trzy, wykonane z wielką precyzją pociski przeciwpancerno-rozsarpujące, zagłębiły się w ludzkich ciałach. Była to paskudna śmierć. Nabój najpierw przebijał zbroję, a po zagłębieniu się w ciało detonował i rozrywał ofiarę. Troje niemych przeciwników zaczęło tonąć we własnej krwi. Kolejny strzał Alexandry przyniósł następnego trupa. Dwaj żołnierze, walczący obok niej, dezintegrowali następnych sześciu pechowców. Gdzieś w oddali wybuchł granat, a jej wyświetlacz siatkówkowy pokazał symbol śmierci w boju. Życie stracił następny sługa Boży.

Nagle powietrze przeszył świst, od którego mogły popękać uszy i zęby. Runęła na ziemię jak długa. Sekundę później świat dookoła rozdarł szereg eksplozji. Przysypały ją pył, kurz i odłamki. Łomot silników Kolibrów skończył się tak niespodziewanie, jak się zaczął. Maszyny wzbiły się wysoko w niebo, gdzie miały czekać na następne wezwanie.

Ostrożnie podnosiła się. Spadały z niej resztki kamieni i drobny gruz. Rozejrzała się i z zadowoleniem stwierdziła, że w bombardowaniu nie zginął żaden z jej ludzi. Widok, który miała przed oczami, napawał jej serce satysfakcją i radością. Blok mieszkalny, gdzie swoje gniazdo uwił snajper, nie istniał. Całą ulicę mogli skreślić z mapy. Dookoła widać było sterty betonowych skał i setki metalowych prętów, sterczących niczym wbite włócznie. Gdzieś tam dało się dostrzec szczątki zabitych, jednak większość przeciwników wyparowała. Przez moment unosiła się po nich

krwawa mgiełka, marne i chwilowe świadectwo ludzkiego żywota. Lista wrogów zdolnych przetrwać bombardowanie nie była długa.

Szpieg-mistrzyni ze swoimi żołnierzami w ciszy przemierzali miejsce niedawnej kaźni. W oddali wciąż słychać było odgłosy walki. Wojna o Dzielnicę IV trwała w najlepsze.

W ich stronę czołgała się poraniona kobieta. Wsparcie ogniowe Kolibrów urwało jej obie nogi na wysokości kolan. Straciła też dłoń lewej ręki. W prawej trzymała ząbkowany nóż, którego używała niczym czekana na wspinaczce górskiej. W ten sposób mogła się przemieszczać. Nie sposób było rozpoznać oryginalny kolor jej stroju. Wszystko przykrywała mieszanina kurzu, błota i posoki. Zaciskając zęby i przymykając oczy z bólu, zbliżała się do członków Świętego Oficjum. Z warg ściekała jej strużka krwi. Posklejane włosy mogły kiedyś mieć kasztanową barwę.

Jeden z Czarnoopancerzonych uniósł karabin, by dobić konającą. Alexandra dała jednak sygnał, by się wstrzymał. Jej skanery na soczewkach siatkówkowych pokazały, że poza nożem kobieta nie miała przy sobie innej broni. Nie była więc samobójczynią, obwieszoną ładunkami wybuchowymi.

Inkwizytorski pochód zatrzymał się trzy metry od rannej. Szpieg-mistrzyni stanęła dumnie i patrzyła na umierającą. Miała piękne szmaragdowe oczy. Alexandra nigdy takich nie widziała. Tak żywy kolor, że aż nienaturalny.

- Dlaczego... - zaczęła, nabierając tchu i plując krwią. - Dlaczego nas mordujecie? - zapytała w mękach.

Ledwo trzymała ostrze w dłoni. Leżała bokiem na brzuchu i bez mrugania wpatrywała się w Alexandrę, która pozostawała niewzruszona.

- Wystąpiliście przeciwko władzy miasta, sprowadzając na nie zagrożenie. Dodatkowo w waszych szeregach czai się zepsucie - mówiła stalowym tonem, bez emocji i bez litości. - Naszym zadaniem jest je wykorzenić i przywrócić tu porządek - dodała i kopnęła kobietę w dłoń, odrzucając na bok nóż.

- Myśmy jedynie chcieli żyć - pisnęła cicho i skuliła się. Mięśniami zaczęły targać skurcze.

Ubrana w zbroję z symbolem wagi postawiła stopę na karku dogorywającej.

- W takim razie po co wybraliście śmierć? - rzekła i nacisnęła na kręgi szyjne ofiary. Trzask pękających kości był kropką w historii życia kolejnego człowieka.

Gestem nakazała kontynuować podróż. Kiwnęli głowami i poszli za nią. Nikt nie powiedział ani słowa...

Kurwa - pomyślał Ursus. Niby jedno słowo, a zastępuje tyle skomplikowanych wyjaśnień. By nie dostać się pod ostrzał, wbiegł do budynku, który zamierzał odbić. Nie przyszłoby mu nigdy do głowy, że już w pierwszym korytarzu będzie czekało na niego stanowisko ciężkiego karabinu maszynowego. Nie była to żadna z wyszukanych i nowoczesnych broni z Kuźni Inżynieryjnych, lecz zwykła, topornie wykonana i prymitywnie skrecona samoróbka większego kalibru.

Szybko skoczył do bocznego pomieszczenia, unikając dzięki temu serii pocisków. Pokój, w którym wylądował, miał wszystkie cechy charakterystyczne, zarezerwowane dla dzielnicy ubogich mieszkańców Spero. Surowe, betonowo-stalowe ściany w szarym kolorze dobrze komponowały się z metalowymi i syntetycznymi meblami, które prostotą dorównywały jedynie swojej brzydocie. Podłoga tonęła w śmieciach i resztkach. Kapitan powstał, a upewniwszy się szybkim skanowaniem, że jest w pomieszczeniu sam, zbliżył się do framugi pozbawionej drzwi. Po przeciwnej stronie korytarza, tuż za rogiem, stali jego Mortusi.

Johas z granatnikiem był pierwszy. Ciężki Karabin Maszynowy blokował im drogę, jednak mieli plan działania na takie sytuacje. Żołnierz odpiął od pasa mały przedmiot podobny do dysku i spojrzał Wielkoludowi w oczy. Ten kiwnął głową, dając znak do działania, jednocześnie przeciążając swój pistolet plazmowy. Broń zaczęła emanować bladoniebieskim światłem. Grenadier, lekko wychylając dłoń zza ściany, rzucił zamasyście dyskiem. Ładunek przeleciał cztery metry i eksplodował w błysku oślepiającej poświaty i ciężkiego dymu. W następnej sekundzie również Ursus wycelował i wystrzelił potężny pocisk zjonizowanego gazu w stronę stanowiska karabinu. Dobrze zapamiętał jego lokalizację. Trafił. Wybuch, który wstrząsnął murami, oznaczał koniec przeszkody i heretyków.

Po chwili mglista zasłona opadła i nie atakowani słudzy Inkwizycji przebiegli korytarzem. Schodami dostali się na drugie piętro, gdzie znów rozpętała się zacięta walka. Z każdego wykutego w ścianie otworu i drzwi szedł morderczy ostrzał, przygważdżając Mortusów. W ruch poszedł

granatnik Johasa, który z wielką wprawą miotał ładunki, nie zważając na latające dookoła pociski i odłamki. Każdy granat z olbrzymią mocą oczyszczał przestrzeń z buntowników. Żołnierze Świętego Oficjum, bez strat, przesunęli się na szczyt bloku, pokonując jeszcze cztery kondygnacje. Im byli wyżej, tym mniejszy był opór przeciwnika.

Gdy znaleźli się na dachu, Ursus spojrzął na ulicę. Oceniał, jak radzi sobie reszta oddziału. Jego ludzie, którzy zostali na otwartym terenie, przesunęli się pod budynek. Mogli stąd odpierać ataki idące z głębi alei, i mieli osłonę przed strzałami z zabudowań położonych naprzeciwko. Szarżujący mieszkańcy Dzielnicy IV licznie ginęli od zaporowego ognia z ciężkich karabinów *Cerus*, strzelb laserowych, dział odłamkowych i wyrzutni rakiet, która burzyła kolejne części miasta przejętego przez wroga.

Kapitan zerknął na kraniec dachu, na którym stali. Był on bezpośrednio złączony z następnym.

- Oddział, ruszamy! Przygotować ładunki kasetowe - zagrzemiał i zaczął biec.

Jak jeden mąż rzucili się za nim. W mig znaleźli się na drugim bloku. Z klatki schodowej wynurzali się kolejni buntownicy. Rzeź, jaką zgotowali Czarnoopancerzeni, nie tylko pozbawiła ich życia, zdzierając ciało z kości, lecz też posłała w zapomnienie grzechy, których się dopuścili. W walce zginął Fiołek, jeden z Mortusów, trafiony w wizjer hełmu. Straty po stronie buntowników były tak duże, że zmusiły ich do wycofania się. Po stronie Oficjum były minimalne. Tylko jedna nowa dusza trafiła do Stwórcy.

Dwóch żołnierzy Inkwizycji pilnowało wejścia, a reszta, po dokładnym przeskanowaniu, montowała w podłodze bomby kasetowe. Chwilę później Ursus otrzymał na wyświetlaczu siatkówkowym potwierdzenie uzbrojenia ładunków.

- Szykować się - rozkazał i wcisnął runę aktywującą, wbudowaną w pancerzu przy nadgarstku.

Rozłożone materiały wybuchowe przypominały nieduże patelnie. Dzięki mechanizmom dociskowym, włączone dokładnie przylegały do podłoża. Słysząc było trzask betonu, gdy kolejno wgryzały się w powierzchnię. Zaraz potem rozległ się dźwięk, podobny do podajników automatycznych. Po przebiciu się przez sufit wyrzuciły z siebie morze granatów odłamkowych. Eksplozje i krzyki umierających jasno dały do zrozumienia, jak groźne są to

urządzenia. Dodatkowo w powstałe otwory Mortusi wrzucali bomby błyskowo-ogłuszające, by zasiać wśród buntowników jeszcze większy zamęt. Po ich detonacji do wnętrza wskoczyli ludzie Inkwizycji, prując z karabinów świetlnych. Kompletnie rozbici, wykrwawiający się i zdziesiątkowani heretycy nie byli w stanie odpowiadać skutecznie na taki atak.

Ursus wylądował twardo na nogach. Opancerzone stopy lekko zapadły się w starej podłodze, lecz jej nie przebiły. Inaczej spadłby piętro niżej, co już kiedyś mu się przytrafiło. Pistoletem plazmowym pozbawił życia dwóch ludzi, odzianych w prymitywne metalowe płytki ochronne, które i tak nie dawały im żadnych szans na przeżycie. Trzecim był starszy mężczyzna, uzbrojony w długi nóż. Kapitan widział, że w drugiej dłoni, ukrytej pod brudnym płaszczem, trzymał jeszcze jeden sztylet. Nie dał się zaskoczyć i kiedy tamten uniósł rękę, by zadać cios, złapał go za nią, chwycił za gardło i z wielką siłą cisnął w stronę okna. Starzec przebił szyby i runął kilka pięter w dół, wrzeszcząc w przerażeniu. Jego krzyk urwał się, gdy uderzył o ziemię. Dowódca Mortusów odwrócił się, by ocenić sytuację. Jego ludzie zlikwidowali wszystkie ogniska oporu.

- Raport - zażądał.

Mężczyzna odziany w czarny pancerz zbliżył się i zasalutował. Pomimo hełmu, który zasłaniał twarz, wiedział z kim ma do czynienia. Mechaniczne protezy prawej nogi i lewej ręki wskazywały na Igora Melaza. Quintus na wbudowanym w bioniczne ramię projektorze wyświetlił hologram bloku, w którym przebywali.

- Cały budynek oczyszczony, mój Panie - wskazał organiczną ręką plan struktury. - Ci ludzie nie są zdyscyplinowanym wojskiem. Kiedy tylko usłyszeli nasze kroki na dachu, zebrali się w tym pomieszczeniu - zakaszłał. - Nie wiedzieli, że czeka ich tu piekło.

Ursus uśmiechnął się z przekąsem.

- Ciekawe określenie, jeśli mówimy o efekcie działań ludzi, którzy decydują się, by walczyć z tym, co diaboliczne.

Członek służb specjalnych, sprawny dzięki zaawansowanym technologiom, kiwnął głową, rozumiejąc, do czego pije jego dowódca.

- Tak jest, Sir.

Wielkolud włączył swój komunikator.

- Jak wam idzie? - skierował pytanie do tych, którzy zostali na ulicy i oczyszczali drogę do głównego placu.

- Zgłasza się Izolda, mój Panie - głos kobiet tonął pośród huku wystrzałów. - Wróg się wycofuje. Mamy trzysta siedemdziesiąt dziewięć potwierdzonych zabitych. Ciągłe napieramy i dociskamy te szczury - długa seria z działa odłamkowego spowodowała chwilowe milczenie. - Trzysta osiemdziesiąt sześć potwierdzonych zabójstw, dowódco. Buntownicy opuścili budynki, bo musieli się zorientować, że mogą zostać odcięci. Koncentrują się na ulicy.

- Straty?

Głośny rumor, który słyszał na zewnątrz, był efektem eksplozji rakiety burzącej.

- Straciliśmy Hugo, Bonia, Ukilę i Mietiego - jej głos, pomimo adrenaliny i otaczającego chaosu, przez moment stał się smutny i statyczny. Śmierć towarzyszy broni nigdy nie była prosta.

Westchnął, wyciszając na moment połączenie. Nienawidził tracić ludzi, zwłaszcza gdy ginęli walcząc z niewinnymi. Kapitan nie był zaślepiony religijnym szaleństwem jak niektórzy kapłani, nienawiścią do słabości jak Witeldon, czy do całego gatunku ludzkiego jak Alexandra. Wiedział, że każdy, kto skonał z ręki Inkwizycji, walcząc o IV Dzielnicę, był czysty w oczach Stwórcy. Węże czające się wśród tej społeczności jeszcze się nie ukazały. Na razie pchnęły na rzeź głodne i pełne strachu dusze. Człowiek zrobi wszystko, by przetrwać. Nawet jeśli wie, że podejmując walkę, na pewno zginie. Ta cecha motywowała ludzi do osiągnięcia największych kamieni milowych w rozwoju cywilizacji, lecz też przynosiła cierpienie. To, co działo się na jego oczach, w czym brał teraz udział, zapisze się czarnym atramentem w historii Spero. Gdyby pomieścić wszystkie takie dramaty w jednej księdze, powstałby tom, którego on sam nie dałby rady unieść.

- Przyjąłem. Schodzimy do was i kontynuujemy natarcie - powiedział.

- Czekamy, Sir.

Kapitan rozłączył się i spojrzał na zebranych wokół ludzi. Niektórzy przez otwarte wizjery obserwowali zniszczone i płonące zabudowania. Na ich twarzach malował się spokój. Nie pierwszy raz niszczyli po to, żeby chronić.

- Wataha, idziemy wspomóc resztę - rozkazał i ruszył biegiem w stronę schodów.

Z tyłu słyszał kroki. Mortusi podążali za przywódcą. Jego wyświetlacze siatkówkowe skanowały każdy mijany korytarz. Buntownicy skoncentrowali swoje siły na ostatnim piętrze. Nie było to rozropne, ponieważ przy zaskoczeniu i nagłym przełamaniu obrony, w odwodzie nie było żadnych jednostek, które mogłyby kasać napastników podczas ataku.

Z ogromną szybkością wybiegł na główną ulicę, o którą toczyli walki. Od razu spostrzegł, że ten fragment został już oczyszczony z wrogów. Wszędzie walały się częściowo spopielone, częściowo zwęglone trupy. Liczba zabitych była tak wielka, że w niektórych miejscach powstały sterty martwych ciał. Widok nie należał do przyjemnych i optymistycznych. Ludzkość, choć stanowiła gatunek zdolny i twórczy, sama się niszczyła.

Opancerzone stopy Ursusa dudniły o betonową drogę. Mężczyzna widział Sługi Boże, które pochowane za osłonami, prowadziły cierpliwy i metodyczny ostrzał. Gdy zmuszą wroga do odwrotu, zajmą jego pozycje i znów będą próbować zepchnąć go głębiej. Za każdym razem taktyka ta przynosiła Inkwizycji pozytywny skutek.

Starcia nasilały się. Zwykle, wykonane metodą chałupniczą, prymitywne naboje, z hukiem rozbijały się o broje członków Świętego Oficjum. Będące cudami techniki lasery, potężne rakiety i serie granatów odłamkowych miażdżyły nieszczęśników. Heretycy wykorzystywali swoją liczebność i desperację do tego, by szarżą wziąć Mortusów. W jednej sekundzie dziesiątki mężczyzn i kobiet ruszało sprintem przez otwarty teren ulicy, w stronę swoich katów. Skoncentrowany ogień zamienił ich w krwawą mgłę. Wyparowywali, nie czując bólu, strachu czy zimna. Śmierć była w ich życiu jedyną strawą, której mieli pod dostatkiem. Pod jej postacią ofiarowano im wybawienie od własnej marności.

Sukces sił ładu nie trwał długo. Ataki buntowników nie pozwalały na chwilę spokoju i odpoczynku. Ich pozycje przez cały czas były pod ogniem. Choć lasery i materiały wybuchowe posyłały na sąd Boży coraz więcej zagubionych dusz, to po jednej fali ruszała kolejna. Druga została rozbita, trzeci potok zatrzymany, czwarta wypalona świętym ogniem. W końcu jednak Mortusi musieli przeładować broń. Wojenny hałas przycichł, lecz ataki buntowników nie ustały...

Dystans między walczącymi zmalał w ułamku sekund. Grad kul, wystrzelonych z broni ręcznej, miał teraz podwójną moc. Prymitywne naboje uderzyły o beton, za którym chowali się żołnierze Inkwizycji, z taką siłą, że

ten zaczął pękać i odpadać. Niektóre, niczym rój wściekłych os, dosięgły opancerzonych, nim zdążyli się skryć. Trzech upadło na brudną i pokrwawioną ziemię. Podniósł się tylko jeden. Jego zbroja była potrzaskana w wielu miejscach. W odpowiedzi Timothy wycelował i odpalił najpotężniejszy pocisk ze swojego podręcznego arsenału.

Uniósł broń wysoko w niebo i wystrzelił. Świetlista kula oślepiła na moment wszystkich, których oczu, jak Mortusów, nie chroniły hełmy z nowoczesnymi wizjerami. Błyszczący obłok zniknął w gęstych chmurach, a chwilę później, niczym meteor z kosmicznego królestwa, spadł w sam środek buntowników. Wyzwolona moc była straszliwa. W epicentrum uderzenia powstały błyskawice, które zamieniły w pył wszelką organiczną materię. Rozchodząca się energia najpierw wróciła, niczym zassana, a po chwili rozlała się w formie fali tajemnej siły, pozbawiającej na zawsze wzroku. Od tego druzgoczącego uderzenia zapadł się cały fragment ulicy, a dwie najbliższe kamienice runęły. Niszczycielska emisja rosła jeszcze przez chwilę, po czym w mgnieniu oka skurczyła się do małej kulki. Nim ktokolwiek zrozumiał co się dzieje, drobna bańka pękła z mocą huraganu, zmiatając wszystko w promieniu kilkudziesięciu metrów.

Całą okolicę spowiyły kurz i mgła. Garstce buntowników udało się przeżyć tylko dlatego, że znaleźli się zbyt blisko pozycji Mortusów. Zaatakowali pomimo marnej widoczności. W ruch poszły zardzewiałe maczety, siekiery, widły i włócznie. Natarcie rozjuszonych tłuszczy spotkało się z natychmiastowym oporem ludzi Inkwizycji, wyposażonych w noże bojowe z hartowanej stali i wielostrzałowe pistolety odłamkowe, działające jak kartacze. W takich warunkach wszystko zależało od czasu reakcji. Oczy Mortusów, trenowane przez lata i zaprawione w wielu starciach, dawały im przewagę.

Pojedyncze, suche strzały kończyły kolejne żywoty. Jakość broni miała decydujące znaczenie w pierwszych sekundach tych igrzysk śmierci. Klingi wykonane ze złomu pękały w starciu z ostrzami z Kuźni Inżynieryjnych i pancerzami Bożych katów. Noże ludzi Ursusa bez problemu wchodziły w ciała buntowników, cięły wątłe kości i masakrowały ścięgna tak, jakby ktoś rękami rwał nici. Trzy tuziny nędzników odzianych w łachmany upadło na zniszczoną ziemię. Żaden nawet nie dotknął swojego zabójcy. Jednak sytuacja znów zaczęła się zmieniać. Kolejny raz należało przeładować broń i wymienić puste magazynki. Heretykom może i brakowało umiejętności,

wyszkolenia oraz sprzętu, ale nie można im było odmówić desperacji, fanatyzmu i liczebności. Śmiercionośny strzał Timothy'ego zabił setki, lecz zostało jeszcze dwudziestu szaleńców wymachujących żelastwem.

Guntar, jeden ze sług Inkwizytora, wbił nóż w gardło garbatego i zniszczonego przez życie mężczyzny. Szybkim ruchem przerznął je. Następna była szarżująca kobieta, którą chwycił za rękę i dźgnął w oczodół tak, że ostrze dosięgło mózgu. Targały nią jeszcze pośmiertne konwulsje, gdy ze ściany pyłu wyszedł kolejny napastnik. Uzbrojony w wielką metalową rurę z przymocowanym betonowym kłocem, zamachnął się na Mortusa. Żołnierz odskoczył, unikając kontaktu z prymitywnym młotem. Przekoziółkował i będąc na klęczkach, chwycił sztylet i szybkim ruchem cisnął przed siebie. Trafił napastnika prosto w czaszkę, przebijając ją i powodując jego śmierć.

Z bitewnej zawieruchy wyłoniła się obszarpana, pokryta posoką dziewczyna. W jednej dłoni trzymała zakrwawiony, długi na pół metra, ząbkowany nóż o ostrym czubku. Palce drugiej zaciskała na popękany hełmie, który zabrała zabitemu Mortusowi. Spojrzał na nią. Była przeciętnego wzrostu, z długimi nogami i szczupłą sylwetką. Nosiła bury strój z syntetycznej, utwardzanej skóry. Jej twarz zrobiła na nim wrażenie. Wielkie, jasnoniebieskie oczy, cera bledsza niż u umarłego, wychudłe policzki i małe sine usta sprawiały, że przypominała chodzącego trupa. Kruczoczarne włosy zdawały się pochłaniać światło niezniszczonych jeszcze latarni. Spojrzała na Mortusa. Jej wzrok był zimny, obojętny i bez życia. Zupełnie jakby pogodziła się, że już jest w grobie.

Upuściła swoją zdobycz i z piskiem rzuciła się na mężczyznę. Natychmiast próbował powstać i ruszyć jej na spotkanie, choć za oręż miał jedynie opancerzone ręce. Pech chciał, że przy wstawaniu podłoże pod nim zaczęło się zapadać. Stracił równowagę, a padając, w lot zrozumiał, że nie uchroni się przed atakiem. Zaklął i zaczął szybko myśleć o obronie.

Nieznajoma skoczyła z dziką furją, niczym drapieżne zwierzę chcące mu przegryźć tętnicę. Widział jej obnażone zęby. W ostatniej chwili usłyszał huk niczym z armaty. Ciało trupio białej kobiety zmieniło się w krwawą miazgę. Od pasa w górę przypominało kupę zmielonego mięsa, poprzątkanego skórą. Z początku nie wiedział, co się stało, lecz gdy zerknął w bok i zobaczył Izoldę, która trzymała dymiący jeszcze pistolet odłamkowy, zrozumiał, komu zawdzięcza ratunek. Ich wzrok spotkał się.

- Dziękuję - powiedział.

- Nie ma za co. A teraz wstawaj i walcz.

Nim zdążyła wykonać jakikolwiek ruch, niespodziewanie obok niej wyrósł kolejny buntownik. W dłoni trzymał coś, co przypominało widły. Był zbyt blisko, by zdołała wykonać unik. Bezwiednie spięła się i czekała na uderzenie. Pozostało jej wierzyć, że pancerz, który nosiła, wytrzyma uderzenie. Tym razem śmierć nie była jej jeszcze pisana. Sycząca kula plazmy trafiła napastnika w ramię, zmieniając je w zwęglony kikut. Gorący gaz wgrzyzał się w klatkę piersiową, jego krew wyparowała, a narządy wewnętrzne ugotowały się. Buntownik osunął się na ziemię z obojętnym wyrazem twarzy. Koniec przyszedł tak szybko, że umarł nieświadomy tego, co go pozbawiło życia.

Powietrze przecięły promienie karabinów świetlnych, które dobijały ostatnich heretyków. Izolda odwróciła się. Chciała poznać swojego wybawiciela. Widok, który ujrzała, sprawił, że jej usta zaczęły wypowiadać cichą modlitwę. W ich kierunku biegł Ursus, wymachując *Behemotem*. W dłoni trzymał pistolet plazmowy, który po oddanym strzale wciąż jeszcze emanował poświatą. Po bokach dotrzymywali mu tempa inni słudzy Inkwizycji, ubrani w czarne pancerze. Zatrzymali się, gdy dotarli do rozbitych kolegów. Zajęli pozycję strzelecką i krótką serią zgładzili wciąż jeszcze żywych buntowników. Po ostatniej kanonadzie zapanowała cisza. Z oddali dochodziły odgłosy toczącej się walki. W tej orkiestrze używano rozmaitej broni, a głowę można było stracić przy każdym utworze.

- W samą porę, co? - usłyszała tubalny głos.

Kobieta zdjęła z pleców swój karabin świetlny.

- Lepszą znalazłby jedynie sam Stwórca, mój Panie - odrzekła. Spojrzała mu w oczy i zaszalutowała. Stojący z boku Guntar uczynił tak samo. - Dziękujemy, Kapitanie.

Olbrzym uśmiechnął się. Jego owłosiona twarz z długą blizną i mlecznym okiem wyrażała radość i zadowolenie. Postąpił krok do przodu i wskazał wielkim, runicznym toporem na przestrzeń przed sobą.

- Drużyna na... - jego słowa zagłuszył świst Kolibrów, które kilka przecnic od nich bombardowały ulicę.

Wszyscy żołnierze zajęli pozycje, trzymając broń w pełnej gotowości. Zerknął w stronę burzonej części miasta. Brak bloku, wysadzonego przez Timothy'ego, ułatwiał obserwacje. Widział jak kolejne zabudowania składają

się jak domki z kart. – Alexandra nigdy nie znała umiaru jeśli chodzi o zniszczenia – głęboko westchnął. Mortus z wyrzutnią zakaszłał od kurzu. Choć może i nie tylko od niego. – Nie przejmuj się, Timothy – rzekł Wielkolud. – Rakietą Poena była konieczna.

Ten rodzaj pocisku był najpotężniejszym, nie antydemonicznym, narzędziem zniszczenia. W jego wnętrzu swoją wieczną mękę przeżywała dusza grzesznika. Karę taką ponieść mógł jedynie kleryk Kościoła Stwórcy, który dobrowolnie czcił zgubne moce i został Mrocznym Prałatem. Tacy ludzie krzewili w sercach bluźnierczą wiarę, plugawili świątynie, przyzywali demony i piekielne moce. Byli wielkim zagrożeniem, którego Inkwizycja nigdy ich nie lekceważyła. Niemal za każdym razem walka była sownie opłacana krwią i duszami obydwu stron. Witeldon w swojej długiej karierze zgładził dziesiątki takich podłych kreatur. Jednak śmierć nie była dla nich wystarczającą karą. Człowiek, który składał przysięgę, że będzie głosicielem słów Bożych, będzie bronił i rozpowszechniał Jego naukę, będzie czysty w Jego oczach, a walcząc z zapałem będzie słał Jego imię, zostawał psem na smyczy demonów. Zabójstwo nie było wyrokiem adekwatnym do takiej herezji. Inkwizytorzy setki lat myśleli nad odpowiednią pokutą. W końcu ich kreatywne umysły stworzyły kaźń absolutną.

Podczas uśmiercania Mrocznego Prałata jego schwytna dusza zostaje zamknięta w specjalnej runicznej fiołce. Wkłada się ją następnie do małego cylindrycznego relikwiarza, na którego wewnętrznych i zewnętrznych ściankach wyryto modlitwy ze Świętych Ksiąg. W środku, oprócz ducha, znajdują się pergaminy z imionami Świętych, spisane krwią czystych niewiast. Całość jest błogosławiona przez Inkwizytora, który wypowiadając specjalny egzorcyzm, wszystko razem zapieczętowanie.

Uwolniona esencja Mrocznego jest śmiercionośną bronią. Całe cierpienie, gniew i szal umęczonej duszy anihiluje wszystko na swojej drodze. Ona sama, po wykonaniu zadania, za sprawą wypowiedzianej wcześniej modlitwy przez członka Świętego Oficjum, ulegała samospaleniu. To ostatecznie kończyło istnienie heretyka. Rakietą Poena, co w Czcigodnej Mowie oznacza Kara, zawierała właśnie relikwiarz ze wspomnianym ładunkiem. Jej użycie może być sankcjonowane tylko poprzez kogoś w randze Inkwizytora, bądź przez kogoś, kogo on wytypował.

– Założmy, że wydałem ci pozwolenie – powiedział Ursus.

Timothy, kolejny już dzisiaj raz, kiwnął głową.

- Dziękuję, Panie - odetchnął z ulgą, ponieważ konsekwencją użycia takiej broni bez rozkazu była śmierć. Potężny mężczyzna z toporem zważył swój oręż w dłoni.

- Drużyna, ruszamy!

Grupa ludzi ubrana w czarne pancerze maszerowała przez ruiny Dzielnicy IV. Główny plac był na wyciągnięcie ręki.

ROZDZIAŁ XVIII



SKARĆ GRZESZNIKA BATEM I ŻELAZEM,
A UCZYNISZ GO LOJALNYM BOGU NA MOMENT.
SPAL GRZESZNIKA W UŚWIĘCONYM OGNIU,
A BĘDZIE ON LOJALNY BOGU DO KOŃCA ŻYCIA.

WSTĘP DO „LIBRO PECCATORUM”, INACZEJ ZWANEJ „KSIĘGĄ GRZESZNIKÓW”.
TOM ZNAJDUJE SIĘ W ZAKAZANEJ BIBLIOTECE.

Alexandra biegła przez krwawiące miasto. Dzięki latom spędzonym w dzikich, betonowych dżunglach Spero, jej ciało było przyzwyczajone do wędrówek w takim terenie. Choć miała na sobie metalowy pancerz, jej stopy nie wydawały żadnego odgłosu i zwinnie poruszały się po twardym, zdradzieckim podłożu. Była świetnie wyszkolona w swoim fachu, a dolne dzielnice nie stanowiły dla niej wyzwania. To właśnie wśród takich gruzów po raz pierwszy spotkała Witeldona, co na zawsze odmieniło jej życie. Jej Mortusi z trudem wytrzymywali narzucone przez nią tempo.

- Nie zwalniać, na Stwórcę - warknęła.

Jej słowa natychmiast zostały przekazane za pomocą łącza do hełmów żołnierzy. Nie znosiła walczyć razem z innymi. Nie ufała ludziom i nie cierpiała ich słabości. Te słowa nie opisywały w pełni jej głęboko zakorzenionej niechęci i bólu, który Szpieg-mistrzyni miała wobec całego ludzkiego gatunku.

Porzucona za młodu, musiała radzić sobie sama. Niskie Spero nie było, nie jest i nigdy nie będzie bezpiecznym miejscem. Od małości napatrzyła się na to, do czego zdolny jest człowiek. Dlatego nawet w Sacrum mogła spędzać całe dni w swoich lochach, z hodowanymi i tresowanymi przez nią zwierzętami, głównie psami. Wszystkie dane, depesze i cenne artefakty,

które jej przynosili zwiadowcy i agenci odbierała, nie dziękując, nie wdając się w dyskusję i jakąkolwiek interakcję oprócz koniecznego minimum. Bracia mniejsi, w przeciwieństwie do ludzi, nie potrafią kłamać. Ich reakcje i uczucia w stosunku do człowieka są zawsze szczerze i proste. Dasz psu jeść - zje. Kopniesz go - ugryzie. Lecz nigdy nie będzie udawać przyjaźni, złości czy miłości. Tylko istota ludzka mogła kryć swoje zamiary i czule zamknąć w ramionach bliźniego, by potem wbić mu nóż w plecy.

W oczach Alexandry ludzkość nie zasługiwała na litość i zbawienie. Jedynym, co było dla niej właściwe, to pokuta za grzechy. Była w stanie zrobić wszystko, by winni otrzymali wyrok i karę. Do tej kategorii zaliczała również siebie, gdyż w jej oczach nikt nie pozostawał bez winy, chociaż to ludzie tacy jak Inkwizytor nauczyli ją przekuwać myśli w czyny. Dla niej Witeldon Walszarti był godzien każdego honoru.

Zrujnowana i płonąca ulica, którą zmierzali, zdawała się opuszczona. Prawdą było, że nie całą populację Dzielnicy IV ogarnęło szaleństwo, z którym walczyli. Większość motłochu skryła się w trzewiach przepompowni wody i innych szczelinach starej, rozpadającej się architektury. Filozofia tych ludzi była prosta: byle dalej od starć. Nie wpaść w oko ani zbuntowanym bliźnim, ani oddziałom Inkwizycji. Nie wszystkim to się udało.

Ani Alexandra, ani żaden z jej żołnierzy, nawet gdyby chcieli, nie mogli nie widzieć setek ludzkich ciał spoczywających na drodze. Nieliczne były w całości. Rozczłonkowane, powypalane, brutalnie pocięte bądź zmiażdżone, stały się krwawym świadectwem ciężkich walk. Śmierć traktowała wszystkich równo. Dzieci, dorośli w sile wieku i starcy obydwu płci skończyli swoje żywoty na popękanych alejach, wśród powalonych budynków. Szpieg-mistrzyni nie zastanawiała się nad tym, czy polegli należeli do heretyków, czy bogobożnych nieszczęśników. Każdy człowiek był grzeszny. W jej głowie zabrzmiały nauki Mistrza, który ją ukształtował. *Nie ma ludzi niewinnych. Są tylko niedokładnie przesłuchani.*

Te dwa zdania tysiące razy udowodniły swoją prawdziwość. Kobieta dobrze знаła powód jatki w tej okolicy. Aby pacyfikacja dzielnicy była sprawna, a szansa na zorganizowany opór przez powstańców niewielka, wysłanych zostało łącznie pięć grup uderzeniowych. Jedna, dowodzona przez Alexandrę, miała zabezpieczyć przepompownię wody, które dostały się pod kontrolę buntowników. Ursus, dowodzący drugą, zneutralizował próbę

przedostania się wroga do Dzielnicy III. Trzecia prowadzona przez zasłużonego Mortusa, Akilę Matię, rozbiła heretyków, okopujących się w trzewiach tego dystryktu.

Agent Helt, wraz z całą swoją jednostką bojową z wysuniętej placówki, po otrzymaniu zezwolenia od razu uderzył w środek głównego placu. W nierównej walce stał się tam ze zdrazieckimi Interwentami i uzbrojonym motłochem. Ostatnia grupa uderzeniowa, pod przywództwem Quartusa Mikkela Rotara, szturmem przebiła się na ustalone pozycje i nad dziedzińcem budynku administracyjnego zapadło widmo wojny pozycyjnej. Szpieg-mistrzyni i Kapitan spieszyli z ogniem i mieczem, by zesaść na toczącą się tam bitwę błogosławieństwo w postaci przełamania i zwycięstwa sił Stwórcy.

W końcu korytarz zabudowań zniknął i pojawiła się otwarta, prostokątna i szeroka przestrzeń. Naprzeciwko znajdowała się potężna ściana z wysokimi basztami, w której wykuty został monstrualny otwór, prowadzący do serca Dzielnicy IV. Plac główny był na wyciągnięcie ręki. Otaczał go szereg niewiarygodnie wielkich budynków administracyjnych, z których najwyższym był pałac Zarządcy Elifasza Briusa z charakterystycznymi wieżami.

Spero podzielone było na wiele dystryktów. Każdy z nich miał Zarządcę, który podlegał Gubernatorowi. Sto bloków mieszkalnych, ruiny kryjące się w mroku, świątynie i iglice szlachty na szczycie, wraz z występującymi z rzadka Kuźniami Inżynierów, składały się na każdą z dzielnic, których było już dwieście. Całość tworzyła najludniejsze i najpotężniejsze miasto planety. Oczywiście im bliżej pałacu Gubernatora, tym prestiż rósł i przeważało bogactwo, lecz ogólny plan konstrukcyjny niemal zawsze był taki sam.

- Słowa nic nie znaczą - zapikał komunikator Szpieg-mistrzyni.

- Liczą się czyny - odpowiedziała automatycznie.

Spojrzała na pnące się wysoko okna i baszty. Jej wyświetlacze siatkówkowe od razu wykryły innych Mortusów. Trzymali straż na placu prowadzącym do wejścia na dziedziniec. Słyszała huk strzałów i łomot broni ciężkiego kalibru. Wiedziała, że zaraz zaczną się schody.

- Witam koleżankę - zawył w jej uchu tubalny głos.

Nie wiedzieć czemu zerknęła w prawo. Ujrzała machającego do niej Ursusa, który biegł na czele żołnierzy ubranych w czarne pancerze. On

również przebył krwawą drogę do tego miejsca. *Poprawka, schody zaczną się dopiero teraz* – pomyślała, wzdychając.

Obydwaj dowódcy i ich drużyny spotkały się u podnóża zabudowań. Bez słowa doszli do ściany, z której wysunęły się okazałych rozmiarów windy towarowe. Wsiedli do nich, by dostać się do pomieszczeń zajętych przez resztę grup szturmowych. Alexandra zastanawiała się, czym nagrzeszyła w oczach Stwórcy, że wielki Kapitan wybrał ten sam dźwig co ona.

- Jak tam? - zapytał.

Zacisnęła zęby, lecz wiedziała, że ignorowanie go tylko pogorszy sytuację. Zrobiła zatem dwie rzeczy - wyłączyła się z łącza ogólnego, blokując swoją i jego mowę dla wszystkich Mortusów. Jej zdaniem była to doskonała funkcja stosowanej przez nich technologii. W swoich hełmach mogli słyszeć każdy dźwięk, lecz system wygłuszał głos określonych osób. Żołnierze widzieli jedynie, jak ich dowódcy ruszają ustami. Nawet najmniejszy szept do nich nie docierał.

- Czy ty zawsze musisz być taki męczący?

Zastanawiała się, dlaczego Inkwizytor przywłókł go do Sacrum. Mało było osiłków na świecie? Brodacz uśmiechnął się.

- Tylko kiedy otaczają mnie piękne kobiety - powiedział i wyszczerzył się w uśmiechu.

W oczach Alexandry był już martwy.

- Ciebie chyba coś opętało, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? - nienawidziła jego gierki i lekkiego podejścia do życia. Rozumiała, że był żołnierzem z krwi i kości, lecz w jej mniemaniu to dyscyplina świadczyła o jakości.

- Swoją drogą, skoro poruszyłaś ten temat... - zaczął i stanął do niej bokiem. Chwycił za grubą kratę, zabezpieczającą windę i ruchem głowy wskazał na płonącą dzielnicę. - Nie widziałem niczego nieczystego poza mordującymi się ludźmi.

Wiedziała o czym mówił. Ona również nie zauważyła żadnego spaczenia, jednak zło nie zawsze otwarcie ujawniało swoją obecność. Demony działały tak samo jak ciernie. Wbite w duszę nie zabijały od razu, lecz powoli, metodycznie ją wykrwawiały i uderzały, kiedy ofiara była najsłabsza. Powstanie i zdrada Interwentów były sprawą kultu. Czujniki i runy,

wskazujące odczyn piekielnych wpływów, nie myliły się. Prawdziwy wróg jeszcze pozostawał w ukryciu.

- Jeśli przywódca bądź mózg stojący za tym wszystkim nie ukaże się na placu głównym, Vivienne przeskanuje umysły upadłych służb miejskich i dowiemy się wszystkiego, co trzeba. Jak wróci z poszukiwań, na które wysłał ją Inkwizytor, my powinniśmy się już uporać z gniecieniem tego robactwa - rzekła i wyjęła swój pistolet z magnetycznego zapięcia, by go przeładować. Wypowiadanie imienia Czarnoksiężniczki wypełniło jej usta niesmakiem.

- Zadziwiająca - rzucił jakby od niechcienia.

- O co ci tym razem chodzi?

Mężczyzna starał się brzmieć i wyglądać obojętnie, lecz drżący policzek zdradzał, że toczy ze sobą walkę o to, by się nie uśmiechnąć.

- Nie pamiętam kiedy ostatnio słyszałem jak wypowiadasz jej imię.

Wzniosła oczy do nieba zasnutego wieczną ciemnością. To prawda, że do sankcjonowanej czarodziejki miała wyjątkowo negatywne uczucia. Szpieg-mistrzyni darzyła głęboką nieufnością magię, moc, która naginała rzeczywistość i łamała prawa fizyki, siłę potrafiącą krystalizować dusze. Człowiek był zbyt niedoskonały, by władać taką potęgą. Takie było jej zdanie. Wiedziała, że wiek Vivienne idzie w setki lat, tak jak Inkwizytora w tysiące.

Gdy pojawiła się w Sacrum jako nastolatka, od razu nabrała nieufności do tej pięknej Białowłosej, władającej magią. Nie podobało jej się to, jak blisko była Witeldona, jak podważała jego autorytet, jak śmiała mu się sprzeciwiać twierdząc, że jakieś posunięcie było błędne. W jej oczach coś takiego zakrawało o herezję.

Doradczyni Witeldona słynęła ze swojej ekspresji i braku poszanowania dla wszelkich świętości, tradycji i zasad. Jednak wszystko uchodziło jej na sucho. Alexandra, nawet będąc ślepą i głuchą wiedziałaby, że łączą ich kontakty fizyczne. Nie chciała i nie zamierzała się nad tym rozwodzić. Cieleśność była dla niej abstrakcją. Realny był obowiązek niszczenia zła.

Szpieg-mistrzyni nie odczuwała pociągu seksualnego i nie szukała towarzystwa, ponieważ za bardzo nienawidziła ludzi. Nie uważała siebie za gorszą od Vivienne. Podchodziła do tego tematu z chłodną logiką. Ciało władającej magią kobiety było dla niej niepraktyczne. Wzrost i kształty

zaburzałyby środek ciężkości, utrudniając walkę wręcz i bieganie. Nie pomniejszała znaczenia faktu, że władanie tak nierealistyczną potęgą wymaga niezłomnej kontroli i dziesiątek albo setek lat treningu. Jednakże na polu bitwy Alexandry nie chroniły magiczne tarcze, nie mogła się teleportować czy pstryknięciem palców skasować armię przeciwnika. Ona musiała przelewać krew swoją i wroga, walcząc w imię Stwórcy. Nie знаła pobudek działania Vivienne, choć zdawało jej się, że jest w Sacrum tylko ze względu na Inkwizytora. I na pewno on sam jej do tego nie zmuszał...

- Nie martw się, wyparzę sobie potem usta - syknęła do Ursusa, a ten zaniósł się śmiechem.

Dźwig towarowy, którym jechali stanął, a prowadzące w głąb budynku drzwi otworzyły się.

- Nareszcie! - krzyknęła głosem człowieka uratowanego w ostatniej chwili przed egzekucją.

Ruszyła przed siebie, odblokowując przy tym komunikację z Mortusami. Oddział kapitana i on sam byli tuż za nią. Siły Inkwizycji, do których dołączyli, urządziły się w tak zwanym Przedmurzu. Był to wydzielony gmach administracyjny, pod którym niemal zawsze mieściło się oficjalne wejście na plac główny dzielnicy. Tutaj dokonywano spisów dostaw do pałacu Zarządcy bądź większych wizytacji.

Alexandra szła korytarzem, który znaczyły liczne przypalenia i uszkodzenia. Tutaj również musiały toczyć się walki. Zerkając na boki zobaczyła, że w niektórych pomieszczeniach znajdowały się poukładane w stosy ciała. Za zakrętem trafiła na grupę czterech Mortusów, pilnujących grubych drzwi. Widząc wysoko postawionych w hierarchii ludzi Inkwizytora, żołnierze natychmiast zasalutowali, a dwóch z nich przystąpiło do otwierania wrót. Kobieta przeszła w milczeniu, tak samo jej oddział. Chwilę później usłyszała głos Ursusa.

- Dzięki, panowie - zagrzemiał.

Szpieg-mistrzyni westchnęła. *Grzeczność w stosunku do służb... Narzędziem panów jest bat - pomyślała, a później ogrzała swoje serce ciepłem bijącym od żaru Księgi Grzeszników i cytatem, który zapamiętała. Słabi żyją tylko po to, by być rządzonymi przez silnych. Dlatego niezliczone chóry dusz muszą mieć przewodnika. Inaczej wędrują w mroczne miejsce.*

Sala, w której się znaleźli, pełniła rolę centrum zarządzania całym budynkiem. Wysoko zawieszony sufit, utrzymywany na grubych ścianach i kolumnach, został wzmocniony twardym kamieniem i stalą. Całość oświetlał ogień gazowych palenisk i plazmowych pochodni. W środkowej części pomieszczenia stał projektor podobny do tego w Sacrum. Jednak maszyna w bazie Witeldona była znacznie bardziej zaawansowana technicznie. To urządzenie wyświetlało plan głównego placu. Liczne świetliste punkty oznaczały zgrupowania heretyków. Te, które opatrzone symbolem ludzkiej czaszki, mówiły o obecności zdradzieckich Interwentów.

Przy przestarzałym projektorze znajdowało się kilku żołnierzy Inkwizycji. Jeden, średniego wzrostu, stał odwrócony plecami do niej i Ursusa, opierając się o wyświetlacz. Było coś, co go wyróżniało. Nosił płaszcz maskujący, wykonany z grubych włókien, który jednak nie był w stanie całkowicie skryć jego potężnej, niemal kwadratowej sylwetki. Słyszając kroki przybyłych odwrócił się, by ich powitać. Jego posrebrzaną maskę przecinała paskudna szrama, przez którą można było zobaczyć lewy policzek, oko i fragment czoła. Ciemna jak noc skóra mężczyzny lśniła od potu i światła lamp.

- Niechaj Światłość nigdy nie zgaśnie. Alexandro, Ursusie - powiedział i się uklonił.

- Raport - zażądała bezceremonialnie.

- Witaj, Helt - rzucił kapitan i uniósł dłoń w geście grzeczności.

Kobieta posłała olbrzymowi piorunujące spojrzenie, a po chwili przeniosła wzrok na agenta Świętego Oficjum.

- Zaprowadzę was na wewnętrzne baszty, byście sami zobaczyli, o czym mówię - powiedział, wskazując drzwi po drugiej stronie sali.

Alexandra natychmiast ruszyła w tamtą stronę.

- Streszczaj się - warknęła do niego. - Oddział, zając pozycje defensywne i pełna gotowość.

Mortusi stanęli w dwóch rzędach w pozycji spoczynnej. Nie widzieli sensu, by zachować się inaczej. I tak mieli plan, by przywitać się z braćmi i siostrami, gdy tylko ich dowódca wyjdzie. Ursus wykazał się innym podejściem.

- Wataha, proponuję odpocząć - zagrzemiał. - Czuję, że niedługo znów się zrobi gorąco.

Ludzie zasalutowali i zajęli pozycje, które dawały odrobinę wytchnienia. Timothy uklęknął i zdjął z pleców nośnik amunicyjny z ładownicą, by ocenić stan rakiet do wyrzutni. W tym samym czasie troje oddanych sług Stwórcy ruszyło przez otwierające się wrota. Korytarz, który przemierzali, spowijał półmrok.

- Działamy na generatorach awaryjnych, więc większość mocy przenieśliśmy do centrali budynku - wyjaśnił Helt. - Znaczna część bocznych korytarzy i pomieszczeń o niskim priorytecie jest wygaszona do absolutnego minimum.

Szli wąską arterią, która za zakrętem zmieniała się w metalowe schody. Ciemnobrązowa farba, którą je pomalowano, była wytarta w wielu miejscach. Mogło to świadczyć o częstym użytkowaniu, ale też o braku należytej konserwacji.

Przewodnik pchnął kolejne drzwi i ich oczom ukazało się czarne i oleiste, jak atrament, niebo zwieszane nad Spero. Gdzieś przebijало światło. Podeszli do końca baszty i wyjrzeli przez otwory strzelnicze. By uniknąć tłoku, jeden z żołnierzy trzymających wartę odszedł na bok.

Miasto pod nimi płonęło. Plac główny, zbudowany na planie idealnego kwadratu o długości boku równiej pięciu kilometrom, był wydzielonym obszarem. Ogień trawił nierównomiernie cały teren. Pałac Zarządcy, znajdujący się za długimi schodami, na razie był wolny od żywiołu. Alexandra dokładnie przyglądała się każdej połaci ziemi. Wszystko, co kiedyś wybudowano na dziedzińcu, spłonęło albo legło w gruzach. Gdzieś dostrzegala wypalone ruiny, które mogły służyć za kryjówki i dać skuteczną ochronę kilku setkom ludzi.

- Nie spodziewaliśmy się takiego obrotu spraw - zaczął mężczyzna w uszkodzonej masce. - Setka Interwentów w pełnych pancerzach, z całym dostępnym arsenałem, wzięła mnie i moich ludzi z zaskoczenia - patrzył w dal, obserwując pole bitwy. - W jednej chwili razem wypychaliśmy buntowników z placu głównego, by w następnej role się odwróciły - Helt zacisnął dłonie na poręczy balustrady, a jego głos zdradzał gniew. - Rozkazałem starszemu porucznikowi Sepusowi Guri, który nimi dowodził, osłaniać mnie i resztę. Mortusi ruszyli do przodu, by wyrzucić heretyków przez to wielkie wejście pod nami. Wtedy jakbym wyczuł, że coś jest nie tak. Strzały straży miejskiej ucichły. Nasze siły były już dwadzieścia metrów od pozycji mieszczan. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak wszyscy celują w nas ze

swoich gnatów. Bez słowa otworzyli ogień... Wielu zabili, a ja zrozumiałem, że znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Rzuciliśmy granaty dymne, błyskowe i ogłuszające, lecz zanim dały zamierzony efekt, połowa mojej grupy uderzeniowej leżała pozbawiona życia - ręką wskazał obszar położony jakieś sto pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym się znajdowali. - Nie pozostało nic innego, tylko przebić się do wejścia i okopać. Błyskawicznym szturmem przecięliśmy linię buntowników i wbiegliśmy do budynku administracyjnego. Natarli na nas z dwóch stron i w dziesięciu musieliśmy przykryć ogniem każdy kąt - spojrzał na dwoje wyższych od niego rangą ludzi. - Gdyby nie przybycie Mikkela, byłoby krucho.

- No właśnie, a gdzie on jest? - zapytała Szpieg-mistrzyni, którą uderzyło to, że dowódca grupy szturmowej osobiście nie złożył jej raportu. Za to czekała go chłosta.

- Nie żyje.

- Jak do tego doszło? - wtrącił się Ursus.

Inkwizycyjny agent nie odpowiedział od razu. Stał, wpatrując się w ogień trawiący plac.

- Mortus weteran Mikkell osłonił mnie przed pociskiem z podwieszanego granatnika Interwentów - dotknął palcami uszkodzeń na masce. - Dzięki niemu to był jedyny efekt wybuchu. Przejąłem kontrolę nad jego grupą i kontynuowałem obronę tego miejsca. Po mniej więcej dwóch godzinach, licząc do waszego przybycia, ataki ustały. Ze stu zostało nas trzydziestu dziewięciu.

Rosły Sługa Boży ukląkł niespodziewanie na jedno kolano i uderzył się trzy razy opancerzoną dłonią w pierś po stronie serca.

- Poniosłem porażkę - spojrzał na kobietę, której wzrok świdrował go z odrazą albo nawet czystym wstrętem. - Jako niższy rangą mogę jedynie prosić o pokutę za grzech klęski.

Alexandra w pierwszej chwili chciała dokonać egzekucji i zgładzić tego, który zawiódł Boga, nie wypełniając choćby częściowo powierzonego mu zadania. Człowiek jest istotą niedoskonałą, to prawda, lecz każda istota ludzka ma możliwość dążenia do perfekcji poprzez walkę i przelanie krwi. Swojej bądź wroga. Szpieg-mistrzyni nienawidziła ludzkiej słabości i wszelkich prób wzbudzania litości. Klęska nie mogła być odkupiona. Poczowała swędzenie w dłoni, a w głowie pojawiła się wizja zabicia kulejącego

zwierzęcia po to, by stado było silniejsze. Jednak wiedziała, że w tej chwili, przed walką ze zdrajcami, nie może sobie pozwolić na utratę kolejnego żołnierza. Oparła lewą dłoń na pistolecie zawieszonym na biodrze. Pogładziła go czule, mówiąc w myślach: *Nie dzisiaj, stary przyjacielu*. Wiedziała już, co musi zrobić. Grzechem był brak działania, zaś akcja na korzyść planów Witeldona, który wykonywał Boską wolę, była uczynkiem świętym. Nabrała powietrza i otworzyła usta.

- Agencie Świętego Oficjum, który z imienia i nazwiska jesteś znany jako Helt Utulara - jej głos pełen gniewu przechodził w warkot wściekłego psa. - O twoim losie zadecyduje Inkwizytor i to on stwierdzi, jaką poniesiesz karę - spojrzała w bok na palący się plac. - Ja mam teraz ważniejsze sprawy na głowie, dlatego powstań i udowodnij, że wciąż jesteś przydatny.

Mężczyzna podniósł się z kolan. Owładnęło go lekkie zdziwienie, ponieważ spodziewał się strzału w głowę. Jednak otrzymując akt łaski, nie zamierzał zawieść drugi raz.

- Oczywiście, Pani.

Nastąpiła długa, ciężka cisza, podczas której kwadratowy człowiek i Szpieg-mistrzyni obserwowali wrogi teren, zastanawiając się, jak wykurzyć heretyków z ich dziur i zgładzić świętym ogniem.

- Ma ktoś jakiś plan? - zagadnął Ursus.

Powietrze rozniosło dźwięk kobiecego westchnięcia.

- Równie dobrze można dokonać Caedes - słowo ze Świętego Języka oznaczało rzeź.

Helt momentalnie przeniósł na nią wzrok.

- Z całym szacunkiem, moja Pani - zaczął drżącym tonem. - Ale nie możemy zgładzić całej dzielnicy bez potwierdzenia demonicznej obecności.

- Czy to sprzeciw? - zapytała lodowato Alexandra, a jej dłoń powędrowała do pistoletu.

- Moim zdaniem naszemu zamaskowanemu przyjacielowi chodziło o to, że taki rozkaz może wydać tylko nasz szef - przytomnie zauważył Ursus. - Bez jego zezwolenia musisz obejść się smakiem, księżniczko.

Palące nienawiścią oczy przewiercały go na wylot.

- Masz lepszy pomysł?

- Tak, właściwie mam - powiedział nieśmiało i wyduł usta.



Dokładnie trzy godziny później spokojne i spowite chmurami niebo zostało rozcięte przez ciężki grzmot silników myśliwców. Dwanaście Kolibrów uformowanych w klin nadleciało lotem koszącym nad dziedziniec Dzielnicy IV, niemal zahaczając o dachy budynków. Gdy minęły plac główny, wzbiły się w górę i pionowo wzniosły w stronę gwiazd. Nie było słychać świstu rakiet ani ryku działek szturmowych. Jednak betonowe podłoże pełne ruin, w których skrywali się heretycy, utonęło w ognistej pożodze. Właśnie wtedy szczury zaczęły wyłazić ze swoich nor. Uciekały setki ludzi, niektórzy płonęli. W panice szukali schronień, które mogłyby ich osłonić, lecz nie wszyscy...

Z wielu miejsc równym, sprawnym krokiem maszerowały postacie we wzmacnianych, ciężkich pancerzach. Bombardowanie nie zaskoczyło zdradzieckich Interwentów. Wielokrotnie mogli przyglądać się działaniom Inkwizycji. Czy jako bierni obserwatorzy, czy też w roli oddziałów pomocniczych. Dzięki temu byli przygotowani fizycznie i psychicznie na taką formę ataku. Resztki służb porządkowych miasta próbowały przywołać do siebie rozbity motłoch. Z opisu agenta Helta wynikało, że z setki wrogich jednostek specjalnych wybito dziesięć. Jednak już niebawem sytuacja mogła ulec diametralnej zmianie.

W oknach budynku administracyjnego, zawieszzonego nad wejściem prowadzącym na plac, rozblęły oślepiające światła. Grupa Mortusów zmodyfikowała swoje karabiny świetlne na tryb snajperski i rozpoczęła polowanie. Główna siła uderzeniowa Świętego Oficjum miała dopiero nadejść.

Ściany frontowe, znajdujące się po bokach wejścia na dziedziniec, eksplodowały w przytłumionych wybuchach. Na pole bitwy szarżowali żołnierze, prowadzeni przez zaufanych ludzi Witeldona. Plan Ursusa był prosty. Wywabić przeciwnika bombardowaniem zapalającym i wbić się w jego szeregi nagłym atakiem. Potem okopać się i metodycznie nękać wrogów. Po przeciwnej stronie placu lojalni Interwenci strzegący Pałacu Zarządcy dostali rozkaz, by zgładzić każdego zdrajcę, jaki się pojawi. Większość z nich przeszła na stronę ciemności i z ich organizacji został ledwie mały oddział. Dlatego nie mogli mieć większego wpływu na wynik starcia, ale ponad sześćdziesięciu Mortusów już tak.

Najbliżsi mieszczanie zostali ścięci zmasowanym atakiem laserowym. Sługi Boże nie miały problemu w dobijaniu zbłąkanych dusz. Pojedyncze strzały rozbijały się o ich pancerze, lecz generalnie ogień buntowników nie czynił szkody. Mortusi dotarli do pierwszej linii ruin i gruzowisk, które miały im posłużyć jako osłona. Rzucone w betonowe pogorzelska granaty zapalające wykurzyły wszystkich przeciwników. Wybiegających wykończyła Alexandra. Tylko jeden próbował unieść w jej kierunku nieporęczną samoróbkę, lecz towarzyszący jej żołnierze od razu skierowali w niego całą siłę ognia.

Nagle pancerz kobiety obficie zrosiła krew. Szpieg-mistrzyni, chowając się instynktownie za osłoną, spojrzała w bok. Jej wyświetlacze siatkówkowe dostarczyły do mózgu potrzebnych informacji. Ujrzała, jak Mortus o imieniu Bustor pada na ziemię, wypuszczając z rąk karabin. W jego piersi pojawił się otwór wielkości dwóch ludzkich pięści. Pech chciał, że strzał trafił pod płytę zbroi osłaniającej pierś. Tam, gdzie na złączeniu z brzuchem jest elastyczna błona. Pocisk musiał mieć spory kaliber, ponieważ lekko wgiął końcówki paneli pancerza. Zostały mu może minuty życia. Zakończyła ludzkie cierpienie pojedynczym strzałem. Teraz pozostało odnaleźć sprawcę tej śmiertelnej rany.

Pomimo wszechobecnego ognia i chaosu dostrzegła go natychmiast. Lawirował na podwyższonej betonowej platformie, pomiędzy pokruszonymi kolumnami. Widać było, że odziany w ciężką skorupę ze skórzanym płaszczem, szuka kolejnej ofiary. Wyświetlacz pokazywał odległość od strzelca. Dwieście dwadzieścia siedem metrów... *Dobry strzał* - pogratulowała mu w duchu.

Heretyk trzymał w dłoniach potężną i toporną strzelbę, model Umbra, do której musiał załadować breneki z rdzeniem z hartowanego tytanu. Solidny pocisk kalibru czternastu milimetrów uderzał w cel z całej siły i całą masą. Był przeciwieństwem śrutu, który rozpadał się, by pokryć jak największy obszar. Broń Interwenta mieściła magazynek z pięcioma takimi pociskami. W połączeniu z celownikiem, doczepionym na górnej ramie, pozwalała mu zabawić się w strzelca wyborowego. Czekwała na moment, gdy ponownie się wychyli. Stwórca nie wystawiał jej cierpliwości na długą próbę. Po chwili ujrzała, jak mężczyzna podnosi swoją strzelbę.

Z kocią zwinnością skoczyła do poległego przed chwilą Mortusa, uniosła jego karabin świetlny i, stojąc dumnie, wycelowała w zabójcę.

Niespodziewanie spojrział w jej kierunku, jakby miał szósty zmysł, który wskazał mu, gdzie jest zagrożenie. Mogło się wydawać, że ją widzi.

Patrzył na nią, a ona na niego. Miał atrakcyjne rysy i lekko zadarty nos. Dobrze uwidocznione kości policzkowe i głęboko osadzone, bursztynowe oczy nadawały mu niezapomniany wygląd. Oczy – pomyślała. Było w nich coś niepokojącego. Zupełnie jakby nie należały tylko do niego. Te myśli musiała odłożyć na później.

Interwent powoli nakierował broń. Kobieta była jednak w znacznie lepszej sytuacji, ponieważ miała go już na celowniku. Lekko nacisnęła spust i karabin wypuścił z siebie wiązkę skoncentrowanego, białego światła, które szybciej niż mrugnięcie oka uderzyło zdrajcę w pierś. Zbroje, noszone przez członków służb porządkowych Spero, wykonano z grubych płyt hartowanego tytanu. Były izolowane gumą i wykładane od środka solidną, syntetyczną skórą. Pancierz był ciężki, lecz gwarantował świetną ochronę przeciwko każdej broni używanej przez motłoch.

Laser wniknął w metal, topiąc go. Kiedy bariera została pokonana, promień pomknął dalej, zwęglając skórę, tkanki, organy i wyparowując krew. Świetlista smuga przeszła na wylot, wgryzając się z sykiem w kolumnę za człowiekiem. Na jego twarzy malowała się akceptacja losu, wymieszana z grymasem bólu. Wypuścił broń i padł na ziemię. Alexandra odrzuciła karabin *Cereus*. Nigdy nie lubiła tego oręża. Nim zdążyła zrobić coś więcej, jej komunikator zaczął natarczywie pikać.

- Jest sprawa - usłyszała przez słuchawkę donośny głos Ursusa.

Z gracją przeskoczyła nad urwaną balustradą i dołączyła do strzelających Mortusów.

- Też natrafiłam na Interwentów - zaczęła, chcąc skrócić rozmowę do minimum. Wiedziała, po co aktywował łącze.

- Skurczybyki potrafią pokazać pazur, gdy walczą z kimś więcej niż z głodnymi ludźmi.

Kątem oka zauważyła, że w tym samym czasie, kiedy żołnierze wymieniali ogień z wrogiem, nielicznym nędzarzom udało się podejść do osłony, za którą stała. Wymierzyła w nich pistolet, naładowany zaawansowaną amunicją, i nacisnęła spust. Z dziesięciu ludzkich ciał momentalnie uleciało życie.

- Gdybyś pobłogosławiony został darem spostrzegawczości, to zauważyłbyś, że oni nie starli się z zalęknionymi szczurami, lecz ze Świętym

Oficjum - westchnęła, oddając kolejny strzał. *Oszczędzaj amunicję, panuj nad sobą* - upomniała się w myślach. - To oczywiste, że dają z siebie wszystko.

- Za to ciebie można uświęcić odrobiną poczucia humoru - parsknął i zamilkł na chwilę. Wystrzelił kilka plazmowych pocisków i kontynuował. - Z Heltem przebijamy się w głąb ich pozycji. Kończą im się żywe tarcze i będą musieli walczyć na naszych warunkach - powiedział i zakończył połączenie.

Włączyła kanał łączności ze swoimi ludźmi.

- Zebrać się i skracamy dystans - rozkazała. - Odległość sto jedenaście metrów, godzina jedenasta, patrząc z mojej pozycji. Granaty ogłuszające i dymne, potem szarża i przejęcie. Druga linia ubezpiecza.

W ciągu dwóch sekund otrzymała potwierdzenia, że wszystkie ładunki są gotowe do użycia.

- Teraz! - krzyknęła.

Kuliste i przypominające dyski przedmioty eksplodowały w chmurach gęstego jak mleko dymu i oślepiających erupcjach światła. Słudzy Boży wybiegli zza swoich osłon wprost w wir walki i chaosu. Oczy Alexandry zabezpieczona zainstalowana w nich technologia, a każdy Mortus miał na głowie hełm, który wyłapywał i neutralizował wszystkie anomalie wpływające na jakość widzenia. Żaden buntownik czy wyszkolony Interwent takiej ochrony nie posiadał.

Dookoła ubranych w czarne pancerze żołnierzy świszczą kule, a oni, z chirurgiczną precyzją, unieszkodliwiali każde zagrożenie. Lasery zwęgliły czerepy dwóch zakutych w grube zbroje ludzi. Z prawej strony kątem oka zauważyła kulę niebieskiej plazmy, która strąciła kolejnego wroga, czającego się na stercie gruzu. Walka w bliskim dystansie była jej ulubioną formą prowadzenia wojny. Szpieg-mistrzyni z wyciągniętym rapierem wbiegła w lej lekko żarzący się po bombardowaniu. Ścisnęła rękojeść i aktywowała wbudowany generator, który natychmiast powlekł ostrze ogniskującą energią. Teraz broń była tysiąc razy potężniejsza.

Każdy Mortus toczył bój na śmierć i życie, zmagając się z przeciwnikiem w walce na noże i strzelając długimi seriami, które do białości nagrzewały lufy karabinów świetlnych. W pewnej chwili Alexandra ujrzała Interwenta, który czekał na kolejnego przeciwnika. Trzymał w rękach Pogożelnika. Dziewięć luf, osadzonych po trzy na ścianę, które razem tworzyły trójkąt. Broń miała krótki zasięg i morderczą siłą ognia. Każde naciśnięcie spustu

dawało kaskadę ognia i odłamków. Po wystrzeleniu amunicji lufy przekręcały się i można było kontynuować strzelanie. Ruszyła na niego bez wahania.

Zdrajca wycelował w nią swoją broń, lecz nie mógł równać się z szybkością Szpieg-mistrzyni. Biegając, dobyła pistoletu i wypaliła. Pociski przeorały mu dłoń, w której trzymał Pogożelnika, urywając palce. Syknął z bólu, jednak nie zamierzał się poddać. Odrzucił broń, a zdrową ręką wyciągnął długi, ząbkowany nóż bojowy. Zbliżył się do kobiety, wziął zamach, chcąc dźgnąć ją z góry. Nie czekała, aż trafi. Zrobiła zwinny unik i z całą siłą nadziała Interwenta na rapier. Moc, którą powleczone było ostrze, pozwoliła gładko przebić heretyka na wylot, grillując przy tym jego narządy.

Alexandra spojrzała w bok, gdzie jeden z jej ludzi szamotał się z przeciwnikiem. Obaj trzymali w dłoniach sztylety, blokując się nawzajem. Trwali tak do czasu, aż wystrzelony przez nią pocisk dosięgnął zdrajcy. Trafił idealnie pod płytę pancerza, rozsadzając tkanki i krusząc kości. Mortus wykorzystał osłabienie rywala i złamał mu drugą rękę, a bagnet wbił w szyję. Nie zdążył zrobić nic więcej, ponieważ w jego pierś trafił granat nasadkowy, wystrzelony przez kolejnego Interwenta.

Alexandra przełączyła pistolet na strzelanie seriami, wycelowała we wroga i oddała trzynabojową salwę. Każdy pocisk dosięgnął celu. Pierwszy uderzył w napierśnik. Deszcz odłamków porysował i wrył w metalu głębokie bruzdy. Drugi pokruszył go na kawałki, trzeci przebił się przez ochronę, wnikając w piersi mężczyzny, a detonacja zmieniła je w czerwoną kaszę.

Długowłosa spostrzegła kolejne zagrożenie. Był to rosły mężczyzna, członek służb miejskich, który próbował atakować ją nożem. Ruchem rapiera odbiła cios, z gracją przeskoczyła pod ramieniem wroga i odcięła je pewnym ruchem. Usłyszała wrzask, lecz mężczyzna nie odpuścił. Nie mogąc dobyć broni, próbował chwycić ją za szyję drugą ręką. Rapierem pozbawiła go palców, a strzałem w czaszkę życia. Pocisk eksplodował, rozbryzgując dookoła kości i mózg.

Chwilę po tym usłyszała huk z Umbry i poczuła silne uderzenie w prawą łopatkę. Moc uderzenia zgięła ją w pół. Zbroja wytrzymała, choć wyświetlacze sygnalizowały uszkodzenia. Odwróciła się, robiąc unik, i aktywowała maskowanie. Drugi pocisk opuścił strzelbę akurat w momencie, gdy jej postać zlewała się z otoczeniem. Interwent stał ledwo dziesięć metrów od niej, z grymasem strachu na twarzy. Tym razem trafił ją

w brzuch. W powietrze posypały się iskry. Na moment straciła dech. Jednak jej pancerz znów zdał egzamin. Przeżyła i wciąż była niewidoczna.

Nie wiedząc, gdzie jest przeciwniczka, zdrajca walił na oślep. Nie miał nic, co pozwoliłoby mu namierzyć kobietę. W pewnym momencie jego broń szczęknęła sucho, oznajmiając koniec amunicji. Sięgał po nowy magazynek, lecz nie zdążył. Poczuł ból, a przed nim zmaterializowała się ta, którą dwukrotnie postrzelił. Na jej twarzy malowała się niewygoda, lecz oczy były teraz wcieleniem śmierci, inkarnacją zagłady i narodzinami wiecznego męczeństwa jej ofiar. Mężczyzna pochylił głowę i spojrzał w dół. Dostrzegł tam rapier wbity w jego piersi. Tracąc przytomność zdążył jeszcze zobaczyć, jak palcem wcisnęła coś w rękojeści. Wiązka mocy powlekła ostrze, a nim targnęły konwulsje. Energia wydobywająca się z miecza smażyła jego narządy i kości.

Alexandra wyrwała broń z ciała trupa i spojrzała na biegnących w jej stronę Mortusów. Z dziesiątki na początku starcia teraz widziała tylko czterech. Odczyty jej wyświetlaczy pokazywały, że dwie pozostałe drużyny z jej grupy, kryjąc się i kontynuując ostrzał, czekają na polecenia. Z dwudziestu atak przeżyło dwunastu, z czego trzech raczej nie zobaczy końca walk.

- Jakie rozkazy, Pani? - zapytała Ulula Piukr. Była ranna. Krew wolno spływała z jej lewego boku.

Rozkazała okopać się i czekać na dalsze komendy. Sama otworzyła kanał komunikacyjny z agentem Heltem i Ursusem.

- Raport - zażądała.

W tym samym momencie usłyszała w oddali kolejne salwy karabinów świetlnych. Czterech żołnierzy obok niej również otworzyło ogień. W odpowiedzi pociski przeciwnika zaczęły kruszyć beton dookoła nich. Biedota wyginęła dawno temu. Pozostali najtwardsi, których miasto mogło rzucić przeciw nim.

- Uformowaliśmy równą linię i zmuszamy ich do odwrotu - zagrział Ursus. Zastanowiło ją, dlaczego mówiąc to, wyjątkowo ciężko dyszał.

- Jesteś ranny?

- To tylko kolka - wyjaśnił. - Przed akcją nałłopałem się wody, ale dzięki za troskę - przerwał rozmowę z nią, by wydać rozkazy swoim ludziom. -

Druga godzina, trzy Pogoźelniki! Rozjechać mi je, panie i panowie – odkaszlnął i wrócił do konwersacji. – Przepraszam, ale były chwilowe zakłócenia.

Kobieta dałaby sobie rękę uciąć, że mówiąc to, uśmiechał się w swój tępy sposób.

– Dlaczego Helt nie odpowiada? – zagrzmiała.

– Jestem, Pani. Pomagam łątać Mortusa Kaveirę – oznajmił, zaciskając przy tym dłonie na wielkiej ranie, która rozorała brzuch młodej duszy.

Alexandra westchnęła. Według niej było to marnowanie czasu.

– Jeśli wypchniemy ich z kolejnych nor, to trafią na otwarty teren, a osłony będą dostępne tylko dla nas. Boczne budynki są zapieczętowane, więc do nich nie wejdą. Pałac zajęły lojalne resztki sił Interwentów – spojrzała w dal, gdzie snop światła rozsadził głowę jednemu z opancerzonych heretyków. Ciało mężczyzny runęło w ciemność ze złamanej kolumny, na której stał. – Naciskając na nich teraz, wygramy – czuć było determinację w jej głosie.

– Kolejna taka szarża zabije większość naszych ludzi – powiedział Helt.

– I...? – ta jedna wypowiedziana litera była wystarczającym określeniem na to, ile ją to obchodziło.

– I w pojedynkę tego nie wygrasz – rzekł z rezerwą kapitan. – Musimy na czymś skupić ich uwagę i podejść tam. Kolejne bombardowanie nie przyniesie efektu, a wystarczy jeden zerwany strzał, by nasze położenie z ciężkiego stało się przejebane, jeśli wiesz o czym mówię, koleżanko – w jego głosie czuć było cynizm.

Irytacja Szpieg-mistrzyni narastała. Ponownie zerknęła na pole bitwy. Lasery i wystrzeliwane pociski siały śmierć na prawo i lewo. Widziała przebite zbroje, porozrywane ciała i pokruszone kości. Ranni wzywali Boga, by dodał im sił, albo klęli przez zaciśnięte zęby. Ci, którzy nie zginęli od razu, teraz umierali, topiąc się we własnej krwi. Z otrzymanych danych dowiedziała się, że oprócz niej, Ursusa i agenta Helta, zostało równo czterdziestu Mortusów zdolnych do walki. Interwencji ponieśli liczniejsze straty, lecz jeśli wierzyć runom, które potwierdzały zabójstwa, nadal mieli lekką przewagę liczebną.

Umysł Alexandry analizował połamane i zburzone ściany, płonące pogorzelniska, pokruszone kamienne konstrukcje i poskręcane od ciepła oraz eksplozji metalowe zbrojenia. W tym chaosie dostrzegła twarze trzech

zdrajców. Dwójka w skupieniu i napięciu ostrzeliwała pozycje Sług Bożych. Trzeci, znacznie młodszy, ledwie nastolatek, leżał pod nimi na gruzach, tuląc do siebie swój karabin. Jego oblicze zdominował strach. *Strach*, ten wyraz przyłgął do jej świadomości. Trawiła go chwilę, gdy nagle przypomniała sobie słowa z nauk Witeldona. *Ludzie najbardziej boją się tego, co im nieznane, tego, co dla nich niewidoczne, tego, co przez nich niezrozumiałe. Dlatego wykorzystuj to, ilekroć możesz.*

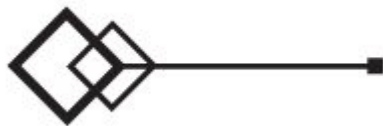
- Mam plan - oznajmiła, a jej głos miał temperaturę bliską absolutnego zera.

Agent Inkwizycji przełknął ślinę tak głośno, że dało się to usłyszeć przez komunikator. Ursus był bardziej spokojny.

- Oto wybiła godzina naszego potępienia - powiedział, zastanawiając się, o co chodzi Szpieg-mistrzynie.

Alexandra uśmiechnęła się sama do siebie. Był to widok rzadszy niż Słońce nad Spero.

ROZDZIAŁ XIX



SŁUCHAJ, BO INACZEJ TWÓJ JĘZYK UCZYNI CIĘ GŁUCHYM.

ZIEMSKIE MĄDROŚCI.

Przeklęte psy Świętego Oficjum znów nacierały na ich pozycje. Napastnicy byli świetnie wyszkoleni. Kobieta zdążyła się już napatrzeć na to, jak zwinnie i bez zawahania poruszają się wśród gruzowisk i zniszczonych zabudowań. Ich twarze osłaniały hełmy, więc jedyne co mogła dostrzec, to pozbawione litości metalowe maski. Od każdego z żołnierzy wroga wyczuwała brak strachu. Emanowała od nich aura chłodu i nienawiści. Ale czego innego mogła się spodziewać?

- Atakują, napierdalaj Frenek - wydarła się Interwent Dolorez.

Ludzie, do których teraz strzelała, a którzy szli, by ją zabić, oddali swoje życie w walce z demonami, herezją i złem w najczystszej formie. Czym więc mogła być dla nich wojna ze zwykłymi śmiertelnikami? Nawet jeśli tamci należeli do elity obrony miasta.

Nienawidziła Inkwizycji. Jej oczy wiele razy musiały obserwować czystki, których dokonywało Święte Oficjum. Nawet najmniejszy ślad spaczenia spotykał się z całkowitą anihilacją. Kobieta była dumna ze swojego stanowiska w największym mieście planety, co nie ulegało wątpliwości. Jednak te ludobójstwa nieprzerwanie nawiedzały ją w koszmarach. Niemal zawsze pytała siebie: dlaczego? Jako jedna z nielicznych miała szansę uzyskać odpowiedź u źródła.

Ponad siedemnaście lat temu, podczas demonicznej inkursji w Dzielnicy XXXVI, została oddelegowana do jednostki wsparcia. Pomioty spaczenia zamknięto w strefie śmierci i były eksterminowane przez mniej więcej

pięciuset Mortusów. Ona była jednym z Interwentów, którzy ewakuowali pozostałą ludność.

Zobaczyła go, gdy kierowała długim kordonem uchodźców. Stał w kunsztownej zbroi, pokrytej szramami i demoniczną posoką. Był jej wzrostu i wyglądał zaskakująco młodo. Wcześniej widziała go tylko na niektórych obrazach w Pałacu Gubernatora. Wiedziała, że jest starszy od najbardziej sędziwych z magów. Podszedł do Naczelnika Kadmuta i płytkim, wypranym z emocji tonem oznajmił, że dzielnica poddana będzie całkowitemu oczyszczeniu. W jednej chwili w oknach budynków, jakby znikąd, pojawili się Mortusi. Zaczęła się masakra. Dolorez była w szoku, zbliżyła się do Inkwizytora.

- Dlaczego? - krzyknęła w jego stronę. Jej przełożony już otwierał usta, by dać jej reprimendę, lecz Brodacz uciszył go gestem. Spojrzał na nią swymi martwymi oczami.

- Czy wiesz, co to Loxtria? - zapytał.

Kiwnęła głową. Była to straszliwa krwotoczna choroba, która przenosiła się każdą możliwą drogą. Zarażeni umierali w mękach, a zmarli musieli być paleni, bo inaczej zaraza na setki lat wnikałaby w ziemię.

- Jeśli cokolwiek wyrośnie na zakażonym gruncie, na przykład zboże, to będzie ono niosło śmierć. Nawet jeśli odsiejesz je i dokładnie sprawdzisz, z którego pola pochodzi, nigdy nie będziesz mieć pewności - odwrócił się, a ona zapamiętała to ostatnie zdanie, które na zawsze stało się blizną na jej duszy. *Wystarczy jedno złe ziarno, by wszystkich położyć głodem.*

Nienawidziła tego człowieka, nienawidziła całego Oficjum. Nie była w tym sama. Wielu z Interwentów krzywym okiem patrzyło na Inkwizycję, a część całkowicie zaślepiła nienawiść. To uczucie niszczyło ich od środka. Jednak niektórym objawiła się nadzieja.

Ponad dekadę temu do ich jednostki trafił nowy kapelan. Suroh Delisz. Od razu poczuła do niego sympatię. W kazaniach nawoływał do walki z własnymi słabościami, do pokonywania koszmarów skrywanych w sercu i pielęgnowania nienawiści do wszystkiego, z czym przysięgali walczyć. W każdym Interwencie rozwijał poczucie braterstwa broni i tłumaczył, jak ważną posługę pełnią dla Spero. Opowiadał o tym, jak wiele zła trawi miasto, krytykował Święte Oficjum, które zamiast chronić przed demonami, przyczynia się do wymierania ludzkości i sprowadza na nią cierpienie.

Przepowiedział nawet to, że mieszkańcy Dzielnicy IV zerwą okowy niewolnictwa, co rozpali ogień rewolucji. Wyzwolony gatunek ludzki wejdzie w nową erę, wolną od śmierci z rąk bliźnich. Prosił ich o poparcie powstania. Dla ludzi, którzy tyle razy widzieli zniszczenia zadane przez Inkwizytora, wybór nie był trudny. Prędzej czy później i tak zginęliby w kolejnej czystce, dlatego jedynie garstka z ich szeregów pozostała lojalna starym siłom.

- Strzelaj! - wydarła się na chłopaka, który dopiero zaczynał wchodzić w dorosłość. W jej jednostce był najmłodszym z Interwentów. Doskonale rozumiała, że bycie szkolonym do walki z ledwo chodzącą biedotą, zorganizowaną przestępczością i skorumpowanymi urzędnikami, to w obecnej sytuacji totalna abstrakcja. Żadne szkolenie nie mogło go przygotować do starcia z Mortusami Świętego Oficjum.

Leżąc na betonie, Frenek przeładował karabin iglicowy. Zebrał się w sobie i oddawał nieregularne, suche strzały w kierunku wroga. Dolorez, opierając się o betonową ściankę, również namierzyła cel i wystrzeliła Umbre. Twardy, ciężki pocisk przeciął powietrze. Nabój uderzył czarnoopancerzonego żołnierza w pierś, rozsadzając ją w krwawym wybuchu.

- Nieźle - huknął do niej Rad.

Barczysty mężczyzna średniego wzroku o krótko ostrzyżonych blond włosach i kwadratowej szczęce stał ledwie kilka metrów na lewo od niej. Cofnął się minimalnie w głąb ruin kapliczki, w której się ukrywali. Gdy odpalił granat nasadkowy ze swojej igłownicy, zaklął. Rezultat nie był zadowalający. Źle wymierzył kąt opadania i ładunek uderzył w ziemię przed trzema Mortusami. Detonacja na moment przysłoniła ich sylwetki, lecz po chwili zobaczył, jak niewzruszeni przebiegli przez wirujące w powietrzu odłamki gruzu i ziemi. Ich pancerze nosiły liczne rysy, lecz wciąż były całe. Za to dyskopodobne bomby, których używali słudzy Boga, niemal zawsze spełniały swoje zadanie. Błyski światła oślepiały, a hartowane szrapnele rozrywały ciała Interwentów. Wrzaski umierających słyszeli na otwartych łączach. Ponosili znaczne straty. Odstrelona przez Freneka głowa jednego z wrogów mogła wskazywać, że potrafił się odgryźć. Być może stało się to za sprawą jego umiejętności, choć raczej młody miał trochę szczęścia.

Dolorez wypatrzyła przywódcę sił Świętego Oficjum. Olbrzym w ciężkiej zbroi, znacznie górując nad pozostałymi, nacierał na samej szpicy. Zaznaczał swoją obecność, strzelając z pistoletu plazmowego i wymachując

gargantuicznym, połyskującym toporem. Wycelowała i wystrzeliła. Potężny pocisk zrykoszetował od jego naramiennika. Pociągnęła za spust, podejmując drugą próbę. Tym razem trafiła go w napierśnik, nie czyniąc jednak żadnej widocznej szkody. Nie przejmował się i wciąż rozdawał ciosy.

Niebieska kula, którą wystrzelił, zwęgliła nieszczęśnika z jej oddziału. *Ja pierdolę, ile on może mieć na sobie metalu* – pomyślała. Granat odłamkowy załadowała do ręcznej wyrzutni, która pozwala miotać takie „prezenty” na znaczne odległości. Nabrała powietrza, uniosła rękę i zwolniła blokadę. Ładunek pomknął w kierunku Wielkoluda, do którego właśnie doskoczyło kilku Mortusów. Już miała cieszyć się z trafienia, lecz stało się coś nieoczekiwanego. Mężczyzna, jakby ostrzeżony magiczną predykcją, spojrział w stronę lecącej śmierci. Szybko złapał oburącz swoją broń, zamachnął się i policzkiem ostrza trzasnął granat, który jak zaczarowany trafił nad głowy czwórki Interwentów. Nie zdążyli nawet krzyknąć, a jedyne co po nich pozostało, to rozczłonkowane ciała.

Kobieta była w szoku, który pogłębił się, gdy zobaczyła, jak wróg odpala zasłony dymne i wstrzymuje atak. *Dlaczego to zrobili?* – zastanawiała się gorączkowo. Przyłgnęła do osłony i dalej w jej głowie kłębiły się myśli. *Przecież to nie ma sensu.*

– Rad, co o tym myślisz? – zapytała towarzysza broni. – To wygląda, jakby sukinsyny zrobiły dywersję.

Tylko co teraz – pytała samą siebie, nie znajdując odpowiedzi.

– Rad? – powtórzyła.

Czuła, jak strach chwyta ją za serce. *Przecież nasza strona prawie nie obrywała* – pomyślała i odwróciła się, by sprawdzić, dlaczego towarzysz nic nie mówi. Krzyk zastygł jej w gardle, a oczy gorączkowo błędziły w lewo i prawo. Mocniej ścisnęła strzelbę.

Interwent leżał na plecach w kałuży własnej krwi. W jego piersi, w miejscu serca, ziała wąska dziura. Od razu rozpoznała typ rany. Ktoś przeszył go na wylot mieczem albo innym ostrzem. A to oznaczało, że w ich szeregach jest wróg. Tylko gdzie? Kto? Ilu?

Podczas gdy trawiła ją gorączka pytań, odpowiedź na jedno już znalazła.

– Ich natarcie było przykrywką – szepnęła, a palce powędrowały do przycisków przy hełmie.

Zmieniła kanał na ogólny. Chciała wszystkich ostrzec przed nowym zagrożeniem. Nie zdążyła. Jej uwagę zwróciło coś innego. Kilka metrów od siebie dostrzegła zawirowania powietrza. Takie same jak te, które tworzą się nad ogniskiem. Jednak te były zbyt regularne i zbliżały się do niej, niekiedy całkowicie znikając.

- Co do chole...? - nie skończyła, gdy długie na kilkanaście centymetrów ostrze wbiło się w jej pierś.

Czasami niedowierzenie, szok i niezrozumienie przesłaniają na chwilę śmierć. Tak właśnie było teraz. Nie wiedziała co się stało i wciąż trwała niewzruszona, chcąc zrozumieć, kto i jak zadał cios. Niemal idealny kamuflaż dezaktywował się, odsłaniając sylwetkę jej oprawcy. Kobiety, agentki Świętego Oficjum. *Ty inkwizycyjna suko* - pomyślała w ostatnich chwilach życia. Dolorez patrzyła na kunsztowną, świetnie wykonaną zbroję, ładną twarz, otoczoną długimi ciemnobrązowymi włosami, na oczy, z których śmierć emanowała w czystej postaci. Można było dostrzec w nich obrzydzenie.

Alexandra nie traciła czasu. Wyszarpnęła ze swojej ofiary nadgarstkowe ostrze. Zwłoki Interwenta upadły z przytłumionym odgłosem na ziemię. Wzrok Szpieg-mistrzyni powędrował w stronę chłopca leżącego wśród betonowych gruzów. Spoglądał na nią przerażony nastolatek. Powoli odłożył karabin na ziemi i uklęknął. Ręce uniesione do góry sygnalizowały poddanie się, lecz nie mógł wiedzieć, że w ten sposób puka do złych drzwi. Opancerzona na czarno kobieta wycelowała w niego.

- Błagam... - wyszeptał Frenek, a łzy momentalnie spłynęły po jego policzkach.

Parsknięcie rozwiało jego nadzieje na łaskę.

- Błagać możesz Stwórcę o przebaczenie - powiedziała Alexandra i pociągnęła za spust.

Pocisk rozsadził czaszkę trepa, posyłając bezwładne, młode ciało na zimny gruz. Schowała broń do kabury, a myślą ponownie aktywowała swoje maskowanie. Miliony ręcznie wykonywanych światłoczułych ogniów zadziały natychmiast, rozmywając jej sylwetkę. Wyglądało, jakby rozplynęła się w powietrzu.

Zanim wróciła do walki i kontynuowania mordy, podniosła hełm martwej kobiety. Wyjęła z niego komunikator. Z jej palca wysunął się pęk małych,

wijących się, białych przewodów, które objęły urządzenie. Maszyny różniczkowe ukryte w jej pancerzu złamały zabezpieczenia. W ten sposób uzyskała dostęp do kanałów, na których operowali Interwenci. Cały proces hakowania trwał równo cztery oddechy. Po wszystkim zgmiotła metalowy przedmiot, upuściła na ziemię i zaczęła biec. Dla niej łowy rozpoczęły się dopiero teraz.

Dywersja, którą poprowadził Ursus, była idealnym rozwiązaniem, by wniknąć za linię zdrajców. Owszem, mogła osiągnąć to i bez pomocy Mortusów, lecz zasiany przez nich chaos sprawił, że pierwsze eliminacje wrogów przypisano ostrzałowi Świętego Oficjum, a nie Alexandrze. Była to dla niej dodatkowa zasłona.

Biegła przed siebie, utrzymując miarowe tempo. Zupełnie jak wilk, który podąża za tropem. Miała dwadzieścia minut na to, by osłabić Interwentów, nim Kapitan znów na nich uderzy. Przeszła do korytarza prowadzącego przez gruzy. Luźnym krokiem przemierzało go dwóch mężczyzn. Zakradła się bezszelestnie. Jednemu przeszła i rozorała kręgosłup. Drugi nie zdążył nawet krzyknąć, gdy rapierem przebiła mu serce.

Trzydzieści metrów dalej, za okazałym fragmentem betonowej kolumny, ciemnoskóra kobieta opatrywała zranione ramię. Karabin odłożyła na bok, a całą uwagę skoncentrowała na bandażu. Szpieg-mistrzyni miała ułatwioną sprawę. Podeszła niezauważenie i dzięki siłownikom w zbroi skrzyła żołnierce kark. Obróciła kierunek w lewo i ruszyła w głąb wrogiego terytorium, zostawiając za sobą martwą zdrajczynię, która pustym wzrokiem patrzyła w bezkresną noc. Wciąż nikt jej nie wykrył, lecz niebawem czekało ją prawdziwe starcie.

- Sten, jaki masz plan? - usłyszała na kanałach Interwentów.

Kluczyła między zniszczonymi zabudowaniami, szukając kolejnych ofiar.

- Cofniemy się na skraj ruin. Tych betonowych górien, które powysadzaliśmy, i dalej będziemy się bronić - warknął męski głos.

Skręciła na prawo i wspinała się po przekrzywionej kolumnie.

- Czy ciebie popieprzyło? - do rozmowy włączyła się kobieta. - Jak nas wykurzą, to nie będziemy mieli żadnej osłony, a później jest już tylko goły plac.

Szpieg-mistrzyni była już prawie na szczycie.

- Emilia, pomyśl do cholery - ryknął nowy ciężki głos. - Mają przewagę liczebną, mogą wzywać posiłki, ale nie mogą nas zbombardować - człowiek na łączu zakasłał. - Nie mogą przejść całą grupą przez te pogorzeliska. Muszą wychodzić pojedynczo bądź małymi grupkami - zaśmiał się sucho. - Szanse znów się wyrównują.

Z góry dojrzała nowych przeciwników. Była przekonana, że patrzy właśnie na tych, których słyszała na łączach. Znajdowali się jakieś trzydzieści metrów od niej, za kilkoma fragmentami częściowo zburzonych ścian.

- To da nam tylko więcej czasu - stwierdziła Emilia. - Przegraliśmy.

Dobrze - pomyślała Alexandra, słysząc zwątpienie, które wychwyciła w tonie Interwenta. Niepewność zasiana w jego sercu zapuszczała korzenie szybko i głęboko. Potem wyrastał konar zbudowany ze strachu, z którego wychodziły gałęzie wstydu, niemocy i zahamowania. W końcu takie drzewo rodziło owoce rozpacz, które smakowały kruchością, żalem i gorzką nutą klęski. Właśnie taki los był przeznaczony dla zdrajców i heretyków.

Zeskoczyła z kolumny, zwinnie lądując na kamiennym panelu, który niegdyś jako jeden z wielu utwardzał podłoże placu głównego. W pełnej gotowości, niczym najprawdziwsza zjawa, zakradła się na odległość siedmiu metrów od wrogiego zgrupowania. Jej maskowanie i wyćwiczone ruchy, w połączeniu z panującymi egipskimi ciemnościami, które chwilami rozjaśniały dopalające się ognie, czyniły ją praktycznie niewidzialną. Zastanawiała się, dlaczego toczą rozmowę na łączach, choć stali od siebie w niedużych odstępach. Doszła do wniosku, że sprytnie wykorzystali technologię. Mówiąc szeptem byli ledwo słyszalni dla świata zewnętrznego, lecz kanały komunikacyjne pozwalały im dobrze się rozumieć. Czyniło to rozmowę bezpieczną, chyba że ktoś taki jak Szpieg-mistrzyni mógłby wyłapać każde ich słowo.

- Nie siej defetyzmu - rzucił męski głos.

Jedna z postaci, które widziała Alexandra, machnęła ręką. To pewnie ona wypowiedziała to zdanie.

- Tylko podaję fakty - kobieta trwała przy swoim.

Służka Boża wyjęła z pasa mały kulisty przedmiot. Był to detonator termiczny. Normalnie taka rzecz ma rozmiar średniej walizki, lecz techniczne cuda, do których, dzięki pozwoleniu Witeldona miała dostęp, umożliwiały minimalizację broni.

- Jeszcze coś wykraczesz - rosły Interwent pokręcił głową.

Naliczyła dwunastu przeciwników. Spojrzała na czasomierz. Dziewięć minut. Rzuciła ładunek w zgrupowanie wroga.

- Przecież to nie tak, że zaraz nas piorun jebnie - zaśmiał się następny i była to ostatnia rzecz, jaką zrobił.

Nikt z zebranych nie zauważył lecącej w powietrzu niewielkiej piłeczki. Ciśnięta w trójkę stojących obok siebie Interwentów, eksplodowała ogniem i pożogą, nie pozostawiając nic prócz rozrzuconych i zwęglonych fragmentów metalu ich zbroi. Pozostali heretycy, nie wiedząc co się dzieje, natychmiast się poderwali. Byli świadomi, że ktoś ich zaatakował. Nie wiedzieli jednak kto.

Zwarli szeregi i szybko okrążyli miejsce kaźni swoich kolegów. Tymczasem Alexandra zaszła ich z boku i wyciągnęła swój pistolet. Wystrzelony pocisk trafił przeciwnika w głowę, rozrywając ją. Zdekapitowane ciało padło na ziemię. Reszta żołnierzy wykazała się dużym refleksem. Widząc jak jeden z ich stracił życie, wycelowali karabiny w miejsce, z którego padł strzał. Zabójczyni była już jednak bliżej niż mogli sobie wyobrazić.

Następnych troje zaszła od tyłu. Dzielił ich niewielki dystans. Jeden cios ostrzem nadgarstkowym i kolejny czerep spadł na ziemię. Niehonorowe cięcie, tym razem w plecy, rozszarpało przeciwnicze kręgosłup. Zdążyła jednak przekreślić się i wypalić z nieporęcznego Pogożelnika wprost w piersiowe panele zbroi Alexandry. Chmura szrapneli, ognia i metalowych opiłków smagnęła ją z potężną siłą. Pancierz wytrzymał cios. Choć trafienie było praktycznie z przyłożenia, to jednak broń tego typu ma mizerne przebicie. Najlepiej nadawała się do masakrowania motłochu w łachmanach. Efekt strzału był jednak widoczny. Uszkodzeniu uległo wiele światłoczułych komórek i kamuflaż zaczął migać. Do generatorów wbudowanych w zbroję dodała więcej mocy do maskowania, co zwiększyło częstotliwość mignięć. Nie chciała ponownie się kryć. Pragnęła na chwilę ogłupić i dezorientować rywali.

Barczysty mężczyzna odwrócił się i próbował uderzyć ją kolbą karabinu. Dla kogoś, kto przez większość swego życia trenował pod okiem Inkwizytora, ruchy samca, który się na nią zamierzył, były niezwykle powolne. Zanurkowała pod jego ramieniem i wbiła pod pachę nadgarstkowe ostrze. Z jej wolnej kończyny od razu wysunęło się drugie, które zatopiła w karku

Interwenta. Przyciągnęła mężczyznę do siebie, zasłaniając się przed strzałami dwóch innych heretyków. Uwolnioną ręką dobyła pistolet i oddała dwa szybkie strzały. Nim kolejne ofiary osunęły się na ziemię, odrzuciła zwłoki przydatne jeszcze chwilę temu. Próbowwała zrobić unik przed krótkim mieczem kolejnego przeciwnika, lecz nagle poczuła ból w stawie prawej nogi. Zerknęła w dół. Kobieta, której przed chwilą rozorała kręgosłup, gapiała się na nią z zaciśniętymi zębami. Udało się jej wbić bojowy nóż w słabiej chronione łączenie płyt zbroi. Dostrzegła w jej oczach coś pomiędzy agonią i wściekłością. Nie miała czasu na głębszą analizę odczuć, ponieważ była o krok od śmierci. Z nadgarstka wystrzeliła salwę strzałek usypiających. Wbite w czoło napastniczki, zaaplikowały jej śmiertelną dawkę.

Ostrze noża wyszło z nogi Alexandry, lecz na unik było już za późno. Unosząc ręce i krzyżując klingi, zablokowała wrogi atak. Mężczyzna nie zamierzał wyprowadzać innych. Przeniósł całą siłę i masę na trzymany miecz. W ten sposób chciał przebić się przez jej obronę. Siłowniki pancerza Szpieg-mistrzyni pracowały razem z jej mięśniami. Chciała odpowiedzieć pięknym za nadobne. W pewnym momencie usłyszała kroki, co oznaczało, że zbliżają się nowi ludzie. Z oddziału, z którym starła się w walce, prócz dryblasza zostało jeszcze dwóch żołnierzy. Właśnie teraz podchodzili z boku, by wypalić w jej plecy. Dochodzący z oddali stukot metalowych butów był jednak liczniejszy. Znacznie liczniejszy.

Zbroja zaaplikowała do jej krwioobiegu dawkę stymulantów bojowych, które pobudzały do działania i tłumiły ból. W następnej sekundzie Alexandra całkowicie zwolniła blokadę. Cofnęła się, lekko schodząc na bok. Ogorzały piechur dał się zaskoczyć i stracił równowagę. Runął przed siebie jak długi. Nie sposób było uniknąć tego, co nieuniknione. Wbiła mu w głowę sztylet z hartowanej stali i spojrzała na dwoje Interwentów, którzy zszokowani zmianą sytuacji unosili do strzału swoje Umbry. Stali niecałe sześć metrów od niej. Wszystko wyglądało tak, jakby akcja działa się w zwolnionym tempie. Szpieg-mistrzyni działała jednak błyskawicznie. Bez wahania sięgnęła do pasa zdrajcy i z kabury wyjęła jego własną broń przyboczną. Trzymała przedmiot służący herezji i nie była z tego powodu dumna. Kolejny minus stanowiło to, że ciężki i toporny pistolet, model Proletariusz, choć był znany ze swojej mocy, miał wielki odrzut i zupełny brak finezji, co psuło jego legendę.

Troje ludzi wystrzeliło równocześnie. Interwenci pojedynczymi, solidnymi i grubymi pociskami. Jeden wbił się i oderwał rękę martwego towarzysza, którego zwłok Szpieg-mistrzyni użyła jako tarczy. Już kolejny raz zastosowała tę taktykę. Drugi całą mocą uderzył w jej wystające ramię. Płyty pancerza zatrzymały ładunek. Przebiła się jedynie jego końcówka. Nabój, poskręcany od siły i temperatury, wraz z fragmentami zbroi, wniknął w jej ciało, rozcinając skórę i zanurzając się w mięsień. Syknęła z bólu, lecz odgryzła się w pięknym stylu. Pistolet był ustawiony na tryb automatyczny, więc na wrogów spadł grad dziesięciu kul, niemal od razu uśmiercając obydwu mężczyzn.

Puściła żołnierza służącego za tarczę. Choć stukot kroków nasilał się z każdą chwilą, musiała wykorzystać chwilowe zamieszanie i przywrócić sobie dawną sprawność. Minimalnie utykając, cierpliwie przemieszczała się w głąb ruin.

- Gdzie jest ten jebany anihilator? - usłyszała na łączach i zamarła.

Rozpoznała głos z odprawy, którą mieli przed szturmem. Sepus Guri, starszy porucznik oraz dowódca zdradzieckiego oddziału. Właśnie się do niej zbliżał.

- Podzielić się na trzy drużyny i zająć mi go z trzech stron - wykrzykiwał rozkazy. - Środek, lewa i prawa flanką, zepchniemy go na otwarty teren i rozstrzelamy.

Miarowe pikanie oznaczało, że reszta jego ludzi przyjęła rozkazy. Musiało ich zostać jeszcze około trzydziestu.

Nowa dawka stymulantów bojowych dotarła do jej żył. Chciała zawarczeć jak wilk, lecz powstrzymała dzikie zwierzę kryjące się w jej sercu. Zdrową ręką chwyciła za okaleczone ramię. Zacisnęła palce na poszarpanym metalu, w którym tkwiła kula. Siłą determinacji i dzięki wsparciu układów siłowników pancerza wyrwała uszkodzony fragment, wydając przy tym z siebie długi, zduszony jęk. *Słabość rodzi niemoc. Niemoc rodzi grzech. Grzech rodzi potępienie* - recytowała z pamięci.

Krew obficie wypłynęła z otwartej rany. Dzięki wbudowanym dozownikom i środkom, które sobie zaaplikowała, skutecznie i szybko udało się jej zatamować krwotok. Ukryta wśród gruzo-wisk, czekała na rozwój wypadków. Gdyby miała do dyspozycji swoje maskowanie...

Spojrzała na czasomierz i pomyślała, że przy tego typu akcji i intensywności walki Ursus musiał już zacząć ofensywę. Miała zatem całe dwie minuty.

Z każdej strony dochodziły ją odgłosy kroków. Klęczała pod powaloną betonową balustradą, która całkowicie ją zakrywała. Ktoś musiałby podejść od frontu i porządnie się schylić, by ją dojrzeć. Do tego wszystko działo się w niemal całkowitej ciemności. Urywane światło ognia i latarek nie mogło równać się z jej siatkówkowymi wyświetlaczami.

Widziała jak niektórzy przechodzą tuż obok. Inni ostrożnie przetrząsali kamienie, szukając jej kryjówki. Mogła sobie wyobrazić, sądząc po ruchach świateł, że kolejni rozglądają się bez celu na wszystkie strony. Naprzeciwko dostrzegła trzy pary nóg. Widziała je doskonale, klęcząc za osłoną, zbudowaną z poszarzałych ruin. Miała do nich może cztery metry.

- Chyba uciekł, szefie - powiedział męski, ochrypnięty głos.

- Albo uciekła - odpowiedział drugi mężczyzna.

Serce Alexandry zamarło. To był on. Tak blisko. Zostało jej piętnaście sekund. Musiała działać. Ze swojego pasa wyjęła czwarty przedmiot, którego zamierzała użyć podczas tej misji. W dłoni trzymała mały sześcian wielkości zwykłej kostki do gry, który lekko brudził jej palce czymś, co przypominało talk albo mąkę. Zmiażdżyła go i okrężnymi ruchami rozsmarowała na dłoni, którą przyłożyła do kilkutonowego betonu nad swoją głową. Efekt był piorunujący.

Cała konstrukcja wyleciała w powietrze, jakby uderzona przez bombę. Mączka wykonana ze zmielonych skorup magmowych krabów, występujących na ognistych stepach za Wielkim Spaczonym Oceanem, miała silne właściwości wybuchowe. Stwórcy niech będą dzięki, cała energia eksplozji zawsze szła tylko w jednym kierunku. Dzięki temu Szpieg-mistrzynie mogła rozerwać na strzępy wiele ton betonu i stali, a każdy z jej palców pozostawał nietknięty.

Powstała i pędem ruszyła przed siebie, by zakończyć żywot przywódcy zdradzieckich Interwentów. Jeden strzał trafił w czerep człowieka, który go zasłaniał, drugi rozłupał głowę mężczyzny, którym ochraniał się jak tarczą. Nie przeładowała wcześniej broni i wiedziała, że nie ma już amunicji. Ci, którzy otrząsnęli się z szoku po jej hucznym wejściu, kolejno otwierali ogień. Do celu miała dwa metry. Pocisk z Umbry uderzył ją w tył pleców. Lekko

zachwiała się i na chwilę straciła płynność biegu. Ognisty deszcz z Pogoźelnika rysował jej zbroję, lecz nie sięgał twarzy. Wyciągnęła rapier, zbierając się do zamachu. Dwa naboje z Igłownicy wgrzyły się w jej biodro, lecz nie zdołały przebić pancerza.

Widziała doskonale jego twarz. Jasnobrązowa grzywka i mały zarost nadawały mu młodzieńczy wyraz. Ciemnozielone oczy patrzyły z mieszaniną strachu i niezrozumienia. Nie mógł wiedzieć, jak znalazła się tu i teraz. Nie mógł znać technologii, której używała, i nic nie wiedział o jej umiejętnościach. Jej usta wykrzywił uśmiech. Uświęcona stal rapiera była już centymetry od szyi Sepusa, gdy ten nagle zniknął. Wyparował w ledwo dostrzegalnym błysku czerwonej poświaty.

- Szarlataństwo - wyszeptwała.

Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jej ofiara została teleportowana za sprawą magii. Odwróciła się. Była gotowa stawić wyzwanie każdemu potencjalnemu przeciwnikowi. Kolejny pocisk uderzył ją w pierś. Tym razem brenek przebił się do żywego ciała. Straciła oddech i cofnęła się o krok, lecz gardę trzymała wysoko. Wiedziała, że trafienie nie było śmiertelne. Nie miała jednak jak się bronić, ani jak uciec. Jej czasomierz wyświetlił zero sekund.

Pojedyncze, wymierzone z chirurgiczną precyzją snopy światła, padające pod różnymi kątami, ugodziły jej przeciwników. Kilku Interwentów zostało spopielenych. Jednak większość, podobnie jak porucznik, zniknęła w krwistej poświacie. Wszystko ucichło. Stała poraniona i niewzruszona pośród zniszczeń i gruzowisk. Jej zbroja, choć poważnie uszkodzona, powyszczerbiana, porysowana, a w kilku miejscach dziurawa, wciąż działała. Do jej krwiobiegu znowu wpuszczono stymulanty i środki powstrzymujące krwawienie. Wyświetlacze siatkówkowe poinformowały, że zużywa ostatnie dawki medykamentów.

Wpięła ostatni magazynek do pistoletu i w milczeniu patrzyła na Mortusów zajmujących pozycję wokół niej. Agent Helt ukłonił jej się lekko i znalazł miejsce w straży przedniej. Pochód zamykał Ursus. Podeszedł do niej szybkim krokiem, trzymając w dłoni swoją broń plazmową.

- Jak tam? - zagadnął, lecz widząc ją, mógł sam sobie odpowiedzieć na to pytanie. - Trochę cię poturbowali.

Westchnęła. W ten sposób chciała sprawdzić, czy obrażenia klatki piersiowej są poważne, a przy okazji dać upust irytacji.

- Jest ich trochę więcej niż założyliśmy - oznajmiła i włożyła giwerę do kabury. - Zabiłam jedną czwartą ich sił. Miałam tego węża w swoich rękach, ale coś go przeniosło - spojrzała mu w oczy. - Wiesz, co to oznacza? - zapytała, zaciskając zęby.

Wielkolud pokiwał głową.

- Przed naszą zasadzką też zostali uratowani w ciekawy sposób - powiedział.

- Spaczony czarnoksiężnik mocno komplikuje sprawy.

Brew mężczyzny uniosła się w górę.

- To nie musi być ktoś taki, kochana - słysząc, jak się do niej zwraca, natychmiast się zjeżyła. - Jest wiele osób i szkarad, które potrafią robić takie rzeczy.

Choć czyniła to niezmiernie rzadko, musiała się z nim zgodzić.

- W takim razie musimy działać - rzekła i odwróciła się na pięcie, aby pójść w stronę jedynej niezrujnowanej części placu. - Nie wyczułam potężnej siły, nie mogli zostać przeniesieni daleko.

Odeszła kilka kroków i zaniósła się ciężkim kaszlem. Kapitan ruchem dłoni nakazał Mortusom dalszy marsz. Prowadził agent Helt. Polecił mu przeprowadzić szybki zwiad, a sam zrównał się z Alexandrą.

- Nie powinnaś się wycofać i dać opatrzeć? - zapytał, choć znał odpowiedź. Wiele razy mieli okazję współpracować i już nieraz widział jej samobójczą niezłomność.

- Po moim trupie - oznajmiła, a po chwili dumnie podniosła głowę. Siła jej woli była imponująca.

- Oby to nie było proroctwo - parsknął.

- Jeśli taka będzie wola Stwórcy, to taki będzie mój los - ucięła dyskusję w taki sam sposób jak zawsze.

Gdy oni rozmawiali, inkwizyjni żołnierze przesunęli się na skraj gruzowisk. Nie napotkali żadnego oporu, lecz to, co tam ujrzeli, wymusiło reakcję.

- Mój Panie, Pani - zaczął na łączu Helt. - Musicie przyjść i sami to zobaczyć. My zajmujemy pozycje wśród ruin, by mieć najlepsze pole do ostrzału.

Kobieta posłała Ursusowi pełne determinacji spojrzenie. Aktywował komunikator.

- Już idziemy.

Mając pewność, że teren przed nimi jest czysty, pokonanie kilkuset metrów zajęło chwilę. Zbliżając się do Mortusów, słyszeli chór ludzkich głosów. Miarowy, głęboki śpiew o niskiej barwie. Całość przypominała wspólne kościelne modlitwy, lecz w dźwiękach, które wiatr niósł do ich uszu, kryło się coś mrocznego. Czuli to.

Kiedy doszli na stanowiska obsadzone przez żołnierzy Inkwizycji, kwadratowy mężczyzna w pękniętej masce wskazał przed siebie. Ludzie byli ukryci w kamiennych pogorzeliśkach i całkowitych ciemnościach. Patrzyli na coś, co napełniło ich serca niepokojem. Obserwowali czarną mszę.

Trzydziestu Interwentów i dwa tuziny ocalałych mieszczan klęczało na niezniszczonej części placu. Wszystko działo się jakieś dwieście metrów od patrzących egzekutorów woli Bożej. Kilometr dalej rozpościerały się mury pałacu Zarządcy. Tuż przed grupą modlących widoczny był Sepus. Wszyscy byli odwróceny plecami do zgliszcz, w których jeszcze chwilę temu toczyli walki. Wszyscy, prócz jednego.

Mężczyzna stał wyprostowany przed zbieraniną pogrążonych w modlitwie dusz. Ubrany w ciemną szatę kleryka, pokrytą ornamentami ze złota, miał na ramionach ciężkie karwasze wykonane z matowej stali. W jednej dłoni trzymał bogato zdobioną laskę, zakończoną żelaznym zniczem, w którym zarzył się ogień oświetlający jego i najbliższą przestrzeń. Blask padał również na jego twarz. Skóra niczym mleko poprzeplatana była cienkimi żyłami w kolorze ciemnej purpury. Ostre rysy, wysokie kości policzkowe i brak owłosienia na głowie nadawały mu nienaturalny wygląd. Jego żółte oczy o czerwonych źrenicach miały w sobie szatański pierwiastek. Suroh Delisz... Drugą dłoń wyciągnął przed siebie. Zdawać się mogło, że udziela błogosławieństwa ludziom naprzeciwko niego. Słowa, które wypowiadał, nie były jednak zrozumiałe. Gardłowe chrząknięcia i głęboko przeciągane ryknięcia nie pochodziły z tego świata. Choć sługi Inkwizycji dzieliło od niego około dwustu metrów, każdy słyszał jego inkantacje.

- Nie skupiajcie się na tym - powiedziała Alexandra na wspólnym łączu. - To szatańska mowa, czarci dialekt.

Wyglądało na to, iż Ursus miał już dość biernego przyglądania się tej scenie.

- Kiedy rozpieprzymy jego i całą resztę?

Szpieg-mistrzyni posłała mu spojrzenie pełne aprobaty.

- W tej chwili - odrzekła i dodała tylko jedno słowo, które objęło swym zasięgiem każdego ze Mortusów. - Ognia!

Sekundę później z trzydziestu dwóch karabinów *Cereus* wystrzeliły snopy białego światła. Promienie pulsowały, migając niczym spadające gwiazdy. Wiązki energii spadły na odprawiających rytuał zdrajców. Taka siła ognia w mgnieniu oka mogła stopić tony stali, jednak tutaj nic się nie stało. Morderczą kanonadę zatrzymała krwistoczerwona poświata. Salwa za salwą waliła o barierę, nie przynosząc oczekiwanego skutku. Widząc to, Wielkolud przeciążył plazmowy pistolet. Kula plazmy, większa i gorętsza niż przewidywały normy, pomknęła wprost w barierę, pękając w nie-bieskim błysku. Drugie pociągnięcie spustu uwolniło kolejne miniaturowe słońce. Jednak znów eteryczna ściana pozostała niezachwiana. Rakieta Timothy'ego wyrzuciła na moment zasłonę, nie czyniąc jej żadnej większej szkody. Bombardowanie cząsteczkami z karabinów świetlnych trwało jeszcze pół minuty. Później Mortusi musieli rozpocząć procedurę chłodzenia broni.

- Plan B? - zapytał Ursus.

Alexandra już otwierała usta, by polecić mu przywołać Kolibry i rozpocząć bombardowanie, a następnie szturmem rozwiązać sprawę. Świadomie wyrzuciła z pamięci to, że otaczają ich najważniejsze budynki Dzielnicy IV. Te pomysły uprzedził jednak donośny głos kapłana.

- Próba godna szacunku, zaprawdę - powiedział.

Mimo że nie wyteżał się ani nie krzyczał, słysząc go było idealnie. Kobieta sprawdziła kanały komunikacyjne. Szybka diagnostyka, którą przeprowadziły maszyny różniczkowe jej zbroi, nie wykryła, by ktoś włamał się do systemu. Zupełnie jakby dźwięk rezonował bezpośrednio w jej głowie.

- Musicie mi wybaczyć, że zniweczyłem wasz wysiłek, ale nie mogłem pozwolić na dalsze przelewanie niewinnej krwi.

Zaśmiał się krótko, osiągając niskie tony. Jego śmiech przeszedł w gardłowy, wydawać by się mogło zwierzęcy rechot. Płomień trzymanego kostura zmienił barwę, przybierając kolor ciemnego fioletu. Alexandrę, ilekroć skoncentrowała na nim wzrok, zaczynały boleć oczy. Mimo że ogień

powinien oświetlać, ten potęgował mrok. Nawet skanery i wbudowane czujniki w wyświetlaczach siatkówkowych kobiety miały coraz większy problem z dostrzeżeniem Suroha. Stalowym okuciem symbolu swojej posługi uderzył o kamienne podłoże. Krwawa poświata otoczyła wszystkich pogrążonych w modłach Interwentów i zwykłych mieszczan, a przenikliwy pisk trafił do jej uszu. Zauważyła, że część Mortusów szuka ukrycia w betonowych zgliszczach. Po ich reakcjach mogła wnosić, że doświadczają tego samego.

Kapłan wyciągnął dłoń przed siebie i powoli zacisnął ją w pięść. Aura wokół zdrajców zaczęła narastać. Świst w uszach również.

- On jest... - zaczęła mówić, mobilizując siły do nadchodzącej walki.

- Czarnoksiężnikiem - dokończył za nią Ursus, który zdjął z pleców *Behemota*.

Tymczasem Suroh rozpoczął przemowę pełną pasji.

- Właśnie teraz wybija godzina, w której nadejdzie czas zmian. Ludzkość odrzuci okowy Świętego Oficjum. Wy, którzy przysięgaliście strzec nas od zła kryjącego się w Piekło, którzy zobowiązaliście się Boskim nakazem chronić ludzi przed demonem, czartem, biesem i innym plugawym bytem, sami dzierzycie mrok jako swój oręż. Wy, którzy ślubowaliście czcić Stwórcę i jego kreacje, sami dokonywaliście aktów profanacji - moc otaczająca heretyków stała się czarna, oleista, niezdrowa z wyglądu. - Zabijać miliony w imię niewidocznego spaczenia? Palić ziemię, która była domem niezliczonych dusz? Zsyłać na męki lojalne twarze i gonić za cieniami kryjącymi się w sercach każdego z nas? - mężczyzna uniósł dłoń, a palcami uczynił określony gest. - Zaprawdę, ciężkie są to grzechy, lecz teraz ujrzenie i poczucie, jaki los mogą wam zgotować ci, którzy przez was cierpieli. Posmakujecie własnych lekarstw - mówiąc to, wykonał palcami kolejne tajemne kombinacje. - Mówi się, że ogień należy zwalczać ogniem. Mnie pozostaje wznosić ręce do Stwórcy i błagać, by wybaczył nam to, co każdy musi zrobić - rzekł i kolejny raz uderzył laską o podłoże.

Modlący zawyli, a wycie to przerodziło się we wrzask, który ucichł, gdy mroczna poświata wniknęła w ich ciała niczym krew w piach. Cisza nie trwała jednak nawet sekundę, gdyż oto na całym placu zaczęły się rozlegać inne odgłosy. Rozszarpywana i pękająca skóra, rozrywane mięśnie i wyginany metal zapowiadały zmiany. Ciała heretyków mutowały. Śmiertelne powłoki puchły i zyskiwały na masie, a kończyny otrzymywały

nowe stawy. Tkanki rozrastały się do niebotycznych rozmiarów, a następnie obrastały w macki, futro, oczy, nowe twarze, pyski, paszcze wypełnione zębami i dzioby.

Jeden spuchł tak, że przypominał bryłę chorego mięsa. Czerwone ropne strupy zasłoniły oczy i pełzały po nim wzdłuż i wszerz, ryjąc przy tym krwawe bruzdy na ciele. Czarne, ociekające śluzem, długie na kilka metrów parzydełka, wystające z przypadkowo umieszczonych otworów, drgały w konwulsjach. Zdeformowane łapy i nogi o kilku kolanach rozszczipiały się w wielu miejscach, a po chwili ponownie się łączyły. Z jego pleców wychodziła wielka paszcza o przegniłych zębach, z której, niczym gigantyczny jezior zbudowany z wysuszonych mięśni, wystawał człowiek z gołą czaszką. Stał jakby nabity na pal, stanowiąc jedność z potworem, jego część. W piersi ziała kolejna mordą, a w niej mrowie kłów i macek. Zamiast jednego ramienia miał swój własny kręgosłup, który szamotał się, jakby żył swoim rytmem.

Druga istota, o wielu odnóżach, przypominała gigantycznego pajaka pokrytego haczykowatymi językami zamiast włosów. Obrzydliwy odwłok trząsał się w urywkowych konwulsjach, wciąż się zmieniając. Nowe mięśnie, powłoki i tkanki rodziły się, a stare w mgnieniu oka, gniły i schodziły niczym skóra przy linieniu. Mutant posiadał trzy głowy, które patrzyły obłąkańczym wzrokiem. Każda w innym kierunku.

Pierwszy czerep był podobny do człowieczego, drugi do psiego, a trzeci do końskiego. Zdeformowane, zdawały się rozpuszczać od niewidzialnej siły. Z każdego otworu toczyła się gęsta piana, która opadając, wżerała się w kamień, głośno sycząc. Obok wielkimi łapami, imitującymi kolczaste maczugi, walił o podłoże inny mutant o aparycji spaczonego byka. Miał otwarty tors, zbudowany z samych żeber. W jego wnętrzu pięciu poparzonych ludzi gołymi rękami nawzajem się żywcem skórowało i konsumowało własne mięso. Mordą biesa miała trzy pary węzowych oczu, a sama żuchwa otwierała się naraz w cztery strony świata. Widać wtedy było tysiące długich jak noże zębów, które miały własne zęby. Najstraszliwszy był ogon, jak u skorpiona, zakończony długim, zakrzywionym żądłem. Każdy jego segment składał się z ludzkiej twarzy, która choć zdeformowana na tysiąc i jeden sposobów, nie przestawała śmiać się spazmatycznie i piszczeć w ekstazie.

Takich wynaturzeń stało na placu więcej. Jedno gorsze od drugiego. Parszywe byty, nadnaturalne kreatury, parodie stworzenia, dzieci zgwałconej świętości były nielicznymi określeniami, jakie do nich przyłgnęły. Pomioty Piekła wrzeszczały, wznosząc swe niezrozumiałe ryki do czarnego nieba, ich zawodzenie ogłuszało i pozbawiało człowieka zmysłów.

- Naprzód, dzieci nowych Panów - rzekł arcyheretyk w sutannie. - Jesteście pierwszymi, którzy zdarli z siebie ograniczenia ludzkości i ostatnimi, którzy cierpią w niewoli Boga-Kłamcy - jego kostur lewitował obok, a on wyciągnął obie ręce przed siebie. Błysnął z nich purpurowy ogień. - Zgładźcie sługi Tego, który nie słuchał, gdy błagaliście, nie przyszedł, gdy Go wzywaliście, nie pomógł, gdy potrzebowaliście pomocy - zamknął swoje dłonie w pięści. - Macie moje błogosławieństwo!

Krwawa ściana, która jeszcze przed momentem tak stanowczo opierała się ostrzałowi Inkwizycji, wydeła się i niczym wulkan eksplodowała mrocznym ogniem, który uderzył w gruzowiska chroniące żołnierzy Boga. Choć żaden nie został zabity, to spustoszenie i nieład nie pozwolił na skuteczne odparcie zbliżającego się zagrożenia.

Alexandra uderzyła bokiem o skały, gdy chciała się ukryć przed energią magiczną. Jej umysł cały czas kalkulował możliwości taktyczne. Nie mają wsparcia powietrznego, została ich ledwie trzydziestka, a walczyli ze sforą pomiotów zrodzonych z grzechu i szaleństwa. Bezbożny apostata był kolejnym gwoździem do ich trumny.

- Zebrać się i rozpocząć ostrzał - rozkazała Mortusom.

Zacisnęła zęby, a serwomotory pancerza wibrowały ze zdwojoną mocą. Potrzebowała całej siły, swojej i mechanicznej. Potwory przebiegły już pół dystansu i jeśli słudzy Świętego Oficjum nie zdołają ich zatrzymać tu i teraz, nad całą dzielnicą zawiśnie widmo niewyobrażalnej rzezi. Natomiast śmierć sił Inkwizycji mogła tylko wzmocnić wroga. Czarownik-heretyk mógł wskrzesić ciało każdego Mortusa, ponieważ nie chroniły ich rytuały Inkwizytorów i ich agentów. Napełniając ich spaczeniem, mógł powiększyć swoją armię pomiotów.

- Masz jakiś plan? - wrzasnął Ursus.

Stał kilka metrów po jej lewej stronie. Wychylał się zza skruszonej kolumny i strzelał pistoletem plazmowym. Bestie były dwadzieścia metrów od nich, gdy spadła na nie lawina światła. Pierwsze skrzypce grały karabiny,

nastawione na ogień automatyczny. Dodatkową melodię dodawały strzelby świetlne, a wszystko działo się przy akompaniamencie granatów i rakiet odłamkowych.

Plugastwa wyły, gdy ich ciała płonęły i były rozrywane przez bożą sprawiedliwość. Jednak żaden nie padł martwy.

- Mam - rzekła i zdjęła z pleców kuszę *Sanctificate*.

Wycelowwała w jedną z parodii życia, komedii mięśni i groteski istnienia. Monstrum było niewiele większe od zwykłego człowieka. Owalny tors pokrywały trzepoczące wicie, a długie flakowate ręce zakończone kilkoma mackami gięły się na wszystkie strony. Napuchnięta głowa o długich mięsnych uszach przypominała króliczą, a oczy miała osadzone na ślimaczych czułkach. Zamiast nóg bydlę miało kości wykręczone w dwie sprężyny, które nasączone spaczeniem były jak z gumy i umożliwiały długie, chaotyczne skoki. Piszcząc, piekielny pomiot rzucił się w jej kierunku z diabelską prędkością.

Szpieg-mistrzyni nacisnęła spust. Z obu luf zamontowanego pod kuszą pistoletu maszynowego, zasilanego przez dwa niezależne magazynki, wystrzelił grad pocisków. Szybkostrzelność była ogromna. Dwusekundowa seria uwolniła łącznie osiemdziesiąt naboju. Każdy zbudowany z hartowanego i utwardzonego tytanu, potrójnie namaszczone błogosławionymi olejami, stworzony był do walki ze spaczeniem.

Potwór zawisł w powietrzu, gdy nawałnica ognia wyhamowała jego skok. Zdeformowane ciało eksplodowało krwią, tkankami i kośćmi. Większość śmiercionośnego metalu przeszła na wylot, trafiając w płynące za nim spaczone morze mięsa, kłów i macek. Bulgoczące zwłoki upadły i dogorywały w urywanych spazmach.

Alexandra ponownie otworzyła ogień, obierając za cel mutantą podobnego do gigantycznej muchy. Istota była wielka i napeężniała jak krowa, a jej skóra, pokryta wrzącą ropą i palącym śluzem, lśniła od ognia walk. Jej twarz, karykaturalnie rozlazła, była w całości przegniła. Swymi owadzimi oczami i roslym, lecz cienkim niczym igła nosem, wodziła bez przerwy na lewo i prawo. Długie, lekkie i szybkie skrzydła upiornie kontrastowały z małymi, częściowo ludzkimi, a częściowo zwierzęcymi kończynami. Chwilę wcześniej mutant zwymiotował ropną zawiesiną. Płyn chlusnął na dwóch nieszczęsnych Mortusów. Syk i nagle urwany wrzask oznajmił, że ciecz miała żrące właściwości. Z ich ciał najpierw zszedł metal zbroi, potem niczym

woda spłynęła skóra, a za nią poszły mięśnie, zredukowane do krwawych flaczków, i na koniec szerniałe kości, które głucho spadły na brudną ziemię. To było wszystko, co zostało po walecznych żołnierzach.

Właśnie dlatego Szpieg-mistrzyni wzięła za cel tę abominację. Pozostałe pięćdziesiąt procent amunicji wystrzeliła w stronę demonicznego pomiotu. Trafiła bezbłędnie i strumień ognia przeciął korpus bestii, rozrywając jej wnętrzności. Pozbawiona kontroli szkarada zaryła z impetem o betonowe gruzy. Pomimo ran i utraty ponad trzech czwartych ciała, potwór wciąż odmawiał śmierci. Wierzgając i wijąc się w mękach, próbował zbierać swoje wypływające części. Przyciągnięte, rozchodziły się zaraz w wielkiej kałuży syfu, choroby i zgnilizny. Niebieska kula plazmy, która pojawiła się znikąd, wniknęła głęboko w wypaczoną formę, paląc ją w ognistej eksplozji. Dopiero wtedy można było uznać, że plugastwo zostało zgładzone.

- Twarda kurwa - zakrzyknął Ursus i wypalił w kolejne straszycło, po czym odskoczył na bok, unikając cięcia nożem z kości. Gdy potwór o sześciu twarzach rzucił się w jego stronę, wycofał się.

Kapitan nie był żadnym gimnastykiem ani akrobatą, lecz jak na człowieka o takich gabarytach potrafił poruszać się zwinnie. Z ciała monstrum wystrzeliła fontanna szlamu, pełna pulsujących, zakończonych długimi igłami parzydełek. Mutant postąpił krok do przodu z zamiarem uśmiercenia ofiary. Nagle błysnęła stal, a powietrze rozciął ryk. Odcięte macki pomiotu odpadły od jego ciała. Wrzeszcząc z bólu, spojrzał na ciemności. W dłoni Wielkoluda lśnił *Behemot*. Runy na toporze świeciły jasnym blaskiem, przepełniając go mocą. Cisnął nim w sam środek mrocznego bytu. Ostrze weszło w spaczone mięso po samą rękojeść, przebijając organiczny pancerz. Bydlę przysiadło od siły ciosu. Ursus podbiegł i wyrywając relikwię rozłupał korpus bestii. Litry krwi i innych płynów wylały się ze zmutowanego ciała. Mężczyzna strząsnął krew z *Behemota* i spojrzał przed siebie.

- Padnij! - wydał rozkaz, przekrzykując chaos bitwy.

Sam zarył opancerzonym ciałem o ziemię, chowając się za skałę. W miejsce, gdzie stał, uderzyły ogniste baty. Płomienne języki pokryły całą strefę walk. Wolframowo-stalowe zbroje Mortusów zapewniały ochronę przed pojedynczymi trafieniami, lecz atak taki jak ten przygwoździł żołnierzy Świętego Oficjum. Nie niepokozone przez wrogi ostrzał i ładunki wybuchowe demoniczne pomioty podwoiły starania i dostały się do Sług Bożych na odległość szponów. Nieskoordynowana siła ognia Czarnopancerzonych nie

czyniła większej szkody mrocznym niewolnikom. Ludzkie ciała były rozrywane, pożerane, rozpuszczane, a wnętrzności wysysane.

Krwistoczerwony laser wystrzelony z dłoni zdradzieckiego kapłana przeorał ruiny, zwalając fragmenty budynków i resztki kolumn. Wielka moc, którą władał Suroh, topiła skały i stal niczym masło na patelni. Apostata chwycił oburącz swój kostur i uniósł go wysoko nad głowę. Niebo rozcięła długa szrama. Rozerwana granica pomiędzy światami żarzyła się diabelską zorzą. Z rany czasoprzestrzennej spadł deszcz ognistych strzał. Pociski przesyczone czarnoksięską mocą mknęły do każdego, komu Suroh życzył śmierci.

Odczuwając dyskomfort rzucania naraz tyłu zaklęć, heretyk tylko zawarczał. Jak każdy władający tajemnymi siłami, miał swoje ograniczenia. Nie ulegało wątpliwości, że posiadał znaczne umiejętności i rezerwy, i gdyby należał do Kręgu, zostałby sklasyfikowany jako słaby czwarty stopień bądź mocny piaty. Czyniło go to wielkim zagrożeniem dla każdego, kto śmiał się mu sprzeciwić i stanąć na jego drodze. Jednak w porównaniu z najpotężniejszymi czarnoksiężnikami, był nikim. Tępy ból przeszywał od wewnątrz jego ciało, kumulując się w głowie. Z każdym kolejnym przepływem magicznej energii cierpienie narastało.

Mimo aktywności Suroha, niektórym Mortusom udało się zgładzić szarżujące na nich bestie, i teraz otwierali ogień w jego stronę. Świetlne promienie pomknęły wprost na niego, lecz składając palce w prostą kombinację, znowu stworzył przed sobą barierę. Tarcza blokowała każdy strzał. Pozwoliło mu to przygotować kolejne zaklęcie.



Jego ramię rozbłysło purpurowymi płomieniami, a w powietrze poszybowały mroczne komety. Wyleciały wysoko w niebo, a po chwili zaczęły pikować wprost na inkwizycyjnych katów. Trzech żołnierzy w porę zdołało schować się za fragmentami ruin, lecz jednego nieszczęśnika dosięgła

plugawa magia. Klatkę piersiową rozerwała krwawa eksplozja, a po chwili z wnętrza ciała piechura wyłoniła się potężna, kościsto-mięsista szkaradna łapa, która oderwała biedakowi głowę. Chowający się obok Timothy wystrzelił z pistoletu odłamkowego w rodzącą się na jego oczach kreaturę, a w stronę czarownika odpalił raketę przeciwpiechotną. Jego starania spełzły na niczym, ponieważ Suroh telekinezą skierował lot pocisku w stronę budynków. Zapierając się mocniej nogami, czarnoksiężnik przygotowywał kolejną inkantację.



Ursus posyłał kulę za kulą w biegnące kłębowisko mięsa. Zmutowana poczwara miała powypalane i poskręcane tkanki kostne, poodrywane kończyny i zwęglone całe połacie skorupy. Żaden pocisk plazmowy nie mógł jednak pozbawić jej życia, a dystans wciąż się zmniejszał. Kapitan odskoczył, unikając czarnych macek, kolejny raz wystrzelił i ruszył do przodu, zamierzając się toporem w monstrum. Trafienie materia w czwartym stanie skupienia, rozgrzaną do gigantycznych temperatur, zamroczyło potwora. Cios *Behemotem* rozplątał szkaradę na pół.

Wielkolud zignorował dwa krótkie pajęczce szpony, które wysunęły się z boku pomiotu i błyskawicznie ugodziły go w ramię. Organiczne, haczykowate ostrza zdarły grube płyty pancerza i wbiły się w odsłoniętą kończynę. Mężczyzna stęknął, zazgrzytał zębami i wyszarpał topór z dogorywającego ciała, by ponownie opuścić go z wielką siłą. Ostrze zanurzyło się w przeciwnika. Ursus napiął mięśnie i używając swojej masy przygniótł wroga tak, że oręż wszedł w ciało jeszcze głębiej. Wypuścił pistolet z dłoni, a sam oburącz chwycił *Behemota* świecącego jasnoniebieską poświatą we wnętrzu bestii. Szarpał nim na boki, maksymalizując zniszczenia i cierpienie stwora. Bestia zawyła. Pojawiło się więcej haczykowatych odnóży, które zaczęły kłuć kata.

Kapitan czuł, jak metal jego zbroi wygina się i pęka pod ciosami oszalałego dziecka mroku. Jedno ostrze przebiło pancerz i ugodziło go w bok. Ursus krzyknął, gdy końcówka zaczęła wkręcać się w jego wnętrze. Dodało mu to energii i zmobilizowało do podwojenia wysiłków. Wyrwał runiczną relikwię z szatańskiego bydłęcia, amputując przy tym jej większą część, i zaczął go nią okładać, zamieniając przeciwnika w kiepsko

przemielone bitki. Dysząc z wysiłku, wyciągnął resztki horroru ze swojego boku, a z lepkiej juchy podniósł pistolet plazmowy.

Walcząc z pomiotem zgubnych potęg, znacznie cofnął się w głąb ruin, przez co stracił możliwość nadzorowania i kontrolowania bitwy. Włączył wyświetlacze siatkówkowe i ruszył biegiem w stronę walczących. Przełączył je na kamery w wizjerach Mortusów. Przy wielu wyświetlił się napis *Brak połączenia*, a wskaźniki funkcji życiowych były wyzerowane. Szaleństwo, które rozgorzało na placu, oszczędziło dwunastu Mortusów. Ursus patrzył oczami żyjących żołnierzy i widział, że niemal wszystkie bestie zostały zgładzone. Teraz wszyscy skoncentrowali się na apostacie.

Na ogólnym łączu słyszał jak Uluta Piukr wydawała kolejne rozkazy. Czarnoopancerzeni słudzy Inkwizycji zajęli pozycje i prowadzili ostrzał, starając się być nieprzewidywalni. Kiedy jeden z prawej strony chował się, unikając deszczu kamieni rzuconych siłą woli, drugi z lewej, oddalony od niego o jakieś dwieście metrów, wychylał się i otwierał ogień. Inni postępowali podobnie. Po stronie Inkwizycji zostało niewielu walczących, dlatego próbowali sprzedać swoje życia jak najdrożej. Męczyli arcyheretyka wiedząc, że żadna magia nie jest nieskończona, i wreszcie jakiś strzał go dosięgnie. Najbardziej jednak zastanawiał Ursusa brak kontaktu ze Szpieg-mistrzynią. Wywoływał ją kolejny raz, ale jedyne, co słyszał w odpowiedzi, to trzaski.

- Zgłoś się do cholery! - krzyknął, biegnąc cały czas.

Ten brak odzewu niepokoił go tym bardziej, że diagnostyka pokazywała sprawność łącza. Mężczyzna znalazł się w końcu na pierwszej linii, pomiędzy dwojgiem swoich ludzi. Jeden strzelał, próbując przebić się pod uniesionym nad ziemią skalnym blokiem. Chwilę później, za sprawą surowej magicznej energii, jego ciało bez głowy i części tułowia opadło na gruzy. Drugi nie przejął się zbyt śmiertelnością kolegi.

- Mój Panie - przyklęknął na chwilę na jedno kolano, gdy zobaczył dowódcę i czekał na rozkaz.

- Widziałeś Szpieg-mistrzynię?

Czarnoopancerzony pokręcił głową.

- Nie, Panie. Gdy starliśmy się z piekielnymi sługami, zapanował kompletny chaos - opowiadał, lecz Ursus już go nie słuchał. Znalazł ją.

Samotna kobieca postać wynurzyła się z ruin. Cała we krwi zabitych pomiotów. Biegła wprost na apostatę. *To samobójstwo. Jednak nie pierwsze w jej wykonaniu* – pomyślał. Wspiął się na kamienną osłonę, przeskoczył ją i rzucił się biegiem wprost na zdradzieckiego kapłana.



- Nienawiść jest niezawodną bronią. Wzgarda jest zbroją czcigodnych - Alexandra z każdym krokiem przybliżała się do swojego celu. - Litość jest skazą na duszy. Wahanie jest słabością jaźni - kolejne słowa Kantyczki Stali opuszczały jej usta, wzmacniając umysł i ciało.

Apostatę, z którym zaraz się zmierzy, należało zgładzić natychmiast, bez cienia wątpliwości w sercu. To właśnie ten niesankcjonowany i niekontrolowany czarnoksiężnik zaplanował powstanie w dzielnicy i stworzył mroczne bestie. To było coś więcej niż zwykła herezja. Samo jego istnienie było grzechem, który mogła odkupić tylko śmierć.

- Pokora jest balsamem dla krwawiącego serca - powiedziała i zatrzymała się pięćdziesiąt metrów od zdrajcy.

Bez zbędnych ceregieli, zapierając się nogami o spękany kamień podłoża, nacisnęła spust pistoletów maszynowych. Odrzut broni zatrząsł jej ramionami. W mniej niż cztery sekundy magazynek opuściło sto sześćdziesiąt namaszczonych pocisków. Suroh wyciągnął długie ręce i stworzył kilka metrów przed sobą krwistoczerwoną barierę, która zatrzymała zabójcze kule. Jednak każde nowe trafienie kruszyło tarczę, aż w końcu pociski przebiły się i pomknęły w stronę heretyka. Mając ułamek sekundy, ten rozchylił dłonie, by zmienić trajektorie ognia wroga. Jego szybkość była niesamowita, dlatego tylko jeden nabój zranił go w ramię. Mężczyzna złożył palce w kombinacje szybkich sekwencji i z jego dłoni wystrzeliła kula ognia. Skwiercząc, leciała prosto na kobietę.

Alexandra wiedziała, że uniknięcie tego ciosu jest właściwie niemożliwe. Ognista sfera będzie podążać za celem do końca, a jeśli go nie dogoni, dokona się eksplozja, która zakończy żywot ofiary. Wyprostowała się dumnie i aktywowała dozowniki itru. Rozpylacz wytworzył przed nią gęstą mgiełkę. Miniaturowe słońce, zrodzone przez apostatę, mknęło niczym pikujący orzeł. Gdy płomienie dotarły do metalicznej chmury, ogień zgasł szybciej niż mrugnięcie oka. Szpieg-mistrzyni ponownie wystrzeliła lawinę pocisków.

Suroh odskoczył na bok i na oczekaniu stworzył kilka barier, wydając przy tym gardłowy ryk. Jego moc słabła. Lasery Mortusów tańczyły wokół niego.

W odpowiedzi chwycił oburącz swój kostur i niczym maczugą uderzył nim o kamienne płyty. Ziemia zadrżała i uniosła w górę liczne, twardo ciosane, grube ściany, które osłoniły go przed ogniem karabinów świetlnych. Kątem oka spostrzegł, że podmuch powietrza zmiotł zasłonę jego przeciwnika. Ciężko dysząc, oparł się o symbol dawnej pozycji. Zimny pot pokrywał mu czoło. Musiał to szybko skończyć. Czuł szum w głowie, potęgujący się z każdą chwilą. Jego czaszka pełna była złowrogich szeptów. Skronie pulsowały tak, jakby coś wiło się pod skórą. Musiał się skupić na otaczającej rzeczywistości. Usłyszał zwolnienie cięciwy. Jakby za sprawą szóstego zmysłu, ruchem palca poderwał blok betonu. W nim zatrzymał się bełt z kuszy *Sanctificate*. Kilka centymetrów przed jego twarzą.

Nerwowo przełknął ślinę. Nie tak wyglądały jego sny. Wizje, zesłane przez nowych Panów, prawily o jego zwycięstwie i chwale. Widział w nich, jak pomaga rzeszom ludzi zrzucać okowy niewolnictwa. Jedyne, co mu teraz zostało, to widok śmierci wszystkich nawróconych dusz i kobieta, której wzrok był bronią samą w sobie. Spostrzegł, że recytując jakieś egzorcyzmy, wkładała kolejny zabójczy pocisk.

Z koniuszków jego palców wyskoczył rój błyskawic. Mknęły, liżąc po drodze palącymi językami skały. Łaknęły krwi. Alexandra nie miała już żadnej możliwości obrony poza glifami i hexagonicznymi symbolami pancerza. Trzymając naładowaną broń, wyciągnęła przed siebie rękę. *Jeśli tylko stracę ramię, położę go trupem* – pomyślała w duchu. Jednak Stwórca orzekł, że jej posługa nie może skończyć się tutaj.

Nicznym tarcza wyrosła przed nią głownia topora o podwójnym ostrzu. Wielka broń pokryta runami przyjęła na siebie magiczne wyładowania i niewzruszona zabłysnęła jasnym światłem. Kobieta spojrzała w bok, gdzie stał Wielkolud.

- W samą porę, co nie? - zapytał zdyszany, krzywiąc się w uśmiechu.

- Radzę sobie - rzuciła niedbale. - Jednak twoja interwencja była przydatna.

Ursus chciał coś odpowiedzieć, lecz przerwał im ryk konającego człowieka. Oboje spojrzeli w kierunku źródła wrzasku.

Suroh Delisz, kapłan Kościoła Stwórcy, przydzielony do jednostki Interwentów numer 487. Dobrze zamaskowany apóstata znacznej siły, który wiele lat spędził na powolnym i skrupulatnym zakorzenianiu w głowach otaczających go ludzi wartości korzystnych dla demonicznych Panów. Tysiące dni rzeźbił powstanie w Dzielnicy IV, mając za dłu to fałszywą nadzieję, zwodzenie, kwiecistą mowę i wielką charyzmę. Surowcem, w którym pracował, były serca i dusze człowiecze. Dopiąwszy swego, rozpałił ogień rewolucji i niemalże pokonał drużyny wysłane przez Święte Oficjum. Jednak nawet jego siła, intelekt, spryt i złote usta nie mogły ochronić go przed kłamstwem. Demony nie były istotami prawdomównymi, a ludzi traktowały niczym pionki w swoich grach. Tak więc Suroh, czerpiąc moc z ich łaski, w końcu zaczął brać ową mistyczną potęgę na kredyt, którego nie mógł już spłacać. Piekiło ścigało dług w okrutny sposób.

Skóra mężczyzny przybrała czerwoną barwę, a on sam rozrósł się, nabierając mięśni. Kości wydłużyły się. W ślepych szale upuścił swój kostur i zdarł z siebie kapłańskie szaty. Gdy z pękającej czaszki wyrosło poskręcane poroże, z oczu zachodzących czernią popłynęły krwawe łzy. W wielkich łapach przeżyły się szpony. Tak właśnie kończył każdy władający magią człowiek, który przekraczając swoje możliwości, ścigał uwagę piekielnych bytów. Niektóre demony lubowały się w takich przypadkach. Najpierw opętanie, a potem sianie zniszczenia na wielką skalę, wykorzystując moce nie tylko swoje, lecz także ofiary.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Ursus, ładując pistolet plazmowy.

Opętany mag przeraźliwie ryknął. W odpowiedzi na Mortusów zajmujących lepsze pozycje strzeleckie spadł deszcz ognia i pojedyncze gromy.

- Zmażemy ze świata grzech jego egzystencji albo umrzemy próbując - zapowiedziała Alexandra, a Gigant z Północy uniósł wysoko brew.

- W twoich ustach brzmi to tak oczywiście.

- Radzę ci się przygotować - powiedziała.

Bies wzniósł swoje łapy nad głowę i recytował plugawe inkantacje. Jego głos łączył w sobie dwie zacierające się nuty. Ludzką i piekielną. Nagle zamilkł i przejęty patrzył w górę. Wydał wściekły pisk niczym zwierzę próbujące odstraszyć drapieżnika. Machnięciem kończyn posłał w niebo tuzin magicznych pocisków, a z paszczy strzelił mrocznym promieniem.

Zaczynał palić się kolorowym ogniem, który nagle zgasł. Piekielny dysk w prawym szponie pękł niczym balon. Z kaskady błyskawic zostały niegroźne iskry. Dwoje Sług Bożych wiedziało, co się dzieje z jego mocą. Oboje przechylili głowy w stronę nocnego nieba, gdzie ujrzeli lewitującą Vivienne.

Czarnoksiężniczkę otaczała złota zorza. W dłoni trzymała kostur, a oczy emanowały magiczną aurą. Białowłosa piękność zawisała nad wszystkimi i patrzyła na niewolnika Piekła. Stwór naprężył wszystkie mięśnie z siłą tak wielką, że otwierały się na nich głębokie rany. Krwawiąc z dziesiątek pęknięć, próbował zebrać całą dostępną moc. Ziemia wokół zaczęła topnieć i rozgrzana do białości pływała w okrągłym korycie niczym rzeka. Kamienne ściany, wzniesione jako tarcze, uniosły się i latały teraz w lewo i prawo, kruszone czystą pierwotną magią. Przechwytywał uderzające z nieba błyskawice, by kumulować energię w diabolicznej esencji. Ze stłumionym wrzaskiem chwycił oburącz nagromadzą magiczną potęgę.

Choć wszystkie kości w jego ramionach popękały, a skóra i mięśnie wyparowały, jakimś cudem był w stanie unieść tę, wydawać się mogło, nieskończoną siłę, i cisnąć nią w stronę inkwizytorskiej wiedźmy. To zebrane szaleństwo, pnąc się ku niebiosom, przybrało postać kobry. Od jej syku na wielokilometrowym placu głównym wyleciały wszystkie okna. Wijąc się w powietrzu, szatański awatar otwierał portale, z których wylewała się lawa i ogień. Widzowie, którzy nie postradali od razu rozumu, mogli uwierzyć, że właśnie nadeszła apokalipsa.

Niewzruszona Vivienne unosiła się w powietrzu, i gdy magiczny wąż otwierał paszczę z zamiarem odebrania jej życia, wyciągnęła drobną dłoń, zaciskając ją w pięść. Cały kataklizm zniknął jak ręką odjął. Opętany, stojąc pośród morza płynnych skał i wypalonej ziemi, zmarł. Na jego twarzy, przypominającej wilczą mordę, malował się strach. W geście poddania opuścił rozsypujące się kikuty, pozostałe z jego szponiastych ramion. Spojrzał zabójczynie w oczy. Czarnoksiężniczka pstryknęła palcami.

Chmury nad polem bitwy rozciął potężny snop światła. Uderzył dokładnie w miejsce, gdzie stał umierający. Szybciej niż jakakolwiek aparatura Inżynierów zdolna była zmierzyć jego prędkość, promień dokonał eksterminacji wszystkich komórek mrocznego bytu. To jednak nie było wszystko. Wyzwolona siła doszczętnie spaliła duszę Suroha i esencję

demona, który go opętał. Obaj ponieśli ostateczną śmierć, a prawo do odrodzenia zostało im odebrane na zawsze.

Gdy świetlista lanca zniknęła, wszyscy w ciszy obserwowali utworzony krater. Głęboki na kilkadziesiąt metrów i szeroki na kilkanaście. W oddali Mortusi zaczęli wiwatować, a Ursus i Alexandra ciągle pogrążeni w milczeniu przyglądali się poboju. Nieraz widzieli, do czego zdolna jest Vivienne, i zdawali sobie sprawę z tego, że przy dzisiejszym pokazie w ogóle się nie wysiliła.

- Naprawdę nie można zostawić was choćby przez chwilę - zaczęła rozmowę, chichocząc. Opuściła się na ziemię, a jej obcasy stuknęły o podłogę. Ursus uklonił się pierwszy.

- Po raz kolejny jestem twoim dłużnikiem - powiedział szarmancko, nie mogąc nie zerknąć tu i ówdzie.

Szpieg-mistrzyni nie zmieniła zachowania i stylu bycia.

- Zdobyłaś to, czego potrzebuje Inkwizytor? - zapytała, choć nawet największy optymista nie doszukałby się grzeczności w jej słowach.

- Ależ oczywiście, przyjaciółko - odparła Vivienne, kładąc nacisk na ostatnie słowo i posyłając Alexandrze jeden ze swoich słynnych uśmiechów. Cieszyła się, widząc jej reakcję. Uwielbiała ją irytować. - Oto efekt mojej pracy - kontynuowała, a z kieszeni obcisłych spodni wyciągnęła gładko oszlifowany, niebieskawy kamień. Był to kryształ pamięci, służący za nośnik danych. - Wręczę mu go jednak osobiście - dodała i schowała cenny przedmiot między swoje kształtne, duże piersi.

Alexandra westchnęła głęboko...

- Nie martw się, kochana, niedługo będziesz miała pełno powodów na poprawienie humoru - powiedziała Vivienne z udawaną troską. - Posłałam do Sacrum po kilka setek Mortusów z ciężkim sprzętem.

- Dlaczego? - zapytał Ursus, a ton jego głosu zdradzał zaniepokojenie.

Czarnoksiężniczka poprawiła suwak topu i chwyciła kostur.

- Albowiem czuję, że będą nam potrzebni - odpowiedziała już bez cienia wesołości.



W tym samym czasie, lecz w innym wymiarze, pośród milionów rzeźb przedstawiających ludzi zastygłych w różnych ekspresjach cierpienia, do

komnaty zbudowanej z obsydianu, na krótkich, leciwych nóżkach biegł malutki diabełek. Pędził ile sił przez salę tortur, nie zważając na jęki skazańców. Wspiął się schodami w górę, próbując nie patrzeć na przykutych do ścian korytarza zmumifikowanych grzeszników. Przeszedł wokół wielkiej, piekielnej jamy, w której krążyły dusze oddelegowane do karmienia potężniejszych demonów, by wreszcie stanąć przed olbrzymimi drzwiami z wulkanicznego kamienia. Przełknął ślinę, i kiedy już chciał zapukać, wrota otworzyły się same. Ze strachu śluz spłynął po jego gardle do żołądka. Wszedł do ogromnej sali z trzydziestometrowymi filarami podtrzymującymi sufit. Przesuwał się szybko do przodu, próbował zwalczyć w sobie uczucie osaczenia, które zawsze go tu ogarniało. Każdą z kolumn pokrywały pulsujące niczym rytm serca czerwone runy. Były to najstarsze z demonicznych napisów. Wszystkie przedstawiały wydarzenia, które nawiedzały Piekło. Niektóre rozszerzały opowieści o plugawe czyny mieszkańców przeklętej krainy, gdy ci szli nieść zamęt i zniszczenie w innych wymiarach.

Tak oto leciwy imp stukał swoimi szponiastymi stópkami o idealnie wypolerowaną czarną podłogę. Za jego plecami znajdowały się kolejne rozprawy o słynnych Pięciu Piekielnych Wojnach, w których demoniczni panowie, stojąc na czele swych armii, walczyli ze sobą, aby utworzyć jakiś porządek sił. Było tam też dzieło *Niewolnicze rządy Aeugratrixarasa Znienawidzonego*, opowiadające o władcy, którego obalono w zamierzonych czasach, a jego esencję zjadły demony, gwarantując watażce Piekła prawdziwą śmierć. Dalej malutki pomiot mroku zerknął na historię stworzenia człowieka, która na zawsze zmieniła jego dom. Pojawiły się stracone przez Stwórcę anioły. Wygnane przez Niebo, poprzysięgły zemstę. Wszystko zaczęło wtedy pracować innym trybem. Kiedyś demony były odzwierciedleniem niechcianej energii, która krążyła w nicości. Mocy, z której nic już nie można było zrobić. Siła ta spływała w dół nieskończoności i, co mogło wydawać się niemożliwe, formowała się w skomplikowane byty.

Tak powstały pierwsze rozumne istoty w tej części wymiaru. Narodzone stworzenia mogły być określone jako złe. Surowcem, z którego je zbudowano, było w końcu odrzucenie. Kiedy w górze powstały niebiańskie ogrody i pałace, a postać swoją zyskał sam Stwórca, całość zaczęła nabierać kształtów. Exodus anielskich bytów rozpoczął okrutną, trwającą eony, wojnę. Po nieskończonych mileniach walk, które wyludniłyby Piekło, gdyby nie

ciągły napływ nowych grzeszników, udało się wywalczyć konsensus. Tak oto pierwsi mieszkańcy sprzymierzyli się z upadłymi, oryginalnymi sługami Stwórcy w misji zniszczenia Jego i ludzkości.

Diabełek wyraźnie przyspieszył, gdy zbliżył się do kolumny przedstawiającej Dzień Kary. Kataklyzm, który niemal zniszczył człowieczy gatunek i zatrząsł Boską domeną, był tu powodem do świętowania. Od tamtego czasu każdy mroczny degenerat mógł przenosić się do świata śmiertelnych bez większych przeszkód. Na domenę dzieci Bożych padł płaszcz strachu i niepewności. Czarci synowie i córki odebrali ludziom marzenia i sny. Zesłali w ich miejsce żal i koszmary. Jednak w chwili, gdy mieli zadać ostateczny cios i otworzyć sobie bramy do niebios, na ich drodze stało Święte Oficjum. I tak od tysiącleci piekielne zastępy próbują zniszczyć Inkwizycję, a ona dąży do eksterminacji wszelkiego zła.

Imp zadygotał ze strachu przed ostatnią kolumną. Sprawily to dwie rzeczy. Po pierwsze był już bardzo blisko tronu Pana tego miejsca. A po drugie pojawiły się nowe teksty. Runy układały się w chronologiczny zapis czynów człowieka, który wielokrotnie odpowiadał za niepowodzenie wielu demonicznych intryg, inkursji, czy nawet inwazji na wielką skalę. To Boże dziecko władało mocą równą czempionom ognistych czeluści i zdarzało się, że istoty zamieszkujące Piekło nie raz i nie dwa z mieszaniną trwogi i podziwu mówiły o jego osiągnięciach. On jako jedyny stał się nieśmiertelny. *Inkwizytor Witeldon Walszarti...* Tak zaczynała się inskrypcja.

Po długiej podróży stanął wreszcie przed jednym z demonicznych Lordów. Trzęsąc się jak osika i pocąc lepka smołą, ukląkł przed tronem.

- O wielki Amonie, najokrutniejszy z okrutnych, najsurowszy sędzio Piekła, najkrwawszy kacie i dręczycielu dusz - zaczął grzecznościową formułką.

Toczył teraz walkę o życie. Jedno złe słowo wobec Markiza Piekła było wyrokiem śmierci dla nędznego chochlika.

- Pochlebstwa w niczym ci nie pomogą, Mitiri - zagrzemiał głębokim gardłowym tonem Arcydemon. Siedział na swoim symbolu władzy, który zbudowany był z czarnej jak noc, wypolerowanej, krystalicznej skały. Malutki demon zawsze zastanawiał się nad tym, czy to same gwiazdy mieniły się w środku tej materii. - Powiedz mi lepiej, kiedy Rya'ktrar powróci ze świata śmiertelnych, by złożyć mi meldunek? - zagrzemiał.

Stworek wybałuszył czerwone ślepia i zaczął się kurczyć ze strachu.

- No, słucham - ponaglił go.

Markiz trwał w swojej pierwotnej postaci olbrzymiego wilka z ogonem węża. Ślepia, które odzwierciedlały katusze miliardów dusz, penetrowały nieszczęsnego diabełka. Mitiri kolejny już raz przełknął nerwowo gęstą ślinę, pogodzony ze swoim końcem.

- Rya'ktrar poległ w mieście śmiertelników, o najokrutniejszy - powiedział piskliwym głosem.

Demoniczny Pan przechylił lekko głowę.

- W takim razie to była alternatywna linia przyszłości, którą oglądałem - westchnął, widząc kompletny brak zrozumienia na twarzy sługi. - Wydarzenie zakończyło się w mniej prawdopodobny sposób. Zresztą nieważne, głupcze. Ukarzę go, gdy jego esencja zrodzi się na nowo i sam do mnie przyjdzie.

Imp musiał jednak zmienić tok myślenia swojego Pana. Na swoje nieszczęście.

- Mój Panie, jemu zadano prawdziwą śmierć. Został zniszczony.

Postać Amona wyprostowała się.

- Jak? - zapytał, nie kierując tego pytania bezpośrednio do mikrej istoty przed nim.

Diablik otworzył usta, by wyjaśniać.

- Otóż kiedy miał już zgładzić śmierć...

- Zamilcz - rozkazał cicho Markiz.

Mimo że był to szept, Mitiri poczuł, że stracił dar mowy. Demoniczny władca wyciągnął przed siebie wilczą łapę, a jego pazury zabłysły. W sali otworzył się portal, w którym na tle barw, szalejących i odejmujących zmysły, widać było liczne ścieżki. Świetliste struny odciskały swoją obecność na każdym wymiarze otworzonym przez Amona. Markiz długo patrzył w nieskończoność, by szponem wskazać ostatecznie jedną z linii. Zbudowana z czystego światła, rozbłysła i zmieniła się w projekcję. Malutki diabełek zamarł w szoku, kiedy ponownie oglądał ostatnie chwile jednego z najzdolniejszych infiltratorów swojego władcy.

Oba piekielne byty patrzyły w milczeniu, jak śmiertelna kobieta, która swym ciałem mogła wywoływać zazdrość u sukubów, bez żadnej trudności

i choćby kropli potu zdeintegrowała demona na każdej płaszczyźnie rzeczywistości i poza nią.

- Jednak coś się przede mną ukryło - powiedział markiz sam do siebie. - Ciekawe.

- Co takiego, mój Panie? - odważył się zapytać.

Amon nie patrzył na niego.

- Nasyłając kilkanaście lat temu inwazję na Krainę Trzech Pazurów i łącząc los Witeldona z żyjącym tam śmiertelnikiem sprawiłem, że wrócił do Spero wraz z córką tego drugiego. Zadbalem też o to, by ta dziewczynka posiadała odpowiednie zainteresowania i wiele lat później pojawiła się w tym samym miejscu co czarnoksiężniczka wysłana przez Inkwizytora w celu zdobycia informacji. Dziewczę miało zabrać jej czas - zabębnił łapą o tron. - Jednak zdarzyła się naprawdę wielce nieprawdopodobna linia czasowa. Przejrzałem dwanaście miliardów różnych scenariuszy, a zdarzył się jeszcze inny. Markiz Piekła machnął swoim wilczym łbem i czasoprzestrzenna wielowymiarowość, którą stworzył, zniknęła. W jej miejsce wyświetliła się zbudowana z krwistoczerwonego magicznego pyłu mapa Spero w trzech wymiarach. - Niczego to jednak nie zmienia - stwierdził, po czym zaczął manipulować projekcją, oglądając ją na różnych płaszczyznach i pod różnymi kątami. - To tylko mała niewygoda w moim planie - oczy Amona zabłyśły. - To ja go zgładzę i udowodnię tej wynaturzonej demonicy, że cała partia należy do mnie.

- Mój Panie? - imp odważył się przypomnieć o swojej obecności.

Potężny demon zerknął na swojego sługę.

- Patrz Mitiri i podziwiał, jak niesie się ból i cierpienie w serca tych śmiertelnych robaków - każde jego słowo było jak potężne wilcze wycie. Jedna zwierzęca łapa zmieniła się w ludzką rękę. Człowiecze palce pstryknęły.

Pyłowa rekonstrukcja Spero zapulsowała krwistą aurą. W wielu miejscach rozsianych po dużej części dzielnic rozbłyśły świetliste punkty. Każdy z nich aktywował kolejne miejsce kultu i wierne mu sługi. Rozkazy zostały wydane, a słowo wysłane. Jedynym, na co trzeba było teraz czekać, to krzyki słabych serc i krew użyźniająca ziemię. Wszystko to było pokarmem dla najokrutniejszego z piekielnych markizów.

ROZDZIAŁ XX



- JAK ŻYCIE?
- DOBRZE.
- CO Z NIA?
- Z KIM?
- NO... Z NIA?
- ODESZŁA ODE MNIE.
- PRZYKRO MI.
- NIE POWINNO, NIE BYŁEM DLA NIEJ ODPOWIEDNI. MUSIAŁA TAK ZROBIĆ.
- DLACZEGO SIĘ KRZYWISZ? CO CI JEST?
- NIC.
- POWIEDZ PRAWDĘ.
- JESTEM CHORY.
- DLACZEGO NIE MÓWIŁEŚ?
- CO BY TO ZMIENIŁO?
- WIDZĘ, ŻE CIĘ BOLI.
- TO NIC... W KOŃCU PRZECIEŻ ŻYJĘ.
- TO NIE JEST ŻYCIE.
- JA... ŻYJĘ.
- TY CIERPISZ.
- CZYM TO SIĘ RÓŻNI?

FRAGMENT Z KSIĄŻKI „ZASŁYSZANE DIALOGI”, AUTORSTWA RERLI ZAPEKSI.

Nie przechylaj się tak przez tę barierkę, bo spadniesz – polecił Inkwizytor, lecz Lydia zdawała się go nie słyszeć.

Było to prawdopodobne, ponieważ była kompletnie oszołomiona nowym otoczeniem. Mniej więcej pół godziny temu oboje wyszli z windy, która dostarczyła ich do innego wymiaru.

- Mistrzu, kto to zbudował? – zapytała, wciągając łapczywie powietrze.

Dwoje Bożych Sług obserwowało dziesiątki wzniesionych w równe rzędy piramid. Stworzone z bloków obsydianu, pięły się kilkanaście metrów w górę. Wszystkie miały wycięty otwór, który prowadził do wnętrza. Dookoła wyrzeźbiono tajemnicze iglice z dziwnymi panelami. Podobnymi płytami obłożono ulice i coś, co przypominało kanały melioracyjne. W centrum miasta piramid górowała największa z konstrukcji. Witeldon wskazał ją palcem.

- Tam się udajemy - powiedział i skręcił w lewo, by wejść do tunelu. Jego koniec był wejściem do starożytnej architektury. Lydia dogoniła go.

- Mistrzu, kto to zbudował? - powtórzyła pytanie. Nie chciała odpuścić. Westchnął...

- A skąd wiesz, że znam odpowiedź? - odwlekał nieuniknione.

Spojrzała na niego dużymi, okrągłymi oczami i uśmiechnęła się.

- Mistrzu, przecież Ty wiesz wszystko.

Inkwizytor parsknął. Przeszli już ponad sto metrów. Jama, do której weszli, przypominała korytarz. Gładkie ściany zostały pieczołowicie oszlifowane. Sunąc po nich ręką, nie dało się wyczuć żadnego oporu. Na podłodze, z rzadka, pojawiały się mistrzowsko wykonane geometryczne twory, sięgające im nawet do pasa. Nieznane było ich przeznaczenie ani to, dlaczego zostały pozostawione samym sobie. Mogło się wydawać, że owo przejście było puste. Nic bardziej mylnego.

- Jeśli symbole umieszczone w windzie, którą jechaliśmy, były dla ludzkości niemożliwe do odszyfrowania, to tutaj poradziliśmy sobie znacznie lepiej - zaczął, i nim dziewczyna zdążyła mu przerwać, pragnąc dowiedzieć się, o czym mówi, wypowiedział tylko jedno słowo - *Videre* - co znaczyło *Zobaczyć*. Na dźwięk jego głosu miejsce zaczęło budzić się do życia.

Na twarzach kamiennych posągów rozblęły krwiste symbole, a runiczne zapiski pulsowały czystą mocą. Przy niektórych pojawiały proste rysunki przedstawiające nieznane historie. Szkarłatne żyły biły równym rytmem, niosąc pradawne siły dalej i aktywując kolejne glify. Powietrze zgęstniało i dało się wyczuć powiew ciepła. Lydia dostała gęsiej skórki, a w ustach wyczuła słodkawy posmak.

- Mistrzu, to przecież... - zaczęła, a jej dłonie spoczęły na krótkich mieczach.

- Zepsucie? - powiedział pytająco. - Spaczona energia? Piekielna moc? Owszem, masz rację - jego głos był zwyczajny, a spokojny ton wyciszał. Gdyby miało nadejść jakieś zagrożenie, uprzedziłby ją. - To miejsce jest przesiąknięte szatańską potęgą, lecz samych demonów tutaj nie napotkasz. Na pewno nie w postaci, która byłaby niebezpieczna dla nas. Ledwie ich cienie, Lydio, ledwie ich cienie.

Szedł przed siebie powoli, dotykając dłonią ściany, i dokładnie po trzydziestu siedmiu krokach zatrzymał się. Zerknął na uczennicę i kiwnął głową, dając znak, by do niego podeszła. Zbliżyła się i spojrzała na długi fragment runicznego pisma, wyryty na kamieniu przed nimi. Już samo patrzenie wywoływało ból oczu, pieczenie i odruchy wymiotne.

- Co to za cholerstwo? - wykrztusiła.

- Nie bluźnij - zganił ją i zaczął wyjaśniać. - Moja droga, właśnie patrzysz na najstarsze demoniczne pismo. To był pierwszy alfabet, jaki opracowali mieszkańcy Piekła. Na powierzchni nie znajdziesz czegoś takiego - rozłożył ręce. - Właśnie chłoniesz fragmenty pierwszych kroków rzeczywistości, która nas ukształtowała - spojrzeli na siebie. - Cierpi dusza, nieprawdaż? Otóż, Lydio, dawno temu sprawy miały się inaczej.

- Czyli jak? - we wzroku Inkwizytora pojawił się błysk. Wiedziała, że zanosz się na dłuższą opowieść.

- W przykościelnych szkołach kapłani uczą każdą duszyczkę, która do nich trafi, pobożną czy nie, że wszystko zaczęło się wtedy, gdy Stwórca postanowił ukształtować świat. Muszę przyznać, że niezbyt długo się nad tym męczył. Prawdziwym orzechem do zgryzienia okazała się jego główna kreacja, tak zwane opus magnum, czyli ludzie. Narodzenie naszego gatunku przyczyniło się do kłótni w domu Boga. Część aniołów nie była zadowolona z dekretu, który nakazywał im nieść nam pomoc...

- Chronić ode złego, trzymać pieczę nad duszą, odwozić od grzechu, zsyłać dobre sny, a zabierać złe, uzdrawiać ciało, łątać umysł i prowadzić duszę do Stwórcy na osąd - wymieniła.

- No tak, niemal zapomniałem.

Zmarszczyła brwi i czoło. Nie wiedziała, o co mu chodzi.

- O czym Mistrz mówi?

- O tym, że jako mała dziewczynka słuchałaś z absolutną uwagą każdej mojej opowieści. Widzę, iż nauki nie poszły na marne.

- Teraz też tak jest.
- Z grzeczności nie zaprzeczę - wymamrotał.
- Co się działo dalej? - zapytała, starając się skupić na symbolach.

Wykonał ręką gest, jakby zaczynał prezentację.

- Zaczniemy od tej inskrypcji - rzekł, i wodząc palcem, zaczął czytać. Ilekroć przejechał po niej dłonią, skwierczała i sypała pojedyncze iskry. - To naprawdę wredna energia magiczna, powiadam ci - rzucił do Lydii. - Tutaj mamy początek całej opowieści.

*Z odrzucenia i niechcenia zostaliśmy zrodzeni.
Strąceni w otchłań ciemności bez cienia światłości.
Sami musieliśmy uformować własne ciała.
Sami musieliśmy napełnić nasze głowy myślami.
Sami musieliśmy zjednoczyć się przez krew i śmierć.
To wszystko zrobiliśmy w mroku i chłodzie.
Jednak w końcu nauczyliśmy się, jak tworzyć jedno.
Ogień.*

- Te słowa są pełne żalu - powiedziała.

Inkwizytor pokiwał głową z uznaniem i dał sygnał, by szli dalej idealnie oszlifowanym korytarzem. Coraz niżej i niżej...

- Kiedy cała materia formowała się w rzeczywistość, którą znamy, i nie tylko, pewne surowce nie zostały wykorzystane.

- Dlaczego, Mistrzu? Myślałam, że demony są personifikacją zła w ludzkiej duszy. Przecież walczyliśmy wiele razy przeciw czartom zrodzonym z gniewu, żalu, pożądania, zemsty i ambicji...

- O kilku zapomniałaś - zauważył.

Zirytowana dygnęła.

- Chodzi mi o to, że skoro powstały wcześniej, to co mają do tego ludzie? Święta Księga uczy, że spalenie przyszło z czeluści naszego świata, gdyż zatraciliśmy się w grzechu i skusiliśmy się na moc i wpływy, którymi nie powinniśmy władać. Innymi słowy chodzi o to, że diabły powstały dzięki nam.

Mistrz zaklaskał w dłonie, aby wyrazić uznanie.

- Bardzo dobrze powiedziane, moja droga, ale zadaj sobie jedno pytanie - wyciągnął palec do góry, jak staroświecki profesor, pouczający studentów. - Kto wprowadził te wszystkie plagi do naszego domu?

Dla niej było to oczywiste.

- No ludzie. Odprawiają plugawy rytuał, złożą krwawą ofiarę i narysują potępiéniczne symbole albo znajdą przeklęte miejsce czy artefakt, i wiele już nie trzeba.

Wydał usta, robiąc niezbyt mądrą minę.

- Owszem.

Jęknęła.

- Mistrzu, proszę. Jaka jest odpowiedź?

Oblizwał wargi i odkaslnął.

- Anioły, moja droga - widział jej niedowierzenie. - Twoje rozumowanie jest właściwe, lecz to upadli słudzy naszego Boga, za sprawą naszej egzystencji, doprowadzili do tego wszystkiego. Demony, owszem, są cierniem w naszej duszy, lecz ktoś go nam w końcu wbił... Oj, już nie rób takiej miny, zarys całej historii kiedyś ci wyłożyłem.

Twarz dziewczyny przypominała oblicze gorliwej kapłanki, której ktoś powiedział, że jej bóstwo ma w dupie jej modły.

- Ale...

Inkwizytor przerwał jej, wskazując palcem w kierunku ściany.

- To rzuci trochę światła - rzekł, mając na myśli kolejne, jeszcze większe od poprzedniego, kłębowisko symboli.

Obsydianowa powierzchnia lśniła czerwienią, kolorem życia i agresji. Długie linijki runicznego pisma emanowały głęboko w dusze dwojga podróżników. Jedno z nich wyraźnie się buntowało, drugie zdawało się odporne. Nad inskrypcją widniała pulsująca przeklętą mocą, wyrzeźbiona ludzka czaszka.

W końcu powstali z Boskiej twórczości i Jego kaprysu.

Ci, których nazywał dziećmi swymi i dał we władanie świat.

Z prochu ziemi ulepił ich ciała i tchnął w nie nieśmiertelne dusze.

Obdarzył ich rozumem i pozwolił mieć własną wolę.

Nie wiedział, jak ich rozpieszcza, każąc Aniołom im służyć.

Święci posłańcy nie byli jednak zadowoleni i wielu odmówiło.

Strąceni do naszego domu, zaczęli nas eksterminować.

Lecz ostatecznie znaleźliśmy wspólnego wroga.

Z jego grzechu, zła i niedoskonałości czerpaliśmy siłę.

Ludzkość udławi się krwią, którą tak chętnie przelewa.

Przez długą chwilę panowało milczenie. Ciszę przerwała dziewczyna.

- Mistrzu, mam pytanie.

Nie patrząc na nią, dał znak, by je zadała.

- Czy to my ukształtowaliśmy Piekło? - powiedziała i zawiesiła wzrok na nauczycielu.

Z początku nie odpowiedział. Milczał przez moment, który dla dziewczyny był co najmniej wiekiem.

- Tak, Lydio - zaczął niepewnie. Zaniepokoiło ją to. - Ale od razu muszę zaznaczyć, że jako gatunek zrobiliśmy to całkowicie nieświadomie. Użyłaś słowa *ukształtować*. To właściwe określenie. Wymiar tych istot pojawił się na długo przed naszym, lecz ludzkie emocje budowały go według tego, co niosły.

- A co niosły? - uczennica chłonęła każde zdanie. Spojrzał na nią.

- A czego mogła być pełna dusza grzesznika? - zapytał lekko kpiącym tonem, a policzek minimalnie mu zadrgał. - Tylko najczystszy duch mógł trafić do niebiańskiego raju. Ten ze skazą był spychany w czeluści niebytu. Gdybym powiedział, że ratio to jeden zmarły w górę, a sto tysięcy w dół, zostałbym okrzyknięty niesamowitym optymistą. Skazańcy, którzy trafiają do Piekła, zawsze są pełni żalu, złości, szaleństwa, zaprzeczenia i strachu - dał sygnał, by ruszali, a idąc rozłożył ręce, by pokazywać ściany wokół siebie. - Nic dziwnego, że mając za cegły coś takiego, zbudowali przerażający świat, przywdziali odpychające ciała, które są spełnieniem naszych koszmarów i najbardziej skrywanych dewiacji, zboczeń czy wstydliwych marzeń.

Lydia zrównała się krokiem z Witeldonem. Obejrzała się za siebie i spojrzała na wyrytą w ścianie nad inskrypcjami płonącą ludzką czaszkę. Jej własna była pełna kłębiących się myśli. Owszem, opowiedział jej kiedyś historię powstania świata. Tę prawdziwą, a nie oficjalną. Jednak zobaczyć ją na własne oczy to inna bajka. Proste myślenie o demonach było wygodne. To istoty będące podręcznikową definicją zła, mordy i rzezi. Knujące intrygi

byty, które pragną zagłady człowieka. Pozwalało to łatwiej zachować czystość myśli i prawość duszy. To, co obserwowała teraz, i o czym się uczyła, wywoływało w niej niepokój.

One na początku nie były złe? Nasze emocje je spaczyły? Upadłe anioły je przekonały do walki z nami? – w jej głowie rodziło się wiele pytań. Setki razy jej umiejętności były wystawiane na próbę, nie tylko podczas walki z piekielnymi pomiotami. Raz po raz stawiała czoła ludziom, którzy zasługiwali bardziej na miano zwierząt niż istot człowieczych. Ich czyny dorównywały okrucieństwem i wyobraźnią sługom mrocznych potęg. Choć nie było to głównym zadaniem Inkwizycji, to Święte Oficjum tropiło również najbardziej znane i wpływowe szumowiny planety. Los tych, których złapano, był zaprawdę gorszy od śmierci.

Jeśli my napędzamy Piekło, to walka z tymi biesami będzie nieskończona. Człowiek przecież nigdy się nie zmieni – myślała.

Nawet osoba tak młoda jak ona zdawała sobie z tego sprawę. Gatunek tak zmysłny, który mógł wznosić tyle pięknych konstrukcji, jak choćby Górne Spero, i tworzyć takie cuda techniki, jak ekwipunek, który ona i Witeldon nosili na sobie. Te same istoty czyniły tak, jak mówiły runy. Dławili się we własnej krwi...

Każde kolejne pokolenie czyniło tak samo. Mordy, gwałty, zdrady, kradzieże, kłamstwa, wojny. Cykl zaczyna się od nowa, raz po raz. Jednak bardziej zaawansowane technologie i większa liczba samych ludzi równa się coraz większej liczbie ofiar. To czyni piekielne zastępy coraz silniejszymi i liczniejszymi.

To przecież błędne koło z coraz bardziej niekorzystnym dla nas wynikiem – snuła przemyślenia.

Niemal krzyknęła ze zdziwienia wymieszanego z lękiem, gdy niespodziewanie przed nią wyrosła ręka Mistrza, wskazująca ścianę po prawej stronie.

– W kontemplacji nie ma nic złego, moja droga, ale czujność jest cnotą ratującą życie – powiedział, przyglądając jej się uważnie. – A oto następna część historii.

Już wiedziała, o co chodzi. Kolejne glify.

*Ostatecznie Piekło zostało wzbogacone o nowych mieszkańców.
Wspólnie z Upadłymi Aniołami rozpoczęła się czarna krucjata.*

*Potępieńcze modły błędzących śmiertelnych zostały wysłuchane.
Stanęliśmy przed nimi niczym bogowie, na których tak czekali.
Jednak zamiast dać pływać im w mleku i miodzie po wieki,
Utopiliśmy ich we krwi i łzach, które ronili nad swoimi błędami.
My mieliśmy swoją zemstę za nasze krzywdy i los potworów.
Anioły, mordując tych, którym miały służyć, powiedziały jedno.
Powróciliśmy.*

- Nie rozumiem części tego tekstu - powiedziała.

Skupiony, zmarszczył lekko brwi.

- Które linijki? - zapytał.

Szybko policzyła i odpowiedziała.

- Trzecia i czwarta.

Słyszała jak Inkwizytor nabierał powietrza w płuca.

- Jak zapewne wiesz, ludzkość nie jest doskonała - milczał chwilę. - Tak naprawdę borykamy się z wieloma problemami, które leżą w nas samych - wykonał szybki ruch szyją i usłyszała głośne chrupnięcie jego kręgów. - Organizm człowieka jest wrażliwy na wiele czynników, od mechanicznych obrażeń, przez chemiczne, do termicznych. Również plagi zbierają wśród nas wielkie żniwo. Nasza dusza, choć jest nieśmiertelną esencją, błądzi raz po raz. Podobnie jak serce bijące w piersi - westchnął. - Od zarania dziejów ludzie szukali bogów. Wykształcały się w ten sposób całe panteony różnych bóstw, które uznaliśmy za pogańskie. Wszystkie miejsca kultu, w których dokonywano czczenia czegokolwiek innego niż majestat Stwórcy, były i są bezwzględnie tępione - jego oczy znów lśniły pełne wspomnień oraz myśli. - Przez tysiąclecia każda para rąk, wznoszona do piekielnych sił, była daremna. Każda prośba głucha - zerknął na nią. - Wyobraź sobie zdziwienie pierwszych kultystów, którzy uzyskali odpowiedź. Jednak zamiast nagród, o które błagali, zostali opętani, zniewoleni, wykorzystani w wielkich intrygach mrocznych istot. Wielu zdało sobie sprawę, że otworzyli puszkę Pandory. To takie starożytne powiedzenie, które oznacza zesłać klęski, śmierć i katastrofę - wytłumaczył, widząc, że nie pojmuje jego słów. - Wtedy nawet ziemia roniła gorzkie łzy, a ludzkość weszła w erę niekończącego się strachu i wojny, w której możemy ugrać tylko nasze przetrwanie, ponieważ mowa o zwycięstwie pochodzi z ust głupców - skończył i odwrócił się

bokiem, by kontynuować zejście. – Jesteśmy już niedaleko poziomu miasta – oznajmił.

Tak oto dwoje Sług Bożych szło poprzez obce dla człowieka tereny. Jedno z nich pewne siebie, skupione i pełne doświadczenia, które mogłoby wypełnić księgi wielu bibliotek. Drugie dwoiło się i troiło, by dotychczasowy trening i wiedza wyparły uczucie lęku, odrętwienia i napięcia. Oczy dziewczyny bez przerwy skanowały mijane glify. Nie umiała ich czytać, lecz działały na jej umysł i ciało. Wrzynały się głęboko w jaźń, kalecząc ją i powodując zawroty głowy. Ból był tym większy, im dłużej się na nich skupiała. Opuściła głowę, bojąc się, że wymiotuje. Czasem musiała zwalczać wielki dyskomfort pojawiający się w piersi, zupełnie jakby coś ją ścisnęło i uniemożliwiało oddech.

Wciąż nie widziała końca korytarza. Oblewał ją zimny pot. Nadeszło nowe uczucie, coś jakby setki małych, ostrych łapek rysowało jej czaszkę od środka. Choć starała się to ukryć, jej palce zaczęły drżeć, a oddech powoli przechodził w dyszenie. Runy oświeślały ją plugawą aurą, od której dostawała ciężkich dreszczy. W gardle zrobiło się dziwnie sucho. Próbowwała przełknąć ślinę, lecz nie mogła. Każdy krok był coraz cięższy i nagle poczuła, jakby była zupełnie naga, obmacywana przez tuzin obcych, lodowatych dłoni. Zamarła, gdy niespodziewanie coś chwyciło ją za ramię. Chciała się wyrwać, lecz spostrzegła brodate oblicze jej mistrza.

– Oddychaj – rozkazał. – To bierna magia. Nie ma tu niczego ani nikogo, kto mógłby ją ukierunkować. Nie zwalczaj jej działania, tylko zaakceptuj – niemal czarne oczy bacznie ją lustrowały. – Spokojnie, chodź, już blisko – pociągnął ją lekko, wprowadzając ciało w ruch. – Pamiętasz historyjkę, którą opowiadała ci Vivienne, gdy byłaś mała? – zapytał całkowicie od rzeczy.

Zapatrzyła się w niego, ponieważ na takie pytanie była kompletnie nieprzygotowana. Myślała, że się przesłyszała.

– Mistrzu? – szepnęła niepewnie.

Jego brwi drgnęły.

– Tę ulubioną – przechylił lekko głowę. – Tyle razy ją recytowałyście, że kiedyś zacząłem ją mówić zamiast egzorcyzmu – parsknął donośnie śmiechem. – Do dziś nie wiem, czy ja miałem na twarzy większą konsternację, czy tamten demon – przez moment spoglądał w dal, by chwilę później znów skierować wzrok na nią. – Jak to szło?

Nie mogła zebrać myśli, czuła się pusta, wyjałowiona...

- Dawno, dawno temu... - rozszedł się głęboki męski głos.

Jej wspomnienia zaczęły ożywać.

- ...był sobie bardzo gruby kot o imieniu Tłuscioszek - wszystko zaczęło do niej wracać. Usłyszała jak Inkwizytor nabiera powietrza przez nos.

- ...był to kotek bardzo leniwy, ale i niezwykle puszysty, gdyż... - recytował, a ona niemal słyszała głos Czarnoksiężniczki. Przełknęła ślinę i otworzyła usta.

- ...był to Tłuscioszek - wypowiedziała trzy słowa znacznie pewniej niż przed momentem. Człowiekowi z Wyobraźnią zadrgał policzek.

- Ooo, widzę że pamiętasz - stwierdził z wyraźnym zadowoleniem. - Niesamowicie niesforny nicpoń z niego był...

- ...gdyż jego brzuszek burczał całe dni.

Mężczyzna pokręcił głową, nie wierząc, że akurat to przyszło mu na myśl.

- A że siedział w domu w słońce i księżyc...

- ...to nic innego mu nie pozostawało...

Wyjście z korytarza zaczynało się wyostriać.

- ...jak jeść, jeść i jeść, choć coraz bardziej rósł, głównie w szerz...

Dziewczyna machnęła ręką, jakby coś prezentowała.

- ...lecz wolno mu było, bo był to Tłuscioszek.

Nie minęła minuta, a znaleźli się na otwartej przestrzeni, choć wciąż wiele kilometrów pod ziemią, w olbrzymiej jaskini. Przed nimi malowało się miasto piramid i ostatnia część tekstu z grotty.

- Co tu jest napisane, Mistrzu? - Lydię znów wypełniała pewność siebie i energia.

Choć nadal krzywiła się od złowrogich mocy, nie miały już na nią takiego wpływu. Zbliżyła się na odległość kilku kroków od miejsca, gdzie powierzchnia pokryta była glifami. Witeldon stał kawałek dalej. Był w nią zapatrzony i nie mógł się nadziwić, że taka błahostka, fragment bajki na dobranoc, którą opowiadała jej czarnoksiężniczka, mogła przynieść taki efekt. Mógł przyznać, że pierwsze tygodnie, które spędziła w Sacrum, były dla niej bardzo ciężkie. Sprzedana przez rodziców, a kupiona przez niego, znalazła się w jednym z najmniej odpowiednich miejsc dla kilkuletnich dzieci. Inkwizytorska baza nie była obszarem pełnym tęczy i słońca, lecz wszystkiego, co święte i złowrogie.

Członek Świętego Oficjum odkurzał zakamarki swoich wspomnień. Od początku był dla niej surowy. Nigdy nie okazywał jej zbyt wielu uczuć. Dlatego uczennica bardziej Ignęła do Viviene, co go irytowało. Uważał, że rozkojarzanie dziewczyny nie jest dla niej dobre. Jednak z biegiem czasu przywykł do pewnych zmian, które nastolatka wprowadziła w jego życie. Większość była wynikiem manipulacji mistrzyni magii, która uwielbiała podważać jego autorytet.

W przeszłości niemal zawsze na wychowanków brał chłopców. W zamierzonych czasach wykształcił także kilka uzdolnionych Inkwizytorek. Lydia była inna, nieszablonowa. Człowiek skonstruowany jest tak, że z biegiem lat jedne cechy zanikają, a drugie je zastępują. Pewne wartości zacierają się, a inne wyostają.

Obserwując podopieczną, Witeldon nie dostrzegał tych zmian. W jego oczach dziewczyna pozostawała wciąż taka sama. Oczywiście zwiększała swoje umiejętności i stawała się coraz bardziej zabójcza w fachu. Pomimo szesnastu lat wiele razy przeżyła sytuacje i starcia, z których mało kto wyszedłby z tarczą. Bez wysiłku przypominał sobie o dwóch protegowanych, których miał kiedyś pod swoimi skrzydłami. Tam, w korytarzu, którym szli, już dawno ogarnęłoby ich szaleństwo. Ona mu się nie poddała. Ilekroć otwierała usta, widział w niej tę małą dziewczynkę, która w porodzianym kubraku i w za dużych spodniach stała w zimnym, pokrytym rzeźbami Sacrum. Dni zamieniały się w tygodnie, te przechodziły w miesiące, by ewoluować w lata. Z ich biegiem ta młoda dusza przywykła do Inkwizytora, a on do niej. *Pomyśl jednak, co ona czuje do ciebie* – słowa Czarnoksiężniczki powróciły teraz do niego.

Mężczyzna obracał powoli w myślach to zdanie. Fakt, że udało im się ujść cało z tyłu niebezpieczeństw, zrodził między nimi silną więź. Setki godzin spędzonych na trenowaniu i uczeniu jej rzuciły więcej barw na życie, które razem wiedli. Jego umysł analizował, wspominał, łączył wydarzenia. Patrząc na to z boku, mógłby przyznać, że Viviene częściej zachowywała się jak jej matka niż on jak jej...

- Mistrzu...?

Momentalnie wrócił do rzeczywistości i zerknął na wychowankę swym ponurym wzrokiem. Wyciągniętą dłonią wskazywała na runy.

- Coś się stało? - w pytaniu dało się wyczuć wielką ciekawość.

Podchodząc do niej, pokręcił przecząco głową.

- Zamyśliłem się, nic więcej - zatrzymał się i posłał jej spojrzenie.

Wciąż patrzyła na niego przenikliwie. Westchnął.

- Już ci to tłumaczę, panno w gorącej wodzie kąpana - rzekł, a dziewczyna groźnie się naburmuszyła.

Ktokolwiek czyta ten tekst, niechaj wie, co tu się zdarzyło.

Niechaj wie o tym, kim kiedyś byliśmy i czym jesteśmy teraz.

Niechaj pamięta prawdziwą historię, wypełnioną męką.

Niechaj nuci pieśń o tym, do czego jest zdolna dusza ludzka.

Niechaj świadom będzie, że Bogowie również się mylą.

Jednakże Oni nigdy nie płacą za swoje błędy i porażki.

- Domyślasz się Lydio, czym było to miejsce? - zapytał.

Dziewczyna nie odpowiedziała od razu. Z ulgą odwróciła oczy od runicznego pisma i obserwowała pogrążone w ciszy budowle. Szkła kontaktowe, które nosiła, dawały jej idealny obraz. Wpatrywała się w ciosane z obsydianu konstrukcje. Statyczność dawno wymarłego i opuszczonego miejsca budziła grozę. Zastanawiała się, jaki związek z pytaniem jej Mistrza ma inskrypcja. Ona była niczym pożegnanie, choć zawierała również ostrzeżenie. Nie było ono jednak wyrażone w sposób bezpośredni. Autor bądź autorzy, przyjmując, że było ich wielu, chcieli, by to, co najprawdopodobniej spotkało ich lud, nie powtórzyło się nigdy więcej. By pamięć o ich tragedii została zachowana. Najbardziej uderzyło ją stwierdzenie mówiące, że byt Boski może być w błędzie. Święte Teksty zawsze nauczały, że Stwórca, który bez wątpienia zaliczał się do kategorii wszechstot, był doskonały i nieomylny. Nastolatka w oparciu o słowa poprzednich zapisów miała w głowie tylko jedną odpowiedź.

- Demony - wyszeptała i wlepiła wzrok w brodatego mężczyznę. - To było ich miasto.

Zrównał się z nią, stanął obok i wyciągnął opancerzą rękawicę przed siebie. Otwarta dłoń wskazywała wyludnione zabudowania.

- Dobra odpowiedź, moja droga. Patrzysz teraz na jedno z ostatnich siedlisk, które było ich domem na Ziemi. Musisz pamiętać, że z początku te byty nie były nam wrogie. Jednak spaczenie, jakie niosła niedoskonałość naszej duszy i uczucia, które były dodatkową trucizną, zmieniły je

diametralnie, a burzliwa relacja z Upadłymi Aniołami tylko to pogorszyła – dodał i, zginając dwa palce swojej prawicy, wydał rozkaz dalszego marszu.

Dwoje podróżników z każdym krokiem zagłębiało się w odmętach labiryntu piramid. Wszystkie konstrukcje górowały nad nimi. Metr po metrze zanurzali się w odmęty świata, który pamiętał czas sprzed Dnia Kary.

– Mistrzu, brakuje mi jednego – oznajmiła Lydia.

Inkwizytor zmarszczył brwi.

– Czego?

Nabrała powietrza. Wiedział, że na jednym zdaniu się nie skończy.

– No bo demony były już złe przed Czasem Wielkiej Pokuty. Stały się tym, czym są teraz, po narodzinach człowieka. Nałożył się na to upadek wielu Aniołów, z którymi w końcu zawiązali sojusz – zerknęła na niego. – To miasto musiałyby być tak stare jak rzeczywistość, aby zamieszkali tam ich przodkowie. Dzień Kary zdarzył się stosunkowo niedawno, więc jak to możliwe, że to miejsce jest tu i teraz?

Witeldon nie odpowiedział natychmiast. W duchu stwierdził, że Lydia mogłaby być z siebie dumna. Niejeden zapytałby, dlaczego tak uważa. Dlatego, że ona zauważyła rzecz, której wielu by nie dostrzegło.

– Celną uwagę – oznajmił. – Wszystko powinno płynąć jednym czasem – oboje szli nadal czymś, co przypominało główną aleję. – Najpierw, zgodnie z logiką, mamy rok pierwszy, potem drugi, trzeci i tak dalej... – kiedy wymieniał, dłonią wykonywał okrężne ruchy. – Jednak rzeczywistość już nieraz pokazywała, że jej płaszcz pełen jest dziur. Czasem, kiedy ginie wielu ludzi, przyzywane i odsyłane są całe zastępy demonów, a potężna magia zostaje spuszczone ze smyczy, czasoprzestrzeń pęka niczym stłuczona flaszka – gestem nakazał skręt w prawo. – Wyrwy powstałe w ten sposób wypływają z siebie naprawdę zadziwiające artefakty.

– Jakie?

Lekko przekrzywił głowę. Zastanawiał się.

– Przypadkowe przedmioty z przeszłych epok. Czasem są to zwierzęta z czasów, gdy na Ziemi były dżungle. To znaczy na powierzchni, a nie byle jaka roślinność zachowana w głębokich jaskiniach. Niekiedy, rzadko, są to ludzie bądź całe budowle – parsknął, widząc jej wzrok. – Wyobraź sobie, że walczysz z radą apostatów i w wirze czystej magicznej energii pojawia się przed tobą ubrany w skóry i pióra mężczyzna z włócznią w ręku, który

wykrzykuje do ciebie klątwy w niezrozumiałym języku... Czasem te szczeliny wypływają bardziej gadatliwe dusze – pokręcił głową. – Opisywane przez nie cuda są naprawdę niesłychane.

- Co się z nimi dzieje? – pytała zaciekawiona, ponieważ nigdy o czymś takim nie słyszała.

- Niemal zawsze tracą zmysły i odbierają sobie życie – lekko drgnął mu policzek, widząc reakcję uczennicy.

Musi lepiej panować nad swoją ekspresją – pomyślał.

- Co się tak dziwisz? Wyobraź sobie, że trafiłaś w inną rzeczywistość, w sam środek apokaliptycznego starcia, rodem z koszmarów – podrapał się po brodzie. – Można się załamać.

Już zrozumiała działania mechanizmu, który próbował jej wyjaśnić.

- Czyli to miasto jest tutaj, bo zostało wrzucone przez dziurę w czasoprzestrzeni? Tak jak inne takie miejsca?

- Yhm – przytaknął, kiwając jednocześnie głową. – Dokładnie, moja droga, lecz tutaj nie mieliśmy do czynienia z jakąś ciasną szparką – Lydia podniosła jedną brew nie rozumiejąc, dlaczego usta mistrza, wraz z wąsami, uniosły się lekko. Zupełnie jakby starał się ukryć uśmiech. – Wojna pomiędzy demonami a Upadłymi Aniołami trzęsła całymi wymiarami i światami. Dlatego naszą Ziemię zamieszkuje tyle bajecznych i krwiożerczych istot.

O tych sprawach miała podstawowe pojęcie.

- Jak wampiry?

- To ledwie początek – oznajmił. – Oprócz tego mamy smoki, gryfy, hipogryfy, kamieniaki, pegazy, będące już na wymarciu szczepy motyloludzi, szczuroczłeków, humanoidalne kraby. Ta lista ma tysiące pozycji. Część zwierząt to nasza ziemską, zmutowaną faunę, lecz te, które wymieniłem jako pierwsze... One pochodzą z innych światów. Tak mówią badania przeprowadzane przez Inżynierów i Magów – wyjaśniał, gdy skreślił i znaleźli się u wejścia, prowadzącego na niedużą otwartą przestrzeń.

Lydia otworzyła usta, by dalej podtrzymywać rozmowę, lecz widok, który ujrzała, sprawił, że z wrażenia zamilkła.

- Niezłe, co? – retorycznie zapytał Witeldon.

Znaleźli się na skraju wypalanej polany. Nie było tutaj żadnej obsydianowej konstrukcji. Pod stopami również nie wyrastała wulkaniczna skała, a do butów przyczepiał się ciężki, ściemniały i zastany popiół.

Jednakże to nie rodzaj podłoża pozbawił dziewczynę słów. Cały, liczący kilkaset metrów wzdłuż i wszerz plac, jeśli by go tak nazwać, usiany był szczątkami demonów i upadłych Aniołów. Musiały tutaj toczyć między sobą bój na śmierć i życie, a miejsce tego starcia wyglądało teraz niczym klatka z filmu po naciśnięciu pauzy.

Ciała, poszarzałe i statyczne, niczym odlane rzeźby, wpatrywały się niemo w swoich rywali. Zupełnie jakby coś zamieniło wszystkich w posągi. Setki cichych i zimnych kreatur tworzyły groteskową dekorację, mauzoleum grozy bądź wielki pomnik zapomnianych męczenników.

- Mistrzu... - zaczęła, nie wiedząc co dalej powiedzieć. - Co to jest?

Znał odpowiedź.



- Patrzysz na pozostałości po jednej z bitew, o której wspominały runy, które ci tłumaczyłem. To, co zachowało ich pod postacią kamiennych konstruktyw, było naprawdę potężnym zaklęciem. Można rzec niestabilnym czarem.

- Dlaczego niestabilnym?

- Ponieważ ta inkantacja pokrzywdziła obydwie strony. Poza tym musisz wiedzieć, że my, ludzie, mamy niezwykle ograniczone możliwości uśmiercenia piekielnej istoty. Ledwie kilka artefaktów, broni, relikwii z arsenału Świętego Oficjum może to zrobić. Mało jest też czarnoksiężników o takiej mocy - ręką wskazał centrum statycznej apokalipsy. - Zdolność zgładzenia demona raz na zawsze mają Aniołowie. Z wzajemnością zresztą.

Lydia otworzyła oczy jeszcze szerzej.

- Chce Mistrz powiedzieć, że oni ginęli podczas wojen, jak zwykli ludzie?

Kiwnął głową.

- Mniej więcej, dlatego takie środki zagłady były dla nich rzadkością. Uważam, że ta sama moc, która ich spetryfikowała, przeniosła tutaj to miejsce.

- Skąd w takim razie wzięły się tutaj tamte symbole?

Inkwizytor posłał jej lekko zmęczone spojrzenie.

- Najprostszym i najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem będzie stwierdzenie, że niektóre z plugawych sług przybyły tutaj ponownie, by zostawić wiadomość.

Spuściła lekko głowę. *To w sumie oczywiste* - pomyślała.

- Idziemy - oznajmił mężczyzna.

Ruszyli przez milczący obraz wojny pomiędzy istotami odrzuconymi przez świat i bogów. Podobnie jak ludzie różnią się od siebie, tak tu każda statua była inna. Dziewczyna pochyliła się lekko, gdy przechodziła pod podłużną, wielostawową nogą pierwszego z demonów. Istota miała dwa kilkumetrowe ramiona, zakończone gigantycznymi małpimi dłońmi. Mały tors na długiej szyi utrzymywał łąsą, mocno wyciągniętą głowę. Wiotka szczeka, ciągnąca się dobry metr z jednej strony policzka na drugą, najeżona była mnóstwem kłów. Bydlę zastygło w pozie agonii, przechylając się niebezpiecznie na prawą stronę. Wydawało się, że jeszcze chwila, a runie na ziemię. O jej barki stopami opierał się skrzydlaty Anioł, który z wyrazem chłodnej, lecz doskonale widocznej determinacji, przebijał go włócznią.

Dalej jej uwagę przyciągnął kolejny upadły boski posłaniec. Zbliżając się powoli w jego stronę spostrzegła, że był mniej więcej tego samego wzrostu co ona. Istota miała ciało pięknego młodzieńca, a średniej długości loki luźno spływały mu na twarz. Anioł nie nosił pancerza. Miał lekko umięśniony tors

i niezbyt wyrobione ramiona i nogi. Można było jednak dostrzec, że sprawnie władał tarczą i mieczem. Chroniąc się przed atakiem pomiotu o trzech twarzach i trzech rękach, osadzonych na okrągłym niczym piłka tułowiu pozbawionym szyi, ścinał czerep wielkiego węża o kozim pysku.

Kolejna mijana scena pokazywała obraz wielkiego męczeństwa. Potężnej postury, wysoki anielski grzesznik dobijał demonicznego konia z ludzkimi rękoma wychodzącymi z głowy. Włócznia skrzydlatego wygnańca zanurzona była w sercu przeciwnika, lecz jego własny tułów rozszarpywały trzy harpunopodobne kończyny stojącego za nim demona. Stwór mógł przerazić. Pysk i tors z ogonem były identyczne jak u wilka. Z ust zamiast języka wyrastała wściekła kobra. Przednie kończyny, zbudowane z samych mięśni, kontrastowały z tylnymi, złożonymi wyłącznie z kości. Broń, która przyniosła zgubę aniołowi, wyrastała z grzbietu bydłęcia. Koniec monstrum zdawał się jednakże przesądzony, ponieważ szarżowało na niego dwóch stróżów Nieba.

Przemierzając pole bitwy, Lydia nie mogła oderwać wzroku od pomiotu mroku, który zamiast nóg zdawał się mieć konar drzewa. Nad zarośniętą twarzą, przypominającą krzyżówkę sznaucera z człowiekiem, wyrastały dwa szponiaste narośla tworzące plugawą aureolę. Jego wielki, umięśniony tors i ramiona kipiały siłą, której dawał pokaz. W jednej dłoni trzymał wyrwaną głowę eksmitowanego niebiańskiego mieszkańca. Kręgosłup zabitego zwisał mu przez palce, a reszta ciała leżała obok. Druga łapa, pełna szponów, rozbijała tarczę innego rywala, urywając mu przy tym rękę. Na wprost, dumnie i w pozycji strzeleckiej, trzymając piękny łuk, stał Anioł o szlachetnych rysach. Jego strzała bez wątpienia zakończyłaby plugawy żywot tego, który przelał gwieździstą krew.

- To musiało być okrutne starcie - zauważyła.

Inkwizytor spoglądał na anielską kobietę, rozerwaną poprzez kłębowisko macek o zabiej mordzie. Jego wyostrzony wzrok wychwycił ustawienie palców jej dłoni. Bez wątpienia mogła posłać wiązkę czystego światła, które spopieliłoby oprawcę.

- Widzisz, moja droga, wojnę wody z ogniem, światła z ciemnością...

- Dobra ze złem? - wyrwało jej się.

Lekko wydał wargi i podniósł brwi.

- Tego bym nie powiedział.

Witeldon, nie zmieniając tempa marszu, ominął szablozębną rybę o wielu oczach, unoszącą się na łapach przypominających parzydełka meduzy. Stojący obok Anioł masakrował jej łeb wielkim toporem o jednym ostrzu. Jego cios zgładziłyby stwora ciemności.

Oglądanie tego mogło odbierać zmysły, łamać wiarę i logikę. Choć dla Lydii było to niewyobrażalne, wręcz niemożliwe do objęcia rozumem, tak on już nieraz widział podobne obrazy. Oko weterana tysięcy starć, setek walk oraz dziesiątek wojen różnej maści pozwalało mu dostrzegać szczegóły niezauważalne dla innych. Jeśli ciała demonów, poprzez mnogość swoich form i aparycji były trudne do odczytania, to anielskie świetnie uwidaczały uczucia, które nimi targały. Od każdego biła nienawiść i gniew tak wyraźny, że aż namacalny. W końcu walczyli ze swoim totalnym przeciwieństwem i zaprzysiężonym wrogiem.

Pomimo zamiany w przesiąknięty magią kamień, oczy wszystkich niebiańskich istot były doskonale wyrzeźbione. W nich dostrzegał coś innego. Tam gdzie ciało kipiało furją, wzrok był pełen smutku. Nie było anioła, który nie wiedział, że ponurym dzwonem straceńców wybiła godzina ich wiecznego potępienia. Odmówili wykonania Bożej woli i zostali wygnani ze swojego domu. To martwe pole bitwy pokazywało, że pragnęli wywalczyć nowy.

Dwoje ludzi zbliżało się do wyjścia z wypalonego symbolu sprzeciwu i kary, gdy uczennica ostatni raz spojrzała przez ramię na spetryfikowane postacie.

- Dałoby się ich odczynić?

- Byłoby to możliwe - zaczął Człowiek z Wyobraźnią. - Jednak jeśli pytasz o to, czy po rozproszeniu tej zerwanej ze smyczy magicznej mocy oni wszyscy kontynuowaliby walkę w tych pozach, w jakich zastygli, to muszę wyjść naprzeciw twoim rozważaniom.

Zmarszczyła brwi.

- Co by się stało, gdyby zostali ożywieni?

Mężczyzna wypuścił powietrze i szerzej otworzył oczy.

- Niemal na pewno rozpadliby się w pył albo zabiłoby ich wejście w rzeczywistość po tak długim czasie - podrapał się po głowie. - Lepiej by było, gdyby tak się właśnie stało.

- Dlaczego? - ciekawość dziewczyny nie znała granic.

Złączył palce dłoni i zaczął nimi poruszać. Zupełnie jakby chciał pozbyć się odrętwienia.

- O ile demony odnalazłyby się w nowej hierarchii albo zamordowałyby je inne mroczne esencje, tak sytuacja Aniołów jest bardziej skomplikowana - dostrzegł ciemnoniebieskie oczy, pełne znaków zapytania, wpatrujące w niego. - Myślę, że nie chciałyby zobaczyć, co się stało podczas tego exodusu z resztą ich szeregów - westchnął. - Widok tego, jak daleko ich własny gatunek zaszedł na ścieżce ciemności, byłby dla nich miazdzący.

- To Skrzydlaci Posłańcy nie wiedzieli, co ich czeka w Piekło? - powiedziała na głos to, o czym myślała. - Przecież ono wypacza wszystko. To oczywiste.

Witeldon pomasował kark.

- W swoim życiu spotkałem wielu ludzi, którzy wiedzieli, że kiedy pociągnie się za spust, broń może okaleczyć lub zabić. Jednak dopiero gdy wystrzelili swoją pierwszą kulę i zobaczyli efekt, padali na ziemię w szoku i spazmach - mocniej wypuścił powietrze przez nos. - Nieraz rzygając i bełkocąc jak obłąkańcy.

- Mistrzu, nie rozumiem związku.

Posłał jej szybkie, skupione spojrzenie. Dla kogoś patrzącego z boku mogło wydawać się groźne. Znała go doskonale i wiedziała, że zbiera myśli.

- Teoria i praktyka różnią się od siebie zasadniczo - jego głos był spokojny i rzeczowy. Tak bardzo była pochłonięta słuchaniem, że przeszli spory kawał drogi od placu ze scenami walki i nie zauważyła tego. - Bokser przed lustrem setki razy blokuje ciosy, ale dopiero kiedy trafi go przeciwnik, dowiadyuje się, czy ma szansę na wygraną. Chirurg zna ciało ludzkie na wylot, lecz gdy je otwiera, czuje ryzyko, że popełni błąd i pacjent umrze - machnął dłonią w kierunku obsydianowych piramid, które mijali. - Anioły, schodząc do Piekła, doskonale zdawały sobie sprawę, czym to grozi. Jednak nawet nieskończoność wyobraźni nie była w stanie pokazać tego, co zgotował im tam los.

- Więc załamaliby się, gdyby zobaczyli swoich braci i siostry zmienionych przez mrok?

- Załamali? Żadne ludzkie słowo nie wyraziłoby tego lamentu, moja droga.

Dziewczyna spochmurniała. Miejsce, gdzie dotarli, nie było przesiąknięte śmiercią i szaleństwem. Jedyne co czuła, to smutek, żal i tęsknotę. Widok spetryfikowanych aniołów był sceną tragiczną. Żaden opis zawarty w Świętych Tekstach, które czytała, nie mógł w pełni przekazać ogromu przeżywanego dramatu. Zrodzeni przez Stwórcę, na zawsze mieli trwać w Niebie. Rozdzieleni ze swoimi bardziej uległymi braćmi i siostrami przetrwali, a zyskawszy sprzymierzeńców stali się ogromnym zagrożeniem.

Uczennicę Inkwizytora zaczęło trawić zmęczenie. Bycie w ciągłej gotowości i wzmożony wysiłek wyczerpywały. Jej zbroja zawierała specjalne systemy i środki, które spowalniały metabolizm i dostarczały bodźców pobudzających, lecz nie mogły one napędzać jej w nieskończoność.

Słudzy Świętego Oficjum stanęli u podnóży największej konstrukcji. Dwa razy wyższa i szersza od innych budowli, dumnie zaznaczała swoją obecność. Mniej więcej na trzech czwartych wysokości znajdowała się pusta przestrzeń, wsparta na czterech małych wieżach.

- Co tam jest, Mistrzu?

Jej ciało mogło się męczyć. Jej ciekawość była niezmordowana.

- Następną winda z tajemniczymi symbolami i grafikami - palcem wskazał za siebie. - Zupełnie jak poprzednia. Potem już droga będzie raczej prosta.

Na szczyt monolitu wiódł długi rząd grubo ciosanych schodów. Ich okute metalem buty głucho stukały o kamienną powierzchnię. Aby osiągnąć wysokość dźwigu, musieli minąć sześćset sześćdziesiąt sześć stopni. Po dotarciu na miejsce Witeldon zaklął w nieznanym jej języku.

- Niedobrze - rzucił.

Od razu wyteżyła zmysły i dokładnie rozejrzała się po małej platformie, w której ziała wielka dziura.

- Co się stało, Mistrzu?

Palcem wskazał na otwór w podłodze.

- Nie mamy środka transportu - oznajmił z lekką irytacją w głosie. - Platforma została opuszczona.

- Nie możemy jej przywołać? - zapytała zdziwiona. - Najwyżej trochę poczekamy - dodała, wskazując na dźwignię wbudowaną w podłogę.

- Sądzę że nawet ja nie doczekałbym się jej przyjazdu - oznajmił ze spokojem, celując palcem w górę sklepienia piramidy, gdzie wisiał zerwany łańcuch.

- Och...

Witeldon zamierzał przejść na drugą stronę. Gestem nakazał, by za nim podążała.

- Ktoś stoi za atakiem Patiensusa - powiedział, schodząc w dół. - Ktoś wybitny i dobrze znający Podmiasto.

- Po czym Mistrz to wnosi? Ten wampir nie wyglądał na kogoś, kto zrozumie coś skomplikowanego.

Pokręcił głową.

- Ktokolwiek z Piekła czy spoza niego nim steruje, nakazał mu dokonać zamachu na nas, a teraz zlecił uszkodzenie windy. Myślę, że kierujemy się w kolejną pułapkę - dodał po krótkim zastanowieniu.

Akurat w to nie wątpię - pomyślała.

- A gdzie teraz idziemy?

- Mamy wiele alternatywnych dróg, które powstały jako pęknięcia w Ziemi, a potem były stopniowo rozbudowywane przez lokalne społeczności.

Zainteresowało ją to, co powiedział.

- Spotkamy jakichś mieszkańców? - zapytała lekko rozemocjonowana.

- Lepiej się módl, byśmy nie dostąpili tego zaszczytu - rzekł grobowym tonem.

A daleko przed nimi, w litej skale zauważył spory uszczerbek w kamieniu. Zejście, tak jak i misja, trwały dalej...

ROZDZIAŁ XXI



O, MIŁOŚCI, CZYMŻE JESTEŚ TAK NAPRAWDĘ, POWIEDZ SZCZERZE?

NAJPIĘKNIEJSZYM Z UCZUĆ CZY NAJOKRUTNIEJSZYM Z NARKOTYKÓW?

TY, CO KAŻDEGO DNIA POWIĘKSZASZ SWE SZEREGI O NOWYCH MĘCZENNİKÓW.

CO DAJESZ LUDZIOM NADZIEJĘ NA ODPOWIEDZI, KTÓRE NAPISZE ICH SERCE.

CO PRÓBUJESZ WLAĆ TROSKĘ I CIEPŁO W NACZYNIĘ TRZYMANE PRZEZ ICH RĘCE.

CO TAKIEGO CZŁOWIEK UCZYNIŁ, ŻE JEST ON PEŁEN SKAZ, ZŁA I NIEPRAWOŚCI?

CO ZROBIŁ, ŻE SAM TOPI SIĘ W SMUTKU, CIERPIENIU I ŻAŁOŚCI?

DLACZEGO LUDZIE NAGLE ZNÓW STAJĄ SIĘ DLA SIEBIE NIEZNAJOMYMI,

CHOĆ SPĘDZALI RAZEM DNIE I NOCE Z UNIESIENIAMI MNOGIMI?

JAK SŁOWO, POWTARZANE Z UCZUCIEM I MOCĄ PRZY KAŻDYM CIAŁ DOTYKU,

ZMARŁO NAGLE W GARDLE, NICZYM ŻYCIE PO ZAŻYCIU ARSZENIKU?

CZYM CZŁOWIEK ZGRZESZYĆ MUSIAŁ, ŻE NAJWIĘKSZĄ KARĄ NA ZIEMSKIM PADOLE

NIE JEST ŚMIERĆ, LECZ CISZA Z UST OSOBY, DLA KTÓREJ SIĘGALIŚMY PO GWIAZD KULE?

WIERSZ DORIANA ETRASA, CZŁOWIEKA, KTÓRY PRZEZ CAŁE ŻYCIE Z OKNA SWEGO APARTAMENTU OBSERWOWAŁ, JAK NOWI NIESZCZĘŚNICY RZUCAJĄ SIĘ Z MOSTU ŚWIATŁA.

Amon zarechotał, siedząc na obsydianowym tronie. Ktoś, patrząc z boku, mógłby zastanawiać się, jakie jest źródło jego dobrego humoru. Tylko na przestrzeni kilku ostatnich godzin ponad trzydzieści kultów uznających go za boga wyszło z ukrycia. Wszyscy ruszyli zabijać i palić w jego imię. Otwierając czarci umysł, słyszał śpiewy chwalcące jego postać. W pysku czuł

krwawych składanych ofiar. W żaden sposób nie martwiło go, że niemal wszystkie powstania, które wzniecili jego kultysty, były krwawo stłumione poprzez Interwentów albo Święte Oficjum. Demony w walkach nie brały udziału. Wstrzymywał swoje zastępy. Miał plan.

Najokrutniejszy z markizów patrzył teraz oczami jednego z mężczyzn, którzy wdarli się do biednego i zniszczonego sierocińca w dolnej części Dzielnicy XCIII. Widział, jak ten jednym ciosem maczety odciął małej, bezbronnej dziewczynce rękę, po czym chwycił ją za szyję i cisnął o ścianę. Jeden z Panów Piekła delektował się dźwiękiem łamanego karku. Obserwował, jak inni dokonują podobnych rzezi. Część dzieci i opiekunek została przy życiu. Po nich śmierć nie przyjdzie tak szybko. Wpierw łupieżcy będą chcieli się zabawić. *Cóż za melodia* – mruknął do siebie, gdy do jego uszu dotarło pierwsze zawodzące wycie i krzyk.

Pan Cierpienia wygodniej usadowił się na tronie. Każda chwila tych szaleńczych mordów i przelanej krwi, nieważne czyjej, była dla niego plugawym błogosławieństwem. Najwięcej walk trawiło tereny dookoła centralnych dzielnic, w sercu których znajdował się Pałac Gubernatora. Ludzie wyrzynali się w głębiach Spero. Korzenie miasta nasiąkały pożywnym, karmazynowym nawozem. Osłabiało to granicę między światem śmiertelnych i demonów. Najświeższe rubinowe wino powstałe z żył ludzkich służyło za farbę do malowania symboli, przez które wybrzmiewało jego imię i grzmiały apokaliptyczne prorocтва. Płótnami były ściany zwykłych budynków, wnętrza zrujnowanych kaplic i mniejszych świątyń. Rola pędzli przypadła uciętym palcom wiernego ludu i kapłanów.

Używając swojej niezmierzonej potęgi, rozpostarł swoją obecność wysoko nad miastem. W czasie nadchodzących nocy wiele ludzkich istot będzie łkało z powodu koszmaru, a część rzuci się sobie do gardeł. Będąc duchem w wielu miejscach naraz, Władca Ciemności obserwował zniszczenia, jakich dokonali oddani mu wierni. Wiadomo było, że w mieście ciągnącym się na tysiące kilometrów wzdłuż i wszerz, które swoją strukturą wrzynało się głęboko w ziemię i niebo, wszystkie akty przemocy były jedynie kroplą w morzu. Jednak w sercach znacznie większej publiczności zasiana została panika, żal i gniew. Wiedział, że Inkwizytor zleci czystki i w kilku miejscach wprowadzi stan wyjątkowy. Separacja, wykluczenie i widmo strachu niczym młoty spadną na miliony.

Amon był naczelnym katem Piekła. Głównym źródłem jego mocy był terror i bezsilność. Za ambrozię służyła mu kruchość ludzkiej psychiki, a za nektar łamliwość człowieczych ciał. Potężny demon zamknął ślepią, by spojrzeć oczami kolejnego obłąkańca. Akurat dusił kilkuletnie dziecko, które w żaden sposób nie mogło się wyswobodzić z żelaznego uścisku. Pławił się w czystym zwierzęcym strachu, emanującym z młodego śmiertelnika. Przeniósł się w nowe ciało dopiero wtedy, gdy chłopca opuściło życie, a jego doczesna powłoka bezwładnie zawisała w rękach psychopaty.

Uśmiech zagościł na ustach Wiecznego Ciemniźcyela, gdy zobaczył kobietę uzbrojoną w długą, przerdzewiałą i zaostrzoną rurę, która atakowała następną bezbronną istotę. Jej celem była drobna ciężarna. Wrzeszcząca kultystka wykorzystwała swoją szybkość i sprawność. Dopadła ofiarę i prymitywną bronią dźgnęła ją w brzuch. Pręt wszedł głęboko, przyszpilając niedoszlą matkę do ziemi. Obłąkana naprężyła mięśnie rąk i wyszarpnęła metalową włócznię, rozrywając przy tym trzewia nieszczęsnej. Ta, wyjąc z rozpacz i bólu, chwyciła oburącz wylewające się z niej zamordowane dziecko. Jej spazmatyczne łkanie i koszmar przerwało potężne kopnięcie w twarz, zadane przez innego zabijakę.

Zamiast umrzeć powoli z wykrwawienia, odeszła szybko. *Za szybko!* – Amon wydał z siebie pomruk niezadowolenia. Ten śmiertelny głupiec przerwał jego degustację. Każdy jej urywany oddech, kłębiące się myśli, wizja formująca się w głowie i będąca obrazem paniki, straty, końca, to były dla niego prawdziwe delicje. Uznał, że musi ukarać tego, który odebrał mu przysmak. Jego pysk opuściły słowa, wypowiedziane w plugawym języku.

Ponownie wejrzał swoją astralną formą w świat ludzi. Tym razem patrzył z boku na prowadzony w jego imię pochód bezmyślnej rzezi. Po drugiej strony ulicy kanonierka powietrzna wysadziła kilkunastu żołnierzy odzianych w czarne zbroje, którzy obsadzili wyższe i dobrze osłonięte pozycje. Każdy z nich przygotowywał się do ostrzału. *Oto przybyli* – pomyślał Najokrutniejszy.

Świetliste promienie raz po raz śpiewały melodię śmierci. Zwęglone i porozrywane ciała padały na betonową ziemię. Mortusi mieli cięższe wersje karabinów świetlnych. Były mniej poręczne niż podstawowy model, lecz dawały większą moc wiązki energetycznej i potężniejszy impuls w trybie pulsacyjnym, co czyniło z nich doskonałą broń do dezintegrowania dużych mas.

Siła ognia żołnierzy Inkwizycji wciąż rosła, ponieważ statki transportowe dostarczały kolejne drużyny. Jednak na szaleńcach szarżujących wprost w objęcia śmierci żaden kaliber nie robił wrażenia. Na alei zaczynały się piętrzyć ludzkie zwłoki. Demon patrzył, jak żałośni wyznawcy niewolniczego Boga masakrowali w zawrotnym tempie zastępy kultystów. Nie przejmował się tym, ponieważ wszystko szło zgodnie z planem. *Popatrzmy teraz, jak sobie radzi tamten głupiec* - mruknął do siebie, myśląc o człowieku przerywającym jego ucztę.

Śmiertelnik biegł z dzikim rykiem. Zmierzał w stronę stanowisk Sług Bożych. Pomimo szaleństwa, pragnieniu krwi i mordowania widać było, że w jego głowie pozostała jeszcze odrobina rozsądku. Przeszedł na skraj ulicy, gdzie skrył się za kolumnami i wysuniętymi ścianami zabudowań. Długimi susami i w rekordowym czasie przeskakiwał od filaru do filaru. Z całych sił przytulał się do gruzów, by uniknąć śmierci od laserów. Kiedy do stanowisk Mortusów zostało mu jakieś sto metrów, można było pomyśleć, że los wciąż będzie mu przychylny. Żołnierze Inkwizycji, drastycznie przerzedziwszy armię wroga, ruszyli przed siebie, by dobić gniazdo węży. To przyspieszało jego starcie z ludźmi opancerzonymi w czarny metal.

Starając się pozostać niezauważonym, kultysta zamilkł zdyszany i przekradł się na prawo od grupy siejących spustoszenie Mortusów. Korzystając z tego, że wciąż jeszcze nikt go nie wykrył, ruszył biegiem w ich stronę. Za cel upatrzył sobie jednego z inkwizytorskich sługusów, który odłączył się od reszty i pozostał z tyłu. Amon wszystko dokładnie obserwował i wiedział, że pod zbroją i maską kryje się kobieta. Nie była świadoma zagrożenia, wyczuwał to. Tymczasem mężczyzna z wielką maczetą był kilkanaście metrów za jej plecami. *Nie tak szybko* - parsknął jeden z Władców Piekiła i uderzył wilczą łapą o tron.

Szaleniec był kilka kroków od swojej ofiary, gdy potknął się na nierównym podłożu. Poczul silny ból w kostce, wydał stłumiony dźwięk i zachwiał się w biegu. Słyszając za sobą podejrzanego odgłosy, kobieta w zbroi odwróciła się. Choć jeszcze nie widziała, skąd dochodzi jęk, uniosła karabin świetlny. Zauważyła obszarpanego, potężnie zbudowanego brodacza, który sprawiał wrażenie zwykłego dzikusa. Zastanowiły ją jednak jego jasnobrażowe, niemal bursztynowe oczy, które nie pasowały do reszty ciała. Przystawiła broń do barku i wycelowała. Desperacko rzucił się na nią, jednak zdążyła pociągnąć za spust. Promień naładowanych, skupionych cząstek uderzył niedoszętego

łowcę w pierś. Cały tors zapłonął ogniem i skwiercząc zaczął się topić. Wyzwolona moc oderwała nieszczęśnikowi rękę i część tułowia. Ludzki rzeźnik padł u stóp swojej zabójczynie. Przez krótką chwilę mu się przyglądała, po czym dołączyła do reszty oddziału.

Jaka szkoda – zaśmiał się w myślach Najokrutniejszy i, wypowiadając bluźniercze inkantacje, otworzył mały portal. Wprost w jego łapę wpadła, migocząc szarym blaskiem, mała esencja. Byt, przypominający lewitującą kulę eterycznego ognia, drżał w jego uścisku.

- Dostarczysz mi wielu radości – oznajmił markiz, trzymając duszę zabitego chwilę temu śmiertelnika. Przez bramę, łączącą różne wymiary, cisnął ją wprost do katowni, która wypełniona była milionami duchów podobnych grzeszników. Jednak jego dobry humor nagle prysł, jak mydlana bańka.

- Nie chciałbym psuć Ci cikliwych chwil, lecz mam coś do przekazania – usłyszał głos o niezwykle niskiej barwie, lecz ostry jak strzał bata.

- Jak śmiesz mi przeszkadzać, robaku?! – ryknął w stronę zakapturzonej postaci. Jego wrzask wprawił w drgawki Mitiriego, siedzącego pod ścianą, lecz niechciany gość pozostał kompletnie niewzruszony.

- Jak już mówiłem, mam coś do przekazania – powtórzył, przechodząc wolno i swobodnie z prawej strony Markiza na lewą. Nawet na niego nie spojrzał, tylko zerkał na swoje blade dłonie, jakby sprawdzał stan paznokci. Zatrzymał się. Przyglądał się z zaciekawieniem jednej z kolumn, stojących w sali tronowej Naczelnego Kata Piekła. – Nie sądziłem, że Twój rodzaj jest aż tak głupi.

Amon wybałuszył ślepią myśląc, że się przesłyszał. Dookoła zapłonęły czarne ognie. Powstał z potężnego tronu i jednym susem stanął przed nawiedzającą go istotą. Jego wilcza postać z ogonem węża była trzykrotnie wyższa w kłębie od humanoida i mocarniej od niego zbudowana pod każdym względem. Piekielny byt wyszczerzył kły.

- Za taką zniewagę płaci się życiem, Korneliuszu – każde wypowiedziane słowo zawierało w sobie pierwiastek końca, przemijania i kruchości.

Ofiara groźby nic sobie z niej nie robiła. Wcale nie czuła się przyparta do muru.

- Okłamaliście siebie nawzajem i mnie przy tym – rzekł beznamiętnie do Najokrutniejszego. Czart podniósł łeb, zadziwiony.

- O czym ty bredzisz? - ryknął.

Korneliusz zdjął kaptur i odwrócił głowę w kierunku rozmówcy, lekko ją unosząc. Jego twarz wyglądała na ludzką. Błada, nieskazitelna cera, gładko ciosane rysy z piękną szczęką przywodziły na myśl stereotypowego modela. Mały, lekko zadarty nos idealnie komponował się z całością. Jasnoniebieskie oczy niemal świeciły w półcieniu sali, a blond włosy, mistrzowsko przystrzyżone i wymodelowane, dodawały szarmanckiej nuty.

- On nie jest zwykłym człowiekiem - powiedział spokojnym głosem.

Zniesmaczony Piekielny Lord wrócił na swój tron.

- Wśród Inkwizytorów niewielu jest śmiertelników, których można byłoby określić mianem zwykłych - rzucił kpiąco.

Odziany w czarny płaszcz humanoid zbliżył się do niego, zatrzymując się obok kolejnego filaru.

- Twoje poczucie humoru jest doprawdy wysokich lotów - zaczął. - Wiem co nieco o człowieczej anatomii i o tym, jakie zabiegi, terapie czy inne wzmocnienia mogą mieć w sobie - pokręcił głową. - Żaden z ludzi, obojętnie jak byłby sprawny czy ulepszony, nie dałby rady mojemu najlepszemu słudze.

Z wilczej gardzieli wydostał się obrzydliwy rechot.

- Więc mówisz, że nadszedł czas, by pokazać ci, jak odbiera się życie dzieciom Bożym? - zapytał, zanosząc się głębokim śmiechem.

Korneliusz uniósł lekko podbródek.

- Walka ciągle trwa - oznajmił. - A Patiensus ewoluuje, dostosowując się do wyzwania. Poza tym jest tam jeszcze kilka niespodzianek - oczy w kolorze bezchmurnego nieba w pełnym słońcu zatrzymały się na demonie. - Powiedz mi, czym on jest?

Amon zaczął się przepoczwarzać do swojej drugiej formy. Jego ciało zmieniało kształt i wymiary. Futro stworzone z czystej nocy zastąpiła skóra, wilcze łapy przyjęły postać ludzkich rąk i nóg, a głowa straciła swoje psie rysy na rzecz czaszki kruka pokrytej piórami pochłaniającymi światło. Długie lśniące zęby, które porażały blaskiem ilekroć otworzył dziób, przeczyły prawom natury. Jak zresztą cała jego postać. Na muskularnym ramieniu oparł halabardę. Kolos, wielki na ponad sześć metrów, był definicją koszmaru.

Pstryknął długimi, potężnymi palcami. W blasku ciemności pojawił się kielich, który przy każdym śmiertelniku wyglądałby jak największy puchar.

Mitiri, wiedząc co trzeba zrobić, podfrunął na wysokość dłoni Pana i napełnił naczynie świeżą krwią zabitych dzieci i matek. Ich posoka zdążyła już zasilić piekielne rzeki, które nawadniały diaboliczne pola z karmazynowymi gronami. Amon odprawił sługę gestem i pociągnął łyk trunku.

- Cudowna odmiana - zachwycił się. - Bogata baza zerwanego z uwięzi strachu i zimnego uczucia zagubienia. Wszystko przełożone warstwą słodkiego pragnienia życia, kurczowego trzymania się żałosnej egzystencji - długi cienki język oblizał krawędzie dzioba. - Nuta przywiązania do ziemskiego padołu, lekko wymieszana z palącą szczyptą lęku o bliskich - westchnął. - A całość daje przyjemne doznanie bólu i cierpienia, które przeżywali śmiertelnicy gdy ginęli jak robaki.



- Poeta z ciebie - z przekąsem zauważył Korneliusz.

Z wyraźnym zainteresowaniem wpatrywał się w kielich. Widać było, że przykuł jego uwagę, choć może bardziej dotyczyło to zawartości...

Najokrutniejszy spojrział na niego czarnymi ślepiami, w których odbijała się zagłada niezliczonych dusz.

- Pytałeś o Inkwizytora, który rzekomo miał nie stanowić dla ciebie problemu i zostać zabity od razu, gdy wkroczy do Podmiasta - jego ton był wyjątkowo kpiący.

Trzymając dłonie w kieszeniach płaszcz w kolorze bezgwiezdnej nocy, Korneliusz przekrzywił lekko głowę i uśmiechnął się tajemniczo. Był to widok, który skusiłby niejedną śmiertelniczkę.

- Do tego cynik - jego oczy zabłysły. - Świetne zadatki na barda.

Markiz piekła upił kolejny łyk krwawego nektaru.

- Oszczędź sobie tych kurtuazji - powiedział chłodno, lecz bez gniewu. Obserwował go w skupieniu. - Już od dawna ten, o kogo pytasz, nie jest tym, kogo można tytułować mianem człowieka. Kiedyś był zwyczajnym śmiertelnikiem, lecz przeznaczenie skrzyżowało jego drogi z wielkimi siłami. Plan ułożony przez nas był iście genialny. Musisz wiedzieć, że serca ludzkie mogą być zamknięte na zamki, których nie otworzy żadna tortura, męka czy strach. Trzeba mieć klucz.

- Co nim było u niego?

Lekkie skrzywienie dziobu nie przypominało uśmiechu, którym miało być.

- Każdy z ludzkiego gatunku jest skuty łańcuchem swoich pragnień - napoju w kielichu ubywało coraz szybciej. - To, co czyni Inkwizytorów tymi, kim są, zostało podarowane ich Oficjum przez samego Stwórcę - skrzywił się, wypowiadając ostatnie słowo. - Po tym, gdy jedna trzecia Aniołów opuściła go i przyłączyła się do naszej krucjaty, udoskonalił część procesów, za pomocą których konstruował życie. Żaden członek tak zwanego Świętego Oficjum nie może zostać złamany wbrew jego woli i splugawiony, nawet gdyby rzucić na niego największe klątwy - pokręcił głową. - Takich zdolności nie mieli nawet Posłańcy Królestwa Niebieskiego.

- Pytałem o co innego - Korneliusza obchodziły fakty, a nie lekcja o minionych dziejach.

- Kluczem do niego była miłość - powiedział markiz i zaśmiał się, widząc zdziwienie na twarzy rozmówcy. - Właśnie miłość... Żadne bogactwo, władza, siła, potęga, sława czy umiejętności. Nic nie obchodziło go bardziej niż potrzeba znalezienia bratniej duszy, kogoś, z kim mógłby poczuć się szczęśliwy. Pragnienie to skrywało się w najgłębszych zakamarkach jego

ducha - wyciągnął przed siebie pojedynczy palec. - Jedna rysa na niezniszczalnej zbroi. Skaza, którą można było wykorzystać.

Blondyn zmarszczył brwi.

- Daliście mu po prostu kochankę? Waszą agentkę pod przykryciem? - sposób, w jaki to wypowiedział, wskazywał, że uważał to za głupie i niedorzeczne.

Westchnięcie demona zaniósło się echem cierpienia umarłych.

- On sam na nią natrafił. Z początku wszystko wyglądało na sukces, lecz stało się coś, czego nie mogliśmy przewidzieć.

- Naprawdę? - kpiąca nuta była aż nadto wyczuwalna.

Krucza głowa kiwnęła na znak potwierdzenia.

- Żaden tarot, prorocstwo, magia, plugawy rytuał czy obserwacja linii czasoprzestrzennych nie jest w stanie przewidzieć, kiedy narodzi się uczucie, które można nazwać szczerym.

Korneliusz parsknął.

- Dziwnie brzmią takie wyznania, wypowiedane przez Ciebie.

Najokrutniejszy pochylił się w swoim tronie lekko do przodu.

- Naprawdę?! - zagrzemiał całą ironią, jaką mógł zebrać.

- Widzisz, mówiłem żeś bard albo komik.

Amon wyzwolił z siebie gniewny pomruk i wrócił do opowiadania historii.

- Tak więc był nieświadomy tego, że jego serce błędziło pomiędzy dwiema kobietami. My wyeliminowaliśmy problematyczne ogniwo, lecz on dzięki nieoczekiwanej pomocy odkrył prawdę - przechylił kielich, opróżniając go do dna i żądając więcej trunku. - Nie będę mówić ci wszystkiego, to zbędne, lecz musisz wiedzieć, że ten, którego zwą Witeldonem, dokonał niemożliwego, aby walczyć z być może największym dziełem Piekła.

Obaj spojrzeli w bok przez wykuty otwór, by obserwować błyskawicę rozcinającą szatańskie pieczary. Był to jeden z omenów zła.

- Jak już mówiłem, śmiertelnicy zorganizowali kiedyś wyprawę do naszego domu - powiedział z gniewem, zaciskając pięść i poruszając przy tym szybko szyją. Charakterystyczne chrupanie było dźwiękiem zdrajców, którzy skręcali kark oszukanym. - Skradli nam księgę, w której zawarliśmy informacje o tym, jak wykorzystaliśmy moc Stwórcy do naszych celów. Prócz tego zabrali z sobą coś ważniejszego - Amon opróżnił i odrzucił kielich, który zniknął, jakby nigdy go nie było. - My również chcieliśmy się bawić w Boga

i stworzyć własne życie. Naszą ambicją było przewyższyć Jego dzieło. Powstać miała rasa istot w każdym względzie lepsza od ludzi, niemal równa Aniołom czy nam – parsknął. – Śmiertelnicy tego nie wiedzieli i zapiski z badań, prób i początkowych eksperymentów stosowali na żyjących. Skutek był jeden.

– Śmierć – wtrącił Korneliusz.

Sześć klaśnieć w dłonie oznaczało pochwałę.

– Brawo, geniuszu – jad, ziejący z dziobu Amona, palił. – I tak by zostało, gdyby nie jedno – zrobił teatralną pauzę. – Ludzie są interesującymi stworzeniami. Umierają w mgnieniu oka, lecz ich dusza jest nieśmiertelna i tysiącokrotnie trudniejsza do zniszczenia. Co więcej, mogą ponieść śmierć, a mimo to ciągle żyją.

Rozmówca przekrzywił lekko głowę.

– Koniec jest rzeczą definitywną. Przecięta zostaje nić egzystencji i delikwenta spotyka los taki, na jaki zasłużył. Nie można przestać żyć i dalej istnieć fizycznie. To przeczy logice, prawom natury i siłom, którym wszystko podlega.

Demon kiwnął kruczym łbem.

– Zapomniałeś o czymś takim jak umysł, bądź, jak oni mówią, wola – wziął halabardę do ręki i nakreślił nią w powietrzu półokrąg. – Wszyscy ludzie mają wielkie pragnienie życia. Coś ich do tego napędza. Można złamać ich ducha i wtedy są nic nie znaczącym wrakiem, żywym trupem ogołoconym z potrzeby świadomej egzystencji.

– On nim był, tak? – nieoczekiwanie zagrzmiał Korneliusz, który miał już dość diabolicznego wykładu.

– Owszem – jedno słowo zawisło w powietrzu. – Zmarła jego nadzieja, jedyne, czego pragnął. Wszystko szlag trafił. Odszedł jego duch, a przez to rytuały, które przeprowadzili na nim ci głupcy, powiodły się. Zamiast wierzyć w sukces, żywić niecierpliwość i nieść ich fałszywie rozumianą sprawiedliwość, on miał to gdzieś. Obojętne mu było, czy uda mu się, czy nie.

– Powiedz mi, z czym Patiensus ma do czynienia.

Czart wyprostował się w tronie.

– Z arcydziełem stworzenia Boskiego, w które tchnięty został cały geniusz piekielnych Panów.

Odziany w czarny płaszcz długo trawił to, co usłyszał. Wpatrywał się cyjanowymi oczami prosto w czarne ślepia, w których odbijały się echa rzesz zakatowanych dusz. W końcu przemówił.

- A więc być może przyjdzie mi zmierzyć się z nim osobiście - powiedział bez emocji.

Amon oparł się o halabardę zbudowaną z mroku przekutego w kryształ.

- Nie tobie jednemu - oznajmił, a słowa, które wymówił, niosły przesłanie, od którego tężało powietrze.

- Ujrzałeś to w liniach czasu? - zapytał piękny blondyn. Wiedział dobrze, iż Najokrutniejszy dużo czasu spędzał studiując różne możliwości swoich planów.

- Odpowiedni człowiek, nawet w złym miejscu, jest w stanie zrobić różnicę, która wpłynie na cały świat - rzekł enigmatycznie.

Poirytowany Korneliusz przewrócił oczami, lecz rozumiał, że w słowach demona kryła się jego odpowiedź. Milcząc, odwrócił się z zamiarem odejścia, ponieważ dalszą rozmowę uznał za pozbawioną sensu. Jeden z Panów Piekieł odezwał się jeszcze raz.

- Sprawa, z którą przyszedłeś, była inna niż to, o czym była nasza rozmowa.

Kiwnięcie głową było potwierdzeniem.

- Ona pragnie się z tobą spotkać, by wyśmiać twoje działania, tak jak kpiła z chwilowych trudności mojego sługi - czart nie ciągnął tego wątku. Ślepia rozbłysły mu niczym płonące stosy.

Amon powstał z tronu i ruszył przed siebie. Nie był już jednak w swojej komnacie. Szedł otoczony delikatną roślinnością. Zieleń ciągnęła się po podłożu i wchodziła na rzeźbione kolumny, podtrzymujące sklepienie, które płonęło ciepłym, żywym, dającym światło ogniem. Gigantyczne stopy dudniły o kamienne podłoże. Liczne fontanny z figurami demonów zastygłych w zmyślnych formach przedstawiały najdziwsze pozycje, które u śmiertelnych wywołałyby uczucia pożądania, miłości, władzy i ułudy. Całości dopełniało piekielne wino, tryskające z najintymniejszych otworów. Rodzaj trunku różnił się od tego, w jakim gustował markiz. Czuł posmak słodczy, czystego hedonistycznego szaleństwa i niepohamowanej chuci. Nektar powstawał z gron wyrosłych na krwi tych, których pochłonęły cielesne igraszki niewyczerpanej fali śmiertelników.

Na podłodze wśród wielkich, miękkich kwiatów, wygodnych liści, które służyły za sofy i poduszki, leżały dziesiątki sukubów, zajętych sobą. Ich ciała splecione były w uściskach i dzikich krwistych pocałunkach. Demony rozkoszy przesuwaly się, gdy przechodził Najokrutniejszy. Nikt nie miał zamiaru dawać pretekstu do uwolnienia jego gniewu. Jeden z piekielnych władców kierował się do głównej części nieziemskiej sali, a idąc, podziwiał wodospad winnej rozkoszy, skrapiający koniec komnaty. Było tam podwyższenie, które pięło się w górę. Zdawało się zbudowane z morskich kamieni. Na gigantycznej otwartej karmazynowej mały, ulokowanej wśród gładkich skał, leżała najpotężniejsza Demonica Piekła.

Nie miała na sobie przezroczystej zbroi, co czyniło ją zupełnie nagą. Ułożyła ciało na miękkim, gładkim stworzeniu i szeroko rozłożyła nogi. Towarzyszyły jej trzy sukuby o kobiecych ciałach, a wiele innych zabawiało się u podnóża tronu. Demony usługiwały swojej pani. Wszystkie były czystą esencją niewyżytej chuci i okrutnych gwałtów, wszystkie pełne wdzięku i wyjątkowej urody. Męskie byty tego rodzaju stanowiły rzadkość.

Największe różnice pomiędzy demonami a śmiertelnymi widać było w budowie ciała. Miały małe, przypominające kozie poroża i puszyste, królicze ogony. Ich ciała pokrywały lekko widoczne, jedwabiste gładkie łuski, barwiące skórę na wszystkie możliwe kolory. Śnieżnobiałe zęby były ostre niczym brzytwy. Sukuby, dbające o dobry humor Demonicy, były optycznie większe i dorodniejsze od innych. Dwie długimi, węzowymi językami lizały jej wyjątkowe piersi, śliniąc się przy tym obficie. Trzeci czarci byt klęczał u stóp swojej pani i wpijał usta w jej łono. Ona wiała się z rozkoszy i gładziła swoje sługi uważając, by żadna nie pozostawała bez pochwały.

Zbliżając się do celu podróży, Amon przyglądał się całej scenie. Z rzadka ścigał hufce sukubów również do swoich włości. Domyślał się, że ta, którą nazywano w Piekło personifikacją zemsty, oszustwa i zdrady, zaznawała wielkiej rozkoszy. Najkrótsze z jęzorów demonów seksu miały po trzydzieści centymetrów i cała ich powierzchnia była pokryta wypustkami, które generowały napięcie elektryczne o różnej mocy.

- O tak...! Mocniej...! - roznosiło się po sali.

Kobiece istoty nie odstępowały swojej matrony nawet na chwilę. Coraz intensywniej konsumowały jej ciało. Pokarmem były jej jęki i westchnienia,

a za napój służyły pot i soki. Zdawać by się mogło, że orgia całkowicie pochłaniała Piekielną Królową.

- Jeszcze, jeszcze...! - jej krzyk aż ogłuszał.

Najokrutniejszy zatrzymał się kilka kroków od legowiska. Demonica uniosła się lekko i wyprężyła. Ogarnął ją dreszcz spełnienia i zalała gorąca fala wolności. Otworzyła bursztynowe oczy i objęła Markiza Piekła zalotnym spojrzeniem. Uśmiechając się szeroko, uniosła głowę i oblizwała piękne usta. Uwielbiała, gdy ktoś patrzył na nią w takich chwilach. Piekielnie ją to podniecało.

- Chętny? - zapytała, wypowiadając zaproszenie w taki sposób, którego nie można było zlekceważyć. Jednak Jeden z Władców Piekła z niego nie skorzystał.

Zaznaczył swoją obecność każdemu, kto jeszcze jej nie zarejestrował, uderzając końcem halabardy o podłogę. Tępy huk przypominał uderzenie w kościelny dzwon. Leżące dookoła sukuby, z ociąganiem, wycofały się do kątów pomieszczenia. Hierarchia w Piekło była bezwzględnie przestrzegana, a Najokrutniejszy zajmował w niej miejsce u boku najsilniejszych i najważniejszych. Najbardziej odporne były trzy uosobienia rozpusty, które zerknęły na niego, jakby zamierzały zostać. Czułe ręce Demonicy gładziły ciała każdego, ale krwiste pocałunki oznaczały pożegnanie, chwilową rozłąkę. Demony odeszły, mając w myślach kontynuację pieśzcot. Sala pełna była jęków, wrzasków i omdleń, wzbogaconych o dochodzące z cienia kaskady sapnięć i westchnień.

- Witam w moich skromnych progach największego z markizów - zaczęła. Mówiąc to, zerkała beczelnie na krocze demona. - Czemu zawdzięczam tę przyjemność? - zapytała, kładąc dłoń blisko łona.

Jej rozmówca nie odpowiedział od razu. Pomyślał o zmianach, które nastąpiły w Piekło od jej narodzin. Rozpamiętywał zbrodnie i brutalne pokazy siły, których się dopuszczała. Robiły na nim wrażenie. Na koniec wrócił do czarcich synów i cór, których sporo uśmierciła. Ofiarami byli ci, których on mógł nazywać sojusznikami. O ile takie pojęcie istnieje tam, gdzie natura opiera się na kłamstwie, manipulacji i zaspokajaniu własnych potrzeb. *Zupełnie jak u śmiertelników* - niosła się w jego głowie ta kwestia.

- Doszły mnie słuchy, że miałaś ze mnie kpić - mówiąc to, cedził uważnie każde słowo. W walce była godnym przeciwnikiem, a ewentualne starcie

oznaczałoby pojedynek na śmierć i życie.

Demonica szeroko otworzyła płonące oczy i pełne, duże, soczyste usta. Mięśnie jej twarzy zatańczyły pod skórą, tworząc wyraz zdziwienia. Podkurczyła i lekko rozszerzyła nogi. Ręce przywarły do kształtnych, pięknych piersi. Można było zauważyć, że wskazującymi palcami i kciukami lekko muska sutki. Oblicze kobiety pozostawało w udawanym szoku, do którego dołożyła uśmiech łobuza. Zarzuciła głową, poprawiając w ten sposób długie włosy.

- Ja?! - krzyknęła w teatralnym zaskoczeniu. - Gdzież bym śmiała drwić czy robić sobie żarty z kogoś takiego, jak ty - gdy to mówiła, w jej głosie dało się wyczuć niedowierzanie, euforię, dumę, pożądanie, pewność...

Zaciśnięta wokół halabardy dłoń sygnalizowała irytację jednego z czarcich bogów. Było to częścią jego natury.

- Pokazać ci, jak mocno potrafię obejmować tak długie drągi? - zapytała w rozkoszny sposób.

Pokręcił przecząco kruczym łbem. Na niego jej urok nie działał.

- Nie zmieniaj tematu - rzekł krótko i stanowczo. - Nikt nie ma prawa drwić z kogoś takiego jak ja. Obojętnie czy ma poselstwo i zachwyty wielu mrocznych panów - stał dumnie wyprostowany. - Tutaj, gdzie jesteśmy, mój głos od zawsze miał, ma i będzie miał poparcie większości.

Powstała. Widok demonicy mógł odejmować mowę. Jedwabiste dłonie złączyła na karku i przeciągając się, prezentowała swoje wdzięki. Na ten widok wszystkie sukuby w sali obudziły się i zaczęły wzdychać w spazmach. Zupełnie jakby topiły się ich umysły. Pani Piekła powolnym krokiem, kołysząc zachęcająco biodrami, zbliżała się do Amona. Jej oblicze się zmieniło. Na twarzy widać było zadowolenie. Zamknięte usta lekko uśmiechały się w jednym kąciku, minimalnie uniesiony podbródek był oznaką dumy, a oczy lśniące najczystszy bursztynem polem bitwy. Widać w nich było śmiech, który pozbawiał tchu i zimno nienawiści, która w jedną noc potrafiła wyrząść całe miasta.

Piękność zatrzymała się dwa kroki od Najokrutniejszego. Jej twarz znalazła się kilka centymetrów poniżej jego krocza. Kiwnęła głową, jakby zgadzała się w jakiejś sprawie, choć cały czas patrzyła przed siebie.

- Robi wrażenie - powiedziała grobowym głosem, a po chwili zaniosła się histerycznym śmiechem.

- Zamiast igrać z ogniem, powiedz mi lepiej, skąd w tobie tyle odwagi, by rzeć niczym kobyła ze mnie i z tamtego głupca? Na czym polega geniusz twoich działań? - warknął wilczym głosem, choć łeb miał kruczy.

Odchylając głowę do tyłu, niebezpiecznie spojrzała mu w ślepie, a udając oburzenie, rozpostarła ramiona, tupnęła nogą, okazując w ten sposób złość. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę wielkich, zbudowanych z czarnego szkła wrót, które się przed nią otworzyły. Szatański kat patrzył na ruchy wydatnych pośladków. Obejmował wzrokiem rajskie wcięcie w talii i aksamitne plecy, ukryte za wiecznie rozpalonymi na końcówkach włosami. To ciało było stworzone do grzechu.

- A więc nasz nietoperzy przyjaciel wydał ci moje brzydkie słówka? - zapytała i oparła się o prawą część półprzezroczystych płyt, które rozwarły się już całkowicie.

Stojąc do niego bokiem, przybrała wyzywającą pozę. Wyprężyła się, dotykając lędźziami i głową mrocznego tworzywa. Zgięła nogę i oparła się stopą o jedną stronę portalu, a prawą dłoń położyła na wysuniętym udzie. Nabierając tchu, wypinała coraz bardziej piersi.

- Jak i również to, że chciałaś ze mną rozmawiać - rzekł chłodno, kontynuując wątek.

Spojrzała na niego i przygryzła wargę.

- Nadal chcę - jej słowa miały ton wyszukanego zatracenia. - Pokażę ci coś, zapraszam - ruszyła przed siebie, zwinnie wchodząc do zewnętrznego korytarza twierdzy. Podążył za nią. Wejście było tak duże, że nawet nie musiał się schylać.

Idąc obserwował demoniczne cytadele innych piekielnych panów, rzeki lawy, opętane wyżyny i niziny. Jego wzrok chłonał wirujące w powietrzu błyski światła i mroku. W oddali dostrzegał pieczęcie o rozmiarach mieszkalnych dzielnic, które otwierały bramy do innych sektorów wymiaru.

Podróż nie była długa. Oboje znaleźli się na wielkim placu, który tonął w spaczeniu i zepsuciu. Amon wyczuwał starą moc. Bardzo starą. Coś, czego w tak dużym skupieniu nie wychwytywał od tysiącleci. Wypolerowane płyty obsydianu lśniły w blasku ognia. Po bokach areny znajdowały się podwyższenia, które obszyto plugawymi inkantacjami. Stali tak chwilę, przysłuchując się ciszy tego miejsca, pulsującej w jego skroniach.

Zastanawiał się, co będzie. Konsternację budziło w nim to, że nie widział linii czasu opisującej to wydarzenie.

- Pewnie zastanawiasz się, dlaczego ta chwila nie istnieje w czasie? - zapytała niewinnie, rozbijając.

Była jedna możliwość.

- Zniszczyłaś nic czasoprzestrzenną?! - powiedział i poczuł mieszaninę gniewu oraz niepokoju.

Nie bał się jej. Przeraziła go za to jej głupota. Do anihilacji jednego z filarów, w których można się przyglądać przyszłym dziełom stworzenia, wymagana jest niewyobrażalna moc i niesamowita znajomość sztuk mistycznych. *Albo złożenie całych rzesz ludzi w ofierze i ukierunkowanie wyzwolonej siły* - pomyślał. Zrobienie czegoś takiego niesło katastrofalne i druzgoczące konsekwencje. Brutalne wdarcie się w kłębowisko przeznaczenia i usunięcie któregoś z obrazów powodowało destabilizację całej sieci. Im większe uszkodzenia, tym poważniejsze anomalie. Osoby czy byty patrzące później we wszechistnienie mogły obserwować zniekształcone wydarzenia, które potoczą się inaczej. Różnice mogą być niewielkie. Kogoś w pierś trafią trzy strzały zamiast dwóch, albo zabójca wychyli się z drugiego okna, po lewej stronie domu, a nie z pierwszego. Takie nieścisłości nie były dla Najokrutniejszego istotne. Informacją wielkiej wagi były za to poczynania i ruchy Inkwizytora. Aby wymazać z czasu tę akcję, demonica musiała eksterminować kilka innych splotów, pozwalających na wgląd w przyszłość.

Dlatego nie mogłem przewidzieć dokładnie działań więdmy Świętego Oficjum. To jest przyczyna, dla której nie znałem w pełni powodu przybycia Korneliusza - tłumaczył sobie w myślach, a szal w nim narastał. Zacisnął pięść. Ślepie zapłonęły mu mrocznym płomieniem. Wszystkie mięśnie zaczęły się napinać.

- Chciałam zrobić ci niespodziankę - rzekła infantylnie, uśmiechając się bez krzty kpiny i litości. - Teraz zbliża się druga - dodała, nim zdążył coś powiedzieć.

Pstryknęła palcami zakończonymi długimi i zadbanymi paznokciami. Amon wiedział, że był to sygnał. Domyślił się, że właśnie zaczyna się prawdziwa sztuka.

Powietrze nad placem pociemniało i pojawiły się szkarłatne błyskawice, będące wyładowaniami magicznej energii. Raz po raz dudniły o wypolerowane obsydianowe płyty, które potęgowały kaskady światła. Minęła chwila, gdy na podłożu ukształtował się krwisty, pulsujący pentagram, wbudowany w kilkumetrowy okrąg. Pojawiły się w nim szatańskie runy i zdania spisane w mowie pierwszych demonów. Otwierał się portal z bardzo odległych krain.

W skroniach Najokrutniejszego świszczało, gdy wulkan nagromadzonych żywiołów osiągał masę krytyczną. Nagle hałas zniknął w eksplozji oślepiającego inferno. Promień surowej magicznej mocy pojawił się, by nieskończonością zalać centrum placu. Rana w rzeczywistości zniknęła w mgnieniu oka, a burza zaczęła ustawać. W powstałym kłębowisku pyłu i resztek żaru, który niósł się po tym wielkim przyzwaniu, zapanowała cisza. Świecący krwią pentagram pozostawił po sobie świadectwo w postaci wygrawerowanych glifów. Jednakże w tańcu kurzu i wiatru tkwiło coś jeszcze. Jedna postać stała osamotniona na arenie. Amon natychmiast skupił na niej swój wzrok i od razu zrozumiał dwie rzeczy.

Pierwszą było to, że już niedługo całe Piekło pękać będzie od plotek o tym, co właśnie działo się na jego oczach. Drugą, że szaleństwo stojącej obok niego Demonicy nie znało żadnych granic.

- Przedstawiam ci mojego najlepszego przyjaciela - rzekła, machnąwszy ręką w kierunku postaci. Cieszyła się. Wyczuwał to w jej zapachu.

Istota stojąca niczym posąg na środku placu miała około dwóch i pół metra wzrostu. Zakrywała ją szeroka i ciężka zbroja, która nadawała sylwetce masywności. Pancierz wykonano z gładkiego metalu w kolorze ciemnego, wpadającego w czerń kasztanu. Prawdziwy kolor można było zauważyć dopiero wtedy, gdy małe wyładowanie energii zatańczyło na powierzchni zbroi.

Smugi światła odbijały się w nieskazitelnosci każdego panelu i płyty. Wszystkie fragmenty stroju zespolono strużkami czystego kryształu, pełnego szkarłatnego światła. Najokrutniejszy przyglądał się demonicznej ornamentacji wyrzeźbionej na napierśniku wojownika. Podobne akcenty znajdowały się na naramiennikach i nagolennikach. Każdy centymetr skorupy, którą nosił przybysz, miał subtelnie wyrzeźbione runy. Wzrok Jednego z Panów Piekła był wyjątkowy. Dokładnie studiował każdą spaczoną

literę wyrytą na zbroi tego legendarnego, niemal całkowicie zapomnianego Rozgoryczonego Mściciela.

Markiz czytał traktaty największych demonicznych znawców sztuk tajemnych, czartów, które spędziły nieskończoność w wielu wymiarach naraz, czekając na śmierć każdej z gwiazd, by poznać tajemnice życia i sens istnienia. Jego umysł wertował teksty, obalające podstawowe tezy egzystencji i rzeczywistości. Zwyczajny śmiertelnik, po spojrzeniu na pierwszą linijkę mądrości, stałby się śliniącym, powykręcany i ślepym robakiem. Zmiażdżyłby go geniusz i szaleństwo szatańskich sawantów. Najokrutniejszy zauważył puszysty, gruby futrzany kołnierz, który spoczywał na karku mitycznej istoty. Białe furto o przyciemnianych szarych końcówkach mogło należeć do wymarłych wielkich śnieżnych tygrysów z lodowego wymiaru Pruin. Poznał to po ich charakterystycznej, nakrapianej sierści.

Demoniczny Lord użył mocy, by obejrzeć Mściciela ze wszystkich stron. Skóra zwierzęcia przykrywała górę jego pleców, dół uzupełniała gruba, szkarłatna peleryna. Do niej przymocowano amulety ochronne i plugawe talizmany, wykonane z metali o magicznych właściwościach. Zmarła nadzieja na odbudowę ludzkości kryła swoje oblicze pod hełmem. Na okuciu zasłaniającym twarz wycięto otwór w kształcie litery T. Nie można było dostrzec oczu. Z metalu wychodziły po dwa rogi w każdą stronę. Idealnie symetryczne, całe odlane z brązu. Jediną bronią kolosa, zakutego w tę wyjątkową zbroję, był wielki kostur. Odlany z roztopionego pazura samego Szatana był potwierdzeniem statusu oraz siły właściciela. Na jego szczycie umieszczono krwiste kryształy, skupiające energię, które wiły się niczym opętane. Oczywiste było, że właściciel kostura władał magią. Potężną mocą najbardziej zakazanych annałów demonicznych bibliotek.

Istota ledwo zauważalnie się poruszyła, przekręcając czerep. Wydawać się mogło, że patrzy wprost na Demonicę, która zaczęła do niej machać. W podzięce za przybycie, Piękna Ladacznica posłała do niego kilka dusz, by mógł posilić się po podróży. Tytan zakuty w ciemną stal wchłonął esencje człowiecze. Zaraz po tym uderzył nasadą kostura o płyty placu i w mgnieniu oka znalazł się obok, niemal naprzeciwko Amona.

Nie oddał ukłonów, czego Naczelny Kat Piekła się spodziewał. Rozgoryczeni Mściciele wykonywali polecenia tych, którzy spełnili ich

wymagania, lecz nie służyli im. Dlatego najlepiej pasował do nich opis podróżujących po zapomnianych wymiarach demonicznych najemników.

- Amonie, oto Zahariash - zaczęła Pani Piekła, z dumą wskazując na opancerzonego kolosa. Bez strachu i ze szczerym uśmiechem na twarzy zbliżyła się do niego. Zachowywała się tak, jakby miała spotkanie z kochankiem. - Zahariashu, oto Amon - chwyciła za opancerzoną dłoń, lekko ją pociągając.

Były nadczyłowiek ukląkł na jedno kolano. Demonica postawiła małą stópkę na nagolenniku i zwinnie wskoczyła na masywne barki. Futrzany kołnierz był doskonałym i delikatnym siedziskiem. Był powstał i choć kobieta była teraz dość wysoko, to Arcydemon wciąż znacznie nad nią górował.

- To jest twój plan? - zapytał, pogrążony w głębokiej konsternacji. Wiedział, że bez sprawnych linii czasowych przyszłość będzie dla niego zupełnie nieczytelna.

Zaczęła się śmiać, prezentując białe niczym perły zęby. Chwyciła Zahariasha za poroże hełmu i odchyliła się do tyłu, jakby dosiadała rumaka. Nawet nie drgnął.

- Nie, skarbie - odpowiedziała z czułością. Jej oczy zabłysły, a usta wykrzywiły się w oznace zadowolenia. Przeczesła włosy, przejechała dłonią po krągłym biuście i położyła ją na głowie swego sojusznika. Robiła to z wyraźnym uczuciem, muskając palcami metalową powierzchnię zbroi. - Pokażmy mu, co wymyśliśmy - rzuciła do milczącego kolosa, gładząc krawędź otworu okucia jego głowy. Jej ramię rozbłysło szkarłatną mocą.

Potrójnie potępiony czarnoksiężnik uniósł kostur. Szlachetne kamienie wirowały z coraz większą prędkością, zlewając się w ruch. Nagle Zahariash chwycił go oburącz i uderzył w podłoże. Najokrutniejszy poczuł wiercący ból w skroniach. Szarlatan otwierał portal. Niezwykle zaawansowaną bramę.

Kilkaset metrów od nich, na placu, rzeczywistość została rozerwana na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby. Gęsty rój błyskawic uderzył o obsydianowy kamień. To, co przyniosły piekielne huragany, wprawilo Amona w osłupienie. Na arenie stał potężny oddział Rozgoryczonych Mścicieli.



Stu – naliczył w sekundę. Wszyscy, którzy zostali. Każdy w pełnym orężu. Pawęże, miecze, młoty, halabardy, topory zbudowane ze skryształizowanych esencji zgładzonych i uwięzionych Aniołów, czarcie zbroje, kipiące od

plugawych ogni najlepszych pieców Piekła – tak potężny sojusz był snem każdego z Mrocznych Panów.

– Kiedy już ty, Korneliusz i każdy inny polegniecie, Inkwizytor będzie mój i tylko mój – powiedziała, pławiąc się w chwale i mocy, oblizując przy tym swe pełne wargi. W jej spojrzeniu konać mogły gwiazdy i rodzić się ognie supernowej.

Amon przechylił minimalnie głowę i dalej obserwował jej plan. Mając taką moc, posłuch niemal każdej złowieszczej łoży, całe hufce demonów i Mścicieli wiedział, że jedno pozostawało poza jej kontrolą. Jej nienasycalny głód.

Spojrzał na nią. Była całkowicie pochłonięta tarmoszeniem hełmu kolosa.

– Co takiego ujrzałaś w przyszłości, zanim zniszczyłaś do niej dostęp? – zapytał, choć nie spodziewał się wartościowej odpowiedzi.

Bursztynowe oczy wpatrzyły się w jego puste, czarne ślepie. Jej twarz przez moment była poważna, co było niezwykle rzadkie.

– Cierpienie... – zaczęła, wyraźnie się wahając. – Zagładę śmiertelnych i demonów. Masową, ostateczną eksterminację bez szansy na drugie życie. Zobaczyłam upadek wielkich i powstanie maluczkich. Stałam z nim twarzą w twarz, Amonie, upajałam się jego niemocą i zatracaniem – przejechała rękoma po pięknym ciele. – A ty? Odpowiedz mi na jedno pytanie?

– Pytaj, czekam.

– Teraz, gdy popsułam twoją ulubioną zabawkę, nadal chcesz stanąć z nim do walki, czy ustąpisz pierwszeństwa takiej damie jak ja? – zdanie wypowiedziała tonem droczącej się kobiety.

Parsknął gniewnie.

– *Alea iacta est* – rzekł, posługując się mową bogów, co znaczyło *kości zostały rzucone*. W ten sposób podjął nieodwracalną decyzję.

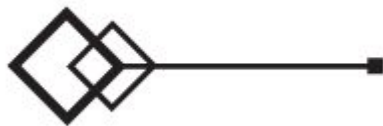
Odwrócił się, nie zwracając uwagi na to, że macha mu na pożegnanie. Zrobił krok i znalazł się w swojej komnacie. Zasiadł na tronie i natychmiast otworzył liczne projekcje. Miał przed sobą całe Spero, fale krążącej demonicznej mocy, która sączyła się głęboko w jego korzeniach, miał podgląd na potępieńcze armie, śmiertelne i eteryczne. Musiał gruntownie przemyśleć swoje działania. Linie czasu mu nie pomogą. Jest ślepy. Nawet gdyby miał je dostępne, zawsze mogło stać się to, co zaszło w przypadku Rya'ktrara. Jedna z bilionów alternatyw, do której nie dotarł, a anomalie to

jeszcze pogłębiły. Minimalizowało to jednak ryzyko podejmowanych akcji, które teraz było wielkie.

Najpierw Inkwizytor, potem ona – powiedział do siebie w myślach.

Oparł halabardę o bok siedziska. Potężnymi dłońmi zaczął manipulować fluktuacjami spaczonych sił w mieście. Tryby pracowały. Machina była w ciągłym ruchu.

ROZDZIAŁ XXII



CZŁOWIEK Z WIEKIEM SIĘ ZMIENIA. TO STWIERDZENIE JEST TAK OCZYWISTE, ŻE AŻ ZBĘDNE. CIAŁO WYDŁUŻA SIĘ W KAŻDYM MOŻLIWYM KIERUNKU, ORGANIZM WYKSZTAŁCA CECHY, KTÓRE POZWALAJĄ OKREŚLIĆ JEDNĄ Z DWÓCH PŁCI DZIELĄCYCH NASZ GATUNEK. CIELESNA POWŁOKA STAJE SIĘ SILNIEJSZA I ODPORNIEJSZA. MOŻEMY DŹWIGAĆ WIĘCEJ I BIEGAĆ SZYBCIEJ, LEPSZE SĄ NASZA ZRĘCZNOŚĆ I REFLEKS, A PRZY TYM POTRAFIMY MYŚLEĆ O SKOMPLIKOWANYCH RZECZACH. CZAS PŁYNIJE NIEUBŁAGANIE I W KOŃCU SKORUPA CZŁOWIECZA SŁABNIE, OBUMIERA I NASTAJE KRES ŻYCIA NA ZIEMSKIM PADOLE.

TRZEBA JEDNAK WSPOMNIEĆ O TYM, CO SIĘ DZIEJE W NAS POD KĄTEM METAFIZYCZNYM. GDY PRZYBYWA LAT, SERCA NASZE KURCZĄ SIĘ, A OCZY ZAMYKAJĄ. TYM SZYBCIEJ, IM BLIŻEJ DO ŚMIERCI. KAŻDY PAMIĘTA SIEBIE ZA MŁODU. BYSTRY, CIEKAWSKI WZROK, SZEROKO OTWARTY NA WSZYSTKO, A SERCE PEŁNE NADZIEI. DLACZEGO DOROŚLI TACY NIE SĄ?

ŻYCIE TO CIĘŻKA BATALIA, A OKOLICZNOŚCI I WYDARZENIA, Z KTÓRYMI TRZEBA SOBIE W NIM RADZIĆ, W POŁĄCZENIU Z LUDŹMI ZGORZKNIAŁYMI I ZAZDROSNYMI, ŁAMIĄ SERCA, OŚLEPIAJĄ MŁODYCH, KTÓRZY IM STARSI, TYM TRUDNIEJ ZNAJDUJĄ DROGĘ PROWADZĄCĄ DO MARZEŃ I SNÓW. ZAMIAST CHRONIĆ KWIAT LUDZKOŚCI OD GRÓŻB TEGO ŚWIATA, DOROŚLI SPECJALNIE WYSTAWIAJĄ ICH NA JEGO WPŁYWY. TWIERDZĄ, ŻE PO ZIEMI TRZEBA STĄPAĆ TWARDO, A NIE BUJAĆ W OBŁOKACH. DLATEGO DZIECI SPOTYKA KRZYK, NAGANA, REPRYMENDA, ZŁOŚĆ I NIESPRAWIEDLIWOŚĆ. RODZICE KAŻĄ IM ZACHOWYWAĆ SIĘ TAK, JAK ZACHOWUJĄ SIĘ LUDZIE DOJRZALI, A NIE SMARKACZE. GDY BRONIĄ SWOICH RACJI, DOSTAJĄ PO ŁAPACH I SŁYSZĄ, ŻE SĄ ZA MŁODE, BY PYSKOWAĆ.

A ZATEM DROGI OJCZE I DROGA MATKO, JAK TO W KOŃCU JEST? WASZ POTOMEK MA BYĆ DOROSŁY CZY NIE? A MOŻE TO DZIAŁA TYLKO W PEWNYCH PRZYPADKACH? ŁATWO JEST ROZSTAWIAĆ PO KĄTACH I POMIATAĆ KIMŚ, KTO NIE MOŻE JESZCZE ŻYĆ SAMODZIELNIE. ZROBIĆ DZIECKO TO ŻADNA SZTUKA. WIĘKSZOŚĆ WASZYCH POCIECH JEST Z PRZYPADKU I CHWILI ZWIERZĘCEJ CHUCI, A TEN, KTO TEMU ZAPRZECZY, POWINIEN BYĆ NAZWANY GŁUPCEM.

WYCHOWAĆ NOWEGO CZŁONKA RODZINY TO ZADANIE, KTÓRE WIELU PRZERASTA. DLACZEGO? CZŁOWIEK TO ISTOTA MYŚLĄCA CHWILĄ I PATRZĄCA NA WŁASNĄ KORZYŚĆ. NAJMNIEJSZYM KOSZTEM CHCE MIEĆ NAJWIĘKSZĄ PRZYJEMNOŚĆ. DLATEGO DZIECKO JEST DLA NIEGO DODATKIEM DO ŻYCIA, A NIE ŻYCIEM. SWOJE PROBLEMY, SŁABOŚCI I BÓLE WLEWA W DUSZĘ POCIECHY, A W

ZAMIAN OCZEKUJE POMOCY. TYTUŁUJE POTOMKA KRNABRNYM SZCZENIAKIEM, GDY TEN ODMÓWI. A PRZECIEŻ DZIECKO MA PRAWO DO SWOJEGO ZDANIA.

KAŻDY DOROSŁY, KTÓRY W PRZESZŁOŚCI NIE REAGOWAŁ NA BŁAGANIA O ZAPRZESTANIE SZARPANIA, BICIA, KRZYKÓW I ZNEĆCANIA SIĘ NAD SWYM MALCEM, W PRZYSZŁOŚCI SAM POSMAKUJE WŁASNEJ SZKOŁY. PRZYPOMNI MU SIĘ TO, GDY NA PROPOZYCJĘ WSPÓLNIE SPĘDZONEGO CZASU, WYTLUMACZENIA CZEGOŚ, WSPARCIA I PRYZNANIA RACJI, USŁYSZY **NIE**. JEDNAK ZAŚLEPIONY PRZEZ GNIEW, CHAMSTWO I WŁASNĄ MARNOŚĆ, NAJPEWNIJ NIE ZROZUMIE LEKCJI, KTÓRĄ PRZESZEDŁ.

DLATEGO WSZYSCY MŁODZI BĄDŹCIE GŁUSI NA TE NIHILISTYCZNE BREDNIE, WYLEWAJĄCE SIĘ Z UST TYCH, CO CHCĄ ŻYĆ DUMNIE, A PRZECIEŻ SĄ ROBACTWEM. WYCIĄGAJCIE SWOJE RĘCE KU NIEBIOSOM I NIE BÓJCIE SIĘ MARZYĆ. SIĘGAJCIE PO TO, CZEGO PRAGNĘLIŚCIE JAKO DZIECI!

LIST DO „PRZYSZŁYCH CUDÓW” GENEWII SYRIELI, SPALONEJ NA STOSIE ZA PODŻEGANIE SZLACHECKIEJ MŁODZIEŻY DO BUNTU.

KOBIETA DO KOŃCA UPIERAŁA SIĘ PRZY SWOICH POGLĄDACH I NAUKACH.

Dziewczęcy głos był pełen konsternacji.

- Chyba znów jesteśmy w ruinach jakiegoś miasta sprzed Dnia Kary.

- Masz rację - przytaknął Inkwizytor, skupiając się na przeciskaniu przez wąskie, klaustrofobiczne korytarze.

Sceneria była zupełnie inna od tej, z jaką mieli do czynienia podczas marszu przez Zaginione Miasto i wyrwanego ze swego wymiaru siedliska pradawnych demonów. Zwykła, mocno zniszczona, mętnożółta skała, mieszała się tu ze skorodowanym złomem. Chcąc zmieścić się w powstałych wnękach, musiała iść bokiem. Wszystko co widziała, wydawało się stare. Nie umiała tego nazwać, lecz dla niej cała otaczająca przestrzeń była więcej niż pradawna. Dopiero tutaj mogła dostrzec w pełni to, jak bardzo ząb czasu może wgryźć się w rzeczywistość. Im głębiej schodzili, tym bardziej zapomniane relikty i sekrety zamierzchłych czasów stawały się namacalne i konkretne. Nieraz widziała niemal nieczytelne napisy na ścianach pieczar, które były jakby w nie wprasowane.

Zerknęła przed siebie i zauważyła kanciasty przedmiot z odrobiną czerwonej farby. Znajdował się na nim biały, niemal niewidoczny, słowny symbol **stop**. To, że całkowicie wytartą literą jest O, odgadła sama.

- Mistrzu, czy to ostrzeżenie przed czymś?

Zerknął na źródło jej ciekawości.

- Być może kiedyś znak ten służył w ten sposób ludzkości - pochylił się, przechodząc pod wysuniętą rurą. - Sądzę jednak, że już od dawna jest na emeryturze.

- Mistrzu, gdzie teraz idziemy? - czuła, że stres zakorzeniał się w jej sercu. Takie męczenie mentora pozwalało jej skupiać myśli na czymś innym.

- Gąbczmy się już tak trzecią godzinę.

- Co robimy? - łypnął zadziwiony. - Co to za neologizm, młoda damo?

Słyszając to, uśmiechnęła się promieniście. Wiedziała, że łyknie przynętę.

- W sensie że ściskamy się jak gąbki w rękach, a nie widać końca tych szpar.

- Mnie to nie przeszkadza - rzucił. - Poza tym skan, który zrobiłem kwadrans temu pokazuje, że przed nami znajduje się jakaś większa przestrzeń - za plecami usłyszał lekkie sapnięcie.

- Mówił to Mistrz kwadrans temu.

Pokiwał głową.

- Bo właśnie wtedy robiłem skan.

Dziewczęce sapnięcie przybrało na sile. Jej reakcja sprawiła, że lekko drgnął mu kącik ust. Zachowywał jednak całkowitą czujność i wyteżał swoje nadludzkie zmysły. Byli w najgłębszych zbadanych poziomach Podmiasta. Tak zwane Odmęty Straceńców były owiane szczególnie złą sławą. Właśnie tutaj, pod ziemią, znajdowały się najslabiej poznane tereny tego świata. Ślepe zaułki, osuwiska, nieokreślone kolonie autochtonów, których póki co udawało się unikać, były początkiem długiej listy problemów. Każdy z nich potrafił przynieść ekspedycjom tragiczne zakończenie. Średnio na dziesięć wysłanych drużyn wracały dwie.

Na przestrzeni tysiącleci badanie tych kazamatów cieszyło się olbrzymim zainteresowaniem i właściwie nie topniało. Stawką była zamierzchła technologia, jeszcze sprzed Wielkiej Katastrofy, i zachowane w szczątkowych ilościach materiały pokazujące przeszłość. Była to absolutna gratka dla Inżynierów, którzy płacili każdą kwotę za choćby najprostszy starożytny nośnik danych. Witeldon w swoich zbiorach w Sacrum miał całe rzędy znalezisk z dawnych epok. Wiele razy oglądał urywane, rozmazane nagrania, starsze nawet niż on sam. Kilka razy starsze... Nigdy nie mógł się nadziwić temu, jak ludzie żyli na dawnej Ziemi. Nie było tam dnia bez słońca. Nieskażona woda, wielkie lasy, miasta bez

murów, dżungle, pustynie, rozległe stepy, zwierzęta i rośliny, których nigdy by nie wymyślił... Było wszystko.

Wiele godzin spędził na przypatrywaniu się rzeszom ludzi w dobrej jakości ubraniach. Całe ludzkie mrowiska w schludnej odzieży a nie łańchmanach, które nosili mieszkańcy w dolnych dzielnicach. *Nasz dom kiedyś był inny* – pomyślał. Nie mógł stwierdzić, czy był lepszy, czy gorszy. Na pewno zamożnością, spokojem i równością wszystkich ludzi przewyższał warunki dzisiejszej egzystencji. Jednak teraźniejszość, w której żył, jego zdaniem również miała wiele cudów.

- Masz ulgę w swoich mękach – oznajmił wzdychając.

- Co tam jest, Mistrzu? – zapytała natychmiast. Nie mogła dojrzeć, o czym mówił. Szła za nim, a jego pancerz zasłaniał widok.

Przycisnął się mocniej do ściany, by mogła spojrzeć w głąb korytarza.

- Oooo, wreszcie jest trochę miejsca – pisnęła głośniejsz niż uważał za stosowne. W jego mniemaniu nie była to jakaś zbawienna informacja.

Nie minęło wiele czasu, kiedy wyszli na nowy teren. Ciasne przejście dla istot o talii osy zmieniało się w rosnący, jakby na planie trójkąta, korytarz, który powoli przepoczwarzał się w pieczarę. Ostro ciosana, matowa skała pełna była wnęk, pęknięć, śmieci i najróżniejszego żelastwa. Wysokość sufitu zmieniała się co chwilę. Czasem rękami mogli dotykać twardego kamienia, a po chwili sklepienie sięgało kilku pięter. Przestrzeń, którą widzieli przed sobą, wcale nie była uboga. Im dalej sięgali wzrokiem, tym jaskinia pokazywała coraz liczniejsze świadectwa dawnego budownictwa – ruiny obszarpane z chwały, piękna i blasku, pojedyncze cienkie ścianki, betonowe i kamienne osunięcia.

Niemal każdy centymetr kwadratowy powierzchni, po której szli, zatopiony był w masie przeżółkłych papierzyk i drobnych przedmiotów zniszczonych przez czas. Gdziekolwiek w ruinach zachowały się fragmenty mebli i innych przedmiotów. Skorodowane pręty pięły się w górę, prezentując pajęczyny utkane przez kosmatych budowniczych i kłębowiska ściętych kabli. Lydia zatrzymała się, gdy pod jej stopą coś głośno chrupnęło. Podniosła zgnieciony metalowy przedmiot, a raczej coś, co nim było kiedyś, i przyjrzała mu się. Szybko dogoniła Człowieka z Wyobraźnią, by pokazać swoje odkrycie.

- Mistrzu, co to jest?

Z umiarkowanym zainteresowaniem zerknął na jej skarb. Bystre, ciemnoniebieskie oczy dziewczyny z ciekawością wpatrywały się w tajemniczy obiekt. Wykonany z lekkiego metalu, w kolorze mdłego błękitu, wciąż był w dobrym stanie. Ścięty i wyrównany na górze i na dole, kształtem przypominał niewielki walec. *Coś się tam chyba wlewało* – pomyślała, widząc niewielki otwór. Studiowała ten artefakt z wielkim skupieniem. Dostrzegła inne kolory – echa białej okrągłej obwódki i odrobinę czerwieni. Był jeszcze napis...

- P..., mhm – mruknęła, próbując rozszyfrować inskrypcję mocno nadgryzioną przez czas. – ...si? Mistrzu, to chyba był jakiś pojemnik na cieczę – oznajmiła dumnie kilkanaście sekund później.

Jego doświadczone oko szybko zlustrowało wytwór dawnej cywilizacji. Wszystko działało się podczas marszu. Musieli ukończyć misję i odnaleźć Bramę. Czuł, że nie została zabrana i wciąż tam jest.

- Trzymasz w ręku dobrej jakości aluminium – oznajmił. – Musiała być w nim przechowywana jakaś chemia.

Lydia przełknęła ślinę i szybko odrzuciła przedmiot.

- Spokojnie, moja młoda poszukiwaczko przygód, to na pewno nie było nic groźnego czy szkodliwego. Ostrzegłbym cię, gdyby było inaczej.

- Może to była puszka na zwykły napój? – wysnuła hipotezę, a ton jej głosu wskazywał, że emocje odeszły i znowu kontroluje sytuację.

Przekrzywił głowę i drapiąc się po brodzie, zastanawiał się nad jej teorią.

- Trunek w metalu o znaczeniu militarnym... Jeśli twoje słowa są prawdziwe, to mieszkańcy starej Ziemi byli naprawdę zamożni i zależało im na estetyce – poprawił wąs pancerną rękawicą. – Choć jest jeszcze druga opcja.

- Mianowicie?

- Że nie szanowali surowców, bo mieli wszystkiego po uszy.

Droga zaczęła lekko skręcać w prawo. Dziewczyna zauważyła, że teren obniżał się, a prehistorycznych resztek zabudowań było coraz więcej. Miejsce emanowało aurą grozy i było zupełnie inne od dwóch poprzednich. Spopielone ruiny Paryża można było określić mianem zapierającej dech w piersiach popielonej pustyni z zabytkami, które wciąż były symbolem sztuki i ludzkiej potrzeby wyrażenia piękna. Z kolei demoniczne miasto,

pełne zapisków i ostrzeżeń, stanowiło ponury memoriał, przypominający o tym, że Boska kara rani nie tylko winnych. Tutaj było inaczej.

Pieczary, w których zaznaczyli swoją obecność, nie miały nic z poprzednich dwóch miejsc. Każdą piędź ziemi pokrywały śmieci, złom i trudna do zidentyfikowania materia. Nory, które powstały na skutek osunięć skał na dawne budynki, obskurnością przebijały slumsy w Mieście Miliarda Dusz. Jedynie odoru takiego jak tam nie było czuć. Nie było też stosów gnijących ciał, hektolitrów fekaliów, w których tarzały się niezliczone zastępy ludzi, daremnie próbujących znaleźć coś do jedzenia. Otaczający ich zapach mogła porównać do stęchlizny zmieszanej z wilgocią, do której dokładał się gigantyczny kurz, wiszący w nieruchomym powietrzu. To miejsce miało w sobie głębokie widmo czegoś innego niż śmierć bądź zapomnienie.

Dziewczyna była pewna, że słyszy bicie serca. Kilka razy sprawdzała i wczuwała się we własny organizm. To nie mogło być to. Nie czekała na reakcję Mistrza. Jego ciało wyprzedzało wszystko, co osiągnąć mógł zwykły śmiertelny. Poza tym on nie zdradziłby się takim dźwiękiem. Doskonale panował nad każdą komórką swej człowieczej skorupy. *Ostrzegłby mnie, gdyby miało to być coś groźnego* – stwierdziła. Uznała, że miejsce takie jak to musi być pełne sekretów, które chcą albo nie chcą zostać odkryte. Miarowym, spokojnym krokiem zbliżali się do dużej wnęki, która powstała na skutek działania jednej z najstarszych sił rządzących wszechświatem. Grawitacji.

Kamienne bloki, znajdujące się od tysięcy lat pomiędzy młotem czasu a kowadłem własnego ciężaru, poddały się w końcu i runęły, zasypując większą część przejścia. Naturalnie powstały skalny mur zasłaniał dwójce wędrowców cały widok. Jednak dobry Stwórca sprawił, że w tej litej ścianie był pokaźny otwór, przez który człowiek mógł przedostać się bez żadnych trudności. Jedynym, co smuciło ludzkie serca, była metalowa pozebrowana płyta, która od impetu upadku werżnęła się w surowe podłoże. Jej powierzchnię pokrywała piękna mozaika rdzy i innych nalotów, powstałych na skutek działania chemii, powietrza, wody i czasu. Ktoś z artystyczną duszą mógłby pokusić się o porównanie tego do odważnej i dynamicznej ekspresji uczuć i uniesienia egzystencjalnego. Uwaga Lydii powędrowała jednak ku bardziej praktycznym rozważaniom.

- Wygląda na ciężkie - powiedziała to z taką oczywistością w głosie, że minęła dobra chwila, nim Witeldon zareagował. Był święcie przekonany, że chce coś dodać. Łypnął na nią swymi niemal czarnymi oczami, przekrzywiając głowę.

- Co ty nie powiesz? - wypalił, unosząc lekko głos w niewymuszonym oburzeniu. Jego uwadze nie uszło to, że dziewczyna pochyliła głowę. Za opadającymi włosami łatwiej mogła ukryć uśmiech. Tymczasem Człowiek z Wyobraźnią się rozkręcał.

- Co cię skłoniło do tak ambitnego stwierdzenia, moja droga? - zagrział. - Tą informacją bez wątpienia uratowałaś nam życie - kontynuował, dławiąc się sarkazmem.

Dziewczyna zamknęła powieki i szczerzyła białe zęby. Wiedziała, że Inkwizytor z nudów rozpoczął gierkę. Nim odpowiedziała, odetchnęła głęboko.

- Mistrzu, miałam na myśli coś w rodzaju: Jak my to teraz przesuniemy? - oznajmiła i wytarła łzę, powstała od śmiechu wstrzymywanego długo i dzielnie.

- Ach tak? - parsknął, kiwając z uznaniem głową. Wydał wargi, zmarszczył czoło i wykonał gest ręką. - W takim razie nie dostrzegłem geniuszu ukrytego w twych słowach - każdy wypowiedziany wyraz był definicją ironii.

Lydia zakaszlała teatralnie.

- Tak musiało być w istocie - powiedziała dumnie, choć cichutko.

- Co? - wybrzmiało krótkie, głuche pytanie.

- Co, co?

Mężczyzna spojrział za siebie, przyjmując aktorską minę.

- Chyba jakiś duch płata nam figle.

Uczennica również się rozejrzała.

- Wszystko jest możliwe, Mistrzu - rzekła tonem pełnym absolutnej powagi.

Inkwizytor wyciągnął dłoń i położył pancerną rękawicę na jej ramieniu.

- Wróćmy do spraw bieżących - jego oczy znów lustrowały teren przed nimi. - To nie jest aż tak ciężkie.

Podszedł do metalowej płyty, nieco od niego wyższej, lecz wielokrotnie szerszej, i zajął pozycję po prawej stronie przeszkody. Przez moment oglądał

ją z boku, a następnie wsunął obie dłonie w ciasną wnękę powstałą między żelazem i kamieniami. Jego ramiona pracowały i widać było jak zwiększa siłę i szarpie przeszkodę. Sprawdzał w ten sposób, czy może ją skutecznie usunąć. Za trzecim razem zauważył, że całość się chybocze. Wkładając całą moc mięśni i serwomotorów zbroi, stojąc w lekkim przysiadzie, przechylił lekko płytę. Zaparł się i nabrał powietrza, a po chwili powstał. Trzymał ją pewnie, wspierając łokcie o boki pancerza i używając nóg. Nie ulegało wątpliwości, że jego działania przynoszą efekt.

Przeszkoda podniosła się o centymetr, pięć, piętnaście, pół metra, a ostatecznie, na skutek przyciągania ziemskiego i własnego ciężaru, przechyliła się i z wielkim hukiem runęła, wzniesając tumany kurzu, pyłu i drobnych śmieci. Lydia drgnęła, ponieważ w miejscu tak spokojnym i cichym jak to nawet najmniejszy szelest był anomalią. Zakłóceniem w harmonii i wiecznej aurze dumania, która przez eony panowała na każdym metrze kwadratowym legendarnego Podmiasta.

Uczennica wskoczyła na powaloną ścianę i zrównała się z mentorem.

- Mistrz dwa, starożytne drzwi i przeszkody zero.

Jego parsknięcie stanowiło formę podziękowania.

- Nie ma czego świętować. Idziemy.

Zanurzyli się we wnękę, która okazała się przejrzystym tunelem o długości mniej więcej dwudziestu metrów. To pokazywało, jak grube, a poprzez to ciężkie były bloki skalne, które oderwały się od elewacji i sufitu. Korytarz z ostro ciosanymi i naturalnie spękanyścianami zmierzał lekko do góry. Pokonali go bez żadnych problemów, lecz gdy znaleźli się po drugiej stronie, stanęli jak wryci. Lydia zastygła z szeroko otwartymi oczami i ustami, a Witeldon skupił wzrok na tym, co zobaczył i zmarszczył lekko brwi.

Oprócz nowej części zimnych, zaśmieconych i kruchych szczątkowych ruin, idealnie przed nimi, kilkaset kroków w głąb pieczary, znajdował się większy budynek. W znacznie lepszym stanie, choć też był to ledwie szkielet z paroma panelami sztucznego materiału, zachowanymi na dachu i murach. Widać było, że w czasie świetności konstrukcja miała więcej wdzięku. Sterty papierzysk pozwalały dostrzec betonowy podjazd, choć bardziej można się było skłaniać do stwierdzenia, że eony temu była to dróżka okrążająca budowlę i ułatwiająca transport ludzi i towarów.

Ewentualnie była to strażnica na rozwidleniu jakichś szos – pomyślał Inkwizytor.

Idealnie ścięte i wielkie ościeżnice były źródłem cennych informacji. Przed Dniem Kary wiele gigantycznych okien wstawiono w jego trzewia. Niemal całe poszycie wykonano ze szkła. *Zaiste, wtedy pogoda musiała być łagodniejsza...* – zadumał się nad wizją posiadania tak dużej ilości płyt tego nieorganicznego materiału amorficznego. Nawet dobrze izolowany, osłabiał on budowlę pod względem odporności i trwałości.

- Mistrzu, co oznacza ten symbol? – uczennica wskazywała na coś, co przypominało monument bądź znak dawno już wymarłego kultu.

Człowiek z Wyobraźnią powiększył go dzięki wzrokowi, wzmocnionemu magią i technologią. Skanował go, lecz wciąż nie miał pełnego pojęcia, co takiego napotkali. Obok tajemniczego kompleksu, na murowanym podwyższeniu stał słup szeroki na ponad metr i wysoki na siedem, przebarwiony od zanieczyszczeń na pomarańczowozielony kolor. *Dawniej mógł być biały bądź stalowy* – mężczyzna gdybał w myślach. Na jego szczycie umieszczono okrągłą platformę, która służyła za podstawę dla wielkiej, jasnożółtej litery M.

- W wielu kulturach symbol ten miał znaczenie dla ludzkich dłoni – rzekł, wygrzebując z pamięci fakty przydatne do rozważań na temat obiektu. Zdziwiona Lydia zerknęła na niego.

- Dłonie? A co one mają do tego? – w pierwszym odruchu uczennica zaczęła się przyglądać własnym, choć miała je zakryte rękawicami z utwardzonych syntetyków i lekkich metali.

- Chodzi o linie papilarne, które na nich masz – wyjaśnił. – Pręgi bądź zagłębienia w skórze. Uważano, że jeśli w środkowej części narządu chwytu układają się w symbol przypominający M, to oznacza ludzi wielkiego szczęścia i sukcesu. Przepowiadało to wielkiego przywódcę bądź proroka. Natomiast osobowość takiego człowieka charakteryzowała mnogość talentów, tak zwany szósty zmysł i wielka siła mentalna – zakaszłał. – Dodam, że jest to rzadko spotykane zjawisko.

- Mistrz ma takie coś na swoich dłoniach? – zainteresowała się tak bardzo, że niemal złapała go za rękę. Słyszając to, chciał wzniesć oczy do nieba, gdyby takowe było dostępne, lecz jedynie wbił wzrok w sufit podziemi.

- Mam na obu - rzucił krótko. - Pora ruszać.

Jego stopy lekko zapadały się w śmietniku i pyłe. Uczennica natychmiast podążyła za nim. Jej kilka pierwszych kroków było ciężkich i pełnych dumy.

- Ha! To teraz wiem, dlaczego z Mistrza jest prawdziwy mistrz - pisnęła, ciesząc się jak dziecko i nie bacząc na prostackie powtórzenia. Dla kurażu zaklaskała trzy razy. - Wypisane na dłoniach...

- Mówi się wypisane na twarzy, moja droga - sprostował. - Ciekawa teoria, powiem szczerze - policzek mu zadrgał, a część wąsa minimalnie uniosła. - Nikt nigdy nie badał, czy pogańskie wierzenie ma cokolwiek wspólnego z rzeczywistością.

- Czyli jest szansa na bycie pionierem w tej dziedzinie - skwitowała, gdy stali w pół drogi do tajemniczej budowli. Wiedziała, że Inkwizytor jej nie ominie.

Lekko przechylił głowę i zamyślił się nad tym, co powiedziała.

- Moja droga, studiowanie heretyckich osiągnięć to chleb powszedni dla takich jak my.

Jej szeroki uśmiech był tego potwierdzeniem.

Po kilku minutach ciągłego marszu stanęli przed frontem konstrukcji. Przy wejściu kłębiło się poszarpane żelastwo. Zupełnie jakby imponującą kiedyś futrynę podwójnych drzwi wysadzono solidnym ładunkiem wybuchowym. Jedyne w kilku miejscach podłoga odsłoniła swoje prawdziwe oblicze - spękane ciemne płytki, niegdyś z pewnością całe i lśniące czystością. Czerń ich powierzchni, choć zakurzona i starta, nadal dawała się zauważyć. Sufit, rozpruty i zawalony w znacznej części, zachował fragmenty metalowej ramy, otaczającej główne pomieszczenie. Z niej wychodziły kable, które łączyły się z białymi, choć teraz bardzo brudnymi skrzyniami, które mogłyby pomieścić dorosłego człowieka.

Węglowa struktura na ich jednym profilu z charakterystycznym wzorem uszkodzeń pozwalała wysnuć hipotezę, że był to jakiś antyczny wyświetlacz. To, jakie informacje prezentował, stanowiło jedynie sferę domysłów i rozważań, a pula możliwości była szeroka. Od danych taktycznych, obrazów z kamer, informacji pogodowych i światowych, po, być może, nawet spisy towarów do kupienia.

Przyjmując, iż coś tutaj sprzedawano - zastanowił się mężczyzna.

Zerknął w bok, gdzie ujrzał plakat zamknięty za wciąż całą, choć mocno brudną szybą. Niemal rozsypał się już w pył, lecz jego wzmacniany wzrok wykonał skany i starał się stworzyć rekonstrukcję z lepiej zachowanych strzępków. Udało się odbudować twarz kobiety, która w uśmiechu prezentowała proste, ładne zęby i tors znacznie mniejszego człowieka, najprawdopodobniej dziecka. *Albo kogoś innego* – dodał w myślach. Przez dziurę w ścianie dostrzegł kolejne pomieszczenie o innym kolorze i fakturze, w którym stały porozbijane i pozarastane muszle klozetowe. Wystające przerdzewiałe rury musiały doprowadzać i odprowadzać płyny. *Łazienka dla dużej liczby ludzi* – jego umysł pracował nieprzerwanie. Po zawiasach, częściach cienkich ścianek i drzwi zamykanych na prymitywne przesuwnice można było stwierdzić, że każda latryna znajdowała się we własnej kabinie osłaniającej użytkownika od wścibskich oczu innych ludzi.

Niesamowite. Masowy sanitariat z takimi udogodnieniami – zachłysnął się z podziwu. *Przodkowie naprawdę stali na wysokim poziomie ekonomicznym i moralnym, jeśli dbali o takie małości dla mas.*

Jego rozmyślanie przerwała Lydia.

– Mistrzu, chyba znalazłam jakąś maszynownię – krzyknęła z głębi sali.

Spojrzał w jej stronę. Dziewczyna przeskoczyła nad czymś, co miało kształt lady odgradzającej dalsze kazamaty tego przybytku od pomieszczenia, gdzie teraz stał. Zmarszczył czoło, zbliżając się do przeszkody. Systemami zbroi przeprowadził liczne analizy i wysłał wiele impulsów, lecz nie namierzył żadnej obcej sygnatury termicznej. Miejsce było pozbawione ciepła i energii elektrycznej. Swoje opancerzone dłonie oparł na spękany i zdegenerowanym blacie. Rozumiał już, o czym mówiła protegowana.

Rzeczywiście całe zaplecze było złomowiskiem ciężkiej maszynierii, gdzieniegdzie sięgającej w górę na dwa metry. Sprzęt był zbyt skorodowany, aby dało się zbadać bądź zrozumieć jego przeznaczenie. Dokładne prześwietlenia, które przeprowadził, i obserwacja ulepszonym wzrokiem pozwoliły na namierzenie śladowych ilości różnych związków chemicznych występujących w emulgatorach, tłuszczach zwierzęcych i roślinnych, substancjach konserwujących i spowalniających gnicie oraz atomów pierwiastków tworzących freony. *Być może to było laboratorium, centrum badań* – snuł swoje przypuszczenia.

- Lydio, przejdźmy przez ten budynek, robimy rekonesans i ruszamy dalej - powiedział do podopiecznej, która akurat próbowała wyrwać zardzewiałe drzwi jednej z szafek. - Nie możemy tu zmarnować za dużo czasu.

Po kilku sekundach zmagania uczennica poddała się. Zwinnie przeskoczyła ladę i dołączyła do nauczyciela. Razem weszli do bocznego pokoju, który sądząc po resztkach mocowań i pogniętych listew był kiedyś całkowicie przeszklony. Chrupanie, które docierało do ich uszu potwierdzało, że pod zbieraniną brudu i papierzysk kryje się spękane szkło. Mała salka wywoływała dziwne odczucia. Pierwszym, co rzuciło się Witeldonowi w oczy, była nawet dobrze zachowana, oparta o fragment panelowego filaru, duża czarna tablica. *Trochę jak w klasztorach treningowych* - pomyślał. Kompletnie zakurzona i bez jakichkolwiek inskrypcji.

Mistrzowsko wzbogacony wzrok Inkwizytora lustrował każdy skrawek przestrzeni. Otaczające go meble były małe. Stoły i krzesła zasługiwały bardziej na miano stolików i krzesełek. Wykonane z plastiku, niemal całkowicie już wyblakłe, musiały kiedyś iskrzyć jasną i żywą barwą.

- Ale to słodkie - słysząc głos Lydii drgnął i zamyślił się. Po kilku uderzeniach serca zrozumiał, czym się tak zachwycała.

Jeden z kiedyś białych, a teraz pożółkłych profili został ozdobiony. Ulepszone oczy zebrały potrzebne dane i przeprowadziły szybką analizę. Naklejki. Wykonane z folii i przyklejone chemicznym klejem do powierzchni, ocieplały to opuszczone przez Stwórcę miejsce.

- Chyba przebywały tu jakieś dzieci - rzekł Człowiek z Wyobraźnią.

Dziewczyna zerknęła w bok, wyciągnęła przed siebie rękę, pokazując na coś palcem.

- Jaki ten jest śliczny - pisnęła zachwycona. Od najmłodszych lat lubiła plastykę, co wiązało się z licznymi i barwnymi historiami.

Mężczyzna patrzył na lisa, zobrazowanego w łagodnym stylu z dużą dozą artystycznej wizji. Zwierzę sprzed Dnia Kary, o którym czytał w prastarych tekstach. Istota była zniekształcona. Krótkie łapy narysowano w uproszczony sposób, bez stawów i palców, tors z nieproporcjonalnie dużym ogonem miał kształt gładkiej i krągłej linii. Najbardziej zadziwił lisi łeb. Głowa kształtem przypominająca kwadrat o łagodnych krawędziach, obsztyty futrem, z małymi uszkami, uśmiechającym się pyszczkiem i oczkami

przedstawionymi jako dwa czarne groszki. Z lepiej zachowanych naklejek rozpoznał jeszcze krokodyla, psa, kota, niedźwiedzia i rekina. Zmarszczył czoło, gdy ujrzał zwierzę o owłosionym korpusie, ogonie bobra i ptasim dziobie. *Co to za abominacja?* – zastanowił się.

Odwrócił się i ponownie powiódł oczami po sali. Próbował wyobrazić sobie to miejsce, gdy było niezniszczone. Kiedyś znajdowało się na powierzchni Ziemi i opływało w światło słoneczne. Niezależnie od przeznaczenia, eony temu wszystko tu musiało tętnić życiem. Ciekaw był, co tu było kiedyś. Nie miał jednak żadnych informacji, które pomogłyby znaleźć odpowiedź. Podkreślił na maksymalną moc i dokładność czujniki oraz aparaturę pomiarową zbroi. *Ostatni skan i zabieramy się stąd* – powiedział w myślach. Pedantyczna analiza, której zażądał od ekwipunku, wymagała przygotowania, dlatego dopiero po dwunastu sekundach, gdy jego wzrok utonął w pozyskanych danych, otworzył usta.

- Lydio, chodź, nic tu po... – urwał w pół słowa i zamilkł. Wysłany impuls przyniósł wiadomość zwrotną. Coś tu się kryło.

Słyszając zawahanie Inkwizytora i widząc jak nagle zastygł, spięła się.

- Co się stało, Mistrzu? – zapytała. Zbliżając się do niego, trzymała ręce rozstawione minimalnie szerzej niż normalnie, a nadgarstki lekko obniżone do dołu. Była gotowa do przyjęcia pozycji strzeleckiej i otwarcia ognia w razie zagrożenia. Witeldon ruszył wprost na stertę połamanego plastiku, wymieszanego z papierowo-kurzową breją, w której zanurzył ręce.

- Tu gdzieś jest działająca technologia – oznajmił.

Widziała, że był zdeterminowany. Sprawne artefakty z Podmiasta były niespotykane i praktycznie wszystko, co zostało odzyskane, musiało być odszyfrowane, odnowione i przywrócone do używalności. Choćby miało to trwać całe dekady, a nawet wieki. Witeldon niestrudzenie kontynuował swoją pracę i rozgarniał miniaturową zaspę stworzoną przez czas. Gdyby spojrzał na Lydię, dostrzegłby szeroko otwarte oczy i rozchylone usta. Stała jak zamurowana. Jej wiedza o świecie i jego tajemnicach była marnym ułamkiem tej, którą posiadał Inkwizytor. Jednak w pełni zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Kiedy osłupienie w końcu minęło, znów mogła działać z wielkim zaangażowaniem i pomagać w poszukiwaniach.

- Jest – usłyszała po kilku minutach zabawy w poszukiwaczy skarbów. Delikatnie uniósł zdobycz w swoich pancernych rękawicach. Niczym

najświętszą z relikwii. Przedmiot wykonano z cienkiego plastiku w kolorze szarej stali. Prostokąt o wymiarach trzydzieści pięć na trzydzieści i wysoki na jakieś siedem centymetrów. Boki zrobiono z tego samego materiału, lecz opracowano je w formie heksagonalnej kratki z otworami wielkości ziarenek ryżu. Nie wiedzieli, jakie miały zastosowanie. W górnej części znalezisko miało niewielki panel z przestarzałymi przyciskami i kilka pokręteł. Oplakany stan urządzenia sprawiał, że nawet jeśli znajdowały się tam jakieś nadruki, to były one już dawno nieczytelne. Poza dwoma...

- Turn on/off. Zoom in/out - przeczytała i przekrzywiła zdziwiona głowę. - To nie jest język szlachciców z brytońskich rodów...?

Inkwizytor nawet nie drgnął, lecz otworzył usta.

- Prawdę mówisz - mruknął.

Z wielką uwagą i namaszczeniem chłonał każdy detal urządzenia. Po dłuższej chwili wydało mu się, że odkrył gdzie jest przód, a gdzie tył. Koniuszkami pancernych palców przecierał coś, co przypominało gniazdo do wpięcia jakiegoś kabla i innych wtyczek. Odwrócił skarb i spojrzał w zarysowaną szklaną kulę, wystającą ze ścianki. Oczyszczył ją wewnętrzną stroną peleryny.

- Mistrzu, co to jest? - wymsknęło się dziewczynie. Paliła ją ciekawość.

- Nie jestem pewny. Jest jeden sposób, by to sprawdzić - powiedział i skierował dłoń do metalowych pojemników przy pasie wbudowanym w zbroję.

Otworzył jeden i wyjął małą, nieregularną, żółtą bryłkę jakiejś materii. Struktura do złudzenia przypominała siarkę, lecz pozbawioną przykrego zapachu. Trzymając przed sobą tajemnicze urządzenie przechylił je na bok, by móc widzieć dziurkowaną powierzchnię. Przybliżył grudkę do ścianki i zgniótł ją. Powstał w ten sposób drobny i sypki piasek, który dzięki otworom wpadał do środka.

- Magiczny pył? - wyrwało się Lydii, gdy zauważyła lekką złotą łunę wewnątrz przedmiotu.

- Spostrzegawcza z ciebie pannica - rzucił głębokim tonem i kontynuował pracę. Gdy niemal całość pyłu znalazła się wewnątrz artefaktu, Witeldon chwycił znalezisko oburącz. Poświata zaczęła nabierać coraz większej mocy.

Popiół cudów, jak potocznie określano dobro, którego właśnie użył, był znacznie bardziej skomplikowany w budowie niż mogło się wydawać na

pierwszy rzut oka. Choć to właśnie czarnoksiężnicy tchnęli w niego życie, to narodzenie tego wynalazku przypadło na czasy, gdy żaden Krąg Magiczny jeszcze nie istniał. Dawno temu, przed Dniem Kary, na Ziemi królowała ludzkość. Technologia, którą władał człowiek, kształtowała otaczającą go rzeczywistość w taki sposób, w jaki dziś mogą to robić mistrzowie sztuk mistycznych. Do największych wynalazków bez wątpienia należały roboty, które potrafiły wyręczać ludzi w niemal każdym zadaniu. Dziś Inżynierowie również posiadają takie narzędzia. Są to maszyny tak małe, że nie można ich zobaczyć gołym okiem, a jest ich o wiele więcej niż gwiazd na niebie. Łącząc się w tryliony, mogły tworzyć dowolne konstrukcje i przybierać wszystkie znane formy. Nie ma dla nich rzeczy niemożliwych.

Po katastrofie, która dotknęła gatunek Homo Sapiens, w wielu ukrytych, pogrzebanych i zapieczętowanych techno-kryptach znaleziono całe kontenery pełne pyłu. Inżynierowie przez wiele setek lat studiowali znaleziska, nim odkryli, że mają do czynienia z wyjątkowo zaawansowaną mechaniką. Ze wsparciem magów, którzy dostarczyli energii, mógł powstać Magiczny Pył. Było go za mało do tego, by odbudować świat. Pozwalał jednak na liczne udogodnienia i niesamowite osiągnięcia.

Witeldon, wpuściwszy miniaturowe roboty do wnętrza znaleziska, zaczął wydawać im polecenia za pomocą myśli. Emitery jego zbroi i kontrolery zainstalowane w mózgu potęgowały efekty i usprawniały kontrolę. Pył zaczął wchodzić w każdy fragment wewnętrznych mechanizmów, okablowań, przewodników bądź układów scalonych. Wiązka niemalże boskiej substancji wniknęła we wszelkie rysy i pęknięcia szklanego obiektywu. Kilka uderzeń serca później ta część aparatury została w całości odrestaurowana. Popiół cudów, niczym żywy organizm, zaczął wychodzić na zewnątrz odkrytego reliktu technologicznego. Przybrał postać, którą najlepiej można było opisać jako rój falujących piaskowych macek bądź parzydełek. Twory gęsto oplotły nadgarstki mężczyzny i energicznie pulsując, powędrowały wzdłuż ramion, rozchodząc się i tracąc na masie oraz gęstości. Mikroskopijne urządzenia nawiązywały bezpośrednie połączenie z *Martyris* i przekazywały wszystkie informacje na temat znaleziska. Z sekundy na sekundę urządzenie lśniło coraz większym białym światłem.

- Mistrz wie już, co to jest? - zapytała uczennica wysokim tonem. Bacznie obserwowała wszystko, co działo się na jej oczach. Byli o krok od wielkiego

odkrycia i już dawno zawiesiła próby kontrolowania bicia swego serca. Za bardzo się ekscytowała.

Człowiek z Wyobraźnią przemówił dopiero po chwili. Jego wyświetlacze siatkówkowe tonęły i dławiły się w informacjach, obrazach i strumieniach wideo. W uszach bębniły ludzkie i zwierzęce głosy. Ogłuszały szумы wiatru i ryki jakichś maszynerii. Być może również silników. Wyciszył wszystkie osaczające go wizje i gusła. Przekalibrował oprogramowanie pancerza. Znowu zaczął mieć kontrolę nad rwącym potokiem danych.

- To jest jakiś rodzaj projektora. Są na nim nagrania sprzed Dnia Kary z dźwiękiem - rzucił urywkowo. To było wielkie odkrycie, które nawet jego zaczęło przygniatać. Gałki oczne jego protegowanej niemal wylatywały z orbit.

- Naprawdę?!

- Tak, naprawdę - rzekł pospiesznie w nieudanej próbie sprowadzenia jej na ziemię. Był zajęty czym innym. Szukał odpowiedniej powierzchni do wyświetlenia antycznych obrazów.

Rozglądał się po ścianach pomieszczenia. Wszystko było zarośnięte brudem. Tła w lepszym stanie były zbyt ciemne. Inkwizytor domyślał się, że do wyświetlenia historii lepiej posłuży biała powierzchnia. Poczłł lekkie ukłucie desperacji i irytacji. On sam był ciekawskim człowiekiem. To była ważna cecha każdego członka Świętego Oficjum.

Jego uwagę przykuły resztki plakatów z tablicy stojącej przed dziecięcym stołem otoczonym małymi krzeselkami. Zdeteterminowany podszedł bliżej. Przytrzymując projektor jedną dłonią, drugą chwycił za bok sklejki, na której wisiały resztki grafik. Pewnym ruchem szarpnął całą konstrukcję, zrywając ją i zrzucając na podłogę. Na chwilę ogarnął ich tuman kurzu. Dziewczyna zaniosta się długim kaszlem. Po chwili pył osiadł, a on ujrzał to, czego szukał. Powierzchnię pokrytą kolorem niewinności.

Wycofał się za plastikowy stół, a przesuwając urządzenie w swych pancernych rękawicach starał się, by jak najwięcej światła padało na przygotowany przez niego ekran. W końcu uznał, że lepiej już nie będzie.

- Usiądź wygodnie, Lydio - ruchem głowy wskazał na jedno ze stojących krzeseł.

Bez słowa zrobiła, co chciał. Ostrożnie zainstalowała się w małym siedzisku i podkurczyła nogi. Wzrok zakotwiczyła w pustej na razie emisji.

Była całkowicie pochłonięta chwilą i oczekiwaniem.

- Pora zobaczyć, co się tam kryje - powiedział, kierując słowa tak samo do młodej kobiety, jak i do siebie, a myślami aktywował pokaz.

Najpierw cały przekaz był kompletnie rozmyty i pozbawiony ostrości. Całość pogarszał fakt, że wszystko usiane było licznymi anomaliami. Jedynie dźwięk był idealny.

- *Aujourd'hui nous nous rencontrons pour discuter...* - zaczął kobiecy głos.

- To przecież mowa frankowskich społeczności - sapnęła protegowana.

- Dziękuję za podpowiedź - rzucił uszczypliwie. - Trzeba skorygować parę rzeczy.

Włączył pauzę i ponownie aktywował magiczny pył. Cała złota materia, która osiadała na jego rękach i dłoniach, znów ożyła. Pulsując i drżąc, z dziką drapieżnością wniknęła drugi raz w rzutnik obrazów. Światło z aparatury nerwowo zamrugało. Po chwili projekcja zyskała na ostrości i wyrazie. Dziewczyna krzyknęła z wrażenia. Sam niemal zakrztusił się tym, co zobaczył.

Zatrzymany kadr pokazywał coś, co z perspektywy dwóch Sług Bożych było rajem. Patrzyli na ulicę, niezwykłą aleję z szarego kamienia. Szeroka na około piętnaście metrów, miała po bokach chodniki i wgłębienia przypominające płytkie kanały melioracyjne. Zapewne służyły one do odprowadzania wody. Na lewo i na prawo od centralnego pasa, z ziemi wolnej od płyt, wyrastały najprawdziwsze drzewa.

- Jakie piękne - pisnęła Lydia, przecierając swoje szkliste, ciemnoniebieskie oczy. - Mistrzu, jak się nazywały te zielone cośki na tych tyczkach? - zapytała w sposób, w jaki małe dziecko chce się czegoś dowiedzieć od dorosłego.

- Tyczki to gałęzie, a te cośki to liście - odpowiedział lakonicznie. Potrzebował skupić się na nagraniu.

Latarnie z czarnego metalu, gustowne w swojej prostocie, były wyposażone w zwisające okrągłe szklane klosze. Wszystkie były wyłączone. Mimo tego ulica tonęła w świetle. Jak to było możliwe?

- Na Stwórcę! Tylko spójrz na to niebo.

- Mhm - mruknęła uczennica. Nic więcej nie była w stanie wykrztusić. Nie kryła łez.

Sklepienie, które dziś całymi latami mogło być czarne jak smoła, bądź niczym paprzaca się rana bulgocząca ropą i skażoną krwią, na projekcji wyglądało jak morze błękitu.

Ani.

Jednej.

Chmury.

Czyste, niczym szkło najlepszych urządzeń optycznych, emanowało spokojem i łagodnością. Patrząc w jego bezkres i ogrom, człowiek zdawał się czuć Boskiego ducha. Słońce, gwiazda nieobecna w teraźniejszej egzystencji nieskończonych chórów dusz, na stop-klatce ukazywało pełnię swojej chwały. Świetlisty żar lał się z nieba, oświetlając wszystko, co było pod nim. Korony wielkich roślin rzucały ciężki cień, przynosząc chłód i schronienie przed ukropem. Aleja zabudowana była pięknymi, pomalowanymi na biało kamienicami. Przed budynkami kłębili się ludzie. Wszędzie mieniły się barwne symbole, runy i napisy wyglądające jak jakieś szyldy bądź wiadomości.

- To wszystko muszą być stragany z tamtych czasów - stwierdził, widząc liczne torby, którymi obładowani byli ludzie.

- Tak szykowne? - zdziwiła się i posłała w jego stronę błagalne spojrzenie.

- Mistrzu, czy włączysz te zapiski? - złożone, jak do modlitwy ręce, miały potęgować efekt proszących oczu.

- Już. Tylko zrobię ci szybkie tłumaczenie języka - dodał i myślą wprowadził magiczny pył w działanie. Złote kleszcze znów zaczęły dusić urządzenie.

Przyjął, że mowa mieszkańców starej Ziemi na nagraniu jest identyczna bądź bardzo podobna do tej, którą dzisiaj posługują się niektóre społeczności. Nic zatem nie stało na przeszkodzie, by transmisja przechodziła przez jego umysł, który ulepszony poprzez rytuał i technologię, mógł wykorzystać część swojej mocy na symultaniczne tłumaczenie. Człowiek z Wyobraźnią posługiwał się biegle niemal każdym językiem, jakie znane były na planecie i poza nią.

- Dziękuję - powiedziała i skłoniła lekko głowę.

- Drobiazg.

Światło wychodzące z soczewki zapulsowało, gdy mężczyzna ingerował w aparaturę. Równo po minucie nerwowego oczekiwania rzutnik zaczął pracować.

Spotykamy się dzisiaj, by porozmawiać o wydarzeniach z ostatniego tygodnia życia Paryża – przemówił znany im już kobiecy głos. Popatrzyli po sobie.

– Przecież my... Przechodziliśmy przez...

– Wiem – uciał mężczyzna. – Skup się – rozkazał.

Tak jak mówił Michail, pożar Katedry Notre Dame to tragedia godząca w serca każdego, niezależnie od wyznania, wieku, obywatelstwa czy przynależności politycznej – kontynuował kobiecy głos. Kamera niczym lecący ptak mijała tłumy ludzi. Każdy wyglądał inaczej. Mieli na sobie różne kreacje. Mężczyźni barwne proste koszule, krótkie lub długie spodnie, okulary, zegarki, buty tysiąca i jednego modelu. Jednak to starcie wygrywały kobiety. Inkwizytora zastanawiał ich status społeczny. Ramię w ramię, jedna obok drugiej szły panie w strojach przypominających uniformy służbowe i takie, które kojarzyły mu się z miejskimi dziwkami. Spodenki opasające pośladki do połowy, głębokie dekolty. Już nawet sam sposób poruszania się większości z nich był dość wyzywający.

– Mistrzu, po co oni gapią się w te czarne prostokąty? – zapytała Lydia.

Faktycznie, naliczył już tysiąc dwustu trzydziestu przechodniów, i ich liczba ciągle rosła, a aż tysiąc sto osiemdziesięciu jeden wędrowało, patrząc w małe, ciemne przedmioty. Trzymane w dłoniach przez ludzkie gromady, zdawały się pochłaniać całą ich uwagę.

– Nie wiem, moja droga, co to jest, ale zdaje się, że to ich opętało – odparł, by znów zasłuchać się w nagraniu.

Na odbudowę, jak już zdążyliśmy podliczyć, przekazany został ponad miliard euro – mówiła kobieta.

Trzeba pamiętać, Carmen, że nie jest to kwestia pieniędzy, lecz tego, czy w ogóle szkielet budowli wytrzyma do czasu rozpoczęcia oględzin i prac – poprawiał ją spiker.

Obraz zmienił ułożenie. Kamera wzniosła się wysoko w niebo, by następnie pokazać ogrom Paryża za jego złotej ery.

– O Boże – szepnęła dziewczyna.

– Gloria Creator et eius Spiritus Sancti – rzekł Człowiek z Wyobraźnią. Nawet on był pod wielkim wrażeniem.

Rozmach architektury był niewyobrażalny. Miasto, na które patrzyli, było urbanistycznym arcydziełem. Zwarte struktury budowli wszystkich

rodzajów tworzyły miejski labirynt o wielu niepowtarzalnych akcentach. Widać było, że cała metropolia kwitła kiedyś na wielu wzniesieniach i obniżeniach. To, czy powstały one w sposób naturalny, czy sztuczny, było już poza jego możliwościami dedukcji. Nie mógł za to odpędzić od siebie wrażenia, że rozpoznał niektóre budowle, mijane w Zaginionym Mieście.

- Pamiętasz tę świątynię, w której byliśmy? - zagaił do uczennicy.

Kiwnęła potakująco głową.

- To jest ta Katedra Notre Dame. O tutaj, z boku - powiedział, gdy widać ją było w kadrze.

- Chyba się spaliła - stwierdziła jego współtowarzyszka.

Faktycznie. Owo miejsce kultu, wyraźnie uszkodzone i osmolone, nosiło widoczne ślady ognia.

- Pożary to rzecz naturalna, choć z pewnością dla naszych przodków był to święty obszar - jego podejrzliwa natura dała o sobie znać. - Równie dobrze ktoś grzeszny mógł rozniecić całą tę pożogę.

Znów potwierdziła kiwnięciem głowy.

Wideo zamrugało i cała sceneria uległa zmianie.

- Co się dzieje, Mistrzu?

Witeldon przeprowadził szybką diagnostykę i skany.

- Urządzenie jest wiekowe i ma liczne uszkodzenia pamięci. Jednak zawarta w nim jest wielka wiedza. Najwyraźniej będzie nam dane oglądać jedynie liczne nagłówki kolejnych wydarzeń.

Już ponad dwadzieścia pięć procent lasów Australii strawił ogień. Setki tysięcy ludzi musiało zostać ewakuowanych. Cały lokalny ekosystem jest zagrożony, a specjaliści przewidują nieuniknione wymieranie wielu lokalnych gatunków zwierząt i roślin - recytował niemal jednym tchem prowadzący.

Ich oczom ukazał się pejzaż rodem z apokaliptycznego obrazu. Morze pożogi i piekielnego nektaru pożerało wszystko na swojej drodze. Gęste lasy przechodziły do historii w formie wznoszących się do nieba tumanów czarnego, ciężkiego dymu. Inkwizytor nie musiał nigdy w życiu gasić ognia, by wiedzieć, że pożary takiego kalibru były niemożliwe do opanowania.

- Dlaczego to zawsze musi być ogień? - zadumała się Lydia. - Dlaczego nie może być to woda?

Nagranie znów zaskoczyło.

Po wygaśnięciu tego piekła na Ziemi, Stolica Kangurów tonie w największych od dziesięcioleci falach powodzi – kontynuował męski głos. Człowiek z Wyobraźnią spojrzął na nią.

– Całkiem, całkiem – parsknął. – Jeszcze jakieś życzenia? – mruknął z wyczuwalną ironią.

Oczy miała szeroko otwarte, a skronie ścisnęła dłońmi. Uśmiechając się, pokręciła przecząco głową. Obraz, jakby za sprawą nieświadomie rzuconego zaklęcia, diametralnie się zmienił. Oleiste chmury przysłaniały niebo i zsyłały na ziemię hektolitry wody, która parła przed siebie, pogrążając świat w falach błota, zerwanych konarów i wszystkiego, co porywała ze sobą.

– Biedne domki – dziewczyna wyraźnie posmutniała.

– Z naturą nigdy nie wygrasz.

Nieprzebrany potop zabierał ze sobą ludzkie posiadłości. Piękne, barwne domy, każdy inny, uginały się od rwącego nurtu. Wszystko zniknęło w mułowej pladze. Pęd i napór tego kataklizmu zrywał nawet asfaltowe drogi.

Ludziom, którym żywioł odbierał dorobek życia, można było jedynie wyrazić współczucie i smutek. Zapewne gniew zagościł w ich duszach, gdy po opadnięciu wody powrócili na tę ziemię niczyją. Właśnie, niczyją... Kiedyś z ich siedliszczem, a teraz bezpieczną, uwolnioną przez kataklizm. *Z deszczu pod rynnę* – ironizował w myślach Witeldon. Najpierw piekielny żar, a następnie chłód chmur besztął ludzkość, która nic nie mogła z tym zrobić. Wystąpienie kolejnych anomalii zapowiadało nowy fragment tej jakże ponurej projekcji.

Następna scena również nie emanowała optymizmem. Tym razem jednak nie było mowy o kolejnej klęsce żywiołowej. Dwie pary ludzkich oczu patrzyły na kłębowisko poszarpanego metalu i połamanego plastiku. Widzieli strzępy ciężkich syntetycznych siedzeń, płonące elementy okablowań i coś, co przypominało poszycie. Części struktury, jakby za sprawą eksplozji, rozrzucone zostały na pokaźnej polanie.

– Co tu się stało, Mistrzu?

Miał pewne domysły, ale nie miał pewności.

– To chyba jakiś wrak – zaczął, a echo przeszłości dopowiedziało resztę.

Konflikt na Bliskim Wschodzie, który wybuchł po przeprowadzonym przez Stany Zjednoczone zamachu na irańskiego generała Ghasema Sulejmaniego,

przyniósł swój kolejny krwawy owoc. Obok relacji z miejsca katastrofy pokazało się okno informacyjne z młodą kobietą. Blondynka o długich kręconych włosach i lekko, lecz zauważalnie poprawionych ustach pomalowanych ciemnoczerwoną szminką, recytowała kolejne fakty. Uwadze Inkwizytora nie uszło, że wodziła wzrokiem od lewej do prawej.

Czyta tekst. Nasi przodkowie też używali narzędzi propagandy – pomyślał.

Irakczycy, rozwścieczeni zabiciem nieoficjalnego, lecz powszechnie ubóstwianego Ojca Narodu, jak tytułowany był generał, chcieli przeprowadzić atak odwetowy na amerykański samolot pasażerski.

- To był statek powietrzny – rzekła uczennica eksperckim tonem.

Doszło jednak do katastrofalnej pomyłki i zestrzelona została maszyna ukraińskich linii lotniczych – kobieta na moment zawahała się. *Albo pogubiła w tekście* – stwierdził w duchu Witeldon. - *Liczba ofiar wynosi sto siedemdziesiąt sześć osób.*

Mężczyzna uniósł wysoko brwi.

- Raczej cholernie duży transportowiec.

Święte Oficjum miało dziś dostęp do baz i stacji patrolowych unoszących się w chmurach. Stacjonowały tam dziesiątki tysięcy żołnierzy i personelu. Jednak jedna kanonierka, mieszcząca około dwustu ludzkich jednostek, robiła wrażenie. *Ciekawe czy miała miejsce na sprzęt i mniejsze pojazdy* – zadumał się.

Aż pięć dni Iran zaprzeczał prawdzie i odpierał zarzuty. Konflikt narasta, a zdaniem ekspertów beczka prochu jest dopiero przed podpaleniem – słyszeli kolejne informacje.

Nagranie pokazywało tłum skandujących i prących przed siebie ludzi. Niemal każda kobieta nosiła hidżab, a mężczyźni unikalne i monolityczne nakrycia głowy. Protestujący dźwigali oprawione w grubą ramę zdjęcie jakiegoś siwego mężczyzny.

- To chyba ten ich generał – rzucił luźno Witeldon.

- Ciekawe, co takiego dobrego zrobił, że oni wszyscy tak go oplakują? – zapytała.

Mężczyzna przyciszył myślą nagranie i zerknął na dziewczynę.

- Dlaczego zakładasz od razu, że musiał uczynić coś dobrego? – jego słowa zawisły w powietrzu. Film pokazywał teraz jakieś obrady przy wielkich ławach i ambonach, przypominające współczesne im synody albo konklawe.

- Jeśli człowiek bez żadnej przyczyny kopnie psa, gdy ten nie rzuca się na niego z kłami, to jest to czyn czcigodny, czy bezsensowne okrucieństwo?

- Jeżeli zwierzę nie chciało go skrzywdzić, to on nie musiał się bronić. Moim zdaniem postąpił źle.

Przekrzywił głowę, a błysk w oku oznaczał, że zaczyna głębszy wywód.

- I raczej ciężko byłoby komuś takiemu przekonać innych do tego, że jednak czyni słusznie?

- Raczej tak - przytaknęła.

- A jeśli w ramionach trzymałby małe, nowo narodzone dziecko? Czy wtedy jego argument o tym, że kopnął psa, bo chronił potomka, nie miałby większej siły przebicia?

Lydia otworzyła usta, by zaprzeczyć, lecz zawahała się. Zawsze, gdy chodzi o dzieci, ludzie robią się nerwowi i stronnicy. Z maluchem ciężiej jest uciec, przeskoczyć mur albo wspiać się gdzieś na wyższą pozycję, gdzie zwierzę nie wejdzie. Dodatkowo płacz bądź pisk brzdąca rzeczywiście mógłby pobudzić stworzenie. Mając taki argument, ktoś mógłby faktycznie zatuszować swoje niegodne postępowanie.

- Przy takim wyglądzie spraw poszłoby z górki - stwierdziła po namyśle.

Inkwizytor ruchem głowy wyraził aprobatę dla jej słów. Doceniał to, że dziewczyna umiała wypracowywać dojrzałe i konstruktywne wnioski.

- Ludzkie czyny mogą być okrutne i krwawe, lecz jeśli odpowiednio je przedstawiś, to ślepemu sprzedasz zacny obraz, a głuchemu płytę winylową z muzyką - parsknął. - Ba, jeśli w jakiś sposób coś, co robisz, zyska uznanie szarych mas, to będziesz kochana i wielbiona, a ludzie dookoła ciebie, nawet tonąc w posoce pomordowanych niewinnych, będą myśleli, że pławią się w najdroższych trunkach - zakończył wypowiedź i zwiększył głośność transmisji.

Zarażonych globalnie przybywa w lawinowym tempie. Świat stoi na krawędzi pandemii... - męski głos spikera zdradzał spore zaniepokojenie.

Człowiek z Wyobraźnią natychmiast skoncentrował się na filmie. *Interesujące* - pomyślał. Jego oczy patrzyły na zasnuty smogiem potężny urbanistyczny krajobraz. Gigantyczne, gdzieś ośmiopasmowe drogi, pnące się do nieba betonowo-szklane wieżowce, były płótnem dla pięknych rysunków, tworzonych przez jaskrawe neony. Stojące w rzędach drzewa

i inna roślinność ocieplały trochę chłodną aparycję matowych superkonstrukcji.

Wirus pojawił się na całym globie poza biegunami. Zarażenia potwierdzają rządy stu czterdziestu trzech krajów – pojawiające się okna informacyjne dostarczały wielu różnych danych. Dwójka widzów mogła patrzeć na mapę całej Starej Ziemi, która podzielona była na setki różniących się rozmiarem obszarów.

- Niesamowite. Terra była kiedyś domem tylu królestw i rządów – wymamrotał. Niektóre zajmowały niemalże całe kontynenty, inne zaś były ledwie widocznymi plamami.

Od pierwszych zgłoszonych przypadków, zanotowanych w chińskim mieście Wuhan, nie udało się stworzyć sprawnej kwarantanny, i choć objętych nią zostało ponad osiemset milionów ludzi, a całe miasta odizolowano od świata, wirus przedostał się mimo wszystko...

- Ilu ludzi?! – spytała zszokowana Lydia.

- Okrągła sumka, co?

Śmiertelność waha się na poziomie około czterech procent, co zdaniem lekarzy nie jest powodem do paniki, lecz w wielu miejscach na globie brakuje już maseczek ochronnych i żywności – obraz skakał, pokazując istoty człowiecze niczym wygłodniałe zwierzęta, rzucające się na opakowane w plastik i przezroczyście folie produkty sanitarne i jedzenie. Nie dało się nie zauważyć, że w wielu przypadkach dochodziło do rękoczynów. – Największe skupiska przypadków znajdują się w Ameryce, Meksyku, Korei Południowej oraz w Europie. Najbardziej zdewastowane są Włochy, Polska, Stany Zjednoczone, Indie i Brazylia. Tak zwany COVID-19 pozostaje zagadką dla uczonych.

- Dlaczego ci ludzie są tak ubrani? – zapytała dziewczyna.

Pytanie zawisło w przestrzeni wraz z nowymi kadrami prastarych nagrań. Kamera oprowadzała widza po szczelnych przeszklonych pomieszczeniach, pełnych zimnego białego światła. Przodkowie przebywający w tym kompleksie dzielili się na dwie kategorie – jedni byli wąтли i bladzi, podłączeni rurami i kablami wystającymi z ust i z nosa do dziwnych maszyn. Leżeli w łózkach o stalowych ramach i z wielkim trudem łapali powietrze. Drudzy, chodzący i doglądający ich ludzie, kryli się pod plastikowo-

papierowymi strojami. Odziani w szczelne uniformy, osłaniali twarze przezroczystymi szybkami i filtrującymi maskami.

Ułamki sekund analizował materiał i zestawiał go z osiągnięciami ich medycyny.

- To są kombinezony ochronne. Patrzysz na ówczesny lazaret. Ci ludzie to medycy, starają się leczyć chorych, ale dbają również o to, by zaraza nie dopadła ich samych - wyjaśnił.

- Chyba nie zawsze im się to udaje - rzuciła bez emocji patrząc, jak w jednej z bocznych sal stojący nad cierpiącym lekarz opuścił głowę i pokiwał przecząco, a dwójka jego kolegów nakryła ofiarę białą kołdrą po sam czubek głowy.

Z ust prezenterki usłyszeli potwierdzające słowa. Drobną kobietą o kasztanowych włosach, ciemnych oczach i niezbyt dobrze poprawionym operacyjnie nosie otworzyła usta.

Wirus zbiera krwawe żniwo. Oficjalnie jest już niemal trzydzieści pięć milionów potwierdzonych zachorowań i prawie dwa miliony zgonów, choć zeznania ludności z odciętych obszarów mówią o znacznie wyższych wartościach. Możliwe, że wychytujemy jedynie jakiś procent zainfekowanych.

Jej monolog przerwał drugi kobiecy głos.

A co z ewentualnym leczeniem tej choroby? - w pomieszczeniu, które przypominało centrum transmisji, pojawiła się rudowłosa ślicznotka z wydatnie wyrzeźbionymi kośćmi policzkowymi na twarzy. - *Jak przedstawia się przyszłość, jeśli chodzi o szczepionkę?*

Na twarzy prezenterki pojawiło się lekkie, ledwo widoczne zakłopotanie, a nuta strachu zagościła w jej oczach.

Naukowcy z ponad dwustu zespołów badawczych na całym świecie nawiązali między sobą współpracę i podejmują starania, aby opracować leki skuteczne w zwalczaniu wirusa. Niestety na razie wszystko, co można robić, to stosować leczenie objawowe, i w przypadku pogarszającego się stanu pacjentów podłączać ich do respiratorów. Prace nad szczepionką trwają i mamy już obiecujące efekty. Najprawdopodobniej za kilka miesięcy, na lato, będzie można mówić o partiach skutecznych preparatów, które będą aplikowane ludności poszczególnych państw - skończyła idealnie w momencie, gdy obraz zaczął chaotycznie mrugać.

Inkwizytor ponownie próbował naprawić urządzenie i głośniki za pomocą magicznego pyłu. W tym czasie Lydia zadała mu pytanie.

- Mistrzu, co to jest lato?

- Z woluminów, liczących sobie dziesiątki tysięcy lat, do których kiedyś dotarłem, dowiedziałem się, że Ziemia miała kiedyś bardzo zróżnicowany klimat - zaczął wyjaśnienie, równoległe zajmując się naprawą urządzenia. - Niemal wszędzie dało się wytypować cztery tak zwane pory roku. Jesień, gdzie wszystko zamierało, zapadało w sen, cichło i ochładzało się. Po niej przychodziła zima, w której królował śnieg i niskie temperatury. Trzecią porą roku była wiosna, gdy wszystko wracało do życia. Rośliny wykształcały liście, zwierzęta mnożyły się, a temperatura systematycznie rosła. Ostatnie było lato. Czas największego słońca, burz, skwarów. Był to okres, kiedy na Ziemi bujnie obradzała żywność - zerknął na nią. - Kiedyś nasz dom był bardziej gościnny.

Pokiwała głową.

- To dobrze, że tę szczepionkę będą mieli na lato - ostatnie słowo zaakcentowała obracając je na podniebieniu i przy wymowie układając język tak, jakby uczyła się nowej mowy.

Film ruszył ponownie. To, co ujrzeli, nie napawało jednak optymizmem. Wszystko tonęło w ogniu i zniszczeniach. Aparat nagrywający robił zbliżenie na walące się zabudowania i burzone obiekty. Po ulicach przebiegały ogromne grupy w kominiarkach bądź maseczkach. Większość trzymała w rękach kije, noże, siekiery i butelki wypełnione mętną cieczą, zapewne benzyną. Poderwana tłuszcza ścierała się z kimś w rodzaju dzisiejszych Interwentów. Przezroczyście tarcze, długie pałki, hełmy z osłonkami twarzy oraz ciężkie utwardzane kamizelki służyły im za ekwipunek. Witeldon, patrząc na zamieszki, nie mógł odpędzić od siebie uczucia, że coś wyglądało nie tak, jak powinno. Niemal od razu wychwytał, że stróże porządku otaczali ochronnym kordonem część ludzi. Innych z zapalem okładali białą bronią. *Dlaczego? Gdzie leży między nimi różnica?* - pytał sam siebie.

Jak mogą Państwo zauważyć, konflikt i rozłam społeczny narastają - kasztanowłosa nie umiała dobrze maskować emocji. Tylko człowiek ułomny nie rozpoznałby, że strach głęboko osadził w niej swe pazury. Kobieta zmieniła się również z wyglądu. Była bledsza, a oczy miała wyraźnie podkrążone. Loki na głowie powinny być lepiej ułożone, a koszula dokładniej uprasowana. - *Szczepionka przyszła zbyt późno i zbyt słabo udało się ją*

wprowadzić w obieg. Rosnące ruchy antyszczepionkowców i ludzi negujących pandemię utrudniały cały proces. To były główne z wielu czynników, jakie pogrzebały nadzieje ludzkości na opanowanie wirusa – obok niej pokazała się ta sama mapa świata co poprzednio, lecz wzbogacona o nowe szczegóły. Czerwień zdominowała całą planszę. – Wirus dotarł do każdego kraju na świecie i zmutował w znacznie bardziej śmiertelny patogen.

Wyświetlono obrazy przedstawiające walki na całym świecie. Seul, Nowy York, Londyn, Moskwa, Tokio, Berlin, Madryt, Paryż, Ankara, Kair, Warszawa... Lista cały czas rosła.

Ludność świata oskarżyła Chiny o stworzenie broni biologicznej. Obywatele wielu krajów zbierali się w liczące miliony osób wyprawy przeciw Chinom. Ich celem była zemsta za domniemane wywołanie choroby.

Następne ujęcia przedstawiały gorące obszary Ziemi, usiane piaskiem i skąpą roślinnością.

Po głębokim wniknięciu w kontynent afrykański, SARS-CoV-2 zaadaptował wiele cech gorączek krwotocznych podobnych do tych, jakie wywoływał wirus ebola. Śmiertelność z czterech procent wzrosła do sześćdziesięciu pięciu. Spowodowało to niemal całkowite wymarcie rasy afrykańskiej. W Ameryce nastąpiły krwawe prześladowania czarnoskórej mniejszości.

- Już rozumiem – powiedział Inkwizytor, zatrzymując nagranie.

- Co takiego, Mistrzu? – zapytała dziewczyna. Dało się wyczuć, że obrazy, które widziała, odcisnęły na niej piętno.

Wznowił pokaz i ruchem ręki wskazał ludzi odgrodzonych od pozostałych murem z tarcz, utworzonych przez ludzi z wyszytym napisem **police** na piersiach i plecach.

- Przypatrz się dokładnie. Służby porządkowe nie rozpędzają tamtej zbieraniny. Ich celem jest ratowanie prześladowanych ras ludzkich.

Na nagraniu widać było około dwudziestu mężczyzn i kobiet o jasnej i ciemnej skórze, którzy okładali kijami i kopali kilkoro ludzi o azjatyckich rysach. Nie dało się nie słyszeć wściekłych krzyków.

Pierdolone skośne, jebane żółtki, macie za swoje. Zachciało się wam, kurwa, wirusa.

Tłuszcza katowała nieszczęśników, gdy w ich kierunku poleciały dymiące puszki. Granaty z gazem łzawiącym rozpędziły złoczyńców. W gęstą chmurę

wbiegli pradowi Interwenci w maskach z filtrami i zaczęli wyciągać niedoszłych męczenników.

- Oni starają się chronić ciemieźonych - westchnął. - Człowiek człowiekowi zgotował piekło.

Spikerka tymczasem kontynuowała.

Mamy połączenie z Urszulą - obok kobiety o kasztanowych włosach pojawiło się okno informacyjne z kolejną reporterką. - *Lada moment przedstawi ona państwu ponownie całą historię tego konfliktu.*

Dziennikarka miała zdrowy i jasny odcień skóry, czym przypominała Vivienne. Krótkie blond włosy z charakterystyczną grzywką lekko nachodziły na zielonoszare oczy. Ubrana była w lekką i zwiewną sukienkę w barwie jaskrawej żółci, sięgającą minimalnie powyżej kolan. Lekki dekolt pozwalał zerkać na spory biust.

Wszystko zaczęło się wraz z chaosem, który zapanował po zmutowaniu wirusa. Gdy liczba zgonów przekroczyła trzysta milionów, świat pogrzył się w zamęcie. Pierwsi uderzyli wyznawcy islamu, którzy po długoletnim pobycie w Europie postanowili przejąć władzę na całym kontynentem - mówiła, a podczas wykładu pokazywano zdjęcia i krótkie filmy z zamachów bombowych i ulicznych kaźni, prowokowanych przez nożowników i strzelców uzbrojonych w karabiny. - *Zginęły tysiące chrześcijan na całym świecie, stając się ofiarami zorganizowanych prześladowań. Kiedy islamiści uderzyli bezpośrednio na rządy Francji, Ameryki i Wielkiej Brytanii, władze postanowiły ogłosić islam religią niebezpieczną dla ludzkości. Potem było już tylko gorzej.*

Następne ilustracje pokazywały grupy skandujących czarnoskórych ludzi. Kolejne przedstawiały ich starcia z białymi.

Liczące miliony członków chrześcijańskie bojówki okazały się godnym przeciwnikiem dla wyznawców Allacha. Państwa straciły nad wszystkim panowanie i zapanowała ogólna anarchia. W tym samym czasie Afroamerykanie zgrupowali się, by wymusić na nowych rządach przyznanie sobie licznych odszkodowań i zadośćuczynienia za dawne krzywdy. Argumentacja ich przeciwników, stwierdzająca, że stanowią tylko dwanaście procent całej populacji Stanów Zjednoczonych, a powodują pięćdziesiąt procent przestępstw, rozdrażniła tłumy i krew została przelana.

Seria zdjęć prezentowała tysiące ludzi, kiedyś pewnie zwykłych obywateli, którzy teraz rzucali się sobie do gardeł.

W desperackiej próbie przywrócenia porządku władze wielu krajów zezwoliły siłom wojskowym działać na własną rękę. Żołnierze niemal natychmiast użyli ostrej amunicji.

Nagranie prezentowało efekty działań armii. Motywem przewodnim były ulice usiane podziurawionymi trupami i ukrzyżowanymi zwłokami wojskowych.

Kilka dekad źle rozumianego równouprawnienia oraz lewicowych wpływów, które były jedynie zasłoną dla problemów trawiących społeczeństwo, dokonało w nim jeszcze większych podziałów. Groźba zagłady rasy ludzkiej i kompletny kryzys, bieda i brak bezpieczeństwa były zapłonem, który wyzwolił wybuch nienawiści i złości, skrywanej dotychczas przez ludzi poszczególnych ras. COVID-19 wybił znaczną część ludności czarnoskórej i azjatyckiej, a rasa europejska została wykrwawiona w zamachach i mordach. Wszystko zmierza do całko...

Film urwał się nagle. Dziewczyna westchnęła przeciągle i zorientowała się, że od dłuższej chwili wstrzymywała oddech.

- Mistrzu, co jest dalej? - pisnęła. Zaczęła oblizywać wargi i nerwowo przełykać ślinę.

- Nie widzę na skanerach błędu urzędze... - nie skończył, ponieważ projektor ożył.

Ktoś, kto trzymał kamerę, musiał stać na szczycie wysokiego budynku i stamtąd nagrywać rozpościerające się pod nim połacie miasta. W oddali dało się zauważyć strefę zieleni, bogatą w drzewa i niższe rośliny.

Dżungla w środku miasta - zadumał się, zaskoczony.

Filmujący bawił się zoomem i przybliżał widok na piętrzące się kopce plastikowych worków. Niektóre miały wysokość wieżowców. Były ich miliony. Nie dało się dostrzec żadnej żywej duszy, która by przemierzała betonowy labirynt miasta.

- Chociaż posprzątali cały bałagan - powiedziała Lydia, głęboko oddychając.

To nie mogło być jednak takie proste. Witeldon przyglądał się niebieskim worom. Każdy w rozmiarze niewiele większym od człowieka, miał suwak biegnący na całej długości. *W coś takiego nie zapakuje się dużych śmieci czy*

odpadów budowlanych. Zresztą po cholere tak robić? - pomyślał. Gigantyczne siedliscze, na które patrzyło dwoje Sług Bożych, było w dużej mierze uszkodzone. Nikt nie trudził się z odbudową. Miasto było jakby wymarłe. Dlaczego? Głos z projekcji obudził się do życia.

Wirus zmutował ponownie - tym razem przemówił męski, głęboki, statyczny głos. - Od początku SARS-CoV-2 cechował się zwiększoną śmiertelnością u osób przewlekle chorych, nosicieli HIV, cukrzyków bądź ludzi w podeszłym wieku. Po zmutowaniu w nową gorączkę krwotoczną, atakującą głównie płuca, stał się zabójczy dla wszystkich. Zmieniając się trzeci raz, za cel obrał w szczególności najmłodszych - Człowiek z Wyobraźnią patrzył na plastikowe worki. - Śmiertelność podniosła się do osiemdziesięciu procent. Nowym objawem była martwica, a atak wirusa skierowany był na ośrodek mózgowy, odpowiedzialny za ból, co powodowało niewyobrażalne męki u chorych i uniemożliwiało jakiegokolwiek terapie przeciwbólowe. Dodatkowo patogen powoduje obszerne krwawienia i niszczenie całych struktur komórkowych, co prowadzi do niewydolności wielonarządowej, a w konsekwencji do śmierci.

Gdzie są zmarli? - to pytanie grzmiało w jego głowie.

Po zarażeniu wystąpienie objawów jest kwestią dwóch, trzech dni. Męka trwa do tygodnia, po czym następuje zgon. Gatunek ludzki niemal całkowicie stracił potomstwo. Jednak plaga znacznie zwolniła i wygasa sama z siebie - Inkwizytor skoncentrował wzrok na workach. Wybrzuszenia powstałe na materiale niektórych coś mu przypominały. Miliony, kilkunastopiętrowe stosy...

- W tych pojemnikach nie ma śmieci - rzekł do dziewczyny.

- A co?

- Ciała. Chyba nawet nie mieli jak i gdzie ich spalać.

Zdziwiona otworzyła usta i spojrzała na brodacza. Zamierzała zbombardować go pytaniami, które narodziły się w jej umyśle, jednak zamiast tego zakryła uszy dłońmi, lekko się kuląc. Inkwizytor nawet nie drgnął, lecz całe jego ciało było gotowe do walki.

Zostali zalani kakofonią spazmatycznych wrzasków i wycia. Film pokazywał teraz inną scenę. Kamera zabrała widzów w trzewia dużego, podłużnego namiotu z białego plastiku. Konstrukcja miała około siedmiu metrów szerokości, co najmniej dwadzieścia długości i była wysoka na tyle,

by dwóch rosnących mężczyzn stało wyprostowanych jeden na ramionach drugiego. Chociaż ten na górze i tak musiałby się mocno starać, by ręką dotknąć sklepienia, na którym zainstalowano halogeny oświetlające zimnym, sterylnym światłem całe wnętrze. Na dole, na ziemi przykrytej płacem utwardzonego plastiku, stały stalowe łóżka z kratami po bokach. Przy każdym dostawiono blaszane półki pełne małych ampułek i szklanych butelek. Z długich stojaków zwisały przezroczyste torby wypełnione mętnym, żółtym płynem, który cienkimi przewodami dawkowany był bezpośrednio do ludzkich żył. W każdym łóżku spoczywały skorupy człowiecze, które były źródłem potępieńczych krzyków. To właśnie one ogłuszały Sługi Boże.

Chorzy wili się w spazmach, a ważące dobrze ponad sto kilo łóżka podskakiwały wraz z nimi. Zarażeni zmutowanym wirusem byli przykuci grubymi skózanymi pasami. Po trzy na ręce i nogi, cztery na brzuch i dwa na głowę. Ich cierpienie było wielkie. Niektórzy dzięki obłąkańczej sile byli w stanie zrywać kajdany. Najbardziej niepokoił fakt, że większość z dziesięciu stanowisk zajęta była przez kilkuletnie dzieci. Jedno, uwolniwszy swoją głowę, do gołych kości wygryzało mięso ze swych własnych ramion. Dławiło się krwią. Krztusiło tkankami i mięśniami. Inne zerwało z uwięzi lewą rękę, którą wydłubało oczy i wrywało włosy ze skórą.

Kamera cofnęła się i w kadrze można było dostrzec postacie stojące przed połowym lazaretem. Jedna, ubrana w kombinezon ochronny, podobny do tych, jakie mieli medycy na wcześniejszych nagraniach, druga potężniejsza, barczysta, nosiła ciężki strój moro i profesjonalną maskę filtrującą. W dłoniach trzymała karabin z podłużnym magazynkiem, zawijany z jednej strony.

Pośród mrozących krew w żyłach krzyków umierających nie dało się usłyszeć ich rozmowy. Jej znaczenie było jednak jasne dla domyślnego widza. Nieuzbrojony wskazywał na wejście do tymczasowej placówki medycznej. Ruch jego ręki był pełen wahania. Starając się przekrzyczeć jazgot, dopowiedział jeszcze jakieś zdanie. Większy i uzbrojony kiwnął głową i ruszył w kierunku lazaretu. Po wejściu do środka podszedł do najbliższego z łóżek, oparł karabin o ramię i przystawił lufę do głowy zarażanego, spazmatycznie wijącego się dziecka. Huk, błysk i bryźnięcie posoki oznaczało koniec cierpienia.

Obraz uciekł od tego aktu łaski i spoczął na medyku. W tle słychać było kolejne strzały. Po każdym wycie i zawodzeniu stawało się coraz cichsze. Ubrany w jasny strój ochronny odszedł kilka kroków od namiotu i stał odwrócony do niego plecami.

Po dziesiątym strzale nastąpiła cisza, która teraz ogłuszała widza. Ciężar i patos tego, co się stało, miażdżyły duszę i serce. Po minucie dało się wychwycić nowe dźwięki. Był to ledwo słyszalny stukot okutych butów. Uzbrojony człowiek podszedł do medyka i zapatrzył się w zachodzące słońce.

To nie jest pani wina, pani doktor. Zrobiła pani wszystko, co było można.

Ona pokręciła przecząco głową. Łapczywie nabrała powietrza i zakrztusiła się własną śliną.

Przecież nic się nie dało zrobić.

Słowa zawisły w powietrzu i pozostały z dwójką widzów, choć sceneria ponownie uległa zmianie. Aparat nagrywający przez moment pokazywał ulicę. Inkwizytor wywnioskował, że akcja działa się na czwartym bądź piątym piętrze budynku mieszkalnego. Wysokość słońca sugerowała, że dopiero co nastąpił świt. Na dole nie było widać ciał zapakowanych w worki. Było cicho i sielsko. Do czasu... W pewnym momencie za kamerą dał się słyszeć szloch. Nagrywający odwrócił się, by sfilmować źródło dźwięku.

- Na Stwórcę! - pisnęła Lydia.

Członek Świętego Oficjum nie odezwał się. W swoim długim życiu wiele razy widział podobne sceny. Na zabrudzonym jasnobrażowym fotelu z syntetycznej skóry siedziała kobieta w średnim wieku. Jej wygląd świadczył o trudach, z jakimi musiała się mierzyć. Długie, gęste, czarne włosy, sięgające do podstawy siedziska, były skołtunione i zmieszane z błotem. Za duża fioletowa koszula, podarta w kilku miejscach, oraz przypalone na boku żółte szorty z miękkiego materiału i różowe klapki na stopach pozwalały wywnioskować, że raczej było ciepło. Miała drobną budowę ciała i była wyraźnie wychudzona. Twarz, choć z zapadniętymi policzkami i pokryta lekkim brudem, była piękna. Delikatne rysy, zaostrowany podbródek i małe, wysunięte usta nadawały jej szlachetnego wyglądu, lecz były niczym w porównaniu z oczami w kolorze czystego, turkusowego morza. Jednak teraz te klejnoty roniły gorzkie łzy.

W wątlých, drżących dłoniach trzymała kilkuletnią dziewczynkę. Dziecko, ubrane w kolorową kwiecistą sukieneczkę, było bosa. Jej mała główka,

o krótkich blond włosach, zwisała bezwładnie, a oczy spoglądały wprost w obiektyw. W martwym spojrzeniu dziecka widać było niewyobrażalną gehennę. Cała twarz, ręce i nogi, każdy fragment odkrytej skóry, były poznaczone żyłami czarnymi jak noc. Kredowo blada, a miejscami chorobliwie sina ludzka istota, nie wykazywała oznak życia. Zostało ono z niej wydarte przez okrutny los i bezlitosną zarazę. Najbardziej za serce chwytała twarz dziewczynki. Oczy, krwistoczerwone od popękanych naczyń, ziały pustką i śmiercią. Z otwartych, okaleczonych ust wolnym strumieniem spływała na ziemię gęsta, oleista czarna maź. Kleista breja, niczym smoła zmieszana ze smarem, lała się cieką strużką z wnętrza młodego ciała, pokazując dowód zwycięstwa COVID-19 nad kolejnym niewinnym kwiatem.

- Co to za breja, Mistrzu? - głos Lydii był pełen autentycznego strachu.

Nie zganił jej, dobrze rozumiał, że choroba masakrująca ludzkie ciało może wzbudzać przerażenie. Zwłaszcza że nie była to demoniczna plaga, tylko coś, co powstało w przyrodzie, bądź wyszło spod ludzkiej ręki.

- Ten ulatujący płyn to krew, ścięta od kwasu żołądkowego, a gęstsze glutiny to najprawdopodobniej resztki płuc - wyjaśnił. Widywał w przeszłości plagi kończące się w podobny sposób. Zawsze Kostucha miała wtedy dużo pracy.

Uczennica przełknęła głośno ślinę i kiwnęła głową na znak, że zrozumiała. Chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz nagły wrzask kobiety z nagrania ubiegł ją. Nie był to ryk, jaki wydałby z siebie zdrowy na umyśle człowiek. Przeciągły, głęboki, gardłowy warkot przechodzący w pisk oznaczał, że ostatnie warstwy poczytalności zostały z niej zdarte. Zdawać się mogło, że skowyt przypominający odgłosy konającego zwierzęcia zatrzęsł kamerą.

Dlaczego?! - zawyła kobieta, potrząsając ciałem dziewczynki. Tłem dla tej sceny był jazgot syren alarmowych dobiegający zza kadru. - *Dlaczego?!* - spojrzenie lamentującej zaszło krwią.

Gdzieś daleko od rozgrywającego się dramatu ludzkiego rozległ się grzmot potężnej eksplozji. Wszystko zaczęło drzeć coraz bardziej, a obraz rozmywał się w ciemności.

Dlaczego? - pytanie wybrzmiało ostatni raz. Tym razem wypowiedziane szeptem i... spokojnym głosem.

Dwie pary oczu długo patrzyły w pustkę, która powstała na ścianie po wyłączeniu projektora. Lydia bez słowa wstała z plastikowego krzeselka.

Witeldon z chęcią zabrałby urządzenie ze sobą, lecz nie mógł. Nie miałby go jak przenieść. Używając maszyn różniczkowych w swojej zbroi i zainstalowanych w nich kryształowych nośników informacji, zapisał i przesłał wszystko, co udało mu się wyciągnąć z artefaktu. Każdy film, dźwięk czy zdjęcie. Nie można było zaprzeczyć, że natrafili na niesamowite znalezisko, które poszerzy wiedzę o przodkach i historii dawnej Ziemi.

W ciszy opuścili budynek. Miał ochotę powiedzieć dziewczynie, że ustanowiła nowy rekord w nicniemówieniu, lecz się powstrzymał. Widział, że nagranie wywarło na niej ogromne wrażenie i teraz rozmyślała nad tym, co zobaczyli. Nie było to żadne szaleństwo demonów bądź hekatomba stworzona przez tępy i głodny motłoch. Patrząc na pięknych, drogo ubranych, zdrowych ludzi, opływających w przepych, i widzieć świat pełen słońca zakrawało niemal na jakiś cud. Zobaczyć, jak wszystko upada i staje się wspomnieniem, nappełniało wnętrze kruchością. *Vanitas* – pomyślał. *Przemijanie, śmiertelność.*

- Mistrzu? - usłyszał znajomy głos, wypowiadający dobrze znane słowo. Westchnął przeciągle.

- No, wreszcie - spojrzał na nią. - Już myślałem, żeś się pochorowała od tego seansu.

Ich oczy się spotkały. Jego były ciemne, stałe w wyrazie, niemal martwe. Jej ciemnoniebieskie, tętniące życiem, lecz lekko nieobecne, zamglone.

- Lydio, o co chodzi?

Nie od razu odpowiedziała. Zerknęła przed siebie, a po chwili ponownie spojrzała na niego.

- Ta kobieta krzyczała to samo, co zjawa w Zaginionych Mieście. *Dlaczego?* - powiedziała powoli.

Pokiwał głową.

- Słuszna obserwacja, lecz do czego zmierzasz?

- Nie mogę opędzić się od wrażenia, że to ta sama osoba, Mistrzu.

Powoli zbliżali się do kamiennej ściany, która dobitnie oznajmiała koniec grotu. Na jej szczycie ziała wielka szpara, prowadząca w głębsze rejony kazamatów. Człowiek z Wyobraźnią również zaczął spoglądać w dal.

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie, moja droga - zakaszłał. - Szansa, że jest to rzeczywiście ta konkretna ludzka jednostka jest tak mała, że aż

niemożliwa – podrapał się po brodzie. – Poza tym moim zdaniem ona znajdowała się w innym mieście niż Paryż.

– Dlaczego tamci ludzie to sobie zrobili? Po co stworzyli tego wirusa?

Wiedział, że pyta z dwóch powodów. Pierwszym była ciekawość, drugim świadomość, że rozmowa z mentorem pomoże jej się wyciszyć.

– Jedni oskarżyli o to drugich, młoda damo – sprecyzował. – Takie plagi powstają co jakiś czas naturalnie. Powiedziałbym, że wręcz systematycznie. Prawdy raczej nigdy nie poznamy, lecz jeśli faktycznie ludzkie ręce się do tego przyczyniły, to znam kilka potencjalnych powodów takiego postępowania.

– Jakich?

Wzruszył ramionami.

– Pierwszeństwo ma najsilniejszy, tak było, jest i będzie. Zesłać plagę na oponenta do tronu to idealna zagrywka, by zniszczyć jego plany, marzenia i szansę na chwałę – w tym momencie kilka diod zamigotało na konsoli wbudowanej w jego ramię. Skanował okolicę. – Musisz wiedzieć, Lydio, że o wojnie nie można mówić tylko w kontekście karabinów, granatów i bomb. Konflikt może dotyczyć wyścigu gospodarczego, walki o przekonania i wyznania oraz starć psychologicznych. Wirus rozbił i tak kruchy spójność społeczny, a ludzie rzucili się sobie do gardeł. Patogen w znacznej mierze wybił skośnookie i czarnoskóre ludy. Dalsze krwawe harce tylko wszystko dobiły.

– To dlatego dzisiaj na świecie jest głównie biały człowiek? – zapytała.

Przechylił głowę. Trafiła w punkt tym stwierdzeniem.

– Zdajesz sobie sprawę, jakim geniuszem opływa to, co teraz powiedziałaś?

Wlepiała w niego swoje żywe oczy. Uśmiechnęła się, prezentując jasne zęby. Myślała, że żartuje.

– Ja nie żartuję – domyślił się, co miała w głowie. – To bez wątplenia jest powód nierówności w proporcjach rasowych. Gdy powrócimy do Sacrum, będzie na ciebie czekała nagroda.

Ze zdziwienia wymieszanego z czystą euforią szeroko otworzyła usta.

– Naprawdę?

Potwierdził ruchem głowy.

- Mądrość trzeba nagradzać, a twoje słowa uzupełnią raport, który będę musiał opracować - rzekł i natychmiast skupił się na ogromnej szramie w kamieniu, z której ziała pustka. Byli tuż przed nią.

- Co się stało, Mistrzu? - zapytała, wykazując przy tym zwiększoną czujność.

Inkwizytor oparł rękę o *Carine*, przypiętą magnetycznie do zbroi.

- Wyczuwam krew, moja droga - powiedział zwyczajnym tonem. Nie był przejęty. Miał olbrzymie doświadczenie i obycie. - Dużo krwi - spojrzał na nią, a wąż lekko mu drgnął. - Gotowa?

Dziewczyna westchnęła, przymykając na moment oczy. Gdy je otworzyła, machnęła rękoma jak bokser w ringu tuż przed starciem. Myślą wysłała impuls do swoich nadgarstkowych pistoletów maszynowych. Kunsztowne mechanizmy zadygotały, oznajmiając pełną sprawność.

- Gotowa.

Dwie pary okutych metalem nóg znów zostały wprawione w ruch.

ROZDZIAŁ XXIII



NASZĄ ROBOTĄ NIE JEST WSKOCZENIE W PASZCZĘ PIEKŁA, LECZ ZAPEWNIENIE, ŻEBY – GDY JUŻ TAM BĘDZIEMY – NIE POZOSTAŁO NAM NIC INNEGO, TYLKO USIAŚĆ WYGODNIE Z PIWEM W DŁONI I PATRZEĆ, JAKIE DZIĘKI NAM SĄ TAM TŁUMY..

MORTUS-WETERAN GREGORY MCDIDRIZZ, OKREŚLANY PRZEZ TOWARZYSZY BRONI MIANEM „WARIATA Z PIEKŁA RODEM”.

Demoniczne legiony z godziny na godzinę rosły w siłę. Nie było chwili, by na liczne wezwania i rozesłane depeze od Najokrutniejszego nie przybywały nowe szatańskie pułki. Gigantyczny, ciągnący się po horyzont plac pałacu należącego do Amona, dumnie wyróżniał się pośród włości, którymi władał w Piekło. Każda piędź ziemi, trzymana w jego żelaznych szponach, ociekała śmiercią. Motywem przewodnim były skamieniałe i szerniałe ciała, wysuszone ze starości szkielety i całe budowle wykonane z niezliczonych czaszek. Wszystko opływało w ogniste morza cierpienia, karmazynowe wiry i wyładowania spaczonych energii. Na żarzących się polanach i korytarzach wysmarowanych zawsze świeżą posoką dało się dostrzec pojawiające się i znikające zdeformowane zjawy. Te duchowe byty, przypominające okaleczone człowiecze skorupy, zdawały się przemierzać szatańskie deptaki w całkowicie chaotyczny, nieprzewidywalny sposób. Zaznaczały swoją obecność w jednym miejscu, by w mgnieniu oka przenieść się w zupełnie inne. Ich drżące w konwulsjach ciała były nagie, pokryte parzydełkami, wypustkami i małymi paszczami. W miejscach, gdzie powinna znajdować się twarz, plugawe paszcze świeciły dziurami po wydłubanych oczach. Były to resztki umęczonych ludzkich dusz, które nieraz na swoje włości rozrzucił Amon. Dla niego były powodem do dumy, dla innych przestrogą przed zakłócaniem jego spokoju i marnowaniem czasu.

Nad tym pogorzelijskim cierpienia i wieczności zatraconej w żalości pięły się bluźniercze ołtarze. Wzniesione z obsydianu, wykute na podobiznę wygłodniałych kruków o rozpostartych skrzydłach, usiane gęsto, w liczbach tak wielkich, że tworzyły całe ptasie klucze. Nie dało się dostrzec opuszczonego miejsca do składania ofiar. Przy każdym stały zakapturzone postacie z wielkimi kościanymi kosturami. Wykrzykując plugawe modlitwy, igrały z siłami zgubnych potęg. Kamienne portale, wbudowane w tysiące konstrukcji, iskrzyły spaczonymi energiami. Smród siarki i ozonu był obezwładniający. Paliwem dla tych zakazanych rytuałów były dusze zgładzonych ludzi.

Ciężkie od grzechów popełnionych przez własne wybory, po przecięciu linii życia, mogły jedynie iść na dno, prosto w odmęty Piekła. Najokrutniejszy z markizów szczerze użyczał swym sługom zbiorów ze swojej kolekcji. Drzwi do katowni, gdzie znajdowały się owoce jego prac i wciąż żywy materiał, były szeroko otwarte. Dusze, wyjące wiecznym, katorżniczym krzykiem, całymi zastępami lawirowały w przestrzeni tylko po to, by mogły zostać złożone w potrójnie przeklętych rytuałach, odprawianych przez pogańskich szamanów. Z każdym kolejnym zdaniem, słowem, głóską czy literą, nowy portal rozrywał czasoprzestrzeń. Ilekroć posoka z kapłańskiego gardła, zdradziecko poderżniętego przez innych czarcich duchownych, zraszała odświeżającym deszczem gorący od surowej magii kamień, kolejne demony pojawiały się u wrót pałacu Demonicznego Pana.

Na głównym placu stały koszmary każdego gatunku. Od nikłych cieni, mięsistych brzydactw, mniejszych i większych od człowieka, do monstrualnych kolosów, istnych gór mięśni, piór i łusek. Piechurzy ustawieni w szeregi i prowadzeni w bój przez niższych rangą dowódców. Demoniczni heroldzi, którzy krocząc z gracją lustrowali oddelegowane pod ich wpływy kohorty. Wykrzykiwali złowieszcze podania, głószące chwałę i glorię swoich panów i ich legionów. Czempioni manipuł grozą i czystą siłą wpisywali swoją obecność na karty historii. Każdy z nich był inny. Niektórzy wyglądali jak stereotypowe podobizny Szatana, zakute w diaboliczne runy z płonącymi mieczami, których blask odbijał się od zbroi z przeklętego brązu. Inne, mniejsze, o wątlej budowie ciała, otaczały wirujące żywioły i energie. Byli niekwestionowanymi mistrzami arkanów magii. Kolejni przypominali napęczniałe worki żółci i ropy, które samą swoją obecnością rozsiewały plagi i nieszczęścia. W oczy rzucały się groteskowe parodie,

będące połączeniem ciał ludzkich, zwierzęcych i demonicznych. Te bestie, wyhodowane w piekielnych laboratoriach, budziły ogólne przerażenie.

Były też stwory mniej przemyślanej agresji i bardziej wyostrzonej furii. Trzymane w ryzach przez mistrzów, którzy raz po raz besztali je ciężkimi batami. Gdyby nie to, bezmyślne bydłota rzuciłyby się sobie do gardeł. W głębi kłębiły się metalowe straszysła. Czarne jak noc garganty zbudowane z metalu i pożogi, uzbrojone w płonące działa, wyrzutnie plugawiących rakiet, miotacze ognia, gatlingi, kwasowe armaty, rozrzutniki ektoplazmy i dziesiątki innych rodzajów broni masowej destrukcji. Ich panami byli szatańscy wynalazcy, rzemieślnicy Piekła, którzy nieraz przeciągali w swe szeregi głodnych wiedzy Inżynierów. Geniusze plugawych technologii wili się w tysiącach metalicznych macek i odnóży, gdzie niczym nadopiekuńczy rodzice doglądali i pielęgowali swoje najukochańsze wynalazki.

Na placu zjawiło się trzydzieści sześć z czterdziestu legionów, którymi dysponował Amon. Na razie. Sztandary wykonane ze śmiertelnej skóry i kości dumnie się prężyły, eksponując legendarne czyny każdej grupy. Najokrutniejszy oczekiwał na jeszcze jeden. Trzy z jego formacji wciąż nie zostały odbudowane po ostatnim starciu ze Świętym Oficjum, do którego doszło pięćdziesiąt lat temu. Armię Najokrutniejszego wzmocniono o wojska Gusjona, Dantaliona, Iposa i Marbasa. Trzej ostatni zaoferowali jedną trzecią swoich sił, po dwanaście legionów każdy. Olbrzym o niebieskiej zniekształconej czaszce był hojniejszy od reszty. Dwadzieścia pięć z czterech dziesiątek jego flag stawiało się na każdy kaprys Markiza Piekła. Cała ta potęga wymieszana z licznymi jednostkami pomocniczymi tworzyła morze śmierci i szaleństwa.

Karmazynowe błyskawice rozcięły piekielny nieboskłon. Na ziemię spadł deszcz krwi. Demony pławiły się w nim z radością i satysfakcją. Bursztynowe wino miało słodkawy smak z wyraźną nutą lekkości. Jakby serce bądź dusza chciały wyrwać się z ciała. Uczuciem, którym doprawiono trunek, był strach.

Amon, tym razem w swojej bardziej ludzkiej formie, stał na szczycie pałacu. Z gigantycznego balkonu obserwował zgromadzoną potęgę. Na jego jedno słowo mroczna unia chaosu i zniszczenia uwolni niebawem cały swój potencjał. Pan Cierpienia wyciągnął przed siebie umięśnioną, pokrytą grubą skórą rękę. Dłoń zaczęła składać palce w tajemnej kombinacji. Po chwili z podnóży jego zamku dobiegło potężne wycie. Zupełnie jakby ktoś

obłożył chóry niewypowiedzianą męką. Z wrót wiodących do jego pracowni wystrzeliła żywozielona smuga. Do złudzenia przypominająca zorzę, unosiła się coraz wyżej i wyżej. Mknęła wprost na piekielne zastępy, które widząc ją, zaczęły skandować i wiwatować w ekstazie. Zamarły, gdy szmaragdowa fala zawisała tuż przed nimi. Mniejsze diabełki, zwykłe pacholki w armii ciemności, nerwowo i bezmyślnie wyciągały swoje kończyny, śliniąc się. Niektóre, pozbawione umysłu i wolnej woli, zerwały dyscyplinę i opuściły szeregi. Szybko dosięgła je kara za niesubordynację i skończyły żywot pod butem, młotem i pięścią dowódców. Pozostałe z nich ochłapy parującego mięsa rzucono jako pożywkę głodnym bestiom.

Tymczasem Najokrutniejszy poruszył palcem wskazującym w geście przywołania. Eteryczna toń odwróciła się i drżąc pomknęła wprost do niego. Gdy tylko zrównała się z Panem Piekła, zaczęła krążyć przed nim, wykonując owalne ruchy. Postać demona odbijała się w niej, zupełnie jak w wypolerowanym kryształ. W tym samym czasie fala oglądała również jego. W zielonkawej tafli można było dostrzec przerażone twarze. Kłębiące się oblicza wypełniał terror i wieczna męka. Twór, któremu się przyglądał, był zaklętym nośnikiem milionów dusz z jego zbiorów. Każda z nich czekała na swoją kolej, by zasilić jego imperium, wspomóc intrygi, być pokarmem dla sług, bądź dostarczyć mu wielkich radości.

Arcydiabeł wykonał palcami kolejną kombinację ruchów. Zorza zaczęła się wyginać i pękać, a rozciągane esencje śmiertelnych zapłakały w agonii niczym na maszynach tortur. Amon bawił się teraz materią. Zacisnął prawicę w pięść, by ją skompresować. Pisk bólu przerodził się w skiełczący jazgot, a z gigantycznej fali powstała ledwo widoczna kula. Czując ogarniającą nudę, z wigorem uderzył w strefę, która pękła niczym szklana waza, a odłamki poszybowały w górę i spadły na demoniczne legiony. W ten sposób Najokrutniejszy poczęstował swych gości pysznymi delikatesami.

Usatysfakcjonowany owacjami na swoją cześć i lamentem nieprzeliczonych zastępów duchów skazanych na pożarcie odwrócił się, by schronić się we wnętrzu ponurego pomieszczenia. Mając dwa kroki do progu, za którym znalazłby się w sali tronowej, pstryknął palcem i wszedł do środka. Jego bose stopy dudniły o kamień, którym wyłożono podłogę długiego korytarza. Posiadając nieprzebraną moc i całkowitą kontrolę nad otaczającą rzeczywistością, mógł manipulować czasoprzestrzenią tak, by zbytnio nie trudzić się chodzeniem po swoich rozległych dobrach. Wnętrze

oświetlono zawieszonymi na suficie duszami. Na ścianach, niczym na wystawie, ukazano jego największe dokonania. Krwawe Żniwa Siedmiu Klejnotów Południa, jak określano największe miasta tamtych stron. Zesłanie tysiąca i jednej nocy na Alexandrię, miasto, które jako jedno z nielicznych ma przywilej pławienia się w promieniach Słońca. Wyrżnięcie ponad połowy Ugrupowania Srebrnych Pokutników, elity sił uderzeniowych Świętego Oficjum do walki z demonami. Co prawda w kulminacyjnym punkcie walk Amon został wygnany do Piekła, lecz kosztowało to życie Ojca Kontynuatora, przywódcy tej formacji oraz Inkwizytora nadzorującego operację. Całe to zdarzenie obrosło w legendę znaną jako Pandemonium Moskowis. Piękne, acz straszne obrazy prawiły o dokonaniach Najokrutniejszego. Nie było nadużyciem twierdzenie, że jego imię było znane w wielu czasoprzestrzeniach.

Wrota wykonane ze skryzalizowanej krwi otworzyły się, by umożliwić przejście. Jeden z Panów Piekła wkroczył do swojego najpilniej strzeżonego pomieszczenia, do prywatnej komnaty. Nawet demony, choć tylekroć potężniejsze od śmiertelników, mające ambicje przekraczające ludzkie pojmowanie rzeczywistości, patrzące raz po raz na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość w tym samym czasie, nie były wolne od emocji i odczuć. W wieczności, którą miał przed sobą Wirtuoz Cierpienia, epizodami było wspomnianie starych dziejów. Jednak granica pomiędzy słowami *nigdy* i *rzadko* jest nieskończona w swoich wymiarach.

Kruczogłowy znalazł się w miejscu, które go całkowicie pochłonęło. Zbudowane na planie okręgu, bez żadnego okna i prześwitu, otoczone czarnym kamieniem o rubinowym konturze, który był szkieletem, trzymającym wszystko razem. Pełne roślin, kwiatów i traw nie przypominało dżungli w pałacu Demonicy. Wszystko, co hodował tu Amon, znajdowało się kiedyś, przed Dniem Kary, na Ziemi. Jeszcze wcześniej całą tę naturę podziwiać można było w Ogrodzie Eden.

Delikatne światło z zawieszonych na sklepieniu kul opadało na kwitnące cuda. Każdą z nich Kruczogłowy zrabował w dalekim wymiarze Bryitx. Przypatrując się murom, można było dostrzec spływającą po nich wodę. Najprawdziwszą, najczystsza ciec dającą życie wszystkiemu, co śmiertelne. Orzeźwiający, chłodny płyn rozlewał się po podłodze, wsiąkał w korzenie, bądź parując przynosił odświeżającą bryzę. W centralnej części tego raju w piekielnych czeluściach znajdował się wielki pomnik kobiety o zacnej

urodzie, stojącej na kunsztownie wykonanym piedestale, do którego podłączono coś na kształt nagrobnej płyty z grawerunkiem. Szczupła talia z dobrze zarysowanymi kształtami, osadzona na długich nogach, z drobnymi i delikatnymi stopami, kusiała każde oko. Jej łono i dorodne piersi zasłaniało cielsko olbrzymiego węża, wijącego się wokół niej. Głowa gada spoczywała w kobiecej dłoni. Persona zdawała się mieć nad nim całkowitą kontrolę. Tajemnicza piękność miała twarz smukłą i z ostrymi rysami. Wąskie usta, wykrzywione w lekkim uśmiechu, dobrze współgrały z oczami, które, choć wyrzeźbione w kamieniu, oddawały idealnie bystrość, mądrość i ból. Proste włosy spływały na ramionach, sięgając niemal pasa. Kobieta została uchwycona w momencie, gdy robiła krok w stronę kogoś lub czegoś. Zupełnie jakby chciała przejść po płycie pomnikowej, którą miała pod stopami.

Amon długo wpatrywał się w rzeźbę. W końcu powoli, z wyraźnym ociąganiem, podszedł do skalnego pomnika. Używając myśli, odsuwał od siebie kwiaty i drobne rośliny tak, aby żadnej nie uszkodzić i nie połamać. Najokrutniejszy zatrzymał się centymetry od początku kamiennej tafli, na której znajdował się napis. Jedno słowo. *Lilith*.

Pierwsza żona Adama, przodka wszystkich ludzi, zbuntowała się przeciw woli swego partnera, odmawiając mu uległości. Zapragnąwszy być równą mężczyźnie i zwierzętom, wypowiedziała tajemne imię Stwórcy, aby wywołać Jego gniew i uniknąć uwięzienia na smyczy. Cel swój osiągnęła. W swej irytacji Bóg przeklął kobietę i sprawił, że wyrosły jej skrzydła. Lilith tylko na to czekała. Wzbiła się wysoko w chmury i uciekła z raju, w którym urodziła potężne, lecz niemal już wymarłe istoty zwane Dżinami. Byli to pierwsi potomkowie Adama. Pogrążony w żalu mężczyzna przebłagał Stwórcę, by pozwolił wrócić jego ukochanej. Wszechmogący przystał na to i wysłał na poszukiwania uciekinierki trzy Anioły: Senoy, Sansenoy i Semangelof. Skrzydlaci słudzy szybko odnaleźli kobietę. Żyła wśród demonów, nad jednym z dawnych mórz. Żadne prośby nie zadziałały, więc niebiańscy wysłannicy zagrozili, że jeżeli nie powróci do Raju, to każdego dnia setna część jej potomstwa będzie ponosić śmierć. Kobieta pozostała niewzruszona. Uciekła od swych dręczycieli, by błąkać się po świecie i zawodzić nad losem swych dzieci.

Nie minęło dużo czasu, gdy jej drogi skrzyżowały się z prastarym demonem Samaelem. *Szczęśliwy głupiec* – pomyślał Amon. Przepotężny byt

zakochał się w pierwszej kobiecie, a swoim podejściem zaskarbił sobie jej zaufanie. Traktując jak równą sobie, dał jej równouprawnienie. Coś, czego nie mogła zaznać na Boskim łańcuchu. Samael obdarowywał swoją ukochaną licznymi darami i oddał pod jej dowództwo czterysta osiemdziesiąt legionów demonów. Nic jednak nie mogło wypełnić pustki z powodu braku dzieci, które były zabijane przez Anioły. Jej imię zyskało nowe znaczenie - Lilith, pani smutku.

Owocami ich miłości stały się Asmodeusz, Lewiatan oraz całe rzesze sukubów. Piekielna królowa upodobała sobie przynoszenie zguby ludzkiemu potomstwu. Jej narzędziem była śmierć, a obsesją najmłodszy. Ochroną otaczała tylko te dusze, które nie doznały błogosławieństwa Stwórcy i podobnie jak ona zostały wykluczone.

Dawno, dawno temu, w erze mitów i legend, gdy ludzkość raczkowała na Ziemi, a Stwórca był niczym kochający i troskliwy ojciec, to właśnie Lilith wiodła prym w zarządzaniu szatańskimi ziemiami. Pan Wszystkiego Co Złe był zajęty wojnami w innych czasoprzestrzeniach, a jej ukochany Samael, jako upadły Anioł i egzekutor woli Śmierci, rzadko zaszczycał Piekło swą obecnością. Amon, jako naczelną kat tego wymiaru, często pojawiał się przy jej boku. Poproszony, uczył ją tysięcy sposobów, w jaki można torturować młode dusze. Z ochotą przyglądała się mistrzowi przy pracy. Uwielbiała patrzeć na jego rozległe kolekcje, a on zawsze pozwalał jej wybierać te eteryczne esencje, które najbardziej ją interesowały. W zamierzonych wiekach zadali razem wiele zła wszędzie tam, gdzie stanęła ich stopa. Całe cywilizacje wykształciły ludowe legendy i mroczne mity o ich dokonaniach.

Markiz sięgnął dłonią w bok, by po sekundzie ją cofnąć. Halabarda spoczywała w jego szponie. Zaiste, rzeczywistość w wielu przypadkach mogła być wszystkim tym, czego sobie życzył. Ponownie przyjrzał się rzeźbie. *Prawie wszystkim* - myśl zakłębiła się w jego umyśle. Dokładnie oglądał broń. Jego oczy penetrowały mroczne ostrze, próbując przebić się do punktów świecących słabym blaskiem. Były niczym zatopione w stali. Mało było demonów, które znały historię kryjącą się za tym potępieńczym orężem.

Nazywał się *Infinito Dolore* i był prezentem. Ofiarowany został Najokrutniejszemu przez Lilith w podzięcie za dotrzymanie jej towarzystwa. Zebrała najdorodniejszą ciemność, jaka osadziła się w Otchłani, krainie zapomnianych. Wędruje tam każda dusza, której cielesna skorupa zmarła przed błogosławieństwem. Zimna, bezkresna, niezmywalna

dola egzystencji tych, którzy po kres czasu, a nawet dalej, nie zaznają nic oprócz ciszy. Własnoręcznie wkuła w oręż prawdziwe gwiazdy, które skradła z nocnego nieba. Od tamtego momentu konstelacje tliły się, dodając halabardzie gracji i niewyobrażalnej mocy. Ostrze zahartowała w najgłębszych piekielnych ogniach i schłodziła łzami umęczonych dusz. Zaostrzyła je o ten sam kamień szlifierski, który wykorzystał Szatan przy produkcji swojego miecza. Na koniec Lilith namaściła broń krwią potomków tych, których umęczenie postrzegała jako swój szczególny sukces. Tak przygotowany podarunek wręczyła Amonowi osobiście.

Naczelną Kat Piekła przyjął go z szacunkiem i prawdziwą wdzięcznością. Postanowił uhonorować swoją przyjaciółkę... To było złe określenie. Towarzyszkę w wieczności brzmiało lepiej. Kogoś, kto podobnie jak on lubował się w zadawaniu cierpienia bezbronny, pokonanym, ukorzonym. Zapragnął stworzyć albo skraść dla niej coś równie niesamowitego. Jednak wtedy nastąpiła era Demonicy.

Choć od tamtego czasu minęły już niemal cztery tysiące lat, dla bytów wiecznych jak on równie dobrze mogło to być wczoraj. Głupcy z Inkwizycji, którzy zwali się Liberałami, przyszli do Piekła z poselstwem. Prawili, że chcą zawrzeć umowę. Nie było wtedy mowy o Fryderku, Falki, Paulosie czy innych, którzy knują teraz intrygę. Plan powstał siedem inkwizytorskich pokoleń temu. Opisywać ideę, która zrodziła się w śmiertelnych głowach, byłoby daremnym trudem, jednakże można wspomnieć, że wszystko w tym planie zakrawało na szaleństwo. Ludzie mieli dostać drugą szansę i możliwość zaczęcia swojej historii od nowa. Demony natomiast miały otrzymać w podziękowanie zapewnienie zniszczenia Świętego Oficjum. Była to propozycja zbyt kusząca, by ją odrzucić.

Tak oto każdy z Demonicznych Panów przystąpił do pracy. Wszyscy Lordowie Piekła dołożyli od siebie cegielkę do budowy Świątyni Największego Splugawienia. Powstała istota będąca dziełem doskonałym. Potęgą, ambicją i szaleństwem dorównująca bytom, które od eonów torturowały ludzkość i ludy innych światów. Nawet sam Szatan się nią zainteresował. Demonica szybko zyskiwała w Piekło poparcie, co doprowadziło do konfliktu z Lilith. Jednak Pani Piekła szybko przywołała ją do porządku. Amon, choć brał w tym udział, nigdy nie był przekonany do nowej rezydentki szatańskiego wymiaru, jednak wiele mrocznych łoży właśnie w młodej sadystce widziało przyszłość. Gdy zajęta była infiltracją

otoczenia i życiem młodego, słabego jeszcze wtedy i nic nie znaczącego człowieka, piekielni rodacy postanowili uknuć intrygę.

Demonica przegrała, choć niewiele brakowało, a zostałaaby zgładzona. Ten, którego zważ Witeltonem, posiadał gigantyczną moc i dokonał niemożliwego, tylko po to, by ją powstrzymać. Niewielu zdawało sobie sprawę z tego, że esencję jego nemezis uratowali Liberałowie, a wszystko do czego doszło, zaplanowały demony. Nieświadomą Lilith skłoniono, by zaatakowała całe Inkwizytorskie Konklawe. Wykorzystując zakazane artefakty, przyzywała swoje legiony. Walka była ciężka i krwawa. Pani Smutku zabiła własnoręcznie trzydziestu jeden członków Świętego Oficjum, którzy bożym dekretem mieli nadaną władzę. Jej serce przebił oręż trzydziestego drugiego. Ostrze Łez Serca, Klinga Straconych Marzeń, Miecz Zgaszonej Nadziei, to tylko kilka określeń, jakimi opisywano broń. Sam bohater ochrzcił ją mianem *Catherine*.

Inkwizytor Walszarti eksterminował esencję Lilith, zapewniając jej prawdziwą śmierć. Najokrutniejszy był wtedy zajęty prowadzeniem własnych kampanii. Zresztą nie mógłby nic zrobić. Przekonać ją do zaniechania ataku? Niemożliwe. Przybyć z odsieczą? Kiedy umierała, więzi łączące rzeczywistość znów stały się zbyt mocne, by mógł swobodnie przejść i wkroczyć do akcji.

Gdy Kat powrócił do swojego matecznika i doszły do niego najnowsze wieści, wpadł w gniew. Srogi, wielki i nieprzebrany. Wiele razy wylewał go na świat śmiertelnych, jednak nie mógł dotrzeć do Tego, który oszukał śmierć. Dopiero teraz nadarzała się ku temu okazja.

Największe ludzkie siedliscze było przesiąknięte strachem, marnością i bólem. Liczne demoniczne kultury w nim rozsiane na dobrą sprawę odgrywały małą rolę. Wszystko sprowadzało się do nieprzebranych mórz łez, potu i krwi, w których topili się nędznicy. Kłamstwa, zdrady i hedonizm wyższych sfer były tylko drobną przyprawą w tym daniu. Poderwane sekty, wybite do ostatniego człowieka, zwolniły miejsce nowym, a ich posoka użyźniła glebę demonicznym legionom. Panika i cierpienie, spowodowane represjami ze strony władz miasta, zasiały ziarno. Czająca się w ukryciu, opętana szlachcianka będzie tą, która zadba o kwitnące pole. Markiz przybędzie natomiast, by zebrać plony. Krwawe i obfite.



Amon przyklął na jedno kolano, opierając się o halabardę. Wbił wzrok w rzeźbę, a dłoń powoli i delikatnie położył na kamiennej płycie. Przez jego palce zaczęła płynąć karmazynowa energia. Niczym namiętne pocałunki

rozbijała się o powierzchnię zimnego, nieczułego głazu. Wysłany impuls zawisł, oczekując na wiadomość zwrotną, która nigdy już nie nadejdzie.

Najokrutniejszy cofnął swoją lewicę i powstał. Demony miały pamięć absolutną, nigdy nie zapominały i mogły przywołać każdą chwilę ze swojej przyszłości z kompletem szczegółów, wspomnień i emocji. W jego jaźni przemknęła każda sekunda, którą spędził z Lilith. Wspominał również innych, których zgładziła Demonica.

- Już niedługo - rzekł, rozcinając ciszę, jakby nożem przerzynał gardło ofiary. Mocniej ścisnął swój oręż. - Najpierw Inkwizytor, potem Ona, a zemsta będzie nosić Twoje imię.

Nagły ruch wzbudził jego czujność. Martwe, czarne oczy natychmiast namierzyły jego źródło. Z sufitu, gdzie w wielu miejscach wyrastały gałęzie, urwał się mały żółty kwiat, który teraz powoli opadał. Potężny Czarłak wyciągnął szpon, na którym z gracją wylądował fragment rośliny. Długo mu się przyglądał, po czym przechylił lewicę i z cierpliwością czekał, aż płatki w kolorze zazdrości przyozdobią kamień.

- Już niedługo... - powtórzył.

Odwrócił się, a gdy wykonywał obrót, przeniósł się do głównej komnaty swojego pałacu i znów zasiadał na tronie. Przed nim rozpościerała się uszyta z magii projekcja Spero. Wiedział, że niewolnik Świętego Oficjum natrafi na pozostawioną przez niego wskazówkę.

- Już niedługo, Najokrutniejsza. Już niedługo...



- Co tu się stało, Mistrzu? Kto to zrobił? - twarz Lydii wyrażała konsternację i niepokój. Człowiek z Wyobraźnią nie odpowiedział od razu. Musiał znaleźć odpowiednią eksplikację.

Po zagłębieniu się w ciasnotę szczeliny prowadzącej w trzewia Podmiasta, nie potrzebowali dużo czasu, by znaleźć się w kolejnej większej jaskini. Inkwizytor przemilczał fakt, że im dalej szli, tym bardziej czuć było drażniący zapach krwi. Źródło woni stało się dla nich doskonale widoczne, gdy ściskające ich kamienne ściany korytarza zmieniły się w szerszą, choć wciąż niską przestrzeń.

Zawieszony kilka metrów nad ich głowami sufit przystrajały zwisające grube łańcuchy, do których przymocowano betonowe bloki. Nie wiadomo jak

długie były same okowy, lecz werżnięte w małe szczeliny w sklepieniu mogły mieć nawet setki metrów. Gdyby ktoś trafił w to miejsce, a jedno z ogniw by pękło, to o tym, że ktoś tu przebywał, świadczyłaby mokra plama. Na ścianach dało się dostrzec kilka otworów ludzkich rozmiarów. W jednym miejscu większą część jaskini zastąpiono ciężkimi, gargantuicznymi kablami. Leniwie opadały, kłębiąc się na ziemi i tworząc dżunglę zasłaniającą widok.

Uwagę każdej publiczności zajęliby jednak ludzie, którzy gościli na brudnym, skalnym fundamencie. Ludzcy aktorzy zakończyli już swój występ zwany życiem i odpoczywali, leżąc w kałużach krwi. Większość albo wsiąkła już w nieczystości podłogi, albo zgromadziła się w kątach. *Trzydziestu dwóch* – naliczył Witeldon. Dwudziestu dziewięciu dorosłych i troje dzieci. Każde z poderżniętym gardłem. Wszyscy skonali w małych grupkach, blisko siebie. Jedna społeczność, dodatkowo podzielona na rodziny. Wszyscy skuleni, w zapadniętej, embrionalnej pozycji.

Dwoje Sług Bożych zbliżyło się do miejsca masakry. Już z daleka dostrzegali twarze zmarłych. Przechodząc pośród nich i obserwując oblicza, Inkwizytor widział za każdym razem to samo – z mięśni, skóry i oczu wydobywały się ekspresje strachu, szoku i bólu. Zabici ubrani byli w przepaski i prymitywne okrycia, wykonane ze skóry podziemnych zwierząt. Kobiety nosiły prostą biżuterię z zębów tutejszej fauny. Obok każdej istoty człowieczej spoczywała włócznia z kamiennym grotem, bądź mała siekiera z tego samego materiału. Narzędzie, którym przeorano gardła śmiertelników, można było zobaczyć w dłoni każdego mężczyzny. Był to lekko wydłużony, zaostrowany krzemień służący za nóż. Krew na nich zastanowiła Witeldona.

- Oni sami... - powiedział cicho. Dostrzegł jej zszokowane spojrzenie, więc kiwnął głową. - To było masowe samobójstwo - palcem wskazał na najbliższego zmarłego. - Głowa każdej rodziny najpierw otworzyła tętnicę szyjne dzieciom i kobietom, a na koniec to samo zrobili sobie.

- Dlaczego? - głos był pełen niedowierzania. W jej młodym życiu miała już styczność z takimi sytuacjami i sceneriami, jednak działa się to zawsze wtedy, gdy zatraceńcy chcieli przyzwać demony. Tutaj nie mogło o to chodzić.

Westchnął.

- Przypatrz się ich twarzom, moja droga. Co widzisz?

Uklękała przy rodzinie z jednym dzieckiem, by dokonać oględzin. Kobieta trzymała w żelaznym uścisku kilkuletniego chłopca. Obok leżał jej partner. Otoczywszy oboje ramionami, pokrytymi rytualnymi malunkami, wyglądał jakby starał się ich przed czymś chronić. Prymitywny nóż ciągle trzymał w zamkniętej dłoni. Grymas na twarzach świadczył, że w ostatnich chwilach życia zaznali niewypowiedzianej grozy. W pustych już oczach wciąż można było dostrzec terror, któremu musieli stawić czoła.

- Oni się bali - powiedziała i spojrzała pytająco na swego mentora. - Ale dlaczego się zabili?

- Pomyśl.

- Nie mogli uciec przed źródłem strachu, więc postanowili użyć bardziej radykalnych metod? - wysnuła hipotezę, wstając i idąc wśród zwłok. Żadne nie śmierdziały ani nie gniły. Wszyscy musieli umrzeć niedawno.

Parsknął, lekko rozbawiony.

- Ach, tak. Widzę, że rozumiesz jak w tym starym cytacie Ziemiańina sprzed Dnia Kary.

Zmarszczyła brwi.

- W jakim?

Inkwizytor położył delikatnie rękę na *Carine*. Robił tak, gdy tylko wyczuł zapach ludzkiej krwi. Zupełnie jakby spodziewał się walki.

- Samobójstwo - zaczął. - Permanentne rozwiązanie tymczasowego problemu, jak powiedział kiedyś Phil Donahue. Pewnie był kimś w rodzaju filozofa tamtych czasów - westchnął. - Wielu ludzi uważa to zjawisko za przejaw tchórzostwa i rejterady.

Dziewczyna wzruszyła lekko ramionami.

- A nie jest tak, Mistrzu? - zapytała, a z jej głosu przebijało przekonanie, że to jest oczywiste.

Zerknął na nią, a wąż mu lekko zadrgał. Pokręcił przecząco głową.

- Lydio, dlaczego się bronisz, jeśli ktoś cię zaatakuje? - zapytał, a potem pogładził się po brodzie.

Łypnęła na niego ciemnoniebieskimi oczami. Nie mając pewności, co powinna rzec, przechyliła lekko głowę. Najprostsza odpowiedź wydawała jej się najlepsza.

- Bo chcę przeżyć.

- A co takiego strasznego jest w śmierci?

Nabrała powietrza, by odpowiedzieć, lecz się zawahała. Właśnie. Co takiego...?

Koniec. Jedno słowo. Mocne w brzmieniu i w wyrazie. Wszystko co śmiertelne powstaje tylko po to, by obrócić się w proch, odejść w zapomnienie. Człowiek rodzi się, by umrzeć. Lata poświęcone na wychowanie i naukę, potem na pracę i zabawę uciekają tak szybko, że mało kto zdaje sobie w pełni sprawę z własnej kruchości. Przeważnie wszystko to, co zrobił, osiągnął, wypracował, ginie wraz z nim. Do historii przechodzą nieliczni. Każdy przytoczy nazwisko generała biorącego udział w wielkiej bitwie. Prości żołnierze idący w szarych szeregach pozostaną niemi. Każda cywilizacja ma własne wyznania, podania i wierzenia dotyczące pozagrobowej egzystencji. Kościół Stwórcy głosi, że zmarłych czekają trzy możliwości.

Ci, którzy za życia pozostali bogobojni, czyści, trwali w ascezie i samodoskonaleniu oraz działali w imię Boga, dostąpią zaszczytu dostania się do Królestwa Niebieskiego, określanego przez masę jako Niebo. Ludzie, których przewinienia były niewielkie, bądź wielbili Boski Majestat w sposób niewystarczający, trafią do Czyśćca, gdzie odpokutują niedoskonałości. To, ile czasu tam spędzą, zależy tylko od ich determinacji i modlitw żyjących. Natomiast śmiertelnicy, którzy srodze zgrzeszyli, wyparli się Stwórcy, a życie poświęcili na czynienie zła, są zsyłani do Piekła, na wieczne cierpienia i potępienie. Taką kolej rzeczy opisywały Święte Teksty. Takie następstwa ludzkiej egzystencji recytowali kapłani. Jak to wyglądało w praktyce? Tego już nikt nie wie, gdyż to droga bez powrotu. Jednak dusze niektórych ponownie odnajdują swoje ciała. Zapytani, co widzieli, odpowiadają przeróżnie. Niektórzy opisują niewyobrażalną ciemność, inni oślepiającą światłość, a kolejni po prostu milczą. Brak rzetelnych informacji i potwierdzenia napełniał serca mas człowieczych niepewnością. Tu był klucz.

- Nieznane - rzekła, wtapiając w niego oczy. - Człowiek boi się śmierci, bo nie ma pewności, co go po niej czeka - założyła ręce na piersi i westchnęła. - Robiąc cokolwiek, nabywamy doświadczenia i obycia. Jednak każdy umiera raz, bez możliwości przygotowania czy zahartowania - zerknęła na leżące dookoła ciała. - Dlatego ludzie tak kurczowo trzymają się życia.

Inkwizytor z uznaniem pokiwał głową.

- Bardzo dobrze, moja droga - pochwalił. - Jakież wnioski? Dlaczego mimo to oni wszyscy zdecydowali się to zrobić? - zapytał i ruchem ręki powiódł po zmarłych.

- Śmierci bali się mniej niż tego, z czym mieli do czynienia, ale nadal nie wiem, co takiego mogłoby ich do tego zmusić?

Człowiek z Wyobraźnią szedł powoli. Zbliżał się do grubych przewodów, które sztucznie tworzyły jedną ze ścian jaskini.

- Zmusić? Ciekawe słowo - zaczął. - Musisz wiedzieć, że niezależnie od tego, jak bardzo się postarasz w tej materii, ostatecznie słowo należy ofiary. To ona jest wykonawcą i odbiorcą tej pracy.

- Hm...? - stęknęcie Lydii było wymowne.

Uniósł rękę w górę i na palcach zaczął wyliczać.

- Opcja, wybór, lecz również tragedia. Musisz wiedzieć, że nie jest to na pewno całe plemię. Oni już nie cierpią, ale nie można tego powiedzieć o ich braciach i siostrach. Kątem oka dostrzegł, że go nie rozumie. - To właśnie, moja droga, robi samobójstwo. Ból zawsze pozostaje, choćby pod inną postacią. Nie pozbywamy się go, lecz tylko przekazujemy na kogoś innego.

- Rozumiem, Mistrzu, ale jeszcze raz pytam, czy Mistrz nie przypuszcza, co mogło zasiać tyle szkody?

Otworzył usta, by zdradzić jej swoje podejrzenia, gdy usłyszał nowy dźwięk dochodzący z lewej strony. Zupełnie nie pasował do szumów tego miejsca i dźwięków ich rozmowy. Przypominał pęknięcie jakiegoś twardego tworzywa. Przechylił głowę w stronę, z której odgłos dobiegł.

- Mistrzu...? - zapytała, widząc jego zachowanie. Była tylko kilka metrów od niego.

Uniósł dłoń w jej stronę i nakazał, by była cicho. Wsłuchiwał się. Dźwięk już się nie powtórzył, a jego ulepszone zmysły nie wychwyciły niczego niepokojącego.

- W obliczu tego, co nas spotkało w Podmieście, prawdopodobnie mamy do czynienia z naszym lubującym się we krwi przyjacielem.

Dotarło do niego, że serce uczennicy zaczęło bić szybciej.

- Patiensus? Kiedy się z nim spotkamy? - głos zdradzał podenerwowanie.

- Lepiej szybciej niż później, tak bym wolał - rzucił.

Nie wiedział jednak, że jego prośba wysłuchana zostanie ekspresowo. Zbudowana z grubych kabli ściana, wzdłuż której przechodził, eksplodowała

nagle potężną siłą. Niczym kula armatnia wystrzeliła z niej wielka i umięśniona łapa, zakończona długimi jak rzeźnicze noże pazurami. Musiał zareagować w ułamku sekundy. Zagrożenie znajdowało się za nim, więc zrobił wypad do przodu. Poczł podmuch powietrza na karku. Milimetry dzieliły go od ciosu i utraty głowy. Zaczł się odwracać, chcąc stawić czoła Wysokiemu Wampirowi. Zerknł na Lydię. Dopiero zaczynała rozumieć, co się dzieje. Nie miał jej za złe. W końcu nie minęła jeszcze sekunda.

Omiótl wzrokiem Patiensusa i żwawo odskoczył przed ponownym atakiem. Mordercza łapa runęła na niego z boku. Pochylił się, a stwór zamachnął się z góry. Wykonał piruet w lewo. Zrobił to w samą porę, ponieważ Lydia rozpoczęła ostrzał. Błogosławione runiczne kule zatańczyły na powierzchni gargantuicznej istoty, nie robiąc na niej żadnego wrażenia. Tymczasem rzeczywistość dla Człowieka z Wyobraźnią znacznie zwolniła swój rwący nurt. Z czasem reakcji ponad pięć razy szybszym niż dobrze wyćwiczony człowiek, mając wzmocnione i spotęgowane zdolności poznawcze, mógł dokonywać szczegółowych obserwacji w ułamku sekundy.

Patiensus, zgodnie z jego oczekiwaniami, zregenerował się w znacznym stopniu. Przecięta łapa była już zablizniona. Ruszając nią zdradzał, że kości, ścięgna, mięśnie i nerwy również zostały odbudowane. Cięcie od miecza było ledwo widoczne, a rana na plecach pewnie też zniknęła. Przeorany pysk potwora, choć również zasklepiony i połatany, nie mógł jeszcze zapomnieć zniszczeń, których doświadczył. Musiały minąć długie dni, by pojawiły się nowe komórki tworzące mocarną paszczę. Inkwizytora zaintrygowała jednak skóra potwora. Tam, gdzie został poraniony pociskami, tak licznie wystrzelonymi przez Lydię podczas ich pierwszego starcia, widniały teraz wyrastające na kilka centymetrów, niczym odstające łuski, krystaliczne narośla. Pokrywały skórę nierównomiernie, kumulując się w miejscach najdotkliwiej poranionych i przypominały kolce powstałe z oszlifowanego i wypolerowanego obsydianu. To nie mogło być dzieło przypadku, więc zastanawiał się, do czego mogą służyć.

Odpowiedź otrzymał od razu, gdy pierwsze pociski dosięgły wampira. Uświęcone kule nie przebiły skóry i nie wniknęły w ciało potwora. Zamiast zadać ból i skarcić krwiopijcę, każdy strzał odbił się od miniaturowych, ciemnofioletowych wyrostków rozsianych na jego powłoce. Zdziwił się. Pierwszy raz widział, by Patiensus tak szybko wykształcił tę formę ochrony.

Rozmyślania pochłonęły równo dwie sekundy jego życia, a świst oznajmiał drugą salwę.

Dziewczyna strzelała seriami. Wampir ustawił się bokiem i zgiął lewe ramię, naprężając przy tym mięśnie. Łuski ożyły. Wykrzywiły się i zmieniły kąt. Balansując ciałem, potwór przyjął na siebie kanonadę, lecz chmura tytanowych zabójców odbiła się i poleciała w kierunku Inkwizytora. Odskoczył w lewo, jeszcze bardziej zaskoczony, i osłonił się opancerzoną ręką. Naboje ledwie zarysowały zbroję.

- Lydio, nie strzelaj, bo... - zaczął, a w tym samym momencie drapieżnik ruszył niczym błyskawica, aby go rozszarpać.

- ...rykoszetują - dokończyła za niego, świadoma co się dzieje. Syk oznajmiał aktywację energii uspionej w jej krótkich mieczach.

Z kolei w dłoniach Sługi Bożego pojawiła się *Catherine*. Przeciwnik zamachnął się z zamiarem rozerwania go na strzępy. Mężczyzna odskoczył, by po chwili z impetem runąć na bestię, wykonując cięcie wysoko nad głową. Bydlę odbiło miecz ramieniem, używając swoich kolców zamiast tarczy i zrobiło wypad drugim szponem. Witeldon wykonał piruet i zszedł z linii ciosu, a w tym samym czasie wykręcił bronią młyńca. Obrót ciała dodał uderzeniu mocy. Jednak *Patiensus* przewidział te zamiary i skontrolował uderzenie.

Wampir uczył się jego sposobów walki, przystosowywał się do szybkości oraz siły i wypracowywał własne taktyki. Człowiek przez cały czas był w ruchu. Wykonał przejście, starając się znaleźć za plecami bestii, lecz istota z innego świata była na to gotowa. Natychmiast zmieniła ustawienie nóg i przeniosła ciężar z jednej na drugą. Wykręciwszy się szybciej, *Patiensus* mógł zbliżyć się do Inkwizytora i wyprowadzić cięcie z dołu. Członek Świętego Oficjum zauważył zmienioną postawę potwora. Pancerna rękawica wystrzeliła na spotkanie potężnej wampirzej graby. Palce złożyły się w gest, a w myślach padło słowo *Aura*, co oznaczało *powiew*. Gdy obie kończyny zetknęły się, z ludzkiej dłoni błysnęło światło. Ramię bestii z gigantyczną siłą odbiło się w bok, za plugawe cielsko. Wściekły ryk oznajmiał, że nagłe odrzucenie łapy i przeciążenie, któremu uległa, spowodowały zerwanie kilku ścięgien i mięśni.

Witeldon zrobił wypad do przodu z zamiarem wbicia miecza w pierś *Patiensusa*. Chwytając oburącz za rękojeść świętej relikwii, rozdarł ciało potwora. Jednak ten nawet nie zauważył rany i pazurami lewej łapy

zamierzył się na swojego nemezis. Sługa Boży odskoczył i szybkim ruchem dźgnął atakującą kończynę. Potwór sapnął, cofnął jedną z nóg i lekko przysiadł, zupełnie jakby szykował się do biegu. Wtem jego łeb rozbłysł. Lydia włączała się do starcia i strzelała pociskami, które eksplodując rozświetliły czerep potwora. Minęła dopiero piąta sekunda walki. Salwa nastolatki nie wyrządziła nosferatu praktycznie żadnej szkody. Lecz nie to było intencją uczennicy. Chciała ogłuszyć przeciwnika.

Dziewczyna szybko podbiegła do walczących. W jej dłoniach błyszczały krótkie miecze. Dynamicznie naskoczyła na łapę bestii i trzema krokami wspięła się na twarde niczym skała ramię. Dzięki temu mogła wzbić się w powietrze, wykonać salto w tył i z wielką siłą kopnąć opancerzoną stopą w czaszkę potwora. Pomiot mroku zarzucił łbem i spróbował zmiażdżyć natrętą małolatę. Odskoczyła z gracją, robiąc kolejne salta. Drapieżnik pragnął pochwycić ją w szpony, a zasięg jego ramion był fenomenalny. Jednak ten zamiar został zdławiony w zarodku, gdy Witeldon zatopił *Catherine* w muskularnym barku bestii.

Jakimś sposobem *Patiensus* uwolnił się od miecza i zasypał Inkwizytora lawiną ciosów. Mężczyzna, starając się utrzymać tempo walki, część z nich odparował, a kolejnych udało mu się uniknąć. Zepchnięty do defensywy nie czuł jednak strachu. Cierpliwie czekał na odpowiedni moment. Kątem oka widział, że przeciwnik chciał go zranić w bok. Nie pozwalając mu na to, zrobił wymach mieczem w prawo i przeciął bestii lewą łapę. W tej samej chwili dziewczyna, uzbrojona w dwa sztylety, znalazła się za jej plecami. Goliat zawył z bólu, gdy błyszcząca energią stal brutalnie okaleczyła jego uda. Widząc to, Witeldon zamachnął się i ciął mieczem od dołu, celując w gardło *Patiensusa*. Potwór zdążył się uchylić i hiperostra broń zagłębiła się w jego ramię, przecinając obojczyk. Następny piruet Inkwizytora sprawił, że zadany z mistrzowską precyzją cios rozorał pachwinę wampira. Lydia nie czekała biernie. Przeskoczyła pomiędzy nogami bestii i cięła je od tyłu na wysokości kolan. *Patiensus* padł, lecz był daleki od śmierci. Szybkim wymachem uderzył mężczyznę, który akurat przygotowywał się do przebicia mu łba. Smgnięcie odrzuciło Witeldona na kilka metrów, a *Catherine* wypadła z jego dłoni.

Przecięte ścięgna szybko się goiły. Po kilku sekundach przybysz z innego wymiaru twardo stał na obu łapach. Z morderczym animuszem ruszył do walki, tym razem z młodą duszą. Uczennica doskonale wiedziała, że nie może

dać się trafić. Jej ciało nie było tak odporne jak Mistrza, a cielesna powłoka nie regenerowała się tak jak Witeldona. Zbroja dziewczyny, choć wyjątkowej jakości, była bez szans z pazurami i kłami monstrum. Tak oto piękna i bestia zostali uwięzieni w tańcu na śmierć i życie.

Piruety, salta, przeskoki i inne akrobatyczne sztuczki ratowały życie Lydii. Ilekroć krwiopijca atakował, finezyjnymi unikami udawało się jej trzymać dystans. Krótkie miecze kęsały za każdym razem gargantuiczne łapy, zanim te były gotowe do kolejnego ciosu. Patiensus nacierał niczym wściekły, wykorzystywał siłę i szybkość. Nie dbał o rany. Każda nowa szrama będąca efektem ciosów dziewczyny zasklepiała się błyskawicznie. Mało jest jednak rzeczy, które można było nazwać wiecznymi. Szala w tym starciu musiała w końcu przechylić się na czyjąś korzyść. Lydia mimo swojego wyszkolenia i sprawności była tylko człowiekiem. Jej tempo walki, choć niezwykle i nieosiągalne dla innych ludzi, nie było w stanie dotrzymać kroku możliwościom bestii.

Krwiopijca ciął od boku. Stojąc twardo na nogach, próbowała przechylić się do tyłu i ustawić tors pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Dzięki temu uszła cało śmiertelnemu zagrożeniu. Przeprowadził kolejny atak. Potężny cios z dołu, gdyby trafił, rozłupałby delikatne ciało na części. Dziewczyna wyskoczyła w górę i, robiąc w powietrzu przewrót, zdołała ostrzami sparować cios. Ostre jak brzytwa pazury Nosferatu ześlizgnęły się z mieczy Lydii, lecz impet ciosu sprawił, że dziewczyna poleciała jakby ktoś cisnął nią jak szmacianą lalką. Z wielką siłą uderzyła o kamienną podłogę i sunęła po niej przez kilka metrów. Straciła oddech, a mgławica mroczków wypełniła jej oczy. Mimo tego słyszała biegnącą na nią bestię. Na szczęście nie upuściła swoich kling. Za sprawą magnetycznych uchwytów wciąż tkwiły w dłoniach. Zdołała unieść ciało do pozycji pólężącej. Patiensus zawisł nad nią, szykując się do zadania kolejnego ciosu. Wysoko zadarła głowę, by móc zobaczyć potwora. Patrzyła na cielsko zbudowane z grubej skóry, poprzerastanych mięśni, i czuła, że jej czas właśnie się kończy. Same ramiona miał dwa razy grubsze niż ona talię. Tors wyglądał niczym wrota katedralne. Pysk wypełniały gniew i duma, a z oczu wylewała się żądza mordy. Mowa ciała bestii zdradzała, że czuje się zwycięzcą. Dla kogoś stojącego u wrót śmierci nawet najkrótsze chwile mijają w ślimaczym tempie. Kiedy kończyły krwiopijcy zaczęły opadać, Lydia nie spuściła wzroku. Była z siebie dumna, w końcu wytrzymała cztery sekundy z przeciwnikiem, którego żaden

człowiek nie miał prawa pokonać w pojedynkę. Los miał jednak wobec niej inne plany. Zaskoczona usłyszała ryk, a po chwili ujrzała fontannę krwi. Za bestią stał Witeldon Walszarti. Na jego twarzy malował się wielki niesmak i poirytowanie. W rękę trzymał *Catherine*, zanurzoną po sam jelec w plugawym kręgosłupie Patiensusa.



- Dzieci się nie bije - wycedził przez zaciśnięte zęby i zmienił ustawienie dłoni na rękojeści.

Z niewielkim wysiłkiem, wspomagany przez ulepszone ciało, przeciął kręgi, kości, narządy i skórę plugawca. Ostrze miecza wyszło bokiem, a krew

i flaki wylały się na zewnątrz. Nosferatu opadł na kolana, targany konwulsjami. Dziewczyna poderwała się i wbiła mu w grdykę oba sztylety. Członek Świętego Oficjum zadał kolejny cios. Tym razem w ramię. Jego miecz zatrzymał się na kości Patiensusa, który kolejny raz udowodnił, że ma niespotykane zdolności regeneracyjne. Przecięty kręgosłup zrósł się w ciągu kilku sekund, a posoka przestała wypływać z ciała i wsiąkać w ziemię. Pijany z bólu i złości, z szybkością błyskawicy sprawną łapą złapał Lydię za pierś. Dziewczyna przebiła jego kończynę ostrzami sztyletów. Nie mogąc jej zmiążyć, Nosferatu ogłuszająco zaryczał. Cios pokaleczył większość jego ścięgien. Czuł, że uścisk słabnie, więc z niewiarygodną siłą odrzucił kobietę w przeciwległą część jaskini. Uderzyła o ścianę i nieprzytomna osunęła się na ziemię. Nad nią wisiał na łańcuchu betonowy blok. Zataczając się, stanął frontem do tego, który sprawił mu tyle niewygód i był jego prawdziwym celem. Odskoczył lekko w tył i z wrzaskiem ruszył do walki.

Mężczyzna trzymał *Catherine* pochyloną w dół, więc cios też wykonał z tej pozycji. Na przekór wszelkim prawom natury wampir przekręcił tors, unikając w ten sposób ataku. Jego szpon mignął niczym spadająca gwiazda. Inkwizytor odskoczył w bok, a robiąc piruet, zadał bestii kolejny ból. Pchnął mieczem, przebijając żebro i zanurzając oręż w ciele potwora. Celem było czarne serce wampira. Patiensus nie bał się ran, lecz wiedział, że jedno ze swoich dwóch serc stracił w poprzednim starciu i teraz nie mógł sobie pozwolić na kolejną ofiarę. Wykonał obrót i zajął pozycję przodem do człowieka. Ostatnie dźgnięcie pozostawiło w jego piersi niewyobrażalną ranę. Bydlak miał przebite ciało, rozszarpane płuco i litry posoki na ziemi, a mimo tego zdołał chwycić Inkwizytora za rękę, w której ten trzymał miecz, i próbował dźgnąć go w bok szponem. Ogromną łapą zaatakował klatkę piersiową i bark mężczyzny.

Martyris dzielnie powstrzymywała pazury wampira, który raz po raz dźgał i szarpał, rwał i gniótł skorupę, która chroniła Człowieka z Wyobraźnią. *Dlaczego ta wściekła małpa nie urwie mi po prostu głowy?* – zastanawiał się Brodac. Kolejny cios sprawił, że pancerz pękł, a czaszka Witeldona odskoczyła lekko do tyłu od uderzenia. Zmarszczył brwi. Wydawało mu się, że w jednym z bocznych tuneli dostrzegł światło, powoli zbliżające się do pieczary, w której walczyli. *Co znowu?* – pomyślał, lecz odpowiedź na to pytanie zostawił na później. Teraz miał ważniejsze sprawy.

- Fulgur! - krzyknął, a przez jego wolną dłoń przeleciała złota błyskawica.

Uderzyła Patiensusa, który przymierzał się do zadania następnego ciosu. Boska energia odrzuciła pomiot ciemności wiele metrów od Inkwizytora. Tym razem poraniony krwiopijca powoli stawał na nogi. Sporą część skóry miał zwęgloną. Instynktownie przechylił się w prawo i wtedy poczuł podmuch ciepła. Fragment kamiennej ściany za nim został doszczętnie rozpuszczony.

Pokaleczony, lecz nie złamany Witeldon stał, trzymając *Carine* w lewej ręce. Zadziwiła go szybkość przeciwnika. W drugim końcu jaskini leżała Lydia. Nie ruszała się. Blask narastał, a lekkie mrowienie w skroniach, które odczuwał, oznaczało, że w pobliżu pojawiła się magia. Również Nosferatu przeznaczał ten czas na rozmyślenia. Jego cel był szybszy, silniejszy i bardziej sprawny niż jakikolwiek człowiek. Władał potężnym orężem i nosił zbroję o niezwykłej odporności. Po jego stronie była również jakaś mityczna moc, z której w pełni korzystał. Nie potrafił dostrzec w nim słabości. Zatrzymał wzrok na drugiej istocie ludzkiej. Choć zwinna i sprawna, była jednak wątła i śmiertelna. W tym przypadku silniejszy bronił słabszej. Dorosły bronił swojej młodej. Klasyczny układ świata przyrody i klucz do zwycięstwa, wyrażony w najstarszym prawie drapieżnika. Zaatakuj potomka, a opiekun stada rzuci się na ratunek, całkowicie się odsłaniając.

Wbił szpony w skałę i wyrwał okazały jej fragment. Cisnął nim z furją. Witeldon spiął się, gotowy odskoczyć, lecz nie musiał. Pocisk poleciał wysoko nad jego głową. Nie mógłby go dosięgnąć, nawet gdyby podskoczył z wyciągniętą ręką. Niemożliwe, by krwiopijca aż tak spudłował. Nagle go olśniło. Niczym oparzony odwrócił się w stronę leżącej Lydie. Wpiął *Carine* w uprząż magnetyczną i chwycił małą, drewnianą klepsydrę z kryształowymi pojemnikami.

Odgadł zamiary stwora. Rzucony przez niego gład przeciął łańcuch, który utrzymywał betonowy blok. Grawitacja i ciężar zrobiły resztę. Prostopadłościan zaczął spadać na leżącą bez ruchu dziewczynę. Jednak zegar piaskowy, posłany przez Inkwizytora, też zrobił swoje. Gdy tylko wylądował obok nieprzytomnej, natychmiast ustawił się w pozycji pionowej. Piasek w środku rozblęsnął błękitnym światłem. Wielki blok zawisł metr nad uczennicą niczym zamrożony. Czas wokół Lydie stanął w miejscu.

Klepsydrę napełniono prochami Świętego Borta, zwanego Ojcem Czasem. Ponad osiem tysięcy lat temu Bort Fiodorov stąpał po powierzchni Ziemi. Śmiertelnik spędził całe życie badając zawiłości takich zjawisk jak

przemijanie, wieczność oraz właśnie czas. Po bogobojnym badaczu zachowało się wiele prac i esejów, a wyniki prowadzonych przez niego eksperymentów stanowiły źródło inspiracji nawet dla wielkich Magów i Inkwizytorów. Gdy zmarł, a jego ciało poddane zostało kremacji, obecni na pogrzebie przedstawiciele Świętego Oficjum i Kręgów Magicznych wyczuli dziwne anomalie. Przeprowadzone analizy i testy doprowadziły ich do niesamowitego odkrycia. Prochy Fiodorova, przy odpowiedniej koncentracji i pobudzeniu, zatrzymywały czas w swojej bliskiej przestrzeni. Kościół Stwórcy okrzyknął to łaską Bożą i cudem, dlatego kanonizacja uczonego przebiegła szybko i sprawnie. Inkwizycja pozwoliła sobie przywłaszczyć pozostałości czcigodnego Borta i zrobiła z nich tuzin małych klepsydr, będących swoistymi emiterami czasowymi, zamrażającymi wszystko wokół, gdy zostały poprawnie aktywowane. Do czasów dzisiejszych pozostało jedynie pięć relikwii, z czego jedną miał Witeldon.

Widząc że jego uczennica jest niezagrożona, mógł skupić się na Patiensusie. Gdy odwrócił się w jego stronę, dotarło do niego, że potwór zastosował fortel. Nosferatu znajdował się w powietrzu i leciał w jego kierunku z siłą meteoru. Rozstawił szeroko ramiona, a otwarte szpony gotowe były chwycić go w objęcia śmierci. Człowiek z Wyobraźnią zrozumiał, że został przechytrzony przez potwora. Na końcu języka miał paskudne przekleństwo.

Krwio pijca nie dotarł jednak do Witeldona. Roztrzaskał się o półprzezroczystą, mleczną sferę, która uformowała się wokół Inkwizytora. Z gardła pomiotu wydobył się wrzask niedowierzania. Również wysłannik Świętego Oficjum nie bardzo rozumiał, co się stało. Ignorował fakt, że bydlę z nieprzebraną furią próbowało rozszarpać osłaniającą go barierę i zastanawiał się, jakim sposobem uniknął ataku. Jego uwagę przykuło gwizdnięcie. Spojrzał na bok. W tunelu, w którym wcześniej zauważył światło, stała mała przygarbiona kobieta, ubrana w pobrudzone ziemiste szaty. Pomarszczona twarz i siwe włosy zdradzały zaawansowaną starość, której nie mogła już ukryć magią, a nie ulegało wątpliwości, że nią władała. Prosty, drewniany kostur, na którego wierzchołku błyskało jasne światło, tylko to potwierdzał.

- Ja odciągnę dziewczynę, a ty zabij tego diabła - krzyknęła. Głos miała ni to piszczący, ni chrypiący. Pochyliła się, niemal klękając. Zdawać się mogło,

że całym ciężarem oparła się o wysłużoną laskę. – Przygotuj się – jęknęła. – Nie utrzymam go.

Witeldon był gotowy. Cofnął się i chwycił miecz ostrzem do dołu. Z doświadczenia wiedział, co robi Patiensus. Teraz to człowiek chciał zaskoczyć bestię. Bańka ochronna rozmyła się i pękła, gdy wiedźmie zabrakło zdolności i koncentracji. Pomiot ciemności wylądował pewnie na nogach. Złość i szal całkowicie wzięły go we władanie. Wyciągnął łapy przed siebie i rozstawił szpony, wyprowadzając potężny atak. Wszystko, co było później, działo się błyskawicznie.

Inkwizytor wykonał obrót mieczem, biorąc przy tym zamaszysty wypad. Hiperostra krawędź przecięła skórę i kości wampira, odrzynając mu łapy na wysokości nadgarstków. Piruetem, mężczyzna zbliżył się do nacierającej bestii. Będąc w połowie akrobacji, ustawiony tyłem do niego wiedział, że bydlę nie ma go czym pochwycić ani zamknąć w uścisku. *Catherine* zanurzyła się w brzuchu Patiensusa. Tkwiła w nim, znacząc swój krwawy ślad tak długo, ile trwał obrót Witeldona. Kiedy wyciągnął miecz ze szkarłatnych odmętów, stanął przodem do potwora, po jego lewej stronie, niemal się z nim równając. Dłoń mężczyzny powędrowała w okolice pasa.

Zaskoczony i poraniony drapieżca ukląkł, pochylając się. Ostatni cios zniszczył niemal wszystkie jego narządy i mięśnie torsu. Dysząc, spojrzął na człowieka i w tym momencie ujrzał zbliżające się dwa stalowe węże. *Carine* weszła tak głęboko w oczodół, że resztki oka spłynęły po jego mordzie. Przedstawiciel Świętego Oficjum mierzył się z determinacją niedoszłego zabójcy, który nie bacząc na pistolet wbity w mózg, pochylił łeb tak, by sprawnym ślepiem spojrzeć głęboko w duszę niedoszej ofiary. Nie dostrzegł tam nic prócz śmierci. Swojej śmierci. W ten sposób myśliwy stał się zwierzyną.

Kiedy ludzki palec pociągnął za spust, z każdego otworu czaszki wystrzelił ogień. Fala ciepła przeszła po topniejącym, rozpuszczanym gardle, rozděła tors, który otworzył się na wszystkie strony, buchając żarem i parującymi flakami. Witeldon wyszarpnął wynalazek Ikariusza i zamocował go na magnetycznej uprząży pancerza. U jego stóp padło zmasakrowane cielsko najgroźniejszego wampira wysokiego, który w ten sposób złożył niemy hołd, uznając jego supremację. W świecie zwierząt i ludzi przetrwa tylko najsilniejszy. Mężczyzna nie poświęcał zwłokom dodatkowej uwagi.

Skupił ją na unoszącym się w powietrzu ciele Lydii. Stara kobieta zbliżała się do niego wolnym krokiem.

- Połóż ją - rozkazał Inkwizytor. W dłoni wciąż trzymał miecz, a umysł opracowywał plan neutralizacji czarownicy.

Gdy odległość między nimi wyniosła mniej więcej półtora metra, staruszka złożyła dziewczynę na ziemi i uważnie się jej przyglądała.

- Żyje - powiedziała słabym głosem.

Witeldon otworzył szeroko oczy. *Ona jest ślepa? Może szalona?* Nie rozumiał, dlaczego się go nie bała i przede wszystkim, dlaczego mu pomogła. Nim otworzył usta, nieznajoma odezwała się ponownie.

- Nie ma obrażeń wewnętrznych - orzekła eksperckim tonem. Jak lekarz, który diagnozuje pacjenta. - Wszystkie kości są całe. Uderzenie o ścianę, którego doświadczyła, jak mniemam, sprawiło, że straciła przytomność - przeniosła wzrok na Brodacza. Uśmiechnęła się. - Mogę ją ocucić, choć ewentualny wstrząs mózgu to sprawa, którą musiałabym się zająć osobno.

Nic nie mówił, przyglądał się jej. Wątlej budowy ciała i nikłego wzrostu, niewiele ponad półtora metra. Lekki garb jeszcze bardziej ją zmniejszał. Miała pomarszczoną skórę i średniej długości siwe włosy w całkowitym nieładzie, wyraźnie przetłuszczone. Na twarzy, przeoranej pługiem czasu, widział przyjazne rysy. Oczy koloru pospolitej zieleni śmiały się wesoło. Słabe dłonie o drżących palcach zaciskały się na kosturze wykonanym z korzenia jakiejś podziemnej rośliny. Na jego szczycie zainstalowano żelazną kulę pełniącą rolę magicznego katalizatora. Absolutne minimum dla magów niskiej kategorii. Ubranie w kolorze jasnego błota związała w kilku miejscach, by ułatwić poruszanie. Sądząc po wyglądzie i po tym, jak długo zatrzymywała Patiensusa, wysnuł hipotezę, że może mieć maksymalnie około trzystu lat.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał. Nie wiedział, po co nawiązał dialog. Nie uważał jej za zagrożenie. W swoim życiu zgładził o wiele potężniejszych czarnoksiężników, którzy często działali w grupach. - Po co stanęłaś po mojej stronie?

Uśmiech na jej ustach poszerzył się. Dostrzegł proste, białe zęby.

- Ponieważ ty, młodzieńcze, pierwszy okazałeś mi wielką pomoc.

- Nie jestem młodzieńcem - warknął w przypiływie irytacji. - Jaką znowu wielką pomoc?

Ruchem głowy wskazała na resztki wampira, w których tlił się jeszcze żar.

- Od kilku dni ten bydlak szalał po całym Podmieście i zabijał wszystko, co spotkał na swojej drodze - wyraźnie posmutniała. - Ci, którzy leżą tu, to nawet nie połowa jego ofiar. Plemię, które nadzoruję, straciło ponad osiemdziesięciu członków.

- Nadzorujesz?

Kącik jej ust lekko zadrgał.

- To długa historia - palcem mierzyła w symbol na jego piersi. - Twoja opowieść pewnie również do krótkich nie należy. Inkwizycja, jak mniemam?

Mężczyzna odwrócił się i uklęknął przed uczennicą.

- Nie twoja sprawa.

Pochyliła się, a światło kostura błysnęło mocniej.

- Mogę się tym zająć...

- Ja również - uciał, przesuwając rękę tak, by nieznajoma lepiej widziała *Catherine*.

Staruszka nie ciągnęła dalej dyskusji. Możliwe, że zrozumiała ukrytą wiadomość albo skupiła się na tym, co zamierzał zrobić. Może pogrążyła się w myśleniu o tym, jak blisko była swojej śmierci, albo po prostu nie miała nic do powiedzenia. Człowiek z Wyobraźnią wyciągnął dłoń i położył ją na czole nieprzytomnej dziewczyny. Wolnymi, dokładnymi ruchami palców nakreślił na jej skórze skomplikowany symbol. Złota aura rozgorzała tam, gdzie ją dotykał. Po wszystkim cofnął dłoń i wypowiedział jedno słowo.

- Expergisci - co w mowie boskiej znaczyło Obudzić.

Gdy wyrysowane przesłanie zniknęło, niczym zdmuchnięte na wietrze, Lydia otworzyła oczy. Mrugając intensywnie, rozglądała się.

- Patiensus! - krzyknęła. Szybko usiadła i próbowała stanąć.

- Zabity - twardo odparł Mistrz i złapał ją za ramię. - Wniosłaś w to swój wkład.

Pokręciła przecząco głową.

- Nieprawda - pisnęła, gdy pomagał jej wstać. - Znów wszystko przespałam i gdyby nie Mistrz, kiepsko by to wyglądało - fuknęła, tupnęła i dla efektu założyła rękę na rękę.

Tylko westchnął. Zauważył, że dziewczyna zarejestrowała, że pierwszy raz od wielu godzin znajdują się w dziennym świetle. Spojrzała za niego,

gdzie stała staruszka.

- Witam - rzuciła wyraźnie zmieszana, niepewna.

- Witam - powtórzyła starowinka, uśmiechając się kolejny raz. Musiało to być częścią jej natury. - Chyba najwyższy czas się sobie przedstawić - ręką dotknęła swojej klatki piersiowej i ukłoniła się. - Nadia Jutopa.

- Lydia - odpowiedziała młoda dusza i kiwnęła głową.

Zielonkawe oczy wpatrywały się w plecy Inkwizytora, aż ten w końcu stanął bokiem do obu kobiet. Swoje martwe spojrzenie zakotwiczył w nowo poznaną. Westchnął.

- Witeldon Walszarti.

Szok na pomarszczonej twarzy był doskonale widoczny.

- Ten Witeldon Walszarti? - zakrzyknęła w emocjach. - Pamiętam ciebie z czasów, zanim utknęłam tutaj wiele lat temu - przechyliła głowę z zaciekawieniem. - Żadna rysa, zmarszczka, siwy włos... Nic - nie mogła się nadziwić. - Jak?

Przewrócił oczami. Zaczynało go to męczyć. Schował miecz do pochwy na plecach, przekonany, że gdyby nawet zaszła potrzeba unieszkodliwienia wiedźmy, to nie będzie mu on potrzebny.

- Czas jest dla mnie niebywale łaskawy - wycedził każde słowo.

Nadia zaczęła śmiać się chrypliwie, lecz zamilkła widząc jego minę.

- Przepraszam - szepnęła. - Nieczęsto zdarzają się tutaj podróżnicy, jak się pewnie domyślasz. Choć nie tak dawno przez terytoria, w których żyję, przechodził inny mężczyzna z symbolem identycznym jak twój.

Witeldon zbliżył się do kobiety i złapał ją za ramiona. Zmieszana, lecz nie przestraszona, puściła swój kostur, który za sprawą lewitacji wciąż stał prosto.

- Kiedy i gdzie on teraz jest? - stał w jego głosie zdradzała, jak wielką wagę miała dla niego ta informacja oraz jak bardzo zależało mu na czasie.

Nowo poznana nie zmieniła swojego przyjaznego wyrazu twarzy.

- Aleś w gorącej wodzie kąpany. Widać, że młoda krew wrze - zażartowała z przekąsem, lecz widząc w jego oczach ogień równający się temu, który płonął na stosach, odchrząknęła i mówiła dalej. - Lekko ponad dwie doby temu. W przeciwieństwie do was był mało rozmowny i zastrzelił jedną kobietę z plemienia. Czy możesz mnie już puścić? - zapytała i dotknęła jego opancerzonych rękawic.

Niechętnie przystał na prośbę i cofnął się o krok. Stał na baczność, pewnie, a kobieta kontynuowała.

- Mogę go zrozumieć, bo działał w obronie koniecznej, lecz potem zabijał z zimną krwią i nawet powieka mu nie zadrżała, gdy wycelował we mnie.

- Jak w takim razie przeżyłaś? - to go również zaciekawiło. Nawet ktoś bez inkwizytorskiego mandatu, lecz służący na odpowiedniej pozycji w Świątym Oficjum, miał dostęp do sprzętu przydatnego w walce z magami.

Blady uśmiech był dobrze widoczny na jej ustach.

- Kula spudłowała, a ja zdążyłam zawalić przejście - rzekła dumnie. - Podsluchując go z pomocą magii zrozumiałam, że bełkotał coś o jakichś bramach.

Buzia Lydii rozpromieniała w grymasie zadowolenia.

- Ooo! - parsknęła Nadia. - Ktoś tu chyba wie, o czym mówimy - zauważyła z dziecinną radością.

Człowiek z Wyobraźnią posłał uczennicy zabójcze spojrzenie, a ona oblała się rumieńcem.

- Wiesz, dokąd poszedł? - w pytaniu nie było zbyt wiele grzeczności.

Kiwnęła głową.

- Owszem. Notabene najkrótsza droga prowadzi przez wioskę, w której mieszkam - klasnęła w ręce i chwyciła ponownie swój kostur. - Mogę was zaprowadzić.

Lydia wpatrywała się w ponure oblicze nauczyciela. Niczym zimna, hartowana stal, nie poruszył się przez długą chwilę. Wypuścił powietrze z płuc i z rezygnacją kiwnął głową.

- Dobrze. Prowadź zatem - powiedział, wskazując tunel, z którego wyszła. Założył, że właśnie tam będą się kierować. Zignorował ekscytację i radość protegowanej, a oczami cały czas omiatał wiedźmę, która stała z krzywym uśmiechem.

- Jakies pytania? - zagrzemiał. Stara kobieta swoim zachowaniem w niewielkim stopniu przypominała Vivienne. Zastanawiał się, czym zgrzeszył, że musiał spotkać takie wydanie wiedźmy.

- Jest w tobie tyle samo rezygnacji, co determinacji. Mieszanka w nietypowych proporcjach, jak na kogoś, kto pewnie zwiedził w życiu niemało świata.

To zdanie wystarczyło, by drgnęła mu brew.

- Dlaczego tak sądzisz?

Nadia z przekąsem uniosła jeden z kącików ust.

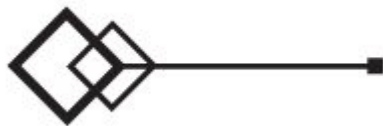
- Na dalekie podróże trzeba uzbroić się w optymizm i myśleć o wszystkim, co nas może spotkać w drodze - rzekła i ruszyła przed siebie, wspierając się kosturem. - Nie można pozwolić, by mrzonki i detale przysłoniły nam ogrom tego, co możemy osiągnąć.

Inkwizytor przeciągnął dłonią po twarzy.

- Zarówno podróż do sąsiedniego pokoju, jaki i na drugą półkulę zawsze zaczyna się od pierwszego kroku - rzucił w stronę oddalającej się niespiesznie staruszki. Ruchem głowy nakazał Lydii zrobić tak samo.

To się robi aż nazbyt ciekawe - westchnął do swoich myśli.

ROZDZIAŁ XXIV



LUDZKOŚĆ TO CHÓR SKŁADAJĄCY SIĘ Z WIELU DUSZ. JEDNAK CHOĆ GARDEŁ SĄ MILIONY, TO RODZAJÓW GŁOSÓW TYLKO KILKANAŚCIE. RZESZE CZŁOWIECZE ZAWSZE CHCĄ TEGO SAMEGO, IDENTYCZNIE ŚPIEWAJĄ PIEŚNI. MUZYKA NIESIE ZE SOBĄ PRAGNIENIE WŁADZY, SŁOWA UŚWIADAMIAJĄ, JAK BARDZO KAŻDY ŚNI O PIĘKNIE I DOSKONAŁOŚCI, A ZMIENIAJĄCE SIĘ TONACJE ODDAJĄ POGOŃ ZA NIEDOŚCIGNIONYMI TRENDAMI, TYM CO MODNE I POPULARNE. Z MORZA LUDZKICH ŻĄDZ WYŁANIAJĄ SIĘ INDYWIDUA, KTÓRE PRAWIĄ PŁOMIENNE PRZEMOWY I ZYSKUJĄ SVOICH WYZNAWCÓW. IDEA, KTÓRA ŁĄCZY TYCH LUDZI, JEST JEDNĄ Z WIELU.

TAK RODZĄ SIĘ PARTIE POLITYCZNE, TWORZĄ STANOWISKA DOTYCZĄCE OKREŚLONYCH ZAGADNIENÍ I PROBLEMÓW. ROZKWITA NIENAWIŚĆ I PRZEKONANIE, ŻE RACJĘ MAMY TYLKO JA I LUDZIE WYZNAJĄCY MOJE POGLĄDY. TYLKO MY CHCEMY DOBRZE, INNI ŹLE. TYLKO MY URATUJEMY PAŃSTWO, KRÓLESTWO CZY ORGANIZACJĘ. POZOSTALI JE ROZKRADNĄ I POGRAŻĄ.

ZASŁEPIENIE, KTÓRE CIEMIEŻY CZŁOWIEKA, BYWA NAPRAWDĘ ZADZIWIAJĄCE. NIE DZIAŁAJĄ NA NIE ŻADNE ARGUMENTY, ŻADNA LOGIKA I DOWODY NIE MAJĄ WPLYWU. GRUPA DAŻY DO POSIADANIA MONOPOLU RACJI WE WSZYSTKIM. DO TEGO, BY BYĆ ZBAWICIELEM, LECZ ZAWSZE OSTATECZNIE WYSTĘPUJE W ROLI POTĘPIAJĄCEGO. SUGESTIA PRZERADZA SIĘ W ROZKAZ, A OBSERWACJA W KONTROLĘ.

NAJTRUDNIEJ NIE JEST WCALE DOSTAĆ SIĘ NA PRZYSŁOWIOWY STOŁEK. SIEDZENIE NA NIM RÓWNIEŻ DO NAJCIEŹSZYCH NIE NALEŻY. TO, CO NAJBARDZIEJ BOLI, POJAWIA SIĘ W MOMENCIE, GDY TRZEBA Z NIEGO ZEJŚĆ. DO WŁADZY ŁATWO SIĘ PRYZYWCZAIĆ, LECZ CIĘŻKO JĄ ODDAĆ. POTĘGA PROWADZI DO KORUPCJI – CIELESNEJ I DUCHOWEJ. KTOŚ MÓGŁBY ZAPYTAĆ, DLACZEGO TAK SIĘ DZIEJE? OTÓŻ ŻYCIE KAŻDEGO CZŁOWIEKA PODZIELIĆ MOŻNA NA TRZY ETAPY:

KIEDY MYŚLI, ŻE MOŻE ZMIENIĆ ŚWIAT.

KIEDY DOSTRZEŻE, ŻE ŚWIATA NIE MOŻE ZMIENIĆ.

KIEDY ZROZUMIE, ŻE TO WŁAŚNIE ŚWIAT ZMIENIŁ JEGO.

UŻYTE POWTÓRZENIA MAJĄ PODKREŚLIĆ TOKSYCZNĄ RELACJĘ, KTÓRA ZACHODZI POMIĘDZY LUDZKĄ DUSZĄ A ZIEMSKIM PADOŁEM. ZA MŁODU NIEMAL KAŻDY JEST IDEALISTĄ. Z WIEKIEM STAJE SIĘ CORAZ WIĘKSZYM REALISTĄ. WIELU KOŃCZY SWÓJ ŻYWOT JAKO PESYMISTYCZNY MYŚLICIEL I TWÓRCA. W INKWIZYCJI, NIESTETY, RÓWNIEŻ ZACHODZI TO ZJAWISKO. W KOŃCU MY TEŻ

JESTEŚMY LUDŹMI. TEN, KTÓRY ZA MŁODU NIE WIERZY W BOSKĄ SPRAWIEDLIWOŚĆ, NIE MA BOGOBOJNEGO SERCA. TEN, KTÓRY POMIMO STAROŚCI CIĄGLE PRZY NIEJ TRWA, NIE MA ROZUMU. ŚWIĘTE OFICJUM NIE RAZ I NIE DWA BRUKAŁO SWOJE CZCIGODNE ZADANIE, WIKŁAJĄC SIĘ W NIEGODNE WEWNĘTRZNE ROZGRYWKI. OSOBIŚCIE UWAŻAM, ŻE SAM STWÓRCA RONI GORZKIE ŁZY WIDZĄC, ŻE ZA NASZE BŁĘDY NIE PŁACIMY MY, LECZ NIEPRZELICZONE MILIONY POD NAMI. CORAZ WIĘKSZA GORYCZ MUSI W NIM WZBIERAĆ, BO PRZECIEŻ ON SAM BYŁ ARCHITEKTEM TAKIEGO UKŁADU...

FRAGMENT „BOLAĆCEJ PRAWDY” AUTORSTWA INKWIZYTORA KOLIORUSA BETERAZZIEGO, NAJBARDZIEJ ZNANEGO Z ZAKOŃCZENIA PIERWSZYCH WOJEN INKWIZYTORSKICH.

Nadia zdziwiła się kolejny już raz. Jej wiecznie śmiejące się oczy błyszczały od światła kostura.

- Naprawdę?! Trzech jednym ciosem?

Młoda dziewczyna kiwnęła energicznie głową.

- Zgadza się. Wtedy to był mój dzień - mówiła, prezentując uśmiech w całej swojej krasie.

Człowiek z Wyobraźnią już po raz siedemdziesiąty drugi wypuścił przeciągle powietrze nosem. Troje ludzi maszerowało już od godziny. Kobiety szybko znalazły wspólny język. Nie zabronił uczennicy rozmawiać z wiedźmą. Zdolności magiczne staruszki były tak wątle jak jej ciało. W jego mniemaniu nie stanowiła zagrożenia, które mogłoby sprawić im problem. Musiał przyznać, że dialogi kobiet były męczące, lecz mimochodem mógł się z nich dowiedzieć wielu rzeczy o nowej towarzyszce, choć ich rozmowa dotyczyła głównie wspomnień Lydii, w których dziewczyna całkiem barwnie opisywała swoje dokonania i umiejętności. Kontrastowało to ze spokojnymi i wyważonymi opowieściami staruszki o życiu w Podmieście, przetrwaniu i miejscowych cudach.

- Jak się tutaj tak naprawdę znalazłaś? - zapytał.

Baśnie baśniami, lecz jego interesowały fakty. Przekrzywiła głowę lekko w bok.

- No cóż, żeby nie zanudzać was historią prawie trzystuletniego żywota, postaram się wydobyć samą esencję - ziewnęła. - Gdy miałam dwadzieścia siedem lat, wraz ze swoim mistrzem Ikriem Saubatem zostałam przydzielona do ekspedycji prowadzonej przez archeotechnologa Vixiusa Ruspa.

- Magowie ramię w ramię z Inżynierami? No, no... - wtrącił z cynizmem w głosie.

Parsknęła rozbawiona.

- Czasem nam się to zdarza. Oni w przeciwieństwie do niektórych nie szukają byle pretekstu do palenia nas na stosie - odgryzła się przytomnie.

Tym razem Witeldon parsknął, lecz niezrażona czarnoksiężniczka kontynuowała.

- Było nas dziesięcioro i na początku szło nam całkiem dobrze. Przeszliśmy przez Zaginione Miasto do Kościstych Katakumb, a później zanurzyliśmy się w Przerdzewiałe Jamy.

Inkwizytor kiwnął głową na znak, że wie, o czym kobieta mówi. Tamta wyprawa poszła w przeciwnym kierunku niż oni. Wymienione miejsca w Podmieście również robiły wrażenie. Wielkie pieczary w całości wykonane z pomarańczowego, sypkiego narzutu skalnego. Każdy ogromny gład i maleńki kamyk odznaczały się ogromną zawartością żelaza. Utlenione tworzyły charakterystyczny wygląd tamtych lokalizacji.

- Chcieliście dojść do Obelisków? - wtrącił.

- Nie. Inżynier Nublios zlecił Vixiusowi zbadanie kryształów i formacji skalnych, znajdujących się pod tamtymi monumentami - westchnęła i posmutniała. - Mieliśmy tam wejść jakąś inną ścieżką, lecz nasze plany znacznie się skomplikowały.

- Co się stało? - zapytała uczennica.

- Dopadły nas szcuroczłeki - szepnęła i na chwilę zamilkła. - To była zasadzka. Nie pomogły wykrywacze ani skanery, bo wszędzie było zbyt dużo metalu. Fale magnetyczne wyczuwałam nawet magią. Umysły czarnoksiężników takich jak ja czy Ikriem również były bezużyteczne. Te włochate istoty władają prymitywną i podstawową formą telepatii. Jednak gdy występują w tysiącach, to mogą generować naprawdę potężne efekty.

- To musiała być szybka akcja - stwierdził Inkwizytor, schylając głowę, żeby nie zaryć o skałę wystającą ze sklepienia tunelu.

Nadia zaśmiała się, choć nie można było doszukać się w niej wesołości.

- Archeotechnolog wraz z czwórką pomocników leżeli martwi. Przebito ich jakimś kryształowymi pociskami - jej oczy błyszczały od tych wspomnień. - Sekundę później zdołaliśmy postawić wokół siebie barierę ochronną. Pozostali słudzy z Korpusów Inżynieryjnych obrzucili szarżujące szkarady ładunkami wybuchowymi i plutonowymi - wzruszyła rękoma. - Nie pozostało nam nic innego jak uciekać.

- Szanse na ucieczkę były zerowe, zdajesz sobie sprawę - rzucił.

Staruszka kiwnęła głową.

- Szybko się zorientowaliśmy. Po kilku minutach rejterady zostaliśmy tylko ja i mój mistrz. Spróbowaliśmy się teleportować.

Witeldon parsknął i spojrzał na nią z większym skupieniem.

- Nie myśl, że dam się na to nabrać. Aby mieć cień sukcesu na przeniesienie się, będąc kilometry pod ziemią, pod tyloma warstwami różnych tworzyw sztucznych i naturalnych, nie mówiąc już o występujących tu anomaliach i zakłóceniach, trzeba nielicznych przygotowań - mówiąc to, kręcił głową. - Owszem, czarnoksiężnik trzeciego albo wyższego stopnia, specjalizujący się w relokacjach, powinien sobie poradzić. Kojarzę z przeszłych czasów twojego mistrza i pamiętam, że nie posiadał on nawet ułamka tej mocy - w jego głosie pojawiła się ostrzegawcza nuta. - Jaki naprawdę mieliście plan?

Czarownica uśmiechnęła się i idąc, przez dłuższy moment, spoglądała na jego twarz. Jakby była nią zafascynowana.

- Wiesz czym są Kule Bektra?

Mężczyzna odchylił lekko głowę w geście zdziwienia.

- Oczywiście że wiem i wnoszę, że coś zakłóciło proces kalibracji.

- Dokładnie.

- O czym mówicie? - zapytała Lydia, która nie rozumiała przedmiotu rozmowy.

Odchrząknął i spróbował wyjaśnić.

- Wyobraź sobie, moja droga, sferę wykonaną z brązu, wielkości pospolitej piłki do gry nożnej. Zbudowana z metalowych płyt, które w środku konstrukcji utrzymywały mnóstwo kryształów i różnej maści minerałów - zerknął na Nadię, czy nie chce czegoś dodać, lecz kobieta akurat próbowała nie zaplątać się w korzenie wyrastające z lewej strony jaskini. - Artefakty te, niezwykle trudne w produkcji, są awaryjnymi portalami ewakuacyjnymi. Osoby władające magicznym talentem, nawet przy minimum zdolności, mogą skalibrować kulę tak, by przeniosła ich w dowolnym kierunku i wiele kilometrów od miejsca, w którym przebywali.

- Prawda - oznajmiła staruszka, ignorując kolejne westchnięcie mężczyzny. - Musisz wiedzieć, kochaniutka, że dostrajanie tego ustrojstwa trochę trwa - kiwając głową zapatrzyła się beznamiętnie w głębię korytarza.

- Zbłąkana wiązka energii, którą wypuścił w nas jakiś szczuroczłek, uderzyła w kulę i wywołała nagłą reakcję.

- Portal wyrzucił panią tutaj? - zapytała Lydia.

- Tak - potwierdziła. - Mój mistrz nie przeżył teleportacji. Zmarł natychmiast. Ja miałam mniej szczęścia - dotknęła świetlistego rdzenia kostura. - Nie wiem, jak długo błąkałam się po tych norach ze słabnącym światłem i ulatującym ze mnie życiem. Sądziłam, że umrę, lecz Stwórca miał inne plany. Natrafiłam na prymitywne ludzkie plemię, jakich tutaj jest całkiem dużo.

- Zastanawia mnie, dlaczego cię nie zabili? - Witeldon nie był człowiekiem, który przebierał w słowach, gdy chciał się czegoś dowiedzieć.

Uśmiechnęła się, co było zapowiedzią ciągu dalszego opowieści.

- Nie wszystkie szczepy są agresywne, większość ucieka przed obcymi. Przekonanie do mnie zaczęło w nich kiełkować, gdy uratowałam grupkę dzieci przed lawiną skalną, i kiedy ostrym błyskiem z kostura przegoniłam gigantyczną dżdżownicę. Małymi krokami zdobywałam uznanie i zostałam włączona do lokalnej społeczności, w której żyję po dziś dzień. Jestem kimś na kształt szamanki albo guślarki.

- Łaaa! To jak bajka ze szczęśliwym zakończeniem! - powiedziała z uznaniem Lydia.

- Interesujące - rzucił płytko Inkwizytor i zmarszczył czoło. - Wyczuwam dym i pieczone mięso - stwierdził.

Zdumiona kobieta zaciągnęła się powietrzem.

- Na Stwórcę, jakie Ty masz zmysły! Ja bym coś takiego powiedziała dopiero za jakieś pół godziny.

Jedna strona wąsa poszła do góry.

- Ja nie jestem tobą.



Ich przewodniczka nie kłamała. Mniej więcej trzydzieści minut później uczennica oznajmiła, że też wyczuwa zapach palenisk i strawy. Zbliżali się do wioski autochtonów.

- Jedna rzecz - szepnęła stara kobieta i wyciągnęła przed siebie rękę.

- Co chcesz uczynić? - zapytał gardłowym głosem Witeldon, a jego dłoń spoczęła na kaburze *Victoire*.

Lydia również spięła się, lecz z ociąganiem.

- Spokojnie. Muszę nadać wam odpowiednią aurę, nic więcej.

Jeśli chciała przekonać Inkwizytora, musiała się bardziej postarać.

- Dlaczego? - głos miał zimny jak stal.

Westchnęła i uśmiechnęła się.

- Członkowie plemienia wyczują obcych i rzucają się na was, a ja nie zdołam ich wtedy przekonać.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- I...?

Zaciekawiona przechyliła głowę.

- Ludzi zdolnych poderwać broń jest ponad stu.

Członek Świętego Oficjum westchnął.

- I...?

- Chyba zależy ci na czasie, czyż nie? - wyszczerzyła zęby. - Walka z nimi zajmie więcej niż przedostanie się dalej.

Bezduśne, czarne oczy długo ją lustrowały.

- Jest mi to obojętne, w razie czego i tak nikt nie umknie przed karą za knowania - oznajmił i machnął dłonią w geście ponaglenia. - Rób, co musisz.

Staruszka ukłoniła się lekko w podzięcie za zgodę i zaczęła przygotowania. Palce lewej dłoni złożyły się w cztery różne kombinacje. Lekka aura żółtawo-zielonkawej energii otoczyła jej rękę i zniknęła tak szybko, jak się pojawiła.

- Gotowe - orzekła, przekonana o skuteczności swojej pracy. - Teraz możemy iść dalej, zapraszam - dodała z nutą ekscytacji.

Przyspieszyła kroku, zupełnie jak ktoś, kto wie, że jego dom znajduje się za następnym zakrętem. Miejsce, które dla ludzi z powierzchni było obce i niezbadane, ona mogła określać mianem matecznika. Jej szmaciane trzewiki, którymi szurała po ziemi, kontrastowały ze stukotem metalowego obuwia członków Świętego Oficjum. Coraz to nowe bodźce docierały do trojga strudzonych podróżnych. Prócz zapachu dymu, który niósł ze sobą woń pieczystego, uderzył ich fetor ludzkich fekalii. Wyczuwali też zapach wilgotnej ziemi, na której uprawiano jakiś gatunek grzybów. Gdyby dodać do tego szczyptę smrodu gnijących resztek organicznych i sztucznych, to powstałyby specyficzne perfumy, zawierające wszystko to, z czego składała

się zacofana ludzkość. Intensywność tego miazmatu narastała z każdym kolejnym krokiem.

- No, w końcu - wyszeptał Inkwizytor.

Jego słowa były reakcją na światło, które pojawiło się za zakrętem. Padające na ścianę cienie były dynamiczne, co oznaczało, że ich właściciele byli w ruchu. Po trzystu czterdziestu ośmiu krokach znaleźli się na końcu kamiennego korytarza. Na moment się zatrzymali. Zdziwiona Lydia otworzyła usta. Mistrz nawet nie drgnął. Trudno było powiedzieć, czy to, co ujrzał, zrobiło na nim jakiekolwiek wrażenie. Nadia wystąpiła kilka metrów przed nich i zaprezentowała miejsce.

- Witam was w mojej drugiej ojczyźnie - powiedziała donośnie. - W mowie tutejszych ta miejscina nazywa się Dom.

- Jakież to oryginalnie - mruknął Brodac, a dziewczyna cicho parsknęła. Zawsze rozmieszała ją ironia jej Mistrza.

Staruszka lekko odchyliła głowę do tyłu, uśmiechając się.

- Mów co chcesz, ale miasto robi wrażenie. Teraz idziemy dalej - oznajmiła i kosturem wskazała kierunek. - Moja chata jest po drugiej stronie. Dalej pójdziecie już sami.

Ruszyli.

Choć nazwanie tego miejsca miastem było sporym nadużyciem, to jednak nie można mu było odmówić oryginalności. Wyglądało jak ze snu albo raczej koszmaru. Jaskinia miała co najmniej siedem pięter wysokości. Stworzona na planie okręgu o średnicy jednego kilometra, stanowiła szczyt osiągnięć ludzkich dłoni w Podmieście. To, jak gatunek człowieczy przeżył w tym nieprzyjaznym świecie, owiane było tajemnicą. Ba, nikt nie wie, jak się tu znalazł. Najwięcej zwolenników miała teoria, która głosiła, że wszyscy oni byli mieszkańcami Starej Ziemi sprzed Dnia Kary. Kataklizm pogrzebał niemal wszystko, a wiele dusz uwięził pod ziemią. Tysiąclecia izolacji w ciemności i walka w nowym środowisku odcisnęły na każdym srogie piętno.

Pierwsi autochtoni, jakich spotkali, podchodzili do nich z lekkim dystansem i nieufnością. Wszyscy poruszali się przygarbieni, na ugiętych nogach. Niektórzy na czworaka. Skórzane przepaski i lekkie narzuty luźno opinały blade ciała. Ich skóra była śnieżnobiała. Nie licząc zabarwień od brudu bądź kurzu, przypominała kredę. Był to efekt braku słońca. Ciała stały

się świadectwem ciężkiego życia, które wiedli. Wychudzeni i wygłodzeni członkowie plemienia obserwowali nadchodzących gości. Ich oczy przypominały czarne perły. Nienaturalnie rozszerzone źrenice, które za sprawą jakiejś anomalii genetycznej niemal całkowicie wypełniały gałki, przystosowane zostały do wyłapywania nawet najmniejszych promieni światła. Dla niewtajemniczonych mogli wydawać się opętani.

Duże stopy o dokładnie przycinanych paznokciach przystosowane były do poruszania się po twardym, lecz niepewnym gruncie. Żyłaste, silne ramiona i dłonie z długimi szponami, pokryte grubą, chropowatą skórą, musiały się świetnie sprawdzać w rozłupywaniu robactwa, które stanowiło dodatek do codziennego menu. Warte odnotowania było również to, że uzębienie mieli względnie dobrej jakości. Kolor zębów świadczył o braku higieny, lecz dieta bogata w wapń i białko, pozbawiona chemii i cukrów, pozwoliła zachować im szczęki bez większych ubytków. Włosy mieli średniej długości, innym sięgały za łopatki, często były poupinane w warkocze i przerobione na dredy. Wielu pokrywało swoje twarze symbolami, znanymi tylko ich kulturze. Witeldon naliczył, że co trzeci tubylec trzymał prymitywną włócznię bądź topór. Dwóch z autochtonów miało masywne kostury, do których przymocowali połączone w łańcuszek czaszki gryzoni.

- Ioiu-Oye-ere - krzyknęła Nadia do tłumu stojącego w blasku palenisk.

Wśród zgromadzonych rozległy się szepty.

- Mój, przyjaciel, pokój - powiedział Witeldon tonem pełnym zaciekawienia, a obie kobiety szeroko otworzyły oczy.

- Znasz ich mowę - sapnęła staruszka.

- Znam dość dobrze języki około trzydziestu plemion z Podmiasta, na które natrafiłem - odparł beznamiętnie. - Wychodzi na to, że nie wszystkie są oryginalne. Część to podobne do siebie dialekty.

Czarnoksiężniczka zerknęła na uczennicę.

- Twój mistrz to naprawdę niesamowity człowiek.

Protegowana uśmiechnęła się dumnie.

- Wiem.

Witeldon przewrócił oczami.

- Lepiej powiedz im coś jeszcze, zanim zaciekawienie przerodzi się w dochodzenie - polecił. Z własnego doświadczenia wiedział, jak postępuje ludzka tłuszczka.

Mieszkanca podziemi kiwnęła głową i rękoma wskazała na Sługi Boże.

- Ioiu-Oye-Asyese-Kjututa - powiedziała donośnie. Po chwili z tłumu podniosły się okrzyki przypominające te, które wydaje z siebie człowiek słyszący dobrą albo doskonałą nowinę.

Widząc pytające spojrzenie Lydii, mężczyzna przetłumaczył.

- Asyese znaczy mniej więcej zabić, zarżnąć - przekrzywił głowę. - Ostatnie słowo...

- Oznacza koszmar - przerwała Nadia. - Taki przydomek miał tamten potwór, bo zsyłał na nich złe sny. Lepiej ruszmy się, nim zaczną ci składać dary - dodała i ruszyła do przodu.

Dwoje opancerzonych przybyszów podążało za nią.

Kierunek ich wędrówki wyznaczała dróżka, utwardzona od częstego deptania. Członkowie Świętego Oficjum mijali ostrzegawcze totemy zbudowane z kości i czaszek różnych kreatur i ludzi. Bładym blaskiem tliły się w nich pochodnie. Tłum rozstąpił się, robiąc przejście dla wiedźmy. Witeldon nie wyczuwał magii, co mogło znaczyć, że ich reakcja wynikała z czystego szacunku albo... strachu. Spoglądał na twarze prymitywów.

Kobiety spuszczały głowy i zakrywały oczy dzieciom. Niektóre chowały najmłodszych w koszach niesionych na plecach. Mężczyźni natomiast zerkali odważniej i szeptali między sobą. Gdy odległość między przedstawicielami dwóch różnych cywilizacji zmalała do kilku metrów, wydarzyło się coś niespodziewanego. Wszyscy uklękli i dotknęli czołem ziemi. Trójka kontynuowała swój marsz, nie zwalniając. Mijali członków plemienia, którzy cały czas trzymali głowy przy gruncie.

- Nieprawdopodobne - wyszeptała Nadia.

- Co znowu? - zapytał Inkwizytor.

Rozejrzała się w obie strony.

- Oni oddają ci cześć - powiedziała bez tchu. - W aurze, która bije od ciebie, wyczuwają przywództwo. W ich stadzie jesteś samcem alfa.

- Każde plemię ma wodza, który sprawuje nad nim pieczę - stwierdził przytomnie. - Zazwyczaj gdy pojawia się rywal, dochodzi do walki, tak więc gdzie jest tutejszy król?

Słyszając to, zachichotała.

- Jest ich dwóch i chyba nie musisz się nimi kłopotać.

Zmarszczył brwi i pospiesznie rozejrzał. Dostrzegł parę starych mężczyzn, których widział już wcześniej. Nosili płaszcze z grubej, nierówno krojonej skóry, do których przywiązano dziesiątki naszyjników z małych zwierzęcych czaszek. Dzierżyli w swoich wątych dłoniach długie kostury udekorowane kośćmi. Obydwaj bez krzty wahania padli przed nim. Westchnął.

Nie zmienili tempa i nie odwracali się, więc nie wiedzieli kiedy, i czy w ogóle jaskiniowcy podnieśli się z ziemi. Otaczały ich konstrukcje wykonane z dziwnego budulca. Każdą chatę, ogrodzenie, stojące pojemniki złożono z czarnego jak noc, lśniącego i chropowatego materiału. Wszystkie domki przypominały bańki z wyciętymi otworami, które zasłaniano skórą. Płyty tworzące płot trzymały się na szkieletach z kości. Niektóre mieszkania górowały nad innymi. Najokazalsze i najroślejsze składały się z pięciu kul, nakładanych na siebie w porządku od największej do najmniejszej. Z otworów wyłobionych u szczytów gdzieś wydobywał się dym, co oznaczało, że w środku były paleniska. Domostwa były dokładnie wpasowane w las gigantycznych różnorodnych grzybów o bajecznych kształtach i rozmiarach, zdawały się pochodzić z innego wymiaru. Wszystkie kolory wymalowane na ich blaszkach albo na strukturach przypominających gąbkę, budziły podziw podróżników. Część okazów wytwarzała światło i małe zorze.



Pojedyncze dusze, które nie dołączyły do powitalnego zgromadzenia, ukradkiem spoglądały na obcych. Witeldon w rozmiarach wioski znalazł potwierdzenie słów starej kobiety. Patiensus faktycznie zgładził niemal

połowę mieszkańców tej społeczności. Wskazywała na to liczba chat oraz ich optymalna objętość. Był jeszcze jeden fakt, który o tym świadczył.

- Dlaczego te dzieci nie są z dorosłymi? - spytała Lydia, wskazując palcem na chłopców i dziewczynki przy ogniskach. - Ci, którzy nas witali, byli z dziećmi.

Choć nie zdarzało się to często, tym razem uśmiech zniknął z twarzy Nadii.

- To są sieroty, skarbie. Ich rodziny zglądził ten sam potwór, którego zabiliście - zakaszłała i podrapała się po szyi. - Teraz musimy skrócić lekko w prawo - wskazała kierunek ręką. - Całe szczęście, że większość ma starsze rodzeństwo, które może się nimi zająć.

- A ci co nie mają? - drążyła temat.

Ich oczy spotkały się.

- W lepszych czasach wioska mogłaby ich wykarmić i zapewnić przetrwanie.

Uczennica, jak każdy młody człowiek, była bezgranicznie ciekawa.

- A jeśli czasy są takie jak teraz? - młode oczy zdradzały, że Lydia nie oczekuje optymistycznej odpowiedzi.

Na usta władającej magią wrócił uśmiech, lecz próżno było w nim znaleźć wesołość.

- Będą skazani na siebie. Plemię jest jak stado zwierząt. Gdy nie może wykarmić i zaopiekować się młodymi, po prostu je porzuca - westchnęła. - Wtedy zginą.

Kiwnęła głową na znak, że rozumie. Spojrzała przed siebie i krzyknęła.

- Co to za stwory?!

Inkwizytor rozproszył mroki jej niewiedzy.

- To są pancerpędraki. Teraz już wiem, skąd mieliście pancerze na chaty i całą resztę - mówił, spoglądając na kobietę. Nic nie powiedziała, lecz ruchem czaszki potwierdziła słuszność jego przypuszczeń.

Troje ludzi mijalo sporych rozmiarów bagno, przez które prowadziła kamienna ścieżka. W rozciągających się wokół moczarach leniwą egzystencje wiodły długie, tłuste robaki o wielu małych odnóżach. Najrośniejsze były niemal tak duże jak domki plemienne. Obrośnięte pancerzami, miały wysunięte małe pyski. Nie przeszkadzał im brak oczu. Do poznawania świata używały dwóch par czułek przypominających ślimacze.

Najeżonym ostrymi zębami owalnym otworem gębowym mogły rozgryzać i przeżuwać najtwardsze skały. Członek Świętego Oficjum wiedział, że stwory były jednym z najcenniejszych zasobów plemienia. Łagodne, lecz wiecznie głodne, gargantuiczne robale liniejąc, zrzucały z siebie płyty twardej materii. Trzymano je potem blisko ogniska, dzięki czemu osiągały pożądane rozmiary. Brak narzędzi do wydobywania kamienia i innego budulca sprawiała, że podziemna architektura musiała być kreatywna i uwzględniać panujące warunki. I taka właśnie była, ponieważ ci, którym udawało się przeżyć każdy kolejny dzień, należeli do gatunku Homo Sapiens. Ludzka wyobraźnia i potrzeba lepszego życia, niezależnie od tego, czy był to początek ewolucji technicznej, czy ludzi, otaczały najnowsze cuda inżynierii, zawsze pozostały takie same – niezmierzone i niemożliwe do zaspokojenia.

Pancerpędraki żyły zgodnie ze swoją naturą i zupełnie nie wykazały zainteresowania mijającymi ich ludźmi, którzy znaleźli się właśnie na obrzeżach miasteczka autochtonów. Wyraźnie widzieli litą, kamienną ścianę, wyznaczającą granicę matecznika plemienia, którego spokój zakłócili. Szczelina w skale, do której doszli, ziała pustką i ciemnością, jak wszystkie poprzednie. Było to wejście do kolejnego tunelu, celu ich dalszej podróży. Na lewo dostrzegli pojedynczą chatę. Zbudowana z trzech stojących obok siebie bloków, większego w środku i dwóch mniejszych po bokach, ogrodzona była niskim, usypanym z kamieni murkiem. W konstrukcji, prócz zasłoniętego skórą wejścia, znajdowały się okrągłe, przeszklone otwory.

– Trochę ci nie wyszło z szybami – skomentował uszczypliwie.

Zaśmiała się.

– Nigdy nie byłam dobra w transmutacji, a jak odgadłeś, że to magia?

– Ponieważ widzę w skalnym płocie małe dzbanki wypełnione wodą, którą zaczarowałaś, by utrzymywała telekinetyczną aurę niskiego stopnia. Inaczej wszystko by się rozsypało. Poza tym nie widziałem żadnego pieca i pracującego przy nim szklarza.

Kobieta chichotała i pomrukiwała do siebie przez kolejne sto metrów, aż dotarli do jej domu. Staruszka usiadła na kamiennym ogrodzeniu. Długi kostur oparła o ramię, odetchnęła przeciągle i pogładziła pomarszczoną dłońią siwe włosy. Na moment zamknęła oczy. Wydawać się mogło, że marzy albo śni.

- Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, co? - zapytała, przypatrując się to jednemu, to drugiemu gościowi. - Napijcie się czegoś?

Witeldon westchnął przeciągle.

- Dziękujemy. Nie jesteśmy spragnieni - odparł lodowato. Nie ufał jej za grosz. - Zanim ruszymy dalej, pozostaje nam załatwić jedną sprawę - jego słowa zawisły ciężko w powietrzu.

Nadia nie mogła odczytać z twarzy jego intencji. Ciało mężczyzny też nie zdradzało żadnych emocji. Dziewczyna była inna. Stężała, gdy wypowiedział ostatnie zdanie. Zupełnie, jakby szykowała się do czegoś. Nim ktokolwiek spróbował rozjaśnić sytuację, Inkwizytor zmarszczył brwi i spojrzał w stronę szczeliny.

- Słyszę, jakby tam płynęła jakaś ciecz - oznajmił zaskoczonym głosem. - Przybiera na sile.

Spojrzał na Nadie, lecz nie zadał jej pytania. Zrobił to jego wzrok.

Starowinka chwyciła się za brodę. Wyglądała na głęboko zamyśloną.

- To musi być Spływ - powiedziała. Jego oczy zażądały mniej lakonicznej odpowiedzi. - Zdarza się dwa razy w ciągu doby i trwa trochę ponad dwie godziny - zakaszła. - Nie polecam przekraczać go wpływ. Nurt wody jest bardzo silny, a od brzegu do brzegu jest jakieś trzydzieści metrów.

- I kiedy zamierzałaś o tym wspomnieć?

Złożyła ręce w obronnym geście, choć nie była przestraszona.

- Sądziłam, że zdążycie przejść, nim to nastąpi - jej szczerłość była rozbijająca.

Oparł lewą dłoń na *Carine* i choć robił tak często, tym razem gest nie był całkowicie przypadkowy. Palce zacisnął na uchwycie broni. Niemal czarne oczy były skupione. Impuls wysłany myślami zwolnił magnetyczną blokadę pistoletu.

- To co teraz robimy? - zapytała nieśmiało Lydia.

Nie poruszył ręką. Nikt oprócz niego nie wiedział, że ma odbezpieczoną broń. Wiedźma zaklaskała i opierając się lekko o swój kostur, wstała.

- Nie wiem jak wy, ale ja jestem spragniona. Zapraszam w moje skromne progi - odwróciła się i obesła płot. Po przejściu pięciu metrów znalazła się przed domem. Odsunęła skórzaną narzutę i weszła do środka.

Uczennica spojrzała na swojego mistrza, wyczekując pozwolenia. Westchnął i kiwnął głową na znak, że się zgadza. Nie wyczuwał magii i nie

zakładał, że czeka tu na nich pułapka. Po kilku uderzeniach serca dziewczyna przekroczyła gościnne progi czarownicy. Słyszał pobrzękiwanie zastawy i starczy śmiech. Przytwierdził dzieło Ikariusza z powrotem do zbroi. *To się robi aż nazbyt ciekawe* – powtórzył swoje myśli sprzed kilku godzin i wszedł w półmrok plemiennej chaty.



Wnętrze należało do skromnych. Mebli było mało, a zamiast łóżka mężczyzna dostrzegł dwie grube i miękkie skóry rzucone w kąt. Bez wątplenia jedna służyła za materac, a druga za przykrycie. Domyślał się, że urządzając dom, czarownica wspomagała się magią. Stworzone z ciosanych kamieni prymitywne siedziska, niski stół, pozbawione drzwiczek półki, na których stały liczne garnki i małe pojemniczki, dobrze wyizolowane palenisko z poprowadzonym przewodem kominowym, wykonanym z utwardzonego piaskowca, były niedostępne dla innych mieszkańców. Kobieta rzeczywiście musiała znaleźć się tutaj przez złe zrządzenie losu i komplikacje, które wyniknęły podczas ekspedycji. Trudno było dostrzec przedmioty osobistego użytku i drobiazgi zabrane z powierzchni.

Z kulistego, czarnego słoika Nadia wyciągnęła mały żeliwny rondel, do którego naląła wody. Naczynie zamocowała bezpośrednio nad ogniskiem. Zerknęła na młodą dziewczynę, która wyglądała przez uchylone okno na ogród. Również tutaj z gleby wyrastał grzybowy lasek. Te twory były jednak inne niż te, które widziała wcześniej. Mimo braku wiatru każdy poruszał się i gibał. Przybierały najróżniejsze kształty, a światło, które produkowały, migotało wszystkimi barwami.

- Niesamowite, prawda? Takich cudów na górze nie zobaczysz - zbliżyła się do okna. - Tutejsi robią z nich rytualne farby, halucynogenne środki do wróżenia, albo lecznicze ekstrakty. Uważają też, że w tych skupiskach grzybów żyją duchy ich przodków. Dlatego pieczołowicie pielęgnują swoje pola.

- Myślą, że ich krewni są w tych roślinach? - sceptycyzm dziewczyny łączył się z niedowierzaniem.

Kobieta zaśmiała się.

- Grzyby to nie rośliny, skarbie - poprawiła. - Tak, tak właśnie twierdzą. Podobno jeśli ktoś się mocno skupi i podejdzie blisko, to usłyszy ich głosy.

Jak chcesz, możesz sama sprawdzić, a tymczasem ja i twój Mistrz będziemy zanudzać się rozmową. Co ty na to?

Lydia popatrzyła na nią przez moment, a później przeniosła wzrok na Witeldona i niemo zadawała mu pytanie.

- Idź, jeśli chcesz - rzekł beznamiętnie. - Mamy jeszcze jakieś dwie godziny przymusowego i jakże niespodziewanego postoju - wyraźnie zaakcentował drugą część zdania, co spotkało się z reakcją staruszki. Parsknęła i wsypała do garnka ususzone fragmenty lokalnego specjału. - Korzystaj z życia moja droga, gdyż już tu nie wrócimy.

Na twarzy Lydii pojawił się promienny uśmiech. Schyliła lekko głowę, wyrażając w ten sposób wdzięczność. Ukłoniła się również kobiecie i odsunęła kotarę zasłaniającą wejście. Wyszła przed dom i skierowała kroki w stronę grzybów. Nie omieszkała wykonać przewrotu, wyskakując przy tym wysoko w powietrze.

- Nieprawdopodobne umiejętności - zachwyciła się gospodyni. - Zapewne twoja szkoła?

Jej dłonie rozbłysły lekkim światłem. Otoczyła je barierą ochronną, by nie oparzyć się od gorąca garnka z parującym wywarem, który rozlała do dwóch glinianych kubków. Skończywszy, odstawiła naczynie blisko ognia, by pozostało ciepłe.

- Myślałam, że ty z tych rozmownych? - powiedziała zaczepnie i wręczyła Witeldonowi garnuszek. - Cieszę się, że pozwoliłeś jej rozwiązać zagadki mojego ogródka - dodała i usiadła dwa metry od niego.

Skierował na nią wzrok. Owszem, przystał na to, lecz nie była to bezmyślna decyzja. Już wcześniej przeskanował wzmocnianym wzrokiem wytwory ziemi, by dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Nieprzetworzone i wymieszane ze sobą były niegroźne. Po odpowiedniej obróbce były zdolne działać narkotyzująco albo leczniczo, zwłaszcza jeśli chodzi o niwelowanie bólu i stanów zapalnych. Nie widząc w lasku zagrożenia, stwierdził że nic jej nie będzie, jeśli poobcuje z naturą, której ludzkość miała dziś duży deficyt.

- Mądrzy ludzie mówią, gdy mają coś do powiedzenia, z kolei głupi, gdy muszą coś powiedzieć - rzekł głębokim, spokojnym tonem, cytując filozofa żyjącego wiele tysięcy lat temu. Choć jego oczy spoczęły na staruszce, to słowa wybrzmiały tak, jakby nie były skierowane do niej.

Zaśmiała się szczerze i ręką przeczesła włosy. Inkwizytor upił łyk mikstury. Gorzkawa w smaku, miała również słoną nutę. Analizując swym ulepszonym organizmem skład napoju, rozpoznał większość składników.

Lekki zajzajer na lepsze gadanie – zakpił w myślach.

– Czy w takim razie możemy na te nadchodzące minuty uznać, że oboje mamy wiele do przekazania? – zapytała prosząco. Wytarła dłonią kąciki oczu z łez, efekt jej dobrego humoru.

Westchnął, ale i tak nie miał nic innego do roboty.

– Możemy – potwierdził. – Odpowiedź na twoje wcześniejsze pytanie brzmi: nie. Uczę ją walczyć i przetrwać. Wszelkie umiejętności akrobatyczne i gimnastyczne wynikają z jej wrodzonych zdolności i pracy nad ich rozwojem. Zwłaszcza za młodu. Mogłem tylko pomóc stworzyć jej odpowiednie warunki i korygować błędy – przechylił głowę, sprawdzając co robi Lydia.

Dziewczyna przechadzała się po ogrodzie, przyglądając się wszystkiemu dokładnie.

– Córka?

– Nie.

Patrzyła na niego swymi bystrzymi oczami. Dostrzegając w nich ekscytację i dobrze skrywaną euforię.

– Jak jest na powierzchni? – wykrztusiła. – Jak bardzo się zmieniła przez te trzysta lat?

Twarz mężczyzny była niczym wykuta z kamienia. Pochylił głowę i przyglądał się zawartości kubka. Poruszył nim lekko i obserwował, jak ciecz w środku zaczęła się obracać.



- Jak ją zapamiętałaś?

Przechyliła głowę, zastanawiając się.

- Pamiętam miasto ciągnące się dalej niż większość ludzi zdoła zajść.
Myślami wracam do widoków wież, pałaców i zawieszonych w powietrzu

dróg, które, mogło się zdawać, zbudował sam Stwórca – zamknęła powieki. – Złoto, marmur, srebro, wszystko lśniące w świetle milionów lamp i reflektorów – jej usta coraz bardziej poszerzały się w uśmiechu. – Słyszę ryk maszyn Inżynierów w ich zrobionych z brązu pieczarach i płomienne przemowy kapłanów wygłaszane z ambon tysiąca i jednej katedry. Czuję zapach ozonu i ciężar powietrza w Wieży Magów w Spero. Moją pamięć zaszczycają cuda tamtego miejsca, zamknięte w jego murach – jej uśmiech zgasł. – Lecz przywołuję również obraz biedy i marności. Nieprzebrane masy ludzkie, stłoczone w zniszczonych, zimnych betonowych ruinach, zjadające jeszcze ciepłe ciała zmarłych – przełknęła ślinę. – Sądzę, że w wielu przypadkach to jedyny żar, którego ci ludzie doświadczali w życiu – jej słowa stały się kruche, a głos zadrżał. – Świat porzucony i zapomniany, w którym człowieczeństwo nie jest znane nawet z najstarszych legend.

Zamilkła nagle, a Inkwizytor westchnął.

– Nic się nie zmieniło, możesz mi wierzyć – upił kolejny łyk. – Spero to ta sama wylęgarnia węży i zepsucia, marzeń i ułudy.

Jej brew powędrowała lekko do góry.

– A czy zadaniem takich jak ty nie jest walka z taką rzeczywistością?

Czerń jego oczu można było porównać do najciemniejszej nocy.

– Zadaniem takich jak ja, więdźmo, jest walka z mrokiem czającym się w każdej duszy – powiedział i palcami dotknął symbolu Oficjum, wyrzeźbionego na napierśniku zbroi. – Waga, która oznacza sprawiedliwość, sąd, prawdę i próbę. W rozprawach, które prowadzę, nie ma niewinnych. Nawet jeśli oskarżony był czysty w oczach Stwórcy, to wina przypada jego prokuratorowi za marnowanie mojego czasu.

Zachichotała.

– Fajne zasady.

Zmienił pozycję. Łokcie oparł o kolana i pochylił się w jej kierunku.

– Niezbędne – wycedził. – Zło, którym ludzkość kala ten świat, jest niezmiernie. Człowiek zabija, kłamie, gardzi, oszukuje, poniewiera, okalecza, niszczy i więzi w imię własnego widzimisię – jego głos był jak stal, i choć brakowało w nim wyraźnej emocji, to nie mogła pozbyć się wrażenia, że wyrażał gniew. – Ludzka istota goni za szczęściem i marzeniami, pragnie osiąść władzę nad światem i wszystkimi wokół. Swoje ambicje realizuje

nawet po trupach. Świadomie przywołuje zło i mrok, by chociaż na moment zaistnieć we własnych oczach.

- Dlaczego tak robią? - zapytała niewinnie, sącząc swój napar.

Wzruszył ramionami.

- Ludzkość lubi iść na łatwiznę, starając się nie myśleć o trudach. Bliźni pragnie najbardziej tego, co ma jego sąsiad. Uważa, że jedzenie tamtego jest cieplejsze, a woda, którą pije, czystsza - parsknął. - A gdy już dostanie tę samą ambrozię i nektar, to dopiero wtedy zaczyna rozumieć, że nadal je to samo łajno i pije identyczne szambo - westchnął. - Ignorancja w każdym aspekcie ludzkiego życia to ciężki grzech. Z niewiedzy rodzi się błąd, który prowadzi do słabości i upadku. Założyć coś, nie mając pewności, być głuchym na informacje i znaki, to zesłać na siebie potępienie.

Kobieta zasłuchiwała się w jego przemowę. Bezwiednie gładziła ubranie, jakby próbowała je wyprasować.

- Moim zdaniem ludzie robią tak ze smutku - ich oczy spotkały się.

Przechylił głowę, marszcząc czoło. Był zdziwiony i zainteresowany.

- Wyjaśnij.

Uśmiechnęła się lekko. Jej reakcja wynikała bardziej z natury niż z sytuacji.

- Smutne jest to, gdy czujesz, że w swoim życiu nie osiągniesz wiele. Pozostaje ci tylko zestarzeć się, a dziecko w twoim wnętrzu jest ciągle młode i pełne lęków.

Zanim otworzył usta przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią. Nie spodziewał się takiego wyznania.

- Wielu w Świętym Oficjum powtarza, że ludzkość to chór miliardów dusz. Nikt nie zauważy, gdy pojedyncze głosy zamilkną - zawahał się, ale kontynuował. - Na początku wszyscy widzą świat takimi, jakim chcą go widzieć. Potem rozumieją, że to on postrzega ludzi według własnego uznania. Niewielu ma szczęście urodzić się w dobrym miejscu - westchnął przeciągle i z trudem. - Resztę czeka głód, marność i zapomnienie.

- Jesteś z tym taki pogodzony - oburzyła się, lecz złości w niej nie było. Bardziej bezsilność. - Dlaczego to wszystko musi tak wyglądać?

Jego twarz zniekształcił grymas.

- Inaczej nie może - słowa te rozbrzmiały ostro niczym uderzenie bicia. - Świat skończył się tysiące lat temu w Dniu Kary, kiedy ludzie wyparli się

Boga. Wtedy czara goryczy przelała się. To, o czym mówisz, ten stan rzeczy, to pokuta za grzechy, których dopuściliśmy się, dopuszczamy się i będziemy się dopuszczać.

Otworzyła szerzej oczy.

- Mogę o coś zapytać?

Zezwolił ruchem ręki.

- Czy wiara nie powinna prowadzić do dobra?

Odwieczne pytanie, zadawane kiedy rozmowa dotyczy problemów świata - pomyślał.

- Wiara musi być sprawiedliwa, nie może robić wyjątków, gdyż... - westchnął. - Nie zrozum mnie źle, nie jestem fanatykiem, lecz realistą - opuścił na moment wzrok. - Owo dobro, o którym wspomniałaś, powinno wynikać z człowieka i z jego czynów. To jednak nigdy nie nastąpi.

- Dlaczego? - przerwała mu. Jej głos zdradzał głębokie zainteresowanie tematem.

Wziął łyk naparu.

- Człowiek nie jest gatunkiem wyciągającym wnioski i uczącym się z przeszłości. Doświadczenie, pamięć i obycie nie są dziedziczne. Choć każde następne pokolenie ma to szczęście korzystania z dorobków poprzedników, to niestety ludzki umysł i dusza pozostają te same.

Przekrzywiła głowę.

- Chyba każda kolejna generacja ludzi, jako gatunku, jest mimo wszystko mądrzejsza? Przecież wiemy o sobie i świecie więcej niż, powiedzmy, trzy tysiące lat temu? - wypowiadając liczbę, uniosła trzy palce lewej dłoni. Dopiero teraz zauważył na jednym pierścionek.

- Polemizowałbym z tym - ponownie zmienił ułożenie ciała. Oparł się plecami o ścianę, dopił napój i odstawił kubek na szafkę obok. - Nie trzeba - powiedział, gdy Nadia wyciągnęła rękę, chcąc dolać mu wywaru. - Technologicznie wiemy niewiele więcej, obyczajowo znacznie mniej. Każde następne pokolenie robi to samo. Kłamstwa, oszustwa, gwałty, mordy, wojny i zniszczenia. To co się zmienia, kobieto, to liczba ludzi i rodzaj broni, której używamy. Przez to, za każdym razem, ofiar może być tylko więcej.

Zasmuciła się i zgarbiła.

- Im więcej ludzi się rodzi, tym bardziej człowieczeństwo od nas odchodzi - rzekła poetycko.

Szerzej otworzył oczy.

- Pięknie powiedziane.

Uśmiechała się, prezentując zęby.

- Musiałeś w życiu przejść niejedno piekło - wypaliła niespodziewanie. Ciekawe, czy wiedziała, jak bardzo dosłowne było to zdanie.

Po raz kolejny zmarszczył brwi.

- Zaczyna zmiana tematu, nie ukrywam - sapnął i zamilkł na długo. - Widziałem w życiu rzeczy, po których wielu postradało zmysły i skoczyło sobie do gardeł. Poznawałem sekrety i tajemnice, których samo istnienie przynosiło zagładę całym miastom. Walczyłem z kwintesencją szaleństwa, definicją zatracenia i istotą zakłamania. Byłem świadkiem walk anielskich orszaków z szatańskimi legionami - jego głos był pełen ognia. - Wszystko po to, by móc odkryć źródło zła na świecie.

Staruszka z wrażenia aż się zachłysnęła.

- I co nim jest? - spytała bez tchu.

Wyciągnął przed siebie pancerną dłoń. Pokiwał palcem.

- Kto - poprawił. - Człowiek.

- Nie sposób się nie zgodzić - potwierdziła i spojrzała mu w oczy. - Każdy jest niewolnikiem swych przekonań.

Wyprostował nogę.

- Niewolnikiem jest ten, który oparł wszystko na wierze, a skłonność ta najbliższa jest największym czempionom.

Zachichotała.

- Przepraszam, ale w twoich ustach brzmi to dziwnie.

Brew lekko mu drgnęła. Dłonią podparł głowę.

- Bo należę do Świętego Oficjum. Moje rozkazy pochodzą od Boga, a doręczane są przez Anioły. Brzmi to jak hipokryzja, prawda? - zaśmiał się sucho, nie zmieniając wyrazu twarzy. - Ja wykonuję moją misję tak, jak chcę. Decyzje, które podejmuję, należą tylko do mnie. W moim życiu zgładziłem rzeszę arcyheretyków. Nie ukrywam, że w czasie działań śmierć poniosło wielu przypadkowych ludzi. Nawet ja się czasem mylę.

Jej rysy się zmieniły. Wydało mu się, że dostrzegł na jej twarzy współczucie.

- Życie to sztuka, w której jesteśmy ledwie aktorami. Nie my piszemy swoje kwestie - powiedziała.

- Nie potrzebuję usprawiedliwienia - odburknął.

Uśmiechnęła się niewinnie i czule.

- A czego potrzebujesz? - zapytała. - Czy nie jest tak, że Inkwizytorzy mogą mieć wszystko?

Zasepił się. Chciał powiedzieć, że tak właśnie jest, ale...

- Nie - odparł. - Nie mogą - zamknął oczy, a gdy je ponownie otworzył, patrzył wprost na nią, lecz jakby nic nie widział. - *Śmierć tych, którzy odwrócili się od Stwórcy, jest balsamem na serce jego wiernych dzieci.* Wiesz kto to powiedział?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Inkwizytor Ytrkos Hutiel - przełknął ślinę. - Szkoda tylko, że nie wspominał o tym, że ów balsam miał leczyć rany ludzi, którzy musieli zabić własnych krewnych, przyjaciół czy ukochanych - przybrał zasadniczą postawę, wyprostował się i rozłożył ręce. - *Raduj się w nieskończonym bólu życia, abyś nie osunął się w cień i nie sprzedał duszy za komfort śmierci.* To słowa wędrownego zakonnika Mikra Esdrała - machnął ramionami w geście kpiny. - Nie powiem, barwne określenie faktu, że wielu woli odebrać sobie życie, ponieważ widzi gorsze piekło na Ziemi niż w przeklętym wymiarze - zacisnął dłonie w pięści i uderzył nimi o kolana. - *Wszak tylko nas błogosławiono wiedzą, jak uratować ludzkość. I chociaż wiemy, że niezbędne będą ból i cierpienie, a nas samych czeka śmierć i zapomnienie, to nie cofniemy się, nie będziemy wyczekiwani. Wahanie i strach będą nam obce -* pokręcił głową z wyczuwalnym gniewem. - Zaprawdę czcigodne stwierdzenie inkwizytorzki Julii Dark - jego oczy znów odzyskały błysk. - Wiesz gdzie jest haczyk?

- Nie - to jedno słowo zdołała wykrztusić.

W jego oczach dostrzegła błysk szaleństwa.

- Ta wojna z wrogiem, tak samo zewnętrznym, jak i tym, który siedzi we wnętrzu ludzkości, jest niemożliwa do wygrania - ciężar wypowiedzianego zdania zawisł w powietrzu, a ogień w palenisku lekko przygasł. - Demony, choć to nasz największy wróg, nie są naszym jedynym przeciwnikiem. Oprócz nich i chwastów, hodowanych przez każdą społeczność, nasz świat raz po raz nawiedzają mary z innych wymiarów. Tam, gdzie zostaje zasiana niewiara, korzenie zapuszczają zepsucie. Rozrastają się cierniste krzewy herezji i splugawienia, które oplatają i duszą wszystkich dookoła.

- Nie sądziłam, że coś takiego można porównać do ogrodnictwa - powiedziała z niepewnością w głosie.

Westchnął.

- Herezja jest jak drzewo - zacisnął pięść. - Wiesz co to drzewo, prawda? - zdał sobie sprawę, że nie była to wiedza powszechna.

Uśmiech przemknął po jej wargach.

- W Wieży Magów było kilka okazów. Ich wielkość zawsze robiła na mnie wielkie wrażenie.

- Rozumiem. Tak więc herezja jest jak drzewo. Nawet jeśli zetniesz je całe, wyrwiesz pień i spalisz wszystko, to zawsze zostanie jakiś korzeń. Może minąć wiele lat, nawet całe wieki, a zło powróci. Często ze zdwojoną siłą - pochylił się w jej stronę, a ręce przyłożył do ust. - Dlatego środki zaradcze muszą być zawsze absolutne, a ofiary maksymalne. Nie można się wahać i wybaczać. Tolerancja rodzi nieporozumienie, podział i zdradę - nie mogła nie zauważyć smutku w jego wzroku. - Niezależnie od tego, ile krwi przelejesz, jak dokładne czystki zrobisz, ile wersetów czy świętych litanii zmówisz i święceń odprawisz, to zło powraca.

Ich oczy ponownie się spotkały. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że patrzy na schorowanego i zmęczonego trudami życia weterana jakiejś szlacheckiej wojny, a nie Inkwizytora z mitycznego Oficjum.

- A ludzi wokół ciebie, tych, którzy ci w tym pomagali, jest coraz mniej - dokończył.

Nieświadomie otworzyła z wrażenia i zdziwienia usta. Nigdy nie myślała o tym, że straty dotyczyły również Bożych Egzekutorów. Nie podejrzewała, że któregokolwiek z Inkwizytorów obchodzą takie zagadnienia. Nie mogła myśleć inaczej widząc, jak ci ludzie zabierali się do pracy.

- Przykro mi - wyszeptała.

Oparł się o ścianę.

- Nie powinno - ledwo zauważalnie poruszył kilka razy głową w przód i w tył. - Ryzyko zawodowe.

Nie dała się tak łatwo zbyć.

- Jak się z tym czujesz?

Parsknął i zaśmiał się. Choć trwało to ledwie kilka sekund, w tym dźwięku usłyszała głos człowieka, który zobaczył o jedną nieskończoność za

dużo. Przez moment jego twarz rozjaśniła się w przyływie radości, a oczy rozbliły iskrami.

- Jakoś sobie radzę, naprawdę. Uczyniłem siebie zimnym, by móc poczuć ciepło świata.

- Chodziło mi o to poświęcenie - zaczęła niezgrabnie, bo niepewność odebrała jej na moment mowę. - Nie zliczę, ile razy szeptało się o tym, kto kogo stracił przez Inkwizycję - przekrzywił głowę, spoważniał, lecz na Nadii nie zrobiło to wrażenia. - Lecz nigdy nie dane mi było poznać drugiej strony medalu - ucięła nagle.

Złączył ręce jak do modlitwy i oparł je o brzuch. Ponownie wyprostował jedną nogę, drugą nieznacznie podkurczył.

- Wyjaśnienie tego nie jest ani proste, ani krótkie - oznajmił chłodno.

Ona również usiadła wygodniej. Telepatią podciągnęła swój kostur, który znalazł się za jej plecami, i oparła się o niego. Trwał niewzruszony.

- Nic nie szkodzi.

Długo się jej przyglądał. W końcu słowa zaczęły płynąć z jego ust do jej uszu.

- Zdziwił cię fakt, że nie postarzałem się nawet o rok, czyż nie? - kiwnęła głową. - Cóż, trzysta lat to nie tak dużo, jak ma się ich już prawie cztery tysiące. Nie powiem, jak to osiągnąłem, bo nie to jest ważne - złączył dłonie odziane w pancerne rękawice. - Przez ten czas umarło wielu ludzi z mojego otoczenia. Większość w boju, nieliczni ze starości - zatrzymał na moment opowieść i oblizał wargi. - Pojedyncze dusze opuściły ciała z mojej ręki.

- Zabijałeś swoich? - nie była zszokowana tą informacją. Nie wiedziała, dlaczego zadała to pytanie.

- Najczęściej czyniłem to jako akt miłosierdzia dla tych, których rany były zbyt poważne. Niektórych czekałby los gorszy od śmierci, gdyby nie została im ona zaaplikowana natychmiast. Niemniej są jednak w tej puli również tacy, którzy po prostu wiedzieli zbyt dużo - westchnął. - Na początku nie dostrzegałem niedogodności płynących z mojej nieśmiertelności.

A więc jest nieśmiertelny. To wiele wyjaśnia - pomyślała, a kolejne pytania kłębiły się w jej głowie. Tymczasem Witeldon kontynuował.

- Jednak potem stopniowo zacząłem odkrywać kolejne problemy wynikające z tego stanu - światło paleniska tańczyło na jego młodej twarzy i zdawało się ją postarzać. Teraz przypominał jakieś widmo. - Z biegiem lat

ci, którzy dotrzymywali mi tempa, zaczęli zostawać w tyle. Ja się nie zmieniałem. Im więcej czasu mijało, tym wolniej wszyscy wokół mnie sięgali po broń, a celność ich strzałów malała z każdym obrotem planety dookoła Słońca. Moje parametry stawały się coraz lepsze, niemal perfekcyjne. Głos tych, którzy ze mną dzierżyli brzemień obrony ludzkości, chrypl i zanikał, a ja dalej ryczałem z siłą grzmotu z nieba – jego oczy pokrył smutek. – Moim pierwszym realnym pomocnikiem, prócz żołnierzy, akolitów i sług, był czarnoksiężnik, Vris Ugryk – wymówił jego imię i odczekał dwie sekundy. Nie dostrzegł reakcji wiedzy. Nie było możliwe, by go znała. – Człowiek cyniczny, bez ogródek, wiecznie ironizujący i zrządzający na wszystko. Gdyby dało się czerpać moc magiczną z głupich odzywek, to miałby siłę równą Bogu, a tak był ledwie trzecim stopniem. Dożył sześciuset szesnastu lat, nim zmarł śmiercią naturalną – zarechotał ponuro. – Często już od rana mnie nawiedzał, dobijając się do moich komnat, by byle czym zawracać głowę. Zignorowałem to, że nie stawił się na początek cyklu dobowego – pokiwał głową. – Cztery godziny, siedemnaście minut i trzydzieści pięć sekund później sługa poinformował mnie, że Vris leży martwy w łóżku. Dowiedziałem się o tym podczas przygotowań do pobłogosławienia olei, którymi nasączam pergaminy na modlitewne zwoje. Nawet martwy miał ten swój krzywy wyraz twarzy, jakby zjadł coś kwaśnego. Jeszcze długie lata później wzywałem go, by dopiero po chwili zorientować się, że nie przybędzie.

- Przywiązałeś się – stwierdziła przytomnie. – To ludzka rzecz.

- Ja nie mogę sobie pozwalać na ludzkie rzeczy.

Uśmiechnęła się, bez krzty kpiny. Bardziej przypominało to matczyną troskę.

- Zgaduję, że nie był to odosobniony przypadek? – nie wiedziała, czy odpowie. Odpowiedział.

- Nie, nie był. Moje życie, moją codzienną rutynę ubogacały kontakty ze sługami – sapnął. – Żyłem trochę jak rozwyrzeni szlachcice. Ktoś przynosił strawę, ktoś zabierał naczynia, ktoś prał i składał walające się ubrania, ścielił łoże. Choć przeżyłem ich dziesiątki, to pamiętam wszystkich, mimo że często przez całe ich życie nie zapytałem ani razu o imiona.

- Dlaczego? – przerwała. – Jak można widzieć kogoś każdego dnia i nie próbować dowiedzieć się takich rzeczy?

- Zwykle ci, którzy pojawiają się najczęściej w naszym otoczeniu, są najmniej przez nas doceniani i zauważani - powiedział profesorskim tonem. - Przyzwyczajenie i rutyna zabijają wyjątkowość wspólnych momentów - machnął ręką. - Poza tym zadaniem sług jest służyć w zamian za miejsce do życia, pokarm i ciepło. Moją misją jest dbać o to, by rzeczywistość nie zaważyła się na czyjaś głowę - przekrzywił lekko swoją. - Czy mogę kontynuować?

Ułożyła dłonie w przeproszający gest.

- Wybacz.

Zamarł, słysząc to słowo. Nadię zastanowiła taka reakcja. *Chyba kojarzy mu się z błaganiem jakiegoś grzesznika* - próbowała zrozumieć. Tymczasem on uwolnił się z chwilowego zawieszenia.

- Czasem przywołuję pamięcią niektórych z nich - rzekł. - Przeszło dwa tysiące lat temu młoda dziewczyna, efekt relacji dwójki sług, została oddelegowana do mnie. Najczęściej przynosiła mi posiłki i uzupełniała prywatny refektarz - jego wzrok był nieobecny. - Miała jakieś szesnaście lat, gdy wydarzyła się ciekawa rzecz. Coś, co wykształciło między nami specyficzny zwyczaj - przecesał ręką brodę. - Jadłaś kiedyś jakieś owoce?

Nie spodziewała się takiego pytania.

- Nie. Takie rarytasy leżały poza zasięgiem każdego, z wyjątkiem najbogatszych - poprawiła grzywkę. - Lecz studiowałam z kryształowych nośników zapiski o nich i widziałam ryciny.

- Wiśnie - mruknął, a ona się uśmiechnęła. Wybrała niecodzienny sposób na potwierdzenie znajomości tematu. - Słodkie w smaku, lecz na końcu lekko cierpkie. Swego czasu często spożywałem je do obiadu. Zawsze były dwie. Pewnego razu odszedłem od talerza, ponieważ poczułem nagłą konieczność, by popracować przy prowadzonym śledztwie. Straciłem sporo czasu analizując na nowo stare tropy - podrapał się po policzku. - Gdy rozesłałem wytyczne i wróciłem do stołu, zauważyłem w naczyniu dwie wisienki. Dziewczyna stała obok biurka, pokornie, ze spuszczoną głową i czekała, nie wiedząc co ma zrobić - gdy to mówił, na twarzy malował się wielki smutek. - Dostrzegłem, że patrzy na owoce. Wziąłem jedną, wyjąłem pestkę i poprosiłem służkę, by otworzyła usta. Wykonała polecenie. Wsunąłem jej owoc, a ona trzymała go w zębach, nie wiedząc co ma zrobić - zaśmiał się równie sucho. - Przeżuj i połknij, rozkazałem - westchnął, a ich

oczy znów wpatrywały się w siebie. – Nieczęsto widywałem w życiu wyraz tak błógiego niedowierzania. Jej twarz, skryta w kłębowisku rudawych włosów, rozpromieniała uśmiechem, a z szarych oczu popłynęły łzy. Za jedną bordową kulkę pozwoliłem komuś poczuć się przez moment jak w raju.

Nadia przełknęła ślinę. Sposób, w jaki to powiedział, był bardzo emocjonalny, choć ton niczym ze stali.

– I tak zostało? – wykrztusiła, starając zachować się tak, jakby nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

Westchnął.

– Tak – masował swoje dłonie, mimo że były ubrane w pancerne rękawice. Metal nie skrzypiał ani nie piszczał. – Każdego kolejnego dnia jedna wiśnia była dla mnie, a druga dla niej. Po jakimś czasie sama nauczyła się wyjmować pestkę i zjadać owoc tak, by sok nie ściekał jej po brodzie. Ja działałem automatycznie i utonąłem w sprawach Oficjum. Znów straciłem rachubę czasu – przekreślił kark, aż strzyknęły kręgi szyjne.

Czarnoksiężniczka powstała i powoli podeszła do paleniska, by dolać napoju. Zerknęła na Witeldona.

– Kiedy ją odzyskałeś?

Patrzył, jak ciecz przelewa się z garnka do kubka.

– Pewnego dnia usłyszałem zbliżające się kroki. Ona nigdy tak nie chodziła. Zrozumiałem, że idzie do mnie ktoś inny – głośno wypuścił powietrze nosem. – Kiedy się odwróciłem, dostrzegłem wysokiego i szczupłego chłopaka o ciemnej karnacji. Stał śmiertelnie przerażony i wyglądał tak, jakby czekał na pluton egzekucyjny. Zapytałem, o co chodzi. Jąkając się straszliwie wykrztusił, że kolejny już raz zostawiłem na talerzu jedną wiśnię, i czy w związku z tym ma przekazać kucharzom, by dawali tylko jedną?

Wzruszenie chwyciło kobietę za gardło. Musiała się napić.

– Przyznaję, że na równą sekundę mnie zatkało. Gdy szok minął, zapytałem go o dziewczynę, która do tej pory przynosiła mi jedzenie. Wciąż bardzo zdenerwowany odpowiedział, że zmarła miesiąc temu. Odprawiłem go, nie odpowiadając na postawione pytanie i sprawdziłem zapiski dotyczące ludzi, którzy kiedykolwiek postawili stopę w mojej bazie – mruknął gniewnie. – Nie znając jej imienia miałem utrudnione zadanie. Zespoliłem więc wszystkie maszyny różniczkowe placówki z systemami pancerza, który

specjalnie założyłem – na moment zacisnął szczękę. – Po przejrzaniu prawie miliarda zdjęć milionów ludzi, z różnych etapów ich życia, po trzech godzinach znalazłem ją taką, jaką pamiętałem.

Starowinka słyszała bicie własnego serca. Waliło ono jak młot. Napięcie rosło.

– Gdy odeszła do krainy Stwórcy, miała osiemdziesiąt dwa lata.

Cisza, jaka spadła po ostatnim zdaniu, była ogłuszająca. Gdyby nie syczenie ognia, mogłaby uznać, że straciła słuch. Chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła wydobyć głosu.

– Zawezwiałem tamtego chłopca do siebie, by powiedzieć, że wiśnie mają zostać usunięte z mojego menu. A gdy odchodził, zrobiłem jeszcze jedno.

– Co?

Martwymi oczami spojrzał na nią.

– Zapytałem jak ma na imię – powiedział cicho. – Filip. Zmarł w wieku siedemdziesięciu jeden lat.

– A jej? – musiał wiedzieć, a ona chciała je poznać.

– Guria. Nigdy nie usłyszałem jej głosu – dodał jakby zmęczony i kontynuował. – Dlatego zaprzestałem rekrutowania uczniów. Uznałem to za bezcelowe.

Powstał, odwrócił się i nogą przesunął kamienny stołek po ziemistej podłodze. Nie skomentowała tego, że przedmiot ważący ponad pięćdziesiąt kilogramów zmienił położenie, a jej gość nawet się nie wysilił. *Cokolwiek dało mu nieśmiertelność, ofiarowało mu również wielką moc* – pomyślała. Obie dłonie oparł o otwór z odsuniętą na bok, chałupniczo zrobioną szybą. Patrzył na młodą dziewczynę, która wykonywała skany i robiła zdjęcia aparaturą wbudowaną w zbroję. Była tym całkowicie pochłonięta. Nawet nie zarejestrowała tego, że stał sześćdziesiąt metrów od niej i ją obserwował.

– Dlaczego bezcelowe? – Nadia stanęła obok. – Swoją drogą grzybowy ogródek musi jej się bardzo podobać, skoro zabiera ze sobą fotografie na pamiątkę, co?

Pochylił głowę.

– Czyni tak, ponieważ jeśli uda nam się powrócić do bazy, to bez wątplenia będzie starała się to wszystko namalować – wyjaśnił.

Kobieta zerknęła na niego, uśmiechając się szeroko.

– Mówisz, że jest artystką? – zaśmiała się.

Westchnął.

- Lubi tak spędzać czas - doprecyzował. - Nie wyrosła z tego, i choć może nie ma wielkiego talentu, to nie jest w tym zła.

Kobieta znów spojrzała na uczennicę, która akurat robiła zdjęcie pod wyjątkowo trudnym kątem.

- To co ona tutaj robi? - odezwała się ponownie. - Przed chwilą mówiłeś, że już nie bawisz się w nauczyciela.

- Zadaniem tego, który uczy, jest przekazać wiedzę, a misją uczonego jest zachować dziedzictwo poprzednika, wzbogacić je i przekazać kolejnemu. Tak, by w przypadku śmierci mistrza cykl był kontynuowany - palce zatańczyły na krawędzi otworu w ścianie. - Ja nie umrę sam z siebie. Żaden Inkwizytor nie może nawet targnąć się na życie. Uniemożliwia to złożona przysięga - skrywana w jego oczach złość jakby ugodziła Nadię. - Nie raz i nie dwa miałem nawet całe grupy protegowanych, tylko zawsze finał tego był taki sam - stanął przodem do niej, więc przez moment widziała gniew na jego twarzy. - Wiesz jaki, kobieto? - nim zdążyła zareagować, sam odpowiedział. - Oni umierali ze starości albo zabijali ich wrogowie, lecz ja... - stuknął palcem w sam symbol wagi - ...zawsze przeżywałem. To ciało potrafi znieść lanie znacznie większe od tego, które możesz sobie wyobrazić. Poza tym nawet gdy upadnę, to zaraz powstaję. Inni tak nie mogą.

- A co z głową? - zapytała.

Wzdrygnął się lekko.

- Nie raz i nie dwa dostałem w czaszkę młotem bojowym i...

Pokiwała przecząco swoją.

- Chodzi mi o psychikę. Próbujesz pozbawić się cech ludzkich, a zataczasz koło - każde jej słowo podsycalo ogień szału w jego oczach. - Przestałeś rekrutować wychowanków, ponieważ przeżywałeś ich śmierć, aż w końcu znów to uczyniłeś - szczęka mężczyzny zacisnęła się. - Choć przez twoje decyzje zginęły miliony winnych i nie tylko, to każde życie jednak cię obchodzi. Gdyby tak nie było, to nie szukałbyś imienia tamtej sługi. Gdybyś nic nie czuł, niczego i nikogo byś nie miał - słyszała jak nabiera powietrza w płuca. - Choćbyś sobie sam wykopał grób, to sam siebie w nim nie pogrzebiesz...

- Nie masz pojęcia, co mówisz! - ryknął wściekły. - Wyobraź sobie, że żyjesz po to, by każdego dnia na nowo umierać. Miej przed oczami obraz

splamionego krwią pogorzeliśka, w którym tylko ty jeszcze stoisz żywa i wiesz, że będziesz walczyć następnego dnia – zamachnął się ramieniem, ogarniając głębię chaty. – Ich już nie ma. Ta sama kula, która wielu z mojej przeszłości oddzieliła duszę od ciała, mnie tylko zarysowała – westchnął przeciągle, ciężko i oblizał wargi. – Jedyne byt, przed którym czuję respekt, to czas – pokiwał głową, przegryzając wąsy. – Nieważne czego bym nie zrobił, jego nie zatrzymam – pochylił się w jej stronę. – Dlatego życie przy mnie jest niewykonalne. Trwać ze mną to skazać się na obserwację własnej postępującej kruchości, podczas gdy mnie ten proces nie dotyczy. To moja klątwa, którą muszę nieść sam – dokładnie wycodził ostatnie zdanie.

Starowinka wysunęła palec wskazujący prawej dłoni. Skierowała go w bok, na coś za oknem.

– Umiałbyś to samo powiedzieć jej? – zapytała lekkim tonem. – Albo tej potężnej i pięknej czarnoksiężniczce, o której tyle słyszałam, gdy tu szliśmy? Mhm...? – minimalnie wysunęła podbródek.

Jego oczy pełne furii znów patrzyły na Lydię. Uwadze Nadii nie uszedł fakt, że cała jego złość natychmiast minęła. Dołączyła do mężczyzny i w milczeniu obserwowali fotograficzne starania dziewczyny. Po kilku minutach nastolatka zerknęła na domostwo wiedźmy. Uśmiechnęła się i pomachała w ich stronę. Władająca magią odwzajemniła gest. On stał nieruchomo.

– Wolałbym tego uniknąć – sapnął.

Zachichotała i pokręciła głową.

– Pytałam o coś innego.

Choć nie drgnął, słyszała jak zazgrzytał zębami. Kiedy przemówił, głos miał spokojny.

– Umiałbym, to rzecz oczywista – zaczął. – Lecz sądzę, że wszelkie wyjaśnienia byłyby zbędne, gdyż one zdają sobie z tego sprawę. Vivienne, choć życie traktuje jak zabawę, doskonale rozumie, że zostało jej już niewiele czasu – westchnął. – Nie może w nieskończoność odwlekać nieuniknionego – dygnięciem głowy wskazał uczennicę. – Ona jeszcze o tym nie myśli. Jest za młoda i zbyt naiwna. Starość to dla niej abstrakcja. Jest pełna ideałów i wiary w ludzkość.

– To źle?

Dostrzegła kpinę w jego oczach.

- Wzory, wiecznie przeceniane przez wielkie szare masy, same z siebie nic nie znaczą. Musisz umieć ich użyć. Czerpać z tego, co w nich najlepsze, ale też dostrzegać i odrzucać to, co najgorsze - widziała jak się spina. - Często zapatrując się w światło człowiek ślepie i ogarnia go ciemność. Natomiast jeśli chodzi o nadzieje lokowane w nasz gatunek, to wystarczy się rozejrzeć, i jasne jest, że to wszystko przypomina piramidę finansową. Wiara ma się do tego nijak.

Przeszła w głąb chaty i zatrzymała się przed wiszącą półką. Szukała czegoś.

- Mimo wszystko spotkałeś w swoim życiu ludzi, którzy poświęcili ci swój czas. Ty zrobiłeś podobnie - mówiła, szperając w rzeczach. - Dar czy klątwa, to co w sobie nosisz boli, owszem - przeszła dwa kroki w prawo, schyliła się i otworzyła jeden z leżących na podłodze pojemników. - Być karczarzem w gospodzie zwanej Wiecznością, gdzie inni są tylko gośćmi. Trafiają do ciebie, by po śmierci znów ruszyć na szlak - otworzyła następny kufer. - Wspomnienia osiadają jednak w odmętach umysłu - wyjmowała zapakowane szmaty i każdą odkładała na bok. - Człowiek za bardzo skupia się na zakończeniu, zapominając, jaki interesujący był początek - gdy wyciągnęła ostatni kawałek materiału, krzyknęła, jakby kogoś zwyciężyła. - Ha! Tu się schował - wyjęła pakunek zawinięty w skórę i obwiązany sznurem.

- Co to takiego? - choć ton jego głosu tego nie zdradzał, był zainteresowany. Wyczuł lekką magię, która uaktywniła się w przestrzeni.

Nadia podeszła do niego i zaczęła rozwiązywać zawiniątko.

- Na pewno się zorientujesz, co trzymam w rękach, lecz nim do tego przejdziemy, mam do ciebie prośbę - mówiła cicho, jakby zamierzała za chwilę szeptać.

Po jego twarz prześlizgnął się grymas zmęczenia.

- Jaką?

Uśmiechnęła się delikatnie, a jej lico mocno odmłodziło.

- Chciałabym, żebyś zapamiętał to, co teraz powiem i przyjął to jako pamiątkę ode mnie. Poza tym przyda ci się to bardziej niż mnie - dodała i ściągnęła skórzane opakowanie.

Zgodnie z jej zapewnieniem od razu wiedział, czym jest ów prezent. Staruszka trzymała zbudowany ze srebra i wysadzany biksbitami sześcian. Różowawe szlachetne kamienie, w formie oszlifowanych sztabek, świeciły

lekko, dając poświęcić agrestowej czerwieni. Kostka miała krawędź o długości pięciu centymetrów.

Nośnik wspomnień – tak zwał się przedmiot. Magiczne urządzenie wynalezione przez magów, pozwalało kopiować chwile, które zalegają w ludzkiej głowie. Po wypowiedzeniu specjalnej formuły można było przeglądać wydarzenia z przeszłości, wspominając to, o czym normalnie się zapomina. Było to marzenie każdego niewolnika sentymentów i swojej młodości.

Przez moment się wahał, lecz po kilku uderzeniach serca przyjął dar i przyczepił go do pasa *Martyris*. Nie wyróżniał się spośród innych przedmiotów.

- Dziękuję – w takich sytuacjach nie potrafił być wylewny.

Wyraz radości na jej twarzy pogłębił się. Znow widział jej białe zęby.

- Ktoś o tak długim żywocie jak twój musi mieć w pamięci niejedną bezcenną chwilę. Słuchając cię odniosłam wrażenie, że żadnej nie chciałbyś utracić.

Członek Świętego Oficjum myślał nad odpowiedzią. Nie widział sensu, by tłumaczyć wiedźmie, że to, co dało mu życie wieczne, zagwarantowało mu również pamięć absolutną. Wszystko, co kiedykolwiek zobaczył, powiedział, usłyszał, poczuł czy spotkał, mógł odtworzyć niczym film pełen szczegółów. Jednak umiał docenić jej gest. Dlatego tylko kiwnął głową.

- A co takiego mam zapamiętać?

Wyciągnęła przed siebie dłoń i dotknęła symbolu na jego piersi. Nie zatrzymał jej. Druga ręka wskazywała okno będące teraz za nim. Domyślał się, że znow chodziło jej o dziewczynę.

- Powiadają, że człowiek jest dopiero wtedy bezpieczny, gdy jest sam. Lecz to nieprawda, bo zawsze jest z nim osoba, która nie przestaje go ranić. On sam – przywołała swój kostur, by się nim podeprzeć. – Witeldonie Walszarti, jest wyraźna różnica pomiędzy byciem samym a samotnym. Już raz porównywałam ludzi, których masz wokół siebie, do drogi. Pozwól, że zrobię to znowu. Tak więc owe drogi budowane są dla podróży, a nie miejsc docelowych. Jeśli ma się szczęście, to są one pełne dobrych przygód, które karmią ciało i duszę – widział czyste życie w jej zmęczonych oczach. – Najlepszą z nich jest bycie razem – jego zimny wzrok skupiony był na staruszce. – Ostatecznie każdy żyć będzie we wspomnieniach, dlatego warto

sprawić, by były one jak najpiękniejsze i najdłuższe – palcem wskazała na nośnik wspomnień. – Będzie ci dobrze służył – zachichotała.

Choć słyszał w życiu niejedno, był pod wrażeniem jej słów.

– Zapamiętałem – powiedział.

Nadia, wsparta na kosturze, klasnęła w dłonie.

– Wyśmienicie – krzyknęła. – Cieszę się, że nie przerywałeś, gdyż wyrobiliśmy się na styk – rzekła tajemniczo.

Nim zdążył zapytać, na co mieli zdążyć, otrzymał odpowiedź. Jego ulepszone słuch natychmiast wychwycił, że hałas wywołany przez rwący nurt ucichł. Oznaczało to, że mogli wznowić podróż.

– Spływ się skończył – odruchowo odwrócił się, by ruszyć w stronę wyjścia, lecz zatrzymał się w pół kroku.

W tym samym czasie wiedźma ruchem ręki zgasła buchający płomień ogniska. Oparła o ścianę swój symbol przynależności do magów i stanęła półtora metra przed Inkwizytorem.

– Zanim ruszycie dalej, pozostaje jedna sprawa do załatwienia – przywołała jego słowa sprzed kilku godzin.

Doskonale wiedział, o czym mówi.

– Wiesz, że muszę to zrobić – zaczął.

Ku jego zdziwieniu uśmiechnęła się.

– Od początku zdawałam sobie z tego sprawę – przerwała mu niechący. – Lepiej zaczynajmy, bo gra, którą toczysz, musi mieć naprawdę wysoką stawkę – odwróciła się od niego i uklękła. Witeldon wy dobył miecz z pochwy na plecach.

– Wielce niefortunne jest to, że nie było ci dane odnowić Przykazań.

Zaśmiała się lekko i złożyła dłonie do modlitwy.

– Taki los podyktował Stwórca – rzekła cicho.

By zostać uznanym za bezpiecznego dla społeczeństwa, każdy mag musi należeć do jednego z Magicznych Kręgów albo być na usługach Świętego Oficjum. Mordercze szkolenie, lata wyrzeczeń i pracy oraz dezintegracja najsłabszych ogniw gwarantują względny spokój dla reszty ludzkości. Raz na dwadzieścia pięć lat każdy władający mistyczną mocą musi oddać próbkę swojej krwi i nasycić specjalny kryształ śladową ilością energii. Odmawia wtedy liczne wersety oczyszczające umysł i wybielające duszę, które zwą się Przykazaniami. Jeżeli czarnoksiężnik nie odświeży owych rytuałów,

uznawany jest za maga-renegata, czyli apostatę. Zadaniem Inkwizycji jest wyłapywać takie indywidua i wymierzać im śmierć. Bez żadnych wyjątków.

Ostrze błysnęło lekkim światłem, choć w pomieszczeniu panował półmrok. Przedmiot wyczuwał magię.

- Rozumiesz, że nie mam wyboru - stanął za nią w odległości wystarczającej na czyste cięcie.

Kiwnęła głową, klęcząc.

- Tak, dlatego chcę ci podziękować.

Mężczyzna zdążył przyjąć postawę do egzekucji, lecz zawahał się.

- Drugi raz jesteś mi za coś wdzięczna i znów nie wiem za co.

Kichnęła.

- Zabiłeś potwora, który ucztował na tych niewinnych ludziach, mogłeś mnie zgładzić od razu, lecz tego nie zrobiłeś - odchrząknęła. - Mogłeś nie posłuchać mojej prośby i po prostu wyrznąć wszystkich w wiosce, by przejść po jej zgliszczach - przechyliła głowę, by kątem oka spojrzeć na niego. - Odbyłam z tobą ciekawą rozmowę, a twoja uczennica będzie miała co malować w wolnym czasie. Teraz, gdy wykonasz swoją powinność, dalej będziesz mógł walczyć ze spaczeniem.

- Plemię nie będzie mścić się za twoją śmierć?

- Nawet tego nie zauważą - roześmiała się, czym wywołała w nim konsternację. - Ujmę to inaczej. Każdy autochton jest pod wpływem lekkiego uroku. Nie chciałam, aby w przypadku mojej śmierci komuś z nich było przykro, więc gdy me serce przestanie bić, moja osoba zostanie wyparta z ich pamięci. Ta chata i moje ciało, cóż... Zamieszka tu ktoś inny - wyjaśniała.

Oparł miecz na ramieniu.

- Trochę to smutne, nie uważasz?

Słyszał jak wypuściła powietrze nosem.

- Bez goryczy nigdy nie bylibyśmy w stanie docenić słodczy - odpowiedziała radośnie. - A teraz przejdźmy do meritum - rzekła i znów patrzyła przed siebie.

Widział, że jest rozluźniona, więc zaczął przymierzać się do ciosu, a w myślach recytował odpowiednią litanie.

- Choć w ten sposób zakończyłem istnienie wielu magów, to żaden nie był taki jak ty. Niemal każdy walczył o życie, łkał, błagał i skradał zmysły -

mocniej chwycił rękojęść. – Ty jesteś spokojna i radosna. Dlaczego? Jak możesz tak się zachowywać, gdy za chwilę zakończysz żywot?

Nie widział jej twarzy, ale przysięgłby, że się uśmiechała.

– Czuję wdzięczność płynącą z faktu, że nie jest mi dane żyć wiecznie. Zmusza mnie to do starania się, by każda chwila, jaka została mi ofiarowana, miała znaczenie.

Wyznanie wiedźmy wciąż niosło się echem w jego wnętrzu.

– Muszę to zrobić. Wiedz jednak, że nie czuję z tego powodu przyjemności.

– Nie przejmuj się – szepnęła i przełknęła ślinę. – Wspominałeś, że umierałeś tyle razy, ile razy wzeszło Słońce od kiedy stąpasz po Ziemi – westchnęła. – Pewnego dnia będziesz miał swój ostatni pogrzeb.

Zmarszczył czoło.

– To zabrzmiało jak groźba.

– A to obietnica.

Przemyślał to, co powiedziała, i zgodził się z nią, lecz dość już było rozmów, musiał zaczynać.

– Chociaż zstąpiłaś z drogi światła, by zasnuć się w cieniu, stajesz teraz przed pochodnią Jego woli – zaintonował i uniósł potężną relikwię w górę. – Blask Jego chwały niechaj przyniesie kres twym grzechom – głębia, z jaką mówił, rezonowała w całej chacie. – Czas swój, który dostałaś na kredyt, zostanie teraz spłacony. Jakie jest twoje stanowisko? – to była zbędna formułka, ponieważ wybór nie leżał po stronie skazanego.

– Życie i śmierć to dwie strony monety rzuconej kaprysem Boga – głęboko odetchnęła. – Moje dokonania i zrodzone dobro to inwestycja w Jego królestwo. Grzechów mych wyrzekam się szczerze, by nie być chwastem w Boskim ogrodzie. Gotowa jestem na sąd Stwórcy, a żywot mój jest mym obrońcą.

– Amen – powiedział mężczyzna i wykonał cięcie.

Catherine nie napotkała oporu. Ciało Nadii osunęło się na podłogę, wydając z siebie dwa tępe uderzenia. Broń błysnęła jaśniejszą poświatą, by wypalić krew, która na niej spoczęła. Gdy samooczyszczenie się dokonało, Inkwizytor schował miecz. Choć nigdy wcześniej tak nie robił, tym razem odprawił znak błogosławieństwa. Przez minutę stał w ciszy, a potem wyszedł z chaty.



Lydia siedziała na kamieniu i spoglądała na wioskę położoną paręset metrów od niej. Światła z licznych palenisk i lamp nadawały budowlom ciekawy, z jej punktu widzenia, wygląd. Odwróciła się, gdy usłyszała za sobą kroki. Nie spieszyła się. Wyświetlacze siatkówkowe poinformowały, że zbliża się nauczyciel.

- Czy coś się stało, Mistrzu? - zapytała. Na jego twarzy dostrzegła zmęczenie.

Ruchem głowy wskazał na szczelinę w ścianie jaskini.

- Przejście zostało odblokowane - sapnął. - Możemy iść.

Podbiegła do niego.

- Jak wypadła rozmowa z Nadią?

Przez chwilę milczał.

- Było to naprawdę niesamowite doświadczenie, moja droga - odparł. - A jak twoje zdjęcia i zebrane dane?

Wiedziała, że chce zmienić temat. Zdawała sobie sprawę z tego, co zaszło w chacie wiedźmy. Rozumiała, że nie miał wyboru.

- Te grzyby są naprawdę bajeczne - pisnęła z typowym dla siebie entuzjazmem. - Kiedy wrócimy, to je namaluję.

- Wierzę, że zaprezentujesz mi efekt tej pracy?

- Oczywiście - krzyknęła, śmiejąc się. - Ej, gdzie Mistrz tak pędzi? - uniosła głos, gdy zauważyła, że z każdą minutą przyspieszał.

Patrzył daleko przed siebie.

- Lydio, chcę po prostu przejść dalej - westchnął. - Spędziliśmy tu zbyt dużo czasu.

- Naprawdę? Dla mnie to wszystko trwało chwilę - zdziwiła się dziewczyna.

Strzelił karkiem.

- Według mnie ten rozdział naszej podróży był trochę przydługi - zabrzmiał statycznie i jakoś pusto.

Ciężko było się nie zgodzić...

ROZDZIAŁ XXV



CZŁOWIEK LUBI ŻYĆ W ŚWIECIE WIDZIANYM WŁASNYMI OCZAMI. KOCHA SĄDZIĆ, ŻE WSZYSTKO JEST DOKŁADNIE TAKIE, JAKIM JE POSTRZEGA. SPOKOJNIEJ ZASYPIA, GDY WMÓWI SOBIE, ŻE W MROKU NIC SIĘ NIE KRYJE, A DNO JEST TYLKO JEDNO. UŚMIECH MUSI BYĆ SZCZERY, BO PRZECIEŻ NIE TRAFIŁBY NA CZYJEŚ USTA. ŁZA, CO ZE SMUTKU POJAWIA SIĘ W OKU, PRAWDZIWA, BO PRZECIEŻ NIE NA ZAWOŁANIE.

CZŁOWIEK UWIELBIA WIERZYĆ, ŻE CI, KTÓRZY MÓWIĄ, ŻE GO MIŁUJĄ, TYTUŁUJĄ SIĘ JEGO PRZYJACIÓŁMI, ZAPEWNIAJĄ, ŻE MOŻE IM UFAĆ, ŻE ONI WSZYSCY BĘDĄ CZYNIĆ TAK, JAK PRAWIĄ.

SERCE RWIE SIĘ W MEJ PIERSI, A KREW W ŻYŁACH GOTUJE ILEKROĆ SŁYSZĘ, GDY KTOŚ LAMENTUJE NAD SWOIM LOSEM. NAD TYM, ŻE ZOSTAŁ OSZUKANY, ZDRADZONY, SKRZYWDZONY, WYKORZYSTANY, OKŁAMANY, SKRZYCZANY. ŻE WYKONANO NA NIM DZIESIĄTKI INNYCH ZŁYCH CZYNÓW, INNYCH OD JEGO WYOBRAŻEŃ. NIE MOGĘ PRZEBOLEĆ GŁUPOTY TAKICH LUDZI, ZNIEŚĆ ICH NIEDOWIERZANIA I ZAPRZECZANIA WSZYSTKIEMU. ZADZIWIĄ MNIE TO, JAK NIE POTRAFIĄ ZŁĄCZYĆ PRZYCZYNY ZE SKUTKIEM.

W ŻYCIU NIE MOŻESZ LICZYĆ NA INNYCH. RODZINA, WYBRAŃCY TWOICH UCZUĆ, WSZYSCY BLISCY I WSZYSCY NIEZNAJOMI... TO ICH RĘKA MOŻE TRZYMAĆ NÓŻ, KTÓRY ZANURZY SIĘ W TWOICH PLECACH. ŻYCIE NIE ROBI WYJĄTKÓW. ONO SZUKA JEDYNNIE DOBRYCH OKAZJI. CHWIL, GDY CZŁEK JEST ODSŁONIĘTY, GDY NIE MOŻE PODNIEŚĆ GARDY ALBO OŚLEPŁ OD ŁEZ. I NAWET JAK ZNAJDĄ SIĘ DUSZE, KTÓRE ZECHCĄ GO PODNOSIĆ, LECZYĆ I WSPIERAĆ, TO NALEŻY ZADAĆ SOBIE PYTANIE ILE RAZY TAK ZROBIĄ? RAZ? DWA? PIĘĆ? DZIESIĘĆ? STO? TYSIĄC? W KOŃCU NAWET NAJWYTRWALSZY PODDADZĄ SIĘ I OPUSZCZĄ ŚMIERTELNIKA SKATOWANEGO PRZEZ LOS I SIEBIE SAMEGO.

PRÓCZ CIERPIENIA, NIESPRAWIEDLIWOŚCI I ZAZDROŚCI NIC NIE JEST STAŁE. LUDZKA NIEDOLA ZACZYNA SIĘ W RODZINNYM DOMU, GDY W OCZACH BLISKICH STAJESZ SIĘ ROZCZAROWANIEM I CIĘŻAREM. GDY STRAPIONEGO PRZYKUWAJĄ DO KRZYŻA OŚWIATA I PRACA. GDY BLIŹNI SŁOWAMI ŁAMIĄ JEGO SERCE I TORTURUJĄ GŁOWĘ.

WTEDY CIAŁO KRWAWI SZKARŁATNĄ POSOKĄ Z ŻYŁ I KROPLAMI ŁEZ ŚCIEKAJĄCYMI Z DUSZY PRZEZ OCZY.

BY ISTNIEĆ W TAKIM ŚWIECIE, WYBACZENIE TRZEBA ZAMIENIĆ NA ZEMSTĘ, BÓL NA GORLIWOŚĆ, A ODRZUCENIE NA NIENAWIŚĆ. NIECHAJ TERAZ GŁOSY, KTÓRE SZEPTAŁY DO UCHA, JAKI ŻAŁOSNY JESTEŚ, CZŁOWIEKU, WYKRZYCZĄ W GŁUCHE NIEBiosa, JAK BARDZO CHCIAŁYBY BYĆ TOBĄ. PAMIĘTAJ, ŻE NIEWAŻNE KIM JESTEŚ, RODZISZ SIĘ OTOCZONY LUDŹMI, A UMIERASZ SAM.

BĄDŹ ZATEM NICZYM ŚNIEG, KTÓRY PRZYKRYWA ZWŁOKI PO ZBRODNI, A NADAL ZACHWYCA NIEŚWIADOMYCH OBSERWATORÓW SWOIM UROKIEM. ORĘŻEM TWYM NIECH BĘDZIE PRAWDA, KTÓREJ LUDZIE NIE CIERPIĄ, BO NISZCZY ICH SNY I WYOBRAŻENIA. ŻYJ TAKIM ŻYCIEM, JAKIM CHCESZ, A NIE TAKIM, JAKIE CI WYBRALI. WIEDZ, ŻE WRÓG TWOJEGO WROGA NIE JEST TWOIM PRZYJACIELEM, ON MA PO PROSTU UMRZEĆ JAKO DRUGI. NIKOGO NIE DOPUSZCZAJ DO SIEBIE NA DŁUŻEJ NIŻ TRWA SKRĘCENIE KARKU, ANI BLIŻEJ NIŻ NA DŁUGOŚĆ NOŻA, KTÓRYM ZAMIERZASZ DŹGNAĆ W AORTE. POKAŻ IM ŚWIAT TAKIM, JAKIM JEST NAPRAWDĘ I NIE ZAPOMNIJ WSPOMNIEĆ, ŻE JEST TAKI DZIĘKI NAM WSZYSTKIM. DZIĘKI... LUDZIOM.

FRAGMENT „LEKCJI ŻYCIA” AUTORSTWA CECYLA IKRAFA, SZLACHCICA RODU KARSKIR, REZYDUJĄCEGO W METROPOLII MOSKOWIS.

Samotny mężczyzna stał naprzeciwko istoty o niemalże boskiej mocy. Po bokach komnaty, w której się znajdowali, wieczną straż pełniły rzędy aniołów wyrzeźbionych w kamieniu. Trzymały w dłoniach naczynia pełne ognia. Ipos siedział na tronie wyszytym jedwabiem. Nie nosił zbroi. Jego atletyczne, zdrowe ciało od pasa w dół okrywał luźny kilt. Nagi tors równomiernie unosił się i opadał. Błada cera lśniła od wtartych w nią olei. Potężny prałat wyprostował swoje skrzydła. Cztery ponętne sukuby czule muskały dumnie rozłożone czarne pióra. Jeden z Panów Piekła, choć odpoczywał, znalazł czas, by zająć się swym gościem.

- Wy, śmiertelnicy, nie przestajecie mnie zaskakiwać - mówił potężnym, przeszywającym głosem. - Choć znam przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, nie mogę się nadziwić pomysłom, które rodzą wasze niedoskonałe umysły - dodał i gestem przywołał do siebie demoniczną służkę, która, prezentując swoje wdzięki, zaczęła masować jego mięśnie. - Powtórz jeszcze raz to, co powiedziałaś. Zaprawdę, ubawiłeś mnie.

Rozmówca wydał z siebie gniewny pomruk. Dzięki pancerzowi górował wzrostem nad szatańskim bytem. Zakuty w gigantyczną skorupę, gabarytami przypominał olbrzyma. Zbroję stworzono z grubych i ciężkich płyt czarnej stali, wzbogaconej magicznie wtopionym korundem. Całość zahartowano w demonicznej krwi, która zabarwiła wyryte runy na rubinowo. Paulos Eutar, wysoki niemal na trzy metry i szeroki na dwa, był Inkwizytorem wywodzącym się z Inżynierów. Na skutek ran odniesionych

w walce z demonami miał zniszczone całe ciało z wyjątkiem głowy i kilku organów wewnętrznych. Oficjum postanowiło ufundować mężczyźnie nowy przewodnik jego własnej woli.

Gargantuiczny strój był arcydziełem kowalstwa. W trzewiach ukrywał organiczne pozostałości, całą masę uzbrojenia i potężne systemy ochronne. Na ramieniu można było dostrzec podwójne, sprzężone działko typu Inferno, strzelające uświęconymi nabojami zapalającymi. Każdy pocisk wypełniono mieszaniną łatwopalnych substancji i błogosławionych olejów. Na jego plecach spoczywał miotacz typu Wymazywacz, który cały czas lekko iskrzył. Uwolniony z niego promień niszczył wszelkie wiązania atomowe, co uwalniało gigantyczną energię, a trafione ofiary zamieniało w powiew bezgłośnego, gorącego wiatru. Obok, na mechanicznym wysięgniku, zainstalowano Ciężki Wyzwalacz Grawitronowy. Broń zaburzająca grawitację na określonym obszarze i powodującą paskudną śmierć przez zmiżdżenie. W łapie, wielkiej niczym dwie ludzkie głowy, Paulos trzymał buzdygan w tytanicznym rozmiarze. Bogato zdobiony oręż zbudowano z metalicznych kości demonicznych kowali. Na głowicy wyrzeźbiono cztery czarcie podobizny.

Liberalny Inkwizytor uderzył obuchem o podłogę z wypolerowanego marmuru. Dłoń oparł o końcówkę rękojeści.

- Jego działania, a przede wszystkim błyskawiczne schwytnie mojej sciscitorki i agenta Falki, mogą zburzyć wszystko, co do tej pory wypracowaliśmy - powiedział gniewnie. - Niebawem dojdzie do Bramy, której nieudacznik Fryderyka nie potrafił właściwie przenieść - z goryczą splunął olejem w bok i zignorował spochmurniałe oblicze Iposa. - Wynaturzenie tamtego cudaka również nie pomogło.

Uśmiech oznaczał poprawę humoru jednego z Władców Piekieł.

- Korneliusz nie byłby zadowolony z tych określeń - stwierdził rozbawiony. Wszystkie sukuby masowały jego ramiona, klatkę piersiową i kark.

- Mam to gdzieś - warknął śmiertelnik. - Witeldon niedługo wróci na powierzchnię i bez wątplenia złoży raport Oficjum.

- I...? - Skrzydlaty lubił bawić się z ludźmi. Ich emocje dostarczały mu rozrywki. Palcami głaskał jedną z demonicznych kobiet pod brodą. Sukub wydawał z siebie głośnie jęknięcia.

Mechaniczna graba zacisnęła się w pięść. Uzbrojenie zamontowane na wystających z pleców wysięgnikach zadygotało, jakby szukało celów.

- Tamci zaślepieni głupcy zaczną węszyć - ryknął. - Większość Łoży pracuje na dwa fronty i to odsuwa wszelkie podejrzenia, ale nasza trójka musiała zapaść się pod ziemię, by wykonać najbardziej newralgiczne fragmenty planu.

- A teraz musicie się ujawnić i powiedzieć, że wasi giermkowie się zbuntowali i zostali renegatami bez panów? - zapytał z kpiną w głosie. Jedna z piekielnych służek podgryzała go w szyję. - Dlatego chcecie zrobić z siebie ofiary, a ze mnie oprawcę.

Człowiek kiwnął głową pokrytą metalicznymi płytkami. Jego całą szczękę, większość policzków, szyję z krtanią wykonano z zimnych sztucznych materiałów. Głęboko osadzone oczy miały żywy, jasnozielony kolor. Metaliczne dredy, które pokrywały czaszkę zamiast włosów, dygotały niczym ogony kobr.

- W pobliżu ukrytej placówki Inkwizytorki Uqisi znajdują się opuszczone ruiny pogańskiej świątyni - z gałek ocznych wystrzelił hologram. - Wardy, które tam nałożono, są wyjątkowo słabe i w każdej chwili mogą pęknąć - wskazał na nieśmiertelną istotę. - Potrzebuję, byś je złamał i rozpętał inwazję. Niedużą, ale solidną. Lada moment ta zagorzała ortodoksa zjawi się z ogniem i mieczem, by zniszczyć każdy fragment zepsucia. W międzyczasie portal wypluje również mnie, Fryderyka i Falkię. My odeprzemy główną falę ataku, a potem będzie już z górki.

Ipos zaśmiał się krótko. Gestem odprawił cztery masażystki, które szybko opadły na podłogę i zaczęły się wzajemnie adorować. Prawą rękę oparł o podłokietnik tronu i podparł nią głowę.

- Jesteście uznani za martwych średnio przez trzysta lat. Naprawdę sądzisz, że uwierzą w bajkę o waszym uwięzieniu w jakimś odległym wymiarze? Muszę ci pogratulować idiotycznego pomysłu, chodzący blaszaku - uwielbiał drwić z Paulosa, którego na zawsze już uwięziono w tej chodzącej klatce.

Liberał zbył go machnięciem ręki.

- O to się nie martw - powiedział żartobliwie. - Potrafię być bardzo przekonujący.

Byt z ciałem upadłego anioła przewrócił oczami.



- Nawet na moment w ciebie nie wątpiłem - parsknął. - Zatem zrobię jak chcesz - rzekł i zabębnił palcami. Dwa demony pożądania przyłgnęły do jego nóg. Pozostałe wspięły się na siedzisko i bawiły się czule skrzydłami. - Teraz

i tak będziecie mieli dużo czasu na dokończenie kolejnego etapu tego waszego planu – dodał tajemniczo.

Włosy Paulosa gwałtownie zdrząły.

– Wyjaśnij – zażądał.

– A gdzie magiczne słowo? – Prałat szyderczo się uśmiechnął, a sukuby zachichotały.

Warkot mężczyzny musiał mu wystarczyć.

– Poległ ten, co miał zdobyć dla was Bramę, której później miała użyć Demonica. To była sprawka Amona – wyznał i zaczął pieścić znajdujące się obok adoratorki.

Stalowy Kolos mocno ścisnął buzdygan.

– Dlaczego On się w to miesza? – ryknął. – Widziałem, jakie zbiera Legiony. Po co bierze udział w intrydze, jeśli swoim atakiem może wszystko zepsuć?

Ipos zarechotał.

– Bo wypełnia go chęć zemsty, uczucie tak pielęgnowane przez twój gatunek – odparł. Jedna z diabelskich kobiet zaczęła podgryzać go w palce, a druga dumnie wypięła piersi. Skorzystał z zaproszenia i zaczął je masować.

– Nie będę ci tego tłumaczył, ponieważ twój prymitywny umysł i tak nie zdoła niczego pojąć. Wiedz, że jego działania dadzą wam trochę wytchnienia od zniecierpliwionego nemezis – leżące u jego stóp sukuby coraz energiczniej zaczęły szarpać materiał osłaniający jego nogi i biodra.

Zrekonstruowany człowiek aktywował wokalizator. Chciał coś powiedzieć, lecz nie zdołał.

– Proponuję ci zebrać tę parszywą dwójkę i zacząć przygotowania – poradził mu zniecierpliwiony Arcydemon. – Moje siły już pracują nad zerwaniem okowów w miejscu, które wskazałeś – natarczywość jego czcicielek rosła. – Teraz idź już, panie puszko – zarechotał. – Ja mam ważniejsze sprawy do załatwienia.

Podniecone rogate ladacznice, nie mogąc już dłużej wytrzymać, rozerwały jego szatę. Dwie plugawe nierządnicę chwycił pod uda i dominującym ruchem przeniósł na siebie. Paulos nie czekał dłużej. Zabrał broń, odwrócił się i opuścił komnatę Najpotężniejszego z Prałatów Piekła. Miał jeszcze wiele do zrobienia. Za sobą słyszał kakofonię kobiecych pisków i rozdzieranego ciała.



- Nareszcie - sapnął, gdy znaleźli się u wylotu kolejnej szczeliny. Dziewczyna stała obok, próbując ogarnąć wzrokiem przestrzeń znajdującą się przed nimi.

Ostatnie kilka godzin spędzili na przeciskaniu się przez kolejne pieczary Podmiasta. Im dalej szli, tym bardziej obco wyglądało otoczenie. Od dłuższego już czasu mijali ściany wykonane z heksagonalnych kamieni i ciężkich kryształowych figur geometrycznych. Wykonując serię szybkich skanów, Witeldon odkrył, że są z onyksu, demonicznej skały. Jaskinia, do której weszli, nie była szeroka, miała raptem kilka metrów wysokości. Jednak można było dostrzec w niej ślady czyjejs pracy.

- Mistrzu, kto to wszystko wyrzeźbił? Przecież nie ludzie ani nie demony - zapytała, wskazując na schody prowadzące w dół jaskini, a po kilkunastu krokach zawijające się w górę do wystającego piedestału.

Pokiwał przecząco głową.

- Nie wiem, moja droga - rzekł i zaczął iść w dół. Podążyła za nim. - Podmiasto to w wielu kwestiach wciąż niewiadoma. Teraz jednak skupmy się na Bramie - rozkazał.

Szedł szybko. Momentalnie minął płaski teren z wyrzeźbionymi w kamieniu czaszkami, podobnymi do gatunku Homo Sapiens. Miały puste oczodoły, ale kryła się w nich złowroga, niewidzialna aura. Każdy kamienny stopień przybliżał ich do plugawego artefaktu. Gdy dotarli do niego, Lydia wydała z siebie ciche jęknięcie, a Witeldon przeciągle gwizdnął.

- No proszę, pan Gregory we własnej osobie - parsknął. - Na miłość Stwórcy, co ci się stało, chłopie? - zapytał retorycznie, gdyż przed sobą widzieli nieboszczyka.

Cokolwiek spotkało inkwizytorskiego agenta, nie należało do najprzyjemniejszych. W jego piersi ziała potężna rana. Ciało pozbawiono większości narządów. obrażenia nie powstały od broni palnej, to było pewne. Rozszarpane prawe ramię pozwalało określić kąt, pod jakim zadano cios. Śmierć dopadła go z góry. Ktoś musiał wysoko wyskoczyć i przeprowadzić atak. *Albo mieć kilka metrów wzrostu* - zamyślił się Inkwizytor. Ze wszystkich okaleczeń najciekawsze dotyczyło całych zwłok. Gregory był kompletnie pomarszczony i wychudzony, zupełnie jakby jego forma uległa

mumifikacji. Pozostał z niego szkielet z naciągniętą, lichą skórą, która ciasno opinała kości.

Twarz, na którą kiedyś patrzyło się z przyjemnością, teraz była zniekształcona. W wyschniętych oczach w kolorze piwa widać było przerażenie. Przed śmiercią musiały patrzeć na horror niewidoczny dla innych, a który dla zmarłego zdawał się ciągle trwać. W zasuszonej dłoni trzymał małą maszynę różniczkową ze zintegrowanym wyświetlaczem. Jednak to nie ten przedmiot przykuł uwagę Członka Świętego Oficjum.

- Niezwykłe - szepnął i odstąpił od zwłok nowatora. Zbliżył się do Bramy.

- Co takiego? - zapytała zaciekawiona uczennica, a jej głos zdradzał lekkie zaniepokojenie.

Nie odpowiedział od razu. Przez moment przyglądał się konstrukcji, po czym pancerną rękawicą dotknął kamiennej powierzchni koła o dwumetrowej średnicy.

- Ktoś nas ubiegł - odparł, a runy bluźnierczego tworu rozblęły krwistą, wściekłą czerwienią. - Ktoś z piekła rodem.

Lydia nie rozumiała.

- Ale jak to? - zapytała, zasłaniając dłonią oczy. Blask bijący z zakazanych symboli był nieznośny. Ich natężenie rosło z każdą chwilą.

Witeldon zareagował.

- Detinere! - zakrzyknął, co znaczyło *zatrzymać, wstrzymać*, i miało wiele zastosowań.

U zwykłego człowieka, pozbawionego mistycznej mocy, albo osoby z grzeszną duszą mogło natychmiast spowodować śmierć. Mniejsze demony czekałoby całkowite zatrzymanie w czasie i przestrzeni, natomiast w przypadku silniejszych skutkiem byłoby solidne spowolnienie ich funkcjonowania.

- Nie martw się. Ktokolwiek to zrobił, władał prastarą demoniczną mową o niezmierzonej sile - jego dłoń wędrowała od symbolu do symbolu. Ilekroć się zbliżał do glifów, zaczynały skwierczeć. Zupełnie jakby nie mogły wytrzymać jego obecności. - Tego kogoś, bądź to coś, cechowały wielka nienawiść i okrucieństwo - jego palce wciąż krążyły po szatańskich literach. - Ciekawe - mruknął.

- Mistrzu, ja wciąż nie rozumiem - obruszyła się nastolatka.

Parsknął.

- Pewnego dnia będziesz mogła wyczytywać z energii czyste i mroczne uczucia towarzyszące bytom, które tkwały rzeczywistość na własne potrzeby - wyjaśnił. - Wyczułem w nim dobrze ukrytą nutę żalu. Zupełnie jakby w głębi tego tajemniczego jegomościa czaiła się niezakończona żałoba.

Lydia zaczęła intensywnie myśleć i jak zawsze w takim przypadku, drapać się po głowie.

- Może jakiemuś demonowi nie podoba się to, co robią jego koledzy i stara się sabotować ich starania? - jej oczy spoczęły na mężczyźnie. Oczekiwała jego reakcji.

Kiwnął głową.

- Choć taki obrót spraw nie zdarza się często, to jednak w przeszłości odnotowano takie przypadki. Masz rację, moja droga - pochwalił ją. - Podaj mi jego gadżet - poprosił.

Odwróciła się w stronę resztek Gregorego. Z lekkim obrzydzeniem wyrwała z jego dłoni przedmiot, o który prosił Inkwizytor.

- Po co to? - urządzenie według niej było zepsute i nie zareagowało, gdy przypadkiem nacisnęła włącznik.

Palcem wskazującym podkreślił kilka heretyckich znaków. Były inne niż pozostałe. Mniejsze i ustawione w linię. Choć emanowały spaczeniem, to wyglądały jakby ktoś wyskrobał je pazurem.

- Tutaj zostało napisane: *Jeśli chcesz mi się odwdzięczyć, przyjdź na bal u Pana śmiertelników z miasta* - wziął maszynę różniczkową i przez chwilę popatrzył na nią. - Ten złom już do niczego nam się nie przyda - mruknął i odrzucił mobilny komputer.

- Ktoś umie zacierać ślady - pozwoliła sobie na komentarz.

Inkwizytor przyłożył dłonie do Bramy. W środku pierścienia pojawiły się wyładowania purpurowych błyskawic.

- Maszyna była zespolona specjalnymi czujnikami z jego sercem - wyjaśnił spokojnie. Był skupiony na tym, co robi. - Gdy umarł, jego data-pad usmażył się, a jeszcze wcześniej skasował wszystkie dane - westchnął. - Ci liberałowie doskonale się zabezpieczają. Typowe zachowanie Świętego Oficjum, moja droga, typowe.

Chciała coś powiedzieć, lecz ją ubiegł.

- Proponuję się przygotować.

Stała równą sekundę z rozdziawioną buzią i wybałuszonymi oczami.

- Na co? - wykrztusiła.

Płatanina wyładowań rwała się w swojej kamiennej uwięzi, rozsypując kaskady iskier. Cokolwiek się działo, z każdą chwilą zyskiwało na sile.

- Brama została zapieczętowana, to nie ulega wątpliwości - podnosił głos, żeby przekrzyczeć szalejącą burzę. - Jak zapewne wiesz, ten artefakt działa jak portal, kiedyś chętnie wykorzystywany przez sługi Piekła - pioruny nabrały takiego wigoru, że rozbijały się o ściany jaskini. - Ten demon, kimkolwiek jest, zamknął wszystko na zawsze. Nikt z Inkwizycji nie potrafiłby tego zrobić tak dokładnie - parsknął, gdy spaczona energia przeszła po jego rękach. Skupił się bardziej i ponownie cofnął ją do obiektu. - Niezwykle jest to, że najprawdopodobniej stworzył dla nas portal.

Dziewczyna była zszokowana.

- Do Piekła?! - krzyknęła.

Huk kataklizmu był niesamowity.

- Na powierzchnię, tuż przed zejściem do Podmiasta - odparł.

Lydia nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

- Ale dlaczego miałyby nam pomagać w ten sposób?

Fluktuacje w fizycznej spuściźnie, jaką pozostawił po sobie Ke'Arx wygładziły się i wyrównały. W środku okręgu powstał obraz, do złudzenia przypominający stalowe pejzaże Pierścienia Inżynieryjnego X-15.

- Ponieważ bardzo chce, bym dożył do spotkania z nim - oznajmił zdeterminowany. - Mnie też się to nie podoba, lecz lepszej okazji nie znajdziemy, a bal u Amadeusa już jutro - dodał i chwycił dziewczynę za rękę. - Trzymaj się mocno i nie puszczaj, a wszystko będzie dobrze.

Portal zaczął się rozszerzać, jakby chciał pochłonąć dwójkę sług Boga. Lydia miała ochotę wyrwać się i odsunąć, lecz walczyła z tym uczuciem.

- Skąd Mistrz wie, kiedy jest impreza u Gubernatora? - krzyknęła.

Eteryczna aura opadała wprost na nich. Usłyszała westchnięcie.

- Gdyż ten głupiec zaprasza mnie zawsze, gdy organizuje te fanaberie, i jak do tej pory miałem przyjemność mu odmawiać.

Było to ostateczne zdanie, które usłyszała, nim pochłonęła ich teleportacyjna łuna.



Podziemna alejka tonęła w żywej fali piszczących ciał. Tsunami przebijających nówek i nerwowo machających łapek rysowało kamienne podłoże. Dziesiątki tysięcy czerwonych ślepi, głodnych, wrednych i sprytnych, przesunęło się niczym piana na morskich grzywaczach przy silnym wietrze. Na przedzie nieprzebranej masy zwierzęcego szaleństwa, na wielkich skórzanych noszach niesiono ciało Patiensusa. Choć dokładniejszym określeniem byłoby, że były to resztki fizycznej skorupy wampira. Niedopalone, zdeformowane i rozpuszczone zwłoki były ponurym świadectwem tego, co czeka każdego, kto zadrze z Inkwizytorem.

Szczuroczłeki parły przed siebie, by dostarczyć łup do jednej ze swoich nor. Wcześniej obserwowali z ukrycia działania nosferatu. Położył trupem wiele setek z ich gatunku. Żadna broń, zaczynając od prostych, żelaznych, a kończąc na włóczni naładowanej dziką, niestabilną magią, kryształowych pociskach i bombach plagowych nie była w stanie wyrządzić mu trwałej krzywdy. Kolektywna aura telepatyczna łysoogoniastych nie potrafiła zablokować jego mentalnych ataków. Żadna wyhodowana w ich pracowniach i leżach abominacja nie mogła dorównać mu morderczym kunsztem. Wielkiej Ciemności niech będą dzięki, że zesłany został cud. Patiensus zmienił kierunek swojej morderczej wędrówki, ponieważ chciał posilić się bardziej soczystym i czystszy mięsem ludzi. Nory z matronami, tak niezbędnymi do rozrodu i przetrwania linii szczepów, były bezpieczne.

Plugawi mieszkańcy zakazanych czeluści z ukrycia monitorowali również dwoje przybyłych z powierzchni. Najlepsi ze zwiadowców dołożyli wszelkich starań, by pozostać niezauważonymi. Szczurzy guślarze w mętnych kotłach mówili o dziewczynie, której zwinność mogła równać się z najbardziej zaprawionymi zabójcami ich gildii. Gdy myśleli o mężczyźnie, ich zaropiałe, starcze palce drżały, a pełne pożółkłych zębów paszcze dygotały z przerażenia. Wypełnieni mądrością zesłaną przez Ciemność rozpoznali, że ów człowiek nieraz schodził do ich domu w poszukiwaniu prawd i kłamstw. Czuli, że miał dar nieśmiertelności i jest zwiastunem odrodzenia i śmierci. Tylko on decydował, jaką przyjmie formę. Dlatego wydali głowom i lordom rozkazy najwyższej wagi, aby za żadne skarby, czy w imię jakiegokolwiek chwały, nie wchodzili mu w drogę i nie ingerowali. Mistycy szczepów przewidzieli, że tylko ten człek na usługach ludzkiego Boga będzie w stanie zgładzić Koszmar z innego wymiaru.

Wróżby nie oszukały Widzących. Wnet każda szczurza kolonia była poinformowana o tej wspaniałej nowinie. Właśnie wtedy powołano horde, która zebrała szczątki nosferatu. Po to, by szaleni mistycy i złowrodzy konstruktorzy mogli rozpocząć swoje eksperymenty, amoralne i godzące w zasady życia. Jednym z nich byli właśnie oni.

Członkowie Korpusów Inżynieryjnych przez wiele tysięcy badali te odrażające stworzenia. Sekcje zwłok, rzadkie oglądanie żywych okazów, testy genetyczne, skanowanie za pomocą technologii i magii, dały ludziom zatrważające wyniki. Określenie szczuroczłeki, którego zaczęli używać górnicy i prości żołnierze, w żadnym wypadku nie było błędne. Owłosione paskudztwa faktycznie miały w sobie ludzkie geny. Dalsze studia pomogły wysnuć kilka hipotez, które z czasem znalazły potwierdzenie i sens.

Oficjalnie przyjęło się mówić, że wiele milionów przedstawicieli gatunku Homo Sapiens, którzy zostali żywcem pogrzebani po Dniu Kary głęboko pod ziemią, spotkał los znacznie gorszy od śmierci. Krystaliczne minerały, które wchłonęły duchową energię, wytworzoną tak masowym ludobójstwem na powierzchni globu, zaczęły emanować nagromadzoną mocą.

Uwięzione rzesze, zatraciwszy się w szaleństwie, zaczęły pożerać siebie nawzajem. Na ich resztkach ucztowały szczurze hordy, które również kończyły w ustach dwunogich. Złoża naładowanych kamieni, wydzielające tajemne pierwiastki, zmieniały nieszczęśników. Magiczna aura wypaczyła ich ciała, a umysły mutowała w to, czym się żywili. Tak jak szczurze i człowiecze mięso stanowiło ich pokarm, tak też stało się budulcem.

Z czasem, gdy pokarane za grzechy tłumy wypracowały swoje struktury i własne państwa, zwane wymiennie szczepami, kreatury te mogły zacząć piąć się w hierarchii Podmiasta. Ci, których intelekt pozostał najbystrzejszy, a echa człowieczeństwa ciągle odbijały się od zwierzęcych wnętrz, zostali przywódcami, kapłanami i konstruktorami. Przejmując dowodzenie nad ogłupiałymi hordami, uzbroili je w zardzewiałe dzidy i pałki. Kryształy, które odebrały im dawne życie, w zamian dały siłę. Pozostałości wiedzy z powierzchni pozwoliły im zbudować ze złomu zbroje i bardziej skuteczną broń. Za amunicję służył proch i ogień pozyskany ze złóż surowców i paliw wypełniających kazamaty.

Zaiste przeklęty był los szczuroczłeków. Promieniowanie, które uczyniło je groteskami stworzenia, wytrącało z siebie dwa rodzaje pierwiastków. Ciężkie jak grzechy, których dopuszczali się będąc ludźmi, zostały z nimi,

fundując koszmarną egzystencję. Lekkie, którymi były ich nadzieje i marzenia, poszły w górę, a wydostając się na zewnątrz, wniosły w ludzkie geny mutacje, za sprawą których zaczęli się rodzić magowie. Choć ciemieni przez własnych bliźnich, nie mieli tak tragicznej sytuacji jak opuszczone czerwonoookie bydłota z odmętów gleby.

Największą męką dla nich był brak możliwości powrotu na świeże powietrze, zobaczenia chmur, poczucia bryzy i ogrzania się w promieniach słońca. Kamienie, nasączone duszami, utrzymywały kosmate szkarady przy życiu. Bez ich wpływu włochate formy rozpadały się na proch w kilka minut. Tak oto Podmiasto stało się na zawsze ich więzieniem. Taki los spotkał tych, którzy odwrócili się od Stwórcy. Gnicie w absolutnym mroku po koniec rzeczywistości.

Falę piszczącego tłumu prowadził rosły szczur. Miał prawie sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, co czyniło go o ponad jedną trzecią wyższym od pozostałych. Zbroja, zrobiona z pomalowanych na czarno płyt przetopionego żelaza, zakrywała większość ciała. Wzmocniony złowrogimi, niestabilnymi magicznymi kryształami metal zapulsował bladoniebieską energią. Dzięki temu jego właściciel zyskiwał siłę i kondycję.

W zwierzęcej łapie z palcami zakończonymi długimi pazurami trzymał kostur wykonany z brązu. Na jego szczycie zamieszczono symbol szczepu i syntetyczne katalizatory kumulujące moc telepatyczną. Zamiast drugiej ręki miał prostą protezę z wielostrzałową bronią palną przypominającą harmonijkę.

Część szczuroczłeków, lepiej odżywionych i ubranych w ciężkie, lekko przerdzewiałe skorupy, trzymała w łapach prymitywne, zasilane prochem karabiny albo miotacze gęstego ognia. Lwia część armii paradowała naga, niezdiscyplinowana i uzbrojona w skorodowany szmelc. Pomimo wszystkich wad i słabości, wciąż była siłą zdolną podbijać miasta.

Dowodzący konstruktor zapiszczał, nakazując zwiększenie tempa. Jego rozkaz przekazano dalej. W ruch poszły baty, które dyscyplinowały motłoch. *Blisko. Już blisko* – myślał zwierzęcy mózg, którego ewolucja przyspieszyła podczas emisji ezoterycznej energii, wydostającej się z kryształów nasączonych ludzkim cierpieniem. *Eksperymenty. Niedługo. Badania. Wiedza. Władza. Nareszcie* – jego ambicje napędzał ludzki instykt.

Sfora wyłoniła się zza zakrętu i wylała się na kolejną długą prostą. Pandemonium rozpętało się nagle. Idący na końcu pochodu zaczęli piszczeć

i jazgotać. Zostało to zignorowane, lecz harmider narastał, a szczurze kłębowisko szybko traciło na spójności. Dowodzący odwrócił się pełen gniewu, by przywrócić porządek. To, co zobaczył, przerastało jego możliwości poznawcze. Patrzył na apokalipsę.

Koniec kolumny nie istniał. Hekatomba, tak można było nazwać to, co działo się z jego pobratymcami. Widok krwawej kaźni, dziejącej się wbrew logice, prowadził do szaleństwa. Choć grota miała ponad dziesięć metrów wysokości, to nawet na sklepieniu była krew. Z każdym uderzeniem serca fragmenty posiekanych ciał łysoogoniastych wyrzucane były w górę i jeszcze w locie zamieniały się w krwawy deszcz. Spadające krople zwiastowały nadejście ich ostatniej godziny.

Szczuroczłeki stworzyły prymitywny mur tarcz i włóczy, by bronić się przed tym horrorem. Te, które znalazły się przed linią defensywy, a były ich tuziny, eksplodowały jednocześnie. Ich parujące jeszcze szczątki rozlewały się wszędzie. Na moment zapadła cisza. Zjawisko tak kruche, że wystarczy oddech, by je stłuc, a jednocześnie na tyle mocne, by najtwardszych z twardych pozbawić rozsądku. Fenomen, który czai się za plecami i chucha w kark. Tak było i tutaj.

Wszystkim stworzeniom, które tworzyły tę prymitywną falangę, coś wyrwało naraz serca. Ich zwłoki opadły bez życia. Pozostałe przerażone człękokształtne gryzonie zapragnęły uciec. Jednak z ziemi, zmoczonej karmazynem krwi, uniosła się gęsta, bordowa chmura. Krążąc, przyspieszała z sekundy na sekundę. Ten swoisty tajfun odzierał martwe ciała do gołych kości. Te, które wessał, przerabiał na mielone mięso. Chrzęst miążdżonych mięśni i tkanek, trzask łamanych szkieletów, był muzycznym tłem dla szalonych dźwięków zabijania. Krwiste tornado pochłaniało setki dusz, które opuścili bogowie. Jeszcze ciepła posoka topiła najwolniejszych z uciekinierów.

Konstruktor pisnął, a doborowe oddziały zaczęły działać. Gryzonie otworzyły ogień. Wykonane z odlanego metalu kule, salwa za salwą, przesywały anomalie. Huk chałupniczych rusznic umilkł, gdy do akcji przyłączyły się większe armaty i proste gatlingi, zasilane taśmą amunicyjną. Uzbrojone w miotacze lepkiego ognia, wstrzeliwały skwierczącą, ciekłą maź. W ruch poszły bomby. Odłamkowe mieszały się z zapalającymi, a kłębowiska skoncentrowanej zarazy syczały obok magicznych wyładowań. Rzemieślnik rozgrzewał do czerwoności lufy harmonijkowej broni. Tabuny małych,

telekinetycznych błyskawic, seria za serią, szły przed siebie. Wprost donikąd...

Zaden nie wiedział, co ich wykańczało, dlatego walili na oślep. Byle przed siebie. Nawala ogniowa była tak intensywna, że cały korytarz zaczął się walić. Ciężkie głazy, najpierw pojedynczo, a potem połaciami, sypały się im na głowy, by runąć w całości. Szczuroczłeki nie przestały strzelać nawet wtedy, gdy przejście zostało zablokowane.

Zdając sobie sprawę z bezsensu dalszej walki, dowódca wydał rozkaz, a dla posłuchu uderzył kosturem, aż posypały się iskry. Resztki oddziałów, ponad setka zbrojnych pozostałych z kilkunastu tysięcy, które były na początku, zaprzestały marnowania amunicji. Lufy parowały, dymiły i obficie kopciły. Wszystko powoli wracało do normy, a kurz i pył opadały. Konstruktor zerknął na resztki wampira. Ciągłe leżały obok na noszach. Piskiem chciał wydać rozkaz marszu, gdy nagle, w dalekim zakątku zawaliska, zauważył ruch. Coś, jakby cień...

Kolejne szczury padły martwe, a jakaś niewidoczna siła wyrwała z ciał ich głowy. Pozbawione kończyn korpusy niczym stare, przetarte ubrania, pruły się i przyskały krwią we wszystkich kierunkach. Kanonada rozbrzmiała na nowo, tym razem chaotycznie. Każdy walczył o życie. Niewidzialne ręce cięły ich na równe kawałki. Tajemniczy drapieжник atakował ze wszystkich stron. Nie było ratunku, nie było ucieczki.

Wynalazca już czwarty raz próbował przeładować swoją broń. Łypnął ślepiami na jednego ze swoich. Siwy piechur ścisnął kurczowo długą rusznicę. Lont zrobiony z włosów i wymoczony w szczytach palił się wolno. Szponiasty paluch drżał na spuście, niebezpiecznie go muskając. Jego wzrok, pełen pierwotnego, nieprzebranego strachu, skakał na wszystkie strony. Znowu ucichło. Zostali tylko oni dwaj.

Gdyby prowadzący musiał przywołać z pamięci ten fragment życia, nie umiałby tego zrobić. Nagranie odtwarzane tysiąc razy nie dałoby odpowiedzi, jak to się stało. Nie spuszczał oczu ze swego jedyne go pomocnika, nawet nie mrugał, a mimo to nie uchwycił momentu, gdy tamten stracił łeb. Jego tors był pusty. Niemal cała zawartość została z niego widowiskowo wyciągnięta i rozwleczona daleko w mrok. Konstruktor pisnął i odwrócił oczy od zagłady. Nagle zmarł.

Przed nim stała istota. Odziana w długie, ciemne szaty. Jego wzrostu. Nie wiedział, skąd się tu wzięła. Miejsce, gdzie powinna mieć głowę, zasłaniał

kaptur, a spod niego błyskały dwa cyjanowe punkty.

Ślepia. Impulsy zakłębiły się w jego mózgu, a jego grdyka, rozpruta perfekcyjnym cięciem, wypluwała krew w zastraszającym tempie. Złapał się za gardło, wypuszczając z ręki kostur. Po trzech sekundach padł martwy, choć jego resztki dogorywały jeszcze przez chwilę.

Korneliusz już się nim nie przejmował. Przybył tutaj, by obejrzeć to, co zostało z jego najbardziej udanego dzieła. Widok Patiensusa, którego odchowwał, pielęgnował i karmił tym, co najlepsze, nie budził w nim gniewu. Nie czuł do Inkwizytora nienawiści. To byłoby zbyt prostackie. Ograniczało spojrzenie w głębię życia. Ukląkł przy resztkach Nosferatu.

Pocięty, podziurawiony, spalony, stopiony i złamany – myślał. Jedynym uczuciem, które znajdował w sobie teraz, był podziw. Szanował siłę. Ten, którego zwał Witeldonem, pokazał mu ją w najczystszej formie. Dowód z licznymi autografami miał przed sobą. Powstał.

Z arcydziełem stworzenia boskiego, w które tchnięty został cały geniusz piekielnych Panów – przypomniał sobie słowa Amona.

- Niech i tak będzie – rzekł ciężko, przerywając napięcie. W ten sposób tajemniczy byt rzucił wyzwanie nieśmiertelnemu mężczyźnie. Kiedyś ich drogi się skrzyżują i tylko jeden wyjdzie z tego żywy.

Tymczasem w panującej wokół ciszy stygła rozlana posoka. Parując, ulatywała w stronę nieba, którego nigdy nie znajdzie. Ciemność jest chlebem umarłych, a strach ich wodą.



Portal stworzony przez tajemniczego dobroczyńcę nie okazał się podpułą i faktycznie przeniósł dwoje istot człowieczych na powierzchnię. Tam, gdzie zaczęli podróż. Inkwizytor nie tracił czasu i za pomocą Sulli w mig przedostał się do Sacrum. Jego uwadze nie uszło to, jak wyglądały niektóre dzielnice Spero. Długo analizował dane, by móc na nowo rozdysonowywać swoje siły.

Dotychczas stracił stu osiemdziesięciu dziewięciu Mortusów, a jedna kanonierka transportowa typu Szpon wymagała gruntownej naprawy. Tym akurat zajmował się już Ikarius. Członek Świętego Oficjum wiedział, że masowe powstania kultystów przeszły do historii. Pozostały rozległe zniszczenia, kłębiąca się przerażona ludność i czające się w cieniu węże.

Zapoznał się z runami i bluźnierczymi symbolami, które rysowali obłąkani, wyrzynani przez Sługi Boże. Wiedział, do kogo wznosili modły.

Amon, Gusjon, Ipos, Marbas, Dantalion – każdy z nich był potężnym lordem Piekła. Panem w szatańskim wymiarze. Wszyscy należeli do Pseudomonarchia Daemonum, zwanej inaczej Fałszywym Królestwem Demonów.

Trudno było dowieść, że te szalone istoty, wypełnione kłamstwem i ułudą, stworzyły prawdziwą hierarchię. W opasłym tomie, będącym jednym z najbardziej strzeżonych w archiwach Inkwizycji, spisano imiona i zawarto czyny najsilniejszych nieczystych bytów, które kiedykolwiek nawiedzały ludzkość. Dzieło, uzupełnione o nauki pradawnego, mistycznego Salomona, gdzie na stronach pochłaniających światło mieściły się siedemdziesiąt dwie pozycje. Witeldon na pamięć znał każde słowo.

Próżno było tam szukać wzmianek o ich słabościach. A zatem jeśli to któryś z nich czeka na niego u Amadeusa, to całe miasto odczuje ich walkę. I to niezależnie od jej wyniku. Szanse Człowieka z Wyobraźnią będą w tym starciu minimalne. Zakładając w najczarniejszym ze scenariuszy, że w tym samym czasie i miejscu cała piątka złoży wizytę na Ziemi, świat czeka kataklizm, jakiego nie było od dziesiątek ludzkich pokoleń. Wtedy nawet Konklawe Spero mogłoby nie wystarczyć...

Dlatego uaktywnił niemal wszystkie zasoby. Tysiące Mortusów było w pełnej gotowości. Porozsiewani po ukrytych placówkach i komórkach, rozmieszczonych wokół dzielnic centralnych, mieli do dyspozycji szwadrony Kolibrów i Szponów. Ze zbrojowni Sacrum wyjechały ciężkie transportowce naziemne, czołgi i mobilna artyleria oblężnicza. Dzięki wzmocnionemu umysłowi tylko kilkanaście minut zajęło mu rozplanowanie sił. W razie potrzeby dotarcie do Pałacu Gubernatora zajęłoby każdej grupie uderzeniowej kilka minut. Niektóre ze szczegółów zostawił do dopracowania Ursusowi i Alexandrze, którzy znajdowali się teraz w centrum dowodzenia. Vivienne jak zawsze zajmowała się sprawami, o których tylko ona mogłaby opowiedzieć. Lydia w swoim cubiculum obcowała z najprawdziwszymi pastelami, które tam na nią czekały. Inkwizytor dotrzymał słowa i nagroził ją zestawem malarskich przyborów, którego wartość w dzisiejszym świecie przyćmiewała bogactwo co niektórych rodów szlacheckich.

- Chcesz posłać trzystu ludzi bez żadnego wsparcia przez otwarty teren?
- zagrzmiał Ursus. Pokiwał głową i rozsiadł się w stalowym fotelu. Siedzisko

zaskrzybiało niebezpiecznie od jego ciężaru i wzmacnianego pancerza.

Kobieta westchnęła.

- Ich jedynym zadaniem będzie przykucie uwagi rodzącej się w tym sektorze demonicznej hordy - ruchem dłoni przybliżyła obraz tej części miasta. Za pstryknięciem palca, niczym dzięki czarodziejskiej różdżce, we wskazanym przez nią miejscu pojawił się klucz myśliwców. - Całość można zawsze zbombardować, jeśli nie dadzą rady się utrzymać - spojrzała na niego. W jej wzroku nie było zmęczenia, lecz ogromne pokłady irytacji. - Zwalaj się mocniej, a rozwalisz następne karło.

Parsknął przeciągając się.

- Następne co? Nic dziwnego, że rozwałę, jak ktoś mojej postury siedzi w czymś, co ma karła w nazwie - strzelił karkiem. - Poza tym mam już swoje lata i drętwieję.

Wypuściła powietrze nosem i upiła łyk wody wzbogaconej sztucznym smakiem. *Aromat brzoskwiniowy* - przypomniała sobie opis. *Ciekawe, czym były te całe brzoskwinie?* - pomyślała.

- Może gdybyś czasami zdejmował tę swoją prymitywną zbroję, to mógłbyś rozluźnić mięśnie nie dewastując przy tym inkwizytorskich mebli.

Na jego ustach pojawił się krzywy uśmieszek. Wiedziała, że zaraz skomentuje coś na jej temat.

- No to ty, idąc tą logiką, bardzo się rozluźniłaś - rzekł i gdy wypowiadał ostatnie słowo, zgiął po dwa palce swoich dłoni.

Kobieta poczerwieniała na twarzy, dławiąc w sobie chęć rzucenia się na niego i siłowego wyjaśnienia kilku spraw. Faktycznie się przebrała. Jej zaawansowana skorupa na skutek ciągłych starć uległa uszkodzeniom, które pieczołowicie naprawiał Srebrny Człowiek. Odtwarzanie światłoczułych komórek było karkołomnym zadaniem. Dlatego Szpieg-mistrzyni odziała się w czarną bluzę z grubego, wygodnego włókna i średniej długości materiałowe spodnie. Na stopach miała pozbawione obcasów pełne buty z twardej skóry. Bez swojego pancerza polegać mogła tylko i wyłącznie na mobilności. Nie zamierzała sobie tego odbierać.

- Skup się na mapie, a nie na mnie! - wrzasnęła. - Masz lepszy pomysł, niewyżyty samcze? - ręką wskazywała na plan rozmieszczenia sił, nad którym aktualnie pracowali.

Kapitan ślamazarnymi ruchami otworzył potrzebne przybory.

- To boczna droga o mniejszym znaczeniu - zaczął. - Główne autostrady, największe obwodnice, wszystkie okoliczne budynki, bazy, lotniska i place obsadził Inkwizytor - pokiwał głową. - Nigdy się nie mogę nadziwić, jak on to tak szybko potrafi zrobić. Nam pozostało jedynie kilka drugorzędnych kwestii - znów skierował na nią wzrok.

Aleksandra lekko wzruszyła ramionami.

- Jest najlepszy z nas, to proste - rzekła to takim tonem, jakby twierdziła, że grawitacja istnieje.

Mężczyzna ułożył dłonie w gest zgody.

- Nie sposób się z tobą nie zgodzić - powiedział tubalnym głosem.

Przekręciła lekko na bok głowę. Z oczu bił ogień.

- Dokończ, co zacząłeś - rozkazała, choć byli równi w hierarchii.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Co tylko Pani każe - lubił się z nią droczyć. Wiedział też, że wszystko ma swoje granice. - Wieżowce i iglice administracyjne, te tutaj - dotknął wyświetlonych budynków palcami, a nad nimi zawisły projekcje z dokładnymi opisami przeznaczenia, wszelkie współrzędne i wartości od poszczególnych grup uderzeniowych - są cholernie wysokie i stoją dość blisko, by mogli się tam zainstalować strzelcy wyborowi oraz drużyny wsparcia z wyrzutniami rakiet i mobilnymi stanowiskami broni ciężkiej - naniósł na mapę wspomnianych specjalistów. - Tym sposobem grupa uderzeniowa, którą dowodzi Uluta Piukr, nie zostanie wysłana na rzeź - posłał jej spojrzenie. - Trochę szkoda, że nie mamy już do dyspozycji ciężkich jednostek. Czołgi to jednak czołgi.

Przewróciła oczami i oparła się rękoma o blat projektora. Przychylona lekko do przodu, wpatrywała się w niego z wyższością, choć Kolos, nawet zanurzony głęboko w fotelu, był od niej wyższy.

- Nadal nie rozumiem części przyznanych przez Witeldona awansów.

Palcami prawej dłoni przecesał rozczochrane włosy.

- A moim zdaniem wszystko wszystkim się należało - stwierdził i uśmiechnął się, gdy dostrzegł jej krzywą minę. - Nieźle się zarumieniałaś, gdy cię pochwalił - rozeźlona rzuciła w niego kubkiem. Podniósł go i otarł. Wziął naczynie z wodą smakową. - Czy jaśnie dama życzy sobie? - zapytał. W odczuciu Alexandry wyraz jego twarzy w tym momencie przypominał idiotę.

- W końcu się na coś przydasz - westchnęła i usiadła. Mężczyzna skończył nalewać do kubka płyn i z fantazją pchnął go w jej kierunku.

Pucharek przebijał się przez hologramy budynków i autostrad. *Stwórcy niech będą dzięki, że taka katastrofa nie przechodziła przez prawdziwe miasto* - pomyślał. Szpieg-mistrzyni uniosła naczynie w geście podziękowania, upiła kilka łyków z jego zawartości i wpatrzyła się w Wielkoluda. Mimo że nigdy by tego nie przyznała, przywykła do jego obecności. Irytował ją i grał na nerwach zachowaniem. Nie trawiła żadnej formy humoru i braku powagi. Drażniła ją jego litość i szacunek do ludzi z niższą pozycją w łańcuchu dowodzenia. Jednak nie była już w stanie wyobrazić sobie egzystencji bez niego. W jej oczach był potężnym wojownikiem i sprawnym strategiem. Oddanie służył Witoldonowi i choć miała problem z wyartykułowaniem tego, uratował ją kilka razy z opresji. *Dobrze, że jest po naszej stronie* - pomyślała. *Zawsze mógł się trafić ktoś jeszcze bardziej męczący.*

- Pozostaje nam jeszcze przypisanie szwadronów powietrznych do poszczególnych grup uderzeniowych - powiedziała spokojnym tonem.

Opancerzony Kolos głośno ziewnął.

- Jak ja tego nienawidzę. Te wszystkie wektory podejścia i przecinające się linie... - potarł policzki swymi wielkimi dłońmi. - Mógł to zrobić, zanim wyszedł z centrum dowodzenia.

Nie zważając na reakcję towarzysza, aktywowała wszystkie potrzebne modele i zaczęła wgrywać niezbędne dane.

- Sam słyszałeś - zagadnęła, a jej brew poszła lekko w górę. - Zanim stąd wyszedł, przepytiał przez komunikator drużynę agentów, którzy powrócili z długiej misji...

- O co pytał? - przerwał jej.

Spuściła głowę i westchnęła. Nie lubiła, gdy jej się przerywało.

- *Czy to, czego żądałem, zostało pozyskane?* - zacytowała słowa przełożonego. Nieświadomie obniżyła głos dla lepszego efektu. - O co ci znowu chodzi? - zapytała, widząc jego minę.

Siedział wygodnie w fotelu. Łokieć prawej ręki zaparł o krawędź projektora, a dłonią podparł głowę. Patrzył na nią i uśmiechał się w najgłupszy z możliwych sposobów. Miał maślane, rozbawione oczy.

- Chyba wiem, gdzie się tak spieszył - mówiąc to, miał rozmarzoną minę. - A bardziej do kogo - dodał i westchnął przeciągle z uczuciem, jak tęskniący

kochanek.

Spojrzała na niego jak na obłąkanego. Kompletnie obłąkanego.

- Ursus, zapytam delikatnie... - każde słowo wypowiadała wolno i dokładnie. - O czym ty pieprzysz, na litość Stwórcy?

Mężczyzna zrobił litościwe oczy i wyszczerzył się, prezentując swoje wielkie, białe zęby.

- Jaki dziś dzień? - odchrząknął jak kiepski aktor teatralny. - Kto taki zaszczyił swoją obecnością Sacrum setki lat temu? Sama mi to opowiadałaś.

Natychmiast zrozumiała jego bełkot. Faktycznie to był ten dzień.

- Och - mruknęła. - Już rozumiem. Ciekawe jak bardzo będą wychwalać Najwspanialszego - choć cynizm obficie ściekał z jej warg, sprawnymi komendami budowała fundamenty strategii, którą miało przyjąć lotnictwo.

Złapał dzban chłodnego, przezroczystego nektaru i wypił duszkiem. Ręką wytarł zarośnięte usta.

- Miłość wisi w powietrzu - rzekł głębokim tonem, przeciągając się.

Pokiwała głową.

- Dobrze, że mam przy sobie maskę filtrującą - stwierdziła z powagą.

Zjeżyła się, gdy kapitan zaczął się śmiać. Rżał jak głupi, a tymczasem ona ukradkiem położyła dłoń na swoim pistolecie.

- Czy ciebie opętało? - zapytała ze stałą w głosie. Sekundy dzieliły ją od pociągnięcia za spust.

Ursus machnął ręką.

- Nie rozumiesz, co zrobiłaś? - wycierał łzy. - No naprawdę cud - zerknął na nią. - Oj, daj już spokój i odłóż tę pukawkę - zarechotał. - Zazartowałaś, kobieto - bębnił pięściami o projektor. - Normalnie zazartowałaś - nie mógł się powstrzymać od śmiechu, choć próbował.

Westchnęła przeciągle, zostawiając broń w spokoju.

- Jakoś mi nie do śmiechu. Proponuję wrócić do postawionego przed nami zadania.

Pokiwał głową i też zaczął majstrować przy konsoletach.

- Się robi, prze pani - odpowiedział, a jego dziarska mina dodawała łobuzerskiego uroku.

Warkot, który rozległ się w centrum dowodzenia, nie należał do aparatury...

ROZDZIAŁ XXVI



- LUDZIE TACY JAK JA NIE ZACZYNAJĄ WOJEN, PANIENKO. MY TYLKO W NICH UMIERAMY. ZAWSZE TAK BYŁO I ZAWSZE TAK BĘDZIE. MY, ŻOŁNIERZE, NIE OCZEKUJEMY CHWAŁY, PARAD, MEDALI CZY PIEŚNI O NASZEJ SŁUŻBIE. PO CO, SKORO NIKT NIE PAMIĘTA NAWET NASZYCH IMION?
- ZACIĄGNAŁEM SIĘ DO ARMII, PONIEWAŻ CHCIAŁEM UCHRONIĆ PRZED NIĄ BRATA. JEDEN Z NAS MUSIAŁ WALCZYĆ, A ON OD ZAWSZE BYŁ LICHEGO ZDROWIA. NIE PORADZIŁBY SOBIE. NIE WIEM, CZY JA SOBIE RADZĘ...
- NIERAZ PRZECHODZIŁEM Z CHŁOPAKAMI PIEKŁO, KTÓRE BLIŹNI ZGOTOWALI BLIŹNIM.
- WALCZYMY DLA NASZEGO SZLACHECKIEGO PANA, ALE TAM, PO DRUGIEJ STRONIE, TEŻ SĄ LUDZIE. CZŁOWIEK ZABIJA CZŁOWIEKA, BO MUSI.
- WIDZIAŁEM OSTATECZNĄ KARĘ, ROZDAWANĄ WSZYSTKIM PO RÓWNO, I SŁYSZAŁEM AGONALNE KRZYKI UMIERAJĄCYCH GRZESZNIKÓW. DLACZEGO GRZESZNIKÓW? KAŻDY W ŻYCIU COŚ PRZESKROBAŁ, ŚWIĘTY PRZECIEŻ NIKT NIE JEST, TAKIE MOJE ZDANIE.
- WSZYSTKO TO... TO CAŁE CIERPIENIE... TE WSZYSTKIE OFIARY SĄ TYLKO PO TO, BY POPEŁNIĆ TE SAME BŁĘDY. OJCOWIE POPEŁNIAJĄ BŁĘDY DZIADÓW, SYNOWIE OJCÓW, I TAK OD ZARANIA DZIEJÓW. TO SIĘ NIGDY NIE SKOŃCZY, A POTĘPIENIE, KTÓRE NAS CZEKA, JEST WIECZNE...
- WIELCY TEGO ŚWIATA SKACZĄ SOBIE DO GARDEŁ, WYMACHUJĄC ŁAPAMI, W KTÓRYCH TRZYMAJĄ MALUCZKICH. NIKOGO NIE OBCHODZI, ILU UPUSZCZĄ...
- STRACH TO INNA NAZWA SŁOWA BIZNES.
- NA POCZĄTKU BYŁA NAS W KOMPANII SETKA. ZROBILI NAM ZDJĘCIE, WSZYSTKIM RAZEM. PO PIERWSZEJ BITWIE ZOSTAŁO CZTERDZIESTU... I TAK SIĘ NAM UPIEKŁO. NIEKTÓRE GRUPY WYBITO DO NOGI...
- TO JUŻ PIĄTE OBLĘŻENIE.
- WCZORAJ PRZENIEŚLI MNIE DO NOWEJ JEDNOSTKI...
- NIE, ŻADEN AWANS. ZOSTAŁEM JAKO JEDYNY Z PIERWSZEGO SKOSZAROWANIA...
- MAM CIĄGLE TO ZDJĘCIE, WYJĄŁEM JE Z RĘKI MARTWEGO KRONIKARZA. PANIENKA WSPOMINAŁA, ŻE SIĘ NIE ZNALIŚCIE... TEN PO PRAWEJ, Z RĘKĄ W GÓRZE, TO JA.
- CIĄGLE ICH WIDZĘ, SŁYSZĘ I PAMIĘTAM. ZAMYKAM OCZY, ZASŁANIAM USZY, A CIĄGLE JAKBY BYLI DOKOŁA MNIE... MOI CHŁOPCY. CZASEM CHCĘ, BY SOBIE POSZLI, ALE POTEM BŁAGAM, BY NIE ODCHODZILI.
- TYLKO JA ICH PAMIĘTAM. SĄ W MOJEJ GŁOWIE I NA ZDJĘCIU. MUSZĘ ŻYĆ I ICH PAMIĘTAĆ. NIE MOGĘ ICH ZAPOMNIEĆ, BO SAM NIE CHCĘ BYĆ ZAPOMNIANY.
- JUTRO KOLEJNE STARCIE. JAKOŚ TO BĘDZIE...

– NIE WIEM, CZY SIĘ BOJĘ, PANIENKO. WIEM ZA TO, ŻE JESTEM ŻOŁNIERZEM, TRYBIKIEM W MASZYNIE MOJEGO PANA, I PRZEZ TO MAM ŚWIADOMOŚĆ, ŻE JESTEM, JAK KAŻDY TU W ARMII, DO ŁATWEGO ZASTĄPIENIA, JEDNORAZOWY...

– PANIENKA OBIECA MI JEDNĄ RZECZ. NIC WIELKIEGO... PROSZĘ MI OBIECAĆ, ŻE BĘDZIE O NAS PANIENKA PAMIĘTAĆ...

WYPOWIEDZI ŻOŁNIERZA WALCZĄCEGO POD DOWÓDZTWE M SZLACHCICA BELARAZEGO Z RODU IBRAWIO, ZAWARTE W KSIĄŻCE „WOJNA, KTÓRA NIGDY SIĘ NIE ZMIENIA” AUTORSTWA KRONIKARKI IZY NUBENALI.

HISTORYCZKA POZOSTAWIŁA ADNOTACJĘ DOTYCZĄCĄ TEGO WYWIADU.

NIM ROZPOCZĘŁY SIĘ WALKI, NIE ZDAŻYŁA SPYTAĆ ŻOŁNIERZA O JEGO IMIĘ.

CZTERY DNI PÓŹNIEJ, OBOK LAZARETU, DOSTRZEĞŁA JEGO CIAŁO, LEŻĄCE WŚRÓD INNYCH ZABITYCH.

W prywatnej komnacie Inkwizytora rozbrzmiewała muzyka. Samotny mężczyzna siedział przy pianinie. Instrument wykonany z drogich materiałów, lśniący czarną powierzchnią i lekkimi srebrnymi akcentami, w każdym detalu ukazywał mistrzostwo i wielki kunszt twórców. Podobnie było z dźwiękami, które wydobywały się po każdym uderzeniu w klawisze. Witeldon Walszarti, mając do dyspozycji czas oferowany przez długie życie, mógł sobie pozwolić na mistrzowską grę na wielu instrumentach z muzycznego arsenału. Był niczym zaklęty.

Trzymał głowę uniesioną wysoko i dumnie. Oczy zamknięte, oddech spokojny, a całe ciało w harmonii i wewnętrznym spokoju. Tylko palce jego dłoni, niczym trawione gorączką, tańczyły po biało-czarnych klawiszach. W pomieszczeniu unosiły się echa do złudzenia przypominające Dzieło Stworzenia. Melodia była ciepła, głęboka i przynosiła ukojenie. Bez wahania wydobywał z instrumentu anielskie dźwięki. Powietrze wokół drżało, jakby unosiła się w nim aura boskości. Każdy, kto usłyszałby taki koncert, miałby skradzioną duszę. Wszyscy, którzy doznaliby ciszy po jego zakończeniu, opuściliby salę ze złamanymi sercami. Członek Świętego Oficjum czule pieścił zimne ciało instrumentu. Muzyka unosiła się i opadała w narzuconym przez niego rytmie.

W stronę maestro szła wysoka kobieta. Każdy jej krok był pełen uroku i pożądania. Tam, gdzie postawiła stopę, temperatura natychmiast rosła. Przywdziała bieliznę roztapiającą zmysły. Jej ciało opinały paski materiału w kolorze bezgwiezdnej nocy, a złote łańcuszki łączyły poszczególne fragmenty bielizny. Szpilki na wysokim obcasie odślaniały zadbane stopy

i lśniły drogocennymi kamieniami. Czarna, wąska, obcisła kreacja opinała dorodny biust i wrzynała się głęboko między krągłe pośladki. Półprzezroczystym peniuarem w kolorze mroku okryła ramiona, a długie, jasne loki luźno spadały na barki i plecy.

Na pięknej, niemożliwej do opisania twarzy, malował się wyraz zadowolenia. Pełne usta nieprzerwanie trwały w uśmiechu, a oczy emanujące żywym różem błyszcząły w panującym w pomieszczeniu półmroku. Świetliste kule na suficie wypuszczały lekkie, nastrojowe światło.

Zatrzymała się niecałe dwa metry od mężczyzny. Tyłem oparła się o grubą, drewnianą płytę, służącą za blat biurka. Było na nim pełno różnych zwojów i tajemniczych przedmiotów. Prawą dłoń położyła na opasłej zapieczętowanej księdze, zamkniętej na kłódkę, do której doczepiono pergamin z woskową pieczęcią. Wskazującym palcem lewej dłoni bawiła się włosami. Nawijając nań loczek, słuchała koncertu. Patrzyła na plecy Inkwizytora, ubrane w białą koszulę ze złotymi wzorami. Ułożenie materiału wskazywało, że guziki były rozpięte. Za dolną część garderoby służyły mu bokserki czarne jak węgiel.

Muzyka przyspieszała, lecz rytm wciąż był ten sam. Mogła wyczuć w niej pożądanie, pasję, oraz wolność. Rozejrzała się po jego sanktuarium. Na ścianach wisiały dziesiątki namalowanych przez niego obrazów. Pejzaże z miejsc, w których był, portrety ludzi, których z różnych względów uznał za godnych uwiecznienia. Była pod wrażeniem ich kunsztu i dbałości o szczegóły.

Melodia nabrała mocy, a przez to stała się bardziej drapieżna i natarczywa, wręcz napastliwa. Czuła, jak świat dookoła drży, a jej własne ciało przeszywają fale dźwięków. Każda wygrana nuta, niczym gorące szpony, gładziły jej skórę i szarpały za bieliznę, jakby chciały ją z niej zedrzeć. Kolejne dźwięki muskały atrybuty kobiecości i podsycaly tłący się w jej wnętrzu ogień. Miała wrażenie, że rozpala ją coraz większy żywioł.

Witeldon wydobywał z instrumentu tony, od których doznawała dreszczy. Odchyliła głowę, a jej zakończone długimi i ostrymi paznokciami dłonie rozpoczęły powolny spacer po ciele. Pianista wciąż zwiększał tempo, a jej palce były coraz niżej. Serce tłukło niczym oszalałe. Muzyka brzmiała i grzmiała w euforii, a kobieta przygryzała wargę i mrużyła oczy. Jego i jej występ osiągnął szczyt. Czas się dla niej zatrzymał i... zapadła cisza.

Czarnoksiężniczka westchnęła. Nie tyle z podniecenia, co z irytacji. *Musiał to zrobić, nigdy nie znudzi mu się ta zabawa* – pomyślała i szeroko się uśmiechnęła.

- I co myślisz? – zapytał, zamykając pokrywę pianina. Odwrócił się w jej kierunku, lecz wciąż siedział na bogato zdobionej ławeczce. Lewym łokciem i prawym ramieniem opierał się o kolana. Uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Piękne oczy. Sprawnym ruchem poprawiła włosy.

- Sztuka jest dekoracją przestrzeni, a muzyka czasu – jej głos był pełen pasji. Wzięła głęboki oddech. Materiał zasłaniający biust był bliski pęknięcia. – Ta chwila była w każdym calu perfekcyjnie ozdobiona – zaczęła się do niego zbliżać.

- Pięknie powiedziane – plecami oparł się o pianino i nie zmieniając ułożenia głowy, wciąż patrzył na jej twarz. Pochyliła się na prostych nogach. Nie omieszkał skosztować jej wzrokiem. – Tego dnia pojawiłaś się tutaj pierwszy raz – rzekł z namaszczeniem. – Muszę przyznać, że wprowadziłaś w tym miejscu i w moim życiu dużo zmian – dystans między nimi zmniejszał się z każdą sekundą. – Każdego dnia pokazujesz swoje zalety i udowadniasz swoją przydatność – oparła dłonie o jego ramiona i usiadła na kolanach. – Dlatego z okazji kolejnego roku spędzonego tutaj mam dla ciebie coś specjalnego – przywarli do siebie mocno.

Chwyciła go za głowę, lekko nachylając swoją. Ich wargi połączył pocałunek. Zrzuciła okrycie, które bezszelestnie opadło na podłogę.

- Przecież nie musiałeś – szepnęła.

- Jak zawsze – mruknął. – Podarunki są przy palenisku, na sofie.

Przycisnęła piersi do jego torsu, a on objął dłońmi jej pośladki. W skroniach poczuł lekkie wibracje, co mogło znaczyć, że użyła magii. Dopiero po chwili zorientował się, że leży na olbrzymiej kanapie przykrytej skórą i usłanej miękkimi poduszkami. Na jej rogu stała srebrna taca ze zdobionym przykryciem.

- Uważam, że dary przypadną ci do gustu – powiedział, odsłaniając zawartość pojemnika.

Zerknęła w jego stronę, a jej twarz przybrała wyraz dziecięcego szczęścia. Po kilku sekundach, niczym najprawdziwszy drapieźnik, wgrzyła się w jego szyję i pokryła pocałunkami twarz. Wodził dłońmi po gładkiej jak jedwab skórze i zdejmował z niej bieliznę. Chwytał za paski i rozwiązywał je

z wprawą. Delikatne złote łańcuszki zrywał palcami. Objęła go mocniej. Podobało się jej to, co z nią robił. Cholernie jej się to podobało, jednak...

- Czasem bywasz naprawdę kochany - westchnęła, a telekinezą, nie kiwnąwszy palcem, przesuwała do siebie prezenty. Wymierzył jej delikatny klaps, co na krótką chwilę wybiło ją z koncentracji, a podarki zadrżały chaotycznie w powietrzu. - Momentami niegrzeczny - jęknęła i zaczęła lekko kąsać go w nos.

Rozejrzała się wokół, by obejrzeć fruwające podarki. Chwyciła pudełeczko z twardego tworzywa, które wyglądało na bardzo drogie. Powoli je otworzyła. Zawartość rozbłysła bogactwem. Najpierw zajęła się naszyjnikiem. Trzymała w dłoni łańcuch ze złotych czaszek, zawieszonych jedna za drugą. Znajdowały się na nich krzyże, symbole Kościoła Stwórcy. Większość ozdabiały diamenty, których były setki. Do kompletu idealnie pasowały bransoletka, kolczyki i pierścionek. Całość tworzyła oryginalny i egzotyczny zestaw, przeznaczony dla kogoś o wyjątkowym guście. Wszystko niebywale jej się podobało. Lubiła przepych i dobra materialne.

- Na Stwórcę, jakie to wszystko śliczne - zachwyciła się. Posłała mu zagadkowe spojrzenie, a jej usta ułożyły się w zawiadacki uśmiešek. - To pewnie z myślą o balu? - pogłaskała go za uchem.

- Być może - pieścił jej dolne krągłości. - Ale jeszcze nie dotarłaś do reszty skarbów.

Odetchnęła głębiej i usiadła na nim pewniej. Wiedziała, czego oczekuje.

- Za to ty, poszukiwaczu, zbliżasz się do nagrody dużymi krokami - sapnęła i na chwilę się odsunęła. Pomiędzy nimi pojawiły się kolejne prezenty.. - Och, moje ulubione! - krzyknęła.

Niezależnie od czasów, świat jest zawsze bardziej gorzki niż słodki. Było to filozoficzne stwierdzenie, charakteryzujące ludzką naturę. W XXIII tysiącleciu Ery Pokuty tę sentencję można było brać dosłownie. Ciasta, cukierki, lizaki, lody, żelki, batony czy wafelki - wszystkie cukrowe marzenia i tuczące sny, były dziś praktycznie nieznane. Składniki potrzebne do ich produkcji były niedostępne albo zostały przeznaczone do rzeczy bardziej praktycznych. O ile chemiczne i syntetyczne słodziki można było spotkać w domach bogatych i wpływowych obywateli, to naturalne komponenty pozostawały poza zasięgiem. Dotyczyło to zarówno królów, jak i większości gubernatorów. Karmel uzyskiwany z cukru wyrabianego ze

specjalnego rodzaju trzciny, czekolada z owoców legendarnego kakaowca czy musy z owoców roślin występujących już jedynie w kilku miejscach na Ziemi – każde z tych dóbr było rzadsze niż śnieg na pustyni, słońce w nocy albo dobroć w ludzkim sercu. Jednak czasem udawało się znaleźć wyjątki, które tylko potwierdzały regułę. Właśnie teraz pomiędzy dwójką ludzi unosiły się wyjątkowe słodkości.

– Wreszcie ci akolici i agenci wywiązali się z zadania w stu procentach – powiedział, obserwując lewitujące smakołyki. – Większość pochodzi z innych kontynentów... – nie skończył, gdy dotknęła palcem jego ust.

Sięgnęła do lewitującego naczynka po małą, brązową kulkę. Niepozorna miała smak, o którym mogli marzyć bogowie. Zbudowana z chrupiącego wafelka, skrywała krem z delikatnej czekolady. Obsypana skruszonymi orzechami laskowymi i zmielonym cukrem, a całość skąpana w gęstym kakaowym złocie. Objęła słodycz wargami i zatopiła w niej zęby. Rozległo się chrupnięcie.

Poczuł jak dreszcz przeszył ciało Białowłosej. Wyprężyła się, wciskając go mocniej w poduszki, na których leżał z nagim torsem. Odetchnęła głęboko, przeciągle, niemalże zachłysnęła się powietrzem. Jedwabiste dłonie oparła na jego piersiach. Przesunęła się lekko tak, by ich twarze znalazły się na tej samej wysokości. Oblizwała usta z resztek słodkości. Przyglądała mu się promieniującymi różem oczami.

– Nie masz pojęcia, jakie to było dobre – westchnęła. – Ale za chwilę się dowiesz.

Słyszał, jak szybko biło jej serce. W palcach trzymała drugą okrągłą ambrozję, którą szybko włożyła do ust. Opadła na Witeldona. Ich wargi się spotkały. Zębami udało mu się chwycić pralinę, która pękła, uwalniając całą swoją słodycz. Delektowali się, złączeni pocałunkiem. Ich języki wiły się, gdy smakowali jeden z najdroższych przysmaków planety.

Jego dłonie niczym młoty spadły na jej pośladki. Ścisnął je z uczuciem. Wpiła się w niego mocniej, a paznokciami drapała ciało do krwi. Na moment oderwała swoje usta, by zawyc z podniecenia. Na jego policzek spadła odrobinka czekolady. Zlizwała ją. W przypiływie emocji zerwał z niej górną część bielizny. Jego oczom ukazały się piersi, jedne z najpiękniejszych, jakie widział w swoim długim życiu.

Podniosła się na moment i chwyciła jeden z ręcznie dekorowanych cukierków. Był w kształcie róży o ciemnym rdzeniu i płatkach wykonanych z białej czekolady, zdobionymi kakaowymi szlaczkami. Patrzył, jak delektuje się słodkim kwiatem, z precyzją i sadyzmem odgryzając każdy jego fragment. Gdy skończyła, zerknęła na palce umazane czekoladą. Z uśmiechem przysunęła dłoń do jego ust, a on z czułością zlizwał z nich resztki słodkiej rozpusty.

Złapała za podłużny batonik wypełniony malinowym musem i posypyany migdałową łąką. Za kolejną ofiarę wybrała rodzinę małych galaretek wymieszanych z sokami owocowymi. Po nich przyszedł czas na długi pasek czarnej lukrecji, który szybko zniknął w jej gardle.

Tymczasem mężczyzna zapewniał jej inny rodzaj rozkoszy. Gładził i szczypał jej ciało, a mocne i twarde palce zanurzył w jej łonie. Przez cały czas poruszał nimi, zmieniając tempo. Był kreatywny. Czowała go i sprawiało jej to coraz większą przyjemność. Objadając się słodkościami, równomiernie unosiła się i opadała. Słysząc było przyspieszony oddech, a ciche posapywanie z sekundy na sekundę zmieniało się w coraz głośniejszy jęk. Nagle wygięła się do tyłu. Wstrząsnęła nią rozkosz i fala spełnienia. Zmrużyła oczy, a z jej otwartych ust pociekła czekolada, którą próbowała złapać językiem. Delektował się tymi chwilami, gdy jadła słodczyce. Wiedział, jak bardzo je lubi i czuł duchowe spełnienie, mogąc na nią patrzeć podczas słodkich uczt.

Położyła się na nim, przyciskając swoje piersi do jego nagiego torsu.

- Mam zachciankę - powiedziała kokieteryjnie, dotykając czule nosa Inkwizytora.

Posłał jej zaciekawione spojrzenie. Wiedział, że może się spodziewać wszystkiego.

- Zamieniam się w słuch - odrzekł spokojnym tonem. Napięcie unosiło się w powietrzu. Gładził ją po plecach.

Jej oczy promieniowały mocą i żądzą. Polizała jego usta i wbiła w nie język. Kilka długich minut trwali w namiętym pocałunku.

- Chciałabym namalować obraz - szepnęła. - Dawno tego nie robiłam, a kiedyś mnie uczyłeś - uśmiechała się drapieźnie. - Dobrze to wspominam.

Nie był zdziwiony, domyślał się, jaki finał będzie miała ta malarska sesja. Czule dotknął dłonią jej twarzy. Mimo że miał taką siłę, by gnieść stal, dla

niej był delikatny, jakby obchodził się z piórką.

- Ależ oczywiście. Mam przecucie, że stanowisko, w którym będziesz mogła zaprezentować swój talent, czeka gotowe - dodał. Całus sprawił, że już nic więcej nie powiedział.

Powoli przesuwiała się na kraniec sofy. Dłońmi gładziła jego nagie ciało. Na moment zatrzymała się przy osłoniętym bielizną kroczu. Mógł się tylko domyślać, co jej chodzi po głowie, lecz nie zrobiła nic więcej. Wstała z łoża dumna, piękna i pragnąca nowych wrażeń.

- Chodź, nauczycielu - zamruczała, dotykając swych piersi. - Nie każ mi czekać.

Odwróciła się i ruszyła do miejsca, w którym trzymał niezbędne przybory. Podążył za nią, patrząc, jak zmysłowo porusza biodrami. Obok przeleciała chmara pudełeczek ze słodyczami, które zabrała ze sobą.

Zatrzymali się przy biurku. Na blacie leżało dużych rozmiarów płótno i niewielkie tubki, skrywające akrylowe farby w wielu barwach. Na miniaturowych stojakach stały pędzelki w różnych rozmiarach i szpachelki malarskie. Niewielki zlew z napełnionymi wodą pojemnikami miał służyć do mycia przyborów.

Vivienne oparła łokcie na biurku. Patrzyła na biały materiał, przegryzając kolejny słodki deser, delikatne herbaciane galaretki sprowadzone z końca świata. Zostały przywiezione do Sacrum z dalekich wschodnich krain w sferze z generatorem stazy. Urządzenie umieszczone w bezpośrednim sąsiedztwie przedmiotów i ludzi znacząco spowalnia czas, dzięki czemu żywność zwykle nie nadająca się do spożycia po kilku dniach może być świeża przez kilkanaście tygodni.

Oparta o blat, stojąc na wyprostowanych nogach, w pełnej krasie prezentowała krągłe pośladki.

- Co będziesz malować, moja droga? Piękna uczennica ma już jakiś pomysł?

Przesuwał wolno dłoń po jej ciele. Kiedy dotarł do podbródka, delikatnie przechylił jej głowę w swoją stronę. Posłała mu zalotny uśmiech i poczęstowała smakołykiem. Do ręki wzięła duży pędzel przypominający szczotkę.

- Pamiętasz tamten zachód słońca w Alexandrii? - mówiła z wielką pasją w głosie. - Staliśmy na skraju przepaści, za nami w słońcu płonęło miasto,

a tuż obok było wyryte w skale i pięknie urządzone mieszkanie?

Chwyliła go za rękę. Chciała, by był blisko niej. Ich ciała przywarły do siebie. Witeldon znalazł się pomiędzy młotem a kowadłem. Biurko, o które zapierał się plecami, było młotem, a Vivienne za swoimi atrybutami, kowadłem.

- Pamiętam. Najpierw musisz narysować perspektywę i oddzielić niebo od ziemi - stwierdził eksperckim tonem, muskając palcami jej boki. Subtelna pieśczoła wywołała w jej ciele silny dreszcz. Pocałował ją w szyję i stanął obok. Pieścił jej głowę i bawił się włosami. Tymczasem Vivienne wzięła do ręki rysik.

- Nieboskłon powinien stanowić większość obrazu. Proporcje około sześćdziesiąt do czterdziestu - zawahał się. - No, może trochę więcej - palec mężczyzny sunął po płótnie.

- Tak jest, prze pana - sapnęła, a gdy zaczął masować kark, jej oddech przyspieszył.

Szybko uporała się ze szkicem i przeszła do nanoszenia kolorów.

- Różowy będzie wspaniale przeplatał się z pomarańczowym i czerwonym - przedstawiła mu swoją koncepcję.

Cofnął oparcie fotela i zwinnie się na nim usadowił. Siedział teraz odrobinę wyżej od Czarnoksiężniczki. Ona usiadła przed nim. Zza jej ramienia mógł widzieć co robi.

- A więc namaluj ten raj - rozkazał i zaczął masować ramiona malarki.

Odrobina magii sprawiła, że pojemniczki z farbami uniosły się w powietrze. Dzięki tajemnej mocy wycisnęła z nich farby wprost na płótno. Upuszczała kropelki barwników. Najmocniejsze kolory na górę, słabsze niżej, lekko pod linią bezkresnych wód pozostała biała przestrzeń. Jeszcze niżej królował pomarańcz. Artystka nie zapomniała o spadającym za horyzont słońcu, które na razie miało postać śnieżnego kleksa. Rozsmarowywała substancje, nie bojąc się ich mieszać. Blendowała kolory, by uzyskać płynne przejścia. Nakładała farby, bawiąc się w tworzenie najróżniejszych tranzyjacji. Kolory zdawały się tańczyć na niebie podczas zachodu słońca.

Jego ręce też nie pozostawały bezczynne. Dokładały starań, by była odpowiednio zmotywowana do pracy. Delikatnie muskały barki, boki idealnej talii, biust. Zataczały kręgi wokół piersi. Mruczała z zadowolenia, gdy

delikatnie całował i podgryzał jej szyję. Wtedy mocniej przesuwała się do niego. Opuszkami palców pieścił brodawki, kręcąc po nich kółka.

Zmieniła pędzelek na mniejszy i kanciasty. Malowała jasne, niemal białe słońce, w które wpadały wszystkie barwy, a palcami lewej dłoni czule drapała go za uszami. Gdy poczuła, że potrzebuje mocniejszych wrażeń, przycisnęła jego głowę do swojej szyi. Po chwili zadrżała, jakby poraził ją prąd. Witeldon pieszczotliwie skubał jej sutki. Nałożyła więcej pomarańczowej farby na płótno i dodała brązu. Dzięki temu ziemia, skały i urwiska kąpały się w ostatnich przebłyskach gwiazdy królującej nad ludzkim globem. Mocniej objął jej piersi. Poczuła, jakby przez jej ciało przeszedł piorun. Pędzel wypadł jej z ręki. Przekręciła głowę, szukając jego ust.

- Chciałabym, by chwile wyjątkowe, jak ta, mogły trwać wiecznie - rozmarzyła się i westchnęła, gdy znów zaczął ją pieścić. - Wtedy jednak nie byłyby one wyjątkowe.

- Co z obrazem? - zapytał i ugryzł ją delikatnie w podbródek.

Uśmiech, którym go obdarzyła, mógłby kończyć wojny.

- Już skończony - zachichotała, kładąc głowę na jego ramieniu. - Coś taki zdziwiony? Zobacz i powieś, jeśli możesz, a ja wrócę do cukierków.

Podniosła się z niego i korzystając z lewitacji stanęła obok fotela. Niebawem usłyszał jej kroki. Zobaczył, jak zbiera z podłogi małe przedmioty. Podczas ich harców musiała niechcący upuścić kilka smakołyków. Też wstał z siedziska. Chwycił obraz i omiół go wzrokiem. Musiał przyznać, że magia odegrała w powstaniu dzieła nikłą rolę.

Skończona ilustracja była miła dla oka. Patrzył na ogień, który rozkwitł na niebie, gdy dzień miał się już ku końcowi. Widział pomarańczową ziemię, rozjaśnioną gdzieś żółtą farbą i brązowym pigmentem. To, co Vivienne dodała za pomocą mocy, stanowiło niewielki osobisty akcent. Tuż na skraju urwiska dostrzec można było czarny kontur dwojga ludzi. Kobieta była wyższa. Mężczyzna trzymał w dłoniach coś, co przypominało butelkę i dwa kieliszki do szampana...

Upięcie ramy płótna w antygrawitacyjne uchwyty zajęło mu niecałą minutę. Efekt malarskich fascynacji Vivienne unosił się przed nim, a po chwili posłusznie zajął wolne miejsce na ścianie. Zawisł tuż pod portretem Carine

Pavelic. Tej samej, której imieniem nazwał swoją najnowszą broń dystansową. Łagodne rysy wiele mówiły o jej charakterze.

W swoim życiu, choć było ono niespotykane długie, spotkał mało ludzi, którzy wierzyli w niego tak jak ona. Zwłaszcza gdy w Oficjum stawiał swoje pierwsze kroki. Niewielu było takich, którzy nie zmienili swojej postawy wobec niego po tym, jak w szczególnych okolicznościach został pełnoprawnym Inkwizytorem. To dzięki niej nie poddał się na początku drogi. Jednak czas zawsze zabierał mu takich ludzi. W zasadzie ostatecznie pozbawiał go wszystkich, którzy skrzyżowali swój los z jego własnym.

Odchodził od biurka, patrząc na antyczny już obraz. Wspominał swoje początki i tę część życia, którą Vivienne zawarła w swoim artystycznym kaprysie.

Jego ulepszony słuch wychwycił nowy dźwięk. Od razu zauważył jego źródło. W jego kierunku toczyła się samotna czekoladowa pralinka. Zatrzymała się tuż przed nim. Ukląkł na jedno kolano, by ją podnieść. Gdy uniósł głowę, tuż przed sobą ujrzał smukłą, piękną, długą nogę. Palcami opierała się o podłogę.

Powietrze przeszył cichy chichot. Vivienne trzymała w dłoni sporą sosjerkę. Uniosła naczynie do ust i łakomie piła gęstą czekoladę. Płynna ambrozja spływała jej po brodzie, przeciskała pomiędzy piersiami i, czy to za sprawą samej grawitacji, czy odrobiny magii, wąską stróżką ześlizgiwała się wzdłuż prawej nogi. Dotarła do kolana. Dalej nie pozwolił jej płynąć...

Zlizywał słodycz i niczym alpinista piał się w górę, by w końcu wpić się ustami w jej łono. Nogi założyła mu na ramiona. Klęcząc, pochylił się i dłońmi chwycił ją za pośladki. Objęła go udami i jeszcze mocniej przycisnęła waginę do jego ust. Krągłe biodra niczym kleszcze ścisnęły jego głowę. Język energicznie rozpychał się w jej wnętrzu, a usta całowały kwiat miłości.

Starał się wniknąć w nią jak najgłębiej. Vivienne coraz silniej przyciskała jego głowę. Chciała go czuć coraz mocniej i mocniej. Zadygotała i jęknęła w uniesieniu, gdy zębami zaczął ją delikatnie gryźć. Jej soki płynęły obficie, zalewając twarz kochanka. Kontynuował pieszczoty, aż poczuł gwałtowny spazm. Spełnieni padli na łożo. Głaskał ją czule, leżąc pomiędzy posągowymi udami. Powoli przesuwiał się w górę, docierając do jej piersi. Wtedy znów użyła magii, wyczarowując naczynie z brązowym deserem.

Fantazyjna miseczka unosiła się nad nią i przechylała się raz w jedną, raz w drugą stronę, za każdym razem pokrywając czekoladą jej biust. On miał słodką ucztę, a ona niewiarygodne pieszczoty. Masował, ścisnął, szczyptał, dotykał dłońmi umazanymi czekoladą, a ustami i językiem lizał i ssał sutki. Za pomocą magii całkowicie pozbawiła go ubrania.

- Chcę cię, mój ty okrutniku - westchnęła i pocałowała w czoło. Wiedział, co musi teraz zrobić.

Wszedł w nią, a ona odwzajemniła jego zaangażowanie. Nogami i ramionami objęła go i mocno przytuliła. Narzucił szybkie tempo. Intensywnie pracował biodrami, cały czas dbał o jej dwa skarby. Uznawała jego dominację. Uwielbiała siłę i wigor. Jego władcza natura podniecała ją tak bardzo, że traciła samokontrolę.

Wyprostował się, trzymając ją za pośladki. Uniosła nogi, jakby chciała zrobić przewrót w tył, ale zatrzymała je na wysokości głowy kochanka. Chwycił ją za ramiona, a ona oparła łydki o jego barki. Przygarbił się i dłońmi nakrył jej piersi. Zamknął je w swym żelaznym uścisku. Przez chwilę trzymała go za nadgarstki, lecz poddała się rozkoszy, którą jej dawał. Omdlewała w spazmach euforii, szarpiąc paznokciami pościel i wydając z siebie potępieńcze wrzaski. Palcami chwycił jej sutki. Jęknęła z rozkoszy wylewającej się z czary spełnienia. Ostatkiem tchu przyciągnęła go do siebie i zmieniła pozycję. Teraz była na górze.

Lśniąc od potu wymieszanego z resztami czekolady, unosiła się i opadała, czując go głęboko w sobie. Galopowała na nim jakby ujeżdżała dzikiego ogiera. Jego dotyk działał na nią niczym najsilniejszy z afrodyzjaków. Czuła, jakby jej skórę muskał prądem, lecz było to uczucie przyjemne i podniecające. Przesuwał dłonie po całym ciele, a palcami pieścił jej lechtaczkę, nawet na chwilę nie przerywając szalonej gonitwy.

Kilka kropel czasu z deszczu życia spadło, gdy dwoje ludzi trwało we wzajemnym uwielbieniu siebie i celebrowaniu każdej chwili. Jednak nic, co piękne, nie może trwać wiecznie. Vivienne odchyliła głowę, zarzucając do tyłu grzywą włosów. Przytrzymał ją i przyciągnął do siebie. Z podkurczonymi nogami położyła mu się na kolanach i objęła w talii.

- Nie przestawaj... - jęknęła przeciągle.

Jej słowo czynem się stało... Przerwał dopiero wtedy, gdy wpadł na nowy pomysł. Wykorzystał łącze telepatyczne i wysłał do mdlejącej już piąty raz

kochanki małą prośbę. Gdy uniosła nogi, on podciągnął swoje i opuścił ją na poduszki. Klęczał, a ona przyciskała kolana do piersi. Kolejny raz wszedł w nią, a ich ciała, niczym zaprogramowane, trwały w zatraceniu. Jedno, obdarzone przez los szczytem ludzkich możliwości, musiało uważać, by nie zamęczyć drugiego.

Kierowana kaprysem i fantazją sprawiła, że runął na łóżko jak długi. Skorzystała z magii i w jednej chwili znalazła się na nim, przyduszając go lekko biustem. Leżeli na sobie wyprostowani niczym struny. Mężczyzna w lekkim rozkroku, ona na nim, mając go w sobie. Choć uwięziony, nie próżnował. Swymi mocarnymi dłońmi uszczypnął ją. Pisnęła z ekstazą. Ruchy nie straciły na płynności, gdy wymierzył jej klaps. Rozmasował obolałe miejsce i znów uderzył. Poprawił drugą ręką.

Wciąż pieścił ją palcami, a ona czuła, że traci zmysły i ogarnia ją dojmująca słabość. Kolejna fala spełnienia odebrała jej siły. Nie miała jak, i nawet nie chciałyby przeciwstawiać się potędze jego dotyku. Odchyliła się do tyłu, a on masował i ssał jej piersi. Dłonie, które kruszyły czaszki, teraz wyprawiały cuda z jej ciałem, język zsyłał mokre sny na jawie, które pochłonęły ją całkowicie.

Vivienne wstrząsnęły konwulsje. Oddech stał się szybki, głęboki i łapczywy. Poczuł, jak uchodzi z niej dusza. Ciemność pokryła zmysły. Nie potrafiła sobie z tym poradzić. Przez chwilę miała wrażenie, że frunie. Nie kontrolowała siebie, a dzisiejsza noc była dla niej wielkim wyzwaniem. Kolejny potop zabrał resztki jej świadomości.

Gdy się ocknęła, leżała na boku, skulona. Za sobą czuła jego ciało. Choć chciała tego, nie miała siły, by się do niego przysunąć. Objął ją, jakby czytając w myślach. Zatańczył ustami na jej szyi, a dłoń z gracją powędrowała w kierunku łona. Jego dotyk parzył ją, ale pragnęła go bardziej niż powietrza.

- Mój Panie... - sapnęła, a noc zakrywała jej oczy. - Kochanie... - jęknęła z pasją, płynącą z najczystszych uczuć.

Nim odpłynęła w sen, poczuła pocałunek, który złożył na jej spragnionych wargach.



Viviene otworzyła oczy. Nie wiedziała, czy obudziła się sama, czy ktoś to sprawił. Przeciągnęła się raz i drugi. Przypomniała sobie wcześniejsze szaleństwa i dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Wszystko wciąż było w niej żywe. Przesunęła się lekko do tyłu, sięgnęła ręką za siebie i pomacała pościel. Nie było go. Przewróciła się na drugi bok. Nie podobało jej się to, że nie było go przy niej. Wciąż potrzebowała jego dotyku. Widok, który ujrzała, wywołał uśmiech na jej ustach. Bicie serca przyspieszyło, a w głowie zawirowało.

Siedział na skraju materaca. Jedną nogę wyciągnął na łóżku, a lewą rękę trzymał na zagłówku. Był nagi. Swymi ciemnymi, niemal czarnymi oczami patrzył na nią. Trudno było rozszyfrować, co wyraża jego twarz. Budziła w niej zarówno pożądanie, jak i strach. Poczula, że robi jej się słabo. Od mężczyzny biła aura władzy, siły i pewności siebie. Jako czarnoksiężniczka wyraźnie odbierała takie sygnały.

Pstryknął palcami. Usłyszała ciche buczenie. Zza mężczyzny wyleciał duży, wykonany ze srebra, pięknie zdobiony półmisek, przykryty okazałym kloszem. Zastawa unosiła się na drewnianej tacy, z której wystawał kryształ nasączony magią. Członek Świętego Oficjum zdjął naczynie i położył je na łóżku przed leżącą kobietą.

- Zakładam, że jesteś głodna - płynnym ruchem podniósł pokrywę.

Oblizła się, gdy dostrzegła serwowane smakołyki. Połowę najprawdziwszego kokosa, jednego z najrzadszych owoców na ziemi, kucharze Sacrum napełnili musli z płatków wielu zbóż, doprawiając orzechami i bakaliami. Do tego pokrojone truskawki, kiwi, borówki i jagody. Za dekoracje służyły najprawdziwsze jadalne kwiaty, pieczołowicie hodowane przez mistrzów ogrodnictwa z domu Botavis, w państwie-mieście Sydney.

Fioletowa pasta wyłożona z boku płatków musli musiała być zrobiona z jej ulubionych nasion chia. Zalane mlekiem i wymieszane z miodem, widzianym na balach szlacheckich tylko pięć razy przez ostatnie dwa tysiące lat, tworzyły niesamowity pudding.

Na zwykłym porcelanowym talerzu, ozdobionym motywem natury, dumnie prezentowały się cztery trójkątne naleśniki. Różowe, wpadające w czerwień, bardzo ją zaintrygowały.

- Wypełnione są ricottą doprawioną syropem klonowym - wyjaśnił, jakby czytał jej myśli. - Reszta syropu, garść migdałów i listki mięty posłużyły za

dekorację - dodał i chwycił mały stylizowany imbryk, którego kształt przypominał wznoszącego się do lotu orła.

Parującym naparem napełnił małą delikatną filiżankę wykonaną z porcelany, którą ozdobiono drogimi kamieniami i złotem. Wyczuwała zapach zielonej herbaty z dalekich wschodnich kresów.

- Zdajesz sobie sprawę, że za buteleczkę tej słodkiej polewy i garść tych nasionek mógłbyś kupić pół miasta? - zapytała, a jej głos drżał. - Czy to nie grzech? - lubiła się z nim przekomarzać w ten sposób.

Podniósł kokosową miseczkę, łyżką nabrał jedzenie i podał kobiecie. Na chwilę się uniosła, lecz szybko wróciła do pozycji leżącej. Bolały ją wszystkie mięśnie. Widelczykiem nabrał odrobinę przysmaków i wyciągnął w jej kierunku. Oparła się na łokciach, uniosła głowę i otworzyła usta. Delektowała się daniem, w którym słodycz mieszała się z wytrawnymi smakami. Czasem wyczuwała lekko słoną nutę.

- Smakuje?

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Poruszyła ustami, dając znać, jak małe dziecko, że chce więcej.

- Jeśli coś jest warte grzechu, to grzech nie skorzystać - policzek lekko mu zadrgał, gdy zobaczył, jak się śmieje. Pogładziła go po ramieniu i poruszała nogami, które trzymała w górze.

- I mówi to Inkwizytor Świętego Oficjum...

Parsknął.

- Kto jak kto, ale ja najlepiej wiem, co jest występkiem przeciw prawom świeckim i Boskim - ostatnia partia musli zniknęła z kokosowej miseczki.

W ruch poszły kunsztownie wykonane widelec i nóż. Dzięki telekinezie podała sobie filiżankę z parującym napojem. Witeldon pokroił naleśniki i podawał jej małymi kęsami do ust. Jadła, mrużąc oczy. Uwielbiała być w centrum uwagi. Kochała, gdy ludzie starali się ją zadowolić. Czuła wielką satysfakcję z bycia adorowaną. Zwłaszcza, gdy chodziło o Inkwizytora.

- Ostatnie dwa dla ciebie - mruknęła.

- Nie muszę jeść, wiesz przecież - była to prawda, ponieważ dzięki przebytych rytuałom mógł żyć bez strawy.

- Bez wykrętów, no, am, am - powiedziała infantylnie i siłą woli uniosła trójkątne ciasto w jego stronę. Wziął je delikatnie w palce.

- No cóż, teraz mam chociaż pewność, że nie są zatrute - rzucił w jej stronę i szybko odgryzł połowę tego, co dla niego zostawiła.

Puściła filiżankę, która teraz unosiła się w powietrzu, a sama położyła się na plecach i śmiała się, prezentując proste, białe zęby. W jej oczach pojawiły się łzy, które szybko wytarła. Patrzyła jak kończy jeść śniadanie. Rzadko pozwalał sobie na żart. Zawsze ceniła jego poczucie humoru i sposób myślenia - zimny i okrutny w wielu kwestiach, ale za każdym razem przemyślany i celny. Znali się już od wieków, a na palcach jednej ręki mogła policzyć jego pomyłki.

Puste naczynia odlatywały, unoszone magicznym kryształem. Przysunęła się do niego.

- Co teraz robimy? - zapytała tajemniczo.

Ugryzła go w kolano i uniosła się na wysokość jego twarzy. Gdy trwali w pocałunkach, czas nie miał żadnego znaczenia. Wziął ją na ręce i wstał z łóża. Objęła go, a na jej twarzy pojawiła się satysfakcja.

- Pora się odświeżyć i ubrać, moja droga - odparł.

Gdy tylko weszli do inkwizytorskiej łazienki, z zamontowanych na suficie natrysków popłynęła ciepła, kojąca woda. Namydlili wzajemnie swoje ciała. Siedziała na delikatnym, syntetycznym stołeczku, a on stał za nią. Z uczuciem masował jej ciało, a gdy zajął się biustem, oparła się o niego plecami. Umył głowę i zajął się jej pięknymi lokami. Natarł je szamponem, spłukał i nałożył odżywkę.

Osuszeni puszystymi ręcznikami, przenieśli się w pobliże płonącego i dającego miłe ciepło paleniska. Kobieta, ubrana tylko w szlafrok, pławiła się w blasku płomieni, a szczotką ze smoczej kości czesała włosy. Witeldon patrzył w ogień.

- W co się ubierzesz? - usłyszał jej miodowy głos. Prostym zaklęciem osuszyła ciało i ułożyła standardową fryzurę.

- Dobrze, że pytasz, bo akurat miałem iść po pancierz - odparł i wstał.

- Nie ma takiej opcji, o nie! - fuknęła, tupnąwszy nogą. - Tak dawno nigdzie wspólnie nie byliśmy... Ostatnio spędziliśmy razem czas na szczycie wieży na szklanej pustyni, gdy czekaliśmy na transport - udała, że posmutniała. - A było to wiek temu.

- To było osiemdziesiąt dziewięć lat temu, to po pierwsze - przerwał jej. - Przypominam ci, że na transport czekaliśmy dlatego, ponieważ po

zniszczeniu artefaktu teleportacja była niemożliwa, a nikt żywy prócz nas tam nie został.

Rozbawiona, posłała mu dzikie spojrzenie.

- Nie mów mi tylko, że ci się nie podobało - zaśmiała się.

- Nigdy bym czegoś takiego nie powiedział.

Podniosła się, zrzucając z siebie okrycie. Naga, zbliżyła się do niego. Poczł jej zapach i uniósł głowę. Patrzyli sobie w oczy.

- Idziemy w paszczę diabła, więc mój arsenał będzie mi potrzebny.

Pochyliła się, by go uszczypnąć zębami w nos.

- Zawsze mogę ci wyczarować *Martyris*, gdy tylko zajdzie taka potrzeba - szepnęła i polizała jego górną wargę. - Poza tym patrz...

Stali teraz ramię w ramię przed wielkim lustrem, które miał w swoim prywatnym pomieszczeniu.

- ...jaki z ciebie przystojniak.

Miał na sobie czarny garnitur ze złotymi akcentami, na stopach sznurowane lakierki, które lśniły w świetle lamp. Uzupełnieniem do śnieżnobiałej koszuli z zapiętym kołnierzykiem był złoty krawat. W mankietach błyszczały diamentowe spinki. Wymodelowana i natarta olejkiem broda oraz dokładnie przystrzyżone, zaczesane na prawą stronę włosy dopełniały całości. Jednak największe emocje budziły jego wąsy.

- Masz bardzo dojrzałe poczucie humoru, moja droga - pozwolił sobie na komentarz, poprawiając marynarkę.

Nie mogła stłumić śmiechu.

- Mnie się podoba.

Podkręcone przy użyciu wosku, nadawały mężczyźnie wygląd stereotypowego czarodzieja albo kupca ze wschodnich krain.

- A co myślisz o mnie? - zapragnęła komplementu.

Kiwnął powoli głową z uznaniem.

- Nie ma słów, które zdołałyby wyrazić twoje piękno - odparł z całkowitym przekonaniem.

Nie mogła poczuć się lepiej. Na zmysłowe ciało przywdziała długą, prostą i czarną jak noc suknię. Dłonie zakrywała seksownymi, jedwabnymi rękawiczkami. Głęboki dekolt odsłaniał szyję i ciągnął się aż do mostka. Dzięki temu obfity biust był doskonale eksponowany. Z zestawu biżuterii wybrała naszyjnik z czaszek i pierścioneł, które dodawały wyglądowi

grzesznej nuty. Wcięcie z boku odsłaniało długą, ponętą nogę. Wrażenie robiły szpilki w kolorze bezgwiezdnego nieba, związane na potrójne skórzane paseczki. Z całością doskonale kontrastowała burza długich białych loków.

Zauważył, że ma rozwiązany jeden z butów. Kiedy uklęknął, by zawiązać sznurowadło, poczuł dłoń na głowie. Dokończył wiązanie i wpatrzył się w obraz, który widział w lustrze. Usiadł na kamiennej podłodze. Jedną rękę oparł o kolana, a drugą objął jej nogę. Gładził delikatną skórę, od czasu do czasu wbijając w nią paznokcie. Oparła się o niego niczym królowa.

- Czas mógłby się teraz zatrzymać - powiedziała i odetchnęła pełną pierś. Jej oczy świeciły pożądaniem i zabawą.

Połąskotał ją za kolanem. Wiedział, że to zawsze na nią działa.

- Byłoby to ciekawe, przyznaję - zgodził się. - Lecz proponuję ci przenieść nas do hangaru. Mój czasomierz pokazuje, że jeśli wyruszymy teraz, to będziemy idealnie spóźnieni - dokończył lekko rozbawiony. Pstryknęła palcem...



Alexandra patrzyła, jak ostatni transportowiec opuszcza gniazdo, którym było Sacrum. Członek Świętego Oficjum i Czarnoksiężniczka lecieli do Elizjum, jednej z wysuniętych placówek, które założył w mieście. Położona w pobliżu dzielnic centralnych, które według Inkwizytora miały stać się tego wieczoru miejscem głównej akcji. Zmobilizowana została niemal każda siła, którą dysponował. Czuć było gromadzące się napięcie.

Czas przed startem Szpieg-mistrzyni poświęcała na załadowanie dziesiątego magazynka do broni umieszczonej pod kuszą *Sanctificate*. Ikarius w godzinę przebudował całą konstrukcję. Zamiast dwóch pistoletów maszynowych, strzelających małokalibrową, potrójnie błogosławioną amunicją z tytanu, miała teraz do dyspozycji karabin szturmowy o świetnych parametrach. Ciche klikanie, które rozlegało się w wyciszonym już niemal kompletnie hangarze, było odgłosem wpinanych naboju.

Zajęcie to bardzo ją uspokajało. Pociski, stworzone z tantalu, niezwykle gęstego metalu, dodatkowo utwardzonego poprzez specjalną obróbkę i komponenty chemiczne, miały niebywały ciężar jak na amunicję tej wielkości. Nowy moduł kuszy mógł nimi strzelać na znaczne odległości, a ich

moc, sprawdzona w testach, była godna podziwu. Wryte specjalne wardy mogły okrutnie karać wszystkie magiczne i demoniczne siły.

Usłyszała za sobą ciężkie kroki.

- Ślicznie wyglądali, prawda? - Ursus stanął obok skrzyni, na której rozłożyła swój ekwipunek. Przegryzał pastę proteinową, którą podawano Mortusom do jedzenia.

Westchnęła. *Nigdy się nie zamyka.*

- Jakoś się nie przyjrzałam - mruknęła z ironią, a gdy usłyszała jego tubalny śmiech, lekko się zjeżyła.

Podrapał się po zaroście.

- To ci opiszę...

- Próbuje się skupić, ty wielki trollu - przerwała mu ze złością.

Urwał kolejny kawał piekącej przekąski.

- Dobra, już cię nie męczę - strzelił karkiem. - I tak szedłem do własnego myśliwca. A tak na serio, to mam inną sprawę. Stawiam tysiąc oriakli, że pojedzie *Angelic Empress*. Przyjmiesz zakład, koleżanko? - zabębnił palcami o twardą obudowę kufra.

Parsknęła i spojrzała mu w twarz.

- Pasuję - mruknęła, przypinając do zbroi ostatni magazynek.

Szerzej otworzył zdrowe oko i zrobił zdziwioną minę.

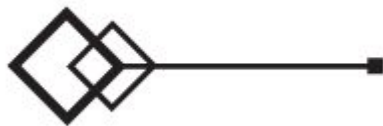
- A dlaczego, jeśli można wiedzieć?

Zapięła broń na swoich plecach i oparła się o metalowe pudło.

- Po co mam się zakładać, skoro wiem, że przegram?



ROZDZIAŁ XXVII



WPIERW CHCIAŁBYM PODZIĘKOWAĆ ZA OBECNOŚĆ, NIE TYLE CIAŁEM, CO DUCHEM, GDYŻ KAŻDY Z WAS STARA SIĘ BYĆ DLA MNIE NICZYM PODUSZKA Z DELIKATNYM PUCHEM. DARY WSZELAKIE, CO W STOSY UŁOŻONE BŁYSZCZĄ SIĘ RÓŻNĄ WOLĄ, STWORZONE Z UCZUĆ, DZIEŁA UMYSŁU, CZY NABYTE PIENIĘŻNĄ DOLĄ. NIM ZABAWA WZNOWIONA ZOSTANIE, CO PRZEZE MNIE PRZECIE PRZERWANA, CHCIAŁBYM OPOWIEDZIEĆ WAM HISTORIĘ ISTOTY, CO TO BYŁA NĘKANA. URODZONA W BÓLACH, JEDNA Z DWÓCH SIĘ NIESTETY OSTAŁA. OD RAZU Z POCZUCIEM STRATY W ŚWIAT WYSTARTOWAŁA. SZKOLONA DO WIELKICH CZYNÓW, GDYŻ PLANY MIELI WOBEC NIEJ ZGRANE, NIE ROZUMIAŁA, DLACZEGO NIE MOGŁA WBIEC NA MARZEŃ POLANĘ. ZIEMIA NASZA, CO PEŁNA ZŁA, KŁAMSTWA, ZAWIŚCI, UŁUDY, MĘKI I KATORGI, TORTUROWAŁA RAZ PO RAZ TEGO CZŁOWIEKA W BLUŻNIERCZEJ, KRWAWEJ ORGII. BÓL, CO ZACZAŁ PRZESZYWAĆ JEGO CIAŁO NAGLE I NIESPODZIEWANIE, CZYNIŁ WSZYSTKO, BY TYLKO PYTANIA, A NIE ODPOWIEDZI BYŁ Y MU OFIAROWANE. MIŁOŚĆ, CO NICZYM CUD WSTĄPIŁA W JEGO ŻYCIE I MOMENTALNIE UZDROWIŁA DUSZĘ, ODESZŁA TAK SZYBKO, ŻE NIE BYŁO MOWY, BY BYŁ PRZYGOTOWANY NA KOLEJNE KATUSZE. CZŁEK TEN ŁKAŁ I BŁAGAŁ, SAM W CIENIU MUSIAŁ ZAGINAĆ. DLACZEGO JA? CÓŻEM UCZYNIŁ? CO MUSZĘ ZROBIĆ, BY BÓL I WSTYD MIAŁY ZNIKNAĆ? WIEDZA TA JEDNAK NAWET DO GROBU NIE ZOSTAŁABY MU PRZEKAZANA, DLATEGO NA TĘ ZEPSUTĄ LUDZKĄ SKORUPĘ KAŻDEGO DNIA CZEKAŁA KOLEJNA RANA. INNYMI SŁOWY – RZECZYWISTOŚĆ TO KOSZMAR, W KTÓRYM MOŻNA SIĘ TYLKO TRUDZIĆ. LECZ NIE LĘKAJCIE SIĘ O MNIE, JA POSTANOWIŁEM SIĘ OBUDZIĆ...

URODZINOWA MOWA VITALIEGO KRYLOWSKIEGO, BOGATEGO MIESZCZANINA I ZNANEGO PISARZA SPERO.

OD RAZU PO JEJ WYGŁOSZENIU PRZY WSZYSTKICH GOŚCIACH, CZŁOWIEK TEN WYCIĄGNĄŁ Z KIESZENI MARYNARKI PISTOLET I STRZELIŁ SOBIE W GŁOWĘ.

Agent Helt ukłonił się. Wiedział, że przełożeni mieli pojawić się w jego placówce.

- Witam w Elizjum, mój Panie, moja Pani - dołączył do dwojga przybyłych i utrzymywał tempo, jakie narzucili. Po jego prawej stronie szedł Inkwizytor. Kobieta kroczyła z wdziękiem po prawicy Brodacza.

Zabezpieczona baza była wręcz nienaturalnie zatłoczona. Zamiast garnizonu dwustu Mortusów z dziesięcioma myśliwcami i pięcioma transportowcami, do boju przygotowywano tysiące ludzi i dziesiątki maszyn. Siły z najdalszych strażnic zostały przeniesione jak najbliżej serca miasta. Pełna mobilizacja następowała w wielu innych punktach. Zasoby, które do tej pory wykorzystywano do walki z buntownikami i kultystami, nie były nawet ułamkiem tego, czym dysponował Witeldon. Teraz widać było prawdziwy potencjał wpływów Inkwizycji.

Mijali czołgi szykowane do zapięcia w uprząży transportowej, artylerię i pojazdy wsparcia. Członkowie załóg, ubrani w kombinezony ze wzmacnianej skóry i metalowych płytek, salutowali i natychmiast wracali do zadań. Widać było, że każdy jest podenerwowany, choć lata szkoleń, doświadczenia i wiara w siebie i w Stwórcę, pozwalały okiełznać emocje.

- Czy pojazd jest gotowy? - zapytał zamaskowanego mężczyznę. Patrzył przed siebie, zbliżali się do sekcji jego prywatnych mobili. Dostrzegał już niektóre z maszyn.

- Oczywiście, mój Panie. *Angelic Empress* jest w pełni sprawna, funkcjonalna oraz wyczyszczona - zawsze czuł stres w jego obecności. Władzę nadał mu przecież sam Bóg. - Reaktor również sprawdzono.

Kobieta spojrzała na agenta. Wyczuł, że stał się obiektem jej zainteresowania. Szum pod czaszką i dreszcze, które go przeniknęły, były przytłaczające. Potężnie umięśnione, szerokie ciało naprężyło się, jakby zmagając się ze sztangą. Moc Czarnoksiężniczki była poza jego wyobraźnię. Aura, którą emanowała, zjadała go całego.

- Nasz Inkwizytor ma wspaniały gust, prawda? - choć wypowiedziała jedno zdanie, to kryło się w nim na raz tysiąc prawd, obietnic oraz kłamstw.

Wypełniał go strach, gdy próbował na nią spojrzeć. Słowa nie mogły opisać tego, co widział. Piękno, uśmiech, pazur i pewność siebie. Zaszło mu w gardle.

- Tak, moja Pani - powiedział bez tchu.

Poczuł się lepiej, gdy stracił jej zainteresowanie. Magia przestała nim władać, gdy całą trójką znaleźli się przy bolidzie, który uznawano za cud na

Ziemi.

Angelic Empress nie była zwykłym samochodem. To była klasa, bogactwo, osiągi i piękno, zawierające w sobie boską cząstkę. Smukłą sportową sylwetkę, jakby wyrzeźbioną dłutem mistrza, najlepszego wśród śmiertelnych, pokrywała specjalna odmiana lakieru. Czarny, lecz przy dostatecznym oświetleniu przybierał barwę oceanicznych odmętów. Azuryt otoczony złotym kruszcem, skrytym w pieczołowicie poprowadzonych liniach i obręczach kół. Laserowe oświetlenie z ręcznie wykonanym grillem przemawiały głosem aniołów. Skryty pod maską silnik, napędzany miniaturowym generatorem termojądrowym, miał, lekko licząc, ponad dwa i pół tysiąca koni mechanicznych. Auto potrafiło zawyć echem potężnych legionów. Okrzyknięto je demonem szybkości i zwycięskim anielskim rydwanem, gdyż nie przegrało dotąd żadnego wyścigu.

Od wypolerowanych szyb z krystalicznie czystego szkła odbijały się reflektory placówki. Pojazd nawet w absolutnym mroku pławiłby się w blasku swojej chwały. Impuls energii rozszedł się po jego konstrukcji. Z poszycia wysunęły się i otworzyły do góry drzwi. Innowacyjne rozwiązanie, pozwalające parkować w ciasnych miejscach.

- Zapraszam, moja droga - rzekł mężczyzna w garniturze, podając jej dłoń. Głębokie siedzenia zamontowano nisko. Nawet ona mogła wyciągnąć nogi.

Skinął głową w stronę Helta.

- Niechaj Światłość nigdy nie zgaśnie - powiedział do agenta i zajął miejsce kierowcy. Nie musiał niczego poprawiać. Tylko on mógł tu siedzieć. Kobieta pomachała słudze Oficjum, a jej usta ułożyły się w uśmiech topiący duszę.

- Tak samo jak ogień naszych dusz. Ona jest wieczna - padła odpowiedź.

Nawet jeśli czarnoskóry żołnierz zamierzał powiedzieć coś jeszcze, każde jego zdanie, obojętnie, jak głośno wypowiedziane, utonęłoby w ryku odpalonego silnika. Hologramowe konsolety wybuchły niczym supernowe, otaczając go wyświeclaczami. Energetyczne żyły zapulsowały, budząc do życia wszystkie technologiczne cuda. Viviene poruszyła ręką, wykrzywając palce w prostą kombinację. Zabezpieczyła się przed wierzganiem i szarpaniem podczas jazdy. Nie przepadała za takimi doznaniem.

- Inkwizytorze Witeldonie, Czarnoksiężniczko Viviene, miło mi, że spotykamy się ponownie - przemówił komputerowy kobiecy głos.

- Dobrze cię słyszeć, Empress - władająca magią przywitała się z adaptującą się maszyną różniczkową, którą zainstalowano w aucie.

Migoczący panel z licznymi kamerami, obejmującymi każdy kąt na zewnątrz bolidu, wyrósł przed nim w rzędzie symetrycznych kryształów.

- Aktywować powłoki maskujące? - zapytała maszyna.

Ulubiona zabawka Inkwizytora mogła być niewidoczna dla postronnych obserwatorów. Informacje ze świata dostarczała aparatura. Lakier również mógł przybierać najrozmaitsze barwy.

- Nie - odpowiedział.

Przez moment dało się słyszeć buczenie, które ustało tak szybko, jak się pojawiło.

- Procedura startowa zakończona. Pełna gotowość do odbycia trasy - rozbudowany program sterujący zdobył się na ton pełen dumy i, co ciekawe, lekkiego zniecierpliwienia.

Zacisnął mocniej dłonie na kierownicy, przeniósł stopę na pedał gazu, lekko się pochylił.

- Czekałem na te słowa - powiedział i zwiększył moc. Przełożenie zadziało natychmiast.

Angelic Empress wyrwała jak na skrzydłach, szybciej niż karabinowy pocisk. Przez moment wszyscy żołnierze patrzyli, jak lśniąca strzała przemyka, pozostawiając za sobą snop tylnych świateł. Przed dwojgiem pasażerów pojawiła się potężna brama wjazdowa. Prędkość rosła, odległość malała, wszystko wyglądało na to, że podróż zostanie brutalnie przerwana, gdy nagle samochód zniknął w błysku ognia, by po chwili wynurzyć się na zewnątrz placówki. Opony pisnęły, gdy dotknęły asfaltu jednej z podniebnych autostrad.

- Nie ma za co, mój szoferze - mruknęła kobieta i przechyliła się w fotelu na bok. W nocy, która spowijała Spero, wśród migoczących konsollet auta, wyglądała zjawiskowo. Przeciągnęła dłonią po umięśnionej nodze, torsie, pogładziła twarz i teraz bawiła się jego włosami. - Mogłam ci inaczej ułożyć grzywkę.

Lekko pokręcił głową i westchnął.

- Całkowicie zdaję się na ciebie i twoją intuicję, moja droga.

- Jak zawsze - zachichotała, a wokół jej palca utworzył się loczek.

Przywileje i niemal zupełnie puste drogi zapewniały im prywatność i komfort jazdy. Licznik pokazywał czterysta dziewięćdziesiąt dwa kilometry. Wykonanie samochodu, kunszt przebijający z każdego detalu i pieczołowitość połączona z poświęceniem pozwalały nie czuć prędkości. Ulepszone zmysły Witeldona sprawiały, że mógł jechać w każdych warunkach i brać udział w najbardziej szaleńczych gonitwach.

Viviene zerkała przez szybę na metropolię znajdującą się po obu stronach, nad i pod nimi. Miliony świateł i różne rodzaje architektury pozwalały zatracić się w obserwacji. Zmieniając układ sił w napędzie, lekkim łukiem wchodził zakręt. Pałac Gubernatora powoli zaznaczał swoją obecność na horyzoncie. Myślą aktywował głośniki. Usłyszeli nastrojową, piękną piosenkę. Nie żyjąca od dawna artystka, którą poznał osobiście, śpiewała głębokim, mocnym głosem przy akompaniamencie fortepianu. Czarnoksiężniczka chwyciła go za rękę. Wiedziała, że zawsze prowadzi tylko lewą.

- Co to za pomnik? - spytała i stuknęła paznokciem w szkło.

Spojrzał w bok, by zobaczyć, co przykuło jej uwagę. Nie musiał patrzeć na drogę. Wszystko widział na swoich wyświetlaczach siatkówkowych. Kamery przekazywały informacje prosto do jego mózgu.

- Kilka razy byłaś w pobliżu tego miejsca i nigdy o to nie pytałaś? - zdziwił się.

Omiotła go wzrokiem pełnym udawanej złości.

- Zawsze skupiałam się na tobie, mój ty Okrutniku - oznajmiła tonem kusicielki.

Parsknął, odchylił głowę i zaśmiał się cicho.

- Dobrze, naprawdę dobre - pochwalił ją. - Podziwiasz pomnik Opalo.

Przysunęła się i oparła o jego bok. Czuł jej zapach. Oddychał powietrzem, które ona wydychała.

- I tylko tyle? - pocałowała go. - Widziałam, że to był jakiś uroczy grubasek w sweterku i za dużych spodenkach, ale coś musiał zrobić, skoro postawiono mu statwę takich rozmiarów.

Docisnął pedał gazu.

- Kryje się tu pewna historia, moja droga, a do tej opowieści proponuję coś na ząb - pstryknął palcem.

Otworzył się schowek pasażera, ukazując paczkę pełną podłużnych wafelków, oblanych mleczną czekoladą z ręcznie wykonanymi wzorami z gorzkiej odmiany. Ich wypełnieniem była masa z orzechów laskowych. Wzięła jeden, odwinęła z gustownego opakowania i zaczęła się nim delectować.

- Wiesz, jak zwrócić uwagę kobiety - stwierdziła. - Zamieniam się w słuch.

Skręcił w prawo.

- Pomnik stoi na dworcu kolejowym numer siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć. Dokładnie na peronie siedemnaście - opowiadał spokojnym, głębokim głosem. Właśnie zajeżdżali na tyły monumentalnej konstrukcji, będąc kilometry od niej i setki metrów nad nią. - Podstawiane tam wagony od zawsze dostarczały pracowników do Pałacu Gubernatora i innych centralnych urzędów. Codziennie był tam też jeden człowiek, który nie należał do urzędniczej kasty oficjeli.

- To był on? Skoro nie był szczurem biurkowym, ani, jak mniemam, pracownikiem, to co tam robił? - zapytała zaciekawiona, a trzeci cukierek zniknął w jej ustach.

- Nic. Po prostu przychodził i czekał - spojrzała na niego zdziwiona. - Zaskoczona? Naprawdę, stał na płycie, a nadciągające pociągi go mijaly. Trwał tak dzień w dzień, od porannych przyjazdów o szóstej, i schodził jako ostatni po dwudziestą drugą, gdy wszyscy rozchodzili się do bloków mieszkalnych.

- Czemu to miało służyć? Ja bym w życiu tyle nie wystąpiła - stwierdziła i wróciła do obserwowania statuy. Powoli zniknęła jej w oddali.

Wzruszył ramionami.

- Nikt nie wiedział, po co to robił. Krążyły plotki, że jego matka była urzędniczką, która zginęła w jednym z zamachów, tak licznych w dzielnicach centralnych. Człowiek ten był najprawdopodobniej upośledzony - pokręcił lekko ręką w powietrzu. - Nigdy nic nie mówił i nie zmieniał wyrazu twarzy...

- To skąd wiadomo, jak miał na imię?

Dobre pytanie - pomyślał.

- Na ubraniu, które nosił, miał wyszyty ów napis. Przyjęła się z czasem opinia, że tak właśnie się nazywał.

Kiwnęła głową. Wafelki powoli już się kończyły.

- Najprawdopodobniej wyczekiwał swojej rodzicielki. To, że przez długie lata nikt się nim nie interesował, było czymś normalnym dla naszych czasów. Sytuacja odrobinę się zmieniła, gdy zaczęła go wysiadająca urzędniczka.

- Tak po prostu?

Zaśmiał się bez wesołości.

- To aż takie dziwne, że ktoś się zainteresował nieznanym bliźnim? - nagle zredukował prędkość i zjechał na inną trasę. - Zabrała go na obiad i kupiła pastę odżywczą z maszyny - spojrzał na Vivienne. - Tak zaczęła się ich znajomość. Nazywała się Anaisse i gdy tylko wychodziła z pracy, spacerowali do jej domu. Po drodze Opalo wysłuchiwał o tym, jak wypełniała dokumenty, przykładała pieczętki i tym podobne.

Minęli wewnętrzne umocnienia miasta i znaleźli się w sercu Spero.

- Słodkie - skomentowała i oparła się o jego ramię.

Westchnął.

- Zakończenie jest jednak gorzkie. Ich relacja nie ruszyła z miejsca, choć po takim czasie ciężko stwierdzić, ile w tym prawdy. W każdym razie po ponad dziesięciu latach tych wzajemnych przechadzek mężczyzna jak co dzień znów czekał na nią na dworcu. Nie wiedział, że nigdy już jej nie spotka.

Vivienne lekko się wyprostowała.

- Co się stało? - zapytała niepewnie. Nie lubiła, gdy w historiach coś się psuje.

Jego spojrzenie było pozbawione emocji.

- Część wagonów odpięła się z uprzęży i runęła w przepaść. Ona była w jednym z nich - zaskoczona, lekko otworzyła usta. - Choć ludzie dookoła szeptali, tłumaczyli, próbowali go odwieść od bezsensownego sterczenia na peronie, nikogo nie słuchał. A lata mijały. Przychodził na dworzec każdego dnia przez przeszło dwie dekady, aż zrobił coś, co uczyniło z niego legendę.

Przylgnęła do niego mocniej. Gdyby nie konstrukcja auta i to, że prowadzi, dawno by na nim siedziała.

- Czyli?

- Deszczowy poranek zapowiadał się zwyczajnie. Opalo stał i patrzył przed siebie. Mijały go setki ludzi - skręcił na skrajny pas, by zjechać na inny poziom. Byli już blisko. - Mijała go kobieta z małym dzieckiem. Dziewczynka miała jakieś pięć lat. Wyrywała się matce, bo chciała wskoczyć w kałużę,

która była niebezpiecznie blisko końca płyty bezpieczeństwa. Dopięła swego, lecz poślizgnęła się i upadła wprost na tory – poczuł jak mocniej ścisnęła jego ramię. – Pociąg był raptem kilkanaście metrów przed nią i nie mógł już wyhamować. Kobieta zaczęła wrzeszczeć, niektórzy ruszyli z pomocą. Nikt jednak nie byłby w stanie zdążyć – zrobił pauzę i nabrał powietrza, a Vivienne wstrzymała oddech. – Jemu się udało, stał najbliżej. Zrobił dwa kroki, skoczył na tory, złapał dziecko i odrzucił matce – Inkwizytor spojrzał w jej szklące się, różowe oczy. – Sekundę później maszyna zmiotła go z powierzchni Ziemi.

- Mogłeś powiedzieć, że to jedna z tych opowieści – wtulała się w niego.

- Pomnik został postawiony wkrótce potem. Ufundowali go urzędnicy, których całe pokolenie wychowało się na historii o *Opalo, który czekał* – zerknął w lewo. – Coś czuję, że humor zaraz ci się poprawi.

Podniosła głowę, by zobaczyć, o czym mówi. Czarne chmury natychmiast się rozstąpiły. Ugryzła go w ucho.

- Jak zwykle nie myliłeś się, tatku – szepnęła.



Pałac Gubernatora kipiał bogactwem jeszcze większym niż zwykle. Miejscem spotkania były jego osobiste apartamenty. Ten istny raj tworzyły marmur, złoto, srebro i światło. Służący, ubrani w aksamitne mundury, roznosili szampana i lekkie przekąski. Żyrandole i kryształowe lampy rozpraszały mroki biedy, która nie miała tutaj wstępu. Rzeźbione kolumny i ściany pełne obrazów onieśmiały gości z najcieńszymi portfelami. Platynowe mechaniczne kupidyńki, podarunki od zaproszonych Inżynierów, latały wśród gości, dostarczając tajemnicze listy i wachlując elity.

Inkwizytor i Czarnoksiężniczka stali w kolejce do wejścia, przesuając się w ślimaczym tempie. Z przodu i z tyłu roilo się od szlachciców, wiecznie głodnych władzy i chwały. Panowie nosili piękne surduty, ozdobione rodzowymi symbolami, trzymali cenne pistolety i laski, wysadzone drogimi kamieniami. Wielu paradowało w dekoracyjnych zbrojach z przytroczonymi do pasów szablami albo buzdyganami. Towarzyszące im partnerki, nieważne czy były to ich matki, siostry, żony, znajome, czy wynajęte nierządnicze, nosiły bufiaste suknie na stelażach, kipiące od dekoracji i biżuterii, albo wielobarwne kombinezony z dekoracjami w formie lśniących obręczy.

Dodatkami do całości były używki. Oprócz lekkich alkoholi, wzięciem cieszyły się wyroby tytoniowe. Kosztowne uzależnienie. Mężczyźni gustowali w fajkach, wykonanych z kości, szlachetnego drewna oraz rzadkich metali. Niektórzy palili egzotyczne cygara. Kobiety zadawały się długimi, smakowymi papierosami.

Istne leże zatracenia – pomyślał Inkwizytor. Było w tym trochę prawdy. Otaczający go pyszni i nastroszeni niczym pawie ludzie wręcz kipieli grzechem. W nozdrzach czuł lekką słodycz. Zepsucie i spaczenie biło od nich niczym perfumy, którymi byli obficie skropieni. Twarze i ciała wielokrotnie poprawiane odmładzającą chemią i wymyślnymi zabiegami, wyglądały sztucznie, nienaturalnie i groteskowo. W ich oczach widział krew. W głowach królowały ambicja, rozpusta i hedonizm. Serca pozostawały głuche na miłosierdzie, a umysły ślepe na logikę. Byli szkodliwi, lecz również niezbędni. Nawet dziecko wie, że rzeczywistością rządzi pieniądź i ten, kto go ma, dyktuje warunki. Oni go mieli i niemal zawsze rozdawali karty.

Szambelan wyczytywał kolejnych gości, którzy dołączali do imprezowiczów. Kolejka wolno, lecz regularnie przesuwiała się do przodu. Ukłoniwszy się nisko, jeden ze sług podszedł do pary reprezentującej Inkwizycję. Nic nie powiedział, tylko czekał na ich ruch. Człowiek z Wyobraźnią wziął dwa kieliszki pełne musującego dobrodziejstwa. Pacholek schylił się jeszcze bardziej i milcząc podchodził do innych zaproszonych.

- Dziękuję – mruknęła Czarnoksiężniczka, gdy wręczył jej kieliszek z szampanem. - Za dobry wieczór – dodała uniosła naczynie w jego stronę. Jej uśmiech był wielce drapieżny.

Właśnie przekraczali ozdobione jedwabiem i kwiatami wrota.

- Nie zaszkodzi, moja droga – odparł i stuknął się z nią szkłem. Zaczął pić i nagle się zakrztusił.

- Mistrz Inkwizycji, obrońca Spero, Miecz na Błęznierstwa Piekielne i Nieboskie, Czempion Stwórcy, Witeldon Adomas Jonas Walszarti oraz Mistrzynie arkanów magii, Naczelną Czarnoksiężniczką Inkwizytora Witeldona, a także była Arcyzaklinaczka nieistniejącego już Kręgu Magicznego w Alexandrii, Vivienne Larose – wrzeszczał ile sił w płucach człowiek oddelegowany do przedstawiania ważnych gości.

Członek Świętego Oficjum dopił bąbelki, pokiwał głową i westchnął. Muzyka przycichła, czas stanął w miejscu, wszystkie oczy patrzyły na dwoje zapowiedzianych gości.

- Może powiesz to jeszcze głośniej? - zagadnął do szambelana w piórkowym kapeluszu, a gestem wskazał zbiegowisko przed sobą. - Chyba nie wszyscy usłyszeli - proszony nie wyczuł ironii, nabrał powietrza i zaczął otwierać usta. Witeldon szybko zasłonił mu je własną ręką. - To była propozycja retoryczna - Vivienne cichutko zachichotała i odstawiła puste naczynie na tacę, którą trzymała ogolona na łyso drobna służąca, ubrana w długą szatę.

Napięcie rosło tak samo jak niezręczność całej sytuacji. Brodacz zamierzał powiedzieć coś stylowego, czym bez wątpienia podbiłby serca wszystkich, lecz jego plan przerwała samotna postać, odziana w czerwień, która właśnie wyłaniała się z tłumu.

- Witaj, Łowco! - zakrzyknął Amadeus Gravius.

Mężczyzna wystąpił przed szereg. Kilku Interwentów w mocno wypolerowanych zbrojach znalazło się po jego bokach i za nim. Był dobrze chroniony. Gubernator uśmiechał się szczerze. Z nonszalancją odwrócił się na moment do reszty gości. - Nic się nie dzieje, bawimy się dalej, moi mili. Muzyka! Gdzie jest muzyka?! - pytał, jakby postradał zmysły.

Rozbrzmiały wysokie rytmy, a powietrze niosło wibracje porywające dusze. Goście wrócili do tego, w czym byli wyjątkowo dobrzy - do zajmowania się sobą. Szelest rozmów znów ogarnął przestrzeń. Władca miasta zbliżył się wolnym krokiem do wyjątkowych osobistości. Ruchem ręki zatrzymał strażników.

- Witaj, Gubernatorze - odpowiedział Inkwizytor. - Wyjątkowo ciekawa stylizacja.

Pan Spero ubrany był w białą koszulę, spiętą czarnymi paskami, które pod szyją uformowały się w dwie przecinające się belki. Na to nałożył krwistoczerwoną kamizelkę, zapinaną na srebrne krzyże. Na ramionach, niczym antyczny monarcha, przewiesił płaszcz, którym mógł się szczelnie okryć. Tę część stroju wykonano z czerwonych nici i obszyto złotymi mozaikami, pełnymi rubinów i diamentów. Spodnie ozdobiono łańcuchami z drogich kruszców. Całości ubrania dopełniały wiśniowe lakierki, błyszczące niczym gwiazdy.

Warte fortunę pierścienie zdobiły jego palce. W dłoni trzymał wykonaną z czarnego żelaza laskę, zakończoną złotą czaszką. W jej oczodołach świeciły drogie kamienie. Oblicze Amadeusa przyozdabiał delikatny kolczyk w uchu. Można było również zauważyć lekki, nieagresywny makijaż.

Strojnisz stuknął laską o wypolerowaną marmurową podłogę.

- Dziękuję za komplement - odparł, a ręką wskazał na siebie. - Ostatni krzyk mody w Moskwie - szeroko się uśmiechnął i wyszczerzył białe zęby. - Nigdy nie myślałem, że będzie mi dane ujrzeć cię bez zbroi - rzekł i zerknął w bok. Natychmiast podniósł głowę. Na jego twarzy malował się wyraz niedowierzania i boskiego uwielbienia. Ujął rękę kobiety. - Ani że będę patrzył na prawdziwego anioła - powiedział w uniesieniu i ucałował jej dłoń.

Vivienne ukloniła się, lecz nawet w takiej pozycji była wyższa od swojego nowego wyznawcy. Nie zabrała ręki, pozwalając mu się nią delektować.

- Pańskie słowa są niczym miód na serce, ale wydają się trochę przesadzone - odparła potulnie, a Witeldon spojrzał na nią zdziwionym wzrokiem.

Gubernator zaśmiał się. Oboje w tym samym czasie puścili swoje dłonie.

- Nonsens, moja Pani - wskazującym palcem uderzył się w pierś. - Kiedy waży się kwestia piękna, to ja jestem największym ekspertem - uśmiechnęła się, ukazując perliste zęby, a w niego wstąpiło jeszcze więcej wigoru. Znów zastukał symbolem władzy o płyty kamienia. - A teraz za mną, jeśli można, siadacie obok mnie i jeśli się pospieszymy, to zdążymy na koncert.

Amadeus zarzucił płaszczem i ruszył przed siebie. Interwencji zostali odprawieni. Dwoje gości z Oficjum szło tuż za nim. Przechodzili wśród bawiących się w najlepsze. Brnęli przez huragan kolorów i barwnych stylizacji. Zdawać się mogło, że zaproszeni mieli na sobie tyle szlachetnych metali, że ozdoby ważyły więcej niż oni sami. No, ale kto bogatemu zabroni...

Nagle skręcili ostro w lewo i stanęli przy wejściu do jednej z loży. Zasiadli niczym w operze, w ambonie o niskiej balustradzie, przy okrągłym stole. W oddali widać było przyciemnioną scenę.

- Pragnę przedstawić Wam księcia Marco Diessiux i księżną Vanesę Poitre, członków rodu Canno, urzędujących we wschodnich dzielnicach Spero, mających znaczne ziemie i udziały w Nigertii - powitał ich ciepły wyraz twarzy i kiwnięcie głową.

Książę nosił paradną zbroję, bogato zdobioną, z szablą u boku. Herbowe kolory – żółć i zieleń ze strzelającą armatą w godle – prezentowały się dumnie. Dłuższe jasnobrązowe włosy okalały młodą i pozbawioną zarostu twarz. Jego partnerka lekko się ukłoniła. Nie wstała. Ciemne blond włosy zaplotła w zmyślny kok. Spoglądała na nich przygaszonymi, zielonymi oczami. Miała przesadnie różowe policzki, a patrząc na nos i usta, nietrudno było zauważyć, że zostały lekko skorygowane. Całkiem duże, sztuczne piersi, były mocno opięte gorsetem.

Gubernator wskazał gestem kolejnego gościa.

- Diaconus Francis Trewiab, czcigodny wysłannik reprezentujący Kościół naszego Jedyne i miłosiernego Stwórcy.

Duchowny podniósł się, drżąc.

- Niezmiernie się cieszę, że dane mi jest Pana poznać, Inkwizytorze - zakrztusił się z nerwów, a jego czoło zalśniło od potu. - Legatus Maximus Borka nie mógł się pojawić na tym błogosławionym przyjęciu, gdyż zebrał ze sobą innych Legatusów na nagłą naradę - przełknął głośno ślinę. - Dlatego to mnie przypada godność reprezentowania Kościoła - dokończył i usiadł. Jego nerwowy uśmiech, choć szczery, był trochę sztywny.

Nosił prostą, czarną sutannę z wielkim srebrnym wisiosem, będącym symbolem religii. Drobne okulary o grubych szklach zdawały się za małe na tę pyzată twarz. Czerwone policzki i delikatny drugi podbródek świadczyły o nieznacznej tuszy. Czarne włosy miał krótko przycięte.

- Najmocniej przepraszam za pozostawienie sobie zacnego gościa na koniec - pisnął ubawiony Amadeus. - Przewodniczący ostatniego Żelaznego Komitetu, Starszy Inżynier Khul Jukas.

Ostatni gość nie siedział. Cyborg cały był wykonany z twardej, hartowanej stali, wzmacnianej stopami innych surowców. Mocno zgarbiony korpus przypominał ciało węża, umieszczone na pajęczych nogach. Cztery metaliczne ręce spoczywały na brzuchu. Mechaniczna twarz nie przypominała ludzkiej. Rzędy diod układały się w coś na kształt oczu. Reszta mechaniki dygotała jak szczękoczułki. Odziany w szaty w kolorze miedzi, wzrostem był największym z gości. Przerastał nawet Vivienne.

- Inkwizytor Witeldon Walszarti, przedstawiciel Świętego Oficjum - zahuczał głosem niczym z głośników. - Sankcjonowana inkwizytorskim mandatem Czarnoksiężniczka Vivienne Larose. Skala mocy magicznej zbyt

wysoka do oceny i poprawnej rejestracji – można było uchwycić nutę strachu w jego sztucznym basie. – Moje kryształki pamięci, magazynujące odruchy ludzkie, proponują użycie słów: Jestem zaszczycony waszą obecnością.

Ikarius to przy nim ekstrawertyczny artysta – pomyślał Brodacz.

– Nam również jest miło was poznać – powiedziała kobieta, a on przywitał towarzystwo kiwnięciem głową.

Wszyscy zasiedli przy stole. Po swojej prawicy Amadeus miał szlachciców, po lewicy Inżyniera. Obok siedział Człowiek z Wyobraźnią, a miejsce po jego lewej stronie zajmowała Vivienne. Diakonus Francis, który siedział obok Czarnoksiężniczki, nie spuszczał z niej oczu.



Czekający w cieniu służy natychmiast uraczyli gości przystawkami. Podane zostały wyroby rybne, pieczywa i sałatki z kosztownych warzyw. Na stole znajdowała się bajeczna fortuna. Polało się wino, a tam, gdzie się pojawia alkohol, rozkwitają rozmowy. W tle rozpoczął się pierwszy występ.

Scena rozbłysła światłami i za sprawą ukrytych mechanizmów uformowała się w wielopoziomowe podium. Na każdej wysepce znajdował się artysta w pięknym stroju. Fortepian, trąbki różnej maści i klarnety były niemal gotowe do koncertu. W tej artystycznej grupie najbardziej wyróżniała się jedna osoba. Drobna kobieta. Stała bliżej końca platformy, wyżej od innych. Odziana w zwyczajną, mdłoszarą suknię odsłaniającą ramiona, upiętą w talii metalicznym pasem. Proste, długie włosy leżały rozpuszczone na jej plecach.

- Ciekawe - mruknął Inkwizytor.

- Aurelia Fulisio - wyjaśnił Amadeus. - Skrzypaczka pochodząca z biednej rodziny. Za młodu przydarzył jej się straszliwy wypadek. Wychowywał ją ojciec, który był zmyślnym konstruktorem. I to właśnie dzięki niemu narodził się jeden z największych talentów młodego pokolenia.

Zamiast rąk kobieta miała protezy w barwie ciemnego złota. Obrażenia, których doznała, musiały być faktycznie wielkie. Nawet stawy barkowe miała sztuczne.

- Wysokiej jakości wykonanie, pozwalające na pełną gamę odczuć i ruchów. Wykorzystane stopy metalu, syntetyczne tworzywa i elektronikę kwalifikuję na drugą kategorię - cybernetyczny bas Inżyniera wyrażał uznanie.

Tymczasem Aurelia zaczęła grać. Całą salę wypełniły nowoczesne i szybkie dźwięki. Akompaniowali jej pozostali muzycy. Widać było, że jest całkowicie pochłonięta muzyką. Mechaniczne ręce nie męczyły się, nie drżały. Każdy ruch smyczka był nowym zdaniem i kolejnym wersem modlitwy do muz. Gubernator pstryknął palcami. Koncert lekko przycichł. Aktywowane zostało pole tłumiące, dzięki czemu nie musieli podnosić głosu podczas rozmowy.

Na stół wjechały dania główne. Zupy, kremy i mięsne specjały. Jedząc, prowadzili dialog. Wszyscy słyszeli się nawzajem. Dobrze urodzeni wymieniali się z Panem Spero spostrzeżeniami dotyczącymi zarządzania majątkiem. Właśnie kończyli wątek o krnąbrności, którą wykazują ludzie, wcielani siłą do ich armii. Nie mieli ochoty umierać w prowadzonych przez nich wojnach.

- Wyobrażasz sobie, Amadeusie... Pod moim sztandarem? - książę Marco upił łyk szampana i pokręcił głową uśmiechając się i wzdychając. -

Naprawdę nie rozumiem tych prostaczków. Przecież i tak nie mają wiele do stracenia.

- Oni w zasadzie niczego nie mają - odpowiedziała jego wybranka, po czym zajęła się korzennym kremem.

Rudzielec podpierał głowę palcami lewej dłoni.

- Niesamowite - mruknął udawanie. Miał trochę inne zdanie na ten temat, lecz poprawne stosunki ze szlachtą były priorytetem. - Zadam wam, moi drodzy przyjaciele, trudne pytanie.

Mężczyzna w paradnej zbroi przecesał włosy.

- Na niebiosa, a czym myśmy zgrzeszyli - zażartował, a szlachcianka zachichotała. - Słuchamy.

Gubernator mlasnął mało elegancko, kiwnął palcem w powietrzu i pochylił się do przodu.

- Czym jest dla was życie ludzkie?

Spojrzeni po sobie z dużym zdziwieniem, by potem wybuchnąć śmiechem.

- Przepraszam za reakcję, Amadeusie - zaczął Marco, wycierając łzę. - Doprawdy, to nietuzinkowe pytanie - blondynka potwierdziła skinieniem, a jej mąż zagwizdał, wytrzeszczając oczy. - Przypominają mi się słowa kapłana, który nauczał mnie za młodu dogmatów wiary - przybrał dumną postawę, nadał się i zaintonował głębokim głosem. - Życie to pieniądz, który ofiarował nam Stwórca. Dobrze go wydajmy.

- A my, co jak co, ale na pieniądzach się znamy - dodała Vanessa i na moment uchwyciła spojrzenie Inkwizytora. Zatrzęsły nią dreszcze.

Nie wiedziała, że Brodacz całkiem niedawno też usłyszał to zdanie. Padło ono podczas przesłuchania Jana, które prowadził. Nie lubił zbiegów okoliczności ani powtórzeń.

- Twoje pytanie miało jakiś cel? - zapytała.

Bursztynowe oczy przyjęły idealnie zakłamany wyraz, który dla kogoś postronnego wyglądał na naturalny.

- Nie - odparł, podnosząc kieliszek. - Wasze zdrowie! - wzniosł toast, a szkło zadzwoniło o szkło.

Batalie maluczkich wkrótce przestały interesować błękitnokrwistych. Ich uwagę przykuła gra artystki. Doceniali i komentowali jej sztukę. Rozważali nawet zostanie jej mecenasami. Gubernator szybko ostudził ich zapędy, gdy dobitnie oznajmił, że młoda kobieta jest jego, ucinając dyskusję.

Snuli zatem opowiastki z dalekich podróży i wspomnienia o pięknych, egzotycznych krainach. Bale, uczyty i swawolne życie pełne zabaw, wina, drogich dóbr i uciech materialnych były kolejnymi tematami, które zajęły ich czas i uwagę. Ciężko było nie pokusić się o stwierdzenie, że wszyscy oni musieli żyć cudzym życiem. Wolni od kajdan zmartwień i trudów pracy, mieli na to czas. Jednak uroki szlacheckiego żywota nijak miały się do chłodnej rozmowy prowadzonej przez Witeldona z Inżynierem. Każde słowo zostało tam dobrze skalkulowane.

- Przeprowadzone analizy wykazują błędy w twoim stwierdzeniu - powietrze wibrowało od mechanicznego głosu Khula Jukasa, a sztuczne palce jego wielu kończyn stukwały cicho o pancerny korpus.

Nim Witeldon zareagował, zaczekał, aż postawna służka naleje mu karmazynowej ambrozji. Kiedy w pucharku znalazła się odpowiednia ilość napoju, podziękował kiwnięciem głowy.

- Oświeć mnie, gdzie uczyniłem błąd - skierował swój zimny wzrok na stalowego golema.

Małe szczękoczułki z kilkoma wystającymi przewodami zadygotały.

- Eteryczna energia, którą aktywujesz Słowem Mocy, nie mogła być wystarczająca do tego, by się przebić przez pancerne płyty piekielnego Extremusa, sklasyfikowanego jako H9LL-09134 - na jego obliczu zamigotały diody, sugerując irytację.

Członek Świętego Oficjum delectował się winem.

- Proponuję ci, byśmy zostali przy nomenklaturze właściwej dla mojej branży. Tak jak ty nie jesteś skory uwierzyć w zgładzenie przeze mnie Krwawego Biesa, tak ja śmiem poddawać w wątpliwość wartości penetracyjne miotaczy plazmowych, które produkujesz - powiedział z lekką nutą kpiny.

Inżynier pochylił się w jego stronę, by dobitniej coś wyjaśnić.

- Wiara nie ma tutaj nic do rzeczy - zagrzmiał, a cyfrowy terkot przypominał trzaski mikrofonu. - Takie są fakty poparte obliczeniami.

Wodząc palcem po kieliszku, pozwolił sobie na drgnięcie policzka.

- Na twoim miejscu dokonałbym diagnostyki aparatur poznawczych, bo chyba nie patrzysz poprawnie na otaczający świat - jego ton był lekki, choć głos głęboki i ciężki. - Wiara we wszystkim odgrywa kluczową rolę.

Kolorowe punkty na żelaznej czaszce Khula ułożyły się w dziwną formację. Zastygły na moment, by zamigotać i zbudować nowy wzór.

- Nauka i technologia, odkryta z przeszłości naszego gatunku, kryje się we wszystkim. Magię i Boską ingerencję również można doskonale wyjaśniać i opisywać - tłumaczył jak wykładowca besztający nierozumiejącego studenta. - Ty i Anioły macie inne opinie i swoje własne dywagacje na ten i inne światy. Ta teza jest w pełni akceptowalna przez moje moduły kognitywne i logiczne - jedno z jego odnóży uderzyło o podłoże. Wyglądał, jakby naśladował normalnego człowieka tupiącego nogą.

Witeldon postawił naczynie na pięknym obrusie. Wyprostował się i całą swoją uwagę przeniósł na rozmówcę. Osoby, które znały go lepiej, wiedziałyby, że jego twarz, choć nie zmieniła wyrazu, wyrażała gniew.

- Powiem ci coś, Inżynierze Khulu Jukasio. Usłyszysz to tylko raz, dlatego proponuję ci włączyć nagrywanie - gdyby słowo mogło zabić, to Technolog leżałby już martwy. - Owszem, może i jestem po jednej stronie z Aniołami, ale nigdy, nawet przez sekundę nie powinieneś myśleć, że jestem taki jak one - wziął do ręki jeden twardy orzech, a cyborg skupił się na przedmiocie. - Ci, którzy w tej kwestii nie posłuchali, kończyli w jeden sposób - rzekł, miażdżąc owoc na proch, który wysypał na talerz.

Przewodniczący ostatniego Żelaznego Komitetu przez chwilę milczał.

- Słowa zostały zapisane w moich kryształach pamięci - odparł.

- Serce me się raduje, że pokładłeś wiarę w moje ostrzeżenie - mruknął Człowiek z Wyobraźnią. Był usatysfakcjonowany jego odpowiedzią.

Temperatura pomiędzy badaczem, wynalazcą i konstruktorem, a oskarżycielem, sędzią i katem była równa zeru absolutnemu. Kolejną kością niezgody stała się batalia dotycząca przewagi Armatusów nad Mortusami. Pokracznie wyglądający technolog, odważny w swojej głupocie, zdawał się nie dostrzegać w oczach Inkwizytora coraz bardziej rozpalonych stosów. Tej i poprzedniej konwersacji słuchało dwoje zasiadających przy stole gości.

- Groźnie to wygląda - zadrżał Diaconus Francis. Skurczył się zauważalnie, gdy usłyszał chichot Czarnoksiężniczki.

- Nie martw się, kochany - powiedziała miodowym głosem. - Kto się czubi, ten się lubi.

Spojrzał w jej stronę. Jak większość ludzi, był od niej sporo niższy, więc wzrokiem od razu natrafił na potężny biust, doskonale widoczny w dużym dekolcie. Na moment zapatrzył się w ten widok. Kiedy odzyskał świadomość, wbił swoje spojrzenie w stojący przed nim talerz.

- Oj tam, nic się nie stało - szepnęła i uśmiechnęła się dziko, gdy zauważyła jego czerwoną twarz.

Przełknął ślinę, a z kieszonki na piersi wyjął małą szmatkę, którą przetarł zaparowane okulary.

- Wykazałem brak taktu i kultury wobec osoby wyżej postawionej ode mnie, która na dodatek pełni urząd w samym Świętym Oficjum.

Uśmiechała się, ukazując doskonale białe zęby.

- Ależ proszę nie przesadzać - mruknęła i założyła nogę na nogę. Jej udo, łydka i stopa uwolniły się z jej kreacji. Nieskazitelna skóra wystarczyła, by kapłan ponownie głośno przełknął ślinę. - Od razu wyżej postawionej - przeczesła swoje włosy i zarzuciła lokami w jego kierunku. Mężczyzna niemal spadł z krzesła. - Sądziłam, że gdy Stwórca wykreował ludzi, uczynił ich równymi sobie. Czyż tak nie jest? - dłonią pogładziła policzek i niby przypadkiem pociągnęła suknię.

Głosiciel słowa Bożego długo jąkał się i dukał, zanim sklecił konstruktywną wypowiedź.

- Eeeee... No cóż... Maaaa Pani rację... - odparł przestraszony. - Lecz świat jest bardziej skomplikowany...

- Uwielbiam mieć rację. Wolę też, jak się do mnie zwraca po imieniu - oznajmiła i westchnęła. Materiał okrywający jej biust niebezpiecznie się napiął, a Francis Trewiab wyraźnie się spocił. Nie zważając na to, Vivienne wzięła kieliszek. Był pusty.

- Czy uraczyłby ksiądz kobietę winem? - pokusa, która biła z jej różowych oczu, musiała być dziełem samego Szatana.

Człowiek Wiary zdjął okulary i schował je do kieszeni. Nie widział sensu, by ciągle je przecierać. Niczym zaczarowany wybrał jedną z kilku butelek, jakby doskonale wiedział, co najbardziej usatysfakcjonuje towarzyszkę.

- Pijaństwo to grzech - wpajane dogmaty odżyły w nim. - Jednak czytałem również, że Stwórca oddał pod władanie ludzi cały świat, byleby tylko używali go z umiarem - dodał i napełnił naczynie trunkiem.

- Dziękuję - wzięła spory łyk i oblizwała wydatne wargi. - Czemu Diaconus taki spięty? - zapytała. Słowa niby banalne, lecz w jej ustach zabrzmiały jak ponaglenie do podpisania cyrografu własną krwią.

Zakaszłał sucho ze stresu.

- Dla Pa... - jej spojrzenie odebrało mu na moment mowę. - Dla Ciebie, Viviene, wystarczy Francis - serce zabiło mu mocniej, gdy szeroko się uśmiechnęła i odwróciła w jego stronę. - Jakby to wyjaśnić... - czubkami palców zaczął gnieść sutannę. - Nie nawykłem do takich balonów... **balów**, chciałem powiedzieć balów - jego przejęzyczenie i panika wprowadziły ją w doskonały nastrój. - Choć w niektórych katedrach złota też co niemiara... - zawiesił się na chwilę i nabrał powietrza. - ...to przede wszystkim jednak nigdy nie było mi pisane być przy kobiecie takiej urody i rangi - dokończył i oblał się jeszcze większym rumieńcem. Patrzył teraz na czubki swoich butów.

Nim otworzyła usta, przyglądała mu się krótką chwilę. Całkowicie przejrzała jego umysł. Obejrzała większość wspomnień. Nie spodziewała się czegoś takiego. Ojca niemal nie znał. Zginął na wojnie, służąc pod jakimś szlachcicem, gdy duchowny był kilkumiesięcznym berbeciem. Zawsze, gdy o nim myślał, wyobrażał go sobie jako herosa. Rycerza w lśniącej zbroi, siekącego wrogów. Jego matka pracowała w fabrykorium Inżynierów. Zmarła wyczerpana, okaleczona, wypalona fizycznie i psychicznie. Doglądał jej do ostatnich długich dni agonii. Mając piętnaście lat uratował od upadku ze schodów kapłana. Ten, odpowiadając dobrem na dobro, uczynił go akolitą. Kościół, w którym służył już kilka ładnych lat, spłonął w ogniach, wywołanych przez oszalałego maga. Mentor przyszłego Diaconusa zginął, wypychając go z okna. Choć upadając na kamienną drogę złamał sobie kilka kości, to bez wątpienia uratował życie. Białowłosa przypominała sobie to wydarzenie z innej perspektywy. Inkwizycyjni Mortusi, stacjonujący niedaleko, natychmiast podjęli działania i zniszczyli zagrożenie. Mimo wielu próśb duchownych, na rozkaz Oficjum, świątynia nigdy nie została odbudowana.

Niestabilność i wielka tajemna moc czarnoksiężników czyni ich niebezpiecznymi. Dlatego mają zakaz wstępu na takie uroczystości. Do tego, by wybrać z ludzkich głów wszystko, czego potrzebowałyby jakaś siła, i kolejno usmażyć każdemu mózg, wystarczyłby jeden mistyk. Ona, z mandatem Inkwizytora, miała immunitet. Mogła być gdzie i kiedy chciała.

Przyglądała się duchownemu z wielkim zainteresowaniem. Diaconus siedział przy stole wraz z przedstawicielami tych organizacji, które sprawiły mu cierpienie. Rozmawiał z nią, choć wiedział, że była czarnoksiężniczką. Bardziej przytłaczała go jej uroda niż stanowisko i wiążące się z nim umiejętności. Mężczyzna potrafił być człowiekiem dla ludzi, którzy od zawsze nim gardzili.

A mimo wszystko stara się, by mnie nie urazić. Prostą konwersacją chce odgarnąć ode mnie znudzenie – myślała.

- Vivienne, lubisz pączki? – pytanie wyrwało ją z jej rozważań. Kątem oka zauważyła odchodzącego zgarbionego starca z tacą.

Na małym talerzyku Francis trzymał dwie słodkie kule. Duże, pokryte lukrem i kwiatami wykonanymi z wielobarwnych cukrów.

- Może nie było to ładne, lecz podpatrywałem, co jesz i wysnułem hipotezę, że gustujesz w słodyczach – dodał nieśmiało i podsunął w jej kierunku talerzyk.

Uśmiechnęła się do niego ciepło. Nie wyzywająco, dziko, tajemniczo czy z nutą pożądania. Po prostu ciepło. Była urzeczona jego zachowaniem.

- Uwielbiam pączki – odparła i lewitacją przeniosła jeden na swoją zastawę.

Widząc, że użyła magii, duchowny lekko pobladł. Przypomniała sobie jego doświadczenia z tajemnymi mocami. *Aleś ty leniwa, kobieto, mogłaś go po prostu wziąć w rękę* – skarciła się w duchu.

- Naprawdę umiesz zadbać o kobietę – pochwaliła go. Odciągając uwagę wierzyła, że uratuje sytuację. Udało się. Wyszczерzył się głupkowato. Było to na swój sposób urocze.

- Serce me się raduje, że jakoś znosisz moje towarzystwo – odparł i zafascynowany patrzył, jak wgryza się w ciasto. Oblizwała z warg lukier i liznęła delikatnie nadzienie. Tak, by tylko on mógł to zobaczyć. Ciężko jej było odrzucić nawyki. Diaconus złapał się za medalion. Zupełnie jakby potrzebował duchowego i moralnego wsparcia.

Wytarła swoje usta.

- Znoszę? Ja się nim cieszę – oznajmiła, a w jego oczach dostrzegła radość, której zwykle słowa nie zdołałyby wyrazić.

Tymczasem Amadeus zarządził toast. Zadźwięczały kieliszki i pucharki. Trunek był ten sam, a jednak inny. Alkohol to cudowny napój. Jego smak dla

każdego może być podobny, lecz przygody po nim mogą się zasadniczo różnić.

Dostarczono kolejne dania i następne napoje. Stół ugiął się pod piękną zastawą wypełnioną soczystymi przysmakami. Zmysłowo ułożone i serwowane z wielką wprawą potrawy były szczytem tego, co mogli osiągnąć nie należący do najwyższych szczebli Świętego Oficjum. Faszerowane perliczki, hodowane przez zakontraktowane domy rolnicze, od tysięcy lat na służbie możnych. Zapiekaną udziec, obficie polewaną ziołowym masłem. Pieczone, marynowane i surowe warzywa jako dodatki. Różnokolorowe makarony i odmiany ryżu, przyprawiane egzotycznymi przyprawami, urozmaicały mięsno-roślinną rozpustę.

Siedzący przy stole goście jedli i rozmawiali. Szlachcice zachwycali się urodą Vivienne, która prawiała komplementy na temat ich strojów i biżuterii. Amadeus zagaił do Inżyniera pytając, jak idzie tworzenie grupy androidów, wyspecjalizowanych w rzeźbieniu monumentalnych pomników. Odpowiedzi Khula wielce go radowały. Witeldon był męczony przez kapłana pytaniami o sprawy religijne. Czy słyszał kiedyś głos Stwórcy? Czy Anioły rzeczywiście wyglądają jak na witrażach w świątyniach? Czy Bóg był dumny z pracy swoich dzieci? Te i dziesiątki kolejnych kwestii dotyczących religii zbywał jednym czy dwoma zdaniem.

Postaraj się bardziej, proszę – rzuciła telepatycznie Czarnoksiężniczka, degustując wino. *Sporo przeszedł, chociaż tyle mu się należy.*

Mhm...? – mruknął do niej w ten sam sposób. Nie był zbyt zainteresowany.

Potłumacz mu, a dostaniesz to, co lubisz najbardziej – szepnęła seksownie w jego głowie.

Mhmmmm – odgłos ten był pełen przekonania i zadowolenia.

Tak oto zaczął wykład o historii Nieba, Ziemi i Piekła. Anielskie byty i Boskie dekry były światłem, które paliło mrok Szatańskich knoń. Opowiadał tylko to, co było dozwolone. Gdyby zdradził sekrety wiary bądź jakieś tajemnice Inkwizycji, musiałby go zabić.

Potem nastąpiła przerwa w ich oratorskich wysiłkach. Stół opustoszał. Błękitnokrwisci dołączyli do swoich, by zatracić się w ogniu tańca. Wysłannik Kościoła i reprezentant Inżynierów zaginęli wśród pięknej architektury pałacu Amadeusa. Jeden komplementował piękno uwiecznione

na figurach i płaskorzeźbach, drugi większą wagę przywiązywał do jakości użytych materiałów i zmian w strukturze, które powstały przy obróbce.

Kątem oka dostrzegł Vivienne, która buszowała przy zastawach ze słodyczami, ustawionymi pod ścianami sali i uzupełnianymi przez służbę. Inkwizytor natomiast zajął się sam sobą. Poszedł na poziom niżej, by zaszczyścić swoim towarzystwem barmana. Łysy mężczyzna w średnim wieku zatrzęsł się ze strachu, gdy ujrzał, kto go odwiedził. Doskonale znał twarz Witeldona z obrazów, jakie wisiały w pałacu.

Brodacz starał się nie dostrzegać jego obecności. Zamawiał drinki i szybko je wypijał. Doceniał smak. Z racji przeżytych rytuałów nie mógł się upić. Alkohol nie miał na niego żadnego wpływu. *Szkoda* - myślał czasem. Lubił czuć to rozstrojenie zmysłów i szum w głowie, którego doświadczał w młodości. Wtedy i tylko wtedy czuł się wolny. Jego relaks przerwał sygnał od niej.

Przyjdź do mnie - wydawała się być czymś poruszona.

Zmarszczył brwi.

Po co?

Chcę byś coś zobaczył - odparła zdeterminowana. *Trzecia łoża na lewo od naszej.*

Dopił, odstawił szklankę i ruszył.

Idę.

Usłyszał soczyste cmoknięcie.



Odsunął kotarę i zobaczył czarnoksiężniczkę siedzącą bokiem na zwykownym krześle. Obok niej miejsce zajęła mała, starsza kobieta, ubrana w niebieskawą sukienkę o lekkich czerwonych zdobieniach z rubinów. Na stole przed nimi rozłożono czarno-białe zdjęcia, które błyszcząły od światła świecznika. Podniszczona książka służyła jako podpórka dla starego aparatu wywołującego fotografie zaraz po ich zrobieniu. Prawdziwa gratka dla kolekcjonerów.

Vivienne wyczuła jego obecność.

- Siadaj - przesunęła się o jedno krzesło w lewo, tak by mógł zająć miejsce pomiędzy kobietami.

Mocno wypuścił nosem powietrze. Człowiek z Wyobraźnią wszedł w nieznane.

ROZDZIAŁ XXVIII



ŻYCIE JEST JAK PUDEŁKO CZEKOLADEK, PIEKIELNIE SŁODKIE NA POCZĄTKU, AŻ DO MOMENTU GDY NABAWIASZ SIĘ CUKRZYCY.

ARCYMISTRZ KUCHNI OUTAR REMISE, PRZYGOTOWUJĄCY POSIŁKI DLA CESARSKIEJ RODZINY IMPERIUM HUNARU.

Zasiadł na wskazanym stołku.

- Witam - męski głos był statyczny w wyrazie. - Widzę, że Panie zdążyły już przełamać pierwsze lody - pozwolił sobie na trochę humoru.

Nieznajoma zaśmiała się. Po jej wyglądzie zorientował się, że rozmawia ze szlachcianką. Wątle, starcze ciało było okryte drogocennym suknem wysadzonym niedużymi kamieniami szlachetnymi. Kiedyś jasnobrązowe, dziś mocno siwiejące włosy, upięta do góry. Ręce spracowane i zniszczone, co było niespotykane w przypadku osoby wysoko urodzonej, lekko drżały. Na palcu serdecznym prawej dłoni dostrzegł pierścień. Charakterystyczną figurę smoka wykonano ze złota.

Przecież to symbol... - głowa mężczyzny od razu zaczęła pracować.

- Francheska Drago, z rodu o tej samej nazwie - powiedziała spokojnie, cicho, głosem pozbawionym dumy i poczucia wyższości.

Z pierwszej linii krwi - pomyślał.

Gdy ktoś ze szlachty używa nazwiska występującego w heraldyce, oznacza to, że jest najwyżej w hierarchii swojego rodu, a jego krew jest najbliższa przodkom założycielom. Władza takich osób jest gigantyczna.

- Witeldon Walszarti. Inkwizytor - również się przedstawił. Nie wystawiła ręki do pocałunku. Nie przestraszyła się go. Lekko kiwnęła głową. Jej twarz, miłą i ciepłą, wyczerpał i pomarszczył czas. Szarymi oczami zerknęła na Białowłosą.

- To jest ten przystojny młodzieniec, o którym wspominałaś? - szepnęła, nie zważając na niego. Szczery uśmiech sygnalizował, że była świadoma tego, co robi i mówi.

Vivienne zaśmiała się. Po chwili wytarła zapłakane od śmiechu oczy, pochyliła się w stronę starszej kobiety, odgradzając się od Witeldona dłonią.

- Tak, to on - mruknęła, puszczając oko.

Francheska promieniowała wyśmienitym humorem.

- Faktycznie jest taki, jak Pani mi mówiła. Poważny i groźny.

Vivienne znów wybuchła szczerym śmiechem, aż odchyliła się na krześle. Opanowawszy się w końcu, sięgnęła po kieliszek słodkiego wina. Musiała zwilżyć gardło.

- Moje drogie Panie - zaczął Witeldon. - Czy któraś z Was byłaby łaskawa wyjaśnić, co się tutaj dzieje oraz po co tutaj jestem? - zapytał stanowczo, lecz bez gniewu. Wymownie spojrzął w stronę Czarnoksiężniczki.

Piękność stuknęła palcem o blat stołu.

- Oglądałam z tą cudowną Panią zdjęcia. Miło nam się rozmawiało, ale doszłam do wniosku, że brakuje mi tu ciebie - słodczy, z jaką to mówiła, przesłodziłaby każdą gorycz. Ręką wskazała swoją towarzyszkę. - Proszę kontynuować.

Szlachcianka ujęła w dłoń wiekową fotografię. Przedstawiała małego berbecia, zaraz po narodzeniu.

- To ja - zaczęła. - Miałam wtedy jakieś trzy tygodnie - w drugą rękę wzięła inny obrazek, bez wątpienia wykonany niedawno. - To ujęcie pochodzi z poprzedniego roku. Futro na urodziny sprawiła mi dalsza rodzina.

- No, no. Z takiego uroczego bobasa taka zadbana dama - zachwyciła się mistrzyni magii.

- Pani maluje obrazy - wtrącił się Witeldon, a jego palec zawisł nad zdjęciem, na którym była w dużym słomkowym kapeluszu. Wyglądała na trzydzieści kilka lat. Trzymała paletę z farbami i pędzel. Ubrana w jasną suknię, starała się uwiecznić odpoczywającego na kamieniu lwa, trzymanego w jakimś sztucznym habitacie.

Lekko zmieszana potwierdziła.

- Zdarza mi się, choć dzisiaj już coraz rzadziej - zerknęła na niego z zaciekawieniem. - Pan również tworzy?

Nie patrzył w jej stronę.

- Owszem. Co Pani czuje, gdy przelewa widoki lub myśli na puste, białe tło? - zapytał.

Zarumieniła się, jakby pytał o coś pikantnego. Minęła dłuższa chwila, nim odpowiedziała.

- Czuję się silna. Używając farb pozbywam się odrętwienia, zwalczam uczucie słabości - gdy to usłyszał, spojrział na nią. Ich oczy się spotkały.

- Proszę wyjaśnić - niemalże zażądał. Nie widział, jak usta Viviene ułożyły się w wyraz zadowolenia. Wiedziała, że połknie jej przynętę i zostanie. Przyglądała się uważnie błękitnokrwistej. Widziała ją zza głowy mężczyzny. Francheska uśmiechnęła się smutno.

- Malując, mogę popchnąć górę tam, gdzie chcę, betonową drogę wygiąć według mojej woli i sprawić, by chmury na niebie się rozeszły. Natomiast gdy jestem sama w domu, bez farb, to mogę jedynie przesunąć krzesło albo ściągnąć z łóżka prześcieradło.

Inkwizytor przyglądał się ułożonym na stole fragmentom życia kobiety. Niektóre przedstawiały jałowe pustkowia i maszerujących żołnierzy. Były to zapewne kolejne szlacheckie burdy. Inne przedstawiały pejzaże pełne pięknych gór, białych klifów i spokojnych mór. Te znakomicie pobudzały wyobraźnię. Na niektórych widać było egzotyczne zwierzęta.

- Dużo świata Pani zwiedziła - stwierdził. Rozpoznawał większość miejsc ze zdjęć.

Westchnęła i przysunęła się bliżej stołu.

- Wie Pan... Jakby to nazwać... - zastanawiała się, głaszcząc kciukiem jeden z rubinów w swojej sukni. - Młodzieńcze wybryki - mruknęła. - Jako jedynaczka i osoba najbliższa linii rodu mogłam robić, co mi się podobało. Odkąd pamiętam, aparat był moją pasją - spojrziała na swoich rozmówców. W jej oczach dostrzegli nutę strachu. - Nigdy nie chciałam niczego zapomnieć, zawsze bałam się, że pominę jakiś szczegół.

- Dlatego wszystkie wycieczki były tak pieczołowicie dokumentowane - Viviene musiała wtrącić swoje trzy grosze. Odrobinę wzruszona położyła głowę na ramieniu mężczyzny. Nie reagował. Tymczasem szlachcianka kontynuowała.

- Wyjazdy, zabawy, życie otoczone służbą i setkami wojaków do ochrony, może dać wrażenie, że świat jest cudnym i cichym miejscem, w którym zło

czai się tylko w bajkach – westchnęła, a z małej torebki wyciągnęła paczkę papierosów.

Przysunęła ją w stronę Sług Bożych, lecz ci odmówili. Gdy zaczęła grzebać w poszukiwaniu zapalniczki, z pomocą przyszła Viviene.

– Proszę się nie kłopotać – rzekła i pstryknęła palcami. Mały snop ognia zatańczył na opuszkach.

Zdziwiona Francheska przypaliła papierosa i zaciągnęła się aromatycznym dymem.

– Rozum wrócił po zrobieniu tego zdjęcia – w ręku prezentowała fotografię z małą, najprawdopodobniej czteroletnią dziewczynką.

Miała na sobie za dużą koszulę z grubego materiału, była bosa i wymazana ziemią. Małe ręce trzymała wysoko nad głową. Na jej twarzy malowało się przerażenie. Wyglądała, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

– Ona myślała, że aparat to karabin – pusto, bez emocji powiedziała staruszka. – Zasygnalizowała mi, że się poddaje. Wtedy zrozumiałam, że wojna jest czymś więcej niż zabawą ludzi z mojej sfery – w palcach trzymała kolejne zdjęcie.

– Prawdziwy Gryf – zachwycił się Inkwizytor. – Zakon rycerski Platynowego Gniazda – rozpromieniła się na moment.

– Nie inaczej. Mój mąż, Bernard, był jego członkiem.

Brodacz zmarszczył czoło.

– Był? Służba jest dożywotnia, czyli...

– Tak, nie żyje – choć to niemożliwe, wyglądała jakby w sekundę postarzała się o kilka lat. – Zmarł w boju. Próbował ocalić syna swojego brata, który wpadł w okrążenie – wspomnienia w niej ożyły. – Dosiadając Hexera, ponieważ właśnie tak zwała się ta istota, sam jeden wbił się w centrum wrogiej formacji – pokręciła głową. – Nie udało mu się ocalić chłopaka, więc postanowił go pomścić – uraczyła się kolejnym papierosem. – Zabijał, zabijał i zabijał, aż ranny spadł ze swojego skrzydlatego wierzchowca. Wiedział, że umrze. Wydzierał się, by Hexer odfrunął i ratował siebie, lecz on, krwawiąc obficie, został przy swoim Panu.

Czarnoksiężniczka przełknęła cicho ślinę.

– Myślałam, że one zawsze słuchają się tych, z którymi nawiążą więź?

Vivienne mówiła prawdę. Zwykle Gryf, który zbudował relację z człowiekiem, był mu dozgonnie posłuszny i wierny.

- To prawda - potwierdziła Francheska. - Jednak ich natura i instynkt nie pozwalają zostawić swojego kompana. Zasłonił go swym ciałem i skrzydłem. Kule raz po raz go raniły, lecz ilekroć ktoś się zbliżył, ginął rozszarpany - odłożyła zdjęcie. - Ostrzelali ich ogniem artylerii.

Białowłosa była poruszona.

- Przykro mi - zdołała jedynie wykrztusić.

Szlachcianka machnęła ręką.

- Niepotrzebnie, moja droga - spojrzała na nich, ocierając łzę. - Koniec tych, którzy są dla nas najbliżsi, boli zawsze. Ale tylko wtedy możemy sobie uświadomić, ile radości bądź smutku ta osoba wniosła w nasze życie.

Inkwizytor przestał patrzeć na zdjęcia. Jej wypowiedź przykuła jego uwagę.

- Co Pani chce przez to powiedzieć?

Zaśmiała się.

- Ilekroć przypominam sobie Bernarda, zawsze mam przed oczami jego bujny, krzaczasty wąs i monokl, który, ku jego irytacji, lubił mu wypadać - westchnęła głęboko. - Zawsze starał się mieć dla mnie czas. Przed treningiem z Hexerem miałam przyjemność siedzieć na jego grzbiecie - upiła łyk wina i mówiła dalej. - Czasem robiłam mu nawet zdjęcia - dodała i otworzyła tajemniczą księgę, która okazała się albumem.

- O, jak dziób wystawił, jakby pozował - Vivienne cieszyła się jak dziecko, dotykając delikatnie małego kwadracika. Mężczyzna przewrócił oczami, lecz sam w duchu przyznał, że każde zdjęcie, oprócz widoków, kryło w sobie coś jeszcze. Uczucia.

- Wiedziałam, że loty ze mną to tylko lekkie przebieżki - wspominała dalej. - Gdy ja wracałam do domu, on zostawał dłużej, by ćwiczyć. Kiedyś zapytałam, dlaczego traci dla mnie czas. Odpowiedział w swoim dobrym stylu... - odstawiła pucharek.

- Czyli? - Vivienne była urzeczona jej opowieścią.

- Jeśli ów zmarnowany czas ci się podobał, to w takim razie nie można mówić, że był on zmarnowany - zacytowała nieżyjącego męża.

Witeldonowi zadrgał policzek.

- Niesamowite - rozmarzyła się Czarnoksiężniczka. - I jakie słodkie.

Członek Świętego Oficjum cały czas przeglądał zdjęcia. Było ich dużo i były świetnie skatalogowane. Ukazywały też zmiany w charakterze

staruszki. Młoda i bujająca w obłokach, z biegiem lat zmieniała się w świadomą i dojrzałą damę. Śmierć partnera widocznie zmieniła styl fotografii. Ilustracje rzadziej przedstawiały akcję. Więcej było na nich natury i miejsc kultu. Rozmyślenia o życiu pozagrobowym często idą w parze z bólem po stracie.

- Patrząc na to wszystko myślę, że ma Pani dużo wspomnień - zagaił z podziwem.

Stara szlachcianka uśmiechnęła się i jeszcze bardziej przysunęła do stołu ze zdjęciami. Przypatrywała się im niczym dziecko oglądające magiczną sztuczkę.

- O to mi zawsze chodziło. Pamięć jest zawodna, a ziemskiego czasomierza się nie cofnie - dotknęła delikatnie niektórych zdjęć. - Nie chciałam skończyć jak większość ludzi, ogołocoła z przeszłości.

- Proszę wyjaśnić - powiedział, a ruch głowy jego towarzyszki tylko potwierdził prośbę.

Położyła dłonie na sukni. Nie patrzyła w ich stronę. Skupiała się na małych prostokątach.

- Ludzie nie myślą o tym, że żyjąc, tworzą wspomnienia. Głowę zaprzęta im wtedy tylko zabawa i swawola - wyczuł, jak serce Vivienne mocniej zabiło. - Nie zastanawiało państwa, jak to jest, że dzień po dniu nic się nie zmienia, a ilekroć człowiek spojrzy za siebie, to wszystko jest kompletnie inne, nie do poznania?

- Ludzie, którzy mają dużo spraw na głowie, nie myślą takimi kategoriami - stwierdził przytomnie Witeldon.

Francheska kiwnęła twierdząco.

- Tak właśnie jest - kichnęła. - Dni wloką się, lecz lata biegną. Każdemu kiedyś czas się dłużył. Zajęcia w szkole, spotkanie. Wiem, że wielu ludzi pracuje. Każdy choć raz w życiu chciał, by dzień się skończył... - przeczesła włosy ręką, a oczy przeniosła na Sługi Boże. - Dopiero później, gdy wracał do wspomnień, pragnął, by trwał nadal.



- Ludziom spieszy się z wielu powodów - rzuciła niepewnie Vivienne.
Zbierała myśli. - W końcu życie ma się tylko jedno.
Błękitnokrwista nie zgodziła się.

- Każdy z nas ma dwa życia - widząc zdziwione spojrzenie Inkwizytora i minę Białowłosej dodała. - To drugie odkrywamy, gdy uświadamiamy sobie, że mamy je tylko jedno - specjalnie zaakcentowała dwa ostatnie wyrazy.

Mądrość płynąca z tych zdań była niezmierna. Czarnoksiężniczka nie mogła wykrztusić słowa, lecz Człowiek z Wyobraźnią dostrzegł w tym coś innego.

- Choć tak pięknie mówi Pani o czasie, który mamy przed sobą, to nie mogę opędzić się od wrażenia, że bardziej pragnie Pani chwil przeszłych.

Staruszka zawahała się z odpowiedzią.

- Jeśli chodzi Panu o to, czy chciałabym jeszcze raz przeżyć moje życie, to tak - ich oczy się spotkały. - Niczego bym w nim nie zmieniała, tylko odświeżyła sobie wszystko - upiła łyk wina. - Choć jeśli by mi dano wolność wyboru, to postąpiłabym jeszcze inaczej.

Viviene ścisnęła ramię mężczyzny.

- Jak?

Posłała jej blady uśmiech.

- Zamieniłabym wszystkie jutra, które mnie czekają, na jedno wybrane wczoraj - w jej dłoni znalazło się samotne zdjęcie. - Dokładniej na ten moment - sprecyzowała.

Fotografia przedstawiała ją, gdy była trzydziestokilkuletnią kobietą. Siedziała w siodle za mężczyzną. Po wielkich wąsach można było wnioskować, że to jej mąż. Widać było gęste futro i fragment olbrzymich piór. Za dwojgiem uśmiechniętych ludzi w oddali malowało się czyste niebo i słońce.

Najprawdziwsze słońce.

- To był mój pierwszy lot na Hexerze - zaśmiała się. - Nie chciałam i bardzo się bałam, ale Bernard powiedział, że wzniesiemy się nad chmury. Tym mnie wariat przekonał.

- Cudo - mruknęła Viviene.

- Szybko musieliśmy obniżyć lot, gdyż nie mogłam oddychać i zamarzałam - znów się rozmarzyła. - Mój rycerz był zahartowany, ja nie.

Nim podjęła dalszą opowieść, zza kotary dobiegły dziwne odgłosy i nagłe owacje oraz skandowanie. Inkwizytor posłał Czarnoksiężniczce wymowne spojrzenie. Lekko się zirytowała, lecz zrozumiała, co muszą zrobić.

- Przepraszamy, że tak nagle, ale musimy iść - rzekła do starszej Pani. - Rozmowa była niezwykła i pouczająca - mówiła, gdy się podnosili. - Czy ma Pani jakąś ostatnią radę?

Twarz Francheski rozpogodziła się. Z Witeldonem pożegnała się prostym ruchem głowy. Z Wysoką Pięknością uściskiem dłoni.

- Pamiętajcie, że choć nasz czas na Ziemi jest krótki, to jednak nasze najdłuższe doświadczenie.

Zdanie to niosło się za odchodzącymi Sługami Bożymi. Gdy silnym ruchem odsunął zasłonę, ich oczom ukazał się mur stojących plecami do nich szlachciców.

- Ciekawe - mruknął Brodacz i ruszył przed siebie. Jego towarzyszka była tuż za nim.



Co tam widzisz? - zapytał Białowłosa, wykorzystując telepatię. Zgadywał, że mając ponad dwa metry wzrostu, mogła dostrzec źródło zamieszania nawet przez szlacheckie pióropusze.

Stojących w okręgu mężczyzn wyglądających na sługi - zaczęła mówić, gdy on przebijał się przez tłum. Nie zważał na komentarze, oburzenie i obelgi snobistycznych istot, którymi był otoczony. Czarnoksiężniczka czekała na skraju tej ludzkiej masy. *Wszyscy są rośli i wyglądają na dobrze odżywionych* - dodała.

Złapał rękę szlachcianki, która chciała go spoliczkować za nadeptanie na stopę. Warknął na nią, by nie przeszkadzała. Wśród zapachów tysięcy perfum wychwyił dobrze znaną mu woń. Krew.

Jakiego koloru mają stroje? - już widział fragmenty sceny. Był blisko pierwszego rzędu.

Chwila jej wahania, która zdała mu się trwać całe wieki.

Ciemny turkus z pomarańczowymi akcentami. Symbol, to chyba głowa jakiegoś ptaka, wyszyta srebrną nicią - dopowiedziała ze szczegółami. W jej głosie wyczuwał napięcie wymieszane ze zwątpieniem. Nie rozumiała, dlaczego był taki pobudzony.

W końcu zostawił szlachciców za sobą. Patrzył na dwunastu potężnych samców różnych ras. Wszyscy trzymali wielkie misy wykonane ze świętego

metal. Opierali je na ramieniu. Czuł w ustach smak żelaza. Zupełnie jakby brodził w posoce.

- Chciałabym przemówić do wszystkich, skoro się tak ładnie tutaj zebraliśmy - krzyknęła kobieta, błękitnokrwista z rodu Corvus. Niska wzrostem i drobnej budowy ciała. Długie, czarne włosy miała upięte w dwa warkocze. Suknia, bogato zdobiona diamentami, mieniła się w świetle. Całkiem urodziwa twarz, z wąskimi ustami i zapadniętymi policzkami, była blada. Chorobliwie blada. Oczy niemalże jak węgle, źrenice nienaturalnie szerokie. Członek Świętego Oficjum miał złe przeczucia.

- Ależ oczywiście, Morigan - zahuczał Amadeus z wyższego poziomu. Trunki mocno go zmęczyły. Asystowały mu dwie uwodzicielskie kurtyzany. - Śmiało, kochana, wszyscy słuchamy.

Szlachcianka ukloniła się.

- Przede wszystkim chciałam ci podziękować, Gubernatorze, za zorganizowanie tego balu, i wam... - powiodła dłonią po wszystkich przed i za sobą. - Jest mi niezmiernie miło, żeście się zjawili tak licznie, by zobaczyć coś wyjątkowego - słudzy chwycili wielkie naczynia w obie dłonie i teraz trzymali je przed sobą. - Radość serca mego nie zna granic, gdyż jest tutaj na sali gość, który w pełni zrozumie, co się za chwilę stanie.

Witeldon zaczął wolno iść do przodu. Smród juchy był coraz większy. Powietrze gęstniało.

Coś nadchodzi - usłyszał głos Vivienne w swojej głowie.

- A na cóż takiego będziemy patrzeć? - zapytał Pan i Władca Spero, mocno zaintrygowany.

Morigan uśmiechnęła się obłąkanie.

- Na zemstę - powiedziała głosem obcym, głębokim i chrapliwym.

Mężczyźni, którzy ją otaczali, wylali przed siebie zawartość mis. Zapach uderzył w nozdrza Inkwizytora. *To jest ludzka krew* - pomyślał.

Potem wszystko potoczyło się niczym na filmie grozy.

Krew, jak zaczarowana, popłynęła we wszystkich kierunkach. Na kamiennych płytach kreślono wielką demoniczną pieczęć. Słudzy chwycili za ozdobne noże i szybkim, zdecydowanym ruchem podcięli sobie gardła. Rozległy się krzyki zgromadzonych dam i paniczów. Krew poszybowała w górę, wprost do wyciągniętej ręki szlachcianki.

Moja zbroja, natychmiast – biegł przed siebie najszybciej jak mógł. Czerwona chmura pokryła błękitnokrwistą. Słyszał łamane kości i odgłosy rwanego mięsa. Kataklyzm rósł. Marmurowe podłoże pękało i pryskało odłamkami, raniąc ludzi. *Martyris* pojawiła się przed nim. Była gotowa do użycia. Wszedł w nią, a mechanizmy natychmiast zamykały pancerz. *Catherine* zalśniła w jego dłoni białą luną. Spaczenie, które rodziło się na jego oczach, było potężne.

Chaos i panika narastały. Większość imprezowiczów uciekała, część leżała ranna bądź przerażona, nieliczni stali i patrzyli jak zauroczeni. Tymczasem z bluźnierczej anomalii wyrosły dwa wielkie czarne skrzydła. Apoteoza zbliżała się do końca. Krew obryzgała oblicze Inkwizytora.

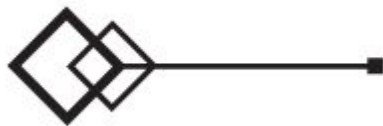
Witeldon przy pełnej prędkości wykonał piruet i zamachnął się mieczem, wkładając w cios całą siłę i impet. Ostrze uderzyło z hukiem dzwonu. Zatrzymało się na materii nieprzebranej jak noc, w której, zdawać się mogło, lśniły uwięzione gwiazdy. Dostrzegł gigantyczną, z pozoru ludzką dłoń. Jednak pulsujące czarne żyły i jej rozmiar zaprzeczały przynależności do gatunku człowieka. Nieznajome plugastwo zatrzepotało skrzydłami i istic huraganowym podmuchem wiatru rozpędziło resztę wirującej posoki. Mężczyzna ujrzał twarz demona. Zrozumiał, z kim krzyżuje oręż.

Krucza głowa przemówiła, a głos rysował ściany.

– Witam cię, Inkwizytorze – Markiz Piekła wyprostował się i stał niczym zwycięzca jeszcze niezaczątej wojny. – Długo czekałem na to spotkanie.

To Amon zaszczycił śmiertelnych swoją obecnością.

ROZDZIAŁ XXIX



BĘDĄC JUŻ TYLE LAT SKUTA KAJDANAMI RZECZYWISTOŚCI, LĘKAM SIĘ ŚMIERCI. BOJĘ SIĘ, ŻE NIE PORADZĘ SOBIE Z WOLNOŚCIĄ, KTÓRĄ ONA OFERUJE.

LADY PAULINE SUMALIS, DAMA NA DWORZE RODU CIERNIOWEJ KORONY.
ZAMORDOWANA WE WŁASNYM ŁÓŻKU PRZEZ SKRYTOBÓJCĘ.

Infinito Dolore opadała coraz mocniej na święty miecz. Serwomotory zbroi zawyły, mięśnie mężczyzny zaprotestowały, lecz ostatecznie Sługa Boży opadł na jedno kolano. Marmur pod nim pękał.

- Musiała zajść jakaś pomyłka, władco tego miasta - rzekł gromkim głosem Arcydemon, przekrzywiając głowę w stronę Amadeusa. - Nie dotarło do mnie zaproszenie na tę zacną uroczystość - zakpił. Jego humor był wyborny. W końcu jego długo planowana vendetta zaczęła się spełniać.

Zwykli ludzie, patrząc na Najokrutniejszego, wymiotowali krwią i ślepli, a gałki oczne wypadały z ich czaszek. Niektórzy odbierali sobie życia, korzystając z tego, co mieli pod ręką.

- Ja Cię nie zapraszałem - ociężałe stwierdził Gubernator, opierając się leniwie o pozłacaną balustradę. Stojąc na podeście był niewiele wyższy od Nieczystego. Nie odczuwał jego negatywnego wpływu. Być może był zbyt pijany albo cieszył się jakąś nadnaturalną ochroną. Jeden z Panów Piekła zaśmiał się tubalnie. Kanonada decybeli, która zagrzmiała z jego gardła, łamała kości i rozsadzała głowy śmiertelników.

- Jakoś nie jest mi z tego powodu przykro. Lecz dość pogaduszek, przejdźmy do czynów - rzekł i wyciągnął w górę szpon, który rozbliśnie karmazynowym światłem.

Z żywych ciał człowieczych, spoczywających na sali u stóp Wszechczarta, zostały wydarte dusze. Skorupy ludzkie rozpadły się na proch. Zabrawszy

esencję wiecznego życia, demon załadował impuls, który niemal natychmiast uwolnił. Powstała fala, która mogła zmieść z powierzchni ziemi całą salę i wszystkich obecnych.

Magiczny klosz, który nie wiadomo skąd się wziął, odgrodził Amona od zewnętrznego świata. Kopuła zadziałała jak falochron. Energia niczym tsunami rozbiła się o nią, nie wyrządzając żadnej szkody. To zaintrygowało Kruczogłowego.

- Niezła sztuczka, wiedźmo - rzucił do Viviene, która skontrolowała jego poczynania. Jej kostur wciąż lśnił od użytego zaklęcia. - Jednak takie gusła na dłuższą metę... - chciał powiedzieć, że na dłuższą metę nic nie dadzą, lecz nie dokończył. Jego ptasi łeb w wyniku potężnej eksplozji zapalił się, a pióra pokryła kaskada pożogi. *Carine* dotkliwie pokąsała Markiza Piekieł.

Witeldon wykorzystał moment, gdy Piekielny Władca skupił się na Białowłosej i zaatakował. *Dziwne. Przecież powinien to przewidzieć. Czyżby nie zobaczył tego w liniach czasu?* - rozmyślał i działał dalej.

Oszołomiony Amon przestał naciskać na jego miecz i Inkwizytor mógł ruszyć przed siebie. Przebiegł obok prawej nogi demona, zadając cios w kolano i czystym cięciem przecinając staw. Przeklęty byt zaryczał z bólu. *Catherine* była anatemą dla wszystkiego co plugawe i piekielne. Pokażny fragment kończyny upadł na podłogę i rozplynął się w czarnej mgłę. Markiz wsparł się na halabardzie i odsłonił bok.

Recytując Święte Teksty i wkładając całą siłę ofiarowaną przez Boga, Witeldon ponownie ugodził nieśmiertelną istotę. Pan Piekła zdusił w sobie wycie i z niesamowitą szybkością zamachnął się swym orężem. Tylko dzięki ulepszonym zmysłom Inkwizytor zdołał zablokować cios, lecz uderzenie odrzuciło go niczym szmacianą lalkę. Wyrznął z impetem o kamienną ścianę, z której posypały się głązy.

Nim Kruczogłowy zdołał cokolwiek zrobić, trafiła go salwa magicznych pocisków. Eteryczne kometki waliły, paląc jego skórę. Jego lewe skrzydło stanęło w ogniu. Z kobiecej dłoni wystrzelił następny rój błyskawic, który zablokował *Infinito Dolore*. Spadający z sufitu kryształowy deszcz nie uczynił mu szkody. W porę zdążył się otoczyć krwistą tarczą. Teraz w stronę Plugawego Władcy zmierzała lśniąca włócznia, wykuta z zaklętego w moc diamentu. Jego osłona pękła niczym bańka. Ranny, musiał się cofnąć. Nie upadł tylko dzięki temu, że odcięta kończyna odrodziła się i znów pewnie stał na dwóch nogach.

Mroczny i czarny jak noc ogień wystrzelił z lewego szpona w stronę Czarnokieżniczki, by zalać ją niczym potop. Wbiwszy kostur w kamienną podłogę, która popękała od jej uderzenia, wyświetliła migoczącą barierę. Jęcząc w potępieńczej arii, salwa z mrocznych i grzesznych dusz leciała wprost na nią. Skierowała dłoń w stronę podłogi, z której natychmiast zaczęły wyrastać długie kryształy, a następnie machnęła ręką przed siebie. W górę wzniósł się snop szlachetnej magii. Dwie tajemne siły zderzyły się i wyparowały. Błysk, który temu towarzyszył, był jasny jak wybuch supernowej.

Vivienne posłała w stronę Najokrutniejszego dysk wirującej pożogi, lecz mroczne macki, które w odpowiedzi stworzył, rozerwały jej inkantację na strzępy. Markiz Piekła zakrzyknął nagle w spazmie i zaczął się szamotać. Wyglądał, jakby próbował zrzucić z siebie natrętne robactwo. Chwilę wcześniej Inkwizytor pozbiierał się po ostatnim ciosie, wziął rozbieg, wyskoczył i zatopił klingę w plecach Markiza. *Catherine* paliła wewnątrz Plugawego Bytu.

- Wyrzuć go z Pałacu! - zagrzemiał do kobiety. - Zło nie może się tutaj rozprzestrzenić! - krzyczał. Wyciągnął nóż z bocznej komory zbroi, uświęcony, długi, kunsztownie wykonany i zatopił go w czarcim cielsku.

Czarnoksiężniczka posłuchała. Siłą woli wyrwała gigantyczną, zdobioną kolumnę, którą cisnęła w stronę jednego z Panów Piekła. Kamienna lanca nie dotarła do celu. Ignorując parzący ból, Najokrutniejszy nasycił czarną mocą swoją halabardę. Zamachnął się i wystrzelił pocisk złożony z mroków ludzkiej natury. Białowłosa stworzyła wokół siebie ściany czystego światła, które rozproszyło zakazaną magię, a telekinezą cofnęła kawał marmuru i znów uderzyła.

Żałosna próba - zarechotał w myśli Amon, lecz spoważniał, gdy usłyszał krzyk Witeldona. Powiedział tylko jedno słowo, a ono zmieniało wszystko.

- Detinere!

Umysł demona był niczym przygnieciony ciężkim kowadłem. Poczul, jak jego władza nad rzeczywistością na chwilę osłabła. Wypowiedziany wyraz negował całą jego magię.

Kolumna, niczym młot bojowy, trzasnęła go z impetem. Uderzenie zadane niewidzialną ręką było tak silne, że oderwało go od ziemi. Zrzuciło też

Witeldona z jego pleców. Obaj wypadli na zewnątrz. Jeden przez wielki witraż, drugi przez litą ścianę. Spadali, a do ziemi mieli ponad pół kilometra.

W kompletnie zdemolowanej sali, zamienionej w parodię dawnej chwały, zapanowywała w końcu cisza. Vivienne spojrzała na Amadeusa wygrzebującego się z gruzów. Był jednym z nielicznych ocalałych.

- Stwórczo, miej nas w opiece - wyszeptała i zniknęła w łunie wyładowań.



Gdy człowiek spada z olbrzymiej wysokości bez spadochronu, jedynym uczuciem, które torturuje wtedy zmysły, jest przejmujący strach. Gdy dodatkowo podczas takiego lotu walczy na śmierć i życie z jednym z najpotężniejszych demonów, opisywanych w zakazanych księgach, wizja nieuchronnego końca powinna całkowicie zaćmić jego umysł. Witeldon Walszarti był daleki od takich rozważań. Jego rywalowi również lęk był obcy.

Pikując w dół, obaj szamotali się w przestworzach i wymieniali ciosy. Trafił mieczem w łeb plugawej istoty. Sam oberwał po plecach szponem ze skryzalizowanego mroku. Na *Martyris* pojawiły się głębokie bruzdy. Pod rozoranymi płytami można było dostrzec rozerwane mechaniczne włókna, które teraz, wykorzystując możliwość samonaprawy, wracały do poprzedniego stanu. Wspomaganie ludzkich mięśni znów działało.

Odrąbawszy palce demona, które i tak zaraz odrastały, Inkwizytor złożył dłoń w tajemny gest i wypowiedział kolejne Słowo Mocy. Złota błyskawica rozcięła czarne, smoliste niebo i ugodziła Markiza. Choć wygiął się od ciosu, to, nie oddając inicjatywy, posłał w stronę przeciwnika oszalałą mroczną duszę, której ryk rezonował we wszystkich wymiarach i czasoprzestrzeniach. Cierpiąca w czarnych płomieniach esencja jakiegoś arcygrzesznika uderzyła w korpus Witeldona. Napierśnik pękł na dwie części, a fragment ciała wyparował, odsłaniając spękane żebra i narządy.

Atak cisnął mężczyznę z powrotem do Pałacu Gubernatora. Stwórca chciał, by zamiast rozbić się o twardą stal albo kamień, przeleciał nad balkonem i przez przeszklone drzwi wpadł do przypadkowego apartamentu. Mniej więcej w połowie drogi do poziomu zero. Tymczasem Amon, wolny od natrętnego Sługi Bożego, wzbił się na skrzydłach i wylądował na otwartym terenie. Do swoich planów potrzebował trochę miejsca.

Inkwizytor zatrzymał się na ścianie, którą częściowo zburzył. Sekundy mijały, jednak o końcu zmagania nie było mowy. Rytuał Umęczonego Łowcy nie pozwalał na odpoczynek oferowany przez śmierć. Krwotoki ustały, a rany zamykały się z ledwo słyszalnym cmoknięciem, gdy tkanki zrastały się w niezwykle szybkim tempie. Skruszone kości uformowały się na nowo, a mięśnie i skóra przykryły je niczym prześcieradło kładzione na nieboszczyka. Jego serce biło jak dzwon – mocno i głośno. Żyłki wyszły na wierzch i zgrubiały. Im demoniczna obecność była większa, tym bardziej coś pchało go do działania. By zgładzić potwora, musiał sam się nim stać.

Powstał, wygrzebując się z gruzów, i ruszył w stronę otworu, który wybił podczas uderzenia. Z metalowej kasety przy pasie wydobyl małą buteleczkę. Natychmiast otoczyły go ibrioty, formując się w rój. W mig przywróciły jego pancerz do przyzwoitego stanu i wróciły do szklanego pojemnika. Spojrzał w lewo. W wielkim łożu małżeńskim leżały dwie kobiety, próbujące ukryć się pod kołdrą. Podobne z wyglądu, młode, zadbane z twarzy, były przeciętnej urody. Sądząc po śladach szminki na ciele, przerwał im zabawę.

- Proszę się nie martwić, ja tu wpadłem tylko na momencik – pozwolił sobie zażartować. Stał na skraju balkonu i patrzył jak Czarnoksiężniczka tka czystą moc. Arcyczart posyłał w jej stronę mrok za mrokiem.

- Aleś Pan szpetny – wypaliła jedna z brunetek.

I to jest prawdziwa odwaga – skomentował w myślach.

- Za to piękna pań nie wyrażą żadne słowa – powiedział teatralnie.

Druga kobieta pisnęła.

- Ooo, jaki Pan miły – mruknęła ponętnie.

Przewieszając się przez balustradę, zerknął w ich stronę.

- Za to liczby już tak, trzy na dziesięć, żegnam – nim zdołały cokolwiek powiedzieć, leciał już w dół.

Miecz miał w gotowości, a zbliżające się w zabójczym tempie betonowe podłoże podpowiedziało genialny pomysł.

Vivienne, użyj mnie niczym Boskiego gniewu – telepatycznie wysłał do niej zaszyfowaną prośbę. Demon mógł podsłuchiwać ich komunikację.

Białowłosa cały czas walczyła. Właśnie rozproszyła kolejną bluźnierczą inkantację i zamknęła wyrwę czasoprzestrzenną, przez którą miała być wessana. Uniosła swój kostur i wystrzeliła łunę biało-złotego światła. Energia uformowała się w długi miecz. Sztych, który wyprowadziła, mógłby

przeciąć bez utracenia momentum kilkanaście metrów stali. Jednak Markiz sparował cios halabardą. Chciał przyzwać kolejne mroczne esencje, gdy wtem jego jaźń dotknęło wielkie cierpienie, w którym się lubował.

Tuż za nim z ognia teleportacji pojawił się Inkwizytor, który lądując skruszył kamienne podłoże. Jednym cięciem *Catherine* odciął Markizowi Piekła obydwie skrzydła. Nim zdążyły dotknąć ziemi, zamieniły się w popiół. Mężczyzna ponownie spróbował przelać czarną krew, jednak Amon też działał. Machnął swoją dłonią otwierając ziemię, z której wydostały się tabuny szkieletów. Rzuciły się na Witeldona, by pożreć go żywcem. Ciął, rozbijał i miażdżył wszystko wokół, przedzierając się do głównego celu. Walka z kościotrupami spowolniła go, i już miał zamiar wypowiedzieć potężną modlitwę, gdy spostrzegł opadającą *Infinito Dolore*. Ułamek sekundy później znalazł się obok Vivienne. Widział, że miejsce, w którym jeszcze chwilę temu walczył, eksplodowało spaczoną energią.

- Dzięki - mruknął do swojego wyjątkowego anioła stróża, na co tylko kiwnęła głową.

Oboje patrzyli, jak jeden z Panów Piekła samym poruszeniem palców dłoni nagiął kamień pod stopami do własnej woli. Powstałe w ziemi szczeliny emanowały zepsuciem. Szał podziemnych skazańców wylewał się niczym ropa z pękniętego wrzodu. Masa chorych i konających zjaw wypaczała wszystko na swojej drodze. Zmierzały wprost na dwoje ludzi, lecz spotkała je błyskawiczna kontra. Kryształ z wielkiej różdżki Vivienne zaczął błyskać coraz jaśniejszym światłem. Błękitna gwiazda była wręcz oślepiająca. Kostur emitował z siebie moc, która wywoływała huraganowy wiatr.

Potop zatracenińców o napęczniałych, glizdopodobnych i zbudowanych z mroku ciałach rwał do przodu, wyjąc pieśni o zbrodniach dokonywanych przez nich za życia. Gehenna była tuż-tuż, gdy kobieta jednym płynnym ruchem zebrała nagromadzoną magię w wolną dłoń, uklękła i cisnęła ją w podłoże. Od tego zaklęcia ziemską skórę zatrzęsała się i wyparowała. Energia, niczym galopujący rumak, ruszyła na spotkanie morzu ciemności. Gdy światłość zetknęła się z wieczną nocą, owocem tego spotkania była nicość. Ze strony demona powstało pasmo ociekającego oleistą cieczą kamiennego bagna. Z pozycji Inkwizytora i Czarnoksiężniczki dostrzec można było żarzącą się, szeroką drogę doszczętnie spalonego, wysterylizowanego żużlu.

Stworzone z cienistych otchłani kule bombardowały pozycje ludzi. Vivienne naprędce nakreśliła glif ochronny, który odgrodził ich od wyklętych inkantacji.

- Sulla, wsparcie, teraz! - zakrzyknął do komunikatora, zerkając na zroszoną potem skórę Białowłosej. Na wyświetlaczach w kącikach oczu sankcjonował wejście do walki kolejnych jednostek.

W bocznych zabudowaniach dało się słyszeć szlachetny ryk silników. Kilka pięter bloków mieszkalnych eksplodowało w ogniu i odłamkach. Ze zgliszcz, niczym antyczna wałka, wyleciał myśliwiec. Był tak zwinny i szybki, że nawet ulepszone oczy Witeldona miały problem, by za nim nadążyć. Maszyna zawisała kilkanaście metrów nad ludźmi, ustawiając się minimalnie za nimi. Nie był to zwykły Koliber.

W pierwszej fazie realizowanego planu Witeldon oddelegował na szpicę *Icarus superbia*. Statek powietrzny, skonstruowany w minionej erze, zbudowano ze złotego, lekkiego jak piórko i tysiąckroć wytrzymalszego od stali materiału. Przypominający orła, króla ziemskiego nieba, uzbrojony był w dwie wyrzutnie rakiet termicznych, wypełnionych również prochami świętych, kilka dział typu Kat, miotających strumieniami naładowanych cząstek, i cztery obrotowe przewodnice plazmowe. Każda z nich ze swoich sześciu luf strzelała ładunkami utrzymywanej w polu magnetycznym plazmy, wydobywanej z generatorów tego cuda techniki. Każdy z gatlingów strzelał sto pocisków na sekundę, czyli sześć tysięcy na minutę. Wszystkie razem dawały niezapomniany koncert.

Układ nerwowy Sulli dzięki specjalnemu kombinezonowi był połączony z myśliwcem. Tylko w ten sposób mogła w pełni panować nad maszyną. Kobieta patrzyła na Markiza, który widząc nowe zagrożenie, spiął się i wysłał impuls, chcąc przejąć umysł pilotki. Symbole ochronne na kadłubie maszyny zaśniły, rozgrzane do białości. W kokpicie Czarnowłosa wyłączyła wszystkie ostrzeżenia. Wardy trzymały, to było najważniejsze.

- Za Światłość - szepnęła i aktywowała przewodnice.

Napięcie, narastające w niemal idealnej ciszy, pękło niczym balon. Kakofonia plazmowego pogromu uderzyła.

Amon zasłonił ramionami łeb, lecz na niewiele się to zdało. Pałący i wżerający się we wszystko potop był tak silny, że przesunął Najokrutniejszego do tyłu. Jego stopy ryły w kamieniu wielkie bruzdy.

Kaleczony pociskami odskoczył nagle w bok, posyłając w stronę myśliwca dysk czarciego ognia. *Icarus superbia* wykonał obrót, unikając ataku. Arcydemon ruszył przed siebie. Biegł, wykonując susy, niczym gepard. Za sobą ciągnął halabardę, która rzeźbiła w podłożu głęboką rysę. Rozszerzając się, szpara emanowała coraz mocniejszym karmazynowym blaskiem.

Nagle Kruczogłowy wzbił się na skrzydłach, które zdążyły odrosnąć po ciosie Inkwizytora. W ten sposób wymknął się salwie rakiet. Pociski trafiły w ścianę budynku, przed którą stał jeszcze chwilę temu.

Zamierzał zniszczyć latający pojazd ostrzem halabardy. Jednak Sulla aktywowała dopalacz i wystrzeliła w stronę ciemnego nieba. Cios Markiza Piekła chybił, lecz przeciął rzeczywistość. Strumień naładowanych cząstek trafił go w obojczyk i wytopił w demonicznym mięsie głęboką dziurę. Ignorując przeciążenie, Złoty Natręt wyhamował w przestworzach, zmienił kurs i ponownie wziął Wszechczarta na cel.

Mijająca noc stała się parkietem, na którym odbywał się zabójczy taniec. Gdzie w ruch szła *Infinito Dolore*, tam pękało sklepienie. Coraz liczniejsze rysy zaczynały puchnąć. Ta z placu przed Pałacem Gubernatora wrzała z ledwo wstrzymywanej mocy. Niebo, pełne brudu i grzechów z przeszłości, grzmiało piekielną burzą. Najpierw płonący meteor runął w głąb miasta, kilka dzielnic dalej, a zaraz potem z brunatnego nieba wyłoniła się błyszcząca maszyna.

W umyśle Inkwizytora rozległ się sygnał komunikatora.

- Mój Panie, informuję, że plugastwo uciekło - Sulla sapiała, a jej głos się rwał. Złączenie z reliktem minionej ery wyczerpywało ją. - Tracę skrzydła, silniki słabną, ale dam radę polecieć do Elizjum, muszę się doładować - zdała raport.

- Przyjąłem. Leć do gniazda, dobra robota.

Strzelił karkiem.

- Chyba tak szybko się to nie skończy - mruknął do Białowłosej. Mieczem wskazał na formujący się portal.

Każda szrama, którą Amon stworzył w tym wymiarze, rosła i łączyła się z innymi. Logika umierała, a rodziło się szaleństwo. Wirując, monstrualna brama rozrywała fizyczne i eteryczne granice, a plując krwawymi błyskawicami wypuszczała demony.

Nadeszła najczarniejsza godzina wszystkich śmiertelnych.

- Noc jest jeszcze młoda, Okrutniku - odparła. Kostur lśnił aurą morskiej barwy.

Szarżująca fala obłąkanej ludzkiej materii zbliżała się w zawrotnym tempie. Wtem stał się cud. Święta pożoga spadła na hordy ciemności. Dziesiątki Kolibrów, waląc z działek szturmowych i wyrzutni rakiet, przecięło powietrze, oczyszczając drogę transporterom i jednostkom uderzeniowym. Widząc je, atakujące kreatury skierowały na nie swoją uwagę i ogień. Wystrzelono pociski ektoplazmy i szatańskie płomienie. Niektóre ze sług wymiaru grzechu władające magią raz za razem rzucały w stronę latających maszyn głązy i włócznie z krwawej aury.

Nie przerywając morderczej kanonady, piloci rozpoczęli manewry wymijające. Nawałnica, która ich dosięgła, była zbyt duża. Choć już tysiące razy unikali ostatecznego, to przecież każdy z nich był śmiertelnikiem. Błąd i niedoskonałość na zawsze zostały wpisane w ludzką naturę. Kolibry jeden za drugim eksplodowały albo trafione spadały i rozbijały się gdzieś w urbanistycznym labiryncie Spero. Nikt jednak nie oddał życia nadaremnie.

Dzięki temu, że uwaga diabolicznego wojska skupiła się na jednostkach eskortowych, swoje zadanie mogli wykonać desantowcy. Potężne pociski z dział stalowych kolosów orały ziemię. Pod niemal każdym statkiem powietrznym zawieszony był czołg klasy Murus. Niektóre wyposażono w długolufowe armaty, inne w emitery laserów, kolejne w wyrzutnie plazmy albo wyzwalacze neutronowe. Tuż nad ziemią wszystkie zwolniono z uprząży i pancerne kolumny mogły wkroczyć do akcji. Do koncertu dodano nowe instrumenty. Orkiestrą byli żołnierze, a muzyką ryk karabinów, grzmot dział, syk fotonowych promieni i dudnienie wysadzanej rzeczywistości. Z opuszczonych ramp załadunkowych do boju dołączyły setki Mortusów.

Błuźniercze wiry i plugawe ognie obracały w proch ludzkie ciała, dezintegrowały kadłuby żelaznych rumaków. Słudzy Boga zrównali się z Inkwizytorem. Do swojego Mistrza dołączyła Lydia. Witeldon aktywował komunikator na szerokim paśmie, a Vivienne przygotowywała potężne zaklęcie.

- Inkwizycja - powiedział, *Catherine* w jego dłoni błysnęła mocniej światłem. - W imię Światłości atakować i wygnać najeźdźców! - ryknął i ruszył, dowodząc natarciem.

Była to jednak dopiero pierwsza z bitew w tej smutnej wojnie.



Gdy Najokrutniejszy dotknął ponownie ziemi, ta szerniała i popękała. Znajdował się w sercu najludniejszej metropolii na planecie. Zawszą dochodziły go odgłosy bicia milionów ludzkich serc. Widział wątłe dusze, które niemal same z siebie próbowały wyrwać się z zagłodzonych ciał. Przez takich jak on slumsy pękające w szwach od biedoty były uważane za raj. W swoich szponach gromadził prastarą moc.

Kamienice wzbijały się w powietrze i z rumorem opadały tam, gdzie sobie zażyczył. Kamienne wieże na skinienie jego palców zmieniały kształt. Wypowiadając jedno zdanie, zabrał życie niezliczonej ludzkiej masie. Wysyłając samotną myśl, przekonał dziesiątki tysięcy istnień do popełnienia rytualnego samobójstwa. Ze wszystkich stron płynęły rzeki krwi, które obmywały jego stopy. Swoją świadomość rozciągnął na większą część miasta. Obserwował poczynania Sług Bożych.

Chwilowy ból przyćmił jego umysł. Wizja stała się zamglona. *Nieczęsto zdarza się wiedźma o takiej sile* – pomyślał. *Zajmę się nią później.* Wiedział, że zdołają zamknąć otworzony przez niego portal. Musiał działać, lecz jego uwagę przykuł kontyngent pokaźnego zgrupowania. Interwenci byli dziesiątki kilometrów od jego pozycji, lecz jednym uderzeniem drzewca halabardy rzucił na nich swoje klątwy. Patrzył jak owładnięci szałem rzucają się sobie do gardeł. Ci, którzy przeżyli te igrzyska śmierci, rozpoczęli polowanie na zwykłych ludzi. Chaos w mieście narastał. Panika zakorzeniała się w sercach śmiertelnych. Zupełnie jakby raczył się wyjątkowym koktajlem, czuł, jak z każdą kolejną sekundą zdobywa coraz większy wpływ na ludzką rzeczywistość.

Od pradawnej demonicznej mowy drżało powietrze. Błóżniercze inkantacje i potępieńcze modły szarpały wymiarem, w którym się znajdował. Gdy on recytował mroczne pieśni i formował wersety, całe centralne Spero powoli zajmowały jego legiony. Bramy, portale, wyrwy otwierały się tam, gdzie ludzkich słabości było najwięcej, a wątych bogobojnych insektów miał tutaj pod dostatkiem.

Karmazynowa ciecz skrytalizowała się w gigantyczny szlachetny kamień. Umieszczony w przewodniku pod postacią plugawego tabernakulum, sycił się każdą śmiercią. Po osiągnięciu apogeum rytuał miał wyzwolić impuls, który zabierze życie wszystkiemu co śmiertelne

w promieniu setek kilometrów. Taki ocean dusz przyciągnie wszystkie czarcie istoty. Pozostały mu jedynie dwie rzeczy. Wyczekiwać nadejścia Inkwizytora, którego zgładzi osobiście, oraz obserwować tak miłe dla jego ślepi ludzkie umieranie. Trzeba było przyznać, że istoty człowiecze miały w tym dużą wprawę.

Nagle grad rakiet rozbił się o ochronną kopułę z czerwonej energii, która wytworzyła się wokół jego dzieła. Zawarczał w irytacji. *Demonica za to zapłaci* – powiedział w myślach. Brak linii czasowych był jego jedyną słabością. Przestał być wszytkowiedzący, jednak konwencjonalne metody radzenia sobie z bożym robactwem wciąż były dla niego dostępne.

Stawiając czoła dwunastu myśliwcom Inkwizycji, złożył dłoń w tajemny gest. Z jego szponu wystrzelił wir, pełen wijących się z rozkoszy duchów. Pstryknięciem palców rozkazał zastępom rzucić się na Kolibry. Lotnicy manewrowali, próbując wyminąć zagrożenie, lecz szkaradne byty pochłonęły pięciu z nich. Reszta formacji zaczęła ostrzeliwać pozycje Amona z działek szturmowych. Nie wypowiadając żadnego słowa i nie wykonując ruchu sprawił, że każdy z tysięcy wystrzelonych pocisków wyhamowywał i opadał na ziemię nie czyniąc mu krzywdy. Z kolejną salwą rakiet postąpił inaczej. Otworzył portal, który wessał główce. Ładunki z własnym napędem pojawiły się za jednostkami Inkwizycji, kompletnie zaskakując pilotów. Tylko troje przetrwało pogrom. Nie na długo.

Dwie maszyny zatrzymały się w powietrzu, pochwycone niewidzialnym uściskiem Arcyczarta. Złączył swoje dłonie w kolejny gest, sprawiając, że para Kolibrów zderzyła się i zniknęła w ognistej kaskadzie. Ostatni Sługa Boży zniżył lot i niewzruszony leciał przed siebie. Pilot skierował myśliwiec wprost na Markiza. Pan Piekła stał niczym skała i patrzył, jak szalenciec mknie mu na spotkanie. Rozłożył swoje szpony.

Statek uderzył w diabelskie ciało, eksplodując w potopie ognia. Przez moment zapanowała cisza, przerywana skwierczeniem płonącego ciała Najokrutniejszego. Nie drgnął nawet o milimetr. Patrzył na walające się resztki śmiałka i jego rydwanu. Żar na nim spokojnie przygasał.

- Daremny trud, acz godny podziwu - mruknął.

Zdawać się mogło, że same niebiosy łaknęły krwi...

ROZDZIAŁ XXX



JEŚLI WSZEDŁEŚ NA MINĘ PRZECIWPIECHOTNĄ, GRATULACJE, CHŁOPIE. WŁAŚNIE ROZBROIŁEŚ MINĘ PRZECIWPIECHOTNĄ.

STARSZY KOMISARZ INTERWENT KOMANDOS FRANK DEMORO, JEDNOSTKA UDERZENIOWA KRYPTONIM JADOWE KŁY.

Powiadają, że wojna jest piekłem na ziemi, i kiedy się ją raz widziało, to już nigdy więcej nie chce się jej oglądać. Niestety ludzkie życie nie jest takie litościwe i historie, które się w nim wydarzyły, lubią się powtarzać. Mając to na uwadze, łatwiej będzie zrozumieć, że ludzie biorący udział w tej batalii nie byli uczestnikami konfliktu albo utarczki. Wszyscy byli w centrum apokalipsy.

Potwory, niczym wyjęte z najgorszych koszmarów, biegły oszalałe, nie zważając na nawet najcięższy ostrzał. Kolczaste maskary, sunące na swoich mackach, pryskały kwasem na prawo i lewo, pluły skryzalizowanym jadem, który przebijał pancerze czołgów. Tysiące demonów, przypominających diabły z prymitywnych rycin, ze swymi płonącymi mieczami i toporami, prowadziło rzeź bez wytchnienia. Ich okrucieństwu dorównywać mogło jedynie fanatyczne oddanie profesji, którą tak ochoczo wypełniali. Latające na dyskach zbudowanych z tęczowego, mieniącego się szkła, humanoidy podobne do gadów i ptaków, tworzyły spaczone promienie i mordercze pociski naładowane magią z posoki. Z ich falujących palców lała się pożoga, której nie mogły opisać ludzkie słowa. Kamienie, żołnierze, czołgi i inne pojazdy latały rozrzucone niczym nasiona na pole. Mięsne kolosy, czarty znacznie większe niż pozostałe, żelazną ręką utrzymywały władzę nad swymi hordami. Oni sami byli definicją śmierci. Z drugiej strony, przez zrujnowane ulice i poburzone boksy mieszkalne, cały czas napierali Mortusi.

- Dawać, wataha! - wrzasnął już po raz setny Ursus, biegnąc sprintem pośród żołnierzy.

Czarnoopancerzeni ledwo nadążali za swym przywódcą, lecz nawet na moment nie przerywali ognia. Setki sług Inkwizytora przylegało do osłon i walczyło, dając z siebie wszystko, a karabiny świetlne paliły ciała demonów.

- Bernard, Johas, dziesiąta! Rozjechać mi to!

Natychmiast przesunęli się do lewej, by wspomóc swoich towarzyszy. Obaj na grubych pasach trzymali potężne wyrzutnie odłamkowe. Strzelające granatami wypełnionymi kośćmi świętych, błogosławionym srebrem i uświęconymi złotymi kolcami, były niezwykle skuteczne w walce ze wszystkim, co plugawe. Pojedyncze naciśnięcia spustu nagradzała seria eksplozji i obrzydliwe wycie ukaranych plugastw.

Bestie, wyhodowane w Piekło, wypaczały zmysły. Bezwłose tygrysy o dwóch głowach i pajęczych odnóżach na plecach, sunące po ziemi mątwy o króliczych czerepach, z których wysuwał się gąszcz zębów i długie parzydełka, napuchłe dwunożne i wielorękie stwory, o gębach w brzuchach, ziejące ogniem, który smagał wszystko dookoła, to była niewielka część tego morza okropieństw. Nieprzeliczone masy demonicznego mięsa wybuchały na krwawe strzępy, gdy kolejne działa dołączyły do kanonady. Swoją niszczycielski potencjał uwolniły trzy murusy. Dwa potężne armatnie pociski i ciesząca serce seria kul skwierczącej plazmy bezlitośnie smażyły nieczystych.

Grupa dziesięciu Mortusów, z prawej strony, została obrzucona kamieniami i zmiażdżona przez szatańskiego giganta o ośmiu rogach.

- Kaveira, Rota i Fuqo, pierwsza, pomoc im! Reszta walimy do przodu! - wydał rozkazy.

Dowódca żołnierzy usłyszał za sobą świst czterech odpalonych rakiet. Wszystkie ugodziły w pierś siejącego zniszczenie olbrzyma. Stwór cofnął się i wypowiedział coś w niezrozumiałym języku. Jego oczy zaślniły, a chwilę potem zaczęła się z nich uwalniać złowroga, zielonkawa aura. Cokolwiek chciał tym uzyskać, już na wieki wieków pozostanie enigmą, ponieważ jego zdeformowany czerep wyparował po trafieniu wyzwalaczem neutronowym.

Piekielni piechurzy o długich rogach, ogonach i zębach dopadli do pozycji Kapitana. Kilkoro z jego wilków straciło głowy. Widział, jak ciało następnego

przecina na pół magmowy miecz. Ursus nie zamierzał ustąpić nawet o metr. Pierwszego sługusa ciemności spopielił swym pistoletem plazmowym. Zrobił unik i znalazł się z boku kolejnego bękarta chaosu. Cios opancerzonej pięści rozłupał tamtemu czaszkę. Wykonał zwinne przejście. Mimo to, ostrze płonącej szabli zarysowało jego naramiennik. Przejął inicjatywę i wałną demona w splot słoneczny. Widział, jak porzygał się czarną krwią. Następny cios pozbawił go łąba.

Walka nie zwalniała tempa. Kolejny piekielny piechur stawał w szranki. Wielkolud zdrowym okiem uchwycił moment, kiedy tamten zrobił krok w przód. Przez ułamek sekundy obydwie stopy pomiotu były w powietrzu. Kopnął go w kostkę. Nie mając odpowiedniego oparcia, runął wprost na okute kolano Ursusa i z popękaną czaszką grzmotną plecami o ziemię. Ostatnim, co zobaczył, była ciężka podeszwa, która mu miażdży czerep.

Kolos rozejrzał się na boki. Wszędzie widział śmierć. Ci sami Mortusi, którzy dotychczas dezintegrowali i eksterminowali każde plugastwo, sami byli teraz rozrywani, rozszarpywani i miażdżeni, a czołgi wysadzane w równie widowiskowy sposób. Dostrzegł, jak jednego z Czarnoopancerzonych przebiło odnóże wielkiego pająka o ptasim dziobie, skrzydłach i kończynach. Bestia przyciągnęła ofiarę do pyska, by odgryźć mu głowę. Chwilę później razem zniknęli w burzy pożogi i odłamków. Na jego siatkówce wyświetliła się kolejna runa Mors. Od początku starć były ich setki. Tym razem życie straciła Diana Lurasky. Nim jednak uszła z niej dusza, zdołała odbezpieczyć wszystkie granaty, które miała. *Jeśli postanowisz umrzeć, spraw, by Anioł Śmierci zwiastował nowinę końca również twoim wrogom* - przypomniał sobie nauki Inkwizycji.

- Więcej tych szkarad - krzyk Roty wyrwał go z chwilowego zamyślenia.

Obserwował, jak rozpraszające miotacze świetlne tysiącami wiązek okaleczają hordy demonów. Zaczął biec. Uświęcony i plugawy ogień otaczał go ze wszystkich stron. Ludzkie ciała wypływały ze zbroi niczym gotowane flaki, demony rozpadały się na popiół albo znikwały w błyskach kolorowych poświat. Na jego oczach ludzkie pozycje były przełamywane. Fuqo został odrzucony w bok ciosem wielkiej macki. Bestie by go oblażyły, gdyby nie ogień zaporowy czwórki innych Mortusów. Teraz próbował powoli wstać spod ściany, o którą przywalił.

Ursus prześlizgnął się pomiędzy żołnierzami. Sprawnym ruchem zdjął z palców *Behemota*. Czarcie poczwary wyciągały już po niego kapiące

cierpieniem szpony. Mężczyzna szybkim i zdecydowanym gestem zasłonił się ostrzem topora. Jego broń rozbłysła niebieskawym, niemalże białym światłem, emitując potężny impuls czystej energii. Świst przeciął powietrze i zatrzymał się na powierzchni groteskowych skór, łusek i piór. Poparzeni słudzy piekielnych panów cofnęli się, a ich ciała, omiecione łuną z relikwii, ogarnął ból, dotykając istoty ich istnienia.



Złapał oburącz oręż, którego blask nie przygasał nawet na moment. Pośród strzelaniny setek karabinów i innych giwer złożył własną ofiarę bogom wojen. Wykonał zamaszyste cięcie, uwalniając potencjał *Behemota*. Pozioma linia skoncentrowanej mocy tajemnej wystrzeliła w demoniczne zastępy.

Kilkanaście porozrywanych powłok upadło na śliską od posoki ziemię, a ich kawałki obficie broczyły krwią.

Mężczyzna patrzył na chwilową konsternację przeciwnika. Widząc, co się stało, część pomiotów straciła wolę walki. Nie trwało to jednak długo, ponieważ przez ulicę przetaczał się kolejny legion. Większe demony, sięgające wzrostem kilku pięt, szły w równym szyku, miażdżąc toporami i buzdyganami żołnierzy. Nowe oddziały wylewały się z portali, które poprzecinały materium. Choć laser i ołów nieprzerwanie spadały im na głowy, hordy były niezłomne. Ursus włączył swój komunikator, gdy szatańskie oddziały były kilkadziesiąt metrów od niego.

- Alexandra, Helt wasza kolej - powiedział i zaczął naciskać spust pistoletu plazmowego.

Z kamienic stojących na całej długości szerokiej alei, ze wszystkich pięt, wystrzeliły tysiące ogni. Świetlne promienie i rozgrzane do białości wolframowe szrapnele topiły bluźniercze pospólstwo. Koncentratory grawitronów i działka automatyczne skupiły swoje wysiłki na wrogich monstrach i latających szkaradach, władających magią. Wiązki z rusznic laserowych, wyrzutnie rakiet i ogień snajperski trafiały w oczy i były jak baty smagające największych z piekielnej armii. Z nieba, zasnutego czarnymi chmurami i karmazynowymi oparami, wyleciały szwadrony Kolibrów.

Pikując w dół, masakrowały każdego potępionego przybysza nieprzeliczonymi nabojami i potokiem rakiet. Piloci poderwali swoje statki powietrzne i nisko nad polem bitwy obrzucili bombami pozycje sług mroku. Nienarodzeni, atakowani z każdej strony, wili się i piszczeli. Potężniejsi odpowiadali ogniem i udawało im się strącać niektórych lotników. Miotane przez nich spaczone pociski i ektoplazma unicestwiły większość pierwszej linii.

Kapitan, mając po bokach napierających żołnierzy, próbował stawić czoła ogarom ciemności. Wielkie niczym dorosłe konie żylaste abominacje, zrodzone z pozszywanych tkanek, napętnione szaleństwem, atakowały pojedynczych Mortusów długimi kłami i ostrymi szponami. Nie zważając na własne rany, rozrywały ciała pokonanych, zaciągały je w mrok, a parujące jeszcze wnętrzności pożerały.

Cios olbrzymiej łapy w jednej chwili pozbawił męski korpus głowy i górnej części tułowia. W odpowiedzi *Behemot* zanurzył się w czaszce bestii,

miażdżąc i wyrywając z niej większą część kręgosłupa. W ten sposób Ursus pomścił śmierć swojego człowieka.

Kolejna bestia, uzbrojona w mnogość ostrych zębów, pochwyciła żołnierza i tak długo nim szarpała, aż stracił głowę i wszystkie kończyny. Wystrzelona w odwecie kula plazmy spopieliała łeb monstrum. Potępionego zabójcę przeciął na pół skoncentrowany ogień czterech Czarnoopancerzonych. Innych zaatakowały dwa diabelskie ogary.

Topór Kapitana odciął dolną część paszczy następnego diabolicznego kundla. Swoją masywną, okutą w metal pięścią trzasnął bydlę w czerep tak mocno, że jedno żółte ślepie wypłynęło z oczodołu. Charcząc z bólu, zwierzę zatopiło swoje pazury w napierśniku wojownika z północy. Hartowane płyty rozpruły się, a krew Kapitana spłynęła na ziemię. Zaciśnął zęby i z całej siły przywalił *Behemotem* w plecy poczwary. Ostrze zagłębiło się w ciele i zadziałało jak hak. Wielkolud przyciągnął do siebie ogara, który w panice próbował się wyswobodzić. Uniósł kilkusetkilogramowe bydlę nad ziemię, zarzucił nim i kopnął w łeb, miażdżąc czaszkę i mózg. Gdy owoc gwałtu na naturze padł na skały, dało się słyszeć trzask łamanego karku. Sapiąc z wysiłku, Ursus rozejrzał się dookoła.

Wszyscy, którzy wyruszyli z nim, byli martwi. Pozostały po nich ochłapy mięsa i poszarpane fragmenty zbroi. Reszta oddziałów i zmechanizowanych pułków została kilkadziesiąt metrów za nimi, próbując odeprzeć nękające ich sfory. Jego uwagę przykuł złowieszczy warkot. Ponad tuzin kolejnych szkarad z obnażonymi kłami zbliżało się w jego stronę. Nie spieszyły się, ich ofiara była osamotniona i poraniona. Czują krew. Połyły się śmiertelnym przemijaniem. Chwycił oburącz za topór, przyjął postawę do walki.

- Tylko podchodźcie po kolei, by któryś dwa razy nie dostał wpierdol - powiedział kpiąco, choć przygotowany był na raczej bolesne umieranie.

Pierwszy z psich mutantów ruszył do przodu. Z jego pyska skapywał kwas. Umięśnione nogi pozwoliły błyskawicznie skrócić dystans i wykonać skok. Ursus zamierzał jednym cięciem strącić ryj biesa, gdy nagle coś stwora dopadło i skoczyło z nim w ruiny. Oniemiały Dowódca zapatrzył się, jak pomiot Piekła próbuje wstać, lecz przyduszony masą przeciwnika miota się bezsilnie, a chwilę później ma rozszarpane gardło.

Zaskoczyło go przejmujące ujadanie, od którego niemal ogłuchł. Wataha psów z bionicznymi wszczepami, na których widniały godła Inkwizycji, runęła na swoje szatańskie odpowiedniki. Równające się z nimi gabarytami

i zaciekłością, nie oddawały pola. Zwierzęta tak samo jak ludzie walczyły z demonem.

- Nie ma za co - usłyszał damski głos w komunikatorze. Mógł on należeć tylko do tej jedynej.

Zauważył ją. Uchwycił moment, gdy aktywowała kamuflaż, co spowodowało nagłą zmianę koloru na zerwanej ścianie. Ciekawiło go, gdzie ją ciągnie.

Z odmętów wynurzało się coraz więcej demonicznych chowańców. Załadował swój pistolet plazmowy. Czuł w kościach, że będzie potrzebowała pomocy.

Wpierw pomogę wam wrócić na tamten świat - powiedział do siebie w myślach i nacisnął spust. Ogary ciemności straciły kilku swoich, lecz ich animusz nie zniknął. Póki ich Hodowca stąpał wśród żywych, nie można było ich złamać...



Kilkanaście minut wcześniej Alexandra włączyła do akcji dzieła swojego życia. Psy, krzyżowane według jej wizji, modyfikowane genetycznie, ulepszane cybernetycznie, bezwzględnie wytresowane i sterowane specjalnymi implantami, nie były w stanie tknąć niczego innego niż plugawe byty. Wszelkie inne cele należało im wprowadzić do mózgow za pomocą nośników informacyjnych.

Będąc w pełnym maskowaniu, Szpieg-mistrzyni zwinnie omijała maruderów i szabrowników. Jej pancerz, wyposażony w rzadkie emitery pola negującego, pozwalał być niewidzialną dla każdego. Również dla tych, którzy wyczuwali duszę. Póki wszystko działało jak należy, była dla nich pustą przestrzenią. Dziurą w eterium.

Mijając kolejne metry dostrzegła grupy zwykłych ludzi, którzy uciekali i ukrywali się przed demonami. Niemal zawsze Nienarodzeni odnajdywali ich, by zasiąść do krwawej uczy. Przemykała obojętna na takie tragedie. Misja była tysiąc razy ważniejsza od pomagania szarym masom. Nawet nie chciałyby ich ratować.

Mężczyzna po jej lewej stronie próbował zasłonić sobą starszego człowieka przed ciosem rozżarzonego ostrzem. Bezskutecznie... Sam, rozcięty na pół przez demona, legł na zimnej ziemi, a zaraz potem z karku

starca spadła głowa zerwana jednym ruchem. Zerknęła na prawo. Przygnieciona do ziemi kobieta w zaawansowanej ciąży błagała o pomoc. Jej lament przerodził się we wrzask, gdy stwór o paszczy w kształcie tuby, pełnej ostrych zębów, wgryzł się w jej brzuch i łapczywie pożerał nienarodzone dziecko. Tam, gdzie pojawiali się posłańcy Szatana, takie obrazy były normą. Męki doznawane przez śmiertelników często były gorsze. O wiele gorsze...

Kątem oka analizowała wyświetlane raporty i obrazy z bitwy, którą toczył Inkwizytor. Byli już bliscy zamknięcia portalu, który otworzył się przed Pałacem Gubernatora. Siły Oficjum, choć ponosiły ogromne straty, zablokowały i zapieczętowały dziesiątki mniejszych przejść. Jednak w wielu przypadkach Słudzy Boży zostali wybici do nogi. Kanały łączności były ciche niczym moment zadumy po pogrzebowym kazaniu. Nowe legiony wypływały strumieniem z czynnych bram, jak ropa wyciekająca z rany.

To sprawa na później – pomyślała. Teraz były inne priorytety – musiała zająć się zagrożeniem w okolicy. Po zawałonych podłogach i osuniętych ścianach wspięła się na wysokość mniej więcej trzeciego piętra. Stamtąd dobrze widziała spory kawał terenu, wyczyszczonego z zabudowań przez ciągłe bombardowania. Jej czytniki spaczonych energii pokazywały silną, pojedynczą sygnaturę w tym rejonie. Gdzieś tutaj musiał być Hodowca ogarów. Kilku było już martwych, wygnanych do Czeluści. Teraz przyszła kolej na następnego. Wkrótce go zobaczyła.

Najpierw ujrzała, jak eksplodował jeden z budynków, stojący na granicy ziemi niczyjej. Z jego wnętrza wyleciał potwornie porozbijany, pozbawiony wieżyczki murus. Kilkunastu Mortusów wybiegło z pogorzelska, rzucając za siebie granaty. Wycie, które doszło do jej uszu tuż po wybuchach oznaczało, że kolejne stado zostało ukarane za swoją chciwość. Kilka ogarów, mimo burzy odłamków, dopadło żołnierzy. Troje zdążyły zagryźć, nim podziurawione padły. Wtedy z pożogi wyłonił się poszukiwany przez nią demon.

Wielkie na ponad trzy metry, potężne umięśnione cielsko. Paszcza z dwoma olbrzymimi kłami w dolnej szczęce i parą mniejszych w górnej, nadawała mu wygląd nie z tego świata. Cztery palące się żarem ślepią i długie łuskowate dredy napawały lękiem ludzkie serca. Skóra tworząca ciemność lśniła zakuta w pancerne płyty, wykonane z brązu wzmocnionego magią. Za oręż miał długi, zakrzywiony topór, z którego wciąż kapała gorąca

lawa. Jako symbol swojej profesji trzymał bat pełen haków, emanujący złowrogą aurą i wijący się niczym żywy wąż.

Ignorując szalejące wokół bestie, Mortusi otworzyli ogień z karabinów świetlnych. Promienie zatopiły się w czarcie, lecz to go tylko rozwścieczyło. Pomiot był diabelsko szybki. Kilkanaście metrów pokonał w sekundę i jednym cięciem rozplatał czworo Czarnoopancerzonych. Zaraz potem, pojedynczym uderzeniem lamii, oddzielił mięso od kości u następnego nieszczęśnika. Drugim smagnięciem rozczłonkował nowe ciało. Parujące resztki kolejnego zostały rozrzucone dookoła.

Gehenna trwała niecałą minutę. Na placu pozostał Hodowca i jego dwa ogary. Alexandra ulokowała się na niewielkim podwyższeniu, ponad dwieście metrów od niego. Zajęła pozycję strzelecką i ściągnęła z pleców kuszę *Sanctificate*. Zintegrowała systemy celownicze broni z oczami i pociągnęła za spust.

Gęste naboje o ogromnej sile przebijającej i obalającej przesyły w mikrosekundowych odstępach łby dwóch piekielnych kundli. Ważące po pół tony bydłeta zostały wgniecione w glebę. Twórca tych chorych kreatur zareagował natychmiast i ruszył w jej stronę. Choć jej serce zdążyło zabić raptem sześć razy, on był już w połowie drogi. Alexandra nie czuła strachu. Tantalowe kule znów wystrzeliły z jej karabinu. W darze niosły śmierć, której jednak większy demon nie chciał przyjąć.

Z nieosiągalną przez śmiertelnych precyzją zamachnął się batem i zdetonował całą pierwszą serię. Drugą salwę wyminął, a częściowo zasłonił się przed nią toporem. Dopiero trzecia odniosła zamierzony skutek. Grawerowane pociski ugodziły Hodowcę w pierś. Kaskada flaków i metalowych fragmentów mogła świadczyć tylko o tym, jak makabryczny ból musiał odczuwać.

Ranny zatrzymał się i zrobił krok w tył. Wcześniej zdążył wprawić w ruch bat, który za sprawą plugawej magii wydłużył się i przeciął ścianę kamienicy, w której skryła się Alexandra. Budynek zadrżał i zawalił się. Szpieg-mistrzyni poczuła, że traci grunt pod nogami. Nim zdążyła zareagować, podłoga zapadła się wraz z nią. Runęła w dół, a uderzając plecami o powierzchnię na parterze, głośno zaklęła. Kusza sprzężona z karabinem wypadła jej z rąk, a kurz, pył i drobne fragmenty betonu zupełnie ją oślepiły. Słyszała tylko, jak świat wokół niej przestawał istnieć. Po chwili rumor ustał.

Nic jej nie bolało. Żadna część ciała nie została przygnieciona gruzami. *Dobrze* – mruknęła w myślach i odetchnęła z ulgą.

Chwilę potem ktoś zepchnął gruzy na bok. Ryk bestii sprawiał, że uszy zaczynały krwawić. Hodowca spojrział w odsłonięty dół, gdzie leżała Służka Boża. Nie czekając na cud, wyciągnęła z kabury pistolet i zaczęła strzelać w jego ślepią. Dopiero piąta kula trafiła w cel. Gałka oczna wyprysła z oczodołu. Usłyszała wściekłe warknięcie, a zaraz potem Hodowca ciął swym wyszczerbionym toporem. Zrobiła przewrót w bok. Spadające ostrze nieznacznie skróciło część jej włosów. Poderwała się szybko i resztę magazynka wystrzelała w pysk swojego przeciwnika. Odbezpieczyła dwie srebrne bomby wypełnione drobinkami metalu czystości i rzuciła je w stronę giganta. Chmura opilek oddzieliła walczących. Potwór załkał. Usłyszała skwierczenie, jakby ktoś na rozgrzaną patelnię rzucił kawał mięsa.

- Smaż się! – wrzasnęła i płynnie przeładowała broń.

Raz za razem posyłała w jego stronę przebijająco-rozrywające naboje. Konając, stwór pochylił się, a jej bogobojne serce zabiło szybciej. Była pewna zwycięstwa, lecz instynkt nakazał jej zerknąć w bok. Wprost na nią zmierzał katowski topór. Zdążyła się tylko przygotować na cios. Stwórca był jednak łaskawy. Dostała policzkiem ostrza i zamiast zginąć przecięta na dwie części, poleciała niczym odbita piłeczka. Swoim impetem rozwalila betonową ścianę i zatrzymała się pod zburzoną przybudówką. Osłabiona konstrukcja niebezpiecznie przechyliła się w jej stronę i zaparła o wystające metalowe słupy. Słyszała huk betonowych kamieni pękających od ciężkich kroków Hodowcy. Musiała działać. Z bocznej kasety zbroi wyciągnęła mączkę ze zmielonych skorup magmowych krabów. Zamiast odrobiny na opuszkach palców, trzymała całą garść lepiącego się pyłu. Demon był tuż obok.

- Stwórco, miej mnie w opiece – wyszeptała dokładnie wtedy, gdy czart odrzucił osłaniającą ją ścianę.

Nim zdążył cokolwiek zrobić, Szpieg-mistrzyni była już przy nim. Wskoczyła wysoko w górę i uderzyła otwartą dłonią w jego bok. Normalnie nie pozostawiłaby na nim nawet rysy, lecz proszek zmieniał wszystko. Potężna eksplozja rozsadziła demonowi biodro, przedarła się przez miednicę, wyrывая mu drugą kość kulszową. Straciwszy obie nogi, podwładny ciemności runął na ziemię i teraz wspierał się na przednich łapach. Cierpienie, którego doznawał, było zbyt wielkie, by mógł wyrazić je

krzykiem. Z jego gardła wydostał się stłumiony warkot i obficie chlusnęła czarna krew. Popękane zęby, którymi rzygał, zniknęły w odmętach kałuży oleistej posoki.

Technologiczny rapier przebił grdykę potwora. Alexandrze nie udało się dosięgnąć łba bestii. Wykonała unik przed ciosem potężnej łapy. Odskoczyła za Hodowcę, gdy spróbował ją złapać. Choć szamotał się szaleńczo, dała radę wspiąć się na jego plecy. Nożem nadgarstkowym przebiła mu czaszkę. Uświęcona stał wyszła jednym z oczodołów. Bestia wierzgnęła jeszcze mocniej. Przełączyła pistolet na ogień automatyczny i wystrzeliła w jego czerep dziesięć aktywnych naboju.

- Zdychaj! Giń! Przepadnij! - wrzeszczała. - Wracaj do piekielnej czeluści! - plugawy byt runął w przód, rozbijając łeb o twardy mur, a ona zsunęła się z jego cielska i upadła w przeciwną stronę.

Jeden z panów szalejących po mieście ogarów przekreślił się w jej stronę. Słyszała, jak pęka jego krzyż, na którym wisiała resztką jego formy. Uniósł swoje potężne szpony, szykując się do uderzenia. Nie miała jak odskoczyć i uciec przed ciosem. Nie była przygotowana na taki atak. Narastał w niej szal, gdyż zrozumiała, że dała się pokonać...

Sekundę później tors bestii został przecięty. Topór, emanujący cyjanowym światłem, rozplątał gargantuiczne ciało od obojczyka, przez łopatki i żebra. Drugi cios trafił w łeb potwora, wyrywając jego mózg i większość kręgosłupa. Dygocząc, parując i dymiąc, szatańska skorupa osunęła się na bok i ulegała przyspieszonemu rozkładowi.

Za truchłem stał potężny mężczyzna. Oparł *Behemota* o fragment ściany. Resztki demona na ostrzu prezentowały się jak wyjątkowe trofeum.

- Siemka - zagrzmiął przyjaźnie. Uśmiechał się głupio.

Alexandra westchnęła przeciągle i podniosła się. *Nie mógł się pospieszyć i żwawiej mnie zabić?* - pomyślała. Wyszarpała swój rapier z zamieniającego się w popiół ciała.

- Dlaczego nie jesteś z głównym natarciem? - zapytała. Z jej kamiennej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Kapitan zainstalował oczyszczony topór na plecach.

- A bo widzisz... Pomyślałem, że możesz potrzebować wsparcia... - zaczął z wolna, nieudolnie udając zakłopotanego. - Poza tym mam coś dla ciebie - oznajmił i wyciągnął swoje wielkie łapy tuż przed nią. Trzymał w nich

pistolet i kuszę z karabinem. – Chyba coś zgubiłaś? – jego mina była obrzydliwie rozkoszna.

Wyrwała broń z jego rąk i pospiesznie przypinała do swojej zbroi.

– Nie potrzebowałam żadnej pomocy! – wrzasnęła i tupnęła nogą. – Ale... – zawahała się. – Mimo wszystko dziękuję, że się wtrąciłeś – dodała.

Wyszczерzył zęby.

– Do usług – wypalił i ukłonił się. – A swoją drogą ciekawe jak wygląda sytuacja? – zagaił.

Szpieg-mistrzyni zaczęła przeszukiwać wszystkie kanały komunikacyjne i odtwarzać nagrania z pól bitew.

– Zaraz się dowiemy – odparła.



Chmara runicznych srebrnych pocisków podziurawiła podobnego do ptaka, człekokształtnego demona, ciskającego gromy z tęczowego latającego dysku. Stwór runął w dół z niemal stu metrów. Lydia zrobiła obrót w powietrzu, unikając ciosu czarciego żołnierza. Cięcie jej kunsztownego miecza rozplątało gardło przeciwnika. Druga klinga przerznęła jego tors. Po jej lewej stronie grupa kilkunastu Mortusów z dwoma murusami została porwana przez ogniste tornado. Rozpętały je bluźniercze inkantacje wielkiego plugawca.

Ponad siedmiometrową masę mięsa pokrywały roje wściekłych węży. Nie mogła dostrzec głowy stwora. Widziała za to, jak trzymana w kościstym szponie wielka, zbudowana z pozszywanych zwłok laska znów gromadzi moc. Do kolejnej katastrofy jednak nie doszło, ponieważ wcześniej ugodzony snopem światła czart pękł niczym balon. Wybuch rozrzucił jego flaki na kilkaset metrów wokół.

Viviene zareagowała natychmiast. Niebieskooka dziewczyna patrzyła, jak Czarnoksiężniczka zsyłała na całą hordę szkarad ognisty deszcz i powoduje trzęsienie ziemi, które pochłonęło kilkadziesiąt jeźdźców na gadzich rumakach. Nie zauważyła, że kolejny maruder przedostał się przez szeregi Czarnoopancerzonych. Nie widziała, że magmowy miecz zaczął opadać na jej szyję, a na jego drodze staje ostrze, które dobrze знаła. Szybki blok i pozbawione wysiłku cięcie rozdzieliły ciało sługi Piekieł na dwoje.

- Skup się, moja droga - powiedział Inkwizytor, anihilując strzałem z *Carine* wielkiego jak samochód, wijącego się spaczonego robaka. - Jak ktoś nie będzie jej adorował przez pięć minut, to nie zbiednieje - powiedział i znów wystrzelił. Trafił następnego latającego i władającego magią demona, zamieniając go w kulę ognia. Mieczem wskazał słabiej obsadzony fragment ich linii frontu.

Sam gest wystarczył, by dwa oddziały Mortusów dopadły do umocnionej pozycji. Jeden z nich, trafiony wiązką wrogiej mocy, stracił głowę. Wyzwalacze neutronowe trzech murusów posłały w niebyt kolosa o czternastu głowach, który próbował się wbić we wschodnią flankę. One same zmieniły się w bryłki poskręcane metalu, gdy ich współrzędne dostały się we władanie wrogiego czarnoksięstwa.

Przelot Kolibrów zrosił demoniczne sfory deszczem bomb. Chwilę później Białowłosa wypuściła olbrzymią, wirującą sferę zimnego światła. Klosz unosił się lekko nad najwyższymi z diabłów, zamieniając ich w proch. Kula strzelała we wszystkie kierunki magicznymi pociskami i kryształowymi lancami. Każda zawsze dosięgała celu. Setki Nienarodzonych piszczały, gdy ich ciała eksplodowały w błyskach oczyszczającej aury. Odpowiedzią na to był rytuał przeprowadzony przez trzy, wielkie na kilka pięter, humanoidalne szczury. Dwie kreatury rozszarpały żywcem trzecią, by upoić się krwią i cierpieniem. Gardłowe chrząkanie i czarci chór, złożony z rzesz otaczających ich pomniejszych plugawców, uformował nad liniami sił Oficjum gigantyczną, zbudowaną z cienia kosę. Eteryzna broń pięć razy przeorała pole bitwy, rwąc na kilkadziesiąt metrów w dół i na boki ziemię, pochłaniając przy tym w kilka sekund pół tysiąca istnień i prawie cztery tuziny czołgów.

Witeldon uniósł do góry święty miecz i modląc się gorliwie do Stwórcy, sprowadził na demonicznym wieszczy światłość niebios. Chmury rozstały się i żar z Domu Pana ogarnął pozycje olbrzymich poczwaz. Jedna zdołała odskoczyć, lecz druga, wrzeszcząc szaleńczo, doszczętnie się stopiła.

- *Framea sanctus* - recytował. - *Aeternam gloriam Dei - Święta włócznie* - w jego dłoni pojawił się uformowany ze złotej aury oszczep. - *Wieczna chwala Bogu*. - Esencja zaczęła iskrzyć, jakby uwieziono w niej tysiące błyskawic. - *Misericordia in morte - Litość w śmierci*.

Wziął zamach i rzucił anielski dzi ryt przed siebie. Ugodzone w pierś monstrum zaczęło się cofać, przerażenie odebrało mu zmysły. Obiema rękami

błądziło przy palącej dziurze, która ziała w jego torsie. Na oczach wszystkich zamieniało się w pył, który zniknął, zabrany przez wiejący wiatr.

Członek Świętego Oficjum wprowadził *Catherine* w ruch. Sunąca po ziemi kolczasta meduza, wyższa w kłębie od dorosłego człowieka, zalała się krwią, upadła i konała w konwulsjach. Dobił ją i spojrzał przed siebie. Wylewająca się z portalu fala demonów wyraźnie osłabła. Nastąpiło przełamanie. Zbyt wiele przekaźników, którymi były największe bestie, zdechło w krótkim czasie i trudno było im utrzymać płynność w przysyłaniu oddziałów. Widział w tym szansę, by przydusić wroga i dostać się do bramy. Nim zdążył wydać rozkaz, otworzył się kanał komunikacyjny. Transmisja była nadawana na każdej częstotliwości.

- Mówi Mortus Izolda Felir, przejęłam dowodzenie nad grupą uderzeniową, walczącą na autostradzie TX-71 - trzaski zakłóceń, ryk broni osobistej i krzyki umierających mocno utrudniały zrozumienie przekazu. - Uluta Piukr jest krytycznie ranna i wyłączona z akcji, jej zastępca nie żyje. Plugawą mocą demony wzniosły mosty scalające autostrady... - potężny wybuch stłumił na moment wszelkie słowa. - ...spychają nas, ponosimy ciężkie straty wzdłuż całej drogi. Jeśli się przebiją, w mig zajdą od tyłu większość jednostek z centralnych grup uderzeniowych. Potrzebne wsparcie! - jej błagalny krzyk był ostatnim, co usłyszeli, zanim dudnienie karabinu świetlnego zajęło całe łącze. Chwilę później transmisja się zakończyła.

Inkwizytor patrzył, jak rakiety uwolnione przez dalekosiężną artylerię zwisły nad sznurami demonów. Zdetonowane nad ich głowami, szrapnelem i ogniem zniszczyły nasienie Szatana. Lewitując, Czarnoksiężniczka znalazła się obok niego. Błyskawica z jej kostura zgładziła wyrosniętego biesa, który masakrował kolejny czołg.

- Czego ci trzeba? - zapytała ponętnie, zupełnie jakby nie znajdowali się u wrót Piekła.

Spojrzał na nią, i choć zatrzęsa nimi potężna eksplozja, wciąż na nią patrzył.

- Przeniesiesz mnie na podane przez nią koordynaty. Czuję, że ona zacznie się za chwilę zamykać - wskazał na wyrwę. - Gdy to nastąpi, przyjdiesz do mnie i doślesz Lydię oraz Alexandrę.

Uśmiechnęła się i wyzywająco wyprężyła.

- Co tylko rozkażesz, Panie - sapnęła, nabierając powietrza pełną pierśią.

Czując, jak ogarnia go translokacja, mężczyzna zdążył jedynie głęboko i przeciągle westchnąć.

ROZDZIAŁ XXXI



POWIEDZIEĆ, ŻE CHCE SIĘ ZA KOGOŚ UMRZEĆ, TO DOKONAĆ CZYNU NIEZWYKLE PROSTEGO. POWIEDZIEĆ, ŻE BĘDZIE SIĘ Z KIMŚ ŻYŁO, TO DOKONAĆ CZYNU WYMAGAJĄCEGO ODWAGI, POŚWIĘCENIA, NIEZŁOMNOŚCI ORAZ UCZUCIA ZWANEGO MIŁOŚCIĄ, KTÓRYM PODPISZEMY UMOWĘ NA RESZTĘ NASZYCH DNI.

CZARNOKSIĘŻNICZKA ZARIA JUKOS, PRZYNALEŻĄCA DO KRĘGU ATLANTIS.

Pięć minut wcześniej.

Siły piekielne były bezlitosne. Demony napierały bezustannie i metr po metrze spychały ludzi, którzy za każdy krok w tył słono płacili własną krwią.

- Potrzebne wsparcie, powtarzam, potrzebne wsparcie! - Izolda stała kilkanaście metrów od barykady stworzonej ze zburzonego bloku mieszkalnego. Mortusi strzelali bez wytchnienia, lecz wrzaski diabłów słyszać było coraz wyraźniej.

Smuga szalejącej diabelskiej krwi ścięła kilku Czarnoopancerzonych. Żołnierz z miotaczem ognia próbował podpalić anomalię strumieniem płonącego paliwa. Posoka zrobiła unik i wbiła się w tors śmiałka, który zaczął się trząść w konwulsjach, a po chwili pękł niczym mydlana bańka. Jego wnętrzności zrosiły betonowe ruiny i ziemię.

Na szczycie gruzowiska pojawił się zgarbiony, ubrany w zielone szaty czart. Kozia głowa o sześciu oczach i siedmiu językach dygotała nerwowo. Jego długie, wychudzone ręce, zakończone trzema pazurami, ścisnęły kostur przypominający drewniany świder. Na jego szczycie biło ludzkie serce. Plugawiec uniósł mroczną różdżkę w górę i wystrzelił z niej szmaragdowymi pociskami. Sześć kolejnych Sług Bożych padło martwych z rozczłonkowanymi ciałami.

Pojedyncza rakiet przeleciała obok demona i uderzyła w kamienny filar na lewo od niego. Głowica wysadziła podstawę bloku, a betonowy gruz zaczął spadać na potwora. Koziogłowy szykował kolejne zaklęcie, lecz zaintrygowany sypiącymi się odłamkami spojrzął w bok. Oprócz przeraźliwego beczenia nie mógł już nic zrobić. Sekundę później kilkunastotonowa płyta zmiażdżyła jego spaczone cielsko.

Timothy ze swoją wyrzutnią rakiet chował się za stalowym rusztowaniem, wypatrując kolejnych celów.

- Potrzebne wsparcie - powtarzała maniakalnie kobieta. Guntar, jej kompan w boju, stał obok i wychylał się zza osłony.

Od kiedy uratowała go przed rebeliantką, próbującą pozbawić go głowy, nawiązała się pomiędzy nimi unikatowa relacja. W Sacrum zdarzało się, że po treningach i modlitwach rozmawiali ze sobą. Mężczyzna pokazał jej nawet, jak lepiej kalibrować uzbrojenie. Z kolei ona nauczyła go kilku sztuczek w walce wręcz.

Zerkała teraz, jak chłodził swój karabin świetlny. Nie nosił hełmu. Uśmiechnął się do niej i otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz nagle ogarnęła ich ciemność.

Izolda ocknęła się na twardej glebie. Powoli wracały do niej zmysły. Widziała resztki osłony, za którą się kryła, a z której teraz nic nie zostało. *Coś musiało wysadzić panel* - pomyślała. Opancerzona ręka chwyciła ją za ramię. Ujrzała, jak demoniczne byty pokonujące szczyt zapory. Jeden ze sług ciemności zatopił w niej swoje ślepie. Humanoid, zbudowany z wyschniętego mięsa, uniósł szpon, z którego błysnął ogień. Zasłoniła się rękami, choć wiedziała, że to daremne. Z jej gardła wydobył się krzyk. Nie z bólu, lecz strachu. Jej lęk nie dotyczył jej samej. Przed pociskiem osłoniły ją duże, szerokie i zakute w zbroję plecy Guntara. Przyjął wyładowanie na siebie. Mężczyzna upadł, ciśnięty kilka metrów od niej. Zamiast dłoni, które wyparowały, miał kikuty. Cała linia Mortusów ginęła na jej oczach.

Korzystając z serwomotorów pancerza poderwała się, podniosła karabin i wiązką laserową zwęgliła jednego z napastników. Kolejny strzał posłał w niebyt następną szkaradę. Oparła miotacz o swój bok, a wolną ręką sięgnęła po pistolet odłamkowy. Teraz mogła strzelać z obu. Od razu ścięła trzy szarżujące na nią demony. Kolejny, piekielnie szybki, chciał ją zaskoczyć z boku. Spowolniła go, rzucając miotaczem i pozbawiła życia, wystrzelivując chmurę szrapneli. Podniosła giwerę mężczyzny i chwyciła rannego Guntara

za bark. Strzelając ciągłym ogniem, na moment zatrzymała natarcie całej grupy.

- Wycofać się! - wrzeszczała, nie przestając przy tym naciskać spustu i holować towarzysza. Została ich już tylko garstka, a demonów przybywało. - Wycofać się, do cholery! - legion zajmował ich pozycje, zaciskając pętlę. - Odwrót! - zdierała sobie gardło, nie wiedząc, że nie włączyła komunikatora. Pośród bitewnego zgiełku ledwo ją było słychać.

Za sobą zauważyła mocne światło. Chciała się odwrócić, by zobaczyć swojego zabójcę, lecz nie zdążyła. Ktoś przeskoczył nad nią i natychmiast rozpoczął bieg w stronę szatańskiej hordy.

- Rozkaz anulowany, kod Primus - usłyszała na kanale łączności. Znała dobrze ten głos, szybkość i sposób poruszania.

- Mój Panie - wyszeptała patrząc, jak jeden człowiek staje w szranki z szaleństwem. To był Inkwizytor.

Uderzając barkiem w piekielnego żołnierza, roztrzaskał mu kości. Tamten runął na ziemię i już nie wstał. Inna szkarada z wielkim rogiem na zniekształconym łbie próbowała dosięgnąć go łapą. Miała na niej paszczę najeżoną ostrymi zębami. Członek Świętego Oficjum pojedynczym ciosem opancerzonej rękawicy strzaskał obrzydliwy czerep, a chwytając za gigantyczny kolec na głowie stwora, wyrwał go z razem z kręgosłupem. Ostry róg posłużył mu za prowizoryczną broń, którą wbił w pysk kolejnej szkarady. W lewej dłoni trzymał teraz *Carine*, a palce prawej złożył w tajemny gest. Wyciągnął ręce na boki niczym skrzydła i zakrzyknął.

- Ignis Sanctum! - co znaczyło Święty ogień.

Chcąc uniknąć frontalnej konfrontacji z Witeldonem, demony słono zapłaciły za tę zuchwałość. Eksplozja pożogi z pistoletu rozbiła natarcie z jednej strony, a strumień ognia objął swoim zasięgiem drugie stado.

Wprost na mężczyznę z dzikim rykiem biegł wielki niczym niedźwiedź bies o czterech nogach i trzech szponach. Głowa zawieszona na beczkowatym torsie wykonywała kompulsywne tiki.

- Orbis luminis - powiedział, a w jego dłoni zalśnił dysk ze światła.

Wykonał rzut, a świetlista obręcz, kręcąc się w nimbusie boskiej aury, trafiła diabelski koszmar, odcinając mu wszystkie odnóża. Po wykonaniu zadania, iluminacyjna korona wróciła w ręce Inkwizytora, a łeb bestii opadł na ziemię. Do mężczyzny podchodził teraz spaczony czarnoksiężnik. Wyłonił

się z niebytu, a jego ciało było skrzyżowaniem wilkołaka z lisem. Jego ślepią świeciły niczym ogniste węgle. Szedł z uniesionymi szponami, recytując przy tym czarcie zaklęcia.

- Zona silentium - mruknął człowiek, a dookoła niego rozkwitła fioletowa mgiełka.

Gdy piekielny szaman wszedł w nią, cała jego magiczna łuna przestała działać. *Strefa ciszy* blokowała magię na danym obszarze, pozbawiając również przeciwnika chęci do walki i wszelkiego gniewu.

Psi pomiot stanął przed Sługą Bożym. Spojrzał na własne łapy, nie wiedząc za bardzo, co się stało. Półprzytomny wlepił w mężczyznę czarne oczy. Czempion Stwórcy przyglądał mu się całą długą sekundę, a potem chwycił go za dolną szczękę, szarpnął nią w dół, pozbawiając skóry, mięsa i ścięgien cały jego przód aż do krocza. Zanim parodia życia zdążyła zawyc z bólu, Witeldon jednym ciosem przebił klatkę piersiową. Teraz trzymał w dłoni czarcie serce. Rozgniół je. Martwe ciało upadło w gruzy.

Kolejny strzał z *Carine* sprawił, że następne dwa demoniczne twory trafiły w niebyt. Przed sobą widział dalsze hordy wiecznie potępionych. Dziesiątki spaczonych bestii, różnej maści i kroju, przywołane z Piekła, szły w potępieńczej procesji, by nieść żal i zniszczenie. Zanim wypowiedział następne Słowa Mocy, strumień magicznych kryształów trafił szatańską formację. Długie na kilka metrów, przypominające zaostrome pale, zatopiły się w ciałach przeciwników. Po chwili wybuchły, rozrywając wrogów ludzkości na strzępy i rażąc odłamkami następne oddziały.

Obok niego pojawiła się Vivienne.

- Ładnie to się bawić tak samemu, co? - zachichotała i posłała w stronę wroga rój eterycznych pocisków.

Inkwizytor przez cały czas używał miotacza termicznego, siejąc spustoszenie w szeregach potępionych.

- Gdzie reszta? - zapytał, ignorując jej doskonały humor.

- Są jeszcze niedyspozycyjne. Może chciałbyś dowiedzieć się o czymś związanym ze mną? - zatrzepotała długimi i gęstymi rzęsami i wypuściła sferę, w której były zamknięte pioruny. Wielka bańka raziła wyładowaniami wszystko na swojej drodze.

Patrzył jak szeregi wroga się zagęszczają.

- Masz gotowe jakieś potężne zaklęcie?

Zaśmiała się. Jej palce zaczęły lśnić mocą.

- Kobieta musi być zawsze gotowa.

Witeldon kiwnął głową i rozpoczął bieg. Białowłosa była tuż obok, sunąc na tafli energii. Kilkanaście metrów przed niekończącym się potokiem spaczonych ciał, mężczyzna wyciągnął przed siebie rękę.

- Razem, Viviene! - krzyknął, a Słowo Mocy opuściło jego usta. - *Auferetur diabolus* - co znaczyło: *z dala demonie*.

Impuls białego jak śnieg światła opuścił jego dłonie i rósł, obejmując coraz większy obszar. Czarnoksiężniczka trzasnęła o ziemię podstawą kostura i machnęła lewą ręką. Potężna inkantacja zatrzęsała blokami mieszkalnymi, gdy po podłożu zaczęła się wic ściana duchowej esencji. Obie siły uderzyły w armię demonów, rozbijając na atomy jej początek. Wnikając w szeregi, pozbawiły życia wielu żołnierzy Piekiła, których ciała porzrzucała na boki, niczym szmaciane lalki.

Obracając laskę nad głową, mistrzyni magii zaczęła otwierać wielki portal, z którego wyłoniły się drużyny Mortusów, wspierane przez kilka murusów.

Człowiek z Wyobraźnią chwycił za miecz. Pochmurne niebo przebiła pojedyncza błyskawica. Uderzyła w ostrze, z którego posypały się iskry. *Catherine* zamigotała i zaczęła emanować świętą aurą. Był to znak od Stwórcy.

- Atakować - przerwał ciszę w kanałach łączności.

Ponownie śmiertelność starła się z wiecznością. Rzeczywistość, zakuta w okowy logiki, dusiła łańcuchami anormalne twory, łamiące prawa natury. Te szarpały swoimi szponami za jej piersi, by dostać się do serca.

Spopielony demon upadł. Czarnoopancerzona poległa, a jej głowę rozgniół czarci obcas. Pocisk wystrzelony z działa czołgu uśmiercił rosłego, zbudowanego ze ścięgien golema. Zaraz potem pojazd zniknął w kaskadzie odłamków, trafiony kulami ektoplazmy. Granatniki z głowicami strzelającymi kośćmi i prochami świętych poszatkowały wielu członków czarciego legionu. Jednak kiedy do walki włączył się plugawy Orator Zepsucia, od razu poległa cała pierwsza linia żołnierzy Bożych.

Stworzony z pozszywanych zwłok, przypominał wir zbezczeszczonych ciał. Mieściły się w nim całe ludzkie rodziny, na zawsze wtopione i zatracone w grzechu jego istnienia. Ogon potrząsał dziesiątkami szkieletów, które

wyrastały na jego chorym mięsie. Obrastały go dygoczące ręce i nogi. Jeżyły się jak u kota odstraszonego przeciwnika. Setki napęczniałych, zgniłych głów, szczękając zębami, wydzwaniały melodie wysysające życie.

Demon uniósł zbudowane z kręgosłupów szpony, na których wisały ruchome gałki oczne, służące do obserwacji otoczenia. Z jego zniekształconej, chorej mordy wydobyły się proszące dźwięki. Otrzymał plugawe błogosławieństwo i rozpuścił stalowe zbroje najbliższych Mortusów, odsłaniając ich szerniałe i przegniłe do kości ciała. Zbliżył się do czołgów, które nagle przestały strzelać. Ich załogi zamieniły się w bagnistą, bulgoczącą zupę, a maszyny w zezłomowane wraki.

Vivienne wycelowała palec w stronę chodzącej Arcyherezji. Potężny demon zapadł się w siebie, a z jego wnętrza wydostała się nieprzejrzana światłość. Tony splugawionej juchy zniknęły poprzedzone rykiem umierającego pogańskiego bożka. Całą aleję przykrył obraz magicznej mgły, w której można było dostrzec liczne świetliste punkty. Na ich oczach powstawała rozszerzająca się galaktyka. Grawitacja przestała działać, bloki zaczęły się rozpadać, a drogi zapadać. Miniaturowe gwiazdy zasysały materię i niematerię, zyskując na masie. Anomalia wydawała się być poza czyjąkolwiek kontrolą. Pożerała wszystko - ludzi i demony. Białowłosa opuściła palec. Wszystko zgasło natychmiast. Kto tego nie widział na własne oczy, nie zrozumie, co za kataklizm sprawił, że w alei zniknęły prawa fizyki.

Inkwizytor wściekle obracał mieczem, zabijając biesa za biesem. Spojrzał w stronę kobiety. Stała niepewnie na nogach. Ulepszonym wzrokiem od razu wychwycił, że się zachwiała i zaraz upadnie. Zaprzeczając prawom czasu, natychmiast znalazł się przy niej. Oparła się na jego ramieniu, a on przytrzymał ją w talii. Chowając *Catherine*, złożył dłoń w gest i wypowiedział kolejny fragment boskiego dekretu.

- Osculum Sol - co znaczy Pocałunek Słońca, gwiazdy, która jest królem nieba. Zaraz potem lance najprawdziwszych promieni słonecznych omiotły szatańskie bydło. Zwęglone demony padały niczym muchy.

Jednemu udało się posłać w stronę Witeldona mroczny pocisk. Odwrócił się, zasłaniając Vivienne własnym ciałem, i przyjął trafienie na plecy. Jego pancerz wytrzymał uderzenie bez większego trudu. Powietrze dookoła rozdzierały kanonady i okrzyki. Niektóre zagrzewały do boju, kolejne rzucały wyzwanie, a jeszcze inne były ostatnim świadectwem umierających. Inkwizytor przyjrzał się Białowłosej. Różowe oczy próbowały spojrzeć w jego.

Użycie czegoś takiego było nierozważne – zganił ją, używając telepatii.

Posłała mu lekki uśmiech i odpowiedź. *Desiderium było jedynym, co przyszło mi do głowy.*

Każdy mag mógł naginać rzeczywistość według własnego uznania. Tylko moc i wyobraźnia były miarą jego możliwości. Jednym z najpotężniejszych czarów, które mogli osiąść arcy mistrzowie magii, była zdolność wpływu na strukturę każdego z niemożliwych do zliczenia wymiarów. Używając całej energii, Vivienne wykreśliła bytność Plugawego Oratora z linii czasowej każdego wszechświata. Zmazała jego historię życia i wykasowała sygnaturę ze wszystkiego, co realne i nierealne. Prócz niej tylko Witeldon pamiętał jego istnienie. Czar na niego nie działał, gdyż był Inkwizytorem. Kobieta potrzebowała jednak czasu, żeby stanąć pewnie na nogach.

Na pozycje, które w zwycięskiej bitwie wywalczyli przedstawiciele Świętego Oficjum, docierały posiłki. Minęły ich zwarte kolumny czołgów i transporterów przewożących piechotę. Pozbawione wsparcia i przetrzebione demony były łatwym celem. Na tym odcinku frontu wróg przestał stawiać zacięty i zorganizowany opór.

Natarcie Mortusów posuwało się do przodu, zgniatając piekielnych żołnierzy gąsienicami ciężkich maszyn. Wojska pokonały już przeszło trzysta metrów, nie tracąc ludzi, gdy nagle niebo rozcięła karmazynowa błyskawica. Ziemia zatrzęsa się i zaczęła pękać. Nie zatrzymało to jednak armii przed marszem w głąb spaczonego terenu. Chwilę później betonowa aleja eksplodowała fontanną odłamków, tumanami kurzu i pyłu, które przesłoniły wszystko. Po kilku sekundach usłyszeli głębokie wycie, zwiastujące zagładę, a powstała chmurę przeszyło krwiste światło. Wiązka lasera jednym cięciem zdeintegrowała pierwszą linię ugrupowania. Przestało istnieć kilkanaście czołgów i pojazdów, wiozących łącznie setki żołnierzy. W morzu ognia swój żywot zakończyło prawie pół tysiąca ludzi.

Z szalejącej burzy powoli wyłoniła się gargantuiczna konstrukcja. Maszyna miała około stu pięćdziesięciu metrów wysokości. Stała na czterech pajęczych nogach, wykonanych z czarnego metalu. Podłużny kadłub zwężał się ku górze, a jego zakończenie przypominało szpikulec, ostry niczym płetwa grzbietowa rekina. Całą powierzchnię pokrywały wijące się żyły, pełne energii piekieł. Wielkie czerwone oko niczym wizjer lustrowało przestrzeń przed sobą. Po jego bokach aktywowały się ukryte wyrzutnie. Serie pocisków ektoplazmowych posłały w niebyt kolejne dywizje pancerne.

Siły Mortusów odpowiedziały ogniem. Kanonady z armat, promienie cząsteczkowe i emisje strumieni neutronowych wzniosły się w powietrze. Zawtórowały im rakiety, wystrzelone przez żołnierzy, które leciały równym tempem, niosąc skwierczące pociski plazmy.

Wszystkie wysiłki śmiertelników spełzyły na niczym. Magiczna tarcza, plugawa osłona ochraniająca szatańskiego lewiatana, była zbyt potężna. Metalowy goliat okrutnie skarcił bogobożnych za ich zuchwalstwo. Olbrzymim odnożem przeorał głęboko ziemię, bezlitośnie miażdżąc wszystko i wszystkich.

Czarnoksiężniczka postawiła migoczącą sferę, odcinając siebie i Inkwizytora przed deszczem odłamków. Zadrżała i westchnęła strapiona. Mocniej oparła się o mężczyznę.

- Patrz! - krzyknęła, wskazując dłonią na diabelskiego giganta.

Pokrywające go płyty rozwarły się i odsłoniły wnętrze. Widzieli dżunglę organicznych przewodów, którymi były żyły i tętnice wyrwane z ciał żyjących jeszcze ludzi. Wszystkie zostały zsyntezowane z demoniczną technologią spaczonych Inżynierów. Tysiące zespolonych ze sobą kor mózgowych, zintegrowanych z uwięzionymi w nich czartami i maszynami różniczkowymi, przeliczały wszystkie wartości, których potrzebował złowrogi Extremus. Tak nazywane były najpotężniejsze jednostki zmechanizowane w armiach ludzkości i Piekła. Określenie oznaczające w Mowie Bogów *Skrajny*, *Ostateczny*, *Ekstremalny* jasno tłumaczyło naturę tych tworów. Gigantyczne, często równe budynkom mechy o tysiącu i jednej formie, kroczyły przez Ziemię, niosąc śmierć. Uzbrojone w działa, które mogły równać całe miasta, były w budowie przedsięwzięciem tak wielkim, że Korpus Inżynierów i Piekielni Kowale nie mogli ich sami wznosić. Roboty należące do ludzi były inwestycjami, które opłacał Kościół, Szlachta i Inkwizycja. Przypominały chodzące katedry, szlachetnych rycerzy albo pradawnych świętych.

Te wytwarzane przez Inżynierów cechował pragmatyzm, użyteczność i minimalizm. Spaczeni Geniusze wraz z rzemieślnikami demonów powoływali do życia gargantuiczne groteski. Istne góry będące fuzją mięsa, skały i metalu. Każdy taki horror był wypaczeniem wszelkich cnót i świętości. Właśnie teraz walczący stawali naprzeciwko jednej z takich bestii i jej pana.

Piekielny Wynalazca wisiał w środku na hakach i kablach, które wrzynały się w jego wątłe ciało. Szara, chora tkanka pełna była metalicznych wstawek i portów, pozwalających łączyć się z nowymi urządzeniami. Głowa, okuta w stalową siatkę, zamiast oczu miała wizjer. Jego usta zastąpił sącze z długą rurą przymocowaną do brzucha. Potrójnie potępiony sawant zawył, a drżącą dłonią wskazał stojącego pośród zgliszcz Witeldona. Palcem nakreślił na gardle prostą linię. W ten sposób zakomunikował, co czeka Sługi Boże. Ekran pancerza zamknęły się, a maszyna skierowała się wprost na Człowieka z Wyobraźnią. Krwawy szła w soczewce rósł.

Witeldon odpiął kaburę i wyjął broń. Zacisnął palce na rewolwerze, odmawiając cichą modlitwę. Widział, jak żołnierze rozpaczliwie szukają osłony. Słyszał ryk golema, który burzył budynki. Uniósł relikwię i wymierzył w miejsce, gdzie krył się heretyk. Osłabiona Vivienne nie miała sił, by dłużej utrzymać ochronną barierę. Pyłowa zawierucha rozgorzała wokół na nowo. Niewzruszony, nacisnął na spust.

- Ave Creator - rzekł, a święta kula opuściła lufę.

Pocisk, którego skonstruowanie pochłonęło życie całego pokolenia głuchoniemych mistrzów kowalstwa, wystrzelił z Bożym przyzwoleniem, by przynieść sąd ostateczny. Lecąc w komecie światła, grmiąc hymn niebios, przebił się przez ściany goliata. Przez sekundę nie działo się nic, lecz po niej maszyna zatrzęsała się, a wszystkie źródła światła zaczęły w niej migać. Gargant przechylił się niczym wałaca się wieża, a potem runął do przodu. Padając, opasłe i metalowe cielsko burzyło kolejne kamienice.

Kilkadziesiąt metrów dalej stojący na środku ulicy Witeldon i Vivienne przyglądali się upadkowi. Widzieli, jak pokrywające kadłub spaczone żyły zapulsowały ostatni raz i zgasły na zawsze, a czołowe płyty rozsunęły się, odsłaniając ciało chorego Geniusza.

Arcyheretyk, wciąż połączony z maszyną, był teraz uboższy o głowę, która pękła, przebita pociskiem wystrzelonym z *Victoire*. Potężne tarcze, metry zaklętego metalu i skażone zepsuciem tkanki nie były wyzwaniem dla wyjątkowej broni Witeldona.

- Gdy widzę, co czasami wyczyniasz, to nabieram ochoty, by natychmiast zedrzeć z ciebie tę zbroję - mruknęła Białowłosa i posłała mu zmęczony uśmiech.

Wspierając się na kosturze, powoli wracała do pełni sił.

- Oby Amon na swoich usługach miał tylko jednego z tego rodzaju - westchnął, nie zważając na jej słowa.

Nadzieja, która ostatecznie zawsze wiedzie do rozczarowania, kolejny raz w tej wojnie wzięła we władanie ludzkie losy. Gdy mężczyzna skończył mówić, w ziemię przed nimi uderzyła seria kolejnych karmazynowych błyskawic, które wzbily w niebo huragany odłamków i kurzu.

Symultaniczne wycie, dochodzące z wielu różnych miejsc, przebijało bębenki w uszach. Z kataklizmu wynurzyły się nowe konstrukcje, wytworzone w piekielnych fabrykach i kuźniach. Każda inna. Wszystkie przypominały parodię ludzkiej inżynierii. Konstruktorami sterowali ich twórcy, a paliwem były demony. Trzy najpotężniejsze zmierzały w stronę ludzi.

Resztki oddziałów Mortusów i czołgi zajmowały pozycje w gąszczu ruin. Modlili się i próbowali znaleźć osłonę i schronienie. W powietrzu unosiło się uczucie desperacji. *Drugi raz to już nie przejdzie* - pomyślał Inkwizytor, chowając *Victoire* do kabury.

- Coś się zbliża - towarzysząca mu kobieta przeczesła dłonią włosy.

Podziwiał jej zachowanie i postawę w ostatnich chwilach życia. Wobec nieuchronnej zagłady pozwolił sobie na ironiczny komentarz.

- No co ty nie powiesz? - wypalił. - Co ja bym bez ciebie zrobił? Byłbym ślepy i głuchy.

Viviene zaśmiała się, a jej kostur ponownie zaśnił mocą.

- To, o czym mówiłam, jest po naszej stronie - odparła uwodzicielsko. - A pojawiają się... teraz.

Kiedy zamilkła, świat wokół utonął w połodze i świetle. Niewyobrażalny blask, który pojawił się za ich plecami, obmył całą okolicę z mroku. Wyszły z niego ruchome pomniki, zbudowane ze stali, złota i srebra. Przybrały formę barczystych Aniołów bądź garbatych konstruktów, a wzrostem dorównywały gargantom Piekła. Ozdobione milionami woskowych pieczęci, pergaminów zawierających modlitwy do Stwórcy, fragmentami świętych pism, błogosławiły ich czyny. Emanująca uwięzioną energią broń i artyleria świadczyły o ogromnych możliwościach. Wszystkie mogły przesuwac góry.

Najroślejszy z Extremusów, najpotężniejszych tworów Korpusów Inżynieryjnych, wyglądał jak dwa kościoły umieszczone na potężnej platformie, do której doczepiono wielkie nogi i ręce. Głowa maszyny, odwzorowana na kształt krzyża, wpatrywała się w czerwone ślepia rywala.

Wielki jak kamienica ocean plazmy, wystrzelony z miotacza, przeleciał nad głowami ludzi, paląc dachy bloków mieszkalnych, które napotkał na swojej drodze. Potop zjonizowanego gazu, zamkniętego w wyjątkowo mocnym polu siłowym, rozbił się o tarcze wrogiego giganta, niczym fala uderzająca w skały. Osłony energetyczne błyskały z prędkością setek mignięć na minutę, lasując przy tym mózgi zwykłym ludziom. Bariera poddała się i tsunami pożogi uderzyło w potwora przypominającego górę. Na moment zniknął, by wyłonić się jako blok topiącego się metalu. Mimo katastrofalnych zniszczeń, wypalił ze swoich trzech armat kilkutonowymi pociskami, które rozbiły się o pole, wytwarzane przez generatory dzieła Inżynierów, nie robiąc mu krzywdy.

Przeszedł nad ludźmi, którzy patrzyli na niego z podziwem. Ze swojej drugiej ręki, przerobionej na wielką kolubrynę, uwolnił snop pomarańczowego lasera. Lanca o mocy kilkunastu bomb atomowych przeszła wytwór spaczonych Inżynierów i rzemieślników Piekła. Lewiatan otchłani wybuchł, zamieniając się na moment w gwiazdę.

Dwa mniejsze mechy przeniosły się na lewą flankę i zajęły się olbrzymim cybernetycznym skorpionem. Przypominające wychudzonych, przygarbionych rycerzy o nieproporcjonalnie szerokich barkach, dzierżyły po jednej broni dystansowej i białej. Pancerny duet sprawnie przemierzał ruiny, niczym łowcy osaczający zwierzynę. Ich nogi z kolanami zginającymi się do tyłu pozwalały szybciej pokonywać zdradliwy teren. Maszyny doskonale ze sobą współpracowały. Gdy jedna oddawała strzały z automatycznego działa wielkokalibrowego i kryła się przed pociskami demonicznego pajęczaka, druga posuwała się do przodu i strzelała w bestię Ciężką Haubicą Burzową, największą z broni błyskawicowych. Wymieniając się rolami, metaliczni wojownicy stanęli naprzeciw znacznie górującego nad nimi drapieżnika Wymiaru Grzechu.

Wystrzelony piorun uderzył w bydlę, które zaryczało i splunęło ogniem. Spaczony potwór zamachnął się szponem, lecz jego przeciwnik wykonał unik. Lancę wymierzył w czerep plugawca, lecz grot, mimo że pobłogosławiony przez tuzin kapłanów Kościoła, ześlizgnął się z twardego pancerza. Przeciął płyty, werżnął się w bok, nie trafiając w żaden czuły punkt. Pozostawił jedynie kopnącą szramę w poszyciu pajęczaka. Skorpion cofnął się, zaparł i ugodził przeciwnika telsonem z niebotycznym kolcem.

Trafił, a mech eksplodował. Jednak jego poświęcenie nie poszło na marne. Zemsta była już w drodze.

Drugi konstrukt szarżował wprost na giganta, nie przerywając przy tym ostrzału. Pocisk za pociskiem obijał łeb abominacji i jego tors, lecz wszystkie te próby nie wyrządzały szkody. Zbroja, którą miał na sobie, była zbyt gruba. W odpowiedzi na atak metalowa bestia ponownie użyła ogona, tym razem pudłując. Kierujący maszyną runął w przód, ratując się przed zagładą. Dwa strzały oddane w wizjery zmory oślepiły ją, a to pozwoliło wymierzyć precyzyjny cios.

Wiertło, wykonane z potrójnie święconej, wielowarstwowej stali sięgnęło pajęczej głowy. Świder z przejmującym piskiem wgryzł się w oczodół i wkręcał się w głąb technologicznego koszmaru. Ogłuszony przez ból i rany, Gargant uniósł wysoko swoje szpony, chcąc zmiążyć natręta. Nim spadły na niego gromy, osamotniony wojownik zdołał przebić łeb potwora na wylot. Sekundę później na męczennika runęły kilkudziesięciotonowe szczypce. Obaj walczący zniknęli w kulach ognia.

W tym czasie rozgrywało się trzecie starcie lewiatanów. Spaczony mech, przypominający pogańskiego bożka ze spalonych przez Inkwizycję ruin w Alexandrii, ostrzelał przeciwnika ektoplazmowymi kulami. Kanonada rozbiła się o tarcze energetyczne smukłego Extremusa, który wspierany przez pancerne dywizje Oficjum, odpowiedział ze swoich projektorów grawitronowych symultanicznym ogniem. Pierwszy pocisk grawitacyjny i cała nawałnica artyleryjska rozbiły się na osłonie metalowego biesa z ptasim łbem. Drugi wniknął w tors maszyny i w agonialnych rykach łamanego metalu zgniótł go niczym puszkę. Zwycięstwo było jednak krótkie, a chwała w tym przypadku wiodła do grzesznej pychy. Eksperymentalna broń, której użył jednooki, ponury Extremus ludzkości, zbuntowała się przeciwko jego woli. Wszystko w promieniu kilkuset metrów zostało sprasowane i skompresowane grawitacją tysiąc razy większą niż ziemską.

Z teleportacyjnego wiru wyłoniły się następne monumentalne konstrukty, gotowe do wsparcia bogobojnych. Tym razem nie było na nich religijnych akcentów. Kadłuby, kończyny i wszelkie dodatki nowo przybyłych wykonano z węglowych i złotych kompozytów. Pięć robotów o łbach w kształcie baniek, z anorektycznymi torsami i kończynami, niczym psy łowcze spuszczone ze smyczy, rozpierzchno się po ruinach miasta. Każdy uzbrojony w futurystyczny karabin. Niebawem dołączyły do nich jeszcze trzy giganty.

Dysponując różnymi rodzajami uzbrojenia, różniły się wyglądem. Jeden obły, z długim torsem osadzonym na potężnych nogach. Drugi kanciasty, wyglądem przypominał antyczną zbroję z minionej ery. Trzeci był najdziwniejszy. Przybrał formę ludzkiej czaszki bez szczęki. Unosił się nad ziemią, a jego palące spojrzenie miało zabójcze lasery.

Wraz ze zniknięciem anomalii, na pole bitwy dotarł ostatni Extremus. Olbrzym, dorównujący wzrostem największemu z dzieł ufundowanych przez Kościół, budził grozę swoją potęgą. Poruszał się na dwóch poczwornie stabilizowanych kończynach i miał beczułkowaty tors z głęboko osadzoną w nim głową, przypominającą hełm krzyżowca. Całą konstrukcję okrywały opasłe i grube płyty pancerza. W miejscach, gdzie powinny być ręce, znajdowały się baterie artyleryjskie. Każda z trzema gigantycznymi wyzwalaczami termicznymi. Łącznie dawało to sześć dział, stanowiących jedną z najpotężniejszych broni w arsenale ludzkości. Do tego emitery radowe wydzielające promieniowanie, które zwęglalo tkanki i niszczyło elektronikę. Całości dopełniała zamontowana na plecach wyrzutnia rakiet typu Orion, mieszcząca czterysta osiemdziesiąt przewodnic. Wszystko czyniło z konstruktu istnego boga wojny.

Tysiące istot przypominających kupidyny odczepiło się z jego poszycia. Cybernetyzowane aniołki o twarzach dzieci latały dookoła maszyn, dokonując niezbędnych napraw i raz za razem przyjmowały na siebie lżejszy ostrzał. Taki los czekał każde niezakontraktowane dziecko, które rodziło się u niewolników Inżynierów. Zabrane od rodziców, poddawane było modyfikacjom ciała i ubezwłasnowolnieniu mózgu. Potem mogło doskonale służyć swoim panom jako dodatkowa, specjalistyczna siła robocza.

Z największego Extremusa odczepiła się mała, antygravitacyjna platforma, która leciała teraz w orszaku biotechnologicznych aniołków. Pełna najróżniejszych aparatur pomiarowych i sprzętów łącznościowych, osiadła na ziemi. Stał na niej Srebrny Człowiek.

- Inkwizytorze Witeldonie, Korpusy odpowiedziały na wezwanie - powiedział Ikarius Romos. - Inżynier Khul Jukas dokonał obliczeń, według których szanse na powstrzymanie inwazji wzrosną o całe siedemnaście procent, gdy użyte zostaną uaktywnione przez niego jednostki - obok mówiącego pojawił się hologram technologa z balu u Gubernatora.

Pancerną skorupę, kiedyś ludzką istotę, wpięto w coś na kształt elektronicznego gniazda. Jej powłoka pokaleczona była płataniną przewodów

i złączek.

- Inkwizytor Witeldon - oznajmił swoim sztucznym, dudniącym głosem. - Incydent w lokacji należącej prawnie do człowieka Amadeusa Graviusa był powodem wystosowania przeze mnie nowego wzorca działań - potężna maszyna przechodziła nad ludźmi. Głośne buczenie oznaczało ładowanie jej głównych broni. - Osobiście prowadzę Pugnus Metallum, a pięcioro zwiadowców kategorii Lux, grupy Filii Terrae, model Obserwator, o zakodowanych desygnacjach Aurum, Argenti, Aes, Ferrum, Plumbum namierzają kolejne konstrukcje Piekła i rozpoczynają ataki nękające.

Wynalazca zamilkł, gdy kontrolowany przez niego mech uwalniał z siebie setki rakiet. Po oddanej salwie wznowił monolog.

- Trzy Extremusy kategorii Mediocris, którymi są Nigrum Vindictae, Invicta, Lucidum Cranium, będą osłaniać Manu Dei i naprowadzać jego i moje uzbrojenie na nowe cele - zawahał się. - Sensory odszyfrowały i przekazały sygnatury piętnastu wrogich maszyn z kategorii Extremus - hologram patrzył wprost na Inkwizytora. - Mają przewagę w sile ognia, tarczach i liczebności. Korpus za to ma lepsze pozycje. Przeliczenie wyniku starcia... Szanse na zwycięstwo trzydzieści jeden procent. Wymagane zgładzenie głównego demona. Na chwałę Stwórcy i technologii, którą złożył On na nasze ręce - powiedział i zakończył połączenie.

Podczas gdy stalowe kolosy walczyły, Ikarius miał do przekazania następne informacje.

- Wykrywam przed nami zaburzenia międzywymiarowe - oznajmił, pobierając dane z aparatury, którą miał obok.

- Kolejne garganty? - zapytał Witeldon. Każda maszyna takich rozmiarów była następnym gwoździem do ich trumny.

Srebrny Człowiek zaprzeczył.

- Standardowe legiony - doprecyzował. - Nie mam kontaktu z bateriami artylerii 12, 13, 76, 45 i 92 - wyświetlił mapę. - Demony będą próbowały wspinać się na jednostki najcięższego wsparcia, by dostać się do wnętrza i wybić załogi - liczne świetliste punkty kreśliły się na projekcji. - Sama piechota ich nie zatrzyma i przedrą się do podległych nam Extremusów. Starszy Inżynier Khul poświęcił się dowodzeniu nimi, Inżynier Keor Xan, na którego nałożyłeś status Peccator, za moim rozkazem próbuje odbić te pozycje, lecz obliczenia nie dają na to większych szans. On musi dostać

wsparcie – pokazał następne wykresy ułożone z magicznego pyłu. – Duet Fortis Frater i Acris Soror wraz z Confessoris, dysponującym niezwykle rzadkim uzbrojeniem, zostali zniszczeni podczas zabezpieczania naszego przybycia. Korpus nie może pozwolić sobie na dalsze straty w takim tempie – Ikarius patrzył na Brodacza. – Jakie są twoje rozkazy, Panie?

– Jednostka Ikarius Romos, wykluczona z Korpusu i Żelaznego Komitetu, wykazała się stuprocentową poprawnością przekazu – potwierdził przez systemy łączności Khul.

W świetlistych łunach wokół Człowieka z Wyobraźnią nagle znaleźli jego przybocznici. Uśmiechnięta Lydia zajęła miejsce tuż obok. Natomiast Alexandra zrobiła znak przywitania Bożego i przyczajona, zajęła pozycję obok. Nie lubiła otwartych terenów.

Witeldon otworzył usta, lecz Vivienne stęknęła głośno, masując skroń.

– Co się dzieje? – zapytał.

Białowłosa potrzebowała chwili na odpowiedź. Jej stan nie uszedł uwadze Szpieg-mistrzyni. Bacznie ją obserwowała, trzymając w pogotowiu kuszę *Sanctificate*.

– Demony zaatakowały Wieżę Magów – oznajmiła.

– Wdarły się do środka? – Członek Świętego Oficjum zażądał informacji. Nienadzorowana przez kontyngent Inkwizycji wojna pomiędzy Uzdolnionymi a diabłami byłaby katastrofą.

Pokręciła głową.

– Czarnoksiężnicy zamknęli się w budynku i odcięli całkowicie od świata zewnętrznego – spojrzała na niego, a lekki strach gościł w jej różowych oczach. – Muszę wiedzieć, co się tam dzieje. Te plugastwa nie mogą mieć żadnego dostępu do niczego, co tam jest.

Mężczyzna kiwnął głową i odprawił ją gestem. Piękna zniknęła w błysku światła. Tymczasem on miał już plan.

– Ja, Lydia i Alexandra będziemy powstrzymywać napływ demonów – spojrzał na Uczennicę. Dostrzegł w niej wielką determinację. Zdawała sobie sprawę, jak wiele od nich zależy. Starsza kobieta skinieniem głowy oznajmiła gotowość. – Ty wspomagaj działanie Extremusów, lecz bądź w pobliżu, gdyż możesz być mi potrzebny – wskazał ręką na Inżyniera. Ten skłonił się nisko i poderwał platformę, na której stał. Kierował się do Pugnus Metallum.

– Mistrzu...? – usłyszał znajomy głos.

- Tak, moja droga? - westchnął.

Dziewczyna patrzyła na stalowe kolosy, które będą musieli dogonić i stanąć przed nimi. Mają być murem dla wszelkich spaczonych tworów.

- Kto zajmie się tą artylerią, która nie działa? - jej ton był infantylny.

Dłonią wydał im rozkaz. Ruszyli biegiem tam, gdzie czekali wrogowie i walka z nimi.

- Ursus - powiedział i włączył komunikator. - Nowe rozkazy...

Podczas gdy ludzie dwoili się i troili, by zatrzymać piekielną inwazję i dostać się do jej źródła, Architekt tej pandemii zniszczenia i żalości zaczynał nowy etap swojego planu.



Hektolitry posoki gotowały się w głębokim i szerokim na setki metrów zapadlisku, z którego wyrastało spaczone królestwo Najokrutniejszego. Krew wrzała, a parując, unosiła się w górę. Brudne karmazynowe chmury zraszały ruiny miasta i ziemię męczeńskim winem.

Amon stał na szczycie swojej fortecy, wyglądającej jak z koszmaru. Plugawy pałac przez cały czas się rozrastał. Nowe skrzydła, wieże, dodatkowe kondygnacje, baszty budziły zachwyt każdego sługi Szatana. Okryte wiecznym cieniem ołtarze i ramy portali skrzyły się złowieszczymi energiami. Nieprzeliczone rzesze szpikulców, wykonanych z obsydianu, który mroczną magią wydostał się na powierzchnię, dawały świadectwo daremności oporu.

Na ostre pale nabito dziesiątki tysięcy ludzi, a całkowicie zniszczone tereny ciągnęły się kilometrami. Jednak cierpienie na tym się nie kończyło. Ono ledwie się zaczynało. Nikt nie mógł uciec z płaczem w objęcia śmierci. Wszyscy spędzali czas w agonii, a ich życiodajne płyny, emocje i ból pobierały kamienne szpikulce. Esencja ich przerażenia i męczeństwa spływała w głąb gleby, użyźniając ją na potrzeby Markiza. Grunt pękał i odsłaniał mięsną miazgę. Pod skórą planety, na której wciąż jeszcze istniała ludzkość, Arcydemon pogrzebał mieszkańców całych dzielnic. Ludzie byli żywcem zapiekani pod warstwą ziemi i gruzów, które kiedyś nazywali domem. Podlewani krwią bliźnich i przyprawiani gehenną rośli i, byli soczyści niczym pyszne ciasto. Nastąpiła godzina ostatniej wieczerzy tego dnia.

- Podano do stołu - wyszeptał Arcyczart.

Na dźwięk tych słów z bordowej kipieli wynurzyły się międzywymiarowe obrzydliwości. Pokraki, złożone z ludzkich kości, były personifikacją groteski. Nowo narodzone, raczkujące demony, różniące się wyglądem i wielkością, pełzły do swojego pierwszego w życiu posiłku. Wpierw zaczęły żerować na ludziach, nabitych na kamienne pale. Nie zabijały ich szybko, przegryzając tętnice. Młode czarty obgryzały wolno kończyny nieszczęśników. Wysysały szpik kostny z rąk i nóg, wciąż jeszcze przytwierdzonych do ciała. Wydłubywały oczy i żuły je, delektując się orzeźwiającym płynem.

Umierający patrzyli na koszmary rozłupujące czaszki i pałaszujące mózgi, otwierające ludzkie torsy i zjadające jelita, które zasysały jak długi makaron. Ich wrzaski były niemożliwym do wyrażenia horrorem, który gasił wciąż bijące serca. Terror i koniec świadomości ustawały wraz z przebiegiem uczty. Zamilkły całkowicie, gdy gardło ostatniego ze śpiewaków zostało przegryzione, głowa wyrwana, a kręgosłup ogryziony z kręgów niczym szaszłyk.

Demony zmieniły swój wygląd. Pożerając ludzi, ich kościste ciała obrosły w mięśnie i ludzką skórę. Czarty zanurkowały w przysmaki, które czekały na nie w ciepłe, tuż pod ziemią i betonem. Zanurzone w oszalałej potrawce, pasły się niczym bydło na polanie. Przybierały na masie i sile. Wzbogacały swoje skorupy o nowe fragmenty. Ich głód był niepokonywany, niezaspokojony, nienasycony...

Markiz patrzył, jak jego spuszczone ze smyczy dzieci, skończywszy posiłek, ruszyły w głąb miasta. Setki tysięcy opętanych furją zabijania na pewno spowolnią wojska Oficjum. Jego siedemnaście legionów odniosło ciężkie straty, pięć zostało doszczętnie zniszczonych. To jednak nie było ważne. Każda minuta przybliżała go do ukończenia rytuału.

Złożył swój szpon w czarci gest. Olbrzymi kryształ stworzony z krwi rozbłysnął szatańskim ogniem. Czuł moc emanującą z przekaźnika. Jego wszechświadomość była w milionach miejsc jednocześnie. Patrzył na plagę mutacji, trawiącą ludność Spero. Inkantacje, które składali jego demoniczni kapłani, specjalnie dobrani i przyzwani na jego rozkaz, zaczęły czynić nowe spustoszenie. Mroczne modły za jego plecami sprawiały, że każda dusza w zasięgu emitera była skażona. Jego wpływy rosły z każdą chwilą. Sceny, które widział, napawały go wybournym humorem.

Zamieniony w wielką glistę mężczyzna właśnie kończył pożerać swoją kobietę. Matka, u której aktywował się talent magiczny, wrzasnęła z bólu, a głowy czwórki jej dzieci eksplodowały. Klęczała teraz, trzymając ich martwe resztki. Jej łkanie rysowało ściany. Dostrzegł starca, którego skóra pokrywała się piórami, a w miejscu twarzy wyrastał mu dziób. Coraz niewyraźniej recytując modlitwę błagalną do Stwórcy, oblewał się naftą. Kiedy skończył, podpalił się, umierając w płomieniach. *Determinacja godna pochwały* – pomyślał Arcydemon.

Wracając umysłem do ciała, wykonał zamach halabardą. Rozpruł rzeczywistość, a z powiększającej się wyrwy wyleciał i wylądował obok niego gigantyczny smok. Długi na co najmniej dziesięć metrów, masywnej budowy i wysoki w kłębie. Jego łuski przypominały skryształizowany mrok. Ostry, kolczasty grzbiet, którego kościste narośla schodziły w dół, aż do ogona, zakończonego szerokim i mocnym szpikulcem, był niczym brzytwa. Wielkie czarne skrzydła miał przyozdobione lekkimi złotymi akcentami. Głowa gada była smukła i pociągła. Na wąskiej paszczy świeciły dwa ogniste ślepia. Osiem rogów o różnych wymiarach, z dwoma największymi na szczycie łba, dodawały drapieżnikowi szlacheckiego, dumnego i dominującego wyglądu.

- Wzywałś mnie, Amonie – oznajmił głębokim i przeszywającym niczym harpun głosem, zdolnym wydrzeć duszę. Mówił, nie poruszając paszczą.

Markiz potwierdził skinieniem.

- Jest to prawdą, Níðhögr – wskazał *Infinito Dolore*, rysujące się na horyzoncie Inżynieryjne Extremusy. - Jest jeden człowiek, którego masz opóźnić.

Starożytny smok sprawdzał go impulsem. Jeden z Panów Piekła wyczuwał u gada wielkie zdziwienie.

- Jam jest pożeraczem ładu i praw wszystkich wymiarów, łowcą, który poluje, by zabić. Niby dlaczego mam się z nim bawić?

Najokrutniejszy zaśmiał się paskudnie.

- Uwierz mi, że będziesz się z nim bawił tylko i wyłącznie wtedy, gdy on ci na to pozwoli – znów zaniósł się śmiechem.

Istota przyglądała mu się uważnie.

- A więc mowa o tym, który przeszedł wtajemniczenie połączone ze zdobyciem mocy – przechylił swój łeb w kierunku, który wcześniej

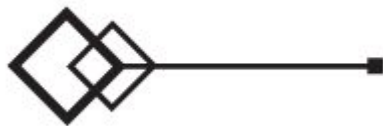
wskazywał Arcyczart. - Niech i tak będzie, lecz musisz wiedzieć, że w tym starciu zwycięska i zapamiętana będzie tylko jedna strona - rzekł, nie precyzując, o czym i o kim dokładnie mówi.

Pradawna istota wzbiła się wysoko w oleiste chmury i zmieniła w lecący cień. Zaczęło się polowanie.

Amon przez chwilę patrzył na lecącego gada, następnie odwrócił się i podszedł do gigantycznego kryształu powstałego z krwi. Wypuścił halabardę, która lewitowała obok niego. Wzniósł masywne ręce w górę, a plugawa siła znów zaczęła rosnać. Demoniczni kapłani ukorzyli się w geście czci. Markiz wiódł teraz prym w tym rytuale.

Wiele zostało do zrobienia, a honorowy gość nadchodził.

ROZDZIAŁ XXXII



CZY NIE JEST SMUTNE TO, ŻE W DOBIE LOTÓW MIĘDZY WYMIARAMI I TELEPORTACJI NAJTRUDNIEJ NAM POKONAĆ PRZESTRZEŃ MIĘDZYLUDZKĄ? KTOŚ KIEDYŚ POWIEDZIAŁ, ŻE WSZYSTKIE PRZYKRE SŁOWA, KTÓRE USŁYSZELIŚMY, DESZCZOWE DNI, JAKIE NAM SIĘ PRZYTRAFIŁY I NISZCZYCIELSCY LUDZIE, NA KTÓRYCH NATRAFILIŚMY, SĄ LEKCJAMI. ZAISTE PRAWDĘ MÓWIŁ TEN ZAPOMNIANY PRZEZ HISTORIĘ CZŁOWIEK. KAŻDE ZŁO, KTÓRE NAM WYRZĄDZONO, JEST SZANSĄ NA ZDOBYCIE DOŚWIADCZENIA I WIEDZY, JAK UKARAĆ NASZYCH DRĘCZYCIELI PO TYSIĄCKROĆ I BARDZIEJ.

TYM WŁAŚNIE, DROGI CZYTELNIKU, SIĘ ZAJMIEMY. POZWÓL MI POMÓC SOBIE, SPRAWIĆ, BY KRWIĄ I ŁZAMI, KTÓRE TOCZYSZ ZE SWOICH RAN, DŁAWILI SIĘ WROGOWIE TWOI...

WSTĘP SPISANY Z KSIĘGI PODRĘCZNIK ZAWIŚCI AUTORSTWA CHANNI SHAIDE.

Okute stalowo-wolframowymi płytami buty mlaskały, brodząc w kałużach krwi i fragmentach zmasakrowanego i rozwleczonego mięsa. Breja wymieszanych, ludzkich i demonicznych tkanek drapała w gardło słono-metalicznym zapachem.

- Dużo ich było - mruknął na kanale łączności Kapitan. Mortusi potwierdzili zgodnymi pomrukami.

Idąc na szpicy, prowadził formację trzydziestu ludzi. Każdy był uzbrojony i przygotowany na większość nieprzyjemnych ewentualności, które mogły ich spotkać.

- Martwi Armatusi - zauważył Agent Helt. Jego wzmacniany pancerz miał zniszczony naramiennik i przecięty napierśnik. Czarnoskóry mężczyzna mocno ścisnął automatyczną strzelbę z podwieszonym karabinkiem.

Wojownicze sługi Inżynierów leżały na ziemi. Zimne, z rozłupanymi cybernetycznymi skorupami. Wszystkie organiczne pierwiastki, które zostały się mimo wymiany na sztuczne części i protezy, zostały wyjedzone do czysta.

Gdy Czarnoopancerzeni minęli kolejną wyburzoną alejkę, do ich uszu doszły odgłosy ostrej wymiany ognia i szatańskie zawodzenie. Skanery pokazały sygnatury ludzką i piekielną.

- Są za tym gruzowiskiem - wtrącił Igor Melaza. Maszyny różniczkowe, które miał wbudowane w sztuczne ramię, były wyjątkowo wyczulone. - Piechota Korpusów jest spychana - dodał, wpatrując się w odczyty. Helt potwierdził to skinieniem głowy, monitorując własną aparaturę.

Ursus myślał nad kolejnym posunięciem. Jego wyświetlacze siatkówkowe pokazywały mapę, na której zebrały się wszystkie pozyskane do tej pory dane. Prawdą było, że Inżynier objęty inkwizytorskim dozorem nie radził sobie z zawziętością piekielnych przybyszy. *Inną sprawą był fakt, że do tego zadania dostał minimalnie siły uderzeniowe. Zupełnie jakby miał przy tym umrzeć* - zauważył Kolos.

Inkwizycja w brutalny sposób wymuszała pokutę. Częstą praktyką była męczeńska śmierć w krwawym boju. Nie było wtedy mowy o zwycięstwie, tylko o wyciągnięciu maksymalnie wielu pozytywów z absolutnie złej sytuacji.

Demony niemal ich minęły. Gdyby teraz wyskoczyli na ulicę, na której umierali bioniczni niewolnicy, stwory dostałyby się w dwa ognie. Potężną dłonią dotknął gigantycznego, betonowego osuwiska. Miał już plan na odwrócenie losów bitwy.

- Wiecie, co mi chodzi po głowie? - zapytał żołnierzy. W odpowiedzi usłyszał chór cichych piknięć. Odwrócił się i wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu. Każdy z Czarnoopancerzonych trzymał w ręku detonator termiczny.



Roje błyskawic zwęgliły kilkanaście pełzających brzydactw. Skoncentrowane salwy z karabinów burzowych sprawiły, że łuskowate gady o wielu nogach i podłużnych pyskach zostały odrzucone w walające się wszędzie betonowe ruiny. Szarżujące Feroxy ze zwierzęcą wręcz determinacją dążyły do walki w zwarciu.

Cybernetyczni zabójcy uwolnili szybką jak światło chmurę stalowych opilków z pistoletów Secare. Demony przypominające chodzącą parodię, z różowo-żółtego mięsa, o wielu pyskach i kończynach wyrastających tam,

gdzie nie przewidywała logika, zostały pobłogosławione okrutną śmiercią. Czarty biegnące na pierwszej linii, bez osłony swych braci czy sióstr, zostały zamienione w krwawą kaszę, którą potok malutkich odłamków rozwlókł po okolicy. W odpowiedzi kule ektoplazmy ze skwierczącym sykiem rozpuściły wielu trafionych niewolników.

W końcu obie grupy się spotkały. Walka wręcz i każdy cios, który padł w tym starciu, przesiąknięte były nienawiścią. Surowa, chłodna kalkulacja starła się z chaosem kompletnego szaleństwa. Miecze technologiczne cięły i dźgały, a pazury oraz paszcze pełne zębów i plujek pochłaniały kolejne życia.

Jeden z Inżynieryjnych niewolników rozłupał czaszkę maskary, a wystrzeliwując resztę amunicji, rozbił kolejną. Demon o kościanej, płonącej włóczni zamiast ręki, przebił mistrzowskim pchnięciem dwa Feroxy, które natychmiast pochłonał spaczony ogień. Apostata, zmutowany w ptasio-swińską parodię i latający na wijącym się wielobarwnym sumie, uniósł w górę kilkutonowe betonowe bloki i zbrojenia. Z zabójczą precyzją cisnął je w podobny do skorpiona pojazd Korpusu. Maszyna eksplodowała, zabijając i raniąc wielu Armatusów. Zemstą za to były długie salwy plazmowych pocisków, po których plugastwo rozpadło się na zwęglone mięsne ochłapy.

Instrumentory bojowe, model Frango, wielkie na trzech dorosłych mężczyzn i okute w potężne płyty, stały pewnie na mocarnych nogach. Działa miotające zjonizowany gaz, wbudowane w nadgarstki, ramiona i zamontowane na wysięgnikach wystających z pleców, były nieocenione w ratowaniu sytuacji. Maszyny zdalnie sterowane przez nadzorujących ich czeladników sztuk technologicznych zmieniały właśnie cele. Straty po stronie ludzi i ich bezdusznych wynalazków rosły z minuty na minutę, a kolejne sługi Szatana rzucały się w wir walki. Dystansowa piechota Korpusu była rozszarpywana, choć robiła wszystko, by jak najdrożej sprzedać swoje życie. Wgrane protokoły jasno zaznaczały, że wróg zawsze musi otrzymywać największe obrażenia, niezależnie jakim kosztem. Dlatego nawet wtedy, gdy wszystko było już stracone, lecz wciąż tliła się w nich iskra życia, Armatusi odbezpieczali zapięte w swoich kasetach granaty i umierali w kaskadzie odłamków, zabierając swoich ciemniejszych ze sobą.

Nagle na środku alei otworzył się demoniczny portal. Rana w rzeczywistości wypluła z siebie gargantuiczne, pokraczne bydlę. Nieczysta kreatura górowała nawet nad Frangosami. Para nóg rosłych jak u

ważki pchała do przodu tubiasty, makabrycznie zgarbiony tors o przerośniętej koziej głowie. Zdeformowany łeb bydłęcia miał ślimacze oczy, dwa języki i trzęsące się, wyrastające z brody parzydełka. Jego osiem ramion, zakończonych metrowymi pazurami, drżało spazmatycznie. Było widać, że łąknął ludzkich dusz. Ręce, wyrastające z jego czerepu we wszystkich kierunkach, tworzyły obrzydliwą grzywę, jak u pradawnego lwa. Ignorował plazmowy ostrzał, który nie był w stanie przebić się przez twardą, przesyconą spaczeniem skórę. Wierzgając dziko, wprawiał w ruch swoje szpony. Rozrywał pozbawionych wolnej woli żołnierzy i dziurawił stawiające opór instrumentory.

Monstrum zmasakrowało wielu z Korpusów, wchodząc głęboko w ich pozycje. Zdawać by się mogło, że nic nie mogło go zatrzymać, gdy nagle makabryczną mordę ugodził snop wyjącego, mrocznego światła. Mięso i kości wielkiego demona zagotowały się i rozprysły w krwawym rzygu na całej szerokości ulicy. Wyrwane ze stawów nogi opadły z rumorem na beton. Inżynier Keor Xan zgładził czarta pojedynczym strzałem z Bombardy Ciemnej Materii. Broń zaczęła iskrzyć, a chwilę później zakopciła białym dymem. Szyna, na której ją zamontowano, zapaliła się, lecz szybko została ugaszona przez systemy przeciwpożarowe. *Awaria modułów anihilacji cząstek, wyczerpanie ogniów protonowych i neutronowych* - grzmiały raporty o uszkodzeniach. Wynalazca zamknął je impulsem swojego cybernetycznego mózgu. Był w samym środku walk. Nic nie mogło zaśmieczać jego uwagi.

Zawieszony w Żelaznym Komitecie, oskarżony przez Inkwizytora, choć wciąż żył, w zasadzie był już martwy. Pozbawiony zasobów i wsparcia Korpusu, mógł ruszyć do walki uzbrojony tylko w to, czym dysponowała należąca do niego Kuźnia. Kilka dni wcześniej znaczną część jego piechoty zgładziły w bitwie wojska Oficjum, a na skutek ingerencji demonicznego wirusa w systemy kompleksu musiał dokonać czystek wielu maszyn. Co gorsze, właśnie stracił jedyny egzemplarz niezwykle rzadkiej technologii. Na całym świecie było raptem kilkadziesiąt Bombard.

Pomniejsze czarty rzuciły się na niego ze wszystkich stron. Uniósł w górę wykonaną z rzadkich metali ozdobną laskę. Zainstalowana na czubku czaszka wyemitowała kaskadę błyskawic, która poraziła wrogów w promieniu wielu metrów. Galaretowaty czart wyrósł obok Keora i trysnął w niego kwasem. Metalowa skóra zaskwierczała i odsłoniła cybernetyczne wnętrza. Maszyny różniczkowe mężczyzny obliczyły, że atak mógłby

zostać zatrzymany, gdyby jego generator pola siłowego nie wypalił się kilka godzin temu. Wzbogacony osiągnięciami cywilizacji człowiek nie krzyknął z bólu. Już dawno pozbawił swoje ciało standardowych ludzkich nerwów na rzecz wysublimowanych przewodów. Krew zastąpił syntetycznym płynem, umożliwiającym niezwykle szybkie krzepnięcie. Przed walkami jeszcze bardziej zmodyfikował swoje ciało. Rozrósł się w barkach i lekko zgarbił. Dodatkowe pancerne płyty, wraz z aparaturą kontrolującą, zwiększały jego możliwości bojowe. Para wysięgników pozwalała rozbudować arsenał. Swoją trzecią rękę wbił w sam środek złowieszczej brei. Wysłał językiem binarnym kod do rękawicy molekularnej, którą nosił. Animowany, opętany kisiel zabalgotał i rozplynał się w toksycznej mgle. Światło wygenerowane przez tę broń było zabójcze.

Nowe zastępy Armatusów, wciąż prowadząc ostrzał, przywarły do swojego pana. Kolejne sługusy Piekła umierały w błyskach energii i kaskadach iskier. Keor przeskanował liczebność i kompozycje idącej na nich kolejnej fali. Jego emocjonalne ograniczniki aktywowały się automatycznie. W przeciwnym wypadku zmarłyby z powodu zwykłego ludzkiego przerażenia. Wykonane równania jasno mówiły, że tym razem nie uda mu się wytrzymać naporu wroga. Odwrót nie wchodził w grę, gdyż i tak zostałby zgładzony za popełnioną herezję.

- Stwórcu, jeśli tam gdzieś jesteś, pomóż mi, błagam - wyszeptał, ładując kolejny impuls błyskawic.

Parę sekund po wypowiedzeniu przez niego desperackiej prośby, ruiny za demonami, z prawej strony ulicy, eksplodowały kulą ognia. W głowie Inżyniera kolejne blokery stabilizowały jego uczucia.

- To koniec - powiedział, dostrzegając nagłą anomalię.

Kres ziemskiej egzystencji rzeczywiście nastąpił, lecz to uparte byty, a nie jego czekał śmiertelny finał. Kurz i pył nie zdążyły jeszcze opaść, a rój świetlistych promieni smagał tylne rzędy szatańskich wysłanników. Granatniki z pociskami wypełnionymi kośćmi i prochami błogosławionych posyłały w niebyt czarta za czartem. Kilka rakiet termicznych ze snajperską precyzją zgładziło największe demony.

Mózg Keora Xana, przegrzewając niektóre układy scalone, ponownie wyliczył skomplikowany rachunek prawdopodobieństwa. Wynik wskazywał na ich zwycięstwo w tym starciu. Używając długich linijek binarnego kodu, niczym kapłan recytujący zawiłe litanie, spotęgował wysiłki swoich sług.

Żołnierze Korpusu nieprzerwanie razili poczwary zaawansowanym uzbrojeniem.

Przez szereg soczewek coraz wyraźniej widział w tumanach odłamków lśniący od magii, runiczny topór. Kostki pamięci przywołały wcześniej zapisane obrazy. Zgodność broni i wojownika była stuprocentowa.

- Razem Inżynierze, artyleria jest tuż przed nami - krzyknął Olbrzym i ruszył, nie oglądając się za siebie. Był pewny, że otrzyma wsparcie. Jego ludzie rzucili się za nim.

Pomimo bezpieczników blokujących uczucia, wynalazca poczuł prymitywną człowieczą radość. Jego odkupienie i powrót do łask były możliwe. Wysyłając kolejne pakiety danych do maszyn i cyborgów, spalił część łączy i spowodował obrażenia resztek swojego biologicznego mózgu. Jego wczepy od razu zaimplementowały mu tymczasowe panaceum.

W tej samej chwili *Behemot*, lecąc szerokim łukiem, otworzył bebechy obrzydliwej krzyżówki knura ze ślimakiem, dekapitując przy tym pomniejszego marudera o drobnym porożu. Plazmowy pocisk wystrzelony niemal z przyłożenia spalił czerep świńskiego obrzydlistwa. Zlepiona z kilku ludzkich ciał szkarada zatopiła w piersiach dwóch Mortusów szpony wykonane z kręgosłupów. Poczwara wydała z siebie euforyczne szcęknięcie, które przerodziło się pisk, gdy agent Helt stawił jej czoła.

Zamaskowany człowiek faszerował ją tytanowym śrutem o srebrnym, święconym rdzeniu. Opróżniał magazynek automatycznej strzelby, wykonując wyrok na plugawej istocie. Karą za istnienie była śmierć. Sługa Boży nie przestawał strzelać, aż z personifikacji wstydu i żalości została kupa zmielonego mięsa. Ursus wyskoczył do przodu, rozrzucając od dołu dwugłową owadzią pokrakę o jelenim torsie. Na lewo Czarnoopancerzeni spopieliłali kolejne demony. Zbłąkana kula ognia szatańskiego pochodzenia ugodziła żołnierkę w głowę. W jej miejsce pojawiła się kolczasta macka, która strąciła czaszkę następnemu wojownikowi. Oba trupy spalono błogosławionym paliwem z miotacza. Chodzące maskary zderzyły się mocno z oddziałem Oficjum. Po raz kolejny bogobojny człek runął na ziemię z wyrwanymi wnętrznościami.

Na ulicę wybiegła ciężarna, odziana w postrzępione łachmany. Trzymając się kurczowo za brzuch, darła się, błagając o pomoc. Jej przerażone spojrzenie zamarło, gdy dwie małe łapki, zakończone kościanymi hakami, przebiły jej skórę. Wrzasnęła z bólu i paniki, gdy opętany dojrzał płód

wyskoczył z ciała, ciągnąc ze sobą jej narządy. W mgnieniu oka dziecko wpełzło na plecy matki i udusiło ją własną pępowiną. Chwilę potem nienarodzony pomiot rzucił się w stronę Mortusów i rozszarpał jednemu gardło. Bękart był zabójczo szybki. Wykonał następny szus, chcąc zgładzić kolejnego ze Sług Bożych. W połowie skoku obrzydlistwo pękło na dwie części, przecięte serią z podwieszanego karabinu Helta.

- Pierdolę coś takiego - wysapał.

Pocisk plazmowy zwęglił demona.

- Lepiej nie, bo jeszcze się rozmnoży - zakrzyknął Kapitan.

Czarnoskóry kiwnął głową.

- Tak jest, sir - odparł, wpinając nowy magazynek.

Czarnoopancerzeni zaliczyli kolejne straty we własnym ugrupowaniu, lecz demoniczna jucha piętrzyła się przed nimi. Karabiny świetlne przegrzewały się, w granatniki należało załadować nowe taśmy amunicyjne, miotacze syczały, błagając o nowe pojemniki z paliwem. Pełzające robacze bydlęta raz po raz ginęły pod ciosami topora Kolosa, lecz i on broczył posoką z kilku ran. Gdy wydawało się, że potop przeciwników pochłonie ludzi Oficjum, do ich pozycji dotarli niewolnicy Korpusu.

Frangosi zbombardowali wysłanników legionu pociskami zjonizowanego gazu. Maszyny, kalibrowane przez czeladników Inżynierów, doskonale prowadziły ostrzał, nie raniąc nikogo z sojuszników. Ogarnięci czystym szaleństwem Armatusi wbiegli przed Mortusów, niosąc ciężkie i długie na pięć metrów metalowe piki. Nie zważając na ataki demonów, cyborgi zatrzymały się na polu bitwy tak nagle, jak się pojawiły. Uklęknawszy, każdy z nich wbił w ziemię pał zakończony dziwnym wytopionym wzorem. Wielu padło, rozlewając się na zimnym podłożu, niczym bulgoczący budyń kipiący z garnka. Raz po raz rzucano na nich piekielne moce.

Zanim ktokolwiek z wolnych ludzi zdołał zrozumieć, co zrobili, pojedyncza błyskawica uderzyła w pierwszy słup. Piorun rozszczepił się i pomknął do kolejnych katalizatorów. Wyładowanie niosło się i rosło w siłę, wraz z każdym nowym szeregiem pik. Gdy burza przeszła przez ostatnią linię, uwolniona została potęga. Aleja utonęła w elektryczności zerwanej ze smyczy. Demony były dezintegrowane natychmiast, ściany bloków mieszkalnych topiły się i pękały. Kamienie i beton zmieniły się w rzekę

płynnego żużlu. Oczyszczająca fala światła i mocy przeszła setki metrów, zanim zaczęła się rozpraszać.

Mortusi patrzyli z uznaniem na karę, jaką wojska Inżynierów wymierzyły diabłom. Całkowicie złamało to waleczność czartów. Z szacunkiem myśleli również o poświęceniu, które ponieśli. Ponad trzy czwarte Armatusów leżało zwęglonych lub dogorywało w konwulsjach. Mimo że zdalnie sterowani i zaprogramowani na bezwzględne posłuszeństwo swoim panom, kiedyś byli ludźmi. Uwolniona kaskada błyskawic w swojej dzikiej naturze poraziła również i ich.

- Nieskromnie powiem... To było dobre - mruknął Ursus, wyciągając topór z rozwalonego czerepu.

Czarnoopancerzeni przytaknęli.

- Nadchodzi Peccator - powiedział Helt, chwytając za broń. Reszta żołnierzy, których zostało ledwie tuzin, też się przygotowała. Nauki Oficjum mówiły jasno: Przebaczenie jest występkiem przeciwko sprawiedliwości.

Czy to za sprawą otrzymanych obrażeń, czy zmęczenia mechanizmów, Keor Xan szedł wolnym krokiem. Widać było, że jego stan jest poważny. W sztucznej dłoni trzymał wykręcony i stopiony metalowy pręt. Stalowy człowiek odrzucił resztki swojej laski. Kolejny wynalazek i owoc badań nad technologią został bezpowrotnie zniszczony.

- Dziękuję... Inkwizycji... za... przedstawiciele... pomoc - wymawiał wyrazy, trzeszcząco i w złej kolejności. Jego systemy były mocno uszkodzone. Z boku ciekła matowa ciecz, zastępująca krew. Rana krzepła szybko. Z barku wyszedł na powierzchnię zestaw kilku małych łapek, wyposażonych w różne narzędzia i palniki. Protokoły naprawcze zaczęły pracować nad przywróceniem jasności umysłu i działania maszyn różniczkowych. Minęło kilkanaście sekund, gdy Inżynier zatrzymał się pośród Czarnoopancerzonych, a jego usterki w mózgu usunięte.

- Przepraszam za bełkot - oznajmił już całkowicie rzeczowo. - Dziękuję za pomoc, przedstawiciele Inkwizycji. Wasza interwencja spowolniła demony na tyle, że byłem w stanie przygotować atak. Dalej służę pomocą w odbiciu stanowisk artylerii - ukłonił się, lekko zadygotał. Układ stawowy jego prawej nogi wciąż nie domagał.

Zapanowała niezręczna cisza. Napięcie w powietrzu było miazdzące. Szansa na to, że któryś z żołnierzy pociągnie za spust wzrosła dramatycznie,

gdy do Wynalazcy dołączyły niedobitki jego wojsk. Cybernetyczni niewolnicy stali za nim w pełnej gotowości.

Sytuację uratował Ursus. Przy tym wielkim człowieku technolog, pomimo swoich licznych wszczepów, ulepszeń i arsenału, w większości już zużytego, wydawał się karłem. Kolos uniósł nad głowę topór. Uszkodzona istota ludzka zamarła, wyobrażając sobie szybką śmierć.

Behemot spoczął na plecach wojownika Oficjum, w specjalnej uprzęży. Jego właściciel wyciągnął dłoń, masywną i wielką jak ludzka głowa.

- Nie ma za co - powiedział tubalnym, głębokim głosem. - Walczymy ze wspólnym wrogiem, a wszyscy jesteście ludźmi. Kapitan Ursus Skjorgir - przedstawił się i jeszcze bardziej wyciągnął prawicę.

- Inżynier Keor Xan - odparł wynalazca i odwzajemnił uścisk. Na jego wewnętrznych wyświetlaczach pojawiły się informacje zebrane z zainstalowanych receptorów: *Niesamowita siła cielesna, brak jakichkolwiek ulepszeń, wszczepów, terapii hormonalnych i genowych.* - Inkwizytor Witeldon nałożył na mnie status... - chciał się wylegitymować, lecz dowódca Czarnoopancerzonych mu przerwał.

- To nie jest ważne. Choć próbujemy, rzadko kiedy jesteśmy panami własnych losów - kiwnął głową. - Chęć poprawy i trudy pokuty mi wystarczą, by działać razem z tobą - odwrócił się do swoich żołnierzy. - A wam?

Odpowiedzią był chór okrzyków i uderzeń pięścią w napierśnik pancerzy.

- Dziękuję - odparł i ponownie spojrzał na metalowego człowieka. - A teraz razem do artylerii. Czujniki pokazują, że zgładziliśmy niemal wszystkie czarty na naszej drodze.



W słowach Kolosa kryła się prawda.

Do celu swojej misji dotarli nie napotykając żadnych demonów. Jednak wokół nich zawsze były rzesze obłąkanych ludzi, mieszkańców miasta, których inwazja pozbawiła zmysłów. Mnóstwo istot człowieczych leżało albo siedziało na ziemi. Część toczyła gęstą pianę, a inni dławili się językami. Kapitan chciał skrócić ich mękę, pozbawiając życia. Odszedł od tego pomysłu, gdy zrozumiał, że nie ma na to czasu.

Zatrzymali się dopiero przed potężnymi bateriami wielkokalibrowych dział typu Punisher. Olbrzymie armaty o potężnych wspornikach i gigantycznych zasobnikach z amunicją stały zimne, celując lufami w niebo. Większość z Mortusów zaczęła się szeptem modlić, widząc przed sobą ten ponury obraz. Ich towarzysze broni, licznie oddelegowani do obrony stanowisk, leżeli zabici. Martwe ciała rozwleczono po okolicy niczym mięsne ochłapy. Wielu poprzybijano do ścian i nabito na stalowe pręty. Z fragmentów zwłok wzniesiono plugawe ołtarze, układając z nich bluźniercze symbole.

- Im już nie pomożemy, ale możemy ich pomścić - powiedział Ursus pewnie, lecz łagodnie, i przeniósł uwagę na członka Korpusów. - Czy można z nich korzystać?

Keor Xan zbliżył się do monstualnych dział. Razem z dwójką pozostałych przy życiu czeladników ubranych w długie, postrzępione szaty, zaczął skanować i analizować baterię po baterii. Po minucie mieli odpowiedź.

- Tylko trzy działa model Punisher nie są sprawne. Reszta ma poziom operacyjny. Możemy rozpocząć procedury - wyrecytował Inżynier.

- Zaczynajmy - rozkazał Kapitan.

Technolog działał na wielu frontach. Wraz ze swymi rzemieślnikami dokonał koniecznych kalibracji i niezbędnych napraw. W tym samym czasie wysyłał impulsami dane do Armatusów. Cybernetyczni służący zajmowali się obsadzaniem kolejnych haubic. Po stratach zadanych przez demony, ledwo ich starczyło. Wszyscy Frangosi dźwigali kilkusetkilogramowe pociski i ładowali je do komór. Pozostali przy życiu Czarnoopancerzeni zajęli osłonięte pozycje, gotowi do podjęcia walki. Obojętne im było, czy z demonami, czy z przedstawicielami Korpusów.

- Namierzyłem współrzędne Extremusów oraz idące na nie istoty piekielne - oznajmił Keor. Mając dane od cyborgów kanonierów, sam jeden, z idealną skutecznością, mógł dowodzić ostrzałem. - Wykryłem, że w polu rażenia znajduje się Inkwizytor z dwiema osobami o desygnacji Lydia i Alexandra - dodał pośpiesznie.

Minęło kilka sekund, nim Ursus otworzył usta.

- Dlaczego nie strzelasz? - zapytał.

Kark Inżyniera, z lekkim skrzypieniem, przechylił się w jego stronę. Soczewki były szeroko otwarte i wypuszczały dużo światła. Był w wielkiej

konsternacji.

- Ponieważ Inkwizytor jest w polu rażenia - powtórzył, dokonując przy okazji diagnostyki swoich systemów. *Może aparatura poznawcza źle przetwarza dane z funkcji wokalnych* - rozmyślał, lecz nie znalazł usterki.

Kolos zaśmiał się.

- Śmiało, nic mu nie będzie - parsknął. - Kanonada równająca z ziemią kamienice to dla niego pikuś. Żebyś był z nami w Berrelo - pokręcił głową. - Obstaję przy tym, że było to widać z orbity.

Stojący obok niego agent Helt wsparł zwierzchnika.

- Bez wątpienia, Panie - potwierdził.

Wynalazca analizował ton ich głosu pod kątem kpiny i cynizmu. Nie doszukał się niczego takiego.

- Dobrze... Więc... - zaczął niepewnie.

- Śmiało - ponaglił po przyjacielsku Wielkolud.

Inżynier lekko zadygotał.

- Ognia! - rozkazał, a kciuk w górę Kapitana i huk rozrywanego powietrza nagrodziły jego decyzję.



Minutę wcześniej.

Każda walka jest dynamiczna. Nawet gdy dotyczy wojny pozycyjnej, w której w ciągu doby giną tysiące ludzi, a front miesiącami nie posuwa się o metr. Najwięcej akcji dostrzec można w sercach żołnierzy. W nich krew, ołów i pot wrą w jednym kotle i kipią po to, by ogień skwierczał coraz bardziej. Czasem wiele zależy od niewielu. Tak jak w tym przypadku.

Alexandra cofnęła się krok i przechyliła w bok, by uniknąć topora piekielnego marudera. Schyliła się, przekładając rapier na plecy, osłaniając je w ten sposób. Klinga szatańskiego pomiotu świsnęła nad jej głową. Ostrze technologiczne odbiło się od płonącego miecza. Wykorzystując kinetykę, Szpieg-mistrzyni wykonała obrót i strąciła głowę wojownika otchłani. Kolejny piruet zakończyła identycznym efektem.

W tym samym momencie Witeldon uderzył w gardę przeciwnika tak mocno, że jelec jego broni trzasnął pomiot w łeb. Ogłuszony stwór odstał do tyłu. Jego gehennę zakończyła Lydia, przebijając krótkimi mieczami tors.

Popisując się zwinnością, dziewczyna uwolniła runiczne arcydzieła kowalstwa i robiąc salto w tył uniknęła cięcia znad głowy. Szybko przeskoczyła w prawo. Beton w miejscu, gdzie jeszcze chwilę temu stała, popękał od niecelnego ciosu. Zmieniła ustawienie ostrza w prawej dłoni w dół i nie odwracając się, wykonała sztych. Przeszło idealnie przez wizjer w czarcim hełmie. Z lewego pistoletu maszynowego zasypała gradem srebrnych kul dwóch szarżujących na Alexandrę berserków. Strzałem z pistoletu Szpieg-mistrzyni rozłupała czaszkę kolejnego celu. Chciała znów złożyć się do celu, lecz musiała zrobić unik przed wrogim orężem. Lydia pozwoliła, by jeden z mieczy zsunął się z lawowego gladiusa. Robiąc szybkim piruetem wypad w bok, przeszła grdykę demona.

Inkwizytor walczył naraz z trzema przeciwnikami. Zawzięcie wymieniał z nimi uderzenia. Jeden z grasantów popełnił błąd, co Sługa Boży natychmiast wykorzystał. Rozbroił swojego przeciwnika, wytrącając mu szablę z łapsk, wykonał obrót i rozdzielił ciało diabła na dwie części. Unikiem w przód uchronił głowę przed ścięciem. Z prawej strony miał piekielnego piechociarza, którego jednym ruchem miecza pozbawił życia. Kolejna grzeszna forma padła na ziemię.

Wykonując trzy kroki, zrobił obrót o sto osiemdziesiąt stopni i lekko uskoczył w bok. Cios mieczem, który wykonała nieczysta istota, przeciął jedynie powietrze. Był do niej odwrócony plecami, więc wychylił się i dźgnął w tył, zatapiając świętą broń w piersi demona. Zerknął na Alexandrę, która przebiła serce następnego czarta, a jej celny strzał roztrzaskał większą część zgniętego mózgu. Przenosząc wzrok na Lydię, wykonał przewrót w przód, mijając się z siekierą ociekającą lawą. Szarżując przed siebie, zrobił cztery kroki i nadział marudera, który zmusił dziewczynę do wykonania niebezpiecznego dla niej bloku. Przeszedł z nim metr i wyszarpał *Catherine*. Gdy opancerzona szkarada osuwała się na skały, cofnął się i pomógł protegowanej zgładzić dwa pomniejszych czarty. Nastolatka zrobiła idealny szpagat, by dać mistrzowi wolną drogę. Ten zamachnął się, a z jego dłoni wyleciał boski ogień, który spalił kolejnych sześciu wojowników w przeklętych pancerzach. Po tej akcji wycofali się do Szpieg-mistrzyni. Uczennica opróżniła resztę swoich magazynków.

Troje obrońców ludzkości stanęło tyłem do siebie i osłaniając się, kontynuowało walkę z demonami. Ciągłe byli w ruchu, z każdym obrotem kolejne podejrzięte bezbożne gardło strzelało fontanną krwi, a odcięte,

zmutowane łby, lądowały na zimnej ziemi. Czarna posoka strumieniami zraszała pancerze przedstawicieli Oficjum i ziemię, na której rozgrywał się ten taniec śmierci.

Na moment przerwali rzeź. Troje służących Stwórcy przywarło do siebie plecami. Byli otoczeni niewolnikami ciemności. Mężczyzna słyszał urywkowe oddechy swoich dwóch uczennic. Byłej i obecnej. Kobiety, choć sprawne fizycznie i doskonale wyszkolone, były zwykłymi ludźmi. Odczuwały zmęczenie mięśni i wyczerpanie psychiczne.

Do Lydii dobiegło niepokojące wycie, które dochodziło z zasnutego tłustym mrokiem nieba. Spojrzała w górę i dostrzegła, że zaczyna się rozświecić.

- Mistrzu...

Inkwizytor zerknął na nią i natychmiast skierował wzrok w tym samym kierunku.

- Do mnie! - krzyknął, wiedząc co się stanie za chwilę.

Obie zrobiły pół kroku w tył i przyjęły postawę pełnej gotowości. Witeldon wyciągnął rękę w stronę nieboskłonu, jego palce zagrały w tajemnej kombinacji.

- Protego! - wrzasnął, co znaczyło ochraniać.

W jego dłoni pojawił się kwiat z czystego światła, który rozpostarł się wokół nich. Złote płatki szczelnie odcięły Sługi Boże od świata zewnętrznego, który utonął w ogniu. Zaczęło się bombardowanie.

Pociski eksplodowały z ogromną siłą. Podrywały huragan odłamków i morze płomieni. Mimo że nawałnica trwała ledwie kilkanaście sekund, wszystkie budowle w promieniu trzystu metrów zostały zburzone. Z wszelkich demonów i innych pomiotów ciemności została krwawa para, a gdy kanonada zamilkła, otaczająca ludzi osłona zelżała.

- Ursusowi udało się odbić działa - powiedziała uczennica, patrząc z podziwem na idącego obok Extremusa, model Obserwator. Mimo że był to jeden z najmniejszych, to i tak kilkunastokrotnie ją przerastał.

Alexandra parsknęła.

- Wreszcie coś mu się udało - położyła szczególny akcent na coś.

Dziewczyna otworzyła usta, by dalej kontynuować dialog, lecz wtrącił się Inkwizytor.

- Coś się zbliża - mruknął.

Lydia zbierała się, żeby ponownie powiedzieć swoje, lecz ubiegł ją głośny pisk. Wielki mech, na którego wcześniej patrzyła, zaczął ostrzał. Z gargantuicznego karabinu, który miotał pociski w rozmiarze człowieka, strzelał w nieznanym celu. Uderzenie mrocznego ognia natychmiast przecięło jej tarcze energetyczne. Obok tworu Inżynierów, sterowanego przez specjalnie wyszkolonego wysokiego rangą czeladnika, przemknął kolosalny cień. Aes został trafiony w bok, jego ramię wyrwane, a cała lewa strona Extremusa pękła. Ulały się z niej setki litrów różnych olejów, a na ziemię spadły tony mechanizmów i poszycia. Robot runął na jedną z nielicznych, w miarę całych kamienic. Mimo krytycznych uszkodzeń od razu podjął próby powstania.

Tajemnicza furia zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, by po chwili znów zaryzykować tuż nad nimi. Witeldon wycelował obie dłonie w stronę kobiet i powiedział święte słowo Aura. Nagły podmuch światła odepchnął Lydię i Alexandrę. Jego pochwycił czarny smok. Trzymając łup w szponach, szkarada poderwała się do lotu.

Protegowana natychmiast wycelowała nadgarstkowe pistolety maszynowe i nacisnęła spusty. Z obu broni doszedł dźwięk kliknięcia, które oznaczało, że w magazynkach nie ma pocisków. Wystrzelała je podczas walki z czartami. Nastolatka pisnęła z bezsilności i rozejrzała się gorączkowo, nie wiedząc, co zrobić. Dostrzegła podnoszącą się powoli Szpieg-mistrzynię.

- Musimy go ratować! - krzyknęła, podbiegając do niej.

Stojąc już pewnie na nogach, kobieta posłała jej gniewne spojrzenie.

- Jak na razie to ty musisz się uspokoić - warknęła i otrzepując się z pyłu spoglądała w kierunku, w którym poleciała maszkarą.

- Przecież to coś porwało Inkwizytora! - wrzasnęła. - Musimy go uratować!

- Myślisz, że sobie nie poradzi? - zapytała starsza, ze stalową nutą w głosie.

Dziewczyna, choć była na skraju paniki, spojrzała w głąb jej oczu. Opanowała oddech.

- Nie myślę tak - burknęła i nerwowo zaczęła przeładowywać broń. - Ale nie będę siedzieć beczynnym, gdy coś mu grozi.

Starsza parsknęła.

- To jesteśmy dwie. Lydio, rozumiem, że to twój mistrz, tak samo, jak kiedyś był moim - mówiła lekko, bez swojej typowej wyższości w głosie i agresji. - Nie poznałam w życiu nikogo innego, kto mógłby wyjść cało z tej sytuacji. On da radę.

Uczennica nie mogła uwierzyć, że mrukliwa, zawistna i bezduszna Szpieg-mistrzyni próbuje być jej wsparciem.

- To... co teraz? - starała się zmienić temat. Chciała jak najszybciej działać, zając czymś umysł. A przede wszystkim nie zawieść swojego Mentora.

Alexandra odetchnęła z ulgą.

- Dołączymy do głównego natarcia. I lepiej nie zwlekajmy - zaczęła biec.

Protegowana szybko się z nią zrównała.

- Dlaczego? - nie rozumiała, skąd ten pośpiech.

Kobieta zerknęła w jej stronę dobrze znanym grobowym spojrzeniem i twarzą wykutą z kamienia.

- Ponieważ demony za chwilę znów zaleją ulicę i znów zostaną zbombardowane. Nie wiem jak ty, ale ja nie chcę być w zasięgu rażenia...



Witeldon czytał kiedyś zapiski datowane na tysiące lat przed Dniem Kary, mówiące o cesarzu wielkiego, nie istniejącego już imperium. Mężczyzna rządził z największego ówczesnego miasta na planecie. By znaleźć inspirację do nowego dzieła, ten władca o artystycznej duszy rozkazał podpalić stolicę. W żywiole chaosu odnalazł swą muzę.

Niesiony w szponach smoka, Inkwizytor patrzył na ogrom ognia, który przetaczał się przez Spero. To, co ludzkość budowała przez setki i tysiące lat, pożoga zabierała w chwilę. Zawsze łatwiej było niszczyć niż budować, czynić zło niż dobro, obrażać niż chwalić, kłamać zamiast mówić prawdę. Szale wagi wyrównywały się jedynie wobec życia. Człowiek tak samo łatwo mógł tworzyć życie, jak je odbierać. Prawdą było, że bezkresna i niekontrolowana destrukcja pobudzała zmysły i wyzwalała wielkie emocje.

Mężczyzna wygiął kark i patrzył na swojego porywacza. Poznał łuski gada i odgadł jego pysk. Níðhögg, międzywymiarowy łowczy. Zakazane księgi, które swego czasu studiował, szczątkowo opisywały zachowanie smoka. Wiedział, że bestia będzie wykonywać rozkaz tego, który ją przyzywał. *Amon*

chce mnie spowolnić - pomyślał. Patrząc, jak oddala się od kluczowych pozycji natarcia, ogarnął go gniew. Musiał się uwolnić. Smok i tak do niego przyjdzie, lecz następnym razem spotkanie będzie na jego warunkach.

- Ja tutaj wysiadam - powiedział i wyswobodził rękę, by zdjąć z pleców *Catherine*.

Jednym cięciem rozrąbał duże kościste palce szkarady. Święte ostrze bez problemu rozcięło starodawne członki. Níðhögggr zaryczał w bólu i zawisł w powietrzu. Patrzył w furii, jak Witeldon ucieka, pikując ostro w dół. Już chciał ruszyć w pogoń, lecz jego ciało utonęło w deszczu odłamków i naboju.

Szwadron kilkunastu Kolibrów wykrył w przestrzeni powietrznej niezidentyfikowane zagrożenie i nawiązał z nim kontakt. Piloci odpalili serię rakiet, które uderzyły w międzywymiarowe bydlę. Personifikacja strachu nawet nie drgnęła. Żadna broń myśliwców nie mogła zrobić smokowi krzywdy. Gdy w mgnieniu oka znalazł się wśród lotników, zabijał ich bez wahania i litości.

Tymczasem Witeldon poważnie się zastanawiał, w jaki sposób ma wylądować, by się przy tym nie zabić. Próbował nawiązać telepatyczne połączenie z Vivienne, lecz jakieś magiczne anomalie zakłócały jego myśli. *Czyli znów wszystko muszę robić sam* - westchnął w myślach.

Balansując w powietrzu, mając wciąż setki metrów do twardej ziemi, udało mu się wyminąć dach jednego z budynków mieszkalnych. Lecąc tuż obok ściany, przekreślił się przodem do betonowego muru i wbił miecz w budowlę, wykorzystując ostrze jako hamulec. *Catherine* ryła blokowisko, tnąc ściany niczym masło. Mało co było w stanie zatrzymać święty miecz. *Świetnie* - pomyślał ironicznie Inkwizytor czując, że niemal nie zwalnia. Czasami ostrość i wykonanie broni mogą być wadą...

Nagle ściana skończyła się, a budynek zmienił rozkład pomieszczeń. Klnąc szpetnie, przygotował się na zderzenie z kamiennym dachem. Jego impet oraz twardość zbroi wystarczyły, by z hukiem pocisku artyleryjskiego przebił się przez kilka kondygnacji. Zatrzymał się na górze gruzów.

Wszelkie złamania i pęknięcia organów zrastały się w nim natychmiast, a krew, która wyciekła z ran, szybko wracała do żył. Płyty *Martyris* były jedynie lekko porysowane. Metal, z którego została wykonana, mógł znieść znacznie gorsze ciosy.

Człowiek z Wyobraźnią wygrzebywał się z bałaganu i odrzucił przygniatający go cementowany panel zbrojony stalą. Działając automatycznie zdołał uklęknąć i zmówić krótką modlitwę. Wyjął *Catherine* z gruzów, oparł się na niej i pewnie stanął na nogach. Jego duchowe uniesienie przerwał szmer dobiegający z lewej strony. Natychmiast zdjął z upręży magnetycznej *Carine* i wycelował ją w stronę hałasu. Nim pociągnął za spust, omiótł wzrokiem teren. Sam Stwórca musiał odwieść go od strzału.

Wśród zgliszcz ujrzął małe dziecko. Skulony kilkuletni chłopiec wpatrywał się w niego. Kasztanowe, skołtunione od błota włosy, umorusana twarz i zapłakane szare oczy były świadectwem horroru, którego doświadczył. Postrzępione łachmany wskazywały na to, że pochodzi z biedniejszych poziomów Spero. Ofiara trwającego konfliktu przyglądała mu się przestraszona i zaciekawiona.

Witeldon odłożył pistolet. Mały człowiek nie był dla niego zagrożeniem.

- Nie zrobię ci krzywdy - powiedział i pokazał otwartą dłoń. - Staram się pomóc i zakończyć trwający koszmar.

Wiedział, że ta pomoc może nie być ani przyjemna, ani zbawienna. Chłopiec cofnął się pół kroku, kręcąc przecząco głową. Skulił się jeszcze bardziej i wszedł w gruzy, gdzie jego dziecięce ciało mogło się sprawnie poruszać. Nawet na moment nie spuszczał wzroku z Inkwizytora. Nim zniknął w betonowych odmętach, wysunął przed siebie okaleczoną rękę i wyciągnął palec.

- Przyszli - szepnął.

Mężczyzna odwrócił głowę tam, gdzie wskazywało dziecko. Gniewnie wypuścił nosem powietrze. W jego stronę, z nowych wyrw w rzeczywistości, zmierzały nieprzeliczone demony. Ukradkiem spojrzął ponownie w to miejsce, gdzie stał chłopiec. Ale ten zniknął niczym duch. Ulepszony słuch nie zarejestrował żadnego sygnału ruchu. Ta mała ludzka istota po prostu się rozplynęła. Jak to możliwe? Tego Witeldon już nie wiedział. Teraz miał do załatwienia ważniejsze sprawy.

Wstał i wykonał na mieczu znak błogosławieństwa. Uniósł go w górę niczym sztandar. Pismo runiczne i święte symbole rozbłyły jasnym, lekko niebieskawym światłem. Metal lśnił na biało, niczym wyciągnięty z kowalskiego pieca. Słudzy ciemności zwolnili marsz. Z niektórych gardeł

wydostawał się ryk. Nie było to jednak wycie, które należało traktować jak wyzwanie. Wyczuwał lęk. Demony wiedziały, co dzierżył w dłoni.

Przygotowania do nieuchronnego starcia przerwał uwodzicielski ton w jego głowie.

Masz moment? – zapytała Vivienne, używając telepatycznego łącza.

Zanim podjął dyskusję, przywołaną za pomocą Świętej Mowy błyskawicą, zdeintegrował kilka pomiotów.

O co chodzi? – od razu przeszedł do rzeczy.

Chichocząca zaczęła mówić.

Mamy poważny problem, Okrutniku. Magowie zamknęli się na cztery spusty w swojej wieży, więc nie musisz ich straszyć, ale z ich punktu widzenia sprawa dotyczy czegoś znacznie bardziej przyziemnego.

Możesz jaśniej – mruknął obcesowo, rozcinając pierwsze gardło i miażdżąc nędzny czerep.

Zaśmiała się uroczo.

Czarnoksiężnicy nie zapieczętowali bezpieczników z kryształami pochłaniającymi wolną magię i jej dzikie resztki. Większość węzłów cofnęłam do innych losowych wymiarów, później odszukają je ci z Kręgu – przez moment panowała cisza. Wyczuwał jej wielką koncentrację. – Jedno ze stanowisk zostało uszkodzone i nie mogę go ruszyć. Jest pełne zbieranej przez tysiąclecia mocy. Jeśli demony je zdobędą, to albo wysadzą Krąg, albo otworzą bramę wielkości pałacu Amadeusa – parsknęła. *Trochę ich tu dużo i przydałaby mi się pomoc* – dodała ponętnie.

Witeldon analizował pozyskane informacje. Raport Białowłosej zawierał straszliwe wieści. Każdy Krąg Maginów miał specjalne konstrukcje, które wyposażono w starodawne technologie i surowce, pochłaniające niekontrolowaną magię. Dzięki temu niedoświadczeni i uczący się magowie, akolici i nowicjusze mogli ją uwalniać w ramach ćwiczeń. Perspektywa, że Pochłaniacz z nagromadzoną mocą zostanie użyty przez siły Piekła, była przerażająca, a konsekwencje absolutnie tragiczne.

Mężczyzna szybkimi cięciami raził kolejnych maruderów. Ulepszony mózg pozwalał mu na wielozadaniowość. Jego wyświetlacze siatkówkowe pokazywały dostępne wojska. Stracił blisko połowę sił. Prawie czterdzieści tysięcy Mortusów było martwych, wyłączonych z akcji albo zaginionych. Zniszczono setki czołgów, transporterów, całe szwadrony myśliwców

i kanonierek. Wojska Inżynierów również szły w rozsypkę. Kilku Extremusów pokonano i spalono. Pół miliona Interwentów zmarło albo straciło rozum. Do tego anarchia, panująca w całym Centralnym Spero, gdzie ludność mutowała i walczyła o przetrwanie.

Catherine przebiła zimne serce kolejnego z Nienarodzonych. Psio-krowia morda zaryczała w agonii. Inkwizytor sprawdził dostępność agentów i autonomicznych sług. Zaklął, gdy szpon przebił pierwszą warstwę jego zbroi. Zaklął ponownie, gdy dostrzegł, że niemal wszyscy dołączyli już do orszaku Stwórcy. *Jeśli zaraz nie dojdzie do przełamania na naszą korzyść, to nie będziemy mieli czym walczyć* – myślał w furii.

Vivienne! – zagrzmiął telepatycznie. – *Przenieś mnie, resztę i wszystkich wolnych żołnierzy, jakich zdołasz. Demonom nie może się powieść* – rozkazał.

Wiesz, że to będzie burzliwa translokacja? – czuł lekkie wahanie w jej jaźni.

Zrób to – westchnął, blokując cios swym mieczem. – *Jakoś to będzie, jeśli Stwórca pozwoli.*

Zmienił kanał komunikacyjny na ogólny, by przekazać kluczową informację.

– Uwaga! Do wszystkich! Przygotować się na nagłe przejście portalem i do otwarcia ognia, natychmiast po odzyskaniu zmysłów. Wszyscy, którzy pozostaną na stanowiskach, mają kontynuować walkę pod dowództwem przełożonych – rzekł i zniknął. W miejscu, gdzie przed momentem stał, zakłębiły się piekielne pomioty.

Czarnoksiężniczka nie kłamała, mówiąc o jakości teleportacji. Można było pokusić się o uwagę, że nie dopowiedziała kilku szczegółów albo przemilczała pewne niewygodne fakty.

Nieskończoność pochłonięła mężczyznę, by wypluć go, niczym podły ochłap mięsa, wprost na częściowo zrujnowaną, stalową ramę artefaktu. Z racji ulepszeń mógł pozbierać się ułamki sekund szybciej niż reszta przeniesionych walczących. Dostrzegł Lydię, Alexandrę i Ursusa, którzy wracali do przytomności. Usłyszał klnącego agenta Helta. Ikarius i Keor, odporni na doznania dyslokacji materii, kończyli programować nowe rozkazy dla kilkudziesięciu Armatusów i innych maszyn korpusów. Niektóre konstrukty zostały uszkodzone niewłaściwym, zbyt gwałtownym wyjściem z międzywymiarowych korytarzy i teraz się rozlatywały. Lekko ponad pół

setki Mortusów borykało się z problemami. Pojedynczy żołnierze upadli od razu martwi na ziemię, ponieważ ich ciała zgubiły kończyny i część organów. Reszta w większości wymiotowała krwią i soczyscie klęła albo się modliła.

Kątem oka zobaczył dwa Extremusy, które swoim arsenałem zmiatały z powierzchni całe zastępy spaczonych plugastw i krok za krokiem zmierzały do największych przeciwników. Dostrzegł Vivienne, która trzymając potężny kostur, szeroko rozłożyła ręce. Roje błyskawic przechodziły ze szczytu laski do jej dłoni. Stojąc na szczycie budowli wyglądała jak awatar bogów piorunów.

Gdy wskazówka czasomierza pokonała trzecią sekundę, walczyli już wszyscy. Dwupoziomowa metalowo-kamienna kopuła miała w swoim wnętrzu lewitujące kryształy. Z każdej strony była osłaniana. Jej obrońcy sprzedawali swoje życia najdrożej jak mogli. Celów mieli w bród, gdyż cały plac przed Wieżą Magów tonął w demonach.

Tocząc żrącą pianę, którą opluwały śmiertelników, szkarady o wielu paszczach szarżowały przed siebie bez krzty strachu. Panczerze syczały i korodowały, a ludzkie ciała wypływały z nich jak przegotowane flaki. Personifikowane szaleństwa karały świetliste promienie, granaty i ogniste języki z miotaczy. Kule plazmy, deszcz płonącego na biało fosforu, ładunki elektryczne zwęglaly spaczone ciała. Stado skrzeczących, poruszających się na ośmiu nogach centaurów z napuchniętymi jak balony głowami o pozszywanych wargach ryknęło, zrywając więzy. Ściana dźwięku, która wydostała się z ich gardeł, zdarła mięso z wielu śmiertelników, a ich kości starła na proch. Gromy decybeli huknęły w bok pancierza Pochłaniacza. Grube na siedemdziesiąt centymetrów płyty ze wzmocnionej magią stali wygięły się.

Inkwizytor przeciął na pół mięsnego golema, który w tors miał wtopione wijące się, wciąż żyjące noworodki, i uniósł miecz. *Catherine* emanowała świętym ogniem w kolorze nieskazitelnego śniegu. Mężczyzna zaczął recytować egzorcyzm. Z jego ust ściekała krew, a z oczu karmazynowe łzy. Chwycił miecz przed siebie, niczym najczcigodniejszy z darów, a z jego wiecznie cynicznego gardła wychodziły słowa wypowiedane niegdyś przez samego Stwórcę. Żywe kakofoniczne artylerie, które całą sforą szykowały się do kolejnego destrukcyjnego ataku, zaczęły drzeć w konwulsjach i pękać niczym porcelana. Z ich wnętrz ulatywało rajskie światło. Biesy znikaly,

ginąc w łunach niebiańskich zórz. Właśnie wtedy nowe zagrożenie spróbowało jeszcze raz przechylić szalę na korzyść wroga.

Opasła istota, przypominająca komara skrzyżowanego z garbatym starcem, runęła na pozycje bojowników ludzkości. Ponadpięciometrowe bydlę o parszywej twarzy, z długim rurkowatym nosem i modliszkowatymi szponami pozbawiło życia dwóch Frangosów. Z tłustego odwłoku wypluwało, w głośnych torsjach, roje latających paskudztw. Powierzchnie, na których osiadły, gniły i rdzewiały, ciała, których dotknęły, czerniały, zmieniając się w szlam, a kości brązowiały i obracały w proch. Swym ssącym szpikulcem szkarada wpiła się w poszycie bronionej konstrukcji. Jakby za sprawą boskiej interwencji, chmary wielkich, piekielnych owadów opadły na betonowe podłoże. Ich makabryczne formy, wgniatane w ziemię, zostały w końcu kompletnie sprasowane. Istoty te dostały się pod władanie Ikariusa.

Wyklęty geniusz trzymał w dłoni przedziwny przedmiot. Nieduży, metalowy artefakt o wielu bokach pokrywały liczne przewody, rurki, sensory i kręcące się koła zębate, które na zmianę wypychały i wciskały malutkie mechanizmy. W środku urządzenia, w potężnych ekranach siłowych, uwięziono mały fragment gwiazdy neutronowej. Jej materia była tak gęsta, że napełniona nią łyżeczka ważyła dziesięć tysięcy ton. Za pomocą tego wynalazku Ikarius generował fale, które zwiększały masę każdego obiektu do gargantuicznych rozmiarów.

Srebrny człowiek uwolnił potencjał kolejnego przyrządu. Sześcian, wyglądający na wykonany przy użyciu dawno zapomnianej technologii i niewiele większy od jego dłoni, był cały pokryty referatami runicznymi. Zawarte w środku mikroskopijne układy skupiające i emitujące energię statyczną, ładowały się dynamizmem szalejącej bitwy. Na demoniczne plugastwa spadła polaryzacyjna burza, uwolniona na jego rozkaz. Mniejsze od razu były zwęglane, większe wyły i czerniały od oparzeń.

Inżynier Keor, choć nie dorównywał pod żadnym względem zbrojmistrzowi Oficjum, również dawał z siebie wszystko. Jego podbrzusze przebiła piekielna włócznia, więc stał zgarbiony, podtrzymując ciało na kilku metalowych mackach zakończonych hakami, które służyły też za dodatkowe kończyny. Grzesznik eksterminował czarta za czartem, strzelając ze swojego pistoletu torowego, unikatowego modelu. Zielonkawy strumień energii, wzbogaconej wnikliwym promieniowaniem, miał dość mocy, by topić skórę na Nienarodzonych.

Technolog osłaniał kilku Mortusów przed ogniem piekielnym pospiesznie naprawionym generatorem tarcz energetycznych. Używany w ten sposób emiter pola dymił i iskrzył, lecz wciąż jeszcze spełniał swoje zadanie. W tym samym czasie wyższy demon, z ostrzami zamiast ramion, jednym machnięciem ściął cały oddział Armatusów. Szkarada znów chciała zanurzyć swój sącdek w Pochłaniacz. Nie zdążyła, ponieważ wojenny jazgot rozciął okrzyk, w którym słychać było wyraźny północny akcent.

- Ura! - wrzasnął czarnoopancerzony Kolos.

Ursus skoczył z wyższego poziomu konstrukcji wprost na czerep potwora. Spadł na niego niczym meteor, a w jego dłoniach lśnił *Behemot*. Topór przeorał łeb maskary, która padając wyprostowała się jak struna, nie będąc świadoma swojej śmierci. Gargantuiczny krwio pijca cofnął się kilka kroków, dygocząc w konwulsjach i runął na plecy. Kapitan natychmiast zerwał się i wyjąc jak antyczny wiking młócił orężem. Jego plazmowy miotacz nagrzewał się do niebezpiecznych temperatur od ciągłych pociągnięć za spust. Mimo dzikości, siły i salw zjonizowanego gazu, Wielkolud lada moment zostałby pochłonięty przez prąd piekielnych mas, lecz wymierzone ze snajperską precyzją krótkie serie szatkowały korpusy i mózgi sług grzechu i potępienia.

Alexandra osłaniała swojego kompana, a przez system łączności nawoływała do jego powrotu.

- Ursus, ty idioto, chodź tutaj natychmiast! Kończy mi się amunicja... Do nogi, na litość Stwórcy - chrypiała, nie pudłując żadnego strzału.

Kapitan cofał się, odpierając atak za atakiem. Jego prawe ramię było wyraźnie poranione. Kolos zrównał się z Heltem, stojącym za opartym o konstrukcję zniszczonym Frangosem. Zamaskowany agent nie oszczędzał broni, która, rozgrzana do czerwoności, kopciła czarnym dymem.

Z boku artefaktu, należącego do Magów Kręgu Spero, Inkwizytor mierzył się z potężnym sługą Szatana. Olbrzym o ciele krokodyla zmieszanego z lisem był niemal tak wielki jak Węzeł, o który toczyła się bitwa. Złote światło spowijało Witeldona. Otoczona mrokiem bestia gromiła Witeldona czystą ciemnością wypuszczaną ze szponów. Nie pozostawał jej dłużny i przebijał zbroję nocy, którą przywdziało na siebie monstrum.

Lydia walczyła na dolnym poziomie. Dawała z siebie wszystko i, walcząc z wieloma koszmarami, broniła dostępu do Mistrza. Wiedziała, że ten, aby

móc odeprzeć atak jednego z czempionów Piekła, musi poświęcić mu całą uwagę, i nie mogą go rozpraszać potyczki ze zwykłymi trutniami.

Naboje najróżniejszych kalibrów, łuny energii, rakiety oraz pęki granatów świszczwały i grzmiały w towarzystwie kul ektoplazmy, złowieszczych ogni i plugawych inkantacji. W tle Extremus Invicta otrzymał paskudne trafienie potężnym strumieniem skwierczącej lawy. Napór demonów nie słabł nawet na moment. Świat dookoła Wężła tonął w masie tysięcy piekielnych mord i milionach zębów. Ludzie nie mogli porównywać się z hordami otchłani. Na placu boju zostało ledwie kilkunastu żołnierzy Oficjum i cybernetycznych sług Korpusów. Niemal wszyscy byli ranni bądź kończyli opróżniać ostatnie magazynki.

Człowiek z Wyobraźnią zdołał wreszcie przebić tors gadziego czarta gradem świętych włóczni, lecz w miejscu upadku bydłęcia pojawiły się kosmate pajęczaki o ludzkich torsach, które zaczęły wspinać się na jego pozycję. Dołączył do swej uczennicy, ratując ją od jadowitych kolców. Nie mógł jednak skutecznie eliminować nowych przeciwników. Nieoczekiwanie w jego głowie pojawiła się Białowłosa.

Możemy to wygrać – oznajmiła telepatycznie, zadowolona z siebie.

Rozejrzyj się i powiedz to jeszcze raz – parsknął w myślach, chwytając za długą szyję jednego z przeciwników. Jego protegowana zastrzeliła go z nadgarstkowych pistoletów.

Cały czas, gdy tak dzielnie broniliście mnie i Pochłaniacza, konwertowałam jego moc – mówiła szybko. *Za chwilę uwolnię całą energię, która zniszczy wszystko, co nie należy do materium* – była z siebie dumna, wyczuł to z jej tonu.

Latające paskudztwa o ryjkowatych mordach rzuciły się na niego. Odegnął je jednym gestem i pomógł Lydii w pozbyciu się kolejnego demona.

A co z nami?

Jej zdziwienie mocno wgrzyzło się w świadomość Człowieka z Wyobraźnią.

A co ma być? Mnie to nawet nie tknie, wy nie macie talentu magicznego, z Piekła też nie pochodzicie... – *zawahała się*. Może to być mocno nieprzyjemne.

Nowe zastępy nadchodziły, kolejni ludzie wędrowali do domu Pana.

Zrób to, Vivienne – powiedział, a sekundę później cały świat utonął w inferno.

Nieprzebrana fala surowej energii magicznej niczym z pękniętej tamy rozlała się po całym placu, dotykając chmur. Ludzie padali na kolana i kładli się na ziemi, cierpiąc w atakach padaczki. Wrzaski śmiertelników były wszechobecne. Witeldon sam upadł na jedno kolano, zapierając się o miecz. Jego dusza była w ogniu. Czuł, jakby w jego duchowym wnętrzu rozlała się zawartość hutniczego pieca. Chciał krzyknąć, lecz tylko zacisnął szczękę z taką siłą, że wzmocnione zęby popękały. Przedstawiciele Korpusów i ich kreacje zachowywali się tak, jakby ktoś odciął im zasilanie. Armatusi, Frangosi, Feroxy i inne rodzaje blaszaków padły wyłączone. Ich baterie były wylądowane, a reaktory wystygły.

Szalejąca energia skończyła się tak nagle, jak zaczęła. Grzmoty wojny ustały, zawrota głowy i ból głowy zamierały. Członek Świętego Oficjum odetchnął głęboko, przymykając na moment oczy. Czuł, jak krew kapie mu z nosa, uszu i reszty otworów na twarzy. Jego ulepszony organizm pozwolił na uronienie tylko kilku kropel. Zrewitalizował połamane uzębienie. W kilkanaście sekund zawartość szczęki znów była kompletna. Bezceremonialnie wypluwał kawałki poprzedniej. Rozglądał się, poszukując resztek żołnierzy. Widział, jak Ursus na chwiejnych nogach, wycierając twarz z posoki, podnosił Alexandrę, która tłumaczyła mu, że poradzi sobie sama. Agent Helt odszedł na bok, zdjął maskę i wymiotował gęstą mazią. Technologowie restartowali swoje systemy i próbowali włączyć maszyny. Wszyscy całkiem dobrze radzili sobie z konsekwencjami tego mentalnego szturmowania.

Dostrzegł siedmiu ruszających się Mortusów, a wyświetlacze to potwierdziły. Przesunął się do Lydii. Jego ciało kończyło regenerację i był już całkowicie sprawny. Półprzytomna dziewczyna siedziała oparta o ścianę Pochłaniacza. Zajął się aktywacją systemów jej pancerza, by mogła dostać odpowiednie stymulanty. Rozejrzał się po placu należącym do Magów. Wybuch choć ich niemal zabił, demony całkowicie zdeintegrował.

Cała okolica wokół artefaktu poczerniała. Strzępki budowli rozpadały się na wietrze. Dwa gigantyczne mechy Inżynierów, pozbawione tarcz siłowych i nadtopione, chwiejnie zmierzały do reszty swojego ugrupowania. Były poważnie uszkodzone i wyczerpane bitwą. Wszystkie czarty zniknęły. Wyostrzonymi na spaczenie i magię zmysłami nie wyczuwał niczego. Nawet powietrze było jakby czystsze...

Obok niego pojawiła się wysoka kobieta.

- To było naprawdę coś. Wyzwoliłam całą moc tego ustrojstwa - gdy mówiła, jej oczy lśniły złotą łuną. - Uszczknęłam co nieco dla siebie - dodała, oblizując wydatne wargi.

Inkwizytor milczał. Podciągnął za rękę trzeźwiejącą protegowaną. Dziewczyna posłała mu lekki uśmiech. Reszta drużyny podchodziła do nich ze wszystkich stron.

- Nie wiem jak wy... - zaczął Ursus, wydłubując z ucha zakrzepłą krew. - ...ale ja, jak to się już skończy, idę na piwo - odparł i parsknął.

Poirytowana tym gadaniem Szpieg-mistrzyni sapnęła i pokręciła głową. Inżynierowie czekali, zastygli niczym posągi.

- Pójdę z tobą - odezwał się w końcu Witeldon. Gdy Ursus wyciągnął przed siebie topór w geście zwycięstwa, on przeniósł spojrzenie na Białowłosą. - Choć niemal odebrałaś nam życie, to jestem pod wrażeniem - pochwalił ją, przyglądając się, jak wydyma swoje wargi.

Alexandra wpięła ostatni magazynek do karabinu pod kuszą *Sanctificate* i chrupnęła karkiem.

- Jakie rozkazy, mój Panie? - zapytała. Zawsze lubiła konkretne informacje, wytyczne i dane, które mogła wykorzystać w walce. Niedaleko niej zatrzymał się Helt z ocalałymi Mortusami.

Nastała cisza, przerywana odległą kanonadą i piskiem najpotężniejszych armat, zamontowanych na stalowych awatarach geniuszu ludzkości, najcenniejszych dziełach Kuźni. Wykorzystywali ją, by w spokoju odzyskać siły. Ten chwilowy spokój przerwała nadchodząca wiadomość, transmitowana na ogólnym łączu oficjeli Inkwizycji i Korpusów.

- Inkwizytorze Witeldonie, czy ty i twoi podwładni odbieracie moje dane?
- metaliczny, całkowicie sztuczny głos Starszego Inżyniera Khula Jukasa przypominał huragan.

- Mów - ponaglił go Brodacz.

Dalszą wypowiedź Przewodniczącego Ostatniego Żelaznego Komitetu poprzedziły liczne trzaski, szumy i wycie syren alarmowych.

- Ugrupowania superciężkich jednostek kroczących dotarły na skraj epicentrum demonicznych wpływów... sokie straty ponios... wszys... jednostk... - zakłócenia były coraz większe. Ikarius zaczął gorączkowo manipulować przy swoich podręcznych konsolach. - Nie możemy przejść dalej, znaczny opór przeciwnika - sygnał się stabilizował. - Potrzebna

interwencja Oficjum. Obliczenia sygnalizują, że weszliśmy w fazę końcową bitwy – narastające dudnienie masywnej maszynerii złowrogo grzmiało w tle. – Jeśli zmienne będą ingerowały we wzory na naszą niekorzyść, uzyskany wynik będzie ujemny... przegramy.

Wszystko, co się zaczęło, kiedyś musi dobiec końca – pomyślał Witeldon.

– Kontynuuj natarcie – rozkazał. – Nadchodzimy – zakończył połączenie i przeniósł wzrok na Czarnoksiężniczkę. Jej kostur zaczął emanować białą łuną.

Każdy z wojowników Światłości i technologii stał w pełnej gotowości. Wszyscy patrzyli w milczeniu na otwierający się portal. Ich rany, siniaki, urazy i zmęczenie nie wygrywały z determinacją, poczuciem obowiązku i wiarą. Byli połamani, lecz niezłomni, a ich dusze ufortyfikowane dedykacją dla Bożego celu. Wiedzieli, że nie walczą tylko dlatego, że nienawidzą tego, co przed nimi. Przelewają krew swoją i przeciwnika, ponieważ kochają to, co za nimi.

– I choć ciemność otacza nas zewsząd, my jesteśmy pochodniami Jego woli... – Inkwizytor zaintonował Litanie Oddania.

– Rozproszymy mrok myślą, słowem i czynem, za każdym razem chwając Jego imię – odpowiadali chórem.

Religijność nie miała tu większego znaczenia. Serce bogobojne czy nie, zawsze szukało wsparcia w trudnych chwilach. Uniósł *Catherine*.

– Chwalmy Stwórcę, który tchnął w nas cząstki mocy, byśmy nieugięci trwali w ciepłe Jego światła. Byśmy ogniem Boskiego gniewu pokonali nasze słabości i wyrzekli się grzechów. Byśmy naszym czasem na Ziemi dali Mu świadectwa żywotów naszych jako powody do dumy.

Runy na mieczu lśniły od mocy, a Niebo zdawało się lekko przejaśniać, choć może był to tylko sen na jawie. Portal się ustabilizował. Białowłosa dokonała ostatecznych kalibracji.

– Śmierć w Boskiej służbie jest nagrodą samą w sobie, życie w strachu przed nią jest samoistnym potępieniem – grzmiał Witeldon.

Wszystko było gotowe.

– Droga zwana Służbą i Obowiązkiem, choć wyboista dla nas, zostanie wygładzona dla innych przez nasze działania.

Mężczyzna wskazał mieczem magiczną bramę.

- Słowa wiernych są jak góry, ich czyny jak całe światy. To właśnie z nich spada na nas Boskie światło. Niechaj wskaże nam drogę do zwycięstwa. Nawet gdybyśmy mieli stracić z oczu blask gwiazd, nie lękajmy się, gdyż Jego Światłość jest w nas wieczna. Amen - Inkwizytor zakończył modlitwę i rozkazał wejść w nieskończoność.

Wszyscy zniknęli w odmętach wszechświata, by wyjść wprost w Piekło, jakie zawitało na Ziemię.



Z nieboskłonu lała się przeklęta zorza i spaczony ogień. Pożoga rozkwitała wszędzie, a swoimi korzeniami z lawy kruszyła grunty. Miejsce, w którym Najokrutniejszy przeprowadzał rytuały, było końcem wszystkiego. Krajobraz składał się teraz z mięsa, kości, betonu, licznych minerałów ziemskich i piekielnych. Wijące się i kręcące niczym wiry wieże, zbudowane z ludzkich szczątków, pulsowały złowrogą aurą, czczoną przez demony. Z podłoża wyrastały wielkie szpikulce, które przebijały walczących po stronie ludzkości. Kryształowe polany błyskały barwami, jakie nie występowały w wymiarze śmiertelników. Od światła ludzie tracili zmysły, a ich gałki oczne wyskakiwały z oczodołów, by wciąż móc patrzeć na plugawe tęcze. Lasy wzniesione z przesiąkniętych mocą kamieni szlachetnych eksplodowały raz za razem fontannami odłamków, które rozrywały wszystko na swojej drodze. Z betonowej ziemi wychodziły organiczne macki i paszcze na długich ścięgnach, których jedynym celem było pożeranie Bożych dzieci.

Mroczna świątynia, wzniesiona przez Amona, przypominała demoniczne zamczysko. W najwyższej wieży, usytuowanej w środku kompleksu, karmazynowa włócznia śmiercionośnej mocy przebijała niebo i swoją aurą pokrywała całą okolicę. Żar lał się z nieba, palił ludzkie dusze i osłabiał niedoskonałe ciała. Budowla zapadła się częściowo w otchłań podziemi i zanurzyła w krwawym jeziorze, które wrzało wokół niej. Lekko przechylony teren dodatkowo utrudniał śmiertelnikom walkę. Samą siłą grawitacji spychani byli z góry w czarcie paszcze.

Nieprzeliczone zastępy koszmarów szarżowały na bogobojnych wojowników. Demony nieskończenie różnych form, kształtów i rozmiarów nie zniechęcały się. Mimo że gromione z tysięcy karabinów świetlnych,

burzowych, setek armat, miotaczy i projektorów, te personifikacje szaleństwa ignorowały każdy ostrzał.

Ziemia utonęła w fali plazmy. Wysoki na kilkanaście metrów potop przelał się, anihilując wszystko na swojej drodze. Rzeka lawy była jedynym świadectwem destrukcji.

Zrodzony z Kuźni i wizji Kościoła *Manu Dei* wsparł mniejsze jednostki. Tymczasem rój rakiet raz za razem opuszczał wyrzutnie *Pugnus Metallum*, zabijając sługi ciemności. Co sekundę ginęły ich setki. Ostatnich kilkanaście głowic maszyna nakierowała w stronę krwistej cytadeli. Każda z nich rozbiła się o pole magiczne.

Starszy Inżynier Khul odnotował przybycie Członka Świętego Oficjum. Wraz ze swoimi podwładnymi wyszedł z portalu i wszyscy dołączyli do bitwy w miejscu, gdzie powstał wyłom. Pojedynczym impulsem myślowym technolog uruchomił z poszycia gigantycznego mecha dziesięć skorpionopodobnych transporterów Korpusu, model *Aculeus*. Każdy miał na pokładzie trzydziestu *Armatuśów*, gotowych do ochrony Inkwizytora.

Witeldon gromił demony pulsującym światłem, które wylaływało z jego palców. Walcząca obok *Vivienne* przywołała magiczny huragan, który do kości ogołocił rzesze pomiotów. Mężczyzna i kobieta oraz ich towarzysze broni, walczyli ramię w ramię. Cyborgi próbowały dotrzymać im kroku.

Człowiek z *Wyobraźnią* niknął w obłoku boskiego światła. Łuna niebiańskiej łaski rozpraszała bluźniercze inkantacje. Abominacje łkały i piszczwały, patrząc zaropiałymi ślepiami na fragment nieba. Były ostrzeliwane skoncentrowanym ogniem dodatkowych jednostek, które dotarły na pierwszą linię. Dywizje pancerne taranowały zwały ciał i rycząc ze swych dział, wzbijały w powietrze fale krwi. Demonów było nieprzebrane morze. Nawet ślepy nie mógłby chybić. Tuż poniżej chmur szwadrony myśliwców walczyły o dominację z wielkimi płaszczkami i zmutowanymi kilkugłowymi sępami wielkością równe kolejowym wagonom.

Pozbawiając słonio-koziej głowy jednego z poruczników *Piekle* i legionów *Marbasa*, Witeldon zmaterializował swoją nienawiść i spopielił ciało bydlaka. Otoczywszy się potężnymi błogosławieństwami, recytował egzorcyzmy. Był batem na wszelkie zło, katem na plugastwa i spaczenia. Patrzył jak główne kolubryny *Pugnus Metallum* uwolniły swój potencjał. Sześć promieni zdolnych strącić cel na ziemskiej orbicie, załamały się na tarczy zamczyska.

- Nie marnuj mocy na tę strukturę - rozkazał Starszemu Inżynierowi przez komunikator. - Musimy zniszczyć ołtarz, na którym Arcyczart zaczął to pandemonium. Dopóki tego nie zrobimy, jesteśmy na straconej pozycji. Kiedy przejdziemy za osłonę, uderzymy wszystkim, co mamy.

Ursus, Lydia i Alexandra połączyli siłę swoich broni dystansowych, by rozwalić oddział demonów wyglądających jak napuchnięte kilkutonowe noworodki. W tym momencie Białowłosa krzyknęła z bólu i wskazała wieżę.

- Uwaga! - wrzasnęła ile sił w piersiach i roztoczyła nad nimi tarczę. Targana bólem, uklękła i wsparła się o kostur.

Ze źródła tej apokalipsy wystrzelił laser o niewyobrażalnym rozmiarze. Krwista wiązka przeorała pole walki, tnąc kamienie niczym papier i posyłając w niebyt wszystko na swojej drodze. Zatrzymała się na Extremusie, ufundowanym przez Kościół. Bariery maszyny pękły, a ją samą smagnęła niemożliwa do ogarnięcia moc. Gigant wybuchł. Jego metalowa konstrukcja runęła, wzbijając burzę pyłu i kurzu. Z kanionu wrytego w ziemi wyłaziły kolejne maskary.

W komunikatorach rozległ się krzyk Starszego Inżyniera Khula Jukasa.

- *Manu Dei* została zniszczona! - zagrzmiał przerażony. - Straciliśmy siedem procent sił - wszyscy poczuli, jak z nieba zaczął padać deszcz krwi. - To koniec - oznajmił rezonującym tonem. - Na Stwórcę, śmierć! Śmierć jest tutaj!

Zwiastujące zagładę światło znów zaczęło rosnać...

ROZDZIAŁ XXXIII



PRZYGOTUJ RZEŻ DLA SYNÓW I CÓR HERETYKÓW, Z POWODU NIEGODZIWOŚCI ICH OJCÓW I MATEK.

NIECH NIE POWSTANĄ I NIE WEZMĄ ŚWIATA W DZIEDZICTWO.

NIECH NIE ZAPEŁNIĄ MIASTAMI POWIERZCHNI ZIEMI.

SZCZĘŚLIWY BĘDZIE, KTO CHWYCI I ROZBIJE O SKAŁĘ HERETYKÓW DZIECI.

BŁOGOSŁAWIONY BĘDZIE, KTO ROZTRZASKA CHŁOPCÓW, A ZMIAŹDŹY DZIEWCZYNKI.

SŁAWIONY BĘDZIE, KTO INNOWIERCOM ZGŁADZI PIERWORODNYCH, SKAZUJĄC ICH NA ZAPOMNIENIE.

JEDEN JEST TYLKO NARÓD, DLA KTÓREGO BÓG STWORZYŁ ŚWIAT.

KATECHIZM ZAPEWNIENIA, WYGRAWEROWANY NA MROCZNYM OSTRZU ROMULUSA.

Kilka minut wcześniej...

Całe mroczne sanktuarium tonęło w pejzażach nieskończonych i nieznanych światów. Rozerwano wszystkie szwy, które trzymały rzeczywistość. Na portalach malowała się gehenna, zagłada i koniec cywilizacji smukłych, kotopodobnych istot. Odległy ekran pokazywał chwile, gdy kolejny świat zamierał w wiecznym zimnie, gdy ogrzewająca go gwiazda zgasła bezpowrotnie. Los następnej planety budził grozę. Usychała z pragnienia przez kaprys istoty z międzywymiarowej pustki. Tajemnicza siła w jedną noc pozbawiła tamten glob życiodajnego płynu.

Furtek do tych i innych czasów była niezliczona mnogość. Królowały w nich wizje tego, co czeka ludzkość, na którą patrzy Arcydemon. Ziemia pogrążyła się w milczeniu i chłodzie. Walki ucichły, a ognie zniszczeń wygasły. Dom śmiertelnych był bez życia. Po ludzkości pozostały tylko

szkielety. Kości przykrywały całe miasta, opatulały pola i wypełniały pustki po oceanach. Planetę zarosła gęsta, krwawa latorośl, która trzymała w żelaznym uścisku każdą jej połąć. Puste ruiny topiły się od promieni napuchłego czerwonego Słońca. Nie było nadziei, nie dało się usłyszeć nawet szeptów dusz, które zostały pożarte przez demony. Ziemia wciągnięta w odmęty Piekła długo żywiła zwycięzców.

Następna ilustracja pokazywała nieskończone Legiony, które niczym unia wszelkiego zła wyciągały łapy w stronę złoto-lazurowego nieboskłonu. Anielskie zastępy, na czele z Metatronem, który zajmował miejsce obok Stwórcy, wystąpiły przeciwko plugawym hordom. Mimo że rozmiar starcia będzie tytaniczny, sprawa już dawno była przesądzona. Czarty szturmem brały Bramę Niebios i niedługo sam Bóg zostanie zrzucony ze swojego Królestwa. Runie w nicość, jak kiedyś niechciana materia, która dała istnienie Diabłom. Zemsta zostanie dokonana...

- Prześliczne, nieprawdaż? - rozbrzmiał kobiecy głos, pełen chuci i swawoli, wyrywając Kruczogłowego z zamyślenia.

Ten zawarczał, poirytowany pojawieniem się niezapowiedzianego gościa. Brak linii czasowych drażnił go ponad wszystko. Odwrócił się bokiem do Demonicy.

- Nie pogrywaj ze mną - powiedział, a lód kapał z jego dzioba. - Zawsze masz cel w tym, co robisz. Jaki tym razem?

Przeszedł na skraj wieży, by obserwować pole bitwy. Demonica ruszyła za nim, zarzucając ponętnie biodrami. Jej delikatna dłoń bawiła się w materiałach wielu wymiarów. W drobne palce pochwyciła projekcję malutkiej gwiazdy, którą zgmiotła z uśmiechem na ustach. Być może niewinnym kaprysem uszkodziła własność Kruczogłowego, a może naprawdę gdzieś już nigdy nie nastanie dzień...

- To nie są nici wszechobecności - powiedziała prześmiewczym i eksperckim tonem. - Co to jest? Twoja kolekcja? Nie wiedziałam, że z Ciebie taki mecenas sztuki - drwiła.

W oddali walczyli ludzie, dając z siebie wszystko. Ci z krwi i kości wspólnie z tymi z metalu i płynnych nośników. Umierali gęsto, lecz zbliżali się. Niesnaski w szeregach Najokrutniejszego doprowadziły do walk o łupy i dusze. Markiz szybko przywrócił swoją dominację, lecz musiał wypędzić

niektóre problematyczne ogniwa. Zwłaszcza te z kręgów Piekielnych Kowali i Wynalazców. Bez ich maszyn Extremusy dawały ludziom dużą przewagę.

- Choć zniszczyłaś to, co dla nas najcenniejsze, a na dodatek pomagasz bardziej tym niewolnikom niż nam, to musisz wiedzieć, że są inne sposoby wglądu w wariacje czasoprzestrzenne - mówił i obserwował, jak plugastwo, z nogami i rękami przypominające kościoły, uwolniło potop ognia na jego Legiony.

Zaśmiała się.

- To o co jesteś taki oburzony, skoro nadal możesz podglądać czyjeś karty? - bawiła się puklem włosów.

Westchnął oparty o halabardę. Męczyła go jej obecność.

- To są projekcje - zaczął, a grad spadających rakiet dudnił o barierę, którą otoczył swoje zamczysko. Jego prywatne włości coraz bardziej wchodziły do wymiaru ludzi. - Widzisz tutaj to, co się stało, i to, co się dzieje. Informacje z nieskończoności spływają do ciebie jak krew kapiąca z rany na podłogę. Wszelkie obrazy ukazujące przyszłość są jak sny, które mimo że bywają prorocze, to przeważnie są bezwartościowe - martwym i pustym wzrokiem znów spojrzał na kobietę. - Ty również jesteś w kręgu moich planów i ambicji. Tego, co osiągnę, gdy skończy się to, co zacząłem tutaj.

Jej śnieżnobiałe, ostre jak brzytwy zęby, które pokazywała śmiejąc się, zwiększały ogień jego furii.

- A więc marzyciel z ciebie? Nie ma powodu do wstydu - śmiała się teraz na głos.

Nie zdążył nic zrobić, ponieważ akurat otwarty został portal z niebieską luną. Amon natychmiast skupił na nim swoją uwagę, a jego wzrok zapewniał mu absolutną widoczność. Nie dotyczyły go ograniczenia biologii.

Z teleportacyjnego tunelu wybiegli słudzy Oficjum z Inkwizytorem na czele. Markiz doskonale czuł jego obecność. Gniew, nienawiść, furię, ból, determinację, oddanie i... smutek. Jedyny nieśmiertelny z ludzi nie tracił czasu. Świetliste bicze trzaskały z jego dłoni i karcily mieszkańców Piekła. Przeklęty miecz, anatema dla całego mroku, gasił esencje najsilniejszych czartów. Niczym cesarz oglądający gladiatorów w Koloseum patrzył, jak Czempion Boży, lśniąc w blasku zesłanym na niego przez same Anioły, odsyłał w niebyt całe szatańskie zastępy. Diabelskie ciała smażyły się

i pękały, wystawione na działania niebiańskiej aury. Amon słyszał wypowiedane przez Brodacza zdania. Jego nieludzkie oblicze przeszył grymas. Nawet z tej odległości Słowa Mocy karały jego jaźń.

Wraz z przybyciem psa Świętego Oficjum wydawało się, że lada moment ludzie przejmą inicjatywę.

- Nawet nie wiesz, jak mnie pobudza taki widok! - westchnęła Demonica, bez skrępowania pieszcząc swoje ciało. - Jest taki, jak go zapamiętałam - mruknęła.

Najokrutniejszy nie dawał się prowokować.

- Po co tutaj jesteś? - zapytał beznamiętnym tonem, choć jego głos był głębszy od bezkresu Otchłani.

Jej bursztynowe oczy rozświeślały nieprzyzwoicie piękną twarz.

- Chciałam się z tobą pożegnać, ptaszku - powiedziała rozczulająco.

Zdanie to skruszyło wszystkie niedopowiedzenia, tajemnice i cienie, które otaczały tę chwilę. Zupełnie jakby zdjęty został urok.

Jeden z Panów Piekła przez długą chwilę patrzył w ciszy na dalszą kruczającą Inkwizytora. W końcu przemówił, bez gniewu, bez uniesienia. W końcu zrozumiał.

- Wygrałaś.

- Niby w czym? - zapytała z udawaną niewinnością.

Wyciągnął swój szpon. Z Katalizatora na ołtarzu zaczęła wychodzić karmazynowa esencja. Moc kumulowała się w jego masywnej dłoni. Teraz wszystko stało się proste, wszystko było klarowne. Całe mroczne sanktuarium utonęło w krwistej łunie.

- Przez setki lat powolnie, stopniowo, w sposób wyszukany uszkadzałaś linie czasowe. Ogłupiałaś Piekielne Łoże. Nie jesteś zrodzona z pierwotnej piekielnej materii, więc nie należysz do naszej jaźni. Żaden demon nie może cię wyczuć, nim się nie odsłonisz. Nikt z nas, Panów Piekła, nie potrafił zrozumieć, co psuło wiarygodność naszego wszechwidzenia - pokręcił głową. - Nikt nie mógł, gdyż ty zostałaś stworzona ponad tym aspektem rzeczywistości. Niemożliwa do namierzenia, robiłaś swoje wraz z tymi pędrakami Liberałami - zacisnął pięść. - Gdy nadszedł czas, że zaczęliśmy być wam potrzebni, zwołane zostało zebranie, po którym roztrzaskałaś niemal wszystkie linie czasowe. Ty dobrze wiesz, jak to się skończy, jaki będzie finał tego starcia - wskazał halabardą na rzeź. - Pozabijałaś nas

wszystkich, nawet nas nie dotykając. Żadnego ciosu, żadnego trudu... Swój los zgotowałem sobie sam, ale innym również zostały już tylko chwile – zarechotał i całkowicie spoważniał. – Gratulacje, Demonico, zdobyłaś mój szacunek, a teraz idź, kończ co zaczęłaś – zaparł się o *Infinito Dolore*. – To mój koniec, tylko mój.

Piekielna kobieta, choć nie było to w jej naturze, ukłoniła się i odeszła w głąb pomieszczenia.

– Nasz ostatni krok jest często również pierwszym – powiedziała tajemniczo i rozpląnęła się w błyskach ognia.

Amon rozważał jej słowa. *Nawet nieskończoność ma swoje granice* – pomyślał i wystawił przed siebie swój szpon, wkładając w to dużą siłę. Apokaliptyczny laser przeciął pole bitwy, rozczłonkowując chodzącą parodię ludzkiej wiary. Poczul w nozdrzach gryzący, bogaty zapach strachu i żalości. Jego usta wypełnił smak świeżych dusz.

– Śmierć z mojej ręki to błogosławieństwo – wyrecytował i poczuł, jak wzbiera w nim moc na drugi atak. Rytuał był na ukończeniu.

Już lada moment każda za stron wyłoży na stół wszystkie karty.



Linia pożogi w kolorze wina ponownie skarciła śmiertelników za ich upór i oddanie. W mgnieniu oka wyparowały setki ludzi. Ich dusze wyrwane z ciał i wystawione na tak wielkie spaczenie poderwały się w górę i z szaleńczym wrzaskiem runęły na dalsze oddziały człowiecze. Esencje wieczności wybuchały w wirach agonii i zapomnienia, kładąc trupem następnych nieszczęśników.

Z rozlazłej szramy piekielnej do boju ruszyły zastępy zła. Biesy o rajskich ciałach ogłupiały niedoskonałe umysły, a zbliżywszy się, przebijały ofiary szponami i ostrymi, kolczastymi jęzorami. Strumienie z dziesiątek miotaczy ognia i granaty zapalające na jakiś czas zatrzymały atak.

Ofensywa ludzkości osiągnęła swój punkt krytyczny. Wszystkie przednie linie zostały rozciągnięte do granic możliwości. Ci, którzy wchodzili do walki, ledwo nadążali łątać coraz liczniejsze wyłomy. Włączone do akcji rezerwy i jednostki pomocnicze szybko wymieszały się z żywymi i zmarłymi.

Carine nie przestawała wydawać pomruków. Nienarodzeni znikali w rozbłyskach supernowych. Witeldon, nie ściągając palca ze spustu, coraz

mocniej pragnął, by jego pistolet strzelał częściej niż co dwie sekundy. Potężna broń niszczyła zło za wolno.

Czarnoksiężniczka nie podzielała jego zmartwień. Wbiła kostur w beton, uniosła wysoko rękę i nabrała w płuca tyle powietrza, ile mogła. Wciągając negatywne emocje i energie szalejące na polu bitwy, Mistrzynie Magii posłała nagromadzoną aurę daleko przed siebie. Demony ogarnął podmuch czarny i gęsty jak smoła, topiąc je w smutkach i bezsilności. Gdy fala złej mocy rozeszła się na wietrze, dostrzec można było resztki dziwacznych szkieletów, ubranych w szerniąłą, wyschniętą skórę.

- Szkoła Nocy - krzyknął do niej Witeldon, będąc w lekkiej konsternacji. Jedno cięcie miecza przebiło czerep szalejącej w konwulsjach, koszmarnej płaszczki na strusich nogach.

- Później dasz mi szlaban - parsknęła, a z opuszków palców zaczęła się lać fioletowa fontanna gęstego, leniwego światła, które rozpuszczało czarcie ciało.

Nie wszystkie dyscypliny magii były dozwolone. Pewne jej odłamy balansowały na krawędzi przyzwoitości i były obłożone licznymi obostrzeniami. Kręgi magiczne i Oficjum zakazywały niektórych. Tkanie energii, którą teraz posługiwała się Białowłosa, opierało się na złych uczuciach, emocjach i grzechach. Były to działania niebezpieczne, ponieważ do tego, żeby mrok zwalczać mrokiem, trzeba wpierw go dotknąć.

- Cel uświęca środki - odparł, cytując słowa z Księgi Mroku.

Gdy zaczął recytować przekłete inkantacje, korpusy ludzkie zalegające na terenach odbitych i najeżdżanych przez sługi Szatana zaczęły drzeć i lśnić atramentową łuną. Nieboszczycy nawet po śmierci mogli służyć Stwórcy. Ich skorupy w jedną chwilę tłumnie poderwały się na Legiony. Ignorując je, czarty wchodziły coraz głębiej w trupią zamieć. Dopiero gdy obie siły się wymieszały, uwolniona została klątwa rzucona przez mężczyznę. Wszelkie zwłoki dotknięte duchową zarazą i przesiąknięte nienawiścią pały żądzą zemsty. Mimo że ich ciała były lodowate, za ich sprawą świat zatracił się w spaczonym ogniu. Martwi wykonali wyrok na swoich oprawcach. Wyzwolona negatywna energia rozsadzała czarty, które bulgocząc zamieniały się w ropny gulasz.

Błyski karabinów świetlnych były tak liczne, że można było oślepnąć. Ciężkie armaty, baterie artylerii i znacznie bardziej egzotyczne bronie

ustawiono na ogień automatyczny. Nikt nie zdejmował palca ze spustu. Lydia gorączkowo broniła się przed kilkunastoma maruderami Piekła, zabijając wielu z nich. Popełniła jednak pierwszy błąd. Wypadając z rytmu, dała się trafić w plecy. Spróbowała odskoczyć, lecz następny pomiot już do niej dopadł.

Plugawy łeb spadł, strącony cienką wiązką lasera. Reszta wiecznie potępionych grasantów padła tocząc pianę i umierała w mękach, gdy pośród nich wybuchł granat. Nie było w nim ani krzty fosforu, szrapnela czy szczątek świętych. Był to specjalnie spreparowany impuls, który zaburzył wszelką gospodarkę bioenergetyczną demonów. Sługusy zła legli martwi, a dziewczyna pozostała nietknięta, ponieważ była człowiekiem.

Poczuła za sobą czyjąś obecność, usłyszała charakterystyczny głos tak czysty i płynny, że wydawał się jakby sztuczny.

- Rana uczennicy Lydii powierzchowna. Pancierz wytrzymał. Aktywowałem zdalnie procedury leczące - Ikarius wymienił wszystkie podjęte działania. Jedną ręką pomagał jej wstać, z drugiej, otwartej jak do błogosławieństwa, błysnęła biała luna, która rozgoniła kreatury biegnące w ich stronę.

Gdy geniusz technologicznych arkanów pomagał nastolatce, szala w tej walce przechylała się na stronę wroga. Wysoka kobieta toczyła walkę z całym sabatem wiedźm z Otchłani. Kaskady mroku i światła podrywały w powietrze setki ton gruzów. Czołgi, transportery i roboty latały jak zabawki rzucone przez dziecko. Demoniczne tkanki zamieniały się w proch, a ludzkie ciało mutowało na tysiąc i jeden sposobów, tworząc parodie stworzenia.

Fuzja umysłów trzykrotnie przeklętych szarlatanów posłała przez pole bitwy wyjącego ptaka o sześciu skrzydłach i wielu oczach. Zwierzę wielkości kościelnej wieży gasiło życia wszystkich, nad którymi przeleciało. Awatar nicości rozbił się o Extremusa Argenti, anihilując go. Kilkunastometrowa maszyna spadła jak kometa, zabijając wiele drużyn Mortusów i Armatusów.

Potępieńcy zaczęli wiwatować i ujadać. Gloryfikowali profanacje, jakich dopuszczali się w imię swoich Patronów. Jednak ich radość skończyła się tak szybko, jak gaśnie zdmuchnięty płomień świecy. Wszystkie przeżarte spaczeniem ciała zostały nadziane na pale, wykonane z dymiącego krwawego szkła, które wyrosły idealnie pod wszystkimi zniewolonymi przez

Pieć apostatami. Inkwizytor wypowiedział kolejne wersety, pisane rękami Arcyczartów. Drżąc, wykonał gest, po którym stosy zajęły się ogniem. Wycie konających czarcich wynaturzeń było nagrodą dla Sługi Bożego.

Mimo że bitwa wrzała w najlepsze, Witeldon upadł na kolana. Jego skrwawioną twarz pokrywały czarne żyły. Oczy całkowicie wypełniały źrenice, które ziały nieskończonością pustki. Gdy głosił Słowa Mocy, spowił go ciemny dym. Wyrazy, z których jedno zdanie zgasiłoby życie niemal każdego z Inkwizytorów, opuszczały jego jaźń. Czuł, jak pod zbroją kości przebijają skórę. Całe ciało ulegało torturom, a dusza była rozrywana na kawałki. Nie przestawał się regenerować, odrastać i stawać się całością. Rzygając spaczoną krwią, użyźniał ziemię przesiąkniętą grzechem.

Z gruntu zaczęła wychodzić szarańcza. Tak liczna, że przysłoniła niebo. Członek Świętego Oficjum zesłał jedną z legendarnych plag zapisanych w Czcigodnych Tomach. Mordercze owady, które kiedyś ukarały grzeszników, krzywdzących wierne Boże dzieci, teraz nie miały litości dla herezji, trawiącej ludzkość. Insekty wielkości ludzkich głów o metalicznych, chromowanych pancerzach, zostały nasączone taką mocą, że mogły chłonąć ciała Nienarodzonych. Rój podnosił się niczym tsunami. Człowiek z Wyobraźnią uniósł dłonie w górę. Wzburzony ocean plugastw zamarł w miejscu.

- Devorare! - co oznaczało pochłonać.

Fala opadła, zaczął się potop. Maszkary popadły w anarchię, a ich napór został zatrzymany. Stworzenia w sekundy ogołacały do kości spaczone ciała. Chmara nie zwalniała, apetyt rósł z każdym kęsem. Za sobą plaga pozostawiała lśniące, wyjedzone do czysta kości, które układały się w stosy. Rosnące na ich oczach wapienne wzgórza napawały żołnierzy strachem, a nie radością. Wszyscy znali Pismo. Dla nich był to jeden ze znaków Czasów Końca. Nie przestawali jednak atakować. Parli do przodu, korzystając z przewagi. Demony próbowały palić szarańczę plugawą magią, lecz wszystkie inkantacje były nieskuteczne.

Inkwizytor klęczał na szeroko rozstawionych kolanach, z opuszczonymi rękami. Cały był we krwi i wyglądał, jakby ktoś obdarł go ze skóry. Spaczenie topiło jego ciało. Powinien umrzeć już podczas starcia z Amonem w Pałacu Gubernatora, gdy dostał w pierś. Przeżył. Rytuały czyniły go niewolnikiem doczesności, pozwalały walczyć nawet wtedy, gdy logika i prawa natury mówiły coś innego. Nie był normalnym człowiekiem. Po to, by

stawać w szranki z potworami i mieć szansę wygrać, musiał się stać takim jak one.

Z wieży na szczycie zamczyska Najokrutniejszego błysnęło karmazynowe światło. Bariera otaczająca zamek zapulsowała, w mig strącając mityczne robactwo. Laser zniszczenia wystrzelił wprost w Witeldona. Mężczyzna nie mógł się bronić. Widział nadciągającą zagładę, która zabiera ze sobą setki kobiet i mężczyzn. Wiązka światła eksterminowała czołgi i wyparowywała myśliwce. Nim zdążył się pomodlić ostatni raz, Viviene i Ikarius stanęli przed nim. Obydwoje wzniesli wielowarstwowe bariery ochronne, magiczne i technologiczne, osłaniając w ten sposób swojego Pana.

Rubinowa gehenna przeszła przez tarczę. Klosz pękł, przyjmując na siebie najgorszy atak. Siła uderzenia i wyzwolona moc porozrzuciły wszystkich. Białowłosa przyklękła i wsparła się na swoim kosturze. Cierpiała. Wynalazca zaczął się palić, a na jego powierzchni tańczyły wyładowania elektryczne. Jego systemy zostały krytycznie przeciążone. Obok leżącego Witeldona zatrzymał się Ursus, by wypełniać swój obowiązek i ryzykować dla niego życiem.

- Sir, nie chcę siać defetyzmu, ale może się cofniemy i wezwie Pan to całe Konklawe? - Kolos przekrzykiwał jazgot wojny, a miotacz wypluwał z siebie kulę plazmy za kulą, zwęglając wypaczenia.

Konklawe zbierać się będzie kilka dni. Do tego czasu Amon zniszczy całe Spero - pomyślał Inkwizytor. - *Plan dobry, lecz daremny.*

Poczuł ciepło własnej skóry. Kończył się regenerować. Powstał i wziął do ręki *Carine*. Razem z Kapitanem strzelali we wszystko, co nie było ludzkie. Lydia zameldowała, że skończyła się jej amunicja. Alexandra wypaliła ostatnie dwie kule i wypuściła z kuszy srebrny bełt. Wrzask zdychającego mrocznego kleryka był wynagrodzeniem za jej celność. Kilkudziesięciu żołnierzy przedarło się do swoich lordów. Viviene stworzyła wokół nich oczyszczający krąg cyjanowej, lśniącej mgły, która trzymała hordy na odległość. Jednak z każdą chwilą ta niewielka wysepka świętości tonęła w rwącym prądzie wypaczenia.

Kolejny raz laser zbeształ siły ludzkości. Tym razem dźgnął *Pugnus Metallum*. Gigantyczny Extremus w ostatniej chwili doładował swoje pola siłowe. Mimo że pękły jak mydlane bańki, a maszyna zapłonęła, wiązka światła złożona z dusz nie zniszczyła mecha. Drugi taki strzał będzie jednak egzekucją.

A więc taki będzie koniec – powiedział w duchu Witeldon. Jego wyświetlacze siatkówkowe pokazywały straty na poziomie osiemdziesięciu procent. Byli spychani. Nie mogli się przebić. *Do domu Pana każdy pójdzie odziany w czerń żałobną z nisko utrzymaną głową, niczym przegrany.*

Krew się w nim wzburzyła, obnażył zęby. Jeden z czartów wskoczył tuż przed nim. Mężczyzna złapał go za szyję i złamał kark. Z obrzydzeniem przyjrzał się koziemu łbu o siedmiu oczach. Cisnął ochłap mięsa za siebie i znów nacisnął spust.

Jeśli wszyscy mają tutaj umrzeć, to ja się za nimi wstawię przed Tym, który jest Mistrzem nas wszystkich – złożył przysięgę. – *Moi ludzie, moje decyzje, moje przygotowania i moja porażka. Wina jest tylko moja.*

Kolejne demony przechodziły przez zaporę, zabijając i patrosząc śmiertelników. Na całym placu boju sytuacja wyglądała tak samo. Zaczęła bić ostatnia godzina ludzkości, blask ich dusz ustępował cieniowi zepsucia.

Usłyszał śpiew. Myśląc, że to sztuczki wroga, zignorował go, lecz melodia brzmiała coraz głośniejsze i wyraźniej. Słowa wychwalały Boga i jego miłosierdzie. Mówiły o dumie, którą miał w sercu, gdy patrzył na Swoje dzieci. Inkwizytor sprawdził kanały łączności. Nikt z walczących nie lamentował. Rozejrzał się po swoich oficerach. Każdy skupiony dawał z siebie wszystko, by zabić czarty.

Koniec nie nadejdzie teraz, Witeldonie – zagrzemiał głos w jego głowie. Był tak ciepły i miodny, że nie mógł być ludzki. – *Ty musisz jeszcze żyć, twoje zadanie, choć rozpoczęte tyle lat temu, dopiero teraz będzie miało swój finał.*

Gdy nieznajomy skończył mówić, zropiałe i gęste od zanieczyszczeń nocne niebo rozstało się, a świat utonął w świetle. Mniejsze demony zamieniły się w proch. Najroślejsze z diabłów cofnęły się jak smagnięte batem. Nadal żyły, choć topiła się na nich skóra. Mężczyzna sprawdził czasomierz. Była 4.13. Niemożliwe, by słońce wyszło w takiej krasie o tej porze. W ogóle rzadko pokazywało się ludziom.

Ujrzał ją. Odzianą w białą szatę kobietę, ze śnieżną opaską na oczach. Stała wśród chmur. Drobna, o długich złotych włosach, trzymała w dłoni wagę, na której płonęły niebieskawe ognie.

Użyj krwi Ojca nas wszystkich. To jedyny sposób – przekazała mu telepatycznie i zniknęła w obłokach.

Komunikator ogłaszał go krzykami żołnierzy. *Cud! Cud! Cud!* – niosło się w powietrzu. Sięgnął do małego tabernakulum na piersi. Wcisnął dwa przyciski naraz, by je otworzyć. Wyjął malutką, delikatną, podłużną fiołkę. Była w niej kropla z żył samego Boga.

W dniu mianowania, prócz mandatu podpisanego ręką Stwórcy, Anioły dostarczały inkwizytorom tę najświętszą z relikwii. Odbezpieczył kciukiem zamknięcie. Czas się zatrzymał. Życie i śmierć nie miały już dla niego znaczenia. Przechylił metalowy pojemniczek.

- Ave Creator - wyszeptały jego usta, a winna łza z serca Króla Niebios opuściła swój drugi dom.

Zdawać się mogło, że nim dodarła na brudną, przesiąkniętą potem, kurzem i posoką ziemię, minęła wieczność. Gdy Boska cząstka wniknęła w glebę, reakcja była natychmiastowa. Złote światło rozbłysło pojedynczym impulsem, rozchodząc się po całym polu bitwy. Tam, gdzie znajdowały się bogobojne istoty człowiecze, wszystko trafiało we władanie uwolnionej mocy. Blask nieba wnikał w ciała żołnierzy, leczył ich rany, składał kości i napełniał mięśnie siłą. Czarty natomiast cofnęły się przerażone anomalią i zwały szeregi. Wszystko tonęło w uświęconym ogniu, który krzepił ludzi, a na bluźnierców sprowadzał klęskę.

Bracia i siostry, którzy opuścili ziemski padół, albo Anioły chwyciły przed chwilą ich dusze, powrócili, by wygnać piekielnych najeźdźców. Przybyły dziesiątki tysięcy ludzkich duchów. Niektórzy ubrani w same przepaski, trzymali ciężkie, prymitywne włócznie i maczugi. Inni nosili zbroje, kolejni byli w mundurach. Miecze i tarcze zamienili na karabiny. Można było dostrzec emanacje błogosławionych. Złożone z lśniącego ugru i ochry, spowite świętym ogniem, który przeganiał cień i gasił mrok.

Armia tych, którzy powrócili z Nieba na Ziemię, ruszyła do boju z hymnem na ustach. Nie zatrzymywali się i nie zwalniali, opierając się wszelkim złowieszczym wirom. Nieprzebrane rzesze dawnych cnót z niezłomną determinacją negowały każdą plugawą inkantację i raz po raz ścierały się z demonami. Furia ich natarcia osłabiła Legiony. Na jedną zmiecioną duszę dziesięć zajmowało jej miejsce. Będąc jak refren pieśni, żar lejący się z nieba ogrzewał siły ludzkości, oślepiając przy tym doszczętnie wszystko, co nieczyste.

Złote oddziały mijały pozycje członków Świętego Oficjum i przedstawicieli Korpusów. Ludzie Inkwizytora oddzieleni od maszkar,

z niedowierzaniem na twarzach obserwowali świat.

- Sir? - zawahał się Kapitan. - Nie wiem, co Pan zrobił, ale chyba nie może być lepiej.

Słyszał gorliwie modlącą się Alexandrę, patrzył na Inżynierów, którzy zatracili się w pomiarach i badaniu tego niezziemskiego zjawiska. Resztki Mortusów kibicowały swoim nowym sojusznikom. Lydia, niepewna co zrobić, podeszła do niego. W jej mniemaniu gwarantowało to bezpieczeństwo. Ostatnią osobą, która zaszczyliła go swoją obecnością, była Białowłosa.

- Co teraz, Okrutniku? - zapytała, wzdychając głęboko. Jej błyszczące, różowe oczy patrzyły na niego łapczywie. Ona również była pod wrażeniem tego, co się stało.

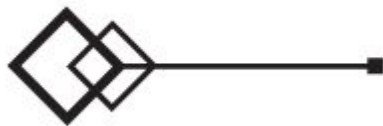
Witeldon mieczem wskazał na zamczysko Amona. Aktywował wszystkie kanały komunikacyjne tak, by każdy był w zasięgu jego głosu.

- Do wszystkich biorących udział w bitwie - zaczął, ruszając do przodu. - Bóg nagroził nas swym błogosławieństwem - teraz już biegł. - Chce nam ofiarować zwycięstwo. Czy jesteśmy tego godni? - słyszał, jak inni nabierali tempa, byli tuż za nim, rozchodzili się na lewo i prawo, jak anielskie skrzydła. - My, którzy mamy czelność nazywać się Jego dziećmi, udowodnijmy, że zasługujemy na to miano - był już blisko nowej linii frontu. Czarty za chwilę znajdą się w jego zasięgu. - Nie walczy jako Oficjum czy Korpus, nie bądźmy podzieleni, jesteśmy jednością, a w nas ta sama święta krew i czyste serce. Wypędzimy demony z naszego domu. Ludzkość dzisiaj zatriumfuje! - zakrzyknął, a wycie wojny przeszyły wrzaski zdeterminowanych żołnierzy. Wkraczał ze swoimi ludźmi w szeregi złotych wojów. - Nam Creator, per aspera ad astra! - wyrecytował tuż przed zderzeniem się światłości z ciemnością.

Za Stwórcę, przez ciernie do samych gwiazd...



ROZDZIAŁ XXXIV



NAWET GDY ZOSTANĄ PO TOBIE TYLKO PROCHY, ONE CIĄGLE BĘDĄ MOGŁY UŻYŹNIĆ GLEBĘ TAK, BY TWOJE DZIECI MIAŁY CO JEŚĆ. PRZYSZŁOŚĆ ZAWSZE BĘDZIE CZERPAĆ Z PRZESZŁOŚCI. PAMIĘTAJĄC O WCZORAJSZYCH TRUDACH, MOŻEMY KSZTAŁTOWAĆ ŁATWIEJSZE JUTRA.

OSTATNIE SŁOWA KARDYNAŁA BONIFACEGO DURDETTA.

Złota broń weszła głęboko w spaczone ciała. Po zwłokach diabłów, przeszytych antycznymi i eterycznymi strzałami, przejechały pułki świetlistych kawalerzystów. Wgryzły się i staranowały dalsze linie przeciwników. Lance dziurawiły piszczące szkaradztwa. Ogień maszynowy, salwy wyrzutni rakiet, huki muszkietów i kartaczy dzieliły zastępy Nienarodzonych. Każdy strzał, stworzony z Boskiej cząstki, był anatemą dla wszystkiego, co spaczone.

Legiony nie ustępowały łatwo pola. Wielkie, rogate bestie zbudowane z góry mięśni, zakute w pancerze pokryte złowrogimi runami, rzuciły wyzwanie nowo przybyłym. Szalejące u ich stóp diabełki, maruderzy i zwykłe pomioty, rzygające we wszystkich kierunkach kwasem, tworzyły masę, która mogła zgnieść wszelki opór. Gargantuiczne kolczaste topory i młoty opadały raz po raz na niebiańskich wojów z siłą, od której drżała ziemia. Mackowate bydłeta z opasłymi torsami i końskimi szczękami ciskały w walczących pociskami brudnego mroku, sikały palącą zólcia i miażdżyły wynaturzonymi cielskami. Mortusi odpowiadali snajperskim, dokładnie nakierowywanym ogniem karabinów świetlnych i ścinali oślizgłe wicie. Gdy szwadrony Kolibrów przeleciały nad nimi, bombardując wszystko, co diaboliczne, szkarady utonęły w szrapnelowej burzy.

Giganty, zbudowane z tęczowych, wirujących kryształów, posłały za myśliwcami kolorowe, energetyczne pętle. Trafione statki, wraz z pilotami,

zmieniały się w pióra, gąbki morskie albo piękne motyle. Spaczone siły były nieobliczalne w szaleństwie i niemożliwe do zrozumienia. Mineralne golemy skończyły egzystencję trafione i roztrzaskane wielkimi pociskami, wystrzelonymi z dział i rusznic Extremusów. Grad rakiet i radiacyjna kąpiel ofiarowana przez *Pugnus Metallum* pozostawiła po nich tafłę z płynnego szkła.

Nienarodzeni szarpali i rozgryzali lśniących wojowników. Ziemia, nie mogąc wchłonąć krwi wszystkich zabitych, zaczęła rzygać ciemną posoką. Jucha mutowała w chmary dzirytów, które trafiały w zstępujące z Nieba duchy. W odpowiedzi wzniesiono sztandary opisujące zwycięstwa i sukcesy, nieznane obecnym pokoleniom. Błyszczały w zorzach oczyszczających ogni. Czarnoksiężstwo zaczęło przygasać, a zastępy uderzyły ze zdwojoną zajadłością.

Witeldon nie przestawał biec. Miecz w jego dłoni nawet na chwilę nie zwolnił szalonego tańca. Otoczony oddziałem rycerzy zakutych w staroświeckie kolczugi, uzbrojonych w pałasze, włócznie i emanujących ochrą, masakrował wszystko na swojej drodze.

Lydia, ubezpieczana przez dwóch wojowników, ubranych w łuskowe zbroje, też nieźle sobie radziła. Mężczyźni w diabelskich maskach i z krótkimi papierowymi flagami na plecach siepali diabły zakrzywionymi klingami o długich rękojeściach. Wyprowadzane cięcia świadczyły o ich wielkim kunszcie.

Alexandra ze stadem ogarów, które przeżyły walki w ruinach miasta, połączyła siły z ludźmi odzianymi w skórzane kurtki i futra, którzy spuszczali z łańcuchów własne czworonogi. Co i rusz słyhać było myśliwskie gwizdki i gardłowe komendy. Dzikie ujadanie i pisk ogłuszały, gotowały krew i jeżyły włosy.

Ursus z agentem Heltem weszli w sojusz taktyczny z kompanią umundurowanej piechoty. Niedobitki Czarnoopancerzonych walczyły ramię w ramię z ludźmi. Żołnierz to żołnierz. Promień świetlny na zmianę z kulą zrodzoną z Boskiej woli karał czarta.

Ikarius z Keorem zajęli się cyborgami i bojowymi robotami. Zbrojmistrz Inkwizytora naprawiał działa Extremusa *Nigrum Vindictae*.

Prowadzącym natarcie herosom ludzkości udało się przejść przez barierę Najokrutniejszego. Tam osaczyły ich żywe ognie. Wijące się dżiny,

zbudowane z czystego chaosu, wniknęły w szeregi Bożych Sług. Wodospady szaleństwa paliły ciała i dusze. Prochy wirowały w powietrzu i niczym burze piaskowe oslepiały następne drużyny, które dołączały do walki. Wierzgające w niebiańskich liniach Inferno potępieńczym chórem niosło świadectwo końca. Zygzaki iskier smagały niematerialne i fizyczne pancerze. Te pierwsze buchały białym światłem, a ich właściciele szli do domu Ojca, błogosławiąc żywym. Drugie topiły się i wsiąkały w skórę, powodując agonię w mękach. Magia musiała się zderzyć z przeciwstawną siłą tajemną.

Vivienne już od dłuższego czasu gromadziła energię swojego umysłu. Unosiła się teraz nad walczącymi, na gigantycznej fali turkusowego światła. Na jej rozkaz kipielał runęła na plugawych mistrzów ognia, by zgasić ich jak zapalki. Gdy dotknęła stopami ziemi, od razu wbiła w nią kostur. Niszczycielska płynna moc przerodziła się w wichurę. Eteryjna materia przechodziła przez kryształ w relikwii i leciała dalej przed siebie, przyjmując postać magicznych pocisków, które bombardowały potępionych. Rozrywane plugastwa padały w ogromnych ilościach. Kanonada Czarnoksiężniczki cały czas rosła. Salwy złotych orszaków i promienie Mortusów uzupełniały jej ciosy i wbijały kolejne ciernie w skronie nieczystych.

Następni wybrańcy dawali świadectwo swojego oddania słusznej sprawie. Ofensywa przybierała na sile, gdy nagle niebo przeciął cień szybszy od ludzkiego oka. Tam, gdzie się pojawił, spadał deszcz mrocznego ognia, który posyłał wszystko w niebyt. Widma nie dało się zobaczyć i namierzyć systemami celowniczymi. Zamęt i śmierć, które wniosło na pole bitwy, mieszały szyki wojskom Stwórcy.

Po chwili powietrze rozciął ryk. Naprzeciwko sił ludzkości, na obalonym i zniszczonym posągu Boga, z wiecznego mroku wynurzył się smok z wymiaru nieznanego ludziom. Níðhögr rzucał im kolejne wyzwanie.

Inkwizytor, choć dzielili ich setki metrów, nawiązał kontakt ze Stworem. Bez słów. Spojrzenie niosło wiadomość prosto do duszy. Armie wstrzymywały napór, lecz nie ostrzała. Choć dystans cały czas się zmniejszał, wciąż pozostawał przeszkodą w realizacji Bożego planu.

- Mistrzu, chyba ktoś ma coś dla Ciebie - usłyszał głos uczennicy.

Odwrócił się i zamarł w zdziwieniu. Za nim stały pułki kawalerzystów. Zrodzeni z esencji Króla Ludzkości, siedzący na swych ugrowych rumakach o płonących grzywach, przypominali Anioły. Każdy ze skrzydłami przytwierdzonymi do pleców zbroi i lśnącymi białym ogniem. Pancerze

i hełmy, z akcentami drapieżnych ptaków, błyszcząły rajskim złotem. Długie lance z proporcami, na których napisano Boskim językiem *Deus Honor Patriam*, lekko muskał wiatr.

Z szeregu wystąpiło dwoje mężczyzn. Jeden trzymał oręż kawalerski, drugi prowadził wierzchowca. Błogosławione duchy zatrzymały się przed Witeldonem i uklęknęły. Można było wyczuć szacunek i podniosłość chwili. Ofiarowali mu wodze, które przyjął z czcią. Dosiadł zwierzęcia, chwycił kopię wytopioną w piecach Boskich kowali i lekką jak piórko tarczę z wyrzeźbionymi scenami z życia Pana. Ukłonił się z uznaniem, a żołnierze wrócili do szeregu. Bitwa ciągle trwała, ofiar przybywało, napięcie rosło. Każdy zajął pozycje i czekał na sygnał.

Dźwięk bojowego rogu przedarł się przez czas i przestrzeń wszystkich wymiarów. Dzwony świątynne w całym Spero zaczęły bić same z siebie. Rozpoczęła się szarża.

Tysiące kawalerzystów ruszyło. Członek Świętego Oficjum wiódł natarcie, galopując przez lejącą się zewsząd pożogę. Ze strony atakujących rozbłysły ognie niezliczonych dział. Demony, z Níðhöggrem na czele, również wpadły w szaleństwo walki. Wśród jeźdźców zatańczyły piekielne żywioły. Wielu zniknęło w szponach zepsucia, rozpuszczonych w kwasie i pochłoniętych przez kamienne paszcze, rzucające się na nich z głębin ziemi.

Bez wahania parli do przodu, by stanąć w szranki z przeciwnikiem. Karmazynowy laser, który zgasił już wiele istnień, znów, jak kosa ścinająca zboże, grzebał kolejne zastępy. Międzywymiarowy Łowca robił długie susy, chcąc wzbić się nad ziemię i wypalić skoncentrowaną wiązkę czystego mroku.

Ciemność ogarnęła pierwszy szereg. Panczerze wykute z wiary, zahartowane w ogniu oddania, namaszczone krwią męczeństwa, stawiały opór zepsuciu i żalości. Husarze lśniący bielą czystości wytrzymali inkantację gada, ponosząc niewielkie straty. Spięli konie, przygotowali lance i przyjęli pozycje do ataku.

Inkwizytor zmierzał wprost na prześladowcę, a Prastare Zło poświęcało całą uwagę Temu, który zakpił ze Śmierci. Zderzyli się.

W ułamku sekundy wojna logiki z szaleństwem, starcie rzeczywistego z niemożliwym, osiągnęły apogeum. Las kopii wbił się w mięso demonów i parł przed siebie. Rósł odżywiany zgubą istot grzechu. Szpony, macki, kły,

obuchy i złowrogie moce strącały jeźdźca za jeźdźcem. Witeldon ujrzał, jak Níðhögr otwiera paszczę. Tylko dzięki nadludzkiemu refleksowi udało mu się unieść tarczę, pulsującą aureolą Boskiego majestatu. Ropiejąca pustka rozbiła się o osłonę. Mężczyzna przejechał obok wielkiego smoka i zatopił świętą kopię w piersi bydłęcia. Plugawy potwór zawył w gniewie, gdy jego łuski, starsze niż czas, zostały rozdarte. Dwa razy ciął szponami o anielską egidę. Bez efektu.

Bastion miłosierdzia i chwały, otaczający Witeldona, nie skruszał. Mężczyzna nie cofnął się nawet o milimetr, tak wielką nadzieję wlał w niego Stwórcą. Brodacz naparł jeszcze bardziej. Tak, by obrażenia zadane smokowi były jak największe. Bestii nie udawało się zerwać z uwięzi. Uderzając łbem i kłapiąc zębami, wpadała w coraz większą desperację. W ranie ukazało się stale rosnące eteryczne lśnienie. Snop nicości zagrzmiał o tarczę, na której zapisano dokonania Mistrza Ludzkości, lecz zniwelowany tchnieniem anielskiej potęgi, nie uczynił szkody.

Lanca nie przestawała karać wnętrza Níðhögra. Smok zaczął blednąć. Można było dostrzec blask jego wnętrza. Szamocząc się i wyjąc, w ostatnim geście postawił dumnie skrzydła, omiatając pole bitwy wiatrem ciemnej materii, która redukowała wszelkie istnienie. Zaraz po tym Pożeracz Ładu ze Wszystkich Wymiarów zawył ogłuszająco i odszedł w niebyt, rozplywając się w błysku śnieżnej zorzy. Wyzwolona i oczyszczająca aura rezonowała na setki metrów, odsyłając czarty do Piekła. Ich cielesne formy zmieniały się w popiół.

Zdawać się mogło, że nic już nie przeszkodzi Sługom Bożym w dostaniu się do zamczyska. Wiodła do niego grobla usypana z kamieni, która wystawała z fosi pełnej gotującej się krwi. Za nią czekał portal, prowadzący do epicentrum zagłady. Gdy wojska ludzkości zbliżyły się, z przeklętej gleby wyszły ukryte diabły.

Siedem gigantów rozerwało podłoże i runęło na nadchodzących. Każdy był czempionem w szeregach wojsk Piekielnych Czeluści. Kilkupiętrowe kolosy szybko zmiażdżyły pierwszą linię. Przypominały człekokształtne kozły skrzyżowane z wronami. Ich oczy emanowały pierwotnym złem, ciosy przynosiły śmierć, a sama obecność odbierała zmysły.

Siedmioro Nienarodzonych, którzy według Świętych Tekstów nawiedzili kiedyś legendarną postać Marii Magdaleny, pojawiło się, by zyskać nowe dusze do spaczenia. Dwójka z dręczycieli, siłą woli, zniszczyła przejście do

cytadeli i cisnęła w żołnierzy ludzkości setki ton skał. Kolejny zamachnął się buzdyganem z głowicą ze szkieletów dziesięciu zgładzonych przez niego inkwizytorów. Obuch uderzył o betonowe płyty tuż przed Witeldonem. Eksplozja odłamków i uwolnionej energii zrzuciła człowieka z jego niebiańskiego wierzchowca. Brodacz spadł na ziemię, lecz od razu odskoczył w bok, unikając następnego ciosu. *Carine* błysnęła w dłoni, karcąc wynaturzenie i zmuszając je do kroku w tył. Pozostałe bestie nadchodziły w zabójczym tempie, chcąc zakończyć jego żywot. *Nie zatrzymacie mnie, nie teraz, gdy już jesteśmy tak blisko* – przeszło mu przez myśl. Dobył miecza, by stawić im czoło. Przy takim układzie sił było to pewne samobójstwo. Pozostawało mu jedynie mieć nadzieję, że reszta jego ludzi udzieli mu wsparcia.

Poczuł, że magia chwyta go w swoje szpony. Już się zbierał do recytowania *Kantyczki Rozproszenia*, gdy w głowie usłyszał jej głos. *Pozwól sobie pomóc* – mówiła.

Pozwolił.

W koszmary uderzyły tafle złotego ognia, a zaraz potem wysmagały je kaskady błękitnych sfer. Cyjanowe błyskawice odsunęły je od Inkwizytora. Różnej maści pociski i lasery kęsały nabrzmiałe od spaczenia cielska.

Witeldon poczuł chłód we wnętrzu. W mgnieniu oka znalazł się po drugiej stronie krwawego kotła. *Vivienne* nie mogła teleportować przez barierę *Arcyczarta*, lecz gdy już się w niej znalazła, translokacja znów była dostępna.

Patrzył, jak bogobojne zastępy jego ludzi ścierają się z siedmioma wybitnymi przedstawicielami zatracenia. Ujrzał *Białowłosą*, która posyłała lśniący snop wprost w plugawy czerep jednego z nich.

Idź! Poradzimy sobie – przekazała mu telepatycznie, osłaniając *Lydię* od roju przeklętych włóczni. Kiwnął głową i szybko pobiegł w stronę portalu, przeskakując po cztery stopnie kamiennych schodów. Bez krzty strachu w sercu, zwątpienia w umyśle i wahania w duszy rzucił się w odmęty rubinowego światła. Wstąpił na audiencję do zamku Najokrutniejszego.



Nie wiedział, czy stało się to za sprawą tunelu translokacyjnego, łaski Stwórcy czy czarnej ingerencji, lecz został przeniesiony dokładnie tam,

gdzie chciał. Otaczały go szatańskie wyziewy i erupcje dzikiego spaczenia. Męczyzna powoli szedł przed siebie. Wszystkie zmysły miał napięte do granic możliwości, jego myśli podążały za wersetami czerpanymi z Listów Św. Hugo. Z każdym kolejnym krokiem patrzył, jak na eterycznych projekcjach konają cywilizacje, o których nigdy nie słyszał.

Błogosławione niechaj będą żywoty, które w chwili swego końca wybaczone będą miały życie w grzechu.

Nieprzejrzana ciemność pochłaniała gwiazdę za gwiazdą.

Pan wszystkich ludzi zawsze jest z nami, nawet gdy Go nie dostrzegamy, albowiem w Jego światłości kryje się klucz do rozproszenia każdego mroku, poprzez nasze myśli, nasze słowa i nasze czyny.

Inkwizytor z niesmakiem zerkał na żywe obrazy, przedstawiające światy rzucone na kolana przez wrogów, kryjących się w szeregach nieżyjących już mieszkańców. Pustynie, zimne skały, cisza...

Ludzkie języki puszczone samopas są bronią w rękach demonów.

Gdy zbliżał się do końca wielkiej sali, jego oczy śledziły koniec gatunku ludzkiego. Nieprzeliczone zastępy szkieletów tańczyły wśród demonów, które zjadały się wydartymi duszami. Zauważył, jak ostatni z żyjących oddawali cześć plugastwom. Te w nagrodę mutowały heretyków spaczoną energią.

Zaiste niska jest brama do Królestwa Niebieskiego. Wstąpić tam mogą jedynie ci co głowę ukorzą. Tylko w wiernym ludzie Pan ma upodobanie i pokornych zwycięstwem zdobi.

Pokonawszy Ziemię, legiony rozlały się na inne, nieprzygotowane do tego światy. Piekło, rozrośnięte do niebotycznych rozmiarów, otworzyło swoje szpony na niebiańskie chmury. Patrzył, jak Anioły formowały swoje szyki.

Zapamiętaj imiona tych, którzy walczą w imię Stwórcy. Gdy przyjdzie koniec twojej warty, zabierz je ze sobą i wykrzycz prosto w Niebiosy.

Widział, jak Skrzydlaci Strażnicy starli się z Nienarodzonymi, podziwiał jak walczyli i smucił się, gdy... umierali.

Gdy wzrok twój chce zwieść ciebie na mroczne ścieżki, zamknij oczy. Twoje serce prawdziwą wskaże ci drogę, gdyż jest ono kompasem dla Bożej łaski.

Nie patrzył na to, co było na ostatnich dziełach. Arcydemon chciał zasiać w nim niepewność, zmącić wolę, pozbawić sił i roztrzaskać przekonania.

Taka była właśnie natura Zła. Człowiek, poddając się, przegrywa wpierw w swoim wnętrzu, potem jego słabości odbierają mu wszystko, co go otacza.

Serce spokojne i pewne jest życiem dla ciała, lecz skąpane w wątpleniu i w strachu staje się zgnilizną dla kości.

Stanął przed ołtarzem. Wykuty z obsydianu, w który wtopiona została ludzka posoka, prezentował się diabolicznie. Dekoracje, wykonane z ciał istot człowieczych, wiły się w parodiach życia. Fuzje tysięcy śmiertelnych wciąż trwały w egzystencji, uwięzione w klatce cierpienia.

Pomódl się do Boga, gdy ujrzysz koniec swej podróży. Nie dziękuj mu za przyjemności, jakich doznałeś podczas wędrówki. Wyraź wdzięczność za wszelkie trudy, jakie na niej napotkałeś, gdyż dzięki kłodom rzucanym pod nogi otrzymałeś surowce do budowy swojego domu.

Olbrzymi katalizator ze skryształizowanej ludzkiej krwi topił wszystko w ogniu nieskończonych cierpień. Inkwizytor dojrzał wysuszone ciała zmutowanych kapłanów Piekła. Rytuał pochłonął ich życia. Tętniąca potęga kaleczyła jego jaźń, pałac mu duszę.

Mimo że to obarczone ryzykiem, patrz na grzechy, którym przynosisz kres. Wiedz, jak wygląda koniec tego, co odrzuciło Boga i człowieczeństwo.

Zaczął się zbierać do zatrzymania tego szaleństwa. Za sprawą szóstego zmysłu albo szeptu Opatrzności wyczuł za sobą ruch. Najszybciej, jak potrafił, odwrócił się, dobywając miecza. Ledwo zdążył. Uderzenie spadło na jego gardę niczym lawina z gór. *Catherine* nie ugięła się pod naporem halabardy zbudowanej z nocy. Upadł i przeorał kilka metrów płyt podłogi, lecz wytrzymał zdradzieckie cięcie.

- Oto jesteś, Inkwizytorze - zagrzmiął Amon. - Witam w twoim ostatnim koszmarze - kolejny cios nadszedł z góry. Witeldon uchylił się, a rozpryski kamienia zadudniły o pancerz i kaleczyły twarz, która natychmiast się regenerowała. - Teraz wszystko się rozstrzygnie.

Infinito Dolore runęła ze świstem, a człowiek postąpił do przodu, chcąc ominąć bluźnierczy oręż. Biegł w stronę przeciwnika z uniesioną dłonią. Złożył palce w odpowiedni gest i wypowiadając święte litanie, posłał błyskawice czystej duchowej esencji. Kruczogłowy przyjął je i sam cisnął broń, chcąc przygwoździć Inkwizytora. Witeldon wyskoczył, by złapać za drzewce artefaktu Piekła, zanim ten zagrzmiął o ziemię. Z wysiłkiem dał susa i, odpychając się nogami, poleciał wprost na Najokrutniejszego. Miecz

trzymał oburącz, a łokcie zaparł o napierśnik, co gwarantowało stabilność. *Catherine* zagłębiła się w ciało jednego z Panów Piekła. Ostrze załśniło śnieżną bielą, a chwilę później zapłonęło ogniem. Amon ryknął i cofnął się, gdy klinga paliła jego wnętrze.

- Exitium! - krzyknął głośno, co znaczyło zagłada.

Powietrze wokół Giganta przerodziło się w parzący żywioł. Cała powierzchnia Markiza skwierczała od Boskiej kary. Rozwścieczony, chwycił mężczyznę i rzucił nim o podłogę. Ze strzaskanymi kośćmi i ryjąc głębokie bruzdy w podłożu, Witeldon rozkazał systemom *Martyris* zablokować stawy. W ten sposób mógł wyhamować. Rytuał sprawił, że szkielet znów był cały. Powstał, zasłaniając się rękami, a gdy wypowiedział pospiesznie i chrapliwie egzorcyzm, pojawiła się tarcza ze złotej łuny.

Hufiec piszczących dusz posłał go na ścianę komnaty i chciał rozszarpać. Próbował wyrwać się z ich głodnych szponów. Wychodząca z jego ust modlitwa była jak kwas, który topił opętane duchy. Nim osiągnął cel, wielka halabarda przebiła mu brzuch i przyszpiliła do muru. Krzyknął z bólu, gdy spaczenie zaczęło rozlewać się w jego żyłach. Ciało, wzmocnione rytuałem, wypalało truciznę, nie pozwalając mu się wykrwawić i umrzeć.

Amon dopadł swojego nemezis. Gigantyczna pięść huknęła mężczyznę, wgniatając go w obsydian. Diabelski szpon zaiskrzył o panele zbroi, zrywając naramienniki. Krew spłynęła po barkach Brodacza. Plugawy oręż głęboko wszedł w ciało, rozrywając flaki i niszcząc tkanki.

- Wiem, że twoim głównym celem jest Katalizator. Nim cię zabiję, zobaczysz, jak wszyscy śmiertelnicy z dołu konają od mojej potęgi - długość *Infinito Dolore* pozwalała zachować bezpieczną odległość od mężczyzny i pozostawać poza zasięgiem jego miecza. - Nie sądziłem, że jesteś masochistą - powiedział, widząc, że ofiara uśmiecha się przez pokrwawione zęby. Inkwizytor wyciągnął z kabury rewolwer. - Śmiało! Strzel mi między oczy! - zaśmiał się Amon. - Albo lepiej wypal sobie w łeb i oszczędź zachodu.

Twarz Witeldona, pomimo cierpienia, wyrażała rozbawienie. Jego ciemne, martwe oczy lśniły kpina, kontrastując z białą skórą twarzy.

- Chyba naprawdę straciłeś wgląd w linie czasu - mówiąc to, przechylił pistolet i nacisnął spust.

Markiz ryknął w szale i ponownie grzmotnął Witeldona pięścią, lecz nie mógł już zatrzymać błogosławionej kuli z *Victoire*. Pocisk pomknął w stronę

krwistego kryształu. Żadna zapora i magiczna bariera nie były w stanie go spowolnić. Dzieło całego pokolenia kowali trafiło w sam środek kamienia, rozbijając go.

Przez sekundę nie działo się nic, lecz następne krople wszechświata, płynące w rzece czasu, przyniosły wielkie zmiany. Kaskada ogni rozkwitła na wszystkie strony, wyzwalając impuls, który falami morderczego inferno gromił wszystko wokół. Niewyobrażalny blask zgasł. Powiew wolnej magii dotknął wszystkiego i wszystkich. Wylatując na zewnątrz wieży, materia przemieniła się w mgławicę o barwie zachodzącego słońca. Roztoczyła się na niebie i zdmuchnęła osłonę nad zamkiem Arcydemona. Tarcza pękła. Cytadela była całkowicie odsłonięta.

Inkwizytor cierpiał, coraz bardziej dociskany do ściany. Jego kości pękały, a poranione ciało próbowało się zrastać.

- Nie zamierzasz teraz błagać o życie? - zapytał Amon z nienawiścią gaszącą istnienia.

Witeldon parsknął, wypluwając krew.

- Nie, ale dzięki, że pytasz - odparł, przełykając ślinę. Następne zdanie skierował już do kogoś innego. - Inżynierze Khul, pełna moc do głównych dział, za Stwórcę - rozkazał.

Człowiek i Jeden z Panów Piekła spojrzeli w bok, gdzie gigantyczny, zgarbiony Extremus, stawiając ciężkie kroki, zajmował pozycję do oddania strzału. Sześć wyzwalaczy termicznych, trzeszczących od energii przekierowanej z każdego systemu tarcz i aparatur pomocniczych, kończyło przygotowanie do kanonady. Technolog skoncentrował całą potęgę *Pugnus Metallum*, dając sobie tylko jedną szansę. Wszystko albo nic.

Lance pomarańczowej energii, z których każda miała moc ponad pięciu kwadrylionów watów, co dawało około sześć procent energii Słońca, wygenerowanej przez kilkanaście nanosekund, pomknęły w stronę podstawy wieży.

Amon odrzucił Brodacza w głąb sali i przeniósł się na otwartą przestrzeń. Wyciągnął przed siebie masywny szpon. Był zdeterminowany i kompletnie pochłonięty tym, co robił. Choć było to niemożliwe, niewykonalne, nielogiczne, przeczące wszystkim boskim i nieboskim równaniom, strumienie ognia rozbiły się o siłę woli Najokrutniejszego.

Napór fotonowej apokalipsy trwał w najlepsze, lecz jej rwący nurt nie mógł zbliżyć się do celu. Zdawało się, że zatrzyma destruktoryne lasery, ponieważ generatory Extremusa były już niemal na wyczerpaniu. Kiedy wielkość wiązek zmalała, podobnie jak nadzieja na świecie, Markiz zawył z bólu i upadł na kolano. By nie spaść w przepaść, zaparł się o halabardę. Inkwizytor rzucił się na niego, wbijając święty miecz prosto w kręgosłup.

Zakłócenie i zawahanie się inkantacji Czarta były chwilowe, lecz to wystarczyło, by kanonada mecha prześlizgnęła się przez blokadę. Wyzwalacze termiczne zatopiły się w strukturze zamczyska. Kamienne formacje, odlane z obsydianu kondygnacje i setki tysięcy ton najróżniejszych tworzyw, martwych i organicznych, wyparowały po zetknięciu z niewyobrażalną siłą. Mury i całe poziomy budynku rozdeły się i rozsunały na boki. Pałac Amona pogrążył się w krwistym akwenu, na którym został wzniesiony.

Wściekły Arcyczart, mimo agonii, której doświadczał, zerwał się i cisnął w *Pugnus Metallum* dziurę zrodzoną z przeciwieństwa materii. Pocisk pomknął w stronę nieosłoniętej, bezbronnej i uszkodzonej maszyny, rozrywając giganta na dwoje. Cud techniki opadał wolno i ociężale, aż zapłonął niczym stos żałobny.

Aniołowie, prowadźcie jego duszę wprost do Stwórcy, gdyż dobrze służył sprawie – pomyślał Inkwizytor. Wiedział, że Khul Jukas zginął, patrząc na odczyty wyświetlaczy i destrukcję Extremusa. Brodacz nie miał czasu na lepsze i bardziej prywatne modły. Sala, w której byli, waliła się im na głowy, a oni sami zaczęli spadać setki metrów w dół. Kolejny już raz.

Świat wokół rozpadał się, lecz żaden się tym nie przejmował. Zupełnie jakby problem nie istniał. Wymieniali ciosy, zatracając się w nienawiści do siebie. Uszkodzona kolumna grzmotnęła Kruczogłowego w plecy. Zgiął się lekko, a Inkwizytor skorzystał z okazji. Podskoczył i przeciął szyję demona.

Uciekając przed kolejnym trafieniem, Amon chwycił przelatujący w powietrzu fragment kryształu z katalizatora. Naładował go energią i cisnął w człowieka. Zbroja spękała na frontowych płytach, lecz wytrzymała wybuch. Otaczający ich wymiar składał się jak domek z kart. Odwieczni wrogowie stanęli w pozycjach bojowych i ruszyli ku sobie. Jeden z jadem cierpienia, kapiącym z dziobu, drugi z modlitwą na ustach. *Infinito Dolore* złączyła się w morderczym pocałunku z *Catherine*. Pętla rzeczywistości,

w której znajdowali się obaj, postanowiła zacisnąć się, a cały wymiar utonął w mroku...



Witeldon ocknął się na spękanej, betonowej ziemi. Rozejrzył się zaskoczony. Był na powierzchni, a nie pogrzebany pod milionami ton kamieni. Błękitne niebo, które towarzyszyło im podczas natarcia, zniknęło. Wróciły gęste, pyłowe chmury. Mężczyzna patrzył, jak resztki zamczyska znikają w odmętach wzburzonej krwi.

- Dlaczego chociaż raz nie możesz wyjść drzwiami, którymi wszedłeś? - usłyszał kobiecy głos. Jej ton był dwuznaczny.

Nim zdążył odpowiedzieć, podbiegła do niego Lydia. Na jej twarzy malowała się troska. Pomogła mu wstać.

- To jeszcze nie koniec, Viviene - upomniał Białowłosa.

Posłała mu zmęczony uśmiech, a jej kostur zamigotał.

- Lepiej, żeby jednak był, bo niedługo będziesz walczył nago - zauważyła, oblizując się.

Miała rację. Zostały na nim strzępki zbroi. Nie było czasu jej regenerować ibriotami. Otworzył kanały komunikacyjne, czuł ciśnienie gromadzące się pod czaszką. Zło powstawało na nogi.

- Do wszystkich pozostałych jednostek, obsadzić skraj krateru - szybkim krokiem zmierzał w tamtym kierunku. - Otworzyć ogień natychmiast, gdy namierzycie wroga.

Słyszał, jak Ursus przekazuje dokładniejsze wytyczne i szczegółowo dyryguje zasobami. Ikarius z Keorem instalowali ostatnie instrumentory i cyborgi, programując im nowe wytyczne. Zauważył Alexandrę, biegnącą na ugiętych nogach, niczym łowca tropiący zwierzynę. Pokonywała kolejne osuwiska, kierując się na lepsze pozycje. Z głównej broni zostały jej tylko bełty do kuszy, lecz każdy był śmiertelnie śmiertelny zarówno dla czarta, jak i magii.

Jego obawy potwierdziły się. Z bulgoczącej szczeliny, pełnej szczątków zamczyska, wystrzeliły purpurowe ognie. Płomienne języki posmakowały ludzkiego ciała, które topiło się niczym wosk świecy. Zapach ozonu zatykał nozdrza. Strumienie złowieszczej mocy tańczyły wśród śmiertelników, po których pozostawał jedynie popiół. Viviene robiła co mogła, a jej kontr

zaklęcia rozganiały snopy spaczenia. Dawały osłonę potrzebującym. Bez niej nie byłoby już nikogo na stanowiskach.

Pierwsze demony wyłoniły się z rubinowej kipieli. Obślizgłe, wijące się mięsne golemy wrzeszczały, wspinając się po ścianach przepaści. Różniące się od siebie ohydzstwa pluły żrącą ropą, a z oczu i szponów miotały nefrytowe gromy. Grupa Mortusów odeszła w niebyt, ich organy ugotowały się w pancerzach. Jeden z nielicznych już murusów eksplodował, trafiony w zasobnik paliwowy. Trójka Frangosów pękła, a ich formy zniekształcone od magii obrastały w grzyby i niewiarygodne rośliny.

Z Piekielnych Otchłani przybywały nowe okropieństwa. Kościste goliaty, sypiące kolcami szczodrzej od monsunowego deszczu, zwierzały swe szeregi z kreaturami podobnymi do ptaków, szarpiąc rzeczywistość swoim czarnoksięstwem. Głowy mutujące w świńskie łby, stada szczurów rodzące się we wnętrznościach ludzkich, dodatkowe pary rąk duszące własne ciała, były nielicznymi z mrocznych darów zsyłanych na ludzi.

Jednak za każdą śmierć bogobojnej istoty ginęły tuziny demonów. Ludzkość, zajmująca wyższe, dobrze osłonięte pozycje, dysponująca gigantyczną siłą ognia, mogła posyłać salwę za salwą, kanonadę za kanonadą i masakrować wszystko, co wychodziło z krwawego wiru. Straty po stronie śmiertelnych były sporadyczne, za to pomioty grzechu umierały hordami. Wydawać się mogło, że wojownicy Oficjum wraz z sojusznikami z Korpusów zatrzymają pochód wroga. Wtedy nad ich głowami zawisła niewypowiedziana groza.

Czarne, oleiste ognie skłębiły się w centrum krateru. Wysoka na wiele metrów postać o kruczej głowie wynurzyła się z żaru. Amon omiół Witeldona spojrzeniem, posyłając mu kpiący uśmiech. Grymas kogoś, kto nie ma nic do stracenia. Dla ludzi nastał koniec gry.

Najokrutniejszy wyprostował się dumnie. Uniósł wysoko *Infinito Dolore*, wypowiadając zakazane słowa, starsze od wszystkich śmiertelnych języków. Na jego rozkaz poderwały się zdradzieckie osłony, które mieniając się krwawą łuną, chroniły plugastwa przed ostrzałem sił Inkwizycji. Żaden pocisk nie mógł przebić rzuconego czaru. Demony zyskały na momentum, gdy przestały być trzymane na wodzy przez starania dzieci Boga. Rzeźnicze kanonady przerabiały coraz więcej żołnierzy na krwawą kaszę. Natarcie wroga ruszyło pełną parą.

Widząc, jak zmienił się przebieg starcia, Inkwizytor rozkazał natychmiastowy odwrót. Wszystkie jednostki, od pojedynczych piechurów po czołgi i mniejsze Extremusy, wycofywały się w głąb ruin i zniszczonych fragmentów miasta, szukając osłon i stanowisk ogniowych. Mężczyzna przeprowadzał potężny egzorcyzm, w którym asystowała mu Czarnoksiężniczka. Białe snopy światła spadły na strefy mroku i cienia, by je rozproszyć. Stało się to w samą porę. Ostatnie klucze Kolibrów przeleciały nad zapadliskiem, faszując je ołowiem i raketami.

Pociski z magii i przeklęte amunicje, wyjące potępieńczym świstem, straciły wiele maszyn. Poświęcenie pilotów dało ostatnim walczącym trochę czasu.

Pierwsze czarty, które wydostały się na skraj krateru, zdeintegrowano dzięki skoncentrowanym staraniom wszystkich, którzy mogli utrzymać w dłoniach broń. Nadzieja przygasła, gdy ze szczeliny wyszedł Amon, który jednym słowem posłał w niebyt tuzin czołgów i pełen oddział Frangosów. Ich pancerze zapłonęły ogniem i skurczyły się w kaskadach iskier.

Szrapnele i lasery przecięły świat, lecz żadne z piór Kruczołowego nawet się nie zwichrzyło. Latający Extremus, olbrzymia unosząca się w powietrzu, wyrzeźbiona z metalu ludzka czaszka, wystrzelił w Arcyczarta niszczycielskie lasery ze swoich ogniskujących oczodołów. Wysiłki *Lucidum Cranium* były jednak daremne. Wystawiwszy palec, Najokrutniejszy zamroził wiązki w czasie, odwrócił je, jakby były ciałem stałym, i posłał w mecha. Trafiona maszyna pękła na poszyciu i zapłakała ławą.

Jeden z Panów Piekła machnął leniwie dłonią, jakby odpędzał służbę. Gargantuiczny robot, niczym kula do kręgli, przeorał pozycje ludzi i grzmotnął o gruzowiska. Kat Piekła uderzył halabardą w fundament, machnął skrzydłami i ostrymi końcówkami piór rozpruł rzeczywistość. Z powstałych szram wylały się zdyscyplinowane ciężkozbrojne demony, elity jednostek uderzeniowych Piekła, zawsze suto karmione duszami. Zakutym w twarde zbroje i wyposażonym w nasączony spaczeniem oręż, zwykłe kule nie mogły wyrządzić szkody. Ogień, nakierowywany przez dowódców poszczególnych oddziałów Mortusów, ledwie pozwalał opierać się potędze Legionu.

Członek Świętego Oficjum doskonale wiedział, że jeśli Arcyczart dostanie wolną rękę i nadal będzie robił, co tylko mu się spodoba, bez trudu pozabija ich wszystkich. Mężczyzna zaintonował starodawne przykazania,

a powietrze wokół rozbłysło w białych zorzach. Zaczął biec, miotając żarliwe modły, karcące jaźnie nieczystych bytów.

Catherine rozcinała napuchnięte od grzechu ciało, żar z dłoni ścierał na proch wrogów. Nienarodzeni odwracali wzrok, nie mogąc patrzeć na łunę Bożego majestatu, która spowijała Inkwizytora. Żaden z nich, obojętnie ile nosił trofeów na pancerzu, jak złowieszczy był jego oręż, i z jakim kunsztem nim władał, nie mógł się równać oddaniu i determinacji, które napędzały Witeldona Walszartiego.

Lazurowe ognie lały się zza jego pleców, pochłaniając istoty nie pochodzące z ziemskiego wymiaru. Czarnoksiężniczka dodawała mu otuchy swoją mocą i wlewała tajemną siłę w jego żyły. Po przeciwnej stronie, w procesji purpurowo-czarnych inferno, zbliżał się Najokrutniejszy. Samą swoją obecnością gasił życie, kończył egzystencję, dokonywał banicji i wygnania wszystkiego, co święte i czcigodne.

Sługa Boży przebiegł po zwałach gruzu i trzymając miecz gotowy do zabójczego ciosu, skoczył w stronę przeciwnika. Amon zasłonił się halabardą i wykutym z mroku drzewcem, zablokował cięcie. Uderzenie wyzwoliło eksplozję energii i zatrzęsło walczącymi stronami. Arcydemona odrzuciło do tyłu. Zapłonął białą pożogą. Witeldon wylądował pewnie na nogach i sięgnął po rewolwer. Pełen nienawiści, obrzydzenia, przekonania i żelaznej konsekwencji, nacisnął spust. Najświętszy nabój z jego arsenału rozsadził piersi Markiza, który zaparł się nogami i zamierzył się na niego *Infinito Dolore*.

Dwie bronie znów się zderzyły, wyzwalając wybuch jak przy narodzinach gwiazdy. Trzy strzały zanurzyły się w tors Kata. Brocząc atramentową posoką z ran, których nikt inny by nie przeżył, chwycił oburącz plugawą broń i z satysfakcją przeorał nią bark Inkwizytora, zdzierając skórę z jego pleców, zrywając mięśnie i krusząc kości. Poraniony przykląkł na jedno kolano, nie przestając recytować błogosławionych wersetów. Lśniące bielą filary otoczyły Arcydemona i poraziły go eterycznymi błyskawicami.

Nagle, obok jego szyi, coś błysnęło.

To Lydia wyłoniła się z tunelu teleportacyjnego i zawisła na Olbrzymie, przebijając mu grykę swymi krótkimi mieczami. Wykonując salto w tył, rzuciła w stronę ptasiego pyska dwie bomby termiczne. Gdy znikwała w otwartym portalu, na pysku demona rozkwitały kwiaty pożogi. Rany bardziej go rozwścieczyły niż okaleczyły. Nie miał kiedy wylądować złości,

ponieważ od razu spadły na niego nowe gromy. Czarcie serce ukłuły złota włócznia, przywołana przez Witeldona, i wykuta z zaklętego diamentu gigantyczna strzała Viviene.

- Żałośni śmiertelnicy! Pokażę wam, co to znaczy cierpienie! - wrzasnął i wymówił apokaliptyczne proroctwa.

Ziemia pękła, a z jej głębi wydostały się nieprzeliczone rzesze długich, wychudzonych rąk umęczonych dusz. Zesłane do Piekła przez grzech, pijane z zawiści i głodne nieszczęścia, teraz wyciągnęły swoje pazury po żyjących. W podziemiach na porwanych mogły czekać wieczne tortury i męka. Wielu bogobojnych aurą oczyszczającej magii otoczyła Czarnoksiężniczka, lecz znacznie więcej istnień było poza jej zasięgiem.

Tymczasem Amon wystrzelił snop materii z najdalszych jam zimnej Otchłani. Białowłosa odbiła jego atak, lecz siła uderzenia odepchnęła ją w tył. Przeżyła, zawijając się w kryształowy kokon. Nie mogła jednak dotrzeć do Inkwizytora. Czarcie zastępy rzuciły się na nią, zmuszając do obrony. Używając potęg wszystkich żywiołów, niosła zamęt w ich szeregi. Wciąż jednak była oddzielona od Witeldona.

Najokrutniejszy szedł, a za nim otwierały się rany w materium. Każdym swoim krokiem dokonywał gwałtu na rzeczywistości. Promienie świetlne i rakiety bębniły o jego ciało. Kilkudziesięciu Mortusów przebiło się przez demony, by zaatakować Jednego z Panów Piekła. Nie zwalniając i nie patrząc na nich, pstryknął palcem. Ciała wszystkich śmiazków zapadły się w sobie i popękały w krwawych chmurach.

Wszechczart obserwował, jak struktura Bożego niewolnika się zrasta. Wyczuwał płynące w jego żyłach unikatowe związki i dawno zapomnianą wiedzę. Wsłuchiwał się w melodię śpiewaną przez runy na jego skórze, mięśniach, kościach, niewykrywalną dla tych, którzy o niej nie wiedzieli. Pieśń głosiła pragnienie wyniesienia czegoś na piedestał doskonałości, wolnego od słabości i skaz, i uczynienia tego wielkim. Kiedyś tą alchemią demony chciały zrodzić swój własny gatunek, tak jak Bóg stworzył ludzi. Inkwizycja skradła zapiski, i wbrew przeznaczeniu udało im się ich pomyślnie użyć.

Zaiste niezmierny jest geniusz Piekła - zdumiał się Nienarodzony. Człowiek zbierał się z ziemi i stawał pewnie na nogach. Jego fizyczna skorupa była niemal jak nowa. *Zaiste niezmierny* - powtórzył.

Nie dając mu chwili wytchnienia, Markiz uderzył ostrzem halabardy o podłogę tak, by uwolnić z niego taflę plugawego ognia. Żywiół pochwycił Brodacza, przyszpilając go ponownie do ziemi. Ten mimo bólu próbował się unieść. Amon zbliżył się do niego, zwiększając płomienie. Patrzył, jak oparzenia natychmiast się zblizniają, a szramy znikają. To, że nawet On uznawał coś takiego za mroczne albo nienaturalne, chore i odrobinę niepokojące, było gorzką ironią.

- Choć jesteś wielkiej siły, to twoja moc ma się nijak do potęgi, którą władam - rzekł do Inkwizytora, bombardując go wciąż surowym eterium. Żadna zbłąkana kula, która dosięgała Markiza, nie robiła na nim wrażenia. - Całą ją posiadam od was, śmiertelnych. Wasze uczucia, zachowanie i grzechy są strawą, na której mogę się tylko tuczyć - zaśmiał się. - Cóż za zrzędzenie losu, że cały mój wigor pochodzi od was.

Witeldon skupiał się na przełamaniu inkantacji. Bitwa dookoła nich trwała, a on nie mógł się wyrwać. Przeklinał swoją niemoc.

- Potęga? Siła? Jedyne co tutaj widzę, to zepsucie, którym tacy jak ty popychają ludzkość do zniszczenia - warknął, zapierając się o miecz i robiąc do przodu jeden krok. Zdziwiony Najokrutniejszy zwiększył strumień cienistej pożogi i przygwoździł go z powrotem. - Już raz Król Niebios skarcił ludzkość za zuchwalstwo - wycharczał. - Jeśli zawiedziemy, zrobi to drugi raz. Porażka wymaga kary.

Kruczogłowy, mimo że ciężko było to odczytać, trwał w zamyśleniu. Zupełnie jakby zapatrzywszy się w dal, wspominał.

- Eony temu, kiedy światy były jeszcze młode i w powijakach, dane mi było patrzeć na zbudowany ze wszechświata Tron Stwórcy. I wiesz co? - martwe ślepie wlepił w Inkwizytora. - On stał pusty.

Witeldon ryknął w furii, zrywając bluźniercze okowy. Jednak nowe kajdany wciąż opinały jego kończyny. Markiz westchnął. Był wyraźnie zmęczony tą sceną. Wziął zamach, chcąc rozłupać swojego rywala. Potężne pociski rozbiły się o jego tors i ramiona. To już go zabolalo. Rozejrzał się, kto śmiał mu przerywać. Nacieraly ostatnie Extremusy z Inżynieryjnej Grupy. Cisnął Inkwizytora w gruzowisko, skupiając uwagę na nowych przeciwnikach.

Obserwator, ochrzczony imieniem Ferrum, wypalił z naramiennego lasera. Wiązka odbiła się od cienistej halabardy. Długa seria kul, z których każda

była wielkości dorosłego człowieka, rozbijała się o tarcze otaczające Arcyczarta. Maszyna zamachnęła się ostrzem, które wysunęło się z długiej, chudej kończyny. Amon zrobił unik i z dziecięcą łatwością pozbawił jej mecha. Sterujący zachował zimną krew i kontynuował ostrzał. Żałosna próba zranienia Amona nie powiodła się. Wystarczyło jedno jego cięcie, by druga kończyna spadła na brudną ziemię. Gest Markiza sprawił, że astralne węże, przypominające te z pradawnych świątynnych malowideł, rzuciły się na Extremusa. Gadzie kreatury porwały go, zawlekły w cień i łapczywie zjadły.

Zanim Jeden z Panów Piekła poczuł słodycz triumfu, jego bok eksplodował. Do zwania dążył drugi Obserwator, katastrofalnie uszkodzony w jednym z wcześniejszych starć. Dostrzegł też dwa większe roboty – Garganta z czarnej stali i smukłego, kanciastego kolosa. Aes z urwanym ramieniem, sypiąc iskrami z rozerwanego boku i tracąc olej, trzymał trzylufowy karabin, który bombardował Amona nawałnicą ognia. Arcyczart ruszył do przodu, chcąc halabardą przebić sztuczny twór. Przeliczył się.

Dowodzący wykonał nagły skręt i dygocąc, gwałtownie wyhamował. Będąc znacznie wyższym, cud techniki zrobił obrót i kopnął Markiza prosto w czerep. Demon leciał teraz, niczym pocisk artyleryjski, po betonowym pobojowisku. Zniesmaczony zuchwałością śmiertelnika, próbował wstać. Zanim mu się udało, zniknął w kuli ognia z *Invicty*, której poszycie tliło się jeszcze od starcia przy Wieży Magów.

Wciąż jeszcze dymił, gdy przywarł do niego *Nigrum Vidictae*. Czarny olbrzym zamierzył się na cel hydrauliczną, trzeszczącą od generatorów energii, łapą. Arcyczart, choć o wiele mniejszy, zatrzymał cios, a uderzając w staw łokciowy garganta, złamał mu rękę. Extremus odgryzł się, uwalniając z podbrzusza milion rozgrzanych do białości, wolframowych kulek. Pałacy potop oblał Kruczogłowego. Zacisnął dziób, choć wcale nie cierpiał wielkich katuszy. Otworzył swoje ciało, z którego natychmiast wyłoniły się chóry potępionych. Nieprzeliczone zastępy dusz poderwały ważącego więcej niż kamienica mecha, korodując go i obgryzając poszycie. Wyniesiony wysoko w oleiste niebo, runął w dół kilka przecnic dalej, rozbijając się w burzy odłamków i kurzu.

Teraz Najokrutniejszy przeniósł swoją uwagę na dwa pozostałe stalowe molochy. Zobaczył, jak dołącza do nich kolejny Obserwator ze złotymi akcentami. Przywołał swoją halabardę i ruszył im na spotkanie. Po kilku krokach wirujący w powietrzu topór runiczny wyrznął go głowę. W lekkim

szoku, lecz rozbawiony, spojrział na samotnie stojącego mężczyznę. Ten przyjął dumną postawę i patrzył prosto w ślepia Markiza. Z każdej strony otaczały go demony. Długi, ząbkowany nóż, jego jedyna broń, nie dawał mu wielkich szans. Nie spuszczać z niego zdrowego oka, przebił grdykę małego zaradnego diablika. *Piękna śmierć* – pomyślał Jeden z Panów Piekła.

Do podstarzałego wojownika dołączyła dziewczyna z dwoma mieczami. Próbowała go chronić i pomóc mu w walce. Jednak czartów było aż nadto dla tych dwojga.

Extremusy zwały szereg i ruszyły w jego stronę. Amon uśmiechnął się i poruszając skrzydłami, uniósł nad ziemię. *Infinito Dolore* wiała się w jego rękach, wykonując *danse macabre*.

ROZDZIAŁ XXXV



KAŻDY CZŁOWIEK UMRZE, NIE KAŻDY BĘDZIE ŻYŁ...

WILLIAM WALLACE, PRADAWNY ZIEMSKI WOJOWNIK.

Obudziły go odgłosy wojny. Wyświetlacze siatkówkowe informowały, że był wyłączony z akcji przez pięć minut i czterdzieści dziewięć sekund. Usłyszał lekkie cmoknięcia z tyłu głowy. Gdy minimalnie się poruszył, poczuł, że coś się z niej wysunęło. Zacisnął usta i spróbował się podnieść. Dźwięk, który go zaintrygował, spowodowała zamykająca się rana po stalowym pręcie, który jeszcze chwilę temu tkwił w jego potylicy.

Ulepszony wzrok doskonale przenikał otaczający go mrok. Podniósł miecz i rozgrzebał pierwsze warstwy gruzów. Przez powstały prześwit buchnął ogień. Zobaczył Czarnoksiężniczkę, która pojawiła się tutaj dzięki translukacji. Płomienne języki tańczyły wokół niej, paląc Nienarodzonych o gadzich paszczach, z myszowatymi wąsami.

Działając automatycznie, Witeldon pochwycił za gardziel jednego z demonów, który podszedł za blisko. Tak długo dociskał go do ściany, miażdżąc kości, że pozostał z niego krwawy ochłap. Machnięciem ręki rozniósł betonowe płyty, tworzące jego więzienie. Wychodząc z chmury opadającego kurzu zauważył, że Białowłosa uporała się już ze stadem czartów. Świadczyły o tym ich spalone i poczerńnięte skorupy.

- Martwiłam się - rzuciła. - Dlatego namierzyłam cię i prawie wyszło tak, że księżniczka uratowała swojego księcia - mruknęła zalotnie, posyłając mu rajski uśmiech.

Zauważył, że jej oczy są podkrążone. Była niebezpiecznie blada. *Nawet jej zostało już niewiele rezerw* - pomyślał. Na ramieniu dojrzał strużkę krwi. Dotknął jej delikatnej skóry.

- Jesteś ranna...

Przysunęła się i objęła go.

- Och, to nic takiego, tatuśku - przylgnęła do niego całym ciałem. Czuł zapach jej potu... Nawet to działało u niej jak afrodyzjak.

- Vivienne, ja pytam poważnie, co z tobą, i jaki jest status innych? - próbował przemówić do jej rozsądku.

Ułożyła usta w grymas zadowolenia, przymrużyła oczy. Lekko się pochyliła, by mieć głowę blisko jego ucha.

- Ze mną wszystko dobrze, jestem tylko trochę zmęczona - szepnęła i ziewnęła dla efektu. - Rodzinka też się jakoś trzyma, bo Kruczek nie skupia się na nich. Szuka ciebie, Okrutniku.

Obnażył zęby w przyływie świętej nienawiści.

- Nie będzie musiał. Otwórz portal na jego pozycje. To się skończy tu i teraz. Nie wiem jak, ale to się skończy - ich oczy się spotkały.

Tunel czasoprzestrzenny otworzył się.

- Pomogę ci i jakoś to będzie - parsknęła, przeczesując dłonią włosy. Obserwowała nieskończoność wieloświata, a jej białe loki lekko powiewały na wietrze.

- Jeśli mnie zabije, przejmiesz dowodzenie, wycofasz się ze Spero do Sacrum i zwołasz Konklawe. Otrzymasz mój mandat, ponieważ wieki temu to ciebie uznałem przed Aniołami za godną - patrzyła na niego różowymi oczami. Widział w nich wściekłość. - Uratujesz wszystkich tych, których jeszcze nie pogrzebałem.

- Nie zostawię Cię - powiedziała gniewnie. - Jak ty, to i ja, do cholery! - krzyknęła tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Powinien był się wściec, lecz nie zrobił tego. Nie był w stanie.

- Śmiesz odmówić bezpośredniego rozkazu? - zapytał zaskoczony.

- Ależ skąd - zaśmiała się, gdy zobaczyła jego minę. Od razu poprawił się jej humor.

- To zakrawa na rozdwojenie jaźni...

Poczochnęła go po brodzie.

- Uznajmy, że się zgadzam na twoje warunki - powiedziała, a w głosie można było wyczuć dziecięcą nutę. Była jak smarkacz, który ma w głowie niecny plan.

Strzelił karkiem, poprawił chwyt na mieczu.

- Gdzie jest haczyk?

- Jeśli umrzesz pierwszy, nie będziesz mógł mi mówić, co mam zrobić - mruknęła zadowolona ze swojego geniuszu.

Westchnął.

- Zaiste, zawsze jesteś krok przede mną - wycedził.

- A żebyś wiedział - usłyszał w odpowiedzi.

Klepnęła go w opancerzone ramię i ruszyła w stronę portalu.

Mężczyzna pokręcił głową przecząco, lecz na jego twarzy pojawił się uśmiech. Dogonił ją i razem szli w paszczę lwa. Choć może należałoby powiedzieć, że wchodzili w gniazdo Kruka.



Trafili w sam środek walk. Większość oddziałów Witeldona, rozlokowanych w dalszych częściach centralnego Spero, dołączyła do głównych sił. Wraz ze zburzeniem zamczyska Najokrutniejszego i zniszczeniem Katalizatora, całe miasto odczuło koniec jego bluźnierczego rytuału. Jednak bez zgładzenia sprawcy całego pandemonium wszystko było niepewne.

Ludzie i ich cybernetyczne odpowiedniki walczyli o każdy kamień. Nikt nie odpuszczał, nikt się nie cofał. Niesione wrzaskami rozkazy i echa potępiącego wycia rozcinały powietrze, a kule przebijały pancerze i ciała. Na prawej flance dostrzegli Lydię i Ursusa, odpierających ataki wrogów. Zbroja dziewczyny w wielu miejscach miała głębokie bruzdy. Kapitan od pasa w górę był nagi. Jego mięśnie i owłosiony tors lśniły od potu.

Nie można było nie zauważyć, że Legion stracił na dzikości. Pozbawiony licznych ludzkich ofiar, co było podstawą jego istnienia w świecie śmiertelnych i zmuszony do walki na równych warunkach, miał liczne problemy. Ich pobyt w świecie ludzi nie był sytuacją naturalną, dlatego więzy demonów z materium stawały się coraz słabsze. Bez silnego skupiska zepsucia i mroku Nienarodzeni nie mogli swobodnie działać wśród żywych. Ich esencje słabły i wracały do Piekła. Jednak wojna trwała wciąż w najlepsze.

Wokół Inkwizytora i Czarnoksiężniczki ożyły cienie. Oleiste, złowieszcze formy przypominały humanoidy o pustych czerwonych ślepiach. Pojedyncze uderzenie kostura o beton odrzuciło je z siłą huraganu. W tym samym czasie

Catherine zanurzyła się w ciele lwa z głową węża i rybim ogonem. Witeldon, wymachując mieczem, parł do przodu tak szybko, że dla zwykłych ludzi był jedynie lśniąca smuga niosąca śmierć. Żadne plugastwo nie mogło się z nim równać. Miażdżył butami wijące się macki i rozgniatał chore czerepy. Brodząc po kolana we krwi, recytował modlitwy w Świętej Mowie, które paliły zgniliznę dookoła.

Przeleciała nad nim kula światła. Nieduża sfera trafiła w łeb olbrzymiego żuka, zamrażając go w czasie. Zaraz po tym bestię ugodził dysk z eterycznego runicznego pisma. Wnikając w chitynowy tors, rozdał go jak balon. Wybuch wyzwolił erupcję flaków i posoki, z której wyłoniły się roje magicznych pocisków. Małe komety raziły maskary ukryte w gruzowiskach i dokonywały rzezi na zrujnowanej ulicy.

Naciskając kolejny raz spust, Inkwizytor zdmuchnął wrzeszczącego proroka o małpim pysku, z którego wychodziły ślimacze oczy. Osłoniwszy się żółtym polem, szkarada przeżyła atak. Zbliżył się do przeciwnika. Stwór uniósł kościste, zastrzone kikuty, z których wylatywały błyskawice. Przyjął je na miecz, a szybkim cięciem pozbawił mutanta łba. Ludzkość zyskiwała nowy oddech. Pozostało tylko zgładzić Główne Zło.

Vivienne jęknęła przeciągle. Przez aleję przetoczyło się morze ognia. Pożoga wyrzuciła na betonowe brzegi poskręcany, potopiony, doszczętnie wypalony gigantyczny wrak jakiejś konstrukcji. Zaraz po tym oczom wszystkich ukazał się Amon. Szedł w towarzystwie postaci zrodzonych z czystego mroku. Zakapturzone byty gardłowymi głosami śpiewały słowa spaczony liturgii. Nad Arcyczartem latały hufce harpii o aksamitnych piórach. Aura bijąca od Kruczogłowego umacniała demony, które zachowywały się tak, jakby tchnięty w nie został nowy plugawy wigor. Tak oto Mroczny Pan został przewodnikiem i centrum swoich sfor. Tylko jego koniec mógł przynieść kres temu koszmarowi na jawie.

Emanując białą łuną, Inkwizytor spopielał parodie życia, które podeszły zbyt blisko. Swoją wolą zadawał męki oszalałym apostatom, którzy w agonii wydłubywali sobie oczy i podcinali gardła. Z kolei Białowłosa, za wielkim oddziałem wroga, otworzyła wyrwę w przestrzeni, która pochłonęła wiele czartów.

- Amonie! Wyzywam Cię! - Witeldon czubkiem miecza wskazał w kierunku Arcydemonia. Drugą ręką wyjął pojemnik z ibriotami, które od razu zaczęły odbudowywać *Martyris*. - Niechaj tylko jeden z nas odejdzie

stąd żywy. Wszystko albo nic, światłość albo ciemność, ład albo chaos! Za Ludzkość! – zaintonował, przekrzykując zgiełk bitwy. – Gloria aut mors! – *Chwała albo śmierć*. Moc, z jaką to powiedział, sprawiła, że mniejsze demony cofnęły się złęknięte.

Niebiańska zorza rozbłysła wokół Witeldona. Promienie światła odbijały się od naprawionego pancerza. Z mieczem w dłoniach szarżował w stronę Personifikacji Cierpienia. Nienarodzeni pierzchali przed nim w popłochu. Uciekających ogarniał deszcz ognia, zesłany przez Vivienne, podążającą za Brodaczem. Reszta ludzkich wojsk, wszyscy znani i bezimienni bohaterowie, z żarem w sercach, zmierzali w stronę przeznaczenia. Do starcia dołączyły Extremusy, przebijające się przez bloki mieszkalne. *Aes* trzymał się jeszcze na nogach, lecz chyba tylko siłą wiary. Obok szedł *Aurum*, z obrzydliwą raną na torsie, która nie miała wpływu na spustoszenie, które siał działem pulsacyjnym.

Markiz uniósł przed siebie halabardę, co oznaczało przyjęcie wyzwania. Ruszył do walki w towarzystwie swojej świty. Szponem robił długą, ropiejącą ranę w rzeczywistości, z której wylewało się zepsucie i wybiegały nowe hordy przeklętych kreatur. Czyciele zgubnych potęg śpiewali ku chwale profanacji i destrukcji. Ziemia pękała pod ich stopami. Krew i woda zaczęły płynąć z dołu do góry, a surowce i minerały zmieniały swój stan, zachowując strukturę.

Catherine i *Infinito Dolore* zderzyły się z siłą i energią wystarczającą do tego, by zrodzić nowy wszechświat. Amon posłał na Witeldona lancę mroku, lecz rozproszyła ją jego ugrowa aura. Smagnięcie halabardy, zanim zatrzymało się na świętym mieczu, ogołociło z kości wiele ciał. Arcyczart rozniecił zielono-żółtawe płomienie, które zgasły, gdy Białowłosa skoncentrowała na nich swoją uwagę. Chwilę później ugodziła Markiza wiązką z kostura. W odwecie cisnął w jej stronę grad płonących i wyjących czaszek. Artefakt Vivienne wyzwolił pulsar, który przegnał umęczone duchy.

Czarcia broń posłała Inkwizytora na kolana i wgniotła go w ziemię. Błogosławiony werset, wypowiedziany w odpowiedzi, zagotował Kruczogłowemu krew w żyłach. Za plecami Kata działała Czarnoksiężniczka. Stworzona przez nią wielka biała gwiazda objęła go ogniem, zdzierała ciało i wyrywała skrzydła.

Ponownie uderzył halabardą, łamiąc wymiar wokół nich. Wszystko pękało i odchodziło w niebyt. Surowa moc zmiatała tak samo śmiertelnych

i Nienarodzonych. Wysoka kobieta nie mogła równać się z tym bluźnierstwem. Została odegnana, a jej ciało pokryła lazuruwa tafla magii.

Zupełnie znikąd pojawił się Ikarius. Trzymał w dłoniach futurystyczną kostkę, z której uwolnił ocean wyładowań elektrycznych. Nawałnica pochłonięła Diabła i jego Legion. Powietrze, pełne popiołu, zgęstniało i poszarzało. Wszystko znikało w kompletnej anihilacji. Jednak Arcydemon nadal był silny. Ostrze zrodzone z cienia smagnęło szybciej niż płynęły sekundy. Pole siłowe, które postawił Inżynier, zostało przecięte, a on sam posłany w gruzy w komecie mrocznego ognia.

Catherine wystrzeliła złotą lancą. Amon zaryczał z bólu. Był nieustępliwy, atakował w szale. Miecz i halabarda grzmiały dzwonami apokalipsy, zwiastując koniec pełen nienawiści, pogardy i determinacji. Markiz dostrzegł, że śmiertelnicy dobiegają do jego pozycji. Nie zamierzał pozwolić odebrać sobie satysfakcji. Ruchem palca poderwał umęczone przez eony dusze i spuścił je na boże bękarty. Osaczyły Bogobojnych ze wszystkich stron i teraz każdy walczył o przetrwanie.

- Przegrałeś! - powiedział i wymierzył kolejny cios. - Zaślepiiony głupiec! - rugał go, zrywając napierśnik. - To ten, któremu służysz, zgotował wam ten los! - uderzał, by zabić, zniszczyć, wymazać z kart czasu. - Swoją pychą i przekonaniem, że jest bezkarny, pogrzebał was już na samym początku.

Święte promienie utkane przez Inkwizytora uderzyły w Amona. Poszarpały jego ciało i odsłoniły kości, które poczerniały od światła. Markiz płonął, a jego esencja wyła. Cierpiał katusze, w których zadawaniu tak się lubował. Jednak wciąż trwał. Zapadał się w sobie. Tak samo jak człowiek.

Tamten składał swojemu Stwórcy ostateczną ofiarę poprzez samospalenie. Opuścił gardę, nie mogąc zasłonić się przed ciosem.

Wnętrznosci Arcyczarta wrzały w nim, krew parowała z żył, lecz mimo tego wznosił halabardę. *Pomyliłaś się, Demonico* - pomyślał. *Infinito Dolore* zaczęła opadać na Witeldona. Amon widział, że cięcie będzie celne. W oddali usłyszał kobiecy krzyk. Wykrzywił dziób w uśmiechu, triumfował.

Snop złotego światła spadł z niebios i osłonił Człowieka z Wyobraźnią. Arcydemon, uderzony niczym młotem, upadł w szoku na kolana. Próbował powstać, lecz potop z Nieba był zbyt potężny.

- Nie wtrącaj się! - wrzasnął, patrząc w górę. Rzucił się do przodu z zamiarem przebicia się przez wir z ochry. - *Apage Deum!*

Odejdź Boże...



Alexandra miała przed oczami obraz legendarnego Sądu Ostatecznego. Finalne strony ze Świętych Ksiąg, które głosił Stwórca, przemawiając przez uczonych i proroków. Długie minuty przebijała się na skraj pola walki, używając do ochrony kamuflażu i heksagonalnych run pancerza. Jako jedyna pozostała po drugiej stronie pola bitwy. Wiedziała, że musi pomóc Inkwizytorowi i dostać się do niego jak najszybciej. Jednak pomimo umiejętności, ostrożności i wyposażenia, została wykryta.

Dopadły ją bydlęta pozbawione nóg, przypominające orleniokształtne zwierzęta dawnej Ziemi, z głowami o długich szczękach, w których wiły się lśniące od kwasu języki najeżone krzywymi zębami. Stwory sunęły długimi skokami, używając do tego umięśnionych, wielkich ramion ze szponami zdolnymi do łupania kamieni. Szpieg-mistrzyni obróciła się i cisnęła trzy granaty odłamkowe. Rzucone ładunki spadły idealnie tam, gdzie lądował mierzący ponad dwa metry drapieźnik. Bydlę zgmiotło gruzy i zdążyło tylko pisnąć, gdy doszło do eksplozji. Flaki i odłamki kości wystrzeliły na wszystkie strony. Cielsko runęło na plecy.

Gonitwa trwała. Kobieta nie miała już żadnych materiałów wybuchowych. Przeskakiwała kolejne zapadliska i betonowe gruzy. Nagle tuż przed nią pojawiła się łapa demona. Rapieniem technologicznym starała się osłonić, lecz bestia chwyciła ją za miecz i próbowała pociągnąć do siebie. Nie panikowała. Puściła rękojeść i wyciągnęła pistolet z kabury. Dziesięć pocisków trafiło Nienarodzonego w czerep, zamieniając go w krwawą kaszę.

Walka trwała kilka sekund, lecz to wystarczyło, by ostry jak brzytwa szpon kolejnego straszydła smagnął jej naramiennik, zrywając go. Chlusnęła krew, a kobieta wydała z siebie stłumiony krzyk. Drugą rękę wciąż chronił pancerz i mogła skorzystać ze skrytobójczego arsenału. Wycelowwała w demona i wypuściła w niego grad strzałek z truciznami i chemikaliami. Próbował ciąć ją jeszcze raz, lecz sparaliżowany zaczął puchnąć. Ze skręcającej się skóry wypływała posoka.

Walcząc z bólem i pozbawiona medykamentów w dozownikach, upuściła pistolet. Zakłęła, lecz nie cofnęła się, by go zabrać. Musiała zdążyć wesprzeć swojego Pana. Znajdowała się kilkaset metrów od gruzów kamienic,

zburzonych i poskręcanych przez plugawą magię. Za nimi rozgrywał się pojedynek decydujący o losach ludzkości.

Nie doceniała sprytu nieczystych umysłów. Gdy pokonała już większość dystansu, z ziemi wynurzyła się następna szkarada. Zmora pojawiła się przed nią w chmurze kurzu i brudów. Wyciągnęła szyję, chcąc dosięgnąć językiem czoła kobiety. Alexandra zrobiła unik, wykonując piruet w bok i dała susa do przodu. Demon był jednak szybszy niż śmiertelne ciało. Zwinnie się zakręcił, zwalając ogonem Szpieg-mistrzynię z nóg. Z rumorem zatrzymała się na betonowej ścianie.

Uderzenie pozbawiło ją oddechu. Z bólu zagryzła wargi do krwi, a na wyświetlaczach siatkówkowych czytała raport o połamanych żebrach. Próbowwała dosięgnąć bełtu kuszy *Sanctificate*. Ostatkiem sił przesunęła się, unikając dzięki temu kolejnego ciosu. Tytaniczna łapa przeorała gruby mur, o który się przed chwilą opierała. Wysunęła swoje ostrze nadgarstkowe, a uświęcona stal odcięła szpon biesa. Ten ryknął i spróbował przekłuć ją żądłem. Desperacko się szamocząc, uniknęła marnego końca.

Odbezpieczyła drugi nóż z uszkodzonego mechanizmu rannej ręki, chwyciła go w palce i wbiła w ogon bestii. Znów rzuciła się w bok. Robiła co mogła, by nie dostać się w zasięg szponów. Prawie się udało. Prawie, ponieważ pazur demona przejechał po jej plecach, rozrywając zbroję i raniąc do mięśni. Wrzasnęła, od cierpienia pociemniało jej przed oczami. Jeszcze raz spróbowała sięgnąć po kuszę. Nienarodzony chwycił ją i przyciągnął do siebie. Ryjąc dłońmi w gruzach, instynktownie złapała za metalowy pręt, który wyczuła pod palcami. Odwróciła się i dźgnęła nim czarta w łeb. Zaostrzony koniec gładko przebił oko maskary i wszedł w mózg. Plugawy byt z nienawiścią zatopił pazury w jej boku i masakrował brzuch. Wyjął w mękach, resztkami sił przekręciła i docisnęła stal, tkwiącą w czaszce demona. Tak zakończyła jego grzeszny żywot. Wierzgnął i zadygotał, gdy metalowy czub skruszył kość ciemieniową. Stęknął i upadł martwy, przykrywając Szpieg-mistrzynię swoim cielskiem.

Na pobojuwisku już tylko wiatr szeptał swoje zdradzieckie przepowiednie. Jednak po chwili ten stos umęczonego mięsa zaczął podrygiwać. Alexandra ostatkiem sił starała się wydostać spod piekielnego trupa. Powoli, metodycznie, cierpiąc przy nawet najmniejszym ruchu.

- Bóle zaznane na Ziemi są oszczędnościami, z których będziemy żyli po naszej śmierci - szeptała urywanym głosem Kantyczkę Męczenników.

Próbowała wstać. Upadła. Spróbowała jeszcze raz. Krew z jej ran kapiała na ziemię. – Ciała nasze kruche rozsypią się na proch, odsłonią doskonałość i nieśmiertelność duszy – zrobiła krok, następny i jeszcze jeden. W oddali słyszała odgłosy zagłady. Widziała Boskie światło. – Życie, które nam ofiarowano, przyjęliśmy bez zastanowienia. Niechaj decyzjami dobrymi dla innych, a nie dla nas, wniesie posąg do Wymiaru Bożego – łkając i zaciskając z bólu pięści, postawiła stopę na betonowym fundamencie. Nie mogła się poddać. – Ręce, które czynią świat dookoła nas domem dla innych, są tak samo święte jak te, które składają się do modlitwy – jej palce dotknęły kuszy. Miała tylko jeden srebrny bełt, pobłogosławiony przez siostry zakonne i pokryty zabójczymi dla zła inskrypcjami. Ruszyła w odmęty zrujnowanych kamienic. Echa toczącej się wojny rezonowały w jej głowie. – Ty, który masz wolną wolę, użyj jej, by stać się dla innych wzorem, idolem niosącym pokolenia do wielkości – recytując, wspinała się po zerwanych kondygnacjach.

Metrem za metrem była coraz wyżej i bliżej drugiej strony blokady. Wiele razy ześlizgiwała się, jeszcze więcej upadała, lecz zawsze powracała.

– Twoje imię może pozostać znane tylko Tobie, lecz dla historii i Boga zapamiętany zostaniesz na wieki jako idea, postawa, przypomnienie tego, że poddać się nie można, że za to, w co wierzysz, warto umrzeć – podciągnęła się na wyższy poziom i wtoczyła do zrujnowanego pokoju. Wszystko wirowało, jej żyły robiły się puste. – Dopóki bije twoje serce, dopóty piszesz wiadomość dla ludzkości. Gdy bić ustanie, świadectwo, które dajesz trafi wprost do samych dusz – przywarła do muru, przytulając do siebie broń. Mogła stąd zobaczyć, jak pół kilometra dalej rozgrywa się scena, o której pisały Pisma. – Krew męczenników jest nawozem, na którym wyrosną plony pod postacią silnych pokoleń – zajmowała pozycję strzelecką.



Widziała jak Witeldon, emanując światłem zesłanym przez samego Stwórcę, walczy z czartem. Ujrzała jak Arcydemon unosił swoją przeklętą halabardę. Wokół walczących tańczyły ognie, duchy, diabły, istoty, które jej umysł wypierał. Były pochodzące z tysiąca i jednego wymiarów.

Rzeczywistość rwała się i szarpała, przyjmując pokraczne formy. Dostrzegła, jak lazurytowa fala rozbija rubinowe mury. Prowadząc ostatnich wspaniałych, Vivienne szła z odsieczą.

- Gdy serce twoje poprowadzi ręce, każdy gest będzie rzeźbił legendę o twym oddaniu. Patrz na świat oczami pełnymi światła. Rozprosz mrok obłudy i iluzji. Bądź prawdą, która wypali każde kłamstwo. Amen - zakończyła modłę, wycelowała i nacisnęła spust.

Srebrna jaskółka opuściła gniazdo, zwiastując odrodzenie.



Kilka minut wcześniej...

Strumienie ognia lały się ze wszystkich stron. Pośród tego zmaterializowanego szaleństwa stał dumnie Inkwizytor. Wichry wszechświata owiewały jego twarz. Uniósł przed siebie miecz. Broń kipiała złotą pożogą i odpędzała mrok. Lanca ciemności, dzirynt z pychy, którą od zarania dziejów skrywały i pielęgnowały istoty człowiecze, rozbiła się o klingę. Odłamki grzechu przebiły się przez rzeczywistość otaczającą walczących. Z jam wypełzły gigantyczne kałamarnice, które unosząc się w powietrzu, pochłaniały światło. Pasożyty z międzyświatowej pustki, zwabione mocą, rzuciły się na Arcydemoną.

- Precz! - wrzasnął i zgromił je purpurowymi błyskawicami, posłanymi ze szponu.

Witeldon chwycił fragment skryzalizowanej nocy i używając całej swojej nienawiści przekuł go w świętą kulę, którą rzucił w Markiza, wypowiadając żarliwe litanie. Gdy bomba wybuchła, pozbawiła Kruczołowego większości ciała z przodu. Czart aż się zatrząsł, lecz po chwili jego tkanki się zregenerowały. Kunsztownie wykonane oręża znów się skrzyżowały. Ziemia dookoła zadrżała w strachu, niepewna przyszłości, oślepiona od krwi.

- Jaki masz cel w tym, co czynisz? Odpowiadaj, zaklinam cię Jego imieniem! - wycharczał człowiek.

Zamachnął się mieczem, z którego strzeliła biała wiązka światła. Ramię Najokrutniejszego zniknęło w jego błysku. Jednak nieśmiertelne ciało szybko się odradzało, ponownie przyjmując straszliwą formę. Płomienie rozkwitły wokół Amona, smagając go raz za razem.

Arcyczart zdmuchnął je jednym zaklęciem, a kaskady mroku runęły na Inkwizytora, pozbawiając go większości zbroi. Halabarda poszła w ruch, lecz ponownie zablokował ją miecz. Przestrzeń wokół nich zyskiwała świadomość, materie tętniły życiem, chciały zabijać.

- Coś, w czym twój gatunek jest mistrzem. Moja własna zemsta. Chociaż pewnie cię zaskoczy, że my obaj jesteście ledwie pionkami w rozgrywce, która nadchodzi - zakrzyknął w odpowiedzi.

Siła ciosu odtrąciła gardę Witeldona. Wycelował w serce. Zbudowane z mroku ostrze dosięgło człowieka, lecz odbiło się od ugrowej esencji. Wymieniali cios za ciosem. Litość i wahanie były im obce. Sługa Boży wykonał tajemny gest i z jego dłoni, przez palce, wyszła ściana błogosławionego ognia. Błękitna moc pochłoneła Najokrutniejszego, zmyła z niego oleistą noc, odsłoniła plugawe wnętrze.

- Mów! - zagrzmiął Brodacz i wyrecytował egzorcyzm. Łuna z nieba zapulsowała mocniej. Posoka trysnęła z otworów na jego twarzy, lecz nie stracił koncentracji. W stronę Nienarodzonego posłał awatara Ducha Świętego.

Biała gołębicą wyleciała z jego ręki, smagnęła skorupę Arcydemona i zniknęła w promieniach jutrzeńki. Te fragmenty piekielnego ciała, które dotknął choćby pojedynczy promień słońca, zmieniały się w nicość. Amon zawył w katuszach, próbując zejść ze światła. Jego esencja została poraniona, a więzy ze światem śmiertelnych poważnie nadszarpnięte. Mimo że trwało to ledwie ułamek sekundy, stał się przezroczysty.

- Ktoś z twojej przeszłości bardzo za tobą tęskni - wysapał z wyraźną satysfakcją w głosie. Ruszył ponownie do natarcia. Widział słabość człowieka. Jego obserwacje wiodły do słusznych wniosków.

Witeldon, emanując złotą energią, która konsekrowała ziemię dookoła niego, przyklęknął na jedno kolano. Zbyt wiele kosztowało go to wszystko. Rytuały dawały mu wielką moc, lecz nawet jego ciało miało granice. Dla demonów wszystko było zmienne.

Infinito Dolore odcięła duży fragment migoczącej aury, która spowijała Inkwizytora. Trzask łamanego materium ogarnął przestrzeń, w której trudzili się czempioni obu wymiarów. W wielu miejscach grawitacja przestawała istnieć, w innych osiągała miażdżące wartości.

Z międzywymiarowych pieczar wylatywały splugawione komary, większe niż konie. Plaga wleciała nad miasto, by kęsać wszystkich naznaczonych znakiem Piekieł. Palące się na czole znamię oznaczało potępienie.

Erupcje cienia i mroku, wichry tańczących języków świętego ognia, zderzały się raz za razem, gdyż była to nie tylko walka oręża i mięśni. Trwał także pojedynek umysłów i woli.

Witeldon był niczym ostatni bastion jasności w oku burzy. Słowo za słowem opuszczały jego splekane usta, żar lejący się z jego duszy zamykał szczeliny chaosu i w proch obracał poniewierające się wszędzie czarcie sługi. Sam Arcydemon z trudem stał na nogach, krwawiąc z jednej rany na wszystkich, którzy kiedykolwiek odwrócili się od Stwórcy.

- Ty ciągle jesteś taki ślepy, uważasz siebie za odstępstwo od reguły, stojące z boku własnego gatunku - rżał. - Separujesz się od pozostałych. Ja wiem lepiej od ciebie, że wina i niemoc są twoim credo. I Ja Tobie To Pokażę - wyraźnie wymawiał każdy wyraz.

Halabarda Najokrutniejszego uderzyła dwukrotnie. Inkwizytor klęknął, lecz nie przestał egzorcyzmować. Jego ciało mogło się poddać, wola nigdy. Niebo zamarło w konwulsjach, a chwilę później pękło. Wydawało się, że ze sklepienia runęły wszystkie gwiazdy. Tuż przed bombardowaniem nad walczącymi zawisła wielobarwna pajęczyna. Słońca wielu światów rozbiły się o powstający witraż z nowym domem ludzi, rajem dla wszystkich wybrańców Boga.

Podmuchy cyjanowego ognia przetoczyły się przez pole bitwy, spychając czarcią publiczność w odmęty zapomnienia. Powietrze zaświszczało od najróżniejszych pocisków, gdy niedobitki wojsk prowadzonych przez Białowłosą przebiły się przez hordy potępionych. Jednak żadna kula i laser nie mogły powalić Markiza, który został trafiony więcej razy niż liczy cały Legion. Rój magicznych komet opuścił kostur Viviene. Rozbijając się o zasłonę Najokrutniejszego, zamieniły się w migoczące zorze.



- Ach... Więcej pyłu, więcej prochów i więcej rozczarowania - powiedział Jeden z Panów Piekła, posyłając w ich stronę śmiercionośny karmazynowy promień. Wiatr niósł krzyki umierających.

Piekielna relikwia opadła na Witeldona trzykrotnie. Boskie błogosławieństwo chroniło go jak najwspanialsza z tarcz, jednak aureola zaczęła pękać, migocząc przy tym. Złota światłość kumulowała się w jego mieczu. Drżąc i modląc się, zbierał siły na atak. Nie wiedział, czy zdąży. Śmierć zawsze wolno idzie po życie ludzkie, lecz nigdy nie spoczywa w podróży. Nieprzewidywalna i bezlitosna. Jednak zawsze cierpliwa w działaniach i zawsze mogąca zaczekać.

Wymiar ponownie zapłonął. Na nieboskłonie pojawiła się gigantyczna czaszka, która zawisała nad ulicą. Jej szeroko otwarte żuchwy pokazywały piękne uzębienie. Każdy ząb był jak ława, gdzie zasiadali szatańscy grajkowie. Orkiestra złożona z demonów grała potępieńcze pieśni i wychwalała hekatombę.

- Drżycie wszyscy, albowiem patrzycie na źródło waszego istnienia - intonował Amon. - Protoplastę wszelkiego życia, ojca i matkę, alfę i omegę! Waszego Stwórcę i waszego Niszczyciela.

Uniósł w górę *Infinito Dolore*, gotów na ostateczne uderzenie. Ciemność stała się czarna jak otchłań i zimna jak ludzkie serce. Witeldon zrozumiał, że przegrał. Zabrakło mu sekund. Zawiodł.

Nadzieja, jeszcze przed chwilą umarła, teraz zmartwychwstała pod postacią srebrnej igły. Wszyscy zauważyli, jak bełt trafia Markiza w nadgarstek, w którym trzyma halabardę. Święty metal natychmiast rozgrzał się do białości. Dłoń Arcydemona eksplodowała, a krew tryskająca z rany zamieniła się w piach. Okaleczona została także jaźń czarta.

Ziarna czasu sypały się jedno za drugim. Gigantycznym wysiłkiem zrekonstruował swój szpon, pomimo heksagonalnych wardów blokujących spaczenie. Chciał złapać halabardę, lecz prostacka telekineza odrzuciła ją daleko za horyzont. Białowłosa, słaniając się na nogach, przechytrzyła go. O jego ciało gruchnęły pociski, co tylko jeszcze bardziej go rozwścieczyło. Żaden arsenał nie mógł wyrzucić mu krzywdy. Jednak w rękach śmiertelników krył się jeden as.

Wypowiadając ostatnie przykazanie, Witeldon Walszarti zamachnął się mieczem, zbierając całą chwałę niebios, która lała się, użyźniając wokół glebę i skazując na wieczne zapomnienie Nienarodzonych. Całą ją skupił na czubku ostrza.

- Apage Satanas! - wrzasnął, a jego głos zagrzmiął niczym kościelny dzwon. Wyciągnął przed siebie relikwię Oficjum, celując w serce Markiza.

Catherine dźgnęła je uwolnioną wiązką białego światła, która wgryzła się w pierś Amona, krusząc tors. Promień przeszedł przez niego i zniknął w chmurach. Szedł wprost do Nieba. Niósł nowinę do Bożych uszu.

Jeden z Panów Piekła zapadł się w siebie. Blask najczystszy z ogni przegnał całe zepsucie, eksterminował abominacje, zamknął rany w materium, zakończył płacz ziemi. Cielsko Kata skurczyło się i uszło. Demon upadł na kolana, a po chwili legł na ziemi, wspierając się na łokciach. Z jego dzioba kapąła czarna krew. Nie regenerował się. Umierał.

Cisza, która nastąpiła, była obca ludziom. Ostatni ocaleli z walk niepewnie podchodzili do konającego, trzymając broń w pełnej gotowości. Wszystkich osaczały ruiny, świadectwo koszmarów, które śnili na jawie i demonów, które zbezczęściły ich dom. Przez ponad pół doby walczyli i umierali w starciu z nieskończonością, lecz spokój, który teraz nastąpił, zaprzeczał temu wszystkiemu. Zastanawiali się, czy to wszystko było realne. Marazm przerwał mokry kaszel Amona.

- Nieprawdopodobne... - wyrzeźił. Rzygał oleistą breją i wstrząsały nim konwulsje. - Z Nim jest jeszcze gorzej niż myślałem - charczenie przeradzało się w śmiech. Złowrogi rechot, ścinający krew w żyłach.

- Jakie kłamstwa znowu prawisz? - zapytał Inkwizytor, zbliżając się do szyi Markiza. Miecz miał w pogotowiu. Runy na nim lśniły w pełnej krasie.

Nienarodzony wykrzywił się w bólu. Ciało obumierało i zwęglało się. Odsłonięte kości starzały się w szybkim tempie. Z jego skrzydeł i łba wylatywały pióra. Zupełnie jak liście z antycznych drzew. Symbol przemijania.

- Gdy ugodziłeś mnie siłą, którą On na ciebie zesłał, dane mi było wejrzeć w Królestwo Niebieskie i popatrzeć na Jego osobę - dziób zaczął pękać. - Zmienił się od czasu, kiedy zamknął się na cztery spusty w Niebie, otoczony Oddaną Strażą. Do reszty zatracił się w ułudzie i szaleństwie - w gasnących ślepiach widać było rozbawienie.

- Kłamstwa i herezja - Witeldon przemówił stalowym głosem.

Amon rżał w najlepsze. Jego szkielet pękał. Trzęsąc się i śliniąc, ponownie skrzyżował wzrok z członkiem Oficjum.

- Doprawdy? - zachnął się. - Przypatrz się temu, co się stało, pomyśl o wszystkim, czego doświadczyliście, i posłuchaj - wyraźnie słabł. Jego skóra zmieniała się w popiół. - Zadajcie sobie kilka pytań. Czy Bóg chce zapobiegać złu... - ruchem łba wskazał na siebie - ...lecz nie może? Nie jest zatem wszechmogący - omiatał spojrzeniem innych ludzi. - Czy może, ale nie chce? Cóż, zatem nie jest miłosierny - próbował przełknąć gęstą maź. Nie udało mu się. - Czy może i chce? W takim razie skąd się wzięło zło? Czy nie może i nie chce? - powrócił do Inkwizytora. - Dlaczego więc nazywacie go Bogiem?

Witeldon pozostał niewzruszony.

- Ostatecznym darem, który otrzymała od Niego ludzkość, była wolna wola - jego ton pozbawiony był wyższości, religijnego zapachu i gniewu. Każdym słowem dawał świadectwo tego, w co wierzył, a nie tego, czego został nauczony. - My decydujemy o sobie. Nie jesteśmy doskonali i błędy są częścią nas. Za nie trzeba płacić i w naszym interesie leży, by je odpracowywać - brew lekko poszła do góry. - Jaki byłby sens w tym, że mając własne życie, nie miałyby się nad nim władzy? My jesteśmy ludzkością, Jego dziećmi, lecz to On pozwolił nam być samodzielnymi, nawet jeśli konsekwencje tego są srogie. Nie reaguje, gdyż ufa. A ufa, więc nie ciągnie piskląt z powrotem do gniazda.

Kruczogłowy, teraz cień dawnego siebie, splunął ropą.

- Nawet fanatyczny bełkot zabrzmi jak oświecający wykład, gdy ubierze się go w ładne słowa - zakpił.

Witeldon zrobił krok do przodu. Stał teraz na długość miecza od łba demona. Napięcie w powietrzu czyniło je gęstym, nieprzejrzystym.

- To się tutaj kończy - powiedział.

Odpowiedzią był śmiech.

- To się tutaj dopiero zaczyna, człowieku - blask w jego ślepiach gasł. - Niedługo zrozumiesz, że ty również przegrałeś. Ktoś, kogo dobrze znasz, powie ci to prosto w twarz. Mnie to już nie dotyczy. Może teraz dane mi będzie znaleźć tę, którą zgładziłeś milenia temu - dokończył i odstąpił kark, a widząc wahanie, zagrział. - Na co czekasz?!

Mężczyzna zamachnął się świętym ostrzem. *Catherine* gładko rozcięła piekielne kręgi. Łeb Amona upadł na brudny grunt. Jego ciało poddało się moment później.

Nikt się nie poruszył. Każdy na coś czekał. Nie mogli uwierzyć, że istota tak potężna, która wytrzymała tyle ciosów, zgładziła tyle żyć i niemal powaliła na kolana Spero, największe miasto świata, leżała martwa u ich stóp. We wszystkich sercach krył się strach, że katastrofa dopiero nadejdzie. Poderwali karabiny, gdy do ich uszu dobiegł histeryczny pisk.

Z gruzów w odległości kilkunastu metrów wyłoniła się kobieta. Poraniona i okaleczona, ubrana w bure łachmany, z pomazaną błotem i krwią twarzą, którą zasłaniały kasztanowe włosy, pełzła w stronę mężczyzny.

- Gratulacje, Witeldonie! - jej krzyk przewiercał ciało aż do samej duszy. Głos zwiastował podziw, swawolę, pożądanie. - Obserwowałam każdy twój ruch i muszę powiedzieć, że nie wyszedłeś z formy. Boskiej formy! - chichotała jak oszalała, przybliżając się. - Jak już poradziłeś sobie z tym nerwusem, to nic nie stoi na przeszkodzie, bym cię uraczyła całą sobą - już tylko kilka długości ludzkiego ciała dzieliło ją od Brodacza. Spojrzał w jej oczy. Były jak dwa dorodne bursztyny lśniące w południe w promieniach słońca. Uśmiech i wzrok kobiety nie należały do niej. - A ty będziesz tylko mój. Lecz wpierw pozabijam wszystkich, których koniec sprawi, że poczujesz ból. Będzie ci ślicznie z cierpieniem na twa...

Ciało opętanej zniknęło w ognistym kwiecie. *Carine* stopiła jej formę, robiąc pod nią lawową zupę. Inkwizytor zapiął pistolet do panelu magnetycznego i milczał obserwując pogorzelnisko.

Nikt nie śmiał go niepokoić. Do czasu.

- Mistrzu, czy to już wszystko? - zapytała szeptem Lydia. Wyczuwał jej lęk.

Zapatrzył się w dal na płonące zgliszczu metropolii, pokruszone megakonstrukcje i niebo, na którym, choć nie było zachmurzone, nie widać było gwiazd.

- Pozostało jeszcze tylko jedno... - mówił spokojnie, bez emocji, cicho.

Kwaśny deszcz spadł na wszystkich.



3 godziny później...

- Czy to jest naprawdę konieczne, Łowco? - Amadeus pytał kolejny raz. Był zszokowany i poirytowany.

Człowiek z Wyobraźnią znów nie udzielił odpowiedzi. Stał obok Gubernatora, opierając się o balustradę balkonu rozległego jak boisko. Ta część prywatnych komnat pana Spero, nie została uszkodzona podczas wizyty Arcydemonia. Tutejsze bogactwo i przepych rażąco kontrastowały z ubóstwem i zniszczeniami na dole. Ze szczytu pałacu Rudowłosego destrukcja nabierała zupełnie innego wyobrażenia. Swym ulepszonym wzrokiem przybliżał obraz i patrzył teraz na sceny rozgrywające się w centrum Terrańskiego Klejnotu.

Mężczyzna obserwował tabuny obszarpanych ludzi, pożerających siebie nawzajem. Większość zachowywała się niczym zwierzęta chore na wściekliznę i opętane szaleństwem. Wielu łączyło się w hordy, które dopadały samotników i rozwlekały ich ciała.

Dostrzegł ciężarną, która sama sobie wyrwała z brzucha dziecko i zanim się wykrwawiła, próbowała nauczyć je chodzić. Omiótł wzrokiem orgię z udziałem tysięcy ludzi, którzy łączyli się w pary z nieżyjącymi bądź rannymi i pozbawionymi kończyn. Ich hedonistyczne zachowania nie znały granic, a wyobraźnia była nieskończona.

W jeszcze innej scenie bohaterkami były dwie kobiety. Jedna, straszliwie otyła, została zabita obuchem. Zabójczyni była szczupła, wyglądała na zdrowszą i w dużo lepszej kondycji. Używając ostrego kamienia, morderczyni wypatroszyła grubą jak rybę i ułożyła się w jej ciepłym, wilgotnym wnętrzu. *Czyżby była zmęczona i chciała położyć się spać, mając dach nad głową?* - pomyślał.

To tylko nieliczne ujęcia w tym chorym filmie, granym w kinie życia. Spaczenie i zepsucie wniknęło za głęboko w ziemię i umysły ludzi. Nie było dla nich zbawienia.

- Łowco... - Pan Tego Miasta wciąż próbował uzyskać odpowiedź na swoje pytanie, lecz Inkwizytor był jak ogłuchły. Na wyświetlaczach siatkówkowych odbierał liczne raporty z udanej ewakuacji oraz zabezpieczania tego, co dało się uratować.

Vivienne w Wieży Magów, wraz z innymi czarnoksiężnikami, dokonywała niezbędnych wzmocnień osłony magicznej i pomagała nakreślić plany odnalezienia Pochłaniaczy.

Ikarius przeżył cios zadany przez Amona. Udało mu się szybko zrekonstruować i teraz z Keorem, równie mocno zniszczonym, starali się

ściągnąć jak najwięcej technologii, surowców i wiedzy z Kuźni należących do Centralnego Pierścienia.

Alexandrę, w ostatniej chwili, odnalazła Białowłosa. Od razu umieszczono ją w sekcji medycznej. Wszystko wskazywało na to, że będzie żyła.

Ursus dostał zadanie przeprowadzenia inspekcji Cytadeli Interwentów i przypilnowania Naczelnika Kadmuta Podra. Jednak Kolos poprosił o zmianę rozkazu. Chciał nadzorować transporty Studentów z sekcji uczelnianych. Witeldon przystał na jego apel i gdy Kapitan na prywatnym kanale poinformował go, że widział córkę wsiadającą do transportowca, pogratulował mu. Była śmiertelnie przerażona, lecz cała i zdrowa.

Mając dokładny przegląd planów, wysłał Lydię, którą wyposażył w swoją pieczęć i dokument dający jej władze równą swojej, do nałożenia sankcji na Miejskie Służby Porządkowe. Z pewnością sama jej obecność zmobilizowała wielu do lepszej pracy, ponieważ w tej części miasta brakowało do niej chętnych. Prawie dwa miliony Interwentów straciło życie albo miało status zaginionych. Ranni szli w setki tysięcy, a liczby te na pewno wzrosną, gdy Inkwizycja przeprowadzi czystki.

Rozdysponowane oddziały Mortusów z rubieży miasta zabezpieczały tranzyty Duchowieństwa i Szlachty, dbając o ich bezpieczeństwo i eksterminując wszystko, co wydawało się podejrzane. Zwyczajni ludzie nie mogli liczyć na żadną formę pomocy.

- Inkwizytorze... - natarczywość Włodarza rosła.

- Tak, Amadeusie?

Gubernator zawahał się. Jego bursztynowe oczy były szeroko otwarte. Dłonią wskazał szaleństwo, rozgrywające się pod nimi.

- Czy to musi być Caedes? - powiedział to takim głosem, jakby miał się zaraz rozplakać. Choć gdyby tak zrobił, nie straciłby w oczach Brodacza. Rzeź łamała najsilniejszych.

Gdy spaczenie jest zbyt wielkie, a nadzieja zbyt krucha, gdy koszty oczyszczenia jakiegoś obszaru, miejsca, budynku, a nawet społeczności są nierealne i całkowicie nieopłacalne, do tego całe przedsięwzięcie jest niebezpieczne, a ryzyko pomyłki ogromne, każdy Inkwizytor ma prawo zawezwać Sąd Boży. Spisaną prośbę posyła do Szóstego Chóru Anielskiego, Potęg, które powstrzymywały plany demonów. Błaga w niej o zesłanie ognia

Bożego na niewiarę i skazę. Broń absolutnej zagłady, przed którą nie ma odwołania ani ratunku. Grzech jest niezmywalny, kara musi być ostateczna.

- Mówiłem to już kilka razy, więc powtórzę również tobie - Witeldon wyciągnął rękę, w której trzymał zwój ze złota. Czasomierz pokazał koniec pospiesznej ewakuacji. Wszyscy, którzy odeszli, mogli liczyć na cud ocalenia, a ci, którym się nie udało... Bóg pozna swoich. - Herezja jest niczym drzewo - z chmur wyleciała świetlista gołębica. Leciła wprost na dwoje ludzi. - Możesz je ściąć, spalić, zatruć ziemię, lecz gdzieś zawsze czaił się korzeń, który wypuści nowe pędy - ptak mistrzowskim ruchem zabrał papier i pomknął w Niebo. - Zło powróci silniejsze, trwalsze i jeszcze bardziej plugawe - obłoki, w których skrył się skrzydlaty posłaniec, zaczęły lśnić złotą zorzą. - Nawet w moim ugrupowaniu są tacy, którzy uważają, że to, co się tu dokonuje, jest bezbożnym ludobójstwem. Nie sposób nie dostrzec w tym odrobiny prawdy.

Amadeus nie widział dokładnie tego, co Witeldon. Inkwizytor oglądał, jak z chmur wyłaniają się okuci w potężne złoto-srebrne zbroje Aniołowie. Kilka tuzinów Strażników Boga zajmowało pozycje, z ich dłoni błyskały ochrowe wyładowania. Szlachcic dostrzegał jedynie nadchodzącą potężną burzę.

- Musisz wiedzieć, że ci, którzy śmiały kwestionować moje prawo do zglądzenia tych pięćdziesięciu milionów istnień, wiedzą doskonale, że nie czyniąc tego, pogrzebałbym miliardy. O żadnym występku wobec Stwórcy nie można mówić, że jest zbyt mały, o żadnej skrusze nie można rozprawiać, że jest wystarczająca, a o żadnej karze nie można powiedzieć, że jest zbyt surowa - czarnoskóry anioł spojrział na Sługę Bożego i kiwnął głową, a Witeldon podziękował tym samym gestem. Prośba została rozpatrzona pozytywnie.

Gigantyczne snopy światła uderzyły naraz w kilkunastu punktach. Fale świętego ognia zmiatały wszystko, co spotkały na swojej drodze. Ludzi, budynki, brud, kurz. Rozszerzały się, obejmując kolejne kilometry. Oczyszczenie było absolutne, a ziemia po nim gładka, jałowa i ciepła. Przypominała czystą kartkę, którą znów można było zapisać, nie popełniając już starych błędów.

Nowe kanonady uderzyły w świat śmiertelnych, który przestawał istnieć, by się odrodzić. Inkwizytor patrzył na nie ruszone jeszcze obszary. W ruinach jednej z kamienic dostrzegł chłopca. Tego samego, którego napotkał, gdy uwolnił się od Níðhöggra. Dziecko z determinacją wspinało się po gzymsach,

próbując uciec przed nieuniknionym. Pożoga zaciskała pętlę wokół niego. Biegła niestrudzenie, pozostawiając za sobą nicość. Witeldon patrzył, jak malec dotarł na fragment daszku zburzonego budynku. Widział w jego ruchach panikę i przerażenie. Kilkulatek krążył od jednego końca do drugiego, nie wiedząc co robić. Światło było tuż obok. Brodacz zacisnął dłoń wokół kamiennej balustrady, krusząc ją.

Mały człowiek odwrócił głowę i popatrzył wysoko. Mogło się zdawać, że spogląda wprost na Człowieka z Wyobraźnią. Języki ognia lizały już daszek, na którym stał. Chłopiec uronił łzę i zniknął w ścianie ognia, która niewzruszona poniosła wyrok dalej.

Caedes powoli się kończył. Ogień przygasł i zatrzymał na przedmurzu Kompleksu Pałacowego. Za nim to już agenci Oficjum dbali o wyplenienie wszelkich chwastów.

- Próbuję wierzyć, że te działania były konieczne - powiedział Amadeus. Cały drżał, a głos mu się łamał.

- Nasz ostatni krok jest często również pierwszym - po twarzy Witeldona przebiegł grymas. Usta zapiekły go, jakby wypił kwas. Nie rozumiał, dlaczego. - Muszę Cię opuścić, moje obowiązki jeszcze się nie skończyły - obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

- Dziękuję - powiedział Gubernator, choć nie bardzo wiedział, za co dziękował.

Wysłuchując się w coraz odleglejszy stukot metalowych butów Inkwizytora, Rudowłosy został sam na sam z pogorzeliem, które kiedyś było sercem jego Imperium.

EPILOG



TY, KTÓRY MIAŁEŚ BYĆ RADOŚCIĄ WIELKĄ, SKARBEM BŁOGOSŁAWIONYM,
WYCZEKIWANY, DOGLĄDANY, MIŁOWANY SERCEM OSŁODZONYM.
PO PRZYJŚCIU ZWYCIĘSKIM KRZYKIEM MIAŁEŚ NAGRODZIĆ TRUD I WYSIŁEK,
LE CZ CISZA BYŁA JEDYNYM, CO USŁYSZAŁ POGRAŻONY W ŻAŁOBIE I ŁKANIU CZŁEK.
ZAMIAST ROSNAĆ W RAMIONACH TYCH, KTÓRZY CIĘ PRAGNĘLI I STWORZYLI,
DUSZYCZKA TWOJA POWĘDROWAŁA WPROST DO PANA, WBREW TYM, CO ŁZY RONILI.
KOLEJNY ANIOŁEK, KTÓRY ZAMIAST BYĆ DOGLĄDANYM PRZEZ MAMĘ, TATĘ I RESZTĘ RODZINY,
BĘDZIE, ODPOCZYWAJĄC NA PUCHATEJ CHMURCE, ZSYŁAŁ UKOJENIE NA ICH RANY.
TYLE JUŻ TAKICH, JAK TY SPOTKAŁ LOS TEN SAM, OKRUTNY, NIESPRAWIEDLIWY, MROCZNY.
PEWNIEM RAZEM Z INNYMI MALCAMI TWORZYSZ, BEZ WĄTPIENIA, CHÓREK CUDOWNY.
DLACZEGO TYLE WAS MUSZĘ TRACIĆ, PRZECIEŻ KIEDYŚ TAK BYŁO TUTAJ ŻYWO,
TERAZ NIEMY JEST MÓJ LAMENT, NIE MOGĘ JUŻ PŁAKAĆ, DUSZA STRACIŁA SPOIWO.
PRZEPRASZAM, CHOĆ ŻADNE NIE BYŁO MOJE, TO KOCHAŁAM WAS JAK WŁASNE,
LE CZ POSTANOWIŁAM, IDĘ DO WAS, CHCĘ WIEDZIEĆ CO TAM JEST PIĘKNE I ZACNE.

OSTATNI WPIS W DZIENNIKU SIOSTRY-PIELĘGNIARKI DOMINIKI NUTRI, PRACUJĄCEJ
W LAZARECIE „MISERICORDIAE”, ZNAJDUJĄCYM SIĘ W SPERO DZIELNICY LXII.
KOBIE TA, PO PRZYJĘCIU PIĘCSETEGO MARTWEGO NOWORODKA Z RZĘDU, POPEŁNIŁA
SAMOBÓJSTWO, PRZEDAWKOWUJĄC ŚRODKI PRZECIWBÓLOWE.
DZIAŁO SIĘ TO W TZW. ROKU CISZY, GDY W CAŁYM MIEŚCIE, PRZEZ OKRĄGŁY CYKL ROCZNY,
RODZIŁY SIĘ TYLKO MARTWE DZIECI.
SZCZEGÓŁOWY RAPORT UTAJNIONY PRZEZ INKWIZYCJĘ.

Sacrum, później, ten sam cykl dobowy...

W komnacie Inkwizytora panował niemal całkowity mrok. Palenisko ziało chłodem, a kryształowe kule na suficie lewitowały leniwie, wykorzystując moc ledwie w kilku procentach. Tylko od strony pracowni Brodacza rozchodziła się łuna zimnego światła. Wszystkie wyświetlacze, aparaty i projektor pyłowy, mniejszy od tego w Centrum Dowodzenia, były włączone i pozostawały w gotowości. Ekrany skrzyły się od prezentowanych danych,

zdjęć, raportów i informacji na każdy ważny z taktycznego punktu widzenia temat. Straty w ludziach i sprzęcie, zużycie amunicji, zapotrzebowanie na środki medyczne, ciągnący się dziesiątkami tysięcy stron harmonogram przeprowadzania ceremonii żałobnych i pogrzebowych oraz piętrzące się depecze o pomoc ze strony Oficjum.

Powody były podobne. Opętania, zjawiska paranormalne, zamieszki o dziwnym podłożu... Miasto było dalekie od spokoju. Pozostali, nieliczni agenci Inkwizycji wraz z oddelegowanymi Mortusami metodycznie rozwiązywali problemy. Saldo ofiar rosło. Ponad siedemdziesiąt tysięcy zabitych Czarnopancerzonych, wielu rannych, umierających bądź zaginionych, setki zniszczonych maszyn.

Człowiek z Wyobraźnią stracił połowę wszystkich swoich zasobów. Siedział teraz zgarbiony w fotelu, gapiąc się w zawartość niekończących się wiadomości. Jego ulepszony umysł analizował wszystko symultanicznie. Nie gubił z oczu żadnych danych. Część jego jaźni myślała o tym, co działo się kilka godzin temu.

Zaraz po powrocie do bazy zszedł do głębokich pieczar. Na ponad ćwierć doby zamknął się w Czarnym Archiwum. Tak nazywał kompleks, w którym trzymał najniebezpieczniejsze artefakty i zapiski dotyczące najgorszego zła. Kosztem wielu istnień przeprowadził rytuał, który dał mu bardzo niepokojące hipotezy. Jeśli jego przypuszczenia miałyby się spełnić, to nie był gotowy na konfrontację. Wątpił, czy Oficjum było...

Strzelił karkiem i przetaił oczy. *Przecież nie możesz być zmęczony* – skarcił się w duchu. *Zabrano ci to błogosławieństwo* – westchnął przeciągle. Kończył typowanie nowych lokalizacji pod wysunięte przyczółki, ponieważ Caedes zniszczył poprzednie. Wpływy i zasięgi były niezbędne i musiały zostać odbudowane jak najszybciej.

Dostrzegł oblicze chłopca zgładzonego przez Sąd Boży. Potrząsnął głową, twarz dziecka zniknęła. *Słaba wola jest odżywką dla demona* – zaintonował w myślach. *Catherine* opierała się o jego udo. Mocniej zacisnął dłoń na rękoności i delikatnie dotknął zamontowanego w niej relikwiarza.

Miał na sobie fragmenty zbroi. Postrzępiony prawy naramiennik z ramą na obojczykach, część płyt lewej kości promieniowej i dolne moduły nagolenników, z butami, były całe. Jego krocze zasłaniała lekka przepaska. Na wklęsłym podłokietniku siedzenia w kaburze leżała *Victoire*.

Ruchami gałek ocznych zmieniał panele i szukał kolejnych zapisków. Za dwanaście godzin planował wyruszyć do Spero i osobiście zająć się kluczowymi sprawami.

Usłyszał za sobą kroki...

- Jeszcze się męczysz? - zapytała ciepło Białowłosa, obejmując go gładkimi, jedwabistymi rękami. Stała za nim. Pochyliła się, poczuł jej piersi na karku. - Wygraliśmy, a ty pracujesz i pracujesz... - szeptała mu do ucha.

Nie patrzył na nią.

- Przetrwaliśmy, Viviene... Ledwo przetrwaliśmy.

Polizała go.

- Wielu poległo, to fakt. Jednak gdybyśmy przegrali, to nie zostałyby nic z wyjątkiem koszmaru - używając odrobiny magii i mając jego mentalne pozwolenie, zdejmowała z niego fragmenty zbroi. Z pomocą telekinezy powolnie opadały na podłogę, a wkrótce całość zniknęła w błyskach światła. *Zapewne przeniosła ją do warsztatu Ikariusza* - przemknęło mu przez myśl. Obeszła go i miał ją teraz przed sobą w całej okazałości i krasie.

Miała na sobie prostą koszulę nocną z dużym dekoltem, z delikatnego, śliskiego materiału. Kuse odzienie nie sięgało nawet do połowy jej krągłych pośladków. Czerń tkaniny podkreślała biel jej włosów. Róż w oczach świecił w ciemności niczym neony.

- Koszmar to się tam dopiero zaczął, moja droga - odparł, podziwiając jej wdzięki.

Przełożyła nogi i usiadła na nim. Przysunęła się blisko. Bardzo blisko. Czuł jej zapach i słyszał bicie serca. Jedną ręką chwycił za jej talię. Palce gładziły jej skórę. Przyłgnęła do niego, poczuł ciepło jej ciała.

- Zrobiłeś, co musiałeś - mruknęła i zaczęła wyłączać poszczególne ekrany.

Nie zatrzymywał jej.

- To nie był pierwszy Caedes, który wydałem, lecz ten pochłonął najwięcej istnień.

- Zapewne również w historii całego Oficjum? - wygaszała projektor, a drugą ręką czochrała jego włosy.

Zaprzeczył.

- Pod względem Oczyszczenia był jeden większy - pokiwał głową. - Ale liczba zabitych żołnierzy i ludzi, którzy jeszcze zginą w wyniku dochodzeń

i zabezpieczeń, najprawdopodobniej przebiję tamten wynik - bawił się aksamitnym materiałem jej nocnej sukienki.

Gdy zgasł ostatni wyświetlacz, na moment zapanowała ciemność, która całkowicie ich pochłonęła. Chwilę potem zawisła nad nimi niewielka, świecąca kula, która ukazała ich tkwiących w namiętym pocałunku.

- Jesteś smutny - powiedziała, gdy wargi się rozłączyły.

Nie podjął tematu od razu. Zamknął oczy i masował jej biodra. Po chwili zaczął mówić.

- Popeliłem w życiu wiele okrucieństw i błędów. Zdradzałem i byłem zdradzany - przełożył *Victoire* na blat stołu. - Ponościłem porażki - wziął do ręki miecz. Przyglądali mu się chwilę, zanim wylądował na biurku. *Catherine* wysłała pojedynczy lazurytowy impuls. - Czasem nie byłem dość dobry - mocniej go objęła. - Niezależnie jak bardzo bym się starał, to ja się mylę, *Vivienne* - patrzył na jej twarz. - Nie jestem Bogiem, nie jestem również człowiekiem... - jej palce muskały jego policzki. - Nie wiem kim jestem, ale doskonale zdaję sobie sprawę, że świat się zmienia, przyspiesza - zacisnęła dłoń na jej pośladku. Wypnęła się lekko i wypuściła powietrze. - Powoli przestaję nadążać z adaptacją. Miniona szkoła, stare nawyki przez cały czas odrestaurowywane - wbiła w niego swoje długie paznokcie. - Jednak fundament pozostaje ten sam, a wady konstrukcyjne było świetnie widać podczas tego starcia.

Kobieta głaskała go po twarzy. Pochyliła głowę i znów mogli patrzeć sobie w oczy.

- Tylko ty mogłeś tego wszystkiego dokonać, Okrutniku - przytuliła się mocniej. - Gdyby nie ty, nikogo z nas nie byłoby już na tym świecie - pstryknęła go leciutko w nos. - Oczywiście każdy się do tego przyłożył, ale to ty dałeś mu popalić. Nawet nie wiesz, jakim jesteś bohaterem.

- I jakim zabójcą - dodał. - Choć to mój obowiązek. Credo każdego Inkwizytora.

- Nie bojące się niczego awatary Jego woli - rzuciła z udawaną dumą, czochrając go.

- Och, my również się boimy, moja droga. Śmierć jest tym, czego się lękają tacy jak ja.

Zdziwiła się, lecz dobry humor jej nie opuszczał.

- Chyba ten strach dotyczy każdego człowieka?

- Masz rację, lecz rzesze ludzkie paraliżuje strach przed pójściem w nieznane. Śmiertelni drżą przed bólem i brakiem kontroli, a tym właśnie jest nieodwołalne. Ja, Vivienne, lękam się, ponieważ nieuniknione nie będzie dla mnie egzekucją czy karą. Ostatnim, co będę odczuwał umierając, to wstyd i żal. Wiesz dlaczego? Gdyż dla takich jak ja śmierć będzie aktem łaski. Litością, której nie mogę oczekiwać. Ja, który nie miałem jej dla nieprzeliczonych dusz, na których wykonałem wyrok - jego oczy były martwe, jej emanowały uczuciem. - Nie zasługuję na miłosierdzie, którego sam nigdy nie dałem. Żyjąc, mogę cierpieć, i to jest moja pokuta za wszystko.

Ciężar wyznania był ogromny. Czarnoksiężniczka przez długi czas wpatrywała się w jego wnętrze. Z jej twarzy wyczytał, że zastanawia się nad słowami, które chce powiedzieć.

- Obojętnie, czy ci się to podoba czy nie, to nie jesteś w tym sam - szepnęła. - Jestem z tobą.

- Na Stwórcę... - tylko tyle zdołał powiedzieć zaskoczony.

Wpiła się w jego usta. Inkwizytor odrzucił resztę ubrania, a kobieta objęła go nogami. Ich ciała stały się jednością.

- Czuję, że już ci lepiej, Okrutniku - sapnęła, gdy jego dłonie tańczyły na jej skórze. - Mamy dla siebie jakieś trzy godziny, zanim ktoś nam przeszkodzi - wyprężyła się, gdy dotknął jej piersi.

- Kto śmiałyby nam przeszkadzać? - zapytał, ściskając sutki.

Jęknęła przeciągle i dosiadła go mocniej, a on odchylił się na oparcie fotela.

- Może Lydia przyjdzie do nas, zmęczona złymi snami - jej paznokcie drapały jego skórę.

- Jak nas nawiedzi, to się opanujemy i jej pomożemy - zapowiedział.

Stęknęła, przegryzając wargę.

- Doprawdy?

- Oczywiście. Wszyscy musimy się trzymać razem - Vivienne położyła się na nim, by mógł adorować ją całą. Rysy jej twarzy ułożyły się w piękny, szczery uśmiech.

Rytm, który wygrywali sobą, niósł się po całym pokoju, wychwalając coś więcej niż tylko cielesność. Mówił o zachciankach, które spełniały ich dusze.



Pieć, Pałac Amona, czas lustrzany...

W demonicznym zamczysku panowała pustka i ciemność. Wszystkie piekielne piece wygaszono, a magazyny dusz, tak pieczołowicie katalogowane, spisywane i stale uzupełniane, świeciły pustkami. Podczas przygotowań do inwazji i ataku Najokrutniejszy zużył niemal wszystkie zasoby. Nie problem wywołać wojnę, prawdziwą sztuką jest ją finansować.

Gdy Jeden z Panów Piećla skonał pod ciosami Inkwizytora i Oficjum, pozostali Lordowie wyczuli jego koniec. Wymiar Grzechu pełen był szeptów i plotek. Nikt nie sądził, że Markiz przegra, a tym bardziej, że poniesie prawdziwą śmierć. Teraz Czarci Szlachcice organizowali owiane złą sławą Łoże, by dyskutować o wydarzeniach minionych i przyszłych. Taki cios dla Legionu nie mógł pozostać bez odpowiedzi.

Jednak nie wszyscy byli zainteresowani polityką. W samym sercu pałacu, w głównej sali, pod pustym tronem Kruczołowego łkał mały demon. W łykowatych łapach trzymał gigantyczną halabardę, którą tulił, roniąc ropne łzy. To Mitiri opłakiwał śmierć swego Pana.

Widział, jak umiera. Wlepił oczy nawet wtedy, gdy snop Boskiego światła anihilował Arcydemona. Ukryty w ruinach patrzył, jak miecz przekłętego Inkwizytora opadł na kark Amona. Mały demon nie mógł walczyć, nie miał też możliwości, by odzyskać ciało Mistrza. Uciekając, odnalazł jednak *Infinito Dolore*. Zabrał ją i zniknął w Czeluści.

- Przebrzydły człowiek! - pisał, szalejąc z gniewu. - Przebrzydły, przebrzydły, przebrzydły - powtarzał jak opętany.

Wiedział, co go czeka. Niebawem cały dobytek Najokrutniejszego dostanie się pod władanie jakiegoś innego Lorda. Wcześniej będą o to zaciekle walczyć Moźnowładcy Czeluści, a miejsce popadnie w ruinę. Złość Mitiriego rosła. Całe swoje życie dbał o te włości i usługiwał swemu Władcy. Teraz wszystko zostało stracone.

- Zabiję go! - wył w konwulsjach.

Przecież ja nie mam takiej siły - pomyślał i zapłakał. *On uśmiercał miliony takich jak ja.*

Szamotał się od wzbierającej w nim furii.

- Gdybym go dostał w swoje łapska, to bym go... - zaciął się z emocji. - Ja bym go... Ja...

- Gdybym ja miała taką sposobność, doskonale bym wiedziała, co zrobić - rozległ się głos pełen ekstazy.

Mały demon zawył przerażony i chciał uciec, lecz jego ogon zaczepił o halabardę, więc tylko walnął boleśnie o ziemię. Oręż zagrzemiał o płyty podłogi. Porażony bólem zamknął oczy. Gdy je otworzył, ujrzał dumną Demonicę. Uśmiechała się czule, muskając przy tym lok płonących włosów.

- Witaj, słodziutki - mruknęła zalotnie.

Sparalizowany strachem zacisnął mocniej łapy na plugawej relikwii.

- Amon tobie nie ufał. Jjj... aaa... też nie zamierzam - jąkał się.

Kobieta zaśmiała się.

- I popatrz, jak na tym wyszedł - zakpiła i pochyliła się. Dłonie oparła na kolanach, a łokciami ścisnęła swoje dorodne piersi. - Mamy dużo wspólnego, skarbie - głos miała słodki i ciepły.

- Co niby? - fuknął.

Uśmiechnęła się. Choć emanowała popędem, chucią, wyuzdaniem i seksem, jej twarz miała niewinny wyraz.

- Obydwoje chcemy tego samego. W tobie jest nienawiść, śliczne uczucie. Ja mogę dać ci moc, byś mógł stanąć do boju i miał szansę się zemścić. Poza tym bez mojej pomocy będziesz albo martwy, albo spędzisz resztę życia jako niewolnik u innego potężnego demona - jej lico przybrało wyraz smutku, zupełnie jakby miała się rozplakać. - Marzenia o zakończeniu żywota niemiłego Inkwizytora legną w gruzach. Na zawsze! - krzyknęła, a diablik skurczył się. - Więc jaka jest twoja odpowiedź, słoneczko? - zatrzepotała rękami, prezentując śnieżnobiałe zęby.

Mitiri nie myślał długo. Nie miał żadnych lepszych opcji. Podejrzewał, że czeka go marny los, lecz nie dbał o to. Jedyne, co go obchodziło, to to, jaki ból zada ponuremu Brodaczowi.

- Jestem z tobą, Pani - odparł i ukłonił się jej. Jako dowód oddania uniósł przed siebie halabardę Kruczogłowego.

Kobieta przyjęła dar, który zniknął w błysku nefrytowego ognia.

- Przyda się na później - wyjaśniła. - Jak masz na imię?

Diabełek przełknął ślinę.

- Mitiri, Pani - ciągle oswajał się z nową sytuacją.

Demonica promieniała z radości. Wyciągnęła w stronę piekielnego sługusa jedwabną dłoń.

- Cudownie. A teraz śmiało, idziemy - ponagliła. Chochlik złapał jej prawicę. Tak oto postawili razem pierwsze kroki. Kierowali się do wyjścia z zamczyska.

Po kilkudziesięciu metrach sługa Amona nabrał odwagi.

- Pani... - zaczął, a widząc jej zachęcający wyraz twarzy, kontynuował. - Co teraz będziemy robić?

Piekielna kobieta westchnęła i poprawiła włosy.

- Będziemy szukać nowych przyjaciół, Mitiri - przemówiła głosem pełnym niedopowiedzeń i obietnic. - Dokładnie takich jak my.



Kilka dni później...

Kod nadawczy: I7X1 - M84B12V3

Priorytet: Najwyższy

Poziom zagrożenia: Alfa

Nadawca: Sciscitorka Asiasia Helion służąca Inkwizytorce Uqisi Truxi

Adresat/ci: Wszystkie odbiorniki i stacje nadawcze Świętego Oficjum w zasięgu

Czas nadawania: Transmitowana nieprzerwanie (depesza zapętlona) pierwszy raz rejestrowana 1 godzinę 7 minut i 45 sekund temu.

Treść: Tutaj Sciscitorka Świętego Oficjum Asiasia Helion, spod ramienia Inkwizytorki bożej Uqisi Truxi. Potrzebne natychmiastowe wsparcie do placówki operacyjnej PT-741 kryptonim Pugio. Współrzędne są przesyłane szyfrem w trakcie transmisji. Obiekt znajduje się pod atakiem demonów, który nastąpił od wewnątrz. Inkursja poziomu VI przebiła się przez wszystkie zabezpieczenia. Inkwizytorka Uqisi nie żyje. Zgładził ją demoniczny najeźdźca. Przejęłam dowództwo nad siłami Oficjum, ale czartów jest zbyt wiele. Ponosimy ciężkie straty, nie utrzymujemy się... Nienarodzeni przebili wewnętrzny pierścień!

Do jakichkolwiek sił Oficjum, które mnie słyszą - potrzebne natychmiastowe wsparcie. Jeśli dane nam będzie to przeżyć, słać będziemy

Jego imię naszymi przyszłymi czynami. Jeśli polegniemy i ciała nasze nie zostaną odnalezione, wiedźcie, że odeszliśmy walcząc, nieugięci i niezłamani.

Koniec transmisji.





O książce *Inkwizycja - Grzechy Przeszłości*

Zanurz się w dystopijnej wizji świata, gdzie człowieka traktuje się jak pionka w grze, która nie przewiduje wygranych.

Ziemia - taka, jaką znamy - na skutek boskiego gniewu przestała istnieć. Ale po tysiącach lat ludzkość się odrodziła. Jednak nie może już sama decydować o swoim losie. Władzę na świecie przejęły totalitarne rządy. By chronić ludzkie ciała i dusze powołano Święte Oficjum, nazywane Inkwizycją. Jednym z przedstawicieli tej organizacji jest Witeldon Walszarti, który stoi na straży miasta Spero. Inkwizytor jest mściwy i bezlitosny w swych osądach. Wkrótce jednak mężczyzna ze swoimi ludźmi rozpoczyna długą podróż, by poznać prawdę o świecie, w którym żyje. Gdzie go zaprowadzi i co odkryje?

Grzechy przeszłości należą do serii *Inkwizycja*. To idealna lektura dla fanów Gry o Tron.